

ALEKSANDER SOLŻENICYN

ARCHIPELAG  
GUŁag

1918-1956

\* \*

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1975





# ARCHIPELAG GUŁag

TOM 2

BIBLIOTEKA « KULTURY »  
TOM 258

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

# ARCHIPELAG GUŁag

1918-1956

PRÓBA ANALIZY LITERACKIEJ

Przełożył z rosyjskiego  
MICHAŁ KANIEWSKI

III - IV

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1975

*Tytuł oryginału:*

ARCHIPELAG GUŁag

TEGOŻ AUTORA  
W BIBLIOTECE « KULTURY »

*Krąg pierwszy*, 1970, 1972 (Dwa wydania)

*Oddział chorych na raka*, 1971, 1973 (Dwa wydania).



II 1985.189  
Chw.

1976 4723/23

CZĘŚĆ TRZECIA

OBOZY PRACY MORDERCZEJ

„Tylko ci nas mogą zrozumieć,  
co jedli z nami z jednej miski”.

*(Z listu hucutki, byłej zeczki)*

To, co powinno znaleźć odbicie w tej części książki — jest nieogarnione. Aby zgłębić i pojąć cały sens tej sprawy — należałoby nie jedno życie strawić w obozach — w tych obozach, w których nawet jednego roku nie sposób odsiedzieć w całości bez jakichś ulg, bo stworzono te obozy dla ludzkiej ZAGŁADY.

Dlatego też ci, co sięgnęli głębiej, ci, co zaznali więcej — są już w grobie i nic nie powiedzą. Tego, co NAJWAŻNIEJSZE nikt nigdy już o tych obozach nie opowie.

I nie sprostą pojedyncze pióro opisowi całej tej historii, całej tej prawdy. Patrzyłem na Archipelag jakby tylko przez wyzior, nie mogłem ogarnąć go spojrzeniem, jak z wieży. Ale na szczęście wychynęło na powierzchnię już parę innych książek — i jeszcze wychynie. Być może czytelnik „Opowiadań kołymskich” Warłama Ształomowa będzie miał ściślejsze pojęcie o bezlitosnej atmosferze Archipelagu i o granicach ludzkiej rozpacz.

Zresztą, dość jednego tyku, by poznać gorycz morza.

## Rozdział I

### PALCE AURORY

Różanopalca Eos, o której tak często napomyka Homer, zwana przez Rzymian Aurorą, uświetniła swoim dotknięciem już sam świt Archipelagu.

Gdy nasi współobywatele dowiedzieli się z audycji BBC, że M. Mihajłow dowiódł rzekomo, iż obozy koncentracyjne istniały w naszym kraju już w 1921 roku — wielu z nas (podobna była zresztą reakcja Zachodu) doznało szoku: więc już wtedy? Więc już w 1921?

Oczywiście, że nie! Mihajłow myli się, rzecz jasna. W 1921 obozy koncentracyjne były już w rozkwicie (ba, nawet już *przekwitwały*). Słuszniej byłoby twierdzić, że Archipelag narodził się przy wtórze salw Aurory.

Jak zresztą mogło być inaczej? Zastanówmy się chwilę.

Czyż Marks i Lenin nie twierdzili, że stary, burżuazyjny aparat przymusu należy unicestwić — i w zamian stworzyć nowy? Aparat przymusu składa się zaś z: armii (wcale już nas nie dziwi, że Armię Czerwoną stworzono w początkach 1918 roku, policji (milicja została odtworzona jeszcze wcześniej, niż armia), sądów (poczynając od 22 listopada 1917 roku), a także — więzień. Czemuż to, proklamując dyktaturę proletariatu, miano zwlekać z utworzeniem więzień nowego typu?

Bo też sprawa więzień, starych, czy jakichś tam nowych, w ogóle nie cierpiała zwłoki. Już w trakcie pierwszych, porewolucyjnych miesięcy, Lenin domagał się stosowania „najsurowszych, drakońskich wręcz środków w celu podtrzymania dyscypliny<sup>1)</sup>”. A czy owe drakońskie środki możliwe są — bez więzień?

---

1. Lenin, *Dzieła Zebrane*, wyd. ros. V, t. 36, str. 217.



Jakie innowacje w tej dziedzinie mogło wprowadzić państwo proletariackie? Iliicz szukał nowych dróg po omacku. W grudniu 1917 roku wysuwa on, tytułem propozycji, taki oto zestaw kar: „konfiskatę całego mienia..., więzienie, wysłanie na front i roboty przymusowe — dla każdego, kto niniejsze prawo pogwałci”<sup>2</sup>. Możemy zatem stwierdzić, że naczelną ideą Archipelagu — roboty przymusowe znalazła wyraz już miesiąc po Rewolucji Październikowej.

Ale przyszłemu systemowi kar Iliicz poświęcił zapewne chwilę zadumy jeszcze wtedy, gdy siedział spokojnie w Razliwie\*, wśród zapachu zżętego siana i brzęczenia trzmieli. Już wtedy wszystko sobie wykalkulował i uspokoił nas, że „pokonanie wyzyskującej mniejszości przez większość, złożoną z wczorajszych niewolników, jest sprawą stosunkowo tak łatwą, prostą i naturalną, że pociągnie to za sobą o wiele mniejszy rozlew krwi... i o wiele mniejsze koszty ludzkie”, niż gnębienie większości przez mniejszość, co miało miejsce dotychczas<sup>3</sup>.

(Wedle obliczeń, znajdującego się obecnie na emigracji profesora statystyki Kurganowa, to „stosunkowo łatwe” zwycięstwo wewnętrzne kosztowało nas — biorąc za punkt wyjścia wybuch Rewolucji Październikowej i na roku 1959 kończąc 66 (sześćdziesiąt sześć) milionów istnień ludzkich. Rozumie się, że nie możemy ręczyć za ścisłość tej liczby, ale brak nam w tej materii jakichkolwiek innych danych oficjalnych. Skoro tylko pojawią się liczby oficjalne — specjaliści będą mogli poddać je krytycznej konfrontacji).

Ciekawe byłoby przytoczenie tutaj jeszcze kilku liczb, choćby dla porównania. Ilu pracowników etatowych liczył w centrali ów budzący strach carski III Oddział, którego ślad jak chłasnęty rzemieniem, biegnie przez całe dzieje wielkiej literatury rosyjskiej? W chwili utworzenia — 16 ludzi, w momencie największego rozkwitu — 45-ciu. Liczba śmieszna, nawet jeśli wziąć pod uwagę Gub-Czekę z najdalszej prowincji. Albo — ilu też więźniów politycznych zastała w carskim Więzieniu Narodów rewolucja Lutowa? Wszystkie te dane gdzieś przecież można znaleźć. Prawdopodobnie w samych Krestach takich więźniów było ponad stu, prócz tego kilkuset wróciło z syberyjskiego zesłania i ciężkich robót, a iluz to jeszcze siedziało w gubernialnych więzieniach! A właśnie, ciekawe — ilu? Oto cyfra dotycząca

2. Lenin, *ibidem*, t. 35, str. 176.

\* W miejscowości Razliw opodal Piotrogradu Lenin ukrywał się (wraz z Zinowiewem) po wypadkach lipcowych 1917 roku; rząd Kiereńskiego groził mu aresztowaniem.

3. Lenin, *Dzieła*, piąte wydanie rosyjskie, Tom 33, str. 90.

Tambowa, wzięta wprost z tambowskich gazet. Rewolucja lutowa po otwarciu naścieżaj wrót tambowskiego więzienia znalazła tam... 7 (siedmiu) więźniów politycznych.

Owszem, guberni było ponad czterdzieści (zbędne chyba jest przypominanie, że między lutym, a lipcem w ogóle nikogo nie wsadzano za politykę, po lipcu zaś siedzieli w więzieniach nie-liczne jednostki).

Ale masz ci los: pierwszy rząd sowiecki był rządem koalicyjnym, część resortów trzeba było jednak oddać lewicowym eserom; w ich rękach znalazł się też nieszczęściem Ludowy Komisariat Sprawiedliwości. Kierując się zgniętymi, drobno-mieszczkańskimi poglądami na sprawę wolności, komisariat ten doprowadził system kar do zupełnej niemal ruiny, ferował wyroki, jak się okazało zbyt łagodne, a nadto nie stosował prawie w swojej praktyce przodującej zasady robót przymusowych. W lutym 1918 roku przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, tow. Lenin, zażądał zwiększenia ilości miejsc odosobnienia i wzmożenia represji<sup>4</sup>, w maju zaś, decydując się na konkretną ingerencję, zalecił<sup>5</sup>, aby za łapownictwo dawać *nie mniej*, niż 10 lat więzienia, a *ponadto* dziesięć lat robót przymusowych, w sumie więc dwadzieścia. Skala taka mogła z początku wydawać się manifestacją pesymizmu: jak to, więc nawet za 20 lat trzeba będzie jeszcze stosować roboty przymusowe? Ale my już wiemy, że roboty te okazały się nader praktycznym środkiem i że nawet po upływie lat 50-ciu nie przestały być popularne.

Personel więzienny jeszcze wiele miesięcy po Październiku był wszędzie carski, tyle, że wyznaczono *komisarzy* więzień. Rozzuchwaleni funkcjonariusze więzień stworzyli *własny związek zawodowy* („Związek Pracowników Zakładów Karnych”) i wprowadzili *zasadę wyboru* szarż administracyjnych! (Jedyny to wypadek w całej historii Rosji!). Więźniowie też nie pozostawali w tyle — mieli również własny samorząd (Okólnik Komisariatu Sprawiedliwości z 24. IV. 1918 roku: „wszędzie, gdzie to możliwe należy więźniów w d r a ż a ć do autokontroli i samorządu”). Takie areztanckie sobiepaństwo („anarchistyczne rozpasanie”) nie odpowiadało, rzecz naturalna, celom dyktatury przodującej klasy i nie łatwo dawało się pogodzić z akcją oczyszczania rosyjskiej gleby ze szkodliwych insektów. (O czym tu mówić, jeśli nawet więzienne kaplice nie zostały zamknięte i nasi, sowieccy areztanci chętnie tam bywali w każdą niedzielę, choćby po to, by rozprostować kości!).

4. Lenin, *Dziela*, piąte wydanie rosyjskie, Tom 54, str. 391.

5. Lenin, *Dziela*, Tom 50, str. 70.

Carscy klucznicy nie byli, rzecz jasna, elementem zupełnie dla sprawy proletariatu straconym, w końcu był to fach ważny dla osiągnięcia bezpośrednich celów rewolucji. Dlatego też należało „wytypować takich przedstawicieli administracji więziennej, którzy nie całkiem zatwardzieli i otepieli od drylu panującego w carskim więzieniu (ale co to znaczy „nie całkiem”? jak to stwierdzić? że zapomnieli słów hymnu „Boże, chroń nam cara”?) i mogą jeszcze być wykorzystani do pracy w nowych warunkach<sup>6)</sup> (na przykład — potrafią sprawnie raportować: „tak jest” i „melduję posłusznie, że nie!”, albo szybko zamykać i otwierać zamki?). Ma się rozumieć, że same te więzienne budynki, cele, kraty i rygle, choć na pierwszy rzut oka wyglądały wciąż tak samo — w istocie otrzymały *nową treść klasową*, wzniosły rewolucyjny sens.

Jednakże — aż do połowy 1918 roku — sądy siłą przyzwyczajenia i bezwładu stosowały wobec wszystkich skazanych tylko i wyłącznie kary więzienia, co hamowało proces destrukcji tych części starego aparatu władzy, które miały związek z więzienictwem.

W połowie 1918 roku, a mianowicie dnia 6 lipca, miało miejsce wydarzenie, którego znaczenia wcale nie wszyscy rozumieją, wydarzenie określane jako „stłumienie buntu lewicowych eserów”. Tymczasem zaś był to przełom o znaczeniu chyba nie mniejszym, niż przewrót 25 października. 25 października proklamowana była władza Sowietów-Delegatów — stąd też termin — *władza sowiecka*. Ale w trakcie pierwszych miesięcy charakter tej nowej władzy jeszcze był poważnie zmaćony przez udział przedstawicieli innych, niebolszewickich partii. Aczkolwiek rząd koalicyjny sformowany był tylko z bolszewików i lewicowych eserów, jednak w składzie Wszechrosyjskich Zjazdów Sowietów (II-go, III-go i IV-go) i wybranych na nich WCIK'ów (Wszechrosyjskich Centralnych Komitetów Wykonawczych) trafiali się jeszcze przedstawiciele innych partii socjalistycznych — socjal-rewolucjonistów, socjaldemokratów, anarchistów, ludowych socjalistów i in. Stąd też WCIK'i nosiły niezdrowy charakter „parlamentów socjalistycznych”. W ciągu pierwszych miesięcy 1918 roku szereg zdecydowanych akcji (popartych przez lewicowych eserów) pozwolił wszelako na usunięcie z łona WCIK reprezentantów innych ugrupowań socjalistycznych (mocą decyzji większości członków tego organu, na co dawała prawo swoista interpretacja procedury parlamentarnej), bądź na niedopuszczenie do ich wyboru. Ostatnim z ciał obcych, stanowiącym trzecią

---

6. *Sowiecka Sprawiedliwość*, dzieło zbiorowe, Moskwa 1919, str. 20.

część owego gremium parlamentarnego (V-go Zjazdu Sowietów) była partia lewicowych eserów. W końcu można było pozbyć się również tego balastu. 6 lipca 1918 roku lewicowi eserzy zostali co do jednego usunięci z WCIK i Sownarkomu. Tym samym — władza Sowietów Delegatów (tradycyjnie zwana dalej władzą sowiecką) przestała stanowić przeciwwagę w stosunku do woli partii bolszewickiej i przybrała kształt Demokracji Nowego Typu.

Dopiero więc od tej historycznej daty mogła zacząć się na serio przebudowa starego aparatu penitencjarnego i konstrukcja Archipelagu<sup>7</sup>.

Kierunek tej rekonstrukcji był zaś od dawna jasny. Przecież już Marks w „Krytyce programu gotajskiego” twierdził, że praca produkcyjna jest jedynym środkiem poprawy przestępców. Oczywiście — jak to później wykazał Wyszyński — „nie ta praca, co wysusza ludzkie rozumy i serca”, lecz owa „czarodziejka (!), która ma moc wydobycia ludzi z niebytu i z dna nikczemności, czyniąc z nich bohaterów<sup>8</sup>”. A dlaczego nasz więzień nie może walczyć się w celi, lub tam słabizować jakieś książeczki, tylko powinien się trudzić? A dlatego, że w Republice Rad nie ma miejsca na przymusowe próżniactwo, na „pasożytnictwo z urzędu<sup>9</sup>” jakie w takim na przykład Szlisselburgu licować mogło z ówczesnym pasożytniczym ustrojem. Takie więzienne próżniactwo przeczyłoby po prostu samym zasadom opartego na pracy ustroju Republiki Sowieckiej, zasadom uświęconym przez konstytucję z 10 sierpnia 1918 roku: „Kto nie pracuje, ten nie je”. Gdyby więc więźniowie nie mieli pracować, to — wedle naszej konstytucji — powinni być także pozbawieni wiktów.

Centralny Wydział Kar Komisariatu Sprawiedliwości<sup>10</sup>, utworzony w maju 1918 roku, natychmiast zapędził ówczesnych aresztantów do pracy („zabrał się do organizacji pracy produkcyjnej”). Ale dotyczące tej sprawy akta prawne zostały ogłoszone już po lipcowym przewrocie, mianowicie 23 lipca 1918 roku, w „Tymczasowej instrukcji o pozbawieniu wolności<sup>11</sup>”: „Osoby skazane

7. Wyszyński tak to formułuje w swojej drętwo-napuszonej mowie: „... jedyny w świecie, mający uniwersalne, historyczne znaczenie proces tworzenia na gruzach burżuazyjnej sieci więzień — owych 'martwych domów', budowanych przez wyzyskiwaczy dla mas pracujących — nowych instytucji, pełnych nowego sensu społecznego”. (Dzieło zbiorowe, „Od więzień do zakładów wychowawczych”, wydawnictwo „Sowieckie prawodawstwo”, Moskwa 1934, przedmowa).

8. *Ibidem*, str. 10.

9. *Ibidem*, str. 103.

10. Po zawarciu pokoju brzeskiego lewicowi eserzy przestali wchodzić w skład rządu i Komisariat Sprawiedliwości przejęli bolszewicy.

11. Obowiązywała przez całą wojnę domową, aż do listopada 1920 roku.

na karę pozbawienia wolności, a zdolne do pracy — mają być w trybie obowiązkowym kierowane do pracy fizycznej”.

Rzec można, że od tej oto Instrukcji z 23 lipca 1918 roku (wszystkiego *dziewięć miesięcy* od Rewolucji Październikowej) zaczyna się historia obozów, że tu rodzi się Archipelag. (Kto ośmielił się zarzucić, że poród był przedwczesny?).

Potrzeba zaprzęgnięcia aresztantów do prac przymusowych (i tak zresztą dla wszystkich już oczywista) naświetlona została na VII Wszechzwiązkowym Zjeździe Sowietów: „praca jest najlepszym środkiem mogącym zapobiec niszczącemu skutkom... bezsensownych rozmów, toczonych przez więźniów, w trakcie których bardziej doświadczeni instruuja nowicjuszy<sup>12</sup>... (aha, o to więc chodziło!...).

Wkrótce miały się też zacząć komunistyczne subbotniki\* i tenże Komisariat Sprawiedliwości nakazał: „Konieczne jest wdrożenie (więźniów) do komunistycznej, kolektywnej pracy<sup>13</sup>”. Postanowiono więc duch owych komunistycznych „subbotników” przeflancować do obozów *pracy przymusowej!*

Tak oto epoka pierwszego rozpędu nagromadziła z punktu mnóstwo zadań, jakie rozwiązywać trzeba było później przez całe dziesięciolecie.

Zasady *polityki pracy poprawczej* włączone zostały na VIII-ym Zjeździe RKP(b) — w marcu 1919 — wprost do nowego programu partii. Organizacyjne zaś podstawy dla objęcia obszaru Rosji Sowieckiej siecią obozów stworzone zostały dokładnie w momencie wprowadzenia pierwszych komunistycznych „subbotników”, dni pracy ochotniczej (12 kwiecień - 17 maj 1919 r.): uchwały WCİK, dotyczące obozów pracy przymusowej powzięte 15 kwietnia i 17 maja 1919 roku<sup>14</sup>. Na ich podstawie obozy pracy przymusowej miały być tworzone (staraniem Gubernialnych Cze-Ka) obowiązkowo w *każdym mieście gubernialnym* (żeby było najwygodniej — w granicach zabudowy miejskiej, albo w jakimś klasztorze, czy w którymś z okolicznych folwarków) i w *niektórych powiatach* (chwilowo jeszcze nie we wszystkich). Każdy obóz miał być obliczony na *co najmniej 300 więźniów* (po to, aby dochody z pracy aresztantów mogły pokryć koszty utrzymania straży i administracji) — i znajdował się w zarządzie gubernialnych organów ścigania.

12. Sprawozdanie Komisariatu Sprawiedliwości, złożone Wszechzwiązkowemu Zjazdowi Sowietów, str. 9.

\* Wprowadzone na apel Lenina godziny dobrowolnej pracy przy robotach publicznych — po zakończeniu roboczego tygodnia.

13. Materiały Kom. Sprawiedliwości, wyd. UP, str. 137.

14. *Rocznik Ustaw RSFSR* z 1919 roku, Nr 12, str. 124, i Nr 20, str. 235

Te pierwsze obozy pracy poprawczej wydają się nam teraz jakąś abstrakcją. Wygląda na to, że ludzie, którzy w nich siedzieli, nic nikomu nie opowiedzieli — bo jakichkolwiek relacji brak. W beletrystyce, w drukowanych wspomnieniach, tam gdzie mowa o komunizmie wojennym, napomyka się o rozstrzelaniu i więzieniach, ale o obozach nikt nic nie pisze. Nie ma o nich mowy nawet między wierszami, ani w uwagach poza tekstem. Mihajłow miał wszelkie podstawy do swojej omyłki. Gdzie były te obozy? Jak się zwały?... Jak wyglądały?...

Instrukcja z 23. VII. 1918 roku zawierała pewien brak, podkreślany zgodnie przez wszystkich prawników: nie było w niej żadnej wzmianki na temat klasowego zróżnicowania więźniów, czyli wskazania, że jednych z nich należy traktować gorzej, innych zaś — lepiej. Ale zawierała ona przepisy o trybie wykonywanej pracy — i dlatego to i owo możemy sobie wyobrazić. Ustalona była długość dnia roboczego: 8 godzin. Z rozpędu, z niedoświadczenia — postanowiono płacić więźniom za wszelkie prace, wyjąwszy roboty porządkowe w obozie... (potworność, pisać hadko)... 100 % sumy, ustalonej przez związki zawodowe w odpowiednich umowach zbiorowych! (zmuszano do pracy zgodnie z konstytucją, ale też zgodnie z konstytucją płacono, co prawda, to prawda); skądinąd z wypłaty potrącano koszt utrzymania obozu i straży. „Sumienni” mogli liczyć na ulgi: pozwalano im mieszkać poza obozem, a przychodzić tylko do roboty. Za „szczególne zamiłowanie do pracy” obiecywano przedterminowe zwolnienie. Na ogół zaś, brak było szczegółowych wskazówek co do *régime*'u obozowego i w każdym obozie panowały inne porządki. „W okresie wznoszenia zrębów nowej władzy i biorąc pod uwagę *wielkie przepętnienie zakładów karnych* (! — kursywa nasza — A. S.), nie sposób było myśleć o regulaminach, skoro całą uwagę poświęcano sprawie *rozładowania więzień*<sup>15</sup>”. Człowiek czyta te słowa tak, jakby miał w rękę babilońskie tabliczki z pismem klinowym. Ileż pytań musi sobie zadać: co właściwie działo się w tych nieszczęsnych więzieniach? Jakie to procesy społeczne wywołały takie przepętnienie? I czy za tym ROZŁADOWANIEM kryło się rozstrzelanie, czy wysyłanie do obozów? I co to znaczy — że nie sposób było zawracać sobie głowy regulaminami? — czy to znaczy, że Komisariat Sprawiedliwości nie miał czasu na zajmowanie się ochroną więźniów przed samowolą lokalnych naczelników? Bo jakże inaczej to rozumieć? Instrukcje w sprawach regulaminu nie istniały,

---

15. *Materiały Ludowej Komisji Sprawiedliwości*, 1920, tom VII.

a zatem w tych latach *rewolucyjnej świadomości prawnej* każdy sobiepan mógł robić z więźniem wszystko, co mu strzeliło do łba?

Dowiadujemy się ze skromnej statystyki (zawartej w tym samym dziełku zbiorowym „Od więzień do...”), że praca w obozach sprowadzała się w zasadzie do prymitywnych i ciężkich robót. W 1919 roku zaledwie 2,5 % więźniów pracowało w warsztatach, w 1920 — 10 %. Wiadomo też, że w końcu 1918 roku Centralny Oddział Kar (też nazwa! ciarki przechodzą) wszczął starania o utworzenie kolonii rolnych. Wiadomo, że w Moskwie stworzono kilka brygad więźniarskich, zajmujących się remontem wodociągów, kotłowni i kanalizacji w uspołecznionych budynkach miejskich. (I ci — zapewne pracujący bez eskorty — aresztanci snuli się ze swoimi śrubokrętami, lutownicami i rurami po całej Moskwie, po korytarzach instytucji, po mieszkaniach ówczesnych wybitnych osobistości, wezwani telefonicznie do remontu przez ich żony — ale jakoś nie ma o nich wzmianki w niczyich pamiętnikach, nie ma ich w żadnej sztuce, w żadnym filmie).

Ale obozy pracy przymusowej nie były wcale pierwszymi obozami w RSFSR. Czytelnik już kilkakrotnie napotkał, w cytatach z wyroków rewtrybunałów (Cz. I, rozdział 8) termin „obóz koncentracyjny” i mógł pomyśleć, że to lapsus, że stosujemy tu nieopatrnie terminologię późniejszej daty? Otóż nie.

W sierpniu 1918 roku, kilka dni przed zamachem Fanny Kapłan, Włodzimierz Iliicz w depeszy do Eugenii Bosz<sup>16</sup> i penzeńskiego gubernialnego komitetu wykonawczego (nie dawano tam sobie rady z powstaniem chłopskim) napisał: „osoby podejrzane (nie „winne” czegokolwiek, lecz *podejrzane* — A. S.) zamknąć w podmiejskim obozie koncentracyjnym<sup>17</sup>”. (A prócz tego — „... wprowadzić bezwzględny, masowy terror...” — a nie było jeszcze odnośnego Dekretu).

5-go zaś września 1918 roku, dziesięć dni po nadaniu tej depeszy, wydany został Dekret Sownarkomu o Czerwonym Terrorze, podpisany przez Pietrowskiego, Kurskiego i Boncz-Bruczewicza. Prócz instrukcji dotyczącej zbiorowych rozstrzeliwań, zawierał on również taką dyrektywę: „zabezpieczyć Republikę Sowiecką przed wrogami klasowymi przez izolowanie ich w *obozach koncentracyjnych*<sup>18</sup>”.

Oto więc g d z i e pojawił się po raz pierwszy — znajdując

16. Ta zapomniana już dziś niewiasta miała w swoich rękach (jako reprezentantka KC i Czeke) losy całej guberni penzeńskiej.

17. Lenin, *Dzieła*, wyd. V, T. 50, str. 143-144.

18. *Rocznik Ustaw RSFSR*, 1918, Nr 65, str. 710.



z punktu zastosowanie i oficjalne uznanie — ów termin — *obozy koncentracyjne*, który stał się jednym z podstawowych pojęć XX wieku, mającym zrobić międzynarodową karierę! Oto więc kiedy to miało miejsce: — w sierpniu i wrześniu 1918 roku. Słowo to używane już było podczas pierwszej wojny światowej, ale tylko w stosunku do jeńców i uciążliwych cudzoziemców. Tu zaś po raz pierwszy zastosowano je do własnych obywateli. Zmiana sensu jest oczywista: obóz koncentracyjny dla jeńców nie jest więzieniem, lecz koniecznym środkiem zapobiegającym ich rozproszeniu. Podejrzani współobywatele mieli teraz być podobnie koncentrowani w celach zapobiegawczych, bez żadnego sądu. Jakiejś tęgiej głowie z łatwością też nasunęło się odpowiednie słowo — koncentracyjne!! — kojarzące się z drutem kolczastym, opasującym takie obozowisko ludzi siedzących bez wyroku sądowego.

O ile obozy robót przymusowych Komisariatu Sprawiedliwości zaliczone zostały do *ogólnych zakładów karnych*, o tyle obozy koncentracyjne nie należały bynajmniej do „zakładów ogólnych”, ale znajdowały się w bezpośredniej gestii Czeki i przeznaczone były dla elementów *szczególnie wrogo nastawionych* i dla *zakładników*. W późniejszym okresie posyłały ludzi do tych obozów również trybunały, to prawda, ale rozumie się, że spławiano tam *nie* na podstawie *wyroku sądowego*, lecz na zasadzie *posądzienia o wrogi nastawienie*<sup>19</sup>. Za ucieczkę z konclagu wyrok wzrastał, (również bez sądu!) **DZIESIĘCIOKROTNIE!** (Toć wtedy właśnie słyszało się hasła: „Dziesięciu za jednego!”, „Stu za jednego!”. (A więc — jeśli ktoś dostał pięć lat, uciekł i został złapany — to odsiadka jego przedłużana była automatycznie do 1968 roku. Za powtórny zaś ucieczkę z koncentraka — należało się rozstrzelanie — i nie trzeba wątpić, że przepisu tego przestrzegano ściśle).

Na Ukrainie obozy koncentracyjne stworzono z opóźnieniem — dopiero w 1920 roku.

Ale twórcza myśl naszej młodej jurysprudencji nie zadowoliliła się bynajmniej tymi osiągnięciami. Wkrótce już nawet obozy koncentracyjne — zdawałoby się, nienaganne w aspekcie klasowym — uznane zostały za niedość surowe, niedość konsekwentne. W 1921 roku założone zostały Północne Obozy Specjalne (przymiotnik ten też nie przypadkiem został wybrany) — **SŁON\***. Pierwsze z tych obozów powstały w Pietrominsku, Chołmogo-

19. Dzieło zbiorowe, „*Od więzień...*”.

\* *Siewiernyje Łagieria Osobowo Naznaczienija*.

rach i tuż obok Archangielska<sup>20</sup>. Uznano jednak, jak widać, że w tych miejscowościach zbyt trudno ludzi upilnować i że w przyszłości nie będzie tu można osadzić wielkich mas więźniów. Zwierzchność więc w naturalny sposób zaszczyciła swoją uwagą sąsiednie Wyspy Sołowieckie. Założone już tam były podwaliny gospodarki, stały już kamienne budynki. Wyspy leżały w odległości dwudziestu-czterdziestu kilometrów od lądu — a więc wystarczająco blisko dla personelu więziennego, wystarczająco daleko dla uciekinierów, a nadto przez pół roku brak było łączności między wyspami a lądem — twardszy był to więc orzech, niż sam Sachalin.

Po zaprowadzeniu tych obozów Sołowieckich — w pamięci ludzkiej zatarł się już wszelki ślad wcześniejszych obozów pracy przymusowej — koncentracyjnych, czy nawet specjalnych! Bo Sołówki w latach 20-tych wcale nie były wstydliwie ukrywane, przeciwnie, wciąż o nich było głośno.

Sołówkami otwarcie ludzi straszono, otwarcie się też nimi chlubiono (trzeba było mieć odwagę!!). Stały się one nawet czymś symbolicznym. Estradowi kupceści dworowali sobie z nich, ile dusza zapagnie. Bo przecież klasy są w zaniku (a gdzież to znikają?) i na Sołówki niedługo już przyjdzie kryska. Pismo obozowe „Wyspy Sołowieckie” wolno było abonować bez przeszkód na całym obszarze ZSSR.

Ale korzenie obozów sięgały o wiele głębiej, tylko że śladów tych miejsc już nie pamiętamy. O większości pierwszych obozów koncentracyjnych nikt już nam nigdy nie opowie. Tylko grzebiąc w resztkach wspomnień tych, co nie wymarli, a niegdyś w pierwszych obozach siedzieli, można jeszcze coś odszukać i ocalić.

Władze bardzo wtedy lubiły urządzać obozy koncentracyjne w dawnych klasztorach: mocne, sklepione mury, solidne budynki — a wszystko stoi pustką (przecież zakonnicy, to nie ludzie, tak, czy owak musiało się ich wyrzucić). Tak więc w Moskwie obozy roztasowano w klasztorach: Andronikowskim, Nowospasskim, Iwanowskim. W piotrogradzkiej *Czerwonej gazecie* z 6 września 1918 czytamy, że pierwszy obóz koncentracyjny „zostanie założony w Niżnim Nowgorodzie, w opuszczonym klasztorze żeńskim... *Na początek* planuje się wysłanie do Niżnego Nowgorodu, do wymienionego obozu koncentracyjnego, 5 tysięcy ludzi” (kursywa moja — A. S.).

---

20. Pismo *Sołowieckije Ostrowa*, 1930, Nr 2-3, str. 55. Z referatu naczelnika USŁON — Ł. Nogtiewa, wygłoszonego w Kemi. Gdy teraz zwiedzającym pokazuje się przy ujściu Dźwiny Płn. tak zw. „obóz rządu Czajkowskiego” to trzeba wiedzieć, że to jest właśnie jeden z pierwszych północnych „obozów specjalnych”.

W Riazaniu obóz również urządzono w byłym żeńskim klasztorze (Kazańskim). Oto relacja o nim. Siedzieli tam kupcy, duchowni, „jeńcy wojenni” (tak nazywano byłych oficerów, którzy nie wstąpili do Armii Czerwonej). Ale byli też ludzie nieokreślonego stanu (tołstojowiec J. Je-w, którego sprawę już opisaliśmy, też tam się znalazł). Przy obozie istniały warsztaty — tkacki, krawiecki, szewski, oraz (w 1921 roku już taką nazwę nosiły) — „roboty ogólne”, polegające na pracach remontowych i budowlanych w samym mieście. Wyprowadzano ludzi pod eskortą, ale samodzielnych rzemieślników, zależnie od charakteru zlecenia, wypuszczano bez konwoju, dzięki czemu miejscowi mogli ich dokarmiać. Mieszkańcy Riazania odnosili się z dużym współczuciem do tzw. „*liszenników*” (oficjalnie zwano ich nie „więźniami”, lecz „skazanymi na karę pozbawienia wolności” — „*liszennyje swobody*”). Gdy prowadzono ich w szeregach, przechodnie nie żalowali jałmużny (sucharów, gotowanych buraków i kartofli), konwojenci zaś nie sprzeciwiali się temu i „*liszennicy*” dzielili się żywnością sprawiedliwie. (Co krok obserwujemy tu jeszcze obyczaje *nie nasze* i wpływy *nie naszej ideologii*). Ci, co mieli najwięcej szczęścia potrafili jakoś urządzić się w miejscowych przedsiębiorstwach — i otrzymywali wówczas przepustki, pozwalające im chodzić po mieście (na noc trzeba było jednak wracać do obozu).

Żywiono ich w obozie tak oto (1921 r.): pół funta chleba dziennie (plus drugie pół funta za wykonanie normy), rano i wieczorem — porcja wrzątku, w południe — chochła gorącej bryi (pływało w niej kilkadziesiąt ziaren kaszy i kartoflane oberki).

Rozrywek dostarczały — z jednej strony donosy prowokatorów (i związane z nimi aresztowania), z drugiej zaś — popisy kółka teatralnego i chóru. Dawano koncerty dla mieszkańców Riazania w sali byłego klubu szlacheckiego, obozowa orkiestra dęta grywała w parku miejskim. „*Liszennicy*” coraz bardziej żyli się z ludnością miejską, zacieśniały się znajomości, co wreszcie przybrało niedopuszczalne formy — i właśnie wtedy zaczęto „jeńców” wysyłać do obozów specjalnych na Dalekiej Północy.

Brak surowości i rygoru w praktyce obozów koncentracyjnych posłużył jako nauka na przyszłość, a brał się stąd, że dookoła obozów toczyło się w najlepsze normalne życie. Dlatego właśnie okazało się konieczne stworzenie specjalnych obozów na Północy. Koncentracyjne zaś — zniesione zostały w 1922 roku.

Ten brząsk ery obozowej zasługuje na to, aby przyjrzeć się lepiej zmianom jego odcieni. Chwała temu, kto podoła; my tu mamy w ręku same tylko okruchy.

Po zakończeniu wojny domowej, dwie armie pracy, stworzone przez Trockiego, trzeba było zdemobilizować z uwagi na protesty przetrzymywanych w szeregach żołnierzy. Ale fakt ten nie zmniejszył roli obozów w życiu RSFSR, przeciwnie. W końcu 1920 roku, w RSFSR były 84 obozy, rozmieszczone w 43 guberniach<sup>21</sup>. Jeśli dać wiarę oficjalnej (choć trzymanej w sekrecie) statystyce, to siedziało tam w tym czasie 25.336 osób, do której to liczby dodać trzeba 24.000 „jeńców” wziętych podczas wojny domowej<sup>22</sup>. Obie liczby, zwłaszcza ostatnia, wydają się sztucznie obniżone. Jeśli jednak wziąć pod uwagę, że — w rezultacie akcji — *rozładowania więzień*, topienia barek transportowych i innych sposobów masowej likwidacji — ten rachunek po wielokroć zaczynało od zera, to można uznać nawet te liczby za ścisłe.

Wedle tego samego źródła w październiku 1923 roku, już na początku sielankowej epoki NEP'u (i długo jeszcze przed *kultem jednostki*) siedziało: w 355 obozach — 68.297 osób pozbawionych wolności, w 207 domach poprawczych — 48.163 osób, w 105 zakładach karnych i więzieniach — 16.765, w 35 koloniach rolnych — 2.328, a ponadto — 1.041 osób niepełnoletnich i chorych<sup>23</sup>.

Istnieje jeszcze inna wymowna statystyka: dotyczy przepędzenia w obozach (organizacja sieci obozów nie nadążała za wzrostem liczby uwięzionych). Na 100 miejsc przypadało w 1924 roku — 112 więźniów, w 1925 — 120, w 1926 — 132, w 1927 — 177<sup>24</sup>. Kto sam kiedyś *siedział*, ten zaraz zrozumie, jak wyglądało życie codzienne w obozie (chodzi o miejsce na narach, miskę w stołówce, albo o przydział fufajki) jeśli na 1 miejsce przypadało 1,77 więźnia.

Rok rocznie wprowadzano nowe formy współżycia więźniów, szukając najlepszej: dla elementów mało niebezpiecznych, nie przejawiających wrogości politycznej — kolonie pracy, domy pracy poprawczej (od 1922 r.), domy poprawcze (od 1923 r.), domy pobytu przymusowego, domy pracy (od 1924 r.) i domy pracy dla małoletnich; dla elementów zaś politycznie obcych — więzienia izolacyjne (od 1922 r.), Izolatory Specjalne (dawne centralniaki, przysze TON'y) — poczynając od 1923 roku.

Twórcy tych nowych form uważali je za etapy śmiałej „walki z więziennym fetyszyzmem” panującym we wszystkich krajach,

---

21. Centralne Archiwum Państwowe Rewolucji Październikowej, zbiór akt Nr 393, faszcykuł 13, poszyt 1 w, arkusz 111.

22. *Ibidem*, arkusz 112.

23. *Ibidem*, faszcykuł 39, poszyt 48, arkusz — 13 i 14.

24. A. A. Herzenson, *Walka z przestępczością w RSFSR*, Moskwa, Jurdat, 1928, str. 103.

z carską Rosją na czele, i nie pozwalającym na wymyślenie niczego innego, prócz zwykłych więzień. („Rząd carski, który cały kraj przekształcił w jedno ogromne więzienie, z jakimś wyrażonym sadyzmem rozbudowywał swój system więzienny<sup>25</sup>”).

Na progu „okresu rekonstrukcji” (w roku 1927) „rola obozów — no, jak sądzicie? właśnie teraz po tylu sukcesach? — ... nabiera jeszcze większego znaczenia w walce z najbardziej wrogimi elementami, szkodnikami, kułakami, kontrrewolucyjnymi agitatorami<sup>26</sup>”.

A więc Archipelagu nie pochłoną morskie głębiny! Archipelag ma istnieć dalej!

Przed rokiem 1924 niewiele było na Archipelagu zwyczajnych kolonii pracy. Przeważały w tych latach *zamknięte* zakłady karne, zresztą ich ilość nie zmniejszy się też w latach następnych. (W referacie Krylenki z 1924 roku zawarte jest żądanie *zwiększenia* ilości izolatorów dla elementów niepracujących oraz dla *szczególnie niebezpiecznych przedstawicieli warstwy pracującej*, do której to kategorii zaliczono później samego Krylenkę. Ta jego formuła włączona została w całości do tekstu Kodeksu Pracy Poprawczej z 1924 roku).

Wyłanianiu się każdego archipelagu towarzyszą niedostrzegalne przesunięcia geologicznych warstw: z czasem dopiero ustala się kształt ostateczny. Także w tym wypadku zaszła cała seria przesunięć i zmian w nazewnictwie, których zwykłym rozumem prawie że nie sposób ogarnąć. Na początku panował pierwotny bałagan — zakłady karne znalazły się w gestii trzech resortów. Są to: Czeka (tow. Dzierżyński), NKWD (tow. Pietrowski), Komisariat Sprawiedliwości (tow. Kurski). W samym NKWD zajmuje się więzieniami to GUMZak (*Głównoje Uprawlenije Miest Zakluczenija*, czyli Centralny Zarząd Miejsc Odosobnienia — zaraz po Październiku 1917 roku), to znów GUPR (*Głównoje Uprawlenije Prinuditielnych Robot*, czyli Centralny Zarząd Robót Przymusowych), to znowu GUMZak<sup>27</sup>.

W Komisariacie Sprawiedliwości jest Zarząd Więzień (grudzień 1917), następnie — Centralny Wydział Kar (maj 1918) z całą siecią gubernialnych wydziałów kar, które organizowały sobie nawet zjazdy (wrzesień 1920): w 1921 roku nazwę tę zmieniono na miłszą dla ucha: Centralny Wydział Robót Poprawczych. Rozumie się, że takie rozdrobnienie kompetencji nie mogło

25. Dzieło zbiorowe, „*Od więzień...*”, str. 431.

26. I. L. Awerbach, *Od przestępstwa do pracy*, pod red. Wyszyńskiego, wyd. „Sowietskije zakonodatielstwo”, 1936 roku.

27. Podobnie, jak dzisiaj.

przysłużyć się sprawie karania i poprawy przestępców — toteż Dzierżyński wszczął starania o skupienie władzy w jednym ręku. Właśnie wtedy doszło do połączenia NKWD i Czeki, na co bynajmniej nie wszyscy zwrócili uwagę: w dniu 16 marca 1919 r. Dzierżyński, przewodniczący Czeki, został równocześnie Komisarzem Spraw Wewnętrznych. Zaś w 1922 roku zdołał wreszcie doprowadzić do objęcia przez NKWD wyłącznego nadzoru nad wszystkimi zakładami karnymi, które dotąd znajdowały się w gestii Komisariatu Sprawiedliwości (25. VI. 1922)<sup>28</sup>. W ten oto sposób GUMZ NKWD wciąż się rozrastał.

Równolegle trwała reorganizacja straży obozowej. Z początku były to oddziały WochR (*Wnutriennaja Ochrana Respubliki* — czyli oddziały Bezpieczeństwa Wewnętrznego), następnie — WNUS (*Wnutriennaja Służba*, tj. Służba Wewnętrzna), w 1919 zostały one połączone z korpusem wojsk Czeki<sup>29</sup>, a przewodniczącym ich naczelnego Wojensowietu został również Dzierżyński. (I nie bacząc na to, wcale na to nie bacząc, aż do 1924 powtarzały się skargi na częste wypadki dezercji na niski poziom dyscypliny w tych szeregach<sup>30</sup>. Zapewne — pili i bimbali sobie, byle pensja leciała...). Dopiero w czerwcu 1924 roku dekretem WCIK i Sownarkomu wprowadzone zostały w Korpusie Wartowniczym normy dyscypliny wojskowej, rekrutacja zaś odbywać się miała poprzez kanały Komisariatu Wojny<sup>31</sup>.

Ponadto — w 1922 roku tworzy się także Centralne Biuro Ewidencji i Daktyloskopii oraz Centralny Ośrodek Hodowli Psów służbowych i pościgowych.

Tymczasem GUMZ SSSR zostaje przemianowany na GUITU SSSR (*Głównoje Uprawlenie Isprawitelno-Trudowych Uczreżdienii*, tj. Główny Zarząd Zakładów Pracy Poprawczej), a następnie na GUIT OGPU (*Głównoje Uprawlenie Isprawitelno-Trudowych Łagierej OGPU* — tj. Zarząd Główny Obozów Pracy Poprawczej), a szef tej instytucji zostaje jednocześnie mianowany komendantem Wojsk Wartowniczych ZSSR.

Ile tu kłopotów i zabiegów! Ileż to schodów, gabinetów, szyldwachów, przepustek, stempli, tabliczek urzędowych!

GUITŁ zaś — syn GUMZaku, stał się właśnie ojcem naszego GUŁagu.

28. *Czasopismo Władza Rad*, 1923, Nr 1-2, str. 57.

29. *Włast' Sowietow*, 1919, Nr 11, str. 6-7.

30. Centralne Archiwum Państwowe Rewolucji Październikowej, zbiór akt nr 393, fascykuł 47, poszyt 89, arkusz 11.

31. *Ibidem*, fascykuł 53 poszyt 141, arkusze 1, 3, 4.

## Rozdział drugi

### ARCHIPELAG WYNURZA SIĘ Z ODMĘTÓW

Nad wodami Morza Białego, gdzie przez pół roku noce są białe, na Wielkiej Wyspie Sołowieckiej bieleją cerkiewki, opasane fortecznym murem z nieforemnych głazów, porudziały, bo je rdzawy mech pokrył — a szaro-białe sołowieckie mewy krążą ze skwirem nad twierdzą.

„Wydaje się, że w tej świetlistej przestrzeni nie ma miejsca na grzech... Przyroda tutejsza jakby jeszcze nie dojrzała do grzechu” — oto wrażenie jakie odniósł Michał Pryszwin, odwiedziwszy Wyspy Sołowieckie<sup>1</sup>.

Nie było nas jeszcze na świecie, gdy wyspy te wyłoniły się z morza, nie było nas, gdy dwieście rybnych jezior wypełniło ich zapadliny, nie było nas, gdy rozmnożyły się na nich głuszcze, zające i jelenie — lisów zaś, wilków, ani żadnych innych drapieżników nigdy tu nie było.

Ludowce skorupiały tu i znów topniały, granitowe głazy gromadziły się wokół jezior, jeziora zamarzały, gdy nadciągała sołowiecka noc zimowa, wyło morze, gdy wiał wichur i pokrywało się lodowym szutrem, albo i ścinało się całkiem; polarne zorze buzowały na pół nieba; znów robiło się jaśniej, znów nad-

---

1. Tylko zakonnicy wydali się temu pisarzowi jedynymi na Sołówkach istotami grzesznymi. Było to w roku 1908 i — ówczesnym liberalnym zwyczajem — nie sposób było mówić o duchowieństwie z sympatią. Nam zaś, znającym Archipelag z doświadczenia, ci braciszczowie chyba archaniołami się zdadzą. Mogąc zreć do syta, zakonnicy z pustelni Golgoty i Ukrzyżowania, nawet ryby, danie postne, jadali tylko od wielkiego święta. Mogąc wysypiać się do woli, czuwali nocami (w tej samej pustelni), przez całą dobę, przez okrągły rok, bez przerwy czytając psalterz i modląc się za dusze wszystkich prawosławnych chrześcijan, żywych i zmarłych.



ciągało ciepło, rosły i pęczniały świerkowe pnie, kwiliły i kwotały ptaki, ryczały młode jelenie — wirowała planeta, a z nią jej dzieje; królestwa upadały i znów powstawały, tu zaś wciąż nie było drapieżników i dalej nie było ludzi.

Czasami lądowali tu żeglarze z Nowgorodu i włączyli te wyspy do Obonieżskiego starostwa. Bywali tu również przybysze z Karelii. Pół wieku po bitwie na Kulikowym Polu, a pięćset lat przed powstaniem GPU, przeprawili się czółenką przez perłowe morze dwaj zakonnicy, Sawwatusz i Herman, a gdy przekonali się, że nie trzymają się na tej wyspie drapieżne zwierzęta, uznali ją za świętą. Oni też dali początek budowie klasztoru Sołowieckiego. Później wybudowano tu sobory Zaśnięcia Marii Panny i Przemienienia Pańskiego, cerkiew Ścięcia Jana Chrzciciela na górze Siekierskiej — i jeszcze dwadzieścia innych cerkwi, a nadto dwadzieścia kaplic, pustelnię Golgoty, pustelnię Troicką, pustelnię Sawwatijewską, pustelnię Muksalmską i samotnie dla eremitów, rozrzucone w znacznej odległości od klasztoru. Był to owoc wielkiej pracy — naprzód samych zakonników, później także klasztornych chłopów. Jeziora połączono dziesiątkami kanałów. Drewnianymi rurami popłynęła do klasztoru woda jeziorna. A nade wszystko — przegrodzono (w XIX wieku) rzekę Muksalmę tamą, złożoną z olbrzymich głazów, przedziwną sztuką ułożonych wpoprzek brodu. Nad Wielką i Małą Muksalmą paść się zaczęły trzody tucznego bydła; zakonnicy byli zamieszkanymi hodowcami zwierząt domowych i dzikich. Gleba sołowiecka okazała się nie tylko świętą, lecz również żyzną, zdolną do wykarmienia tysięcznych rzesz ludzkich<sup>2</sup>. W ogrodach warzywnych rosła biała, tęga, słodka kapusta (jej głąby nazywano „sołowieckimi jabłkami”). Wszystkie jarzyny mieli z własnej grządy, a przy tym — wszystkie dobrych gatunków, mieli też z własnych cieplarni wszystkie kwiaty, nawet róże. Łowili ryby — zarówno w morzu, jak w odciętych od morza „sadzawkach metropolity”. Z upływem lat i dziesięcioleci, dorobili się własnych młynów dla własnego ziarna, własnych tartaków, własnych naczyń z własnych garncarni, własnej małej huty, własnej kuźni, własnej intro-ligatorni i garbarni, własnej wozowni i nawet własnej elektrowni. I pięknie formowaną cegłę i nawet morskie barki dla własnych potrzeb — wszystko robili sami.

Jednakże w życiu społeczeństw żaden proces rozwojowy nie odbywał się dotąd, nie odbywa się dalej — i czy aby w przyszłości

---

2. Znawcy historii techniki powiadają, że Fiodor Kołyczew (ten sam, który ośmielił się sprzeciwić Iwanowi Groźnemu), w XVI wieku tak uwrocześnił technicznie rolnictwo Sołówek, że nawet po trzech stuleciach nikt by się tego nie powstydział.

się obejdzie? — bez towarzyszącego mu rozwoju myśli wojskowej i więziennej.

Myśl wojskowa. Toż nie można pozwolić, żeby jacyś opętani zakonnicy zwyczajnie sobie żyli na jakiejś zwyczajnej wyspie. Toć wyspa leży na granicy Wielkiego Imperium, które musi przecież wojować ze Szwedami, z Duńczykami, z Anglikami, trzeba więc zbudować twierdzą z murami ośmiometrowej grubości, i wznieść osiem baszt, i przebić w murach wąskie strzelnice, i zadbać o to, aby z dzwonnicy soboru można było prowadzić obserwację na wsze strony<sup>3</sup>.

Myśl więzienna. Jak dobrze się składa, że na tak odosobnionej wyspie wznoszą się już dobre, kamienne mury! Jest gdzie trzymać ważnych przestępców — jest też kogo prosić o pilnowanie tych ludzi. Nie zabrania się ratowania ich dusz, byle by ciała dobrze były strzeżone<sup>4</sup>.

Czy to miał na myśli Sawwatusz, kiedy lądował na świętej wyspie?

Wtrącano za te mury heretyków cerkiewnych, wtrącano też heretyków politycznych. Siedział tu (i umarł) ojciec Abraham Palicyn, siedział też wuj Puszkina, P. Hannibal za sprzyjanie dekabrystom. W sędziwym już wieku zesłano tu ostatniego atamana koszowego Siczy Zaporoskiej, Kolniczewskiego (daleki poprzednik Petlury?...), który po wielu latach więzienia wyszedł na wolność — jako starzec przeszło stuletni<sup>5</sup>.

Dodać trzeba, że na dzieje sołowieckiego więzienia klasztornego narzucono — już za sowieckich, obozowych czasów — woal modnej mitologii, która zdołała wprowadzić w błąd autorów przewodników i historycznych opracowań — toteż dziś w niejednej książce możemy przeczytać, że dawne sołowieckie więzienie było miejscem tortur; że stosowano tu i haki, i dyby, i batożenie, i przypiekanie ogniem. Ale wszystko to należało do repertuaru śledczych więzień przed wstąpieniem na tron carycy Elżbiety, córki Piotra Wielkiego, na Zachodzie zaś było w użyciu

---

3. Musiał jednak klasztor odeprzeć ataki Anglików w 1808 i w 1854, gdy zaś bronił się przed zwolennikami patriarchy Nikona w 1667, tylko zdrada mnicha Feoktista pozwoliła żołnierzom cara wdrzeć się przez tajny przełaz.

4. Iluż ludziom odebrała wiarę ta klasztorna symbioza chrześcijaństwa z kratami!

5. Więzienie stałe na Sołówkach istniało od 1718 roku. W 80-tych latach XIX wieku dowódca Sankt Petersburgskiego okręgu wojskowego Wielki Książę Włodzimierz Aleksandrowicz, po zwiedzeniu Sołówek uznał, że załoga wojskowa jest tam zupełnie zbędna i usunął wojsko z wysp. W roku 1903 więzienie sołowieckie zostało zlikwidowane. (A. S. Prugawin, *Więzienia przyklasztorne*, wyd. „Posrednik”, str. 78, 81).

za czasów inkwizycji, natomiast rosyjskie ciemnice klasztorne w ogóle tych rzeczy nie znały. Jest to owoc zmyśleń badacza nierzetelnego, a ponadto źle zorientowanego.

Starzy bywalcy tych obozów dobrze go pamiętają — był to szpik Iwanow, otrzymał w obozie przezwisko: „bakcył antyreligijny”. Był niegdyś służką cerkiewnym w Nowgorodskiej archidiecezji, aresztowany został za sprzedaż naczyń cerkiewnych Szwedom. Trafił na Sołówki w 1925 roku i tu zaczął miotać się, pragnąc uniknąć posłania na roboty ogólne, to jest na pewną zgubę. Stał się specjalistą od prowadzenia roboty antyreligijnej wśród więźniów, został, rzecz jasna, agentem I S Cz (*Informacionno-Sledstwiennoj Czast'*, czyli Oddział Śledczo-Informacyjny, tak to się całkiem otwarcie nazywało). Nie dość na tym: kierownictwo obozu przejęło się bardzo jego supozycją, że zakonnicy zakopali tu jakieś wielkie skarby — i w ten sposób powstała Komisja Wykopalisk, którą Iwanow kierował. Przez wiele miesięcy nic, tylko kopano i kopano — ale niestety, przewrotni mnisi pokrzyżowali psychologiczne domysły bakcyła antyreligijnego: żadnych skarbów na Sołówkach nie zakopali. Naówczas Iwanow, aby nie stracić twarzy wysunął tezę, że podziemne składy, piwnice i obronne kazamaty w istocie służyły jako cele oraz izby tortur. Narzędzia owych tortur nie mogły, rzecz jasna, zachować się przez tyle stuleci, ale na przykład hak (rzeźniczy, do mięsa) już był dowodem, że tu ludzi na hak przywozono. Trudniej było wytłumaczyć brak jakichkolwiek narzędzi tortur, pochodzących z XIX wieku — i dlatego ukuto formułę, wedle której „surowy reżym panujący w sołowieckim więzieniu został złagodzony dopiero na początku minionego wieku”. „Odkrycia” naszego bakcyła bardzo odpowiadały duchowi czasu, pocieszyły nieco rozczarowaną zwierzchność, ich opis zamieszczony został w piśmie *Sołowieckije ostrowa*, następnie opublikowany był osobno, nakładem drukarni sołowieckiej — i w ten oto sposób prawda historyczna została skutecznie zaćmiona. (Był to zabieg tym bardziej celowy, że kwitnący klasztor sołowiecki cieszył się przed rewolucją wielką sławą i poważany był jak Ruś długa i szeroka).

Ale gdy władzę ujęły w swoje ręce masy pracujące — trzeba było coś zrobić z zakonnikami, z tymi złośliwymi darmozjadami. Posłano więc komisarzy, personel kierowniczy całkowicie pewny z punktu widzenia socjalnego: klasztor uznany został za sowchoz, kazano mnichom mniej się modlić, a więcej pracować, żeby chłopci i robotnicy mieli jakąś korzyść. Zakonnicy nie żałowali rąk i te niezwykle smakowite śledzie, które potrafili łowić w sobie tylko znanych punktach i porach roku — szły potem do Moskwy prosto na kremłowskie stoły.

Jednakże zatrzesienie kosztowności nagromadzonych w klasztorze, zwłaszcza tam, gdzie przechowywano ornaty i naczynia liturgiczne, nie dawało spokoju temu i owemu z przybyłych naczelników i kontrolerów: zamiast przejść w ręce ludzi pracy (tzn. w *ich* ręce), skarby te marnowały się, pomnażając tylko martwy balast kultu. I wtedy to — niezupełnie może zgodnie z kodeksem karnym, ale za to w harmonii z panującą tendencją do wywłaszczania majątków, nie pracą rąk zdobytych — klasztor został podpalony (25 maja 1923 roku). Szkód doznały budynki, zniknęło wiele kosztowności ze skarbcza, przede wszystkim zaś spłonęły wszystkie księgi inwentarzowe, dzięki czemu nie można było już ustalić, co właściwie spłonęło i ile tego było<sup>6</sup>.

Nie trzeba było nawet żadnego śledztwa, wystarczyła rewolucyjna intuicja prawna (trzeba mieć nosa!) — bo i kto mógł być zainteresowany w spaleniu klasztornych zbiorów, jeśli nie czarna sfora mnisia? No to wygnąć ją wreszcie na stały ład, a na Wyspach Sołowieckich roztasować Północne Obozy Specjalne! Osiemdziesięcioletni, ba, stuletni nawet zakonnicy na kolanach błagali, aby pozwolono im umrzeć spokojnie na „świętej ziemi”, ale z proletariacką niezłomnością zostali wszyscy oni stąd wyrzuceni. Wyjątek zrobiono tylko dla tych, którzy byli tu absolutnie niezbędni; byli członkowie zespołu rybackiego<sup>7</sup>, hodowcy bydła z obór na Muksalmie, ojciec Metody — specjalista od kwaszenia kapusty, ojciec Samson, hutnik — i jeszcze paru innych tegoż pokroju. (Wyznaczono im — poza obrębem obozu — kącik wewnątrz murów sołowieckiego Kremla, z własną bramą zwaną Wrotami Śledziowymi. Nadano im nazwę i status *komuny pracy*, ale mając wzgląd na ich bezdenną ciemnotę — pozwolono im odprawiać modły w cmentarnej kaplicy św. Onufrego).

W ten sposób znalazło potwierdzenie jedno z najulubieńszych przysłów aresztanckich: dobre miejsce nie lubi być puste. Ucichły dzwony, pogasły lampki wotywnie i gromnice, nie słychać było już więcej ani mszy śpiewanych, ani całonocnych pień, nikt już nie mamrotał okrągłą dobę pacierzy, rozpadły się ikonostasy (w soborze Przemienienia Pańskiego ikonostas zachowano) — za to dzielni czekiści w długachnych szynelach do samej ziemi, ze specjalnymi, sołowieckimi czarnymi wyłogami i galonami, w czapkach bez gwiazdek na czarnym otoku, przybyli tu w 1923 roku,

---

6. Na ten pożar również powoływał się „bakeyl antyreligijny” tłumacząc dlaczego tak trudno teraz znaleźć dowody istnienia dawnych karcerów i narzędzi tortur.

7. Usunięto ich z Sołówek dopiero koło roku 1930, i natychmiast skończyły się dobre połowy: nikt więcej nie potrafił takich ławic śledziowych znaleźć w morzu. Zdawać się mogło, że całkiem zniknęły.

aby tworzyć wzorowo-surowy obóz, przedmiot dumy całej robotniczo-chłopskiej Republiki.

Jeszcze nie było wtedy formuł, ani instrukcji, określających co to właściwie znaczy *obóz specjalny*. Ale komendant sołowieckiego obozu, Eichmans, otrzymał, oczywiście, ustne wyjaśnienia na Łubiance. I po przyjeździe na wyspy oświecił odpowiednio swoich najbliższych pomocników.



W latach sześćdziesiątych trudno zadziwić opowieściami o Sołówkach byłych zeków a nawet po prostu — naszych współczesnych. Ale niech czytelnik wyobrazi sobie, że żył i rósł w Rosji czechowskiej, w Srebrnym Wieku naszej kultury, jak nazywano okolice roku 1910, że wychował się w tej epoce, że owszem, przeżył szok wojny domowej, ale przecież przyzwyczajony jest do przyjętych wówczas dań, ubiorów, stylu rozmów — i niechże teraz znajdzie się na przedprożu Sołówek, w Kempierpunkcie<sup>8</sup>. Jest to punkt zborny Kemi na ponurej, ogołoconej z drzew i krzaków Popiej wyspie, połączonej groblą ze stałym lądem. Pierwszą rzeczą, która rzuca się przybyszowi w oczy na tym brudnym, gołym wygonie, jest kompania (więźniowie dzieleni byli wtedy na kompanie, „brygada” nie została jeszcze odkryta) aresztantów, odbywających tu kwarantannę, a odzianych... w *worki!* — tak, w zwykłe worki: nogi wystają jak spod spódnicy, dla głowy zaś i dla rąk porobione są dziury (komu by to przyszło do głowy — ale rosyjska przemyślność na wszystko znajdzie sposób!). Nowicjusz może obejść się bez worka, póki ma jeszcze własne szmatki, ale jeszcze tych worków nie zdążył obejrzeć, a już sam wpadł w oko byłemu rotmistrzowi, legendarnemu Kuryłce.

Kuryłko (zastępca jego był Bezborodow) pojawia się przed frontem nowoprzybyłych w długim, czekistowskim szynelu z budzącymi strach czarnymi wyłogami, dziwacznie odcinającymi się od starego, rosyjskiego sołdackiego sukna; to niejako przedsmak żałoby. Wskazuje na beczkę, albo inny podobny piedestał i z punktu daje upust zaskakującej, dzikiej wściekłości: „Eej! Baczość! Tu się zaczyna nie republika sowiecka, tylko sołowiecka! Zapamiętać mi, że żaden prokurator nigdy jeszcze nie postawił nogi na sołowieckiej ziemi! — i nie postawi! Wiedźcie, że przysłano was tu NIE dla żadnej poprawy! Garbaty dopiero

8. Kemski etapowy (*pieresylnyj*) punkt. Po fińsku miejscowość ta zwie się Wegeraksza, tj. „gniazdo wiedźm”.

w grobie się wyprostuje! A porządki u nas są takie: jak każę 'powstań!' — to staniesz, a jak każę 'padnij!' — to padniesz!! W listach do domu tylko tyle pisać, że żywy, zdrowy, zadowolony! I kropka!...”.

Oniemiali ze zdumienia słuchają tego byli dostojnicy, stołeczni inteligenci, księża, mahometańscy duchowni i ciemni chłopci z Azji Środkowej — nikt z nich nigdy niczego podobnego nie widział, nie czytał, nie słyszał. A Kuryłko, o którym jakoś nie było słyhać podczas wojny domowej, ale który teraz takim właśnie historycznym powitaniem wpisuje swoje imię do rosyjskich kronik, wciąż jeszcze sam sobie podbija bębenka każdym własnym celnym okrzykiem i zwrotem, a coraz to nowe perełki same mu się z ust sypią.

Tak się sobą lubując i tokując (a w duszy — złośliwa uciecha: gdzieście to bywali, fircyki, kiedy myśmy wojowali z bolszewikami? Myśleliście, że schowacie się w mysiej norze? No to was właśnie z niej wyciągnięto i teraz tu jesteście! Macie teraz zapłatę za tę swoją gówniarską neutralność! A my z bolszewikami za pan brat, bo znamy się na rzeczy!) — Kuryłko zaczyna musztrę:

— Czołem, pierwsza kompania kwarantanny!... Wróć, jeszcze raz! Czołem, pierwsza kompania!... Wróć!... Macie tak krzyknąć „czo!...”, żeby na Sołówkach, po drugiej stronie wody, było słyhać! Jak dwustu ludzi krzyknie, to mury mają się walić!!! Jeszcze raz! Czołem, pierwsza kompania!

Zadbawszy, aby wszyscy krzyczeli zgodnym chórem i żeby zmęczeni własnym krzykiem, walili się z nóg, Kuryłko zaczyna następujący etap ćwiczeń — bieg całej kompanii dookoła słupa:

— Nóżki wyżej! Nóżki wyżej!

Już mu samemu ciężko, już sam pan rotmistrz czuje się jak tragiczny w piątym akcie przed ostatnim morderstwem. Padającym z nóg, albo już leżącym, rozciągniętym na ziemi ludziom w ostatnim wrzasku półgodzinnej musztry dorzuca jeszcze zapowiedź esencji sołowieckiego losu:

— Smarki trupie zreć u mnie będziecie!

To tylko pierwszy trening, żeby nadłamać wolę nowoprzybyłych. A w cuchnącym baraku ze zbutwiałych, czarnych desek każą im teraz „spać na własnych żeberkach”, chyba że blokowy za łapówkę pozwoli się komuś położyć na narach. Bo pozostali całą noc będą musieli s t a ć oparci o nary (kto zaś zasłużył na karę, ten dostanie miejsce między kibelem a ścianą).

A wszystko to — w błogosławionych czasach przed wszelkimi tam przełomami, kultami, błędami i wypaczeniami, w Tysiąc

Dziewięćset Dwudziestym Trzecim, Dwudziestym Piątym... (A po 1927 — wprowadzą jeszcze innowację — na narach leżeć już będą *urki*, knajacy pstrykając własnymi wszami w stojących inteligentów).

Czekając na parostatek „Gleb Bokij”<sup>9</sup> będą oni jeszcze pracować w kemskim zborniaku. Komuś z nich na pewno każą biegać dookoła słupa i krzyzczyć bez przerwy: „Jestem bumelant, sam nie pracuję i przeszkadzam innym!”, a jakiegoś inżyniera, co upadł wynosząc kibel i ochlapał się, nie wpuszczą do baraku, tylko zostawią na dworze, żeby wśród nieczystości zamarznął. Później konwojenci krzykną: „Nie wolno zwalniać kroku! Eskorta strzela bez uprzedzenia! Marsz!” A później, poszczekując zamkami karabinów: „Co, chcecie nerwy nam szarpać?” — i popędzą ich po lodowych polach na pieczętę, z czółnami, które trzeba wlec za sobą, żeby przeprować się przez miejsca podeszłe wodą. Tam, gdzie lód się kończy — załadują ich na parostatek i tyłu ich upchną, że w drodze na Sołówki na pewno kilku udusi się z braku powietrza, nie ujrawszy wcale śnieżnobiałego klasztoru, opasanego burymi murami.

Stawiając pierwsze kroki na Sołówkach nowicjusz może na własnej skórze poznać, jak tu się płaci frycowe przy wstępny myciu w łaźni: ledwie zdążył się rozebrać, a już pierwszy łaźnibny macza kwacz w baryłce z szarym mydłem i ochlapuje nim nowego; drugi łaźnibny kopniakiem strąca go w dół po zjeżdżalni albo i po schodach; tam w dole, ktoś trzeci przywraca niešťczęśnikowi przytomność zimną wodą z kubła, a jakiś czwarty wypycha go do szatni, gdzie jego gałgany leżą już, byle jak rzucone z górnego piętra. (W tym żarciku widać już jak na dłoni cały przyszły GUŁag! i tempo jego obrotów — i wartość przypisywaną człowiekowi, który się dostał w tryby).

Taki oto jest pierwszy haust sołowieckiego ducha! — ducha, jeszcze w reszcie kraju nieznanego, ale właśnie na Sołówkach urabianego na miarę przyszłego Archipelagu.

Tu również nowicjusz widzi ludzi w workach, a także w zwykłej „wolnej” odzieży, u jednych nowej, u innych — już złachmianionej; albo w osobliwych, sołowieckich krótkich kurtach z materiału na szynele wojskowe (to już przywilej, oznaka wysokiej pozycji w hierarchii więźniarskiej, jest to ubiór pracowników

9. Na cześć przewodniczącego moskiewskiej trójki OGPU, niedouczonego młokosa:

*„On był górnikiem, był też studentem,  
lecz egzaminy były mu wstrętne...”*

(z epigramatu, zamieszczonego w piśmie *Sołowieckije Ostrowa*, 1929, nr 1. Cenzura była jeszcze głupia i nie rozumiała, co przepuszcza).



obozowej administracji), z czapkami — „sołowczankami” z takiegoż sukna; i nagle widzi pośród więźniów człowieka we... fraku! — co nikogo nie dziwi, nikt się za nim nie odwraca, ani się nie śmieje. (Przecież każdy donasza swoje łachy. Tego nieszczęsnika aresztowano w restauracji „Metropol”, więc odsiaduje wyrok — we fraku).

„Marzeniem wielu więźniów” — zdaniem pisma *Sołowieckije Ostrowa*<sup>10</sup> jest przydział standartowej odzieży<sup>11</sup>. Tylko kolonia dla małoletnich zaopatrzona jest kompletnie w te sorty. A na przykład kobietom nie wydaje się ani bielizny, ani pończoch, ani nawet chustek na głowę — złapano kumę w letniej sukni, niech więc tak sobie chodzi przez całą podbiegunową zimę. Dlatego wiele więźniarek siedzi w barakach w samej bieliznie i do pracy nikt ich nie wygania.

Odzież z przydziału tak jest na Sołówkach ceniona, że nikt się nie dziwi widząc taką scenkę: podczas mroźnej zimy jakiś więzień pod murem twierdzy rozbiera się do naga i zzuwa buty. Oddaje sztuka po sztuce całe swoje umundurowanie i na golasa biegnie ze dwieście metrów do zebranej tam grupy ludzi, gdzie znów zostaje przyodziany. Chodzi o to, że zarząd twierdzy przekazał tego człowieka zarządowi filimonowskiej linii kolejowej<sup>12</sup>. Jeżeli przekazano by go w ubraniu, to nowi gospodarze gotowi by nie zwrócić sortów, albo je podstępnie zamienić.

A oto inna scenka zimowa. Objaw tych samych obyczajów, chociaż przyczyna jest inna. Ktoś doszedł do wniosku, że lazaret obozu jest w stanie urągającym higienie, wydano więc rozkaz, by natychmiast go wydezynfekować i wyszorować wrzątkiem. Ale co robić z chorymi? Wszystkie budynki wewnątrz Kremla są przepełnione, cyfry gęstości zaludnienia na sołowieckim archipelagu wyższe są, niż w Belgii (— a co dopiero dzieje się w tu-tejszym Kremlu?). Wobec tego wszystkich chorych wynoszą na kocach i kładą na śniegu. Trwa to trzy godziny. Wnoszą ich dopiero po zakończeniu szorowania.

Nie zapominajmy, że nasz nowicjusz jest dziecięciem Srebr-

---

10. 1930, Nr 1.

11. Wszystkie wartości z czasem ulegają przewartościowaniu — i to co uważano za przywilej w Obozie Specjalnym lat 20-tych — mianowicie noszenie ubiorów z przydziału — stanie się przykrym przymusem w Specobozie lat 40-tych: tam uważać będziemy za przywilej noszenie nie państwowych łachów, tylko jakichś tam własnych, niechby to była nawet czapka. Nie trzeba szukać przyczyn tylko w ekonomii, to falowanie nastrojów epoki: ideałem jednego dziesięciolecia jest zlanie się z Ogółem; w następnej dekadzie ludzie pragną możliwie różnić się od Ogółu.

12. Przeniesiono tu tory kolejki Stara Russa-Nowgorod.

nego Wieku. Niczego jeszcze nie wie, ani o Drugiej Wojnie Światowej, ani o Buchenwaldzie! Zauważył, że blokowi w sukienkach kurtach biją w dach w najlepszym wojskowym stylu na widok kolegi lub dowódcy kompanii — i że ci sami ludzie poganiają swoich podwładnych-więźniów długimi pałami, zwanymi *dryn* (stąd też wywodził się znany wszystkim czasownik: *drynować*). Widzą też, że sanie albo wóz ciągną tu nie konie, lecz ludzie (kilku naraz idzie w zaprzęgu); stąd też pojęcie *p.o. konia*.

Od innych zaś wyspiarzy dowie się nowicjusz rzeczy okropniejszych niż te, które sam zdoła zauważyć. Usłyszy straszne słowo: *Siekierka*. Tak nazywają górę Siekierską. W dwukondygnacyjnym soborze zainstalowano tam karcer. Karcer tak jest urządzony: od ściany do ściany idą tam na poprzek żerdzie grube jak ramię. Ukarani karcerem więźniowie muszą cały dzień siedzieć na tych żerdziach. (Na noc wolno kłaść się na ziemi, ale jeden na drugim, bo przepełnienie). Żerdzie umieszczone są tak wysoko, że nogami człowiek nie sięga do podłogi. Nie tak łatwo zachować równowagę, przez cały dzień ukarany wysila się, żeby nie spaść. Jeżeli zaś zleci na ziemię — strażnicy zaraz podbiegają i biją, ile wlezie. Albo też wyprowadzają go na dwór, do schodów które mają 365 stopni (od soboru do jeziora, zakonnicy je zbudowali); przywiązują człowieka na całą długość do grubego, ciężkiego polana — i strącają w dół (ani jednej platformy po drodze, a schody tak są strome, że związany człowiek nigdzie się na nich nie zatrzyma).

No, ale żeby sadzać ludzi na żerdkach, nie trzeba Siekierki, żerdzie są też w kremlowskim karcerze, zawsze przepełnionym. Albo stawia się więźnia na głazie o ostrych krawędziach; też na czymś takim długo się nie ustoi. A latem — posyłają „na pieńki” — to znaczy gołego zostawiają komarom na żer. Ukarany w ten sposób musi mieć strażnika za towarzysza; jeśli jednak przywiązać takiego golasa do pieńka, to komary same sobie dadzą radę. A jeszcze — każą całej kompanii kłaść się na śniegu, jeśli kto zawinił. Albo jeszcze — zapędzają człowieka w bagna nad jeziorem, aż pograży się po szyję i tak mu stać każą. Jest też taki sposób: na konia nakłada się samo tylko chomąto z orczykami, do orczyków przywiązuje się człowieka za nogi, strażnik wskazuje na konia i dalejże harcować po leśnej porębie, dopóty, dopóki jęki i krzyki włóczęgo nie ucichną.

Nowicjusz upada na duchu zanim jeszcze zdąży wejść na serio w sołowieckie życie i zacząć swoje bezkresne trzy lata odsiadki. Ale współczesny czytelnik grubo by się pomylił wycią-

gając przedwcześnie oskarżycielski palec: oto właśnie system zagłady, to jest obóz śmierci! E, to nie takie proste! W tej pierwszej zonie, eksperymentalnej, jak zresztą w następnej, a nawet w ostatniej — największej ze wszystkich — zonie GUŁagu, nie działamy wcale otwartym chwytem, stosujemy system wielowarstwowy — i dlatego tyle mamy sukcesów, dlatego to trwa tak długo.

Wyjeżdża ci nagle z kremlowskich wrót jakiś zawadiaka wierzchem na koźle, jeździ na nim z miną dostojnika, i nikt się jakoś z niego nie śmieje. Kto zacz? Dlaczego na koźle? To Diegtiariew, ex-kowboj<sup>13</sup>. Zażądał konia do dyspozycji, ale koni na Sołówkach za mało, więc dano mu koźła. A za co mu się ten honor należy? — Dlatego, że kowboj? Ależ skąd — za to, że jest kierownikiem Stacji Dendrologicznej. Hoduje się tam drzewa egzotyczne. Tu, na Sołówkach.

Ten jeździec na koźle niech będzie pierwszą postacią ze świata sołowieckiej fantastyki. Na co komu egzotyczne rośliny na Sołówkach, gdzie zwyczajne, racjonalnie prowadzone przez mnichów warzywniki już uległy zniszczeniu, gdzie już brak jarzyn? Otóż drzewa egzotyczne za Kołem Podbiegunowym są tu dlatego, że Sołówki, podobnie jak cała Republika Sowiecka chcą aby cały świat uległ przemianie, chcą nadać życiu nowy kształt. Ale skąd nasiona, środki? Ano właśnie: na rozsady dla Stacji Dendrologicznej pieniędzy nie brak, nie ma ich za to na żywność dla drwali (bo żywi się tu ludzi jeszcze nie według normy — tylko proporcjonalnie do posiadanych środków).

Albo te poszukiwania archeologiczne? Owszem, mamy tu Komisję Wykopalisk. Bo pragniemy wiedzieć wszystko o naszych dziejach.

Przed komendą obozu — klomb, widnieje na nim sympatyczny słoń: czaprak jego zdobi litera „U” — razem to znaczy U-SŁON (*Uprawnienie Sołowieckich Łagieriej Osobowo Naznaczenia*, czyli zarząd Sołowieckich Obozów Specjalnych). Ten sam rebus — na sołowieckich bonach, pełniących rolę pieniędzy w tym borealnym państwie. Jaka milutka, rodzinna maskarada! Więc wszystko tu jednak takie sympatyczne, błazen — Kuryłko chciał nas tylko przestraszyć? Jest też własne czasopismo — również „Słoń” się zowie (wychodzi od 1924 roku, pierwsze numery pisane są jeszcze na maszynie, poczynając od 9-go tłoczone są w klasztornej drukarni); od roku 1925 istnieje pismo „Sołowieckije Ostrowa”, które ma z początku nakład 200 egzemplarzy

13. Nie mylić z wolniakiem — Diegtiariewem, dowódcą garnizonu wysp łowieckich.

i dysponuje nawet dodatkiem — gazetką *Nowyje Sołówki* (precz z przeklętą klerykalną przeszłością!). Począwszy od 1926 roku można w całym kraju pismo to abonować, więc nakład rośnie, prawdziwy sukces<sup>14</sup>! I cenzuruje się to pismo w pobłażliwy raczej sposób: więźniowie (Głubokowski) piszą humorystyczne wierszyki o Trójce GPU — i jakoś cenzura je przepuszcza! I później śpiewane są te strofki z estrady sołowieckiego teatryku prosto w twarz przybyłemu właśnie Glebowi Bokijowi:

*Obiecali nam podarków wór  
Bokij, Feldman, Wasiliew i Wul...  
Obiecali nam prezent na Wilię  
Bokij, Feldman, Wul i Wasiliew...*

i panowie władza okazują zadowolenie! (Bo też czują się mile połączani! Szkół człowiek nie ukończył, a tu już go uwiecznili). I refren:

*Wszystkich, co nas uraczyli Sołówkami  
Zapraszamy: przyjeżdżajcie tutaj sami!  
Posiedzicie na Sołówkach ze trzy latka  
A ręcymy, że was szczery zachwył zatka!*

— i pękają ze śmiechu! (Kto by się domyślił w tych słowach przepowiedni?...).

Zuchwalec Szepczyński, syn rozstrzelanego generała, wywieślił wtedy nad głównymi wrotami takie hasło:

*„Sołówki — masom pracującym miast i wsi!”*

(To również przepowiednia! Ale to już uznania nie znalazło, poszli po rozum do głowy i kazali transparent zdjąć).

Członkowie trupy teatralnej noszą kostiumy uszyte z cerkiewnych ornatów. Sztuka „Huczą szyny”\*. Na scenie — pary podrygujące w łamańcach fokstrota (gnijący Zachód) — i zwycięska czerwień kuźni, wymalowanej na dekoracji (to My).

Kraj z fantastycznej opowieści! Nie, chyba żartował ten łobuz Kuryłko!...

14. I zaraz to się skończyło: logika reżymu uczyła, że nie ma żartów. W 1929 roku po dużej ruchawce na Sołówkach i po przestawieniu całej sieci obozów na system reedukacyjny, pismo znów zaczęło wychodzić i ukazywało się aż do roku 1932.

\* Sztuka dramaturga sowieckiego W. M. Kirszona (1902-1938, zginął w obozie), jednego z przywódców RAPP. Pierwsza z serii sztuk poświęconych pięciolatkom.

Istnieje również Sołowieckie Towarzystwo Krajoznawcze, publikuje nawet sprawozdania ze swych badań. O jedynej w swoim rodzaju architekturze XVI wieku i o sołowieckiej faunie piszą tu tak gruntownie, z tak pełnym pokory oddaniem, że ma się wrażenie, iż to jacyś zdziwaczali uczeni, nic lepszego nie mając do roboty, przybyli na te wyspy, powodowani li-tylko pasją naukową, że to wcale nie więźniowie, już po Łubiance, drżący ze strachu, że posłą ich na Siekierską górę, oddadzą komarom na żer, albo włóczyć będą końmi. Zresztą, jakby na osłodę dla dobrodusznym krajoznawców, zwierzęta i ptaki jeszcze na Sołówkach nie wyginęły, nie są wystrzelane, wygnane, nawet nie wystraszone. Jeszcze w 28-ym roku zające ufną gromadką wyłazą na sam skraj drogi i z ciekawością gapią się jak aresztanci idą pod konwojem na Anzer.

Jak to się stało, że zające się uchowały? Nowicjusz dowiadyje się, że zwierzęta i ptaszki nie boją się tu niczego, bo w GPU obowiązuje zasada: „oszczędzać pociski! Strzelać wyłącznie do więźniów!”.

A więc to były tylko żarty, chciano im tylko napędzić strachu! Ale nagle rozlega się okrzyk: „Rozejść się! Rozejść się!” — a rzecz dzieje się w biały dzień, na podwórku twierdzy, zatłoczonym, jak Newski Prospekt. Trzech młodych chłystków z twarzami narkomanów (pierwszy z nich rozgania tłum nie *drynem*, lecz szpicrutą) — kroczy pośpiesznie, wlokąc pod łokcie opadłego z sił człowieka o sflaczałych rękach i nogach: ma na sobie tylko bieliznę i strach popatrzeć na jego twarz, topniejącą jak sople! — a wloką go *pod dzwonicę*. Pod łukowatym sklepieniem są niziutkie drzwiczki w podmurówce wieży. Wychają go tam i jeszcze na progu strzelają mu w kark — są tam dalej strome schodki do loszku, człowiek spada i można w ten sposób natłuc nawet 7-8 sztuk a potem dopiero kazać komuś zwłoki wydygować hurtem i posłać do szorowania tych schodów kobiety — matki i żony takich co to uciekli do Konstantynopola, albo religijne, co nie chciały zaprzeczyć się wiary i nie dały oderwać od niej dzieci<sup>15</sup>.

Jakto, nie można by tego robić nocą, po cichu? Po cichu? Niby po co? To marnowanie kul. Za dnia, w ciżbie — kula ma swoją funkcję wychowawczą. Jedną taką kulą — to jakbyś dziecięciu naraz położył.

---

15. A teraz, na kamieniach po których wleczono ludzi, w tym zakątku podwórca gdzie sołowiecki wiatr nie dokucza, rozochoconi wycieczkowicze, zwiedzający legendarną wyspę, godzinami rzną w siatkówkę. Nic nie wiedzą. A gdyby wiedzieli, to co? Tak samo by rznąli.

Była też inna metoda rozstrzeliwania — wprost na cmentarzu przy kaplicy św. Onufrego, za barakiem kobiecym (byłym domem zajezdnym dla pątniczek) — i droga obok tego baraku nosiła właśnie nazwę *egzekucyjnej*. Można było nieraz zobaczyć na niej zimą człowieka prowadzonego bez butów, w samej bieliznie (to nie szykana! to po to, by nie marnować obuwia i sortów!) z rękoma skrzepowanymi drutem z tyłu<sup>16</sup> — a skazaniec dumnie wyprostowany, samymi wargami, bez pomocy rąk pali swego ostatniego w życiu papierosa. (Po tych manierach poznać oficera. Są tu przecież ludzie, którzy siedem lat spędzili na różnych frontach. Tu osiemnastoletni chłopak, syn historyka W. A. Potto, zapytany przez kierownika robót o zawód, odpowiada ze wzruszeniem ramion: „Celowniczy cekaemu”. Nie zdążył zdobyć innego zawodu w swoim szczenięcym wieku, pośród pożaru wojny domowej).

Fantastyczny świat! Rzadko zdarza się zbieg takich okoliczności. Wiele rzeczy w historii się powtarza, ale zdarzają się też kombinacje zupełnie niepowtarzalne, krótkotrwałe i związane z wyjątkowymi warunkami miejscowymi. Taki był nasz NEP. Dotyczy to też Sołówek w latach ich pierwszej młodości.

Bardzo niewielka liczba czekistów (też chyba posłanych tu w trybie na poły karnym), wszystkiego 20-40 ludzi, ma utrzymać w ryzach tysiączne, wielotysięczne rzesze. (Z początku spodziewano się mniejszych kontyngentów, ale Moskwa wciąż dosyłała, dosyłała, dosyłała. W ciągu pierwszego półrocza, w grudniu 1923 roku było już tu 2.000 więźniów. A w 1928, w samej tylko 13-tej kompanii (roboty ogólne) skrzydłowy pierwszego szeregu przy apelu wykrzykiwał „376! dziesięć szeregów!”, wszystkiego było więc w tej kompanii 3760 ludzi, wcale nie mniej — w kompanii 12-tej, a najwięcej w tzw. „17-tej kompanii” — czyli w wspólnych dołach na cmentarzu. Poza twierdzą pracowano też „na delegacji” w punktach Sawwatiewo, Filimonowo, Muksalna, Troickaja i na „Zajęczkach” (Wyspy Zajęcze). W 1928 roku było tu koło 60.000 więźniów). Ilu też było wśród nich „celowniczych” i żołnierzy z powołania? A poczynając od 1926 pełno tu już było zawodowych kryminalistów wszelkiego rodzaju. I jak tu zapobiec w tych warunkach buntom?

Tylko budząc świętą zgrozę! Tylko Siekierka! Żerdki! Kometry! Włóczenie po karczowisku! Rozwałka w biały dzień! Moskwa śle transporty, nie licząc się z lokalnymi kadrami — al:

---

16. Sołowiecki sposób: Czy to nie dziwne że tak samo związane był ręce trupów znalezionych w Katyniu? Ktoś tu sobie przypomniał — tradycję? Czy może swoje osobiste doświadczenie?

Moskwa też nie krępuje swoich czekistów żadnymi obłudnymi przepisami: wszystko, co robią dla utrzymania ładu — jest godne uznania i istotnie żaden prokurator nie dotknął stopą sołowieckiej ziemi.

A po wtóre — woal dziergany błyskotkami: era równości — i Nowe Sołówki! Więźniowie sami się dozoruja! Jedni drugich wychowuja! Jedni drugich kontroluja! Szefowie kompanii, plutonów, drużyn — sami swoi! Samoobstuga artystyczno-rozrywkowa!

A za tym strachem i za tym szychem — co to za ludzie? Co za jedni? Stara arystokracja. Kadrowi oficerowie. Filozofowie. Uчени. Malarze. Artyści. Wychowankowie Liceum w Carskim Siole<sup>17</sup>. Wychowanie i tradycja wpoily im zbyt wiele dumy, aby mogli okazywać teraz przygnębienie, lub strach: nie lamentują, nie skarżą się na zły los nawet przyjaciółom. Należy do dobrego tonu, aby przyjmować wszystko z uśmiechem, nawet gdy człowieka prowadzą na rozwałkę. Tak zgoda, jakby całe to polarne, zagubione wśród fal więzienie było jakimś niefortunnym epizodem podczas pikniku. Trzeba być dowcipnym. I drwić z tych, co więzienia pilnuja.

Stąd ten słoń na bonach i na klombie. Albo ten kozioł zamiast konia. I jeśli 7-ma kompania nosi nazwę artystycznej, to szefem musi być Kunst\*. Jeśli ktoś nazywa się Berry-Jagoda, to każą mu kierować suszarnią leśnych jagód. Stąd też przekomarzenie się z prostaczkami — cenzorami sołowieckich publikacji. Stąd piosenki. G. M. Osorgin powtarza z uśmiechem: *A lager comme à lager!*

(Właśnie ta skłonność do żarcików, to podkreślanie arysto-

---

17. Oto garstka nazwisk jakie zachowały się w pamięci tych współwięźniów, którzy zdołali ocaleć: Szyrynskaja-Szachmatowa, Szachowskaja, Fitztum, I. S. Delwig, Bagratuni, Assocjani-Erisow, Gaucheron de la Fosse, Sievers, G. M. Osorgin, Klodt, N. N. Bachruszyn, Aksakow, Komarowski, P. M. Wojekow, Wadboldski, Wonlarlarski, W. Lewaszow, O. W. Wołkow, W. Łozino-Łozinski, D. Gudowicz, Taube, W. S. Muromcew. Były leader partii konstytucyjnych demokratów Niekrasow (czy to aby ten sam?). Profesor ekonomii Ozierow. Profesor prawa A. B. Borodin. Profesor psychologii A. P. Suchanow. Filozofowie — prof. A. A. Meyer, prof. S. A. Askoldow, J. N. Danzas, teozof Moebius. Historycy — N. P. Ancifierow, M. D. Prisiełkow, G. O. Gordon, A. J. Zaoziarski, P. G. Wasijenko. Literaturoznawcy — D. S. Lichaczew, Cejtlin, lingwista I. J. Aniczkow, orientalistka — N. W. Pigulewskaja. Ornitolog G. Polakow. Artyści malarze — Braz, P. F. Smortricki. Aktorzy — I. D. Kaługin (z Teatru Aleksandrinskiego), B. Głubokowski. W. J. Kolenko (bratanek pisarza). W latach 30-tych, w ostatnim okresie istnienia tego obozu, siedział tu również ojciec Paweł A. Florenski, teolog i myśliciel.

\* Sztuka (po niemiecku).



kratycznej niezależności duchowej — najbardziej drażni półbydła z sołowieckiej straży. I oto któregoś dnia Osorgin dowiadyduje się, że ma zostać rozstrzelany. Tegoż dnia przybyła na Sołówki jego młoda (on też nie przekroczył jeszcze czterdziestki) żona. I Osorgin prosi nadzorców, aby nie psuli żonie nastroju podczas widzenia. Przyrzeka, że nie pozwoli żonie być tu dłużej, niż trzy dni — toć zdążą go rozstrzelać zaraz po jej odjeździe. I oto czym jest sztuka panowania nad sobą, którą przekleliśmy wraz z całym arystokratycznym sposobem bycia, umiając teraz tylko skompleć przy lada jakim kłopotcie czy bólu: trzy dni, bez chwili przerwy, spędził ten człowiek z żoną i sprawił, że niczego się nie domyśliła! Ani jednej aluzji! ani jednego akcentu depresji! ani jednego mrocznego spojrzenia! Raz tylko (żona Osorgina dotąd wszystko to pamięta), podczas spaceru brzegiem jeziora Świętego, obejrzała się nagle i zobaczyła, jak mąż ściska głowę gestem udręki. „Co ci jest?” — „Nic takiego” — i zaraz się uśmiechnął. Miała prawo zostać z nim dłużej ale uprosił ją, by wróciła na ład. Gdy parowiec odbijał od mola — Osorgin już rozbrajał się przed egzekucją).

Ale w końcu ktoś dał im te trzy dni w darze. Te trzy skaznicze dni Osorgina, jak zresztą inne podobne wypadki, są dowodem, że reżym sołowiecki nie był jeszcze zakuty w pancerny system. Ma się wrażenie, że na sołowiecką atmosferę składała się dziwna mieszanka skrajnego okrucieństwa z niemal dobrodusznym niezdawaniem sobie sprawy — w którą stronę wiał wiatr? jakie z pędów sołowieckich rozrosną się bujnie na wielkim Archipelagu, jakim zaś pisane jest, że już tutaj uschną? Mimo wszystko, nie mieli jeszcze ci wyspiarze wrażenia, że oto zapłonęły tu już piece polarnego Oświecienia i że w tych czeluściach zginąć mają wszyscy, co tu przybyli. (A w istocie tak już było!...). Dezorientacja stąd jeszcze się brała, że wyroki były z reguły dość niskie: rzadko kto miał tu dziesiętaka, pięcioletni wyrok też nie często się zdarzał, najczęściej było skazanych na trzy lata. Jeszcze nie wiedziano wtedy, jak lubi nasza sprawa dliwość tę kocią zabawę: ścisnąć pazurami — i znów wypuścić znów ścisnąć — i znów wypuścić. I ta poczciwa, patriarchalna nieświadomość — do czego to wszystko zmierza? — musiała jednak wpływać w jakiś sposób na straż, złożoną z samych więźniów, a może nawet na ich nadzorców.

Choć tezy doktryny klasowej, oznajmiające że wróg zasługuje tylko na to, aby go zlikwidować, głoszone były w sposób jak najbardziej dobitny, otwarty i powszechny — jednak trudno było sobie wyobrazić ową likwidację każdego konkretnego dwunogiego osobnika, mającego takie a takie włosy, oczy, usta, szyję



ramiona. Można było przyjąć do wiadomości, że trzeba zlikwidować *klasy*, no, ale *ludzie*, należący do tych klas powinni chyba jakoś się ostać?... Oczy Rosjan, przyzwyczajonych do obcowania z całkiem innymi, mglistymi i dalekimi od małostkowości pojęciami, nie dawały sobie rady z odcyfrowaniem ścisłego sensu formuł okrutnej doktryny — zupełne jakby trzeba je było czytać przez źle dobrane okulary. Niedawno dopiero minęły miesiące i lata otwarcie głoszonego terroru — a jednak nie chciało się jakoś wierzyć!

Także tu, na pierwsze wyspy Archipelagu, zdołała przesączyć się chwiejność, tak typowa dla kapryśnej ery lat 20-tych, kiedy to również w reszcie kraju nie bardzo było wiadomo — czy już niczego nie wolno? czy może na odwrót — właśnie teraz zacząć pozwalać na wszystko? Ruś tak jeszcze ufała wzniosłym frazesom! — i tylko nieliczni czarnowidze już sobie to i owo wykalikulowali, już domyślali się — kiedy i jak położy się koniec tym harcom.

Kopuły uszkodził pożar — ale więzienia przetrwały wieki... Ziemia orna na końcu świata — a leżeć ma odłogiem. Mieni się niespokojne morze. Ciche jeziora. Ufne zwierzęta. Okrutni ludzie. Na zimę albatrosy odlatują nad zatokę Biskajską, zabierając ze sobą wszystkie sekrety pierwszej wyspy Archipelagu. Ale nie rozpowiedzą ich na beztroskich plażach, nikomu w Europie ich nie zdradzą.

Świat z fantastycznej opowieści... I oto — jedno z najbardziej fantastycznych, choć nietrwałych zjawisk: obozowym życiem zarządzają tu — białogwardziści! Kuryłko nie był wcale przypadkowym wyjątkiem.

Jak to się dzieje? A tak. W obrębie całej twierdzy — jest tylko jeden wolny czekista — dyżurny szef obozu. Warta przy bramach (wieżyczek jeszcze nie ma), punkty obserwacyjne na wysepkach, ściganie uciekinierów — to wszystko należy do kompetencji straży obozowej. Do straży przyjmowani są zaś — poza garścią wolniaków — zwykli mordercy, fałszerze pieniędzy, kryminaliści różnego autoramentu (prócz zawodowych złodziei). Kto jednak ma się zająć całą organizacją wewnętrzną, kto pokieruje Wydziałem Administracyjnym, skąd wziąć dowódców kompanii i drużyn? Nie mogą przecież zająć się tym duchowni, ani członkowie sekt, ani spekulanci, skazani za przestępstwa skarbowe, ani uczeni, ani studenci (studentów tu wcale nie brak, a czapka studencka na głowie więźnia — to wyzwanie, zuchwalstwo, znak rzucający się w oczy i zachęta do wciągnięcia na listę kandydatów do rozwałki). Najlepiej daliby sobie z tym radę byli wojskowi. A jacyż tu inni wojskowi, prócz białych oficerów?

— W ten sposób — bez żadnych tam spisków, a chyba nawet bez przemyślanego planu — doszło do sołowieckiej kolaboracji czekistów z białogwardzistami!

A gdzież zasady — zarówno u tych, jak u tamtych? Że dziwnie? Zaskakujące? — tylko tego mogło takie zjawiska dziwić, kto przyzwyczał się do klasowo-socjalnych analiz i nie potrafi już rozumować inaczej. Ale kogoś takiego wszystko w świecie powinno dziwić, ani świat bowiem, ani ludzie wcale nie mieszczą się w jego szufladkach.

Żaś sołowieccy nadzorcy nawet diabła wezmą do pomocy skoro brak im swoich ludzi do tej pracy. Przecież jest dyrektywa, żeby więźniowie jedni drugich pilnowali (czyli gnębili). A kto inny lepiej sobie z tym da radę?

No, a weźmy tych oficerów zawodowych. Toż to wojskowi do szpiku kości; jak tu oprzec się pokusie wzięcia w swoje ręce mechanizmu obozowej administracji (czyli mechanizmu ucisku)? No, jak że tu godzić się potulnie z tym, że ktoś inny weźmie się za to nieumiejętnie, bez pojęcia? Co potrafią z ludzkim sercem zrobić epolety — już w tej książce mówiliśmy. (Zaczekajcie, przyjdzie jeszcze kolej na czerwonych oficerów — i pchać się będą do oddziałów ochronnych, rwać się będą do tego strażniczego karabinu, drżąc, czy aby im go powierzą!... Już pisałem — a gdy tak nas skrzyknął Maluta Skuratow\*, co wtedy?).

No, chyba i to jeszcze musiało przychodzić białogwardzistom na myśl: e tam, wszystko jedno — koniec, *wszystko się skończyło*, więc co tam się cackać! I jeszcze to: „im gorzej, tym lepiej”, pomożemy wam urządzić tu takie piekielne Sołówki, o jakich w *naszej* Rosji nikt by pomyśleć nawet nie śmiał — niech o was wszędzie mówią jak najgorzej. I jeszcze: wszyscy koledzy już się zgłosili, a ja co — alboż to jestem popem, może mam pchać się do magazynu na księgowego?

A jednak niesamowitość sołowieckiego świata tu się nie kończyła: po opanowaniu administracji Sołówek białogwardziści rozpoczęli *walkę* z czekistami! Niby że — obóz jest wasz od frontu, a nasz — od środka. I gdzie kto ma pracować, dokąd kogo posłać — to już sprawa Działu Administracji. My nie wytykamy nosa na zewnątrz, wy zaś nie wtykajcie nosa w nasze sprawy.

A juźci! — przecież obóz powinien być w środku cały naszpikowany szpiclami Oddziału Informacyjno-Sledczego! To była najważniejsza i najgroźniejsza siła w obozie — ten Oddział. (I pełnomocnicy operacyjni też się rekrutowali z więźniów — oto

---

\* Faworyt Iwana Groźnego, dowódcą opryczników, naczelny oprawca.

szczyt systemu *autokontroli!*). I z tą właśnie siłą wziął się za bary białogwardyjski Dział Administracji! Wszystkie inne działy — Kulturalno-Oświatowy, Sanitarny, których znaczenie w obozach przyszłości tak wzrosło, tu jeszcze były wątle i niezasobne. Cienko przadł nawet Dział Gospodarczy, kierowany przez N. Frenkla — w jego to gestii był „handel” ze światem zewnętrznym i nieistniejący „przemysł”; jeszcze nie wytyczone były przyszłe drogi rozwoju.

Te dwie siły — Informacja i Administracja były ze sobą w walce. Zaczynało się to już na Kempierpunkcie: do drużynowego podchodzi nowoprzybyły Al. Jarosławski, poeta i coś mu szepce do ucha. Drużynowy ryczy w odpowiedzi z wojskowym fasonem: „Byłeś *tajnym* — a teraz będziesz *jawnym!*”.

Informacja ma Siekierkę, karcery, donosy, akta więźniów, zależy od niej i zwolnienie przed terminem i rozstrzelanie, to ona cenzuruje listy i paczki. Administracja ma w swojej gestii skierowania do pracy, przeniesienia wewnątrz obozu i wysyłkę na etap.

Dział Administracji dybał na donosicieli i wysyłał ich najbliższym transportem. Na szpicłów polowano, zwierzyzna wywijała się pogoni i szukała schronienia w lokalu Informacji. Ale nawet tam ich znajdowano, wyłamując drzwi, wyciągając ich na dwór i zabierając na etap, jak swoich<sup>18</sup>.

(Wysyłano ich na wyspę Kondostrow, na wyrąb lasu. Tam fantastyka miał swój ciąg dalszy: zdemaskowani, zagubieni wydawali na Kondostrowie gazetkę ścienną pod tytułem „Stukacz”<sup>\*</sup> i z pośępnym humorem „demaskowali” się wzajemnie dalej — już zapędzeni w kozi róg). Informacja w odwet wszczyniała postępowanie karne przeciw gorliwcom z Administracji, zwiększała im terminy odsiadki, posyłała na Siekierkę. Ale sprawę komplikował fakt, że — według ówczesnych ustaw (art. 121 KK: „rozgłaszanie przez osobę urzędową wiadomości nie podlegających rozpowszechnieniu...” — niezależnie od tego, czy rozgłaszała je z własnej inicjatywy i w jakiej mierze była osobą *urzędową*) miało tu miejsce wykroczenie, tak że Informacja nie mogła oficjalnie bronić i ratować swoich zdemaskowanych informatorów. Wpadłeś — więc sam sobie jesteś winien. Kondostrow był zatem instytucją nieomal uświęconą przez prawo.

Szczytowym momentem tej „wojny” między Administracją a Informacją był wypadek z 1927 roku, kiedy to białogwardziści

18. Interesujące: w zaraniu Archipelagu ludzie zaczynają od tej samej akcji, do której zabierzemy się także my — znacznie później, w Obozach Specjalnych — od ataku na donosicieli.

\* Donosiciel-szpicel, tajniak.

włamali się do lokalu Informacji, rozbili kasę pancerną i podali do wiadomości publicznej zdobytą w ten sposób pełną listę donosicieli — odtąd straconych już dla świata! Od tej chwili jednak zaznacza się stały spadek znaczenia Administracji. Z każdym rokiem ubywa białych oficerów, rośnie zaś liczba kryminalistów (na przykład — przyjeżdżają „czubarowcy”; tak zwano gwałcicieli, zesłanych po słynnym procesie leningradzkiej bandy Czubara). I stopniowo dano Administracji radę.

W roku 1930 zaczęła się nowa era, Sołówki zaś przestały być Sołówkami, stając się zwykłym „obozem pracy poprawczej”, jak tyle innych. Wschodziła czarna gwiazda ideologa tej ery, Naftalego Frenkla, naczelnym zaś prawem Archipelagu stała się jego formuła:

„Z więźnia musimy wycisnąć wszystko w trakcie pierwszych trzech miesięcy — a później nic już nam po nim!”.



No i gdzie są teraz Sawwatusz z tym Hermanem i Zosimą? I który to z nich wymyślił, żeby osiedlić się za Kołem Podbiegunowym, gdzie człowiek bydła nie uświadczy, ryb nie nałowi, zboża i jarzyn nie zbierze?

O, wy mistrzowie w sztuce pustoszenia kwitnących krain! Żeby tak szybko — w ciągu roku, dwóch — doprowadzić wzorową gospodarkę klasztorną do zupełnej i nieodwracalnej ruiny! Jak to się wam udało? Czyście grabili i wywozili wszystko precz? Albo spustoszyli wszystko tu, na miejscu? I mając do rozporządzenia tysiące bezczynnych rąk — żeby niczego z tej ziemi nie wydobyć?

Mleko, śmietana i wyborna kapusta ojca Metodego — to tylko dla wolniaków. A dla więźniów — nadgniły dorsz, solony, albo suszony, wasserzupka z jagłami, albo perłową kaszą, bez kartofli, nigdy nie dadzą kapuśniaku, ani barszczu. W rezultacie — skorbut, i nawet pisarczykowie z „kompanii biurowej” cali owrzodzeni, co dopiero mówić o tych z robót *ogólnych*... Wyśłani do pracy gdzieś na peryferie, wracają „czworonogim transportem” (bo od przystani muszą się wprost czołgać na czworakach).

Z przekazów pieniężnych, nadchodzących z domu, wolno wydawać miesięcznie tylko 9 rubli — jest kantyna w Kaplicy Hermana. Co zaś do paczek — to wolno dostawać tylko jedną miesięcznie; otwierana jest w Oddziale Śledczo-Informacyjnym i jeśli człowiek poskapi łąpówki, to okaże się, że wiele z przysłanych rzeczy *objętych jest zakazem*, np. kasza. W Nikolskiej cerkwi

i w Soborze Uspienskim rosną tymczasem nary — są już cztery kondygnacje. 13-ta kompania gnieździ się w budynku przylegającym do soboru Przemienienia. Wyobraźcie sobie, jak 3 i pół tysiąca ludzi zbitym tłumem wraca z pracy, przeciskając się przez jedyne, wąskie drzwi do wnętrza murowańca. Godzinę czasem trzeba czekać w kolejce po wrzątek. W sobotę cotygodniowe apele wieczorne trwają aż do późnej nocy (jak niegdyś — nocne nabożeństwa...). O higienę dbają tu, rzecz jasna, bardzo: przemocą strzygą ludziom włosy i golą brody (dotyczy to również wszystkich duchownych). Ponadto — obcinają tu poły każdemu, kto nosi długie okrycia (zwłaszcza — sutanny), jako że to główny rozsadnik infekcji. (Czekiści mają szynele do samej ziemi). Co prawda, zimą wcale nie mogą chodzić do łaźni ci starzy i chorzy, co leżeć muszą na kompanijnych narach w samej bieliźnie i w workach. Wszy żrą ich żywcem. Zmarłych ukrywa się pod narami, żeby móc dalej pobierać ich przydział chleba — chociaż dla pozostałych to wcale nie najlepsze wyjście: wszy ze stygnących zwłok przełazą na tych, co jeszcze żyją. W twierdzy jest mizerny dział sanitarny z marnym szpitalikiem, w głębi zaś Sołówek — już ani śladu medycyny.

(Wyjątkiem jest tylko — pustelnia Golgoty i Ukrzyżowania na wyspie Anzer, gdzie metodą terapii jest... zabójstwo. Tam, w cerkwi Golgoty ludzie leżą i umierają z niedożywienia, od skutków bestialstwa — i wycieńczeni duchowni, i syfilitycy, i młodzi knajacy. Przychylając się do błagań konających, a także, by samemu sobie ulżyć, lekarz z tej umieralni daje beznadziejnie chorym strychninę. Zimą zwłoki z trupim zarostem, w samej bieliźnie długo leżą na cerkiewnych narach. Później stawia się je w zakrystii na sztorc, opierając o ścianę rzędem — w ten sposób zajmą mniej miejsca. W końcu wynosi się trupy na dwór i strąca ze szczytu wzgórza Golgoty<sup>19</sup>).

Pewnego razu wybuchła w Kemi epidemia duru (1928) i 60 % zamkniętych tam ludzi — wymarło, ale dur przerzucił się też na Wielką Wyspę Sołowiecką. Tu, w nieogrzejonej, „teatralnej” sali walały się jednocześnie setki chorych. Setki też powę-

---

19. Niezwykłej nazwy tego wzgórza i pustelni nigdzie indziej się nie spotyka. Według legendy (przekazy z XVIII w., Państw. Bibl. Publiczna, *Żyoty Eremitów Sołowieckich*). 18 czerwca 1712 roku przeor Hiob miał pod tą górą widzenie: podczas nocnego czuwania zjawiła się przed nim Matka Boża „w blasku niebiańskim” i oznajmiła, że „góra ta ma odtąd nosić nazwę Golgoty, zbudowana będzie na niej cerkiew i erem Ukrzyżowania. I posinieje ona cała od niezliczonych męczarni”. Nazwano ją więc tak i zbudowano świątynię pod takim wezwaniem, ale przez lat przeszło dwieście podanie wydawało się bezpodstawne i nikt nie sądził, że proroctwo się ziści. Po historii z sołowieckim obozem — już nikt tego nie powie.

drowały na cmentarz. (Żeby się nie pomylić w rachunku, rejestratorzy pisali każdemu jego nazwisko na ramieniu. Rekonwalescenci zaś zamieniali się w ten sposób na wyroki pisząc cudze nazwisko na własnej skórze — jeśli zmarły odsiadywał krótki termin). A w 1929-ym, kiedy spędzono tu wielotysięczne gromady „basmaczy” z Azji Środkowej, przybyła z nimi dziwna epidemia: czarne strupy tworzyły się na ciele i człowiek musiał umierać\*. Nie mogła to być dżuma, ani ospa, ponieważ te dwie choroby całkowicie już były zlikwidowane w Republice Rad — nazwano zaś tę chorobę „azjatyckim tyfusem”. Leczyć jej nie umiano, walczono zaś z nią w ten sposób, że zamykano wszystkich na rygiel, nie wpuszczano więcej nikogo, wsuwano tylko miski z jedzeniem i czekano, aż ludzie wymrą po kolei.

Jakże ciekawe byłoby — z naukowego punktu widzenia — gdyby dało się ustalić, że Archipelag w erze Sołówek sam jeszcze nie był świadom swych przeznaczeń — że dziecię to jeszcze nie znało wtedy własnych skłonności! I zbadać, jak później dopiero te skłonności dały o sobie znać. Niestety, wcale tak nie było! Chociaż brak było wzorów do naśladowania, choć nie było z kogo brać przykładu, choć, dziedziczność też chyba nie wchodziła w grę — mimo to Archipelag rychło sobie uświadomił swój przyszły charakter i zaraz zaczął go przejawiać.

Jak wiele już tu, na Sołówkach, przeprowadzono doświadczeń, które przydać się miały dopiero w przyszłości! Istniał już termin „wyciągnąć kogoś z robót ogólnych”. Na ogół spało się na narach, ale ten i ów miał już oddzielną pryczę. Całe kompanie gnieździły się w nawach cerkiewnych, ale były też izby na 20 ludzi, a nawet — na czterech, czy pięciu. Już ktoś tam miał przywilej wybrania sobie kobiety z nowego transportu (na tysiące mężczyzn było tylko 150-200 kobiet, później dopiero ich przybyło). Trwała już walka o dobre funkcje, stosowano już metodę pochlebstwa i zdrady. Już usuwano kontrę z biurowych stanowisk — i znów musiano je tymi ludźmi obsadzać, bo kryminaliści tylko bałagan robili. Już powietrze w obozie gęstniało od złowieszczych plotek. Już najważniejszą zasadą postępowania było: nie ufaj nikomu! (W ten sposób zostało wymiecione precz i wytrawione mrozem pięknoduchowstwo Srebrnego Wieku).

Wolniacy także zaczęli gustować z stosunekczkach obozowych, nabierać do nich smaku. Rodziny wolniaków miały prawo do bezpłatnej kucharki-więźniarki, zawsze mogły zażądać przysłania praczki, krawcowej, fryzjera, kogoś do rąbania drzewa. Eichmans wybudował sobie willę w tym podbiegunowym kraju. Szeroki

\* Zapewne tzw. *sibirskaja jazwa*, choroba zbliżona do węglika.

gest miał również Potiomkin, były wachmistrz dragonów, który został później członkiem partii, czekistą i wreszcie — naczelnikiem Kempierpunktu. Otworzył w Kemi restaurację: damska kapela składała się tam ze studentek konserwatorium, kelnerki chodziły w jedwabnych sukienkach. Szefowie GUŁagu przybywający służbowo z Moskwy, gdzie wszystko dostawało się jeszcze na kartki, mogli tu sobie, na początku lat 30-tych, wystawnie ucztować; dania podawała im księżna Szachowskaja, rachunki zaś wystawiano im symbolicznie, po 30 kopiejek: różnicę pokrywano z funduszków obozu.

Zresztą, sołowiecki Kreml — to wcale nie całe Sołówki, to jeszcze najlepsze miejsce na tych wyspach. Prawdziwe Sołówki — to nawet nie pustelnie (gdzie po wywiezieniu socjalistów urządzono kolonie pracy) — ale dalekie ośrodki trzebieńia lasu. Właśnie o tych odległych, głuchych punktach najtrudniej dziś powiedzieć coś pewnego, bo CI, co tam pracowali, nigdy już stamtąd nie wrócili. Wiadomo, że już wtedy nie pozwalano w czasie jesiennej słyoty suszyć odzieży; że zimą, gdy zalegał kopny śnieg, ludziom nie wydawano ani odzieży, ani obuwia; że dzień roboczy mierzona była normą — dzień kończył się gdy wykonano normę, jeśli norma nie została wykonana, to nie wracano na noc pod dach. Wówczas też już „inaugurowano” nowe punkty obozowe w ten sposób, że posyłano kilkuset ludzi w nieznaną, gdzie nic jeszcze nie było dla nich przygotowane.

Ale mamy wrażenie, że w pierwszym okresie istnienia Sołówek zarówno wyciskanie siódmych potów przy robotach, jak narzucanie nieludzkich *norm* były to tylko przejściowe zrywy, objawy chwilowej wściekłości; nie stały się one jeszcze żelaznym *systemem*, nie opierała się jeszcze na nich gospodarka całego kraju, nie był to jeszcze fundament pięciolatek. W ciągu tych pierwszych lat SŁON nie miał jeszcze, jak wolno sądzić, własnego, ustalonego odgórnie, planu gospodarczego, a zresztą nie bardzo zdawano sobie sprawę, ile roboczodniówek przypadać musi na rozbudowę samego obozu. Dlatego to można sobie tam było pozwalać na beztroskie przekształcanie jakichś sensownych gospodarczo prac w roboty karne: przelewanie wody z jednego przerębla do drugiego, przenoszenie pni z miejsca na miejsce. Było w tym okrucieństwo, owszem, ale niejako patriarchalnego typu. Kiedy zaś wyciskanie siódmych potów wchodzi w skład przemyślanego *systemu*, wtedy oblewanie ludzi wodą na mrozie, albo oddawanie więźnia na żer komarom, staje się zbyt bezużyteczne i sprowadza się do marnotrawienia sił samych oprawców.

Znana jest następująca cyfra oficjalna: przed rokiem 1929 w RSFSR „objęto” pracą tylko 34 do 41 % wszystkich więź-



niów<sup>20</sup> (nie mogło być zresztą inaczej, bo w kraju panowało bezrobocie). Nie wiemy, czy uwzględniono tu również prace wykonywane dla potrzeb obozu, czy też tylko prace „na eksport”. Ale dla pozostałych 60-65 % więźniów nie starczało nawet zajęć gospodarskich. Także na Sołówkach proporcje nie mogły być inne. Jasne jest więc, że w ciągu całych lat 20-tych było tam wielu więźniów nie zatrudnionych przy żadnych pracach stałych (częściowo z powodu braku odzieży), albo zatrudnionych tylko w bardzo umownym sensie.

Pierwszy rok pierwszej pięcioletki, który był takim wstrząsem dla całego kraju, wstrząsnął również Sołówkami. Nowy (przyszły w 1930 roku) naczelnik USŁON'u Nogtiew (były naczelnik eremu Sawwatiewskiego, który tam przeprowadził masakrę socjalistów) wywołując „szmerek podziwu ze strony zaskoczonych słuchaczy” cytował zebrany w Kemi *wolnikom* takie oto liczby: „nie licząc własnych wyrobów USŁON'u, które rosły w tempie zupełnie wyjątkowym”, USŁON zdołał — na zamówienie dwóch tylko instytucji — Żelless i Karelles — dostarczyć surowca drzewnego: w 1926 roku za 63 tysiące rubli, w 1929 roku — za 2 miliony 355 tysięcy rubli (wzrost 37-miokrotny!), w 1930 — jeszcze trzy razy więcej. Za budowę dróg w kraju Karelsko-Murmańskim w 1926 roku obóz otrzymał sumę 105.000 rubli, w 1930 roku — już 6 milionów, czyli 57 razy więcej<sup>21</sup>!

Tak oto przebiegał zmierzch dawnych, głuchych Sołówek, gdzie nie wiadomo, jak tu wykończyć więźniów! Praca-cudotwórczyni<sup>22</sup> podała pomocną dłoń!

Kempierpunkt był przedsiönkiem Sołówek; gdy osiągnęły już dojrzałość pod koniec lat 20-tych, przez Kempierpunkt zaczęły Sołówki przelewać się na ląd stały. I tym co najgorszego mogło się więźniom Sołówek przydarzyć — stały się właśnie „delegacje” na kontynent. Dawniej klasztor Sołowiecki miał na lądzie stałym tylko dwie forpoczty — Sorokę i stanicę Sumską, przybrzeżne folwarczki. Teraz zaś rozrastający się SŁON przekroczył granice klasztornych posiadłości.

Na zachód od Kemi więźniowie zaczęli bić trakt przez bagniste tereny do Uchty „które to przedsięwzięcie niegdyś uznano za niewykonalne<sup>22</sup>”. Latem ludzie zapadali się w bagnistą toń, zimą zamarzali. Tego traktu więźniowie Sołówek bali się panicznie i przez długi czas właśnie ta pogroźka: „Co?! Może posłać cię na Uchtę?!” najczęściej rozlegała się na dziedzińcu Kremla.

20. Praca zbiorowa, *Od więzień...*, str. 115.

21. *Sołowieckije ostrowa*, 1930, Nr 2-3, str. 56-57.

22. *Ibidem*, str. 57.



Drugi podobny trakt zwał się Parandowskim (z Miedwieżogorska). Przy jego budowie czekista Gaszydze rozkazywał szpi-kować skałę materiałem wybuchowym, na szczyt skały posyłał ka-erów i przyglądał się przez lornetkę, jak wylatują w powietrze.

Powiadają, że w grudniu 1928 na Czerwonej Górze w Karelii więźniów zostawiono za karę (nie wykonali normy dziennej) na całą noc w lesie — i że 150 ludzi zmarzło na śmierć. To było w stylu Sołówek — nie ma wątpliwości.

Trudniej dać wiarę innej relacji — na budowie traktu Kemi-Uchta, w pobliżu miasteczka Kut (luty 1929) kompanię więźniów w składzie około 100 ludzi ZA NIEWYKONANIE NOR-MY ZMUSZONO DO WEJŚCIA NA STOS — I WSZYSCY SPŁONĘLI!

Usłyszałem ten przekaz z ust jednego tylko człowieka: świadkiem tego wydarzenia był niedawno zmarły profesor D. P. Kal-listow, stary więzień Sołówek. Owszem, zbieżnych relacji o tym wypadku nie zdołałem zebrać (nikt już ich nie zbierze, zresztą, nie ma zeznań, nawet pojedynczych, o tylu innych faktach). Ale czy ci, co wysadzają w powietrze i zostawiają na polarnym mrozie żywych ludzi, nie są zdolni do palenia ich żywcem? Że to rzecz technicznie trudniejsza?

Czytelnicy, którzy skłonni są dawać raczej wiarę znakom drukarskim, niż żywym istotom, niechże poczytają sobie relację o budowie gościńca w granicach tego samego USŁON'u, przez takich samych zeków, w tym samym roku — tyle że na półwyspie Kola:

„Ogromne trudności trzeba było pokonać, by przeprowadzić bity trakt doliną rzeki Białej wzdłuż brzegu jeziora Wudjarw aż do góry Kukiswumczorr (Appatyty), o długości 27 km., moszcząc mokradła...” — jak myślicie, czym je *moszcząc*? odpowied-nie słowo ma się już na końcu języka, prawda? ale papier to co innego... — „kłódami i zasypując piaskiem oraz niwelując kapryśny profil wzgórz, których zbocza pokryte były kamienis-tymi usypiskami”. Później USŁON przeprowadził również tą trasą tory kolejowe — „11 kilometrów w ciągu jednego tylko miesiąca zimy... (a dlaczego w ciągu jednego miesiąca? dlaczego nie można było poczekać do lata?) — ...zdawało się już, że zadanie jest wręcz niewykonalne. 300.000 metrów sześciennych ziemi trzeba było wykopać (za Kołem Podbiegunowym! zimą! — czy to w ogóle ziemia? czym jest granit przy tej substancji?) — wyłącznie ręcznym sposobem, mając do dyspozycji tylko rydle, oskardy, łopaty. (A czy mieli tam chociaż rękawice?...)”

Trzeba było zbudować mnóstwo mostów, co hamowało postęp robót. Pracowało się okrągłą dobę na trzy zmiany, szturmując

noc polarną światłem naftowych reflektorów, wyrąbując przecinki w sośniakach, karczując pnie — często podczas zamięci, tarasującej naszą drogę zaspami na wysokość rosnącego chłopa...<sup>23</sup>”.

Przeczytajcie to jeszcze raz. A teraz przymruźcie oczy i wyobraźcie sobie, że to ktoś z was, jakiś bezradny mieszcuch, wielbiciel Czechowa, wtrącony został do tego piekła lodowego! — albo jakiś Turkmen w kolorowej mycce — rzucony jest na pastwę tej nocnej zamięci! I teraz ma karczować pierśki! Działo się to w trakcie tych świetlanych, nieporównywanych lat dwudziestych, kiedy nikomu jeszcze nie śnił się „kult jedności”, kiedy ludzie wszystkich ras i kolorów — biali, żółci, czarni i brunatni — widzieli w naszym kraju żagiew swobody<sup>24</sup>. Działo się do wtedy właśnie, gdy na estradach śpiewano zabawne kuplety o Sołówkach.

Tak oto, krok za krokiem, nieznacznie — dzięki instytucji zadań produkcyjnych, uległ rozpadowi początkowy plan stworzenia na wyspach izolowanego Obozu Specjalnego. Archipeląg, który narodził się i osiągnął dojrzałość na Sołówkach, jął teraz dawać rakowe przerzuty na terytorium kraju.

Powstał problem: otworzyć przed nim na oścież cały kraj — a nie dać się samemu zagarnąć, nie dać się wessać, strawić, upodobnić do reszty. Każdą wysepkę, każdą rafę Archipelągu otoczyć wrogim, sowieckim falochronem. Niech się te dwa światy nawarstwiają na siebie, ale niech nie dojdzie do wzajemnego przenikania!

A ten referat Nogięwa, któremu towarzyszył „szmerek podziwu” wygłoszony był po to, by doprowadzić do uchwały zebranych przedstawicieli mas pracujących Kemi (a później — do gazetki! i rozplakatować we wszystkich koloniach karnych!:

„...walka klasowa, wzmagająca się na całym terytorium ZSSR... a także groźba wojny, realna, jak nigdy do tej chwili<sup>25</sup>.. wymaga od organów OGPU i USŁON jeszcze większego zacieśnienia współpracy z masami i jeszcze większej czujności... Organizując odpowiednio opinię publiczną... zwalczać trzeba: ... podpalenie się wolnych obywateli z więźniami, proceder ukrywana uciekinierów, handel przedmiotami kradzionymi przez więźniów lub pochodzącymi z zaboru mienia państwowego... a także — najróżniejsze złośliwe plotki, szerzone na szkodę USŁON'u przez wrogów klasowych”.

23. G. Friedman, *Baśniowa rzeczywistość*, czasopismo *Sołowieckije ostrwa*, 1930, Nr 4, str. 43-44.

24. O, gdzie byli wtedy Bertrand Russell i Hewlett Johnson z ich wiecznie niespokojnym sumieniem?

25. Zawsze u nas jest jak nigdy dotąd, inaczej w ogóle nie bywa.

A cóż to za „złośliwe plotki”? A że *w obozie są ludzie i że siedzą nie wiadomo za co!*

A później jeszcze taki punkt: „...obowiązkiem każdego jest zawiadomić na czas kogo należy<sup>26</sup>...”.

Wstrętni wolniacy! Są z więźniami za pan brat, ukrywają uciekinierów! To bardzo poważne niebezpieczeństwo. Jeśli temu radykalnie nie zapobiec — to nici z Archipelagu. I kraj zginie. I cała rewolucja na nic.

Przeciwdziała się więc „złośliwym” pogłoskom — szerząc pogłoski uczciwe i postępowe: że w obozach siedzą tylko mordercy i gwałciciele! że każdy uciekinier — to **niebezpieczny bandyta!** Niech się ludzie zlekną, niech zatrzasną drzwi, niech pilnują dobrze swoich dzieci! Wyłapujcie ich, donoście, pomagajcie OGPU w jej pracy! A kto nie pomoże — o tym **zawiadomcie, kogo należy!**

W miarę jak Archipelag zaczął się rozrastać, wzrastała też liczba ucieczek: wysłanie poza obóz na roboty drogowe czy leśne mogło skończyć się fatalnie, ale jednak człowiek miał ład stały pod nogami, miał nadzieję, że zdoła uciec. Marzenia o ucieczce nie dawały spokoju sołowieckim więźniom jeszcze wtedy, gdy SŁON ograniczał się tylko do izolowanego terenu wyspy. Łatwo wierni wypatrywali końca swego trzyletniego wyroku, przewidując zaś rozumieli, że wolności nie doczekają się ani za trzy, ani za dwadzieścia trzy lata. A to znaczy — że na wolność można tylko — uciec.

Ale jak tu uciec ze Sołówek? Przez pół roku morze pokryte jest lodową skorupą — ale nie ciągłą — pełno w niej wyrw — szaleją zamiecie, wszystko zasnutę jest mgłą, trwa noc polarna. Wiosną zaś i przez dużą część lata — noce są białe, z łodzi strażniczych widok daleki. Sposobność nadarzyć się może tylko u schyłku lata lub jesienią, gdy noce stają się dłuższe. Oczywiście, nie ci co siedzieli w warowni, tylko tacy, których wysłano z niej na roboty — mając trochę czasu i swobody ruchów, mogli gdzieś w lesie nadbrzeżnym sklecić sobie czółenka albo tratwę (czy po prostu sięść na kłoc drzewny okrakiem) i odbić od brzegu głęboką nocą — na los szczęścia, licząc przeważnie na spotkanie z jakimś parowcem pod obcą banderą. Niepokój wśród strażników, wysyłanie łodzi strażniczych — wszystko to pozwalało się domyśleć, co się stało i wypiarzy ogarniała radosna trwoga, zupełnie jakby to oni sami uciekli. Rozpytywano się szeptem: jeszcze ich nie złapano? nie znaleźli ich jeszcze?... Wielu zapewne tonęło, nie docierając do żadnego celu. Temu i owemu udało

26. *Sołowieckije ostrowa*, 1930, Nr 2-3, str. 60.

się chyba dopłynąć do brzegów Karelii — gdzie starał się już zapaść w lasy, jak kamień w wodę.

Słynna zaś ucieczka do Anglii za punkt wyjścia miała port w Kemi. Śmiałek, który się na to porwał (nazwiska jego nie zdołaliśmy ustalić, oto jaki jest zasięg naszych możliwości) znał język angielski, ale nie zdradzał się z tym. Udało mu się dostać do kompanii ładującej drzewo na transportowce, przybijające do przystani w Kemi — i tam zdołał porozumieć się z Anglikami. Konwojenci zorientowali się, że brak im jednego więźnia, zatrzymali parowiec w porcie prawie na tydzień i parokrotnie przeszukali statek, ale nie znaleźli uciekiniera. (Okazuje się, że przy każdej rewizji poszukiwany zjeżdżał z przeciwległej burty po łańcuchu kotwicznym pod wodę, oddychając przez rurkę trzymaną w zębach). Zapłacono armatorowi ogromne odszkodowanie za przestój — i w końcu statek odpłynął, bo przeważała opinia, że więzień chyba utonął.

W Anglii za to ukazała się książka, zdaje się że nawet w paru wydaniach (chodzi tu przypuszczalnie o „Diabelską wyspę” S. A. Mażagowa<sup>27</sup>).

Książka ta wprawiła Europę w zdumienie (i zapewne jej autor — uciekinier oskarżony został o przejąskrawienie, a zresztą przyjaciele Nowego Społeczeństwa po prostu nie byli w stanie dać wiary podobnym oszczerstwom!) — ponieważ stała w sprzeczności z czymś, co było wiadome i uznane: istniał już opis rajy na Sołówkach zamieszczony w „Rote Fahne” (mamy nadzieję, że korespondent tego pisma miał później okazję bliższego poznania Archipelagu), istniały też całe albumy, poświęcone Sołówkom, rozpowszechniane przez sowieckie placówki dyplomatyczne w Europie: świetny papier, autentyczne fotografie przytulnych celek. (Nadieżda Surowcew, nasza komunistka mieszkająca w Austrii, otrzymała taki album z wiedeńskiego poselstwa i z oburzeniem odpierała oszczercze plotki na ten temat, krążące po Europie. W tym samym okresie siostra jej przyszłego męża siedziała na Sołówkach, sama zaś Nadieżda miała już po upływie dwóch lat chodzić gęsiego na spacer w jarosławskim izolatorze).

Oszczerstwa oszczerstwami, ale wpadunek był przykry! A zatem komisja WCIK pod przewodnictwem towarzysza Solca, nającego opinię „sumienia partii”, ruszyła w drogę, aby dowiedzieć się, co tam dzieje się naprawdę, na tych Sołówkach (bo przecież o niczym nie wiedzieli!...). Co prawda, komisja dotarła tylko do trasy kolei Murmańskiej, gdzie też zresztą niczego specjalnego nie działała. Na same zaś wyspy Sołowieckie postanowiono raczej

27. Czy sir Bertrand Russell tej książki także nie czytał?...

posłać — nie, nie posłać, tylko prosić o zwiedzenie ich! — wielkiego pisarza proletariackiego, Maksyma Gorkiego, który niedawno powrócił do ojczyzny proletariatu. Świadectwo takiego człowieka będzie najlepszą odpowiedzią na ohydny falsyfikat, wydany za granicą.

Bystronoga pogłoska dotarła na Sołówki grubo jeszcze przed faktem — i mocniej zabiły aresztanckie serca, strażnicy zaś gorączkowo jęli się krzątać. Trzeba znać więźniów, aby wyobrazić sobie ich niecierpliwłość! W samo jądro matecznika bezprawia, samowoli, milczenia — wedrzeć się ma sokół, zwiastun burzy! największy pisarz rosyjski! no, ten im dopiero zada bobu! ten im dopiero pokaże! ten nas w obronę weźmie, jak ojciec rodzony! Oczekiwano więc na Gorkiego prawie jak na amnestię powszechną!

Zwierzchność też była cała w nerwach: na wszelki możliwy sposób starała się ukryć rozmaite skazy i nadać nowy połysk temu, co było na pokaz. Z warowni wysyłano pośpiesznie transporty do najdalszych punktów robót, żeby ludzi w centrum zostało jak najmniej, ze szpitala wielu chorych wypisano i wysprzątano lokal do czysta. Powstał cały „bulwar” ze świerków bez korzeni (kilka dni pewno wytrzymają, nie od razu przecież uschną) — prowadzący w stronę kolonii dziecięcej, która powstała tu przed trzema miesiącami, stanowiąc przedmiot dumy całego USŁON’u: wszystkie dzieci miały w niej nową odzież, nie było wśród nich elementów socjalnie obcych; Gorki niechybnie bardzo będzie chciał zobaczyć jak tu się niedoszłych przestępców ratuje i wychowuje dla przyszłego życia w socjalistycznym ustroju.

Tylko w Kemi zdarzyło się przykre niedopatrzienie: na Popiej wyspie kończono właśnie załadunek parowca „Gleb Bokij”. Zajęci tym byli więźniowie — jak to zwykle — w samej bieliźnie, lub w workach. A tu właśnie zjawia się Gorki ze świtą: mają jechać tym samym rejsem! Wynalazcy, mocarze myśli! Oto zadanie dla was, boć i najmądrzejszy może się poszkapać: wysepka jest goła, łysa — ani krzaczka, ani kryjówki tu nie znajdzie — a świta Gorkiego jest tuż — o jakieś trzysta kroków! — jaką też radę znajdziecie?! Jak ukryć przed ludzkim okiem cały ten wstyd, tych ludzi w workach? Cała wyprawa naszego humanisty straci sens, jeśli ich zauważy. No, zapewne postara się sam zbytniej uwagi nie zwracać — ale pomóżcie mu! Utopić w morzu? — długa kotłowanina... Zakopać? nie zdążymy... Nie, tylko nieodrodny syn Archipelagu mógł znaleźć tu wyjście! Kierownik robót wrzasnął: „Przerwać pracę! Stanać kupą! Szlusuj! Na ziemię siad! Ani mru mru!” — i kazał zarzucić płachtę brezentową na siedzących. — „Jak się który ruszy, to zatłukę!” A były

tragarz szedł po trapie na pokład, potem dobrą godzinę stał przy burcie, podziwiał krajobraz czekając na odjazd — *i nic nie zauważył...*

Rzecz się działa 20 czerwca 1929 roku. Znakomity pisarz zawiązał wkrótce do przystani w Zatoce Pomyślności. Towarzyszyła mu synowa, cała w skórze (czarna skórzana czapka, skórzana kurtka, skórzane bryczesy, i długie buty z obcisłą cholewką) — żywy symbol GUŁagu, ramię w ramię z rosyjską literaturą.

W asyście kadry dowódczej Gorki długimi, szybkimi krokami przemierzył korytarze kilku budynków mieszkalnych. Wszystkie drzwi do wspólnych sypialni były otwarte na oścież, ale pisarz prawie tam nie zaglądał. W lazarecie powitali go ustawieni dwuszeregiem lekarze i pielęgniarki w czystych fartuchach, ale nie tracił na nich czasu, zaraz wyszedł. Czekiści USŁON'u, ludzie bez trwogi, zawieźli go później na Siekierkę. I cóż? — karcery wcale nie były przepełnione i — co najważniejsze — ani śladu *żerdzi!* Na ławach siedzieli sobie zwykli złodzieje (już ich było sporo na Sołówkach) i wszyscy... czytali gazety! Nikt z nich nie ośmielił się wstać, żeby złożyć zażalenie, ale przecież znaleźli sposób: trzymali swoje gazety do góry nogami! A Gorki podszedł do jednego z nich i w milczeniu obrócił płachtę gazety jak należy. Zauważył! Domyślił się! Więc już nie odda na pastwę! Weźmie w obronę<sup>28</sup>!

Przyjechali do Kolonii nieletnich. Co za warunki! — każdy ma osobną pryczę z materacem. Wszyscy trochę skrępowani, ale wszyscy zadowoleni. I nagle 14-letni chłopak powiada: „Słuchajno, Gorki! Wszystko co tu widzisz — to nieprawda. Może chcesz znać prawdę? Mam powiedzieć? Powiedz — kiwnął głową pisarz. Powiedz, chcę wiedzieć, jak jest naprawdę. (Ach chłopcze, czemu burzysz spokój i dopiero gruntującą się pomyślność literackiego patriarchy... pałacyk w Moskwie, dwór pod Moskwą...). Wyprowadzono więc za drzwi wszystkich — i dzieci, i nawet orszak w mundurach GPU — a chłopczyk przez półtorej godziny rozmawiał z wysokim, chuderlawym starcem. Gorki wyszedł z baraku

28. Towarzysząca Gorkiemu jejmość z GPU także bawiła się piórem i oto co zauważyła: „Zapoznajemy się z życiem obozu Sołowieckiego. Idę do muzeum... Wszyscy razem jedziemy na górę Siekierską. Widok na jezioro jest stąd nadzwyczajny. Woda w jeziorze jest chłodnego, ciemno-granatowego koloru, dookoła jeziora — las, wydaje się, że jest zaczarowany: zmienia się światło, zapalają się wierzchołki sosen i lustrzana powierzchnia jeziora rozpłomienia się. Jest tu cicho i niezwykle pięknie. W drodze powrotnej mijamy kopalnie torfu. Wieczorem jesteśmy na koncercie. Częstują nas tutejszymi, sołowieckimi śledzikami, są nieduże, ale niezwykle delikatne i smaczne, wprost rozpływają się w ustach”. — *M. Gorki i jego syn*, wyd. „Nauka”, Moskwa, 1971, str. 276 (nota autorska z 1972 roku).

zalanymi łzami. Podano konie, by go zawieźć na obiad do willi naczelnika obozu. Chłopcy zaś wpadli do baraku: „O komarach powiedziałaś?” — „Powiedziałem!” — „O żerdkach powiedziałaś?” — „Powiedziałem”. — „O p.o. konia powiedziałaś?” — „Powiedziałem!” — „A że zrzucają ze schodów?... A o workach?... A o nocowaniu na śniegu?... Wszystko, wszystko powiedział mały prawdziwie!”

Ale nawet jego imienia nie znamy.

22 czerwca, już po rozmowie z tym chłopcem, Gorki taki wpis zostawił w „Księdze honorowej” specjalnie sporządzonej z tej okazji:

„Nie jestem w stanie zawrzeć moich wrażeń w paru krótkich słowach. Nie mam ochoty, a zresztą wstyd by mi było (!) ograniczyć się do szablonowych pochwał, na jakie zasłużyła niezwykła energia ludzi, którzy — będąc czujnymi i nieustraszonymi strażnikami rewolucji, potrafią zarazem być tak cudownie śmiałymi twórcami kultury<sup>29</sup>”.

23-go Gorki odpłynął. Gdy tylko jego statek odbił od mola — chłopiec został rozstrzelany. (Znawca serc! znawca ludzi! — jakże mógł nie zabrać ze sobą tego chłopca?).

Tak oto młode pokolenie uczy się wiary w sprawiedliwość.

Powiadają, że tam, na Olimpie, patriarcha literatury wzbierał się jak mógł, że nie chciał publikować żadnych pochwał dla USŁON’u. Ależ, jak to można, towarzyszu Gorki?... Jak to będzie wyglądać w oczach burżuazyjnej Europy? Przecież *właśnie, teraz, w takiej chwili*, w momencie tak niebezpiecznym i brzemiennym w komplikacje!... Ach, że ten reżym? — reżym więzienny się zmienia, to się na pewno skoryguje.

W końcu wydrukowano, i nieraz przedrukowywano w wielkiej, wolnej prasie u nas i na Zachodzie za podpisem Sokoła, Zwiastuna Burzy, że niepotrzebnie ludzi straszą tymi Sołówkami, że więźniom powodzi się tam doskonale i że pięknie nawracają się tam oni na uczciwe życie.

„I pobłogosławił, nim zeszedł do grobu\*”.

— Co? — Archipelag<sup>30</sup>...

29. *Sołowieckije ostrowa*, 1929, Nr 1, str. 3. (W utworach zebranych Gorkiego nie ma tej pozycji).

\* Ustęp z wiersza Puszkina o Dzierżawinie.

30. Pożałowania godne zachowanie się Gorkiego od jego powrotu z Włoch aż do śmierci składałem na karb jego iluzji i ograniczoności. Ale opublikowana niedawno jego korespondencja z lat 20-tych daje powód do podejrzenia, że wchodziła w grę również pobudka niższego typu: interes osobisty. Osiedlwszy się w Sorrento, Gorki z przykrym zdziwieniem stwierdził brak objawów światowego rozgłosu, a co za tym idzie — pieniędzy (miał przecież



Co zaś do reżymu obozowego — to dotrzymano obietnicy. Reżym został *skorygowany* — w 11 kompanii karnej, teraz już TYGODNIAMI WIĘŹNIOWIE STALI W ŚCISKU. Na Sołówki zjechała Komisja — już nie partyjna z Solcem na czele, tylko śledczo-karna. Po wstępnych badaniach doszła do wniosku (z pomocą lokalnego Działu Informacyjno-Śledczego), że wszystkie okropności reżymu sołowieckiego są dziełem białogwardzistów (z Działu Administracyjnego) i w ogóle — arystokratów, a także studentów (no, tych samych, co to już w ubiegłym wieku usiłowali podpalić Sankt-Petersburg\*). Akurat miała wtedy miejsce nieudana, głupia próba ucieczki niepoczytalnego Kożewnikowa (byłego ministra Republiki Dalekiego Wschodu), Szepczyńskiego i kowboja-Diegtiariewa. Sprawę rozdmuchano aż do wymiarów wielkiego, fantastycznego spisku białogwardzistów, którzy mieli pono zamiar zawładnąć jakimś parowcem i w ten sposób uciec z wysp. Zaczęto więc łąpać, kogo się da i chociaż nikt nie przyznał się do udziału w spisku, sprawa obrastała w aresztowania.

Poprzestano na liczbie „300”. Została bez trudu osiągnięta. Nocą z 14 na 15 października 1929 roku spędziwszy uprzednio i zamknąwszy więźniów w barakach, odryglowano Święte Wrota, zawsze dotąd zatrzaśnięte; tędy prowadziła najkrótsza droga na cmentarz. Całą noc wyprowadzano grupę po grupie. (I wymarszowi każdej grupy towarzyszyło rozpaczliwe wycie psa imieniem Black: pies za każdym razem bał się, że wyprowadzają jego pana, Bagratuni. To powtarzające się wycie pozwalało domyśleć się, ile grup przeszło przez Święte Wrota: wystrzały ledwie były słyszalne, bo przeszkadzał silny wiatr. Pse wycie tak podziałało na oprawców, że nazajutrz zastrzelili Blacka — a razem z nim wszystkie inne psy).

Rozstrzeliwali wciąż ci sami trzej chłystkowaci morfiniści, naczelnik straży Diegtiariew i... naczelnik sekcji Kulturalno-Oświatowej, Uspienski. (Ta spółka może wydawać się dziwną tylko na pierwszy rzut oka. Ów Uspienski miał życiorys co się zowie *typowy*, to znaczy — nie przeciętny, lecz jakby skupiający w sobie najistotniejsze cechy epoki. Był synem popa, nie był nikim

---

ze sobą cały swój dwór). Stało się dla niego jasne, że po pieniądze i nowe zastrzyki sławy trzeba wracać do ZSSR, zgadzając się na wszystkie stawiane warunki. Tak to stał się dobrowolnym jeńcem Jagody. I Stalin zamordował go niepotrzebnie, z asekuranctwa: Gorki może by w końcu zaczął wysławiać nawet rok 37-my!

\* W okresie powstania 1863 roku wybuchające w Petersburgu pożary policja i nacjonalistyczna prasa uznały za dzieło studentów, sprzyjających sprawie polskiej i rewolucji, co bardzo wzmożyło nastroje szowinistyczne.



więcej w chwili wybuchu rewolucji. Co go w życiu oczekowało? Ankiety, ograniczenia, zesłanie, represje. I przecież ojca nie można sobie zamienić, nie sposób go wykreślić z ankiet. Ale nie, Uspienski znalazł sposób: ZABIŁ SWEGO OJCA i oznajmił władzom, że uczynił to z KLASOWEJ NIENAWIŚCI! To pobudka zdrowa, to zmienia sprawę, to już prawie nie morderstwo! Dano mu mały wyrok — a w obozie od razu posłano do roboty kulturalno-oświatowej. Prędko odzyskał wolność i oto widzimy go już jako wolnego naczelnika sekcji K-O Sołówek. Nie wiadomo, czy sam się zgłosił, czy kazano mu wziąć udział w tej egzekucji, aby mógł lepiej się wykazać. Pod koniec tej nocy widziano go jak, zadzierając nogi, mył nad zlewem cholewy swoich butów, zbryzgane krwią).

Ci, co rozstrzeliwali, byli pijani i jeszcze rankiem ruszała się ziemia, którą był przysypany wielki dół.

Przez cały październik i kawał listopada przywożono jeszcze na rozstrzelanie dodatkowe grupy ze stałego ładu<sup>31</sup>.

(Po jakimś czasie cały ten cmentarz został zrównany z ziemią przez drużynę więźniów-kopaczy; przy robocie przygrywała orkiestra).

Po tych egzekucjach nastąpiła zmiana na stanowisku naczelnika SŁON'u: Eichmansa zastąpił Zarin i utarło się przekonanie, że na Sołówkach zaczęła się nowa era, era praworządności.

W praktyce zaś bywało wtedy tak: latem 1930 roku przywieziono na Sołówki kilkudziesięciu członków sekty religijnej, której reguła nakazywała odrzucanie wszystkiego, co pochodzi od antychrysta: nie wolno im było brać do ręki żadnego dokumentu, nawet paszportu, nie wolno było podpisywać żadnych papierów, ani brać do ręki pieniędzy. Na ich czele stał siwobrody, osiemdziesięcioletni starzec, niewidomy, podpierający się długim posochem. Dla każdego człowieka oświeconego od razu było jasne, że sekciarze ci nigdy nie wnikną do królestwa socjalizmu, aby tam wniknąć trzeba bowiem mnóstwa papierków — i że dlatego lepiej byłoby, gdyby sobie umarli. Posłano ich zatem na wysepkę Zajęczą — najmniejszą z wysp Sołowieckich — piaszczystą, bezleśną, pustynną, na której stała jedna tylko chatka, sklecona niegdyś przez zakonników-rybaków. Wyrażono też chęć wydania im suchego prowiantu na 2 miesiące — pod tym jednak warunkiem, by *każdy* z sekciarzy pokwitował odebranie przydziału własnoręcznym podpisem. Sekciarze — rzecz jasna — odmówili. Spróbowała wtedy wtrącić swoje trzy grosze niestrudzona Anna Skrypnikowa, która w tym okresie — nie bacząc na włas-

31. W jednej z tych grup był także Kuryłko.

ny młody wiek, ani na młodość władzy sowieckiej — odsiadzy wała już czwarty swój wyrok. Miotła się jak w ukropie między księgowością, funkcyjnymi, a biurem samego naczelnika obozu, tego, co to miał wprowadzić w życie humanitarne porządki. Najprzód prosiła o zwykłą litość, później — żeby ją posłać razem z sekciarzami na wyspę Zajęczą, choćby w charakterze księgowej, obiecując, że będzie im tam wydawać racjeienne i prowadzić całą sprawozdawczość. Wydawało się, że to nie jest wcale sprzeczne z reżymem obozowym, a jednak spotkała ją odmowa! „Przecież wariatów też się karmi i nikt od nich nie żąda pokwitowania!” — krzyczała Anna. Zarin tylko się roześmiał. A jedna z funkcyjnych powiedziała: „Może to Moskwa tak kazała — my przecież nie wiemy...”. (A pewno, że taka była dyrektywa z Moskwy! — ktoś inaczej wzięłby na siebie taką odpowiedzialność?) — i w końcu POSŁANO ICH BEZ ŻADNEGO PROWIANTU. Po dwóch miesiącach (dokładnie po dwóch, bo przecież trzeba było zaproponować im podpisanie kwitów na następne dwa miesiące) przeprowadzono się na Małą Zajęczą i znaleziono tylko trupy, rozdziobane przez ptactwo. Wszyscy tam zostali, nikt nie zdołał uciec.

I kto teraz znajdzie winnych? W latach 60-tych naszego wielkiego stulecia?



W końcu lat 20-tych obóz Sołowiecki zmienia oblicze. Był głuchą matnią dla beznadziejnych *kaerów*, przekształcać się zaś zaczął w nowy wówczas, a dla nas już spowszedniały — rodzaj ogólnego Obozu Pracy Przymusowej. Szybko zwiększała się w całym kraju ilość „szczególnie niebezpiecznych elementów, wywodzących się z mas pracujących” — zwożono więc na Sołówki pospolitaków i małolatków. Przybili do sołowieckich brzegów również złodzieje zawodowi i terminujący w tym fachu. Napłynęła też fala złodziejek i prostytutek (spotykając się w Kempierpunkcie te pierwsze krzyczały do tych drugich: „Lepiej kraść, niż z każdym się kłaść!”). A tamte odkrzykiwały z werwą: „Co dają to moje, nie kradzione!”). Chodziło o to, że w całym kraju rozpoczęła się (rzecz jasna, w gazetach — ani słowa) kampania walki z prostytutką; zaczęto je wyłapywać we wszystkich większych miastach, wszystkim pod rząd wlepiano po 3 lata i wiele z nich zesłano na Sołówki. Z teorii jasno wynikało, że uczciwa praca prędko skłoni je do poprawy. Jednakże — znajdując nie wiedzieć czemu upodobanie w swoim poniżającym społecznie zajęciu — już po drodze na wyspy zgłaszały się natarczywie do mycia podłóg w koszarach eskorty i sprowadzały na złą drogę

żołnierzy, gwałcąc tym samym regulamin służbowy. Z tą samą łatwością znajdowały wspólny język z nadzorcami — i to nie bezpłatnie, rzecz jasna. Jeszcze lepiej potrafiły urządzić się na Sołówkach, gdzie brak kobiet tak dawał się we znaki. Przydzielano im najlepsze izby w barakach, co dzień dostawały jakieś upominki czy nowe ciuszki; inne kobiety — „mniszki”, albo kaerki mogły coś przy nich zarobić, haftując im bieliznę — w końcu więc, wzbogacone, z walizkami pełnymi jedwabiu, po odsiedzeniu kary wracały na kontynent, aby tam zaczynać od nowa uczciwe życie.

Żłódzieje spędzali odsiadkę na grze w karty. Żłódziejki zaś doszły do wniosku, że można sobie na Sołówkach ułatwić życie przez rodzenie dzieci: nie było tam żłobków i można było po połogu otrzymać zwolnienie z robót na krótki okres. (Ich poprzedniczki, kaerki, wzdragały się przed stosowaniem tego sposobu).

12 marca 1929 roku przybyła na SołóWKi pierwsza grupa nieletnich; później przysyłano ich coraz więcej i więcej (nikt z nich nie miał więcej, niż 16 lat). Z początku zgromadzono ich w kolonii dla młodzieży obok Kremla — wyposażonej w oddzielne prycze i materace, o których już wspominaliśmy. Chłopcy poukrywali przydziałowe sorty, krzycząc, że nie mają w czym chodzić do pracy. Później ich też powysyłano do leśnych robót. W lesie rozbiegli się na wsze strony, przekreślali sobie nazwiska, i wprowadzali zamęt do ewidencji wyroków; trzeba było na nich polować, a potem identyfikować.

Pojawienie się zdrowych socjalnie elementów dodało otuchy Sekcji Kulturalno-Oświatowej. Zaczęto zachęcać ludzi do likwidacji analfabetyzmu (ale żłódzieje i tak już dobrze odróżniali kiery od trefli), wywieszono hasło: „Więzień aktywnie pomaga w budowie socjalizmu!!” i nawet wymyślono termin *pierekowka* (tu właśnie został ukuty!), mający oznaczać przeobrażenie przestępcy przez pracę i wychowanie.

We wrześniu 1930 roku KC partii zwrócił się do wszystkich ludzi pracy wzywając do podjęcia współzawodnictwa i zobowiązań szturmowych. Jakże mogliby więźniowie pozostać w tyle? (Jeśli jak kraj długi i szeroki brano do galopu wolnych obywateli, to jak można było więźniów nie zaprząć do dyszla?).

Informacje, które teraz podamy, zacerpnęliśmy nie z ust żywych świadków, lecz z książki uczonego-prawnika Awerbacha<sup>32</sup>; dlatego też proponujemy, aby czytelnik zechciał te dane dzielić

32. J. L. Awerbach, *Od przestępstwa do twórczej pracy* pod red. Wyszyńskiego, wyd. „Sowietskoje zakonodatielstwo”, 1936 r.

już nie przez 16, ale przez 256, a czasem nawet — opatrywać je odwrotnym znakiem arytmetycznym.

Jesienią 1930 roku, sformowany został Sołowiecki Sztab współzawodnictwa i pracy szturmowej. Zdeklarowani recydywiści, mordercy i rabusie raptem „wystąpili w roli oszczędnych gospodarzy, zręcznych kierowników technicznych, zdolnych i kulturalnych fachowców” (G. Andrejew wspomina: bili w zęby, wrzeszcząc — „więcej kubometrów, machaj łopata, kontra!”). Złodzieje i bandyci, przeczytawszy orędzie KC, odrzucili precz swoje noże i karty, płonąć chęcią stworzenia *komuny*. Regulamin przewidywał, że członkiem komuny może zostać tylko człowiek pochodzenia robotniczego lub biedniacko-średniackiego, jeśli urodził się na wsi (a zaznaczyć warto, że wszyscy knajacy zapisywani byli w Dziale Ewidencji jako „byli robotnicy”; maluczko, a spełniły się slogan Szepczyńskiego „Sołówki — masom pracującym miast i wsi!”) — w żadnym zaś wypadku nie wolno przyjmować Pięćdziesiątego Ósmego. (Komunardzi mieli również taki pomysł: wszystkie ich wyroki zsumować, podzielić przez liczbę uczestników, obliczyć w ten sposób średni termin kary i po jego upływie — wypuścić wszystkich razem! Ale nie bacząc na komunistyczny charakter propozycji, czełkiści uznali ją za politycznie niedojrzałą). Sołowiecka Komuna takie miała hasła: „Oddać klasie robotniczej to, cośmy jej winni!” i — jeszcze lepsze — „OD NAS — WSZYSTKO, DLA NAS — NIC<sup>33</sup>!”. Wymyślono bestialską wręcz karę za winy, popełnione wewnątrz komuny: grzesznikowi *zabraniało* na jakiś czas pracy! (Czy bywa w ogóle surowsza kara dla złodzieja?!).

Zresztą zwierzchność sołowiecka, mniej skłonna do entuzjazmu od *kaowców* — nie tak znów bardzo liczyła na złodziejski zapał do pracy. Zastosowała więc leninowską zasadę: „za lepszą pracę — lepsze zaopatrzenie”. Członków komuny przeniesiono do oddzielnych budynków; spało im się odtąd miękcej, przyodziani zostali cieplej, jadali osobno i dużo sytniej (kosztem reszty wyspiarzy, to jasne). Wielce się to komunardom spodobało. Zastrzegli też sobie, aby ich już nie rozłączano, ani też nie usuwano nikogo z Komuny.

Bardzo podobała się taka Komuna również innym — zewsząd posypały się podania o przyjęcie. Postanowiono jednak nikogo więcej nie przyjmować, tworząc jedynie 2-gi, 3-ci i 4-ty „kolektywy pracy”, już tylu ulg pozbawione. Do żadnego jednak z tych kolektywów nie przyjęto nikogo z 58-ym artykułem na karku;

33. To hasło, dowód zupełnej już dojrzałości, godne było, jak myślę, upowszechnienia w całym kraju.

równocześnie zaś rozzuchwalona *szpana*, knajacki drobiazg, z całą czelnością pouczała tych ludzi na łamach gazetek: najwyższy czas, kochani, zrozumieć, że obóz jest szkołą pracy!

I poszybowały do centrali GUŁ-agu sprawozdania samolotami: na Sołówkach cuda się dzieją! przełom w nastawieniu kryminalistów! całe zawadiactwo bandyckiego świata wyładowuje się teraz w pracy szturmowej! Służy sprawie współzawodnictwa, pomaga w wykonaniu planów produkcyjnych! W centrali kwitł podziw, kazano innym brać Sołówki za wzór.

Życie na Sołówkach potoczyło się takim torem: część więźniów ujęto w kolektywy pracy — i tu procent wykonania planu nie tylko wzrósł, ale się podwoił! (Sekcja KO twierdziła, że to sukces kolektywnego stylu pracy, my zaś wiemy, że to zwykła, obozowa lipa i fucha\*).

Pozostała część więźniów — „niezorganizowana” (i niedokarmiona, nieodziana, harująca na ciężkich robotach), z normami sobie nie mogła dać rady, to rozumiały.

W lutym 1931 roku konferencja sołowieckich brygad szturmowych podjęła uchwałę, aby „szeroką falą współzawodnictwa socjalistycznego odpowiedzieć na nowe oszczerstwa kapitalistów, kłamliwie twierdzących, że w ZSSR istnieje praca przymusowa”. W marcu brygad szturmowych było już 136. W kwietniu zaś okazało się z kolei, że wymagają one generalnej czystki, bowiem „obce klasowo elementy przedostały się do nich, by rozkładać kolektywy od wewnątrz”. (No i macie zagadkę: 58-ego nie puszczano nawet za próg, któż więc ich tam rozkładał? Tak to wolno rozumieć: wykryto fuchę. Jedli, pili, harcowali, przy rachunku — zapłakali. I trzeba było komuś dać po karku, żeby pozostali żwawiej zaczęli się ruszać).

A wśród tego beztroskiego gwaru — wrzała cicha, wytężona praca: bez przerwy szły transporty; z macierzystej, sołowieckiej narośli przerzucano etapami skazanych na podstawie artykułu 58-ego do najdalszych, zatraconych okolic, żeby tam zakładać nowe obozy.

---

\* Autor używa tu terminu „tufta”, oznaczającego w rosyjskim żargonie więziennym partanię, pracę tylko na pokaz, lub dęte podwyższanie jej cyfrowych wyników. W polskiej *kminie* „tufta” jest zaś jednym z synonimów prostytutki.

## Rozdział III

### ARCHIPELAG DAJE PRZERZUTY

Archipelag rozwijał się wszelako nie samopas, lecz łeb w łeb z całym krajem. Póki trwało w kraju bezrobocie, nie było popytu na więziarską siłę roboczą. Aresztowania miały na celu nie tyle mobilizację rąk do pracy, ile zmiatanie przeszkód z drogi. Ale gdy postanowiono przemieszczać ogromną kopyścią całe sto osiemdziesiąt milionów, gdy odrzucono plan super-uprzemysłowienia, gdy zaplanowana była zarówno akcja likwidacji kułaków, jak olbrzymie roboty publiczne pierwszej pięciolatki, w przededniu Roku Wielkiego Przełomu, zmienił się i pogląd na Archipelag, i suma spraw, dziejących się na Archipelagu.

26 marca 1928 roku Sownarkom (obradujący zatem jeszcze pod przewodnictwem Rykowa) rozpatrywał problem polityki karnej i stan miejsc odosobnienia w ZSSR. Co do polityki karnej, to uznano, że jest niedość surowa. Postanowiono<sup>1</sup>: wobec wrogów klasowych i elementów klasowo-obcych zastosować surowsze represje i obostrzyć reżym obozowy (co zaś do elementów *społecznie niepewnych*, to w ogóle nie określać górnej granicy kary). Ponadto: prace przymusowe zorganizować w ten sposób, aby ne *zwiększenie pojemności kolonii pracy*". Innymi słowy, kara przysparzały gospodarczych korzyści. A także „uznać za niezbędne *zwiększenie pojemności kolonii pracy*". Innymi słowy, karno po prostu otworzyć jak najwięcej nowych obozów w związku z planowanym przyborem fali aresztowań. (Te same gospodarze konieczności brał pod uwagę również Trocki, tyle, że propono-

---

1. *Cent. Arch. Państw. Rew. Październikowej* (CGAOR), Zbiór 343, fasc. 78, poszyt 65, ark. 369-372.

wał on utworzenie armii pracy z obowiązkowego poboru. To kwiatki z jednej łąki. Z przekory wobec wiecznego oponenta — albo może raczej z chęci odebrania ludziom wszelkiej nadziei na powrót i wszelkiej skłonności do skarg — Stalin postanowił przepuścić niedoszłych żołnierzy armii pracy przez więzienną maszynkę do mięsa). Gdy bezrobocie w ZSSR się skończyło — rozszerzenie sieci obozów nabrało *gospodarczego sensu*.

Jeśli w 1923 roku więźniów na Sołówkach było nie więcej, niż 3.000, to w 1930 roku było ich już około 50.000. Jeszcze 30.000 czekało w Kemi. Począwszy od 1928 roku — sołowiecki rak zaczął się rozprzestrzeniać — najprzód w Karelii, gdzie bito drogi i wycinano lasy na eksport.

Niemniej chętnie SŁON zaczął „sprzedawać” inżynierów: wysyłano ich do najrozmaitszych miejscowości Dalekiej Północy, gdzie mieli pracować bez konwoju; ich zarobki natomiast przelewano na konto macierzystego obozu. Na wszystkich węzłach budującej się kolei murmańskiej — od stacji Łodiejnoje Pole aż do Tajboły — istniały już w 1929 roku obozowe punkty SŁON’u. Następnie zwękslowano ruch siły roboczej na trasę prowadzącą do Wołogdy. Ruch był tak intensywny, że na stacji Zwanka trzeba było otworzyć punkt rozdzielczy SŁON’u. W 1930 roku okrzepł i usamodzielniał się Swirłag w Łodiejnym Polu, zaś w Kotłasie uformował się osobny Kotłag. W 1931 narodził się Bieł-Bałt-Łag<sup>2</sup> (centrum jego było w Miedwieżegorsku), dzięki któremu Archipelag w ciągu dwóch następnych lat miał się stać sławny na cały świat i na wieki wieków.

Złośliwa, guzowata tkanka rosła zaś i rosła. Przegrodą dla niej było z jednej strony — morze, z drugiej zaś — granica fińska. Nic jednak nie przeszkadzało w organizacji obozu pod Czerwoną Wiszerą (1929), a co najważniejsze — wolne były drogi na wschód, w głąb Rosji Północnej. Bardzo prędko zaczęła się budowa szlaku Soroka-Kotłas. („Choć w Soroce las, zbudujem na czas” — mówili sołowczanie do kolegi Sergiusza Ałymowa, który jednak nie dał się zbić z tropu i wygramolił się w końcu na stanowisko uznanego autora dziarskich tekstów do bojowych pieśni).

Przesączywszy się aż do Dźwiny Północnej, komórki obozowe dały początek narośli, zwanej Siewdwinłag. Przeniknęły na drugi brzeg tej rzeki i śmiało popęzły w stronę Uralu. W 1931 utworzona została tam Północno-Uralska sekcja SŁON’u, która

---

2. Jest to data oficjalna, w istocie zaś powstał on w 1930, ale okres organizacji został puszczony w niepamięć dla upiększenia sprawozdań i historycznych świadectw. Tu także lipa...



rychło przerodziła się w Solikamłag i Siewuramłag. Obóz w Bieżnikowie rozpoczął budowę wielkiego kombinatu chemicznego; impreza ta swego czasu doczekała się szerokiego rozgłosu. Latem 1929 wysłano z Sołówek w dorzecze arterii wodnej Czybiu ekspedycję. Kierował nią geolog M. W. Ruszczyński, w jej skład wchodził więźniowie najbardziej kłopotliwi. Chodziło o zbadanie terenów roponośnych; odkryto je jeszcze w latach 80-tych XIX wieku. Wyniki badań były nader pozytywne — i oto nad Uchtą założono obóz Uchtłag. Ale on także nie zastygł w bezruchu, lecz szybko jął dawać przerzuty na północny wschód, zajął dorzecze Pieczory i przekształcił się w Uchtpieczłag. Miał już wkrótce szereg filii: Uchtyńską, Intyńską, Pieczorską i Workuczką, które niezadługo miały się stać wielkimi, samodzielnymi obozami<sup>3</sup>.

Obozowa kolonizacja tak olbrzymich bezdroży Dalekiej Północy wymagała przede wszystkim budowy trasy kolejowej: z Kotłasu przez Kniaź-Pogost i Ropcę do Workuty. Wywołało to potrzebę organizacji jeszcze dwóch samodzielných obozów „kolejowych”: Siewżełdorłagu na odcinku Kotłas — rzeka Pieczora i Pieczorłagu (nie mylić z przemysłowym Uchtpieczłagiem!) — na odcinku Pieczora-Workuta. (Co prawda, trasę tę budowano długo. Jej odcinek Wymski, między Kniaź-Pogostem a Ropcą, gotów był już w 1938-ym, całość zaś oddano do użytku dopiero w końcu 1942-go).

W ten sposób z odmetów tudry i tajgi wyłaniały się setki średnich i małych wysp. W międzyczasie, niejako w marszu, tworzono zręby nowej organizacji Archipelagu: Zarządy Obozów, sekcje obozów, punkty obozowe (OŁP — obozy wydzielone, KOŁP — obozy o przeznaczeniu wewnątrzno-gospodarczym, GOŁP — obozy czołowe (tam, gdzie front robót był ruchomy), placówki obozowe (tam gdzie więźniów wysyłało się „na delegację”). Następnie w Zarządach stworzono odpowiednie działy, w sekcjach — oddziały: I — Produkcyjny, II — Ewidencji i Dystrybucji siły roboczej (U.R.Cz.), III — Operacyjny (tu też ta cyfra\*!).

(W uczonych zaś rozprawach pisano w tych czasach: „zarysowują się już kontury zakładów wychowawczych dla poszczegól-

---

3. Dane dotyczące lat i miejscowości, referujemy tu tak, jakby zupełnie były ścisłe, ale prosimy liczyć się z tym, że są one wynikiem zestawienia wielu przekazów ustnych. Stąd też mogą znaleźć się w nich usterki i braki.

\* Trzeci Oddział Kancelarii Jego Cesarskiej Wysokości, szczególnie wstawiony w epoce Mikołaja I, miał w swojej gestii policję tajną i cały aparat inwigilacji oraz represji politycznych.



*nych* niezdiscyplinowanych członków społeczeństwa bezklasowego<sup>4</sup>). Bo i prawda: gdy znikną klasy, to znikną też przestępcy. Ale aż dech zapiera, gdy się pomyśli, że już jutro, zacznie się bezklasowa era — i co, nikt nie będzie wtedy *siedział*? No, jakieś pojedyncze, niezdiscyplinowane wyjątki... Jak widać, bezklasowe społeczeństwo też trudno sobie wyobrazić bez mamra).

Cała północna część Archipelagu — to pomiot Sołówek. Ale nie tylko ich! Na gromki zew Centrali, obozy pracy poprawczej i kolonie karne jeły pączkować w całym ogromnym naszym kraju. Zostały zaprowadzone w każdym okręgu. Miliony kilometrów drutu kolczastego wysnuły się z motka, krzyżując się i przeplatając, iskrząc się wesoło wzdłuż kolejowych nasypów, szos i podmiejskich ulic. A narośle pokracznych wież strażniczych stały się nieodłącznym składnikiem naszego krajobrazu i tylko dziwny zbieg okoliczności sprawił, że nie widać ich było ani na naszych ekranach, ani na płótnach naszych malarzy.

W myśl tradycji, sięgającej czasów wojny domowej, dla rozbudowy sieci obozów *mobilizowano* ze szczególnym upodobaniem budynki dawnych klasztorów; istotnie, ich konstrukcja czyniła z nich idealne miejsca odosobnienia. Klasztor Świętych Borysa i Gleba w Torzku stał się zborniakiem (jest nim po dzień dzisiejszy), Wałdajski (na przeciwległym brzegu jeziora miała tam niezadługo stanąć willa Żdanowa) — stał się kolonią karną dla nieletnich, erem św. Niła na wyspie Stołbnej (na jeziorze Seliger) — został zamieniony na obóz, erem Sarowski — stał się ośrodkiem całej wiązki obozów Pot'mińskich. Spis ten można by ciągnąć w nieskończoność. Otwierano obozy w Zagłębiu Donieckim, nad górną, środkową i dolną Wołgą, na Środkowym i południowym Uralu, na Zakaukaziu, w centralnym Kazachstanie, w Azji Środkowej, na Syberii i na Dalekim Wschodzie. Stwierdza się oficjalnie, że w 1932 roku powierzchnia karnych kolonii rolnych w RSFSR wynosiła 253.000 hektarów, natomiast w Ukraińskiej SSR — 56.000 hektarów<sup>5</sup>.

Zakładając, że na jedną kolonię przypadało średnio tysiąc hektarów, dochodzimy do wniosku, że samych tylko *s i e l c h o z ó w*, to znaczy *poślednich*, najłagodniejszych obozów, było już wtedy około trzystu (i to w centrum kraju, nie licząc peryferii)!

Dekret CIK i Sownarkomu z 6. XI. 1929 (znów w przeddzień rocznicy!) bardzo uprościł sprawę przydziału różnych kate-

4. Praca zbiorowa, *Od więzień...*, str. 429.

5. *Ibidem*, str. 136-137.

gorii więźniów do odpowiednich obozów. Skasowano pojęcie „ściślej izolacji” (co przeszkadzało pracy twórczej), zarządzono natomiast, aby do *ogólnych* (tzn. bliskich) miejsc odosobnienia posyłać skazanych na kary krótkoterminowe, do trzech lat pozbawienia wolności— zaś skazanych na kary więzienia od lat trzech do dziesięciu wysyłać do miejscowości odległych<sup>6</sup>. Jako że z artykułu 58 nigdy nie dostawało się mniej niż trzy lata — cała ta fala popłynęła na Daleką Północ i na Syberię, aby ziemię tę zagospodarować i złożyć w niej swoje kości.

My zaś tymczasem — maszerowaliśmy przy wtórze werbli!...



Po Archipelagu uporczywie krąży legenda, streszczająca się w zdaniu, że „*obozy wymyślił Frenkel*”.

Wydaje mi się, że ten niepatriotyczny, a nawet uwłaczający naszej władzy, mit został w poprzednich rozdziałach obalony w sposób wystarczająco oczywisty. Chociaż mieliśmy do rozporządzenia tylko bardzo skromne środki, niemniej, wolno sądzić, że udało nam się wykazać, iż obozy, jako miejsca kary i pracy, narodziły się już w roku 1918. Nie trzeba było żadnego Frenkla, aby władza doszła do wniosku, że więźniowie nie powinni tracić czasu na umoralniające rozmyślenia („celem sowieckiej polityki pracy poprawczej wcale nie jest indywidualna poprawa w tradycyjnym sensie<sup>7</sup>”), ale powinni pracować, z tym, że normy trzeba im wyznaczyć jak największe, nieomal niewykonalne. Zanim jeszcze ktokolwiek wiedział o Frenkle, już istniało pojęcie „redukcji przez pracę” (a już od czasów Eichmansa rozumiano to jako „wytępienie przez pracę”).

Ale nawet niepotrzebny był nowoczesny, dialektyczny sposób myślenia, aby wpaść na pomysł, że warto zaprząć więźniów do ciężkich robót w niezamieszkałych okolicach. Już w 1880 roku, w carskim Ministerstwie Komunikacji zrodziła się myśl wykorzystania katorżników znad Amuru do pracy przy budowie kolei żelaznej. Katorżników po prostu do tego zmuszono, zaś przesiedleńcom karnym oraz zwykłym zesłańcom *pozwolono* pracować przy budowie trasy, co dawało im prawo do skrócenia kary o jedną trzecią lub połowę (woleli zresztą zmniejszyć ją do zera, korzystając z okazji do ucieczki). W latach 1896-1900 na odcinku obwodnicy bajkalskiej pracowało ponad 1.500 katorżników i

6. *Rocznik Ustaw ZSSR*, 1929, Nr 72.

7. Praca zbiorowa, *Od więzień...*, str. 384.

2.500 przesiedleńców karnych<sup>8</sup>. Pomysł wcale zatem nie był nowy, nie był owocem przodujących zasad wychowawczych.

A jednak Frenkel rzeczywiście stał się duszą Archipelagu. Należał do tych zawołanych działaczy, na których Historia czeka z utęsknieniem, którym rzuca swój zew. Obozy, owszem, istniały także przed pojawieniem się Frenkla, ale daleko im jeszcze było do doskonałości, nie zyskały jeszcze formy jednolitej i ostatecznej. Każdy prawdziwy prorok przychodzi wtedy właśnie, gdy najbardziej go potrzeba. Frenkel pojawił się na Archipelagu na samym początku stadium przerzutów.

Naftali Aronowicz Frenkel, turecki Żyd, urodził się w Konstantynopolu. Ukończył wyższą szkołę handlową i rozpoczął działalność w branży drzewnej. Otworzył firmę w Mariupolu i wkrótce stał się milionerem, „czarnomorskim królem drzewa”. Miał własną flotyllę transportową i wydawał nawet w Mariupolu gazetę „Kopiejka”, której głównym zadaniem było tępienie konkurencji i przypinanie jej łat. Podczas pierwszej wojny światowej Frenkel spekulował bronią, miał jakieś interesy w Gallipoli. W 1916 roku, jeszcze *przed* rewolucją lutową, wyczuł że w Rosji zbiera się na burzę, przeniósł swoje kapitały do Turcji i w ślad za nimi w 1917-ym sam wyjechał do Konstantynopola.

Mógłby dalej prowadzić to pełne błogości i trwóg życie handlowca, nie zaznałby nigdy gorzkich utrapień i nie stałby się legendą. Ale jakaś siła fatalna ciągnęła go z powrotem do kraju czerwonych<sup>9</sup>. Nie znajduje potwierdzenia pogłoska, wedle której został w tym okresie rezydentem sowieckiego wywiadu w Konstantynopolu (chyba, że z przyczyn ideowych — bo inaczej trudno zrozumieć, na co by to mu było potrzebne). Z całą pewnością natomiast wiadomo, że w latach NEP<sup>u</sup> przyjeżdża on do ZSSR i tu — na poufne zlecenie GPU — organizuje, rzekomo na własny rachunek, czarną giełdę, skupując za sowieckie papierowe pieniądze złoto i kosztowności (prekursor „złotej kampanii” GPU i Torgsinu\*). Ludzie interesu i maklerzy pamiętają go dobrze

---

8. Ogólnie jednak biorąc, w końcu XIX wieku zjawisko to na rosyjskiej katordze zaczęło po trochu zanikać: praca stawała się coraz mniej przymusowa, jej ciężar się zmniejszał. Nawet katorga w Karze w latach 90-tych przekształciła się w dość normalne więzienie, przestała być miejscem ciężkich robót. W tym samym okresie reżym ciężkich robót w Akatuju też stał się mniej surowy. (P. Jakubowicz). Zatrudnienie więc więźniów przy budowie obwodnicy bajkalskiej było chyba rezultatem chwilowego braku rąk. Czy nie widać tu także zjawiska „dwóch rogów”, albo paraboli — jak to widzieliśmy w przypadku ciężkich więzień (część I, rozdział 9-ty) — jeden róg się przytępia, drugi z kolei — się zaostrza?

9. Mam w tej sprawie własną teorię, wyłożę ją w innym rozdziale.

\* Sowiecki odpowiednik Banku PKO, istniejący w okresie NEP<sup>u</sup>.

z dawnych czasów, mają zaufanie — i złoto płynie do GPU. To źródło jednak z czasem wysycha — i w nagrodę GPU wsadza Frenkla za kraty. Najlepszej szabli zwykły kij poradzi.

Mimo to — niezmordowany i nie nazbyt obraźliwy Frenkel — jeszcze będąc na Łubiance, albo po drodze na Sołówki — coś tam zdążył zameldować, het, wysoko. Czując, że jest w matni, postanowił zapewne również ten sposób bycia poddać rzeczowej analizie. Przywieziony zostaje na Sołówki w 1927 roku, ale od razu odzielają go od transportu, lokują w kamiennym baraczkcu poza murami klasztornymi, dają mu ordynansa i zezwalają na swobodne poruszanie się po wyspie. Już napomknęliśmy, że został on naczelnikiem działu gospodarczego (funkcja sprawowana na ogół tylko przez wolnych) i że sformułował swoją słynną tezę o wykorzystaniu więźnia w ciągu pierwszych trzech miesięcy kary. W 1928 roku jest już w Kemi. Tam tworzy dochodowe przedsiębiorstwo pomocnicze. Gromadzone przez mnichów przez dziesiątki lat i odłogiem leżące w klasztornych składach skóry bydlęce — przewozi do Kemi, ściągą tam zesłanych garbarzy i szewców, po czym zaczyna zaopatrywać w modne obuwie i galanterię skórzaną specjalny sklep firmy na Kuznieckim Moście w Moskwie (zarządza nim i zbiera zyski GPU, ale damulki, kupujące tam pantofelki, nic o tym nie wiedzą — zresztą, gdy same znajdują się z kolei na Archipelagu, tego sobie nie skojarzą).

Pewnego pięknego dnia 1929 roku przylatuje po Frenkla samolot z Moskwy i zabiera go na spotkanie ze Stalinem. Najlepszy Przyjaciół więźniów (i Najlepszy Przyjaciół czekistów) przeprowadza z Frenklem trzygodzinną rozmowę — przejawiając duże zainteresowanie. Stenogram tej rozmowy nigdy nie zostanie podany do wiadomości publicznej, po prostu go nie było, ale jest jasne, że Frenkel odśłania przed Ojcem Narodów olśniewające perspektywy budowy socjalizmu kosztem pracy więźniów. Wiele szczegółów geografii Archipelagu, które teraz dopiero próbujemy opisać mizernym naszym piórem, rzuca on śmiałymi sztrychami na mapę Związku, podczas gdy jego rozmówca pyka z fajki. Właśnie Frenkel — i chyba właśnie w trakcie tego posłuchania — przedstawia projekt wszechogarniającego systemu obozowej ewidencji z podziałem na grupy A — B — C — D, nie zostawiającym żadnego luzu ani obozowej zwierzchności, ani, tym bardziej, więźniom: ktokolwiek nie należy do obsługi obozu (B), nie uznany jest za chorego (C) i nie siedzi właśnie w karczerze (D) powinien każdy dzień swojej kary chodzić w kieracie (A). Światowa historia katorgi nie znała jeszcze tak uniwersalnego systemu! Właśnie Frenkel — i właśnie podczas tej rozmowy — proponuje odrzucenie reakcyjnej zasady równości więźniów wo-

bec prawa do zarcia — i wprowadza wspólną dla całego Archipelagu metodę nowego podziału skąpej puli żywnościowej — *skalę przydziałów chleba i skalę porcji* z kotła; zapożyczył to od Eskimosów, którzy mają zwyczaj trzymania surowej ryby na długiej żerdzi przed nosami psów biegnących w zaprzęgu. Proponuje nadto odliczanie — w podwójnym wymiarze — od terminu kary dni intensywnej pracy oraz przedterminowe zwolnienie, jako nagrodę za dobrą robotę (ale tu także nie bardzo był oryginalny — w 1890 roku Czechow na Sachalińskiej katordze stwierdził istnienie zarówno jednego jak drugiego sposobu). Wtedy zapewne wytypowano też — jako pierwsze poletko doświadczalne — wielką budowę kanału Białomorskiego, gdzie przedsiębiorczy waluciarz miał wkrótce zostać powołany, nie w charakterze kierownika budowy, ani naczelnika obozu, lecz na specjalnie dla niego stworzone stanowisko „naczelnika robót” — czyli głównego nadzorcy całego pola przyszej bitwy.

Fotografia mówi o nim wszystko. Twarz jego pełna jest złej, wrogiej ludziom woli. Ale wkrótce już, w książce o Kanał Białomorskim — jeden z pisarzy sowieckich, pragnąc uwić Frenklowi wieniec sławy, tak o nim pisze: „Oczy śledczego, czy prokuratora, usta sceptyka i satyryka... Jest człowiekiem żądnym władzy i dumnym, pełnia władzy to dla niego rzecz najważniejsza. Jeśli dla dobra sprawy trzeba, aby ludzie go się bali — to niechże go się boją. Z inżynierami rozmawiał surowo, starając się ich upokorzyć<sup>10</sup>”.

Ostatnie zdanie wydaje nam się kluczowe — zarówno dla charakteru, jak biografii Frenkla.

W chwili narodzin Białomorstroju Frenkel był już na wolności, za Kanał Białomorski dostał order Lenina i nominację na szefa budowy BAMłagu („Bajkalsko-Amurska Magistrala”) — jest to tytuł na zapas, bo w 30-tych latach BAMłag buduje tylko drugie, równoległe tory Magistrali Transsyberyjskiej tam, gdzie ich jeszcze nie ma. Kariera Naftalego Frenkla wcale tu się nie kończy, ale dalszy jej ciąg lepiej będzie opisać w następnym rozdziale.



Cała długa historia ARCHIPELAGU, której poświęcona jest ta nasza domorosła, chałupnicza książka nie znalazła w ciągu półwiecza żadnego prawie odbicia w oficjalnym piśmiennictwie Związku Sowieckiego. Zawinił tu ten sam złośliwy zbieg okoliczności, dzięki któremu wieżyczki strażnicze obozów nigdy nie poja-

wiły się ani na taśmie filmowej, ani na płótnach naszych malarzy..

Nie dotyczy to jednak Kanału Białomorskiego, ani kanału Moskwa-Wołga. O każdym z nich napisano osobną księgę, księgi te mamy pod ręką i przynajmniej ten rozdział możemy pisać, opierając się na świadectwach udokumentowanych i wiarygodnych..

W rozprawach, pisanych *lege artis*, źródłowe cytaty poprzędzone są charakterystyką tekstu, skąd je wzięto. Zrobimy tutaj to samo.

Leży oto przed nami ta księga formatu niemal tak wielkiego, jak mszał, z wytłoczonym na kartonowej okładce wypukłym wizerunkiem Półboga. Księga nosi tytuł „Białomorsko-Bałtycki Kanał imienia Stalina”. Wydał ją GIZ\* w 1934 roku, autorzy zadedykowali ją XVII-emu Zjazdowi Partii; sądzić można, że zdążyła na otwarcie Zjazdu. Wydana była jako część zaprojektowanej przez Gorkiego „Historii fabryk i zakładów przemysłowych”. Oto jej redaktorzy: Maksym Gorki, A. L. Awerbach i S. G. Firin. Ostatnie z tych nazwisk, mało znane w kręgach literackich, wymaga komentarza: Siemion Firin, nie bacząc na młody swój wiek, był już zastępcą naczelnika GUŁagu<sup>11</sup>.

Dzieje tej księgi są następujące: 17 sierpnia 1933 roku miała miejsce wycieczka stu dwudziestu pisarzy, którzy z pokładu parowca obejrzeni sobie dopiero co ukończony kanał. D. P. Witkowski, więzień — kierownik robót na kanale, był świadkiem tego zwiedzania. Podczas przepuszczania statku przez śluzy, panowie w białych garniturach, z wysokości pokładu zachęcali więźniów (byli to zresztą przeważnie już ludzie z obsługi upustów, nie zaś kopacze) do rozmów i w obecności zarządców wypytywali — czy aby więzień lubi swój kanał, swoją pracę, czy uważa, że się tu moralnie poprawił, i czy zwierzchność dba o dobre warunki życia w obozie? Pytań było sporo, ale wszystkie tegoż charakteru, wszystkie rzucane przez burtę w obecności naczelników — i tylko w trakcie śluzowania parowca. Po tej wycieczce 84-ech pisarzy jakoś zdołało się wykręcić od uczestnictwa w zbiorowej pracy (ale nie jest wykluczone, że niektórzy z nich pisali swoją drogą entuzjastyczne wiersze i szkice na ten temat), pozostałych zaś 36-ciu weszło do zespołu autorskiego. Intensywnie pracując całą jesień i zimę 1933 roku — stworzyli w końcu to niepowtarzalne dzieło.

Księga pisana była niejako po to, by przetrwać wieki, by

---

\* *Gosudarstwiennoje Izdatielstwo* — Wydawnictwo Państwowe.

11. Ambicja literacka nie dawała mu spokoju, napisał o Kanale Białomorskim również własną, osobną broszurę.

potomność czytała ją z nieustającym podziwem. Ale fatalny zbieg okoliczności sprawił, że większość przywódców, sławionych w niej i uwiecznionych na fotografiach, miała zostać w ciągu najbliższych 2-3 lat zdemaskowana, jako zgraja wrogów ludu. Zrozumiałe, że cały nakład tej książki został usunięty z bibliotek i oddany na przemiał. Niszczyli egzemplarze w 1937 roku również prywatni właściciele, obawiając się wyroku za jej posiadanie. W ten sposób ocalało bardzo niewiele egzemplarzy, nadzieje na nową edycję są płonne — tym więc cięższe wydaje się nam brzemień odpowiedzialności: nie chcemy dopuścić, aby padły pastwą niepamięci idee, wytyczne i fakty, opisane w tej książce. Słuszne też będzie, jeśli zachowają się w historii literatury imiona jej autorów. Choćby takie: Maksym Gorki — Wiktor Szkwowski — Wsiewołod Iwanow — Wiera Inber — Walenty Katajew — Michał Zoszczenko — Łapin i Chacrewin — Lew Nikulin — Kornel Zielinski — Bruno Jasieński (rozdział: „Dobijmy wroga klasowego”) — Konstanty Finn.

Gorki tak tłumaczył potrzebę podobnej książki dla więźniów, budowniczych kanału: „kanałarmistom<sup>12</sup> nie starcza słów” dla dania wyrazu uczuciom, związanym z trudnym procesem przemiany — pisarze zaś mają zasób słów aż nadto wystarczający, przychodzą więc z pomocą. Potrzebę zaś tej książki dla samych pisarzy, tłumaczył, jak następuje: wielu pisarzy „... dzięki zapoznaniu się z kanałem... otrzymało silny bodziec twórczy, co na pewno wywrze doskonały wpływ na dalszą ich pracę... Teraz w literaturze pojawi się *nowy nastrój, dzięki któremu cała ona ruszy naprzód* i zdoła dorównać poziomowi naszych ogromnych osiągnięć gospodarczych” (kursywa nasza — A.S. Efekty tego procesu wyrównawczego po dziś dzień są widoczne w sowieckiej literaturze). No, a potrzeba takiej książki dla milionów czytelników (wielu z nich miało już wkrótce znaleźć się na Archipelagu) zrozumiała jest sama przez się.

Jak patrzą członkowie zespołu autorskiego na główny przedmiot ich badań? Przede wszystkim, są oni przekonani o słuszności wszystkich wyroków i winie wszystkich tych, których do budowy kanału zapędzono. Że są „przekonani” — to określenie zbyt słabe, problem ten uznają w ogóle za niepodlegający dyskusji, za rzecz nie do pomyślenia. Sprawa jest dla nich jasna, jak dzień. Korzystając szeroko ze swego zasobu słów i obrazów, wpajają czytelnikowi nieludzkie mity lat 30-tych. Pojęcie „szkodnictwa” uważają za zwornik inżynierskiej duszy. Zarówno agro-

---

12. Taki tytuł zdecydowano się im nadać dla pokrzepienia serc (a może na cześć niedoszłej Armii Pracy?).



nomowie, protestujący przeciw metodzie wczesnego siewu (co tam śnieg, czy błoto!), jak melioranci, którzy nawodnili pustynie Azji Środkowej — to dla nich tylko i wyłącznie — szkodnicy. We wszystkich rozdziałach książki, wszędzie tam, gdzie mowa jest o inżynierach, autorzy uderzają w ton lekceważenia, stosowny tylko wobec stworów podlejszych i niższego rzędu. Na stronie 125 znajdujemy twierdzenie, że *znaczna część przedrewolucyjnej warstwy inżynierskiej odznaczała się skłonnością do kręactwa*. To już nie jednostkowe oskarżenie, bynajmniej. (Tak to chyba trzeba rozumieć, że brać inżynierska zajmowała się szkodnictwem jeszcze za cara?). Pisali to zaś ludzie, z których nikt nie był w stanie wyciągnąć najprostszego pierwiastka (co wchodzi w zakres umiejętności niektórych koni cyrkowych).

Autorzy powtarzają wszystkie krążące w tych latach maniakalne brednie tak, jakby chodziło o prawdy historyczne: że w stołówkach fabrycznych usiłowano truć robotników arsenikiem; że jeśli mleko w sowchozie skisnie, to nie jest to wynik głupiej nieudolności, lecz wraża robota: wróg chce, aby kraj *puchnął z głodu* (tak to stoi napisane). W sposób ogólnikowy, bezosobowy piszą autorzy o wielogłowym *kułaku*, który *wkręcił się do fabryki i wrzucił śrubę między tryby maszyny*. A jakże, toż to znawcy serc ludzkich, mogą to sobie bez trudu wyobrazić: facet jakimś cudem uratował się od wywózki w tundry, uciekł do miasta, cudem jeszcze cudowniejszym zdołał znaleźć pracę w fabryce, gdy sam już puchnął z głodu — i teraz, zamiast myśleć o zapewnieniu rodzinie bytu — *cap za śrubę i dalejże ją między tryby!*

Z drugiej strony autorzy nie chcą i nie mogą ukryć swego zachwyty dla kierowników budowy kanału, dla pracodawców, których uporczywie — mimo, że są to już lata 30-te — nazywają czekistami, nas również zmuszając do dalszego stosowania tego terminu. Nie tylko pieją z zachwyty nad ich rozumem, siłą woli i zdolnościami organizacyjnymi, lecz wzruszeni są nimi w jakimś wyższym sensie — jako ludźmi nadzwyczajnymi. Szczególnie pocuzający jest epizod, w którym występuje Jakub Rapoport (sądząc z fotografii, nie był to człowiek głupi). Niedoszły absolwent uniwersytetu w Dorpacie, ewakuowanego podczas I-ej wojny do Woronieża, został w nowej ojczyźnie zastępcą przewodniczącego gubernialnej Czeki, a następnie zastępcą naczelnika budowy Kanału Białomorskiego. Jak relacjonują autorzy, wizytując pewnego dnia odcinek robót, doszedł do wniosku, że robotnicy źle pchają swoje taczki i zaskoczył jednego z inżynierów iście morderczym pytaniem: Czy w ogóle pamiętacie, czemu równa się  $\cosinus$  czterdziestu pięciu stopni? Inżynier poczuł się wręcz

zmiądzony i zawstydzony erudycją Rapoporta<sup>13</sup>, natychmiast skorygował swoje szkodnicze rozporządzenia i odtąd pchanie tacek osiągnęło szczyty technicznej perfekcji. Z pomocą podobnych anegdot autorzy nie tylko dodają swojemu dziełu artystycznego blasku, lecz nadto podciągają czytelników naukowo wzwyż!

Im wyższe stanowisko zajmuje dany pracodawca, z tym większą czcią piszą o nim autorzy. Niebotycznymi pochwałami obsypują Mateusza Bermana<sup>14</sup>, naczelnika GUŁagu. Mnóstwo zachwy-tów budzi postać Łazarza Kogana, byłego anarchisty, który w 1918 roku przeszedł na stronę zwycięzców, został bolszewikiem, wykazał się oddaniem na stanowisku naczelnika Oddziału Specjalnego IX Armii, był później komendantem wojsk OGPU, następnie jednym z organizatorów GUŁagu, a teraz jest naczelnikiem budowy Kanału Białomorskiego. Z tym większym ferworem autorzy podpisują się pod charakterystyką, jaką daje tenże Kogan *żelaznemu narkomowi*. „Towarzysz Jagoda — to nasz zwierzchnik najwyższy, kierujący całą naszą codzienną pracą”. (To właśnie najbardziej zaszkodziło tej książce! Pienia ku czci Jagody i jego portret wyrwano nawet z egzemplarza, który trafił do naszych rąk, a zdjęcia jego długo musieliśmy szukać).

Tym bardziej przesiąkły tym tonem obozowe broszury. Na przykład: „Na służę nr 3 przybyli dostojni goście (portrety ich wiszą w każdym baraku) — towarzysze Kaganowicz, Jagoda i Berman. Łopaty zaczęły migać żwawiej. *Tam, na górze* rozkwitł uśmiech — i odbił się na setkach twarzy w wykopie<sup>15</sup>”. To samo słyszy się w oficjalnych pieśniach:

„*Sam Jagoda nas wieździe i uczy,  
Oko bystre ma, rękę — niechybną*”.

Nietajony podziw dla obozowego stylu życia podpowiada autorom następującą apostrofę: „Choćby los pchnął cię do najodleglejszych zakątków Związku, choćby głuchy to był kąt, a ciemnota panowała naokół, zawsze znajdziesz ostoję porządku... sprawności i trzeźwej myśli... — w każdej placówce OGPU”. A jakież to placówki GPU działają w rosyjskiej głuszcy? — tylko

13. A wielkość tego cosinusa Rapoport podał mylnie — patrz *Kanał Białomorsko-Bałtycki*, str. 107.

14. M. Berman — M. Boriman — nazwiska znów różnią się tylko o jedną literkę — Eichmans — Eichman...

15. J. Kuziemko, *3-cia służa*, wyd. KO Dmitłagu, 1935. „Nie podlega rozpowszechnieniu poza obrębem obozu”. Jako że publikacja to rzadka, mamy dla czytelników inną jeszcze kombinację nazwisk: „Kaganowicz, Jagoda i Chruszczow wizytują obozy nad Kanałem Białomorskim” — D. D. Runes, *Despotism*, New York, 1963, str. 262.

obozy. *Obóz jako ognisko postępu* — oto probierz poziomu tego źródła historycznego.

Sam naczelny redaktor tomu też wypowiedział się jasno. Przemawiając na ostatnim zjeździe budowniczych Kanału 25. VIII. 1933 w mieście Dmitrowie (bo już przeniesiono ich na budowę kanału Moskwa-Wołga), Gorki oznajmił: „Od roku 1928 przyglądam się procesowi reedukacji ludzi, prowadzonej przez OGPU”. (To znaczy — że zaczął się przyglądać jeszcze przed wizytą na Sołówkach, jeszcze przed historią z tym chłopcem, co go rozstrzelano, przyglądał się już od chwili powrotu do ZSSR). I nie kryjąc już łyzy wzruszenia tak zakrzyknął do obecnych na tej uroczystości czekistów: „Toć wy, diabły rogate, sami jeszcze nie wiecie, czegoście dokonali!...”. Autorzy czynią uwagę, że czekaści *uśmiechnęli* się tylko w odpowiedzi. (Już ONI wiedzieli, czego dokonali...). O *przesadnej skromności* czekistów pisze Gorki w tekście tejże książki. (To ich wzdraganie się przed rozgłosem jest cechą zaiste wzruszającą).

Zespół autorski nie przemilcza po prostaku epidemii zgonów przy budowie Kanału; autorzy nie trzymają się więc tchórzliwej metody *półprawd*, lecz piszą wręcz (str. 190), że na Kanale *nikt* nie umiera! (Kalkulacja ich tak zapewne wygląda: sto tysięcy stanęło do roboty, sto tysięcy robotę zakończyło. Wyrzucają tylko poza nawias wchłonięte i strawione transporty, oraz żniwo dwóch srogich zim. Ale to już proceder w stylu cosinusa szachrajskiej czeredy inżynierskiej).

Autorzy nie znajdują niczego godniejszego zachwytu od obozowej harówki. W pracy niewolniczej widzą oni jedną z najwyższych form świadomej, żarliwej twórczości. Oto teoretyczna podstawa procesu reedukacji: „Przestępcy — to ofiary dawnych ohydnych warunków życia, kraj nasz jest zaś piękny, potężny i *wspaniałomyślny*, trzeba go dalej zdobić”. Zdaniem autorów, wszyscy ci ludzie — których na budowę kanału spędzono, nigdy w życiu nie znaleźliby sobie drogi, gdyby zacni pracodawcy nie kazali im połączyć morza Białego z Bałtyckim. A to dlatego, że „*surowiec ludzki* poddaje się obróbce o wiele trudniej, niż drzewo” — co za język! jaka głębia obserwacji! a któż to powiedział? — to Gorki tak mówi w tekście książki, występując polemicznie przeciw „sychowi gołosłownego humanizmu”. Nawet Zoszczenko, po głębokim namyśle stwierdza: „do przemiany dochodzi nie z chęci zasłużenia sobie na przedterminowe zwolnienie (a więc jednak tak można było podejrzewać? — A.S.) — tylko w trybie rzeczywistej przebudowy świadomości i pojawienia się w duszy robotnika dumy z udziału w budowie”. O, znaw-

co dusz! Pchałeś ty kiedy taczki na kanale — i to dostając tylko karną pajkę?...

Tą właśnie wspaniałą księgą, która tak wślawiła literaturę sowiecką, będziemy się kierować przy omawianiu dziejów Kanału.

Jak doszło do tego, że pierwszą wielką budową Archipelagu stał się właśnie Kanał Białomorski? Czy Stalina przypiliła jakaś paląca potrzeba gospodarcza lub strategiczna? Gdy przebrniemy już przez dzieje tego przedsięwzięcia — na pewno dojdziemy do wniosku, że nie było takiej potrzeby. Czy może pchnęła go do tego szlachetna chęć współzawodnictwa z Piotrem Pierwszym, który tą samą trasą przetoczył po drewnianych balach swoją flotę? Albo z carem Pawłem — bo za jego panowania wysunięty został pierwszy projekt przebicia takiego kanału? Wątpliwe — aby Wszystkowiedzący coś o tym wiedział. Stalinowi potrzebna była *jakakolwiek* wielka impreza budowlana, która by pozwoliła na wykorzystanie mnóstwa niewolniczych rąk i wytrzebienie mnóstwa ludzi (nadmiar ich pojawił się w rezultacie procesu rozkułaczania) — z niezawodnością komory gazowej, ale w sposób znacznie tańszy, stanowiąca przy tym wiecznotrwały pomnik ku jego czci, potężniejszy od piramid. Na niewolniczym Wschodzie, który Stalin umiłował i skąd najwięcej wzorów zaczerpnął, lubiono konstruować wielkie „kanały”. I widzę to nieomal, jak — z lubością wodząc okiem po mapie Północnej Rosji, gdzie rozmieszczona była naówczas większość obozów — Władca cybuszkiem fajki prowadzi przez środek tego kraju linię od morza do morza.

Obwieszczając początek robót, trzeba było koniecznie rozgłosić, że budowa jest terminowa, pilna. Bo też nic *nie* pilnego nie robiło się w tych latach w naszym kraju. Gdyby *nie* uznano budowy za tak pilną, to nikt nie uwierzyłby w jej decydujące znaczenie — a nawet więźniowie, zdychając pod przewróconą taczka, powinni byli wierzyć w wagę tej pracy. Gdyby nie była tak pilna i ważna, to nie zdychaliby przecież, nie wymiataliby samych siebie z placu budowy nowego społeczeństwa.

„Kanał powinien być zbudowany w krótkim terminie i przy najmniejszych *kosztach własnych* — takie jest zalecenie towarzysza Stalina!” (A kto te czasy pamięta, ten wie, co to znaczyło — ZALECENIE TOWARZYSZA STALINA!) *Dwadzieścia miesięcy!* — oto czas, jakiego Wielki Wódz udzielił swoim przestępcom zarówno na budowę kanału, jak na poprawę: od września 1931 roku do kwietnia 1933. Tak mu było pilno, że nie dał im nawet dwóch pełnych lat. Dwieście dwadzieścia sześć kilometrów. Skalisty grunt. Teren zavalony głazami moreno-

wymi. Moczary. Siedem śluz „Schodów powienieckich”, dwanaście stopni wodnych na długim stoku, opadającym ku morzu Białemu. A przy tym — „to nie Dnieprostroj, którego konstruktorzy mogli liczyć na długie terminy, oraz dewizy. Budowa Kanału Białomorskiego zlecona została OGPU i nie przewidziano na nią ani kopiejki w dewizach!”

Teraz cały zamiar staje przed naszymi oczyma w pełniejszym świetle: ten kanał tak jest potrzebny Stalinowi i krajowi, że — ani kopiejki w dewizach. Niech pracuje przy jego budowie 100.000 więźniów naraz — czy trzeba jeszcze jakiegoś cenniejszego kapitału? I zakończyć mi kanał w ciągu 20-tu miesięcy! Ani dnia zwłoki!

Tu dopiero szewska pasja ogarnia na myśl o postępowaniu inżynierów-szkodników. Powiadają: trzeba zacząć od betonowych umocnień. Czekał na to: nie ma czasu. Inżynierowie: potrzeba dużo żelaza. Czekał: zastąpcie je drewnem! Inżynierowie mówią: potrzebne są ciągniki, dźwigi, maszyny budowlane! Czekał: nic z tych rzeczy, ani kopiejki dewiz na import, poradzicie gołymi rękami.

W cytowanej książce nazywa się to: „Śmiałym formułowaniem przez czekistów zadań technicznych<sup>16</sup>”. Znow ten cosinus Rapoport...

Tak nam pilno, że dla realizacji tego polarnego projektu przysyłamy ludzi z Taszkientu, hydrotechników i melioratorów z Azji Środkowej (dziwnym trafem akurat ich wyaresztowano). Z grupy tej uformowano w Zaułku Furkasowskim (na tyłach Wielkiej Łubianki) Specjalne (znow *specjalne*, to ulubiony termin!) Biuro Konstrukcyjne<sup>17</sup>. Zresztą czekista Iwanczenko zapyta przy tej okazji inżyniera Żurina: „Po co w ogóle jakieś nowe prace, skoro istnieje projekt kanału Wołga-Don? Budujcie w oparciu o ten wzór”.

Tak nam pilno, że Biuro zaczyna pracę nad projektem jeszcze przed zbadaniem terenu przyszłej budowy! Posyłamy swoją drogą ekspedycje badawcze do Karelii. Ale nikt z konstruktorów nie ma prawa wyjść za próg pracowni, tym bardziej zaś być posłanym do Karelii (chodzi o czujność). Dlatego wszystko załatwia się telegraficznie: jak tam bieżą poziomice? a jak tam z gruntem?

Tak nam pilno, że całe składy kolejowe pełne zeków przy-

16. Kanał Białomorsko-Bałtycki, str. 82.

17. Była to zatem jedna z pierwszych szaraszek, czyli Rajskich Wysp Archipelagu. Zwracają mi tu uwagę na istnienie jeszcze innej: SBK w Zakładach Izorskich, gdzie skonstruowano pierwszą walcownicę automatyczną żelaza (*bluming*).

bywają jeden po drugim na projektowaną trasę, a tam jeszcze ani śladu baraków, zaopatrzenia, narzędzi, ani konkretnego planu — co właściwie mają robić? (Nie ma baraków — za to już nadeszła wczesna północna jesień. Nie ma narzędzi — za to biegnie już pierwszy z dwudziestu miesięcy<sup>18</sup>).

Tak nam pilno, że — przybyli nareszcie na trasę — inżynierowie nie mają papieru kreślarskiego, liniałów, pluskiewek (!) ani nawet światła w prowizorycznej pracowni. Pracują w baraku przy kagankach, zupełnie, jak podczas Wojny Domowej! — pieją w upojeniu nasi autorzy!

Figlarnym tonem zawołanych wesołków opowiadają nam oni, jak to niewiasty poprzyjeżdżały na budowę w jedwabnych sukniach, a tu im z miejsca każą brać się do taczki! I „kogóż tu nie ma w tej Tugundzie! Stykają się nos w nos byli studenci, esperantyści, towarzysze broni z białogwardyjskich pułków!”. Białogwardziści dawno już się spotkali na Sołówkach, ale że studenci i esperantyści też muszą pchać białomorskie taczki, o, za tę informację wypada autorom podziękować! Zrywając prawie boki ze śmiechu prawią nam dalej: nazwożono tu z krasnowodzickich obozów, ze Stalinabadu, z Samarkandy hurmę Turkmenów i Tadżyków w bucharskich chałatach i w turbanach — a tu karelskie mrozy! to ci dopiero siurpryza dla basmaczy! A tu norma wynosi — *rozkruszyć dwa metry sześciennie granitowej skały i wywieźć je na taczkach o sto metrów!* A śnieg prószy i zasypuje wszystko, taczki koziołkują z trawów w śnieg. Tak to jest.

Ale dopuśćmy autorów do głosu: „taczki suną niepewnym zygakiem po mokrych dechach, wciąż się przewracając<sup>19</sup>”; „człowiek z taczką przypominał konia zaprzęzonego w dwa dyszle<sup>20</sup>”; „trzeba godziny, aby załadować taczkę” — nawet nie odłamkami skały, lecz zmarzłą ziemią. Albo taki obrazek: „W szpetnym wądole, przyprószonym śniegiem, pełno było ludzi i kamieni. Ludzie brodzili w śniegu, potykając się o głazy. Po dwóch, po trzech pochylali się nad głazem, oplatali go rękoma i starali się ciężar ruszyć z miejsca. Głaz ani drgnie. Wtedy wołali na pomoc czwartego i piątego...”. Ale tu zjawia się na widowni technika naszego wspaniałego stulecia: „głazy z zapadlin wyciąga się z pomocą *sieci*” — sieć zaś ciągnie się liną, lina natomiast — „nawijana jest na bęben, obracany przez konia w kieracie”! Albo inny sposób: *drewniane żurawie* do podnoszenia ciężarów. Oto pierwsze *mechanizmy* Kanału.

18. Dodajmy kilka li p n y c h miesięcy okresu organizacyjnego, nie objętych żadną sprawozdawczością.

19. *BBK*, str. 112.

20. *Ibidem*, str. 113.

I to mają być szkodnicy? Ależ to genialni technicy! z XX-go wieku przerzucono ich w wiek jaskiniowy — i patrzajcie tylko, dali sobie radę!

Zasadniczy rodzaj transportu na budowie kanału? taczki, jak dowiadujemy się z książki. A są tu także *białomorskie Fordy!* Są to po prostu ciężkie, drewniane platformy, które stawia się na czterech okrągłych balach drewnianych, podkładanych na zmianę: dwa konie ciągną takiego *Forda* i odwożą z trasy duże głazy. Taczki zaś pcha się we dwójkę: na stromiznach pomocnik ciągnie je z pomocą haka. A jak ścinać drzewa tam, gdzie nie ma pił, ani siekier? Tu też pomaga nasza *smykałka* — przywiązuje się do drzewa parę lin i brygady szarpią je na przemian w różne strony, żeby drzewo rozchwierutać i obalić! Nasza *smykałka* wszystkiemu poddała! — a dlaczego? A dlatego że KANAŁ JEST BUDOWANY Z INICJATYWY I NA ZLECENIE TOWARZYSZA STALINA! — tak stoi w gazecie i to się powtarza przez radio co dnia.

Wyobraźcie sobie takie pole bitwy, a na nim czekistów „w długich, popielatych szynelach, albo w skórzanych kurtkach”. Jest ich wszystkiego 37-miu na 100.000 więźniów, ale — kochani są przez wszystkich i ta miłość właśnie głazy przynosi. Oto przystanęli na chwilę — towarzysz Frenkel skinął ręką, towarzysz Firin cmoknął wargami, towarzysz Uspienski (ojcobójca? kat z Sołówek?) nie odezwał się ani słowem, a właśnie ta chwila zdecydowała o losach tysięcy ludzi w trakcie dzisiejszej mroźnej nocy, albo nawet w ciągu całego polarnego miesiąca.

Na tym właśnie polega wielkość tej budowy, że obchodzi się ona bez współczesnej techniki i bez żadnych dostaw z głębi kraju! „Nie, to tempo nie ma nic wspólnego z kalekim kapitalizmem europejskim, czy amerykańskim. To tempo socjalistyczne!” — twierdzą z dumą autorzy<sup>21</sup>. (W latach 60-tych dowiedzieliśmy się już, że to zwie się *wielkim skokiem*). Cała książka wynosi pod niebiosy nie co innego, tylko techniczne zacołanie i zwykłe chałupnictwo. Nie ma wyciągów mechanicznych? Nie szkodzi, będziemy mieli własne! — i produkuje się tzw. *derricki*, żurawie z drzewa, w których tylko części, podlegające tarciu, odlewane są z metalu własnym przemysłem. „Mamy własny przemysł na kanale!” — cieszą się nasi autorzy. *I kółka do taczek* też odlewają domowym sposobem!

Tak pilnie potrzebny był ten kanał całemu krajowi że nie znalazło się dla niego nigdzie kół do taczek! Dla leningradzkich stalowni było to zadanie ponad siły!

21. *BBK*, str. 356.



Nie, byłoby niesprawiedliwie porównywać z egipskimi piramidami tę najbardziej barbarzyńską konstrukcję XX wieku, ten transkontynentalny kanał, zbudowany z pomocą łomów i tacek: toć piramidy budowane były w całym majestacie *im współczesnej* techniki! Nasza zaś technika pochodziła sprzed czterdziestu wieków!

Na tym polegał ten mechanizm zagłady. Nie stać nas było na gaz do komór gazowych.

Spróbujcie no być inżynierem w tych warunkach. Wszystkie zapory wodne — usypane są z ziemi, wszystkie upusty — drewniane. Gruntowe zapory co i rusz przepuszczają wodę. Jak je tu uszczelnić? — wciąż ubija się ziemię walcami z konnym zaprzęgiem. (Prócz więźniów — jeszcze tylko koni nie żałuje Stalin, a z nim kraj cały — bo to przecież kułackie bydłota, też na wymarcie). Bardzo trudno uchronić od przecieków również konstrukcje drewniano-gruntowe. Ale trzeba żelazo zastąpić drewnem! — więc inżynier Masłow obmyśla i wprowadza romboidalne drewniane wierzeje śluz. Nie ma betonu nawet na obwałowania ścian śluzu! — czym tu je utwierdzić? Ktoś przypomina sobie staroruskie szańce — drewniane, podwójne tyny, piętnastometrowej wysokości: między te dwie ściany sypało się ziemię. Stosuj więc, człowieku, technikę jaskiniową, ale odpowiedzialność masz ponosić według praw wieku XX-go: jeśli gdzieś woda tamę zerwie — to musisz dać głowę.

Żelazny narkom Jagoda tak pisze do inżyniera naczelnego, Chrystalowa: „Jak wynika z dostarczonych mi informacji (to znaczy — raportów donosicieli, oraz meldunków Kogana, Firina i Frenkla), nie widać, abyście przejawiali należną aktywność i zaangażowanie. Rozkazuję wam natychmiast dać odpowiedź, czy macie zamiar natychmiast (to ci dopiero styl, prawda?... ) ...zabrać się do roboty, jak należy... i skłonić do uczciwej pracy tę część inżynierów (którą? kogo mianowicie?), która zajmuje się sabotażem i łamie plany...”. Jaką tu dać odpowiedź? Toć życie miłe... „Przyznaję, że przejawiałem karygodną tolerancję... wina moja polega na niewybaczalnej opieszałości w pracy...”.

A tymczasem w uszach dudni bez ustanku: „KANAL BUDOWANY JEST Z INICJATYWY I NA ZLECENIE TOWARZYSZA STALINA!”.

„Głośniki w baraku, na trasie, nad wodą, w karelskiej chałupie, na ciężarówkach, *nie milknące* ani we dnie, ani *w nocy* (pomyślcie!), te niezliczone czarne usta, czarne maski bez oczu (niezły obraz!) bez chwili przerwy oznajmują krzykiem, co myślą o budowie czekałci całego kraju, co mówi o niej partia. Więc

ty też masz myśleć to samo! Więc ty też mów to samo! „Przeobrażmy przyrodę, a zyskamy swobodę!” Niech żyje współzawodnictwo socjalistyczne i praca szturmowa! Współzawodnictwo między brygadami! Współzawodnictwo między „falangami” (250-300 ludzi); Współzawodnictwo kolektywów pracy! Współzawodnictwo jednej służby z drugą! W końcu współzawodniczą nawet wartownicy z więźniami<sup>22</sup>! (Wartownicy zobowiązali się chyba, że lepiej będą pilnowali tych drugich?).

Ale najbardziej tu się liczy na elementy *społecznie bliskie*, to znaczy — na złodziei! (Te pojęcia już się na kanale sprzęgły). Rozczulony Gorki krzyczy do nich z trybuny: „Ależ byle kapitalista potrafi nagrabić więcej, niż wy wszyscy do kupy!”. Fetniacy wyją, ujęci tym komplementem. „I gorące łzy trysnęły z oczu byłego kieszonkowca<sup>23</sup>”. Liczymy na to, że *romantyzm świata przestępczego* uda się obrócić na pożytek budowy. Pochlebstwo pada na podatny grunt. Złodziej, zasiadający w prezydium zlotu, oznajmia: „Dwa dni z rządu nie dowożono chleba, ale to dla nas betka! (już tam oni zawsze coś sobie „organizują”). Dla nas to jest ważne, że tu się nas traktuje, jak ludzi (czego nie mogą o sobie powiedzieć inżynierowie). Skaży tu u nas takie, że im żaden świder nie da rady. Nie szkodzi, jakoś im radę dajemy”. (Czym więc to robią? I k t o właściwie to robi?...).

Tu wyciąga się wnioski z teorii walki klas: w obozie szukamy swojaków, aby zwalczać obce elementy. Nie ma w książce danych, jaki jest wikt brygadzystów na Kanale, ale mamy pod ręką relację naoczego świadka (I.D.T.) o obozie w Biereznikach: brygadziści (sami knajacy) mieli *osobną kuchnię* i przydziały wyższe niż wojsko. Wszystko po to, żeby pięści mieć krzepkie i wiedzieć PO CO się je zaciska.

W 2-gim punkcie obozowym szaleją kradzieże, ludziom wyrywa się z rąk jadło i talony na bałandę, ale żadnego knajaka nie pozbawia się za to honorowego tytułu szturmowca: to nie podkopuje ich społecznej pozycji, nie może zaćmić ich osiągnięć produkcyjnych. Żarcie na plac budowy dociera już wystygłe. Kto rozwiesi mokrą odzież do suszenia — już jej nie znajdzie. Nie szkodzi, jakoś *dajemy radę!* Powieniec jest *osiedlem karnym* — panuje w nim chaos i bałagan. Chleba tu się nie wypieka, trzeba sprowadzać z Kemi (rzućcie okiem na mapę!). Na odcinku Szyżnia jeść dają grubo niżej normy, w barakach ziab, wszy ludzi oblaży, wszyscy tu chorują — nie szkodzi, jakoś dajemy radę!

22. *BBK*, str. 153.

23. J. Kuziemko, 3-cia służa.

Kanał budowany jest z inicjatywy... Wszędzie PBWK — punkty bojowe kult-wych! (Chuligan, dopiero co przystany do obozu, od razu zostaje wychowawcą). Stały alarm bojowy! Ze środy na piątek proklamuje się *szturmową noc* — pod hasłem *walki z biurokracją!* Pod koniec roboczego dnia, już wieczorem, chodzą w budynku biurowym od izby do izby kaowcy i *szturmują*. Oznajmia się nagle, że nastąpił *zawał* (nie w kopalni, chodzi o procent wykonania planu) na odcinku Tungud. SZTURM! Podejmuje się uchwałę o *zdwojeniu norm produkcyjnych!* Ni mniej ni więcej<sup>24</sup>! Ni stąd, ni z owąd jakaś brygada przekracza plan dzienny o 825%! Niech to zrozumie, kto potrafi! To znów proklamuje się powszechny *dzień rekordów!* Trzepnąć tych, co nie nadążają za tempem pracy! A tu znów wydają jakiejś brygadzie premię: pierożki (gęby na zdjęciu jakieś głodomorskie, chwila dawno wyteśkniona — a radości jakoś nie widać...).

Na oko wszystko jednak biegnie przewidzianym torem. Latem 1932-go Jagoda objechał całą trasę i zdawało się, że nasz kochany panisko jest kontent. Aliści już w grudniu przysłał depeszę: norm nikt nie przestrzega; dość tego bezcelowego przeganiania tysięcy ludzi z miejsca na miejsce! (tu mu wierze! jakbym to widział!). Zespoły *wloką* się do pracy pod *słtowiastymi* sztandarami. Kontrola wykryła, że — gdyby wierzyć waszym sprawozdaniom — to już *parokrotnie* wykopano całą przewidzianą w planie ilość gruntu! — a kanał wciąż nie ukończony! Nieudolni kierownicy robót zasypują wądoły nie szutrem, tylko lodem! A wiosną lód topnieje i woda przerwie tamy! Nowe hasła dla kultwychu: „Fucha — to groźna broń kontrewolucji!” (a w dziedzinie fuchy knajacy wiodą prym: ten lód zamiast ziemi — to na pewno ich pomysł, poznaję bez trudu!). Albo takie hasło: „Partacz — to wróg klasowy!” i kryminalni otrzymują rozkaz demaskowania *lipy produkcyjnej* oraz kontrolowania urobku *brygad, złożonych z kaerów!* (Jest to najlepsza okazja do przepisania urobku kaerów na rachunek własny). Fucha — to próba pokrzyżowania wszystkich produkcyjnych i wychowawczych planów GPU — oto czym jest ta straszliwa fucha! Fucha — to grabież własności socjalistycznej! — oto czym jest fucha! W lutym 1933 roku pozbawia się wolności inżynierów, już przedterminowo wypuszczonych — bo kontrola wykryła gdzieś fuszerkę.

Taki zapał, tyle entuzjazmu — skąd więc tyle tej fuchy? I czemu to wieźniowie ją sobie upodobali?... Jasne, że ktoś tu chce przywrócić kapitalizm. Na pewno działa tu czarna ręka białej emigracji.

24. *BBK*, str. 302.

W pierwszych dniach 1933 roku nowy rozkaz Jagody: wszystkie kierownictwa robót przekształcić w *sztaby oddziałów bojowych*! 50 % aparatu administracyjnego posłać na budowę (a łopat aby starczy?...). Pracować — na 3 zmiany (noc tu prawie już polarna)! Wikt wydawać wprost na trasie (wystygły!). A za fuchę — pod sąd!

W styczniu — SZTURM DZIAŁU WODNEGO! Wszystkie falangi — z kuchniami polowymi i całym wyposażeniem postane zostają na jeden odcinek. Nie dla wszystkich starczyło namiotów, śpią ludziska na śniegu, co tam! DAMY RADE! Kanał budowany jest z inicjatywy...

Z Moskwy przybywa rozkaz Nr 1: „aż do końca robót proklamować *nieustający szturm!* Po fajrancie — posyła się do łopaty maszynistki, biuralistki i praczki.

W lutym — zakaz widzeń z krewnymi na całym obszarze Bieł-Bałt-Łagu — już to z obawy przed epidemią duru plamistego, już to — aby docisnąć zeków.

W kwietniu — nieprzerwany, 48-miogodzinny szturm — hurrrraaa! TRZYDZIEŚCI TYSIĘCY LUDZI NIE ŚPI!

I 1 maja 1933 roku narkom Jagoda raportuje ukochanemu Nauczycielowi, że kanał zakończono w przewidzianym terminie.

W lipcu 1933 Stalin, Woroszyłow i Kirow udają się na miłą przejażdżkę parostatkiem, by zwiedzić trasę kanału. Istnieje znane zdjęcie: siedzą sobie na pokładzie na fotelach z wikliny, „dowcipkują, śmieją się, palą”. (A Kirow już jest skazany na śmierć, tylko, że jeszcze o tym nie wie).

W sierpniu zwiedziło kanał 120-tu pisarzy.

Nie sposób było znaleźć na miejscu ludzi do obsługi kanału, trzeba było przysłać wysiedlonych kułaków („specprzesiedleńców”). Berman sam wybierał miejsca na przyszłe osady.

Większa zaś część „żołnierzy armii kanału” posłana została na budowę następnej magistrali wodnej — Wołga-Moskwa<sup>25</sup>.

Oderwijmy się na chwilę od tej zespołowej Księgi Szyderców.

Sołówki miały opinię wystarczająco ponurą, ale wyspiarze, których przeniesiono na Kanał Białomorski i tu kazano im spędzić resztę kary (albo i resztę życia) — teraz dopiero zrozumieli, że

---

25. Na sierpniowym zlocie „kanałoarmistów” Łazarz Kogan oznajmił: „Nie za górami już ten złot, który będzie ostatnim w dziejach systemu obozów... Nie za górami już ten rok, miesiąc i dzień, kiedy już w ogóle nie będą potrzebne nam obozy pracy poprawczej”. Ponieważ — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — rozstrzelano go, więc nie dowiedział się nigdy, jak strasznie się mylił. A zresztą, może sam już nie wierzył, w to, co mówił

skończyły się żarty, tu dopiero poczuli czym pachnie prawdziwy obóz, który stopniowo poznaliśmy wszyscy. Zamiast sołowieckiej ciszy — niemilknący ani na chwilę zgiełk wyzwisk i dziki hałas ciągłych zwad — na przemiany z gromowymi odgłosami agitacyjnych tyrad. Nawet w barakach punktu obozowego w Miedwieżegorsku, więc przy samym zarządzie Bieł-Bałt-łagu, spano na „wagonetkach” (już je wtedy wprowadzono) nie po czworo, — tylko po ośmioro: na każdej półce spało dwóch więźniów na waleta. Zamiast kamiennych budynków poklasztornych — przewiewne i prowizoryczne baraki, albo namioty, albo nawet — śnieg zamiast pościeli. Ci, których przeniesiono z Bieżezników, gdzie pracowało się też po 12 godzin dziennie, twierdzili że tu jednak ciężiej. Dni rekordów. Szturmowe noce. „Od nas — wszystko, dla nas — nic!...”. W ścisku i rozgardiaszu rozsadza się skały dynamitem, stąd — wielu okaleczonych i zabitych. Wystygła bałanda, którą chłęptać trzeba wśród skał. Jak tu ludzie pracują — to już wiemy. Co tu ludzie jedzą? — a co mogą jeść w latach 1931-33? (Skrypnikowa twierdzi, że nawet w miedwieżegorskiej stołówce dla wolniaków dawano na obiad mętną bryję z rybich łebków z paroma ziarnami kaszy<sup>26</sup>). Odzież — własna, póki się grzbietu trzyma. I tylko jeden okrzyk, jeden rozkaz: „Prędej!... Prędej!...”.

Powiadają, że pierwszej zimy — z 1931 na 1932 zginęło tu sto tysięcy ludzi — tylu właśnie, ilu liczyła załoga kanału. Czy to niewiarygodne? Jest to liczba chyba nawet niższa od rzeczywistej: w podobnych warunkach, w obozach czasu wojny, śmiertelność wynosiła *jeden procent dziennie* — i była to cyfra wszystkim znana, wcale nie nadzwyczajna. Tak, że na Kanale sto tysięcy mogło zginąć w ciągu niespełna czterech miesięcy. A przecież miało minąć jeszcze jedno lato. I jeszcze jedna zima.

D. P. Witkowski, dawny więzień Sołówek, zatrudniony na Kanale w charakterze kierownika robót, który z pomocą sławetnej fuchy (to znaczy — przez dopisywanie do sprawozdań dętych cyfr urobku) niejednemu uratował życie — tak opisuje pewien cichy wieczór:

„Po zakończeniu dniówki na trasie zostają trupy. Śnieg prószy, zaciąga ich twarze. Ktoś tam skulił się pod przewróconą taczka, wsunął dłonie w rękawy i tak zamarznął. Ktoś inny zastygł

---

26. Zresztą, ta sama informatorka podaje, że uciekinierzy z Ukrainy cisnęli się do Miedwieżegorska, starając się o pracę gdzieś w pobliżu obozu, aby jakoś uniknąć śmierci z głodu. *Zeki wynosili im z zony co tylko mogli, żeby poratować ziomek!* Całkiem prawdopodobne. Tylko, że z Ukrainy nie wszyscy potrafili się wyrwać.

z głową między kolanami. Tam zamarzło dwóch naraz, wspartych o siebie plecami. To chłopcy ze wsi, najlepsi robotnicy, jakich sobie można wyobrazić. Posyłają ich na kanał całymi dziesiątkami tysięcy, a starają się przy tym, żeby w danym obozie żaden z nich nie znalazł się razem ze swoim tatą, celowo ich się rozdziela. I od pierwszej chwili dają im taką normę przy ładowaniu żwiru i kamieni, jakiej nawet latem wykonać nie sposób. Nikt im nie przemówi do rozumu, nie uprzedzi zawczasu, więc oni — jak to robili w gospodarstwie — oddają wszystkie swoje siły, szybko też słabną — i zamarzają, obejmując się wzajem. Nocą krążą tu zaprzęgi i zbierają umarłych. Zwłoki na sanie woźnice rzucają z drewnianym łoskotem.

Latem zaś, z niezebranych w porę trupów zostają tylko szkielety — i kości zmieszane z szutrem trafiają do betoniarki. Pełno ich w betonie ostatniej śluzu pod osiedlem Biełomorsk, zostały w niej na zawsze<sup>27</sup>.

Gazetka Biełomorstroju pisała z rzewnym zachwytem, że „liczni żołnierze armii Kanału, przejęci pięknem wielkiego celu” — w wolnych chwilach (i — rzecz jasna — wcale nie licząc na dodatkową porcję chleba) wykładają cembrowiny kanału kolorowymi kamieniami — wyłącznie dla efektu artystycznego.

Skoro tak, to mogli z powodzeniem uwiecznić na skarpach sześć nazwisk — sześciu pachołków Stalina i Jagody, naczelników nadzorców Białomorzu, sześciu zbirów: na rachunek każdego z nich odnieść można by po trzydzieści tysięcy ofiar. Są to: Firin — Berman — Frenkel — Kogan — Rapoport — Żuk.

A wartałoby też dopisać tu nazwisko naczelnika ochrony — Brodzkiego. I kuratora Kanału z ramienia WCIK — Solca.

No i wszystkich tych 37 czekistów, którzy byli na kanale.

Jeszcze tych 36 pisarzy, którzy Kanał opiewali<sup>28</sup>. Nie zapominając przy tej okazji o Pogodinie\*.

Żeby wycieczkowicze z pokładu turystycznych parostatków mogli to poczytać sobie i podumać chwilę.

Kiedy w tym sęk, że żadnych wycieczkowiczów tu nie ma.

27. D. Witkowski, *Pół życia*.

28. Aleksy N. Tołstoj, który wraz z resztą kolegów zwiedził trasę kanału (toć trzeba było płacić za swoją pozycję) — „z zapałem i przejęciem opowiadał o tym, co zobaczył, rysując wspaniałe, fantastyczne niemal — a zarazem — realne... perspektywy rozwoju naszego kraju, przesycając swoją opowieść żarem twórczego uniesienia i literackiej wyobraźni. Dostojnie zachłystywał się zachwytem mówiąc o pracy budowniczych kanału i o wysokim poziomie techniki” (podkreślenie moje — A.S.).

\* N. Pogodin napisał komedię „Arystokraci”, akcja jej toczy się w obozie, jej bohaterami są szemrani fetniacy, nawracający się w trybie współżądności i pod wpływem łagodnej perswazji czekistów.

Jak to?

A tak to. I żadnych parostatków nie widać. Żadnych regularnych rejsów.

W 1966 roku gdym kończył ten rękopis, chciałem popłynąć statkiem wzdłuż kanału — aby zobaczyć go na własne oczy. No, żeby dorównać tym stu dwudziestu, co go zwiedzili. Otóż zamiaru spełnić nie mogłem: nie ma planowanych rejsów. Można starać się o miejsce na krypie towarowej. Ale tam bardzo pilnie sprawdza się dokumenty. A moje nazwisko dość już wtedy było szarpane, zaraz zaczęłyby się podejrzenia: a czego on tu znowu szuka? Choćby dla samego bezpieczeństwa rękopisu — lepiej było nie próbować.

Mimo wszystko udało mi się dotrzeć tam trochę bliżej. Zacząłem od Miedwieżegorska. Sporo tam jeszcze baraków, stoją od tamtych czasów. Sterczy pośród nich monumentalny hotel z pięciopiętrową, szklaną basztą. Bądź co bądź — to wrota kanału! Toż tu roić się będzie od gości z całego kraju i z zagranicy... Długo świecił pustkami, w końcu przerobiono go na internat.

Droga do Powieńca. Cherlawy lasek, co krok kamienie i głązy narzutowe.

Za Powieńcem, od razu dochodzę do kanału i długo idę brzegiem, starając się popatrzeć z bliska na śluzy. Wstęp uzbrojony, ospali wartownicy. Ale stąd i zowąd — widać to i owo. Cembrowiny śluz — te same, co dawniej, z tych samych dubeltowych tynów, poznaję je, wedle znanych mi opisów. Natomiast romboidalne wierzeje inżyniera Masłowa już nie są z drzewa, zastąpiono je żelazem i otwierają się już nie ręcznie.

Ale czemu tu tak cicho? Nie widać ludzi, nie widać ruchu ani na kanale, ani przy śluzach. Nikt nie krząta się przy ich obsłudze. Nie słychać wycia okrętowych syren. Ani skrzypu otwieranych wierzeji. Dzień jest pogodny, lipcowy. Dlaczego więc?...

Minąłem w ten sposób pięć śluz powieńczańskich „schodów” i przysiadłem sobie na brzegu. Znany całemu krajowi choćby z pudełek najpopularniejszego gatunku papierosów, tak pilnie ponoć potrzebny, czemu trwasz w ciszy, Wielki Kanale?

Podszedł jakiś cywil świdrując mnie wzrokiem. Ja do niego z głupia frant — gdzie by tu rybek dostać? i czy można wrócić jakimś statkiem? Okazało się, że to komendant ochrony śluzy. Dlaczego, pytam tedy, nie ma tu komunikacji pasażerskiej? Coś ty, z byka spadł, powiada, bo to można? Toć Amerykanie zaraz by tu się przytarabanili. Przed wojną — jeszcze wolno było, ale po wojnie już nie. A niech by sobie zwiedzali. — Coś



ty, jak to można im wszystko pokazywać?! — A dlaczego w ogóle tu nie ma ruchu? — Jest. Tylko mały. Widzisz, kanał jest płytki — pięć metrów całej parady. Chciano go nawet przebudować, ale chyba będzie się robić drugi, równoległy, od razu — jak należy.

Ech, panie komendancie, to już dawno wiadomo: w 1934 roku, ledwie porozdawano wszystkie orderzy za budowę — już zaczęto szykować projekt rekonstrukcji. Punkt pierwszy projektu głosił — że kanał trzeba pogłębić. A drugi, że obok istniejących śluz należy zbudować cały łańcuch głębokich przepustów dla statków morskich. Co nagle — to po diable. Przez te *pilne terminy*, właśnie przez *te normy* trzeba było robić kanty z głębokością: właśnie dlatego przepustowość kanału jest minimalna: toć trzeba było karmić ludzi na rachunek jakichś lipnych kubometrów gruntu. (Wkrótce za tę lipę kazano płacić inżynierom: prawie wszystkim dano nową *d y c h ę*). A 80 kilometrów kolei murmańskiej przeniesiono, aby zwolnić trasę. Dobrze, że chociaż tych kółek do tacek nie zmarnotrawiono. A właściwie, co tym kanałem ma się spławiać? Drzewo? Dokąd? Pobliskie lasy już wyrąbano. Więc teraz archangielskie drewno spławiać do Leningradu? Po co — przecież sprzeda się je również w Archangielsku, od dawna tam cudzoziemcy je kupują. Wreszcie — kanał jest zamrznięty przez pół roku, jeśli nie dłużej. Na czym więc polegała tak pilna potrzeba? Aha, chodziło o sprawy strategiczne. Żeby flotę wojenną przerzucić z Bałtyku na Ocean.

— Taki ci płytki, — skarży się komendant straży — że nawet łódź podwodna nie przepłynie: ładuje się je na krypy — wtedy dopiero można brać na hol.

A jak tam z krążownikami?!... O, despotyczny samotniku! Bezsenne szaleńcze! Co cię opętało, kiedyś to wszystko wymyślił?!

I co cię tak gnało, potępiencze? Co cię tak piliło, tak piekło, żeby przebić kanał w ciągu dwudziestu miesięcy? Przecież tych dwieście pięćdziesiąt tysięcy mogło żyć dalej. No, esperantyści rzeczywiście, to był nóż na gardle, ale ci chłopcy ze wsi! Ileż by ci oni jeszcze roboty odwalili! Ile razy jeszcze mogłeś poderwać ich do ataku — za Ojczyznę! za Stalina!

— Słono kosztował — mówię do strażnika.

— Za to raz dwa go zbudowano! — odpowiada dziarsko.

Czemu nie na twoich kościach!...

Spędziłem tego dnia osiem godzin nad kanałem.

Przez cały ten czas jedna berlinka samobieżna przepłynęła z Powieńca w stronę Soroki, a jedna, tego samego typu, ze strony Soroki do Powieńca. Miały różne numery i tylko to

pozwoili mi stwierdzić, że nie była to ta sama krypa. Bo ładunek miały zupełnie jednakowy: takie same kłody sosnowe, już zleżałe, dobre tylko na opał.

Z rachunku wypada więc zero.

I ćwierć miliona w pamięci.



Po Białomorsko-Bałtyckim zaraz przyszła kolej na Kanał Wołga-Moskwa. Odnaleźli się tam od razu wszyscy zastrzeni, naczelnikiem obozu został Firin, szefem budowy — Kogan. (Ordery Lenina za Białomor już tam na nich czekały).

Ale ten kanał przynajmniej na coś się przydał. Wszystkie tradycje Białomoru doczekały się tu należytej kontynuacji i znalazły dobre warunki rozwoju: zrozumiemy teraz tym lepiej, czym różniła się na Archipelagu epoka gwałtownych przerzutów od ery sołowieckiego zacisza. Teraz można już było wspomnieć z odzieniem żalu nawet milczące, groźne Sołówki. Nie dość, że wymagali tu teraz wytężonej pracy, nie dość że kazali kuć słabnącą ręką nieustępliwe głązy. Nie, odbierając człowiekowi życie, drażyli mu serce i wywracali na nice jego duszę.

Najtrudniejsze do zniesienia na Kanałach było chyba to, że od każdego wymagano *świergolenia*. Już na punktach zbornych trzeba było musowo odstawiać tak zwane życie zbiorowe. Kończącym z głodu językiem trzeba było wygłaszać przemówienia, żądając przekraczania planów! I demaskowania szkodników! A także tępienia wrogiej propagandy, *kułackich* plotek (bo wszystkie plotki obozowe to była kułacka robota). A wciąż bacząc pilnie, aby węże podejrzeń nie oplotły ciebie samego, zatrzymując w obozie na nowe latka.

Biorąc teraz do ręki te bezwstydné książki, gdzie tak gładko, z takim cmokaniem opisane jest życie skazańców — nie sposób prawie uwierzyć, że to wszystko pisane było na serio — i że czytelnicy na serio to brali. (Ale przezorny Gławlit\* zniszczył cały nakład, tak że do naszych rąk trafił chyba jeden z ostatnich istniejących egzemplarzy).

Teraz naszym Wirgiliuszem będzie z kolei pilny uczeń Wyżyńskiego — J. L. Awerbach<sup>29</sup>.

Wkręcając w otwór najzwyklejszą nawet śrubę, też trzeba

\* Główny Urząd Cenzury w ZSSR.

29. I. L. Awerbach, „Od przestępstwa do twórczej pracy”.

z początku okazać pewną dbałość: nie skrzywić osi wkreću, nie wciskać gwintu krzywo. Dopiero kiedy czubek wlezie gładko — można zwolnić drugą rękę i dokręcić do oporu, pogwizdując sobie beztrosko.

Czytamy u Wyszyńskiego: „Właśnie z uwagi na *cele wychowawcze* nasz Obóz Pracy Poprawczej jest zupełnym przeciwieństwem burżuazyjnego więzienia, gdzie panuje otwarta przemoc<sup>30</sup>”. „W przeciwieństwie do państw burżuazyjnych — przemoc w walce z przestępczością odgrywa u nas drugorzędną rolę — największą zaś wagę przywiązuje się do zabiegów organizacyjno-materialnych, kulturalno-oświatowych i polityczno-wychowawczych<sup>31</sup>”. (Trzeba było dobrze robić głową — żeby tu nie chlapać ozorem: zamiast pałki — skala p a j k i plus agitacja). I w rezultacie: „... wspaniały rozwój socjalizmu wywiera swój czarodziejski (! tak mu się właśnie powiedziało: czarodziejski!) wpływ również na... walkę z przestępczością<sup>32</sup>”.

Krocząc śladem mistrza, Awerbach też nam klaruje: celem sowieckiej polityki w dziedzinie pracy poprawczej jest „przekształcenie *najgorszego materiału ludzkiego* (pamiętacie *surowiec?* pamiętacie *insekty?* — A.S.) w kohortę pełnowartościowych, aktywnych i świadomych budowniczych socjalizmu”.

Pięknie, tylko ten współczynnik... ćwierć miliona sztuk tego najgorszego materiału zostało w ziemi, 12 i pół tysiąca aktywnych i świadomych zaszczycono na Białomorze przedterminowym zwolnieniem...

Ale zaraz — przecież już VIII zjazd partii, w 1919 roku, kiedy szalała jeszcze wojna domowa, kiedy Denikina dopiero spodziewano się pod Orłem, kiedy powstania w Kronsztacie i w Tambowie dopiero miały nastąpić, otóż VIII Zjazd uchwalił, aby zastąpić system kar (to znaczy — nikogo już więcej nie karać?) systemem *wychowania!*

„Przymusowego” — dodaje teraz Awerbach. I retorycznie (bo już ma za pazuchą druzgoczącą odpowiedź) pyta: a JAK to można? Jak można przeobrazić ludzką świadomość tak, by socjalizm miał z tego pożytek, jeśli świadomość ta jeszcze na wolności nabrała treści dla socjalizmu wrogiej, nacisk zaś rygoru obozowego odczuwany jest jako gwałt i może jedynie tę wrogość spotęgować?

Jesteśmy w kropce; wygląda na to, że facet ma rację.

Ani się śni, teraz dopiero wytnie nam kuranta: praca pro-

30. Przedmowa Wyszyńskiego do książki zbiorowej *Od więzień...*

31. Przedmowa Wyszyńskiego do książki Awerbacha.

32. *Ibidem.*

dukcyjna, sensowna i mająca *wzniosłe cele!* — oto sposób na najbardziej nawet wrażą, czy chwiejną świadomość. A do tego potrzebna jest, jak się okazuje, „koncentracja prac w gigantycznych obiektach, podbijających wyobraźnię ludzką swoim ogromem”! (Ach, więc dlatego, dlatego to ten Białomor, a my matoly, nie mogliśmy zrozumieć!) Osiąga się przez to „poglądowy walor, wydajność, i patetyczny rozmach procesu budowy”. Przy tym konieczna jest tu „praca od zera aż do ostatniej fazy robót”, a „każdy więzień” (jeśli mu się jeszcze nie zmarło) — „będzie wtedy czuł polityczny rezonans swojej pracy, poczuje, że cały kraj jest w niej zainteresowany”.

Czy widzicie, jak łatwo już gwint się wkręca? może trochę krzywo, ale już tracimy zdolność oporu. Ojczulek nakreślił cybuszkiem linię na mapie; usprawiedliwienia to już nie jego kłopot. Zawsze znajdzie się jakiś Awerbach: „Towarzyszu Wyszyński, mam tu pewną myśl; jak sądzicie, da się ją wprowadzić do książki?”.

Ale to dopiero początek. Konieczne jest, aby więzień zanim jeszcze wyjdzie za bramę obozu, już był „przygotowany do wyższych, socjalistycznych form pracy”.

Ale jak to osiągnąć? Gwint skrzypi.

Jak można być tak niedomyślnym! Ależ istnieje *współzawodnictwo i praca szturmowa!* Zapomnieliście, jakie to tysiąclecie mamy na dworze, kochani? „Hasłem ma być nie zwyczajna praca, lecz praca heroiczna!” (Rozkaz OGPU Nr 190).

Współzawodnictwo o czerwony sztandar przechodni centralnego sztabu! rejonowego sztabu! sztabu drużyny! Współzawodnictwo między obozowymi placówkami, obiektami, brygadami! „Wraz ze sztandarem przechodnim brygadzie przyznano również orkiestrę dętą! Całymi dniami przygrywa ona przy pracy i podczas smacznych posiłków”! (Smacznych posiłków nie widać na fotografiach, ale widnieje na nich często reflektor. Potrzebny był do pracy nocnej. Kanał wołżański budowano dzień i noc bez przerwy<sup>33</sup>).

W każdej brygadzie więziarskiej jest trójka pełnomocników d/s współzawodnictwa. Sprawozdania, rezolucje! Rezolucje i spra-

---

33. Orkiestry grywały również w innych obozach: muzykanci stali na brzegu i grali nieraz przez kilka dni i nocy jednym ciągiem, póki więźniowie w trakcie jednej długiej szczyty bez wypoczynku rozładowywali pełną drzewa barkę. I. D. T. był grajkami w takiej orkiestrze na Białomorze i mówi, że orkiestra doprowadzała pracujących więźniów do pasji (grajkowie zwolnieni byli przecież z robót ogólnych, mieli osobne łóżka, nosili wojskowe mundury). Rozlegały się krzyki: „Cwaniaki! Darmozjady! Chodźcie no tu potyrać trochę!”. Na zdjęciach tych rzeczy nie widać.

wozdanía! Wyniki szturmú na cześć przejścia od pierwszej pięciolatki do drugiej! Wyniki drugiej pięciolatki! Obozowa gazeta „Pierekowka” (Przemiana). Stałe motto: „*Utopimy naszą przeszłość na dnie kanału!*” „Pracować bez wychodnego!” Zachwyt ogólny, powszechna zgoda! Jeden z przodujących kopaczy oświadczył: „A pewno! Po co myśleć o jakichś wychodnych, jakimś odpoczynku? *Wołga przecież nie ma wychodnego*, w każdej chwili może wylać”. A Mississippi ma wychodne?... Kto to powiedział? Łapaj go, to kułacki agent! Jeden z punktów podejmowanych zobowiązań brzmi: „Każdy członek kolektywu powinien dbać o własne zdrowie”. Patrzenie, co za humanitaryzm! Ale, ale, tu jest dalszy ciąg, który wszystko wyjaśnia: „— aby zmniejszyć ilość nieodpracowanych dniówek”. „Nie chorować — i nie brać zwolnień!” Czerwone tablice, honorowe. I czarne tablice. Tablice wskaźników cyfrowych: ile dni zostało do końca robót; ile wykopano dzisiaj, a ile wczoraj. Księgi honorowe. W każdym baraku — dyplomy honorowe, „biuletyny wyników reedukacji, wykresy produkcji, zestawienia cyfrowe (ilu też darmozjadów krząta się przy tym, rysuje i pisze!). Każdy więzień powinien być świadom zadań produkcyjnych! Każdy więzień powinien znać cele polityki państwowej! — Dlatego — przed ranym wymarszem (kosztem czasu roboczego, to jasne) — pięć minut informacji produkcyjnej, zaś wieczorem, po powrocie do obozu (kiedy nogi się już uginają) — pięć minut informacji politycznej. Podczas obiadu — polityczne odczyty, więc ani schować się w kącie, ani zmrużyć oka. Jeśli gdzieś tam, na wolności ogłoszono Sześć Warunków Towarzysza Stalina — każdy więzień musi je wykuć na blachę<sup>34</sup>! Jeśli na zewnątrz weszła w życie uchwała Sownarkomu o wyrzucaniu z pracy za bumelanctwo — to tu, w obozie, kładzie się ludziom do głowy: każdy, kto tu wymiguje się od pracy i symuluje chorobę, będzie po wyjściu na wolność *otoczony pogardą*, masy Związku Sowieckiego tego mu nie wybaczą! Wedle regulaminu — aby otrzymać tytuł przodownika nie dość jest pracować wydajnie! Trzeba ponadto — a) czytać gazety, b) *kochać swój kanał*, c) umieć wyjaśnić innym jego znaczenie.

I oto cud! Prawdziwy cud! O, cudowna przemiano! — „więzień-przodownik nie uważa już dyscypliny i pracy w tych warunkach za coś narzuconego mu z zewnątrz (tyle rozumieją nawet

---

34. Swoją drogą, inteligenci, którzy potrafili wkręcić się na funkcje kierownicze, niezłe wykorzystali te 6 warunków: „Wszechstronnie wykorzystywać umiejętności fachowców”? — No to wyciągajcie inżynierów z robót ogólnych! „Walczyć z płynnością kadr”? — a więc skończyć z wysyłaniem na etapy!

konie), lecz za *potrzebę duszy*!” (No pewno, no chyba, przecież wolność — to wcale nie wolność, tylko uświadomienie sobie niezbędności krat!). Nowe socjalistyczne formy zachęty i dowody uznania! — wydawanie znaczków wyróżniającym się robotnikom. No i powiedzcie tylko, kto by pomyślał: „*Znaczek ten wyżej jest ceniony przez więźniów niż zwiększona racja chleba!*”. Tak jest, cenią go wyżej, niż chleb! I całe brygady z *własnej* inicjatywy ruszają do pracy *dwie godziny* przed porą wymarszu” (ładny kwiat, samowola! co na to eskorta?) „i zostają na trasie długi jeszcze po zakończeniu dnia roboczego”.

Ale się palą! Jak zapalki. A myślano, że będą się palić przez dziesięciolecia...

Co to znaczy — praca szturmowa? Huczy burza — ale nie przyrywamy roboty! wykonamy dzienny plan z nadwyżką! Warto zwrócić uwagę na wyposażenie techniczne, już mówiliśmy o tym w związku z Białomorem: znów taczki, a na stromiznach podciąga je z przodu hakiem pomocnik — bo jak inaczej wtargać je pod górę? Iwan Niemcow nagle *postanowił* odwalać robotę *za pięciu!* Słowo się rzekło — i już gotowe: w ciągu jednej szczyty wykopał... 55 kubometrów gruntu<sup>35</sup> (policzmy no: oznacza to 5 metrów sześciennych w ciągu godziny, jeden metr co 12 minut — spróbujcie tylko, czy to się uda przy najlżejszej nawet glebie! Albo taka okoliczność: brak pomp, dreny nie gotowe — a więc odprowadzimy wodę gołymi rękoma<sup>36</sup>! A kobiety! Dźwigały w pojedynkę głązy ważące 4 pudy<sup>37</sup>. Taczki się wywracały, kamienie przywalały nogi i głowy. Nie szkodzi, *damy radę?* To — „po pas w wodzie”, to znów — „62 godziny z rzędu trwał ten wysiłek”, a to znów — „przez trzy dni 500 ludzi kuło zamarzłą ziemię oskardami — bez skutku”. Nie szkodzi, *damy radę!*

*Myśmy naszą łopatą bojową  
Dokopali się szczęścia na nowo!*

Jest to owo „szczególne, zadziorne napięcie”, które przeplacowano tu z Kanału Białomorskiego. „Szli do szturm z wesołymi, ochoczymi pieśniami”...

*Niech sobie pada śnieg, czy grad,  
Tu iść do pracy każdy rad!*

35. J. Kuziemko, *3-cia śluza, Dmitłag*, 1935.

36. Broszura *Dziewczyzna z armii kanału* (Nie wynosić poza obręb obozu!). Dmitłag, 1935.

37. *Ibidem*.

Mam przed sobą zdjęcie grupy przodownic, przyjechały na jakiś zlot. Z boku, obok wagonu, komendant eskorty, obok niego jakiś konwojent. Warto przyjrzeć się tym twarzom: prawda, jakie wesołe, beztrioskie? Te kobiety nie myślą ani o dzieciach, ani o domu, tylko o kanale, który przecież całym sercem pokochały. Mróz chyba niełichy, jedne noszą walonki, inne wzuły długie buty, jeszcze z domu wzięte, rzecz jasna; ale po środku, druga od lewej w pierwszym szeregu — stoi złodziejka w kradzionych pantofelkach — bo też gdzie błysnąć elegancją, jak nie na takim zlocie? Mam też zdjęcie z innego zlotu. Na plakacie widać napis: „zbudujemy wodną trasę / bez strat, mocno i przed czasem!”. A jak to załatwić, to już niech się inżynierowie głowią. Widać od razu, że cień uśmiechu zjawiał się na tych twarzach tylko na pokaz, w gruncie zaś rzeczy, te kobiety porządnie są zmęczone, gadać nie mają zamiaru, a chcą tylko jednego — raz przynajmniej najeść się do syta z okazji zlotu. Chłopskie, proste twarze<sup>38</sup>. W przejściu sterczy wartownik ze straży ochotniczej, Judasz, widać jak mu zależy, żeby znaleźć się na fotografii. Na innym zdjęciu — brygada szturmowa, świetnie wyposażona technicznie: widać furmanki, to kłamstwo, że tylko ludzie u nas harują! Jeśli zaś dać wiarę obozowym malarzom — których dzieła wystawione są w sekcji KO — to jest na kanale przynajmniej jedna koparka mechaniczna, jeden żuraw żelazny i jeden ciągnik. Ale czy na pewno są czynne? Może popsute, bo tak mniej kłopotu? A w ogóle, jak widać z malunku, zimą na trasie nie bardzo wesoło, prawda?

Dał się też we znaki jeszcze jeden kłopot, nie duży zresztą: po zakończeniu Białomoru pojawiło się w gazetach nieco za wiele tryumfalnych artykułów, które neutralizowały odstrasżającą funkcję obozów...

W opisach Białomoru doszło do takiego przegięcia pały, że ludzie, przywożeni na budowę kanału Moskwa-Wołga, sądzili, iż przybywają do krainy mlekiem i miodem płynącej, po czym zwracali się do administracji z zupełnie niesłychanymi żądaniem (czy nie domagali się aby np. czystej bielizny?). Kłam więc bracie, ale w miarę. „Sztandar Białomoru dziś również łopocze nad nami” — pisze gazeta „Pierekowka”. Z umiarkowaniem. Bo to wystarczy.

---

38. Wszystkie wspomniane zdjęcia znalazłem w książce Awerbacha. Awerbach uprzedza, że nie zamieścił zdjęć kułaków i szkodników (to znaczy — nie ma w książce najciekawszych twarzy chłopskich i inteligentkich) — bo, jak powiada, „nie czas jeszcze na to”. Niestety, ten czas nigdy już nie nadejdzie. Umarłych nic nie wskrzesi.



Zresztą, zarówno na Białomorze, jak na kanale wołżańskim rozumiano, że: „obozowe współzawodnictwo i praca szturmowa powinny być związane z *całym systemem ulg*”, aby te ulgi zachęcały ludzi do lepszej pracy. „Podstawą współzawodnictwa jest perspektywa *materialnych korzyści*” (!?! — co to, nasz pociąg wyskoczył z szyn? Skręt o sto osiemdziesiąt stopni? Ze wschodu na zachód? — Prowokacja! Trzymać się uchwytów! Wagon jedzie dalej!). Ustanowiono w jednoznaczny sposób, że od produkcyjnych wskaźników zależy i wyżywienie! i mieszkanie! i odzież! i bielizna, a nawet prawo chodzenia do łaźni! (tak, tak, kto mało się trudzi, ten niech chodzi w łańchmanach, niech go wszy zeżrą!) i przedterminowe zwolnienie! i odpoczynek! i widzenia z rodziną! Na przykład — znaczek, o którym wyżej była mowa — jest to czysto socjalistyczna forma zachęty. Ale niechby ten znaczek dawał prawo do widzeń poza kolejką — a od razu stanie się droższy od chleba...

„Jeśli na wolności — zgodnie z konstytucją socjalistyczną — stosuje się zasadę *kto nie pracuje, ten nie je*, to dlaczego więźniów w obozach miałyby się stawiać w sytuacji *uprzywilejowanej!*” (Najtrudniejszy problem przy organizacji obozu — to zapobieganie, aby czasem nie stały się one wilegiaturą dla uprzywilejowanych!). Skala Dmitłagu: kocioł karny — mętna woda, karna pajka — trzysta gramów. Stuprocentowe wykonanie normy daje prawo do 800 gramów i umożliwia dokupienie sobie 100 gramów w kantynie! I oto właśnie „proces ulegania dyscyplinie zaczyna się od motywów egoistycznych — i *wznosi się* aż do wyżyn socjalistycznej ambicji zdobycia sztandaru przechodniego<sup>39</sup>!

Ale najważniejsze — to podwójne zaliczanie szturmowych dniówek! Sztaby współzawodnictwa dają więźniowi charakterystykę. Do zaliczenia wymagane jest nie tylko wykonanie normy z nadwyżką, lecz również *działalność społeczna!* A tym, którzy w przeszłości należeli do elementów niepracujących — obniża się efektywy, zalicza się mizerne cyfry urobku. „Taki to tylko się maskuje, wcale się nie poprawia! Powinien *dłużej* posiedzieć w obozie, trzeba go wziąć pod światło”. (Na przykład — pcha ci taki typ taczki pod górę — ale może wcale nie pracuje, tylko się maskuje?).

A co robią tacy, których zwolniono przed terminem? Jak to co? *Ochotniczo* i na stałe wracają do teźe roboty. Tak pokochali kanał, że nie mogą się od niego oderwać! „Tak wciągnęli się, tak przejęli się swoją pracą, że po zwolnieniu *dobrowolnie* zos-

---

39. W swoim życiu prywatnym Awerbach zaczynał zapewne od razu od drugiego stopnia.

tają na kanale i kopią dalej ziemię aż do końca budowy"! (Właśnie do takiej harówki się przywiązują, jaką widać na wspomnianych fotografiach. I czy można wierzyć autorowi? A pewno, że można. Toć w dowodzie osobistym mają pieczętkę: „przebywał w obozach OGPU”. I nigdzie więcej roboty dla nich nie ma)<sup>40</sup>.

Ależ cóż to?... Cesarski słowik popsuł się, mechaniczne trele umilkły na chwilę — i w przerwie słyszymy strudzony oddech prawdy: „ruch współzawodnictwa ogarnął tylko 60 % przedstawicieli świata przestępczego (no, jeżeli już nawet złodzieje nie współzawodniczą ze sobą!...); więźniowie często twierdzą, że ulgi i nagrody przyznawane są niesprawiedliwie”; „charakterystyki pisane są szablonowo”; „w pisanych charakterystykach blokowy z reguły określany był jako wyróżniający się kopacz i otrzymywał upragnione zaliczenia, a jakiś prawdziwy bohater pracy zaliczenia nie mógł się doczekać<sup>41</sup>”. (Okazuje się więc, panowie wychowawcy, że to *wy* nie zdołaliście wznieść się na wysokość drugiego stopnia?!). „Liczni (!) więźniowie przytłoczeni są dla tego poczuciem beznadziei<sup>42</sup>”.

Ale trele znów słychać, tylko teraz — już z metalicznym pogłosem! Zapomnieliście o najważniejszym sposobie zachęty? — „surowe i bezwzględne stosowanie kar dyscyplinarnych"! Rozkaz OGPU z 28. XI. 1933 (przed samą zimą — żeby odechciało się podskakiwać!) „Wszystkich niepoprawnych nierobów i symulantów odesłać do najdalszych obozów północnych i pozbawić ich prawa do jakichkolwiek ulg. Podżegaczy, oraz tych którzy złośliwie wymigują się od pracy, stawiać przed sądem, urzędującym w obozie. Za najmniejszą próbę złamania żelaznej dyscypliny — pozbawiać już przyznanych ulg i przywilejów”. (Na przykład, za próbę ogrzania się przy ognisku...).

40. J. L. Awerbach, *Od przestępstwa...*, str. 164.

41. Wszystko u nas robi się na odwtyrkę — i nawet nagrody czasem wychodzą ludziom bokiem. Kowalowi Paramonowowi w jednym z archangielskich obozów za dobrą pracę zmniejszono 10-letni wyrok o 2 lata. Dlatego też koniec jego 8-letniej odsiadki przypadł na sam środek wojny. Jako, że siedział z artykułu 58, nie został zwolniony, lecz — na mocy „dekretu specjalnego” (znów ten specjalny!) musiał zostać w obozie. Wojna skończyła się i towarzysze Paramonowa z tej samej sprawy — mogli wyjść na wolność, bo odwalili swoje dychy. On zaś musiał odbyć jeszcze cały rok. Prokurator zapoznał się z jego skargą, ale nic mu pomóc nie mógł, bo „dekret specjalny” był jeszcze w mocy na cały teren Archipelagu.

42. No, ale V Narada pracowników aparatu sprawiedliwości w 1931 roku zdecydowanie potępiła ten cały bałagan: „szerokie i nie znajdujące usprawiedliwienia stosowanie zwolnień warunkowych i przedterminowych oraz podwójne zaliczanie przepracowanych dniówek... pozbawia wyroki sądowe *realnego znaczenia*, podkopuje zasadę *represji* i wypacza *klasowy charakter* naszej polityki”.

A jednak uszło naszej uwagi najważniejsze ogniwo; co za gamajdy! Tyleśmy tu gadali, a zapomnieliśmy o najważniejszym! Słuchajcie! słuchajcie! „zespołowość jest zasadą i metodą sowieckiej polityki pracy poprawczej”. Potrzebne są przecież „*transmisje* — od administracji do mas!”. „Tylko opierając się na kolektywie, administracja obozu może pracować nad przebudową świadomości więźniów”. „Od niższych form odpowiedzialności zbiorowej — aż do najwyższych, aż do pojęcia pracy, jako sprawy honoru, sławy, męstwa i bohaterstwa”! (Często narzekamy, że nasz język ze stulecia na stulecie traci barwy, płowieje. Ale jeśli zastanowić się chwilę, to widać, że nie, bynajmniej! Staje się tylko — szlachetniejszy. Bo też jak to się zwało dawniej, po furmańsku — lejce? A teraz mówi się — transmisje! Dawniej mawiano — na jednym się zmiele, na innych się skrupi; toż to wsią i gumnem śmierdzi. A teraz to się nazywa — odpowiedzialność zbiorowa!).

„Brygada jest zasadniczym narzędziem reedukacji” (Rozkaz komendy obozu Dmitlag, 1933) „Oznacza to — *zaufanie do kolektywu*, co było rzeczą niemożliwą w ustroju kapitalistycznym!” (Ale całkowicie możliwą w feudalnym: jeden chłop coś nabroił — cała wieś spuszcza portki i sieczona jest knutem! Ale brzmi to bardzo szlachetnie — zaufanie do kolektywu!). „Oznacza to samodzielną inicjatywę więźniów w dziele przemiany duchowej!” „Oznacza to wewnętrzne wzbogacenie jednostki dzięki wpływowi kolektywu!”. (Co za język, jak pięknie wyraża się ten człowiek! Tym *wewnętrznym wzbogaceniem* powalił nas na kolana! Co to znaczy jednak — być erudytą!). „Kolektyw rozwija poczucie godności własnej (a tak! tak!) w każdym więźniu i tym samym *zapobiega* jego moralnemu *upodleniu*”!

Pomyśleć tylko! A przecież trzydzieści lat po Awerbachu ja też miałem okazję to i owo rzec o brygadzie, ot, opowiedziałem po prostu jak to się w niej żyło — ale jakoś całkiem inaczej, całkiem przewrotnie zostało to zrozumiane: „Brygada — jest podstawowym wkładem komunizmu do teorii kar (to akurat jest słuszne, to samo mówi Awerbach)... Jest to organizm zespołowy — żyjący, pracujący, jedzący, śpiący i cierpiący wspólnie — w trybie bezlitosnej, przymusowej symbiozy<sup>43</sup>”.

O, gdyby nie brygada, to można by jeszcze jakoś obóz przeżyć! Gdyby nie brygada — byłbyś jakąś jednostką, sam wybrałbyś sobie sposób zachowania. Gdyby nie brygada — mógłbyś chociaż umrzeć z godnością — w brygadzie zaś nawet zdechnąć możesz tylko podle, tylko na czworakach. Przed komendantem,

43. Ernst Pawel, *The Triumph of Survival*. The Nation, 2. II. 1963.

dziesiątnikiem, nadzorcą, konwojentem — przed nimi wszystkimi może człowiek jakoś się ukryć i urwać sobie chwilkę na odpoczynek, tu zwolnić trochę tempo, tam znów dźwignąć mniejszy ciężar. Ale przed transmisyjnymi pasami — przed towarzyszami z brygady nie można się ukryć, nie ma przed nimi ratunku, nie znają oni litości. Nie wolno ci *nie chcieć* pracować, nie możesz nawet wybrać śmierci głodowej zamiast harówki, choć uważasz się za więźnia politycznego. Nie ma tak dobrze — skoroś już wyszedł z baraku, skoro zarejestrowano cię przy wyjściu — wszystko co dziś brygada robi, podziela nie przez 25, lecz przez 26 i cały procent wykonania planu spadnie przez ciebie ze 123 na 119, kocioł rekordowy zamienią brygadzie na zwykły — wszyscy stracą pszenną struclę i po sto gramów chleba. W tych warunkach koledzy lepiej będą cię pilnowali od wszelkich nadzorców. A pięść brygadzysty ukarze cię skuteczniej, niż cały komisariat spraw wewnętrznych!

Oto co się zowie — *samodzielną inicjatywą w dziele reedukacji!* Oto właśnie jest *wewnętrzne wzbogacenie jednostki pod wpływem kolektywu!*

Teraz jasne jest jak słońce, że na kanale Wołga-Moskwa organizatorzy nie śmieli jeszcze uwierzyć samym sobie, że wynaleźli taką mocną obrozę. *Brygada* była tam jeszcze traktowana po maozszemu — tylko *kolektywy pracy* były oczkiem w głowie i przedmiotem czci. W maju 1934 roku jeszcze połowa zeków w Dmitłagu była „niezorganizowana”, *nie przyjmowano* ich do kolektywów pracy! Przyjmowano ich do tzw. arteli pomocniczych, też zresztą nie wszystkich: nie brano duchownych, sekciarzy i w ogóle wierzących (jeśli gość wyrzekł się wiary — a taki cel wart jest mszy! — to przyjmowano go po miesięcznym okresie próbnym!). Pięćdziesiątkę Osemkę zaczęto ze skrzyphem przyjmować do kolektywów, ale też tylko skazanych na mniej, niż 5 lat. Kolektyw miał swego przewodniczącego i radę; demokracja tam nie znała wręcz granic: zebrania kolektywu odbywały się tylko za pozwoleniem Sekcji KO i tylko w obecności kompanijnego (tak, przecież istniał jeszcze podział na kompanie!) wychowawcy. Rozumie się, że kolektywy żywione były lepiej, niż cała pozostała zgraja: najlepsze z tych zespołów miały własne warzywniki wewnątrz zony (nie dla poszczególnych członków — tylko jak w kołchozie, żeby zasilać wspólny kocioł). Kolektyw dzielił się na sekcje i każda wolna chwila uchodziła bądź na kontrolę warunków egzystencji, bądź na omawianie wypadków kradzieży, czy niszczenia własności państwowej, bądź na redagowanie gazetek ściennych, bądź też na rozpatrywanie spraw dyscyplinarnych. Na zebraniach kolektywów całymi godzinami i z całą powagą deba-

towano nad problemem — *jak doprowadzić do przetomu* w świadomości leniucha Wowki? albo symulanta Griszki? Kolektyw mógł sam wyrzucać poszczególnych swoich członków i *prosić o pozbawienie ich zaliczonych dni*, ale gorsze było to, że administracja rozwiązywała całe kolektywy za „kontynuowanie występnych zwyczajów” (to znaczy — za brak entuzjazmu dla życia zespołowego?). Najbardziej jednak atrakcyjnym wydarzeniem były okresowe *czystki* kolektywów. Wyrzucano leniuchów, nie zasługujących na wysoką godność członka zespołu, *malkontentów* (uwazających kolektyw za bractwo wzajemnej inwigilacji), oraz zamaskowanych agentów wroga klasowego. Wyjaśniło się, powiedzmy, że ktoś siedzący już w obozie, ukrywa przed kolegami swoje kułackie pochodzenie (za które, w istocie rzeczy, znalazł się za drutami) — więc go teraz piętnowano za to i wylewano — nie z obozu, skąd, lecz tylko z kolektywu. (Malarze-realiści! Czemu który z was nie namaluje obrazu pt. „Czystka w kolektywie pracy”? Te golone łby, ta surowość na wymizerowanych gębach, te łachmany na grzbiecie — i tych mówców, płonących gniewem. Macie tu cały wachlarz typów. A kto ma kłopoty z wyobraźnią, niech sobie przypomni, że na wolności też podobne rzeczy się działy. I w dzisiejszych Chinach również). I posłuchajcie: „każdy więzień był zawczasu *informowany o zadaniach i celach czystki*. A następnie każdy członek kolektywu zdawał sprawę ze swego postępowania przed całym zespołem<sup>44</sup>”.

A ponadto — *demaskowanie pseudoprzedowników!* I wybory do rad kultury. I — nagany dla tych, którzy źle likwidują swój analfabetyzm. A jak przebiegała jego likwidacja? Dyktanda: „tu - nie - ma - nie - wo - li!”. A pieśni?

„*To królestwo moczarów i błot  
w kraj szczęśliwy zamieni nasz młot!*”

Albo — do słów mistrza Mikołaja Aszejewa:

„*My — z Armii kanału, surowe ludziska  
Lecz nie sądzę z pozorów, to jeszcze nie wszystko!  
Nas wielka epoka tu wzięła w obroty,  
By szczęście dać — ucząc uczciwej roboty!*”

---

44. Wszystkie fragmenty cytowane w tym rozdziale bez podania źródła — pochodzą z książki Awerbacha. Czasem łączyłem niektóre jego zdania w jedną całość; czasem opuszczałem urywki, nacechowane nieznośnym gadulstwem, bo przecież musiał rozpychać tekst, pisząc dużą rozprawę naukową, my zaś nie mamy na to czasu i miejsca. Jednakże nigdzie nie wyczyłem sensu jego słów.

Albo do tekstu, który spontanicznie wyrwał się z piersi któregoś z miejscowych twórców:

*„I nawet najpiękniejsza pieśń na świecie  
opisać nie potrafi wszystkich cudów,  
Kraju — któremu równych nie znajdziecie,  
I dla którego nie szczędzimy trudu<sup>45</sup>!”*

To właśnie nazywa się po obozowemu — *świergoleniem*.

O! Tak tym dokuczają, że człowiek jeszcze wspomni z żalem rotmistrza Kuryłkę, prostą, krótką ścieżkę egzekucyjną, szczerę i jawne sołowieckie bezprawie.

Boże! Na dnie jakiego kanału utopić mamy tę przeszłość?!

---

45. *Zbiór pieśni Dmitłagu*. 1935. Ogłoszono konkurs na muzykę do nich i w jury konkursu zasiadli wolni kompozytorzy — Szostakowicz, Kabalewski, Szechter...

## Rozdział czwarty

### ARCHIPELAG KAMIENIEJE

A zegar historii — wybijał godziny.

W 1934 roku na styczniowym plenum KC i Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej (już chyba sobie kalkulował, ilu to niedługo będzie musiał *usunąć*) Wielki Wódz oznajmił, że proces zanikania państwa (który marzył się niektórym już chyba w 1920 roku) postępować będzie w miarę... stopniowego umacniania się władzy państwowej!

Był to błysk geniuszu tak nagły i niespodziewany, że nie każdy zdolny był to pojąć słabym rozumem, ale Wyszyński czuwał i od razu poprowadził rzecz we właściwym kierunku: „a więc konieczne jest maksymalne umocnienie zakładów karno-poprawczych”!

Aby dojść do socjalizmu trzeba maksymalnie rozbudować więzienia! — to nie koncept z pisemka humorystycznego, to teza generalnego prokuratora Związku Sowieckiego! Tak oto jeszcze przed Jeżowem już się drut kolczasty wokół nas najeżył.

A przecież druga pięciolatka (jeśli ktoś to pamięta! pamięć — to najszlubszy punkt rosyjskiej duszy, zwłaszcza — pamięć krzywd), więc druga pięciolatka pośród swoich wspaniałych, do dziś nieosiągniętych celów) miała również taki: „usunięcie relikwów kapitalizmu ze świadomości naszych obywateli”. Znaczy to, że proces ów miał być zakończony w 1938 roku. Sami pomyślcie, w jaki inny sposób mogły owe relikty być tak szybko usunięte?

„Sowieckie miejsca odosobnienia na progu drugiej pięciolatki wcale nie tracą swego znaczenia, przeciwnie, ich znaczenie wzras-

---

1. Księga zbiorowa, *Od więzień...*”, przedmowa.



ta!” (rok nawet nie minął od przepowiedni Kogana, że obozów już wkrótce w ogóle nie będzie. Ale przecież nie mógł on jeszcze znać wytycznych plenum styczniowego!) „W epoce przechodzenia do socjalizmu rola zakładów pracy poprawczej — jako oręża dyktatury proletariatu, jako organu represji, jako narzędzia przymusu i środka wychowawczego (przymus jest już na pierwszym miejscu!) powinna nabrać *jeszcze większego* znaczenia i mocy” (no bo jakże — kadra dowódcza NKWD po nadejściu socjalizmu miałyby iść na śmietnik, czy jak?).

Któż zarzuci naszej Przodującej Teorii, że nie była ona w zgodzie z praktyką? Wszystko to publikowano czarno na białym, tylkośmy jeszcze wtedy czytać nie bardzo umieli. Rok 1937 był otwarciem zapowiedziany i umotywowany.

I kosmata łapa jednym machnięciem zmiotła wszystkie bibeloty i ozdóbki. Kolektywy pracy? Zakazać! Co tam znów wymyślili — samorząd w obozie?! I tak nic lepszego od brygady się nie wymyśli. Pogadanki polityczne? Przerwać tę zabawę! Więźniów przysyła się do roboty, nie muszą wcale rozumieć, co do czego. Na Uchcie proklamowano „likwidację ostatniej wagonetki”? Polityczny błąd! — co, może im sprężynowe łóżka dawać? Napakować tych „wagonetek” dwa razy więcej! *Zaliczenia?* Przede wszystkim to właśnie, to odliczanie dni pracy od wyroku musi się skończyć! — co, sądy mają pracować po próżnicy? A jak już komu odliczono — to anulować (1937). W jakichś tam obozach udzielane są jeszcze widzenia? Wprowadzić wszędzie zakaz. W którymś tam więzieniu zwłoki jakiegoś popa wydano rodzinie dla przeprowadzenia pogrzebu? Zwariowaliście, dawać powód do antysowieckich demonstracji? Ukarać za to przykładnie! Wyjaśnić, że zwłoki zmarłych w więzieniu są własnością GUŁagu, a gdzie je pochowano — to tajemnica państwowa. Kursy zawodowe dla więźniów? Zlikwidować! Trzeba było uczyć się na wolności. Ze na mocy uchwały WCIK? Jaki tam WCIK? że Kalinin podpisał?... To już nie GPU, my jesteśmy NKWD. Jak wyjdą na wolność, to niech tam sobie się uczą. Wykresy, diagramy? Zerwać ze ścian, ściany pobielić. Można nawet nie bielić. A to co za rachunki? Wypłaty dla więźniów? Okólnik GUMZaku z 25. XI. 1926, 25 % stawki robotnika tejże kategorii w przemyśle państwowym? Milczeć! Do kosza! Płacić więźniom?! Niech będą wdzięczni, żeśmy ich wszystkich nie rozstrzelali. Kodeks pracy poprawczej z 1933 roku? Zapomnieć raz na zawsze, usunąć ze wszystkich obozowych kancelarii! „Wszelkie odstępstwa od

---

2. *Ibidem*, str. 449. Jeden z autorów, Apeter, został nowym naczelnikiem GUŁagu.

ogólnopaństwowych postanowień, regulujących kwestie pracy... tylko po uzgodnieniu z Centralną Radą Związków Zawodowych"? To MY mamy zwracać się do Związków Zawodowych? Co to są właściwie — związki? Plunąć i rozetrzeć. Paragraf 75 — „przy cięższych pracach przydział żywności ulega zwiększeniu”? W tył zwrot! Przy lżejszych — ulega zmniejszeniu! O, tak będzie lepiej, rezerwy też się wtedy nie nadszarpnie.

Kodeks pracy poprawczej z setkami jego artykułów — jakby krowa ozorem zlizala i przez następne 25 lat nie tylko nikt go na oczy nie widział — ale nawet nikt nie podejrzewał, że coś takiego istnieje.

Potrząśnięto Archipelagiem, i przekonano się, że już w okresie sołowieckim — a tym bardziej w trakcie budowy kanałów — cały mechanizm obozowy rozchwierutał się w niemożliwy sposób. Teraz wydłubywano to próchno.

Przede wszystkim — nic nie warta była *straż*. To miał być obóz? — Wartownicy na wieżyczkach tylko w nocy siedzą; przy wrotach tylko jeden nieuzbrojony sztyldwach, z którym można się dogadać i wyjść po cichu na jakiś czas; zdarzało się, że zona oświetlona była tylko naftowymi lampami; kilkudziesięciu zeków konwojował do pracy jeden tylko człowiek z karabinem. Teraz zaś zony oświetlono wszędzie elektrycznością (angażując politycznie pewnych elektryków i maszynistów). Strzelcy ze straży musieli poddać się regulaminowi wojskowemu i przejść przysposobienie wojskowe. Przydzielono w trybie obowiązkowym każdej jednostce wartowniczej specjalnie szkolone psy-wilczury, a wraz z nimi — szczwaczy, trenerów i osobny regulamin służbowy. Obozy nabrały w rezultacie wyglądu nowoczesnego, dobrze nam dziś znanego.

Nie sposób tu wyliczyć w ilu momentach codziennego bytu obozowego dało znać o sobie obostrzenie i usztywnienie reżymu. A także — ile wykryto „szpar”, przez które ci z *wolności* mogli zobaczyć, co się na Archipelagu dzieje. Wszystkie kontakty zostały teraz zerwane, szpary pozatykano i wygnano precz jakieś tam ostatnie „komisje obserwacyjne<sup>3</sup>”. Przy okazji, obozowe

---

3. Nie będzie już później miejsca na wyjaśnienie, o co tu chodziło. Oto więc dłuższa nota dla zainteresowanych:

Spółeczeństwo burżuazyjne z typową dla siebie obłudą, doszło do przekonania, że powinno rozciągnąć nadzór nad zakładami karnymi i nad przebiegiem procesu reedukacji osób, poddanych aresztowi. W carskiej Rosji „opieka nad instytucjami penitencjarnymi” i „zabiegi, mające na celu poprawę materialnych i moralnych warunków, w jakich znajdują się więźniowie” — należały do filantropijnych komitetów więziennych i towarzyszt patronatu nad więźniami. W amerykańskich zaś więzieniach komisje nadzorcze, skła-

*falangi* — chociaż zdawało się że kładzie się już na nich odblask socjalizmu — zostały w 1937 roku przechrzczone na *kolumny* — aby ich czasem kto nie pomylił z hiszpańskimi oddziałami Franco.

Obozowe wydziały operacyjne, które dotąd liczyły się z wy-  
mogami produkcji i planu, teraz otrzymywały prawo wolnej ręki,  
nawet z uszczerbkiem dla wszelkich zadań produkcyjnych i wbrew  
opinii dowolnego grona specjalistów. Nie zostały rozpędzone obo-  
zowe sekcje KO, lecz częściowo dlatego, że z ich pomocą łatwiej  
było kolekcjonować donosy i wzywać konfidentów.

Żelazna kurtyna odgrodziła Archipelag od reszty kraju. Nikt,  
prócz szarż NKWD nie mógł więcej przekraczać bram obozu.  
Ustanowiony został ten harmonijny ład, który wkrótce sami więź-  
niowie zaczęli uważać za jedynie możliwy. Ten właśnie ład opi-  
sywać będziemy w tej części książki — ład bez czerwonych  
szmatek, mający na względzie pracę raczej, niż „poprawę” więźnia.

Wtedy to właśnie błysnęły wilcze kły! Wtedy to rozwarły  
się bezdenne przepaści Archipelagu!

— PUSZKI PO KONSERWACH WZUJESZ, A DO RO-  
BOTY PÓJDZIESZ!

— NIE WYSTARCZY PODKŁADÓW — TO WAS POD  
TORY RZUCĘ!

Wtedy właśnie, przejechawszy całą Syberię eszelonami z ce-  
kaemem na co trzecim wagonie, ludzi z 58-ym zapędzano do

---

dające się z reprezentantów opinii, miały już w latach 20-tych i 30-tych  
nader szerokie prawa, włącznie z prawem do przedterminowego zwolnienia  
(nie — do składania wniosku o zwolnienie, lecz do zwolnienia więźnia bez  
nowej rozprawy). Zresztą — nasi obkuci w dialektyce juryści trafnie pod-  
kreślają, że „nie należy zapominać, z jakich klas rekrutowały się  
te komisje — i że podejmowały one decyzje zgodnie ze swoimi klasowymi  
tendencjami”.

U nas — inaczej. Już pierwsza „Instrukcja Tymczasowa” z 23. VII.  
1918, dzięki której powstały pierwsze obozy, przewidywała utworzenie  
Komisji Dystrybucyjnych przy gubernialnych Wydziałach  
Karnych. Należało do nich przydzielanie każdego skazanego do odpowiednich  
zakładów karnych — wedle jednego z siedmiu, przyjętych w RSFSR,  
typów pozbawiania wolności. Działalność ta (zastępująca niejako funkcję  
sądów) była uważana za tak ważną, że Komisariat Sprawiedliwości w spra-  
wozdaniu za rok 1920 nazwał czynności wymienionych komisji „sto-  
sem pacierzowym polityki karnej”. Skład ich był bardzo demokratyczny, na  
przykład w 1922 składały się z następującej Trójki: naczelnika gubern-  
nialnej delegatury NKWD, członka prezydium sądu gubernialnego i naczelnika  
zarządu więzień danej guberni. Później dokooptowano do nich jakichś  
przedstawicieli gubernialnej Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej (tj. Izby Kon-  
troli), oraz gubernialnej rady związków zawodowych. Ale już w 1929 roku  
komisje te budziły wielkie niezadowolenie: udzielały przedterminowych zwol-  
nień i ulg obcym klasowo elementom. „Na tym polegała pravicowo-oportu-

otwartych dołów, żeby łatwiej ich upilnować. Wówczas to, jeszcze długo przed pierwszą salwą Drugiej Wojny Światowej, gdy cała Europa tańczyła sobie fokstrota — w Maryńskim rozdzielniku (wewnętrzny punkt etapowy Obozów Maryńskich) ludzie nie dążyli wiskać się ręcznie i zmiotali wszy z odzieży piółunowymi wiechetkami. Wybuchła epidemia tyfusu — i w krótkim czasie 15.000 (piętnaście tysięcy) trupów ciśnięto do rowu — zastygłych w skurczu, gołych, bo z oszczędności ściągano z nich nawet domowe gacie. (O tyfusie we władcywostockim zborniaku jużemy wspominali).

Z jedną tylko innowacją poprzedniej epoki GUŁag się nie rozstał! Z forytowaniem szpany i knajaków. Knajakom powierzano odpowiedzialne funkcje w obozie z jeszcze większą konsekwencją. Knajaków jeszcze skuteczniej naszczuwano na 58-my, pozwalano im bezkarnie rabować, bić, dusić. Fetniacy („urki”) stali się jakby wewnętrzną policją, obozowymi szturmowcami. (Podczas wojny we wielu obozach całkowicie skasowano etaty nadzorców, powierzając te funkcje „służbie porządkowej” — „sukom”, dawnym złodziejom — i sukii utrzymywały porządek jeszcze lepiej, niż nadzorcy; im przecież żadne prawo nie zabraniało bicia).

Podobno w lutym czy w marcu 1938 roku NKWD rozesało

---

nistyczna praktyka kierownictwa NKWD”. Za to też Komisje Dystrybucyjne zostały skasowane w Roku Wielkiego Przełomu (1929), ich zaś miejsce zajęły komisje obserwacyjne; przewodniczącym takiej komisji był sędzia, członkami natomiast byli — komendant obozu, prokurator oraz przedstawiciel ogółu — ktoś z kadry dowódcy straży, ktoś z milicji — ktoś z prezydium rady rejonowej i ktoś z komsomołu. Jak trafnie podkreślają nasi prawnicy — nie wolno zapominać, z jakich klas... Ach, przepraszam, już raz to cytowałem...

Komisje obserwacyjne miały następujące zadania: NKWD poruczyło im rozpatrywać kwestię zaliczeń i zwolnień przedterminowych. WCIK zaś (to znaczy — nasz parlament) — kazał dbać o wykonanie planów produkcyjnych i finansowych.

Otóż te właśnie komisje były rozpędzone z początkiem drugiej pięciolatki. Mówiąc otwarcie — nikt z więźniów tą stratą się nie przejął.

Skoro już napomknęło się o klasach, to warto dodać, że jedna z autorek cytowanej tylokrotnie książki zbiorowej, Szestakowa, studiująca materiały z lat 20-tych i początku lat 30-tych „dochodzi do dziwnego wniosku, iż skład socjalny aresztantów w więzieniach burżuazyjnych i w naszych zakładach karnych — jest podobny”.

Ku własnemu zdumieniu stwierdziła, że tu i tam siedzą... przedstawiciele warstw pracujących. Ten fakt, rzecz jasna, można jakoś dialektycznie wyjaśnić, ale nasza autorka takiego wytłumaczenia nie znalazła. Dodajmy, że ta, „dziwna zbieżność zachwiana została jedynie w latach 37-38, kiedy do obozów napłynęła masa ludzi z wyższych kręgów urzędowych. Ale bardzo szybko proporcja została przywrócona. Całe wielomilionowe potoki z lat wojennych i powojennych składały się z członków mas pracujących.

tajną instrukcję: *zredukować ilość więźniów!* (oczywiście — nie przez wypuszczenie ich na wolność). Nie wydaje mi się to niemożliwe: byłaby to akcja logiczna, bo nie starczało już ani pomieszczeń, ani odzieży, ani jedzenia. GUŁag ledwie dyszał.

Wtedy właśnie zaczęli gnść masowo chorzy na pellagrę. Wtedy to komendanci eskorty zaczęli sprawdzać celność karabinów maszynowych, każąc strzelać do kuszykających za kolumną zeków. Wtedy to każdego ranka dyżurni zaczęli ściągać zmarłych w nocy na wartownię i układać w sągi.

Na Kołymie, tym biegunie zimna i okrucieństwa na Archipelagu, przełom ten przebiegał z ostrością iście biegunową.

Wspomnienia Iwana Siemionowicza Karpunicza-Brawena (byłego dowódcy 40-tej dywizji, a później 12-go korpusu, który zmarł niedawno, nie dążąc zakończyć i uporządkować swoich notat), świadczą, że na Kołymie wprowadzono system żywienia, pracy i kar, nie mający sobie równych co do surowości. Więźniowie tak przymierali głodem, że w okolicach punktu Zarosszeje zeżarli ścierwo końskie, gnijące — a było to w lipcu — już od tygodnia, rojące się od much i robactwa. W kopalni Utinaja, zeki zeżarli pół beczki towotu do smarowania kół w taczkach. Na Myłdze jedli nasiona traw, jak jelenie. Gdy przełęczę górskie zasypywał śnieg, w odległych od centrum kopalniach wydawano po sto gramów chleba dziennie, nigdy nie zwracając tego, co urwano. Niezliczonych zdechlaków — nie mogących już chodzić do roboty — ciągnęli na saniach inni wycieńczeni, jeszcze nie do tego stopnia wyzuci z sił. Kto zostawał w tyle, ten był bity pałką i dogryzany przez psy. Podczas pracy, przy 45-ciestopniowym mrozie, nie pozwalano rozpalać ognisk i grzać się przy nich (knajakom pozwalano). Sam Karpunicz musiał brać się do „ręcznego, zimnego borowania” skał dwumetrowym stalowym świrdrem i do wywożenia „torfu”, a w istocie ziemi ze żwirem i kamieniami, przy 50° poniżej zera, saniami, do których zaprzęgano czterech zeków (sanie były z surowych kłód, a ich kosz — sklecony z mokrego chrustu); jako piąty szedł „pchacz” — fetniak „odpowiedzialny za wykonanie planu” i lał ich drynem. Tych, którzy planu nie wykonali (a co to znaczy tutaj — wykonać plan? Przecież „dorobek” Pięćdziesiątego Ósmego zawsze po złodziejsku spisany był na konto knajaków) — naczelnik obozu Zeldin karał, jak następuje: zimą, na przodku w kopalni kazał ich rozbierać do naga, oblewać zimną wodą i niech sobie tak leżą aż do obozu. Latem — tak samo rozbierano ich do goła, ręce krępowano za plecami, przywiązywano do wspólnej, długiej żerdzi i skutych wystawiano komarom na żer (strażnik stał sobie

obok pod siatką ochronną). A wreszcie — bito po prostu kolbami i wrzucano do izolatora.

Ktoś powie, że nie ma w tym nic nowego i że nie widać żadnego *rozwoju*: że to po prostu nawrót od krzykliwe „wychowawczych”, poprawiackich kanałów do bezpretensjonalnych Sołówek. Ba! A może to heglowska triada: Sołówki - Białomor - Kołyma? Teza - antyteza - synteza? Negacja negacji, tylko wzbożona doświadczeniem?

Na przykład *karety śmierci* chyba nie było jeszcze na Sołówach? To z relacji Karpunicza o punkcie Marisnoje (66 km. środkowokońskiej trasy). Przez całą dekadę naczelnik tolerował niewykonanie normy. Dopiero dziesiątego dnia wsadzano do izolatora, dawano karną pajkę, ale jeszcze wyprowadzano do pracy. Kto nawet wtedy normy nie wykonał, tego czekała już *kareta* — ustawiona na płozach buda  $5 \times 3 \times 1,8$  metra z nieokorowanych bali, łączonych grubymi klamrami budowlanymi. Małe drzwi, okien nie ma, wewnątrz pusto, żadnych nar. Wieczorem wyprowadzano z karceru ukaranych, już otępiiałych i zobojętniałych, wpychano ich do karety, zamykano ją na wielką kłódę i traktor odwoził to wszystko 3-4 km. od obozu, na jakąś pustać.

Niektórzy krzyczeli coś, ale ciągnik odczepiano i zostawiano ich tak na całą dobę. Po jej upływie otwierano drzwi i wyrzucano zwłoki na śnieg. Zamieć już je przysypie.

Na Myłdze (filia OŁP Elgen), gdzie komendantem był Gawrik, za niewykonanie normy kobiety karane były łagodniej: po prostu nieogrzewany namiot zimą (ale można było wyjść i pobiegać na rozgrzewkę), a podczas sianokosów, kiedy komary tną — nieosłonięty niczem szałas z żerdek (relacja b. więźniarki Sliozberg).

Zewnętrzna oznaką zaostrzenia kołymskiego reżymu było wyznaczenie na stanowisko naczelnika USWITŁ (zarządu obozów północno-wschodnich) — Garanina. Podobnie — szefem Dalstroju (koncernu przedsiębiorstw budowlanych, posługujących się pracą więźniów na Dalekim Wschodzie), zamiast komendanta dywizji strzelców łotewskich, E. Berzina, został Pawłow. (Była to zresztą zupełnie zbędna zabawa w komórki do wynajęcia, owoc podejrzliwości Stalina. Dlaczego właściwie nie mógł sprostać nowym wymaganiom stary czekista Berzin ze swymi kamraty? Czy by mu ręka drgnęła?).

Wtedy też skasowano (dla artykułu 58) ostatnie już dni wolne od pracy: letnią dniówkę przedłużono do 14 godzin, mrozy 45-50-ciostopniowe uznano za znośne dla pracujących pod gołym niebem i dopiero przy mrozie 55-ciostopniowym zezwalało się na spisanie dniówki na straty. (Ale samowola niektórych ko-



mendantów sprawiała, że nawet przy 60° wyprowadzano do roboty). W kopalni odkrywkowej Gornaja (znów plagiat z Sołówek) ludzi odmawiających pracy przywiązywano linami do sań i wleczono aż na miejsce roboty. Ponadto na Kołymie przyjęto zasadę, że konwój nie tylko, po prostu, pilnuje więźniów, lecz jeszcze odpowiada za wykonanie przez nich planu, a zatem powinni bez ustanku ich poganiać.

Przy tym szkorbut — już bez udziału naczelstwa — robił swoje z ludźmi.

Ale tego wszystkiego było jeszcze za mało, nie dość to było surowe, bo wciąż jeszcze ilość więźniów zmniejszała się w niewystarczającym tempie. Wtedy zaczęły się „garianińskie egzekucje”, całkiem otwarte mordowanie ludzi. Czasem przy wtórze traktoru, czasem bez. Wiele punktów obozowych znamy dziś jako miejsca kaźni i masowego grzebania ofiar — jak Orotukan, i punkt Polarny, i Swistoplas, i Annuszka i nawet kolonia rolna Dukcza, ale najbardziej tu zasłynęła kopalnia Żołotistyj (komendant obozu Pietrow, pełnomocnicy operacyjni — Zielenkow i Anisimow, naczelnik kopalni — Barkałow, naczelnik delegatury rejonowej NKWD — Burow) oraz Serpantynka. Na Żołotistym wyprowadzali w biały dzień brygady z chodników kopalnianych — i z punktu rozstrzeliwali, wszystkich pod rząd. (Nocne egzekucje przeprowadzano swoją drogą). Komendant Jugłagu, Mikołaj Andrejewicz Agłanow, gdy tam przybywał, lubił wybierać przy porannym apelu brygadę, mającą jakieś kondemnaty na swoim rachunku, rozkazywał odprowadzać ją na bok i osobiście strzelał z pistoletu do przerażonych, zbitych w jeden kłęb ludzi, pokrzykując przy tym z uciechy. Zwłok nie chowano, zaczynały się rozkładać dopiero z nadejściem maja — i wtedy kazano je grzebać ocalałym po zimie i jeszcze zipiącym zdechlakom, przydzielając za to lepszą pajkę — nawet z dodatkiem spirytusu. Na Serpantynce rozstrzeliwano co dzień 30-50 ludzi w szopie obok izolatora. Zwłoki kładziono później na sanie i odwożono ciągnikiem za pobliską „sopkę”. Traktorzyści, ładowacze i grabarze mieszkali w osobnym baraku. Gdy Garanin został rozstrzelany — ich również spotkał ten sam los. Stosowano też inny sposób: podprowadzano skazańca z zawiązanymi oczyma do głębokiego szybu i pakowano mu kulę w skroń, albo w potylicę. (Nikt nie przekazał relacji o jakiegokolwiek próbie oporu). Serpantynkę w końcu zamknięto i zrównano z ziemią zarówno izolator, jak wszystko, co związane było z egzekucjami, szyby zaś zasypano<sup>4</sup>. W tych kopal-

4. W 1954 roku na Serpantynce odkryto złoża złota, nadające się do eksploatacji przemysłowej. Trzeba więc było je wydobywać wraz z ludzkimi kośćmi: kruszec ważniejszy.



niach, gdzie nie uciekano się do masowych egzekucji — odczytywano, albo wywieszano spisy, w których wielkimi literami wydrukowane były nazwiska, a drobnymi — motywacje: „za kontrrewolucyjną agitację”, „za obrazę konwojenta”, „za niewykonanie normy”.

Egzekucje co jakiś czas ustawały, gdy plan wydobywania złota był w niebezpieczeństwie, zaś przez zamarźnięte morze Ochockie nie sposób było przerzucić nowych porcji siły roboczej (M. I. Kononienko czekał tak na Serpantynce przez przeszło pół roku na rozstrzelanie — i w końcu go uniknął).

Prócz tego zaczęto z zaciekością dodawać ludziom nowe terminy kary. Gawrik na Myłdzie robił to ze scenicznym zacięciem: na przodzie pędzili konno strażnicy z pochodniami (noc polarna), za nimi wleczono na arkanie po śniegu więźniów, którzy w rejonowej delegaturze NKWD (30 km.) otrzymać mieli drugi wyrok. W innych punktach obozowych odbywało się w sposób całkiem powszedni: działy ewidencji (URCz) wybierały z kartoteki *dossiers* tych, którym kończyły się już podejrzenie krótkie wyroki, wzywały ich grupami po 80-100 ludzi i ryczałem dopisywały każdemu nową *dychę* (relacja R. W. Retca).

Kołymę prawie w całości usuwam poza nawias tej książki. Kołyma jest wobec Archipelagu osobnym kontynentem, godna jest specjalnych badań. Zresztą Kołyma miała „szczęście”: przeszedł przez nią Warłam Szałamow i sporo już o niej napisał; zdołała ją przetrwać także Eugenia Ginsburg, O. Sliozberg, N. Surowcewa, N. Grankina i inni, wszyscy oni opisali ją w swoich wspomnieniach<sup>5</sup>. Pozwolę sobie tu tylko przytoczyć kilka zdań W. Szałamowa, dotyczących garaninowskich egzekucji:

„Przez wiele miesięcy na porannych i wieczornych apelach odczytywano nieskończenie długie spisy skazanych na rozstrzelanie. Przy 50-ciestopniowym mrozie orkiestra, złożona z pospoliczków, grała tusz przed odczytaniem i po odczytaniu każdego z tych rozkazów. Kopcące, benzynowe pochodnie dały mrok... Bibułka spisu pokrywała się szronem i odczytujący rozkaz naczelnik strzepywał rękawicą szron z arkusza, aby móc odcyfrować i wykrzyknąć kolejne nazwisko rozstrzelanego”.

W ten sposób Archipelag doczekał się końca drugiej pięcioletki i — co za tym idzie — przekroczył próg krainy socjalizmu.

---

5. Skąd tu taka obfitość, gdy pozakołymskich wspomnień tak mało? Czy dlatego, że na Kołymę rzeczywiście zesłano kwiat więźniarskiego świata? Czy też dlatego — co brzmi paradoksalnie — że w „niedalekich” obozach pomór był jeszcze powszechniejszy?



Początek wojny był wstrząsem dla wyspiarskich władz: przybrała ona na wstępie obrót, który mógł — jak się zdawało — doprowadzić do rozpadu całego Archipelagu, a nawet — aż strach powiedzieć — do sytuacji, w której pracodawcy mogli być pociągnięci przez pracobiorców do odpowiedzialności. Relacje zeków z rozmaitych obozów dowodzą, że taki bieg wypadków wywołał dwa typy reakcji ze strony panów sytuacji. Jedni z nich — roztrośniejsi, albo tchórzliwsi — złagodzili reżym, zmienili ton na nieomal uprzejmy, zwłaszcza gdy rozchodziły się wieści o klęskach na froncie. Nie mogli oczywiście polepszyć wiktów, ani warunków egzystencji. Inni, bardziej zacięci albo złośliwi — postępowali zupełnie odmiennie; jeli traktować Pięćdziesiąty Ósmy jeszcze ostrzej i gorzej, zapowiadając niejako, iż raczej na śmierć można liczyć, niż na wyzwolenie. W większości obozów więźniów nie zawiadomiono wcale, że wojna się zaczęła — ta nasza niezwalczona pasja do sekretów i kłamstw! — i dopiero w następnym poniedziałek ludzie dowiedzieli się czegoś od chodzących bez konwoju i od wolniaków. Tam, gdzie było radio (jak w Ust'-Wymie, czy w licznych punktach na Kołymie) — wyłączono je; milczało przez cały okres naszych klęsk. W tym samym Ust'-Wymłagu nagle zakazano *pisania* listów do domu, a dostawać je dalej było wolno (i krewni doszli do wniosku, że najbliższych rozstrzelano). W niektórych obozach (jakby przeczuwając już skąd wiatr powieje) Pięćdziesiąty Ósmy zaczęto odseparowywać od pospolitaków i gromadzić w szczególnie surowo pilnowanych zonach: na wieżyczkach ustawiono tam cekaemy i takie nawet słowa słyszało się przy apelu: „Jesteście tu zakładnikami! — (Ach, ten szampański zaczyn Wojny Domowej! Jak trudno te pojęcia zapomnieć, jak łatwo je przypomnieć sobie!). „Jeśli Stalingrad padnie, to wszystkich was rozstrzelamy!”. W takim więc stanie ducha rozpytywali się tubylcy, co tam w komunikacie: trzyma się jeszcze Stalingrad, czy już wzięty? — Na Kołymie w takich spec-zonach gromadzono Niemców, Polaków i tych z 58-mego, którzy byli bardziej na widoku. Ale Polaków dość prędko (sierpień 1941) zaczęto w ogóle wypuszczać<sup>6</sup>.

Na całym terenie Archipelagu (jak to wynikało z rozporządzeń mobilizacyjnych, których pieczęcie teraz właśnie złamano) już od pierwszych dni wojny zaprzestano zwalniania Pięćdziesiątki Ósem-

6. Na Zołotistym zwolniono 186 Polaków (z 2.100 osób, przywiezionych rok wcześniej). Trafili do Armii Andersa, wyjechali na Zachód — a tam, jak widać, opowiedzieli o tym ich Zołotistym. W czerwcu 1942 ten obóz został ostatecznie zamknięty.

ki. Zdarzały się nawet wypadki zawracania z drogi już zwolnionych. W Uchcie 23 czerwca grupa wypuszczonych na wolność już była poza zoną, czekała na pociąg — gdy konwój zapędził ich z powrotem za druty, złorzecząc: „to przez was ta wojna!”. Karpunicz dostał zaświadczenie o zwolnieniu rankiem 23 czerwca, ale nie zdążył jeszcze przekroczyć bramy, gdy już mu podstępem papierek odebrano: „Pokażcie no to na chwilę!”. *Pokazał* — i został w obozie jeszcze na 5 lat. Nazywało się to — do *specjalnego* rozporządzenia). Wojna już miała się ku końcowi, ale we wielu obozach nie było jeszcze wolno więźniom zwracać się do działów ewidencji z pytaniem, kiedy wreszcie ich wypuszczą. Chodziło o to, że pod koniec wojny jeszcze przez jakiś czas na Archipelagu brak było ludzi i niektóre miejscowe władze — nawet gdy już Moskwa pozwalała więźniów zwalniać — wydawały własne „rozporządzenia specjalne”, żeby zatrzymać jak najdłużej siłę roboczą. (W ten sposób właśnie przetrzymana została w obozie Karłag J. M. Orłowa — i dlatego nie zdążyła już zobaczyć umierającej matki).

Od samego początku wojny (zapewne na podstawie tychże rozporządzeń mobilizacyjnych) zmniejszono w obozach normy żywienia. Także jakość jego pogarszała się z każdym rokiem: z warzyw zostały tylko buraki pastewne, zamiast kasz dawano do jedzenia wykę i otręby. (Kołyma miała dostawy bezpośrednio z amerykańskiej Alaski — i pojawił się tam za to gdzieś biały chleb). Ale w ważniejszych fabrykach i kopalniach upadek sił wśród więźniów spowodował tak znaczne obniżenie się wydajności pracy (5-cio, a nawet 10-krotnie), że przywrócenie przedwojennych norm żywienia uznano za bardziej korzystne. Wiele przedsiębiorstw obozowych wykonywało zamówienia wojskowe — a obrotni kierownicy takich fabryczek czasem pozwalali sobie na dokarmianie swoich zeków z zasobów własnych gospodarstw pomocniczych. Tam, gdzie płacono za pracę — wynagrodzenie (30 rubli miesięcznie) równało się cenie rynkowej jednego kilograma ziemniaków.

Gdyby więźnia siedzącego podczas wojny w obozie, zapytać, jakie jest jego najświętsze, największe i najbardziej niedościgłe marzenie — to odpowiedź brzmiałaby: „najeść się razowca — chociaż raz do syta — a potem już można umierać”.

W obozach pochowano podczas wojny wcale nie mniej ludzi, niż na froncie, tylko żaden poeta tych ofiar nie opiewał. L. A. Komogor ze swoją „brygadą inwalidów” przez całą zimę z 1941 na 1942 rok zajęty był taką oto lekką robotą: pakował do drewnianej skrzyni sklepanej z czterech desek po dwóch gołych umarłaków na waleta, dzień w dzień po 30 skrzyń. (Obóz nie

należał zapewne do peryferyjnych, dlatego dbano o opakowanie).

Minęły pierwsze miesiące wojny — i kraj przystosował się do wojennego trybu życia; komu było pisane — ten poszedł na front, komu było pisane — ten pospieszył na tyły, komu było pisane — ten rządził innymi i ocierał gębę po wypitce. To samo działało się w obozach. Okazało się, że lęk był przedwczesny, że wszystko stoi jak stało, że sprężyna nakręcona w 37-mym dalej działa bez przeszkód. Ci, którzy z początku przymilali się do zeków, teraz tym bardziej się srożyli, już bez pardonu. Okazało się, że ustalone formy życia obozowego są jak najbardziej prawidłowe i zawsze takimi pozostaną.

Siedem epok obozowych toczyć będzie spór przed wami — która z nich najgorsza była dla ludzi; dajcie palmę pierwszeństwa epoce wojny. Powiadają nawet, że kto podczas wojny nie siedział, ten nie wie, co to obóz.

Oto punkt obozowy Wiatłagu, zimą z 41-go na 42-gi: tylko w barakach dla inżynierów i techników oraz w warsztatach mechanicznych tli się jeszcze coś na kształt życia, cała reszta — to lodowaty cmentarz (a Wiatłag nie robi nic innego — tylko zaopatruje w drzewo kolej permską).

Oto co cechowało obozy lat wojny: więcej roboty — mniej żarcia — mniej opału — gorsza odzież — surowsze prawa — okrutniejsze kary — ale to też jeszcze nie wszystko. Otwarte formy protestu nigdy nie były dla zeków dostępne — teraz wojna pozbawiła ich również możliwości protestu wewnętrznego. Byle farmazon z pagonami, wymigujący się od frontu, wymachiwał im palcem przed nosem i pouczał: „A jak na froncie ludzie giną?... A jak pracują na wolności? A w Leningradzie ile ludziom płacono?...”. I nie sposób było przeciwstawić się tym argumentom — nawet wewnątrz, w głębi duszy. Tak, na froncie ludzie umierali, rozpostarli na śniegu. Tak, na wolności ludzie żyły z siebie wypruwali i głodowali. (*A front pracy* — bataliony robotnicze, do których brano niezamężne dziewczęta ze wsi — gdzie tak samo harowało się przy wyrębie, gdzie dawano siedemset gramów dziennie, z dodatkiem miski pomoy — nie był wcale lepszy od obozu). Tak — podczas blokady Leningradu *pajka* była jeszcze mniejsza od wydawanej tu siedzącym w karczerze. Podczas wojny cała rakowa narośl Archipelagu uchodziła jakby za nader ważny i potrzebny organ rosyjskiego ciała — bo przecież pracowała niejako na potrzeby wojny! od niej też zależała sprawa zwycięstwa! — i wszystko to rzucało złudny, zacierający grzechy blask na druty kolczaste, na wymachującego palcem naczelnika — i zdychając, już jako jedna z jej gnijących komó-

rek — pozbawiony byłej tej nawet pociechy, by ją przekląć przed śmiercią.

Dla Pięćdziesiątki Ósemki obozy czasu wojny były szczególnie nieznosne ze względu na powszechne stosowanie *domiarów*, czyli podwajanie terminów kary; to było gorsze od topora nad karkiem. Pełnomocnicy operacyjni NKWD, chcąc się wymigać od frontu, wykrywali w zapadłych kątach, w leśnych obozach, wśród drwali — całe sprzysiężenia z udziałem burżuazji międzynarodowej, plany powstań zbrojnych i masowych ucieczek. Asy GUŁagu, jak J. M. Moroz, komendant Uchtpieczłagu, szczególnie dbał o rozkwit w obozach wszelkich akcji śledczo-sądowych. W Uchtpieczłagu kary 20-letniego więzienia czy rozstrzelania sypały się, jak z rękawa: „za poduszczenie do ucieczki”, „za sabotaż”. A ilu było takich, dla których obeszło się nawet bez sądu; o ich losie decydował nowy układ konstelacji gwiazdnych: Sikorski stanął okoniem Stalinowi — i oto w ciągu jednej nocy wyłapano na Elgenie 30 Polek i wywieziono je na rozstrzelanie.

Wielu było zeków — to żaden wymysł, to prawda — którzy w pierwszych dniach wojny składali podania z prośbą o wysłanie ich na front. Zakosztowali smrodliwej bryi z samego dna obozowego sagana — a teraz prosili o posłanie ich na pierwszą linię, aby bronić tego więziennego systemu i zginąć zań w karnej kompanii! („A jeśli pozostanę przy życiu, to wrócę, aby odsiedzieć resztę wyroku”)... Ortodoksi twierdzą teraz, że to *oni* składali te prośby. Owszem, zdarzali się i tacy (a także niedorzęnci trockiści), ale niewielu ich było: po większej części przycupnęli na jakichś skromnych funkcjach w obozie (nie bez pomocy zwierzchników-komunistów), gdzie można było spokojnie dumać, snuć wspomnienia i czekać — a w karnej kompanii dłużej niż trzy dni mało kto mógł się chwalić, że ma jeszcze skórę całą. Ten poryw brał się nie z pobudek ideowych, lecz szedł prosto z serca — to właśnie był rosyjski charakter: lepiej umrzeć w polu, niż w zgniłym lochu! Rozprostować się, choćby na chwilę, być „jak inni”, nie być upośledzonym! Uciec od tej skazańczej martwoty, od podwajania wyroków, od niemej zagłady. Inni brali rzeczy z prosta, ale też w tym nic hańbiącego nie było: może tam śmierć człowieka czeka, ale tymczasem dostanie mundur, naje się, napije, przejedzie, będzie mógł z okna wagonu świata się przyjrzeć i z dziewczuszkami na przystankach przekomarzać. A jeszcze była w tym pobłażliwa skłonność do darowania win: wyście nam tyle złego zrobili — a my — patrzajcie tylko!

Państwo jednak nie widziało żadnej gospodarczej i organizacyjnej korzyści w tych zbędnych przetasowaniach: przenosić jednego z obozu na front, innego zaś — z frontu do obozu. Każdemu

pisany był określony rodzaj życia i śmierci; skoroś grzyb włąz do koszyka. Czasami brano na front pospolitaków z niedużymi wyrokami i rzecz jasna, nie do karnych kompanii, tylko do zwykłych oddziałów armii czynnej. Rzadko, ale przecież zdarzało się, że brano także Pięćdziesiąty Ósmy. Ale na przykład Włodzimierza Siergiejewicza Gorszunowa wzięto w 43-cim z obozu na front, a pod koniec wojny już znowu był w obozie i to z przedłużonym terminem kary. Tacy ludzie byli już napiętnowani i pełnomocnicy operacyjni łatwiej mogli przypiąć im łatę, niż nieznanemu bliżej rekrutowi.

Ale władze obozowe niezupełnie ignorowały ten przejaw patriotyzmu. Przy leśnych robotach nie grało to roli, ale hasła: „Ponadplanowy węgiel — to światło dla Leningradu!”, „Gwardzistom potrzebne są nasze pociski!” — budziły — jak twierdzą naoczni świadkowie — żywy odzew. Arseniusz Farmakow, człowiek godny zaufania, stateczny, wspomina, że ich obóz, pracując na potrzeby frontu, był po prostu ogarnięty *zapatem*, chciał to nawet opisać. Więźniowie czuli się pokrzywdzeni, gdy nie pozwalano im zbierać pieniędzy na kolumnę czołgów („Dżydińska”<sup>7</sup>).

Wkrótce miano ich za to nagrodzić; a jak — to stało się wiadome zaraz po wojnie: dezercerzy, żulicy, złodzieje — doczekali się amnestii, Pięćdziesiąty Ósmy — Obozów Specjalnych.

Im bliższy był koniec wojny, tym surowszy i surowszy stawał się reżym, przewidziany dla Pięćdziesiątki Ósemki. Czy trzeba szukać daleko — w obozach Dżydińskich i na Kołymie? Pod samą Moskwą, prawie na jej skraju, w Chowrinie, istniała mizerna fabryczka Działu Gospodarczego NKWD, a przy niej rygorystyczny obóz, którym rządził Mamułow — człowiek potężny, ponieważ jego rodzony brat był szefem kancelarii samego Berii. Mamułow brał kogo mu się podobało ze zborniaka na Krasnej Presni, a rygor w obozie zależał tylko od jego fantazji. Na przykład — widzenia z krewnymi (na które pozwalano łatwo w obozach podstołecznych) odbywały się tu przez dwie siatki, jak w więzieniu. W celach mieszkalnych panowały tu także więzienne porządki: mnóstwo jasnych żarówek, których nie gaszono na noc; stała obserwacja i pilnowanie, żeby śpiący nie przykrywali się dla ciepła fufajkami (zaraz takich budzono); karcet

---

7. Wymaga to wielu skomplikowanych wyjaśnień podobnie, jak cała wojna sowiecko-niemiecka. Mijają już przecież dziesięciolecia. Nie dąży człowiek własnych postępków rozpatrzyć jak należy, w jednej choćby płaszczyźnie, gdy już spada na wydarzenia nowa warstwa popiołów. Ani jednego z naszych dziesięcioleci nie cechowała wolność i czystość informacji — i między jednym szokiem a drugim ludzie nie dążyli zorientować się kim są, kto ich otacza i jakie właściwie wypadki miały miejsce.



z cementową podłogą, zupełnie pozbawiony sprzętów — słowem, jak w regularnym więzieniu. Żadna kara, jakiej poddawał zeków, nie sprawiała mu jednak satysfakcji, jeśli przedtem nie upuścił osobiście winowajcy krwi z nosa. W jego obozie należały do zwyczajów nocne wyprawy strażników (sami mężczyźni) do kobiecego baraku, gdzie spało 450 więźniarek. Wbiegali bez uprzedzenia, z dzikim pohukiwaniem, wrzeszcząc: „Pobudka, do szeregu!”. Półrozebrane kobiety zrywały się z pościeli, a strażnicy zabierali się do rewidowania ich samych, oraz łóżek z drobiazgową starannością, konieczną wszak dla odszukania ukrytej igły, albo miłosnego liściku. Za każdą rzecz znalezioną — posyłano do karceru. Naczelnik działu mechanicznego, niejaki Szklinik, w trakcie nocnej zmiany, skradał się między maszynami, zgarbiony na kształt goryla i ledwo zauważył, że ktoś walczy ze snem, że kiwa mu się głowa, albo przymykają oczy — już ciskał w takiego z rozmachem kawałami żelaza, cęgami, odpadkami metalu.

Oto były ulgi, jakich doczekali się robotnicy z Chowrina w nagrodę za pracę na potrzeby frontu: bo przez całą wojnę wyrabiali miny. Fabryczkę przystosował do tej produkcji i opracował jej technologię pewien więzień-inżynier (niestety jego nazwiska dotąd nie udało się ustalić, ale nie szkodzi, w końcu i ono też wypłył); był on również twórcą biura konstruktorskiego. Miał wyrok z artykułu 58-go i należał do ludzi najbardziej, w oczach Mamułowa nieznośnych, to znaczy takich, którzy nie frymarczą swoimi przekonaniem i opiniami.

I takiego łotra trzeba było tolerować! Ale u nas nie ma ludzi niezastąpionych! I kiedy produkcja rozkręciła się już na dobre, do klatki tego inżyniera — gdzie siedziało jeszcze paru biuralistów (a właśnie, że przy ludziach! — niech wiedzą wszyscy, niech mają co opowiadać! — więc i my też to opowiemy) wpadł Mamułow z dwoma pachołkami, zaczął szarpać go za brodę, przewrócił na ziemię, skopał do krwi i posłał do Butyrek, odsiadywać drugi wyrok za polityczne pogaduszki.

Od miłego tego oboziku było 15 minut jazdy do Dworca Leningradzkiego. Blisko, bo blisko, ale iść tam niesporo.

(Zeki-nowicjusze, zesłani do podstołecznych obozów, trzymali się ich kurczowo, zwłaszcza, gdy mieli rodzinę w Moskwie, a nawet, gdy byli z innych stron: zdawało się, że człowiek nie zwałił się jeszcze w przepaść, skąd nie ma powrotu, że za ścianą jest świat cywilizowany. Ale to było złudzenie. Wyżywienie było tu zwykle gorsze — bo zakładało się, że większość i tak dostaje paczki, tu nawet bielizny nie wydawano. A co najgorsze, obozy te trzęsły się od denerwujących, wciąż powtarzanych pogłosek o planowanych transportach do najdalszych miejscowości, miało



się wrażenie, że człowiek balansuje tu jak na ostrzu noża, nie sposób było zaręczyć, że nawet najbliższą dobę uda się spędzić w tym samym miejscu).



Takie oto kształty przybierał Archipelag, kamieniejąc — ale nie należy sądzić, że jego ogniska przestały w tym stadium dawać przerzuty.

W 1939 roku, przed wojną z Finlandią, gułagowska Al ma Ma t e r, Sołówki, ze względu na zbyt bliskie sąsiedztwo zachodniej granicy, przerzucona została północnym szlakiem morskim aż do ujścia Jeniseju i tam włączona do tworzonego właśnie obozu Noril-łag, który wkrótce już miał liczyć 75.000 więźniów. Sołówki były narosłą tak złośliwą, że nawet ginąc — zdążyły jeszcze dać ostatni przerzut — i to jaki!

Do lat przedwojennych odnosi się fakt opanowania przez Archipelag bezwodnych pustyń Kazachstanu. Na kształt ośmiornicy rozrasta się ośrodek obozowy w Karagandzie, skore do rozrostu metastazy wyłaniają się w Dżezkaganie, gdzie woda zatruta jest związkami miedzi, w Mointach, nad jeziorem Bałchasz. Wysypka obozowa pokrywa również północ Kazachstanu.

Wzbierają guzy w okręgu Nowosybirskim (obozy Marińskie), w Kraju Krasnojarskim (obozy Kanske, Krasłag), w Chakasji, w Buriat-Mongolii, w Uzbekistanie, a nawet na Kaukazie, w Górnej Szorii.

Nie hamuje to rozrostu obozów na Północy, ziemi obiecanej Archipelagu (Ust'wymłag, Nyrobłag, Usolłag) i na Uralu (Idelłag).

W spisie tym jest wiele przeoczeń. Dość mi było napisać „Usolłag”, aby sobie przypomnieć, że w irkuckim Usolu też był obóz.

Były zresztą wszędzie — i w kujbyszewskim, i w czelabińskim — nigdzie ich nie brakło.

Nowy sposób organizacji obozów wprowadzono po deportacji Niemców znad Wołgi: całe wsie, jak leci, włączano do *зоны* — i nadawano im status karnych kolonii rolnych (Kamieńskie obozy rolnicze — między Kamyszynem a Engelsem).

Prosimy czytelników o wyrozumiałość wobec licznych braków i niedoborów tego rozdziału: nad całą epoką Archipelagu przetruciliśmy tylko wątłą kładkę — po prostu dlatego, że nie zdołaliśmy zebrać wystarczającej ilości danych. Nie mogliśmy przecież ogłaszać przez radio apeli o nadsyłanie materiałów.

Tu znów na nieboskłonie Archipelagu kreśli szkarłatem swój zawiły szlak błędna gwiazda Naftalego Frenkla.

Rok 1937-my, czyniąc spustoszenia we własnych szeregach, nie ominął głowy Frenkla: był już komendantem Bamłagu, generałem NKWD — i tytułem wdzięczności znów się znalazł za kratami na znanej mu już Łubiance. Ale Frenkel nie zaprzestał bynajmniej marzeń o wiernej służbie — i Przemądry Nauczyciel nie porzucił myśli, by znaleźć jeszcze dla niego odpowiednie pole do popisu. Rozpoczęła się haniebna i niefortunna wojna z Finlandią, Stalin zdał sobie sprawę, że nie był do niej przygotowany, że brak mu dróg dowozowych dla armii, co zabrnęła w karelskie śniegi. Przypomina sobie pomysłowego Frenkla i wzywa go do siebie: trzeba natychmiast, podczas lutych mrozów, bez wszelkich prac przygotowawczych, nie mając do dyspozycji planów, składów i szos, zbudować w Karelii trzy trasy kolejowe — jedną rokadową i dwie dowozowe. Zbudować je należy w ciągu *trzech miesięcy*, bo wstyd przecież takiemu wielkiemu mocarstwu tak długo guzdrać się z jakąś mizerną Finlandią. Brzmi to iście jak motyw z bajki: zły król daje złemu czarodziejowi zadanie niewykonalne, niewyobrażalne. Wódz socjalizmu pyta: „Da się zrobić?” A niezmordowany waluciarz z werwą odpowiada: „A jakże!”.

Ale godzi się tylko pod pewnymi warunkami:

- 1) wyodrębnić całkowicie z GUŁagu i zorganizować nowe więziarskie imperium — GUŁ ŻDS — Zarząd Naczelny Obozów dla Budowy Dróg Żelaznych, na którego czele stanąć ma właśnie on — Frenkel;
- 2) ma mieć do dyspozycji wszystkie dostępne w kraju materiały i zapasy (to już nie jakiś tam Białomor!);
- 3) GUŁ ŻDS w okresie pilnych robót nie liczy się zupełnie z panującym ustrojem socjalistycznym i jego uprzykrzonym systemem kontroli oraz sprawozdawczości. Frenkel nie musi wyliczać się z niczego i przed nikim. Nie rozbija żadnych namiotów i nie zakłada punktów obozowych. Nie ma u niego żadnych „porcji”, „przydziałów”, „kotłów”. (A to on pierwszy wprowadził przydziały i kotły! Tylko geniusz może anulować prawa, ustalone przez geniusza!). Każę zwałca prosto na śnieg całe góry najlepszego żarcia, kozuszków i walonek, każdy zek wdziewa co chce i je, ile dusza zapagnie. Tylko machorka i spirytus znajdują się w rękach jego pomocników i tylko na nie trzeba pracować!

Wielki Strateg udziela zgody. I oto GUŁ ŻDS — jest faktem! Archipelag się rozsypał? Nie, wzmocnił się tylko, posze-

rzył swoje wpływy, teraz jeszcze sprawniej będzie kiełznać kraj.

Frenkel nie zdążył jednak doprowadzić robót w Karelii do końca: Stalin wolał przerwać wojnę, zadowolając się remisem. Mimo to GUŁ ŻDS krzepnie i rozrasta się. Sypią się wciąż nowe zamówienia (ale sprawozdawczość i porządki są już takie, jak wszędzie): buduje kolej rokadową wzdłuż perskiej granicy, następnie kolej nadwożańską od Syzrania do Stalingradu, dalej „Martwą drogę” od Salechardu do Igarki i wreszcie BAM: z Tajsztetu do Bratska, a potem dalej.

Co więcej, myśl Frenkla owocuje i wpływa na rozwój samego GUŁagu: przyjęta zostaje zasada podziału GUŁagu według rodzajów produkcji. Podobnie, jak Sownarkom dzielił się na poszczególne komisariaty ludowe, GUŁag utworzył własne resorty: GłównLesłag, GłównPromstroj, GUŁGMP (Zarządy Główne Obozów — leśnych, budownictwa przemysłowego, kopalnictwa i metalurgii).

Wybucha wojna. Wszystkie te GUŁagowskie ministerstwa zostają ewakuowane do rozmaitych miast. Centrala GUŁagu przenosi się do Ufy, GUŁ ŻDS — do Wiatki. Łączność między tymi ośrodkami nie jest już tak sprawna, jak za moskiewskich czasów: centrala nie zarządza już całością Archipelagu, każda z jego dzielnic podporządkowuje się temu zarządowi, który jest teraz najbliżej. W ten sposób Frenkel zostaje władcą całej Rosji Północno-Wschodniej (jako że nie ma na tym terenie nic prawie, poza placówkami Archipelagu). Ale myliłby się ten, kto by widział tu coś na kształt rozpadu Cesarstwa Rzymskiego, bowiem po wojnie imperium znów się zjednoczy i nabierze jeszcze większej potęgi.

Frenkel nie zapomina o starych przyjaciółach: wzywa i powołuje na wysokie stanowisko w GUŁ ŻDS — Buchalcewa, redaktora żółtej gazetki „Kopiejka” w przedrewolucyjnym Mariupolu; inni współbracia tego człowieka dawno już zostali rozstrzelani, albo rozpierzchli się po całym świecie.

Frenkel odznaczał się wyjątkowymi talentami nie tylko w dziedzinie handlu i organizacji. Wystarczyło mu zerknąć na kolumnę cyfr, by natychmiast podsumować je w pamięci. Lubił przechwalać się, że zna z twarzy, imienia i nazwiska 40.000 więźniów i o każdym z nich potrafi powiedzieć, z jakiego artykułu i na jaką karę jest skazany (w jego obozach przyjęte było, aby zek w obecności wyższych przełożonych meldował się, raportując te wszystkie dane). Potrafił zawsze obejść się bez naczelnego inżyniera. Rzucił tylko okiem na przedstawiany mu do zatwierdzenia projekt stacji kolejowej — natychmiast dostrzegł każdą omyłkę — i wtedy ciskał zmięty papier podwładnemu

w twarz, mówiąc: „Kiedy nareszcie zrozumiecie, że jesteście osłem, a nie projektantem!”. Głos miał nosowy, nieczęsto go podnosił. Wzrostu był mizernego. Frenkel nosił generalską papachę z kolejarskimi dystynkcjami, z granatowym wierzchem i czerwonym podbiciem. Zawsze i niezmiennie miał też na sobie kitel typu wojskowego — co świadczyło jednoznacznie, że chce być uważany za działacza państwowego, a nie za inteligenta. Podobnie, jak Trocki, kwaterę miał w pociągu, którym rozjeżdżał po swoich polach bitwy — po placach budowy. Miejscowi naczelnicy przyzwyczajeni do prymitywu i bałaganu, wzywani do jego wagonu na narady, nadziwić się nie mogli wiedeńskim krzesłom, wyściefanym meblom — i z tym większym onieśmieniem przyjmowali każdy zarzut i każdy rozkaz szefa. Sam on zaś nigdy nie zajrzał nawet do baraków, nie powąchał tamecznego smrodu — bo wymagał tylko roboty i jedynie jej wyniki go obchodziły. Szczególnie lubił telefonować nocami do podwładnych w terenie, przyczyniając się w ten sposób do utrwalenia legendy, głoszącej że Frenkel nigdy nie sypia. (Zresztą za czasów Stalina wielu dygnitarzy istotnie przyzwyczało się do takiego trybu życia). Nigdy nie miał żony.

Za kraty już więcej nie trafił. Został zastępcą ministra komunikacji, Kaganowicza, do spraw kapitałnych inwestycji w kolejnictwie. Zmarł w Moskwie w latach 50-tych, doczekawszy się rangi generała-lejtnanta, zasłużonego szacunku i spokojnej starości.

Wydaje mi się, że nienawidził tego kraju.

Rozdział piąty  
NA CZYM TRZYMA SIĘ  
ARCHIPELAG

Istniało na Dalekim Wschodzie miasto ochrzczone wiernopoddańczym imieniem CESAREWICZ. Rewolucja przemianowała ów gród na SWOBODNYJ. Kozacy amurscy, którzy tam mieszkali, ulegli rozproszaniu i osiedle opustoszało. Trzeba było je jakoś zaludnić. Mieszkańcami jego stali się więźniowie, oraz pilnujący ich czekiści. Cały gród Swobodnyj stał się obozem (BAMłag).

W ten sposób życie samo kreuje symbole.

Obozy nie są po prostu „ciemną stroną” naszego życia w epoce porewolucyjnej. Ich rozrost sprawił, że stały się nie zjawiskiem postronnym i pokątnym, lecz zajęły miejsce w samym jądrze naszych spraw. Niewiele jest zjawisk, w których nasze półwiecze przejawiało swoje tendencje tak konsekwentnie i bez reszty.

Każdy punkt powstaje w wyniku przecięcia co najmniej dwóch prostych, każde wydarzenie jest skutkiem zbiegu dwóch co najmniej nieuniknionych okoliczności. Do utworzenia systemu obozowego pchnęła nas potrzeba charakteru gospodarczego; gdyby tylko o nią chodziło, to mogłoby dojść również do sformowania Armii Pracy, jednak tu zbiegła się ona z — gotowym już na szczęście — teoretycznym usprawiedliwieniem obozów.

Dwa te składniki pasowały do siebie, jakby je tak Pan Bóg stworzył: każdy czop trafiał do należącego otworu, każdy ząb do odpowiedniego wrębu. Tak właśnie powstał Archipelag.

Konieczność gospodarcza przejawiała się, jak zwykle, z właściwą jej otwartością i brutalnością: państwu, pragnącemu stanąć mocno na nogach w jak najkrótszym czasie (to wymaganie przesądziło o większości cech procesu, podobnie jak na Kanale Biało-

morskim!) i bez pomocy z zewnątrz — potrzebna była siła robocza:

- a) jak najtańsza, a najlepiej — bezpłatna;
- b) nie stawiająca żadnych żądań, taka którą można swobodnie przerzucać z miejsca na miejsce, wolna od związków rodzinnych, dla której nie trzeba ani porządných mieszkań, ani szkół, ani szpitali, a w pewnych okresach — nawet kuchni, czy łaźni.

Zdobyć taką siłę roboczą można było tylko w jeden sposób — pożerając własne dzieci.

Uzasadnienie zaś teoretyczne nie mogłoby tak szybko i składnie sformować się w tych latach zdyszanego pędu, gdyby nie jego załazek, jaki został w spadku po wieku ubiegłym. Engels wykazał, że człowiek stał się człowiekiem nie dzięki narodzinom pojęć moralnych ani zdolności do myślenia — lecz dlatego, że — przypadkiem i bezmyślnie — nauczył się pracować: mała wzięła do łapy kamień i od tego wszystko się zaczęło. Marks zaś, nawiązując do bliższej już epoki („Krytyka programu gotajskiego”) z tym samym przekonaniem uznał za *jedyny* środek reedukacji przestępców (co prawda — tylko kryminalnych; nie mieściło mu się w głowie, że jego uczniowie będą przeciwników politycznych uważać za przestępców) — nie żadne samotne medytacje, nie doskonalenie moralne, nie skruchę, nie żal (to wszystko nadbudowa!) — lecz pracę produkcyjną. Sam on nigdy nie trzymał w ręku motyki, nigdy w życiu nie pchał taczek, nie kopał węgla, nie karczował pni; nie wiemy nawet, czy rąbał drwa do pieca — ale przecież napisał to na papierze i papier wszystko wytrzymał.

Jego wyznawcom łatwiej już teraz było dojść do wniosku że zmuszanie więźnia do codziennej harówki (czasem nawet — 14-godzinnej, jak w kołymskich kopalniach) — to rzecz humanitarna i prowadząca do jego poprawy. I odwrotnie — poprzestawanie na celi więziennej z dziedzińcem do spacerów i ogródkiem, gdzie więzień mógłby sobie latami czytać książki, pisać, rozmyślać i prowadzić dyskusje — równa się traktowaniu go „na kształt bydłęcia” (porównanie czerpiemy z tejże „Krytyki...”).

Co prawda, w gorącym okresie popaździernikowym nie było czasu na te wszystkie subtelności i rozstrzeliwanie więźniów uznano za sposób jeszcze bardziej humanitarny. Ci zaś, których nie rozstrzelano, lecz zesłano do pierwszych obozów — znaleźli się tam nie w celu reedukacji; chodziło o unieszkodliwienie ich, o czystą izolację.

Już wtedy bowiem ten i ów zajął się teorią kar, na przykład — Piotr Stuczka, a w „Podstawowych założeniach prawa

karnego RSFSR” z 1919 roku samo pojęcie *kary* zostało podane rewizji. Kara — twierdzi się tam w sposób nader obiecujący — nie jest *ani zemstą* (władza robotniczo-chłopska nie mści się na przestępcy), *ani odkupieniem winy* (nie istnieje wszak żadna *wina* indywidualna, skoro wszystko ma swoje klasowe uwarunkowania), jest natomiast zabiegiem stosowanym dla ochrony ustroju, jest *środkiem obrony społeczeństwa*.

Skoro to „środek obrony społeczeństwa” — to jasne, iż na wojnie — jak to na wojnie, że trzeba zatem albo rozstrzeliwać (najwyższy wymiar... obrony socjalnej), albo wsadzać do więzienia. Ale przy takiej praktyce jakos traciła blask idea *p o p r a w y*, o której mówiło się z aprobatą na VIII Zjeździe partii w tym samym 1919 roku. Bo nie można było jakoś zrozumieć: co ma ulec w człowieku poprawie, skoro nie on jest winny? Przecież klasowe uwarunkowania nie mogą być po niewczasie naprawione?!

Tymczasem wojna domowa się skończyła, w 1922 roku wydano pierwsze sowieckie kodeksy, w 1923 odbył się „zjazd pracowników więziennictwa”, w 1924 ukazały się nowe „Podstawowe założenia prawa karnego”, które stały się fundamentem nowego Kodeksu Karnego z 1926-tego (kodeks ten wrzynał nam się w karki 35 lat — ale świeżo wprowadzone poglądy — że nie ma „winy” ani „kary”, lecz jest tylko „zagrożenie społeczne” i „obrona socjalna” — pozostały w mocy.

Jasne, że tak było najporęczniej. Taka teoria pozwalała każdego wpakować za kraty, jako zakładnika, jako „osobę podejrzaną” (depesza Lenina do Eugenii Bosz), a nawet posyłać na zesłanie całe narody, uznane za potencjalnie niebezpieczne (przykłady są powszechnie znane) — ale trzeba być pierwszorzędnym żonglerem, aby jednocześnie rozwijać i pucować do blasku teorię kary poprawczej.

Znaleźli się jednak tacy żonglerzy; teoria błyszczała jak nowe, i same obozy nosiły nazwę „poprawczych”. Możemy tu przytoczyć niejedną cytata.

Wyszyński: „Cała sowiecka polityka ścigania przestępstw opiera się na dialektycznej (!) zgodności zasady represji i przymusu z zasadą perswazji i reedukacji<sup>1</sup>.

„Wszystkie burżuazyjne zakłady karne starają się „dokuczyć” przestępcy przez zadawanie mu fizycznych i moralnych cierpień” (bo przecież tamci nie chcą wcale, żeby zbrodniarz się „poprawił” — A.S.). „W odróżnieniu zaś od metod burżuazyjnych —

---

1. Wyszyński, Przedmowa do książki Awerbacha *Od przestępstwa do twórczej pracy*, str. VI.



u nas zadawanie cierpień przestępcom nie jest celem samym w sobie, lecz tylko środkiem. (Tam też, jakby się mogło zdawać, to nie cel, tylko środek — A.S.). Naszym celem natomiast jest faktyczna reedukacja, chodzi o to, żeby przestępcy opuszczali obozy jako świadomi ludzie pracy”.

Zrozumiano? Stosujemy przymus, owszem, ale zarazem jakby leczymy moralnie ludzi (i też, jak się okazuje, przez zadawanie cierpień!) — tyle, że nie bardzo wiadomo z czego leczymy.

Ale zaraz na sąsiedniej stronie czytamy:

„Stosując rewolucyjny przymus, obozy pracy poprawczej służyć dziełu lokalizacji i unieszkodliwiania przestępczych elementów dawnego społeczeństwa” (wciąż to „dawne społeczeństwo”! w 1952-im też jeszcze będzie mowa o „dawnym społeczeństwie”. Zwalają, jak na nieboszczyka!).

Więc o poprawie już ani słowa? Zlokalizować i unieszkodliwić?

W tym samym (1934-ym) roku:

„Podwójne zadanie — represja — plus wychowanie tych, których jeszcze można”.

KTÓRYCH MOŻNA. Wyjaśnia się zatem, że to wcale nie dla wszystkich.

I już u pomniejszych autorów migają dawno chyba gotowe cytarki: „wychowanie podatnych na wpływy”, „reedukacja zdolnych do poprawy”.

A ci niepodatni? Do wspólnego dołu? *Na księżyc?* (Kołyma). *Do zagrody Szmidta\** (Norylsk).

Z wyżyn 1934 roku prawnicy ze szkółki Wyszyńskiego krytykują nawet kodeks pracy poprawczej (1924 r.) za „mylne przeświadczenie o możliwości powszechnej poprawy więźniów”. A to dlatego, że kodeks ten zupełnie nie wspomina o *likwidacji, o mordowaniu*.

Nikt nie dawał obietnic, że będzie się reedukować Pięćdziesiątkę Ósemkę.

Nazwałem tę część książki *obozy pracy morderczej*. Bośmy to tak odczuli na własnej skórze.

A jeśli jakieś cytarki ułożyły się nie pod winkiel, to niech tu wstanie z mogiły Stuczka, a wywleczcie też Wyszyńskiego — i niech sobie uzgadniają. To nie moja wina.

Teraz dopiero, biorąc się do pisania tej książki, zacząłem wertować dzieła dawniejszych autorów — też zresztą dzięki pomocy różnych zacnych ludzi, bo przecież nigdzie już tych książek

2. Wyszyński, *ibidem*, str. VII.

\* O. J. Szmidt — sowiecki badacz polarny.

nie znajdzie. Nosząc zaś wysmolone, łągrowe fufaje — nie domyślaliśmy się nawet, że takie książki istnieją. Że całe nasze życie zależy nie od zachcianki obywatela komendanta, tylko od jakiegoś legendarnego kodeksu pracy więziennej — to była głucha pogłoska, plotka — nie tylko dla nas, bo nawet major, komendant OŁP, też by temu nigdy nie dał wiary. Wydane w nakładzie ściśle ograniczonym do użytku wewnętrznego, nigdy nie brane do rąk, nie wiadomo wcale czy się uchowały w pancernych kasach GUŁagu, czy też dawno już zostały spalone — jako szkodliwe. Żadne cytaty z tych dzieł nie były nigdy wywieszane na transparentach w świetlicach KO, żadna cyferka w nich wspomniana nigdy nie została podana do wiadomości z drewnianych pomostów — ile godzin ma dzień w obozowej? ile więzień ma na miesiąc wolnych od pracy dni? czy za pracę w obozie się płaci? czy należy się coś za wypadki przy pracy, za okaleczenia? — ależ nawet koledzy wysmialiby człowieka, gdyby kto pytał o takie rzeczy.

Jeśli już — to chyba tylko dyplomaci znali i czytali te mgliste utwory. Już tam oni wymachiwali tymi książeczkami na konferencjach! Jakże inaczej! Wybrałem sobie teraz tylko parę cyta-tek — a już łażą się kręci:

— W „Podstawowych Założeniach” z 1919-tego: skoro kara nie jest zemstą, to nie może dawać żadnych okazji do dręczenia więźnia.

— W 1920 roku: zabrania się „tykania” aresztantów. (Przepraszam, jakby tu rzecz — a „kij ci w oko” — to już wolno?).

— Kodeks Pracy Poprawczej z 1924 roku, artykuł 49: „reżym więzienny nie może pozwalać na żadne akty pastwienia się nad więźniem, a zwłaszcza nie może przewidywać stosowania — kajdan, karceru (!), surowej izolacji w celach pojedynczych, utrudniania widzeń przez instalację siatki, ani karnego pozbawiania posiłków”.

Chyba wystarczy. Wydanych później wskazówek brak; dla dyplomatów tego aż nadto. Dla GUŁagu zaś to w ogóle niepotrzebne.

W Kodeksie Karnym z 1926 roku był jeszcze artykuł 9-ty, przypadkiem trafiłem nań i wykułem brzmienie na pamięć:

„Środki, stosowane w trybie ochrony socjalnej nie mogą mieć na celu ani zadawania cierpień fizycznych, ani poniżania godności ludzkiej; nie jest ich celem zemsta ani kara”.

Niebiańskie lazury! Mając zamiłowanie do *przygadywania* szarżom w *ramach prawa* — nader często recytowałem im ten artykuł jednym tchem, a wszyscy nadzorcy bałuszyli oczy ze zdumienia i oburzenia. Byli wśród nich weterani z dwudziestolet-

nim już stażem, tuż przed emeryturą, a nigdy nic o żadnym dziwiącym artykule nie słyszeli; zresztą — nigdy nie mieli w ręku kodeksu.

O, ta „rozsądna i dalekowzroczna administracja, zawsze na poziomie — od najniższego, do najwyższego szczebla”! — jak to napisał po odwiedzinach w GUŁagu w tygodniku *Life* członek Sądu Najwyższego Stanu Nowy Jork, Leibowitz: „Odsiadując swój wyrok, więzień zachowuje tu poczucie godności ludzkiej” — oto, co pan sędzia pojął i zobaczył.

Szczęśliwy, zaiste, jest Stan Nowy Jork, mając tak bystro-okiego osła za sędzie!

Ach, ci syci, beztroscy, krótkowzroczni, lekkomyślni cudzoziemcy z notesami i piórami kulkowymi! — wystarczy wspomnieć tych korespondentów, którzy jeszcze hen, w Kemi, zadawali zekom pytania w obecności szarż obozowych! — ileście wy nam naszkodzili w namiętnej chęci pochwalenia się swoją orientacją w sprawach, o których nie mieliście zielonego pojęcia!

Poczucie godności! U człowieka skazanego bez sądu? Któremu każą siadać na tyłku w kałuży, gdzieś za dworcem, obok stołypinki? Który — słysząc świst szpicruty obywatela komendanta, wyskrobuje paluchami zalaną szczykami ziemię i odnosi toto na bok, żeby tylko nie dostać się do karceru? U tych kobiet z dyplomami, które wyblągają sobie zaszczytny przywilej prania osobistej bielizny i karmienia osobistych świń obywatela komendanta obozu? I które na pierwsze jego pijackie skinienie kładą się w najbardziej uległej pozie, byle tylko jutro nie zdechnąć na robotach *ogólnych*?

...Ogień, ogień! Chrust pali się z trzaskiem i nocny wiatr późnej jesieni targa płomieniem. Ciemności kryją całą *zonę*, sam jestem u ogniska i mogę przynieść sobie jeszcze naręcze wiórów. Na terenie zony czuję się swobodnie, tak prawie, jakbym już był na wolności, bo też to rajska wyspa, jestem w „szaraszce” Marfino, w okresie największych luzów. Nikt mnie nie pilnuje, nie każe wracać do celi, nie odpędza od ognia. Opatuliłem się fufajką — bo jednak ziąb, wiatr jest chłodny.

O n a zaś — od kilku już godzin stoi na tym wietrze, na baczność, z opuszczoną głową; to chlipnie, to zastyga w bezruchu. Co jakiś czas prosi żałośliwie:

— Obywatelu naczelniku!... Przepraszam!... Już mi darujcie, ja już więcej nie będę...

Wiatr niesie jej pojękiwania w moją stronę, wydaje się, że jęczy nad samym moim uchem. Obywatel naczelnik pali w piecu na odwachu i nie raczy odpowiedzieć.

Jest to odwach obozu, roztasowanego tuż obok naszego; to

z niego przyprowadzają robotników instalujących nam wodociąg i remontujących murszejący budynek byłego seminarium. Ode mnie dzieli ją gmatwanina wielu rzędów drutu kolczastego, ale do swojego odwachu ma tylko dwa kroki, ta ukarana dziewczynina, stojąca z opuszczoną głową pod jasną latarnią; wiatr tar-mosi jej szarą, roboczą sukienkę, przejmuje chłodem nogi i głowę w lichej chusteczce. Za dnia, kiedy kopali oni na naszym terenie rów — było jeszcze ciepło. I jakaś inna dziewczyna przemknęła się do jaru, doczołgała się do Szosy Władykińskiej i uciekła — bo straż była dziadowska. A po tej szosie kursuje moskiewski, miejski autobus, więc kiedy się spostrzegli — uciekinierka już była het, het. Ogłoszono alarm, przyleciał jakiś czarniawy major, wściekał się, krzyczał — że jeżeli uciekinierka się nie znajdzie, to cały obóz zostanie przez miesiąc bez widzeń i paczek. A brygadystki też się rozsierzdziły i zaczęły wrzeszczeć, a jedna z nich, łypiąc w złości oczyma, wołała: „A niech ją prędzej złapią, cholere! A niech jej nożycami — cyk, cyk! — łeb ostrzygą na apelu!” (Nie wymyśliła tego sama, w ten sposób karze się kobiety w GUŁagu). A ta dziewczynina westchnęła tylko i powiedziała: „Niech sobie za nas trochę wolności użyje!”. Strażnik to usłyszał — i oto już jest ukarana: wszystkich odprowadzono do ich obozu, ją zaś postawiono na baczność przed odwachem. Zdarzyło się to o szóstej wieczór, teraz jest jedenasta. Próbowwała przestępować z nogi na nogę, bo ziąb, ale sztyldwach wychylił się z budy i wrzasnął: „Stój, jak drut, kurwo, bo coś gorszego cię spotka!”. Teraz więc stoi sztywno i tylko pochlipuje:

— Zlitujcie się, obywatelu naczelniku!... Puście do obozu, już więcej nie będę!...

Ale nawet tu nikt jej nie powie: „WNIJDŹ DUSZO BEZGRZESZNA!...”.

Nie wpuszczają jej tak długo dlatego, że jutro niedziela, niepotrzebna jest więc do roboty.

Płowowłosa, naiwna, nieuczona dziewczyna. Siedzi pewno za jakąś szpulkę przędzy. Jakaż to niebezpieczna myśl przeszła ci przez usta, siostrzyczko! Chcą ci teraz za to dać nauczkę na całe życie.

Ogień, ogień!... Podczas wojny wróżyliśmy sobie z płomienia, jak to też będzie po Zwycięstwie... Wiatr porywa z ogniska niedopaloną trzaskę.

Temu ogniowi i tobie, dziewczyno, ślubuję, że cały świat o tym przeczyta.

Dzieje się to w końcu 1947 roku, tuż przed Trzydziestą Rocznicą Października, w stołecznym grodzie naszym, Moskwie, który dopiero co hucznie świętował osiemsetlecie swoich okrucieństw.

Ze dwa kilometry od Wszechzwiązkowej Wystawy Rolniczej. Mniej stąd niż kilometr do Ostankina, gdzie ma siedzibę Muzeum Twórczości Chłopów Pańszczyźnianych.



Pańszczyźniani!... Nie przypadkiem porównanie to nasuwało się każdemu, kto miał chwilę czasu na refleksje. Zarówno w przypadku systemu pańszczyźnianego, jak Archipelagu, nie chodzi tylko o poszczególne zbieżne cechy; identyczny jest zasadniczy sens ich istnienia, racja bytu: są to systemy społeczne, stworzone dla przymusowego i bezlitosnego wyzysku milionów niewolników, pracujących za darmo. Sześć dni w tygodniu, a często siedem, tubylcy Archipelagu chodzili do pańszczyźnianej pracy, nie przynoszącej im osobiście żadnego zysku. Nie zostawiano im ani piątego, ani siódmego dnia tygodnia do pracy na własnym łanie; jedyną ich zapłatą był wikt — obozowa pajka. W identyczny sposób dzielili się oni na parobków folwarcznych (grupa A) i czeladź dworską (grupa B), obsługującą bezpośrednio pana dziedzica (komendanta obozu) i dwór (zonę). Za słabujących (grupa C) uznawani byli tylko tacy, co to już zupełnie nie mogli zleźć z zapiecka (z nar). Istniała też kategoria ukaranych (grupa D), ale tu była różnica: dziedzic, w swoim własnym interesie, karał ich tak, aby jak najmniej pańszczyźnianych dniówek zmarnować, a więc kańczugiem na klepisku; karceru nie miał — komendant zaś obozu, opierając się na oficjalnej instrukcji, wsadza ukaranego do SZIZO (izolator karny) albo do BUR'a (barak o zaostrozonym reżymie). Podobnie, jak pan dziedzic — mógł pan komendant każdego ze swoich poddanych wziąć sobie do usług w charakterze lokaja, kucharza, cyrulika, albo błazna (mógł nawet założyć cały teatr pańszczyźniny, jeśli miał ochotę), mógł każdą bandoskę uczynić swoją ochmistrzynią, nałożnicą — albo dziewczką służebną. Nie inaczej niż pan dziedzic mógł sobie do woli szaleć, dziwaczyć, folgować swoim kaprysom. (Komendant obozu w Chimkach pod Moskwą, major Wołkow, zobaczył któregoś dnia, że pewna dziewczyna-więźniarka suszy na słońcu rozpuszczone po myciu, długie, lniane włosy. Zgniewało go to, nie wiedzieć czemu. Więc rzucił krótki rozkaz: „Ostrzyc!”. Natychmiast też obcięto jej te włosy. 1945 rok). Jeśli przyjsć miał nowy komendant zeki czekali pokornie, próbując odgadnąć jakie też będzie miał słabostki i już z góry godzili się z jego wszechwładzą, nie inaczej niż to bywało z nowym dziedzicem. Nie mogąc przewidzieć, co dziedzicowi do łba strzeli, chłop pańszczyźniany nie dbał o dzień jutrzejszy — tak samo zachowywał się więzień. Chłop ziemi przypisany nie mógł ożenić się bez zgody pana —

tym bardziej więzień pomyśleć o jakiejś obozowej żonie mógł tylko wtedy, gdy komendant bardzo był nań łaskaw. Chłop pańszczyźniany nie wybierał sobie swojej niedoli, całą jego winą było, że się chłopem urodził; podobnie więzień — trafiał na Archipelag z woli przypadku.

Podobieństwo to dawno już znalazło odbicie w języku naszym: „Dano tam jeść ludziom?“, „Posłano ludzi do roboty?“, „Ilu masz ludzi?“, „Przyślij-no mi człowieka!“. Ludzie, ludzi — o kim to mowa? Tak mówiło się o poddanych, o służbie pańszczyźnianej. Tak teraz mówi się o więźniach<sup>3</sup>. Nie sposób jednak wyrażać się tak o oficerach, o panach kierownikach — „ilu masz ludzi w dyrekcji?“ — tak sformułowanego pytania nikt w Rosji nie zrozumie jak należy.

Ale gotów ktoś wykazać, że podobieństw nie tak już tu wiele, że więcej jest różnic.

Zgoda — różnic jest istotnie więcej. Ale, dziwna rzecz, wszystkie one przy porównaniu świadczą lepiej o systemie pańszczyźnianym, wszystkie świadczą na niekorzyść Archipelagu GUŁag!

Chłop nie odrabiał pańszczyzny nigdy dłużej, niż od wschodu do zachodu słońca. Zek — zaczyna pracę o ćmaku, a kończy po zmroku (zresztą — nie zawsze ją wtedy kończy). Za pańszczyzny niedziela była zawsze wolna, tak samo — wszystkie święta kościelne, wszystkie dni patronów, a w zapusty co to było (przecież chodzili przebierańcy z Herodem!).

Więzień przed każdą niedzielą drży ze strachu, czy dadzą, czy nie? A świąt żadnych nie zna (bo to Wołga miewa wychodne?...): 1-go maja i 7-go listopada więcej mitręgi z rewizjami i dyscypliną, niż odpoczynku (a niektórych — rok rocznie właśnie na te dni posyłają do karceru). Dla pańszczyźnianych Gody i Wielkanoc — to były prawdziwe święta, a *rewizji osobistych* po robocie, albo rano, albo i w nocy („Baczność, zbiórka w szeregu obok pościeli!“) — w ogóle nie znali! — Pańszczyźniany chłop mieszkał w chacie, uważał ją za swój dom, a kładąc się spać — na piecu, na zapiecku, czy na ławie — dobrze wiedział: to moje miejsce, zawsze tu się kładłem i dalej kłaść się będę. Więzień nie wie, do jakiego baraku jutro go wepchną (i nawet wracając z roboty nie jest pewien, czy na to samo w y r o wróci). Nie ma swoich „własnych“ nar, „własnej“ wagonetki. Gdzie go posłają, tam zostanie.

Chłop folwarczny mógł mieć własnego konia, miał własną

---

3. Tak mówi się również o kołchoźnikach i zwykłych robotnikach ale nie chcemy zapędzać się dalej.

sochę, topór, kosę, wrzeczono, koszyki, garnki, odzież. Nawet czeladź dworska, jak świadczy Herzen<sup>4</sup> miała jakieś własne szmaty, które przypadały w spadku krewniakom, a których nigdy prawie dziedzic nie odbierał. Zek zaś musi zimowe sorty oddać wiosną, letnie — jesienią, a przy kontroli przetrząsną mu worek i każdy gałganek zabiorą do składu. Nie wolno mu mieć najmizerniejszego kozika, ani własnej miski, jedyny zaś jego żywy inwentarz — to wszy. Pańszczyźniany chłop, choćbyś go pilnował, zawsze więcierz sobie jakoś zarzucił i ryb nałowił. Zek łowi ryby tylko łyżką w bałandzie. Chłop miał zwykle jakąś krowinę, kozy, czy kury. Zek mleka nawet nie liźnie, jaj kurzych dziesiątkami lat nie widzi na oczy, a gdyby nawet zobaczył, to pewno nie zgadłby, co to za dziwo.

Przez siedem stuleci znosząc niewolę, Rosja mimo wszystko nie wiedziała prawie co to jest *głód*, „Na Rusi nikt z głodu nie umarł” — powiada przysłowie. A przysłowia nie kłamstwem się żywią. Chłop pańszczyźniany był rabem, ale rabem sytym<sup>5</sup>.

Archipelag zaś przez dziesięciolecia przymierał głodem, więźniowie wydzielali sobie wzajemnie ogon rybi, znaleziony na śmietniku. Na Gody i na Wielkanoc najmizerniejszy nawet chłoppek miał na stole słoninę. Ale najlepszy nawet robotnik w obozie zakosztuje słoniny tylko wtedy, gdy dostanie paczkę.

Chłopi pańszczyźniani żyli w rodzinie. Sprzedaż, albo zamiana włościanina oddzielnie, bez rodziny — uznawana była powszechnie za oczywiste barbarzyństwo, rosyjska literatura otwarcie takie praktyki potępiała. Mimo to, setki, może tysiące (co nie bardzo jest prawdopodobne) chłopów oderwano od ich rodzin. Ale przecież nie miliony! Zek oderwany zostaje od rodziny już pierwszego dnia po aresztowaniu — i w połowie wypadków jest to rozstanie na zawsze. Jeśli zaś syna aresztowano jednocześnie z ojcem (jak to było w przypadku Witkowskiego), albo żonę razem z mężem — to starano się nade wszystko nie dopuścić do ich spotkania w jednym obozie; jeśli zaś spotkali się przypadkiem — to roz-

---

4. *Listy do starego towarzysza*, wyd. Akademii, tom XX, str. 585.

5. Dowody znajdziemy w dziejach wszystkich ubiegłych stuleci. W XVII wieku pisał Jurij Kryżanicz, że chłopci i rzemieślnicy żyją na ziemi moskiewskiej dostatnio, że najbiedniejsi nawet mieszkańcy Rusi jedzą dobry chleb, ryby, mięso. Nawet w okresie Smuty „ziemie dawniej urodzajne i dziś dają dobre zbiory, na polach stoją snopy, gumna pełne są zboża, a słomy i ziarna siewnego starczy na lat czternaście” (Awraamij Palicyń). W XVIII wieku Fonwizin porównując dobrobyt rosyjskich chłopów z niedostatkiem panującym w Langwedocji, w Prowansji — pisze: „rzeczą rozpatrując obiektywnie, sądzę, że nasi chłopci nierównie lepiej sobie żyją”. W XIX wieku Puszkina pisał o wsi pańszczyźnianej:

„Wszędzie dostatku ślady i wysiłku”.



dzielić ich czym prędzej. Także każdego zeka i zeczkę, których już w obozie złączyła przelotna lub prawdziwa miłość — zaraz karano karcerem, po czym rozdzielano ich, wysyłając każde z nich do innego obozu. I nawet najbardziej sentymentalne z naszych literackich dam — Marietta Szaginian — czy Tatiana Tess — ani jednej cichej łezki nie przelały nad ich losem. (No bo przecież *one o tym nie wiedziały*. Albo myślały — że *tak trzeba*).

Samo zresztą przesiedlanie pańszczyźnianych chłopów nie odbywało się w pośpiechu i na gwałt: pozwalano im spakować swój dobytek, zabrać ruchomości i spokojnie przenieść się o piętnaście, czy czterdzieści wiorst. Etap zaś zaskakuje zeka jak nagły szkwał: dziesięć czy dwadzieścia minut — tylko po to by zdać do składu obozową własność — i oto już całe jego życie obrócone jest na nice, już jedzie człowiek na koniec świata, może — na wieki wieczne. Chłop pańszczyźniany rzadko zmieniał miejsce więcej niż raz w życiu, najczęściej — gdzie się narodził, tam też umierał. Nie sposób zaś znaleźć tubylca z Archipelagu, który by nie wiedział co to etap. Wielu przewaliło się z miejsca na miejsce pięć, siedem, jedenaście razy.

Pańszczyźniany chłop potrafił nieraz zejść przekłębemu dziedzicowi z oczu, przechodząc na czynsz; handlował więc i porastał w piórka, żyjąc wśród ludzi wolnych. Ale nawet więźniowie zwolnieni spod eskorty — siedzą dalej w tej samej zonie i z samego rana idą do tej samej roboty co kolumna zeków, popeządzanych przez konwój.

Czeladź dworska była przeważnie zgrają rozpuszczonych pażożytów („cham w czeladnej chamieje najśnadniej”), żyła kosztem folwarcznych, ale przynajmniej nimi nie rządziła. Zekowi jest podwójnie ciężko, bo rozwydrzeni prominenci na domiar złego jeszcze nim rządzą i naigrawają się z niego.

Cała w ogóle sytuacja chłopów pańszczyźnianych już przez to była znośniejsza, że dziedzic — chcąc nie chcąc — musiał ich szczerzyć: mieli swoją cenę i przysparzali mu majątku swoją pracą. Obozowemu komendantowi — zeków nie żał: nie kupował ich, nie zostawi ich dzieciom w spadku, a jak mu wymrą — to zaraz nadejdzie nowy transport.

Niepotrzebnie wdawaliśmy się w to całe porównanie naszych zeków z chłopstwem pańszczyźnianym. Trzeba przyznać, że ci ostatni żyli o wiele spokojniej i bardziej po ludzku. Można porównać z grubsza tubylczy lud Archipelagu chyba tylko z *fabrycznymi* robotnikami pańszczyźnianymi z manufaktur uralskich i ałtajskich, czy z kopalni nerczyńskich. Albo z przesiedleńcami z wojskowych faktorii Arakczejewa. (Ale już mi tu ktoś gotów przypomnieć, że to trochę za wiele — bo w arakczejewskich

osadach wojskowych ludzie mieli rodziny, obchodzili święta i mieszkali w normalnych warunkach klimatycznych. Tylko panujące na starożytnym Wschodzie niewolnictwo można by z tym porównać).

I wydaje się, że tylko pod jednym jedynym względem chłopom pańszczyźnianym gorzej było niż zekom: więzień zostaje mieszkańcem Archipelagu — nawet, jeśli małoletni, jeśli ma tylko 12-15 lat — ale przecież nie w dniu swoich narodzin! Przecież tyle a tyle lat przed aresztowaniem — zażywał wolności! Co zaś do tego, że określony z góry termin kary jest czymś lepszym od pańszczyźnianego dożywocia — to zgodzić by się z tym można tylko przy szeregu zastrzeżeń: jeśli skazany nie dostał *ćwiary*; jeśli nie chodzi o artykuł 58-my; jeśli nie zatrzymano go „do specjalnego rozporządzenia”; jeśli w obozie nie przysobaczą mu drugiego wyroku; jeśli po odsiedzeniu kary nie zostanie automatycznie zesłany w trybie administracyjnym; jeśli go zaraz po zwolnieniu nie odeślą znów na Archipelag, jako *recydywistę*. Podobnych zastrzeżeń jest cały las — a przecież nawet pan dziedzic puszczał niekiedy chłopu wolno, ot tak sobie, dla kaprysu...

Dlatego też, gdy „imperator Michał” opowiedział nam na Łubiance, jak się wśród robotników odcyfrowuje skrót WKP(b) — Wtoroje Krepostnoje Prawo\* (bolszewików), widzieliśmy w tym nie zwykłą anegdotkę, lecz przykład jasnowidzenia.



Szukano nowego bodźca, który kazałby ludziom pracować dla dobra społeczeństwa. Spodziewano się, że bodźcem takim będzie świadomy entuzjazm, nie oglądający się na żadne zyski. Dlatego taki rozgłos nadano „wielkiej inicjatywie” tzw. subbotników. Ale okazało się, że nie był to początek nowej ery, lecz tylko kurczowy przejaw ofiarництва jednego z ostatnich pokoleń rewolucjonistów. Z materiałów archiwalnych, dotyczących guberni tambowskiej, a odnoszących się do 1921 roku, widać na przykład, że już wtedy wielu członków partii próbowało uchylać się od udziału w „subbotnikach” — i dlatego w ewidencji partyjnej każdy taki akt musiał być odfajkowany. Zapału tego starczyło jeszcze na jakieś dziesięć lat — dla komsomolców i dla nas, ówczesnych czerwonych harcerzy. Ale wkrótce to też się skończyło.

Cóż więc dalej? Gdzie szukać nowych bodźców? Pieniądze,

---

\* Drugie Prawo Pańszczyźniane.

praca na akord, premie? Ale to trąciło kapitalizmem, dopiero co obalonym i musiał minąć jakiś czas, musiało zjawić się nowe pokolenie, aby zapach ten przestał drażnić i aby można było spokojnie uznać go za „socjalistyczną zasadę bodźców materialnych”.

Poczęto grzebać wśród głębiej ukrytych ciuchów historii i wydobyto na wierzch to, co Marks nazywał „przymusem pozagospodarczym”. W obozach i kołchozach to znalezisko ożyło i pokazało bez żenady swoje wilcze kły.

Później nawinął się Frenkel i — niby czart, dosypujący tojadu do smolnego sagana — dorzucił swój *system kotłów*.

Wszyscy znali to zakłęcie, bo tylekroć je powtarzano: „W ramach nowego naszego ustroju nie ma miejsca ani na dyscyplinę pałki, na której opierał się system pańszczyźniany, ani na dyscyplinę głodu, którą stoi kapitalizm”.

Otóż Archipelag zdołał w sposób iście cudowny połączyć oba te rodzaje dyscypliny.

Wystarczył do tego taki zestaw: 1) *System kotłów*, 2) *Brygada*, 3) *Dwa piony władzy*. (Ale ten trzeci warunek nie był konieczny: np. na Workucie istniał zawsze tylko jeden pion, a leciało nie najgorzej...).

Oto były trzy wsporniki Archipelagu.

Jeśli zaś wspomnieć, co mówiliśmy o *transmisjach*, to one właśnie były głównymi pasami transmisyjnymi

O systemie kotłów już mówiliśmy. Jest to dzielenie chleba i kaszy w ten sposób, aby nasz zek musiał dodatkowo naharować się i napociec dla otrzymania tego średniego przydziału, który w społeczeństwach pasożytniczych wydawany jest więźniowi niepracującemu. Chodzi o to, aby zek ów przysługujący mu przydział otrzymał jako premię — w stugramowych porcyjkach i żeby zeka uważano przy tym za szturmowca. Jeśli zek przekroczył sto procent normy produkcyjnej, otrzymywał prawo do jakichś dodatkowych (a przedtem jemu samemu od ust odjętych) łyżek kaszy. Jest w tym bezlitosna znajomość natury ludzkiej! Te okruchy chleba, i te porcje kaszy nie szły w żaden paragon z siłami, jakie zek musiał tracić, aby zasłużyć na przywilej. Ale na swoje nieszczęście człowiek nie potrafi wyważyć różnicy między wartością rzeczy, a ceną, którą płaci. Żołnierz na cudzej wojnie łyknął taniej wódki, poderwie się do ataku i już stracił życie. Podobnie zek, za te nędzne okruchy gotów nurzać się w bystrzynie północnej rzeki, ześliznąwszy się z mokrego kłoca, albo w lodowatej wodzie miesić glinę na cegły gołymi nogami, którym nigdy już nie zdarzy się stąpać po *wolnej* ziemi.

Jednakże ten szatański system nie jest wszechmocny! Nie wszyscy dają się na to nabrać. Pańszczyźniani powtarzali dawniej: „Lepiej sieczki nie żreć, a w kieracie nie chodzić”. Dla zeków też stało się jasne, że w obozie nie z małej pajki człowiek słabnie, ale z tej dużej. Leniuchy! Tępaki! Głupie bydłeta! Nie chcą dodatkowej porcji! Nie chcą kawałka tego pożywnego chlebka, wzbogaconego ziemniakami, wyką i wodą! Już nie pchają się na tablice honorowe! Nie chcą wzbąć się duchem aż do zrozumienia potrzeb kraju i jego przemysłu, nie chcą wykonywać planów pięcioletnich, chociaż pięciolatki zaplanowano dla dobra mas pracujących! Rozpełzają się po ciemnych chodnikach kopalni, snują się po fabrycznych korytarzach, radziby schować się przed deszczem w mysiej dziurze — byle by nie pracować.

Nie często udaje się uruchomić masowe roboty z takim rozmachem i w taki sposób, jak w kopalni żwiru pod Jarosławcem: setki więźniów zgromadzono tam na niewielkiej przestrzeni, w otwartej kotlinie, doskonale widocznej ze wszech stron, tak, że ledwie jaki zek przestanie na chwilę się krzątać, już go widzi każdy strażnik. Warunki są tu idealne: nikt nie śmie zwolnić rytmu, rozprostować grzbietu, otrzeć potu, póki na wzgórzu flaga nie opadnie, co oznacza przerwę na papierosa. Ale jak poradzić sobie w innych wypadkach?

Pomyślano także o tym. I wymyślono — *brygadę*. Zresztą, tylko u nas mogła ona być wymyślona. Toć u nas narodnicy dojść chcieli do socjalizmu poprzez *wspólnotę gminną*, marksieści zaś — poprzez *kolektyw*. Jak tam piszą po dziś dzień nasze gazety? — „*sprawą dla człowieka najświętszą — jest praca i to koniecznie praca zespołowa, w kolektywie*”.

Ależ właśnie w obozie nie ma nic oprócz pracy — i to pracy zespołowej! Czy znaczy to, że obozy — to wzór i cel dla ludzkości? Ze to, co *najważniejsze* — już zostało osiągnięte?

Jak brygada przyczynia się do rozwoju duchowego jej członków — to już mieliśmy okazję zilustrować (rozdział 3). Mając na uwadze zadania brygady, dobiera się stosownych *brygadzystów*. Popędzając swoich zeków metodą bata i marchewki (czyli — raz pałka, raz pajka), brygadzysta powinien dać sobie radę ze swoją brygadą tak, jakby nie było w ogóle przełożonych, nadzorców, ani konwojentów. Szałamow twierdzi, cytując przykłady, że w ciągu jednego sezonu na Kołymie parę razy z rzędu wymierał cały skład brygady kopaczy złota, a tylko brygadzysta wciąż był ten sam. W Kemerłagu brygadzystą był niejaki Pieręłomow, który nigdy się nie odezwał; komenderował ludźmi tylko z pomocą drağa. Spis podobnych nazwisk i wypadków zająłby sporo

stronic i nie wydał mi się wcale konieczny. Ciekawe tylko, że najczęściej tacy brygadziści wywodzili się ze środowiska szemranych, to znaczy — z lumpenproletariatu.

Ale człowiek potrafi przystosować się do wszelkich warunków. Byłoby z naszej strony grubym niedopatrzaniem, gdybyśmy nie zwrócili uwagi na to, że brygada stawała się czasami naturalną komórką tubylczej społeczności — taką, jaką na wolności była rodzina. Sam znałem takie brygady, nawet niejedną. Co prawda, nie były to brygady robót ogólnych, w których ktoś koniecznie musi zdechnąć, bo inaczej pozostali nie utrzymają się przy życiu. Były to zwykle brygady fachowców: elektryków, ślusarzy i tokarzy, cieśli, malarzy. Im mniejszy był skład takich brygad (10-12 ludzi) tym widoczniejsze były w nich objawy samoobrony i samopomocy<sup>6</sup>.

Aby taka brygada tak właśnie mogła funkcjonować — powinna mieć odpowiedniego brygadzystę: musiał być w miarę surowy; dobrze znający wszystkie moralne (niemoralne) zasady życia w GUŁagu; wyrozumiały i sprawiedliwy dla ludzi ze swojej brygady; wiedzący, jak się zachować pod okiem przełożonych — jeden szczeka ochryple, inny cichcem sztorcuje; postrach wszystkich prominentów, nie przepuszczający nigdy okazji wyrwania dla swojej brygady jeszcze jednej kromki chleba, wotowanych portek, pary trzewików. Ale mający też stosunki wśród prominentów wpływowych, od których potrafił zawsze wydostać wszystkie obozowe nowiny i zapowiedzi zmian, bez czego nie można było sprawnie kierować ludźmi. Dobrze orientujący się, które prace i odcinki robót są lepsze, które gorsze (umiejący przy tym na gorszy odcinek zepchnąć sąsiednią brygadę, jeśli się nawinęła). Musiał mieć nieomyślne oko, gdy chodziło o *fuchę* — jak ją łatwiej w danym tygodniu przemycić: czy na gruncie norm, czy przy obliczaniu kubatury urobku. Musiał też bronić niezłomnie tej fuchy przed kierownikiem robót, co podnosił już roniące kleksy pióro, aby ciachnąć część wyników. Musiał umieć dać w łapę facetowi z rachuby. Musiał wiedzieć, kto w jego brygadzie jest kapusiem (jeśli nie za mądry i nie złośliwy — to niech sobie będzie, bo gorszego przyślą). A w brygadzie — zawsze ma wiedzieć komu mrugnąć z uznaniem, kogo skłąć, a komu dziś dać lżejszą robotę. Taka brygada z takim brygadzystą potrafi żyć w surowym sojuszu i jakoś przetrwać ciężkie chwile. Żadnych czułości, ale też nikt nie wali się z nóg. Pracowałem u ta-

---

6. Miało to miejsce również w dużych, niewyspecjalizowanych brygadach, ale tylko w obozach katorżniczych i w szczególnych warunkach. Będzie o tym mowa w części V.

kich brygadzystów — u Sinebriuchowa, u Pawła Baroniuka. Gdyby taki spis skompletować — to też by wiele stron zajął. I z wielu zgodnych relacji wnioskować można, że tacy gospodarni i roztropni brygadziści — to najczęściej byli synowie „kułaków”.

Bo co tu począć? Skoro brygadę tak nieustępliwie narzucono ludziom, jako jedyną formę egzystencji — to co tu począć? Toż trzeba jakoś się przystosować. Robota człowieka gubi, ale też tylko robota może nas jakoś od zguby uchronić. (Oczywiście, że to dość wątpliwa filozofia. Byłaby tu na miejscu raczej taka odpowiedź: nie ucz mnie umierać na twoją modłę, pozwól mi zginąć tak, jak sam potrafię. Ale przecież i tak nie pozwolą człowiekowi, w tym sęk...).

Brygadzysta też ma niewielki wybór: jeśli brygada drwali nie wykona planu dziennego, to znaczy nie zrabie 55 metrów sześciennych drzewa, brygadzystę czeka karcer. A jak karcer ci się nie uśmiecha, to masz orać w brygadę do ostatniego jej tchu. Wóz, albo przewóz.

Dwie władze potrzebne są systemowi obozów, tak jak kleszczom konieczne jest posiadanie obu żuchw naraz. Dwie władze — to młot i kowadło, które wykuwają z zeka to, co państwu potrzebne; jeśli go to kucie roztrzaska, to pójdzie na złom. Chociaż utrzymywanie osobnego pionu władzy w zonie znacznie zwiększa wydatki skarbowe, chociaż jego tępota, kaprysy i zabawa w czujność nader często utrudnia i komplikuje proces produkcji, do której zeków zaprzągnięto — to przecież państwo uznaje tę konieczność, i chyba wychodzi na swoje. Dwie władze — to dwaj oprawcy, zamiast jednego, przy tym — urzędujący na zmianę, a ponadto — konkurujący ze sobą: kto więcej z więźnia wycisnie, mniej dając mu w zamian.

Jedna z tych dwóch zwierzchności ma w ręku sprawy produkcji, materiały, narzędzia, transport i brak jej tylko drobnostki — siły roboczej. Siłę tę każdego ranka konwojenci sprowadzają z obozu i co wieczór (albo po zakończeniu szychty) do obozu doprowadzają. Przez te dziesięć, albo dwanaście godzin, kiedy zeki są w ręku władzy od produkcji, nie ma potrzeby ani ich wychowywać, ani dbać o ich duchową przemianę i nawet jeśli w trakcie dnia roboczego pozdychają — to też ani jedno, ani drugie kierownictwo nie zapłacz: zmarłych spisać na straty łatwiej, niż spalone deski, czy skradziony pokost. Dla władzy produkcyjnej najważniejsza rzecz — to wyciśnięcie z więźniów podczas szychty jak największej wydajności — i wpisanie później do raportu dziennego cyfr jak najniższych. No, bo jak tu inaczej znaleźć pokrycie dla rujnujących wydatków i niedoborów: prze-

cież kradną i zjednoczenia, i zarządy, i kierownicy, i zeki też. Ci ostatni — stosunkowo najmniej, nadto — nie dla siebie samych (toć nie mogą tego wynieść), tylko dla swojej władzy obozowej i dla konwojentów. A jeszcze więcej idzie na marne z winy lekkomyślnej i krótkowzrocznej gospodarki, ale również dlatego, że zekom też niczego nie żal. Jeden jest tylko sposób, aby pokryć wszystkie straty — odkuć się kosztem siły roboczej.

W ręku władzy obozowej jest tylko ta siła robocza. Ale to właśnie rzecz najważniejsza. Obozowi naczelnicy tak rozumują: możemy wziąć ich (tj. tych od produkcji) pod obcas, bo nigdzie nie znajdują innych ludzi do roboty. (Bo też gdzie ich znaleźć w tajdze, czy w pustyni?). Starają się więc wytargować za swoją siłę roboczą jak najwięcej pieniędzy, które przekazują państwu; część tych środków przeznaczają się na utrzymanie samego kierownictwa obozowego w nagrodę za to — że chroni ono zeków (przed zasadzkami wolności), karmi ich i poi, odziewa i umoralnia na umór.

Jak to zawsze w naszym racjonalnym systemie — trykają tu się łąbami dwa *plany*: plan działu produkcji, przewidujący możliwie najniższe koszty własne — i plan MWD, przewidujący dla obozów jak największe dochody z procederu dostarczania siły roboczej. Ktoś, nie znający się na rzeczy, chyba by się zdumiał: na co komu ten konflikt dwóch własnych, państwowych planów?! O, to ma swoje znaczenie! Starcie takich dwóch przeciwbieżnych planów rozgniała na placek człowieka. To jest zasada, przestrzegana daleko za obrębem drutów Archipelagu.

Ważne jest też, że te dwie władze wcale nie odnoszą się do siebie wrogo, jak można by wnieść z ich ciągłych starć i szwindli. Tam, gdzie trzeba mocniej docisnąć ludzi — działają one nader zgodnie. Chociaż komendant obozu żywi dla swoich zeków iście ojcowskie uczucia, jednak zawsze i z wielką chęcią podpisze protokół — że nie przedsiębiorstwo, tylko sam zek ponosi winę za okaleczenie przy pracy; nie będzie też za bardzo nalegać, aby wydano więźniom odzież roboczą, albo wypominać, że w jakiejś hali fabrycznej nie ma wentylacji (nie ma, to nie ma, co zrobić, przejściowe trudności, a jak pracowali ludzie podczas blokady Leningradu?...). Kierownictwo obozu nigdy nie odmówi tym z produkcji drobnych uprzejmości: pośle do karceru i brygadzystę za chamskie zachowanie, i robotnika za zgubienie szpadla, i inżyniera, za niedokładne wykonanie rozkazu. Czy w tych zagubionych koloniach karnych śmietanka towarzyska nie składa się właśnie z przedstawicieli tych dwóch kręgów władzy, czy nie oni pełnią rolę puszcząnsko-przemysłowej szlachty? Czy to nie ich żony chodzą do siebie w gości?



Jeśli mimo to w zleceniach i sprawozdaniach wciąż figuruje *lipa* i *fucha*, jeśli księguje się kopanie i zasypywanie rowów, których nikt na oczy nie widział; remont sieci ogrzewania, albo obrabiarki, która nigdy się nie psuła; zmianę słupów, którym sądzone jest stać spokojnie jeszcze z dziesięć lat — to dzieje się tak nie z podszeptu obozowej władzy — bo ta jest pewna, że pieniądze tak czy inaczej przelane będą na konto GUŁagu — lecz robią to sami więźniowie (brygadziści, rachmistrze, dziesiętnicy) ponieważ taka jest natura wszystkich norm państwowych: punktem odniesienia nie jest dla nich realne życie ziemskie, tylko jakiś księżycowy ideał. Nawet człowiek zdrowy, syty, dzielny i ofiarny nie jest w stanie wykonać tych norm! Jak więc można żądać tego od zadębnionego, słabego i głodnego więźnia? Państwowe planowanie norm pracy bierze za punkt wyjścia przedsiębiorstwo, jakiego nie ma w istocie na naszej grzesznej ziemi — i tym przypomina socrealizm w literaturze pięknej. Ale niesprzedane cegły wydawnicze idą po prostu na przemiał — co zaś do lipy w przemyśle, to trudniej ją zaklajstrować. Ale nie jest to rzecz niemożliwa!

W pośpiechu, w ciągłej gonitwie produkcyjnej — dyrektor i kierownik robót musieli coś przeoczyć, nie zdążyli wykryć lipy. A dziesiętnicy — wolniacy, byli półpiśmienni, albo pijani, albo odnosili się do zeków pobłaźliwie (licząc na to, że brygadzysta też pójdzie im na rękę w trudnej chwili). A tymczasem — „dodatek za procenty” już dawno został zjedzony, tego chleba ludziom z brzuchów się nie wyrwie. Kontrola zaś, prowadzona przez księgowych i sprawozdawczość, robiona dla statystyki — to operacje marudne, wiadomo, że tą drogą lipa wykryta zostanie dopiero po paru miesiącach, czy latach, kiedy pieniądze za te roboty dawno już się ulotniły i gdy można zrobić tylko jedno z dwojga: albo oddać pod sąd kogoś z wolniaków, albo jakoś zaklajstrować i spisać na straty.

Kierownictwo osadziło Archipelag na trzech wspornikach — systemie kotłów, brygadzie i podwójnej władzy. Czwarty zaś i najważniejszy wspornik — *lipę* — dodali do kompletu tubylcy i samo życie.

Lipna robota wymaga energicznych, przedsiębiorczych brygadzystów — ale jeszcze ważniejszy jest tu udział więźniów — kierowników procesu produkcji. Takich dziesiętników, specjalistów od norm, ekonomistów — było wielu, ponieważ w tych odległych okolicach trudno o fachowców-wolniaków. Jedni z nich, po zdobyciu stanowiska zapiekali się, stawali się surowsi od najgorszych wolniaków, deptali swoich braci — zeków i po trupach kroczyli do zwolnienia przed terminem. Inni natomiast zdawali

sobie dalej sprawę z tego, że Archipelag jest ich ojczyzną i wprowadzali element rozsądku do zarządzania produkcją — oraz rozsądny procent lipy do sprawozdawczości. Wszystko to robili z należnym umiarem. Było w tym jednak ryzyko: nie tyle ryzykowali, że złapią nowy wyrok, bo wyroki i tak mieli wystarczające i to z najsolidniejszych artykułów. Ryzykowali, że stracą funkcję, rozsierzdzą przełożonych, zostaną przydzieleni do marnego transportu — i zginą w ten sposób bez śladu. Tym godniejsza jest pochwały ich roztropna stanowczość z jaką pomagali przetrwać innym.

Takim był, na przykład, Wasyli Grigoriewicz Własow, znany już nam z procesu we wsi Kadyj. Przez cały okres swojej okrutnej kary (odsiedział 19 lat bez przerwy) zachował tę samą upartą pewność siebie, jaka cechowała jego zachowanie się na rozprawie i która kazała mu wyśmiać Kalinina z jego ułaskawieniem. W trakcie tych długich lat, schnąc z głodu i chodząc w kieracie robót ogólnych, miał się on nie za kozła ofiarnego, lecz za prawdziwego więźnia politycznego, a nawet „rewolucjonistę”, jak sam twierdził w intymnych rozmowach. I kiedy — dzięki swojemu bystremu, gospodarskiemu oku, które zastępowało mu wykształcenie ekonomiczne (bo nie zdążył go zakończyć) — dostał się na funkcję w aparacie produkcji — Własow ujrzał w tym nie tyle szansę odroczenia swojej własnej śmierci, ile okazję do takiego podszykowania wspólnego wózka, żeby ludziom jakoś lżej go było ciągnąć.

W 40-tych latach na jednej z placówek leśnych Ust'-Wymłagu (obóz ten różnił się od innych tym, że miał tylko jedno kierownictwo: obóz sam prowadził wyrąb lasu i sprawozdawczość, sam też odpowiadał za wykonanie planu przed Ministerstwem Leśnictwa) Własow był planistą i zarazem kontrolerem norm. Wszystko tam od niego zależało i zimą — aby pomóc zaharowanym drwalom — dopisywał ich brygadam dodatkowe metry sześciennie. Jedną z tych zim była szczególnie surowa, ludzie z najwyższym trudem osiągnęli 60 % planu, ale wikt i premie dostawali jak za 125 % — i dzięki zwiększonym przydziałom zdołali przetrzymać zimę, ani na jeden dzień nie przerywając robót. Jednakże wywózka „zrąbanego” (na papierze) drzewa bardzo się opóźniała i do komendanta obozu doszły niedobre wieści. W marcu posłał więc do lasu komisję, złożoną z dziesiętników, którzy wykryli brak ośmiu tysięcy metrów sześciennych drzewa! Rozwścieczony komendant wezwał Własowa. Ten wysłuchał spokojnie i odparł: „Komendancie, daj im wszystkim po *pięć dni kabaryny*, to niedołągi. Polenili się, nie weszli w las, jak należy, bo tam śnieg głęboki. Powołaj nową komisję, ja będę za prze-

wodniczącego”. Z trójką niegłupich ludzi Własow, nie wychodząc z gabinetu, sporządził protokół i „odnalazł” całą brakującą masę drzewa. Na jakiś czas komendant odzyskał spokój, ale w maju znów się przestraszył: wywóz drzewa z lasu jest przymały, już tam na górze nie wiedzą, co myśleć. Wezwał Własowa. Własow, mały, zadziorny kogucik, tym razem nawet nie myślał się wypierać: drewna nie ma. „No to jak mogłeś podsunąć mi sfalszowany protokół, ty taki owaki?”. „A co, miałem was może do więzienia posłać, to byłoby lepiej? Przecież osiem tysięcy metrów — to dla wolniaka *czerwoniec*, a dla czekisty zawsze jeszcze pięć lat pierdla!”. Komendant nawymyślał mu, ale już za późno było na jakiegokolwiek represję: bez Własowa nie sposób było wykaraskać się samemu. „Co teraz począć?”. „A zaczekajmy do roztopów”. Wszystkie drogi rozkisły, ani wozem, ani saniami nie przejedzie: wtedy to przyniósł Własow komendantowi do podpisu, a potem przesłał do zarządu, szczegółowo uzasadniony memoriał techniczny. Napisane tam było, że z powodu znacznego przekroczenia planu wyrębu — ubiegłej zimy nie zdążono wywieźć sanną ośmiu tysięcy metrów sześciennych drzewa. W okresie roztopów, po błocie, wywieźć zaś już nie sposób. Następnie podane było obliczenie kosztów budowy prowizorycznej drogi moszczonę kłodami — i wykazane czarno na białym, że koszt wywózki tych ośmiu tysięcy taką specjalną drogą, już teraz będzie wyższy, niż wartość samego drewna. A za rok, przeleżawszy w błocie lato i jesień, drewno utraci swój standart i odbiorca zgodzi się wziąć je tylko na opał.

Zarząd wziął to logiczne rozumowanie pod uwagę: istotnie, można było wykazać się takimi argumentami przed każdą komisją — i spisał na straty osiem tysięcy metrów sześciennych.

Tak oto drzewa zostały zrąbane, *zjedzone*, spisane na straty — a dalej stały dumnie, pokryte wieczną zielenią. Nie drogo zresztą zapłaciło państwo za te martwe metry sześciennie: zaledwie kilkaset bochenków czarnego, lepkiego, nasiąkniętego wodą chleba. Że nie zmarniało tysiąc drzew i ze stu ludzi — tego nikt nie uważał za zysk, tego dobrego zawsze było aż nadto na Archipelagu.

Zapewne nie jeden Własow pozwalał sobie na takie machlojki, bo poczynając od 1947 roku na wszystkich wyrębach leśnych wprowadzono nowe porządki: kompleksowe zespoły i kompleksowe brygady. Znaczyło to, że drwali łączy się w jeden zespół z wozakami, zaś brygadzie zalicza się drzewo nie tylko *zrąbane*, lecz już dowiezione na *bindugę*, nad brzeg rzeki, na miejsce wiosennego spławu.

I cóż? Koniec z lipą? Bynajmniej! Dopiero teraz rozkwitła! — wybujała szeroko, bo rozszerzył się krąg robotników, którzy

mieli z niej chleb. Jeśli to czytelników bawi, możemy przyjrzeć się tej sprawie bliżej:

1. Od *bindugi* w dół rzeki nie mogą spławiać drzewa więźniowie (któż ich będzie konwojował? Czujność!). Dlatego na *bindudze* pełnomocnik obozu (czyli wszystkich brygad) przekazuje urobek przedstawicielowi instytucji, zajmującej się spławem drzewa, a zatrudniającej wolniaków. No, ten to już dopilnuje swego! Nic podobnego. Pełnomocnik obozowy *zasuwa* tyle *lipy*, ile wypada z raportów drwali, a przedstawiciel flisaków godzi się na wszystko.
2. Dlaczego? A dlatego, że instytucja też musi dać papu swoim wolnym flisakom, ich normy też są wygórowane. Całą więc masę istniejącego tylko w raportach drzewa instytucja dopisuje sobie do cyfr wykonania własnego planu.
3. Na głównej przystani, tam, gdzie gromadzi się drzewo, spławione ze wszystkich odcinków eksploatacji, pnie znów zostają przetoczone na brzeg. Jest to znów zadanie dla więźniów, w tym wypadku — z tego samego Ust'-Wymłagu (52 wyspy Ust'-Wymłagu rozrzucone są na powierzchni o wymiarach  $250 \times 250$  kilometrów, oto są przestrzenie naszego Archipelagu!). Przedstawiciel flisaków jest zupełnie spokojny; pełnomocnik obozu przyjmie od niego bez mrugnięcia całą *lipę*, istniejącą w protokole zdawczo-odbiorczym: także po to, aby nie napytać kłopotów własnemu obozowi, który całe to drzewo dostarczył na *bindugi*, ale nade wszystko po to, aby na rachunek *lipnych* cyfr przeróbki dać papu swoim własnym zekom, pracującym przy przetaczaniu! (ci też mają normy z sufitu, im też trzeba dodać po kromce!). Odbiorca musi tu nieźle się napocić, dla dobra ogólnego: nie może zwyczajnie przyjąć tylu a tylu metrów anonimowego drewna, lecz musi posegregować je na papierze wedle grubości i długości kłoców: dotyczy to zarówno *lipnych*, jak tych prawdziwych. Ten dopiero zasłużył na wdzięczność! (Własow tym również przy okazji się zajmował).
4. Teraz drzewo idzie do tartaku, gdzie kłocze trze się i przycina. Robotnikami tartacznymi znów są więźniowie. Wyżywienie brygady zależy tu od objętości obrobionych okrągłaków i „nadprogramowe”, *lipne* drzewo okazuje się niezwykle potrzebne dla zwiększenia procentu wykonania planu.

5. Następnie drzewo trafia do składu gotowych wyrobów i norma przewiduje, że znaleźć się tam powinno (licząc objętościowo) nie mniej, niż 65 % drzewa, przyjętego przez tartak w postaci surowca. Otóż 65 % zadeklarowanej, choć niewidzialnej *lipy* również trafia do raportów składu (i mityczne te produkty zostają starannie podzielone według gatunków: kopalniak, budowlanka; grubość desek, miarowe, niemiarowe...). Robotnicy, układający drewno w sęgi, też mają swój dodatkowy kęs dzięki tej *lipie*.

Dobrze, ale co dalej? Lipa jest już na składzie, tu droga się kończy. Skład ochrania WOChR, nie ma co marzyć o niekontrolowanym „manku”. Kto i jak teraz odpowie za *lipę* i *fuchę*?

Na pomoc wielkiej zasadzie fuchy przychodzi drugie wielkie prawo Archipelagu: zasada *gumy*, to znaczy — zwłoka wszelkiego rodzaju. Dzięki niej — zaksięgowana *lipa* przenosi się z jednego raportu rocznego do drugiego. Jeśli zdarzy się inwentaryzacja — to w tej dzikiej gęszy wyspiarskiej — robią ją sami swoi, ludzie, co wszystko dobrze wiedzą. Toć nie da się przerzucić wszystkich tarcic własną ręką. Na szczęście — co roku spisuje się na straty drzewo zmuszałe podczas składowania, a z nim również — *lipne*. No, usuną tam jednego z drugim, magazynier zostanie przeniesiony na stanowisko planisty. Ale iluż to ludzi przez ten czas nie pozdychało z głodu!

Albo tak jeszcze robią: przy ładowaniu tarcic do wagonów odbiorcy (a nie ma przy tym przedstawiciela zamówieniodawcy, wagony będą później dopiero rozsyłane według planu) — też *zasuwa się lipę*, to znaczy — wpisuje się większe cyfry załadunku (zaznaczmy, że ładowacze też coś z tego mają!). Kolej plombuje wagon, co ją to obchodzi. Za jakiś czas, gdzieś — w Armawirze, albo w Krzywym Rogu — otwiera się wagon i przeprowadza przyjęcie towaru. Jeśli brak nie tak znów wiele, to wszystkie podobne niedobory trafiają najwyżej do statystyk i sumuje je Komisja Planowania. Jeśli niedobór jest chamski, to odbiorca śle do Ust'-Wymłagu reklamację — ale jest ona tylko jednym z miliona papierków, porwanych wiecznym ruchem i gasnących, wędnących po pewnym czasie — bo nie mogą one długo opierać się potwornemu, ludzkiemu pędowi do *przetrawiania*. Odesłać zaś wagon kwestionowanego drzewa? — o, na to żaden Armawir się nie zdecyduje; łap, co ci dają, na południu budulca brak!

Zaznaczmy, że również państwo — tj. Ministerstwo Leśnictwa — z całą powagą wykorzystuje w swoich sprawozdaniach te

*lipne* cyfry, wykazujące, ile to drzewa zrabano i przetarto. Ministerstwu bardzo to drzewo się przydaje<sup>7</sup>.

Ale co innego najbardziej tu dziwi: zdawałoby się, iż z powodu całej tej *lipy* na każdym etapie transportu powinno wychodzić na jaw, że drzewa jest za *mało*. Jednakże odbiorca na głównej przystani dąży w trakcie sezonu letniego tyle *lipnego* drzewa dopisać do raportu, że z nadejściem jesieni w porcie drzewnym tworzą się prawdziwe ławice *ponadplanowe!* — nie zdążono tych pni zdać i zaksięgować. Nie wolno ich zaś zostawiać w wodzie przystani na zimę, bo trzeba będzie wiosną wzywać samolot do rozbijania zatoru bombami. I dlatego *zbyteczne*, nikomu już niepotrzebne pnie późną jesienią spławia się na otwarte morze Białe!

Dziwy? Zagadki? Nie tylko tu. W Unżłagu, w składach desek zawsze zostawało NICZYJE drewno, dla którego nie znalazło się miejsca w wagonach, nigdzie nie zaksięgowane!... I po likwidacji kolejnego składu, jeszcze przez dłuższy czas odwiedzały go całe ekspedycje z sąsiednich obozów, aby zaopatrzyć się na zapas w suche drzewo. Palono potem w piecach korowanym kopalniakiem, którego obróbka tyle wysiłku i cierpień tak niedawno kosztowała.

A wszystko to — z chęci *przetrwania*. Nie chodzi wcale o zysk, ani o to, by okraść państwo.

Nie może władza być aż tak okrutna, nie może też popychać poddanych do szalbierstwa z musu.

Więźniowie tak powiadają: dynamit, fucha, *lipne* plany — i już jest kanał zbudowany.

Oto na czym trzyma się Archipelag.

---

7. W ten sposób *lipa* — jak tyle innych osobliwości Archipelagu, nie da się uznać tylko za jego cechę, lecz nabiera znaczenia ogólnopaństwowego.

## Rozdział szósty

### PRZYWIEŻLI FASZYSTÓW!

— Przywieźli faszystów! Przywieźli faszystów! — wrzeszczeni, biegając w podnieceniu po całym obozie młodzi zęcy — chłopcy i dziewczęta, na widok dwóch naszych ciężarówek (w każdej siedziało po trzydziestu *faszystów*) wjeżdżających we wrota niewielkiego, kwadratowego obozu Nowy Jerusolim.

Dopiero co dane nam było przeżyć jedną z kluczowych chwil naszej egzystencji — godzinną jazdę z Krasnej Presni; był to co się zowie krótki etap. Chociaż siedzieliśmy przez cały czas w kucki pod budą ciężarówki, ale nasze było całe powietrze, cała szybkość, wszystkie mijane kolory. O, zapomniane już barwy świata! — czerwone tramwaje, błękitne trolejbusy, ten tłum, biały i pstrokaty! Czy aby zdają sobie sprawę ci tam, tłoczący się na przystankach, jacy są kolorowi?

A jeszcze, nie wiedzieć czemu, wszystkie domy i słupy uliczne umajone są chorągiewkami i flagami, to chyba jakieś niespodziane święto — 14 sierpnia, przypadające akurat w dzień naszego wyjścia z więzienia. (Okazało się, że tego dnia nadeszła wiadomość o kapitulacji Japonii i o końcu naszej wojny siedmiodniowej).

Na szosie Wołokołamskiej — fale zapachów skoszonego siana; przedwieczorna świeżość łąkowa owiewała nasze golone łby. Kto potrafi wdychać te powiewy polne chciwiej, niż więźniowie? Nasze oczy, nauczone już szarości, samej tylko szarości, olśniła szczerą zieleń. Znalazłem się w jednym transporcie razem z Gammerowem i Ingałem, przycupnęliśmy obok siebie i zdawało się nam, że jedziemy na wesołe letniaki. Nic ponurego nie mogło czekać nas u kresu tak cudownej drogi.

I oto zeskakujemy już z nadwozi, prostujemy zdrętwiałe nogi, zdrewniałe grzbiety — i rozglądamy się wokół. Zona obozowa



tej Nowej Jerozolimy podoba się nam, sprawia wręcz miłe wrażenie: nie jest okolona murem, tylko siatką z drutu kolczastego, gdzie okiem sięgnąć widać z niej pagórkowatą, żywą, wsiową i letniskową ziemię zwienigorodzką. Nam samym się zdaje, że jesteśmy niejako częstką tego beztroskiego krajobrazu, patrzymy na tę ziemię tymi samymi oczyma, którymi oglądają ją ludzie, co tu przyjeżdżają dla wypoczynku i przyjemności, ba, rysuje się nam ona chyba jakoś wypukłej (nasze oczy zdążyły się przyzwyczaić do płaskich ścian, płaskich nar, płytkich cel), jakoś soczystej: spłowiła już, sierpniowa zieleń olśniewa nas; może zresztą tak soczysta się wydaje, bo słońce chyli się ku zachodowi.

— Wyście faszyci? Sami faszyci? — pytają nas z nadzieją w głosie podchodzący więźniowie. I przekonawszy się, że istotnie tak jest, natychmiast odbiegają, idą precz. Nie interesuje ich nic innego.

(Wiemy już, że *faszyci* — to przezwisko Pięćdziesiątki Ósemki, nadane przez cwanych knajaków i nader chętnie zaakceptowane przez zwierzchność: niegdyś nazywano takich grzecznie *kaerami*, później ta nazwa przywiedła, a przecież znamię powinno być wyraźne).

Po szybkiej jeździe na świeżym powietrzu, jest tu nam jakby cieplej i dlatego — jeszcze przytulniej. Przyglądamy się więc małej *zonie* z piętrowym murowaniem dla mężczyzn i drewnianym, wyposażonym w facjatki barakiem — dla kobiet, z całym wsiowymi, walącymi się szopami, należącymi do gospodarstwa; patrzymy potem na długie, czarne cienie drzew i budynków, kładące się już wszędzie na polach; na wysoki komin cegielni i na światła zapalające się już w oknach dwóch jej oddziałów.

— No i co? Tu chyba... nie najgorzej... — mówimy, starając się przekonać siebie samych.

Jakiś chłopak z tym ostrym, baczynym i niezyczliwym wyrazem twarzy, jaki już zaczynamy tu dostrzegać także u innych, stoi koło nas już dłuższą chwilę, przyglądając się ciekawie faszystom. Czarną, wysmoloną czapkę nasunął krzywo na czoło — ręce wetknął w kieszenie i tak stoi sobie, przysłuchując się pogwarkom.

— Nie-nnajgorzej! — charknął. Przyjrzał się nam jeszcze raz z grymasem pogardy i wycedził dzieląc głoski: — Szcz-e-nia-kie-ria!... Prędko wam rura zmięknie!

Splunął nam pod nogi i poszedł sobie. Nie mógł już dłużej patrzeć na takich durni.

Serca nam się ścisnęły.

Pierwsza noc w obozie!... Już zjeżdżasz, człowieku, już zjeź-

dżasz po równi pochyłej w dół, w dół — a jest gdzieś może jakiś zbawczy zaczep, za który można by się uchwycić, tylko nie wiesz gdzie. Ożyło w nas wszystko najgorsze, czego nas życie nauczyło: cała nieufność, łąpczywość, wszystko co ponure i okrutne, wszystko, co zaszczepiono nam w kolejkach za chlebem, co wbiła nam do głów jawna niesprawiedliwość silnych. Wszystko to jeszcze zostało w nas podsycone i wzbułtane przez zasłyszane już wieści o życiu obozowym: byle tylko nie dostać się na *ogólne!* wilczy świat! tu zagryzą człowieka żywcem! jak tu się kto potknie, to go zadcpczą! byle tylko nie posłano was do łopaty! No jak uniknąć tego? Gdzie szukać ratunku? Coś by trzeba dać! Trzeba by kogoś *posmarować!* Tylko czym? I kogo? I jak to się robi?

Nie minęła nawet godzina, a pewien gość z naszego transportu już skądś wraca, pełen cichej błogości: został inżynierem-budowniczym na obszarze zony. Potem drugi: pozwolono mu otworzyć razurę dla wolnych pracowników przedsiębiorstwa. Potem trzeci: spotkał znajomego, będzie pracował w oddziale planowania. Słucham z bijącym sercem: toć to wszystko — twoim kosztem! Tamci przycupną sobie w biurach i razurach. A ty zginiesz. Zginiesz marnie.

Zona. Dwieście kroków od jednych drutów do drugich, ale też nie wolno się do niej zbliżać. A tak, będą sobie naokół zieleniec i lśnić te zwienigorodzkie pagórki, ale tu masz tylko głodowe porcje, kamienny loch SZIZO, nędzny daszek nad kuchnią dla „indywidualnego gotowania”, lada jaką budę łaźni, szarą komórkę latryny z przegniłymi deskami — i nigdzie stąd się nie ruszysz, to już koniec. Ta wysepka jest może ostatnim kawałkiem ziemi, po którym dane ci jest jeszcze stąpać.

W izbach stoją gołe *wagonetki*. Wagonetka — to wynalazek Archipelagu, tubylczy mebel, przeznaczony do spania, nigdzie na świecie nie uświadczysz niczego podobnego: są to cztery drewniane płyty ułożone w dwa piętra na dwóch krzyżakach; jeden krzyżak z przodu, drugi z tyłu. Jeśli jeden ze śpiących się poruszy — to pozostali kołyszają się, jak na pokładzie.

Materaców w tym obozie nie wydają, sienników — też nie ma. Pojęcie „bielizny” nieznane jest wyspiarzom z Nowej Jerozolimy; nie zaopatrują tu w pościelową, nie przydzielają i nie piorą bielizny osobistej, chyba że człowiek ma własną i potrafi zadbać o nią. Słowa „poduszka” też nie zna kierownik gospodarczy tego obozu, poduszki można mieć tylko prywatnie, miewają je tylko baby i knajacy. Wieczorem, kładąc się na gołej desce, może człowiek zzuć buty, ale musi liczyć się z tym, że

mu je ukradną. Lepiej więc spać w obuwiu. Odzieży także lepiej nie rozwieszać, bo też skradną. Wychodząc rano do pracy, człowiek nie powinien niczego zostawiać w baraku: jeśli złodzieje wzgardzą, to skonfiskują strażnicy: *regulamin nie przewiduje!* Rankiem idzie się więc do pracy na podobieństwo koczownika, opuszczającego miejsce popasu, ba, więcej nawet, bo nie zostawia się nawet popiołu z ogniska, ani ogryzionych gnatów bydłych. Izba wieje pustką, mogliby w niej za dnia popasać jacyś inni ludzie. A twoja decha nie różni się niczym od desek, na których śpią sąsiedzi. Jest tak samo goła, pokryta skorupą brudu, polerowanego więźniarskimi bokami.

Ale idąc do roboty też niczego zabrać ze sobą nie możesz. Zbierz rankiem swoje łachy do kupy, stań w kolejce do magazynu rzeczy osobistych i schowaj je w kuferku albo w worku. Gdy będziesz zaś wracać po robocie — znów stań w kolejce i weź, to, co może ci się przydać w nocy. Nie ryzykuj pomyłki, bo drugi raz do magazynu się nie dopchasz.

I tak ma być dziesięć lat. Głowa do góry!

Pierwsza zmiana wraca do obozu o trzeciej po południu. Ludzie myją się, jedzą obiad, ustawiają się w kolejce do magazynu — a tu patrzeć — i już apel. Wszyscy obecni stoją szeregiem i półpiśmienny nadzorca z tabliczką z dykty w rękę, zaczyna obchód śliniąc ołówek, marszcząc czoło z wysiłku myślowego i furt coś do siebie szepcząc. Kilka razy pod rząd sprawdza listę — kilka razy obchodzi wszystkie izby; ludzie w szeregach tymczasem czekają sobie. To pomyli się w rachunku, to przeliczy się, sprawdzając ilość chorych, czy siedzących w ciemnicy „bezrobotnych”. Dobrze, jeśli to bezmyślne marnotrawstwo czasu ciągnie się tylko godzinę, niekiedy trwa półtorej. Szczególnie dotyka to i poniżej tych, którzy nie lubią tracić czasu. Chociaż zjawisko to nie tak częste wśród naszego ludu, a już zwłaszcza — wśród zeków, przecież są w obozie ludzie, czujący potrzebę zrobienia czegoś pożytecznego. Podczas apelu czytać nie wolno. Moi chłopcy, Gammerow i Ingał, stoją z zamkniętymi oczyma: układają w pamięci wiersze, albo nawet prozę, czy listy. Ale tak też nie wolno stać w szeregu, bo człowiek wygląda jakby spał, co jest niejako świętokradztwem w stosunku do liturgii apelu. A ponadto — uszu zatkać nie sposób, wszystko więc je świdruje — i przekleństwa, i głupie żarty i wiecznie te same pogwarki. (Mamy rok 1945-ty. Norbert Wiener wkrótce już sformułuje zasady cybernetyki, już rozbito jądro atomu — a tu intelektualisci o błędnych czołach stoją w szeregu i czekają — „*ne wertuchajś!*” — aż tępy, czerwonopyski bałwan zakończy swoje leniwe, szeptane rachunki!). Już po apelu, teraz, o pół

do szóstej, mógłby już człowiek iść spać (bo noc wczorajsza była krótka, a dzisiejsza może być jeszcze krótsza!), ale za godzinę — kolacja, więc czas kruszy się w rękę.

Administracja obozu jest tak leniwa i nieudolna, że nie potrafi dać sobie rady z rozlokowaniem ludzi w izbach wedle zmian. Koło siódmej, po kolacji, pierwsza zmiana mogłaby już odpocząć, ale wcale nie myślą o śnie ci, co nie namęczyli się i nie wiedzą, co to głód. Knajacy na swoich pierzynach dopiero teraz zabierają się do gry w karty, do głośnych wrzasków i do swoich występów. Oto jakiś złodziej, z wyglądu — Azerbejdżanin, skradając się ze sztuczną ostrożnością, włazi na „wagonetkę” i zaczyna skakać z jednej na drugą, nie zważając, czy tam kto leży i rycząc: „Tak Napoleon szedł do Moskwy po machorkę!”. Zdobywszy garść machorki — wraca w ten sam sposób, depcząc leżących i krzycząc: „A tak Napoleon uciekał do Paryża!”. Każdy wybryk knajacki tak jest nieoczekiwany, tak zaskakujący, że człowiek otwiera tylko gębę ze zdumienia. O dziewiątej wieczór — nocna zmiana zaczyna trząść wagonetkami, tupać i wynosić swoje rzeczy do magazynu. Wyprowadzają ich przed dziesiątą, teraz by człowiek sobie pospał! — ale przed jedenastą wraca z roboty druga zmiana. Teraz ci z kolei ciężko tupią, kolebią wagonetkami, myją się, chodzą po swoje rzeczy do magazynu, jedzą. Może dopiero gdzieś o pół do dwunastej znużony obóz zasypia.

Ale już o czwartej piętnaście śpiewny dźwięk metalu rozlega się nad naszym obozikiem i nad całą, pogrążoną we śnie, kołchozową okolicą; starszycy tu jeszcze wcale nie zapomnieli bicia cerkiewnych dzwonów w pobliskiej Istrze. Być może również nasz srebrnogłósy, obozowy dzwon pobudki pochodzi z tego klasztoru i tam jeszcze nauczył się budzić mnichów o drugich kurach — do modlitwy i do pracy.

„Pobudka, pierwsza zmiana!” — krzyczy strażnik w każdej izbie. Głowa ciężka z niewyspania, oczy jeszcze zaprószone majakami — gdzie tu myśleć o myciu! a ubierać się wcale nie trzeba, toć człowiek spał w ubraniu. Od razu więc do stołówki. Wchodzisz, jeszcze zataczając się cały. Wszyscy pchają się, każdy jedno ma na myśli: ten staje w ogonku po chleb — inny — po miskę bałandy. Tylko ty snujesz się, jak lunatyk — w ćmieniu słabych żarówek i wśród kłębow pary z misek, nie widząc nawet skąd masz wziąć jedno i drugie. Dostajesz wreszcie swoje pięćset gramów chleba na bankiet i glinianą miskę z jakąś gorącą, czarną cieczą. Jest to czarny barszcz z pokrzywy. Czarne strzępy wygotowanych liści pływają w czarniawej, postnej wodzie. Ani ryby, ani mięsa, ani tłuszczu. Ani krzty soli: w trakcie gotowania po-

krzywa i tak wchłania całą sól z roztworu, więc go lepiej wcale nie solić: bo jeśli tytoń jest łągowym złotem, to sól jest łągowym srebrem i kucharze dobrze już jej oszczędzą. Wymiotna to bryja — taka niesolona bałanda z pokrzywy! — człowiek czuje, jak głód go zżera, a mimo to nie jest w stanie jej przełknąć.

Spójrz w górę. Nie na niebo, tylko pod sufit. Oczywiście już przystosowały się do mdłego światła i teraz mogą już odczytać napis, wymalowany na ścianie pod powałą ulubionym, czerwonym kolorem na papierze pakowym:

*„Kto nie pracuje — ten nie je!”*

I zaraz — aż dreszcz w piersi. O mędrzy z KO! Jak radzi byliście, mogąc powiesić na ścianie obozowej stołówki to wielkie hasło ewangeliczne i komunistyczne. Ale Ewangelia Świętego Mateusza powiada: „Kto się trudzi — ten winien być nakarmiony”. A w Piątej Księdze Mojżeszowej jest powiedziane: „Nie zawiążesz gęby wołowi, trącemu na klepisku zboże twoje”.

A u was — ten wykrzyknik! Dzięki wam się należą w imieniu pracowitego wołu! Teraz będę już wiedział, że mój kark wychudły uciskacie nie dla jakiejś potrzeby, że dusicie mnie wcale nie ze zwykłej chciwości — lecz w imię świetlanych idei przyszłego społeczeństwa! Tylko, że wcale nie widzę, by w obozie jedli ci właśnie, co pracują. I nie widzę wcale, aby tu niepracujący — głodowali.

Świta. Blednie nadranne niebo sierpniowe. Tylko najjaśniejsze gwiazdy jeszcze widać. Na południowym wschodzie, nad cegielnią, do której nas zaprowadzą — lśni Procyon i Syriusz — alfy konstelacji Małego i Wielkiego Psa. Wszystko przeciw nam się sprzysięgło, nawet niebo zmówiło się ze strażnikami: psy czatują na wysokościach, podobnie, jak tu, na smyczach, u nóg konwojentów. Warczą wściekle, rwą się, chcą gwałtem dobrać się nam do skóry. Tresowane są ze znajomością rzeczy i łase na ludzkie mięso.

Pierwszy dzień w obozie! Nawet wrogowi nie życzę tego! W głowie się przewraca, człowiek nie jest w stanie objąć zrazu rozumem natłoku okrutnych faktów. Co to będzie? Co będzie ze mną? — to pytanie toczy mi mózg, a tu jeszcze nowoprzybyłym dają najbardziej bezmyślne zadania, żeby tylko jakoś ich zatrudnić, póki co. Dzień dłuży się bezgranicznie. Dźwiga człowiek nosidła, albo pcha taczki, każdy kurs — to tylko pięć, dziesięć minut, a głowa tym tylko pytaniem jest zajęta: co to będzie? co to będzie?

Widzimy jak bezsensowne jest przenoszenie tego śmiecia

z miejsca na miejsce, staramy się więc pogadać między jedną taczka, a drugą. Wydaje się, że już te pierwsze taczki nas wykończyły, że wyssały z nas siły — a jak tu je pchać jeszcze przez osiem lat? Staramy się mówić o czymś takim, co da nam poczuć, że jeszcze mamy moc, że jeszcze kimś jesteśmy. Ingał opowiada o pogrzebie Tynianowa; uważa się za jego ucznia. Zaczynamy dyskutować o powieściach historycznych: czy ktokolwiek ma w ogóle prawo je pisać? Przecież powieść historyczna to rzecz o tym, czego autor nigdy nie widział. Oddzielony barierą lat i doświadczeń własnej epoki, autor może wmawiać w siebie ile wlezie, że wszystko sobie jak należy *uprzytomnił* ale przecież i tak *wżyć się* w te odległe sprawy nie będzie w stanie. Czy nie znaczy to, że powieść historyczna zalicza się przede wszystkim do literatury fantastycznej?

Ale tu właśnie zaczynają wzywać ludzi z naszego transportu — po kilku naraz — do kancelarii, gdzie każdy dostanie przydział, wszyscy porzucają więc taczki. Ingałowi udało się już wczoraj zawrzeć z kimś znajomość, i oto literata posyła ją do rachuby, chociaż rachuje tak, że i śmiech, i grzech, a liczydła nigdy nie miał w rękę. Gammerow nie zdolny jest do żadnych próśb i starań o zaczepienie się gdziekolwiek, nawet za cenę życia. Zostaje więc zwykłym, niewykwalifikowanym robotnikiem. Wraca, kładzie się na trawie i w ciągu tej ostatniej godzinki, kiedy nie musi być jeszcze czarnoroboczym, opowiada mi o zaszczytnym poecie, Pawle Wasiliewie, o którym nic dotąd nie wiedziałem. Kiedy ci chłopcy zdążyli tyle przeczytać i dowiedzieć się?

Żuję źdźbło i waham się — na co tu stawiać — czy na matematykę, czy na oficerską przeszłość? Nie potrafię odrzucić szansy tak dumnie, jak Borys. Niegdyś wpajano także we mnie inne ideały, ale gdzieś w trzydziestych latach szorstkie życie zaczęło popychać nas tylko w jednym kierunku: łapać, co się da i pchać się, gdzie tylko można.

Jakoś tak samo się złożyło, że — że przestępując próg gabinetu dyrektora — rozprowadziłem na boki fałdy bluzy pod szerokim pasem oficerskim (wysztafirowałem się tego dnia specjalnie, mniejsza, że musiałem z początku pchać taczki). Kołnierz stojący zapięty był regulaminowo.

— Oficer? — dyrektor zorientował się od razu.

— Tak jest!

— Doświadczenie w robocie z ludźmi<sup>1</sup> macie?

— Tak jest!

— Czym dowodziliście?

---

1. Znowu ei ludzie, widzicie?

— Artyleryjskim dywizjonem — skłamałem, nie mrugnawszy nawet okiem (bateria — to wydało mi się zbyt skromne). Dyrektor przyglądał mi się wzrokiem ufnym i zarazem podejrzliwym.

— A czy tu dacie sobie radę? Tu bywa niełatwo.

— Myślę, że radę dam! (Sam przecież jeszcze nie miałem pojęcia w jakie chomąto łeb wpycham. Przecież najważniejsze — to łapać i pchać się!) — Dyrektor przymrużył oczy i namyślał się chwilę. (Zastanawiał się, czy i o ile gotów jestem zmienić się w psa i czy mam wystarczająco mocny zgrzyz).

— Dobrze. Zostaniecie dyżurnym majstrem w kopalni gliny.

Jeszcze jednego byłego oficera, Mikołaja Akimowa, wyznaczono na podobne stanowisko. Wyszliśmy z nim z kancelarii jakby złączeni powinowactwem i pełni werwy. Nie potrafiliśmy jeszcze wtedy zrozumieć, że wybraliśmy sobie standartowy, typowy dla wojskowych w obozie, lokajski start. Po bezpretensjonalnej, nieinteligentnej twarzy Akimowa zaraz było widać, że to chłopak szczerzy i dobry żołnierz.

— Chciał nas postraszyć, czy co? Nie dać sobie rady z dwudziestu ludźmi? Ani min, ani bomb — co tu trudnego?

Próbowaliśmy odnaleźć dawną, frontową pewność siebie. Nie wiedzieliśmy — głupie szczeniaki — jak bardzo Archipeląg różni się od frontu i czym tutejsza wojna pozycyjna różni się od naszych walk frontowych.

W armii dowódcą może być nawet okrągły dureń, zero — z tym większym nawet powodzeniem, im wyższe stanowisko zajmuje. Jeśli dla dowodzenia plutonem konieczna jest bystrość, i wytrwałość, i odwaga, i umiejętność czytania w ludzkich sercach — to niejeden marszałek musi umieć tylko zrzędzić, kłać i podpisywać się na rozkazach. Całą resztę zrobią już za niego inni, plan operacji podsunie mu pod nos oddział operacyjny sztabu, gdzie zwykle siedzi jakiś niegłupi oficer, ogółowi z nazwiska nie znany. Żołnierze wykonają rozkazy nie dlatego, że przekonani są o ich słuszności, lecz dlatego, że rozkaz przekazany jest z góry w dół po stopniach drabiny służbowej, że jest to rozkaz maszyny urzędowej i kto go nie wykona, temu łeb utną.

Ale na Archipelagu — zek, któremu kazano dowodzić innymi zekami, jest w zupełnie innej sytuacji. Cała furkocząca epoletami hierarchia wcale nie stoi za tobą i wcale nie wspiera twego rozkazu swoim autorytetem: odetnie się od ciebie i wyrzuci precz, jeśli tylko nie potrafisz własnym przemysłem i na własny sposób wymóc wykonania tego rozkazu. A sposoby są tylko takie: albo pięść, albo bezlitosne głodzenie ludzi, albo taka dogłębna znajo-



mość Archipelagu, która nawet w oczach zeka zamienia wykonanie rozkazu w jedyną deskę ratunku.

Zielonkawę, płynne błoto polarne powinno w twoich żyłach zająć miejsce gorącej krwi — tylko wtedy potrafisz wydawać zekom rozkazy.

Właśnie w tych dniach zaczęto z ciemnicy wyprowadzać na glinianki, gdzie praca była najcięższa, brygadę karną — grupę knajaków, którzy niedawno omal nie zarżnęli komendanta obozu (nie chcieli go zarżnąć, nie byli tacy głupi, chcieli go tylko nastraszyć i wymóc odesłanie ich do Presni: nasz obóz uznali za beznadziejny, za miejsce, gdzie interesów robić się nie da). Przyprowadzono ich pod sam koniec mojej zmiany. Rozwalili się na ziemi obok wyrobisk — wystawili na słończko swoje grube, krótkie ręce i nogi, grube, tatuowane brzuchy i piersi, aby poopalać się spokojnie po odsiadce w wilgotnym lochu SZIZO. Zbliżyłem się do nich w swoim wojskowym uniformie i dobitnie, acz grzecznie kazałem im wziąć się do roboty. Ciepłe słończko wprawiło ich w dobry humor, dlatego też roześmieli się tylko i posłali mnie do ciężkiej i jasnej. Zawrzałem gniewem, ale jednocześnie — skonfundowałem się, więc odszedłem z niczem. W wojsku rozpocząłbym od komendy: „Powstań!” — ale tu było jasne, że jeśli nawet ktoś wstanie, to tylko po to, aby wetknąć mi nóż między żebra. Póki łamałem głowę, jak tu postąpić (przecież cała kopalnia gliny to widziała i też mogła zaprzestać pracy) — moja zmiana dobiegła końca. Tylko dzięki temu przypadkowi mogę dziś pisać tę rzecz o Archipelagu.

Zastąpił mnie Akimow. Knajacy dalej grzeli się na słończku. Akimow naprzdó coś im powiedział, później krzyknął coś tonem komendy (może nawet zawołał „Powstań!”), za trzecim razem przeszedł do gróźb — więc rzucili się na niego, dogonili uciekającego i w jakiejś zapadlinie odbili mu nerki łomem. Wprost z cegielni odwieziono go do okręgowego szpitala więziennego. Tyle było jego dowodzenia, a może też siedzenia w więzieniu i całego życia. (Dyrektor zapewne celowo posłał nas przeciw knajakom w roli chłopców do bicia).

Moja krótka kariera w kopalni gliny trwała kilka dni dłużej, ale nie przysporzyła mi oczekiwanej satysfakcji, tylko poczucie przygnębienia. O szóstej rano wkraczałem do strefy robót, bardziej zgnębiony, niż gdybym miał sam jeden kopać tu glinę. W stronę kopalni włókłem się w stanie wewnętrznego rozbitcia, nienawidząc zarówno tej roboty, jak mojej roli w tym wszystkim.

Od formiarni do wyrobiska szły tory kolejki ręcznej. Tam, gdzie kończyła się droga płaska i zaczynał się spadek w stronę kopalni — stała na pomoście maszyna wyciągu. Ten wyciąg mo-

torowy był jednym z nielicznych cudów mechanizacji w całych zakładach. Wzdłuż całej trasy od wyrobisk — do wyciągu, a później — od wyciągu do cegielni — wagoniki z gliną musiały być pchane przez nieszczęsnych robociarzy. Jedyne na stromiznie robił to za nich wyciąg.

Kopalnia gliny znajdowała się w odległym kącie terenu cegielni; był to szmat ziemi, cały pokryty wądołami. Wądoły wiły się na kształt jarów, przedzielonych nietkniętymi jeszcze pagórami. Glina zalegała płytko i warstwa jej miała znaczną grubość. Można było zapewne kopać w głąb, można też było wybierać glinę na całą szerokość odkrywki, ale nikt nie wiedział, co lepsze, nikt nie planował całości robót, wszystko zależało od fantazji brygadzysty porannej zmiany. Zwał się Barinow, był to chłopak z Moskwy, pospolitak, odznaczający się czelnością i pewną urodą. Barinow kopał, jak leci, kierował wykop tam, gdzie można było wybrać gliny więcej, przy minimalnym nakładzie pracy. Nie pogłębiał wykopu, aby nie trzeba było zbyt długo pchać wagoników po stromiznie. To Barinow, w istocie kierował tymi osiemnastu-dwudziestu ludźmi, którzy naprawdę pracowali przy glinie podczas mojego dyżuru. Był jedynym prawdziwym gospodarzem zmiany: znał tych ludzi — *żywił ich* — to znaczy zdobywał dla nich lepszą *pajkę* i codziennie podejmował ważką decyzję: ile dziś załadować trzeba wagoników żeby nie było ani za dużo, ani za mało. Barinow podobał mi się. Gdybyśmy znaleźli się z nim w jakimś więzieniu na wspólnych narach, to na pewno prędko doszlibyśmy do ładu. Zresztą i tutaj moglibyśmy byli dojść do porozumienia — tylko — że powinienem był podejść do niego i pośmiać się z nim razem z tego, że dyrektor mnie właśnie wyznaczył na stanowisko p.o. psa, a ja tu ani be, ani me. Ale oficerskie wychowanie nie pozwalało na nic podobnego! Próbowalem więc traktować go surowo i żądać posłuszeństwa, chociaż nie tylko ja sam i nie tylko on, lecz cała brygada widziała — że jestem takim samym piątym kołem u wozu, jak instruktor z powiatu przy kampanii siewnej. Barinowa brała złość, że postawiono nad nim jakąś papugę, więc też często i z niemałym poczuciem humoru stroił sobie ze mnie żarty przed całą brygadą. Jeśli tylko uznałem, że coś tam trzeba zrobić, Barinow zaraz mi wykazywał, że to niemożliwe. Albo też, krzycząc gromko: — „Majster, hej, majster!” — co i rusz zmuszał mnie do uganiania się po całym wyrobisku to tu, to tam — i prosił o wskazówki: jak rozbierać tory i montować je w innym miejscu; jak umocować koło, które zeskokczyło z osi; albo, że wyciąg nie działa, więc co tu zrobić; albo — gdzie i jak naostrzyć przytępione łopaty. Z dnia na dzień tracąc zapal do komenderowania, coraz

mniej zdolny do znoszenia tych drwin, uważałem już za szczęście — jeśli Barinow kazał ludziom po prostu kopać od samego rana (a nie zawsze tak było) i nie trapił mnie dokuczliwymi pytaniami.

Szedłem sobie wtedy cichcem na bok i chowałem się zarówno przed moimi podwładnymi, jak przełożonymi gdzieś, za wysokimi usypiskami. Tam siadałem na ziemi i wpadałem w bezruch. Pierwsze dni w obozie wprawiły mnie w stan duchowego odrętwienia. O, to nie więzienie! Więzienie — to skrzydła. Więzienie — to bezlik myśli. Toczyć spory o pustym brzuchu — to w więzieniu rzecz łatwa, wesoła. A spróbuj no tutaj — dziesięć lat głodować, harować i milczeć! Żelazna gąsienica już mnie niosła do otwartej paszczyki. Czułem zupełną bezradność, chciałem odpełznąć gdzieś na ubocze — a nie wiedziałem, jak to zrobić. Chciałem nabrać tchu. Ocknąć się. Podnieść głowę. Rozejrzeć się w okół:

O tam, za drutami, za tym jarem — jest pagórek. Widać na nim małą wioskę, jakieś dziesięć domków. Wschodzące słońce opromienia je łagodnym blaskiem. Tak blisko stąd, a przecież to już nie obóz! (Zresztą — to też obóz, tylko człowiek o tym zapomina). Długo nie widać tam żadnego ruchu, wreszcie przejdzie jakaś baba z wiadrem, jakiś mały chłopaczek przebiegnie drogę, co zarosła lebiodą. Kogut zapieje, krowa ryknie — wszystko to słyszymy doskonale, tu, na naszym wyrobisku. Zaszczeka chłopski kundel — co za miły szczek! — nie to, co ujadanie wilczura z konwoju<sup>2</sup>!

Każdy dźwięk stamtąd dochodzący, ba, nawet bezruch tej wioski napawa mnie błogim spokojem. I dobrze to wiem, że gdyby ktoś mi teraz powiedział: naści, masz tu wolność! Ale aż do śmierci masz mieszkać w tej wiosce! Masz wyrzec się miast i uciech światowych, masz porzucić swoje ulotne marzenia, masz rzec się swoich przekonań, a bogdaj nawet — prawdy — wszystkiego więc masz się wyrzec i żyj sobie w tej wsi (ale nie jako kołchoźnik!), co rano patrz sobie na to słońce i słuchaj kogutów. — Zgoda! Nie tylko bym się zgodził, ale — Panie Boże! — modliłbym się o takie życie! Czuję już, że nie wytrzymam w obozie.

Zza cegielni, z tej strony, co to jej teraz nie widać, turkocze pasażerski pociąg do Rzewa. Na wyrobisku krzyki: „Dekownicy

---

2. Gdy słyszę o dyskusjach na temat powszechnego rozbrojenia, zawsze dręczy mnie problem tych wilczurów. Nikt ich nie uwzględnia w spisach zakazanych rodzajów broni. A ludziom obrzydziły one życie gorzej, niż rakiety.

jadą!". Wszystkie pociągi są tu dobrze znane, mierzy się czas według nich. To znaczy, że teraz jest za kwadrans dziewiąta, a punkt o dziewiątej przyprowadzą z obozu na cegielnię — oddzielnie, niezależnie od zmian — dekowników, to znaczy funkcyjnych, czyli *pryduroków*\* — kancelistów i naczelników. Najbardziej lubiany jest inny pociąg — o pół do drugiej, tak zwany „chlebodawca”, bo wkrótce po jego przejeździe kończy się szczyta i wszyscy idziemy na obiad.

Razem z *prydukami*, a czasem — jeśli stęskni się za robotą — to i wcześniej, ze speckonwojem, prowadzą do pracy także moją zwierzchniczkę — zeczkę, Olgę Pietrowną Matroninę. Z westchnieniem wyłażę wtedy z mojej kryjówki i wzdłuż torów kolejki idę do formiarni, żeby się zameldować.

Cegielnia składa się z dwóch zespołów — formowania na mokro i prasowania na sucho. Nasza kopalnia obsługuje tylko zespół mokrego formowania — a Matronina jest inżynierem, specjalistką od chemii krzemionek. Jaki z niej inżynier — nie wiadomo, widać tylko, że jest uparta i bezsensownie ruchliwa. Należy do tych niezłomie prawomyślnych, których czasem już spotykałem w celach (na ogół — nie jest ich wielu), nie mogąc jednak dotrzymać im towarzystwa na takich wyżynach. Z „literowego” artykułu CzS — to jest — jako członek rodziny rozstrzelanego, oberwała z łaski OSO 8 lat i oto teraz odsiaduje ostatnie już miesiące kary. Co prawda, przez całą wojnę politycznych nie wypuszczano i jej też pisane jest zostać w obozie do sławetnego Specjalnego Rozporządzenia. Ale nawet ta okoliczność nie wpływa ujemnie na stan jej ducha. Matronina służy partii — to nie ważne czy na wolności, czy za drutami. To jest okaz z rezerwatu. W obozie nosi na głowie czerwoną — i tylko czerwoną — chusteczkę, chociaż ma już swojego czterdziestaka (takich chustek nie nosi w cegielni ani jedna dziewczyna z obozu i ani jedna wolna komsomołka). Nie ma do nikogo pretensji ani o rozstrzelanego męża, ani o własne osiem lat odsiadki. Winę za te wszystkie wypadki krzywd ponoszą jej zdaniem poszczególni faceci od Jagody czy od Jeżowa, za towarzysza Berii natomiast — sadzają już tylko sprawiedliwie. Ujrzawszy mnie po raz pierwszy w sowieckim mundurze oficerskim, oznajmiła mi: „Ci, którzy mnie wsadzili, teraz mogą się przekonać, że ani na jotę nie odchyłam się od linii!”. Niedawno napisała list do Kalinina, cytuje wyjątki z niego każdemu, kto chce, lub musi jej słuchać: „Długi

---

\* W rosyjskim żargonie obozowym słowo „*prydurok*” oznaczało zarówno prominenta funkcyjnego (np. blokowy, brygadzysta, sanitariusz), jak dekownika, podskakiewicza, występującego się przełożonym.

termin kary nie złamał mojej woli walki o sowiecką władzę i rozkwit przemysłu sowieckiego”.

Skądinąd, gdy Akimow zameldował jej, że knajacy nie chcą go słuchać, wcale nie poszła do tych społecznie bliskich osobników i nie próbowała objaśnić im, jaką szkodę przynosi przemysłowi ich zachowanie, tylko ofuknęła nieboraka: „to trzeba ich *zmusić!* Po to właśnie tu jesteście!”. Akimowa pobito — a Matronina wcale nie próbowała podjąć rękawicy, tylko napisała do komendy obozu: „Tej grupy proszę więcej nie przysyłać do cegielni”. Nie wzrusza jej też to, że na jej oddziale dziewczęta przez osiem godzin pracują jak automaty: przez całe osiem godzin bez przerwy powtarzają ten sam ruch przy taśmie ruchomej. Powiada: „Trudno, mechanizację trzeba stosować na trudniejszych odcinkach”. Wczoraj, w sobotę, rozeszła się pogłoska, że znów nie dadzą nam jutro wychodnego (istotnie — nie dali). Dziewczęta-automaty skupiły się dookoła niej i mówią z goryczą: „Olgo Piotrowno! Czy to możliwe, że znów nie dadzą nam niedzieli? Przecież to już trzeci raz pod rząd! Przecież wojna już się skończyła!”. Z oburzeniem uniosła wyżej głowę w tej swojej czerwonej chusteczce, głowę o profilu suchym, ciemnym, nie kobiecym, ale też nie męskim: „Ależ dziewczyny, o jakim wychodnym może być mowa, skoro w Moskwie nieukończone domy czekają na cegły?!”. (Oczywiście nie wiedziała wcale dokąd zawiozą istotnie nasze cegły — ale okiem wewnętrznym już widziała tę uogólnioną, wielką budowę, podczas gdy dziewczęta miały niskie zamiary: chciały zrobić tego dnia pranie).

Potrzebny byłem Matroninej po to, by *podwoić* ilość wagoników, ładowanych podczas zmiany. Nie brała wcale pod uwagę sił swoich podwładnych, stanu technicznego wagonów, ani nawet chłonności formiarni. Dążyła tylko do tego, żeby *podwoić*. (A jak, jeśli nie z pomocą pięści, mógł wymóc to człowiek postronny, nie fachowiec?). Nie osiągnąłem tego podwojenia, urobek nie zwiększył się za mojej kadencji ani o jeden wagonik — więc Matronina bez litości mi urągała w obecności Barinowa i całej brygady. Nie starczyło jej babskiego rozumu, aby pojąć to, co wie byle sierżant: nawet starszego strzelca nie wolno lżyć przy żołnierzach. I oto pewnego razu, gdym zdał już sobie sprawę z mojej ostatecznej klęski, kiedym więc uświadomił sobie, że niezdolny jestem do pełnienia funkcji *kierowniczych* — przychodzę ci do Matroninej i proszę w sposób możliwie uprzejmy:

— Olgo Piotrowno! Jestem dobrym matematykiem, umiem szybko rachować. Słyszałem, że w biurze cegielni potrzebny jest rachmistrz. Weźcie mnie do tej roboty!

— Rachmistrz?! — mówi Matronina z oburzeniem, jej suro-

wa twarz jeszcze bardziej ciemniej, a końce czerwonej chustki opadają na kark. — Przy liczydłach mogę posadzić byle smarkulę, a tu nam potrzebne są *kadry bojowe produkcji!* Ilu wagoników brak wam do normy? Odmaszerować! — I jak nowa Pallas Atene rozkazującym gestem odsyła mnie na glinianki.

A nazajutrz skasowane zostaje w ogóle stanowisko majstra — zostaje zdegradowany, przy tym nie tak sobie, ale w sposób pokazowy, mściwie. Matronina wzywa Barinowa i rozkazuje mu:

— Dać mu łom i nie spuszczać go z oka! Ma mi sześć wagonów załadować podczas zmiany! Łapy ma urobić!

I z punktu idę do łopaty w tym moim oficerskim uniformie, którym tak się pyszniłem. Barinow ma powód do radości, przewidział mój upadek.

Gdybym lepiej wyznawał się na ukrytej, groźnej współzależności wszystkich wydarzeń zachodzących w obozie, mógłbym jeszcze ubiegłego wieczoru domyśleć się, jaki los jest mi pisany. W nowojerozolimskiej stołówce było osobne okienko, przez które wydawano miski inżynierom i technikom\*. Stali przed nim w kolejce inżynierowie, księgowi i... szewcy. Otrzymawszy nominację na majstra i zaczynając już przyswajając sobie obozowe sposobiki, też stawałem w tej kolejce i żądałem swojej miski. Kucharki miały wątpliwości, powiadały, że nie ma mnie w spisie ITR, ale w końcu wydawały jedzenie, z czasem — już nawet bez uwag — tak że w końcu uwierzyłem sam, iż jestem na liście. Jak to zrozumiałem później, byłem dla kuchni figurą jeszcze niejasną: ledwie przyjechał, a już dostał funkcję, ma wzięcie, chodzi w mundurze. Taki facet — dlaczego nie? — za tydzień może zostać starszym dyspozytorem, albo starszym księgowym zony, albo lekarzem (w obozie wszystko jest możliwe!) — i wówczas wszyscy oni znajdą się w moim ręku. I chociaż w istocie rzeczy — cegielnia dopiero sprawdzała na co jestem właściwie zdalny i choć nie było mnie jeszcze na żadnej liście — kuchnia na wszelki wypadek dawała mi papu. Ale na całą dobę przed moim upadkiem, gdy cegielnia o niczym jeszcze nie miała pojęcia, kuchnia obozowa wiedziała już wszystko i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem: okazało się, że jestem tylko *groszowym frajerem*. W tym małym epizodzie macie już całą atmosferę obozowego świata.

Typowo ludzka chęć wyróżnienia się ubiorem, w istocie demaskuje nas, zwłaszcza, jeśli ktoś przygląda nam się tak bacznie, jak to bywa w obozie. Wydaje nam się, że jesteśmy ubrani, właściwie zaś — obnażamy się — ujawniamy, czegośmy warci. Nie rozumiałem, że mój mundur znaczy tu tyle, co czerwona

\* Tzw. ITR: *inżynieryjno-techniczne robotniki*.



chustka Matroninej. I pewne — zawsze czujne — oko wypatrzyło to z ukrycia. I oto któregoś dnia przysłano po mnie ordynansa: Wzywa was lejtnant, urządzuje tam, w osobnym pokoju.

Młody lejtnant prowadzi rozmowę w bardzo miłym tonie. W przytulnym i czystym gabinecie nie ma nikogo, poza nami dwoma. Słoneczko przygrzewa, choć już zmierzch blisko, wiatr odwiedza firankę. Wskazał mi krzesło. Polecił mi, nie wiem czemu, napisać życiorys własny — i żadne zlecenie nie mogło mi w tej chwili sprawić większej satysfakcji. Po serii protokołów śledczych, w których musiałem sam siebie opluwać, po upokorzeniach, doznanych w sukach i zborniakach, po miłych kontaktach z konwojentami i klucznikami, knajakami i prominentami, którzy wcale nie chcieli widzieć we mnie byłego kapitana naszej przesławnej Armii Czerwonej — siedziałem oto przy biurku i — nie popędzany przez nikogo, pod życzliwym okiem sympatycznego lejtnanta — pisałem całkiem jeszcze gęstym atramentem, na doskonałym, gładkim papierze, jakiego w obozie nie uświadczysz, że byłem kapitanem, dowódcą baterii, że miałem takie, a takie ordery. I już dzięki samemu temu pisaniu odzyskiwałem dawną moją osobowość, moje własne „ja”. (Tak, ów podmiot gnoseologiczny, moje „ja”! A przecież byłem po studiach, przyszedłem z cywila, byłem w armii elementem przypadkowym. Wyobraźmy sobie, jak zakorzenione jest w każdym oficerze to wymaganie szacunku dla własnej osoby!). Lejtnant również był zadowolony po przeczytaniu autobiografii: „Więc jesteście człowiekiem sowieckim, prawda?”. No pewno, że prawda, no chyba, jakże inaczej? Jak miło jest podnieść się z błota — otrząpać się z kurzu — i znowu stać się sowieckim człowiekiem — to już jakby jedną nogą być na wolności.

Lejtnat poprosił o ponowne odwiedziny za pięć dni. W ciągu tych dni pięciu musiałem jednak rozstać się z moim mundurem wojskowym, bo źle było w nim kopać glinę. Bluzę i bryczesy schowałem do walizki, a z magazynu obozowego pobrałem łatanę, wyleniałe gałgany, wyprane, ale jakby po rocznym poniewieraniu się w śmietniku. Ważny to etap, choć jeszcze nie rozumiem całego jego znaczenia: duszę mam jeszcze nie zekowską, ale skórę zmieniam na skórę zeka. Ogolony na zero, nękany głodem, i dręczony przez nieprzyjaciół, wkrótce już też nauczę się patrzeć na świat okiem zeka — nieszczerym, nieufnym, baczny.

W takim też stroju wracam po pięciu dniach do pełnomocnika operacyjnego, wciąż jeszcze nie mając pojęcia, o co mu chodzi. Ale pełnomocnika nie ma w obozie. Przystaje tu w ogóle się zjawiać. (Bo wie już to, czego my jeszcze nie wiemy: za jakiś



tydzień mają nas wszystkich rozesać na cztery wiatry, a do Nowej Jerozolimy przywiozą zamiast nas — Niemców). W ten sposób oszczędzam sobie ponownej rozmowy z lejtnantem.

Zastanawialiśmy się w Gammerowem i Ingałem — po co też kazano mi pisać ten życiorys — i nie rozumieliśmy — jak głupie dzieci, że to pierwszy pazur drapieźcy wpił się w nasze gniazdo. A tymczasem sprawa była jasna, jak słońce: z naszym transportem przyjechało trzech młodych facetów; cały czas o czymś gadają, naradzają się, sprzecniają, a jeden z nich, czarniawy, krępy, ponury, z małymi wąsikami, ten co to dostał się do księgowości, nie śpi po całych nocach i na swoich narach cały czas coś pisze, pisze, a pisze. Można, rzecz jasna, posłać kogoś i wyrwać mu te kartki, które chowa tak skrzątnie, ale lepiej nie płoszyć ptaszka — łatwiej przecież dowiedzieć się o wszystkim u tego z nich, który chodzi w bryczesach. To na pewno wojskowy i człowiek sowiecki, więc nie odmówi pomocy strażnikom moralności.

Żora Ingał, nie zaniebując pracy we dnie, rzeczywiście postanowił nie sypiać przez pierwsze godziny nocne — broniąc w ten sposób niezawisłości twórczego ducha. Na swojej górnej pryczy „wagonetki”, pozbawionej materaca, poduszki i koców, Ingał siedzi sobie w fufajce (w izbach nie jest za ciepło — nocami jesień daje się już we znaki), w trzewikach, wyciągnąwszy nogi, ale plecami opierając się o ścianę i, ssąc czubek ołówka, wpatruje się w swój arkusik surowym wzrokiem. (Nie sposób wymyśleć gorszego sposobu bycia w obozie! — ale ani on, ani my jeszcze nie rozumiemy, jak to podpada).

Czasami folguje sobie po prostu i całkiem zwyczajnie — pisze listy. Jego dwudziestoletnia żona nie zdążyła jeszcze zedrzeć pantofli, w których chodziła z nim tej zimy do konserwatorium, a już go porzuciła: toć haczyk w ankiecie, a zresztą życie da się lubić. Ingał pisze do innej kobiety, którą nazywa siostrzyczką, skrywając przed nią i przed samym sobą, że też ją kocha, a może gotów jest pokochać (ale także ta kobieta rychło wychodzi za mąż). Potrafi pisać również tak:

„Droga moja siostrzyczko! Wsłuchaj się w niezwykle przecucia tego, czym mógłby być człowiek — u Haendla, Czajkowskiego, Debussy'ego! Ja także chciałem stać się takim żywym przecuciem, ale zegar mego życia się zatrzymał...”

Albo po prostu:

„Stałaś mi się o wiele bliższą w ciągu tych miesięcy. Okazało się, że na świecie jest wielu ludzi prawdziwych; chciałbym, aby twój mąż był także prawdziwym człowiekiem!”

Albo tak:

„Tułam się po życiu, potykając się co krok i szukając samego siebie... W tej izbie pali się jaskrawa lampa — ale nigdy nie było mi tak ciemno. Jednak dopiero tu odgadłem samego siebie i swój los, tym razem — nie na stronicach książek. I wiesz, Czyżyku, nigdy jeszcze nie byłem takim optymistą, jak w tej chwili. Teraz wiem już na pewno, że nie ma w życiu nic cenniejszego od idei, której człowiek służy. I jeszcze — już wiem teraz, jak i co mam pisać, a to najważniejsze<sup>3</sup>!”

Tymczasem — pisze nocami, a w dzień chowa, gdzie może, nowelę o El Campesino — Hiszpanie, dowódcy nieregularnych oddziałów armii republikańskiej. Siedział z nim w jednej celi, podziwiał jego chłopską trzeźwość. Historia Campesino była prosta: po przegranej wojnie, po zwycięstwie generała Franco, przyjechał do Związku Sowieckiego i tu go po pewnym czasie wsadzono za kraty<sup>4</sup>.

Ingał należy do ludzi raczej oziębłych, nie od razu i nie przed każdym otwiera serce (napisałem to i pomyślałem — a ja może nie byłem oziębły?). Ale jego determinacja — może służyć za wzór. Pisać w obozie! — ja też może kiedyś tego dopnę, jeśli wcześniej nie zginę. Ale tymczasem, wyczerpany jestem bezmyślną bieganiną, wloką mi się nieznośnie już pierwsze dni przy łopacie. W pogodne, wrześnieowe wieczory chwilę tylko możemy posiedzieć sobie z Borysem na hałdzie żużlu przed wjazdem do zony.

Od strony Moskwy, z odległości pięćdziesięciu kilometrów niebo płonie wszystkimi kolorami salw — jest to łuna „święta zwycięstwa nad Japonią”. Ale latarnie naszej zony obozowej palą się mdłym, smutnym blaskiem. Z okien cegielni bije czerwone, nieprzyjemne światło. I łańcuszkiem — równie taje-

---

3. Nie, jak pisać — tego nie wiedział on jeszcze. Wedle relacji Andrzeja Bielinkowa. Ingał po jakimś czasie, już w innym obozie — też tak pisał bez ustanku, chowając się na swojej pryzy. Więźniowie prosili go, a później — zaczęli żądać, aby pokazał co tam właściwie pisze (może donosy?). Ale Ingał — widząc w tym nowym gwałt, zadawany twórczości, tyle, że z innych pozycji — odmówił. Więc go koledzy pobili...

Te wiersze z jego listów zacytowałem po to, aby chociaż ten maleńki ślad został po jego mogile.

4. Tej noweli Ingał nigdy nie miał zakończyć, bo nie mógł znać prawdziwego finału dziejów El Campesino. Campesino przeżył swojego biografa. Dowiedziałem się, że podczas trzęsienia ziemi w Aszhabadzie (w Turkmenii) udało mu się wyprowadzić grupę zeków ze zniszczonego przez kataklizm obozu — i przedrzeć się wraz z nimi przez pograniczne łańcuchy górskie do Iranu (oddziały ochrony pogranicza też rozbiegły się ze strachu).

mniczym, jak lata i miesiące naszej kary — ciągną się w dół wysokie latarnie zony fabrycznej.

Ogarnawszy kolana ramionami, szczuplutki, pokaszający Gammmerow powtarza:

*Miłością kraju ojczystego  
Żyłem od lat zarania.  
Nie dbam o litość i żadnego...*

*Nie czekam zmiłowania.*



„Przywieźli faszystów! Przywieźli faszystów!” — takie krzyki rozlegały się nie tylko w Nowej Jerozolimie. Słysząc je było na wszystkich wyspach Archipelagu latem i jesienią 1945 roku. Nasz przyjazd — przyjazd *faszystów* otwierał wrota obozów więźniom pospolitym. O amnestii dowiedzieli się 7 lipca, w międzyczasie porobiono im zdjęcia, wyrobiono zaświadczenia o zwolnieniu, przeprowadzono rozrachunek w księgowości — ale jeszcze przez miesiąc, a często-gęsto drugi i trzeci amnestionowani więźniowie męczyli się w obrębie uprzykrzonych drutów kolczastych, bo nie było nikogo, kto by ich zastąpił.

Nie było ZASTĘPSTWA! — a my, jak ślepe kocięta mieliśmy jeszcze przez całą wiosnę i przez całe lato spodziewać się amnestii, siedząc w swoich zaszpunktowanych celach. Mieliśmy nadzieję, że Stalin nad nami się *ulituje!*... że zechce „uczczyć Zwycięstwo”!... że — nie objawszy nas pierwszą, „polską” amnestią, udzieli później osobnej — politycznym... (powtarzano nawet taki szczegół: że ta amnestia już gotowa, że leży *na biurku Stalina*, brak tylko podpisu, bo wódz jest na urlopie. Niepoprawny naród czekał na amnestię, niepoprawny naród wierzył!...). Ale jeśli nas się ułaskawi — to kto będzie zjeżdżał do kopalni? Kto pójdzie z piłami do lasu? kto będzie wypalał cegły i kto zbuduje z nich mury? Stalin potrafił stworzyć system taki, że gdyby skazać go wspaniałomyślnością, to zaraz mór, głód, ruina, spustoszenie ogarnęłyby cały kraj.

„Przywieźli faszystów!” Pospolitalcy, którzy jak świat światem nas nienawidzili, albo gardzili nami — teraz patrzyli na nas nieomal z rozrzewnieniem, bośmy im przychodzili na zmianę. I jeńcy, którzy w niemieckiej niewoli dowiedzieli się, że nie ma na świecie narodu bardziej godnego pogardy, bardziej zapomnianego, bardziej obcego wszystkim i zbędnego, niż rosyjski — teraz, zeskakując z czerwonych wagonów, czy z ciężarówek na ziemię

rosyjską, dowiadywali się, że nawet pośród tego wyklętego ple-  
mienia — oni są pokoleniem najbardziej opuszczonym przez  
wszystkich i najędzniejszym.

Oto czym była ta wielka amnestia stalinowska, jakiej ponoć  
„jeszcze świat nie widział”. Bo i rzeczywiście — gdzie i kiedy na  
świecie ogłoszono amnestię, która nie obejmowałaby politycz-  
nych<sup>5</sup>?

Wypuszczono ryczałtem tych, co okradali mieszkania, zdie-  
rali odzież z nocnych przechodniów, gwałcili dziewczęta, depra-  
wowali nieletnich, oszukiwali kupujących w sklepach, oddawali  
się chuligaństwu, masakrowali bezbronnych, kłusowali w lasach  
i na jeziorach, nabierali kilka naraz bab na małżeństwo, zajmo-  
wali się wymuszeniami i szantażem, brali łapówki i popełniali  
szalbierstwa, pisali fałszywe donosy (nie, tacy nie siedzieli, to  
piosenka przyszłości) — handlowali narkotykami, rajfurzyli, zmu-  
szali dziewczyny do prostytuowania się, stali się sprawcami czy-  
jejś śmierci na skutek własnej nieudolności albo lekkomyślności  
(wyliczyłem tu po prostu artykuły kodeksu podlegające amnestii  
— nie jest to mój popis krasomówczy).

A później — wymaga się od narodu zasad moralnych!

Skreślano połowę kary: defraudantom, fałszerzom dokumen-  
tów i kartek na chleb, spekulantom i winnym kradzieży mienia  
państwowego (państwowa kieszeń jednak Stalina obchodziła).

Ale nic tak nie bolało byłych frontowych żołnierzy i jeńców,  
jak powszechna i zupełna *amnestia dla dezertów* z okresu  
wojny! Każdy, kto stchórzył, uciekł ze swojego oddziału, opuścił  
samowolnie front, nie zgłosił się na punkcie mobilizacyjnym, aby

---

5. Na zasadzie tej amnestii podlegali zwolnieniu skazani z art. 58-go,  
na kary niższe niż trzy lata, takie więc, jakich nikomu prawie nie  
dawano; wątpliwe, czy takich było więcej, niż 0,5 %. Ale nawet w stosunku  
do tego półprocentu nieprzejednany duch amnestii miał przewagę nad jej  
łagodną literą. Znałem pewnego chłopca nazwiskiem, zdaje się, Matiuszyn  
(był malarzem w oboziku za rogatką Kałużską), którego skazano z art.  
58-1-b za to, że jakiś czas był w niewoli. Wyrok dostał w końcu 1941 roku,  
bardzo więc wcześniej, kiedy nie było jeszcze decyzji, jak na to patrzeć i ile  
ludziom latek wrzepiać. Matiuszynowi dano za pójście do niewoli raptem  
trzy lata — wypadek niebywały! Po odsiedzeniu kary nie zwolniono go,  
to się rozumie — bo takich jak on zatrzymywano do specjalnego rozporzą-  
dzenia. Aż tu nagle wybuchła amnestia! Matiuszyn ją prosić (nie — do-  
magać się, skądże znowu!) o zwolnienie z obozu. Przez 5 prawie miesięcy  
— aż do grudnia 1945 roku przestraszeni pracownicy Działu Ewidencji po  
prostu odpowiadali mu odmownie. Nareszcie pozwolili mu wrócić do domu,  
do obwodu Kurskiego. Pojawiła się jednak pogłoska (inaczej być nawet nie  
mogło), że wkrótce znów go zaharapczyli i dorzucili 7 lat, brakujących do  
czerwońca. Toć nie wolno wykorzystywać roztargnienia pierwszego  
sędziego!

później całe lata chować się u mamy w dole na kartofle, w piwnicy, za piecem (a zawsze u matki! Żonom swoim dezserterzy z reguły nie wierzyli!), latami nie otwierając gęby, przekształcając się w zarośnięte, skulone zwierzę — otóż każdy taki, jeśli go tylko złapano, albo jeśli teraz sam się zgłosił w dniu amnestii — uznawany był z miejsca za korzystającego z pełni praw, niczym nie splamionego, nigdy nie karanego sowieckiego obywatela! (Oto kiedy znalazło usprawiedliwienie stare przysłowie: uciekać — rzecz brzydka, ale zdrowa).

Ci zaś — którzy ani drgnęli, nie stchórzyli — którzy pierś własną podstawili pod ciosy wymierzone w ich ojczyznę, płacąc za to niewolą — ci nie mogli liczyć na przebaczenie — bo tak to widział Wódz Naczelny.

A może Stalin wyczuł w zjawisku dezserterstwa coś — co mu było bliskie? Może przypomniał sobie własną niechęć do służenia w szeregach, swoją żalostną służbę rekrucką, zimą 1917 roku? Albo może wykalkulował sobie, że dla jego rządów tchórze nie są groźni — że niebezpieczni są tylko śmiałkowie?. Bo przecież mogło się wydawać, że nawet ze stalinowskiego punktu widzenia nie było pociągnięciem rozsądnym to amnestionowanie dezserterów: toć w ten sposób wódz sam wskazywał własnym poddanym najprostszy i najskuteczniejszy sposób ratowania skóry podczas kolejnej wojny<sup>6</sup>.

W innej mojej książce opowiedziałem historię doktora Zubowa i jego żony: staruszka ta dała w swoim domu schronienie błakającemu się dezserterowi — który później swoich dobroczyńców zadenuncjował. Zubowowie dostali po *dziesiątaku* z art. 58. Sąd dopatrzył się winy nie tyle w samym fakcie ukrywania dezsertera — ile w tym, że uczynili to *bezinteresownie*, nie był to bowiem żaden ich krewny, działali więc z czysto antysowieckich pobudek! Stalinowska amnestia przywróciła wolność dezserterowi. Nie odsiedział nawet swoich trzech latek, zdążył już zapomnieć o tym drobnym epizodzie. Inaczej — państwo Zubow. Odsiedzieli całe dziesięć lat w obozach (przy tym — po 4 lata w Specjalnych), a nadto — jeszcze 4 lata — na zesłaniu. Wyszli na wolność tylko dzięki temu, że w ogóle zlikwidowano samą instytucję zesłania, ale nie skreślono ich z rejestru karanych sądownie ani po *szesnastu*, ani nawet po *dziewiętnastu* latach, jakie upłynęły od chwili przestępstwa, co nie pozwoliło im wró-

---

6. Zresztą przejawiała się tu może jakaś sprawiedliwość historyczna: był to niejako zwrot długu, zaciągniętego wobec dezserterów frontowych w 1917 roku; bez tego zjawiska cała nasza historia mogła potoczyć się zupełnie innymi drogami.

cić do domu (mieszkali pod Moskwą) i dożyć spokojnie kresu swoich dni<sup>7</sup>.

Oto czego boi się — a czego nie boi się nasze pamiętliwe, mściwe, nieskore do przemysłów Prawo!

Po amnestii żwawe pędzle oddziałów KO rozmachały się i pokryły wewnętrzne mury i sklepienia baraków obozowych — jak na urągowisko — gromkimi hasłami: „Za wspaniałomyślną, powszechną amnestię — odwdzięczymy się partii i rządowi podwojeniem wydajności pracy!”.

Z amnestii skorzystali kryminaliści i pospolitacy, oni to opuszczali obozy, odwdzięczać się zaś podwojeniem wydajności mieli polityczni... Kiedyz to — w jakiej historycznej epoce nasza władza odznaczała się poczuciem humoru?

Po przybyciu naszego „faszystowskiego” uzupełnienia, zaraz zaczęło się w Nowej Jerozolimie zwalnianie amnestionowanych. Co dzień kogoś wypuszczano. Wczoraj jeszcze widziałem te kobiety w zonie: szpetne, oberwane, bluzgające przekleństwami — i oto już zdążyły się przeistoczyć, umyć, przyczesać. Kroczą skromnie w stronę dworca z żakietami, przerzuconymi przez ramię, w sukienkach w groszki i paseczki, nie wiadomo skąd nagle wydobytych. Czy pasażerowie pociągu potrafią wyobrazić sobie, jak wymyślnie potrafią kłąć te trusie?

A oto wychodzą z wrota knajacy i *pólszlachta* (starający się naśladować szemranych). Ci nie zostawili swoich manier za bramą: zgrywiają się, tańczą, machają rękoma do tych w obozie i krzyczą — a przez okna baraków odpowiadają im kumple. Straż się nie sprzeciwia: urkom wolno wszystko. Jakiś pomysły urka stawia swój kuferek sztorcem, wskakuje nań zwinnie i — w czapce na bakier, odrzuciwszy poły, zwędzonej gdzieś w zborniaku albo wygranej w karty marynarki, gra na mandolinie pożegnalną serenadę; śpiewa przy tym jakieś knajackie idiotyzmy: wszyscy się śmieją.

Zwolnieni długo jeszcze kroczą dróżką wzdłuż drutów obozowych, brną na przełaj przez pole — i kolczasta siatka nie przeszkadza nam, pozostałym, patrzeć na ten ich wymarsz. Dziś

---

7. W 1958 roku Naczelną Prokuraturę Wojskową ZSSR taką im odpowiedź dała: wina wasza została dowiedziona i nie ma podstaw do rewizji sprawy. Dopiero w 1962 roku, po upływie 20 lat, wykreślono z motywów wyroku artykuł 58-10 (zamiar osłabienia władzy sowieckiej) i 58-11 („organizacja” złożona z męża i żony). Na zasadzie zaś artykułu 193-17-7<sup>a</sup> (czynne popieranie dezerterstwa) wymierzono im karę 5 lat więzienia — i tu zastosowano (! po dwudziestu latach!) stalinowską amnestię. W tym duchu też sporządzono dokument wydany tej parze zgrzybiałych i zniszczonych starców w 1962 roku: „Z dniem 7. VII. 1945 roku uznani jesteście za wolnych obywateli, z dobrodziejstwem wykreślenia z rejestru skazanych”.

jeszcze ci złodzieje będą spacerować po moskiewskich bulwarach, może pierwszej już niedzieli zrobią jakiś skok na czyjeś mieszkaniu, zedrą odzież na nocnej ulicy z twojej żony, siostry, czy córki.

A tymczasem wy, faszyci (Matronina — też jest faszystką!), postarajcie się podwoić wydajność pracy!



Amnestia wzmogła wszędzie zapotrzebowanie na siłę roboczą. Wszędzie też zaczęły się przeniesienia. Na jakiś czas przerzucono mnie z glinianek do cegielni. Tu przyjrzałem się mechanizacji, wprowadzonej przez Matroninę. Wszyscy tu dostawali w kość, ale najciężej harowała pewna dziewczynina, istna bohaterka pracy, tylko nie bardzo nadająca się do gazet. Jej rola, jej stanowisko pracy nie miało specjalnej nazwy; można było dać jej tytuł „górnjej układaczki”. Obok taśmy ruchomej, wynoszącej spod prasy wilgotne jeszcze cegły (dopiero co uformowane z mokrej gliny, są więc bardzo ciężkie) stały dwie dziewczyny — dolna układaczka i pomocnica. Te nie musiały się schylać, obracały się tylko raz po raz — i to nie bardzo. Ale ta, co stała wyżej, na specjalnym postumencie, jak jakaś królowa — musiała bez ustanku schylać się, brać spod nóg mokrą cegłę, kładzioną tam przez pomocnicę — podnosić ją (dbając o to żeby się nie rozpadła!) na wysokość pasa lub ramion; dalej — nie zmieniając pozycji nóg — obracać się w pasie o 90 stopni (czasem w prawo, czasem w lewo, zależnie od tego, jaki wagonik się ładowało) i układać je na pięciu drewnianych półkach, po dwanaście w rzędzie. Była w ruchu bez przerwy, bez chwili wytchnienia, bez żadnych zmian, utrzymując cały czas szybkie, gimnastyczne tempo — przez całą 8-miogodzinną szychcę, chyba że prasa się popsuła. Wciąż jej podkładano pod nogi nowe cegły, połowę całej produkcji cegielni, bo taśmy były dwie. Na dole dziewczęta zmieniały jedna drugą, ta nie miała żadnej pomocy przez osiem godzin. Pięć minut takiej pracy, takiego wymachiwania łbem i skręconym korpusem, mogło przyprawić człowieka o zawrót głowy i wyczerpanie. Ta dziewczyna zaś potrafiła jeszcze uśmiechać się w pierwszej połowie szychty (rozmowy uniemożliwiał turkot i hałas prasy); może podobało jej się, że stoi na piedestale, jak królowa piękności i że wszyscy widzą jej bosc, gołe, krzepkie nogi, podkasaną spódnicę i baletową giętkość talii.

Za tę pracę dostawała największą pajkę w obozie — trzysta dodatkowych gramów chleba (jej dzienna porcja wynosiła więc — 850), a na kolację, prócz zwykłego barszczu — trzy porcje



*stachanowskie* — trzy nędzne chochle rzadkiej manny na wodzie. Tak tego było mało, że ledwie pokrywało dno glinianej miski.

„My pracujemy za pieniądze, a wy za kawałek chleba, to nie żadna tajemnica” — powiedział mi umorusany mechanik, wolniak, wezwany do naprawy prasy.

Przetaczanie załadowanych już wagoników należało do mnie i do Punina, jednorękiego chłopaka z Ałtaju. Wagoniki przypominały wysokie, chwiejne wieżyczki, ponieważ dziesięć, albo dwanaście półek z ceglami powodowało, że punkt ciężkości był wysoko. Chwiejną, drżącą, jak przeładowana książkami etażerka, wagonetkę taką trzeba było ciągnąć za żelazny uchwyt po wąskich prostych torach, następnie wciągnąć ją na specjalne podwozie, dobrze na nim zamocować i teraz innymi już torami wlec cały ten majdan wzdłuż rzędu komór suszenia.

Zatrzymawszy się przed określoną komorą, trzeba było wagonik ściągnąć z podwozia i w nowym kierunku pchnąć go w głąb czeluści. Każda z tych komór była długim, wąskim korytarzem, w ścianach którego było dziesięć wgłębień i dziesięć ryglujących listew. Należało szybko i nie zbaczając z drogi pchnąć wagonik aż do szczytowej ściany, zwolnić rygle, przenieść wszystkie dziesięć półek z ceglami do dziesięciu nisz i zamocować dziesięć par żelaznych łap, po czym natychmiast wycofać się z kamery wraz z pustym wagonikiem. Cała ta kombinacja pochodziła z zeszłego jeszcze wieku, był to chyba system niemiecki (na wagoniku był niemiecki napis) i chyba według niemieckiego projektu nie tylko wagon powinien był utrzymać się na torach, lecz również powinna była być jakaś podłoga w komorze, aby ułatwić ruchy robotników. Za naszych jednak czasów deski były już przegniłe, popękane, więc wciąż potykałem się i padałem na pysk. Zapewne wentylacja też była kiedyś dla tych komór przewidziana, ale nawet śladu po niej nie zostało i podczas gdy usiłowałem poradzić sobie ze źle ułożonymi ceglami (często leżały krzywo, półki nie włożyły w należną szparę, nie mieściły się, jak należy, mokre cegły spadały mi na głowę) dążyłem natykać się czadu i gardło miałem pełne sadzy.

Nie bardzo więc żałowałem pracy pod dachem, kiedy mnie znowu posłano na glinianki. Brak było kopaczy, bo wielu z nich też wyszło na wolność. Posłano do łopaty również Borię Gammerowa, zaczęliśmy więc pracować razem. Norma była z góry ustalona: w ciągu zmiany każdy powinien był wykopać, załadować i dotaszczyć aż do wyciągu sześć wagoników (sześć kubometrów) gliny. Na dwóch wypadało więc kubometrów dwana-

ście. Kiedy nie padało — dążyliśmy we dwójkę załadować załadować zaledwie pięć. Ale zaczynały już padać drobne, jesienne kapuśniaczki. Dobrze, dwie, trzy pod rząd siąpiło tak przy bezwietrznej pogodzie, nie dochodząc do ulewy, ale też nie ustając ani na chwilę. Deszcz był drobny, nikt więc nie zaryzykowałby rozkazu przerwania robót. „Deszcz na trasie nie wchodzi w rachubę, u nas deszczu w ogóle nie ma!” — oto jedno ze sławetnych haseł GUŁagu. Ale w Nowej Jerozolimie nie wpadło jakoś nikomu na myśl aby nam wydać fufajki i pod tym nudnym kapuściaczkiem babrzemy się w rudej glinie w upapranych, starych, frontowych szynelach; po trzech dniach takiej pracy w każdy z nich wsiąkło już dobre wiadro wody. Obuwia też nam w obozie nie wydano, więc w mokrej mazi rozłożą się nasze ostatnie, frontowe buciory.

Pierwszego dnia jeszcze sobie żartujemy:

— Jak myślisz, Borysie, nie pozazdrościłby nam teraz baron Tuzenbach z „Trzech siostr”? Facet przecież cały czas marzył o pracy w cegielni. Pamiętasz? — Tak urobić ręce, żeby po powrocie do domu padać na łóżko i zasypiać od razu. Myślał pewno, że będzie mógł oddać mokrą odzież do suszarni, że będzie miał swoją pościel i gorący posiłek z dwóch dań.

Przetaczamy parę wagoników, walę z gniewem łopatą o żelazny bok następnego (głina z trudem odlepi się od szpadła) i mówię, już z rozdrażnieniem:

— Powiedz no, na jaką cholere te trzy siostry tak bardzo chciały jechać w świat? Czy kazano im co niedzielę zajmować się z dziatwą szkolną zbiórką złomu żelaznego? Czy co poniedziałek musiały składać pani przełożonej konspekty Pisma Świętego? Czy musiały bezpłatnie podejmować się funkcji wychowawczyń? Czy musiały latać po przedmieściach i prowadzić zajęcia z przysposobienia wojskowego?

A po kolejnym wagoniku:

— I ta ich głupia gadanina: pracować! pracować! pracować! Ależ pracujcie, do diabła, kto wam zabrania? Życie będzie pełne takiego, takiego szczęścia! Takiego? Jakiego? Jakby was strażnicy z psami prowadzili do tego szczęśliwego życia, to dopiero byście wiedziały!...

Borys jest ode mnie słabszy, ledwie daje sobie radę z łopatą oblepioną ciężką gliną, z trudem udaje mu się dźwignąć ją na wysokość burty wagoniku. Mimo to — przez dwa dni stara się podciągnąć nas obu aż do wyżyn myśli Włodzimierza Sołowiowa. Tu też mnie prześcignął! — zdążył naczytać się Sołowiowa, ja

zaś nie znam ani stroniczki jego pism, czas traciłem na różne bezcelowe zajęcia.

Powtarza mi teraz wszystko, co mu się uda przypomnieć, usiłuję to sobie zapamiętać, ale nie bardzo mi to idzie, nie mam teraz głowy do tego.

Nie, jak tu uchować się — i jednak dotrzeć do sedna, zgłębić prawdę? I dlaczego właściwie trzeba spaść na samo dno obozowej egzystencji, aby zdać sobie sprawę ze swojej nędzy duchowej?

Borys powiada:

— Włodzimierz Sołowiow nauczał, że trzeba z radością oczekiwać śmierci. Gorzej, niż tu — nigdzie już nam nie będzie.

To prawda...

Ładujemy ile potrafimy. Karna *pajka* — to karna *pajka*, pies was trącał! Dzień jakoś schodzi nam w ten sposób i oto już wlecemy się do obozu. Ale i tam nic miłego nas nie czeka; trzy razy dziennie zawsze ta sama czarna, niesolona bryja z liści pokrzywy, do której raz na dzień dodają chochelkę kaszy — jakieś ćwierć litra. Porcję chleba już nam zmniejszono — rano dostajemy 450 gramów, ani kruszyny w południe i wieczorem. A o zmierzchu stać trzeba na deszczu, bo apel. I potem dopiero kładziemy się na gołej pryczy w przemokłych naszych łąkach, utyłani w glinie, dygocąc aż do rana, bo baraki nie są opalane.

A nazajutrz znów siąpi i siąpi ten sam kapuśniak. Odkrywka cała podbiegła wodą, nogi więzną — glina przywiera do łopaty; ilekolwiek się jej nabierze, nie sposób zbić ją później waleniem o krawędź wagoniku. Za każdym razem trzeba wspinać się na palce i zgarniać glinę ręką z łopaty do wagonu. Dochodzimy wreszcie do wniosku, że ta robota nie na wiele się zda. Odrzucaamy więc szpadle i zaczynamy po prostu rękoma zbierać spod nóg ciamkającą glinę i wrzucać ją do wagonika.

Boria kaszle — wciąż ma w płucach ten odłamek niemieckiego granatu. Jest chudy, żółty; jego nos, wszystkie kości jego twarzy zaostrzyły się, jak u trupa. Przypatruję mu się i nie wiem już — czy przetrzyma tę zimę w obozie.

Staramy się z wysiłkiem sprostać naszej sytuacji — choćby myślą. Ale już ani filozofia, ani literatura nie pomagają nam. Nawet ręce nasze ciążą nam tak samo jak łopaty, już trudno je unieść. Borys powiada mi:

— Nie, rozmowy za wiele sił nam zabierają. Lepiej milczeć i myśleć o czymś sensownym. Albo na przykład — układać wiersze. W pamięci.

Wzdrygam się aż — ten człowiek mógłby teraz układać wier-

sze? To poźółkłe czoło osnute jest już cieniem śmierci, ale jakiz blask iście nieugiętego talentu bije od niego<sup>8</sup>!

Tak więc — milczymy i rękoma ładujemy pecyny gliny do wagonetek. Deszcz wciąż pada... Jednakże nikt nam nie każe zaprzestać pracy: na dobitkę przychodzi Matronina, miotając wzrokiem pioruny (czerwień na jej głowie ukryta jest pod ciemną narzutką) i stojąc na skarpie wymachuje rękoma, wskazując brygadziście krawędzie kopalnianej niecki. Dowiadujemy się w końcu, że dziś brygada nie wróci do baraków o drugiej po południu, bo nasza szychta trwać będzie dopóty, dopóki nie wykonamy normy. Wtedy dopiero dadzą nam obiad razem z kolacją.

W Moskwie brak cegieł na budowy...

Matronina odchodzi wreszcie, deszcz za to się wzmacnia. Płowe kałuże rozlewają się na glinie, pełno wody również w wagoniku. Porudziały cholewy naszych butów, nasze szynele upstrzone są rudymi plamami. Ręce zgrabiały od zimnej gliny, już nie potrafią wrzucić do wagonu ani pecyny. Dość mamy wreszcie tej bezcelowej roboty, wpełzamy na stok skarpy, gdzie żółci się trawa, siadamy na niej ze zwieszonymi łbami, naciągając na karki kołnierze naszych szyneli.

Wygłądamy zapewne jak dwa rude głązy polne.

Nasi rówieśnicy studiują gdzieś tam po Sorbonach i Oksfordach, grają w tenisa podczas długich przerw, dyskutują o losach świata po studenckich kawiarniach. Już ten i ów z nich się drukuje, wystawia swoje obrazy. Ba, wyskakują ze skóry, aby na nową jakąś modłę wypaczyć otaczający ich, nie dość oryginalny, świat. Sierdzą się ci młodzi na klasyków — że wyeksploatowali wszystkie już tematy i wątki. Mają pretensje do swoich rządów i do miejscowych reakcjonistów, to znaczy tych, którzy nie chcą jakoś zrozumieć i wykorzystać przodujących, sowieckich doświadczeń. Pieszcząc wargami mikrofony reporterów radiowych, nagrywają wywiady i rozkoszując się brzmieniem własnego głosu, objaśniają — nie bez kokieterii — co właściwie *chcieli powiedzieć* w swojej ostatniej, albo pierwszej książce. Z podziwu godną pewnością siebie wyrokuje o wszystkim — a zwłaszcza — o rozkwicie naszego kraju i o sprawiedliwości wyższego typu, jakiej stało się tu zadość. I dopiero kiedyś, gdy będą już starzy, wertując swoje encyklopedie, zdziwią się, nie znajdując w nich godnych

---

8. Zimą tegoż roku Borys Gammerow zmarł w obozowym lazarecie skutkiem wycieńczenia ogólnego i gruźlicy. Czczę w nim poetę, któremu nie pozwolono — jękiem bodaj — dać znać o sobie. Duchem sięgał wysoko i wiersze jego wydawały mi się wtedy niezwykle mocne, wspaniałe... Ale nie zdołałem zapamiętać żadnego z nich, nie udało mi się nigdzie znaleźć nawet ich okruczków, aby złożyć z nich jego nagrobek.

szacunku rosyjskich nazwisk, pod żadną z liter, pod żadną z naszych liter...

Deszcz bębni po naszych karkach, dreszcz przenika grzbiety.

Patrzemy przez ramię. Niepełne, wywrócone wagoniki. Wszyscy już się rozeszli. Nie ma nikogo w całej niecce odkrywki, nikogo na polu za obrębem zony. Nasza wysniona wiosieczka — zasnuta szarzyną i nawet koguty schowały się gdzieś przed deszczem.

Więc my też bierzemy nasze łopaty, aby nam ich nikt nie zwędził — toś musimy się z nich wyliczyć — i wlokąc je za sobą jak ciężkie taczki, wzdłuż ścian cegielni idziemy za węgiel, pod szopę, gdzie wokół pieców Hofmanna, w których wypala się cegły, ciągną się puste galeryjki. Wieją tu zimne przeciągi, ale jest przynajmniej sucho. Zagrzebujemy się w kupie tłuczki pod okapem i tak sobie siedzimy.

Niedaleko nas zwalono kupę węgla. Dwóch zeków grzebie wśród czarnych odłamów, zawzięcie czegoś szukając. W końcu coś tam znajdują, kosztują, kładą do samary\*. Później siadają, i pozerają te czarniawo-szare kęsy.

— Co tam jecie, chłopaki?

— To morska glina. Lekarz — nie zabrania. Nic to nie daje, ale też nie szkodzi. A jak zeżre człowiek jakieś kilo dziennie — to mu się zdaje, że syty. Poszukajcie sami, tu sporo tego między węglem!...

...Nadchodzi zatem wieczór, a norma dalej nie wykonana. Matronina każe nam zostać na noc. Ale raptem gaśnie elektryczność, zona pogrąża się w mroku — wszystkich nas każą wyprowadzić na odwach. Rozkazują nam wziąć się pod ręce i pod wzmocnionym konwojem, przy akompaniamencie wyzwisk i psiego ujadania, prowadzą do baraków. Brniemy w nieprzenikniętych ciemnościach, na przelaj, nie odróżniając trzęsawiska od grudy, mieszając błoto nogami, potykając się i szarpiąc wzajemnie.

W obozie też jest ciemno, choć oko wykol — i tylko piekielnym, czerwonym blaskiem żarzą się „indywidualne kuchnie”. W stołówce — dwie lampki naftowe obok okienka, nie sposób odcyfrować dzisiejszego haselka, ani zobaczyć w misce podwójnej porcji bałandy z pokrzywy; człowiek siorbie ją po omacku.

Tak samo będzie jutro, tak ma być co dzień: sześć wagoników rudej gliny — trzy chochle czarnej bałandy. Zdawało się człowiekowi, że w więzieniu traci siły — ale tu pozbywa się ich szybciej. Już nawet coś dzwoni stale w uszach. Czuje się już tę błogą słabość, dzięki której łatwiej poddać się, niż walczyć.

A w barakach — egipskie ciemności. Leżymy, cali przemo-

\* Worek więźniarski.

czeniu, na naszych gołych dechach, wydaje się, że mokra odzież będzie czymś na kształt kompresu — że tak będzie cieplej.

Otwarte oczy wlepione są w czarną powałę — w nasze czarne niebo.

Boże, Boże! W ogniu bomb i granatów prosiłem Cię, abys pozwolił mi zachować życie. A teraz błagam Cię — ześlij mi śmierć co rychlej...

## Rozdział siódmy

### ŻYCIE CODZIENNE

Zdawałoby się, że nie ma rzeczy łatwiejszej i prostszej, niż relacja o życiu codziennym tubylców Archipelagu. A tymczasem to jedna z najtrudniejszych rzeczy. Jak zawsze, gdy mowa o powszedniej egzystencji — trzeba zdać sprawę z tego, co się dzieje od ranka do następnego ranka, od zimy do zimy, od narodzin (to znaczy — od przybycia do obozu), aż do śmierci (to znaczy — właśnie do śmierci). A musi to być relacja o wszystkich naraz wyspach i wysepkach.

Nikt tego — rzecz jasna — słowem nie ogarnie, a nikt też nie zechce ziewać nad grubymi tomiskami.

Na życie tubylców składa się zaś praca, praca i jeszcze raz praca; głód, chłód i kurczowe próby ratunku. Praca — oczywiście dla tych — którzy nie potrafili odepchnąć innych i znaleźć sobie wygodnego miejsca — to są właśnie te *roboty ogólne*, dzięki którym socjalizm podciąga się wzwyż, my zaś — osuwamy się w głąb.

Roboty ogólne dzielą się na wielkie mnóstwo rodzajów, nie sposób wyliczyć ich, wyszczególnić, wymienić po kolei. Pchanie taczek („to są techniki naszej szczyty: jedno kółko i dwa uchwyty”). Noszenie traga. Wyładunek cegieł gołymi rękoma (skóra z brzusców złazi po paru chwilach). Dźwiganie cegieł na grzbiecie, na kozłach. Kucie bloków skalnych w kamieniołomach, wydobywanie węgla, gliny i piasku. Wybieranie rydlem rudy złoto- nośnej — po sześć kubometrów dziennie, odwożenie jej na zsypanie. Albo po prostu — kopanie ziemi, wgryzanie się w grunt (krzemienista gruda, luta zima). Fedrowanie węgla pod ziemią. Albo rudy ołowianej, czy miedzianej. Można też ją mleć na kruszywo (słodkawy smak w ustach, z nosa — surowica). Można też nasycać kreozotem podkłady (i własne ciało — zarazem).



Można przebijać tunele dla przyszłych dróg. Układać nasypy kolejowe. Można dygować torf, po pas w błocie. Można wytapiać metal z rudy. Można smażyć się przy nim w odlewni. Można kosić trawę na kępach, brodząc po mokradle, Można być stajennym, wozakiem (i podkradać owies bydłociu, toć ono państwowę, trawą się pocieszy, a jak nie, to niech zdycha). W ogóle na roli można odwalać całą chłopską robotę (a nie ma lepszej, bo z ziemi zawsze człowiek coś sobie wygrzebie).

Ale Olimpem tych wszystkich prac jest rosyjski las złotopienny (bo też na złoto go się wymienia). I wyrąb lasu — to najstarsze z zajęć tubylców Archipelagu. Las każdego przygarnie, każdemu swój zew pośle, wszystkich pomieści, nawet inwalidzi znajdują tu przytułek (ludzi bez rąk posyła się trójkami do udeptywania półmetrowego śniegu). Śnieg po pierś sięga. Jesteś drwalem. Nasamprzód — własnym ciałem musisz ubić śnieg dookoła pnia. Później musisz pień zrąbać. Następnie — z trudem brnąc w białej toni — masz odrąbać wszystkie gałęzie (trzeba jeszcze je przygiąć i dobrać się do nich siekierą). Wciąż brodząc w śniegu, musisz te wszystkie gałęzie ściągnąć na bok, zebrać do kupy i podpalić (a palić się nie chcą, dymią tylko). Teraz pień trzeba rozpiłować na równe kłocę, te zaś ułożyć w sagi. Norma zaś przewiduje — na jednego pięć metrów sześciennych, na dwóch — dziesięć metrów dziennie. (Na wiatrołomach — siedem kubometrów, ale grube kłocę trzeba jeszcze rozszczępić na kłody). Już topór wypada ci z rąk, już nóg nie czujesz.

Podczas wojny (przy ówczesnych normach żywienia) więźniowie trzy tygodnie przy wyrębie nazywali *suchym rozstrzeleniem*.

Ten bór, ozdobę świata, opiewaną przez tylu poetów i pisarzy, zaczynasz nienawidzić! Z dreszczem wstrętu wchodzisz pod stropy sosen i brzoź! Przez całe dziesięciolecia będziesz później — ledwie przymkniesz oczy — widzieć te świerkowe i osikowe kłocę, któreś setkami metrów włókł na własnym grzbiecie do wagonów — tonąc w śniegu, padając co krok i gramoląc się znów, bojąc się, że zapadną się w sypką toń i że nie zdołasz ich już później z niej wydobyć.

Ciężkie roboty, wykonywane przez katorżników w carskiej Rosji, przez całe dziesiątki lat normowane były przez ustawę z 1869 roku, określającą warunki pracy i płacy ludzi *wolnych*. Przy skierowaniu do pracy brano pod uwagę stan fizyczny osobnika i stopień jego doświadczenia (czy można dzisiaj temu dać wiarę?!). Dzień roboczy trwał zimą 7 godzin (!), latem zaś — 12 i pół. W Akatuju, gdzie praca była ciężka a warunki surowe (Jakubowicz, lata 1890-te), normę wykonywali bez trudu wszyscy

prócz niego. Letni dzień roboczy trwał tam — *wraz z marszem* do miejsca pracy — 8 godzin, poczynając od października — 7, a zimą — tylko 6. (Działo się to jeszcze przed epoką walk o ośmiogodzinny dzień pracy!). Co do omskiej katorgi, przez którą przeszedł Dostojewski, to tam w ogóle zbijano bąki, jak to każdy czytelnik z łatwością potrafi stwierdzić. Pracowano tam byle zbyć i byle jak, a zwierzchność przydzielała tym nieszczęśnikom *białe* płócienne kurtki i porcięta — no, czego tu więcej trzeba? W naszych obozach powiada się „tylko białych kołnierzyków brak”, kiedy robota jest całkiem lekka, kiedy nie trzeba harować. A tamci — paradowali w białych kurtkach! Po robocie katorżnicy z „Martwego domu” długo jeszcze *przechadzali* się po dziedzińcu więziennym — widocznie więc nie znali przemęczenia! Zresztą „Wspomnień z martwego domu” cenzura nie chciała zatwierdzić, w obawie, że — opisane przez Dostojewskiego — zbyt *pogodne* życie więźniów nie odstręczy nikogo od występku. Dostojewski dodał więc dla cenzury kilka nowych stron, podkreślając, że życie na katordze jest jednak nielekkie! U nas tylko podskakiewiczze-*pryduki* wypoczywali sobie w niedziele, ale nawet oni trochę się tego krępowali. Szałamow zaś, w związku z „Zapiskami Marii Wołkońskiej” zauważył, że skazani dekabryści w Nerczyńsku musieli codziennie wydobyć i załadować trzy pudy metalowej rudy na osobę (to znaczy — 48 kilogramów — ciężar, który można zadać sobie na plecy nieomal jedną ręką!). Na Kołymie zaś norma Szałamowa wynosiła *osiemset* pudów. Szałamow dodaje, że czasami długość letniego dnia roboczego wynosiła 16 godzin! Co do tych 16-tu godzin, to niewiele mam takich świadectw, ale 13-cie godzin dziennie pracować musiało wielu — i przy robotach ziemnych w Karłagu i na Północy, przy wyrębie lasu — a mowa tu tylko o godzinach *pracy*, nie licząc pięciokilometrowych marszów do lasu i z powrotem. Zresztą, co tu gadać o długości dnia roboczego? — toć najważniejsza była *norma* i kiedy brygada nie wykonała normy, to tylko konwojenci się zmieniali, a roboczarze zostawali w lesie aż do północy, pracując przy świetle reflektorów; dopiero nad ranem wracali do obozu, jedli kolację razem ze śniadaniem i znów — hajda do lasu<sup>2</sup>.

---

1. Listy J. A. Gruzdiewa do Gorkiego. Archiwum Gorkiego, tom XI, Moskwa, 1966, str. 157.

2. Ci, którzy narzucają wyższe normy wydajności w przemyśle — mogą *wmawiać* sobie, że usprawiedliwia to postęp techniczny, ale ci, co zwiększają normy *fizycznej* pracy — są to kaci nad katami! — toż nie mogą serio wierzyć w to — że człowiek epoki socjalizmu jest dwa razy wyższy i dwa razy mocniejszy. Oto kogo trzeba oddać pod sąd! Oto kto powinien być *zaprzęgnięty* do wykonywania takich norm!

Nikt już o tym nie opowie: wszyscy oni już ziemię gryzą.

Był jeszcze inny sposób podnoszenia norm i wykazywania, że są wykonalne: gdy mróz przekraczał 50°, dzień roboczy spisywano na straty, to znaczy — pisano w aktach, że więźniowie nie poszli do pracy, ale w istocie rzeczy wypędzano ich do lasu — i to co udało się wycisnąć z ludzi takiego dnia, dodawano do pozostałych sprawozdań dziennych, co zwiększało procent wykonania planu. (Tych zaś, którzy takiego dnia zamarli na śmierć — usłużny sanitariat zaopatrywał w świadectwa zgonu z całkiem innych przyczyn. Tych natomiast, którzy w drodze powrotnej zostawali w tyle z wyczerpania, albo dlatego, że ścięgni mieli naderwane — konwojenci dobijali, aby przypadkiem który nie uciekł, zanim specjalnie po niego się nie wróci).

No, a jaki wikt dostawali za to ci ludzie? Nalewano do kotła wody, sypano do niej — w najlepszym wypadku — nieczyszczonych, drobnych ziemniaków, najczęściej zaś czarnej kapusty, boćwiny z buraków pastewnych — rozmaitego innego śmiecia. Albo wyki, otrębów — bo tego nie szkoda. (A gdzie wody było mało — jak w podobożie Samarka opodal Karagandy, tam dawano dziennie jedną tylko miskę bałandy i na dodatek dwa kubki słonawej, mętnej wody do picia). Co tylko jest lepszego — wszędzie i bez wyjątku bywa rozkradane, zabierane dla kierownictwa, funkcyjnych i knajaków; kucharze są sterroryzowani, wiedzą, że tylko potulność pozwoli im zachować stanowisko. Wypisuje się z magazynu tyle a tyle tłuszczu i mięsnych „subproduktów” (to znaczy wyrobów nie naprawdę mięsnych), i ryb, i grochu, i kaszy — ale niewielka część tych rzeczy trafia do wspólnego kotła. Tu i ówdzie, w zapadłych kątach, zwierchność przywłaszczała sobie nawet całą sól, bo przecież warto nasolić grzybków, czy ogórków na zimę. (W 1940 roku na budowie trasy kolejowej Kotłas-Workuta, zarówno chleb, jak bałanda były niesłone). Im gorszy surowiec, tym większa nadzieja, że trafi na talerz zeka. Zdarzało się to z mięsem koni, które wyciągały kopyta przy ciężkiej robocie — i chociaż trudno było żuć tę padlinę — ale to już była uczta. Iwan Dobriak opowiada: „Swego czasu nie mała naćkałem się mięsa delfinów, morsów, fok, morskich kotów, i wszelakiego innego świństwa pływającego. (Nawiasem — my też jadaliśmy wielorybie mięso w Moskwie, w obozie za rogatką Kałuską). Kał zwierzęcy nie budził już we mnie obrzydzenia. A zioła, mech, rumianek — to były najlepsze specjały”. (Oczywiście, te specjały *organizował* on sobie sam, niezależnie od pajki).

Nie sposób — trzymając się norm GUŁagu — nakarmić do

syta człowieka pracującego trzynaście, a nawet dziesięć godzin na mrozie. A staje się to już zupełnie nierealne, gdy podstawowa część twego wikt ulega rozkradzeniu. W takiej oto sytuacji zaczyna swoją robotę we wspólnym kotle diabelska warząchew Frenkla: nakarmić jednych — kosztem drugich. *Kotły* podlegają następującemu podziałowi: kto wykonuje (a w każdym obozie oblicza się to na swój sposób) powiedzmy — 30 % normy, je z kotła dla skazanych na karcer: 300 gramów chleba i miska bałandy dziennie. Od 30 % do 80 % — kocioł karny: 400 gramów chleba i dwie miski bałandy. Od 81 % do 100 % — kocioł dla pracujących: 500-600 gramów chleba i trzy miski bałandy. Dalej idą kotły dla przodowników, zresztą też zróżnicowane: 700-900 gramów chleba i porcja kaszy na dokładkę, dwie porcje kaszy, danie *premiowe* — jakiś gorzkawy pieróg z ciemnej, żytniej mąki z grochem.

I oto za tę wodnistą trąbizupkę — którą nie sposób wyrównać, strat ponoszonych przez organizm przy pracy — ludzkie mięśnie schną na wiór, a przodownicy i stachanowcy prędzej idą do piachu niż ci, co odmawiają chodzenia do pracy. Starzy łagrowcy dobrze to rozumieją i takie mają przysłowie: „*Lepiej nie zjeść łyżki kaszki, niż urobić się po paszki*”. Jeśli szczęśliwym trafem będziesz musiał zostać na pryczy z powodu braku odzieży — to otrzymasz gwarantowane minimum — 600 gramów. Jeśli zaś wydano ci przydziewek *sezonowy* (to też bardzo popularny termin!) i wyprowadzono na *trasę* zimą, gdy grunt ścięty jest mrozem — to choćbyś go kuł młotem kowalskim i dłutem — więcej niż trzysta gramów nie dostaniesz.

Ale wcale nie od zeka zależy, czy pozwolą mu zostać na pryczy...

Oczywiście, nie wszędzie i nie zawsze wikt bywa taki marny, ale są to liczby raczej typowe; dotyczą obozu Krasłag w latach wojny. W Workucie, w tym samym okresie, więźniowie-górnicy dostawali (a były to przydziały największe chyba w całym GUŁagu, bo węglem z Workuty palono w mieście bohaterów, Moskwie) za 80 procent normy pod ziemią — albo 100 procent normy na powierzchni — całe kilo i trzysta gramów chleba. A w osławionym potwornym, morderczym Akatuju dawano za carskich czasów w dni nierobocze (czyli za leżenie na pryczy) dwa i pół funta chleba (czyli kilogram!) i 32 zołotniki mięsa — 133 gramy! W dni robocze wydawano katorżnikom trzy funty chleba i 48 zołotniki (200 gramów) mięsa na osobę — czy to aby nie więcej, niż nasza frontowa racja w wojsku? Bałandę wynosili tam aresztanci całymi cebrami strażniczym wieprzkom do chle-

wu, co zaś do rozgotowanej kaszy gryczanej (! — GUŁag nigdy jej nie znał) to P. Jakubowicz uznał ją swego czasu za „obrzydliwą w smaku”. Groźba śmierci głodowej nigdy nie wisiła nad katorżnikami Dostojewskiego. O czym tu gadać w ogóle, jeśli na ich dziedzińcu więziennym („w zonie”) łążyły sobie spokojnie gęsi(!), aresztanci zaś nie ukręcali im łbów<sup>3</sup>. Chleb leżał na stołach, każdy brał go *ile chcąc*, na Boże Narodzenie dawano *funt* mięsa na twarz, a omasty do kaszy — wedle woli. — Na Sachalinie więźniowie pracujący w kopalniach i przy budowie dróg, w miesiącach wytężonej pracy dostawali dziennie: chleba — 4 funty (kilo sześćset!), mięsa — 400 gramów, kaszy — 250! I Czechow, człowiek sumienny, stara się dociec: czy rzeczywiście te normy są wystarczające, czy nie za mało tego, jeśli wziąć pod uwagę niską jakość wypieku i przyrządzania dań? Gdyby tak zaprzął do miski naszego robociarza, to nie przeżyłby chyba tego widoku!

Czy ktoś mógł sobie w pierwszych latach naszego stulecia wyobrazić, że „za trzydzieści-czterdzieści lat” nie tylko na Sachalinie, ale na całym obszarze Archipelagu ludzie będą szczęśliwi mogąc zjeść jeszcze wilgotniejszy, pełen śmiecia, zakalcowaty, diabli wiedzą z czego wypiekany chleb — i że 700 gramów tegoż chleba uważane będzie za rację wymarzoną, należącą się tylko przodownikom pracy?

Ba, że kołchoźnicy w całej Rosji jeszcze więźniom tej pajki pozazdroszczą! — „bo u nas tego nawet nie ma!...”.

Nawet w nerczyńskich kopalniach za carskich czasów wypłacono gratyfikację za wszystko, co wykonane było ponad wyznaczoną normę (z reguły — umiarkowaną). W naszych zaś obozach przez cały prawie okres istnienia Archipelagu — nie płacono za pracę ani kopiejki, albo też sumy, wystarczające akurat na zakup mydła i proszku do zębów. Jedynie w nielicznych obozach — i w tych krótkich okresach, gdy, nie wiedzieć czemu, wprowadzono zasadę samowystarczalności (na konto osobiste więźnia szło wtedy od 1/8 do 1/4 tego, co w istocie powinien był zarobić) zek mógł sobie dokupić chleba, mięsa, cukru — i nagle, o dziwo! — na stołach w jadalni zostawała czasem jakaś krużyna chleba — i przez całe pięć minut nikt po nią nie sięgał.

Jaką odzież i obuwie nosili tubylcy?

3. Szałamow, znający wiele ciężkich obozów, taki mi słuszny zrobił zarzut: „i jaki tam kot szpitalny pęta się u pana? Dlaczego nikt go dotąd nie zarznął i nie zeżarł?... I dlaczego pański Iwan Denisowicz paradyuje sobie z łyżką, kiedy wiadomo, że wszystko co w obozie daje do żarcia można bez trudu wychłptać prosto z miski, bo jest płynne?”.

Na ogół Archipelagi — to archipelagi: błękitny ocean rozciąga się wokół, palmy kokosowe rosną bez przeszkód, zaś administracja wysp wcale nie troszczy się o przyodziewek dla mieszkańców — bo tubylcy chodzą sobie bosy i właściwie na golasa. Naszego zaś przekłętą Archipelagu nie można sobie nawet wyobrazić w słonecznym blasku: wiecznie pod śniegiem, wiecznie szaleją nad nim zawieruchy. Całą więc tę dziesięcio-piętnastomilionową rzeszę aresztantów trzeba jeszcze przyodziać i obuć<sup>4</sup>.

Na szczęście jednak nie urodzili się na Archipelagu, przybывая więc nie zupełnie goli i bosy. Można pozwolić im chodzić w tym, w czym przyjechali, a raczej w tym, co im na pociechę zostawią *społecznie-bliscy* — byle tylko naznaczyć tę odzież tak, jak to przyjęte jest na Archipelagu: urwać jakiś strzęp, tak jak baranom przycina się ucho: obciąć na skos połę płaszcza, ściąć czubek czapki-„budionnówki”, dziurawiąc ją w ten sposób. Niestety, odzież cywilna nie jest z żelaza, a trzewiki już po tygodniu zdzierają się o pieńki i wyboje Archipelagu. Trzeba więc tubylców jeszcze zaopatrywać w odzież i obuwie.

Jeszcze to będzie kiedyś pokazane na rosyjskiej scenie! na rosyjskich ekranach! — waciak jednego koloru, a rękawy innego. Albo tyle na nim łąt, że nie widać wcale pierwotnej barwy. Albo kaftan płomienisty (bo strzępy, z których się składa, przypominają jęzory płomienia). Albo łąta na portkach zrobiona z płótna, którym obszywa się przesyłki żywnościowe — i długo jeszcze czytać można fragment adresu, napisanego kopiaowym ołówkiem<sup>5</sup>.

Na nogach zaś — odwieczne rosyjskie łąpcie, tyle, że brak do nich przyzwoitych onuc. Albo kawał opony samochodowej, przytroczonej do nogi drutem czy przewodem elektrycznym (czego to człowiek z musu nie wymyśli...). Albo „walonki” uszyte z kawałków starego, podartego waciaka; podeszwy do nich robi się z warstwy wołjoku i warstwy gumy<sup>6</sup>. Stojąc przed odwachem i słysząc rano skargi na zimno, komendant OŁP odpowiada więźniom z gułagowskim poczuciem humoru:

— Moja gęś też całą zimę chodzi bosy i wcale się nie skarży, chociaż nogi ma takie więcej czerwone, fakt. A wy wszyscy jakieś tam chodaki macie.

4. Jak twierdzi encyklopedia „Rosja — ZSSR”, w GUŁagu siedziało równocześnie około 15 milionów więźniów. Zbiega się to z oceną cyfrową daną przez samych więźniów. Gdy opublikowane zostaną cyfry lepiej udokumentowane — weźmiemy je pod uwagę.

5. Na katordze carskiej w Akatju wydawano więźniom kozuchy.

6. Ani Dostojewski, ani Czechow, ani Jakubowicz nie mówią nam co wzuwali na nogi ówczesni więźniowie. Ale nosili chyba normalne buty, bo inaczej autorzy zwróciliby na to uwagę.



Na ekranie prócz tego pojawią się brunatno-szare twarze łagrowców. Załzawione oczy, zaczerwienione powieki. Białe, spierzchnięte wargi, całe w plamach. Niegolona, szpakowata szczecina. Zima — a na głowie letnia czapka z przyszytymi nausznikami.

Jakże tu was nie rozpoznać wyspiarze z naszego Archipelagu!

Choćby jednak dzień roboczy trwał nie wiem jak długo — zawsze w końcu robociarze wracają do baraku.

Barak? Czasem to tylko ziemianka, ledwie widoczna nad powierzchnią gruntu. A na Dalekiej Północy — najczęściej to — *namiot*, co prawda, przytrząśnięty z wierzchu ziemią i obłożony byle jak dranicami. Nierzadko — zamiast elektryczności są tylko lampy naftowe, ale zdarza się także łuczywo — albo knot, ukrecony z waty i sycony tranem. (W obozie Ust'-Wym' przez dwa lata brak było nafty, więc barak sztabu oświetlony był olejem jadalnym, brany z magazynu żywnościowego). W takim więc żalonym świetle ukaże się naszym oczom świat otaczający tych straceńców.

Przyce dwu- i trzypiętrowe; „wagonetki” — to już szczyt luksusu. Dachy najczęściej zupełnie gołe, nic na nich nie leży; w niektórych odległych podobozach kradną wszystko z taką dokładnością (żeby później sprzedawać to przez wolniaków-pośredników), że ludziom niczego już z magazynów się nie wydaje i nikt w barakach niczego nie zostawia — więźniowie noszą ze sobą menażki i kubki (kopią ziemię, nie zdejmując plecaka z grzbietu), kto ma jakiś koc (stop klatka!) ten zakłada go na kark jak chomąto, albo oddaje na przechowanie znajomym przydurkom do strzeżonego dobrze baraku. W dzień barak ziejże pustką, jakby nikt w nim nie mieszkał. Na noc warto by oddać do suszarni przemokłą odzież roboczą (jeśli jest suszarnia!) — ale na golasa leżąc, można zamarznąć na gołych dachach. Schną więc te łachmany na ich posiadaczu. W nocy do ścian namiotu przymarza nieraz czapka, kobietom przymarzają włosy. Nawet łapcie kładzie się pod głowę, żeby ich kto nie ukraść człowiekowi z nóg (obóz Buriepołom, lata wojny). — Pośrodku baraku — żelazna beka na benzynę, przerobiona na piec. Dobrze, jeśli blacha rozpalona jest do czerwoności, wówczas smrodliwa para z mokrych onuc zasnuwa cały barak; gorzej, jeśli mokre szczapy nie chcą się tlić. Niektóre baraki tak są zarobaczone, że nie pomaga czterodniowe kadzenie ich siarką, a gdy latem zeki wychodzą z baraku, aby pospać pod gołym niebem, to pluskwy wypełzają za nimi ruchomą strugą. Sposobem na wszy — jest gotowanie bielizny w menażkach.

Wszystko to należy do specyfiki XX wieku i nie udało się



nam skonfrontować tych danych z relacjami zesłowiecznych kronikarzy więziennych: nie pisali oni o podobnych zjawiskach.

Dodajmy do tego jeszcze taki obraz: z kralajni chleba niosą na tragach chleb dla brygady pod ochroną najmocniejszych członków zespołu, zbrojnych w pały — bo inaczej inni go wydrą, rozkradną, poturbują tragarzy. Pokazać by warto, jak wyrwywają przesyłki z rąk przy samym wyjściu z rozdzielni paczek. Nasycić to wszystko należy stałym lękiem: czy aby panowie naczelnicy nie odbiorą ludziom najbliższej niedzieli (co tu gadać o wojnie, jeśli w „sowchozie Uchta” już rok przed wojną nie uznawano niedziel, a w Karłagu nie było ani jednego wolnego od pracy dnia między rokiem 37-ym a 45-ym). Zaprawić to jeszcze trzeba wieczną obozową niepewnością jutra, kurczowym oczekiwaniem na zmiany: to pogłoski o etapie, to etap na serio (katorga Dostojewskiego nie wiedziała co to etap, ludzie po dziesięć, po dwadzieścia lat siedzieli w jednym więzieniu — całkiem to inne życie); to jakieś nagłe i tajemnicze przetasowanie „kontygentów”; to przrzucanie ludzi z miejsca na miejsce „dla dobra produkcji”; to jakaś komisja; to inwentaryzacja sprzętu; to niespodziane nocne rewizje z rozbieraniem ludzi do naga i przetrząsaniem całego nędznego mienia; ponadto — osobne i nader staranne rewizje przed 1 maja i 7 listopada (na katordze carskiej nic podobnego nie zdarzało się ani na Gody, ani na Wielkanoc). I trzy razy miesięcznie — rujnujące, niszczące łaźnie (nie będę tego tu opisywał, dla uniknięcia powtórzeń. Istnieje gruntowna analiza tych zjawisk w opowiadaniu Szafłamowa, również Dostojewski napisał na ten temat opowiadanie).

A jeszcze dodać trzeba twoją stałą (a dla inteligenta — nader męczącą) niemożność *wyodrębnienia się*, oddzielenia od masy, ów status — nie samodzielnej, osobnej jednostki, lecz członka brygady, skąd bierze się konieczność — i to przez całą dobę, cały rok, przez cały ciąg odbywania kary — postępowania nie wedle własnej woli, lecz tak jak to wygodniejsze jest dla brygady.

Tu trzeba też będzie podkreślić, że wszystko powiedziane wyżej, odnosi się do obozu stałego, istniejącego już od wielu lat. A przecież kiedyś tam i ktoś tam (któż, jeśli nie my, nieszczęśni) musi te obozy *zakładać*: znaczy to, że trzeba wkroczyć do zaśnieżonego, mroźnego boru, opasać matecznik drutem kolczastym — i jeśli komuś uda się dożyć do pierwszych baraków, to będą to baraki dla straży. W listopadzie 1941 roku opodal stacji Reszety założono 1-szy OŁP Krasłagu (po 10-ciu latach było ich już, tych podobozów, siedemnaście). Spędzono 250-ciu wojaków, zabranych z armii czynnej, aby uchronić ją przed rozkładem moralnym. Ludzie ci zrabali las, wybudowali ściany baraków,

ale pokrycia na dachy nie było, więc mieszkali tak pod gołym niebem, garnąc się do żelaznych piecyków. Chleb przywożono im zamarzły na kość, trzeba go było rąbać siekierą i rozdzielać garściami: pokruszony, w kawałkach, pomięty. Drugim daniem była ryba, bardzo słona. Sól parzyła gębę, trzeba było koić pale nie śniegiem.

(Wspominając bohaterów wojny narodowej, nie zapominajcie o tych żołnierzach!...).

Tak to się żyło na moim Archipelagu.



Filozofowie, psychologowie, lekarze i pisarze mogliby w naszych obozach znaleźć więcej okazji, niż gdziekolwiek indziej, do szczegółowej i wszechstronnej obserwacji szczególnego procesu zwięzania się intelektualnych i duchowych horyzontów jednostki, osuwania się istoty ludzkiej aż do poziomu bydłęcego, procesu umierania żywcem. Ale psychologowie, trafiający do obozu, zwykle nie bardzo byli skorzy do robienia obserwacji: sami bowiem unoszeni byli przez tenże rwący potok, ucierający człowieka na kupkę kału i prochu.

Zaden żywy organizm nie może istnieć, nie wydalając resztek; podobnie Archipelag nie mógłby kontynuować robaczkowych ruchów swoich trzewi, gdy nie spychał aż na samo dno najważniejszego rodzaju odpadków. Są nimi *d o c h o d i a g i*\*.

I wszystko, co zbudowano i stworzono na Archipelagu<sup>7</sup> wciśnięte zostało z mięśni tych zdechłaków (zanim się nimi stali). Ci zaś — spośród ocalałych, którzy twierdzą, że *dochodiaga sam sobie jest winien* — rzucają cień hańby na własne życie, które udało im się tak dobrze zachować.

Ortodoksi, trafiający się wśród tych ocalałych, pisują do mnie teraz listy pełne gromkich protestów: jak wulgarne są myśli i czyny bohaterów „Jednego dnia Iwana Denisowicza”! — czemu nie dzielą się oni z czytelnikiem swoimi myślami o sensie dziejów — do których doszli przecież przez cierpienie? — czemu wciąż tylko pajka i bałanda; a przecież są męczarnie znacznie cięższe, niż głód!

\* Termin „dochodiaga” mógłby zostać przetłumaczony całkiem ściśle jako „muzulmanin”: słowo to znany z literatury dotyczącej obozów niemieckich, ale właśnie różnica miejsca i czasu skłania nas do zachowania rosyjskiego brzmienia tego wyrazu. „Dochodiaga” to również coś więcej niż polski „zdechłak” czy „połtrup”, jak świadczy ten właśnie rozdział książki.

7. Patrz rozdział 22-gi.

Ach — są takie? Ach — są męczarnie znacznie cięższe (męki myśli ortodoksyjnej)? O, nie wiedzieliście, co to głód, zadekowani przy lazaretach i magazynach, prawomyślni panowie ortodoksi!

Od stuleci wiadomo, że głód rządzi światem! (I na Głodzie, na założeniu, że głodni pono koniecznie muszą powstać przeciw sytym, wspiera się także cała Przodująca Teoria). Głód przesądza o uczynkach każdego głodującego człowieka, jeśli tylko ten nie postanowił sam świadomie odebrać sobie życia. Głód zmusza uczciwego człowieka do kradzieży („gdy głód w kiszkaach strzyka, to sumienie znika”). Głód każe człowiekowi najbardziej bezinteresownemu z zawiścią spoglądać na cudzą miskę i myśleć z goryczą o tym, że pajka sąsiada jest większa. Głód zaćmiewa rozsądek i nie pozwala zająć się niczym innym, ani na chwilę oderwać się od tej jednej myśli, mówić o czym innym, niż o żarciu, żarciu. Jest głód, który nie pozwala nawet zasnąć: śni się tylko żarcie, a bezsenne godziny też spędza się tylko na marzeniach o żarciu. Rychło już sen całkiem człowieka odbiega. Jest głód, który nie pozwala już nigdy najeść się do syta, jeśli trwał za długo: człowiek przekształca się w rynną przetokową i wszystko z niego wylatuje w takim stanie, w jakim zostało połknięte.

To także powinno kiedyś być pokazane na rosyjskich ekranach: jak tłum dochodiagów, zawistnie zerkając na konkurentów, dyżuruje pod gankiem kuchni w oczekiwaniu na wyniesienie odpadków na śmietnisko. Jak rzucają się na nie, jak biją o każdy łeb rybi, kość, czy łupiny z jarzyn. I jak później płuczą oni te odpadki, jak gotują je i jak je pożerają. (A co wnikliwsi operatorzy mogą poświęcić jeszcze trochę taśmy i pokazać, jak w 1947 roku w obozie Dolinka, dopiero co przywiezione z wolności bessarabskie chłopki rzucają się w tych samych zamiarach na śmietnisko, już spenetrowane przez dochodiagów). Na ekranie będzie pokazane, jak pod szpitalnymi kocami leżą kości, jeszcze jakoś trzymające się kupy, jak umierają bez drgnienia i jak się je później wynosi. W ogóle — jak łatwo człowiek umiera! Dopiero co mówił coś — i nagle zamilkł; szedł drogą — i nagle padł, jak długi. „Brzdęk — i już go nie ma”. Jak (podobozy Unża, Nuksza) tęgomordy, społecznie-bliski kalifaktor po pobudce ściąga ludzi z prycz za nogi, a tu jeden już skonał i martwym łbem prask o podłogę. „Odwalił kitę, ścierwo!”. I jeszcze go kopnie, niby żartem. (W tych podobozach podczas wojny nie było żadnego felczera, ani nawet sanitariusza, dlatego też — wcale nie było w nich chorych, a jeśli kto symulował chorobę, to go koledzy wyprowadzali do lasu pod ręce, niosąc ze sobą deskę i powróż, żeby łatwiej było wracać z trupem. Podczas roboty

sadzano takiego przy ognisku i wszyscy do kupy — więźniowie i konwojenci — wyczekiwali tylko, żeby prędzej skończył).

Czego nie zdoła ogarnąć ekran, to opíše nam cierpliwa i wnikliwa proza, już tam ona potrafi rozróżnić odcienie tego ostatecznego procesu, klasyfikowanego raz jako szkorbut, kiedy indziej — jako pellagra, innym znów razem — jako niedożywienie. Po odgryzieniu kęsa chleba, zostaje na miękiszku krwawy ślad — to szkorbut. Niedługo zaczną wypadać zęby, gnicię dziąsła, otworzą się rany na goleniach, całe kawały ciała zaczną odpadać, pojawi się trupi fetor, twarde guzy nie pozwolą nogom się rozciąć, ale takich chorych szpital nie przyjmuje, więc pełzają sobie po zonie na czworakach. — Twarz ciemnieje, jak od opalenizny, skóra się łuszczy, biegunka chwili spokoju nie daje — to pellagra. Biegunkę trzeba jakoś wstrzymać — jedni łykają więc po trzy łyżki kredy dziennie, inni twierdzą, że gdyby dostać gdzieś śledzi i porządnie się ich najeść — to może by pomogło. Ale gdzie te śledzie? Człowiek słabnie coraz bardziej — i tym szybciej im był większy i mocniejszy. Tak już osłabł, że nie potrafi włąbadać się na górną pryczę, nie potrafi przestąpić przez leżącą kłodę: musi oburącz podnosić nogę, albo przeczołgiwać się na czworakach. Biegunka pozbawia człowieka nie tylko wszystkich sił — lecz także wszelkich zainteresowań — innymi ludźmi, życiem, własnym losem. Człowiek głuchnie, głupieje, nie potrafi już płakać, nawet gdy go ciągną na powrozie, jak wór za saniami. Już nie boi się śmierci, wpada w różowy nastrój, nic nie budzi w nim sprzeciwu. Przekroczył wszystkie granice, zapomniał imion swoich najbliższych, nie pamięta już, jak sam się nazywa. Czasami całe ciało zdychającego z głodu człowieka pokrywa się sino-czarnymi wrzodami z maleńką ropną główką — są wszędzie: na twarzy, rękach, nogach, nawet na mosznie. Nie sposób ich dotknąć, tak bolą. Wrzodziki dojrzewają, pękają same, wycieka z nich gęsta, czarniawa ropa. Człowiek gnije żywcem.

Jeśli po twarzy twego sąsiada z pryczy nagle rozpełzną się zdeorientowane czarne wszy, gnieźdzące się zwykle na głowie — to niezawodna oznaka śmierci.

Fe, jaki naturalizm! Po co w ogóle mówić o takich rzeczach?

I w ogóle — powiadają nam teraz ci, którzy sami nigdy nie cierpieli, którzy za to sami ludzi katowali, albo umywali ręce, albo udawali, że nic z tym nie mają wspólnego — na co się zdały te przypomnienia? wspomnienia? Po kiego licha jątrzyć stare rany? (ICH rany!).

Już Lew Tołstoj odpowiedział Biriukowowi: „Jakto — po co wspominać? Jeśli cierpiałem na wstydliwą chorobę, wyleczy-

łem się z niej, oczyściłem z zarazy — to zawsze będę to wspominał z radością. Niemiłe mi zaś będą wszelkie wspomnienia tylko wtedy, gdy wciąż jeszcze będę chory tak samo, albo nawet ciężej; będę wówczas usiłował sam siebie omamić. Jeśli pamiętać będziemy o przeszłości i śmiało spojrzymy jej w oczy — to współczesna nasza przemoc też się przed naszym wzrokiem nie ukryje<sup>8</sup>!”.

Te stronice, poświęcone *dochodiagom* chcą zakończyć relacją N.K.G. o inżynierze Lwie Nikołajewiczu (! na pewno przecież ochrzczono go tak na cześć Tołstoja!) J. — który był dochodiagą-teoretykiem, twierdzącym, że przekształcenie się w świadomego dochodiagę jest najlepszym sposobem na zachowanie w obozie życia.

Oto widzimy inżyniera J. w głuchym zakątku zony, pewnej upalnej niedzieli: jakaś człekokształtna istota siedzi w brudzie nad dołem, w którym zebrała się brunatna woda z torfowiska. Dookoła rozsypane są łebki rybie, ości, chrząstki, resztki chleba, garstki kaszy, surowe, opłukane już łupiny kartoflane i jeszcze coś tam, co trudno nawet określić. Na kawałku blachy płonie kilka szczapek, nad ogniem wisi żołnierska, zakopcona do cna menażka z jakąś bryją. Jadło jest już chyba gotowe! Drewnianą łyżką dochodiaga czerpie ciemne pomyje z menażki i zagryza je to kartoflaną obierzyną, to chrząstką, to główką śledziową... Żuje długo, bardzo starannie (zwykły dochodiaga łyka jadło pośpiesznie, wcale nie żując — to ich nieszczęście). Nos jego ledwie jest widoczny w ciemnoszarej masie szerści, zarastającej jego szyję, podbródek i policzki. Nos i czoło są buro-woskowej barwy, skóra na nich się łuszczy. Oczy łzawią się, wciąż nimi mruga.

Ledwie ktoś postronny się zbliży, dochodiaga szybko zgarnia do kupy wszystko, co leżało wokół i czego jeszcze nie zdążył przełknąć, przyciska menażkę do piersi, przypada do ziemi i kuli się cały, jak jeź. Teraz można go bić, szturchać — ale w tej pozycji trudno sobie z nim poradzić: nie da się oderwać od ziemi i nie odda swojej menażki.

N.K.G. zwraca się do niego przyjaznym, życzliwym tonem — i jeź stopniowo rozpręża skulony grzbiet. Widzi, że nikt nie chce go bić, ani wyrwać mu menażki. Zaczyna się rozmowa. Obaj interlokutorzy są inżynierami (N.G. — jest geologiem, J. — chemikiem) — i oto J. składa G. swoje wyznanie wiary. Operując chemicznymi formułami, których nie zapomniał, dowodzi, że wszystkie, potrzebne człowiekowi substancje odżyw-

---

8. Biriukow, *Rozmowy z Tołstojem*, t. 3-4, str. 48.

cze można uzyskać z odpadków, trzeba tylko przewyciężyć odrazę i skupić wszystkie wysiłki jedynie na tym, by wszystko z tego surowca wydobyć.

Nie bacząc na upał, J. ubrany jest grubo, ma na sobie kilka warstw odzieży, bardzo przy tym brudnej. (To też ma swoje uzasadnienie: J. ustalił doświadczalnie, że w *bardzo* brudnej odzieży wszy i pchły już się nie rozmnażają — niejako z obrzydzenia. Dlatego bieliznę spodnią zrobił sobie J. z brudnych ściepek, wyrzuconych z warsztatów).

Oto więc jego wygląd: sukienna, budionnowska pikielhauba z czarnym ogarkiem tam, gdzie był szpic, cała zresztą poprzypalana. Do czarnych z brudu nauszników czapki przylgnęły kłaczki siana i pakuł. Ma na sobie coś w rodzaju okrycia; z grzbietu i boków zwisają oddarte jęczory. Łata na łacie. Jeden bok cały w smole. Wata z podbicia wisi frędzlami u dołu. Oba rękawy rozprute są po same łokcie i kiedy dochodzią podnosi ręce — rozwiewają się jak skrzydła nietoperza. Na nogach ma łódkowate chodaki, sklezione z czerwonych gum samochodowych.

Po co mu tyle grubych szmat? Po pierwsze — lato jest krótkie, trzeba wszystko zachować aż do zimy, a jak upilnować, jeśli nie na własnym grzbiecie? Po drugie — a to jeszcze ważniejsze — tak jest mu miękcej, to są jakby poduszki, które oszczędzają mu bólu przy biciu. Bo bity jest i kopany, a siniaków jednak nie ma. To jedyna jego tarcza. Trzeba tylko uprzedzić cios, paść w porę na ziemię, podciągnąć kolana pod brzuch, przygiąć głowę do piersi i objąć ją ramionami w opancerzonych wata rękawach. I wtedy można go już łać, ciosy padają na miękki podkład. A po to, by nie być bitym długo, trzeba dać bijącemu satysfakcję, poczucie, że wygrał. W tym celu J. nauczył się krzyżeć już po pierwszym szturchańcu, kwiczeć, jak prosię, chociaż wcale bólu nie czuje. (W obozie przecież bardzo się lubi bić słabszych, lubią to nie tylko funkcyjni i brygadziści, ale również zwyczajni zecy, aby poczuć, choć na chwilę, że jest ktoś jeszcze słabszy od nich. Co robić, jeśli ludzie nie potrafią uwierzyć we własną siłę bez znęcania się nad innymi?).

J. uważa obrany przez siebie sposób bycia za zupełnie znośny i rozsądny, a ponadto — nie zostawiający plam na sumieniu! Toć nikomu nie robi żadnej krzywdy.

Ma nadzieję, że uda mu się w ten sposób dożyć do końca kary.

Wywiad z dochodziągą tu możemy zakończyć.



W przesławnej naszej ojczyźnie, gdzie *od lat przeszło stu* nie publikuje się pism Czaadajewa, z uwagi na jego, jakby to powiedzieć, wsteczne poglądy — nikogo już nie dziwi, że najważniejsze i najśmielsze książki nigdy u nas nie dochodzą do rąk współczesnych, że nie mogą na czas wyrzucić wpływu na myśl narodową. Również tę książkę piszę jedynie z poczucia obowiązku — jako że w moim ręku zebrało się zbyt już wiele relacji oraz wspomnień, i nie wolno pozwolić, aby zagięły. Wcale się nie spodziewam, by mogła być kiedykolwiek ogłoszona drukiem; mało jest nadziei na to, by mogli ją przeczytać ci, którzy zdołali unieść głowy z Archipelagu; nie wierzę, by mogła ona rzucić światło na prawdę naszej historii jeszcze wtedy, gdy coś można by naprawić. Właśnie gdy najbardziej pochłonięty byłem tą pracą, doznałem jednego z największych w moim życiu wstrząsów: smok znów pojawił się na chwilę, szorstkim, czerwonym ozorem zlizął z biurka moją powieść, jeszcze parę gotowych już rzeczy — i wrócił na jakiś czas za kurtynę. Ale słyszę, jak tam dyszy i wiem, że ostrzy na mnie swoje zębiska, tylko że czas jeszcze nie nastał. I z raną w duszy usiłuję zakończyć to moje studium, aby chociaż te stronicie uchronić przed smoczymi kłami. Właśnie wtedy, gdy Szołochow, który dawno już przestał być pisarzem, wyjechał z kraju więzionych i zadręczonych pisarzy po swoją nagrodę Nobla — ja starałem się kurczowo zmylić szpiclów, znaleźć jakieś schronienie i zyskać na czasie, aby zdyszany piórem, po kryjomu, zakończyć tę oto księgę.

To tylko dygresja, a właściwie chciałem powiedzieć tylko, że najważniejsze książki u nas nie docierają do współczesnych i wcale nie jest wykluczone, że niepotrzebnie powtarzam to, co kto inny już zrobił i że mógłbym zwięźle ująć ten temat, gdybym znał pracę jakichś innych tajnych badaczy. Ale w ciągu siedmiu lat dychawicznej i mizernej wolności to i owo jednak wyszło na jaw, samotny pływak, ledwie potrafiący utrzymać głowę nad falami, dojrzał o bladym świetle jakąś inną głowę wśród morskiej toni — i krzyknął ochryple. Tak właśnie poznałem sześćdziesiąt obozowych opowiadań Szałamowa i jego studium o knajakach.

Chcę tu podkreślić, że wyjąwszy kilka spraw szczegółowych, nigdy nie było między nami żadnych różnic w ogólnej ocenie Archipelagu. Na całe życie tameczne mieliśmy pogląd w zasadzie identyczny. Szałamowa droga przez obóz była dłuższa i cięższa, niż moja i stwierdzam z całym szacunkiem, że właśnie jemu, nie zaś mnie pisane było dotrzeć aż do samego dna bestialstwa i rozpaczki, na które spychał nas cały tryb życia w obozie.

Nie odbiera mi to jednak prawa do odmiennego zdania



w kwestiach spornych. Jedną z tych kwestii jest stosunek do obozowego sanitariatu. O każdej z obozowych instytucji Szalamow mówi z nienawiścią i złością (i ma rację!) — i tylko dla sanitariatu robi wyjątek, moim zdaniem stronniczy. Podtrzymuje w ten sposób — a może tworzy — legendę o istnieniu jakiejś oazy dobra w obozie. Twierdzi on, że wszyscy w obozie są wrogami zeka, ale jest też lekarz — i że on jeden może więźniowi pomóc.

Ale to, że *może* pomóc — jeszcze nie znaczy, że istotnie pomaga. *Może* pomóc — jeśli tylko zechce — również kierownik robót, planista, księgowy, magazynier, kucharz, dyżurny w bloku, każdy funkcyjny — a czy wielu z nich pomaga?

Nie wykluczone, że przed 1932 rokiem, kiedy sanitariat obozowy jeszcze podlegał Komisarjatom Zdrowia, lekarze mogli być lekarzami. Ale w 1932-gim znaleźli się oni w wyłącznej gestii GUŁagu, i odtąd jedno tylko mieli zadanie: pomagać w gnębieniu zeków i być ich grabarzami. Nie mówiąc więc o budujących wyjątkach i dobrych lekarzach — zastanówmy się, kto tolerowałby istnienie sanitariatu na Archipelagu, gdyby nie służył on wspólnemu celowi?

Gdy administrator i brygadzysta leją dochodiagę za odmowę pójścia do pracy — i to tak, że musi wylizywać się z ran jak pies, że dwie doby leży w karcerze nieprzytomny (Babicz), że dwa miesiące nie może później spełznąć z pryczy — czy to nie sanitariat właśnie (1 OŁP Dżydinskih obozów) odmawia protokolarnego stwierdzenia faktu pobicia, a później — odmawia nawet leczenia?

A któż, jeśli nie sanitariat firmuje każdy rozkaz wsadzenia więźnia do karceru? (Zauważmy zresztą, że ten podpis lekarza nie tak znów bardzo potrzebny jest zwierzchności. W obozie opodal Indygirki był felczerem („lepignatem” — ten termin nie przypadkiem przyjął się w obozach!) wolniak S. A. Czebotariow. Nie kontrasygnował on ani jednego zlecenia komendanta z OŁP'u na wtrącenie więźnia do karceru, ponieważ był zdania, że do takiej kabaryny nawet psa nie wolno wsadzić, a co dopiero człowieka: piec grzał tylko strażnika w korytarzu. No i cóż, wsadzano tam ludzi, obchodząc się bez jego podpisu).

Gdy ginie zek, na skutek braku urządzeń ochronnych przy pracy, z winy kierownika robót, albo majstra — któż, jeśli nie felczer i sanitariat wystawiają protokół, że zmarł on na zawał serca? (Tym samym — można obejść się bez technicznych zmian i jutro zginą inni. Bo jak nie, to felczer też pójdzie nazajutrz do łopaty! Albo nawet sam lekarz).

Gdy nadchodzi raz na kwartał przegląd komisyjny — ta parodia ogólnego lekarskiego oglądu wszystkich mieszkańców obozu — gdy każdy z nich zostaje zakwalifikowany do CPF, SPF, LPF i IPF (ciężka — średnia — lekka — indywidualna praca fizyczna) — czy bardzo sprzeciwiają się zacni lekarze złemu naczelnikowi sanitariatu, który tylko dlatego siedzi na swoim stołku, że dba o dostawy siły roboczej do najcięższych prac fizycznych?

A może sanitariat okazał miłosierdzie choćby tym, co poświęcili jakąś część swego ciała, aby uratować resztę? Wszystkim znane jest prawo, wedle którego w ogóle *nie udziela się pomocy lekarskiej* tym, którym dowiedziono samookaleczenie, celowe odrażanie palców, tym co *przyprawili się*. Prawo wydała administracja, ale kto *nie udziela pomocy*? Lekarze... Zapalnik wybuchł komuś w rękę, urwał cztery palce, człowiek przychodzi do szpitalika, ale nawet bandaża mu nie dadzą; idź precz, zdychaj, psie! Jeszcze na Wołgokanale, w epoce powszechnego entuzjazmu i masowego współzawodnictwa, nagle, i nie wiadomo dlaczego (?) zaczęły mnożyć się wypadki samouszkodzeń. Rychło znalazło się wyjaśnienie: wróg klasowy nie śpi. Więc co? — może takich też leczyć?... (Rzecz jasna, wszystko tu zależy od sprytu desperata: można tak przyprawić się, że nikt tego nie dojdzie. Arns Bernsztejn oparzył sobie rękę wrzątkiem umiejętnie — przez szmatkę — i w ten sposób zachował życie. Inny znów potrafi odmrozić sobie z ręcznic dłoń, pracując bez rękawicy, albo nasika do walonek przed wyjściem na mróz. Ale nie wszystko da się przewidzieć: często wdaje się gangrena, a to już pewna śmierć. Czasem pomoże sobie człowiek bezwiednie: niegojące się rany chorego na szkorbut Babicza uznano za wrzody syfilityczne; z braku laboratorium analizy krwi nie zrobiono, facet z radością zęgał, że chorował na syfilis wraz z całą rodziną. Przeniesiono go do zony dla weneryków i w ten sposób śmierć jego została odroczone).

A może sanitariat zwolnił kiedykolwiek z pracy każdego, kto danego dnia naprawdę był chory? Czy nie wypędzano co dzień poza zonę całej masy ciężko chorych ludzi? Bohatera narodowego i koronnego komika plemienia zeków, Piotra Kiszkin, lekarz Sulejmanow nie przyjął do szpitala tylko dlatego, że biegunka pacjenta nie odpowiadała normie: żeby koniecznie co pół godziny i koniecznie z krwią. Wówczas — przy wymarszu kolumny do roboty Kiszkin sobie *usiadł*, ryzykując, że zostanie zastrzelony. Ale konwój okazał się litościwszy od lekarza: zatrzymał przejeżdżającą ciężarówkę i odesłał Kiszkin do lazaretu. Zaraz mi ktoś odpowie, że sanitariat był ograniczony narzuconym z góry odsetkiem, przewidzianym dla grupy „C” — chorych hospitalizowa-

nych i ambulatoryjnych<sup>9</sup>. Usprawiedliwienia zawsze się znajdują, ale też nie ma sposobu — aby wymazać okrucieństwo, nie zrównoważy go powtarzanie, że „za to komuś innemu” w tym samym czasie oddano jakąś przysługę.

Tu trzeba przypomnieć też przeraźliwe obozowe szpitaliki — jak ten lazaret 2-ego podobozu w Krywoszczekowie: maleńka izba przyjęć, klozet i izba chorych. Klozet cuchnie i zatrzuwa powietrze w szpitalu, ale czy o to tylko chodzi? Leży tu na każdej pryczy po *dwóch* chorych na biegunkę, to samo na podłodze między łózkami. Ci, co już opadli z sił, robią pod siebie w pościeli. Ani bielizny, ani lekarstw (1948-49). Kieruje szpitalem student III-ego roku medycyny (siedzi z art. 58), desperuje, ale nic pomóc nie może. Sanitariusze, odpowiedzialni za karmienie chorych — chłopcy na schwał dobrze odżywione: obżerają chorych, kradną z ich szpitalnej pajki. Kto im dał te dochodowe funkcje? Na pewno k u m. Student nie miał dosyć siły, aby ich przepędzić i uratować dla chorych ich przydział żywności. A czy każdy lekarz znajdował siły do tej walki<sup>10</sup>?

A może w którymś obozie sanitariat mógł wywalczyć dla więźniów jakiś ludzki wikt? No, choćby po to, aby nie podziwiać wieczorami tych „brygad kurzej ślepoty” — wracających z pracy łańcuszkiem, bo niewidomi z awitaminozy ludzie musieli trzymać się poły tego, co na przedzie? Ale skąd. Jeżeli jakimś cudem dochodziło do polepszenia jakości wikt — to chyba z inicjatywy administracji od produkcji, gdy zależało jej na sprawnych robotnikach. A sanitariat nic tu nie mógł poradzić.

Nikt nie powinien winić o to wszystko lekarzy (choć często niezbyt odważnie opierali się samowoli, bojąc się przeniesienia na roboty ogólne), ale nie ma też miejsca dla legendy o zbawczym sanitariacie. Jak każda instytucja obozowa, także służba zdrowia jest też diablił pomiotem i diabelską juchę ma w żyłach.

---

9. Lekarze omijali ten przepis gdy tylko była okazja: w Symskim OŁP urządzono półlazaret: dochodził leżeli na swoich waciakach, pracowali przy sprzątaniu śniegu, ale wikt dostawali szpitalny. Wolny naczelnik sanitariatu, A. M. Statnikow, omijał przepis dotyczący grupy „C” w taki sposób, że zredukował do minimum lazarety w zonach roboczych, za to tworzył i powiększał podobozy szpitalne, to znaczy, składające się wyłącznie z chorych. W oficjalnych dyrektywach GUŁagu powtarzano nawet czasem, by „starać się o polepszenie stanu fizycznego aresztantów” — tylko że nie dawano na ten cel żadnych środków. Ale już zawiłość sposobów, do których uczciwi lekarze musieli się uciekać, jest dowodem, że sanitariat nie był w stanie hamować procesu zagłady.

10. Dostojewski bez kłopotu znajdował miejsce w lazarecie. I cała służba zdrowia na ich katordze była wspólna dla więźniów i dla konwoju. Oto, co znaczy zacofanie!

Kontynuując swój przewód myślowy, Szałamow powiada, że więzień może w obozie liczyć tylko na pomoc ze strony lekarzy, nie może zaś liczyć na własną pracę, nie powinien nigdy spodziewać się, że coś z niej będzie miał, bo to najkrótsza droga do mogiły. „W obozie nie mała pajka ludzi wykańcza, tylko duża”.

Słuszne to przysłowie: większa pajka przyznawana przodownikom, ludzi gubi. Najsilniejszy drwal wykańcza się w ciągu jednego sezonu przy wytaczaniu ściętych pni. Wówczas przyznany zostaje mu statut tymczasowego inwalidy: 400 gramów chleba i najgorszy kocioł. Zimą większa ich część umiera (no, powiedzmy 725-ciu na 800). Pozostali przenoszani są do „lekkich prac fizycznych” i umierają nieco później.

Ale jakież jeszcze inne wyjście można wskazać Iwanowi Deni-sowiczowi, jeśli nie może on zostać ani felczerem, ani sanitariuszem, jeśli nie dają mu nawet jednego dnia lipnego urlopu? Jeśli za mało ma wykształcenia, a za dużo sumienia, aby zostać *prydukiem* w zonie? Czy może liczyć na cokolwiek innego, niż na własne ręce? Na Ośrodek Wypoczynkowy (OP)? Na samo-okałeczenie? Na spisanie na straty?...

Niechże sam o tym opowie, przecież o wszystkich tym już myślał, czasu miał dość.

„OP — to rodzaj obozowego domu wczasowego. Dziesiątki lat zek haruje bez żadnego urlopu, więc naści — OP na dwa tygodnie. Jedzenie jest tam o wiele lepsze, nie trzeba chodzić do roboty poza zonę, a w samej zonie — tylko trzy, cztery godziny łatwej pracy: kruszenie żwiru, sprzątanie zony, remonty. Jeśli w obozie siedzi pięciuset ludzi — to OP obliczone jest na piętnastu. Gdyby postępowano sprawiedliwie — to w ciągu roku z górą — wszyscy by się przez ten OP przewinęli. Ale że w obozie nie ma żadnej sprawiedliwości, więc OP też nie jest wyjątkiem. Otwierają taki OP chyłkiem, że czujny pies nawet nie szczeknie, ze spisem gotowym zawczasu już na trzy turnusy — i zamykają go też migiem, czasem nawet pół roku nie minie. A leżą tam jeden przez drugiego, sami księgowi, fryzjerzy, szewcy, krawcy — cała arystokracja. Prawdziwych zaś robotników przyjmują tylko paru na okrasę, że niby, najlepsi przodownicy też mają dostęp. I jeszcze ci krawiec Berenblum kładzie w uszy taką mowę: uszyłem ja jednemu wolniakowi pelisę i za nią tysiąc rubli gotówką wpłynęło do kasy obozu, a ty, głuptasie, cały miesiąc przetaczasz pnie i obóz za to nawet stu rubli zysku nie ma — więc kto z nas lepszy przodownik? komu się OP należy? I tak człowiek chodzi — tylko o jednym myśląc: jak by też

w tym OP się znaleźć, żeby chociaż chwilę tam przycupnąć, a tu patrzeć — i już po nim, już zamknięty, ani śladu. I nawet tej pociechy nie ma, żeby w twoich aktach jakiś ślad został — że w takim a takim roku nagrodzono cię tym pobytem w OP; toć tyłu tu księgowych i nic, tylko coś piszą. Ale nie, o tobie nie napiszą. Bo im się nie opłaca. Za rok — znów otworzą OP i znów ten krawiec będzie w pierwszym turnusie, a tobie znów sprzed nosa umknie. Przez te dziesięć lat przepchną cię przez dziesięć obozów, w dziesiątym już będziesz błagać, żeby chociaż raz pozwolono ci zajrzeć do tego OP, zobaczyć, jakie tam ściany, czym bielone, boś ani razu nie był — a jak tego dowieść?...

Nie, już lepiej nerwów sobie nie psuć.

Co innego — przypawić się, trochę pokaleczyć, tak — żeby zostać inwalidą, ale jednak żywym. Jak to mówią — minutę człowiek pocierpi, a rok może pajacować. Ot, złamać nogę, żeby zrosła się krzywo. Pić słoną wodę, żeby spuchnąć. Albo palić herbatę — to szkodzi na serce. Albo pić wywar z tytoniu — bardzo dobrze szkodzi na płuca. Tylko wszystkiego w miarę, żeby nie za bardzo się przypawić i zamiast inwalidą nie zostać od razu nieboszczykiem. Ale kto zna miarę?...

Inwalida to ma dobrze: może się urządzać w kotłowni, albo go pošlą do plecienia łapci. Ale najważniejsza rzeczy, jaką mądry człowiek może zyskać, gdy zostanie inwalidą — to spisanie. Tylko to spisywanie też idzie falami, gorzej, niż OP. Zwołuje się komisję, robi się przegląd wszystkich inwalidów i tych najgorszych wciąga się do spisu: dnia takiego, a takiego ten a ten uznany został ze względu na stan zdrowia za niezdolnego do dalszego odbywania kary, wnosimy o zwolnienie wyżej wymienionego.

Wnosimy! — to wszystko. Zanim ten protokół pójdzie po drabinie służbowej w górę, zanim później sfrunie w dół — tymczasem człowiek może spokojnie odwalić kite, nieraz już tak bywało. Naczalstwo jest cwane, spisuje na straty takich, co to i tak za miesiąc poszliby do piachu<sup>11</sup>.

Albo takich, co dobrze zapłacą. Siedziała tu jedna, z tej samej sprawy, co Kalikmanowa. Ukradła pół miliona, sto tysięcy dała w łapę — i już dawno wyszła na wolność. Nie to, co my.

W naszym baraku była taka książka, studenci w swoim kącie czytali ją na głos. Jeden facet w tej książce zdobył milion i nie wiedział, co z nim począć przy sowieckiej władzy — że niby

---

11. W opowiadaniu O. Wołkova „Dziady” — „spisani” w ten sposób starcy zostają wyrzuceni z obozu, ale jako że nie mają dokąd iść — rozkładają się biwakiem zaraz za wrotami, żeby tam skonać — już bez pajki i dachu nad głową.

nic za to kupić się nie da i wprost z głodu można zdechnąć, siedząc na tym milionie\*. Myśmy też się śmieli; do kogo ta mowa, myśmy tu niejednego takiego milionera odprowadzali za wrota. Tylko zdrowia, bo to już zrządzenie boskie, nie można kupić nawet za milion, a wolność można kupić, i władzę, i ludzi ze wszystkimi bebechami. Milionerów na wolności nakociło się, że daj Boże, tyle tylko że nie stoją na widoku i rękami nie machają.

Tylko Pięćdziesiątki Ósemki się nie spisuje. Od czasu, jak obozy istnieją, trzy razy zaczynano spisywać inwalidów z Dziesiątego Punktu tego artykułu, ale zawsze po jakimś miesiącu przerywano. I łapówki też nikt nie weźmie od nich, od wrogów ludu — bo to jakby własną głowę sprzedać. Zresztą, skąd do nich forsa, toć to polityczni...

— O kogo chodzi, Iwanie, jacy to „oni”?

— No dobra, my..



Ale istnieje pewien rodzaj *przedterminowego zwolnienia*, którego żaden błękitny kaszkiet nie potrafi pozbawić więźnia. Jest to śmierć.

Trupy są też zasadniczym, najbardziej stałym i nie normowanym przez nikogo produktem Archipelagu.

Między początkiem jesieni 1938 a lutym 1939 roku w jednym z podobozów Ust'-Wymu z 550 więźniów zmarło 385. Niektóre brygady wymarły do nogi, razem z brygadzystami (Ogurcew). Jesienią 1941-ego załoga Pieczorłagu (kolejowego) składała się z 50.000 ludzi. Wiosną 1942 liczyła tylko 10.000. *Przez ten cały czas nie wysłano z obozu ani jednego transportu — gdzie więc podziało się czterdzieści tysięcy?* Podkreśliłem kursywą słowo „tysięcy” — dlaczego właściwie? Dowiedziałem się tej liczby przypadkiem, od zeka który w tym czasie miał dostęp do statystyk — ale nigdy się człowiek nie dowie i nie podsumuje cyfr, odnoszących się do wszystkich innych obozów i wszystkich pozostałych lat. W centrali obozu Buriepołom w barakach dla *dochodiagów*, w lutym 1943 roku z pięćdziesięciu ludzi umierało w ciągu nocy czasem dwunastu, nigdy mniej, niż czterech. Rankiem na ich miejsce przychodziły nowe półtrupcy, ludzie marzący o tym, by tu odpocząć wreszcie i nasycić się rzadką wodzianką i czterystu gramami chleba.

Zwłoki, wyschłe na wiór od pellagry (bez pośladek, kobiety — bez piersi), albo tknięte zgnilizną szkorbutu — poddawane

\* Chodzi o „Złotego cielca” Ilfa i Pietrowa.

były kontroli w budzie kostnicy, lub nawet pod gołym niebem. Czasem, choć rzadko kontrola ta przypominała prawdziwą sekcję — podłużne cięcie od grdyki aż do wżgórka łonowego, przerąbanie golenia, otwarcie szwu kostnego na ciemieniu. Najczęściej nie prosekator, lecz konwojent *sprawdzał* po swojemu, czy zek naprawdę skonał, czy tylko udaje. Przekłubał w tym celu tułów bagnetem, albo dużym młotem rozbijał czaszkę. Zaraz też do wielkiego palca prawej nogi przyczepiało się metkę z numerem akt, pod którym zmarły figurował w ewidencji więziennej.

Niegdyś chowano więźniów w bieliźnie, później w najgorszych, brudno-szarych sortach ostatniego rzędu. Wreszcie wydano instrukcję, by nie szastać odzieżą (zawsze może się jeszcze przydać dla żywych) i chować zmarłych nago.

Panowało niegdyś w Rosji przekonanie, że zmarły nie może obejść się bez trumny. Najostatniejszego z poddanych, żebraka, czy włóczęgę też do trumny kładziono. Katorżnicy z Akatuja i Sachalinu też mogli liczyć na własną trumnę. Ale na Archipelagu powodowałyoby to milionowe i nieopłacalne straty, równałoby się marnotrawieniu drewna i pracy. Już po wojnie, w obozie Inta, pochowano w trumnie pewnego zasłużonego majstra kombinatu tartacznego: oddział KO zalecił wówczas wykorzystanie tego faktu dla celów agitacyjnych: pracujcie wydajnie — *a też doczekacie się pochówku w prawdziwej, drewnianej trumnie!*

Trupy wywożono furmanką albo saniami — zależnie od pory roku. Czasem dawano dla wygody skrzynię, mieszczącą sześciu umarłaków, a gdy wieziono luzem — wiązano im ręce i nogi sznurkami, aby się nie majdały. Potem można już było zwałać zwłoki na wóz, jak kłody; przyrzucano je rogożą i hajda. Jeśli był na zbyciu ammonal\* to specjalna brygada grabarzy drążyła z jego pomocą leje w zmarłym gruncie. Bo inaczej trzeba było kopać ręcznie. Mogiły zawsze były zbiorowe: duże jamy dla większych partii zwłok, albo płytkie dołki na czterech. (Wiosną z tych dołków szedł cuch na cały obóz, posyłało się wtedy dochodiagów, żeby groby pogłębić).

Za to nikt nie śmie nam zarzucić stosowania komór gazowych.

Gdzie był na to czas — na przykład w obozie Kengir — tam na kurhankach stawiano słupki i nie byle kto, tylko sam przedstawiciel Działu Ewidencji z powagą uwieczniał na nich numery inwentarzowe pochowanych. Zresztą — tam zdarzył się też wypadek szkodnictwa: ktoś z więźniów wskazywał przyjeżdżającym matkom i żonom, gdzie jest cmentarz. Szły więc tam i pła-

\* Materiał wybuchowy.



kały. Wówczas komendant Steplagu, towarzysz pułkownik Cze-  
czew, rozkazał buldożerami zwalić słupki i zrównać z ziemią  
kurhanki, skoro nie umieją takich rzeczy cenić...

Tak właśnie pochowany jest twój ojciec, twój mąż, twój syn,  
czytelniczko.

Tu kończy się droga tubylca, taki jest koniec jego egzystencji.  
Zresztą — Paweł Bykow zwykł mawiać:

— Póki nie minęły 24 godziny po śmierci — nie myśl jeszcze,  
że to koniec.



No, Iwanie Denisowiczu, cośmy to jeszcze zapomnieli powie-  
dzieć? O naszym życiu codziennym?

— „Uuu! Toć jeszcześmy nie zaczęli nawet! Trzeba by tyleż  
lat gadać, ileśmy się nasiedzieli. Jak człowiek w marszu pochy-  
lił się, żeby podnieść peta, a tu konwojent — pif, paf!<sup>12</sup>... Jak  
inwalidzi w kuchni żarli surowe kartofle: po ugotowaniu już  
byłoby za późno... Jak w obozie herbata zastępuje pieniądze.  
Jak się pije *czyfir* — pięćdziesiąt gramów herbaty na szklanke  
i jakie to się ma widzenia. Tyle, że na to mogą sobie pozwolić  
tylko urki pierwszej klasy — bo kupują herbatę u wolniaków  
za kradzione pieniądze...

W ogóle — jak zek żyje?... Jeśli nie potrafi kręcić biczów  
z piasku, to nie dożyje do końca kary. Zek nawet we śnie musi  
obmyślać sobie sposób na przeżycie następnego dnia. Jeśli coś  
sobie wykombinował, jeśli znalazł jakiś wybieg, to niech lepiej  
milczy o tym! Milcz, bo jak sąsiedzi się dowiedzą — to zadcpczą  
człowieka. W obozie tak już jest: i tak dla wszystkich nie star-  
czy, bacz, żeby dla ciebie starczyło.

To wszystko prawda, ale przyznać trzeba, że ludzkim obyczaj-  
em również w obozie zdarza się prawdziwa przyjaźń. Nie tylko  
taka — co to bierze się ze starego koleżeństwa, albo ze wspólnej  
sprawy — tylko nowa, tutejsza. Odnalazły się bratnie dusze i  
nie mają przed sobą tajemnic. Zawsze razem. Jak co mają —  
to się dzielą, jak czego nie starcza — to też po połowie. Pajka  
— to sprawa życia i śmierci, owszem — tę to już każdy osobno  
pobiera, ale co się uda zdobyć na dokładkę — to już gotują  
w jednej menażce i razem to jedzą<sup>13</sup>.

12. Za czasów Dostojewskiego wolno było wyjść z szeregu po jałmużnę.  
W marszu więźniowie rozmawiali i śpiewali sobie.

13. Nie wiedzieć czemu, na katordze przez którą przeszedł Dostojewski  
„wśród więźniów przyjaźń nie kwitła”, nikt nie jadł ze wspólnej miski.

Koleżeństwo takie trwa czasem krótko, a czasem — bardzo długo... Bywa szczere, ale bywa też obłudne. Między takich kumpli lubi wciskać się kum. Nad wspólnym kociołkiem, szeptem, mówi się przecież o wszystkim.

Starzy więźniowie nieraz powtarzają, zaś byli jeńcy znają niejeden taki przykład: ten właśnie cię zdradzi i sprzeda, kto jadł z tobą z jednej miski.

W tym też jest sporo prawdy...

Ale najlepsza to rzecz — mieć nie przyjaciela, lecz przyjaciółkę. Obozową żonę, zeczkę. Jak to mówią — ochajtnąć się. Młodemu to dobrze, przydybie ją w jakimś kącie, ulży sobie i od razu mu weselej. Ale nawet staremu, słabemu, też to dobrze robi. Człowiek coś tam zorganizuje, dorobi sobie na boku, a ona upierze mu bieliznę, przyniesie do baraku, położy tę czystą koszulę pod poduszkę; nikt się nie zaśmieje — sprawa *regularna*. Kobieta ugotuje, siadacie razem na pryczy, jecie sobie. Nawet staremu człowiekowi takie obozowe małżeństwo bywa miłe, chociaż letnie toto, z goryczką. Spoglądasz na nią poprzez parę, co bije z menażki — twarz ma już w zmarszczkach; ty też nie lepszy. Oboje nosicie szare, obozowe łachmany, wasze waciaki upaprane są rdzą, gliną, wapnem, alabastrem, towotem. Nigdyś jej przedtem nie widział, nie znasz jej stron rodzinnych i mówi ci ona nie tak, jak nasze baby. Ma dzieci gdzieś tam w świecie, ty też masz swoje. Ma swojego męża, co teraz za babami lata, ty też zostawiłeś żonę, nie bój się, nie traci czasu: osiem lat, dziesięć lat, żyć każdy lubi. A ta tutejsza, obozowa — dźwiga te same łańcuchy, co ty i jakoś się nie skarży.

Żyjemy — nie tak, jak inni: umrzemy — nie tak jak ojcowie nasi..

Do niektórych przyjeżdżały w odwiedziny własne żony. W pewnych obozach (też zależnie, jaki był komendant) pozwalano ludziom posiedzieć z nimi dwadzieścia minut na odwachu. A czasem — pobyć jedną, czy drugą noc w osobnej chałupce. Jeżeli człowiek wyrabiał 150 procent normy. Ale przecież te spotkania — to tylko jedno jątzenie, nic więcej. Po co dotykać jej, po co w ogóle z nią gadać, jeżeli jeszcze całe lata i lata nie ma człowiek z nią żyć? Chłopom jakby się w oczach dwoiło. Z obozową żoną — jakoś prościej: jeszcze kubek kaszy mamy w zapasie; podobno w przyszłym tygodniu będą wydawać palony cukier. A pewno, że nie biały, gady... Do ślusarza Rodiczewa przyjechała żona — a właśnie poprzedniego dnia jakaś szafasówka ugryzła go w szyję jak się gziłi. Rodiczew aż zaklął, kiedy dowiedział się o przyjeździe żony, polecił do lecznicy, żeby sobie siniak zabandażować; powiem babie — że przeziębienie.

A baby w obozie — jakie też są? Są knajaczki, są puszczałskie, są polityczne, ale najwięcej to jest tych potulnych, co to skazano je na mocy Rozporządzenia. Chodzi o Rozporządzenie o walce z zaborem i przywłaszczeniem mienia państwowego. Kogo podczas wojny i po wojnie pełno było we wszystkich fabrykach? Bab i dziewczuch. A kto utrzymywał rodziny? Też one. A jak tu utrzymać rodzinę za te kopiejki? Prawo nie dla głodnego pisane. Więc każda stara się coś zwędzić: wynoszą śmietanę w kieszeniach, bułki między udami, okręcają się w pasie pończochami, albo jeszcze lepiej: przyjdzie do fabryki w samych trzewikach, weźmie nowe pończochy, wybrudzi je, wtedy dopiero wkłada na nogi, w domu je upierze i jazda na rynek. Każda bierze to, co akurat ma na warsztacie. Szpulki nici wynosi się między pierściami. Wartownicy — wszyscy przekupieni — też muszą jakoś żyć, więc obmacują byle jak. Ale kiedy straż przemysłowa nagle robi kontrolę — to za tę zasraną szpulkę — 10 lat! Dokładnie tyle, co za zdradę kraju! I całe tysiące bab wpadło przez te szpulki.

Co się z tego ma, to zależy od rodzaju roboty. Nastka Gurkina — ta miała fart, pracowała przy wagonach bagażowych. Wzięła na rozum: nasz człowiek, sowiecki, wszystkiego się czepia, ścierwo, o byle ręcznik gotów oczy wydrapać. Dlatego sowieckich walizek nawet nie tykała, szukała tylko zagranicznych. Taki zagranicznik, powiadała, nie sprawdzi nawet co tam w środku, a jak się spostrzeże poniewczasie, to też nie będzie pisał żadnych tam skarg — tylko plunie: ale żuliki, ci Rosjanie! — i bez krzyku posunie do domu.

Stary buchalter, Szytariw, wciąż to Nastce wypominał: „Jak ci nie wstyd, ty sztuko mięcha bezduszna! A pomyślałaś, jak ty honor Rosji plamisz?!”. A Nastka nie została mu dłużna: „Kij ci w gardło, żebyś się nie garbił! Dużoś ty dbał o zwycięstwo tej honornej Rosji? Panów oficerów rozpuściłeś jak ogierów, żeby za babami mogli latać”. (A ten Szytariw był podczas wojny księgowym w szpitalu, oficerowie dawali mu w łapę przy wyjściu, a on im za to wypisywał zaświadczenia, że leczenie trwało dłużej, żeby sobie mogli skoczyć do domu przed powrotem na front. Sprawa poważna. Skazano go na rozstrzelanie, później zamienili mu na dychę).

Samo przez się, siedziały też różne niebożęta. Jedna taka dostała piątała za oszustwo: mąż jej umarł w połowie miesiąca, nie oddała od razu jego kartki na chleb, tylko do pierwszego jeszcze z niej korzystała, razem z dwojgiem dzieci. Sąsiedzi donieśli na nią, przez zawiść. Odpękała cztery lata, rok jej darowano, bo amnestia.

A tak też bywało: bomba rozwaliła cały dom, zabiła żonę i dzieci, a mąż jakoś się uratował. Wszystkie kartki się spaliły, ale chłop był jak bez głowy i całe 13 dni do końca miesiąca ani myślał o chlebie, nie prosił też o nowe kartki. Więc go oskarżono: te wszystkie kartki miał, tylko schował. Dostał trzy lata. Odsiedział półtora.

— Chwileczkę, chwileczkę. Iwanie, innym razem o tym pogadamy. Powiadasz więc — przyjaciółka? Ochajtnąć się?... Bo te same łańcuchy dźwiga — a wcale się nie skarży?...

## Rozdział ósmy

### KOBIETA W OBOZIE

Jak mógł człowiek nie myśleć o nich jeszcze podczas śledztwa? — przecież siedziały w sąsiednich celach! W tym samym więzieniu, poddane tej samej dyscyplinie! Jak też mogły — one, tak słabe, wytrzymać to nieznośne dochodzenie!?

Korytarze są głuche, nie usłyszy człowiek ani ich kroków, ani szelestu sukien. Ale oto butyrski klucznik pomarudzi chwilę przy zamku, załoga męskiej celi musi czekać pół minuty pod oknami górnego, jasnego korytarza i wtedy, jeśli zerknąć w dół przez szczelinę pod blaszanym kagańcem okiennym — widać, że w zielonym ogródku, na skraju asfaltowej ścieżki stoją, jak my, w dwuszeregu, że tak samo czekają na otwarciu drzwi — niemęskie łydki i pantofelki! — tylko łydki i pantofle na wysokich obcasach! — i to jest jak nagłe, wagnerowskie tutti orkiestry w „Tristanie i Izoldzie”! — nie sposób zobaczyć nic więcej, zerknąć wyżej, już nas klawisz zapędza do celi, brniemy olśnieni i zamroczeni, już sobie dorysowaliśmy w myśli resztę, już wyobrażamy je sobie jako istoty niebiańskie i ginące z przygnębienia. Co się z nimi dzieje? Co z nimi robią?!

A tymczasem — jak się zdaje — nie jest im gorzej, niż nam, może nawet lżej to wszystko znoszą. W przekazanych mi przez byłe więźniarki relacjach o śledztwie nie znalazłem, jak dotąd, żadnych podstaw do wniosku, że terroryzowano je bardziej, albo że staczały się one duchowo niżej, niż mężczyźni. Lekarz — ginekolog N. J. Zubow, który sam przesiedział 10 lat, stale lecząc i obserwując zamknięte w obozie kobiety, twierdzi co prawda, że — z punktu widzenia statystyki — kobieta szybciej i ostrzej niż mężczyzna reaguje na uwięzienie i na jego główną konsekwencję — utratę rodziny. Jest okaleczona duchowo

wo i najczęściej powoduje to zakłócenie jej kobiecych funkcji fizjologicznych.

Mnie zaś w relacjach kobiet o śledztwie zaskakuje co innego: o jakich „drobiazgach” z punktu widzenia więzińskiego (ale wcale nie-kobiecego!) potrafiły one wtedy myśleć. Nadia Surowcewa, urodziwa i jeszcze młoda, spiesząc się na przesłuchanie, włożyła pończochy nie do pary i w gabinecie śledczego czuła skrępowanie, bo funkcjonariusz cały czas zerkał jej na nogi. A pies go trącał, pomyślałby kto, chrzan mu w zupę, przecież tu nie teatr, ponadto — Surowcewa była już nieomal doktorem (według zachodnich pojęć) filozofii i zaangażowaną działaczką polityczną — a jednak! Aleksandra Ostricowa, która siedziała na Wielkiej Łubiance w 1943-im, opowiadała mi później, już w obozie, na jakie żarty sobie tam pozwalały: to chowały się pod stołem i przerażony strażnik wpadał do celi, aby szukać tych, których się nie mógł doliczyć; to smarowały sobie policzki burakami przed wyjściem na spacer; to znów — gdy wzywano ją na przesłuchanie — toczyła z koleżankami gorące spory, czy ubrać się dzisiaj skromnie, czy włożyć wieczorową suknię? Co prawda Ostricowa była w ogóle rozpieszczona i skłonna do figłów, a ponadto siedziała w jednej celi z młodziutką Mirą Uborewicz. Ale na przykład N.J.P-a, uczona, już nie najmłodsza — wecowała sobie w celi aluminiową łyżkę. Myślicie, że w celach samobójczych? nie, żeby obciąć sobie warkocze (i w końcu tego dopięła)!

Kiedy na podwórku Krasnej Presni mogłem chwilę posiedzieć obok transportu dopiero co skazanych — podobnie, jak my — kobiet, przekonałem się ze zdziwieniem, że nie są one tak chude, wycieńczone i blade, jak moi towarzysze. Jednakowa dla wszystkich więzienna pajka i więzienne przejścia, na ogół łatwiej znoszone są przez kobiety. Nie tak prędko łamie je głód.

Ale dla nas wszystkich, a już zwłaszcza dla kobiet — więzienie, to dopiero pół biedy. Cała bieda — to obóz. Tam ją właśnie złamię, albo zegnę, stłamszą, zmuszą aby się przystosowała.

W obozie kobietom jest wiele ciężiej, niż nam. Poczynając od panującego tu brudu. Jeszcze nie dosyć było brudu na etapach i w zborniakach, teraz jeszcze ten obóz. W typowym obozie, w kobiecej brygadzie roboczej, a to znaczy — również w ogólnym baraku — nie może ona nigdy poczuć się naprawdę czystą, nie zdobędzie ciepłej wody (czasem w ogóle wody brak: w 1-szym Krywoszczekowskim podobozie zimą nigdzie nie można umyć się na terenie zony, jest tylko lód, a roztopić go nie ma gdzie).

W żaden legalny sposób kobieta nie dostanie ani gazy, ani czystych szmat. Co tam gadać o praniu!...

Łaźnia? Ba! Wizyta w łaźni to pierwszy krok w obozie — jeśli nie liczyć wyjścia z bydłowego wagonu na śnieg i przemarszu z rzeczami na grzbiecie pod strażą konwoju i psów policyjnych. W łaźni obozowej odbywa się przegląd nowego towaru. Czy jest woda w łaźni, czy jej brak, wszystko jedno — sprawdza się, czy są wszy pod pachami i w pachwinach — co pozwala fryzjerom, więc nie najniżej stojącym arystokratom zony — obejrzeć sobie dobrze nowe baby. Zaraz też przyjrzą się im pozostałe kategorie prominentów — jest to tradycja sołowiecka, tylko że tam, u kolebki Archipelagu, jeszcze się krępowano, co do obyczajów tubylczych dziś nie należy — więc oglądano sobie kobiety nierozebrane, w trakcie jakichś posług, do których je posyłano. Ale Archipelag już skamieniał i procedura stała się całkiem bezczelna. Fiodot S. i jego żona (tak właśnie los ich połączył!) wspominają teraz ze śmiechem, jak mężczyźni-prominenci stali dwuszeregiem pod ścianami wąskiego korytarza, a nowoprzybyłe kobiety defilowały przez ten korytarz na golasa, przy tym nie wszystkie naraz, tylko sztuka po sztuce. Później prominenci uzgadniali w swoim gronie komu się która należy. (Według statystyki z lat 20-tych przypadała w naszych więzieniach jedna kobieta na sześciu-siedmiu mężczyzn<sup>1</sup>. Po Dekretach z lat 30-tych i 40-tych nastąpiło tu pewne wyrównanie, nie na tyle przecież, by kobieta przestała być atrakcją, zwłaszcza — urodziwa).

W niektórych obozach dalej stosowano delikatniejszą procedurę: kobiety docierają do swojego baraku — i tu dopiero wchodzi — w nowych waciakach (w obozie każdy ubiór cały i nieupaprany jest od razu oznaką wyrafinowanej elegancji!), syci, pewni siebie i czelni prominenci. Bez pośpiechu przechadzają się między „wagonetkami”, z powagą dokonują wyboru. Przysiadają się, wszczynają rozmowy. Zapraszają „w gości”. A mieszkają przecież nie w ogólnych salach, tylko w wydzielonych parooosobowych „kajutkach”. Mają tam i kuchenki elektryczne i patelnie. Mają zawsze smażone kartofle! — szczyt marzeń ludzkich! Za pierwszym razem idzie się do nich po prostu z łakomstwa, a także po to, by mieć materiał do porównań i poznać skalę życia obozowego. Co niecierpliwi zaraz po kartoflach żądają „zapłaty”, bardziej powściągliwi — wychodzą, żeby odprowadzić i udzielają po drodze wskazówek na przyszłość. Postaraj się jakoś urządzić w *zonie*, postaraj się, miła — radzą, chwilowo jeszcze dżentelmeńskim tonem. Bo tu i czystość, i możliwość przepierki,

1. Praca zbiorowa: *Od więzień...*, str. 358.



i przyzwoite odzienie, i nietrudna robota — wszystko tu masz,, wystarczy chcieć.

W tym właśnie sensie mawia się, że kobiecie w obozie jest „łatwiej”. Istotnie, łatwiej jej zachować samo życie. Owa „nie-nawiść płciowa”, z którą dochodzią patrzy często na kobiety, co jeszcze nie wylądowały na śmietniku, podpowiada mu wniosek, że kobiecie w obozie jest łatwiej, skoro wystarczy jej mniejsza pajka i skoro zawsze ma sposób na uniknięcie głodu i śmierci. Opętanemu tylko tą jedną myślą, skrzydła głodu przesłaniają cały świat, nic innego już nie widzi.

To prawda, że są kobiety, które — także na wolności — już z natury nie mają skrupułów, gdy chodzi o zbliżenie z mężczyzną, nie bardzo przy tym wybredzając. Rzecz jasna, że przed takimi stoją w obozie otworem wszystkie łatwe szlaki. Skłonności osobiste nie poddają się wcale klasyfikacji wedle odpowiednich artykułów Kodeksu Karnego, ale chyba nie popełnimy omyłki twierdząc, że większość Pięćdziesiątki Osemki składa się nie z takich kobiet. Dla niektórych — i to od pierwszego do ostatniego dnia — ten krok wydaje się czymś gorszym od śmierci. Inne szarpia się, wahają, krępują (bo wstyd przed koleżankami też tu jest przeszkodą), a gdy się wreszcie zdecydują, gdy pogodzą się z losem — patrzeć, a tu już nie ma na takie popytu.

Bo propozycje robi się tu wcale nie każdej.

A zatem — wiele z nich zgadza się na ten sposób bycia już w czasie pierwszej doby obozowej. Bo perspektywy zbyt są czarne — a nadziei przecież nie ma żadnej. I wybór ten czynią nie tylko czyjeś żony i matki, lecz również panienki, prawie dzieci... I właśnie one, zachłyszawszy się nagą zgrozą obozowej codzienności, stają się wkrótce najbardziej wyuzdane, gotowe na wszystko.

A może ci się nie podoba? Proszę bardzo. Wdziewaj portki i waciak. I jako tułup bezkształtny, niby gruby, a w istocie wąty — marsz do lasu. Jeszcze sama się przyczołgasz, jeszcze będziesz prosić uniżenie.

Jeżeli przybyłaś do obozu w dobrej formie fizycznej i zdecydowałaś się na rozsądny krok od razu, na wstępie — to masz zapewnione na dłuższy czas miejsce w sanitariacie, w kuchni, w księgowości, w szwalni albo w pralni i lata kary przelecia ci bez szczególnych kłopotów, nieomal, jak na swobodzie. Jeśli wypadnie etap, to w nowym obozie zjawisz się też w pełni sił i już będziesz wiedziała, jak masz się zachować od pierwszej chwili. Jeden z najlepszych chwytów — to zostać służącą jakiegoś

naczelnika. Gdy przybyła do obozu dorodna i zadbana I.N., od iluś tam już lat — szczęśliwa żona wybitnego dowódcy naszych wojsk, naczelnik Działu Ewidencji natychmiast ją sobie upatrzył, wyłuskał spośród nowoprzybyłych i skierował wprost do mycia podłóg w gabinecie komendanta, co było nominacją bardzo zaszczytną. W ten sposób — I.N. zaczęła swoją odsiadkę od miękiego ładowania, dobrze rozumiejąc, że jej się powiodło.

Czy to ważne, że kogoś tam, na tamtym świecie, kochałaś i że chciałaś dochować wierności! Co komu z wierności kobiety żywcem pogrzebanej? „*Jak wyjdiesz na wolność, to kto się na ciebie obejrzy?*” — oto słowa, które wciąż się słyszy w baraku kobiecym. Starzejesz się, rysy się zaostrzają, ostatnie twoje dobre lata miną bez radości i treści. Czy nie rozsądniej będzie, jeśli postarasz się czym prędzej skorzystać nawet z tego dzikiego życia?

Upraszcza sprawę także to, że nikt tu nikogo nie potępia. „Tu wszyscy takie życie prowadzą”.

Ostatnie skrupuły rozwiewają się gdy pomyślisz — że życie i tak nie ma już dla ciebie żadnego sensu i celu.

Te, które nie od razu się poddały — albo pójdą same po rozum do głowy, albo już je tam ktoś rozumu nauczy. Najbardziej uparta też w końcu znajdzie się w jakiejś sytuacji bez wyjścia — i jeśli tylko jest przystojna — to ktoś już sytuację wykorzysta: poddaj się!

W oboziku za rogatką Kałużską (w Moskwie) była wśród nas harda dziewczyna, niejaka M., strzelec wyborowy w randze lejtnanta, piękna, jak królewna z bajki — pąsowe wargi, łąbodzi wdzięk, krucze włosy<sup>2</sup>. Upatrzył ją i postanowił kupić sobie stary, brudny, opasły magazynier Izaak Berszader. Wygląd jego mógł budzić wstręt — a już na pewno w tej dziewczynie, tak urodziwej i prężnej — zwłaszcza po paru latach ostatnich, które przeżyła z tak mężnym rozmachem. On przypominał zmurszały pieniek — ona — smukłą topolę. Ale tak ją osaczył, że nie mogła już odetchnąć swobodnie. Nie tylko, że posłał ją na roboty ogólne, do łopaty (wszyscy prominenci działali solidarnie i pomagali mu w tej obławie) nie tylko wystawił na ataki zwierzchności (bo naczałstwo też siedziało u niego w kieszeni), ale zagroził, że wsadzą dziewczynę do najdalszego i najgorszego transportu. I oto pewnego wieczoru, kiedy w obozie pogasły już lampy, sam widziałem, jak wśród bladej szarości, bijącej od śniegu

---

2. W mojej sztuce występuje ona jako Grania Zybina, ale w tekście dramatu spotkał ją los lepszy, niż w życiu.

i nieba M. wymknęła się jak cień z baraku kobiecego i z opuszczoną głową zapukała do budki chciwego magazyniera. Wkrótce potem była już niezłe urządzona i została w zonie.

M.N., kobieta w średnim wieku, przed aresztowaniem kreślarka, matka dwojga dzieci, której mąż zdążył już zginąć w więzieniu — pracowała w kobiecej brygadzie leśnej. Już bardzo zmarniała, a wciąż jeszcze przejawiała upór, chociaż była prawie na wykończeniu. Opuchły jej już nogi. Po robocie wracała do obozu ledwie się wlokąc za kolumną, a konwojenci popędzali ją kolbami. Zdarzyło się któregoś dnia, że została w zonie. Przypętała się do niej kucharz: wpadnij do mojej kajutki, dam ci jeść do rozpuku. Więc poszła. Kucharz postawił przed nią całą patelnię smażonych kartofli z wieprzową rąbanką. Zjadła wszystko. Ale po wyrównaniu rachunku — zemdliło ją, zwymiotowała wszystko i całe żarcie poszło na nic. Kucharz ją sklął: „Też mi królowna, pomyślałby kto!”. Ale później jakoś się przyzwyczaiła. Udało jej się dostać jakąś lepszą pracę. W kinie obozowym, podczas seansu sama już wybierała sobie chłopca na noc.

A jeżeli która czeka za długo — to w końcu sama będzie musiała wlec się do ogólnego męskiego baraku, już nie do promientów. Będzie snuć się w przejściach między wagonetkami, powtarzając monotonicznie: „Pół kila... pół kila”. I jeżeli znajdzie się jakiś zbawca, jeśli pójdzie za nią ze swoim chlebem, to kobieta osłoni swoją wagonetkę z trzech stron prześcieradłami i w tym namiocie, a raczej szałasie (stąd właśnie przydomek „szałasówka”) odpracuje ile trzeba za ten chleb. Jeżeli tylko strażnik nie przeszkodzi.

Wagonetka, osłonięta szmatami przed wzrokiem sąsiadek — jest to klasyczny obrazek obozowy. Ale odbywa się to również w o wiele prostszy sposób. Znów jesteśmy w Krywoszczekowskim 1-szym podobozie, 1947-1949 (mamy relację pochodzącą stamtąd właśnie, ale ileż jeszcze takich sytuacji było?). W podobozie siedzą na kupie knajacy, pospolitacy, małeletni, inwalidzi, dziewczęta i karmiące matki. Jest tylko jeden barak kobiecy — ale na 500 więźniarek. Brud panuje tam nieopisany, zupełnie niesłychany. Barak jest zapuszczony, pełen zaduchu, prycze gołe, bez pościeli. Oficjalnie — nie wolno tam było wchodzić mężczyznom, ale nikt na to nie zważał i nikomu nie chciało się sprawdzać. Chodzili tam nie tylko mężczyźni, ale pchali się jeden przez drugiego również małeletni — chłopczkowie 12-to, 13-toletni: spieszyli na naukę. Z początku obserwowali tylko: nie było tam mowy o żadnym fałszywym wstydzie, brak było albo szmat, albo może czasu — dość, że *wagonetek nikt nie osłaniał niczym*, a światła też nikt nigdy nie gasił, to się rozumie. Wszystko od-

bywało się z całą naturalnością, wszystko było na widoku — i to w kilku miejscach sali naraz.

Tylko podeszły wiek, albo jakaś rzucająca się w oczy brzydota były dla kobiety ochroną, nic innego nie pomagało. Uroda była przekleństwem, ładna dziewczyna zawsze miała gości na pryczy, wciąż otaczali ją chętni, prześladowali ją prośbami, wciąż groził jej cios pięści, albo noża — i już nie o to jej chodziło, żeby się temu wszystkiemu oprzeć, lecz o to, by skapitulować rozumnie, żeby wybrać takiego, który później potrafi osłonić ją przed innymi, którego nóż, albo samo imię — odstraszy wszystkich pozostałych, całą tę drapieżną sforę, wszystkich tych opętanych małolatków, rozwydrzonych, zdeprawowanych przez wszystko co tu widzą i czym oddychają. Ale bo to tylko o mężczyzn chodzi? czy to tylko małoletni tak się tu rozbuchali? — a kobiety, które leżą obok, i wszystko to widzą dzień po dniu, ale same omijane są przez pożądliwych chłopów — przecież te baby też w końcu muszą zerwać się z łańcucha, też nie dają sobie rady ze swoimi pasjami — i rzucają się z pięściami na szczęśliwsze i bardziej obrotne sąsiadki.

W Krywoszczekowskim podoboziu szerzą się choroby weneryczne. Już mówi się głośno, że prawie połowa kobiet choruje, ale nie ma wyjścia, wszyscy dalej się pchają, wciąż ten sam próg przekraczają — władcy i żebracy. I tylko najbardziej ostrożni, jak na przykład harmonista K., utrzymujący zażyłe stosunki z sanitariatem, za każdym razem (dla dobra własnego i zaufanych przyjaciół) sprawdza tajny spis weneryczek, zanim zdecyduje się na odwiedzinę.

A kobiety na Kołymie? Przecież tam jest ich wyjątkowo mało. Tam przecież są na wagę złota, tam są dopiero rozrywane. Tam — to już nie daj Boże, żeby kobieta na trasie natknęła się na konwojenta, albo na wolniaka, albo na zeka. To na Kołymie zrodził się termin *t r a m a j*, oznaczający zbiorowy gwałt. K.O. opowiada, jak szofer przegrał je w karty — całą ciężarówkę kobiet wiezionych etapem do punktu Elgen — i musiał skrócić z drogi, ażeby zawieźć je na noc do baraków robotników budowlanych, pracujących już bez konwoju.

No, a *praca*? Jeżeli brygada jest mieszana — to bywa jeszcze jakaś folga dla kobiet, jeszcze się znajdzie dla nich jakaś lżejsza robota. Ale jeżeli cała brygada jest kobieca — no, to nie ma już litości — dawaj *kubometry*! A istnieją całe podobozy, wyłącznie kobiece, gdzie kobiety muszą prowadzić wyrąb lasu, kopać ziemię, mieszać glinę z sieczką — na cegły. Jedynie do kopalni rudy miedzianej i wolframowej nie posyłano kobiet. Oto 29-ty „punkt” Karłagu — ileż w tym jednym *punkcie* niewiast?

Ani za dużo, ani za mało — 6.000<sup>3</sup>! A jakąż tam praca dla kobiet? Helena O. jest tragarzem — i nosi wory po 80, a nawet po 100 kilogramów! — co prawda, pomagają jej przy zadawaniu ciężaru na barki, nadto — w młodości była gimnastyczką (całe swoje 10 lat przeharowała jako tragarz również Helena Prokofiewna Czebotariowa).

W kobiecych podobozach panują wcale niekobiece, brutalne obyczaje: stale słycać wyzwiska, stale ktoś się z kimś bije, stale — łobuzerskie wybryki. Cóż — inaczej tu żyć nie sposób. (Ale — zwraca uwagę zwolniony spod konwoju inżynier Pustowier-Prochorow — ledwie się brało kobietę z takiego baraku do jakiejś lżejszej roboty albo pracy koło domu — od razu okazywało się, że jest cicha i pracowita).

Inżynier ten obserwował takie kolumny kobiece na BAM'ie, na drugiej trasie syberyjskiej magistrali w latach 30-tych. Oto typowy obrazek: jakiegoś upalnego dnia kobiety jeły prosić konwojentów o pozwolenie na kąpiel w jarze, gdzie zebrała się woda. Konwój nie dał pozwolenia. Wówczas kobiety jednomyślnie rozebrały się do naga i położyły się na słońcu wzdłuż torów, po których toczyły się pociągi. Póki szły pociągi miejscowe, sowieckie — nie było jeszcze nieszczęścia, ale niedługo miał mijąć ten odcinek ekspres międzynarodowy, pełen cudzoziemców. Kobiety ani myślały słuchać rozkazów, nie chciały się ubrać. Wezwano więc wóz strażacki i przepędzono je wodą z sikawki.

Oto zaś robota przewidziana dla kobiet w Krywoszczekowie. Na cegielni, po wybraniu gliny z pewnego odcinka kopalni, zapada się drewniany strop ochronny (przed początkiem robót podziemnych układa go się na powierzchni ziemi). Teraz trzeba wydzwignąć ciężkie, wilgotne pale kopalniaka z wielkiej jamy o głębokości 10-12 metrów. Jak to zrobić? Czytelnik powie — że z pomocą wyciągu mechanicznego. A juści. Brygada kobieca zarzuca 2 liny na końce drewnianego kłoca i — jak burłacy, podwójnym zaprzęgiem (krocząc równo, aby nie wywalić kłoca i nie zaczynać znów od zera) wyciągają naprzód jedną linę, potem drugą, a z nimi cały kłoc. Później zaś dwudziestka kobiet bierze ten kawał drewna na barki i — na zew brygadzistki

---

3. To przyczynek do problemu ilości zeków na Archipelagu. Kto wiedział coś o istnieniu tego 29-ego punktu? Czy to ostatni już z „punktów” Karłagu? I wielu też było ludzi w pozostałych punktach? Niech się bawi w mnożenie, kto ma chęć. A kto wie coś o 5-tym odcinku budowy Rybińskiego węzła wodnego? A tymczasem było tam ponad 100 baraków i — biorąc pod uwagę największy możliwy luz, tj. 50 ludzi na barak — też doliczymy się sześciu tysięcy; Łoszczylin twierdzi, że było tam ponad 10.000 więźniów.

z piekła rodem, komenderującej z pomocą wyzwisk, niosą ten ciężar na nowe stanowisko pracy i tam go zrzucają z ramion. Traktor, powiadacie? Ależ bójcie się Boga, skąd traktor, skoro to rok 1948-my? Żuraw, powiadacie? A zapomnieliście już, co pisał Wyszyński o „pracy-cudotwórczyni, która z dna niebytu i nikczemności wydobywa ludzi, aby kreować z nich bohaterów”? Jeżeli żuraw — to co tu po cudotwórczyni? Jeżeli żuraw — to przecież te kobiety nigdy nie wyleżą z otchłani nikczemności!

Taka robota wyczerpuje siły organizmu i wszystko, co w kobiecie jest kobiecego, co dziać się z nią powinno stale, czy tam raz w miesiącu — w ogóle zanika. Jeżeli dociągnie ona do najbliższego przeglądu komisyjnego, to lekarze ujrzą przed sobą nagą, ale zupełnie już inną istotę, niż ta, na widok której oblizywali się promineneci w korytarzu łaźni: nie wiadomo teraz ile ma lat; kanciaste, ostre barki, piersi wiszą na kształt suchych woreczków; pośladki są płaskie i pomarszczone, uda tak wychudłe, że w szparze między nimi zmieści się barani łeb, albo nawet piłka futbolowa; głos ma niski i ochryply, a twarz już zaczyna pokrywać się fałszywą opalenizną pellagry. (Ginekolog zaś twierdzi, że po kilku miesiącach pracy przy wyrębie można być pewnym opuszczenia i wypadnięcia macicy).

Praca — *cudotwórczyni!*...

Życie nie zna stereotypów, tym bardziej więc w obozie nie wszystko dzieje się według jednego wzoru. Także praca nie dla wszystkich była jednakowo beznadziejna. Im człowiek młodszy — tym jednak było mu lżej. Wciąż staje mi przed oczyma 19-letnia Napolnaja, dziewczyna jak z bitej śmietany, z rumianymi, wiejskimi policzkami. W oboziku za Kałużską rogatką pracowała ona jako operatorka wielkiego żurawia. Wspinając się na ten żuraw jak małpa, czasem bez żadnej potrzeby włąziła aż na jego ruchome ramię, tylko po to, żeby krzyknąć na cały plac budowy swoje „oho-hooo!"; ze swojej kabinki przerzucała się okrzykami z kierownikiem robót — wolniakiem, z dziesiętnikami, bo nie miała tam telefonu. Zdawało się, że wszystko ją bawi, cieszy, obóz, nie obóz, wprost jakby jutro miała zamiar zapisać się do komsomołu. Uśmiechała się do wszystkich z jakąś zupełnie nietutejszą życzliwością. Zawsze uznawano jej 140 % normy, co dawało najwyższą w obozie pajkę. Nikogo się też nie bała (no, oprócz k u m a) bo by jej kierownik robót skrzywdzić nie pozwolił. Jednego tylko nie potrafię zrozumieć, jak jej udało się w obozie zdobyć taki zawód, czy bezinteresownie dano jej to stanowisko pracy przy żurawiu? A zresztą skazana była na podstawie nieszkodliwego artykułu, za jakieś przestępstwo pospolite. Siły wprost tryskały z niej, a stanowisko, jakie sobie zdo-



była, pozwalało jej nawet kochać nie z musu, lecz tak, jak serce każe.

Na podobną modłę opisuje swój stan również Saczkowa, która dostała się do obozu w 19-tym roku życia. Trafiała do karnej kolonii rolnej „gdzie w ogóle mniej się głoduje i dlatego jakoś tam łżej. „Wciąż nuciłam, biegając od żniwiarki, do żniwiarki, kiedym uczyła się wiązać snopy”. Jeśli człowiek nie ma innej młodości, prócz tej właśnie, obozowej, to musi dać ujście swojej radości także tutaj, bo gdzieżby? Później przerwali ją w tundry, pod Norylsk, ale nawet on wydawał się jej jakimś „baśniowym miastem, znanym ze snów dziecięcych”. Po odsiedzeniu kary została tam i poszła do pracy z wolnego najmu. „Pamiętam, jak szłam kiedyś wśród zamieci i ogarnął mnie jakiś zawadiacki nastrój, kroczyłam wymachując rękoma, walcząc z zadymką. Śpiewałam „Sprężystym krokiem idziemy w słoneczny świat, wznosząc do góry i czoło i pieśń\*...”, gapiałam się na przesuujące się w górze świetliste kurtyny zorzy polarnej, padałam w śnieg na wznak i patrzyłam w głąb nieba. Chciałam śpiewać tak głośno, żeby w całym Norylsku słyszano — że nie mnie pokonała ta 5-cioletnia odsiadka, tylko ja ją, że mam już za sobą drut kolczasty, prycze i konwój. Chciałam kochać! Chciałam zrobić coś dla ludzi, żeby więcej nie było już zła na świecie”.

Owszem, wielu było takich, co tego chcieli.

Nie udało się się jednak Saczkowej uwolnić nas od zła: obozy istnieją nadal. Ale jej osobiście się udało: przecież nie 5 lat, lecz pięciu tygodni wystarczy, żeby unicestwić kobietę i w niej człowieka.

Otóż tylko te dwa przykłady mogę przeciwstawić tysiącom historii ponurych, albo i nieludzkich.

A gdzież, jeśli nie w obozie masz przeżyć swoją pierwszą miłość, dziewczyno, jeśli wsadzono cię (z politycznego artykułu!) — gdyś miała 15 lat i chodziłaś do 8-mej klasy, jak Nina Pieregud? Jak tu nie pokochać pięknego chłopca z jazzowej orkiestry, Wasyla Koźmina, którego niedawno jeszcze, na wolności, podziwiało całe miasto, który chodził w aureoli takiego rozgłosu, że aż wydawał się jej się nieprzystępny? I oto Nina pisze wiersz „Kiść białego bzu”, a Wasyl układa do tego muzykę i śpiewa to dla niej przez całą szerokość zony (bo już ich rozdzielili, znów ani przystąpi).

Dziewczęta z Krywoszczekowskiego baraku wpinały sobie

---

\* Piosenka Leonida Utiosowa z filmu „Świat się śmieje”, wyświetlanego przed wojną również w Polsce.



kwiatki we włosy. Taki kwiat jest oznaką obozowego małżeństwa, ale może jest też znakiem miłości?

Obowiązujące poza GUŁagiem prawodawstwo zdawało się sprzyjać obozowym miłościom. Dekretowi z 8. VII. 1944 roku, którego przedmiotem było umocnienie węzłów małżeńskich, towarzyszyło poufne rozporządzenie Sownarkomu, oraz instrukcja Komisarjatu Sprawiedliwości z 27. XI. 1944 roku, w których to dokumentach stwierdzało się, że sądy powinny natychmiast i bez zbędnej mitręgi czynić zadość życzeniu każdego wolnego obywatela sowieckiego, który zapragnąłby unieważnienia swojego małżeństwa z osobą odbywającą karę (albo siedzącą w domu wariatów). Aby ułatwić składanie tych próśb, instrukcja zalecała nawet zwalnianie z opłat za wydanie zaświadczenia o rozwodzie. (Nikt nie był przy tym prawnie zobowiązany do zawiadomienia drugiego z małżonków o samym fakcie rozwodu!). Inaczej mówiąc — obywatelki i obywatele gorąco byli zachęceni do opuszczania w nieszczęściu swoich skazanych na więzienie mężów i żon — osoby zaś odbywające karę skłaniano tym samym do wykreślenia z pamięci raz na zawsze swojego małżeństwa. Manifestowanie tęsknoty do cieszącego się jeszcze wolnością męża, było teraz zajęciem już nie tylko głupim i niesocjalistycznym, ale wręcz — występny. Zoji Jakuszewej wydarzyła się taka historia: wsadzono ją „za męża”, jako CzS, czyli członka rodziny. Po jakichś trzech latach mąż został zwolniony, jako ważny specjalista — i ponieważ nie zażądał również bezwarunkowego zwolnienia swojej żony, więc Zoja odsiedziała za niego całe swoje osiem lat...

Nie pamiętać o małżeństwie — owszem, dlaczego nie, ale wewnętrzne instrukcje GUŁagu potępiały również miłosne wybryki, jako dywersję wobec planów produkcyjnych. Przecież, wążając się po placu budowy, te kobiety bez sumienia, mające za nic swoje obowiązki wobec państwa i Archipelagu — gotowe były kłaść się na wznak gdzie popadnie — na ziemi, na wiórach, na kupach żwiru, na żużlu, na żelaznych strużynach — a plan się tymczasem załamywał; a pięcioletka przestępowała z nogi na nogę! a premie dla gułagowskiej zwierzchności brały w łeb! Prócz tego, niektóre z więźniarek knuły występne plany: chciały przy okazji zejść w ciążę i pod tym pretekstem, wykorzystując humanitaryzm naszego prawa, urwać parę miesięcy ze swojej kary — czasem zaledwie pięcioletniej, albo nawet trzyletniej — wcale w czasie tych miesięcy nie pracując. Dlatego instrukcje GUŁagu wymagały jednoznacznie, aby pary, którym dowiedziono uprawianie gorszących stosunków, natychmiast były rozdzielane i aby mniej cennego członka takiego stadła z punktu przerzucić etapem

do innej miejscowości. (Rzecz jasna, nic to wspólnego nie miało z praktykami Sałtyczychy, która rozpustne dziewczki służebne zwykła była wysyłać do swoich odległych posiadłości).

Cała ta waciakowa liryka była powodem niemałych przykrości dla samych zwierzchników. Nocami, gdy obywatel nadzorca mógł spokojnie chrapać sobie w swojej dyżurce — musiał bobrować po obozie z ręczną latarką, żeby wyłuskiwać gołonogie, bezczelne baby z przycz męskiego baraku, albo szukać chłopów w barakach babskich. Nie mówiąc już o czyhających na niego samego pokusach (przecież obywatel naczelnik też nie jest z drewna) musiał jeszcze prowadzić winowajczynię do karceru, albo całą noc przemawiać jej do sumienia, wyjaśniając poglądowo dlaczego postępowanie jej uznać należy za szkodliwe — a potem jeszcze pisać na ten temat własnoręcznie raporty (co przy braku wykształcenia wyższego jest czynnością dosyć nużącą).

Wyzute ze wszystkiego, co nadaje sens kobiecemu, a zresztą w ogóle ludzkiemu istnieniu — z życia rodzinnego, macierzyństwa, z przyjaźni i miłego sercu środowiska, pozbawione znanej sobie, a może interesującej pracy, doznań artystycznych, książek, a teraz przygnębione strachem, głodem, samotnością i bestialstwem — w czym jeszcze szukać mogły ukojenia te kobiety, jeśli nie w miłości? Zrzędzeniem Bożym krzewiła się tu miłość prawie już nie cielesna, bo przecież w krzakach wstyd, w baraku, przy obcych też nie sposób, zresztą mężczyzna tu nie zawsze dość ma siły, a nadto straż obozowa za każdą próbę tajnego spotkania prześladowuje i posyła do karceru. Ale — jak mówią teraz byłe więźniarki — ta bezcielesność sprzyjała jakoś duchowemu natężeniu, tak znamiennej dla obozowych miłości. Właśnie dzięki przeszkodom stojącym na drodze do spełnienia, miłość ta bywała bardziej intensywna, niż na wolności! Niemłodzi już mężczyźni całymi nocami nie spali, rozpamiętując przypadkowy uśmiech, albo jakiś ulotny dowód zainteresowania. A jak ostry, olśniewający jest promień miłości na brudnym i ponurym tle obozowego bytowania!

Odblask tajnej „zмовy szczęścia” widziała N. Stolarowa na twarzy swojej przyjaciółki, moskiewskiej aktorki i jej niepiśmiennego partnera, Osmana, pracujących razem przy zwózce siana. Aktorka przekonała się nagle, że nikt nigdy tak jej nie kochał — ani mąż, reżyser filmowy, ani wszyscy poprzedni wielbiciele. I tylko dlatego nie starała się o przeniesienie z robót ogólnych, z tej zwózki siana.

A jeszcze to ryzyko — prawie, jak na wojnie, prawie śmiertelne: za jedną tajną, wykrytą schadzkę płaci się utratą wygrzanego miejsca, co równa się utracie życia. Miłość na ostrzu noża,

tam, gdzie charaktery tak podleją, tak wywracają się na nice, gdzie każda piędź zdobywana jest kosztem ofiar — toż to miłość bohatera! (Ania Lehtonen w obozie Ortau straciła uczucie dla swego ukochanego w ciągu dwudziestu minut — gdy strażnik prowadził ich do karceru, a chłopak skomlał uniżenie o łaskę). Jedne szły na utrzymanie do pryduków, bez miłości, byle się poratować, inne zaś szły na *ogólne* i ginęły — byle kochać.

Wcale niemłode kobiety też brały udział w tym procederze; strażnicy nieraz aż się dziwili — bo nikt by takiej baby nie posądził o coś podobnego na wolności! A kobiety te nie szukały już ujścia dla swych pożądań, tylko chciały zaspokoić swoją potrzebę opieki nad kimś, chęć podzielenia się z kimś własnym ciepłem, czy kęsem, od ust odjętym: chciały móc drugiego człowieka nakarmić, móc uprać i zacerować jego łąchy. Miska, z której razem się jadło, była ich świętością, ślubną obrączką. „Wcale nie muszę z nim spać, grunt, że w tym naszym bydlęcym życiu, w tym baraku, gdzie cały dzień idzie haratanina o szmaty i pajki — może sobie człowiek pomyśleć: dziś mu załatam koszulę, a potem sobie kartofli ugotujemy” — tłumaczyła jedna z nich doktorowi Zubowowi. Ale chłop czasem chce czegoś jeszcze, trzeba mu ustąpić, a straż tylko tego wypatruje. Tak właśnie, w Unżłagu, praczka szpitalna, ciocia Pola, wcześniej owdowiała, całe późniejsze życie wiodąca samotnie, biegająca do cerkwi na posługi — została w nocy przyłapaną z mężczyzną, już pod sam koniec swojej odsiadki. „Jak to się stało, ciociu Polu — załamywali ręce obozowi lekarze — takeśmy na ciebie liczyl! A teraz posła cię na *ogólne*”. — „Trudno, moja wina — mówiła skruszona starucha — w Ewangelii to bym się zwała grzesznicą, a w obozie tom kurwa...”

Ale nie było bezstronności w karaniu przyłapanych kochanków — jak zresztą w całym życiu GUŁagu. Jeśli jeden z partnerów był prydukiem, należał do ludzi związanych z władzą obozową, bądź też był bardzo potrzebny do jakiejś pilnej pracy, wówczas taki związek mógł być tolerowany całymi latami. (Kiedy do szpitala kobiecego OŁP Unżłagu przyjeżdżał zwolniony spod konwoju elektromonter, rozrywany przez wolniaków — ze względu na świadczone im usługi — lekarka naczelna, też wolniaczka, wzywała przełożoną pielęgniarkę, zeczkę i rozkazywała: „Załatwcie no, żeby Musia Butenko miała odpowiednie warunki”. Musia była pielęgniarką i to przez nią monter był w szpitalu częstym gościem). Jeśli zaś chodziło o zeków szeregowych, albo będących w niełasce, to karano ich nie mieszkając, a okrutnie.

W Mongolii, w obozie kolejowym (nasi więźniowie budowali

tam kolej w latach 1947-50), dwie dziewczyny, już pracujące bez konwoju, latały do swoich chłopaków, pracujących w męskiej brygadzie — i zostały przyłapane. Strażnik wziął obie na arkan, przywiązał do łąku, skoczył w siodło i RUSZYŁ GALOPEM W STEP<sup>4</sup>. Nawet Sałtyczycha tego nie robiła. Ale robiono to już na Sołówkach.

Wydawałoby się, że wciąż tropione, prześladowane, rozpraszane stadła tubylcze nie mogły liczyć na trwałość. A tymczasem, istnieją dowody, że nawet po rozłączeniu — ludzie ci dalej do siebie pisywali, a po odzyskaniu wolności — starali się znów połączyć ze sobą. Znany mi jest taki wypadek: pewien lekarz, B. J. Sz. docent prowincjonalnego fakultetu lekarskiego, w obozie tak dokazywał, że nie mógł się już doliczyć swoich przygód: nie przepuścił ani jednej pielęgniarki, a wcale na nich nie poprzestawał. Ale oto trafił w końcu na niejaką Z. i naraz zaprzestał swojego kolekcjonerstwa. Z. nie chciała przerwać ciąży, urodziła dziecko. B. Sz. wkrótce potem wyszedł na wolność, nie obowiązywały go żadne zakazy — mógł wrócić do swojego miasta. Ale został w obozie z wolnego najmu, żeby być jak najbliżej swojej Z. i dziecka. Żona jego straciła wreszcie cierpliwość i przyjechała po niego sama. Wówczas Sz. schronił się przed nią na terenie *zony* (dokąd żona wstępu nie miała), żył tam z Z., a żonę zawiadomił jakąś drogą, że już się z nią rozwiódł i żeby się wreszcie wyniosła.

Ale nie tylko strażnicy i zwierzchnicy potrafią rozdzielić obozowe stadła. Archipelag jest siedliskiem przewrotności tak zupełnej, że tu rozdziela mężczyzn i kobiety nawet to, co powinno połączyć ich najmocniej: narodziny wspólnego dziecka. Miesiąc przed porodem, ciężarną więźniarkę wysyła się etapem do innego podobozu, gdzie jest szpital z oddziałem położniczym, skąd dochodzą rzeńskie głosiki, dające do zrozumienia, że nie chcą być zekami za grzechy swoich rodziców. Po położeniu matkę odsyłają do osobnego podobozu dla *mamek*, położonego w pobliżu.

Tu przerwijmy na chwilę. Tu trzeba zrobić pauzę! Ileż autoironii jest w tym słowie! „Wszystko, co nasze, jest nieprawdziwe!...”. Język zeków bardzo lubi i stosuje gdzie może wyrażenia bagatelizujące: nie matka, tylko *mamka*; nie — człowiek wolny, tylko *wolniak*; nie — ożenić się, tylko *ochajtnąć się* — wszędzie ta sama kpina. I nawet wyrok dwudziestopięcioletni — to za dwie *ćwiara*!

---

4. Kto dojdzie, jak się ten strażnik nazywał? Kto go teraz znajdzie? Zresztą, gdyby mu to ktoś przypomniał, to facet tylko by się zdziwił: co on tu winien? Toć mu tak kazano! I niech nie latają za chłopami, suki jedne...

Z pomocą tych przewrotnych zdrobnień i zniekształceń językowych zek daje do zrozumienia, że na Archipelagu wszystko jest nieprawdziwe, wszystko zafałszowane, najniższej jakości. I że sami więźniowie za nic mają to, co cenne jest dla zwykłych ludzi. Że zdają sobie sprawę z lipnego charakteru i pomocy lekarskiej, tu im udzielanej, i próśb o ułaskawienie, które piszą z musu i bez żadnej nadziei. I nawet słowo „ćwiara” służy zekowi do wykazania swojej przewagi i lekceważenia dla wyroku prawie dożywotniego!

Tak więc w swoim podobozie mamki mieszkają, pracują i prowadzone są pod konwojem tam, gdzie karmić mają piersią nowonarodzonych tubylców. Dziecko w tym czasie jest już nie w szpitalu, tylko w „osiedlu dziecięcym”, albo w „domu maluchów”, bo różnie się tę instytucję w rozmaitych obozach nazywa. Gdy okres karmienia się kończy, matkom nie pozwalają więcej widywać dzieci — chyba w drodze wyjątku „za wzorową pracę i dyscyplinę” (no, a chodzi o to, żeby nie trzymać bab koło tego drobiazgu, tylko tam je posłać, gdzie to jest potrzebne dla dobra produkcji). Ale nader rzadko zdarza się, aby kobieta wróciła do dawnego swego podobozu, gdzie został jej łagrowy „mąż”. A ojciec w ogóle nie zobaczy swego dziecka, przynajmniej póki siedzi w obozie. Dzieci zaś — po odstawieniu od piersi — trzymane są w osiedlu maluchów jeszcze jakiś rok (przydziały żywności dostają tam wedle norm, przewidzianych dla wolnych dzieci, dlatego też personel szpitalny i obsługa nieźle przy nich się mają). Niektóre nie potrafią przystosować się do sztucznego pokarmu i umierają bez matki. Te, które przeszły tę próbę, odsyłane są po roku do ogólnego domu dziecka. W ten sposób syn tubylczej pary opuszcza Archipelag, mając jednak możliwość powrotu tam w charakterze *małolatka*.

Kto interesował się tym problemem, twierdzi, że nie często zdarza się, by matka — po wyjściu na wolność odbierała swoje dziecko z przytułku (knajaczki — nigdy tego nie robią); przekłete są te istoty, których małeńkie płuca nawdychały się zakaźnych wyziewów Archipelagu już z pierwszym haustem powietrza. Niektóre jednak — biorą te dzieci, albo nawet przysyłają po nie wcześniej jakieś ciemne (zapewne — religijne) babcie. Z uszczerbkiem dla oficjalnej pedagogii, straciwszy mnóstwo grosza na izbę porodową, na urlop macierzyński i na osiedla maluchów — GUŁąg jednak te dzieci oddaje.

Przez wszystkie te lata przedwojenne i podczas wojny, gdy ciąża powodowała rozłąkę, rozdzielenie obozowego stadła, gdy zrywała ten, z takim trudem nawiązany, starannie ukrywany, zewsząd

zagrożony i już z samej zasady, nietrwały związek — kobiety starały się nie mieć dzieci. Także pod tym względem Archipelag nie przypominał reszty kraju: w okresie, gdy wszędzie zabronione było spędzanie płodu, gdy groził za to sąd i gdy kobiety z największym trudem pozbywały się niepożądanego ciąży — tu obozowa zwierzchność nader pobłażliwie traktowała przerywanie ciąży, co i rusz przeprowadzane w szpitalach: tak przecież lepiej dla obozu.

Trudna dla każdej kobiety, jeszcze bardziej skomplikowana była dla każdej więźniarki odpowiedź na pytanie: rodzić, czy nie rodzić? i co zrobić potem z dzieckiem? Jeśli zmienny los obozowy pozwolił kobiecie spodziewać się dziecka z człowiekiem kochanym, to jak mogła zdecydować się na spędzenie takiego płodu? A jeśli zdecyduje się na poród? — oznacza to prędką i pewną rozłąkę. A później — czy nie znajdzie on sobie zaraz po twoim odjeździe jakiejś innej w tym samym obozie? I jakie będzie to dziecko? (Rodzice są chorzy z niedożywienia — rodzą się więc często dzieci upośledzone). I kiedy skończysz je karmić, to przecież cię wyślą gdzieś, a tyle jeszcze lat trzeba siedzieć, więc czy będzie miało opiekę to małe, czy go nie zmarnują? I czy można będzie później, po powrocie, zabrać to dziecko do domu, pokazać rodzinie (dla niejednej — to wykluczone)? A jeśli go się nie weźmie, to przecież całe życie będzie się później człowiek dręczył (dla niejednej — to żaden problem).

Decydowały się śmiało na takie macierzyństwo te, które miały nadzieję na późniejszy związek ze swoim partnerem. (I rachuby te czasem znajdowały potwierdzenie. A. Glebow ze swoją obozową żoną żyje już od lat dwudziestu. Mają córkę, urodzoną jeszcze w Unzłagu, dziewiętnastoletnią, przemiłą panienkę i jeszcze jedną, dziewięcioletnią, urodzoną na wolności, gdy rodzice *odbębni*li już swoje wyroki). Decydowały się też takie, którym w ogóle zależało na dziecku — choćby w obozie, skoro inne życie im niepisane.. Przecież ta żywa istotka, ssąca twoją pierś, jest przynajmniej nie *lipna* i nie z odpadków. (Lala, dziewczyna z Charbinu, urodziła drugie dziecko tylko po to, aby wrócić do „dziecięcego miasteczka” i zobaczyć swego pierworodnego! A później — odbyła jeszcze jeden poród, już trzeci, aby napatrzeć się na tamtych dwoje dzieci. Odbębniwszy swego piątała, potrafiła odnaleźć całą trójkę i wyszła na wolność razem z dziećmi). Bezgranicznie, nieodwołalnie upokorzone kobiety, dzięki swemu obozowemu macierzyństwu odzyskiwały niejako swoją godność i na krótką chwilę stawały się równe „tym z wolności”. Albo tak myślały: „Ja siedzę, trudno, ale moje dziecko jest wolne!” — i natarczywie żądały dla swego dziecka takiej opieki i wyży-



wienia, jakie należały się wolnym ludziom. Inne jeszcze, zwykle stare bywalczyne obozów, przeważnie ze środowiska knajackiego, traktowały macierzyństwo jako rodzaj *kantu*, czasem — jako sposób na przedterminowe zwolnienie. Dziecka nie uważały wcale za swoje, ani go widzieć nie chciały, nic je nie obchodziło, czy w ogóle żyje.

Kobiety z dawnej Galicji, a czasem też — proste Rosjanki, starały się koniecznie jakoś ochrzcić swoje dzieci (mowa o latach już powojennych). Krzyżyki przysyłano im skrycie w paczce (nadzór nie pozwoliłby przecież na taką kontrrewolucję), albo kupowano je za chleb u obozowego majsterklepki. Zdobywały także wstążeczki, aby krzyżyk zawiesić dziecku na szyjce, paradne śpioszki, czapeczki. Szparowały cukier z pajki, piekły potem jakąś malutką babeczkę, zapraszały najbliższe przyjaciółki. Zawsze znalazła się kobieta, znająca jakąś modlitwę, dziecko chrzczono z wody, żegnano je znakiem krzyża i rozpromieniona matka zapraszała obecnych do stołu.

Czasem „mamki” z dziećmi przy piersi (oczywiście nie te z artykułu 58) doczekały się specjalnej amnestii, albo po prostu były pojedynczo zwalniane przed terminem. Najczęściej z przywileju tego korzystały kobiety skazane za drobne kradzieże i półknajaczki, które właśnie na to liczyły. Po zwolnieniu dostawały paszport i bilet kolejowy w najbliższym mieście powiatowym, po czym dziecko — już niepotrzebne — zostawiały na dworcu, albo na najbliższym ganku; zdarzało się to nierzadko. (Ale też trzeba wziąć pod uwagę, że nie każda miała gdzie wrócić, że nie mogła spodziewać się życzliwości ze strony milicji, ułatwień przy meldunku, pracy i że nie czekała już na nie gotowa pajka, choćby nawet obozowa. Bez dziecka — łatwiej było rozpocząć nowe życie).

W 1954 roku na dworcu w Taszkencie spędziłem całą noc w sąsiedztwie grupy zeków, dopiero co wypuszczonych z obozu. Było ich ze trzydziestu, roztasowali się w jednym z kątów sali, zachowywali się hałaśliwie, z nonszalancją na poły knajacką, jak to rodzone dzieci GUŁagu, znające życie na wylot i gardzące stłoczonymi tu wolniakami. Mężczyźni różni w karciecia, a mamki wiodły jakieś głośnie spory — i oto nagle jedna z nich wrzasnęła głośno, zerwała się na równe nogi, porwała swoje dziecko za nóżki i trzepnęła je główką o kamienną podłogę — aż huknęło. Cała w o l n a sala jęknęła ze zgrozy: matka?! jak może *matka* coś podobnego?

... Nie wiedzieli przecież, że to nie matka, tylko *mamka*.





Wszystko, com powyżej napisał, odnosi się do obozów *mieszanych*, to znaczy takich, jakie istniały od pierwszych dni rewolucji do końca drugiej wojny światowej. W latach tych było w całej RSFSR tylko jedno miejsce odosobnienia, zdaje się w Nowinie (gdzie dawniej było moskiewskie więzienie kobiece) przeznaczone dla samych tylko kobiet. Eksperyment ten nie był powtarzany i trwał niezbyt długo.

Ale — szczęśliwie wygrzebawszy się spod ruin, po wojnie, która omal nie skończyła się klęską z jego winy, Nauczyciel i Twórca już jął się zastanawiać, czym by tu uszczęśliwić swoich poddanych. Myśl jego szybowała teraz swobodnie, mógł poświęcić się sprawie uporządkowania życia publicznego i wtedy właśnie wprowadził w czyn mnóstwo pomysłów nader pożytecznych, umoralniających, między innymi — separację obu płci, przede wszystkim — w szkołach i w obozach (później chciał chyba rozciągnąć tę zasadę na cały obszar życia w o l n e g o ; w Chinach zakres tego przedsięwzięcia miał być znacznie szerszy).

W 1946 zaczął się, a w 1948 roku zakończył na Archipelagu wielki proces zupełnego oddzielenia mężczyzn od kobiet. Rozesłano ich na rozmaite wyspy, tam zaś, gdzie teren był wspólny, przeciągano między zoną męską a kobiecą niezawodny drut kolczasty<sup>5</sup>.

Ale — podobnie, jak wiele innych naukowo przewidzianych i naukowo przemyślanych przedsięwzięć — akcja ta miała skutki nieoczekiwane i nawet biegunowo różne od zaplanowanych.

Ogólna sytuacja kobiet, zajętych w produkcji, uległa gwałtownemu pogorszeniu po tym podziale. Dawniej wiele kobiet pracowało w charakterze praczek, sanitariuszek, kucharek, łaziebnych, magazynierek, księgowych w podobozach o mieszanym składzie. Teraz wszystkie te stanowiska musiały one opuścić, a w obozach wyłącznie kobiecych takiej pracy było o wiele mniej. Posłano więc baby na „ogólne”, przy tym — w składzie brygad wyłącznie kobiecych, gdzie praca jest wyjątkowo trudna. Wyrwać się od łopaty, choćby na krótko — to była teraz kwestia życia. I kobiety zaczęły polować na okazję — by zająć w ciążę, próbowały tego przy każdym przypadkowym spotkaniu, przy każdym zetknięciu z mężczyzną. Zajście w ciążę nie oznaczało teraz rozstania z partnerem, jak to było dawniej, bo wszystkie rozstania załatwione zostały ryczałtem i z góry przez Przemądrego Rozkazodawcę.

---

5. Wiele inicjatyw Koryfeusza uznano już za niezupełnie szczęśliwe, więc je nawet pokasowano — a tymczasem separacja według płci jakoś się na Archipelagu przyjęła i trwa niewzruszenie po dziś dzień. Ma bowiem głębokie moralne uzasadnienie.

I oto w ciągu jednego roku ilość dzieci w „domach maluchów” *podwoiła się!* (Unżąg, 1948 — 300, zamiast 150) chociaż ilość kobiet — więźniarek w tym okresie wcale nie wzrosła!

„Jakie imię nadasz twojej dziewczynce?” — „Olimpiada. Zaszłam w ciążę właśnie na olimpiadzie kółek artystycznych”. Bo jeszcze siłą bezwładu istniały te formy pracy kulturalnej — olimpiady, występy męskiej brygady koncertowej w kobiecych podobozach, wspólne zloty przodowników pracy. Zachowały się wspólne szpitale, też pełniące obecnie rolę domów schadzek. Podobno w 1946 roku w obozie Solikamskim, drut kolczasty, rozgraniczający obie zony ciągnął się jednym tylko rzędem i sploty miał rzadkie, a ponadto nie pilnowała go straż z karabinami. W tych warunkach nie dziwota, że pożądlivi tubylcy tłoczyli się po obu stronach zasieków, kobiety przyklekały, jak do szorowania podłóg, mężczyźni zaś robili z nimi swoje, nie przestępując nawet magicznej linii.

Wielka jest siła nieśmiertelnego Erosa; nie chodziło przecież tylko o wyrachowanie, o to, żeby zwolnić się z *ogólnych robót*. Więźniowie czuli, że ta linia graniczna przeciągnięta została solidnie i na długo, że będzie teraz kamienieć, tak, jak wszystko w GUŁagu.

Jeśli przed tym podziałem ludzie często współżyli ze sobą, jak przykładne stadła, jeśli istniała instytucja obozowego małżeństwa, jeśli rodziła się nawet miłość, to teraz zostało już tylko otwarte porubstwo.

Oczywiście władza też nie zasypiała gruszek w popiele i bez przerwy doskonaliła swoje wynalazki. Jednorzędowe zasieki kolczaste otrzymały strefy ochronne z obu stron. Następnie, gdy ten sposób uznano za niedoskonały, wybudowano dwumetrowe głuchoe płoty, zachowując z obu stron pasma ochronne.

W obozie Kengir nawet taka ściana okazała się mało skuteczną: zalotnicy nauczyli się skakać. Wówczas to w dni niedzielne (toć nie wolno tracić dni roboczych na takie rzeczy! Zresztą — to naturalne, że na sprawy swego życia prywatnego ludzie poświęcają dni wolne od pracy) zaczęto z obu stron naraz podwyższać mur. Poprzestano na czterech metrach. Macie ironię losu: do tej niedzielnej roboty ludzie pchali się z nieklamana radością! — była okazja, aby przed ostatecznym pożegnaniem zawrzeć jeszcze znajomość z kimś spoza muru, dogadać się, ustalić sposoby korespondencji.

Musimy później w Kengirze podciągnąć mur aż do pięciometrowej wysokości i jeszcze ukoronować go drutem kolczastym. Następnie przeprowadzono przewody wysokiego napięcia

(ale mocne te siły nieczyste!). Wreszcie ustawiono wieżyczki wartownicze wzdłuż muru. Ten mur kengirski ma swoją specjalną kartę w historii Archipelagu (patrz część V, rozdział 12). Ale również w innych Specobozach (Spassk) stawiano podobne konstrukcje.

Mury rosły, Eros miotał się coraz rozpaczliwiej. Nie znajdując innego ujścia — albo wzbijał się zbyt wysoko, w regiony platonicznej wymiany listów, albo opadał do poziomu stosunków z ludźmi tej samej płci.

Karteluszkami miłosne przerzucano przez zonę, lub zostawiano w skrytkach w miejscu pracy. Pakieciki adresowane były w sposób umowny, tak, aby nadzorca nie mógł się połapać, nawet, gdyby znalazł. (Za taką korespondencję wsadzano teraz do obozowego więzienia).

Hala Benediktowa twierdzi, że czasem znajomości zawierane były zaocznie: pisało się listy do niewidzialnego, nieznanego człowieka, i rozstawano się później z kimś niewidzialnym, nieznanym z widzenia. (Kto prowadził taką korespondencję, ten zna dobrze jej rozpaczliwą słodycz, i beznadziejność, i ślepotę). We wspomnianym już Kengirze, Litwinki *wychodziły* za mąż za swoich rodaków nigdy przedtem niewidzianych, przez ten mur: ksiądz (w takim samym waciaku, taki sam więzień, jak inni) zaświadczał na piśmie, że taka a taka oraz taki a taki oto na wieki złączeni są sakramentem małżeństwa. Tym zaślubinom z nieznanym więźniem zza muru — a dla katoliczki ślub taki jest czymś nierozzerwalnym i świętym — towarzyszą, zda mi się, chóry anielskie. Jest w tym coś na kształt zachwyconego wpatrywania się w ciała niebieskie. Niebotyczna, niezwykła to rzecz w stuleciu wyrachowania i drgawek jazzowych.

Te kengirskie małżeństwa też miały niezwykły finał. Niebiosy wysłuchały modlitwy. (Część V, rozdział 12).

Same niewiasty (a także lekarze, kurujący je w separowanych zonach) twierdzą, że znosiły tę separację gorzej, niż mężczyźni. Stawały się szczególnie pobudliwe i nerwowe. Szeroko kwitła miłość lesbijska. Co młodsze, a skłonne do uczuć, snuły się po żółtkę, z podkutymi oczyma. Co brutalniejsze stawały się „mężczyznami”. Straż mogła sobie te pary prześladować i rozpędzać, ale w końcu znów je znajdowano na jednej pryczy. Przerzucano więc kogoś z tych „stadeł” do innego obozu. Wybuchwały burzliwe sceny, dochodziło aż do rzucania się na druty kolczaste, pod lufy straży.

W karagandzkiej filii Stepłagu, gdzie zgromadzone były zresztą tylko kobiety z Pięćdziesiątki Osemki, niejedna z nich — jak twierdzi N.W. — oczekiwała na wezwanie do *opera* z biją-

cym sercem. Nie strach, ani wstręt do podłych, nienawistnych przesłuchań, powodował to bicie. Serce biło na myśl o tym mężczyźnie, który za chwilę sam na sam z nią zamknie się na klucz w gabinecie.

Cały ciężar robót ogólnych dalej kładł się na osobne obozy dla kobiet. Wprawdzie w 1951 roku zakazano formalnie posyłania kobiet do robót przy wyrębie lasu (chyba jednak nie dlatego, że zaczęła się właśnie druga połowa dwudziestego wieku). Ale np. w Unzłagu męskie podobozы w żaden sposób nie dawały sobie rady z planem. I wówczas ktoś wpadł na pomysł — dać ostrogę i zmusić tubylców, by kosztem wzmożonego wysiłku kupowali sobie to, co wszystkie żywe istoty dostają bezpłatnie. Zaczęto zatem kobiety wysyłać do lasu na roboty, na ten sam odcinek, pod nadzorem tego samego konwoju. Tylko droga sanna oddzielała je od mężczyzn. Wszystko, co na tym odcinku zrąbano, zapisywane było na rachunek podobozу męskiego, ale wykonania normy żądano i od chłopów i od bab. Lubie Bierezin, „mistrzynie piły”, naczelnik (major, czy może pułkownik) tak wyraźnie powiedział: „Jak wykonasz normę ze swoimi babkami, będziesz miała swojego chłopaka w osobnej kabince!”. Ale również mężczyźni, ci mocniejsi, a już zwłaszcza prominenci, zawsze mający sporo grosza, wtykali pieniądze konwojentom (u nich też się przecież nie przelewa) i na jakieś półtorej godziny (do zmiany wachty) mogli ruszać w głąb odcinka żeńskiej brygady.

W zaśnieżonym, skutym mrozem lesie trzeba było w ciągu tych dziewięćdziesięciu minut: dokonać wyboru, zawrzeć znajomość (jeśli wcześniej nie nawiązało się korespondencji), znaleźć odpowiednie miejsce — i zrobić, co należy.

Ale po co to w ogóle wspominać? Po co i dlaczego jątrzyć rany — tych, którzy mieszkali podówczas w Moskwie i na daczach, pisali do gazet, przemawiali publicznie, jeździli do uzdrowisk i za granicę?

Istotnie, po cóż o tym wspominać, skoro to trwa dalej? Przecież pisać wolno tylko o tym, co „nigdy już się nie powtórzy...”.

## Rozdział dziewiąty

### PROMINENCI

Jednym z pierwszych pojęć miejscowych, które poznaje nowicjusz po przybyciu do obozu, jest termin *pridurok*. Tak sobie z prosta nazywają tubylcy tych, którym udało się przechrzyć straceńczy los, pisany wszystkim innym: są to ci, którzy albo zdołali wydostać się z *ogólnych*, albo w ogóle nigdy na nich nie byli.

Prydurków jest na Archipelagu niemało. Ilość ich ogranicza w zonie mieszkalnej ściśle określony pułap procentowy, przewidziany dla grupy „B”, w produkcji zaś — liczba etatów — jednakże zawsze jakoś jest ich więcej, niż plan przewiduje: częściowo dzięki masowemu naciskowi amatorów takiego ratunku, częściowo zaś — z uwagi na nieudolność administracji, nie umiejącej gospodarować i zarządzać obozem bez nadmiaru pomocników.

Według statystyki Ludowego Komisariatu Sprawiedliwości (1933), obsługą zakładów karnych, wliczając w to co prawda również tzw. *samoochronę* — zajmowało się wówczas 22 % ogólnej liczby tubylców. Jeśli tę cyfrę obniżymy nawet do 17-18 % (bez tych wartowników własnego chowu) — to zawsze jeszcze będzie to jedna szóstka wszystkich więźniów. Już z tego widać, że mowa będzie o bardzo znacznej części obozowego ludku. Ale prominenci stanowią więcej niż jedną szóstą całości: przecież ta cyfra dotyczy tylko prominentów z *zony*, a jeszcze są ci od produkcji; a ponadto skład tej grupy jest zmienny i w trakcie swojego życia obozowego jeszcze większy odsetek — przynajmniej na jakiś czas — osiąga rangę *prydurka*. Najważniejsze zaś, że pośród tych co przetrwali, co doczekują się wyjścia na wolność — prominenci stanowią znaczną większość. Wśród długoterminowych więźniów, tych z Pięćdziesiątki Ósemki — jest ich, moim zdaniem, dziewięć dziesiątych.

Więc prawie każdy zek długoterminowy, któremu winszujecie wyjścia na wolność — to były p r y d u r o k. Albo był nim przez większą część odsiadki.

Bo przecież to obozy zagłady, o tym nie wolno zapominać.

Wszelka klasyfikacja zjawisk zachodzących w żywym życiu jest płynna i granice między poszczególnymi stopniami są w niej zatarte. Także w tym wypadku granice są zamazane. W zasadzie — każdy, kto nie musi wychodzić z zony mieszkalnej do roboty — może być uznany za p r y d u r k a. Człowiek zatrudniony przy robotach gospodarczych już ma życie znacznie łatwiejsze, niż robociarz z *ogólnych*: nie musi meldować się przed pójściem do pracy, a więc może później wstać i zjeść ranny posiłek bez pośpiechu; nie musi być eskortowany do miejsca pracy i z powrotem, znosi mniej ponagleń, mróz nie tak go dręczy, sił tyle nie traci; prócz tego jego dzień roboczy jest krótszy; albo pracuje w ciepłym lokalu, albo wolno mu się zawsze pogrzać przy ogniu. Dalej — zatrudniony jest zwykle nie w brygadzie, lecz osobno, dajmy na to — jako majster, jeśli go więc ktoś pogania, to tylko zwierzchność, a nie towarzysze. A jako że często robi on to i owo na prywatne zlecenie tejże zwierzchności, więc zamiast poszturchiwać często-gęsto otrzymuje nawet jakieś podarunki, jakieś ulgi; to on pierwszy fasuje odzież i obuwie. Ma też niemałe możliwości dorabiania sobie na boku, wykonując zamówienia innych zeków. Żeby to jakoś jaśniej wyłożyć, powiedzmy, że zatrudnieni w dziale gospodarczym to jakby pracująca część dworskiej czeladzi. Należący do niej ślusarz, stolarz, zdun — nie jest jeszcze prominentem w pełnym sensie tego słowa, za to szewc, a tym bardziej — krawiec jest p r y d u r k i e m wysokiej klasy „Krawiec” — to brzmi i znaczy w obozie mniej więcej tyle, co „docent” w reszcie świata. (I odwrotnie — być prawdziwym „docentem” to powód do kpin, lepiej nie robić z siebie pośmiewiska i nie wymieniać swoich tytułów. Obozowa skala autorytetów jest dokładnym przeciwieństwem skali, obowiązującej poza obozem).

Praczką, pomywaczką, palacz, łaźniebnym, robotnik z kotłowni, podręczny w piekarni, dyżurny w baraku — to też p r y d u r k i, ale niższego rzędu. Muszą oni urabiać sobie ręce, nieraz po łokcie. Wszyscy oni zresztą nie wiedzą co to głód.

Prawdziwi prominenci w zonie, to: kucharze, ci, co dzielą chleb na porcje, magazynierzy, lekarze, felczerzy, fryzjerzy, wychowawcy z KO, kierownik łaźni, szef piekarni, szefowie składów, szef rozdzielni przesyłek pocztowych, starostowie baraków, intendenci, dyspozytorzy, księgowi, pisarze z baraku sztabowego, inżynierowie zony i działu gospodarczego. Ci wszyscy nie

tylko zawsze są syci, nie tylko noszą się czysto, nie tylko nie bawią się w podnoszenie ciężarów i nie skarżą się na łamanie w krzyżu, ale sprawują też władzę nad tym, co potrzebne jest ludziom — mają zatem władzę nad ludźmi. Czasem poszczególne ich grupy toczą między sobą walki, knują intrygi, obalają się wzajemnie i pomagają sobie w awansach, często żrą się z powodu „bab”, ale najczęściej — życie ich to stała, pospólna walka obronna z czernią. Stanowią jakby Olimp, obsypany dobrodziejstwami, na którym nie istnieją już podziały, bo wszystko raz na zawsze zostało rozdzielone i każdy panuje w swoim kręgu. Ta klika prominentów z zony tym większą ma siłę, im bardziej polega na niej komendant, oszczędzając sam sobie trosk. Los wszystkich przysyłanych i odsyłanych etapem, los każdego szarego robociarza jest w ręku tych p r y d u r k ó w.

Typowa kastowa krótkowzroczność bardzo prędko skłania prominentów do gardzenia spaniem z prostym ludem roboczym we wspólnym baraku, na tej samej wagonetce, zresztą w ogóle na jakiegokolwiek wagonetce, nie zaś w łóżku. Nie chcą już jeść przy wspólnym stole, rozbierać się w tej samej łaźni, nosić bielizny, w której harował i którą podziurawił robociarz. I oto prominenci zamieszkują osobno, w niewielkich izbach, we dwójkę, czwórkę czy w ósemkę, tam jadają jakieś lepsze potrawy, doprawiają je czymś niezupełnie legalnie zdobytym, tam ustalają między sobą wszystkie obozowe nominacje i rozstrzygają sporne sprawy, tam decydują o losach poszczególnych ludzi i brygad, nie narażając się na przykrości ze strony robociarza, czy brygadzystów. Osobno organizują sobie wypoczynek (a wypoczywają sobie, rzecz jasna), bieliznę też zmieniają im oddzielnie („indywidualnie”). Ta sama głupota kastowa każe im starać się o inną odzież, wyróżniającą ich wśród więziarskiej rzeszy, acz tu możliwości mają niewielkie. Jeśli w danym obozie przeważają czarne waciaki, czy kaftany — prominenci starają się wydostać ze składu waciaki granatowe, jeśli przeważają granatowe — to szukają czarnych. Albo każą sobie w szwalni poszerzać wąskie obozowe portki tak, żeby miały u dołu klosze.

Prominenci w dziale produkcji — to właściwie inżynierowie, technicy, kierownicy robót, dziesiętnicy, majstrowie w oddziałach, planiści, kontrolerzy norm, a także księgowi, sekretarki, maszynistki. Od p r y d u r k ó w z zony tym się różnią, że wyprawdani są do pracy kolumnami, maszerującymi pod konwojem (czasem są zresztą zwolnieni spod straży). Ale ich sytuacja w obozowym przedsiębiorstwie jest uprzywilejowana; nie muszą pracować fizycznie, robota ich nie wycieńcza. Ba, od wielu z nich zależy praca, wikt i życie zwykłych robotników. Chociaż luźniej



związani są z zoną mieszkalną, starają się tam także bronić swoich przywilejów i mieć znaczną część tych ulg, z których korzystają prominenci zony — chociaż nigdy im się nie udaje dorównać tamtym.

Tu też nie ma wyraźnych granic. Do tej grupy należą również konstruktorzy, technologowie, geodeci, mechanicy, dyżurni w hali maszyn. Ci — nie zaliczają się już do „kadry oficerskiej produkcji”, nie mają w ręku niszczycielskiej władzy, nie ciąży na nich odpowiedzialność za zmarnowane życia ludzkie (w tej mierze, w jakiej tego marnowania nie spowodowała obrona przez nich, albo wprowadzana w życie technologia produkcji). Są to po prostu inteligentni, albo półwykształceni zwykli robotnicy. Jak każdy inny zek, przy pracy *machlują*, oszukują zwierzchność, starają się przez tydzień ciągnąć to, co można zrobić przez pół dnia. Zwykle w obozie mieszkają oni jak zwykli robotnicy, często wchodzą w skład brygad roboczych, tylko na obszarze robót jest im ciepło i bezpiecznie i to tam, w gabinetach i kabinkach, doczekawszy się chwili, gdy wolniaków nie ma, odrywają się od zadanej pracy i zaczynają toczyć rozmowy o życiu, wyrokach, o tym, co było i co będzie, najczęściej zaś — o pogłoskach, wedle których Pięćdziesiątkę Ósemkę (a najczęściej to ich artykuł) niedługo już w całości przerzucą na *ogólne*.

Ma to też swoje głębokie, prawdziwie naukowe uzasadnienie — przecież elementy, socjalnie obce, prawie nigdy nie poddają się reedukacji, tak są zatwardziałe w swoim klasowym zepsuciu. Większość z nich dopiero grób wyleczy. Jeśli zaś jakaś ich mniejszość staje się mimo wszystko podatna na dobre wpływy, to, rzecz jasna, tylko dzięki *pracy*, przy tym pracy fizycznej, ciężkiej (zastępującej wysiłek maszyn), tej pracy, która byłaby poniżająca dla obozowego oficera, czy nadzorcy, która nie mniej jednak przyczyniła się niegdyś do uczłowieczenia małpy (a w obozie, niezrozumiałym sposobem, znów człowieka w małpę przekształca). Oto dlaczego — bynajmniej nie z chęci zemsty, lecz jedynie gwoli słabej nadziei, że Pięćdziesiątka Ósemka jednak podda się reedukacji — instrukcje GUŁagu z całą stanowczością przypominają (a upomnienie to wciąż bywa powtarzane), że osoby, skazane z artykułu 58 nie mogą zajmować żadnych uprzywilejowanych stanowisk ani w zonie mieszkalnej, ani w dziale produkcji. (Stanowiska, związane z przechowaniem i dystrybucją walorów materialnych, przewidziane są dla osób, które już na wolności wyróżniły się zdolnościami do grabieży). Tak by też było w rzeczywistości — bo i kto z obozowych dygnitarzy lubi Pięćdziesiątkę Ósemkę! — ale wiedzą oni dobrze, że wśród wszystkich innych więźniów nie znajdą nawet piątej części takich specjalis-

tów, jak wśród skazanych z artykułu 58. Lekarze i inżynierowie — to prawie wyłącznie Pięćdziesiątka Ósemka, a zresztą uczciwszych i pracowitszych ludzi niż oni — nie sposób po prostu znaleźć nawet wśród wolniaków. I oto — przeciwstawiając się skrycie Jedynej Prawdziwie Naukowej Doktrynie — pracodawcy zaczynają samochcąc wyznaczać Pięćdziesiątkę Ósemkę na stanowiska prominentów (zresztą — najważniejsze zawsze przypadają pospolitakom, bo z nimi łatwiej władzy się dogadać, a tu zbytnia uczciwość byłaby tylko przeszkodą). Dają im te stanowiska, ale przy każdej nowelizacji instrukcji (a instrukcje wciąż się nowelizuje), przed każdym przyjazdem komisji kontrolnej (a komisje wciąż przyjeżdżają) Pięćdziesiątkę Ósemkę bez wahań i żalów, na jedno skinienie białej ręki pana komendanta, wysyła się na *ogólne*. Mozolnie, w ciągu całych miesięcy budowana chwiejna pomyślność, rozpada się w jednej chwili, jak domek z kart. Ale nie samo to wylanie z pracy jest zgubne; politycznego p r y d u r k a gorzej jeszcze męczą nieustające pogłoski o tym, że już, już. Zatruwają one całe jego istnienie. Tylko pospolitacy mogą sobie beztrąsko napawać się swoim stanowiskiem i funkcją. (Zresztą — komisja sobie odjedzie, a tu robota co i rusz to gorzej idzie, więc też inżynierów — tylko patrzeć — a już wyciągają z błota i posyłają na funkcje, żeby znów ich wygnąć przy najbliższej kontroli).

A są jeszcze wśród Pięćdziesiątki Ósemki tacy, których akta raz na zawsze obłożone są specjalną klątwą, rzucaną przez centralę w Moskwie: „wykorzystywać tylko do robót ogólnych!”. Wielu zeków z Kołymy nosiło to piętno w 1938 roku. Wkręcenie się na stanowisko praczki, albo do suszarni walonków — było dla nich marzeniem nieosiągalnym.

Jak to tam stoi w „Manifeście Komunistycznym”?

„Burżuazja pozbawiła aureoli świętości wszystkie rodzaje zajęć uważane dotąd za zaszczytne, otoczone dotąd nabożną czcią” (pasuje prawie, jak ulał!). „Lekarza, prawnika, duchownego, poetę, uczonego — przekształciła ona w swoich najmitów<sup>1</sup>”. Ale przynajmniej — płatnych! I pozwoliła im przynajmniej pracować w ich fachu! A gdyby tak na *ogólne*? do lasu z toporkiem? i *bezpłatnie!* i bez chlebusia!... Co prawda, lekarzy zsyłano na *ogólne* dość rzadko: leczyli przecież także rodziny zwierzników. Co zaś do „prawników, duchownych, poetów i uczonech”, to tych gnojono wyłącznie na *ogólnych*, wśród prominentów nie mieli oni nic do roboty.

Osobną pozycję w obozie mają *brygadziści*. Nie są oni w po-

---

1. Marks i Engels, t. IV, str. 427 (wyd. ros.).

jęciu tubylców prydu rkami, ale też nie sposób zaliczyć ich do robociarzy. Dlatego — ten rozdział i do nich się odnosi.



W obozowym życiu, podobnie jak podczas bitwy, nie ma czasu na zastanawianie się: nadarzy się okazja, żeby dostać funkcję — więc ją człowiek łapie.

Ale minęły lata i dziesięciolecia, myśmy jakoś je przetrwali, a nasi kumple poginęli. I oto — zdumionym wolniakom i zobojętniałym naszym następcom ku nauce — zaczynamy po troszeczkę uchylać drzwi do tamtego świata, który nie miał prawie nic ludzkiego, aby móc wymierzyć mu sprawiedliwość w blasku ludzkiego sumienia.

I sprawa prydu rków pojawia się właśnie tu jako jeden z głównych problemów moralnych.

Wybierając bohatera dla mojej opowieści obozowej, wziąłem zwykłego robotnika, bo też nie mogłem wziąć nikogo innego. Tylko taki człowiek mógł wiedzieć, jak naprawdę wyglądają stosunki w obozie (podobnie, jak tylko piechur znać może cały prawdziwy ciężar wojny — tylko że pamiętniki jakoś piszą inni). Wybór takiego bohatera i niektóre ostre wypowiedzi w tej powieści — zaskoczyły i dotknęły do żywego niektórych byłych prydu rków, a — jak już mówiłem — wśród tych którzy zdołali przeżyć obozy, 9/10 to właśnie oni. Wtedy też pojawił się jakby rodzaj „wspomnień prydu rka” — Diakowa („Notatki o tym, com przeżył”), gdzie zarozumiałe i z satysfakcją pieje się hymny ku chwale zręczności przy „urządzaniu się” w obozie, i chytrności, pozwalającej zachować życie za wszelką cenę. (Taka właśnie książka powinna była pojawić się jeszcze przed moją).

W ciągu tych niewielu miesięcy, gdy wydawało się, że można będzie wspólnie się *zastanowić*, rozpoczęła się nawet dyskusja o prydu rkach; było to coś w rodzaju próby oceny strony moralnej sytuacji prominenta w obozie. Ale żadna informacja nie bywa u nas doprowadzona do zupełnej ścisłości i jasności, w żadnej dyskusji nie pozwala się dotknąć naprawdę wszystkich aspektów omawianej sprawy. Wszystko to nieuchronnie zostaje zduszone już w samym zarodku, aby promyk żaden paść nie mógł na nagie zwłoki prawdy; wszystko to zwała się na jedną bezkształtną kupę, która ma butwieć całe dziesięciolecia, aż wreszcie zatrą się wszystkie ślady i zniknie wszelkie zainteresowanie dla rdzawych kikutów, co zalegają gdzieś w tym rumowisku. Tak samo dyskusja o prydu rkach przytłumiona została już

na wstępie i z gazetowych szpalt przeniosła się na stronicie listów prywatnych.

A tymczasem — rozróżnienie między *p r y d u r k i e m* a robociarzem w obozie (zresztą nie trzeba tu było żadnej przesady w stosunku do rzeczywistości) powinno było zostać ustalone i bardzo dobrze się stało, że problem ten omówiono już wtedy, gdy temat obozów został poruszony publicznie. Ale w opublikowanym, na kontrolowanych przez cenzurę łamach artykule W. Łakszyna<sup>2</sup> odczułem pewną przesadę tam, gdzie była mowa o pracy w obozie (można się było doszukać nieomal pochwały owego wysiłku, co to wynagradzał brak mechanizmów i przyczyniał się do ucłowieczenia małpiej czeredy) i oto artykuł — w sumie słuszny — a zarazem moja opowieść\* spowodowały falę protestów ze strony byłych *p r y d u r k ó w* oraz ich inteligenckich popleczników, którzy nigdy nie siedzieli za kratami: jak to, więc sławicie panowie pracę niewolniczą („scena murowania” w „Iwanie Denisowiczu”)?! A więc należy „w pocie oblicza pożywać chleb”, czyli że masz robić to właśnie, czego życzy sobie władza w GUŁagu? Ależ *my* właśnie z tego jesteśmy dumni, że wykręciliśmy się od pracy, od harówki!

Odpowiadając teraz na te protesty, mogę tylko westchnąć, że moi krytycy nie prędko to przeczytają.

Moim zdaniem nie przystoi inteligentowi pysznić się tym, że — uważacie panowie — nie zhańbił się on niewolniczą, fizyczną pracą, jako że potrafił wkręcić się na stanowisko biurowe. W podobnej sytuacji — inteligenci rosyjscy ubiegłego stulecia czuliby się dumni jedynie w tym wypadku, gdyby udało im się oszczędzić niewolniczej pracy również młodszym braciom. Toć Iwan Denisowicz nie mógł skorzystać z tych możliwości, nie mógł urządzić się w kancelarii! Jak więc będzie z tymi młodszymi braćmi? Tym młodszymi naszym braciom przystoi zatem parać się niewolniczą pracą? (No, a dlaczego nie? Przecież dawno już pogodziliśmy się z tym, że harują tak w kołchozach! Toż samiśmy ich tam „urządzili”!). Ale jeśli tak się godzi, to może też pozwolimy im kiedyś, choćby na chwilę, przed samym dzwonkiem, kiedy murowanie dobrze poszło — poczuć z tego trochę satysfakcji? My sami odczuwamy przecież — nawet w obozie — coś na kształt przyjemności, gdy pióro gładko mknie po biurowym papierze, albo gdy pisak kreśli czarną krechę na brystolu. W jaki sposób Iwan Denisowicz wytrzyma w obozie dziesięć lat, jeśli ma dzień i noc — nic,

2. *Nowyj mir*, 1964, Nr 1.

\* „Jeden dzień Iwana Denisowicza”.

tylko przeklinać swoją harówkę? Przecież powiesi się wtedy na pierwszej krokwi!

A jak potraktować taką oto, prawie nieprawdopodobną, historię: Paweł Czulpieniew *siedem lat* ciurkiem pracował przy wyrębie lasu (przy tym — w karnym obozie). Otóż, jak mógłby on przetrwać i przepracować ten siedmioletni okres, gdyby nie udało mu się doszukać sensu w tej robocie, poczuć do niej zainteresowania? Utrzymał się na powierzchni tak oto: komendant OŁP, nie chcąc stracić swoich nielicznych stałych robotników (aż dziw, że znalazł się taki komendant) — po pierwsze karmił ich bałandą do syta, po drugie — nikomu, prócz rekordzistów, nie pozwalał pracować nocami w kuchni. To była jakby premia! — więc po całym dniu drwalskiej roboty Czulpieniew szorował jeszcze i napełniał kotły, palił w piecu, skrobał kartofle — do drugiej w nocy, później załł, ile wlezie i szedł spać na trzy godziny, nie zrzucając nawet waciaka. Raz — co też było rodzajem premii — pracował przez cały miesiąc w krajalni chleba. Jeszcze jakiś miesiąc odpoczynku wychrapał sobie, bo się sam dziabnął toporem (nikt — jako rekordziście — nie zrobił mu o to kwestii). I to wszystko. (Rzecz jasna, tu potrzebny jest komentarz. W ich drużynie cały roczek pracowała przy koniach pewna złodziejka i paserka, która żyła z dwoma przydurnkami naraz: jeden szacował ilość zrąbanego drzewa, drugi był kierownikiem składu. Dlatego to ich drużyna zawsze plan wykonała z nawiązką, a ich koń Gierczyk miał dość owsa i ciągnął dobrze — boć przecie nawet paszę dla koni wydzielano proporcjonalnie do wykonania planu przez drużynę! Przykrzy się już powtarzać „biedni ludzie!”, trzeba nawet koni żałować!). Ale tak, czy owak — *siedem lat przy wyrębie* — to pachnie wręcz mitologią! Więc jak tu przepracować takie siedmioletnie, jeśli człowiek nie przysposobi się jakoś, nie wymyśli, nie wniknie w treść samej roboty? Niech mi tylko jeść dadzą, powiadał Czulpieniew, a ja tam roboty się nie boję. Rosyjska natura... Opanował on technikę „wyrębu ciągłego”: pierwszy pień obala się w ten sposób, aby oparł się o strzałę następnego, nie wisząc na konarach i dając się łatwo rozpiłować na kłocce. I wszystkie pnie później podcina się tak, by padały jeden na drugi i żeby odрубane gałęzie łatwo było zebrać w jedno — dwa ogniska, nie ściągając ich z daleka. Potrafił też nadрубany pień tak podklińować, by padał dokładnie na upatrzone miejsce. Kiedyś mu Litwini opowiedzieli, jak to kanadyjscy drwale zakładają się, że padającym pniem wbiją w ziemię zatknięty w dowolnym punkcie kołek — Czulpieniew zaraz wziął na kiel: „Ano, my też spróbujemy!”. I udało mu się to.

Okazuje się więc, że człowiek taką ma naturę, iż czasem nawet gorzka, przeklęta harówka staje się dla niego sprawą jakiegoś zawiadczego, niepokojącego hazardu. Dwa lata sam urabiałem ręce i znam z doświadczenia to dziwne uczucie: nagle człowiek wciąga się w proces pracy, nie bacząc na to, że to robota niewolnicza i że nic z niej mieć nie może. Odczułem to i przy murarce (inaczej nie mógłbym tego opisać), i kiedyś pracowałem w odlewni żelaza, i przy ciesiołce, i nawet przy miazdzeniu starego żelastwa kowalskim młotem. Więc może pozwolicie Iwanowi Denisowiczowi nie zawsze przeklinać brzemień przymusowej pracy, nie tylko furt jej nienawidzić?

No, w tym punkcie chyba mi ustąpią. Ustąpią, ale pod jednym warunkiem: żeby nie ganić na tej podstawie p r y d u r k ó w, którzy nawet przez minutę nie pracowali na swój chleb w pocie czoła.

W pocie, czy nie w pocie — ale rozkazy władz GUŁagu na pewno wykonywali starannie (bo inaczej — *na ogólne!*), ze smakiem, w całym rynsztunku swego specjalnego doświadczenia. Przecież wszystkie ważne stanowiska prominenckie — są to punkty węzłowe administracji obozu i kierownictwa produkcji. Są to właśnie te specjalnie hartowane, decydujące ogniwa łańcucha, bez których (niechby tak więźniowie co do jednego odmówili zajmowania tych stanowisk!) rozpadłby się *cały system wyzysku*, cały system obozów! A to dlatego, że takiej ilości kwalifikowanych fachowców, gotowych ponadto żyć, jak psy, całymi latami — z *wolności* nigdy nie można by dostarczyć.

Czemu więc nie odmówili? Czemu nie zerwali zaklętych łańcuchów?

Stanowiska p r y d u r k ó w — to kluczowe pozycje w systemie wyzysku. Kontrolerzy norm! — a czy mniej grzechów mają na sumieniu ich pomocnicy — rachmistrze? Kierownicy robót! A czy technologowie tak już są czyści? Jakie stanowisko prominenckie nie związane jest z płaszczaniem się przed władzą i z udziałem w ogólnym systemie przymusu? Czy to koniecznie trzeba być wychowawcą z KO, albo ordynansem k u m a, aby czynnie pomagać diabłu? A jeżeli N. jest tylko maszynistką, nie więcej, niż maszynistką — to czy przepisywanie papierków administracji obozu — jest niczym, czy to plewy? Pomyślmy chwilę. Przepisywać te rozkazy, które wcale nie dla dobra zeków są pisane... A o p e r nie ma własnej, wolnej maszynistki. Musi zaś pisać wnioski o ukaranie, opracowywać materiały z donosów — na tych wolniaków i zeków, których wsadzi jutro za kraty. Daje więc do przepisywania tej kobiecie, ona zaś pisze i milczy, nie uprzedzi tego, komu grozi zguba. Zresztą — czy

prominent-chudopacholek — jakiś ślusarz z obsługi obozu, nie musi wykonywać zamówienia na kajdanki? albo umacniać krat bunkra? albo — zostaliśmy już wśród papierków — taki planista? Czy ten planista bez zmyy — też nie przyczynia się do planowego wyzysku?

Nie rozumiem na czym polega większa czystość i szlachetność tej inteligenckiej pracy niewolniczej nad niewolniczą harówką robociarzy.

Nie pot, przelewany przez Iwana Denisowicza, powinien takie oburzenie budzić, ale — przede wszystkim — to spokojne poskrzypywanie piór w obozowej kancelarii!

Toć ja sam przepracowałem pół wyroku w *szaraszce*, na jednej z onych Rajskich Wysp. Byliśmy tam odcięci od reszty Archipelagu, nie kłuło nas w oczy jego niewolnicze bytowanie — ale czy nie były z nas takie same *pryduki*? Czy — w szerszym sensie — nie pomnażaliśmy naszą pracą naukową siły tegoż MWD i całego systemu przymusu<sup>3</sup>?

Całe zło dziejące się na Archipelagu, albo w reszcie świata — czy nie naszymi własnymi rękoma jest czynione? A my tu napastujemy Iwana Denisowicza, że on tak cegłę do cegły. Naszych cegieł jest więcej!

W obozie słyszy się najczęściej zupełnie inne zarzuty i pretensje: że prominenci siedzą robociarzom na karku, że ich obżerają, że ratują siebie samych — ich kosztem. Zarzuca się to przede wszystkim *prydukom* z *zony* — i często nie bez powodu. Bo też kto oszukuje Iwana Denisowicza przy ważeniu chleba? Kto zwilża jego cukier, kradnąc nadwagę? Kto nie pozwala, aby tłuszcz, mięso i lepsze gatunki kaszy trafiły do wspólnego kotła?

Prominenci, od których zależy w zonie wikt i przydział odzieży, dobierani są w szczególny sposób. Aby dostać się na takie stanowisko potrzebna jest natarczywość, spryt, zręczność w dawaniu w łapę: aby utrzymać się na nim — trzeba być bezlitosnym, nie zważać na głos sumienia (najczęściej trzeba też być kapusiem). Oczywiście, każde uogólnienie brzemiennie jest w pomyłki i sam gotów jestem wymienić znane mi osobiście posta-

---

3. Także ten problem wykracza poza granice Archipelagu: dotyczy całego naszego społeczeństwa. Czy cała nasza warstwa oświecona — zarówno technicy, jak humaniści — w ciągu całych dziesięcioleci nie wchodziła w skład zakłętego łańcucha? Czy ci ludzie nie byli także *prydukami* w szerszym sensie słowa? Czy wśród ocalałych, i tych, którym się udało — ktoś potrafi wskazać nam takich uczonych lub kompozytorów, albo historyków kultury, którzy rzucili na szalę własne życie, aby przyczynić się do polepszenia życia ogółu?



cie uczciwych i bezinteresownych przydurków z żony — tylko, że niezbyt długo utrzymali się oni na funkcji. Co zaś do ogółu dobrze prosperujących ich kolegów, można powiedzieć śmiało, że jest wśród nich więcej ludzi zepsutych i złych, niż wśród przeciętnych tubylców. Jeśli już znalazł się za kratami komendant MWD okręgu Szachtyńskiego — to nie został zaprzęgnięty do wyřębu lasu, lecz wkrótce wypłynął jako dystrybutor w centralnym OŁP Usolřagu. Jeśli już wsadzono enkawudziřtę Borysa Guganawę („od czasu, gdy usunąłem raz krzyż z jednej cerkwi, jakoř straciłem fart w życiu”) — to zaraz dano mu stanowisko kierownika kuchni obozowej na stacji Reszety. Ale z tą grupą blisko sąsiadują ludzie z całkiem innej — pozornie — beczki. Rosjanin — śledczy z Krasnodonu, który pod niemiecką okupacją prowadził dochodzenie w sprawie partyzantów z oddziału „Młoda Gwardia<sup>4</sup>” — był później bardzo faworyzowanym dystrybutorem robót w jednej z filii Ozierłagu. Sasza Sidorenko, były agent wywiadu, który wpadł w ręce Niemców i zaraz zgodził się przejść na ich służbę — był teraz w Kengirze szefem magazynu sortów odzieżowych i bardzo lubił odgrywać się na Niemcach za swój pech. Ludzie zdążyli zasnąć po apelu, zmęczeni po całodziennym robocie, Sidorenko, już pod muchą, wbiegał do ich baraku i budził ich wrzeszcząc głořno: „Szkopy! *Achtung!* — Wasz Bóg — to ja! Śpiewać mi tu zaraz!” (pół-senni, nastraszeni Niemcy przysiadali na pryzkach i zaczynali śpiewać dla niego „Lili Marlen”). A jak nazwać tych księgowych, którzy — po rozliczeniu — wypuścili Łoszczyłina<sup>5</sup> z obozu późną jesienią w samej koszuli? A tego szewca z Buriepołomu, który, nie mrugnąwszy nawet okiem, wziął od głodnego Ansa Bernsztejna nowe wojskowe buty z cholewami za porcję chleba? —

Kiedy tak teraz na przyźbie palą swoją fajeczkę pokoju, gwarząc o przeżyciach obozowych — trudno nieraz wyobrazić sobie, jakie teź okazy zebrały się w takiej gromadce!

Co prawda, oni także mogą powiedzieć to i owo na swoje usprawiedliwienie, to i owo objařnić. J. F. Lipaj przysłał mi list pełen pasji:

„Przydziały więźniarskie były rozkradane bezczelnie i bez żadnej litořci wszędzie i przez każdego, kto tylko mógł. Złodziej-

4. Prawdziwy przebieg tej historii nie był wcale, jak się zdaje, podobny do relacji A. Fadijewa, nawet z pierwszego wariantu jego powieści, ale nie chcemy tu opierać się na samych tylko obozowych wersjach.

5. O jego niezwykłym (albo może — bardzo banalnym) losie — patrz część IV, rozdział 4.

stwo uprawiane przez p r y d u r k ó w dla własnych potrzeb... to drobna kradzież. Ci zaś prominenci, którzy decydowali się na większe kradzieże, robili to z musu (?). Pracownicy Centrali, wolniacy i więźniowie, zwłaszcza podczas wojny, domagali się łapówek od pracowników oddziałów, pracownicy oddziałów — od ludzi zatrudnionych w podobozach, tamci z kolei — od więźniów pracujących w magazynach i kuchniach, a ci wreszcie — kradli z więziarskich przydziałów. Najgorsze rekiny — to byli nie prominenci, tylko naczelnicy, wolniacy (Kuragin, Pojsuj-czapka, Ignatzenko w Siewdwinłagu), co nie kradli, tylko po prostu „brali” sobie ze składów, przy tym nie na kilogramy, tylko całymi workami i beczkami. Ale też — nie tylko dla siebie, bo oni również musieli z kimś się dzielić. A więźniowie - p r y d u r k i wszystko to musieli jakoś formalnie księgować i wymyślać podkładki. A kto nie chciał, tego nie tylko wyrzucali z zajmowanego stanowiska, ale jeszcze odsyłali do podobozów karnych i obostrzonych. W ten sposób — skład kadry p r y d u r k ó w poddawany był — z woli władzy — stałej selekcji, tak aby zrobić miejsce dla tchórzy, lękających się pracy fizycznej, dla oszustów i szubrawców. A jeśli kto szedł pod sąd, to znów tylko magazynierzy i księgowi, panów naczelników to nie tyczyło — bo przecież nie wydawali rozkazów na piśmie. Jeśli zaś jakiś magazynier obciążał w zeznaniach naczelnika, to śledczy nazywał to prowokacją...”

Obraz malowany z wycuciem dalekiej perspektywy...

Doskonale mi znana, bezwzględnie uczciwa kobieta, Natalia Aniczkowa, została dziwnym zrzędzeniem losu kierowniczką obozowej piekarni. Już na wstępie zorientowała się, że jest tu zwyczajem by z wypiekanego chleba (przydziałowego chleba więźniów) wysyłać codziennie (i bez żadnych kwitów, to jasne) tyle a tyle bochnów za zonę, w zamian za co piekarze dostawali z kiosku dla wolniaków trochę powideł i masła. Aniczkowa zabroniła tego, nie pozwoliła wywieźć chleba z zony — i w rezultacie chleb się popsuł, pojawił się w nim zakalec, następnie zaczęły się opóźnienia wypieku (to była robota piekarzy), dalej mąka ze składu zaczęła przybywać nieregularnie, komendant OŁP'u (to on najwięcej na tym zarabiał!) nie pozwolił brać koni do wozenia mąki i chleba. Ileś tam dni Aniczkowa walczyła, ale w końcu skapitulowała — i zaraz robota poszła rażniej, tylko że na dawną modłę.

Jeśli jakiś prominent z zony potrafił odmówić udziału w tej powszechnej grabieży, to i tak prawie niemożliwością było dla niego wyrzeczenie się uprzywilejowanej sytuacji i związanych

z nią dobrodziejstw — jak OP poza kolejką, wikt szpitalny, lepsza odzież, bielizna, wygodniejsze miejsce w baraku. Ja tam nie wiem, nie wyobrażam sobie takiego świętego p r y d u r k a, który naprawdę nic a nic sobie nie urwał z tych wszystkich dobrodziejstw, co je miał pod ręką? Toć by go sąsiedzi - p r y d u r k i zaczęli się bać, zaraz by go wygryźli! Każdy z nich — niech tam nawet pośrednio, boczkim, prawie bezwiednie — ale przecież pasożytował, a więc tak, czy owak — żył kosztem robociarza.

Trudna, trudna to rzecz dla p r y d u r k a z żony — mieć czyste sumienie!

A przecież — mamy jeszcze problem środków, jakich użył dla zdobycia stanowiska. Rzadko jest to sprawa tak niewątpliwa jak fachowość, na przykład — gdy chodzi o lekarza (albo o sporą część p r y d u r k ó w z działu produkcji). Nie ma wątpliwości, gdy w grę wchodzi inwalidztwo. Ale nierzadko funkcję dostaje się dzięki protekcji k u m a. Oczywiście, istnieją drogi jakby neutralne: ludzie urządzają się na zasadzie dawnych, więziennych znajomości; albo dzięki pomocy jakiejś grupy (najczęściej narodowej; niektóre małe grupy narodowościowe potrafią tu działać szczególnie skutecznie i zwykle pełno ich przedstawicieli na stanowiskach p r y d u r k ó w; tak samo komuniści po cichu sobie pomagają).

Istnieje też problem: jak zachowywał się dany osobnik wobec innych, w stosunku do szarego bydełka? Ile w tym jest pychy, ile grubiaństwa, ile nieumiejętności pamiętania, że wszyscyśmy tu — zwykli wyspiarze i że nasza potęga ma krótki żywot?

I wreszcie — sprawa najważniejsza: jeśli nawet nie czyniłeś nic złego towarzyszom twego więziennego losu, to czy przyniosłeś im jakikolwiek pożytek? Czyś wykorzystał choć raz swoje przywileje dla dobra ogółu, czyś tylko bronił swego dobra?

P r y d u r k ó w „produkcyjnych” nie imają się wcale zarzuty, że „obżerają”, że „siedzą na karku”: praca robociarza nie jest opłacana, owszem, ale wcale nie dlatego, że pasożytują na niej techniczni prominenci, oni też pracują za darmo — wszystko idzie do tego samego wora bez dna. Ale pozostałe zastrzeżenia moralne nie tracą wagi: zupełna prawie niemożność odmówienia sobie przywilejów; i nie zawsze czyste drogi do kariery; i pycha. I wciąż to samo pytanie podstawowe: czy zrobiłeś coś dla dobra ogółu? choć cokolwiek? choć kiedykolwiek?

A przecież zdarzali się, zdarzali ludzie, którzy — na wzór Wasyla Własowa — mogliby coś powiedzieć o wybiegach, jakie stosowali dla ratowania innych. Ale takich otwartych głów, umięających wymigać się, lawirować wśród obozowej samowoli,

pomagających ludziom tak się urządzać, aby nie wszyscy musieli zginąć, aby okpić i przedsiębiorstwo i administrację obozu, takich bohaterów Archipelagu, pojmujących swoją rolę nie jako napychanie własnego kałduna, ale jako brzemień i zobowiązanie wobec bydełka więzińskiego — takich nazywać *prydukami* to nawet grzech. A takich ludzi najwięcej było wśród inżynierów. I chwala im za to!

A pozostałym żadna chwała się nie należy. Nikt z nich nie ma powodu, by pchać się na piedestał. Ani pysznić się przed Iwanem Denisowiczem, że udało się uniknąć niewolniczej harówki i kładzenia cegieł w pocie czoła. I pusto mi jakoś brzmią wywody, że my, intelektualiści, pracując przy łopacie, męczymy się podwójnie: bo tracimy energię na samą pracę i jeszcze na cierpienia psychiczne, na rozmyślenia i udręki wewnętrzne, których nie sposób zwalczyć — i że niby dlatego słuszne jest, abyśmy unikali *ogólnych* robót, a niech tam już sobie harują natury nie tak subtelne. (Nie wiadomo też wcale, czy naprawdę tracimy podwójny zasób tej energii).

Tak, aby oprzeć się pokusie „urządzenia” się w obozie i pozwolić sile ciężkości zepchnąć się na samo dno — trzeba mieć spokój i równowagę w duszy, sumienie wręcz przeźroczyste, większą część wyroku — już poza sobą, a ponadto — dużo paczek z domu — bo inaczej to równa się samobójstwu!

Jak to powiada z błogim poczuciem skrucy stary łagrowiec D. S. L.: jeśli dziś żyję — to znaczy, że tej nocy kogoś innego, nie mnie, wyczytano w spisie wyprowadzonych na rozstrzelanie; jeśli dziś jestem wśród żywych, to znaczy, że ktoś zamiast mnie zdechnie bez powietrza w dolnej ładowni krypy; jeśli dziś żyję — to znaczy — że mnie przypało te dwieście gramów chleba, których nie starczyło dla tego, co umarł.

Wszystko to napisałem nie w trybie nagany. W tej książce już ta zasada jest przyjęta i stosowana będzie aż do końca: wszystkich, co cierpieli, wszystkich, wziętych w cęgi, wszystkich, zmuszonych do okrutnego wyboru — raczej trzeba pożałować, niż potępić. Najlepiej — okazać im wyrozumiałość.

Ale — sam sobie wybacząc ten wybór, między własną zagładą, a ratunkiem — nie rzucaj kamieniem, człeku bez pamięci, w tego, kto wybór miał jeszcze trudniejszy. Tacy też już w tej książce byli pokazani. I jeszcze nieraz ich spotkamy.



Archipelag — to świat bez dyplomów, świat, gdzie człowiek sam wystawia sobie świadectwo. Zekowi nie wolno mieć żadnych

dokumentów, więc także świadectw szkolnych. Przyjeżdżając do nowego obozu, człowiek wysila fantazję: za kogo podać się tym razem?

W obozie opłaca się być felczerem, fryzjerem, harmonistą — nie śmiem sięgać wyżej. Nie zginiesz, jeśli jesteś blacharzem, szklarzem, mechanikiem samochodowym. Ale biada ci, jeśli jesteś genetykiem, albo — nie daj Boże — filozofem, zginiesz marnie, jeśli jesteś filologiem, albo historykiem sztuki! Odwalisz kitę przy robotach ogólnych w ciągu dwóch tygodni.

Nie raz roiłem sobie, że będę udawał felczera. Iluż literatów, ilu filozofów zdołało na Archipelagu ocaleć dzięki temu wybiegowi! Ale nigdy nie mogłem się zdecydować — nie z obawy przed egzaminem (znając się na medycynie tak jak przeciętnie wykształcony człowiek, ale umiejac też trochę po łacinie, jużbym tam jakoś mógł łać wodę), tylko z lęku przed robieniem ludziom zastrzyków, bom tego nie potrafił. Gdyby na medycynę składały się tylko proszki, mikstury, kompresy i bańki — to bym się zdecydował.

Pobyty w Nowej Jerozolimie nauczył mnie, że być „oficerem produkcji” — to niegodziwość. Gdy przerzucono mnie więc do następnego obozu, za rogatką Kałużską, w Moskwie — z punktu, od razu nad odwachu zełgałem, że jestem kontrolerem norm (termin ten poznałem dopiero w obozie; pojęcia zielonego nie miałem, na czym polega normowanie, ale miałem nadzieję, że ma to coś wspólnego z matematyką).

Łgać trzeba było od razu na odwachu — bo naczelnik odcinka, młodszy lejtnant Niewieżyn, ponury, rosły garbus, nie bacząc na późną porę, przyszedł wprost na odwach, aby wypytać nowoprzybyłych: chciał jeszcze tejże nocy wiedzieć kogo i do jakiej pracy jutro skierować; taki ci był praktyczny. Zerknął spode łba na moje bryczesy, na wojskowe buty, na długopóły szynel, na twarz, z której biła szczerą chęć pełnienia twardej służby, zadał kilka pytań, dotyczących normowania (przekonany byłem, że odpowiadał z ręcznie, dopiero później zrozumiałem, że Niewieżyn przejrzał mnie na wskroś, gdybym tylko gębę otworzył) — i rano już nie wyszedłem z żony. A więc — zwycięstwo! Po dwóch dniach Niewieżyn mianował mnie... nie kontrolerem norm, o nie, to byłaby betka! — lecz „kierownikiem produkcji”; to więcej, niż dystrybutor robót, miałem być zwierzchnikiem wszystkich brygadzystów! Z deszczu pod rynnę! Przed moim przybyciem nie było tu nawet takiej funkcji. Wyglądałem zatem na wyjątkowo wiernego psa! A jakby dopiero Niewieżyn mnie wytresował!

Ale znów złamałem sobie karierę, Bóg strzegł: po paru

dniach Niewieżyn został usunięty ze stanowiska za kradzież materiałów budowlanych. Był to człowiek mocny, o hipnotycznym niemal spojrzeniu; nie musiał nawet podnosić głosu, ludzie w szeregach drętwieli, gdy do nich mówił. Z uwagi na wiek (przekroczył już pięćdziesiątkę), na obozowe doświadczenie i na swoją bezwzględność — powinien już dawno być generałem NKWD; powiadano zresztą, że był już podpułkownikiem, jednakże nie potrafił opanować swojej pasji: kradł. Nigdy nie oddawano go pod sąd, jako *swojego człowieka*, tylko na jakiś czas pozbawiano funkcji i za każdym razem obniżano rangę. Ale nie utrzymał się nawet na szczeblu młodszego lejtnanta.

Lejtnant Mironow, który przyszedł na jego miejsce, nie odznaczał się pedagogiczną wyrozumiałością; sam jakoś nie mogłem zrozumieć, że mam tu pełnić rolę młota kamieniarskiego. Mironow okazywał mi na każdym kroku swoje niezadowolenie i odrzucał z odrazą moje energiczne raporty:

— Nie umiesz nawet pisać, jak należy, styl masz jakiś koślawy. I pokazywał mi służbowy raport dziesiątnika Pawłowa. — Widzisz, ten to pisze, jak człowiek:

„Względem analizy poszczególnych wypadków niedociągnięć odnośnie cyfr wykonania planu niniejszym stwierdza się:

- 1) niewystarczającą ilość materiałów budowlanych,
- 2) niekompletne zaopatrzenie brygad w narzędzia,
- 3) że organizacja robót ze strony personelu technicznego wykazywała braki,
- 4) a także samo nie przestrzega się techniki bezpieczeństwa pracy”.

Zalety tego stylu na tym polegały, że winą za wszystkie niedociągnięcia obciążało się tu pion produkcyjny, chroniąc władze obozowe przed jakimikolwiek zarzutami.

Zresztą, tenże Pawłow, były czołgista (wciąż jeszcze chodził w miękkim kasku), wyrażał się w rozmowach podobnie:

— Skoro jeżeli macie pojęcie względem miłości, to wykażcie mi, co to jest miłość! (Mówił o tym nie bez znajomości przedmiotu: kobiety, które miały z nim do czynienia, nie szczędziły mu pochwał, w obozie te rzeczy omawiane są bez szczególnej dyskrecji).

Po tygodniu zostałem sromotnie wyrzucony, przeniesiony na ogólne, a stanowisko moje objął właśnie Wasia Pawłow. Ponieważ nie walczyłem z nim o tę funkcję, ani nie protestowałem przeciw tej degradacji, więc posłał mnie on nie do łopaty, lecz do brygady malarskiej.

Z tej całej mojej krótkiej kariery został mi jednak pewien namacalny profit: jako kierownik produkcji otrzymałem miejsce w specjalnej izbie dla przydurków, jednej z dwóch takich izb w całym obozie. A Pawłowa mieszkał już właśnie w tej drugiej, więc gdy zostałem zdegradowany, nie znalazł się żaden godny pretendent do mojej pościeli i przez kilka jeszcze miesięcy mogłem się tu byczyć.

Ceniłem sobie wówczas jedynie materialne plusy tego stanu rzeczy: zamiast wagonetek — zwykłe łóżka, stoliki nocne — jeden na dwóch, a nie — wspólny dla całej brygady; we dnie drzwi zamykano i można było zostawiać rzeczy w pokoju; wreszcie — była tu też półlegalna kuchenka elektryczna, nie musiał więc człowiek przepychać się do ogólnej, wspólnej kuchni, stojącej na podwórku. Byłem jeszcze niewolnikiem swojego uciemiężonego, zdjętego lękiem ciała, więc ceniłem wtedy tylko takie rzeczy.

Ale dzisiaj, gdy ogarnęła mnie przemożna chęć opisanie moich sąsiadów z tej izby, rozumiem już, na czym polegał największy jej walor: nigdy więcej w całym moim życiu, ani z dobrowoli, ani z łaski kapryśców społecznego labiryntu — nie przybliżyłem się i nie mogłem nawet zbliżyć się do ludzi takiego pokroju, jak generał lotnictwa Bielajew i enkawudzista Zinowiew, nie generał wprawdzie, lecz coś koło tego.

Wiem już teraz, że pisarz nie ma prawa folgować uczuciu gniewu, wstrętu, pogardy. Przerwałeś zapalczywie czyjś wywód? A więc nie dosłuchałeś go do końca i straciłeś możliwość poznania całości czyich poglądów. Unikałeś kogoś, bo brało cię obrzydzenie? — w rezultacie wymknął ci się jakiś nieznany charakter — może właśnie taki, jakiego będziesz potrzebował. Zbyt późno zrozumiałem, że czas i uwagę poświęcałem ludziom, którzy budzili mój zachwyt, byli mi mili, wywoływali we mnie współczucie — i oto widzę społeczeństwo — na kształt księżycy — zawsze z jednej strony.

Ale — tak, jak księżyc, wibrując z lekka, ukazuje nam skraj odwrotnej swojej strony (libracja) — podobnie ta izba dziwolągów pozwoliła mi ujrzeć zupełnie nieznany gatunek ludzi.

Na generała-majora lotnictwa, Aleksandra Iwanowicza Bielajewa (nikt w obozie nie nazywał go inaczej, niż „generałem”) każdy nowoprzybyły musiał zwrócić uwagę z punktu, pierwszego dnia, przy pierwszym apelu. Spośród całej czarnoburej, wszawiej czeredy wyróżniał się on nie tylko słusznym wzrostem i wysmukłą postacią, lecz także świetnym, skórzanym płaszczem, zapewne zagranicznego wyrobu, takich płaszczy nie widać na mos-



kiewskich ulicach (ich właściciele jeżdżą autami), a już najbardziej — szczególnym wzięciem, akcentowanym wyrazem nieobecności. Nawet stojąc bez ruchu w kolumnie więźniów, potrafił jakoś okazać, że nie ma nic wspólnego z tą rojącą się wokół hałasną obozową, że nawet w ostatniej swojej minucie nie potrafi zrozumieć, jak właściwie znalazł się pośród nich. Wyprostowany, patrzył nad głowami tłumu takim wzrokiem, jakby przyjmował tu całkiem inną defiladę, niewidzialną dla nas. Gdy zaś zaczynało się wyprowadzanie do pracy i wartownik odliczał wychodzące piątki, wałąc skrzydłowych zeków deszczułką po grzbiecie — Bielajew (krocząc w składzie brygady prominentów produkcyjnych) starał się nie być nigdy skrzydłowym. Jeśli zaś tak wypadło, to — przechodząc obok wartowni, wzdrygał się i stroszył z odrazą, plecami nawet pokazując, że gardzi wartownikiem. A ten nie śmiał go tknąć.

Będąc jeszcze kierownikiem produkcji, a więc dygnitarzem, zawarłem znajomość z generałem w taki sposób: znalazłszy się w biurze budowy, gdzie zatrudniono go w charakterze pomocnika kontrolera norm, zauważyłem, że pali i podszedłem, by przywalić papierosa. Grzecznie poprosiłem o pozwolenie i nawet już się nachyliłem nad stołem. Bielajew ostrym ruchem odsunął rękę z papierosem, jakby w obawie, że się czymś ode mnie zarazi, wyciągnął pyszną, niklowaną zapalniczkę i położył mi ją przed nosem. Łatwiej mu było pozwolić, bym mu tę zapalniczkę pobrudził i popsuł, niż poniżyć się, podsuwając mi swój tłący się papieros! Stropiłem się. Tak było zawsze: jeżeli jakiś bezczelny typiek chciał przypalić, to generał kładł przed nim swoją drogocenną zapalniczkę, zupełnie go tym gestem miażdżąc i odbierając chęć do ponownych zbliżeń. Jeśli zaś ktoś dążył poprosić ognia akurat w chwili, gdy generał sam zapalał, jeśli podtykał mu swojego papierosa, to Bielajew spokojnie gasił zapalniczkę, zatrząskiwał jej wieczko i dopiero wtedy kładł ją przed petentem. W ten sposób wielkość jego ofiary stawała się jeszcze bardziej widoczna. I wszyscy wolni dziesiętnicy, czy brygadierzy-więźniowie, stale tłoczący się w biurze, nawet nie mając u kogo przypalić, zawsze jakoś woleli wychodzić na dwór, niż prosić go o ogień.

Mieszkając teraz w tym samym pokoju, ba, jeszcze śpiąc na sąsiednim łóżku, mogłem się przekonać, że wstręt, pogarda i wściekłość, były to uczucia, które najsilniej miotały nim w więzieniu. Nie tylko, że nie chodził nigdy do obozowej stołówki („nie wiem nawet, gdzie jest wejście!”), ale sąsiadowi naszemu, nazwiskiem Prochorow, nie pozwolił przynosić sobie stamtąd niczego, prócz chleba. Ale czy był jeszcze jaki inny zek na całym

Archipelagu, który tak by wydziwiał nad tą biedną *pajką*? Bielajew brał ją ostrożnie, jak brudną ropuchę — toć była w niejednych rękach, noszono ją na drewnianych tacach — i obrzynał nożem ze wszystkich *sześciu* stron! — i skórki, i mięksiz. Tych sześciu odciętych komorek też nigdy nie dał tym, co go o nie prosili — Prochorowowi, ani staruszkowi dyżurnemu, tylko wyrzucał je osobiście do wiadra na śmieci. Pewnego razu ośmieliłem się spytać go, czemu ich nie daje Prochorowowi. Dumnie zadartł głowę (a białawe włosy przystrzyżone miał króciutko na jeża, tak, żeby wyglądało, i naturalnie, i po obozowemu): „Mój sąsiad z celi na Łubiance poprosił mnie kiedyś, abym pozwoił mu zjeść resztkę zupy z mego talerza! Po prostu mnie zemdliło! Reaguję wręcz chorobliwie na objawy ludzkiego upodlenia!”. Nie dawał więc głodnym chleba, aby ich nie upodlić!

Całą tę butę mógł pan generał tak łatwo zachować, ponieważ tuż przed naszą wartownią zatrzymywał się trolejbus numer 4. Codziennie o pierwszej po południu, gdy wracaliśmy z pracy do zony mieszkalnej na przerwę obiadową — na przystanku przed wartownią już czekała żona generała: przynosiła w termosach gorący obiad, przed godziną przyrządzony w domu. W dni powszednie do spotkań nie dochodziło, termosy przekazywane były przez klawisza. Ale w niedzielę mogli posiedzieć sobie pół godziny w wartowni. Powiadano, że generałowa zawsze wychodziła stamtąd zapłakana: Aleksander Iwanowicz odkuwał się na niej za to wszystko, co wycierpiała dumna jego dusza w ciągu tygodnia.

Bielajew twierdził nie bez słuszności: „W obozie nie można trzymać swoich rzeczy albo jedzenia w zwyczajnej skrzynce ze zwykłym zamkiem. Musiałaby to być skrzynia pancerna a nadto przyśrubowana do podłogi”. Ale od razu wyciągał z tego taki wniosek: „W obozie na stu więźniów — osiemdziesięciu — to łotry!” (nie mówił „dziewięćdziesięciu pięciu” tylko dlatego, że nie chciał tracić rozmówców). „Jeżeli po wyjściu na wolność spotkam kogoś z *tutejszych* i facet podejdzie do mnie, to zawołam: zwariował pan! pierwszy raz pana widzę!”.

„Jak męczy mnie ta konieczność mieszkania ze wszystkimi w kupie! — powiadał (dzieląc sypialnię z sześciu ludźmi, całą parady!) — gdybym tak mógł chociaż jadać w samotności, zamknąwszy drzwi na klucz!”. Czy o to mu chodziło, abyśmy opuszczali izbę, gdy spożywał dary Boże? Właśnie jeść chciał na osobności! — bądź dlatego, że jadał tu rzeczy, o których sąsiadom się nie śniło, bądź też z uwagi na — dawno w jego kręgu ugruntowany — obyczaj ukrywania własnego dostatku przed oczyma głodnego otoczenia.

Rozmawiać z nami lubił jednak. Nie sądzę, aby naprawdę dobrze czuł się w osobnej celi. Ale rozmowy toczył też w sposób jednostronny; głośno, tonem stanowczym — i zawsze tylko na swój temat: „*mnie* w ogóle proponowano inny obóz i o wiele korzystniejsze warunki...”. (Nie wykluczam, że im istotnie dają możliwość wyboru...). „A wiecie, ja...”, „Kiedy byłem w Sudanie...” — ale dalej — nic ciekawego, jakieś brednie, wszystko po to, aby usprawiedliwić ten gromki wstęp: „Kiedy byłem w Sudanie Anglo-egipskim...”.

Rzeczywiście jeździł daleko i widział niejedno. Nie miał jeszcze pięćdziesiątki, był w pełni sił. Jedno tylko mogło dziwić: ten generał-major lotnictwa nie zająknął się nigdy o żadnym swoim locie bojowym, nie wspominał nawet nigdy, że latał. Był natomiast — jeśli mu wierzyć — podczas wojny kierownikiem naszej lotniczej misji, zajmującej się w Stanach Zjednoczonych zakupem sprzętu. Ameryka wywarła na nim, jak widać, olbrzymie wrażenie. Sam się też tam nieźle obsprawił. Bielajew nie raczył nam ujawnić za co właściwie siedzi, ale miało to chyba związek z jego wyprawą do Ameryki, albo opowieściami o niej. „Ocep<sup>6</sup> doradził mi, abym potwierdził wszystkie zarzuty oskarżenia<sup>7</sup>. Ale odpowiedziałem mu: „niech już tam nawet podwójna kara, ale jestem zupełnie niewinny!”. Można mu chyba wierzyć, że naszej władzy naprawdę nic nie zawinił: nie dostał podwójnej kary, tylko pół zwykłego wyroku — 5 lat, a nawet szesnastolatkom dawano więcej za język bez kości.

Przyglądając mu się tak i przysłuchując, myślałem sobie: toć on teraz! — gdy już ciężkie łapy zerwały mu epolety (wyobrażam sobie, jak się skręcał!), gdy już poznał kipsisze, boksy, suki, okrzyk „*ręce do tyłu!*” — wciąż jeszcze nie pozwala na żadną dyskusję z sobą nawet w drobnych sprawach, nie mówiąc już o poważnych (poważnych kwestii nie będzie przecież z nami roztrząsał, nikt, prócz Zinowiewa, nie jest tego godzien). Ale nie zauważyłem ni razu, by przyswoił sobie jakąkolwiek myśl, której już przedtem nie znał! Był po prostu *niezdolny* do zrozumienia i akceptacji czyichkolwiek argumentów. Kim był dawniej, jako szef misji zakupów, herold Rosji sowieckiej na Zachodzie? Był to gładki, białowłoczy, nieprzenikniony sfinks, taki właśnie symbol „Nowej Rosji”, jaki Zachodowi był w smak. A gdyby ktoś ośmielił się poprosić go o cokolwiek? Toć by bluznął wrzaskiem! drzwiami by człowieka przytrzasnął! To i owo można by zrozumieć, gdyby pochodził ze starej oficerskiej ro-

6. Znany moskiewski adwokat.

7. A więc — adwokat dublował rolę śledczego.

dziny — ale przecież nie! Na te Himalaje pychy wdrapał się sowiecki generał w pierwszym już pokoleniu. Przecież podczas wojny domowej, jeśli służył już w Armii Czerwonej, to był na pewno chłopakiem w łapciach, nie umiejącym się nawet podpisać. Jak mogło się to stać tak szybko? — Zawsze wśród wybrańców, nawet w pociągu, nawet w uzdrowisku, zawsze wśród siebie podobnych, za żelaznymi wrotami, ani przystęp bez przepustki.

A tamci, inni? Raczej do niego podobni, właśnie, że wcale nie inni. A co, jeżeli aksjomat „suma kątów w trójkącie równa się stu osiemdziesięciu stopniom” okaże się raptem groźny dla ich domków jednorodzinnych, stanowisk i delegacji zagranicznych? Toć za rysunek trójkąta odrąbią człowiekowi łeb! Zaczną strącać trójkątne attyki z domów! Wydadzą dekret, aby kąt mierzyć odtąd tylko w radianach!

Ale — myślę sobie nieraz — jakim też ja sam byłbym człowiekiem? Czy w ciągu jakich dwudziestu lat ze mnie też nie zrobiono by takiego generała? A czemu nie?

Jeśli przyrzeć się bliżej, Aleksander Iwanowicz wcale nie jest takim złym człowiekiem. Czytając Gogola śmieje się z całego serca. Potrafi nas też rozbawić, gdy humor mu dopisuje. Uśmiech ma niegłupi. Gdybym chciał siłą wzbudzić w sobie nienawiść do niego — gdy tak leżymy na sąsiednich kojach — to przecież bym nie mógł. Nie, wcale nie jest zamknięta przed nim droga do zacności, do człowieczeństwa. Ale tylko wtedy, gdy już przecierpi swoje. Gdy się nacierpi.

Paweł Nikołajewicz Zinowiew też nie chadzał do stołówki obozowej i też szukał sposobu, żeby dostawać obiady domowe w termosie. Okazać się gorszym od Bielajewa, pozostać za nim w tyle — to była dla niego męka. Ale obiektywne okoliczności okazały się tu nie do zwalczenia: Bielajew nie był skazany na konfiskatę mienia, Zinowiewowi wlepiono częściową konfiskatę. Pieniądze, oszczędności, na to wszystko położono mu zapewne rękę, zostało tylko piękne, zbytkownie urządzone mieszkanie. Za to nam o tym mieszkaniu opowiadał, a opowiadał! — często, a długo, delektując się opisami każdego szczegółu swojej łazienki, świadom, jaką radość musiały nam sprawiać te opisy. Miał nawet taki aforyzm: po czterdzieście człowiek wart jest tyle, ile jego mieszkanie! (Wszystko to mówił nam pod nieobecność Bielajewa, bo ten nie chciałby nawet słuchać takich rzeczy, zaraz by przerwał i sam zacząłby mówić, nie o żadnych mieszkaniach, bo miał się za intelektualistę, tylko znów o Sudanie). Ale cóż, prawil Paweł Nikołajewicz, żona choruje, a córka zmuszona była iść do pracy — więc nie ma kto wozić termosów. Zresztą,

również niedzielne jego przesyłki były bardzo skromne. Znosił więc swój los z dumą zbiegłego arystokraty. Do stołówki jednak nie chodził, gardząc panującym tam brudem i mlaskaniem żrącej tam hołoty, a swoją bałandę i kaszę kazał Prochorowowi przynosić do naszej izby, gdzie podgrzewał ją na kuchence. Chętnie obrzynałby również swoją kostkę chleba z sześciu stron, ale innego chleba nie miał, więc ograniczał się tylko do cierpliwego opiekania kostki ze wszystkich boków, wypalając nad kuchenką mikroby, zaflancowane rękoma krajaczy chleba i Prochorowa. Nie bywał więc w stołówce i potrafił nawet niekiedy wyrzec się bałandy, ale nie starczało mu szlacheckiej dumy, aby powstrzymać się od drobnej zebraniiny w naszym pokoju: „Wolno skosztować? Tylko odrobinę... Dawno już tego nie jadłem...”.

Był w ogóle przesadnie miękki w obejściu i uprzejmy, póki nic go nie zadrasnęło. Jego grzeczność biła w oczy — szczególnie na tle nieuzasadnionej szorstkości Bielajewa. Zamknięty duchowo, zewnętrznie powściągliwy, powolny w jedzeniu, ostrożny w każdym ruchu — był to istny człowiek w futerale z noweli Czechowa, do tego stopnia, że reszty nie trzeba nawet opisywać, po prostu — wykapany. Tyle, że nie był nauczycielem, lecz generałem MWD.

Nie sposób było choć na okamgnienie postawić swój garnek na kuchence w chwilach, które Paweł Nikołajewicz upatrzył dla siebie: jego bazyliiskowe spojrzenie wystarczyło, aby człowiek natychmiast zdejmował swoją menażkę, inaczej zaraz słyszał wymówki. Na dłuższe, niedzielne apele, odbywające się we dnie na dziedzińcu, starałem się wychodzić z książką (stroniłem od beletrystyki, zawsze był to podręcznik fizyki); chowając się za cudzymi plecami, usiłowałem czytać. O, jaką udręką dla Pawła Nikołajewicza było takie łamanie dyscypliny! — przecież czytałem w *szeregach*, w świętych *szeregach*! — przecież to moje czytanie było wyzywające, było aktem bezczelnego rozpasania! Nie karciał mnie otwarcie, ale tak spoglądał na mnie, robił takie boleściwe miny, tak stękał i mruczał, a zresztą — również innych p r y d u r k ó w tak drażniły moje lektury, że musiałem w końcu wyrzec się czytania i godzinami sterczeć, jak dureń (a w izbie już się człowiek nie naczyta, tam trzeba słuchać cudzego gadania). Pewnego razu spóźniła się na poranny apel jedna z panien księgowych, pracujących w biurze budowy, przez co brygada p r y d u r k ó w musiała czekać o pięć minut dłużej na wyprowadzenie z zony mieszkalnej do pracy — no, tyle, że zamiast iść na czele kolumny, brygada miała maszerować w ariergardzie. Rzecz była błaha, ani dyspozytor, ni nadzorca nawet nie zwrócili uwagi, ale Zinowiew — w swoim specjalnym błękitowym

szynelu z miękkiego sukna, w swojej czapce wojskowej, już dawno bez gwiazdki, ale przepisowo noszonej, w swoich okularach — powitał pannicę gniewnym syknięciem: „Czego się spóźniacie, do cholery!? Przez was tu jeszcze stoimy!..”. (Nie mógł już dłużej milczeć! Te pięć minut go zadreńczyło! Przyprawiło go o chorobę!). Dziewczyna obróciła się na pięcie i odpaliła mu z oczyma błyszczącymi z satysfakcji: „Lizus! Zero! Czyczykow! (Dlaczego Czyczykow? Na pewno bohater Gogola pomylił jej się z bohaterem noweli Czechowa...). Stul wreszcie pysk!...” i tak dalej i dalej, aż do karczemnych wyzwisk. Nie podniosła ręki, robiła użytek tylko ze swego ostrego, obrotnego języczka, ale wydawało się, że trzepie Zinowiewa po mordzie, bo na jego matowych, dziewiczych policzkach wykwiłała jedna czerwona plama po drugiej, uszy zapłonęły szkarłatem, wargi zaczęły drżeć; cały się zjeżył, ale więcej słowa nie powiedział, ani nie ruszył ręką, by się bronić. Skarżył mi się tegoż dnia: „Co robić, skoro mam charakter tak *nieuleczalnie prostolinijny!* To moje nieszczęście, że nawet tu nie mogę się odzwyczaić od dyscypliny. Ja przecież *muszę* robić te uwagi, to podtrzymuje dyscyplinę w ludziach”.

Gdy rano prowadzono nas do pracy — Zinowiew był cały w nerwach: chciał jak najprędzej wyrwać się już do roboty. Zaledwie brygadę p r y d u r k ó w wpuszczano na teren budowy — ten już był pierwszy, przeganiał wszystkich innych, kroczących byle jak i prawie biegiem wypadał do biura. Czy robił to na pokaz, żeby przypodobać się zwierzchności? To nie było takie ważne. Żeby więźniowie widzieli, jak pali się do pracy? Częściowo. Ale najważniejszą i najszczerzą jego pobudką była chęć co rychlejszego oderwania się od tłumu, wyjścia poza obręb obozu, zamknięcia się w ciszy działu planowania, żeby tam... — o nie, nie po to, by tym robić to, co Wasyli Własow, nie po to, by obmyślać, jak tu ulżyć ludziom z brygad roboczych — tylko po to, by całymi godzinami wałkonić się — palić papierosy, marzyć o jeszcze jednej amnestii i roić o całkiem innym urzędzie — o innym gabinecie z dzwonekami na podwładnych, z baterią telefonów na biurku, ze szwadronem służbistych sekretarek i pełnymi korności petentami.

Niewieleśmy o nim wiedzieli! Nie lubił mówić o swojej karierze w MWD, ani o jej stopniach, ani o zajmowanych stanowiskach, ani o zakresie swojej pracy — z typową dla byłych emwudzystów „skromnością”. Szynel zaś jego był właśnie tego koloru, który tak wpadł w oko autorom „Księgi o Kanale Białomorskim”. I nie przyszło mu nawet do głowy — aby tu, w obozie, spruć błękitne wypustki z frencza i spodni. Jak widać w ciągu jakichś dwóch lat odsiadki jeszcze nie zajrzał w głąb obozowej paszczy



— nie miał pojęcia, jak bezdenne jest leż Archipelagu. Do naszego obozu dostał się, rzecz jasna, z wyboru: tylko kilka przystanków trolejbusu dzieliło od obozu dom, gdzie mieszkał — gdzieś w okolicach placu Kałużskiego. I — nie tknąwszy nigdy stopą dna, nienawidząc przy tym swoich obecnych sąsiadów — czasem puszczał farbę w trakcie naszych rozmów: wychodziło na jaw, że zna dobrze to Krugłowa (który nie był jeszcze wtedy ministrem), to Frenkla, to znów — Zawieniagina, a więc najwyższych dygnitarzy MWD. Napomknął któregoś dnia, że podczas wojny kierował budową dużego odcinka trasy kolejowej Syzrań-Saratów, a więc był zatrudniony we frenklowskim GUŁ ŻDS. Kierował? Co to mogło znaczyć w tym wypadku? Nie był żadnym inżynierem. Był więc szefem kartelu obozów? Wszecmocny faworyt, awansowany zausznik? I oto — z takich wyżyn zleciał na łeb i szyję do poziomu prawie szeregowego więźnia. Siedział z artykułu 109; jak na MWD, to znaczyło, że brał w łapę nie według rangi, ale więcej. Dano mu 7 lat, jak dla brata (co znaczy, że nakradł się na 20). Stalinowska amnestia zmniejszyła mu wyrok do połowy, miał siedzieć jeszcze dwa lata z niedużym okładem. Ale cierpiał, cierpiał, jakby miał całą dychę.

Jedyną okno naszej izby wychodziło na Park Nieskuczny. Całkiem blisko okien, tylko nieco niżej, kołysały się korony parkowych drzew. Widać było stąd kolejno i zadyмки, i odwilż, i pierwszą zieleń. Gdy Pawła Nikołajewicza nic w pokoju nie wprawiało w rozdrażnienie, gdy gnębiący go smutek zmniejszał się do zwykłych ludzkich wymiarów — generał stawał sobie przy oknie i patrząc na park nucił cicho, a głos miał miły:

*„Uśnij serce, niech sen tu zagości.  
Nie budź mnie, ani tego, co było...”*

I bądź tu mądry! — mógłby być najmiłym gościem w każdym salonie! A ileż zbiorowych mogił więźniarskich zostawił wzdłuż torów, które budował!...

Zakątek Nieskuczny, stykający się z naszą zoną, oddzielało od spacerowiczów pasmo pagórków; był całkiem odosobniony, tyle że z naszych okien oglądaliśmy go my, faceci o golonych łbach. 1 maja jakiś lejtnant zaciągnął tu, do tego zacisznego kąta, swoją dziewczynę w kolorowej sukience. Ukryli się w ten sposób przed oczyma parkowej publiczności, nas zaś wcale się nie krępowali, jakby to psy, albo koty z okien patrzyły. Oficer wyobrażał swoją pannę na trawie, jak należy, ona też nie należała do wstydliwych.



„Już nie wzywaj daremnie przeszłości  
Przestań wielbić, coś niedgdyś wielbiło...”.

W ogóle — izdebka nasza była obiektem modelowym. Emwudzista i generał panowali nad nami niepodzielnie. Tylko za ich zgodą mogliśmy korzystać z kuchenki elektrycznej (bo była *własnością społeczną*), kiedy nie była im potrzebna. Tylko do nich należała decyzja — czy wietrzyć pokój, czy nie, gdzie stawiać obuwie, gdzie wieszać portki, kiedy przerywać rozmowę, kiedy kłaść się spać i kiedy wstawać. Parę kroków dalej — wychodziły na korytarz drzwi wielkiej izby ogólnej; tam wiodła burzliwe życie rozhukana republika, tam wszelkie autorytety odsyłano do ciężkiej i jasnej, z towarzyszeniem odpowiednich epitetów, tu zaś istniały przywileje i — skoro nam na nich zależało, musieliśmy też szanować tutejsze prawa. Zdegradowany do poziomu nędznego malarza, nie miałem tu głosu: stałem się proletariuszem i w każdej chwili można mnie stąd było wyrzucić do izby ogólnej. Prochorow, chłop ze wsi, chociaż miał rangę „brygadzysty” p r y d u r k ó w działu produkcji, wyznaczony został na to stanowisko tylko jako sługa — aby miał kto przynosić chleb i menażki, pertraktować z nadzorcami i dyżurnymi, słowem odwalać całą brudną robotę (był to właśnie ten chłopina z baśni Sałtykowa-Szczedriny, który karmił i poił dwóch generałów). Tak więc podlegaliśmy z musu dwum naraz dyktatorom. Ale gdzie była i co porabiała niezrównana rosyjska inteligencja?

Doktor Prawdin (nie wymyśliłem tego nazwiska!), neuropatolog, lekarz obozowy, miał siedemdziesiąt lat. Rewolucję przeżył zatem — mając już prawie pięćdziesiątkę. Był więc człowiekiem, który wyrósł i dojrzał w najświetniejszych latach rosyjskiej myśli, gdy panował w niej duch rzetelności, współczucia i miłości do ludu. Ach, jaką ten człowiek miał prezencję! Ogromna, imponująca głowa czcigodnego starca ze srebrną, rozwianą czupryną, której nie śmiała tknąć maszynka obozowego cyrulika (tego przywileju udzielił mu szef naszego sanitariatu). Jego portret byłby ozdobą okładki najlepszego w świecie czasopisma lekarskiego! Żadne mocarstwo nie powstydziliby się takiego ministra zdrowia!

Wydatny, świadom niejako swej wielkości, nos budził zaufanie do każdej diagnozy doktora Prawdina. Jego ruchy były stateczne i solidne. Postaci tak był okazałej, że prawie się nie mieścił na zwykłym, metalowym łóżku, przelewał się przez jego burty.

Nie wiem, jaki był z niego neuropatolog. Mógł być chyba dobrym lekarzem, ale tylko w epoce rozluźnienia i reweransów, a ponadto — nie w żadnym szpitalu publicznym, lecz jedynie

we własnym gabinecie, z mosiężną tabliczką na drzwiach mieszkania, gdzie melodyjnie wybijał godziny zegar stojący i gdzie pan doktor nie musiał nic robić w pośpiechu, nie podlegając przy tym nikomu, prócz własnego sumienia. Ale w międzyczasie zdążono pana doktora porządnie nastraszyć — i to raz na zawsze. Nie wiem, czy siedział już wcześniej, czy go prowadzono pod mur podczas wojny domowej (nic by w tym dziwnego nie było), ale nastraszono go wystarczająco, nawet bez użycia rewolweru. Wystarczyło zapewne, że musiał być pracować w przychodniach, gdzie normą było — dziewięciu chorych na godzinę, a czasu starczało tylko na puknięcie młoteczką w kolano. Wystarczyło być członkiem lekarskiej komisji, orzekającej w sprawach pracy, albo członkiem komisji uzdrowskiej, albo wojskowej komisji uzupełnień, a wszędzie — podpisywać, podpisywać, podpisywać orzeczenia — i wiedzieć, że każdy podpis — to wyrok na siebie samego, że jacyś koledzy już siedzą — że innym już grożono, a ty wciąż masz firmować karty zdrowia, orzeczenia, ekspertyzy, wyniki obdukcji, historie choroby, a każdy podpis, to konflikt hamletyczny: dać zwolnienie, czy nie dać? zdolny, czy nie zdolny? chory, czy zdrowy? Pacjenci ciągną w jedną stronę, przełożeni naciskają z zupełnie innej, przerażony doktor tracił więc orientację, ustawicznie się wahał, drżał i żałował każdego swego kroku.

Ale to wszystko działo się jeszcze na wolności, to były niewinne igraszki! Gdy już go jednak aresztowano jako wroga ludu, gdy śledczy przypawił go groźbami o morderczy zawał serca (wyobrażam sobie, ilu ludzi mógł Prawdina pociągnąć za sobą ze strachu — chyba cały fakultet!) — kim stał się teraz? Zwykły, kolejny przyjazd wolniaka, szefa służby zdrowia OŁP'u, jakiegoś starego pijanicy bez wykształcenia lekarskiego — doprowadzał Prawdina do takiego zdenerwowania i konfuzji, że nie potrafił wtedy przeczytać najprostszych, pisanych po rosyjsku notat w kartach chorobowych. Wątpliwości miał teraz dziesięć razy więcej, w obozie czuł się już zupełnie zagubiony i nie potrafił orzec, czy wolno zwolnić z pracy człowieka z gorączką 37,7? a może go za to ktoś zbeszta? — więc przychodził do naszej izby, błagając o radę. Potrafił zachować równowagę ducha nie dłużej, niż przez dobę — jeśli poprzedniego dnia doczekał się pochwały od komendanta obozu, niechby nawet — od młodszego nadzorcy. Czuł się potem bezpieczny przez 24 godziny, ale już następnego poranka nieubłagany lęk znów go nawiedzał.

Pewnego razu wysyłano z obozu jakiś transport w trybie nagłym. Tak się spieszo, że nie było czasu na przygotowanie wyjeżdżającym łaźni (jeszcze mieli szczęście, że ich nie zapędzono na golasa pod lodowate prysznice). Starszy nadzorca przyszedł

do Prawdina i kazał mu wystawić zaświadczenie, że transport poddany został procedurze sanitarnej. Prawdin, jak zwykle, wykonał rozkaz — ale co się z nim później działo! Wrócił do izby, opadł na łóżko, jak podcięty, jął chwytać się za serce, jęczeć i nie dał się w żaden sposób uspokoić. Położyliśmy się spać. Prawdin palił jednego papierosa za drugim, latał do klozetu, wreszcie — już po północy — ubrał się i z obłędem w oczach pobiegł do dyżurnego nadzorca o przywisku Mikrus, niepiśmienenego pitekantropa, ale z gwiazdką na czapce — prosić o radę: co z nim teraz się stanie? czy za takie przestępstwo wlepią mu drugi wyrok z artykułu 58, czy może nie? Może tylko wyekspedują go z moskiewskiego obozu gdzieś na zadupie? (Miał w Moskwie rodzinę, przynoszono mu dobre paczki, bardzo mu zależało na naszym oboziku).

Zahukany i zastrachany Prawdin utracił zdolność do wszelkich decyzji, nawet dotyczących praktyki sanitarnej. Nie potrafił niczego już wymagać, ani od kucharzy i dyżurnych, ani nawet od podwładnych z działu zdrowia. W stołówce było brudno, miski w kuchni zmywano byle jak, koce w szpitaliku nie były trzepane od wieków — wszystko to Prawdin widział, ale nie był w stanie domagać się czystości. Tylko jedną miał manię, wspólną dla całej obozowej kadry kierowniczej (zabawę tę znają wszystkie prawie obozy) — codzienne mycie podłóg w barakach mieszkalnych. Powietrze i pościel pełne były wilgoci, wiecznie mokre podłogi butwiały. — Prawdina nie szanował nawet ostatni *dochodiaga* w obozie. Nie grabił i nie oszukiwał go w więzieniach tylko ten, kto nie miał na to żadnej chęci. Izbę naszą zamykano w nocy na klucz i tylko dlatego zachował jeszcze swoje rzeczy, porozrzucane dookoła łóżka, tylko dlatego nie rozszabrowano dotąd jego nocnej szafki, zapewne najbardziej niechlujnej w całym obozie; wszystko z niej się sypało i wylatywało na ziemię.

Prawdin dostał 8 lat z artykułu 58 - 10 i 11, to znaczy — jako opozycyjny polityk, agitator i organizator — ale łatwo było stwierdzić, że ta pyszna głowa pełna była naiwności, godnej niedorozwiniętego dziecka! Nawet w trzecim roku odsiadki nie dojrzał jeszcze do tych myśli, które podczas śledztwa uznał ze skruczą za własne. Wierzył, że wszyscy siedzimy tu tylko chwilowo, jakby na żarty, że lada chwila ogłoszą wspaniałą, hojną amnestię wszystko po to, abyśmy bardziej cenili sobie rozkosze wolności i wiedzieli za co dziękować Organom. Wierzył, że kołchozy kwitną, że plan Marshalla jest ohydłą amerykańską intrygą, mającą na celu ujarzmienie Europy, wierzył, że alianci knują trzecią wojnę światową.

Pamiętam, jak pewnego razu przyszedł cały rozjaśniony, promieniący cichym, radosnym blaskiem — jak to bywa z bardzo wierzącymi ludźmi po głęboko przeżytym nabożeństwie. Jego duże oczy z obwisłą dolną powieką jaśniały nieziemską błogością w szerokiej, pocziwej, pełnej szczerości twarzy. Okazało się, że dopiero co skończyła się narada p r y d u r k ó w z zony. Komendant podbozu naprzód ich skrzyczał, waląc pięścią w stół, ale nagle zmienił ton i oznajmił, że ufa im, jako *swoim najbliższym, wiernym pomocnikom!* I Prawdin z rozczuleniem wyznał nam, że „po takich słowach chce się pracować wręcz z entuzjazmem!”. (Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że generał skrzywił usta ze wzgardą).

Nazwisko doktora nie kłamało: był prawdomówny i kochał prawdę. Kochał, ale nie był jej godzien.

W proporcjach naszego mikromodelu Prawdin był śmieszny. Ale jeśli od tego małego światka przejść do dużego, to człowiek drętwieje ze zgrozy. Jaka część *duchowej* istoty naszej Rosji stała się właśnie taka? — tylko ze strachu...

Prawdin wyrósł w kulturalnym otoczeniu, przez całe życie pracował umysłowo, miał dokoła siebie ludzi umysłowo wysoce rozwiniętych — ale czy był on *inteligentem*, to znaczy człowiekiem, obdarzonym indywidualnym *intelektem*?

W miarę upływu lat coraz bardziej zastanawiałem się nad znaczeniem terminu — *inteligencja*. Wszyscy bardzo lubimy zaliczać się do niej — a przecież nie wszyscy mamy do tego podstawy. W Związku Sowieckim sens tego słowa został zupełnie wypaczony. Do kategorii tej zaczęto zaliczać wszystkich, którzy nie żyją z pracy rąk (i boją się takiej pracy). Objęto tym pojęciem wszystkich partyjnych państwowych, wojskowych i związkowych biurokratów. Wszystkich księgowych i rachmistrzów — mechanicznych niewolników Debetu. Wszystkich kancelistów. Z tym większą łatwością zalicza się do tej grupy *wszystkich* nauczycieli (nawet tych, którzy nie są niczym więcej, niż tubami podręczników szkolnych, nie mają ani samodzielnych poglądów, ani własnych pojęć o wychowaniu). *Wszystkich* lekarzy (także tych, którzy umieją tylko wodzić piórem po formularzach historii choroby). I już bez żadnych wahań wlicza się do tej kategorii wszystkich, którzy kręcą się koło redakcji, wydawnictw, wytwórni filmowych, filharmonii, nie mówiąc już o ludziach, którzy publikują swoje utwory, kręcą filmy, albo wodzą smykami po strunach.

A tymczasem żaden z tych wyróżników nie wystarcza, by uznać kogoś za inteligenta. Jeśli nie chcemy zatracić sensu tego

pojęcia, nie możemy rozmieniać go na drobne. Czy ktoś jest inteligentem — to nie zależy od przynależności do określonej grupy zawodowej, ani od wykonywanej pracy. Dobre wychowanie i dobre tradycje rodzinne też jeszcze nie wystarczają, by uczynić z kogoś inteligenta. Inteligent — to taki człowiek, którego zainteresowanie życiem duchowym i pragnienie uczestniczenia w nim są stanowcze i stałe, nie zależą od zewnętrznych bodźców, a nawet przejawiają się im na przekór. Inteligentem jest ten, który rozumuje nie w sposób naśladowczy, kto nie małpuje nikogo.

W naszej izbie dziwolągów za inteligentów pierwszej klasy uchodzili Bielajew i Zinowiew, a co się tyczy na przykład dzięśnięnika Oraczewskiego i magazyniera z narzędziowni, wiejskiego chama, Prochorowa, to ich obecność raniła wręcz dusze tamtych, wyższych istot. Toteż gdy byłem jeszcze panem prezesem rady ministrów, generał i emwudzista zdążyli zwrócić się do mnie, żądając, aby z naszej izby wyrzucić tych obu chamów — bo brudni, bo kładą się w buciorach na łóżku, bo w ogóle nieinteligentni (generałowie zapragnęli więc pozbyć się chłopca, co ich karmił i poi!). Ale mnie ci dwaj podobali się — sam jestem chłopem w głębi duszy — i w naszym pokoju wytworzyło się coś na kształt równowagi. (A wkrótce generałowie zapewne proponowali już komu innemu, aby wyrzucić z kolei mnie).

Oraczewski rzeczywiście wygląd miał dość ordynarny, nic w nim nie było „inteligenckiego”. Z całej muzyki uznawał tylko pieśni ukraińskie, pojęcia nie miał ani o dawnym malarstwie włoskim, ani o nowoczesnym, francuskim. Czy lubił książki — nie wiadomo dokładnie, bo w obozie było ich brak. Nie wtrącał się do oderwanych dyskusji, toczonych w naszym pokoju. Zdawało się, że nie docierają do jego uszu najudatniejsze monologi Bielaiewa o Sudanie Anglo-egipskim, czy Zinowiewa — o jego mieszkaniu. Wolne chwile lubił spędzać w milczeniu na posępnych rozmyśleniach, a zwykł był trzymać wtedy nogi na poręczy łóżka. obiadowej, czy choćby nawet wieczorem — bo przecież nie wykluczone, że dokądś jeszcze trzeba będzie wyjść — otóż człowiek może przed wyjściem do pracy, albo podczas przerwy obiadowej, powiedzmy nawet że wieczorem, ale przecież nie wykluczone, że dokądś jeszcze jeszcze trzeba będzie wyjść — otóż, czy rozsądny człowiek może odmówić sobie tej przyjemności, żeby trochę poleżeć? a buty ściągać za każdym razem — toć to fatyga, przecież wzute są ciasno na podwójne onuce). Na wszystkie samoudręki naszego doktora też reagował z tępową obojętnością. I nagle po godzinnym, albo i dwugodzinnym milczeniu, potrafił — bez żadnego związku z tym, co działo się w pokoju

— rzec tragicznym tonem: „Tak! Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż artykułowi 58 wyjść na wolność!”. W praktyczne natomiast spory — o właściwościach rozmaitych przedmiotów, potrzebnych do życia, o zasadach bytu codziennego — wdawał się chętnie, z całym rusińskim uporem i dowodził zapalczywie, że walonki psują się od suszenia ich na piecu, że lepiej i przyjemniej nosić je całą zimę bez suszenia. Tak, że jaki tam z niego w ogóle był inteligent!

Z nas wszystkich on jeden szczerze był oddany budowie, mógł o tej robocie mówić zajmująco, także poza godzinami pracy. Dowiedziawszy się, że więźniowie połamali gotowe już przepieczętowania i porąbali je na opał — ścisnął swój chamski łeb chamskimi łapami i zaczął kiwać się z boku na bok, jak z wielkiego bólu. Nie mógł pojąć tubylczego barbarzyństwa! — może dlatego, że siedział dopiero od roku. Przyszedł ktoś i powiedział, że betonową płytę upuszczono z ósmego piętra na ziemię. Wszyscy jęknęli: „Nie zabiła nikogo?“, a Oraczewski: „Widział ktoś może jak ta płyta się rozbiła? — w jakich kierunkach idą pęknięcia?“. (Płyty odlewane były według jego rysunków i chciał wiedzieć czy dobrze zaprojektował armaturę).

W grudniu, podczas mrozów zebrali się w biurze brygadziści i dziesiątnicy, żeby trochę się pogrzać i podzielić obozowymi płoteczkami. Wszedł Oraczewski, ściągnął rękawicę i uroczyście, ostrożnie, wytrząsnął z niej na stół zmarzłego, ale żywego czarnopomarańczowego motyla wielkiej piękności: „Macie tu motyla, co przetrzymał 19-stopniowy mróz! Siedział na krokwiach, pod dachem!”.

Wszyscy zamilkli, skupili się dookoła motylka. Ci szczęśliwcy, którym uda się przetrzymać obóz, wyjdą stąd chyba nie w innym stanie, niż ten odrętwiały owad.

Oraczewski dostał tylko 5 lat. Wsadzono go za *zbrodnię mimiczną* (całkiem, jak z Orwella!) — *za uśmiech!* Był wykładowcą w szkole saperów. W pokoju nauczycielskim pokazał innemu wykładowcy jakiś ustęp w *Prawdzie* i *uśmiechnął* się przy tym! Rozmówca wkrótce zginął na froncie i nikt nie mógł wiedzieć *na jaki temat uśmiechnął się* Oraczewski. Ale uśmiech ten nie uszedł czyjejś uwagi, a sam fakt śmiechu przy lekturze centralnego organu partii już jest bluźnierstwem! Następnie — Oraczewskiemu zaproponowano wygłoszenie referatu politycznego. Odparł, że rozkaz wykona, ale uprzedza że brak mu odpowiedniego *nastroju*. To już była ostatnia kropla!

Kto z tych dwojga — Prawdin, czy Oraczewski — bliższy był naszym pojęciom o *inteligencji?*

Trzeba teraz powiedzieć coś o Prochorowie. Było to chło-



pisko dorodne, o ciężkim kroku, ciężkim spojrzeniu; niewiele było w jego twarzy życzliwości, a uśmiechał się dopiero po namyśle. Takich ludzi nazywa się na Archipelagu „bure wilki”. Nie czuło się się w nim skłonności do ustępstw, ani do dobrych uczynków. Ale od razu spodobało mi się, że menażki dla Zinowiewa, a chleb dla Bielajewa przynosił bez żadnego służalstwa, fałszywych uśmieszków, bez żadnego zbędnego gadania — wnosił je jakby wyniośle, surowo, pokazując, że służba służbą, ale on też nie jest żadnym pętkiem. Aby utrzymać w formie swoje duże spracowane cielsko — musiał jeść, jak należy. Za tę generalską bałandę i kaszę gotów był do znoszenia upokorzeń, wiedział — że tu nim gardzą, nie odszczekiwał się nigdy, ale nie był też nadskakującym popychadłem. Wszystkich, wszystkich nas widział tu na wskroś, tylko że czasu nie miał, aby o tym gadać. Wyczułem, że Prochorow jest jak z krzemienia, że na takich barkach niejedno jeszcze w naszym narodzie mocno się trzyma. Nie ma dla nikogo uśmieszków na zbyciu, przygląda się ludziom spode łba, ale też nikogo nie ukąsi znieca w tydkę.

Siedział nie z artykułu 58, ale życie nie miało dla niego tajemnic. Wiele lat był przewodniczącym rady gromadzkiej gdzieś pod Naro-Fomińskiem, ale tam też trzeba było umieć dawać sobie radę, być surowym kiedy należy, i bronić się przed przełożonymi. O tym swoim przewodniczeniu tak nam powiedział:

— Być patriotą — to znaczy wszędzie być pierwszym. Jasne, że taki jeden pierwszy też nadziewa się na kłopoty. Trzyma człowiek mowę w radzie gromadzkiej i chociaż we wsi więcej gadania zawsze o *materialnej stronie*, ale często-gęsto jakiś brodacz wyskoczy z pytaniem: a co to takiego ta permanent-na rewolucja? Diabli ją wiedzą, co to takiego, wiem tyle, że baby w mieście noszą na łbie permanentną ondulację, ale spróbuj nie odpowiedzieć, to zaraz powiedzą, że pasuje do mównicy, jak wół do karety. Więc powiadam — że to taka rewolucja, co się ciągnie i wije, a z ręki zawsze się wymknie — spróbuj no miejską babę za łeb przytrzymać, albo barana. Kiedy nasi pożarli się z Macdonaldem, to w moim referacie tak przygadałem naszym władzom: „Skoro on pies, to wy — powiadam — towarzysze, cudzym psom lepiej ogonów nie przyskrzyniajcie!”.

W miarę upływu lat pojął on na wylot wszystkie dęte pozory naszego życia i sam nieraz do tej roboty rękę przykładął. Wzywał przewodniczącego kołchozu i powiadał: „Masz podszykować jakąś swoją dojarkę do złotego medalu, na wystawę rolniczą — tak, żeby udoju dziennego było ze sześćdziesiąt litrów!”. I cały kołchoz społem pracował na tę dojarkę. Sypano jej krowom w zółb i paszę białkową i nawet cukier. Cała wieś i cały kołchoz dobrze



wiedziały — co taka wystawa rolnicza jest warta. Ale ci na górze — pomysły rzuca, sami siebie bałamucą — widać więc chęć, żeby tak było.

Kiedy front zbliżył się do Naro-Fomińska, kazano, aby Prochorow zajął się ewakuacją bydła z terenu swojej gromady. Ale — jeśli pomyśleć chwilę — ten rozkaz wydano nie na złość Niemcom, tylko na chłopską szkodę: to oni mieli zostać na gołej ziemi bez bydła i bez ciągników. Chłopi nie chcieli oddawać bydła, bronili się zębami i pazurami (mieli nadzieję, że kołchozy może się rozpadną, a wtedy bydło się podzieli) — i omal nie ukatrupili Prochorowa.

Front przewalił się przez ich wieś — i zamarł na całą zimę. Prochorow był artylerzystą jeszcze hen, w 1914-tym, bydła już nie było, z tego żalu przyłączył się więc do sowieckiej baterii i nosił pociski, póki go nie wypędzono. Wiosną 42-go sowiecka władza wróciła do ich rejonu i Prochorow znów został przewodniczącym rady gromadzkiej. Teraz miał dość siły i okazji, aby porachować się ze swoimi wrogami i być gorszym psem, niż dawniej. Gdyby tak postąpił — po dziś dzień żyłby bez trosk. Ale — rzecz dziwna — z okazji nie skorzystał. Serce mu zmiękło.

Ich wieś była zrujnowana i przewodniczący miał do dyspozycji kartki na chleb: żeby trochę podkarmiać fabrycznym pieczywem pogorzalców i tych, co najbardziej głodowali. Prochorowowi zaś żal się zrobiło ludzi, przekroczył przewidziany w instrukcji pułap, rozdał za dużo kartek i oberwał 10 lat z dekretu „siedem ósmym”. Macdonalda wybaczone mu, że niby chłop niewykształcony, ale ludzkiego współczucia mu nie darowano.

W naszej izbie Prochorow lubił — tak samo, jak Oraczewski — godzinami leżeć w milczeniu, z buciorami na poręczy łóżka, gapiąc się na kostropaty sufit. Otwierał gębę tylko wtedy, gdy generałów nie było. Niezwykle podobały mi się niektóre jego myśli i powiedzenia:

— Jaką krechę trudniej narysować — prostą, czy krzywą? Dla prostej trzeba mieć przyrządy, a krzywą, to nawet pijany nogą narysuje. Tak samo w życiu.

— Pieniądze — to teraz *dwupiętrowe*. (Jakie to celne! Prochorow to miał na myśli, że kołchoz musi dostarczać produkty za jedną cenę — a sprzedaje się je ludziom — za całkiem inną. Ale nadawał też temu szersze znaczenie: „dwupiętrowość” taka widoczna jest też gdzie indziej, przejawia się ona w całym naszym życiu, państwo płaci nam wedle cen parterowych, my zaś płacić musimy wszędzie wedle tych wyższych cen, dlatego trzeba jakoś tak kombinować, żeby samemu pobierać środki z wyższego piętra, inaczej kryska).

— Człowiek nie diabeł, a też ci żyć nie da — jeszcze takie miał przysłowie.

Sporo tam tego było, żałuję bardzo, że nie uchowało się w mojej pamięci.

Nazwałem ten pokój — izbą dziwolągów — ale ani Prochorowa, ani Oraczewskiego nie mogę zaliczyć do tej kategorii. Jednakże — wśród naszej szóstki większość były to dziwolągi, bo przecież ja sam nie byłem nikim innym. W głowie mojej — chociaż już poszarpane i porwane — ale wciąż jeszcze pływały strzępy bałamutnych wierzeń, zwodniczych oczekiwań i fałszywych przekonań. I siedząc już drugi roczek, wciąż jeszcze nie rozumiałem, co właściwie wskazuje palec losu mnie, rzucenemu na Archipelag. Wciąż jeszcze byłem w mocy tego pierwszego, powierzchownego, deprawującego przykazania, które mi wpoił gułagowski fachowiec, spotkany na Krasnej Presni: „byle nie iść do łopaty! Grunt, to przetrwać za wszelką cenę!”. Nie łatwo mi było doróść wewnętrznie do tej łopaty.

Którejś nocy przed wartownią obozu pojawiło się auto osobowe, nadzorca wszedł do naszej izby, potrząsnął generała Bielażewa za ramię i kazał mu zabierać się „z rzeczami”. Półprzytomnego, zbudzonego tak gwałtownie generała zaraz wyprowadzono. Z Butyrek zdążył nam jeszcze przestać gryps: „Nie traćcie otuchy! — chociaż go nam zabrano, to chyba miał na myśli — Jeśli nie zginę — to na pewno napiszę”. (Nie napisał już nic, ale ktoś postronny dał nam znać. Uznano zapewne, że niebezpiecznie jest trzymać generała w moskiewskim obozie. Wylądował w Pot'mie. Tam nie miał już termosów z domową zupą i sądzę, że nie obrzynał już kostki chleba z sześciu stron. Minęło jeszcze pół roku i rozeszła się pogłoska, że generał bardzo podupał w Pot'mie, że roznosił bałandę, byle tylko móc jej pochłęptać. Nie wiem, czy to ściśle; jak powiadają w obozie — za ile kupiłem — za tyle sprzedaję).

Nie tracąc więc czasu, zaraz następnego dnia urządziłem się jako pomocnik kontrolera norm na stanowisku opuszczonym przez generała. Ale normowania też się nie nauczyłem — tyle, że mogłem dzielić sobie i mnożyć do woli. Ta nowa praca dawała mi pretekst zarówno do łażenia po terenie budowy, jak do przesiadywania na stropach ósmej kondygnacji naszego budynku — to znaczy na dachu. Stąd rozpościerał się przede mną, więźniem — widok na Moskwę.

Z jednej strony miałem Góry Wróble, jeszcze nietknięte zabudową. Dopiero zaczynało się wytyczanie przyszłego Leninowskiego Prospektu. Jeszcze go nie było. W całej swojej pierwiastkowej, niezmienionej urodzie widoczna była Kanatczykowa Dacza. Z dru-

giej strony — miałem kopuły klasztoru Nowodziewiczego, masyw Akademii Frunzego, a jeszcze, jeszcze dalej, za mrowiskiem ulic, we fiołkowej mgle — Kreml, gdzie czekała tylko na podpis nasza — już gotowa — amnestia.

Nam, straceniom, wydawało się, że ten kuszący świat z całym jego bogactwem i sławą, mamy pod nogami, a zarazem, że na zawsze jest on dla nas zamknięty.

Ale — jakkolwiek wrywałem się „na wolność”, jak to nowicjusz — to miasto nie budziło we mnie zawiści i chęci sfrunięcia na jego ulice. Całe zło, trzymające nas na łańcuchu, tu miało swój węzeł centralny. Chętnie miasto! Po tej wojnie bardziej, niż kiedykolwiek, znajdowało tu usprawiedliwienie przysłówie:

Moskwa nie wierzy łzom<sup>8</sup>!



Chociaż byliśmy p r y d u r k a m i — ale w dziale produkcji i nie nasz pokój był tu najważniejszy, tylko podobny, piętro wyżej, gdzie mieszkali prominenci zony i gdzie zasiadał triumwirat, złożony z księgowego Sołomonowa, magazyniera Berszadera

8. A teraz korzystam mimo wszystko z tej rzadkiej dla byłego zeka możliwości — zwiedzenia swojego obozu! Za każdym razem grają nerwy. Jakie to jednak ważne — dla poznania skali możliwości życiowych — dać nura w tę przeszłość beznadziejną, poczuć się znowu *tamtym*. Na miejscu stołówki, sceny i oddziału KO — teraz jest sklep „Spartak”. O, tu, obok tego samego przystanku trolejbusowego była wartownia zewnętrzna. Oto — na drugim piętrze — okno naszej izby dziwołagów. Tu jest linia apelowa. Tu jeździł po szynach żuraw Napolnej. Tędy M. przekradała się do Berszadera. Ludzie snują się, spacerują, gadają o drobiazgach, chodząc po asfalcie dziedzińca. Nie wiedzą, że stąpają po trupach, że depczą po naszych wspomnieniach. Nie są w stanie wyobrazić sobie — że ten podworzec mógł być nie częścią Moskwy, skąd do centrum jechało się 20 minut, lecz wysepką dzikiego Archipelagu, bliżej związaną z Norylskiem i Kołymą, niż z Moskwą. Ale ja też już nie mogę wdrapać się na dach, po którym łąziliśmy, mając pełne do tego prawo, nie mogę przekroczyć progu tych mieszkań, w których szpachlowałem drzwi i układałem posadzki. Zakładam ręce do tyłu, jak niegdyś, i spaceruję po zonie, próbując sobie wyobrazić, że nie ma dla mnie stąd wyjścia, że tylko stąd-dotąd i że nie wiem, gdzie mnie jutro przerzucą. I drzewa Parku Nieskucznego, te same, tylko już nie odcięte drutami zony, świadczą, że mnie też pamiętają, że tak właśnie było.

Chodzę tak aresztanckim obyczajem, krótkim szlakiem, w tył zwrot, znów tym samym tropem — i oto stopniowo wszystkie dzisiejsze zawiłości zaczynają topnieć, jak woskowe świece.

Nie mogę się powstrzymać, łobuzuję: wspinam się po schodach i na białym parapecie okiennym półpiętra, przed wejściem do gabinetu komendanta obozu, zostawiam czarny napis: „121 podobóz”.

Jeśli ktoś z przechodzących tędy przeczyta, to może zamyśli się na chwilę.

i dyspozytora Bursztejna, rządzący naszym obozem. Tam też zapadła decyzja o pewnym przesunięciu służbowym: usunąć również Pawłowa z funkcji kierownika produkcji i dać ją niejakiemu K. I oto pewnego dnia nowy prezes rady ministrów wprowadził się do naszego pokoju (a Prawdina już przedtem, nie bacząc na wierną jego służbę — *szurnięto* na etap). Ja też niedługo już miałem być tu tolerowany: wkrótce zostałem usunięty i z biura norm, i z tego pokoju (w zwykłym obozie, gdy człowiek idzie na dno, to przenoszą go właśnie wyżej — na górną pryczę „wagonetki”) — ale chwilowo jeszcze tu byłem i miałem dość czasu, by przyjrzeć się K. — który stanowił niezłe uzupełnienie naszego mikromodelu: był przedstawicielem jeszcze jednej, ważnej odmiany porewolucyjnej inteligencji.

Aleksander Fiodorowicz K., trzydziestopięcioletni, ostrożny i łapczywy *manager* (był uważany za „świątynnego organizatora”), z wykształcenia budowniczy, inżynier (ale jakoś nie bardzo umiał się popisać znajomością zawodu, tyle, że posługiwał się suwakiem logarytmicznym), oberwał dziesięć lat na podstawie dekretu z 7 sierpnia; siedział już trzy lata, zupełnie się z obozami oswoił i nie czuł już żadnego skrępowania, całkiem tak, jakby krat nie było. Mogło się здаwać, że roboty *ogólne* w ogóle mu nie grożą. Nie mniej — skłonny był do litowania się nad masą pechowców, skazanych właśnie na pracę przy łopacie. Należał do więźniów, którzy są dla innych zeków o wiele straszniejsi, niż najbardziej służbiści gospodarze Archipelagu: gdy raz kogoś wziął za gardło, to już nie popuścił, nie żał mu było trudu. Domagał się obcinania przydziałów (większego zróżnicowania w „systemie kotłów”), pozbawiania widzeń, wysyłania na etap — byle by tylko wycisnąć z więźniów jak najwięcej. Budził istny zachwyty, zarówno wśród władz obozowych, jak produkcyjnych.

Ale najbardziej interesujące jest, że wszystkie te metody najoczywiej w świecie stosował on także dawniej, nim jeszcze trafił do obozu. To *na wolności* nauczył się tak zarządzać i okazało się, że jego system zarządzania pasuje, jak ulał, do obozu.

Podobieństwo pomaga przy identyfikacji. Szybko zauważyłem, że K. bardzo mi kogoś przypomina. Kogóż to? Ależ Leonida Z-owa, mojego sąsiada z łubiańskiej celi! I — co najważniejsze — wcale nie z powierzchowności, nie, tamten był wieprzowaty, ten zaś — wysmukły, wysoki, wykapany *gentelman*. Ale jeśli się ich ustawiło w jednej linii — łatwo już było rozpoznać kształt i kierunek całej jakby nowej fali — tej pierwszej fali naszych własnych *nowych* fachowców, którzy doczekać się nie mogli, aby zepchnąć ze stanowisk starych „speców”, a z wieloma — porachować się także raz na zawsze. I oto nareszcie się poja-

wili, ci pierwsi absolwenci sowieckich wyższych uczelni technicznych! Jako inżynierowie — nie szli w żaden paragon ze swoimi poprzednikami, inżynierami dawnej formacji — ani co do wiedzy, ani co do poglądów technicznych; nie mieli też ich artystycznej wrażliwości i entuzjazmu zawodowego. (Nawet w porównaniu z niedźwiedziem Oraczewskim, którego zaraz z pokoju wyrzucono, błyskotliwy K. wyglądał tylko na zwykłego papłę). Ich pretensje do ogłady ogólnej, krygowanie się na ludzi kulturalnych — wszystko to było komiczne. (K. mawiał: „Mój ulubiony (!) utwór — to „Trzy barwy czasu” Stendhala\*. Mimo, że nie bardzo sobie dawał radę z całą  $x^2 dx$ , z rozpędu wdawał się w dyskusje ze mną na wszelkie możliwe tematy z zakresu wyższej matematyki. Zapamiętał wszystkiego pięć-dziesięć szkolnych frazesów po niemiecku i cytował je wciąż, najczęściej bez sensu. Nie znał w ogóle angielskiego, ale uparcie toczył debaty o należytych akcentowaniu słów angielskich, bo zdarzyło mu się raz w restauracji słyszeć, jak Anglicy rozmawiają między sobą. Miał również zeszytik z aforyzmami, zaglądał doń często i kuł na pamięć, aby móc przy okazji błysnąć jakimś powiedzonkiem).

Ale za to wszystko — od tych ludzi, którzy nigdy nie widzieli na oczy kapitalizmu i nie byli nim zakażeni — oczekiwano republikańskiej czystości i naszej sowieckiej pryncypialności. Wielu z nich wprost ze studenckich ławek posyłano na odpowiedzialne stanowiska, związane z wysokimi zarobkami. Podczas wojny Ojczyzna nie pozwoliła posłać ich na front, nie żądając niczego w zamian prócz fachowej pracy. Dlatego też byli patriotami — chociaż do partii nie bardzo się pchali. Jednej rzeczy bowiem nie obawiali się — mianowicie nie byli dla nich groźne oskarżenia o klasową obcość. Dlatego też nie lękali się wcale pomyłek przy podejmowaniu decyzji; gdy trzeba było, potrafili ich bronić zębami i pazurami. Z tego samego powodu nie czuli onieśmielenia w stosunku do mas robotniczych, przeciwnie, potrafili sobie z nimi radzić surowo i zdecydowanie.

Ale to już wszystko. Starali się głównie o to, żeby ich dzień roboczy nie przekraczał 8 godzin. Bo później można było sobie użyć życia: artystki, „Metropol”, „Savoy”. W tej dziedzinie opowieści K. i Z-wa były do siebie zadziwiająco podobne. Oto opowieść K. (może coś tam dołgał dla większego szyku, ale na ogół — to podobne do prawdy, brzmi wiarygodniej!). O pewnej zwykłej, letniej niedzieli 1943 roku tak nam prawił, rozpromieniony, jakby na nowo przeżywał tę scenę:

---

\* Mowa o powieści o Stendhalu, sowieckiego autora Winogradowa.

— W sobotni wieczór wtarabaniamy się do restauracji „Praga”. Kolacja! Czy macie pojęcie co to znaczy *kolacja* dla kobiety? Dla kobiety absolutnie żadnego znaczenia nie ma, jakie tam będzie śniadanie, obiad i ta cała dzienna robota. Suknia, pantofle i kolacja, tylko to ma dla niej znaczenie! W „Pradze” obowiązuje jeszcze zaciemnienie, ale można wejść na taras. Balustrada. Aromatyczne letnie powiewy. Senny, nieoświetlony Arbat. Masz obok siebie kobietę w *jedwabnej* (to słowo podkreślał zawsze) sukni! Hulamy całą noc, a teraz — już tylko szampan! Zza wieży Ministerstwa Obrony wypływa malinowe słońce! Blask, szyby, dachy! Płacimy rachunek! Służbowe auto już czeka! — wystarczył telefon. Przez opuszczone szyby wpada wiatr i chłodzi twarz. A na dacy — sosnowy las! Macie pojęcie, co to jest sosnowy las o poranku? Parę godzin snu za opuszczonymi żaluzjami. Koło dziesiątej człowiek się budzi — słońce żga już przez okiennice. W pokoju miły nieład — wszędzie damskie fatałaszki. Lekkie (macie pojęcie, co to znaczy *lekkie*?) śniadanko z czerwonym winem, na werandzie. Później zjeżdżają się przyjaciele — rzeka, opalamy się, pływamy. Wieczorem — samochodami do domów. Jeżeli zaś niedziela jest robocza, to po tym śniadanku, tak koło 11-tej, jedzie człowiek, żeby trochę się zająć pracą państwową.

Czy kiedykolwiek, KIEDYKOLWIEK będziemy mogli się wzajemnie zrozumieć?...

Siedzi tak na moim łóżku i opowiadając wymachuje dłońmi, aby lepiej podkreślić plastyczność kuszących szczegółów, wierząc głową z rozkoszy, gdy słodycz wspomnień staje się zbyt już piekącą. Ja też więc zaczynam wspominać — jedną za drugą — te straszne niedziele letnie 1943 roku.

4 lipca. O świcie, z naszej lewej flanki, cała ziemia zatrzęsła się wzdłuż Łuku Kurskiego. A gdy zabłysło malinowe słońce, czytaliśmy już padające z nieba ulotki: „Poddajcie się! Już nie raz poznaliście na własnej skórze miążdżącą siłę niemieckiej ofensywy!”.

11 lipca. O świcie tysięczne gwizdy przecięły powietrze nad nami — zaczynało się nasze natarcie w kierunku Orła.

— „Lekkie śniadanko”? Pewno, że pojmuję. Jeszcze o ćmaku, w okopach, jedna puszka amerykańskiej wieprzowiny na ośmiu chłopów i — hurra! Za Ojczyznę, za Stalina!

## Rozdział dziesiąty

### P. O. POLITYCZNYCH

Ale gdzież w tym ponurym świecie, w którym jeden przechera drugiego pożera, w którym życie i sumienie ludzkie można kupić za pajdę chleba — gdzież więc i kim w tym świecie byli *polityczni* — kwiat wszystkich więziennych pokoleń w dziejach, wcielenie czystości i honoru?

A przecież już przyrzeliśmy się, jak owych politycznych izolowano, pogwałcono i wytępiono.

No, a kto zajął ich miejsce?

Jakie miejsce? Od tego czasu nie ma u nas więźniów politycznych! Toć takich ludzi u nas być nie może. Skąd „polityczni”, skoro zaprowadzono u nas powszechną sprawiedliwość? Siedząc w carskich więzieniach korzystaliśmy niegdyś z ulg dla politycznych, więc wiemy już teraz, że pobłażać nie wolno. Całkiem po prostu — politycznych skasowano. Nie ma ich i więcej nie będzie!

A ci, których posyła się do ciupy — no, to zwyczajni *kaerzy*, wrogowie rewolucji. Lata mijają, słowo „rewolucja” trochę jakby przywiedło, dobra, niech im będzie — *wrogowie ludu*, to brzmi jeszcze lepiej. (Gdyby policzyć — wedle znanych nam już Potoków — wszystkich, wsadzonych za kraty z tego artykułu, pomnożyć to później przez 3, biorąc pod uwagę członków rodzin — deportowanych, śledzonych, upokarzanych i gnębionych — to z niejakim zdziwieniem trzeba by przyznać, że po raz pierwszy w historii *lud* wystąpił jako *wróg samego siebie*, zyskując za to najlepszego przyjaciela — w osobie tajnej policji).

Krawiec, odkładając na bok igłę, wetknął ją w gazetę, którą wyklejona była ściana — i trafił Kaganowicza w oko. Widział to klient. Artykuł 58, 10 lat (terror).

Ekspedientka, przyjmując towar, zapisywała cyfry na gazecie,



innego papieru nie było. Liczbę kawałków mydła — zanotowała na czole towarzysza Stalina. 58, 10 lat.

Traktorzysta Znamińskiego Ośrodka Maszyn Rolniczych dziurawy swój trzewik wymościł ulotkami przedwyborczymi. Sprzątaczką (a to ona była odpowiedzialna za rozdawnictwo materiałów propagandowych przed wyborami do Najwyższego Sowietu) zauważyła, że czegoś brak i doszła po nitce do kłębka. KRA (Kontrewolucyjna agitacja), 10 lat.

Kierownik świetlicy wiejskiej poszedł ze stróżem do sklepu, żeby kupić popiersie towarzysza Stalina. Kupili. Popiersie ciężkie, duże. Trzeba by znaleźć tragi, żeby nieść we dwójkę, ale kierownikowi jego pozycja służbowa nie pozwala wszak na to, więc powiada. „No, doniesiesz jakoś sam, dasz radę pomalutku”. Stary stróż długo nie mógł sobie poradzić z ciężarem. Wziąć pod bok? — za duże. Nieść przed sobą, jak samowar? — w krzyżu łamie i omal się człowiek nie przewraca. W końcu znalazł sposób: zdjął pasek, zrobił pętlę, zarzucił Stalinowi na szyję, zadał sobie ciężar na plecy i tak poszedł przez wieś. No, tu już szkoda gadania, przypadek niewątpliwy, art. 58 § 8, terror, 10 lat.

Marynarz sprzedał Anglikowi zapalniczkę własnego wyrobu typu „Katusza” (knot w rurce i krzesiwo), jako pamiątkę — za jednego funta. Narażenie na szwank autorytetu kraju, 58, 10 lat.

Pastuch, złościąc się na krowę, że narowista, sklął ją od „kołchozowych kurew”. 58, termin — jak zwykle.

Elusia Swirskaja zaśpiewała na wieczorku amatorskim czasuszkę, troszkę *aluzyjną* — no, to już otwarty bunt! 58, 10 lat.

*Głuchoniemy* cieśla — też złapał wyrok za kontrewolucyjną agitację! Jakim cudem? Układa posadzki w świetlicy. Z dużej sali wszystko wynieśli, nigdzie nie ma gwoźdźcia, ani haka. Swoją marynarkę i czapkę narzuca na popiersie Lenina. Ktoś wszedł do sali, zauważył. 58, 10 lat.

Przed wojną w obozie Wołgołag mnóstwo było starych, niepiśmiennych chłopów ze wsi, z Tulszczyzny, Smoleńszczyzny, spod Kaługi. Ale wszyscy siedzieli z artykułu 58, § 10, to znaczy za antysowiecką agitację. A kiedy trzeba było coś podpisać, to stawiali krzyżyki. (Relacja Łoszczylina).

Po wojnie siedziałem natomiast w obozie z jakimś Maksymowem spod Wieługi. Na początku wojny służył on w artylerii przeciwlotniczej. Zimą politruk zwołał baterię, aby objaśnić ludziom artykuł wstępny *Prawdy* (16 stycznia 1941 roku: „Zimą tak dać Niemcom w kość, żeby wiosną kości pozbierać nie mogli!”). Wyrwał później do dyskusji również naszego Maksy-

mowa. Maksymow oświadczył: „Bardzo słusznie! Trzeba grzmocić tych skurwieli, póki śnieg, póki zawieje, póki im walonek brak, chociaż tam czasem my też w samych trzewikach. Bo wiosną to trudniej sobie będzie poradzić z ich techniką...”. Politruk klaskał, zdawało się, że wszystko w porządku. Ale wezwano Maksymowa do SMIERSZ'a i wlepiono 8 lat — „za bałwochwalstwo wobec niemieckiej techniki” z 58 art. (Maksymow ukończył wszystkiego jedną klasę szkółki wiejskiej. Jego syn, komsomolec, przyjechał z armii czynnej do obozu w odwiedzinach i powiedział: „Nie pisz mamie, że cię aresztowali, niech się nazywa, że jesteś dotychczas w szeregach, że nie puszczają”. Żona pisze na adres „skrzynka pocztowa numer taki a taki”: „Toć wszystkich twoich rówieśników dawno puścili do domu, dlaczego ciebie tak długo trzymają?”. Konwojent patrzy na Maksymowa — wiecznie niegolonego, przygnębionego, a jeszcze ponadto głuchawego — i tak mu radzi: „Napisz, że cię awansowano na oficera i dlatego jeszcze nie wracasz”. Ktoś na budowie rozgniewał się na Maksymowa za jego głuchotę i tępotę — i tak mu palnął — „zmarnotrawiono na ciebie 58-my artykuł”).

Dzieciaki w świetlicy wiejskiej dokazywały, siłowały się ze sobą, i zdarły grzbietami ze ściany jakiś tam plakat. Dwóm najstarszym wlepiono wyrok z 58 artykułu (dekret z 1935 roku wprowadza dla dzieci karalność ze wszystkich artykułów KK już poczynając od 12 roku życia!). Usiłowano wpłacać w to również rodziców — że dzieciaków specjalnie poszczuli.

16-letni uczeń — Czuwasz, pisząc w gazecie ściennej hasło, popełnił omyłkę w pisowni rosyjskiego, a więc nie ojczystego, wyrazu. 58, 5 lat.

W księgowości pewnego sowchozu wisiało hasło: „Żyje się teraz lepiej, żyje się weselej! (Stalin)”. Ktoś dopisał po ostatnim słowie czerwonym ołówkiem — „owi”. Że niby StalinOWI żyje się teraz lepiej i weselej. Winowajcy nawet nie szukano — posłano za kraty całą księgowość.

Herszel Bernsztejn i jego żona, nazwiskiem Besszczastnaja, dostali 58 § 10, 5 lat, za... domowy seans spirytystyczny! (Śledczy wciąż się dopytywał: przyznaj się, kto jeszcze z duchami spiskował?)<sup>1</sup>.

Nonsens? Barbarzyństwo? Bezmyślność? Nic w tym nie ma bezmyślnego, to właśnie jest „terror — jako narzędzie perswazji”. Istnieje przysłowie: „Jak zaczniesz strzelać do srok i wron —

1. W obozie zaś rozeszła się pogłoska, że Herszel siedzi za „wroźbiarstwo” — więc prominenci w te pędy zaczęli znosić mu chleb i tytoń — żeby im też powróżył!

to w końcu nawet biały łabędź padnie!”. Jak się zacznie łać wszystkich pod rząd, to w końcu wpadnie w ręce i ten, o kogo chodzi. Sens masowego terroru na tym przede wszystkim polega, że jego ofiarami, niejako po drodze, stać się muszą także ci dobrze ukryci i silni, których innym sposobem, pojedynczo, nigdy nie można by dostać w ręce.

Nie do wiary, jakie też idiotyczne oskarżenia wymyślano, aby usprawiedliwić aresztowanie osób przypadkowych, albo z góry upatrzonych!

Grzegorz Jefimowicz Gienierałow (ze Smoleńszczyzny) został oskarżony o to, że: „oddawał się pijaństwu z nienawiści do władzy sowieckiej” (a pił tego dlatego, że kłócił się z żoną) — 8 lat.

Irena Tuczynskaja (narzeczona młodego Sofronickiego) została aresztowana przy wyjściu z cerkwi (planowane było aresztowanie całej ich rodziny) i oskarżona, że w cerkwi „modliła się o śmierć Stalina”. (Któż mógł słyszeć jej modlitwę?) — Terror! 25 lat.

Aleksander Babicz oskarżony był o to, że „w 1916 roku walczył przeciw władzy sowieckiej (!) w szeregach armii tureckiej”. W istocie rzeczy służył ochotniczo w rosyjskiej armii na tureckim froncie. Ponieważ dodatkowo oskarżono go o zamiar wydania Niemcom w 1941 roku lodołamacza „Sadko” (wzięty został na jego pokład jako pasażer) więc skazano go na rozstrzelanie! (zamieniono mu je na *czewońca*, zmarł w obozie).

Sergiusz Stiepanowicz Fiodorow, inżynier-artylerysta oskarżony był o „złośliwe wstrzymywanie zatwierdzenia projektów młodych inżynierów” (komsomolscy aktywiści jakoś nie mieli czasu na staranne wykańczanie swoich prac kreślarskich<sup>2</sup>).

Członek-korespondent Akademii Nauk, Ignatowski, aresztowany został w Leningradzie w 1941 roku; oskarżono go, że został zwerbowany przez wywiad niemiecki w czasie swojej praktyki u Zeissa w 1908 roku! i że otrzymał takie, dość dziwaczne, zadanie: w czasie najbliższej wojny (która powinna interesować, zdawałoby się, dawne pokolenie pracowników wywiadu) nie uprawiać szpiegostwa, tylko czekać aż do *następnej!* Dlatego to Ignatowski wiernie służy carowi podczas I wojny światowej, później — jest wierny władzy sowieckiej, organizuje jedyne w kraju zakłady optyczno-mechaniczne (GOMZ), zostaje wybrany do Akademii Nauk — aż nareszcie na początku II wojny światowej zostaje zdemaskowany, unieszkodliwiony i rozstrzelany!

---

2. Nie mniej, tego zdeklarowanego szkodnika posyłano z więzienia Kresty do wielu fabryk zbrojeniowych w charakterze konsultanta.

A zresztą, przeważnie tych fantastycznych oskarżeń w ogóle nie było potrzeba. Istniał prościutki, standartowy spis typowych punktów oskarżenia. Wystarczyło, że śledczy brał ze spisu to, czy owo i naklejał, jak znaczki na kopertę:

- dyskredytacja Wodza;
- negatywny stosunek do kołchozów;
- negatywny stosunek do pożyczek państwowych (a kto przy zdrowych zmysłach odnosi się do nich pozytywnie?);
- negatywny stosunek do Konstytucji Stalinowskiej;
- negatywny stosunek do (kolejnych) dyrektyw partyjnych;
- sympatia dla Trockiego;
- sympatia dla Stanów Zjednoczonych;
- itd., itp.

Przyklejanie tych znaczków różnej wartości było robotą monotonną i nie wymagającą żadnego artyzmu. Śledczy, nie lubiący tracić czasu, musiał mieć tylko pod ręką kolejną ofiarę. Ofiary takie dostarczane były według z góry ustalonych planów ilościowych przez pełnomocników operacyjnych działających w terenie, w jednostkach wojskowych, na kolei, w szkolnictwie. Pełnomocnicy z kolei nie musieli zbyt łamać sobie głów, ponieważ zawsze w porę mieli pod ręką donosy.

W walce wszystkich przeciw wszystkim donosy stanowiły coś w rodzaju super-broni, były to promienie śmierci: wystarczyło skierować taki niewidzialny promyczek na jakiegoś przeciwnika i od razu był z nim koniec. Była to broń niezawodna. Zbierając relacje o tych wypadkach, nie notowałem nazwisk, ale śmiem twierdzić, że w więzieniu nasłuchiwałem się *wielkiego mnóstwa* opowieści o stosowaniu donosów nawet w trakcie miłosnych zapasów: kochanek usuwał sobie z drogi męża przyjaciółki, żona likwidowała kochankę, albo kochanka żonę, bądź też kochanka mściła się na swoim kochanku za to, że nie potrafiła go od żony oderwać.

Z tych znaczków najczęściej był w użyciu *punkt dziesiąty* — kontrrewolucyjna (przemianowana na antysowiecką) agitacja. Jeśli potomkowie nasi zdołają kiedykolwiek dotrzeć do akt śledczych i sądowych z epoki stalinowskiej, to na pewno podziwiać będą niezmordowaną wynalazczość i spryt tych antysowieckich agitatorów. Agitowali oni przy pomocy igły i podartej czapki, niemytych podłóg (patrz niżej), albo brudnej bielizny, postugiwali się uśmiechem albo ponurą miną, stosowali w swojej kreciej robocie wymowne spojrzenia, złowrogie myśli, nie znajdujące ujścia z czaszki, pamiętnikarskie notatki, miłosne karteluski i napisy na ścianach toalet publicznych. Prowadzili agitację na szosach,

na wiejskich drózkach, w czasie pożarów, na rynku, w kuchni, przy rodzinnym stole, w trakcie picia herbaty, a także w łóżku, szeptem. Tylko niezwyknięty ustrój socjalistyczny mógł wytrzymać taki nacisk!

Na Archipelagu twierdzi się żartem, że nie wszystkie artykuły kodeksu karnego są artykułami powszechnego użytku. Ten i ów chciałby nawet pogwałcić prawo o ochronie własności socjalistycznej, ale, niestety, nie każdy ma do tej własności dostęp. Ktoś inny, nie mrugnawszy nawet okiem, popełniłby defraudację — ale w żaden sposób nie może dostać się na posadę kasjera. Żeby kogoś zamordować, musi mieć człowiek choćby jakiś nóż, aby być winnym nielegalnego posiadania broni — trzeba ją najprzód skądś dostać, aby uprawiać sodomie — trzeba mieć w majątku bydło domowe. Nawet sam artykuł 58-my nie dla każdego bez wyjątku jest dostępny: jak tu zdradzić ojczyznę — (punkt 1-b.) skoro człowiek nie służy w armii? W jaki sposób nawiązać kontakt (punkt 4) z międzynarodową burżuazją, skoro człowiek mieszka w Chanty-Mansyńsku? Jak tu prowadzić dywersyjną działalność w dziedzinie przemysłu państwowego i transportu (punkt 7), jeśli człowiek pracuje jako fryzjer? jeżeli nie ma pod ręką nawet najnudniejszego lekarskiego sterylizatora, który mógłby zostać rozsadzony parą (inżynier-chemik Czudakow, 1948 r. „dywersja”)?

Ale punkt 10 art. 58 *dostępny* jest dla wszystkich. Jest do dyspozycji sędziwych staruszek i dwunastoletnich szkolaczek, ludzi żonatych i kawalerów, kobiet w ciąży i dziewic, sportowców i kalek, pijanych i trzeźwych, ostrowidzów i ślepców, posiadaczy własnych aut i żebraków. Łapać punkt dziesiąty można zimą z takim samym powodzeniem jak latem, w dzień powszedni, czy w niedzielę, wczesnym rankiem i późnym wieczorem, przy pracy i w domu, na schodach, na stacji kolejki podziemnej, w głuchym lesie, na przerwie w teatrze, a także w trakcie zaćmienia słońca.

Jako artykuł powszechnego użytku wytrzymuje porównanie z 10-tym punktem tylko punkt 12-ty — *niepowiadomienie*, czyli „wiedział, a nie powiedział”. Wszystko, co powiedziane było wyżej, można było oberwać również na podstawie tego punktu i w tych samych warunkach. Różnica na korzyść dwunastki na tym polegała, że tu nie musiał człowiek nawet gęby otwierać, ani łapać za pióro. Ten punkt należał się właśnie za bezczynność! A wyrok był taki sam: 10 lat i 5 „kańca”.

Oczywiście, po wojnie punkt 1-szy artykułu 58 — „zdrada kraju” — także nie mógł zaliczać się do nieosiągalnych dla ogółu.

Mieli do niego prawo nie tylko wszyscy byli jeńcy, nie tylko wszyscy mieszkańcy terenów okupowanych, ale nawet ci, którzy zwłóczyli przy wyjeździe z terenów zagrożonych i tym samym ujawniali swój *zamiar* dopuszczenia się zdrady kraju. (Profesor matematyki Żurawski przy wyjeździe z Leningradu prosił o trzy miejsca w samolocie — dla żony, dla chorej szwagierki i dla siebie. Dostał dwa, szwagierki nie uwzględniono. Wysłał wobec tego żonę i szwagierkę, a sam został. Władze potrafiły znaleźć dla tego uczynku tylko jedno wytłumaczenie: profesor czekał na przyjsie Niemców. 58 — 1-a, w świetle punktu 19. 10 lat).

Pamiętając o nieszczęsnym krawcu, strózu świetlicy, głuchoniemym cieśli, marynarzu, czy człowieku z Wietługi — uznać już będziemy mogli za skazane w całym majestacie prawa takie choćby osoby, jak:

— Estończyk Enseld, który przyjechał do Leningradu z — niezależnej jeszcze wtedy — Estonii. Znalaziono u niego list pisany po rosyjsku. Do kogo? Od kogo? „Jestem uczciwym człowiekiem i tego powiedzieć nie mogę” (list napisał Wiktor Czernow, znany mienszewik, emigrant, do swoich krewnych). Ach, ty wywłoko! skoroś taki uczciwy, to jedź na Sołówki!... Ale tu był chociaż jakiś list!

— Giriczewski. Ojciec dwóch oficerów frontowych. Podczas wojny znalazł się w batalionach pracy i posłany został na torfowiska. Tam zdarzyło mu się zganić postną i rzadką zupę, jaką ich karmiono (więc jednak coś zganił! Dziobem jednak trząsał!). Całkiem zasłużenie dostał też za to 58 - 10, 10 lat. (Skonał, wygrzebując łupiny kartoflane z obozowego śmietnika, w brudnej jego kieszeni znalaziono fotografię syna — pierś pełna orderów).

— Niestierowski, nauczyciel angielskiego. We *własnym domu*, przy herbacie, opowiedział żonie i jej najlepszej przyjaciółce (więc jednak opowiedział! fakt miał miejsce!) jak bieduje się i głoduje na zapleczu, nad Wołgą, skąd właśnie był powrócił. Najlepsza przyjaciółka z a k a p a ł a ich oboje: jemu dano punkt dziesiąty, jej dwunasty, obojgu po 10 lat. (A mieszkanie? Nie wiem, może przypadło serdecznej przyjaciółce?).

— N. I. Riabinin. W 1941-ym, podczas naszego odwrotu, powiedział na głos: „Lepiej było nie śpiewać tyle. — Jak nas tylko kto zaczepi — to niech pacierz zmówi lepiej”. Toć takiego nikczemnika najlepiej od razu pod mur, a dano mu całej parady — 10 lat!

— Reunow i Tretiuchin, komuniści, podnieśli rejewach jakby

ich giez ukąsił, że jakoś dawno już nie było zjazdu partii, że to niezgodne ze statutem (bo to ich zafajdana sprawa?!...). Do-  
stali po dziesiątaku.

— Faina Jefimowna Epsztejn, oburzona zbrodniami Trockiego, zapytała na zebraniu partyjnym: „No to dlaczego go wypuszczono ze Związku Sowieckiego?”. (Jakby partia musiała się przed nią tłumaczyć! Toć Józef Wissarionowicz może przez to sobie łokcie z rozpaczy gryźć). Za to idiotyczne pytanie dostała (i od-  
siedziała po kolei) trzy terminy. (Chociaż żaden śledczy ani prokurator do końca nie potrafił jej wyjaśnić na czym właściwie polega jej wina).

— W przypadku Gruszy — proletariuszki, ogrom zbrodni wydaje się po prostu przytłaczający. 23 lata przepracowała ona w hucie szklanej i nikt z sąsiadów nigdy nie widział u niej obrazów świętych, a właśnie tuż przed spodziewanym wkroczeniem Niemców do ich osady — Grusza powiesiła sobie ikonę (ot, po prostu przestała się bać, bo przecież za ikony nie głaskano po główce) i — co dowodnie wykazało śledztwo, wszczęte na skutek donosu sąsiadek — wyszorowała podłogi! (A Niemcy jednak nie przyszli). Prócz tego, podniosła z ziemi leżącą przed domem ozdobną niemiecką ulotkę z obrazkiem i wetknęła ją do wazonika na komodzie. Nie bacząc na to wszystko, nasz humanitarny sąd wziął pod uwagę jej proletariackie pochodzenie i skazał Gruszę TYLKO na osiem lat obozu i trzy lata pozbawienia praw. A jej mąż tymczasem zginął na froncie. A znowu córka — uczyła się w technikum, ale *personalni* wciąż jej doku-  
czali: „A gdzie twoja matka?!” — i dziewczynka *otruiła się*. (Co było dalej, tego Grusza już nie mówiła. Gdy dochodziła do śmierci córeczki — zaczynała płakać i szła sobie precz).

A na co zasłużył Gennady Sorokin, student trzeciego roku czelabińskiego instytutu pedagogicznego, skoro w studenckim czasopiśmie literackim (1946 r.) zamieścił dwa własne artykuły, od A do Z wzięte z głowy? Dostał tzw. małą szpulę — 10 lat.

A lektura Jesienina? Wszyscy mamy słabą pamięć. Przecież wkrótce dowiemy się, że — „wcale tak nie było. Jesienin był zawsze głęboko czczonym poetą narodowym”. Tymczasem Jesienin uchodził za poetę kontrrewolucyjnego, a jego wiersze należały do lektur zakazanych. W czasie śledztwa w rizańskim urzędzie bezpieczeństwa M. J. Potapow usłyszał następujące oskarżenie: „Jakoś ty śmiał (przed wojną) zachwycać się Jesieninem, skoro Józef Wissarionowicz powiedział, że najlepszym i najbardziej utalentowanym poetą jest Majakowski!”.

Na całkiem już zdeklarowanego przeciwnika władzy sowieckiej wygląda pewien lotnik cywilny, drugi pilot „Douglasa”. Nie



tylko, że znaleziono u niego dzieła zebrane Jesienina; nie tylko opowiadał on, jak to gospodarnie i dostatnio żyli sobie mieszkańcy Prus Wschodnich zanim przyszli tam nasi — ale ponadto w czasie *dyskusji* w jednostce lotniczej wdał się w publiczny spór z Erenburgiem<sup>3</sup> na temat Niemców. (Z ówczesnych poglądów Erenburga można wniesić, że lotnik uważał, iż z Niemcami postępować należy nieco łagodniej). Dyskusja — i tu nagle publiczny spór! Sąd, dziesięć lat i pięć kagańca.

I. F. Lipaj zorganizował w swoim rejonie kołchoz na rok przed oficjalnym zleceniem — przy tym kołchoz zupełnie dobrowolny! Czy więc pełnomocnik GPU Owsianikow mógł sobie pozwolić na tolerowanie takiego wrogiego wybryku? Nie trzeba mi twojego dobrego, rób lepiej moje złe! Kołchoz uznany został za kułacki, a samego Lipaja, podkułacznika, posłano już gdzie należy...

F. W. Szawirin, robotnik, na zebraniu partyjnym napomknął głośno (!) o testamencie Lenina! No, trudno w ogóle wyobrazić sobie coś straszniejszego, to już — zdeklarowany wróg! Jeśli trochę zębów zostało mu jeszcze po śledztwie, to stracił je na Kołymie, już w trakcie pierwszego roku pobytu.

Oto jacy ohydni przestępcy trafiali się wśród skazanych z artykułu 58! A przecież również zdarzali się spryciarze z wywrotową skłonnością do szwindelków. Na przykład — taki Perec Hercenberg, mieszkaniec Rygi. Przyjeżdża ci raptem do Litewskiej Republiki Socjalistycznej i tam melduje się jako obywatel *polskiego* pochodzenia. A tymczasem jest tylko łotewskim Żydem. Co w tym przypadku szczególnie oburza — to chęć oszukania swojej własnej ojczyzny. Przecież facet liczył widocznie, że pozwolimy mu wyjechać do Polski i że stamtąd wymknie się do Izraela. Nie, kochaneńki, nie chciałeś siedzieć w Rydze — to posiedzisz w GUŁagu. Zamiar dopuszczenia się zdrady kraju — 10 lat.

A jak też potrafią ukrywać się te franty. W 1937 roku wśród załogi fabryki „Bolszewik” (Leningrad) wykryci zostali byli uczniowie szkoły zawodowej, którzy w 1929 roku obecni

---

3. We wspomnieniach Erenburga nie ma mowy o takich błahostkach. Mógł zresztą istotnie nie wiedzieć, że jego dysputant dostał się za kraty. Odpowiedział mu tylko w czasie dyskusji w sposób — jak na tę chwilę — partyjny, a później o całej sprawie zapomniał. Erenburg pisze, że sam „ocalał na zasadzie loterii”. Ech, to była loteria, lecz jej numery były znane. Jeżeli dookoła wsadzano przyjaciół, to trzeba było umieć zapamiętać na czas numer telefonu. Skoro dyszel kierował się w inną stronę, to trzeba było umieć brać zakrety. Nienawisć do Niemców Erenburg podsycił już z taką przesadą, że aż go Stalin musiał ofuknąć. Czując pod koniec życia, żeś pomagał kłamstwu utrzymać się w siodle, powinieneś być, człowieku, nie wspomnieniami się rehabilitować, lecz mężnym, ofiarnym czynem.

byli na zebraniu, podczas którego przemawiał Zinowiew. (Odnaleziono listę obecnych, załączoną do protokołu zebrania). I w ciągu ośmiu lat ukrywali to, ba, zdołali wkraść się w szeregi klasy robotniczej. Zaraz też zostali aresztowani i rozstrzelani.

Marks twierdził, że „Państwo samo się okalecza, gdy czyni z własnego obywatela przestępcę<sup>4</sup>”. I w sposób bardzo ujmujący wyjaśnił, że państwo powinno widzieć w każdym złoczyńcy również człowieka żywego, i żołnierza, a więc obrońcę kraju, i członka społeczności, i ojca rodziny, „istnienie której jest święte”, i — co najważniejsze — obywatela. Ale nasi prawnicy nie mają czasu na czytanie Marksa, zwłaszcza gdy chodzi o ustępy tak nieprzemysłane. Marks natomiast, jeśli ma chęć, może sobie poczytać nasze instrukcje.

Ten i ów gotów już tu krzyknąć, że cała ta litania jest czymś potwornym? niewyobrażalnym? Że to nieprawdopodobne? Że Europa nie da temu wiary?

Europa, rzecz jasna, wiary nie da. Dopóki sama nie *posiedzi* — dopóty nie uwierzy. Uwierzyła już w nasze wyglansowane czasopisma i nic więcej w głowie jej się nie mieści.

A my sami? Toż przed pięćdziesięciu laty nikt z nas by w to nie uwierzył. Zresztą sto lat temu — też by wierzyć nie chcieli. Bieliński, Czernyszewski — za nic nie daliby wiary. Ale jak grzebnąć bagnetem głębiej, jak się tak dokopać do Piotra, albo i do wcześniejszych epok — to dlaczego nie miałyby się wierzyć? Co tu takiego, toć zawsze tak było:

— sztyldwach więzienny Sieńka tak prawił: „Nie śmiej mnie za brodę szarpać! jam poddany miłościwego pana, więc broda moja też do jego carskiej mości należy!”. 58, bity knutem bez żadnej litości.

— dziesiętnik strzelecki Iwaszko Raspopin, kciuk wraził nieobyczajnie między palce i tako rzekł: „Ot, co pokażę tobie i twojemu najjaśniejszemu panu”. 58, batożony knutem bez żadnej litości.

— mieszczanin Blestin tak urągał kozakom: „Rozum pono postradał wielki książę, skoro was, kozaków, karmi i poi!”. 58, bity knutem bez litości.

— bojarski synalek, Iwan Paszkow, odezwał się w te słowa: „Najjaśniejszy pan ważniejszy jest od świętego Atanazego”. A diaczek Nieżdzan z cerkwi pod wezwaniem tegoż świętego tak mu odparł: „A czemuż to car do świętego Atanazego się

4. Marks i Engels, *Dzieła Zebrane*, tom I, wyd. ros., str. 233, wyd. z 1928 r.

modli?». (Rzecz się działa po Wielkim Tygodniu, obaj byli pijani). Gród moskiewski skazał obu bez nijakiej stronnicości: bojarskiego syna bez litości bić knutem — i diaczka też bić nie inaczej<sup>5</sup>».

Przynajmniej nikt pary z gęby nie puszcza. A tego właśnie trzeba.



W dawnej Rosji więzień polityczny i zwykły mieszczuch były to biegunowe przeciwieństwa. Nie sposób było znaleźć bardziej wykluczający się wzajemnie sposobów myślenia i życia.

W ZSSR mieszczuchów zaczęto pakować do saka jako „politycznych”.

I dlatego właśnie nastąpiło zrównanie politycznych z mieszczuchami.

Połowa Archipelagu składała się z Pięćdziesiątki Ósemki. A politycznych — nie było... (Gdyby prawdziwych *politycznych* były takie ilości — to na jakiej ławie siedziałyby już dawno cała nasza władza!).

Artykuł 58 obrywał każdy dla kogo nie znaleziono z punktu jakiegoś innego artykułu, odnoszącego się do przestępstw pospolicznych. Była to mieszanina niesłychanie pstra<sup>6</sup>. Przypiąć komuś artykuł 58 — był to najlepszy sposób na to, aby człowieka zniszczyć, usunąć go z drogi raz-dwa. I raz na zawsze.

Zaliczano do tej grupy również po prostu *krewnych*, zwłaszcza żony podejrzanych i skazanych, członków ich rodzin. Teraz wszyscy są przekonani, że jako Cz S podlegały aresztowaniu żony wybitnych działaczy partyjnych, ale była to dawna już tradycja: w ten sposób przetrzebiono rodziny szlacheckie, i rodziny wybitniejszych przedstawicieli inteligencji oraz duchowieństwa.

---

5. Przykłady wzięte są z książki Plechanowa „Historia rosyjskiej myśli społecznej”.

6. Na przykład — młody Amerykanin, który ożenił się z obywatelką sowiecką i aresztowany został od razu pierwszej nocy, spędzonej poza murami ambasady amerykańskiej (Maurice Hershman). Albo były syberyjski partyzant Murawiov, znany z tego że bezlitośnie rozprawiał się z białymi (mścił się za śmierć brata), który od 1930 roku nie wychodził z lochów GPU (zaczęło się od złota) i zdążył stracić zdrowie, zęby, rozum, a nawet nazwisko (zmieniono mu je na Foks). Albo pewien sowiecki oficer intendentury, defraudant, który uciekł przed grożącą mu karą do zachodniej strefy okupacyjnej Austrii, ale — to dopiero ironia losu! — jakoś nie potrafił tam znaleźć sobie odpowiedniego zajęcia. Był tępym biurokratą, chciał także tam zająć od razu wysoką pozycję, ale jak mogło mu się to udać w społeczeństwie, gdzie o wygranej we współzawodnictwie decyduje talent? Postanowił więc wracać. Tu oberwał w sumie 25 lat — za zabór mienia społecznego i ewentualny zamiar uprawiania szpiegostwa. Jakże był rad — toć tu człowiek swobodniej oddycha! Przykładów takich jest niezliczona ilość.

(Nawet w latach 50-tych było podobnie: historyk Ch-cew skazany został na 25 lat za grube błędy, jakie popełnił w swojej książce. Ale przecież żonie też się coś należy? Dycha. Ale jak można zapominać o starej 75-letniej matce i 16-letniej córce? Za niezłożenie donosu — też dostały swoje. Całą czwórkę rozesłano do rozmaitych obozów bez prawa wymiany listów).

Im więcej cichych, spokojnych, dalekich od polityki, a nawet ciemnych ludzi, im więcej osób — przed aresztowaniem zajętych tylko swoimi sprawami domowymi — wciągano w ten kołowrót niezastużonych kar i śmierci — tym bardziej szarżała Pięćdziesiątka Osemka, tym łatwiej dawała się zacukać, tym pręcej wybywała się wszelkiej, ostatniej już treści politycznej i przekształcała się w rozproszone stado skołowociałych istot.

Nie wystarczy jednak stwierdzić — z *kogo* składa się Pięćdziesiątka Osemka, jeszcze ważniejsze jest ustalenie — jak *traktowana* była w obozie.

Kategoria ta od pierwszych lat rewolucji znalazła się w podwójnym potrzasku. Godził w nią i reżym, i rygory formułowane przez prawników.

Jeśli weźmiemy dla przykładu rozporządzenie WCzK z 8 stycznia 1921 roku, to dowiemy się, że tylko robotników i chłopów nie wolno aresztować bez podstaw prawnych — inteligenta zaś — można, dlaczego nie, no, choćby na zasadzie antypatii. Albo posłuchajmy Krylenki, który na V Zjeździe pracowników aparatu sprawiedliwości w roku 1924 oznajmił, że „co do skazanych przedstawicieli elementów klasowo wrogich, to zabiegi mające na celu ich reedukację i poprawę... są bezskuteczne i *bezcelowe*”. Na początku lat trzydziestych jeszcze raz zostanie nam przypomniane, że skracanie kar i przedterminowe zwalnianie elementów klasowo obcych jest procederem pravicowo-oportunistycznym. Odnosi się to również do „oportunistycznego twierdzenia, że „w więzieniu wszyscy są równi”, że „z chwilą orzeczenia wyroku przerywa się jakby walka klasowa” oraz że „wróg klasowy zaczyna poddawać się reedukacji”<sup>7</sup>.

Jeżeli zbierzemy to wszystko do kupy, to okaże się, że: łapać was wolno *za nic*, na waszą reedukację nie ma co liczyć, w obozie zapewnimy wam pozycję jak najgorszą i zadręczymy was tam walką klasową.

Ale jak to być może — walka klasowa w obozie? Przecież wydaje się, że wszyscy więźniowie istotnie są równi. Hola, to jest teza burżuazyjna. Po to właśnie odebrano politycznym prawo

7. Dzieło Zbiorowe, *Od więzień...*, str. 384.

do osobnego statusu i zrównano ich z kryminalnymi, aby teraz tych kryminalnych wsadzić politycznym na kark! (wymyślili to ludzie, którzy w carskich więzieniach zdali sobie sprawę z siły wspólnoty politycznych, z ich protestu, z niebezpieczeństwa, jakie jedność politycznych stanowi dla każdego reżymu).

Ale oto Awerbach już ma na ten temat coś do powiedzenia, zaraz nam to wyjaśni. „Taktyka reedukacji opiera się na zasadzie klasowego rozwarstwienia”, powinniśmy szukać oparcia wśród elementów najbliższych proletariatu<sup>8</sup>”. (A któż to są te elementy najbliższe? ależ to „byli robotnicy” to znaczy *złodzieje*, ich to właśnie trzeba naszczuć na Pięćdziesiątkę Ósemkę!) „reedukacja niemożliwa jest bez jednoczesnego rozpalania politycznych namiętności” (dosłownie tak!).

Gdy więc życie nasze oddano złodziejom we władanie — nie było to rezultatem samowoli leniwych komendantów jakichś głuchych podobozów, była to realizacja wzniosłej Teorii!

„Zróznicowane klasowo podejście do więziennego reżymu... nie ustający ani na chwilę nacisk administracyjny na elementy klasowo wrogie...”. Odsiadując więc swój ciągnący się bez końca wyrok, w porwanym waciaku, z głową wечно opuszczoną — czy potrafcie sobie to chociaż wyobrazić? — znosić musicie *nieustający ani na chwilę* nacisk administracyjny?!

W tej samej, jakże godnej uwagi, książce znajdujemy nawet spis środków z pomocą których stworzyć można Pięćdziesiątkę Ósemce nieznośne warunki życia w obozie. Nie chodzi tylko o to aby zmniejszać tym ludziom ilość widzeń, paczek, listów, uszczuplać prawo do skarg, a nawet prawo do poruszania się wewnątrz (!) obozu. Mowa tu o tym, aby z obcych klasowo elementów tworzyć osobne brygady, *stawiać je w możliwie najtrudniejszej sytuacji* (tu wyjaśnię, że oznacza to oszukiwanie tych brygad przy wycenie wykonanych prac), a gdy nie dadzą sobie one w tej sytuacji rady z wykonaniem norm — uznawać to za przejaw działalności wroga klasowego. (Stąd właśnie wzięło się rozstrzeliwanie na Kołymie całutkich brygad!). Są też czysto teoretyczne porady: kułaków i podkułaczników (to znaczy — najlepszą część siedzących w obozie chłopów, nawet we śnie marzących o pracy na roli) — nie posyłać do żadnych prac polnych! Ponadto: wysoko kwalifikowanym, lecz obcym klasowo elementom (to znaczy inżynierom) nie powierzać żadnej odpowiedniej pracy „bez uprzedniej kontroli” (ale kto w obozie ma wystarczająco wysokie kwalifikacje, aby kontrolować inżynierów? Najpewniej — złodziejska lekka kawaleria z KO, coś w rodzaju

---

8. I. Awerbach, *Od przestępstwa do twórczej pracy*, str. 35.

hunwejbiniów). Radę tę trudno było wcielić w życie przy budowie kanałów: przecież przepusty wodne muszą być przez kogoś zaprojektowane, trasa sama się nie przebiję. Tu więc Awerbach błaga usilnie: niech specjaliści przynajmniej sześć miesięcy po przybyciu do obozu przepracują na ogólnych! (A nie potrzeba więcej, żeby wykończyć człowieka!). Wówczas to, uważacie, mieszkać nie w inteligentnym, uprzywilejowanym baraku, facet „odczuje na sobie wpływ kolektywu”. „Kontrewolucjoniści zdadzą sobie sprawę, że masy są przeciw nim i że nimi gardzą”.

I jak to łatwo, mając w małym palcu ideologię klasową, nadawać odwrotny sens wszystkiemu. Ktoś tam posyła „byłych ludzi” oraz inteligentów na funkcje? — a więc tym samym „posyła do najcięższych robót więźniów, wywodzących się z mas pracujących”! Jeżeli w magazynie sortów odzieżowych pracuje były oficer, a roboczych kombinezonów nie starcza — to znaczy, że oficer ten „świadomie sabotuje”. Jeżeli ktoś powiedział rekordzistom „przecież ta cała reszta pozostanie w tyle za wami” — znaczy, że jest wrogiem klasowym! Jeżeli złodziej uchłął się, albo uciekł, albo coś ukradł — to mu się wyjaśnia, że to nie jego wina, że to wróg klasowy go spoił, albo namówił do ucieczki, albo skłonił do kradzieży (inteligent skłonił *złodzieja do kradzieży!* — zostało to napisane całkiem serio w 1936 roku!). A jeśli nawet „obce elementy wykazują się w pracy dobrymi wynikami produkcyjnymi” — czynią to „jedynie po to, aby się lepiej zamaskować”!

Koło jest zamknięte! Możesz pracować, albo nie, kochać nas, albo nie kochać — tak czy siak nienawidzimy cię i unicestwimy rękoma bandytów!

Piotr Nikołajewicz Pticyń (który nasiedział się z artykułu 58-go) tak wzdycha: „A przecież prawdziwi zbrodniarze nie są zdolni do prawdziwej pracy. Właśnie człowiek niewinny gotów jest złożyć siebie samego w ofierze, pracować aż do ostatka. Co to za dramat: wróg ludu jako przyjaciel ludu”.

Ale niemiła im ofiara twoja.

„Siedzę niewinnie”! — oto najważniejsza myśl, nurtująca tę namiastkę politycznych, która zapełnia obozy. Jest to zapewne wydarzenie w światowej historii więzień niebywałe: *miliony* aresztantów zdają sobie sprawę, że nie ma w nich żadnej winy, że są niewinni, że nikt tu nic nie zawinił. (Razem z Dostojewskim siedział na katordze zaledwie *jeden* skazany niewinnie!).

Jednakże te tłumy przypadkowych ludzi, zapędzonych za druty nie z uwagi na ich przekonania, lecz tylko z winy kapryśnego losu, bynajmniej nie czerpały otuchy z przeświadczenia, że racja

jest po ich stronie. Nie, bezsensowność ich sytuacji pogłębiała jeszcze ich przygnębienie. Wyżej ceniąc beztroskę dawnego swego życia, niż wszelkie możliwe racje — wcale nie zdradzali oni gotowości do ofiar, nie dążyli do jedności i nie odznaczali się duchem bojowym. Jeszcze w celach więziennych całe ich gromady potulnie poddawały się władzy dwóch-trzech zasmarkanych knajaków. W obozach zaś całkiem już byli bezsilni, gotowi giąć kark przed pałą funkcyjnego czy knajaka, albo pięścią brygadzysty, zdolni już tylko do przyswojenia sobie obozowej filozofii (byle nie razem, każdy niech myśli o sobie i stara się oszukać wszystkich innych) — i obozowego języka.

Znalazłszy się w 1938 roku w obozie ogólnym, Olickaja, oczyma socjalistki, znającej już i Sołówki, i izolatory, ze zdziwieniem patrzyła na tę dziwną Pięćdziesiątkę Ósemkę. Niegdyś — jak to dobrze jeszcze pamiętała — polityczni wszystkim się dzielili, teraz zaś każdy żył tu i przeżuwał wszystko na własny rachunek, a nawet „polityczni” handlowali rzeczami i przydziałowym chlebem!

Polityczna hałastra — oto, jak nazwała ich (nas) Anna Skrypnikowa. Już w 1925-tym otrzymała ona znamiennej nauczkę: poskarżyła się śledczemu, że naczelnik Łubianki szarpie jej kolaneczki za włosy. Śledczy *rozeźmiał się* i zapytał: „Was też tak ciągnie?”. — „Mnie nie, ale moje towarzyszki tak!”. Wówczas śledczy oznajmił jej dobitnie: „Ach, protesty! Ale się przeląknę! Dajcie spokój tym ROSYJSKIM, INTELIGENCKIM, NAŁOGOWYM KRETYNIZMOM! To PRZESTARZAŁE! Myślcie tylko O SOBIE SAMEJ! — inaczej źle się to dla was skończy”.

A to właśnie knajacka zasada: nie ciebie chromolą — czego tyłkiem ruchasz?! Łubiański śledczy w 1925 roku już miał światopogląd knajaka!

A zatem — na pytanie, dziwaczne dla uszu oświeconej publiczności — „czy więzień polityczny może kraść?” — odpowiemy z podobnym zdziwieniem: „a czemu by nie?”.

„A czy może zajmować się donosicielstwem?” — „A dlaczego ma być gorszy od innych?”

I — gdy po opublikowaniu „Iwana Denisowicza” — pytają mnie naiwnie — czemu to w pańskiej książce polityczni używają knajackiego żargonu? — odpowiadam: a co, jeśli na Archipelagu innego języka nie ma? Czy polityczna hałastra może przeciwstawić własny język żargonowi hałastry kryminalnej?

Przecież im wciąż kładą w uszy — że właśnie oni są kryminalistami, najgorszymi z kryminalistów — i że NIKT poza kryminalistami w naszych więzieniach w ogóle nie siedzi!



Przetrącono kręgosłup Pięćdziesiątce Ósemce, a politycznych WCALE NIE MA. Wlano ich w świńskie koryto Archipelagu, kazano im zdychać przy robocie — a cały czas wrzeszczano im w uszy obozowe kłamstwo, że każdy jest wrogiem każdego!

Słyszałem takie przysłowie: jak głód ściśnie, to nawet rak świśnie. Ale my, ale nasi tubylcy — nawet pisnąć nie śmieli. Chociaż głód ich dobrze przyciskał.

A przecież tak niewiele, tak niewiele trzeba było, aby znaleźć wyjście, aby się uratować! Wystarczyło — nie drzeć o życie, co i tak już poszło na przepadłe, wystarczyło zewrzeć szeregi.

Udawało się to niekiedy zwartym grupom narodowym. Tak było na przykład z Japończykami. W 1947 roku przywieziono do Rewuczego, karnego podoboju łagrów Krasnojarskich, około czterdziestu japońskich oficerów, tak zwanych „przestępców wojennych”. (Czym wobec nas zawinili — to trudno nawet wymyśleć). Mróz był luty. Zaprzągnięto ich do wyrębu lasu, była to robota nawet dla Rosjan ponad siły. Nie chodzący do pracy szemrani<sup>9</sup> prędko podbierali ciepłe rzeczy niektórym z nich, parokrotnie też ukradli im całe trągi z chlebem. Zaskoczeni Japończycy oczekiwali interwencji obozowych władz, ale władze — rzecz jasna — wcale na to nie zważały. Wówczas szef ich brygady, pułkownik Kondo, w towarzystwie dwóch najwyższych rangą oficerów, przyszedł wieczorem do gabinetu komendanta obozu i uprzedził go (Japończycy doskonale mówili po rosyjsku), że jeśli nie skończy się ta samowola, to następnego dnia o świcie dwóch oficerów, którzy już się ochotniczo zgłosili — popełni harakiri. I że to dopiero początek. Komendant podoboju (drażał Jegorow, były komisarz pułku) zrozumiał od razu, że można za to dostać po łapach. Przez dwie doby japońskiej brygady nie prowadzono na roboty do lasu, żywiąc jednak normalnie, a później przeniesiono z obozu karnego do zwykłego.

Jak niewiele trzeba więc, by móc prowadzić walkę, nawet zwycięską: wystarczy TYLKO nie drzeć o własne życie, o życie, co i tak już poszło na przepadłe.

Ale naszą Pięćdziesiątkę Ósemkę stale mieszano z pospolitakami i knajakami, nigdy nie zostawiano jej samej, bez tego towarzystwa — żebyśmy nie mogli spojrzeć sobie wzajem w oczy, bylebyśmy nie zdali sobie nagle sprawy — kim jesteśmy. A te otwarte głowy, gorące usta i śmiałe serce, które mogłyby stać się przywódcami potępieńców — rozsianych po obozach

9. Chodzi o tzw. *otricalowkę* — grupę więźniów, nie uznających ani dyscypliny, ani żadnej pracy w obozie. Ponieważ składa się z knajaków, więc uchodzi jej to bezkarnie.

i więzieniach — ci już dawno (bo ich akta z góry były odpowiednio oznaczone) zostali od reszty oddzieleni. Zakneblowano im usta, zamknięto ich w specjulatorach, rozstrzelano w ciemnych lochach.



Jednakże — dzięki pewnej osobliwej właściwości zjawisk życiowych, o której mowa już w pismach Dao, należało się spodziewać, że kiedy politycznych ostatecznie zlikwidowano — to właśnie wtedy się pojawili.

Zaryzykuję teraz twierdzenie, że za rządów sowieckich *polityczni* nie tylko istnieli, ale:

- 1) było ich więcej, niż za caratu i
- 2) że dali dowodów wytrwałości i męstwa więcej, niż dawni rewolucjoniści.

Zdawać by się mogło, że wyrażam tu opinię sprzeczną z tym, com powiedział wyżej, ale wcale tak nie jest. Polityczni w carskiej Rosji znajdowali się w sytuacji nader korzystnej, bo skupiali na sobie powszechną uwagę i ich kroki budziły natychmiastowe echo w opinii publicznej i w prasie. Już widzieliśmy (część I, rozdział 12), że w Rosji sowieckiej socjalistom było znacznie trudniej.

Ale nie tylko socjaliści należeli teraz do politycznych. Tyle, że — wlani cebrami do piętnastomilionowego, kryminalnego oceanu — nie byli dla nas widoczni, ani słyszalni. Byli niemi. Bardziej niemi, niż inni. Na kształt ryb.

Ryba, symbol pierwszych chrześcijan. I oto wierzący chrześcijanie stanowią przeważającą część skazanych za politykę. Niezręczni, niewykształceni, nie umiejący ani przemawiać z trybuny, ani pisać nielegalnych manifestów (zresztą, ich wiara tego nie wymaga!) — szli do obozów, godzili się na męczarnie i śmierć, byle by nie zaprzeć się wiary! Dobrze wiedzieli, *za co* siedzą i przekonania ich były niewzruszone! To jedyni może, których nie miała się obozowa filozofia, ani nawet żargon. Czy to nie więźniowie polityczni? Nie, tych nie wolno nazywać hałastrą.

I kobiet wśród nich szczególnie było wiele, Dao powiada: w okresach zaniku wiary pojawiają się właśnie ludzie prawdziwie wierzący. Ogłuszeni świątłymi kpinkami z prawosławnych popów, komsomolską kocią muzyką podczas Wielkiej Nocy i knajackimi gwiazdami w zborniakach — jakoś nie zdaliśmy sobie sprawy, że grzeszna cerkiew prawosławna może się teraz, mimo wszystko, wykazać córkami, godnymi pierwszych wieków chrześcijaństwa, siostrami tych, które wysyłano na areny, lwom na pożarcie.

Wierzących było mnóstwo — etapy i kurhany, transporty i mogiły zbiorowe — kto zliczy te miliony? Ginęli w martwej ciszy, rozjaśniając ostatnim swoim błyskiem tylko najbliższe zakamarki, jak gasnąca świeca. Byli to najlepsi z chrześcijan rosyjskich. Wszyscy gorsi od nich — zachwiali się w wierze, zaparli się jej i powłazili w mysie dziury.

Czy to zatem nie *więcej*? Czy Rosja carska miała kiedykolwiek tylu *politycznych*? Toć nie umiała nawet rachować na dziesiątki tysięcy.

Ale zdławienie naszych politycznych przeprowadzono tak gładko i w takiej tajemnicy — że bardzo rzadko dochodzi do nas relacja o tym czy owym.

Archijerej Preobrażeński (twarz Tołstoja, siwobrody). Więzienie — zesłanie — obóz, więzienie — zesłanie — obóz. Po wieloletnich udrękach wezwany został w 1943 roku na Łubiankę (po drodze knajacy zdarli z niego ciepły kaftan). Zaproponowano mu tam, by wszedł w skład Synodu. Po tylu latach męki — mógłby, zdawało się, pozwolić sobie na urlop z więzienia? Otóż nie, Preobrażeński odmawia: to nie jest czysty Synod ani czysta cerkiew. Idzie więc znów do obozu.

A Walenty Feliksowicz Woyno-Jasieniecki (1877-1961), czyli arcybiskup Łukasz i autor słynnych „Szkieł o chirurgii ropnej”? Życiorys jego będzie oczywiście kiedyś napisany i nie nasza to rzecz robić to tutaj. Człowiek ten był żywą kopalnią talentów. Jeszcze przed rewolucją zdał świetnie konkursowy egzamin do Akademii Sztuk Pięknych, ale porzucił studia artystyczne, aby służyć ludziom pełniej — jako lekarz. Podczas pierwszej wojny światowej, pracując w lazaretach, zasłynął wkrótce jako arcyzręczny chirurg-okulista, po rewolucji był lekarzem naczelnym kliniki taszkienckiej, bardzo popularnej w całej Azji Środkowej. Otwierała się przed nim gładka droga kariery, ta którą wybrali inni nasi luminarze — ale Woyno-Jasieniecki miał uczucie, że służy jeszcze nie dość ofiarnie i oblókł suknię kapłańską. W sali operacyjnej zawiesił ikonę i wykladał w sutannie, z krzyżem wiszącym na piersi (1921), Patriarcha Tichon zdążył jeszcze wyświęcić go na biskupa taszkienckiego. W latach dwudziestych Woyno-Jasieniecki zesłany został do kraju Turuchańskiego. Starania wiernych sprawiły, że wrócił z zesłania, ale jego katedra i stolec biskupi były już zajęte. Zaczął praktykować prywatnie (na drzwiach miał tabliczkę z wrytym napisem „biskup Łukasz”). Chorzy zgłaszali się masowo (ukradkiem przychodziły też skórzane kurtki) — większą część honorariów doktor rozdawał biednym.

Znamienny jest sposób w jaki go usunięto. Po raz wtóry na zesłanie (1930 r. Archangielsk) poszedł nie na podstawie artykułu

58-go, lecz za „podżeganie do morderstwa” (głupia sprawa, usiłowano dowieść, że pod jego szkodliwym wpływem znajdowały się — żona i teściowa fizjologa Michałowskiego, który popełnił samobójstwo. Uczony ten, chory już umysłowo, wstrzykiwał trupom preparaty, hamujące rozkład, co dało prasie powód do pisania o „tryumfie nauki sowieckiej” i o rzekomym „wskrzyszaniu umarłych”). Ten chwyt administracyjny pozwala nam jednak w mniej formalny sposób pojąć kim są prawdziwi polityczni. Jeśli nie walka z reżymem — to przeciwstawianie mu się na płaszczyźnie moralnej, albo po prostu trybem życia — oto najważniejszy wyróżnik tej kategorii. A etykieta artykułu KK — to rzecz mało ważna. (Wielu synów zesłanych za „kułactwo” chłopów dostawało wyroki z artykułów kryminalnych, ale w obozach ludzie ci zachowywali się jak prawdziwi polityczni więźniowie).

Zesłany pod Archangielsk, Woyno-Jasieniecki opracował w obozie nową metodę leczenia ran ropnych. Wezwano go do Leningradu, gdzie Kirow namawiał go do zrzeczenia się godności biskupiej, obiecując natychmiast potem dać mu instytut naukowy. Ale uparty infułat nie zgodził się nawet na druk swojej książki bez wymieniania — w nawiasie, obok nazwiska — tytułu biskupiego. Tak oto — bez instytutu, bez publikacji książki — doczekał się końca zesłania i w 1933 roku wrócił do Taszkientu, aby wkrótce zostać skazanym na trzecie już zesłanie — do kraju Krasnojarskiego. W początkowym okresie wojny — pracował w syberyjskich szpitalach wojskowych, stosując swoją metodę leczenia ran ropnych, za którą dostał w końcu nagrodę stalinowską. Zgodził się odebrać ją tylko w szatach biskupich<sup>10</sup>!

A inżynierowie? Iluż to z nich — tych co nie podpisali głupich i nikczemnych zeznań na temat szkodnictwa — rozstrzelano, ilu rozpędzono! I jak błyszczy wśród nich, niczym gwiazda, Piotr Akimycz (Joachimowicz) Palczyński (1875-1929)! Był to inżynier — uczony o niezwykle szerokich poglądach. Absolwent (1900) Instytutu Górnictwa, wybitny znawca techniki górniczej — jak to widać ze spisu jego publikacji, poświęcił swoje prace badawcze i książki problemom rozwoju gospodarczego, zagadnieniu cen i ich wahań, sprawie eksportu węgla, kwestii wyposażenia i działalności portów handlowych Europy, ekonomicznej stronie pracy portów, technice bezpieczeństwa pracy w Niemczech, koncentracji środków w niemieckim i austriackim górnictwie, ekonomicie górnictwa, sprawie odbudowy i rozwoju prze-

10. Na pytania dotyczące jego biografii studentom instytutów lekarskich odpowiada się dzisiaj — „nie ma żadnych publikacji o nim”.

mystu materiałów budowlanych w ZSSR, zasadom ogólnego kształcenia inżynierów na uczelniach wyższych — a prócz tego pisał fachowe prace specyficznie górnicze, opisy poszczególnych regionów i złóż (a jeszcze nie wszystkie jego dzieła są dziś znane). Podobnie, jak Woyno-Jasieniecki w medycynie, Palczyński mógłby spokojnie sobie porastać w piórka pracując w dziedzinie górnictwa; ale tak samo jak ten pierwszy nie mógł wyrzec się krzewienia wiary, tak drugi nie potrafił zrzec się polityki. Jeszcze jako student Instytutu Górnictwa, Palczyński zaliczony został przez żandarmów do „prowodyrów ruchu”. W 1900 roku przewodniczył studenckiemu tajnemu zebraniu. Będąc już inżynierem w Irkucku, w 1905 roku odgrywał poważną rolę w czasie zajęć rewolucyjnych i skazany został na ciężkie roboty w związku z tzw. „sprawą republiki irkuckiej”. Uciekł z katorgi, wyjechał do Europy. Wcześniej już będąc sympatykiem anarchistów, zaprzyjaźnił się teraz z Kropotkinem. Na emigracji wyspecjalizował się w kilku naraz dyscyplinach technicznych, prowadził studia nad europejską techniką i organizacją gospodarki, nie zaniedbując przy tym sprawy popularnych publikacji „dla propagandy idei anarchistycznych wśród mas”. W 1913 roku skorzystał z amnestii i wrócił do Rosji, skąd pisał do Kropotkina, że „oto program mojej działalności w Rosji: ... wszędzie, gdziekolwiek mi się to uda, brać udział w rozwoju sił wytwórczych kraju, jako całości — oraz w rozwoju samorządu społecznego w najszerszym sensie tego słowa<sup>11</sup>”. Gdy po raz pierwszy udał się w podróż dla zwiedzenia największych rosyjskich ośrodków przemysłowych, zaraz zasypany został propozycjami pracy: chciano wybrać go na dyrektora biura zjazdu pracowników kopalnictwa przemysłowego, dawano do dyspozycji „wspaniałe stanowiska kierownicze w Zagłębiu Donieckim”, radcostwa w bankach, katedrę w Instytucie Górniczym, urząd dyrektora departamentu górnictwa. Niewiele było w Rosji specjalistów, wyróżniających się taką energią i tak szerokim wykształceniem.

Jakie były dalsze jego losy? Już wspominaliśmy, że podczas wojny (część I, rozdział 10) został on wiceprzewodniczącym Komitetu Przemysłu Obronnego, zaś po rewolucji lutowej — wiceministrem handlu i przemysłu. Jako najbardziej chyba energiczny z członków niemrawego Rządu Tymczasowego, Palczyński był: podczas powstania generała Korniołowa — generał-gubernatorem Piotrogradu<sup>12</sup>, podczas przewrotu Październikowego — dowódcą obrony Pałacu Zimowego. Zaraz go też wsadzono do twierdzy

11. List do Kropotkina z 20. II. 1913 r., CGAOR, zbiór Nr 1129, fascykuł 2, teczka 1936.

12. *Birżewyje wiadomosti*, z 31. VIII. 1917 i 22. IX. 1917 r.

Pietropawłowskiej, gdzie przesiedział 4 miesiące. Co prawda, wypuszczono go wtedy bez dłuższych korowodów. Ale w czerwcu 1918 roku został aresztowany bez jakichkolwiek podstaw, a 6 września 1918 znalazł się na liście 122 wybitnych zakładników („jeżeli... zostanie zamordowany choćby jeszcze jeden działacz sowiecki, wyżej wymienieni zakładnicy zostaną rozstrzelani” — CzK Piotrogradu, przewodniczący — Gleb Bokij, sekretarz — A. Joselewicz<sup>13</sup>). Nie został jednak rozstrzelany, a w końcu 1918 roku — nawet zwolniony na skutek niewczesnej interwencji niemieckiego socjaldemokraty Karola Moora (nie posiadającego się ze zdziwienia, że takich ludzi gnoi się u nas w więzieniach). Od 1920 roku — Palczyński jest profesorem Instytutu Górniczego, odwiedza Kropotkina w Dmitrowie, a po jego śmierci organizuje komitet dla uczczenia pamięci zmarłego rewolucjonisty. Pamięci nie udało się uczcić, za to Palczyńskiego znów aresztowano — z tej, a może innej przyczyny. W archiwum zachował się interesujący dokument dotyczący wypuszczenia Palczyńskiego z sowieckiego więzienia, gdzie trzeci raz już siedział. Jest to list do Moskiewskiego Rewtrybunału z 16. I. 1922 roku:

„Z uwagi na to, że etatowy konsultant Państwowej Komisji Planowania (Gosplan), inżynier P. A. Palczyński 18 stycznia br. o godz. 15 pp. wygłosić ma referat w Komitecie d/s Rosji Południowej na temat odbudowy metalurgii w regionach południowych, co ma szczególne znaczenie w obecnej chwili — prezydium Gosplanu prosi Rewtrybunał o zwolnienie tow. Palczyńskiego w wyżej wymienionym terminie, celem umożliwienia mu wykonania zleconego zadania.

Przewodniczący Gosplanu  
(—) Krzyżanowski<sup>14</sup>.

*Prosi więc* (przy tym bez powoływania się na jakieś przepisy prawne). I tylko dlatego, że metalurgia regionów południowych ma „szczególne znaczenie w obecnej chwili”... i jedynie celem „wykonania zleconego zadania”, a co dalej, to mniejsza, można nawet zabrać do celi, jak swojego.

Nie, Palczyńskiemu pozwolono jeszcze popracować nad odbudową przemysłu górniczego w ZSSR. Aresztowany raz jeszcze, okazał heroiczny opór podczas śledztwa i rozstrzelany został bez sądu dopiero w 1929 roku.

13. *Pietrogradskaja prawda*, 6. IX. 1918 r., Nr 193 (chodzi o represje po zabiciu komisarza Urickiego i zamachu na Lenina).

14. CGAOR — zbiór 3348, teczka 167, arkusz 32.

Trzeba nie wiedzieć wcale, co to miłość ojczyzny, trzeba odnosić się do niej z awersją, aby posyłać na rozstrzelanie duszę narodu, esencję jego wiedzy, energii i talentu!

A czy nie to samo stało się po upływie lat 12-tu z Mikołajem Iwanowiczem Wawiłowem? Czy Wawiłow — to nie autentyczny polityczny (z gorzkiego musu)? W ciągu 11 miesięcy śledztwa wycierpieć musiał 400 przesłuchań. I na sprawie (9 czerwca 1941 roku) nie przyznał się do zarzucanych mu czynów!

A oto człowiek nieznaną szerzej w świecie — profesor hydrotechniki Rodionow (opowiadał mi o nim Witkowski). Znalazszy się za kratami odmówił pracy w swoim fachu choć byłoby to dla niego rozwiązanie najłatwiejsze. Robił więc buty. Czy to nie prawdziwy więzień polityczny? Był spokojnym hydrotechnikiem, nie chciał z nikim wojować, ale — skoro takim charakterem wykazał się w więzieniu — to czy nie zasłużył na miano politycznego? Czy potrzebna mu jeszcze legitymacja partyjna?

Niektóre gwiazdy rozjarzają się nagle stokrotnie wzmożonym blaskiem, po czym gasną. Także człowiek, nie mający wcale politycznych ambicji, nagle może zabłysnąć w więzieniu — i zginąć za tę chwilę blasku. Nie wiemy zwykle nic o takich wypadkach. Czasem opowie o nich naoczny świadek. Czasem przetrwa jedynie pozostałości papierka, pozwalając snuć tylko chwiejne domniemania:

Jakub Jefimowicz Poczta<sup>15</sup>, rocznik 1887, bezpartyjny, lekarz. Od pierwszych dni wojny — służył w 45 bazie lotniczej Floty Czarnomorskiej. Pierwszy wyrok sądu wojskowego bazy w Sewastopolu (17. XI. 1941) — 5 lat obozów. Bardzo łagodny, nieprawdaż? Ale cóż to? 22 listopada, następny wyrok: śmierć przez rozstrzelanie. I 27 tegoż miesiąca został rozstrzelany. Co się zdarzyło w trakcie tych pięciu feralnych dni między 17-tym a 22-gim? Czy zabłysnął samobójczym ogniem, jak gwiazda? Czy może sędziowie pożałowali, że tak mało<sup>15</sup>?

A trockiści? To polityczni czystej krwi, tego nikt im nie odbierze.

(Już tu ktoś na mnie krzyczy! już dzwonią, żeby przywołać mnie do porządku! Mówcie o jedynych prawdziwych politycznych! — o niezłomnych komunistach, którzy nawet w obozie — dalej wierzyli święcie... Zgoda, następny, osobny rozdział będzie im poświęcony w całości).

Historycy ustalą kiedyś — w jakim właściwie momencie zaczął się sączyć strumyk młodzieży, karanej za politykę? Wydaje mi się, że zaczęło się to w latach 43-44 (nie mówię tu o młodym

---

15. Z tytułu pierwszej sprawy otrzymał rehabilitację pośmiertną. A więc gdyby nie ta druga sprawa?...



narybku socjalistycznym i trockistowskim). Chłopcy w wieku nieomal szkolnym (przypomnijmy tu „partię demokratyczną” z 1944 roku) nagle zaczęli szukać platformy odmiennej od tej, którą usilnie im podsuwano, którą wciąż im się proponuje. No, jak ich nazwać?

Tyle, że nic o nich nie wiemy i nie dowiemy się.

A wypadek Arkadego Bielinkowa? Ma 22 lata, wsadzają go do więzienia za jego pierwszą powieść „Brulion uczuć” (1943), rzecz jasna — jeszcze nie opublikowaną. Już w obozie — próbuje dalej pisać (ale sądząc, że śmierć bliska, zwierza się kapusiowi Kermajerowi i obrywa nowy wyrok). Otóż — czy odmówimy mu godności więźnia politycznego?

W 1950 roku studenci leningradzkiego technikum mechanicznego utworzyli partię z własnym programem i statutem. Wielu poszło pod mur. Opowiedział nam o tym Aron Lewin, któremu dano 25 lat. I to wszystko. Słupek przydrożny.

Że nasi polityczni muszą odznaczać się męstwem i determinacją w stopniu o wiele większym, niż dawni rewolucjoniści — tego nawet dowodzić nie trzeba. Dawnymi czasy — za poważne akcje karano dość łagodnie i nie trzeba było aż tak wielkiej śmiałości, aby być rewolucjonistą; przy wpadce odpowiadali tylko oni sami (nie cała rodzina!) i ryzykowali nawet nie głową, lecz najczęściej — niezbyt długą utratą wolności.

Czym groziło przed rewolucją rozklejanie ulotek? Zabawa, tyle prawie, co puszczanie baniek mydlanych, nawet trzech miesięcy za to się nie obrywało. Ale gdy pięciu chłopczków z grupy Włodzimierza Gerszuni przygotowało naklejki z napisem: „nasz rząd się skompromitował” — o, do tego trzeba było takiej prawie determinacji, jaką odznaczali się chłopcy z grupy Włodzimierza Ulianowa, którzy dokonali zamachu na cara.

I jak to samo się rodzi, jak to się budzi samochcąc! W mieście Lenińsku-Kuźniecku jest tylko jedna szkoła męska. Pięciu uczniów IX klasy (Misza Bakst, sekretarz ich Komsomołu; Tola Tatarin, również aktywista komsomolski; Welwel Rejchtman, Mikołaj Koniew i Jura Anikanow) nagle opuszcza chłopciska bez troska. Nie interesują się już dziewczętami ani nowymi tańcami, dręczy ich zdziczenie i pijaństwo, panujące w mieście; zaczynają więc zgłębiać i wertować podręcznik historii, aby jakoś zrozumieć, od czego to zależy. Po przejściu do X klasy, przed wyborami do rad narodowych (1950) piszą wielkimi literami swoją pierwszą (i ostatnią) naiwną ulotkę:

„Słuchaj, robotniku! Czy prowadzimy teraz takie życie, o jakie walczyli i za jakie ginęli nasi dziadowie, ojcowie i bracia?

Pracujemy — a płacą nam za to nędzne grosze, zresztą, nawet tych groszy nam szczerzą... Poczytaj i pomyśl o swoim życiu...”

Sami oni też tylko myślą, nic więcej — i dlatego nie rzucają żadnych wezwań. (Planowali wydanie cyklu takich ulotek i skonstruowanie hektografu własnymi siłami).

Rozklejali ulotki w następujący sposób: szli nocą przez miasto całą gromadą, jeden przyklejał do muru cztery kulki gnieczonego chleba, drugi — przyciskał do nich ulotkę.

Miało się ku wiosnie, gdy do ich klasy przyszedł jakiś nowy nauczyciel i zaproponował... aby wszyscy wypełnili ankiety drukowanymi literami<sup>16</sup>. Dyrektor błagał, aby nie zamykać ich aż do matury. Siedząc już w śledczym więzieniu chłopcy nie mogli odżalować tego, że nie wezmą udziału w balu maturalnym. „Kto wami kierował, przynajcie się!” (ci z bezpieczeństwa nie mogli pojąć, że w chłopakach obudziło się zwykłe sumienie — toć to nie do wiary, przecież ma się tylko jedno życie, po co w ogóle tracić czas na *rozmyślania*?!). Karcery, nocne przesłuchania, stójki. Sprawa przy drzwiach (oczywiście) zamkniętych, sesja sądu okręgowego<sup>17</sup>. Godni politowania obrońcy, skonfundowani ławnicy, groźny prokurator Trutniew (!). Wszyscy dostają po 10 i 8 lat, wszystkich tych siedemnastolatków posyła się do specobozów.

Nie, prawdę mówi stare przysłowie: śmiałka szukaj w ciupie, a durnia — wśród politruków!

Piszę w imieniu Rosji niepiśmiennej i zakneblowanej, dlatego niewiele tu powiem o trockistach; wszyscy oni pisać potrafili i jeśli któremuś udało się ocaleć, to na pewno dawno już przygotował do druku szczegółowe wspomnienia. Opisana w nich będzie ich dramatyczna epopea w sposób pełniejszy i ściślejszy, niż mógłbym to ja uczynić.

Ale coś nie coś powiedzieć trzeba — aby obraz był pełniejszy.

Trockiści prowadzili regularną, podziemną walkę w końcu lat 20-tych, korzystając z całego doświadczenia, zgromadzonego przez pokolenia rewolucjonistów, tylko że GPU, z którym mieli do czynienia, nie było tak gapiowate jak carska ochrana. Nie wiem, czy liczyli się z totalną zagładą, jaką zaplanował dla nich Stalin, czy może sądzili, że skończy się na żartach i wzajemnych

16. Chłopców zdradził Fiodor Połotnianszczykow, późniejszy partorg kopalni Połysajewo. Kraj powinien znać swoich szpiclów.

17. Sędzia — niejaki Puszkina, wkrótce potem skazany został za łapownictwo.

uściskach. W każdym razie — byli to ludzie mężni. (Obawiam się zresztą, że — gdyby udało się im zdobyć władzę, to doszłoby do szaleństw nie mniejszych, niż za Stalina). Zauważmy, że nawet w latach 30-tych, gdy mieli już nóż na gardle, wyznawali zasadę, że wszelki kontakt z socjalistami byłby dla nich czynem zdradzieckim i hańbiącym, trzymali się przeto w izolatorach osobno, odmawiając nawet przekazywania socjalistom grypsów (uważali się przecież za leninowców). Żona I. N. Smirnowa (już po jego rozstrzelaniu) unikała stykania się z socjalistami, „żeby strażnicy nie spostrzegli” (to znaczy, że widziała w nich oko kompartii)!

Ma się czasem wrażenie (ale nie twierdę tego stanowczo), że w ich politycznej „walce” w obozie zbyt wiele było pustej krzątaniny, co nadawało jej odcień tragikomiczny. W bydłych wagonach na trasie Moskwa-Kołyma porozumiewali się w sprawie nielegalnych kontaktów i hasel, a tymczasem rozproszono ich, rozesłano do rozmaitych podobozów i brygad.

Brygadę złożoną z trockistów, uczciwie zapracowującą sobie na przydział z kotła „produkcyjnego”, nagle przenoszą na punkt „karny”. Co robić? „Dobrze zakonspirowana komórka komunistyczna” zbiera się na naradę. Strajk? Ale to by znaczyło iść na lep prowokacji. Chcą nas sprowokować! Wobec tego — pójdziemy dumnie do pracy nawet bez żadnego przydziału! Pójdziemy — i pracować będziemy, jako ukarani<sup>18</sup>.

W kopalni Utinaja trockiści przygotowują się do obchodów XX rocznicy Października. Zbierają czarne szmatki, albo smarują białe sadzą. Rankiem 7 listopada chcą oni wywiesić na wszystkich namiotach czarne flagi żałobne, a przy apelu zaśpiewać „Międzynarodówkę”, mocno trzymając się za ręce i nie dopuszczając do swoich szeregów konwojentów i nadzorców. Żeby dośpiewać do końca, na nic nie zważając! I nie wychodzić tego dnia z zony do pracy, za żadne skarby! Wykrzykiwać hasła: „Precz z faszyzmem!”, „Niech żyje leninizm!”, „Niech żyje Wielka Październikowa rewolucja socjalistyczna!”.

Widać w tym wszystkim mieszanekę jakiegoś gorączkowego entuzjazmu z bezpłodnością, dochodzącą do śmieszności...

Zresztą — ktoś (może nawet — ktoś z nich) ich *zasypał*. Wszystkich więc — w przeddzień rocznicy, 6 listopada, wywożą na kopalnię „Jubilejnaja” i tam izolują na okres świąt. W za-

18. Jest to rok 1937 i w brygadzie tej są nie tylko „czyści” trockiści, lecz również — uznani za trockistów „czyści” ortodoksi. Posłali oni masę podań na ręce towarzysza Stalina, NKWD, czy — osobiście — towarzysza Jezowa, do CIK, na ręce tow. Kalinina, do prokuratury generalnej, więc też bardzo im zależy, aby nie drzeć teraz kotów z obozową zwierzchnością, od której zależą charakterystyki, załączone do podań.

szeniu namiotach (skąd zabroniono im wychodzić) śpiewają więc „Międzynarodówkę”, podczas gdy robociarze z „Jubilejnej” wychodzą do pracy. (Zresztą — wśród śpiewających też nie ma zgody. Są między nimi aresztowani niesprawiedliwie ortodoksi, ci odchodzą na bok, nie śpiewają „Międzynarodówki”, wykazując milczeniem swoją prawowierność).

„Jeśli trzymają nas za kratami, to dowód, że jeszcze czegoś jesteśmy warci” — pocieszał się Aleksander Bojarczykow. Żłudna to pociecha. A kogóż to nie trzymano?

Największym osiągnięciem trockistów w walce, jaką toczyli w obozach, był ich strajk głodowy, który objął cały workucki zespół łagrow. (Wcześniej jeszcze odbył się podobny strajk na Kołymie, zdaje się 100-dniowy: żądali zamiast obozów „wolnego” zesłania i *wygrali* — otrzymali obietnicę, przerwali głodówkę, potem rozproszono ich, zesłano do rozmaitych obozów i jednego po drugim zlikwidowano). Informacje o workuckiej głodówce, jakie dotarły do mnie, są sprzeczne. Odbyło się to mniej więcej tak:

Głodówka zaczęła się 27 października 1936 roku i trwała 132 dni (zastosowano wobec nich sztuczne odżywianie, ale trockiści głodówki nie przerwali). Kilku z głodu umarło. Żądania ich były następujące:

- odseparowanie politycznych od kryminalnych<sup>19</sup>,
- ośmiogodzinny dzień roboczy,
- przywrócenie „politprzydziałów”<sup>20</sup>, żywienie nie ma zależeć od wykonania normy,
- skasowanie OSO, anulowanie jego wyroków.

Żywiono ich siłą i sztucznie — przez odbytnicę, a później rozkolportowano w obozach pogłoskę, że cukru i oleju zabrakło dlatego, że „wszystko poszło na trockistów” — chwyt godny błękitnych czapek! W marcu 1937 roku przyszła depeza z Moskwy: żądania głodujących zaaprobowano w całej rozciągłości! Głodówka została przerwana. Bezsilni łagrowcy, jakże mogli oni walczyć teraz o spełnienie obietnic? Oszukano ich — nie dotrzymano ani jednej. (Ludzie Zachodu nie uwierzą, nie potrafią zrozumieć, że można było tak postąpić. A nasze dzieje pełne są tego). Wszystkich uczestników głodówki poddano odpowiedniej procedurze w oddziałach operacyjnych obozowej delegatury NKWD: zostali oskarżeni o kontynuowanie działalności kontrewolucyjnej.

---

19. Czy do politycznych zaliczali oni prócz siebie swoich — również innych z Pięćdziesiątki Ósemki? Chyba nie: nie mogli przecież kaerów uznać za braci, skoro nawet socjalistów odrzucali.

20. Tu już na pewno tylko o sobie myśleli.

Wielki Puszczyk na Kremlu już obmyślał plan ich unicestwienia.

Nieco później — w Workucie, w kopalni Nr 8 miała miejsce jeszcze jedna duża głodówka (zresztą — być może — była to część poprzedniej). Udział brało w tej akcji 170 ludzi, niektórzy z nich znani są z nazwiska: starostą głodówki był Michał Szapiro, były robotnik z charkowskiej fabryki. Dymitr Kuriniewski z kijowskiego komitetu okręgowego Komsomołu; Iwanow — były dowódca eskadry stawiaczy min we Flocie Bałtyckiej; Orłow-Kamieniecki; Michał Anrejewicz; Polewoj-Genikin; N. W. Werap, redaktor tyfliskiej gazety *Zaria Wostoka*; Sokrat Geworkian, sekretarz KC Armenii; Grzegorz Zołotnikow, profesor historii; jego żona.

Jądro grupy głodujących składało się z 60 ludzi, którzy w latach 1927-28 siedzieli już razem w Górno-Uralskim izolatorze. Wielką niespodzianką — miłą dla głodujących i nader nie-miłą dla władz — było przyłączenie się do głodówki 20 knajków z *pachanem*, zwanym *Moskwa* na czele. (W obozie tym znany był z pewnego wybryku: któreś nocy włamał się do gabinetu komendanta obozu — i załatwił się na jego biurku. Nasz brat — polityczny, poszedłby za to pod mur; pachan zaś doczekał się jedynie wymówki: pewno cię wróg klasowy omamił, prawda?). Tylko tych dwudziestu szemranych przypawiło zwierzchność o zdenerwowanie, zaś ze społecznie obcym „aktywem głodujących” naczelnik oddziału operacyjnego NKWD Workutłagu Uzkow, rozmawiał takim tonem:

— Myślicie, że Europa czegoś się dowie o waszej głodówce? Kichamy na tę waszą Europę!

I miał rację. Ale socjalnie-bliskich bandytów ani nie wolno było bić, ani dać im zdechnąć. Mniej więcej w połowie głodówki władze znalazły drogę do ich lumpen-proletariackich sumień i knajacy zerwali sojusz z politycznymi, zaś pachan Moskwa przez radio obozowe wszem wobec wyjaśnił, że trockiści go skołowali.

Po tym fakcie pozostałych czekało już tylko rozstrzelanie. Swoją głodówką oni sami jakby wpisali się na czarną listę.

Nie, prawdziwych politycznych nie brakło. I było ich wielu. I byli to ludzie ofiarni.

Czemu jednak tak nikłe były rezultaty ich dzielnego oporu? Czemu nie rozeszły się nawet kręgi na powierzchni tej wody?

Nad tym też się zastanowimy. Nieco dalej<sup>21</sup>.

21. Część V, rozdział 4.

## Rozdział jedenasty

### PRAWOMYŚLNI

Ale tu słyszę już pełen oburzenia gwar. Cierpliwość *towarzyszy* już się wyczerpała! Książkę moją zamykają z trzaskiem i ciskają w kąt, spluwając z odrazą:

— Koniec końców — to bezczelność! to stek oszczerstw! Gdzie on szuka prawdziwych politycznych? O kim tu pisze właściwie? O jakichś popach, o technokratach, o jakichś zasmarkanych uczniakach... A tymczasem prawdziwi polityczni — to przecież *my*! My, ludzie niezłomni! My, kryształowi ortodoksi (Orwell nazywał ich: *krwawomyślni*). My, którzy nawet w obozach byliśmy do końca wierni jedynej, prawdziwie słusznej... itd.

Istotnie, czytając wasze publikacje — można pomyśleć, że nikt poza wami właściwie nie siedział. Tylko wyście cierpieli. Pisać wolno też tylko o was. Cóż, pogadajmy więc.

Czy takie oto kryterium czytelnik uzna za słuszne: więźniowie polityczni to ci, którzy wiedzą, za co siedzą i za nic nie chcą wyrzec się swoich przekonań?

Jeśli to przyjmiemy, to odpowiedź naprasza się sama: nasi niezłomni, którzy — nie bacząc na uwięzienie i cały los własny, pozostali wierni jedynej, prawdziwie słusznej, itd. — istotnie za nic nie chcą się wyrzec swoich przekonań, ale *nie wiedzą za co właściwie siedzą!* I dlatego nie mogą być uznani za więźniów politycznych.

Jeśli moje kryterium wyda się komuś wątpliwe, to zastosujemy kryterium Anny Skrypnikowej. W ciągu pięciu swoich kolejnych pobytów w więzieniu miała ona czas na jego przemyślenie. Oto ono:

„więzień polityczny to człowiek trzymający się przekonań,

za wyrzeczenie się których mógłby odzyskać wolność. Kto takich przekonań nie ma — ten należy do politycznej hałasty”.

Jest to kryterium, na moje oko, nieźle, Da się zastosować do tych wszystkich, którzy bywali w rozmaitych epokach prześladowani za wyznawaną przez nich ideologię. Da się zastosować do wszystkich rewolucjonistów. Do „mniszek” i do archijereja Preobrażeńkiego, a także do inżyniera Palczyńskiego. Natomiast do „ortodoksów” zastosować go nie sposób. Gdzież bowiem te przekonania, których każą im się zaprzeć?

Nie ma ich. A zatem ortodoksi, chociaż przykro to powiedzieć, nie inaczej niż ów krawiec, czy głuchoniemy, czy stróż ze świetlicy — zasilają szeregi bezradnych, nie mogących zrozumieć własnego losu ofiar. Ale czynią to z zadaniem.

Postarajmy się o ścisłość, by dokładniej określić przedmiot rozważań. O kim będzie mowa w tym rozdziale?

Czy o wszystkich, którzy — na przekór uwięzieniu, udrękom śledztwa, niezasłużonemu wyrokowi, na przekór późniejszej, pustoszącej duszę i ciało egzystencji w obozie — zachowali swoje komunistyczne przekonania?

Nie, nie o wszystkich takich. Byli wśród nich ludzie, którym te przekonania nadawały najgłębszy, czasem jedyny sens dalszemu życiu. Ale:

- ludzie tacy nie układali swoich stosunków ze współwięźniami w myśl tzw. „partyjnej” zasady! podczas sporów w barakach i celach nie pokrzykiwali na towarzyszy niedoli, że tamci siedzą „zasłużenie” (a oni niby to — niezasłużenie);
- nie wrywali się wobec obywatela komendanta (czy pełnomocnika operacyjnego) z deklaracjami typu „jestem komunistą”; nie wykorzystywali tej formuły dla zwiększenia szans przetrwania w obozie;
- gdy dzisiaj zdarzy im się mówić o swoich przejściach, to nie widzą jedynej złej strony obozów w tym, że siedzieli w nich komuniści — „bo przecież o innych nawet gadać szkoda”.

Jednym słowem to ci właśnie, dla których komunistyczne przekonania były sprawą intymną, którzy komunizmem gęby sobie nie wycierali. Zdawać by się mogło, że to cecha indywidualna; wszelako nie. Ludzie tacy z reguły przed aresztowaniem nie siedzieli na wysokich stołkach, a w obozie harowali jak inni.

Na przykład — Awenir Borysow, nauczyciel wiejski: „Pamiętacie naszą młodość (jestem z rocznika 1922), gdy największą



radością było dla nas noszenie zielonego, drelichowego mundurka „jungszturmu” z pasem i koalicijką, kiedyśmy gwizdali na pieśniadze, na wszelką pomyślność osobistą i gotowiśmy byli *podjąć się* każdego *zdania*, *byle by wezwano nas na ochotnika*<sup>1</sup>. W komсомole byłem od trzynastego roku życia. I oto gdy miałem dopiero 24 lata, organy NKWD postawiły mnie w stan oskarżenia na podstawie wszystkich prawie punktów artykułu 58”. (Zobaczmy jeszcze, jak zachowuje się on na wolności, jaki to zacny człowiek).

Albo Borys Michajłowicz Winogradow, z którym miałem okazję siedzieć razem. W młodości był maszynistą (i to nie jeden rok jak bywali — i są w ankietach dalej — pastuchami poniektórz deputaci), po zakończeniu *rabfaku*\* i wyższej uczelni został inżynierem — drogowcem (i nie dał się pchnąć od razu do roboty partyjnej, jak to często się zdarza), przy tym — dobrym fachowcem (w szaraszce wykonał skomplikowane, gazodynamiczne obliczenia dla projektu silnika odrzutowego). W 1941 roku został jednak partorgiem Moskiewskiego Instytutu Techniki Transportu (MIIT). Podczas gorzkich (16-ty i 17-ty) dni październikowych 1941 roku, gdy Niemcy parli na Moskwę — chcąc otrzymać jakieś dyspozycje, telefonował gdzie mógł, ale telefony zamilkły. Zaczął więc biegać po urzędach i stwierdził, że nie ma nikogo, ani w komitecie rejonowym partii, ani w miejskim, ani w okręgowym, że wszystkich jakby wiatr jakiś porwał, że gabinety są puste. Jak się zdaje, wyżej już nie próbował szukać. Wrócił do swojej instytucji i powiedział: „Towarzysze! Całe kierownictwo dało nogę, ale my jesteśmy komunistami, będziemy bronić się sami!”. I zabrali się do obrony. Ale za to jedno „kierownictwo dało nogę” — ci, co uciekli, właśnie jego, który nie uciekał, wpakowali za kraty na 8 lat (za „antysowiecką agitację”). Był to człowiek cichy i pracowity, ofiarny przyjaciel; jedynie w bardzo intymnych rozmowach zwierzał się, że wierzył, wierzy i będzie wierzyć. Nigdy się tym nie popisывał.

Albo taki Mikołaj Kalistratowicz Goworko, geolog, który — będąc już *dochođiagą* w Workucie — ułożył „Ode do Stalina” (zachowała się do dziś dnia), ale nie po to, by ją opublikować, nie po to by zyskać za to jakieś ulgi, tylko dlatego, że tak mu coś w duszy grało. I chował tekst w zakamarkach kopalni! (choć — po co to było ukrywać?).

Czasami tacy ludzie zachowują wiarę aż do końca. Czasami

---

1. Kursywa jest moja, to na wszelki wypadek.

\* Wieczorowa szkoła średnia dla pracujących; termin z lat 20-tych.

zaś (jak Kovacs, Węgier z Filadelfii, który z 39-cioma innymi rodzinami przyjechał organizować komunę rolną pod Kachowką; aresztowany w 37-mym) — po rehabilitacji odmawiają przyjęcia legitymacji partyjnej. Inni — zrywają jeszcze prędzej, jak pewien inny Węgier, Szabo, dowódca syberyjskiego oddziału partyzackiego podczas wojny domowej. Oznajmił on już w 1937, siedząc w więzieniu: „gdybym był teraz na wolności, to bym skrzyknął swoich partyzantów, całą Syberię bym poderwał, ruszyłbym na Moskwę i rozpędziłbym tę zgraję”.

Otóż — ani tych pierwszych, ani drugich ten rozdział *nie dotyczy* (zresztą — jeśli ktoś tak się odstrychnął jak ci dwaj Węgrzy — to go sami ortodoksi skreślą).

Nie będzie tu mowy również o figurach anegdotycznych — o tych, którzy w celi udają tylko ortodoksów, aby kapuś „pozytywnie” doniósł o nich śledczemu. Albo — jak Podwarkow junior, który na wolności kolportował ulotki, w Spasskim obozie natomiast — ostentacyjnie sprzeczał się z przeciwnikami reżymu — w tej liczbie z rodzonym ojcem, sądząc że w ten sposób dochrapie się jakichś ulg.

Będziemy tu mówić o takich ortodoksach, którzy popisywali się swoją ideologiczną czystością naprzód przed śledczym, potem w celach więziennych, później — w obozie, czyniąc to na każdym kroku, a teraz patrzą na swoje obozowe przeżycia wciąż przez te same szkła.

Zastanawiająca zasada selekcji sprawiła, że to wcale nie byli prości robotnicy. Tacy ludzie zwykle przed aresztowaniem piastowali wysokie urzędy, ich sytuacja życiowa była doskonała. W obozie za nic też nie chcieli pogodzić się z myślą, że mogą tu zginąć i z większą niż inni zaciekłością starali się wybić z szarej masy. Byli wśród nich wszyscy funkcjonariusze śledczy, prokuratorzy, sędziowie i naczelnicy obozów, którzy sami trafili za kraty. A także wszyscy teoretycy, wyznawcy i głosiciele (pisarze jak G. Sieriebriakowa, B. Diakow, czy Ałdan-Siemionow — też należą do tej kategorii, do żadnej innej).

Spróbujmy ich zrozumieć, kpiny są nie na miejscu. Upadek sprawił im niemały ból. „Gdzie drwa rąbią — tam wióry lecą” — to było ich ulubione, dziarskie powiedzonko, mające wszystko usprawiedliwić. I nagle — sami oni znaleźli się wśród tych wiórów, pod toporem.

Prochorow-Pustowier opisuje scenę, która miała miejsce na Manzowce (specpunkt obozu Bamłag) w pierwszych miesiącach 1938 roku. Ku ogólnemu zdumieniu tubylców, przywieziono jakiś niezwykle „kontyngent specjalny” i w bardzo tajemniczy

sposób odseparowano go od reszty. Takiego transportu nikt tu nigdy nie oglądał: nowoprzybyli mieli na sobie skórzane palta, futrzane kurtki trzyćwierciowe, bostonowe i szewiotowe garnitury, buty na miarę, pantofle (lepsze towarzystwo 20 lat po Październiku już miało nosa, znało się na strojach niedostępnych dla ludzi pracy). Zła organizacja, albo czyjaś złośliwość sprawiła, że nie wydano im roboczych sortów i zapędzono ich — w tych szewiotach i chromach — do kopania rowów, po kolana w rzadkiej glinie. Na styku dwóch desek „toru”, jeden z nich przewrócił taczkę, z której wysypał się cement. Przybiegł brygadziściurka, sklął i walnął winowajcę po plecach: „łapami pozbieraj, niedorajdo!”. Ten wrzasnął histerycznie: „Jak śmiecie się tak znęcać nade mną? Jestem byłym prokuratorem republiki!”. I łyzy polały mu się ciurkiem z oczu. „A kij ci w ryj, co mnie obchodzi, żeś ty prokurator republiki, ścierwo! Jak ci mordę w ten cement wbiję, to dopiero będzie z ciebie prokurator! Teraz jesteś tu za wroga ludu i musisz harować!” (zresztą kierownik robót ujął się w końcu za prokuratorem).

Niech mi ktoś opowie coś podobnego o carskim prokuratorze, siedzącym w obozie, w 1918 roku! Nikt palcem nie ruszył, nikt się nad takim dziś nie ulituje: istnieje jednomyślne przekonanie, że to nie byli wcale ludzie (żądali dla podsądnych kar po roku, po trzy, po pięć lat). A własnego, rodzonego sowieckiego prokuratora — jakże tu nie żałować, chociaż nosi ci ten bostonowy garnitur. (A żądał dla swoich podsądnych — albo *czerwońca*, albo — pod mur).

Powiedzieć, że ich bolało — to mało. Nie mieściło im się w głowie, że taki cios, taką klęskę zawdzięczają *swojej* rodzonej partii, przy tym — z pozoru za nic, niewinnie! Przecież partii nic nie zawinili, partii — to już na pewno nie.

Była to kwestia tak bolesna, że wśród nich, w ich kręgu uchodziło za nietakt, za niekoleżeński wybryk zadawanie pytań typu „za co cię posadzono?”. Jedyne to było w swoim rodzaju pokolenie aresztanckie: tak wrażliwe, alergiczne! Toć my, w 1945-ym, młaszcząc z uciechy, każdemu nowemu znajomemu, nie krępując się wcale przed całą, opowiadaliśmy dzieje naszego aresztowania.

Oto jacy to byli ludzie. Męża Olgi Sliozberg już aresztowano, z kolei przyszli po nią, robią rewizję. Rewizja trwa 4 godziny — i przez cały ten czas Olga porządkuje protokoły zjazdu stachanowców przemysłu szcztokarskiego, bo na tym zjeździe sekretarowała poprzedniego dnia. Bardziej martwiło ją, że protokoły nie gotowe, niż to, że rozstaje się z dziećmi! Nawet śledczy, kie-

rujący rewizją, nie wytrzymał w końcu i upomniał ją: „niechże się pani chociaż z dziećmi pożegna!”.

Oto, jacy to byli ludzie. Elżbieta Cwietkowa, siedząc w kazańskim więzieniu karnym w 1938 roku dostała list od 15-letniej córki: „Mamo! Powiedz mi, napisz mi wreszcie, czy jesteś winna — czy nie?... Wolę, byś była niewinna, nie wstąpię wtedy do komsomołu i twojej krzywdy nie wybaczę. A jeśli jesteś winna — to więcej nie będę do ciebie pisać i zacznę cię nienawidzić”. Więc teraz ta matka, siedząca w mokrym grobie separatki, oświetlonej mdłą żarówką, zagryza się myślą: jak córka będzie mogła żyć bez komsomołu? czy można pozwolić jej znienawidzić władzę sowiecką? Niech już lepiej mnie nienawidzi. I odpisuje córce: „Jestem winna... Wstąp do komsomołu!”.

Niemają to ciężar! Jest to rzecz dla ludzkiego serca nieznośna: podstawiając kark pod ojczysty topór — jeszcze usprawiedliwiać ten cios.

Ale taką cenę płacić musi człowiek za to, że duszę, daną mu przez Boga, oddał na służbę ludzkim dogmatom.

Każdy z ortodoksów nawet dzisiaj powie, że Cwietkowa postąpiła słusznie. Nawet dziś nie sposób ich przekonać, że to właśnie jest „gorszenie maluczkich”, że ta matka zdeprawowała swoją córkę i okaleczyła jej duszę.

Oto jacy to byli ludzie! J. T. z całą szczerością obciążyla w zeznaniach własnego męża — byle by nie zaszkodzić partii!

O, jak można by się nad nimi litować, gdyby chociaż dziś, poniewczasie, zrozumieli jak godni politowania byli wtedy!

Cały ten rozdział inaczej mógłby być napisany, gdyby przynajmniej dziś potępili swoje ówczesne nastawienie. Ale stało się tak, jak wymarzyła sobie Maria Danielian: „Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdę — to będę tak żyć, jakby nic się nie stało”.

Wierność? A po naszymu: na takich łbach kołki można ciosać i ani drgną. Ci adeptci teorii ciągłego rozwoju uznali, że — być wiernym tej teorii, to znaczy zrezygnować z wszelkiego rozwoju własnej myśli. Jak powiada Mikołaj Adamowicz Wileńczyk, który odsiedział 17 lat: „Myśmy wierzyli partii — i *nie zawiedliśmy się!*”. Czy to wierność — czy ciosanie kołków?

Nie, nie na pokaz, nie z nakazu hipokryzji toczyli oni spory w celach, broniąc każdej dyrektywy władz. Dyskusje ideologiczne były im potrzebne, aby podtrzymać w sobie przekonanie że mają rację — bo inaczej można zwariować.

Chciałby człowiek im współczuć. Ale tak dobrze widzą oni swoją krzywdę — a nie widzą wcale swojej winy.

Ludzi tych nie wyłapywano przed 37-mym rokiem. A po

38-mym — tylko niewielu już z nich poszło za kraty. Dlatego mówi się o nich, że to „branka 37 roku”. Nazwę tę stosować można, byle by to nie mąciło ogólnej perspektywy, nie przeszkadzało widzieć, że nawet w najgorętszym okresie wsadzano nie tylko ich, ale że wciąż sączył się i sączył strumień chłopów, i robotników, i młodzieży, że dalej grabie zbierały inżynierów, techników, agronomów, ekonomistów i szeregowych wierzących.

„Poborowi z 37-go” języki mają obrotne, znają drogę do radia i na łamy gazet; stworzyli „legendę 37-go”. Legenda ta opiera się na dwóch twierdzeniach:

1) jeśli w ogóle za sowieckich czasów kogoś pakowano za kraty, to tylko w 37-mym, tylko więc o wydarzeniach roku 37-go należy mówić i tylko one powinny budzić oburzenie;

2) w 37-mym roku też *tylko ich* pakowano.

Tak właśnie piszą: ten straszny rok, gdy wyaresztowano najwierniejszą kadre partyjną: sekretarzy KC republik związkowych, sekretarzy komitetów okręgowych, przewodniczących rad narodowych, dowódców okręgów wojskowych, korpusów, dywizji, marszałków i generałów, okręgowych prokuratorów, sekretarzy rejko-mów, przewodniczących rejonowych komitetów wykonawczych...

W pierwszych rozdziałach naszej książki już zdaliśmy sprawę z ogromu fał więziarskich, które szturmowały Archipeląg przez dwa dziesięciolecia przed 37-mym rokiem. Jak długo już trwał ten proces! Ileż to milionów się przewaliło! Ale nawet uchem nie zastrzygli, nawet nie mrugnęli okiem przyszli „poborowi z 37-go”, uważając to wszystko za rzecz normalną. Jak o tej powodzi mówili między sobą — tego dobrze nie wiemy. Ale np. Paweł Piotrowicz Postyszew — nie wiedząc jeszcze, że taki sam los go czeka — używał takich oto słów:

w 1931, na zjeździe pracowników aparatu sprawiedliwości: „... kontynuować z całą surowością i bezwzględnością naszą politykę karną w stosunku do wrogów klasowych i zdeklasowanych, wyobcowanych wyrzutków” (czego warci są ci „zdeklasowani”!, kto właściwie nie może być uznany za takiego?);

w 1932: „Jasne, że ... chociaż tych ludzi poddaliśmy już próbie ognia przy rozkułaczaniu... ani na chwilę nie wolno nam zapominać, że ten wczorajszy kułak wcale nie został moralnie rozbrojony...”;

— i jeszcze przy innej okazji: „W żadnym wypadku nie przytępiać ostrza polityki karnej!”.

A jakież ostre to ostrze, Pawle Piotrowiczu! A ogień, którym się ludzi próbuje — jakże piecze!

R. M. Gerowa tak dziś powiada: „Póki ofiarami aresztowań byli ludzie nieznanymi mi, albo mało znani, ani ja, ani nasi znajomi nie zdradzali żadnych wątpliwości co do zasadności (!) tych represji. Ale gdy zabrano moich najbliższych, gdy sama znalazłam się za kratami, gdzie spotkałam dziesiątki najlepszych członków partii, również w charakterze więźniów — wówczas to...”.

Jednym słowem — zachowywali niewzruszony spokój, póki aresztowania dotyczyły ludzi z *ulicy*. Oburzenie ogarnęło ich dopiero wtedy, gdy zaczęto posyłać za kraty ludzi z *ich środowiska*. Stalin pogwałcił *tabu*, które uważano za niewzruszone. To ono właśnie czyniło ich życie tak pełnym radości.

A pewno, że to się w głowie nie mieści! A pewno — że trudno było się z tym pogodzić! W celach pytali gorączkowo:

— Towarzysze, nie wiecie, co to za przewrót? Kto zajął nasze miasto?!

I jeszcze grubo później — już wiedząc, że nie ma powrotu, wzdychali i jęczeli: „Gdyby żył Iliicz — nigdy by do tego nie doszło!” (Do jakiegoż to tego? Czy nie zdarzało się to i dawniej — tylko że z innymi? — patrz część I, rozdziały 8, 9).

Ale jak — te kanclerskie głowy! ci wykształceni marksiści! ci teoretycy! — wytrzymali egzamin sprawności myślowej? jak też przemyśleli i poukładali sobie we łbie te wypadki historyczne — nie przeżute jeszcze na papkę, nie wałkowane w gazetach? (A wypadki historyczne w ogóle lubią przytrafiać się znieścacka).

Całe lata tresury nauczyły ich gnać fałszywym tropem, więc też teraz dawali objaśnienia zaskakujące wręcz swoją głębią:

1) to tylko zręczna intryga zagranicznych wywiadów;

2) to monstrialne szkodnictwo! W NKWD uwili sobie gniazdo szkodnicy! (wariant o charakterze mieszanym: wywiad niemiecki opanował pewne ogniwa NKWD);

3) to tylko wybryki lokalnych enkawudystów.

I we wszystkich trzech wypadkach ta sama śpiewka: to także nasza wina, bośmy byli za mało czujni! A Stalin o niczym nie wie! Stalin nie wie o tych aresztowaniach!! Niech się tylko dowie — to ich wszystkich rozpędzi, a nas każe wypuścić!!

4) w szeregach partyjnych rzeczywiście szaleje epidemia zdrady (a dlaczego to?!), kraj roi się od wrogów, większość siedzi tu za szubienicę, to wcale nie komuniści, to *k o n t r a*, także w celi trzeba się mieć na baczności, nie wolno przy nich gęby otworzyć. Tylko ja jeden siedzę tu niewinnie. No, może ty również. (Do tego wariantu da się zaliczyć również przypadek Mechanosyzyna,

byłego członka Rewwojensowietu\*. Niechby go tylko wypuszczono i dano wolną rękę — ten by dopiero ludzi ponawszadzał!);

5) te wszystkie represje — są koniecznością historyczną, koniecznym etapem ewolucji naszego społeczeństwa (twierdzili tak nieliczni spośród teoretyków, którzy nie postradali samokontroli, na przykład — pewien profesor Instytutu Gospodarki Międzynarodowej im. Plechanowa. Wyjaśnienie w zasadzie słuszne — i właściwie podziwu jest godne, iż profesor tak inteligentnie i prawidłowo rzecz ujął — tylko że sama ta prawidłowość nie została przez nikogo z nich objaśniona. Wszyscy dęli w jedną dudę — „konieczności historycznej”. Stosując ten bałamutny termin — można w każdym wypadku mieć rację).

We wszystkich tych pięciu wariantach nikt, rzecz jasna, nie myślał przypisywać winy Stalinowi. Stalin dalej był słońcem bez plam<sup>2</sup>!

I jeśli — ni stąd ni z owąd — jakiś stary członek partii, na przykład Aleksander Iwanowicz Jaskiewicz, białoruski cenzor, zachrypiał ze swojego kąta celi, że Stalin to żadna tam prawa ręka Lenina, tylko zły pies i że póki on nie zdechnie, nikt się niczego dobrego nie doczeka — to na takiego zuchwalca inni rzucali się z pięściami i jeden przez drugiego ślali na niego donosy śledczemu!

Nie sposób wyobrazić sobie żeby ktoś z tych p r a w o m y ś l n y c h, choćby przez chwilę śmiał marzyć o śmierci Stalina.

Oto jakie szczyty osiągała nieustraszona myśl badawcza naszych ortodoksów w 1937 roku! Jakąż — w tych warunkach — mogli przybrać postawę wobec sądu? Zapewne taką samą, jak Persons w „1984” Orwella: „Czy partia zdolna jest w ogóle do aresztowania kogoś niewinnego? Na rozprawie oświadczę im: dziękuję, żeście mnie poratowali wtedy, kiedy jeszcze było co ratować!”.

Jakie też wyjście sobie znaleźli? Jaki wniosek praktyczny wypowiedziała im ich rewolucyjna teoria? Wniosek wart wszystkich przesłanek! Oto on:

— im więcej ludzi znajdzie się za kratami, tym prędzej tam, na górze, zrozumieją, że coś nie gra, że *to był błąd!* Dlatego też

---

\* Naczelny wojskowy organ kolegiálny, na którego czele podczas wojny domowej stał Trocki.

2. Na tle tych zadziwiających hipotez całkiem uzasadnioną wydaje się ta, którą Narokow (Marczenko) wkłada w usta bohaterów swojej książki „Wielkości pozorne”: że wszystkie te aresztowania to tylko komedia, zaaranżowana dla sprawdzenia, kto jest prawdziwym, wiernym stalinowcem. Trzeba wykonać wszystko, czego żądają od człowieka; kto podpisze wszystko bez szemrania i poczucia krzywdy — tego czeka późnij awans.



— trzeba starać się o wymienienie jak największej ilości nazwisk! Obciążać w zeznaniach jak najwięcej osób wyraźnie niewinnych! Przecież całej partii nie wyaresztują!

(A Stalinowi wcale nie o całą chodziło, wystarczali mu wybitniejsi i komuniści o długim stażu partyjnym).

Ze wszystkich rosyjskich partii politycznych — komunistyczna była pierwszą, której członkowie jęli składać fałszywe zeznania przeciw sobie samym<sup>3</sup>. Im także należy się palma pierwszeństwa za piramidalne odkrycie: wymieniać jak najwięcej nazwisk, dążyć do wplątania jak największej ilości ludzi! Rosyjscy rewolucjoniści nie słyszeli dotąd o niczym podobnym!

Czy w teorii tej przejawiała się ich krótkowzroczność? ubóstwo myślowe? Intuicja mówi mi, że nie, że u podłoża był tu strach. A teoria służyła tylko do pośpiesznego zamaskowania własnej słabości. Przecież uchodzili (od dawna już — bezpodstawnie) za rewolucjonistów, a teraz — gdy przyjrzeni się sobie — musieli wzdrygnąć się ze zgrozy: okazało się, że nie potrafią sprostać naciskowi. Ta „teoria” uwalniała ich od konieczności walki z funkcjonariuszem śledczym.

To chociaż powinni byli zrozumieć, że tę czystkę Stalin koniecznie musiał przeprowadzić, aby dokonać równania w dół: ściągnąć partię do swego poziomu (nie dość miał bowiem zdolności, by samemu podnieść się do poziomu partii, nawet takiej, z jaką miał do czynienia).

Oczywiście nie chcieli pamiętać, że jeszcze całkiem niedawno pomagali Stalinowi w rozgromieniu opozycji, ba, w poskramianiu ich samych. Przecież Stalin dawał swoim bezwolnym ofiarom szansę, pozwalał im na ryzyko buntu, ta gra nawet go bawiła. Aresztowanie członka KC możliwe było tylko za zgodą wszystkich pozostałych! — taką zasadę wprowadził do statutu sam tygrys — swawolnik! I oto — podczas pełnych znoej czczości zebrań plenarnych i narad — krążył z rąk do rąk papierek, gdzie w trybie bezosobowym zawiadamiano, że wpłynął materiał kompromitujący takiego to a takiego i że proponuje się obecnym, aby wyrazili zgodę (albo sprzeciw!...) na usunięcie danej osoby ze składu KC. (A ktoś tam jednocześnie patrzył jak długo czytający studiuje ów papierek). I każdy kładł swój podpis. W ten sposób Komitet Centralny WKP(b) sam się rozstrzelał. (A Stalin już wcześniej odgadł i poddał próbie ich słabą stronę: skoro czołówka partii zgodziła się na wysokie pensje, tajne zaopatrzenie, osobne

---

3. No, być może „Wszeczziwzkie biuro mienszewików” wyprzedziło ich w czasie, ale jego członkowie byli z przekonania prawie że bolszewikami.

sanatoria — to już była w potrzasku, już była złamana). A z kogo składał się *spectrybunał*, który sądził Tuchaczewskiego i Jakira? Sędzią był Blücher! Był Jegorow\*! (Informacja S. A. Turowskiego).

Tym łatwiej było im zapomnieć (zresztą — nigdy tego nie czytali) o sprawach tak odległych, jak orędzie patriarchy Tichona do Rady Komisarzy Ludowych z 26 października 1918 roku. Nawołując do miłosierdzia i wypuszczenia na wolność niewinnych, przestrzegał ich niezłomny patriarcha: „zaiste wam powiadam, będą szukać od narodu tego krwi wszystkich proroków, którą wylał ten naród...” (Ewangelia według Łukasza, XI, 50, 51) i „wszyscy, którzy miecz biorą, mieczem poginą” (Ewangelia według Mateusza, XXVI, 52). Ale wydawało się to wtedy śmiechu warte, niemożliwe! Kto z nich mógł sobie wtedy uprzytomnić, że Historia bierze jednak czasem odwet, że zna tajemną słodycz nierychliwej sprawiedliwości, tyle że dziwne nadaje jej kształty i niezwykłych znajduje mścicieli.

Jeśli nie znalazła się żadna nowa Marusia Spiridonowa\*\*, aby wpakować na dworcu kulę w łeb młodemu Tuchaczewskiemu, gdy wracał, jako tryumfator, po zdławieniu powstania tambowskich chłopów — to dokonał tego niedouczony gruziński seminarzysta po 16-tu latach.

I jeśli złorzeczenia kobiet i dzieci, rozstrzelanych na Krymie wiosną 1921 roku (co opisał poeta Maksymilian Wołoszyn) nie zdołały przebić serca Beli Kuna — to dokonał tego jego gruziński towarzysz z III-ciej Międzynarodówki.

Peters, Łacis, Berzin, Agranow, Prokofiew, Balicki, Artuzow, Czudnowski, Dybenko, Uborewicz, Bubnow, Ałafuzo, Ałksnis, Arensztam, Gekker, Gettis, Jegorow, Żłoba, Kowtiuch, Kork, Kutiakow, Primakow, Putna, Jurij Sablin, Feldman, R. Ejdeman, Unszlicht, Jenukidze, Niewski, Stieklów, Łomow, Kaktyń, Kosior, Rudzutak, Gikało, Gołodied, Szlechter, Biełoborodow, Piatakow, i Zinowiew — wszyscy oni zostali zgładzeni z rozkazu małego, rudego rzeźnika; my zaś długo i cierpliwie musielibyśmy szukać tego wszystkiego, do czego zdążyli oni przyłożyć rękę i pióro piętnaście i dwadzieścia lat przed swoim końcem.

*Walczyć?!* Walki nikt z nich nie próbował. Odpowie mi ktoś, że trudno było toczyć walkę w celach jeżowskich więzień — czemu jednak nie podjęli oni walki choćby w przeddzień aresztowania? Czy naprawdę nie widzieli dokąd to wszystko zmie-

\* Marszałkowie — ofiary czystek nieco późniejszych.

\*\* Słynna działaczka eserowska, wykonawczyni zamachów na carskich dygnitarzy, długo później więziona w Rosji Sowieckiej.

rza? A więc modlili się tylko o jedno: żeby burza ich ominęła! Dlaczego Ordżonikidze zabił się małodusznie? (A jeśli to jego zabili — dlaczego czekał bezczynnie?). Dlaczego nie próbowała walki wierna towarzyszka życia Lenina, Krupska? Dlaczego ani razu nie zabrała głosu publicznie, by zdemaskować Stalina, jak to zrobił stary robotnik w rostowskich Warsztatach im. Lenina? Czy tak bardzo drżała o swoje starcze życie? Czemu członkowie pierwszego Iwano-Woźniesieńskiego Sowietu Deputatów z 1905 roku sami obrzucili się błotem? Czemu przewodniczący tegoż Sowdepu, Szubin, własnoręcznie podpisał oświadczenie, iż żadnego Sowdepu w 1905-tym w ogóle w Iwanowie-Woźniesieńsku nie było? Jak można było tak opluć całą swoją przeszłość?

Sami ci prawomyślni, wspominając dzisiaj rok 37-my, jęczą, że niesprawiedliwość, że potworność — a nikt z nich nie zajknie się o możliwościach *walki*, które były praktycznie w ich zasięgu, ale przez nikogo z nich nie zostały wykorzystane. Tego już nigdy nikomu nie wyjaśnią. Czy podejmie się tego zadania tryskający energią Eugeniusz Jewtuszenko, wierny wnuk swego dziadka-działacza, mając w zanadru ten sam zapas pojęć (w „Autobiografii”, w „Elektrowni Brackiej”), jakim rozporządzali ci z „branki 37-go roku”? Nie, nie czas już dziś na argumenty tego typu.

Aresztowanym prawomyślnym starczyło rozumu tylko na zniweczenie tradycji politycznego więźniarstwa. Trzymali się z dala od towarzyszy niedoli, mających inne przekonania, robili wszystko w sekrecie przed nimi, zwierzali sobie na ucho straszne szczegóły śledztwa — byle by nie usłyszeli bezpartyjni, albo — nie daj Bóg — eserowcy, żeby „nie dawać im argumentów przeciw partii!”.

Eugenia Holcman w kazańskim więzieniu (1938) sprzeciwiła się przekazywaniu z pomocą pukania wiadomości z celi do celi: jako komunistka nie zgadzała się na gwałcenie sowieckich praw! Gdy zaś przynoszono do celi gazety — Holcmanowa nalegała, aby nie czytać ich byle jak, tylko z uwagą, szczegółowo!

Wspomnienia Eugenii Ginzburg — tam — gdzie w nich mowa o więzieniu — stanowią bezcenne świadectwo o elemencie wyaresztowanym w 37-mym roku. Oto zakuta partyjniaczka, Julia Annienkowa, woła w celi: „nie ważcie się wyśmiewać strażnika! *On reprezentuje tu władzę sowiecką!*” (I co powiecie? Wszystko na wywrót! Gdyby tak tę scenę baśniowym sposobem pokazać buntowniczym rewolucjonistkom, siedzącym w carskim więzieniu!). Albo — jak komsomołka Katia Szyrokowa mówi do pamiętnikarki w trakcie rewizji: o, ta niemiecka komunistka ukryła we włosach złotą monetę, a przecież to nasze więzienie, sowieckie, trzeba chyba powiadomić o tym nadzorczynię?!

A Katarzyna Olickaja, która jechała na Kołymę w tym samym 7-mym wagonie, co Ginzburgowa (były tam prawie same komunistki) dodaje do soczystych wspomnień tej ostatniej dwa uderzające szczegóły.

Kto miał pieniądze, ten złożył się na zakup świeżej cebuli w pęczkach. Stało się tak, że właśnie Olickaja miała tę cebulę przynieść. Eserowskie tradycje nie pozwalały jej myśleć nawet o niczym innym, jak o równym podziale jarzyn między całą czterdziestką. Ale zaraz została surowo skarcona: „Dzielić tylko między te, co dały pieniądze!”. „Nie stać nas tu na dokarmianie darmożjadów!”. „Dla nas samych ledwo starczy!”. Olickaja aż zdrętwiała: to mają być polityczne?... Bo też to były komunistki z branki 37-go roku!

A oto drugi epizod. W łaźni swierdłowskiego zborniaka kobiety te musiały na golasa przedfilować między dwoma szeregami strażników. Nic ważnego, prędko otrząsnęły się z wrażenia. Już następnego dnia dziarsko śpiewały w swoim wagonie:

*„Nigdzie w świecie kraju nie znajdziecie,  
Gdzie tak wolnym byłby każdy człek!...”*

Z takim oto kompletem poglądów, w takim stadium rozwoju świadomości wkraczają nasi p r a w o m y ś l n i na swój długi, obozowy szlak. Nie pojmując nic od samego początku, nie rozumiejąc co znaczy to areztowanie, śledztwo, te wszystkie wypadki, dziejące się wokół, będą teraz — przez upór, z obowiązku wierności (albo z poczucia zagubienia) na całym tym szlaku uważać się za Prometeusy, będą twierdzić — że tylko oni wiedzą, o co chodzi.

Postanowiwszy raz na zawsze nie dostrzegać niczego, co dzieje się dokoła, nie szukać żadnych wyjaśnień — tym usilniej będą omijać wzrokiem najstraszniejsze dla nich zjawisko: jak patrzą starzy łagrowcy, pospolitacy i ci z Pięćdziesiątki Ósemki (kto z byłych „kułaków” pozostał jeszcze przy życiu, ten właśnie kończył swoją pierwszą *dychę*) — na nich, na tych z „branki 37-go roku”, bardzo jeszcze przyzwoicie ubranych, dobrze wychowanych i mówiących ozdobnie. Tu ich macie, to są ci ważniacy z teczkami! Ci, co paradowali w autach służbowych! Ci, co mieli sklepy za złotymi firankami, kiedy inni stali w kartkowych kolejkach! Ci, co obżerali się w sanatoriach i jeździli do uzdrowisk na ksiuty z dziewczkami! — a nas posyłali na 10 lat do obozów za główkę kapusty, za kolbę kukurydzy! Więc mówią im z nienawiścią: „Tam, na wolności — *wy* — *nas*, a tu *my* — *was*

będziemy chromolić!”. (Ale nie dojdzie do tego. Ortodoksi już wkrótce urzędzą się całkiem niezłe<sup>4</sup>).

Na czym też polega owa wzniosła idea, którą kierują się nasi prawomyślni? A na tym, żeby nie wyrzec się żadnego z dawnych przekonań i nie wzbogacić się o żadne nowe sądy. Niech tam życie szturmuje ich i zasypuje lawiną nowych zjawisk — niech ich kopytami tratuje — do tych łbów nic nie przenika! Nie chcą widzieć życia, ignorują jego bieg! Ta niechęć do przemeblowania głowy, ta ordynarna niezdolność do krytycznej oceny życiowych doświadczeń, jest właśnie przedmiotem ich dumy! Więzienie nie powinno mieć żadnego wpływu na światopogląd! Obóz też nie! W co wierzyliśmy — w to dalej wierzyć będziemy! Jesteśmy marksistami! Materialistami! Czy tylko dlatego mamy poddać re wizji nasze przekonania, że przypadkiem znaleźliśmy się w więzieniu? (Czy dlatego ma ulec przemianie nasza świadomość, że zmienił się byt, że ukazał nam nowe swoje strony? Ależ za nic w świecie! Niech tam byt diabli wezmą, nasza świadomość — ani drgnie! Toć jesteśmy materialistami!...).

Oto z jaką wnikliwością analizowali oni swój los. W. M. Zarin: „Wciąż sobie powtarzałem w obozie: z powodu paru durniów (miał na myśli tych, co go wsadzili) ani myślę wadzić się z władzą sowiecką!”.

Oto wnioski moralne, do których musieli dojść nieuchronnie: siedzę niewinnie, a zatem jestem człowiekiem porządnym, wszyscy zaś inni — to wrogowie i siedzą zasłużenie.

Oto na co tracą energię: po sześć, po dwanaście razy rocznie piszą skargi, podania i supliki. O czym piszą? Co tam gryzmolą? Rzecz jasna — zaklinają się, że pozostali wierni Wielkiemu, Genialnemu (bo bez tych zaklęć ani marzyć o wolności). Rzecz jasna, odcinając się od współoskarżonych, których już rozstrzelano. Rzecz jasna, błagają o łaskę i pozwolenie powrotu na dawne stanowiska, na szczyty. I już jutro z radością podjęliby się każdego zadania partyjnego — choćby nawet powierzono im zarząd tego obozu! (A że odpowiedzią na ten nawał skarg był taki sam nawał odpowiedzi odmownych — to przecież tylko dlatego, że skargi nie docierały do Stalina! On już by wszystko zrozumiał! Nasz pan miłościwy już by dawno przebaczył!).

---

4. E. Ginzburg opisuje scenę całkowicie odmienną. Pielęgniarka z więziennego szpitalika pyta ją: „Czy to prawda, że ujęliście się za biednymi ludźmi, że siedzicie tu za kołchoźników?”. Pytanie prawie nieprawdopodobne! Może ta pielęgniarka niczego już zza krat więziennych nie widziała, stąd takie głupie pytanie. Ale kołchoźnicy i zwykli łagrowcy mają oczy, od razu rozpoznali w tych ludziach naganiaczy, organizatorów monstrialnego spędu „kolektywizacji”.

Ładni „polityczni”, którzy proszą władzę — o darowanie win!... Oto miara ich uświadomienia: wspomnienia generała Gorbatawa — „Sąd? Czego od nich wymagać? Ktoś im dał taki rozkaz...”. Co za przenikliwość! I jakąż w tym anielsko-bolszewicka potulność! Knajacy pytają Gorbatawa: „Dlaczegoście tu się znaleźli?” (Nawiasem — od kiedy to szemrani używają formy „wy”?). Gorbataw: „Niedobrzy ludzie mnie oczernili”. To ci celna analiza! A zachowuje się generał nie jak Szuchow, tylko jak byle Fietiurow: podejmuje się sprzątnięcia kancelarii w nadziei, że dostanie za to dodatkową kromkę chleba. „Zmiatając z biurka okruchy i suche skórki, a czasem nawet całe kawałki chleba, w jakimś tam stopniu zaspakajałem dręczący mnie głód”. No dobrze, zaspakajaj go sobie. Ale Szuchowowi ma się za złe, że myśli o kaszy i że brak mu uświadomienia społecznego, natomiast generałowi Gorbatawowi wszystko wolno, bo *myśli...* o niedobrych ludziach! (Zresztą — Szuchow nie da się zjeść w kaszy i o wypadkach krajowych sąd ma śmielszy, niż generał).

A oto W. P. Golicyn, syn lekarza powiatowego, inżynier-drogowiec. 140 (sto czterdzieści!) dni i nocy przesiedział w celi śmierci (miał czas na rozmyślanie!). Następnie — 15 lat odsiadki, a później — dożywotnie zesłanie. „Nic się w moich myślach nie zmieniło. Jestem wciąż tym samym bezpartyjnym bolszewikiem. Pomogło mi zaufanie do partii, przekonanie, że całe zło nie jest dziełem partii i rządu, ale złej woli *jakichś jednostek* (to jest analiza!), które przychodzą i odchodzą (jakoś nijak nie mogą odejść...) a cała reszta(!) zostaje i trwa... A ponadto — pomogli mi wszystko to przetrwać prości ludzie sowieccy, których w latach 1937-38 bardzo wielu było w NKWD (to znaczy — w aparacie!), w obsłudze więzień i obozów. Nie byli to „kumowie”, tylko prawdziwi wychowankowie Dzierżyńskiego”. (Nie sposób tylko zrozumieć, dlaczego ci wychowankowie Dzierżyńskiego, skoro ich było tak wielu, patrzyli spokojnie na bezprawie, będące dziełem *jakichś jednostek*? Czy sami do tego wcale ręki nie przykładali? I mimo to — uszli jakoś cało? Istne cuda...).

Albo Borys Diakow: śmierć Stalina przejęła go głębokim bólem (nie tylko jego — wszystkich ortodoksów). Miał wrażenie, że zeszała do grobu cała nadzieja na wybawienie!<sup>5</sup>...

Ale już słyszę krzyki: to nielojalne! Nierzetelne! Spróbuj no podyskutować z autentycznym teoretykiem! Z Instytutu Czerwonej Profesury\*!

5. *Oktyabr*, 1964, Nr 7.

\* Uczelnia dla wyższych kadr naukowych, istniejąca w latach 20-30-tych, w Moskwie.

Proszę bardzo! Albo to nie dyskutowałem z nimi? A cóż innego robiłem w więzieniach? i na etapach? i w zborniakach? Z początku polemizowałem wspólnie z nimi, we wspólnym froncie. Ale jakoś nasze dowodziki zaczęły mi się wydawać kuse, wątłe. Umilkłem więc, wolałem już raczej słuchać. Później jeszcze — zacząłem polemizować z nimi. Nawet sam Zacharow, nauczyciel Malenkowa (bardzo dumny był z tego, że uczył Malenkowa) zniżył się do polemik ze mną.

W końcu jednak wszystkie te debaty zwały mi się we łbie, jakby chodziło o tylko jeden spór. Jakby wszyscy ci talmudyści złączyli się w jedną postać. Mój rozmówca raz po raz powtarzać będzie ten sam argument — w tym samym punkcie rozmowy i tych samych słów używając. I tak samo będzie nieprzemakalny, opancerzony — oto ich cecha naczelną! Nie wynaleziono jeszcze pocisków przeciwpancernych zdolnych do przebicia tych zakutych łbów! Kto wszczyna z nimi spory, ten tylko siły stera, chyba, że z góry traktować będzie tę rozmowę jako pocieszną grę, rodzaj zabawy.

Leżymy sobie z moim przyjacielem, Paninem, na środkowej półce „stołypinki”, urzędzeni jesteśmy niezgorzej, mamy w kieszeniach po śledziu, pić się nie chce, można trochę pospać. Aliści — na którejś stacji pakują nam do przedziału — uczonego marksistę! Zaraz poznać, bo szpicbródka i w okularach. Wcale nie ukrywa, że jest byłym profesorem Akademii Komunistycznej. Patrzymy w głąb kwadratowego przerębla między narami, i już po pierwszych słowach wiemy wszystko: towarzysz pancerny. A że siedzimy w więzieniu już od dawna i że długo jeszcze mamy siedzieć, no i — że lubimy żarty — więc złazimy na dół, żeby się trochę rozerwać. W przedziale jest dosyć luźno, zamieniliśmy się z kimś miejscami, ścisnęliśmy się trochę.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry.

— Nie za ciasno?

— Nie, można wytrzymać.

— Dawno was przytknęli?

— Dosyć dawno.

— Długo jeszcze macie siedzieć?

— Prawie drugie tyle.

— Patrzenie no — jakie biedne te wsie: słoma, chaty się wała.

— Spadek po caracie.

— No, sowieckich lat też już było trzydzieści.

— W aspekcie dziejowym to bardzo krótki okres.



— Szkoda jednak, że kołchoźnicy głodują.  
— A zaglądaliście do *każdego* saganka?  
— A zapytajcie któregośkolwiek kołchoźnika z naszego przedziału.

— Wszyscy skazani są rozżaleni i nieobiektywni.

— Ale ja sam też kołchozy widywałem...

— Widać nietypowe...

(Szpicbródka nigdy w kołchozie nie był, to upraszcza dla niego sprawę).

— Ale spytajcie starszych ludzi: za cara mieli co włożyć do gęby, wdziać na grzbiet i wzuć na nogi, a ile świąt było!

— Ani myślę pytać. Subiektywizm pamięci ludzkiej sprawia, że wszystko, co należy do przeszłości — wydaje się godne pochwały. Ta krowa, co padła, doiła po dwa wiadra.

(Przysłowiem też potrafi błysnąć!).

A świąt nasz lud nie lubi, nasz lud woli pracować.

— A dlaczego w tylu miastach brak chleba?

— Kiedy to się zdarzyło?

— A choćby nawet przed samą wojną...

— Nieprawda! Przed wojną akurat wszystkiego było w bród.

— Słuchajcie no, we wszystkich miastach nadwożańskich stały wtedy milowe ogonki...

— Jakież lokalne braki w organizacji. Ale chyba zawiodła was pamięć.

— Toć i teraz brak chleba!

— Babskie plotki. Zbieramy rocznie 7-8 miliardów pudów ziarna<sup>6</sup>.

— Ale ziarno zbutwiało, do niczego.

— Wręcz przeciwnie, selekcja daje wyniki.

— A jednak w tylu sklepach — pustki na półkach.

— Terenowym kadrom brak niekiedy inicjatywy.

— Zresztą ceny też są wygórowane. Robotnicy muszą sobie wielu rzeczy odmawiać.

— Nasze ceny są naukowo skalkulowane. Lepiej, niż w jakimkolwiek innym kraju.

— A więc to zarobki są za niskie.

— Zarobki też są naukowo skalkulowane.

— Znaczy się, tak są skalkulowane, aby robotnik większą część czasu musiał pracować dla dobra państwa za darmo.

— Nie znacie się na ekonomii politycznej. Zawód?

— Inżynier.

---

6. Przecież dopiero za parę lat Chruszczow oznajmić miał publicznie, że w 1952 roku zebrano ziarna mniej niż w 1913.

— A ja właśnie jestem ekonomistą. Tu nie ma dyskusji. Nadwartość jest u nas po prostu niemożliwa.

— Ale dlaczego dawniej ojciec rodziny mógł utrzymać ją samodzielnie, a teraz musi na to pracować dwoje, troje ludzi?

— Dlatego, że dawniej było bezrobocie, żona nie mogła dostać pracy. I rodzina przymierała głodem. Prócz tego — praca żony ważna jest ze względu na równość płci.

— Jaka tam znowu równość? A na czyjej głowie stoi cały dom?

— Mężowie też powinni pomagać.

— A wy — pomagaliście swojej żonie?

— Nie jestem żonaty.

— Wychodzi na to, że dawniej każdy pracował we dnie, a teraz i mąż, i żona powinni jeszcze dodatkowo pracować wieczorem. Kobietom brak przez to czasu na rzecz najważniejszą — na wychowanie dzieci.

— Czasu mają tyle, ile trzeba. Najważniejsze dla wychowania są żłobki, szkoły, komsomoł.

— No i jak tam dzieci wychowują? Wyrastają na chuliganów, złodziejasków. Dziewczyny — też rozpuszczone.

— Nic podobnego. Nasza młodzież jest wysoce ideowa.

— W gazetach. Ale nasza prasa kłamie!

— Zawsze uczciwsza od burżuazyjnej. Poczytajcie tylko burżuazyjne gazety.

— Chętnie, dajcie poczytać!

— To strata czasu.

— A jednak nasze gazety kłamią!

— Są związane z proletariatem jednością walki.

— Wynikiem takiego wychowania jest wzrost przestępczości!

— Bynajmniej, jej spadek. Weźcie do ręki statystyki!

(Mówi to w kraju, gdzie zataja się nawet ilość baranich ogonów!).

— Jest jeszcze inna przyczyna wzrostu przestępczości: nasze prawa, które same tworzą przestępców. Są okrutne i głupie.

— Bynajmniej. Prawa są doskonałe. Najlepsze w dziejach ludzkości.

— Zwłaszcza — artykuł 58, co?

— Bez tego artykułu nie utrzymałaby się nasza młoda państwowość.

— Nie taka znów młoda!

— W aspekcie historycznym — bardzo młoda.

— Rozejrzyjcie się, ilu ludzi siedzi!

— Widać zawinili.

— A wy?

— Aresztowano mnie omyłkowo. Jak się zorientują — to wypuszczają.

(Wszyscy oni stosują ten chwyt).

— Omyłkowo? Gdzież te nasze doskonałe prawa?

— Prawa są doskonałe, tylko odstępstwa od nich bywają przykre.

— Wszędzie — protekcja, łapówki, przekupstwo.

— Trzeba wzmóc wysiłki w dziedzinie komunistycznego wychowania.

I tak dalej. Nikt nie potrafi zbić go z tego tropu. Używa języka, który nie wymaga żadnego samodzielnego wysiłku myślowego. Spór z nim — to marsz przez pustynię.

O takich powiadają: wszystkie kuźnie odwiedził — a wrócił niepodkuty.

I gdy w nekrologach pisze się o nich: „zginął tragicznie w okresie kultu”, to korci czasem, aby zmienić ten przysłówek na „komicznie”.

Gdyby jego los inaczej się potoczył, to nie dowiedzielibyśmy się nigdy, jaki to zasuszony, niepozorny człeczyna. Jego nazwisko z należną czcią czytaliibyśmy na łamach gazet; byłby komisarzem ludowym, albo miałby czelność, by reprezentować Rosję za granicą.

Dyskusje z nim są więc bezcelowe. Znacznie bardziej interesująca może być przy jego udziale gra... nie w szachy, lecz w „towarzyszy”. Istnieje taka gra naprawdę. Wszystko odbywa się całkiem po prostu. W trakcie rozmowy parę razy trzeba mu przytaknąć. Warto też użyć paru terminów z jego własnego słownika. To mu sprawi przyjemność. Przyzwyczał się już przecie, że wszyscy dokoła — to wrogowie, znużyło go już ciągle odgryzanie się. Ponadto — wcale nie lubi się zwierzać, bo wie, że wszystkie opowieści będą natychmiast obrócone przeciw niemu samemu. Ale skoro uzna was za jednego ze swoich, całkiem po ludzku, szczerze opowie wam, co widział niedawno na dworcu: ludzie spacerują — gawędzą — śmieją się, życie wre. Partia wszystkim kieruje, ktoś tam został właśnie przeniesiony z jednego stanowiska na drugie, a my tymczasem musimy tu siedzieć, jest nas mała garstka. Trzeba *pisać*, pisać prośby o ponowne rozpatrzenie, o ułaskawienie...

Albo opowie coś interesującego: w Komakademii postanowili oni *utrącić* jednego z kolegów; czuli, że coś z nim nie jest w porządku, że to *nie nasz człowiek*, ale jakoś nie było do czego się przyczepić: publikacje — bez błędów, życiorys — kryształowy. I raptem, przy badaniu jakichś materiałów archiwal-

nych — co za odkrycie! — znaleziono starą broszurkę tegoż kolegi, egzemplarz, który miał w ręku sam Ilicz. Zostawił na marginesie własnoręczną uwagę: „jako ekonomista — gównowo wart”. „No, rozumiecie sami — rozmówca mój uśmiecha się porozumiewawczo — że po tym odkryciu poradziliśmy sobie już bez żadnego kłopotu z tym mętniakiem i samozwańcem. Został wyrzucony na pysk i pozbawiony tytułu naukowego”.

Turkoczą koła. Wszyscy już śpią, jedni rozciągnięci na wznak, inni — ledwie przycupnięci. Czasem przejdzie korytarzem żołnierz z konwoju; ziewa.

Nieutralony przez nikogo, ginie oto jeszcze jeden fragment życiorysu Lenina...



Aby uzupełnić nakreślony tu obraz warto przyjrzeć się, jakie stanowisko zajmują prawomyślni wobec podstawowych problemów życia obozowego.

A. *Stosunek do dyscypliny obozowej i do walki o prawa więźniów.*

Jako że reżym obozowy wprowadzony został przez nas, tzn. przez władzę sowiecką — więc należy przestrzegać jego przepisów nie tylko bez sprzeciwów, lecz z całym przekonaniem. Trzeba dbać o podtrzymywanie ducha dyscypliny, zanim jeszcze dozór zażąda trzymania się jej litery.

We wspomnianej już książce Eugenii Ginzburg znajdują niezwykle obserwacje: kobiety *pochwalają* golenie im głów (maszynką!) na zero — skoro tego wymaga dyscyplina. Z więzienia, bądź co bądź — spod dachu, wysyłają je na mroźną Kołymę, na śmierć. Mają już formułę, która to usprawiedliwia: a więc okazują nam *zaufanie*, wierzą, że będziemy tam wydajnie pracować!

O jakiej *walce* może tu być w ogóle mowa, do licha?! Walka z kim? Ze *swoimi*? Walka — w imię czego? W imię własnej wolności? O to nie trzeba walczyć, tylko prosić — i to w trybie urzędowym. A zatem — w imię obalenia władzy sowieckiej? A bodajbyś pypcia na ozorze dostał!

Byli wśród łagrowców tacy, którzy chcieli walczyć, ale nie mogli; tacy, co mogli, ale nie chcieli — a także ci, co i mogli, i chcieli (i walczyli! jeszcze o nich będzie mowa, zczekajcie!). Otóż ortodoksi stanowią czwartą grupę: są to ci, co nie chcieli — i *nie mogli*, nawet gdyby zechcieli. Całe ich przedwięzienne życie przystosowało ich do wegetowania w środowisku sztucznym, umownym. Ich „walka” na wolności polegała na przyjmo-

waniu i przekazywaniu dalej zaaprobowanych odgórnie uchwał i rozporządzeń — z pomocą telefonu i dzwonka elektrycznego. W warunkach obozowych — gdzie walczyć trzeba dosłownie tj. wręcz, i umieć gołe ręce przeciwstawić automatom, i czołgać się po indiańsku pod kulami — byli z nich Sidory Polikarpowicze i Kopry Pomidorowicze\*, istoty nikomu niepotrzebne i do niczego niezdatne.

Tym mniejszą przeszkodą dla knajaków byli ci ideowi bojownicy o szczęście ludzkości: nie sprzeciwiali się rozbojowi ani panoszeniu się ferajny w kuchniach i na wszelkich funkcjach (poczytajcie choćby generała Gorbatowa, tam przykłady znajdziecie) — bo te socjalnie im bliskie elementy włączyły obozem w zgodzie z *ich własną* teorią. Nie przeciwstawiali się ograbianiu słabszych nawet, gdy robiono to w ich obecności i sami też nie stawiali rabusiom oporu.

Wszystko to było logiczne, trzymało się kupy, nikt niczego nie podawał w wątpliwość. Atoli, gdy przyszedł wreszcie czas na pisanie dziejów tych lat i rozległy się pierwsze, jeszcze zdławione relacje o życiu obozowym — nasi prawomyślni ocknęli się jakby — i zrobiło im się przykro: jak to? tacy postępowi, tacy uświadomieni, a nie walczyli! I nawet nie zdawali sobie sprawy że istniał jakiś kult jednostki<sup>7</sup>! I nie przychodziło im wcale do głowy, że nasz drogi Ł. P. Beria — to zaprzysięgły wróg ludu!

Dlatego trzeba było szybko puścić w ruch jakąś mętną wersję — że jednak *walczyli*. Cała sfora gazeciarska czepiała się mego Iwana Denisowicza — czemu nie walczył, sukinsyn? Dziennik *Moskowska Prawda*<sup>8</sup> wytykała mi nawet, że inni, komuniści organizowali w obozach nielegalne zebrania, a Iwan wcale na nich nie bywał i nie nauczył się rozumu od ludzi myślących.

Co to za bzdury — jakie tam zebrania nielegalne? I po co? Aby kiwać palcem w bucie, figę w kieszeni pokazywać? I komu — skoro od młodszego nadzorca do samego Stalina — sami swoi, nasza władza sowiecka? I kiedyż to, *jakimi metodami* ci ludzie walczyli?

Nikt tego powiedzieć nie potrafi.

---

\* Ukrop (tj. Koper) Pomidorowicz — pogardliwe przezwisko inteligenta, okularnika w obozie.

7. W 1957 roku personalna rianzańskiego Okręgowego Wydziału Oświaty pytała mnie: „A za co właściwie aresztowano was w 45-tym?”. — „Za krytykowanie kultu jednostki” — odparłem. „Jak to? — zapytała ze zdumieniem — czy *wtedy* już był kult jednostki?”. (Była szczerze przekonana, że kult jednostki został obwieszony w 1956 roku, skąd więc wziął się w 45-tym?).

8. — 8. XII. 1962.

I o czym w ogóle myśleli? — Skoro jedyne twierdzenie, jakie ośmielają się lansować, brzmi: wszystko co istnieje, jest racjonalne. O czym myśleli, jeśli jedną tylko modlitwę znali: nie mnie smagaj, carski knucie!

### B. Stosunki z obozową zwierzchnością.

Jaki stosunek do zwierzchności obozowej mieć mogą nasi prawomyślni? Chyba tylko — hołdowniczy i pełen oddania. Przecież — wszyscy przełożeni są członkami partii i wykonują dyrektywy partyjne, nie mogą więc odpowiadać za to, że „ja” (= jedyny niewinny) przystany zostałem z wyrokiem na karku. Ortodoksi zdają sobie doskonale sprawę, że gdyby nagle zamienili się miejscami ze zwierzchnością — robiliby dokładnie to samo, co tamci.

Todorski, o którym głośno teraz w naszej prasie, jako o bohaterze obozowym (dziennikarz, były seminarzysta, wyróżniony niegdyś przez Lenina, który na początku lat 30-tych został, nie wiedzieć czemu, komendantem Wojskowej Akademii Lotniczej, chociaż lotnikiem nigdy nie był) — jak świadczy Diakow, tak odzywał się do szefa zaopatrzenia, na którego nawet nie spojrzy zwykły robociarz:

— Czym mogę służyć, obywatelu naczelniku?

Dla szefa służby zdrowia Todorski pisze zaś konspekt „Krótkiego kursu historii WKP(b)”. Jeśli *poglądy* Todorskiego w jakimkolwiek punkcie różnią się od wyrażonych w „Krótkim kursie” — to gdzież jego pryncypializm, jak może układać konspekt w zupełnej zgodzie z biegiem myśli Stalina<sup>9</sup>? A jeśli znów poglądy jego nie są odmienne — to w takich właśnie wypadkach można mówić o tych, co „zginęli komicznie”.

Ale nie dość jest kochać przełożonych! Trzeba, aby przełożeni ciebie też pokochali. Trzeba wszak wyjaśnić przełożonym, że jesteśmy z tego samego ciasta ulepieni, że powinni nas jakoś przygarnąć. Dlatego to bohaterowie Sieriebriakowej, Szelesta, Diakowa, Ałdan-Siemionowa przy każdej okazji (czy jest powód, czy go nie ma, wypada, czy nie wypada), podczas przyjmowania transportu, przy kontroli według akt — korzystają z okazji, by zaprezentować się, jako komuniści. Jest to sposób zgłoszenia swojej kandydatury ma intratną funkcję.

Szelest wymyśla nawet taką scenę. W kotłaskim zborniaku

---

9. Odpowie nam ktoś, że pryncypializm — pryncypializmem, ale czasami trzeba okazać pewną giętkość. Toż był to też okres, gdy Ulbricht i Dymitrow pouczali swoje kompartie o konieczności zawarcia pokoju z hitlerowcami, a nawet o potrzebie okazania im poparcia. No, tu już nie poradzi, to dyalektyka!

odbywa się apel, sprawdzają akta. „Czy partyjny?” — pyta rzekomo komendant. (Dla jakich idiotów to pisane? Gdzie w aktach więziennych jest rubryka, dotycząca członkostwa partii?!). „Członek WKP(b)” — odpowiada Szelest na pytanie, postawione, jak widać, w samą porę.

I tu trzeba przyznać, że zwierzchnicy — zarówno ci od Dzierżyńskiego, jak ci od Berii — takich oświadczeń nie zwykli puszczać mimo uszu. I jakoś takich ludzi *urządzają*. Czy aby nie było jakiejś dyrektywy — na piśmie, albo chociaż ustnej — żeby komunistom zapewniać znośniejsze warunki? Bo nawet w okresach najsurowszego tępienia Pięćdziesiątki Ósemki, gdy nie tolerowano jej na żadnej funkcji, wybitni niegdyś komuniści jakimś cudem zachowywali swoje stanowiska. (Przykładem — Krasłag. Były członek Rady Wojennej Północno-Kaukaskiego Okręgu Wojskowego, Arałow utrzymał się na stanowisku brygadzysty ogrodników, były kombryg Iwanczyk — nie przestał być brygadzystą grupy obsługującej domki naczelników, były sekretarz Komitetu Stołecznego partii, Diedkow — też siedział na jakiejś synekurze). Zresztą — bez żadnych dyrektyw działała tu zwykła solidarność i refleksja — że „dzisiaj ty, a jutro ja”, co w sumie skłaniało emwudzystów do troszczenia się o los prawowitnych.

Ostatecznie więc władza starała się nie zapominać o ortodoksach i w rezultacie stanowili oni w obozie warstwę uprzywilejowaną, o dość mocnej pozycji. (Nie dotyczyło to szeregowych, skromnych komunistów, którzy nie latali do przełożonych z deklaracjami wierności).

Ałdan-Siemionow z całą naiwnością tak właśnie pisze: komuniści-zwierzchnicy starają się kierować komunistów-więźniów do prac lżejszych. Diakow też nic nie ukrywa: nowoprzybyły Rom oznajmia komendantowi szpitala, że jest starym bolszewikiem. I zostaje od razu posługaczem w sanitariacie — a jest to funkcja godna zazdrości. Również Todorski może spokojnie pełnić rolę sanitariusza, bo komendant obozu ujmuje się za nim.

Ale przypadek najbardziej jaskrawy opisany został przez G. Szelesta w „Kołymskich notatkach<sup>10</sup>”. Przybył do obozu jakiś nowy, wybitny emwudzista i więzień Zaborski rozpoznaje w nim swego byłego komkora, dowódcę korpusu z okresu wojny domowej. Rozczulili się obydwaj. No, prosz — o co chcesz! I Zaborski zgadza się na „dożywianie w kuchni i pobieranie chleba wedle potrzeb” (to znaczy, że godzi się jeść kosztem robocizny, bo nowych norm żywienia nikt dla niego specjalnie nie wymyśli) a prosi tylko o jedno: o sześciotomowe wydanie Lenina,

10. *Znamia*, 1964, Nr 9.



aby móc czytać wieczorami przy kaganku. Tak też się dzieje. We dnie zajada sobie kradzione porcje, a wieczorem czytuje Lenina! Tak oto — z całą szczerością i satysfakcją pieje się tu hymn podłości.

U tegoż Szelesta jakieś mityczne „nielegalne politbiuro” brygady (nie za wysoko aby mierzy?) zdobywa poza kolejką i bochen chleba z krajalni, i miskę owsianej kaszy. A więc — wszędzie mieli znajomych pryduków? Prawomyślność swoją drogą, a jak można, to się kradnie, prawda?

Tenże Szelest formułuje wniosek końcowy:

„Jedni zdołali przetrwać dzięki *sile ducha* (np. ortodoksi, kradnący kaszę i chleb — A.S.) inni zaś — dzięki dodatkowej misce kaszy owsianej (jak Iwan Denisowicz)<sup>11</sup>”.

A niechże i tak będzie. Iwan Denisowicz nie miał znajomości wśród pryduków. Powiedzcie no — a te kamuszki? Kto ścianę wymurował z tych kamuszków, co? Może wy, kamienne łby?

### C. Stosunek do pracy.

Ortodoksi są na ogół fanatykami pracy (wicenarkom Ejche\*, gorączkując w tyfusowej malignie, odzyskiwał na chwilę spokój dopiero wtedy, gdy pielęgniarki udawało się go przekonać, że depesze w sprawie rezerw zbożowych już zostały wysłane). W zasadzie uważają też, że praca przymusowa w obozie — to rzecz słuszna, bo potrzebna dla zbudowania komunizmu; gdyby nie praca, to jaki cel miałyby karmienie bałandą całej tej zgrai areztantów? Dlatego też sądzą, że tych, co pracować nie chcą, wolno bić, wsadzać do bunkra, a podczas wojny — również stawiać pod murem. Nic niemoralnego nie widzą też w pełnieniu funkcji dyspozytora, brygadzysty, każdej zresztą, polegającej na przynagłaniu i poszturchiwaniu innych (pod tym względem różnią się od tzw. „porządnych złodziei”, przypominają natomiast tzw. „zepsiałych”).

Na przykład: Helena Nikitina, ongiś — sekretarz kijowskiego komitetu komsomołu była brygadzystką przy wycinaniu lasu. Opowiadają, że okradała własną brygadę (złożoną wyłącznie z Pięćdziesiątki Ósemki), prowadząc handel zamienny z knajakami. Lusja Dżaparidze (córka komisarza z Baku) chcąc wykupić się od pracy dawała jej czekoladę z paczek. Za to anarchistki, Tatiany Garasjewej, pani brygadzystka przez trzy doby nie wypuszczała z lasu, póki nie wystąpiły ciężkie odmrozenia.

Prochorow-Pustowier, również bolszewik, chociaż bezpartyj-

11. *Zabajkałskij roboczyj* — 27. VIII. 1919.

\* Patrz poufny raport Chruszczowa na XX Zjeździe KPZS.

ny, dokonuje odkrycia: więźniowie umyślnie nie wykonują normy — więc melduje o tym zwierzchności; winowajcy zostają ukarani. Na wymówki ze strony innych więźniów, że przecież trzeba rozumieć to i owo, że chodzi o pracę niewolniczą — Pustowier taką znajduje odpowiedź: „Dziwna filozofia! W krajach kapitalistycznych, owszem, robotnicy zwalczają pracę niewolniczą, ale my, choć jesteśmy niewolnikami, przecież naszą pracą wzbogacamy nie prywaciarzy, tylko państwo socjalistyczne. Ci biurokraci tylko chwilowo (?) są u władzy, wystarczy, że lud raz tylko tupnie — a zlecą ze swoich stołków. Ludowe państwo natomiast — istnieć będzie dalej”.

Mentalność ortodoksy — to istny matecznik. Żywy człowiek nie potrafi z kimś takim się porozumieć.

Tylko i wyłącznie dla siebie samych warują prawomyślni pewien obszar wyłączony: jedynie ich nie należało w obozach posyłać na roboty ogólne, jako że w takim wypadku trudno by im było przetrwać — aby móc później owocnie i skutecznie rządzić ludem sowieckim. Zresztą — w samym obozie też by im trudno było wtedy oddawać się *pracy koncepcyjnej* — to znaczy, zbierając się stadkami, powtarzać w kółko, że rację ma towarzysz Stalin, towarzysz Mołotow, towarzysz Beria i cała partia w ogóle.

Dlatego też — ze wszystkich sił, licząc na życzliwość obozowej władzy i dyskretną pomoc innych towarzyszy, prawowierni starają się otrzymać jakąś funkcję, najlepiej taką, która nie wymaga fachowości (bo nikt z nich nie zna żadnego fachu ani rzemiosła) i pozwala człowiekowi trzymać się jak najdalej od obozowych hałasów i swarów. W ten sposób niejeden się urządził: Zacharow (mistrz Malenkowa) — został magazynierem w składzie rzeczy osobistych; wspomniany wyżej Zaborski (czy to nie sam Szelest?) — został kierownikiem działu zaopatrzenia w odzież roboczą; osławiony Todorski — znalazł sobie zajęcie w dziale zdrowia; Konokotin — został felczerem (choć nigdy felczerem nie był); Sieriebriakowa — została pielęgniarką (choć nigdy nie pracowała w lecznictwie). Prydurkiem był również Ałdan-Siemionow.

Obozowy życiorys Diakowa, największego pyskacza pośród prawomyślnych, napisany został przez niego samego i naprawdę godzien jest podziwu. W ciągu pięcioletniej odsiadki udało mu się wyjść poza zonę *tylko raz* — i to jedynie na pół dnia. W ciągu tego pół dnia przepracował on wszystkiego *pół godziny*, rąbiąc chrust. Mimo to znalazł się strażnik, który mu powiedział: zmęczyłeś się, odpocznij trochę. Pół godziny w ciągu pięciu lat! Nie każdemu to się udaje! Przez jakiś czas markierował na

rachunek ruptury, później ratował się fistułą, która z tej ruptury się wzięła — ale na 5 lat tego starczyć nie mogło, do licha! Żeby dostać się na takie błogosławione funkcje, jak — statystyk w dziale zdrowia, bibliotekarz KO, czy magazynier w składzie efektów osobistych — i utrzymać się na nich *przez cały okres kary* — nie dość dać komuś kawałek słoniny; trzeba zapewne własną duszę oddać *kumowi* w zastaw, niech starzy łagrowcy zaświadczą. Ale Diakow nie był prydurkiem zwykłym, lecz wojowniczym. W pierwszym wariancie swojej powieści<sup>12</sup>, zanim publicznie mu tego nie wytknięto<sup>13</sup> — bardzo gładko uzasadniał on, dlaczego mądry człowiek powinien unikać tego, co jest udziałem pospolitych śmiertelników („kombinacja szachowa”, „roszarda” — tak nazywał on wystawianie na sztych kogoś innego zamiast siebie). I taki człowiek podejmuje się teraz roli czołowego eksperta od zagadnień życia obozowego!

G. Sieriebrakowa kreśli swój życiorys obozowy ostrożnie, linią przerywaną. Są ponoć poważne, a obciążające ją świadectwa. Nie miałem możliwości ich sprawdzenia.

Ale nie sami tylko autorzy, lecz również wszyscy inni prawomyślni, opiewani przez ten zgodny chór — pokazani są poza procesem ciężkiej pracy — albo w szpitalu, albo wśród pryduków, tam też prowadzą swoje obskuranckie (tyle, że trochę uwspółcześnione) dyskusje. Tu pisarze wcale nie kłamią: po prostu nie starczyło im fantazji, aby te kamienne łby pokazać przy robocie, z której społeczeństwo mogłoby mieć, jakiś pożytek. (I jak to pokazać skoroś sam, człowieku, nigdy nie harował?).

#### D. Stosunek do sprawy ucieczek.

Sami prawowierni nigdy nie próbują ucieczki: byłby to przecież akt walki z ustalonym porządkiem, cios dla MWD, a zatem — atak na ustrój sowiecki. Prócz tego — ortodoksa nigdy nie zapomina, że gdzieś w wyższych instancjach cyrkulują dwie-trzy jego prośby o ułaskawienie, ucieczka więc mogłaby być tam, w górze, uznana za dowód braku należytej cierpliwości, czy nawet — zaufania do kierownictwa!

Zresztą — *nie potrzebna* była prawomyślnym w obozie bezprzymiotnikowa, ludzka wolność, ptasia swoboda! Prawda musi być wszak konkretna! — wolność więc potrzebna im była tylko o tyle, o ile dostawali ją z rąk państwa, w majestacie prawa, z pieczętką, z przywróceniem dawnej pozycji i przywilejów! — bo bez tego wszystkiego — na co wolność zda się?

12. *Zwiewda*, 1963, Nr 3.

13. *Nowyj mir*, 1964, Nr 1, artykuł Łakszyna.

No, a skoro sami już nie uciekali — to przecież nie mogli aprobować ucieczek, przedsięwziętych przez innych więźniów, widząc w nich próby podważenia systemu MWD i gospodarki narodowej.

Skoro zaś ucieczki tak są szkodliwe, to chyba wolno przypuszczać, że prawomyślny bolszewik — jeśli o czymś się dowie — uzna za swój obowiązek obywatelski doniesienie o tym pełnomocnikowi operacyjnemu MWD? To logiczne?

A byli wśród nich przecież dawni konspiratorzy i dzielni żołnierze z czasów wojny domowej! Ale wyznawany dogmat przekształcił ich w polityczną hałastrę...

#### *E. Stosunek do innych skazanych z artykułu 58.*

Od innych towarzyszy niedoli starali się trzymać z dala — wszelka poufałość byłaby czymś antypartyjnym. Skrycie, wśród swoich — ale czasem całkiem otwarcie (bo niczym nie ryzykowali) przeciwstawiali siebie całej brudnej reszcie Pięćdziesiątki Ósemki, starali się odseparować od niej, i tym samym — oczyścić się. Toć stali na czele tej prymitywnej rzeszy tam, na wolności — i nie pozwalali jej wtedy gęby otworzyć. Tutaj zaś, we wspólnych celach poddani tym samym rygorom — wcale nie czuli się przez tych prostaków zdominowani i wciąż na nich pokrzykiwali: „Dobrze wam tak, łajdaki! Wszyscyście tylko udawali porządnych obywateli! Jesteście wrogami ustroju i wpakowano was tu za służenie! Wszystko rozwija się prawidłowo! Wszystko zmierza do naszego ostatecznego tryumfu!” (I tylko mnie aresztowano bezpodstawnie).

Fakt, że ich więzienne monologi nie spotykały się z repliką (administracja zawsze stoi po stronie ortodoksów, kontra zaś nie śmie nawet pisnąć, bo drugi wyrok grozi) — prawomyślni całkiem na serio przypisywali niezwykłej sile ich doktryny<sup>14</sup>.

Całą Pięćdziesiątkę Ósemkę — wyjąwszy sobie równych — traktowali ortodoksi z nieukrywaną pogardą, a w istocie — z klasyczną nienawiścią klasową. Diakow: „Ze zgrozą uświadomiłem sobie, z kim tu siedzimy?”. Konokotin nie chce zrobić zastrzyku choremu własowcowi (choć jest to jego obowiązkiem, jako felczera!) natomiast ofiarnie daje własną krew, gdy trzeba przetoczyć ją choremu konwojentowi. (Ich lekarz — woliński, Barinow, też powiada: „przede wszystkim jestem czekistą,

14. Ale w obozie zdarzał się też całkiem odmienny stosunek sił. Pewien byłby prokurator, siedzący w Unżłagu, całe lata musiał udawać nawiedzzonego. Tylko ten wybieg uratował go przed samosądem (siedzieli z nim jego „chrześniacy”).

dopiero później — lekarzem". To jest medycyna, co się zowie!). Teraz dopiero rozumie się, dlaczego w szpitalu — jak powiada Diakow — „powinni pracować dobrani, uczciwi ludzie”: żeby wiedzieć, komu należy się zastrzyk, a komu nie.

I nienawiść tę wcielali oni w życie (bo jak można, i po co właściwie — dusić w sobie nienawiść klasową?). Szelest notuje, że profesor Samuel Gendal (zapewne wykładowca prawa bolszewickiego), widząc, że więźniowie z Kaukazu nie chcą wyjść do pracy, od razu podrzuca odpowiednią formułkę: to na pewno mułła namawia ich do sabotażu.

#### F. Stosunek do donosicielstwa.

Podobnie, jak wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, tak też wszystkie wymienione wyżej punkty prowadzą do przypuszczenia, że prawomyślni nie mogą odmawiać współpracy z najlepszym i najserdeczniejszym z obozowych dostojników, mianowicie, z pełnomocnikiem operacyjnym bezpieczeństwa. W ich sytuacji — jest to najpewniejszy sposób okazania poparcia partii, rządowi i NKWD.

Ponadto — jest to metoda najkorzystniejsza, bo wiąże więźnia ze zwierzchnością najmocniej. Kto wyświadcza kumowi usługi, ten bywa nagradzany. A tylko z pomocą kuma można latami siedzieć w zonie na intratnym stanowisku.

... W pewnej książce o obozie, należącej do tejże fali ortodoksyjnej<sup>15</sup>, ulubieniec autora, bohater arcypozytywny, bolszewik Kratow, trzyma się w obozie dwóch następujących zasad: 1) przetrwać za wszelką cenę, przystosować się do każdych warunków; 2) niech donosicielami zostają porządni ludzie — bo inaczej zajmą się tym łotry.

Gdyby nawet ortodoksa uparł się i nie zechciał wysługiwać się kumowi, to i tak trudno mu ominąć ten próg. Jeśli prawomyślny głosi gromko swoje przekonania, o p e r nie omieszką uprzejmie go zaprosić, aby zadać ojcowskimi tonem sławetne pytanie: „Czy uważacie się za człowieka sowieckiego?”. Prawomyślny nie może odpowiedzieć — że nie. Powiada więc — „tak”.

Skoro zaś — „tak”, to prosimy o współpracę, towarzyszu. Nic wam przecież nie przeszkadza<sup>16</sup>.

Tylko, że teraz wstyd przyznać się otwarcie do tej współpracy i trzeba jakoś wносить poprawki do prawdziwej historii obozów. Nie zawsze wpadali oni w sposób tak prosty, jak Liza

15. Wiktor Wiatkin, *Człowiek rodzi się dwa razy*, Cz. II, Magadan, 1964.

16. Iwanow-Razumnik pisze we wspomnieniach, że w Butyrkach, w ich celi zdemaskowano po kolei trzech kapusiów — i okazało się, że wszyscy trzej są byłymi członkami partii bolszewickiej.

Kotik, która zgubiła kartkę z donosem. Czasem wygada się któryś, że o p e r Sokowikow — w trybie przyjacielskiej przysługi — wysyłał listy Diakowa ponad głową obozowej cenzury; i tylko nie przyzna się zarazem — *za co* takie fawory? *skąd* taka przyjaźń? Albo napisze taki, że o p e r Jakowlew odradzał Todorowskiemu otwartego przyznawania się do komunistycznych przekonań, a nie wyjaśni zarazem — *dłaczego* mu na tym zależało? Skąd ta troska?

Ale to zjawisko przejściowe. Już nie za górami ten szczęsny dzień, gdy można będzie zrzucić brzemię z grzbietu i głośno się przyznać:

— Tak! Byliśmy kapusiami i jesteśmy z tego dumni<sup>17</sup>!

A wreszcie — na co się zdał ten rozdział? Po kiego licha cały ten długi przegląd i analiza zjawiska prawomyślności? Zamiast tego wystarczyłoby napisać wołowymi literami:

### JANOS KADAR i WŁADYSŁAW GOMUŁKA<sup>18</sup>

Obu aresztowano bezprawnie i poddano katuszom podczas śledztwa, obaj odsiedzieli tyle, a tyle lat.

Cały świat przekonał się, czego ich to nauczyło. Cały świat wie, co są warci.

---

17. Napisałem to w pierwszych miesiącach 1966 roku a już pod jego koniec przeczytałem w miesięczniku *Oktiabr* (Nr 9) artykuł K. Bukowskiego. Już się stało. Już się tym głośno chlubią.

18. Teraz można dodać jeszcze Gustawa Husaka. (Uwaga z roku 1972).

## Rozdział dwunasty

### KAP — KAP — KAP...

Czeka — GeBe (tak chyba — dźwięcznie, praktycznie i skrótowo — należałoby nazywać tę instytucję, chcąc zarazem dać pojęcie o jej rozwoju historycznym) stałaby się ślepa i głucha jak pień, niezdolna do sprawowania opieki nad naszym narodem, gdyby nie miała wszędzie możliwości stałego wglądu i nie uprawiała stale podsłuchu. W naszej postępowej technicznie epoce — oczy częściowo zastąpione są już przez fotoaparaty i fotokomórki, uszy zaś — przez mikrofony, magnetofony i laserowe aparaty podsłuchowe. Ale w latach, do których ta książka się odnosi, jedynymi prawie oczyma i uszami CzKGB — byli szpicle, czyli kapusie.

W latach młodości Czeki zwano ich rzeczowo: konfidenti, współpracownicy tajni\* (w odróżnieniu od etatowych, jawnych). W zgodzie z ówczesną modą, wprowadzono skrót tej nazwy, brzmiał on *seksot* — i w tej postaci zaczął być powszechnie używany. Ten, kto ów skrót wymyślił (a nie zakładał widocznie, że tak się upowszechni i że nie upilnują go wtajemniczeni) nie był obdarzony słuchem zbyt subtelnym i nieuprzedzonym, nie wyczuł już w samym brzmieniu tego słowa brudnych skojarzeń, czegoś plugawego, sromotniejszego od sodomii. W miarę upływu lat słowo to podbiegło żółtawo-burą ropą zdrady — i w całym języku rosyjskim nie było już wyrazu obrzydliwszego.

Ale był w użyciu tylko wśród ludzi wolnych. Archipeląg miał własne terminy: w więzieniu — „kwoka”, „ligawy”, w obozie — „szpicel”, „kapus”\*. Wiele wyrażen zrodzonych na Archi-

\* Po rosyjsku: *sekretnyj sotrudnik*.

\* Po rosyjsku: „stukacz”.



pelagu, wyrwało się na szerokie rozłogi języka rosyjskiego i rozbiegło się po całym kraju; podobnie też „kapuś” stał się z biegiem czasu pojęciem powszechnie stosowanym. Znalazła w tym odbicie jednoznaczność i powszechność samego zjawiska donosicielstwa.

Bez odpowiedniego doświadczenia i rozeznania trudno oszacować do jakiego stopnia nasze społeczeństwo przeżarte jest i oplecione donosicielstwem. Podobnie, jeśli nie ma się pod ręką tranzystora, nie sposób odczuć, że wszędzie — w polu, w lesie, na jeziorze — przenikają nas całe snopy fal radiowych.

Trudno przywyknąć do ciągłego zastanawiania się — *a kto u nas szpicluje?* U nas w mieszkaniu, u nas w biurze konstrukcyjnym, a nawet — u nas w milicji. Trudno się przyzwyczaić i mdło się robi na samą myśl, ale to niezbędne dla własnego bezpieczeństwa. Donosicieli nie sposób wyrzucić, nie sposób się ich pozbyć, bo i tak ściągną nowych na ich miejsce. Ale *znać* ich trzeba: czasem po to, aby mieć się przy nich na baczności; czasem — aby móc przy nich *łać w o d ę*, kształtując odpowiednio swój obraz w ich oczach; czasem zaś — aby móc otwarcie poróżnić się z kapusiem i tym samym pozbawić wartości jego donosy na nasz temat.

Jak gęsta jest sieć donosicieli — o tym opowiemy w osobnym rozdziale, gdzie mowa będzie o *świecie wolniaków*. Wielu z nas czuje, że sieć to gęsta, ale nie potrafimy wyobrazić sobie rysów poszczególnych szpiclów, zajrzeć w te zwykłe ludzkie twarze. Dlatego sieć wydaje się jeszcze bardziej tajemnicza i straszna, niż to jest w samej rzeczy. A tymczasem — donosicielką jest choćby ta miła pani Anna, która po sąsiedzku wpadła do was po szczyptę drożdży i już pobiegła na umówione miejsce (może to sklep, a może apteka) z raporczykiem, że zastała u was osobę niemeldowaną. Swój chłopak, Iwan Nikiforowicz, z którym gólnieście sobie po 200 gramów gołdy — też już zdążył „nakapać” o tym jakieś pomstował, że w sklepach pustki, a panowie naczelnicy wszystko dostają boczkim. Nie znasz delatorów osobicie — więc potem nie możesz zrozumieć, skąd wiedzą wszechobecne organy, że przy chóralnym śpiewie „Pieśni o Stalinie” ty ruszałeś tylko ustami, ale głosu nie wydawałeś? albo, że nie przejawiałeś należytej radości w uroczystym dniu 7-go listopada? Jak więc cię podglądają, gdzie są właściwie te baczne i palące oczy szpicla? Otóż te oczy mogą równie dobrze iskrzyć się błękitem, jak zachodzić starczymi łzami. Wcale nie muszą lśnić ponurym blaskiem nikkzemności. Nie spodziewajcie się wcale, że donosiciel musi koniecznie być łotrem o wstręt budzącej powierzchowności. Jest to normalny człowiek, taki jak ty, lub ja, w miarę

dobry, w miarę zły i zawistny, odznaczający się tymi wszystkimi słabościami, które czynią nas łatwą zdobyczą dla pajaków. Gdyby donosiciele rekrutowano na ochotnika, na zasadzie entuzjazmu, to niewielu by ich zwerbowano (może tylko w 20-tych latach). Ale rekrutuje się ich przez uwikłanie w sieci, przez zagarnięcie — i to własna słabość skazuje człowieka na tę haniebną służbę. I ci nawet, którzy szczerze pragną zerwać z siebie lepłą pajęczynę, tę drugą skórę — nie mogą już, nie mogą.

Cała atmosfera naszego kraju sprzyja procederowi werbunku. Jest bodźcem fakt — że to, co państwowe — ważniejsze jest od tego, co prywatne. I to, że Pawełek Morozow był bohaterem. I to, że donos wcale nie jest donosem, tylko sposobem okazania pomocy temu, na kogo został złożony. Werbunek spleta się z ideologią jak w koronce: toż Organy chcą tylko tego, czego chcieć powinien rekrutowany właśnie osobnik, mianowicie — coraz pomysłniejszego rozwoju naszej ojczyzny, kroczącej drogą do socjalizmu.

Techniczna strona werbunku jest bez zarzutu. Wypada załować, że nasze kryminalne komiksy nie opisują stosowanych tu chwytów. Werbownicy funkcjonują w punktach propagandy przedwyborczej. Werbownicy czynni są przy katedrach marksizmu-leninizmu. Dostajesz wezwanie: — „tam zasiada jakaś komisja, proszą was na chwilę”. Werbownicy zjawiają się w jednostce wojskowej, dopiero co ściągniętej na odpoczynek z pierwszej linii frontu: przyjeżdża facet ze SMIERSZ'a i po kolei wzywa do siebie połowę twojej kompanii. Z częścią żołnierzy ogranicza się tylko do rozmów o pogodzie i o kaszy, ale niektórym każe śledzić własnych kolegów i dowódców. — Siedzi w swojej klitce rzemieślnik, reperuje galanterię skórzaną. Wchodzi jakiś sympatyczny jegomość: „czy mógłby pan przymocować mi tę sprzączkę?”. A potem — szeptem: „zamkniecie teraz warsztat — wyjdziecie na ulicę, stoi tam już auto, numer rejestracyjny 37-48, otworzycie śmiało drzwiczki, wsiądziecie i będziecie zawiezieni pod właściwy adres”. (A co dalej — to wiadomo: „Uważacie się za człowieka sowieckiego? więc powinniście nam pomóc”). Bo taki warsztat — to świetny punkt zborny dla donosów! A dla osobistych spotkań z pełnomocnikiem operacyjnym — mieszkanie Sidorowów, drugie piętro, dzwonić trzy razy, od szóstej do ósmej, co wieczór.

Poezja werbunku donosiciele nie doczekała się jeszcze godnego pióra. Istnieje życie widzialne — ale jest też życie niedostępne oku. Pajęcze nici naciągnięte są wszędzie i nie czujemy wcale, jak oplątują nas przy każdym ruchu.

Komplet narzędzi werbownika — to komplet wytrychów: Nr 1, Nr 2, Nr 3. Oto Nr 1: „uważacie się za człowieka sowieckiego?”. Nr 2: obiecać załatwienie tego, o co delikwent ubiega się w trybie urzędowym — już od lat i bez skutku. Nr 3: dotknąć słabego punktu, zagrozić czymś, czego facet najbardziej się obawia. Nr 4...

Ale wystarczy czasem nieduży nacisk. Wezwany zostaje niejaki A. G., wiadomo, że z charakteru to mazgaj i niedorajda. Więc z punktu: „Wypiszcie mi tu listę waszych antysowiecko nastawionych znajomych”. Zaskoczony A. G. zupełnie się stropił: „Nie mam pewności...”. Nie zerwie się, nie rąbnie pięścią w stół: „Jak wy w ogóle śmiecie?!”. (Ale kto tam u nas pięścią rąbnie? Po co te fantazje?...) — „Ach, nie macie pewności? — wobec tego dajcie nam tu listę osób, za które możecie ręczyć, że to stuprocentowo sowieccy ludzie. Ale takich, za których możecie ręczyć! Jeśli chociaż jeden okaże się nie na poziomie — to sami też pójście do paki! Czemu nie piszecie?”. — „Ja... ja nie mogę ręczyć”. — „Ach, nie możecie? A więc wiecie, że to antysowieckie elementy. Piszcie zatem, którzy to!”. Tak oto poci się, dręczy, męczy nasz A. G., poczciwy, bezgrzeszny królik z duszyczką zbyt miękką, ulepioną jeszcze przed rewolucją. Całkiem szczerze zaakceptował to ultimatum, godzące w niego jak nóż: albo napisać, że to ludzie sowieccy, albo że — antysowieccy. Nie znalazł trzeciego wyjścia.

Z kamieniami daliby sobie radę, a co dopiero z ludźmi.

Na wolności — wytrychów musi być więcej, bo życie tam też jest bardziej urozmaicone. W obozie stosuje się najprostsze — bo też życie tu niejako uproszczone, całe jak na dłoni, znany jest wykrój fryzu i wymiary dziurki od klucza. Nr 1, rzecz jasna, tu też ma zastosowanie: „uważacie się za człowieka sowieckiego?”. Daje się to świetnie zaaplikować do prawomyślnych; rympał wchodzi gładko w zatrzask, kozibok obraca się lekko. Nr 2 też funkcjonuje bez pudła: obietnica przeniesienia z *ogólnych*, urzędzenia w zonie, przydzielenia dodatkowej porcji kaszy, jakiejś zapłaty, skrócenia kary. Wszystko to — życie, każdy taki stopień — to szansa przetrwania! (Podczas wojny kapusiowanie bardzo zeszło na psy: rzeczy zdrożały, ludzie potanieli. *Sypano* nawet za paczkę machorki). A Nr 3 działa jeszcze skuteczniej: usuniemy cię z funkcji! pošlemy do łopaty! przeniesiemy do karnego obozu! Każdy z tych stopni prowadzi prosto do grobu. I nawet ten, którego nie da się skusić kawałkiem chleba, może się załamać i błagać o łaskę, jeśli czuje że spychają go do przepaści.

Nie znaczy to, że w obozie nie mają już żadnego zastosowania subtelniejsze chwyt. Czasami trzeba nawet pewnego sprytu, aby zrobić swoje. Majorowi Szykinowi bardzo zależało na skompletowaniu zarzutów przeciw więźniowi Hercenbergowi, który był Żydem. Major sądził nie bez podstaw, że materiałów obciążających dostarczyć mu może Anton, siedemnastoletni, naiwny niemiecki chłopak. Szykin wezwał Antona i zabrał się do podsycania w nim tego — co zostawiło hitlerowskie wychowanie. Przypomniał mu, jaki to ohydny naród, ci Żydzi, i jak doprowadzili oni do zguby Wielkie Niemcy. Anton zapłonął z oburzenia — i sygnął Hercenberga. (Czy — w innych nieco warunkach — komunistą i czekistą Szykin nie stałby się wzorowym śledczym w Gestapo? Dlaczego nie?).

Albo na przykład Aleksander Filipowicz Stiepowoj. Przed aresztowaniem był żołnierzem wojsk wewnętrznych MWD. Wyrok dostał z artykułu 58-go<sup>1</sup>. Nie był żadnym ortodoksem, w ogóle — to chłopak prosty; w obozie zaczął wstydić się swojej służby i, zdając sobie sprawę z ryzyka, dokładał starań, aby nikt się o tym nie dowiedział. Jak tu takiego wciągnąć do roboty? Oto jak: powiemy wszystkim, że jesteś „czekistą”. Własnym sztandarem też się podetrą, byle tylko wpłatać człowieka! (Stiepowoj zapewnia, że się jednak oparł).

Ten i ów, jak to powiadają, *z ciesiótką nie jest za pan brat — lecz trumnę sklecić zawsze rad*. Tacy nie mają skrupułów.

---

1. Nie będą miał innej okazji do powiedzenia dziejów jego aresztowania. Zmobilizowano chłopca do armii i posłano do wojsk wewnętrznych MWD. Z początku — do walki z banderowcami. Konfidenti donosili, kiedy Ukraińcy mają zamiar iść z lasu do cerkwi na mszę. Otaczano wtedy cerkiew i wyłapywano ich po nabożeństwie, identyfikując według fotografii. Później służył (bez munduru) w oddziale ochrony sowieckich deputatów na Litwie, gdy trzeba było jeździć w teren przed wyborami. („Jeden to był taki odważny, zawsze chciał jeździć bez eskorty!”). Później — pilnował jakiegoś mostu w okolicach miasta Gorkij. Gdy zaczęto ich gorzej żywić — w oddziale wybuchł bunt, więc posłano ich za karę na granicę turecką. Ale Stiepowoj już w tym okresie siedział. Lubił rysować, nie oszczędzał nawet okładek podręcznika wychowania politycznego. Narysował kiedyś świnkę, a ktoś mu z boku podpowiedział: „A Stalina też byś mógł?” A mógłbym. I narysował obok Stalina. A zeszyt oddał do sprawdzenia nauczycielowi. Już tego byłoby dość, aby wsadzić chłopaka, ale Stiepowoj na ostrym strzelaniu, w obecności generała, trafił w dziesiątkę siedem razy na siedem z dystansu 400 metrów. Dostał więc urlop i pojechał do domu. Po powrocie zaczął opowiadać kolegom, że drzew owocowych już w ogóle nie ma, trzeba było samemu zrybać, bo takie cholerne podatki. Sąd wojenny. Jeszcze na rozprawie krzyczał: „Ach, wy podleczy! Jeżeli jestem wrogiem ludu, to dlaczego mnie nie sądzicie publicznie, przed całym ludem, tylko się chowacie?”. Potem przyszły obozy: Buriepołom i Krasnaja Glinka (ciężki obóz z obostrzonym reżymem, kopanie tuneli, sama Pięćdziesiątka Osemka).

Na innych zaś — trzeba parę razy zarzucić wędkę: zeżrą przyętę, nie tkną haczyka. Kto się wykręca — że niby trudno mu ręczyć za ścisłość informacji — ten słyszy odpowiedź: „Informuj, jak leci, my już sami sprawdzimy!”. „Ale — jeżeli nie mam żadnej pewności?”. „Tak może mówić tylko wróg!”. W końcu wyjaśniają mu bez owijania w bawełnę: „Nam wystarczy pięć procent prawdy, resztę możesz brać z sufitu”. (Relacja z Obozów Dzydyskich).

Ale czasem k u m<sup>2</sup> też już goni resztką sił, a rybka nie chce brać ani za trzecim, ani za piątym razem. Zdarza to się rzadko, ale się zdarza. W takim wypadku kumowi nie pozostaje nic innego, jak zarzucenie zapasowego arkanu: daje do podpisu „zobowiązanie do nierozpowiadania”. Nigdzie — ani w konstytucji, ani w kodeksie, nie jest powiedziane, że takie świstki w ogóle istnieją, że musimy je podpisywać — ale przyzwyczailiśmy się już do wszystkiego. Jak zdobyć się, nawet tu, na odmowę? Ten podpis składają więc wszyscy bez wyjątku. (A tymczasem, gdybyśmy nie podpisywali, gdybyśmy — tuż za progiem, wszem wobec i każdemu z osobna — opowiedzieli o rozmowie z *kumem*, rozwiątały się jak dym nieczysta siła Trzeciego Oddziału, toć na naszym tchórzostwie trzyma się cała tajność, cała ich moc!). I w aktach więźnia zjawia się notatka najbardziej fortunna, uwalniająca od koszmaru: „nie zachęcać do współpracy!”. Jest to jubilerska próba „96” lub co najmniej — „84”, ale nie prędko dowiemy się o jej przyznaniu, jeśli w ogóle przetrwamy z nią obóz. Odgadniemy, że nam ją dano — bo pocujemy, że spływa z nas brud i że więcej nas się nie ima.

Jednakże — najczęściej akcja werbunkowa kończy się sukcesem kuma. Całkiem po prostu i brutalnie — cisną, cisną tak że ani prośba, ani groźba człowieka nie uratuje.

I wkrótce — zwerbowany przynosi pierwszy donos.

I w rezultacie — zaciąga się na czymś gardle stryk drugiego wyroku. To najczęstszy skutek.

I donosicielstwo staje się w ten sposób najostrzejszą formą walki wewnętrznej w obozie: „ja zdechnę jutro, ale ty już dziś!”.

Na *wolności* przez całe pół wieku — czy przez lat czterdzieści — szpiclowanie było zajęciem zupełnie pozbawionym ryzyka: nie

---

2. W słowniku Włodzimierza Dala pod hasłem „kum” znajdujemy następujące objaśnienie: „Osoba złączona pokrewieństwem duchowym. rodzic chrzestny”. A zatem — przeniesienie tej nazwy na obozowego opera — było operacją bardzo celną i wierną duchowi języka. Tyle, że przeprowadzoną z typowym dla zeków ironicznym uśmiechem.

było mowy o żadnym odwecie ze strony społeczeństwa, o zde-maskowaniu czy karze.

W obozach — nieco inne panowały stosunki. Czytelnik przypomina sobie może, jak to sołowiecka Administracja demaskowała szpiclów i zsyłała na wyspę Kondostrow. Przez następne dziesięciolecia zdawać się mogło — że donosiciele pędzą życie jedwabne i niefrasobliwe.

Ale — tu i ówdzie, choć z rzadka, niemniej jednak — tworzyły się grupki energicznych zeków, zdecydowanych na kontynuację sołowieckich tradycji, nawet w skryty sposób. Czasami udawało im się ubić kapusia — pozorując samosąd rozwścieczonego tłumu nad złodziejem, przyłapanym na gorącym uczynku (samosądy takie są w obozach uważane za rzecz niemal uświęconą prawem). Czasami (IOŁP Wiatłagu — lata wojny) promi-nenci z pionu produkcji zwalniali administracyjnie ze swojego obiektu najbardziej uprzykrzonych kapusiów „ze względu na wymogi procesu wytwórczego”. Tu o p e r miał już niewiele do gadania. Inni szpicle chwyтали moral w lot — i kładli uszy po sobie.

Wielkie nadzieje pokładano we frontowcach — ci dopiero wezmą się za szpiclów! Niestety, zesłańcy z frontu rychło rozczarowali starych łagrowców: wszystkie te zabijaki, ci zwiadowcy i kanonierzy zaraz kiśli i robili się do niczego, ledwie wyrwano ich z szeregów.

Długo jeszcze kołysać się musiało serce dzwonu, odmierzając bezgłośnie tętno czasu, nim na Archipelagu wybić miała czarna godzina dla szpiclów.



Pisząc ten rozdział czuję, że brak mi materiału. Nie bardzo jakoś chętnie zwierzają mi się łagrowcy, jak ich namawiano do szpiclowania. Opowiem więc o własnych doświadczeniach.

Dopiero po niewczasie, mając już obozowe doświadczenia na karku, rzuciłem okiem wstecz — na przebytą już drogę i zrozumiałem, jak marne i nędzne były pierwsze moje kroki. Tkwiąc jeszcze w oficerskiej skórze, zdążyłem się być przyzwyczajai do niezastężonego górowania nad otoczeniem, więc również w obozie pchałem się wciąż na jakieś stanowiska, natychmiast zlatując z nich na pysk. I bardzo przywiązany byłem do tej mojej drugiej skóry — do bluzy wojskowej, bryczesów, szynela; ach, jak starałem się nie zamieniać ich na obozowe, bure łachy! W nowych warunkach dopuszczałem się starego rekruckiego błędu: podpadałem, wyróżniałem się na tle otoczenia.

I nieomylnie oko pierwszego już kuma, tego z Nowej Jerozolimy, od razu wzięło mnie na cel. A na rogatce Kałużskiej, gdy tylko dostał awans — z malarza na pomocnika kalkulatora — zaraz znów wydostałem z walizki mój uniform — ach, jak bardzo pragnie człowiek mieć wygląd zdobywcy i piękny! Mieszkałem przy tym w izbie dziwolągów, generałowie nosili tam o wiele wspanialsze szatki.

Całkiem przestałem zastanawiać się po co i dlaczego kazano mi napisać życiorys w Nowej Jerozolimie. Któregoś wieczoru czytałem sobie podręcznik fizyki, półleżąc na łóżku. Zinowiew coś smażył, snując swoje opowieści, Oraczewski i Prochorow wylegiwali się, opierając buciory na poręczach łóżek. Wtem — wszedł starszy nadzorca Sienin (najpewniej — nie było to jego prawdziwe nazwisko, lecz pseudonim służbowy w obozie). Zdawało się, że nie zauważył nawet naszej kuchenki ani tych buciorów na poręczy. Przysiadł na skraju czyjegoś łóżka i włączył się do rozmowy.

Wyraz twarzy i manieri tego Sienina nie podobały mi się; za bardzo już starał się czarować miękkością spojrzenia; a jaki ci był kulturalny! jak dobrze ułożony! jak wyróżniał się spośród naszych strażników — chamów, kulfonów, ciemniaków! Sienin był ni mniej, ni więcej, tylko — *studentem!* — studentem IV roku, nie pamiętam tylko jakiej dyscypliny. Wstydił się zapewne bardzo swego bezpieczniackiego munduru, lękał się, aby koledzy z uczelni nie zobaczyli go w uniformie, dlatego też — przyjeżdżając na dyżur — mundur wkładał w wartowni, gdzie też go zostawiał przy odjeździe. (Oto bohater naszych czasów, gratka dla beletrystów! Wyobraźcie sobie tylko, że — za caratu — postępowy student dorabia sobie jako strażnik więzienny!). Zresztą — kultura kulturą — a nie czuł żadnych skrupułów, traktując jakiegoś starca jak pomiotło, albo posyłając jakiegoś robociarza na trzy doby do karceru.

Ale w naszej izbie lubił toczyć intelektualne rozmowy, aby pokazać, że rozumie nasze subtelne dusze i że oczekuje od nas zrozumienia dla własnej subtelności.

Tym razem również opowiedział nam coś o życiu stołecznym, coś o nowym filmie — i nagle, w momencie, gdy nikt nie patrzył, dał mi skinieniem wyraźny znak, abym wyszedł na korytarz.

Wyszedłem, bardzo zaskoczony. Słyszałem, jak Sienin, dla niepoznaki, rzuca jeszcze parę zdawkowo-uprzejmych zdań; potem wstał, wyszedł i odnalazł mnie. Kazał natychmiast iść do gabinetu pełnomocnika operacyjnego. Prowadziły tam głuche



schody, na których nikogo nie można było spotkać. Tu właśnie było gniazdo naszego puszczyka.

Jeszcze nigdy go nie widziałem. Poszedłem z zamierającym sercem. Czego się bałem? Bałem się tego, co budzi lęk w każdym łagrowcu: żeby nie zaczęto wrabiać mnie w drugi wyrok. Od mego śledztwa rok nawet nie minął, jeszcze wszystko się we mnie przewraca na sam widok śledczego za biurkiem. A tu — może znów zaczną grzebać w starej *sprawie*: jeszcze jakieś stroniczki z dziennika, jeszcze jakieś listy...

Puk - puk - puk.

— Proszę wejść.

Uchylam drzwi. Mały, przytulny pokoik, całkiem jakby to nie był GUŁag. Znalazło się miejsce nawet dla małej kanapki (może właśnie na niej szarga nasze kobiety?) i dla „Philipsa” na etażerce. Błyszczy magiczne oko i płynie jakaś łagodna, bardzo miła melodia. Zupełnie się odzwyczaiłem od takiej czystości dźwięku, w ogóle — od takiej muzyki i z punktu zmięknęłam: życie jednak biegnie swoim torem! Mój Boże, już nauczyliśmy się tu uważać nasze bytowanie za prawdziwe życie, a tymczasem — ono biegnie gdzieś tam, gdzieś *t a m*...

— Proszę siadać.

Na biurku — lampa z kojącym lęki abażurem. Na fotelu za biurkiem — *o p e r*, podobny do Sienina, też inteligentny, czarniawy, nieprzenikniony, zaraz to widać. Moje krzesło — też wyściełane. Jakie to wszystko obiecujące; żeby tylko nie zaczął mnie znów obsypywać zarzutami, żeby tylko nie zadął w starą dudkę!

Ależ nie, w jego głosie nie słyszę żadnej wrogości. Rozpytuje mnie tylko, jak mi się żyje, jak się czuję, czy przyzwyczaiłem się już do obozu, czy w izbie przydurków mi wygodnie. Nie, to nie jest wstęp do śledztwa. (Tylko, gdzie ja to już słyszałem — te czarowne, uwodzicielskie tony?..).

A teraz kolej na pytanie całkiem na miejscu, zresztą sama ciekawość je usprawiedliwia:

— No, a czy po tym wszystkim, co się z panem zdarzyło, po tych ciężkich przeżyciach — czy przestał pan być człowiekiem sowieckim? Czy nie?

Ha? Co tu odrzec? Wy, którzy to czytacie, ludzie przyszłości, nie potraficie tego zrozumieć: co właściwie mam mu odpowiedzieć? Słyszę, słyszę, jak wy — normalni, wolni ludzie — krzycicie mi z oddali waszego roku 1990-tego:

„A pošlijże go do jasnej cholery! (A może nasi potomkowie już się tak wyrażać nie będą? Myślę, że w Rosji — będą!).

Wpakowali za kraty, zakatrupili człowieka — i jeszcze go pytają, czy sowiecki!”

I rzeczywiście, po tylu więzieniach, po tylu spotkaniach, które oznaczały dla mnie lawinę informacji z całego świata — no, jakież tam teraz ze mnie *sowiecki człowiek*? Gdzie i kiedy to co sowieckie wytrzymało konfrontację z wolnością informacji?

I gdybym na tyle się już *przeobraził* w więzieniu, ilem się w nim *nauczył* — to powinienem być od razu rąbnąć: „Nie jestem! I skocz mi do dupy, rozumiesz? Nie zawracać mi głowy! Chcę odpocząć po robocie!”

Ale nauczono nas przecież posłuszeństwa, prawda, moi drodzy? Przecież na pytania: „Kto głosuje przeciw?... Kto się powstrzymał?...” — ręka za Boga się nie podnosi, no, za Boga. Nawet kiedy człowieka już skazano, wciąż jeszcze nie potrafi wymówić: nie, nie jestem sowieckim człowiekiem!

— W sentencji OSO napisano, że jestem antysowiecki — staram się ostrożnie uchylić kwestię.

— OSO!... — macha ręką bez śladu szacunku. — Ale co pan sam czuje? Czy pozostał pan człowiekiem sowieckim? Czy może zmienił się pan, zawzięł w gniewie?

Cicho i tak czysto płynie ta melodia, nie rymuje się z nią nasza utykająca, lekka, czcza rozmowa. Boże, jakie nieskalane i cudowne może być życie ludzkie — i jak egoizm rządzących uczynić go takim nigdy nie pozwala. Moniuszko? — nie Moniuszko. Dworzak? — nie Dworzak... Odczep się, psie, daj przynajmniej posłuchać...

— Gniew? Dlaczego? — wyrażam zdziwienie. (Rzeczywiście — dlaczego by? Za 10 listów — 8 lat, mniej niż po roku za list. A mieć pretensję, żywić chęć odwetu — to niedopuszczalne, to już pachnie nowym śledztwem).

— A więc — jest z was człowiek sowiecki? — surowo, ale tonem zachęty pyta o p e r.

Nie odpowiadać ostro, to najważniejsze. Byle nie pokazać mu, kim jestem dzisiaj. Powie mu teraz człowiek, że ma przekonania antysowieckie — a ten z miejsca rozpocznie nowe dochodzenie, żeby wlepić potem nowy wyrok — to jak pić dać.

— W głębi duszy, wewnątrz — za kogo się uważacie?

Straszno jakoś teraz, zimą, jechać przez zamiecie hen, za Koło Podbiegunowe. A tu — jakoś się urządziłem, śpię sobie w suchej, cieplej pościeli, ba, w samej bieliźnie. Tu jest Moskwa — żona przychodzi na widzenia, przynosi paczki... Dokąd tu jechać i po co, skoro można zostać na miejscu?... No i co w tym

takiego złego — powiedzieć, że tak — że sowiecki? Przecież ustrój jest socjalistyczny.

— Siebie uważam... no, owszem, za człowieka... sowieckiego...

— Ach, sowieckiego! No, to całkiem inna sprawa — cieszy się o p e r. — Teraz możemy sobie z wami pogadać, jak dwaj sowieccy ludzie. To znaczy, że mamy wspólną ideologię i wspólne cele (jest różnica, ja mam celę, ty — mieszkanie) — możemy więc działać też wspólnie. Wy *pomożecie* nam, a my — wam...

Czuję, że już zaczął się poślizg... a tu jeszcze ta muzyka... A ten dzierga jedną zgrabną pętelkę po drugiej: powinienem dopomóc im, aby mogli się zorientować... Mogę przecież usłyszeć przypadkiem jakąś rozmowę. O takich rzeczach warto ich zawiadamiać...

Właśnie tego nigdy nie zrobię. Z tego zdaję sobie sprawę, całkiem na zimno: sowiecki, czy nie sowiecki, ale żebym miał was informować o jakichś politycznych rozmowach, niedoczekanie! Ale grunt to ostrożność, ostrożność, trzeba jakoś pozacierać ślady, wycofać się nieznacznie.

— Tego... nie potrafię — odpowiadam nieomal z zalem.

— A czemu to? — mój kolega po ideologii surowieje.

— A bo... mój charakter do tego się nie nadaje... (Jak ci to powiedzieć możliwie łagodnie, ty wywłoko?). Bo ja... nie mam zwyczaju... żeby podsłuchiwać... i nie potrafię zapamiętać...

Dociera do niego, że muzyka jakoś na mnie działa, więc wyłącza radio. Cisza. Gaśnie ciepłe, magiczne oczko dobrotliwego świata. W gabinecie jest nas już tylko dwóch — ten puszczyk i ja. Dosyć żartów.

Gdybyż przynajmniej znali oni reguły gry w szachy: jeśli ten sam ruch powtarza się trzy razy — uznaje się, że przeciwnicy zremisowali. Ale skąd! We wszystkim przejawiało się ich lenistwo, tylko tutaj — nie: sto razy w ten sam sposób szachuje mnie, na tym samym polu, sto razy pod rząd osłaniam się tym samym pionkiem, żeby znów wyjść zza niego. Smaku nie ma facet za grosz, za to czasu — aż nadto. Sam naraziłem się na to bezustanne szachowanie — bo uznałem się za sowieckiego człowieka. Oczywiście, każde z tych stu zagrożeń ma inny odcień, za każdym razem wypływa jakieś inne słowo, inny nieco ton.

Mija godzina, potem druga. W naszej celi już wszyscy śpią, ale ten tutaj wcale się nie śpieszy, to właśnie jest jego praca zawodowa. Jak się tu odczepić? Jacyż oni namolni! Już mi tu napomknął o etapie, i o robotach ogólnych, już dawał wyraz

podejrzeniu, że jestem zaprzysięgłym wrogiem, aby za chwilę wyrazić nadzieję, że należą raczej do zaprzysięgłych przyjaciół.

Ustąpić mi nie wolno. Ale nie chce mi się też jechać na etap zimą. Myślę z udręką: jak to wszystko się skończy?

I nagle — mój rozmówca zmienia temat — mówi o knajakach. Słyszał od nadzorca Sienina — że wyrażam się o ferajnie ostro, że miałem z knajakami zatargi. Ożywiam się — jakiś nowy ruch na szachownicy. Owszem — nienawidzę ich. (Ale wiem, że *wy* ich kochacie!).

I aby mnie roztkliwić ostatecznie, o p e r maluje taki obraz: mam przecież żonę w Moskwie. Bez męża — musi ona chodzić po ulicach sama, czasem nawet nocą. Na ulicach rabusie często obdzierają przechodniów. Właśnie ci sami knajacy, którzy uciekają z obozów. (Nieprawda, ci, których wy amnestionujecie!). Więc nie będę się chyba wzdrygał przed powiadomieniem o p e r a o szykującej się ucieczce jakichś knajaków, jeśli dowiem się o tym?

Cóż, knajacy — to wrogowie, bezlitośni wrogowie i w walce z nimi wolno chyba stosować wszelkie możliwe środki... Ale wolno, czy nie wolno, najważniejsze teraz, że to dobre wyjście. Więc chyba...

— To możliwe. To już prędzej.

Rzekłeś! Rzekłeś, a szatanowi tylko jednego takiego słówka potrzeba! I już czysty arkusz spływa na stół przed moje oczy:

### Z o b o w i ą z a n i e

Ja, taki a taki, zobowiązuję się do zawiadamiania pełnomocnika operacyjnego podobozu o planowanych przez więźniów ucieczkach...

— Ależ mowa była tylko o knajakach!

— A kto jeszcze ucieka, prócz nich?... A przy tym — jak w oficjalnym papierku napisać, że chodzi o knajaków! To przecież żargon. Tak też jest wszystko jasne.

— Ale cały sens się zmienia!

— Nie, widzę jednak, że z was nie jest *nasz człowiek*, że z wami trzeba rozmawiać *w zupełnie inny sposób*. I — *nie tutaj*.

O, jakie straszne to słowa — „nie tutaj”, kiedy za oknem zawieja, kiedy jesteś prydukiem i mieszkasz w sympatycznej izdebce dziwolągów! I gdzie jest to „nie tutaj”? W Lefortowie? I co to za „zupełnie inny sposób”? Ostatecznie — ani jedna ucieczka z obozu nie miała miejsca podczas mego pobytu, to bardziej nieprawdopodobne, niż upadek meteorytu. A jeśli już

się ucieczka zdarzy — to jaki idiota będzie wcześniej o niej rozmawiał z kimkolwiek? Więc nie będę wiedział o takich rzeczach. A zatem — nie będę miał o nich nic do meldowania. W końcu — to nie najgorsze wyjście... Tylko że...

— Czy nie można obejść się bez takiego papierka?

— To zasada.

Wzdycham, uspokajam sam siebie ustnymi zastrzeżeniami — i stawiam podpis na diabelskim cyrografie, na akcie sprzedaży duszy. Sprzedaży duszy — dla ratowania ciała. To wszystko? Czy mogę już wyjść?

O, nie. Jeszcze „zobowiązanie do milczenia”. Ale zaraz! Czegoś brak, na tym pierwszym arkusiku:

— Musicie wybrać sobie pseudonim.

Pseudonim?... Ach, *pseudo!* No tak, no tak, przecież informator musi mieć pseudo! Boże mój, jak szybko i jak nisko upadłem! On mnie jednak przechytrył, obegrał. Figury już rozsypały, mat został uznany.

I cała fantazja ulatnia się z mojej, ziejącej pustką, głowy. Nie mogę teraz wymyśleć sobie żadnego pseudo. Podpowiada mi je litościwie on sam:

— No, na przykład — Wietrow.

Więc wypisuję pod oświadczeniem — WIETROW. Te siedem liter złością się w mojej pamięci, jak hańbiące szramy.

Przecież chciałem umierać za ludzi! Gotów byłem umrzeć za nich, ginąć za nich! Jak to się stało, że wybrałem psie życie?...

Pełnomocnik zaś chowa moje zobowiązanie do skrytki — to jego *n o r m a* w czasie wieczornej szychty. Wyjaśnia mi uprzejmie: tu, do tego gabinetu, wcale nie trzeba przychodzić, wzbudzi to tylko podejrzenia. Nadzorca Sienin — jest zaś godziną zupełnego zaufania i wszystkie poufne informacje (*donosy!*) przekazywać należy za jego pośrednictwem.

Tamtego roku nie potrafiłbym zatrzymać się na tej krawędzi. Nie łapałeś za grzywę — darmo łapać za ogon. Kto wpadł w poślizg — ten już polecą coraz dalej i niżej.

Coś mi jednak dopomogło i zatrzymałem się na samym skraju. Przy spotkaniach Sienin ponaglał mnie: no jak tam, jak tam? Rozkładałem ręce: nic nie słyszałem. Dla szemranych jestem frajerem — i ani przystęp. Ale jak na złość — choć nikt dotąd nie próbował ucieczki, jakiś złodziejasek umknął z naszego oboziku. Więc pisz o czym innym! o brygadzie! o waszym pokoju! — nalegał Sienin. — Nie zobowiązałem się do pisania o czym innym! — mówiłem, hardziejąc zwolna (zresztą, miało się już ku

wiośnie). Pewnym drobnym osiągnięciem było jednak, że dałem zobowiązanie ograniczone, niezbyt ogólnikowe.

Ale raptem, przychodzi spec-zlecenie ministerstwa\* i wyciągają mnie stąd za uszy do szaraszki. I na tym się skończyło. Już nigdy więcej nie musiałem podpisywać się „Wietrow”. Ale nawet dziś mrowie mnie przechodzi, gdy natykam się gdzieś na to nazwisko.

O, jak trudno, jak trudno jest stać się człowiekiem! Nawet wtedy, gdy byłeś już na froncie, gdyś już leżał pod bombami, gdyś stąpał po minach — to dopiero początki, przesłanki męstwa. To jeszcze — wcale nie wszystko...

Minęło wiele lat. Miałem już za sobą szaraszki i spec-obozy. Zachowywałem się już z zupełną swobodą, coraz harderziej, już nigdy więcej dział operacyjny nie próbował mnie jednać żadnymi faworami i przyzwyczałem się do tej beztrioskiej pewności — że na moich aktach widnieje znak jakości: „nie próbować werbunku!”.

Potem przyszło zesłanie. Spędziłem na nim prawie trzy lata. Już zaczęło się robić luźniej wśród deportowanych, już pozwolono wracać wielu zesłanym narodom. Już ci, co zostali, idąc na kontrolę do komendantury, pozwalali sobie na żarciki. Już przetoczył się XX Zjazd. Wydawało się, że wszystko raz na zawsze się skończyło. Z zapalem snułem plany wyjazdu do Rosji, gdy tylko zostaną zwolniony. Ale któregoś dnia, gdym wychodził za wrota szkolnego dziedzińca, jakiś przyzwoicie ubrany cywil, Kazach, zawołał mnie, podszedł bliżej i nader uprzejmie podał mi rękę. Znał moje imię, wraz z imieniem ojca.

— Pogadajmy chwilę! — i grzecznym gestem wskazał na budynek komendantury.

— Kiedy śpieszę się na obiad — odparłem.

— A może wieczorem znajdzie się wolna chwilka?

— Wieczorem też nie. (Gdy miałem wolny wieczór, pisałem powieść).

— No to jutro, o której?

Ale się przyczepił! Trzeba było zgodzić się na ten jutrzejszy termin. Spodziewałem się, że będzie ze mną rozmawiał o rewizji mojej sprawy (mniej więcej w tym okresie zrobiłem głupstwo: posłałem do Moskwy podanie, nie inaczej niż byle ortodoksa, więc tym samym znalazłem się w pozycji potentata. Takiej okazji GB nie mogło przegapić!). Ale pełnomocnik operacyjny z okręgu z całą pompą usadowił się w gabinecie naczelnika delegatury

---

\* Patrz: tom I, rozdział IV, str. 530.

rejonowej MWD, osobiście zamknął drzwi i wyraźnie nastawił się na prowadzenie wielogodzinnych rokowań, już przez to utrudnionych, że po rosyjsku mówił nie najlepiej. Mimo to, nie minęła nawet godzina — a już połapałem się, że chodzi mu nie tyle o rewizję mojej starej sprawy, ile o zaofiarowanie mi stanowiska konfidenta. (Wolno sądzić, że amnestionowanie części zesłańców przerzedziło kadry donosicieli).

Rozśmieszyło mnie to i zasmuciło. Zasmuciło — bo zależało mi na każdym kwadransie. Rozśmieszyło — bo w marcu 1956 roku rozmówki takie wydawały mi się tak samo niestosowne, jak nagły zgrzyt noża po talerzu podczas biesiady. Spróbowałem żartem zwrócić uwagę na tę niestosowność — ale wszystko na nic, ani myślał popuścić, zacisnął szczęki z powagą buldoga. Wieść o wszelkich ulgach dociera zwykle na prowincję z trzy- pięćdziesięcioletnim opóźnieniem, tylko wiadomości o zaostreniu kursu dochodzą tu bez zwłoki. Facet zupełnie jeszcze nie rozumiał, co to za rok będzie, ten 56-ty! Spróbowałem więc przypomnieć, że skasowano nawet Ministerstwo Bezpieczeństwa, ale facet z ożywieniem i radością zapewnił mnie, że Komitet d/s Bezpieczeństwa, to zupełnie to samo, że ani kadry, ani zadania nie uległy zmianom.

W tym czasie cechowała mnie już kawaleryjska wręcz niefrasobliwość w stosunku do ich przesławnej instytucji. Czułem, że byłem z zgodzie z duchem epoki, gdybym posłał go tam, gdzie powinni byli wszyscy oni znaleźć się już dawno i zasłużenie. Bezpośrednich skutków dla siebie wcale się nie obawiałem — nie mogło dojść do nich — tamtego, iście cudownego roku! I jaka by to była frajda, gdybym wyszedł od niego, trzasnąwszy drzwiami!

Ale tu pomyślałem o swoich rękopisach. Całymi dniami leżą w mojej chałupce, chroni je tylko słaby rygielek u drzwi i niezbyt przemyślnie zabezpieczenie wewnątrz. Nocami wyciągam je — i piszę. Jeśli rozwścicę tych z KGB — na pewno zechcą się zemścić, poszukają czegoś kompromitującego — i co, jeśli znajdą wtedy rękopis?

Nie, trzeba iść na ugodę.

O, co za kraj! Jaka kłątwa na nim ciąży, że nawet w okresie największej wolności, człowiek najbardziej wolny wewnętrznie — nie może pozwolić sobie na najmniejszy zatarg z żandarmami!... Nie może cisnąć im w oczy wszystkiego, co o nich myśli!

— Otóż — jestem ciężko chory. Choroba nie pozwala mi przysłuchiwać się, ani podglądać innych. Dość mam swoich trosk. To chyba wystarczy.



Oczywiście, to mizerny wykręt, mizerny — bo uznają tym samym ich zasadnicze prawo do szantażowania ludzi, a trzeba właśnie wyśmiać i obalić to prawo. Jest to odmowa na klęczkach.

A ten cham jeszcze nie ustępuje! Jeszcze przez pół godziny dowodzi, że nawet ciężko chory też powinien współpracować!... Ale widząc, że ani myślę ustąpić, nareszcie się zmytygował:

— A jakieś zaświadczenie macie?

— Jakie?

— No, żeście tacy chorzy.

— Zaświadczenie mam.

— To je przynieście.

Bo przecież musi się wykazać, musi wykonać plan dnia! Chce mieć usprawiedliwienie, że kandydatura wytypowana była dobrze, tylko nikt nie wiedział, że kandydat tak poważnie choruje. Nie po to żądał zaświadczenia, aby je po prostu przeczytać, chciał je tylko wszyć do akt, żeby móc odczepić się od tej historii.

Dałem mu to zaświadczenie i w ten sposób rachunek został wyrównany.

Były to miesiące największego — w ciągu całego półwiecza — rozkwitu wolności w naszym kraju!

A jeśli ktoś nie miał zaświadczenia?



Talent o p e r a polega na umiejętności znalezienia od razu właściwego wytrycha.

Rzecz dzieje się w obozie na Syberii. Niejaki U., urodzony w jednym z krajów nadbałtyckich, lecz dobrze znający język rosyjski (dlatego też został wybrany) zostaje wezwany do komendanta, ale w jego gabinecie zastaje jakiegoś nieznanego kapitana o nosie orlim i spojrzeniu iście bazylijszkowym, hipnotyzującym. „Proszę dobrze zamknąć drzwi!”, rozkazuje kapitan całkiem serio, zupełnie jakby za chwilę mogła tu wpaść jakaś wraza banda. Zmarszczył krzaczaste brwi i nie spuszcza z U. płonących oczu — i już nasz U. czuje, jak wszystko się w nim obrywa, jak go coś piecze i dusi. Jeszcze przed wezwaniem kapitan zebrał o więźniu wszelkie dane, to jasne, i już z góry zdał sobie sprawę, że wszystkie numery — 1, 2, 3, 4 — tu odpadają, że tu zastosować trzeba coś innego, mocniejszego. Ale jeszcze kilka minut patrzy bez mrugnienia w czyste i bezbronne oczy U., mierząc się z nim spojrzeniem, a jednocześnie — gasząc w nim siłę woli i wznosząc niewidzialnym gestem to — co za chwilę ma spaść na kark więźnia.

O per niewiele traci czasu na wstępy, ale to, co mówi, wypowiada nie tonem pogadanki politycznej, lecz z napięciem, zawieszając głos, jakby mówił o czymś, co nie dziś — to jutro wybuchnąć ma w ich podobozie: „Czy wiecie, że świat podzielił się na dwa obozy? I że jeden z nich skazany jest na nieuchronną klęskę? I że wiemy dobrze — który?! A wy wiecie, o który to chodzi?... Otóż, jeśli chcecie żyć jeszcze trochę, musicie odbić od kapitalistycznego, tkniętego zgnilizną brzegu — i przybić do nowego brzegu. Znacie powieść Łacisa\* — „Ku nowym brzegom”? — Rzuca jeszcze kilka takich zdań — ani na chwilę nie przestając wpijać w U. palącego, groźnego spojrzenia. Gdy już sobie ustalił w myśli numer wytrycha — pyta z akcentowanym niepokojem w głosie: „No, a jak tam z waszą rodziną?” I wszystkich krewnych wymienia po imieniu, jakby ich znał! To znaczy, że już się zajął rodziną U., to już poważna sprawa! „Rozumiecie, jak sędzę — hipnotyzuje rozmówcę wzrokiem — że wy i wasza rodzina, to jedna całość. Jeśli zrobicie fałszywy krok i zginiecie — to rodzinę waszą czeka też zguba. *Rodzinom zdrajców* (tu już głos podnosi) nie pozwalamy zarażać zgnilizną zdrowego środowiska sowieckiego. A zatem: musicie wybrać jeden z dwóch istniejących światów! Wybrać życie — albo śmierć. Proponuję wam, abyście zobowiązali się do pomagania naszemu wydziałowi. Jeśli odmówicie — wasza rodzina będzie w całości zesłana do obozów. Mamy pełnię władzy (tu na pewno ma rację!) i nie jest naszym zwyczajem odstępować od raz powziętych zamiarów! (tu też miał rację!). Skorośmy na was postawili — to *będziecie* współpracować z nami!”.

Wszystko to zważyło się U. na głowę zienacka; nie przygotował się do podobnej rozmowy, nie myślał nigdy o tym, sądził, że donoszą tylko łajdaki, ale żeby ktoś śmiał jemu robić takie propozycje?! Uderzenie było czołowe, żadnych manewrów zwozających, żadnej straty czasu, a kapitan już czeka na odpowiedź, za chwilę wybuchnie i wszystko się rozleci! U. tymczasem myśli gorączkowo: a bo to niemożliwe? Dla nich? Czy oszczędzili kiedykolwiek rodziny więźniów? Toż nie mieli żadnych skrupułów. Przy „rozkułaczaniu”, deportowali całe rodziny z maluchami włącznie i jeszcze pisali o tym z dumą w gazetach! Nasz U. miał też okazję widzieć wyniki działalności Organów w krajach nadbałtyckich w latach 1940-41, oglądał na dziedzińcach więziennych sterty rozstrzelanych podczas odwrotu sowieckich wojsk. I w 1944-tym słyszał audycje, nadawane z Leningradu dla mieszkańców Łotwy, Litwy i Estonii. Przypominały spojrzenie kapita-

---

\* Vilis Ļācis, pisarz łotewski, faworyt Stalina.

na, tak były pełne grózb i mściwej pasji. Zapowiadano w nich, że władza sowiecka rozprawi się ze *wszystkimi*, ale to dosłownie — ze wszystkimi, którzy okazują pomoc nieprzyjacielowi<sup>3</sup>. Więc jak od nich teraz oczekiwać zmiłowania? Błagania nie pomogą. Trzeba wybierać. (Ponieważ U. sam jest pod wpływem legendy — rozpowszechnianej przez Organy na ich własny temat więc nie wie, że machina ta nie działa wcale w sposób tak bezbłędny i zsynchronizowany, aby już za tydzień zesać na Syberię rodzinę więźnia, który dziś właśnie odmówił szpiclowania w syberyjskim oboziku. I jeszcze ważniejszej rzeczy U. nie rozumie. Złe myśli o Organach, ale prawda o nich jest jeszcze gorsza: wkrótce już przyjdzie na to czas i wszystkie takie rodziny, wszystkie te setki tysięcy rodzin zostaną posłane za jednym zamachem na zesłanie, na zagładę, bez względu na to, jak się właściwie sprawują ojcowie w obozach).

Strach o własną skórę nie zmusiłby go do ustępstw. Ale U. wyobraził sobie żonę i córkę w obozie — o, w tych barakach, gdzie rozpusty żadną nawet szmatą się nie zasłania, gdzie żadnej obrony kobieta nie znajdzie jeśli ma mniej niż 60 lat. I tu się załamał. Wytrych dobrany był prawidłowo. Żaden inny by się nie nadał, a ten — owszem.

No, ale jeszcze próbuje grać na zwłokę: muszę się zastanowić. — Dobrze, trzy dni macie do namysłu, ale wara pytać kogokolwiek o radę. Za ROZGŁOSZENIE TAJEMNICY — ROZSTRZELANIE! (U. zasięga jednak rady pewnego swego krajana. Na niego właśnie każą mu później napisać pierwszy donos, z nim do spółki go też zredaguje. Ale krajana też jest zdania, że nie wolno narażać rodziny).

W trakcie drugiej wizyty u kapitana, U. podpisuje cyrograf, otrzymuje pierwsze zlecenie i kontakt: niech tu więcej nie przychodzi, wszystko ma załatwiać przez zwolnionego spod straży pryduka, Froła Riabinina.

To bardzo ważne punkty oparcia w pracy obozowego opera, wszyscy ci rezydenci, rozsiani po obozie. Froł Riabinin — to osoba popularna, Froł Riabinin ma stale jakąś lewą robotę, ma osobną kabinę i zawsze udaje mu się wykombinować trochę pieniędzy. Z pomocą opera — zdołał on spenetrować wszystkie głębie i nurty obozowego życia, a teraz lekko ponad nimi szy-

---

3. A nauczyciel, a robotnik fabryczny, a konduktor tramwajowy, a każdy, kto żyje z pracy zarobkowej — przecież ci ludzie też *okazują pomoc!* Nie pomagają okupantom tylko spekulant z rynku i partyzant z lasu! Bez względu na ton tych bezmyślnych audycji leningradzkich pchnął w 1944 roku kilkaset tysięcy ludzi do ucieczki na teren Skandynawii.

buje. Tacy rezydenci — są to liny, na których cała sieć jest rozpięta.

Froł Riabinin poucza U., że przekazywać donosy należy gdzieś, w ciemnym kątku („w *naszej* robocie — najważniejsza jest konspiracja”). Wzywa go do swojej kabinki: „Kapitan niezadowolony jest z waszej informacji. Trzeba tak pisać, żeby z tego był *materiał na człowieka*. Zaraz wam pokażę”.

I ten kulfon uczy spotulniałego, poszarzałego inteligenta U. jak trzeba pisać świństwa o ludziach! Ale widząc, że U. tak skisł, Riabinin dochodzi do wniosku, że trzeba tego pętaka jakoś ośmielić, dać mu ostrogę, dodać otuchy! Powiada więc, życzliwym już tonem: „Słuchajcie, przecież wam tu ciężko. Czasem chciałby człowiek dokupić sobie czegoś do żarcia. Kapitan chce wam pomóc. Bierzcie — to dla was!” — wyciąga z portfela pięćdziesiąt rubli ( to kapitańskie! zaraz widać, jak mało *ich* obowiązuje sprawozdawczość finansowa, może ich jednych — w całym kraju!) — i wtyka je naszemu U.

I oto na widok tej bladezielonej żaby, jaką mu każą tu jeść, przyskają nagle czary kapitana-bazyliuszka, cała hipnoza, wszystkie pęta, znika cały lęk, nawet o rodzinę: wszystko, co tu się stało, cały sens tego koszmaru materializuje się w tym wstrętnym świstku, nasyconym zielonkawą limfą, w tych zwyczajnych srebrnikach judaszowych. I nie myśląc już o tym, co stanie się z rodziną, U. w naturalnym odruchu obrzydzenia — odrzuca banknot, a niedomyślny Riabinin znów mu go wtyka. Wówczas U. strąca go na podłogę — i wstaje, nareszcie z ulgą, nareszcie WOLNY, za nic już sobie mając i pouczenia Riabinina, i własny podpis na kapitańskim cyrografie, i wszelkie papierkowe zobowiązania, tak mało ważne w obliczu wielkich obowiązków ludzkich! Wychodzi, nie dbając o nic. Idzie przez zonę lekkonogi — i wolny! wolny!

No, niezupełnie. Gdyby oper był tępakiem, to sprawa ciągnęłaby się dalej. Ale kapitan-bazyliuszek zrozumiał, że dureń Riabinin złamał ząbek, że wepchnął nie ten wytrych, co należy. W tym obozie już żadne macki nie sięgały po U. Riabinin udawał, że go nie widzi. U. uspokoił się i nawet się rozpogodził. Zaczęto właśnie wysyłać więźniów do Specobozów i U. znalazł się w Steplągu. Tym bardziej był pewien, że wszystko się skończyło.

Ale nie! Ślad w aktach widocznie pozostał. Pewnego dnia U. został wezwany do pułkownika. „Podobno zgodziliście się na współpracę, ale *nie zastługujecie na zaufanie*. A może — nie wyjaśniono wam dobrze, o co chodzi?”.

Ale ten pułkownik już nie budził w naszym U. lęku. Całą rodzinę U. — podobnie jak mnóstwo rodzin innych Bałtów — już deportowano na Syberię. Nie ulegało wątpliwości, że trzeba jakoś odcepić się od groźnych natrętów. Tylko jaki znaleźć pretekst?

Pułkownik przekazał U. jakiemuś lejtnantowi do dalszej obróbki. Lejtnant wysilał się, groził, mamił obietnicami, a nasz U. tymczasem zastanawiał się co i w jaki sposób powiedzieć mu na odczepne?

U. był człowiekiem wykształconym i niewierzącym. Mimo to, doszedł do wniosku, że ocalić go może tylko odwołanie się do religii. Nie bardzo to było zgodne z zasadami — ale okazało się sposobem skutecznym. Oznajmił więc, na przekór prawdzie: „Muszę wam wyznać szczerze, że wychowany zostałem w duchu chrześcijańskim i dlatego współpraca z wami jest dla mnie wykluczona!”.

I tyle! I wielogodzinne namowy lejtnanta skończyły się jak nożem uciął! Zrozumiał, że ten numer nic nie da. „Potrzebnyś ty nam, jak psu piąta noga! — wrzasnął ze złością. — Pisz więc oświadczenie, że się nie zgadzasz! (Znów musi być na piśmie!). — O Boży też napisz, koniecznie to wyjaśnij!”.

Widocznie sprawa każdego donosiciela musi kończyć się tak, jak się zaczęła: specjalnym papierkiem. Powołanie się na Chrystusa również lejtnantowi odpowiadało: nikt z wydziału operacyjnego nie mógłby już mu zarzucić, że coś zaniedbał, że mógł jeszcze jakiś chwyt zastosować.

Czy nie zgodzi się bezstronny czytelnik, że pierzchają oni przed imieniem Chrystusowym, jak diabły przed święconą wodą, przed dzwonem na jutrznię?

Oto dlaczego nasz reżym nigdy nie pogodzi się z religią chrześcijańską! I próżno to nam zachodni komuniści obiecują.

## Rozdział trzynasty

### ZDARTO CI SKÓRĘ — SZYKUJ NASTĘPNĄ

Czy można komuś uciąć łeb, skoro już raz był ścięty? Można. Czy można zedrzeć skórę z człowieka, jeśli już raz mu ją zdarto? Można.

Wynalazku tego dokonano w naszych obozach. Wymyślono to na Archipelagu! I niech nikt nie mówi, że *brygada* jest jedynym naszym przyczynkiem do teorii kar. A drugi wyrok obozowy — to betka? Rzeki skazańcze, spływające na Archipelag ze świata dookólnego, nie rozlewają się tu spokojnie, ale raz jeszcze zostają przepompowane rurami ponownego śledztwa.

O, błogosławione są zaiste te okrutne satrapie, te despotie, te barbarzyńskie państwa, w których nie wolno kłaść aresztu na kimś, kto już został aresztowany! Gdzie kogoś, siedzącego w więzieniu — nie można już uwięzić. Gdzie po wyroku — nie wzywają już człowieka do sądu! Gdzie skazaniec nie może być za to samo skazany po raz wtóry!

A u nas — to wszystko jest możliwe. Toć człowieka rozdeptanego, zgubionego, zrozpaczonego — tym łatwiej jest ogłuszyć obuchem topora! Bij leżącego — oto etyka naszej służby więziennej. Kto mości drogę trupami, ten dalej zajdzie — oto etyka naszych pełnomocników operacyjnych!

Istnieje pogląd, że śledztwo wewnętrzne i sąd w obozie też wynaleziono na Sołówkach, ale tam po prostu strzelano ludziom w łeb pod dzwonnica. W okresie zaś pięciolatek i przerzutów rakowych — zamiast kuli wszedł w użycie powtórny wyrok obozowy.

Jak zresztą można byłoby bez tych powtórnych (trzecich, czwartych) wyroków zatrzymać w obrębie Archipelagu i zgładzić wszystkich, komu to było przeznaczone?

Repetowanie kar — jest takim samym typowym przejawem życia Archipelagu, jak zdolność do regeneracji ogona — jest typową cechą jaszczurki.

Jak długo tłucze się życie w naszych obozach, jak długo kostnieje z zimna nasz los zesłańcy — tak długo wisi nad głowami skazańców groźba, że spadnie na kark druga kara, jeszcze nim się ta pierwsza skończy. Te repety dawano w obozach już od dawna, ale najwięcej ich było w latach 1937-38 i podczas wojny. (W latach 1948-49 główna masa tych powtórek przypadła na obszary leżące poza granicami Archipelagu: bo *przegapili*, bo niedopatrzyli, bo nie wszystkim dano te *domiary* jeszcze w obozie — i teraz trzeba było wyłapywać ich na wolności i zaganiać z powrotem za druty. Tych właśnie nazywano *repotentami*, skazani zaś w obozie nawet osobnego przydomka nie mieli).

I był to w istocie akt miłosierdzia — choć tak mechanicznego — że w 1938 roku te obozowe repety dawano bez ponownego aresztowania i śledztwa, bez rozprawy sądowej. Wzywano po prostu całe brygady do Działu Ewidencji (URCz) i kazano kwitować na piśmie odbiór zawiadomienia o nowym wyroku. (Za odmowę podpisu zwyczajnie posyłano do karceru — jak za palenie w miejscu niedozwolonym. Wyjaśniano nawet całkiem po ludzku: „To nie jest dowód, że się przyznajecie do jakiejś winy, tylko kwitek, żeście byli zawiadomieni”). Na Kołymie dawano w tym trybie po 10 lat, a w Workucie — nawet mniej: 8, albo i 5 lat, na mocy decyzji OSO. I daremny był wszelki sprzeciw — bo czym w ciemnym bezkresie Archipelagu — różni się osiem lat od osiemnastu, dziesiątka na początku od dziesiątki na końcu cyfry? Ważne było tylko to, że dziś nikt cię nie szarpie i nie ćwiartuje.

Można dziś uznać za dowiedzione, że epidemia obozowych spraw i wyroków w 1938 roku wybuchła na skutek jakiegoś odgórnego zlecenia. To tam, na górze, doszli do wniosku, że za mało dotychczas ludziom wrzepiono, że warto dosypać do pełna (a temu i owemu nie pożałować ołowiu), i całą resztę porządnie tym nastraszyć.

Ale ta gorączka wtórnych wyroków czasu wojny podsycana była *od dołu*. Podgrzewał ją wesoły ogienek ludowej inicjatywy. Z góry przysła zapewne wskazówka, w myśl której należało w każdym obozie unieszkodliwić i odizolować od reszty więźniów najbardziej rzucające się w oczy jednostki, które mogłyby w odpowiednich warunkach stać się prowodyrami ewentualnych buntów. Mięsożerne pocholeła w terenie natychmiast doceniły, że jest to żyła złotoñośna; dostrzegli oni szansę *uchro-*



*nienia się przed pójściem na front.* Pomysł ten narodził się, jak wolno sądzić, w niejednym obozie i szybko został upowszechniony, jako wynalazek pożyteczny, dowcipny i zbawienny. Obozowi czekiści też gołymi pierściami zatykali strzelnice niemieckich bunkrów, tylko, że nie były to ich własne piersi.

Niech dziejopis spróbuje wyobrazić sobie atmosferę tych lat: na całym froncie — odwrót, Niemcy otoczyli Leningrad, stoją pod Moskwą, są w Woronieżu, doszli do Wołgi, do Kaukazu. Na zapleczu — coraz mniej mężczyzn; każdy zdrowy, młody chłop ściąga na siebie spojrzenia pełne wyrzutu. Wszystko dla frontu! Rząd gotów jest zapłacić każdą cenę, byle by powstrzymać Hitlera. I tylko obozowi oficerkowie (no i bracia ich z bezpieczeństwa) — upasieni, gładcy, wypoczęci — wszyscy siedzą na swoich tyłowych posadkach (mam tu fotografię dobrze odżywionego k u m a obozowego — widać zaraz, że mu bardzo a bardzo na życiu zależy!) — a im dalej na Północ, czy w głąb Syberii — tym spokojniej im się żyje. Ale rozumując trzeźwo — jest to pomyślność chwiejna. Wystarczy jeden okrzyk: a wziąć ich pod światło, tych pyzatyh cwaniaczków z obsługi obozów! Brak im wyszkolenia bojowego? — nie szkodzi: nadrobią to ideowością! — Dobrze jeszcze, jeśli posłano któregoś do milicji, albo do oddziałów zaporowych, ale bywało gorzej: sformować z nich oficerskie bataliony! rzucić pod Stalingrad! Latem 1942 roku zwija się w ten sposób całe szkoły oficerskie i posyła na front elewów przed promocją. Wszystkich młodych i zdrowych konwojentów już dawno powołano do szeregów — i cóż, obozy się nie zawaliły. Więc bez operów też się nie zawała! (Już krążą nawet takie gadki).

Mieć zaświadczenie, że jest się wyreklamowanym — to glejt na życie! To szczęście! Jak tu zachować tę pozycję? W sposób prosty i naturalny: wykazując, że jest się *niezbędnym tutaj!* Trzeba zatem dowieść, że — gdyby nie czujność czekistów — to obozy dawno by już eksplodowały! bo to kotły z kipiącą smołą! Bez nich — nasz wspinały front się nie utrzyma! Właśnie tu, w podbiegunowych obozach, tyraliera pełnomocników operacyjnych odpiera własną, białą pierś nacisk piątej kolumny, powstrzymuje marsz Hitlera! To jest ich udział w walce o Zwycięstwo! Nie żałując sił — prowadzą dochodzenia i wciąż wykrwiają nowe spiski.

Dotąd tylko nieszczęśni, wycieńczeni więźniowie, wrywając sobie wzajem chleb z zębów, toczyli tu walkę o życie. Teraz do tej walki włączyli się bez skrupułów również wszechwładni oper-

czekiści. „Ja zdechnę jutro, ale ty już dziś!” Zgiń lepiej ty, brudny bydlaku — i uratuj mnie własną śmiercią od zagłady.

Oto jak z a ł a t w i l i w obozie Ust'-Wym osiemnastu ludzi: chcieli oni, rozumie się, rozbroić ochronę, przywłaszczyć sobie jej broń (pół tuzina starych strzelb)! — no, a dalej co? Trudno wręcz wyobrazić sobie rozmach dalszych planów: chcieli poderwać do buntu całą Północ! pomaszerować na Workutę! na Moskwę!! przyłączyć się do fińskiego marszałka Mannerheima! Więc lecą a lecą depesze i meldunki: ukręcono łeb wielkiemu spiskowi!! w obozach wrzenie! trzeba wzmocnić organy operacyjne!

Ale cóż to? Już w każdym obozie wykrywa się spiski! spiski! spiski! I to — coraz groźniejsze! z coraz większym rozmachem organizowane! Te przebiegłe *dochodiagi!* — udają tylko, że byle podmuch ich może obalić — a tymczasem swoimi szponiastymi, pellagrycznymi łapami już sięgają po karabiny maszynowe! O, niech będą dzięki operczekistom! O, Trzeci Oddziale, toś ty Rosję uratował od zguby!

Siedzi ci w takim III-cim Oddziale (Obozy Dżydińskie, Buriat-Mongolia) niezła paczka: naczelnik oddziału operacyjnego Sokołow, śledczy Mironienko, pełnomocnicy — Kałasznikow, Sosikow, Osincew. Aleśmy się zagapili! — powiadają. Wszędzie te spiski, a my śpimy, czy co? U nas też uknuto kolosalny spisek, tylko jaki? No, oczywiście — żeby „rozbroić straż” i żeby „uciec za granicę”; przecież zagranica blisko, a Hitler daleko. Od kogo więc tu zacząć?

I — niczem psia, rozżarta sfera, rwąca na strzępy chudego wyleniałego królika — tak rzuca się ta błękitna zgraja na nieszczonego Babicza. Był niegdyś badaczem polarnym, bohaterem, a teraz jest owrzodzonym *dochodiagą*. To on na początku wojny omal nie oddał lodołamacza „Sadko” w niemieckie ręce, więc też teraz wszystkie nici spisku powinny zbiegać się do niego! To on swoim stoczonym przez szkorbut ciałem powinien osłonić ich spasione cielska.

„Jeżeli jesteś złym sowieckim obywatelem, to tak czy owak zmusimy cię do posłuszeństwa — będziesz kłaniać się nam w pas. Nie pamiętasz? — Już my ci *przypomnimy!* Niesporo idzie ci pisanie? — *Pomożemy!* Prosisz o czas do namysłu? — do karceru z nim, niech zre trzysta gramów, nie więcej”.

A inny operczekista dodaje: „Wielka szkoda. Z czasem zrozumiecie, rzecz jasna, że rozsądniej było spełnić nasze żądania. Ale zrozumiecie to zbyt późno, kiedy można będzie was złamać, jak ołówki w palcach”. (Skąd do nich ta obrazowość stylu? sami to wymyślili, czy może w przewodniku dla operczekistów

jest taki podręczny zestaw metafor, pióra jakiegoś nieznanego poety?).

A oto przesłuchanie u Mironienki. Ledwie tylko Babicz zostaje wprowadzony do gabinetu, zapach smażonego jądła aż zapiera mu dech... A Mironienko sadza go jak najbliżej wazy z parującym barszczem na mięsie, oraz półmiska z kotletami. I z pozoru wcale nie zwracając uwagi na ten barszcz i kotlety, a nawet na to, że Babicz je widzi, zaczyna życzliwym tonem przytaczać dziesiątki argumentów, mających zagłuszyć głos sumienia i wyjaśnić, dlaczego można i trzeba składać fałszywe zeznania. Upomina więźnia po przyjacielsku:

— Gdy wzięto was po raz pierwszy, prosto z ulicy, to próbowaliście wykazać, że jesteście niewinni; no i nie udało się. Przecież się nie udało! Dlaczego? A dlatego, że wasz los był z góry przesądzony, jeszcze przed aresztowaniem. Teraz tak samo. No, zjedzcie już ten obiad, zjedzcie. Jedzcie, póki gorące... Jeżeli nie będziecie głupi — to zakwitnie między nami święta zgoda. Nic wam nigdy nie będzie brakowało... A jeżeli nie...

I Babicz się załamał! Głód życia okazał się mocniejszy od głodu prawdy. I zaczął pisać o wszystkim pod dyktando. I oszkalał 24 osoby, z których znał — na dobrą sprawę — tylko cztery! Przez cały czas badań — żywiono go dobrze, ale nie do syta, aby przy pierwszej próbie oporu znów móc zagrozić głodem.

Dreszcz przenika, gdy się czyta jego wspomnienia, spisane przed śmiercią: z jak wysoka — i jak nisko przy tym upaść może człowiek, nawet tak mężny! Jak nisko każdy z nas upaść może...

I dwudziestu czterech ludzi, niczego nieświadomych, poszło pod mur, albo na nowe, długoletnie katusze. A Babicza — jeszcze przed rozprawą — posłano do sowchozu jako asenizatora. Później musiał świadczyć na rozprawie, sam dostał nową dychę z tym, że pierwszą mu anulowano — ale umarł w obozie przed końcem tej drugiej kary.

A ta paczka z Dzydina, z III-go oddziału?... No, może ktoś przeprowadzi śledztwo w sprawie tej bandy?! Ktokolwiek bądź! Jakiś współczesny! Ktoś z naszych potomków!

A ty? Myślałeś, że w obozie można wreszcie pofolgować sobie? Że tu można chociaż na głos się poskarżyć: patrzcie, jaki straszny wyrok mi dali! To ma być wikt?! Jak ciężko muszę pracować! Albo — może myślałeś, że tu opowiesz przynajmniej, za co ci ten wyrok dano? Jeżeli cokolwiek z tych rzeczy powiedziałeś na głos, to jużes przepadł! już cię nowa

dycha nie minie! (Co prawda, te dychy nie sumują się, początek nowej oznacza zakończenie starego rachunku, tak, że odsiedzieć będziesz musiał nie dwadzieścia, lecz trzydzieści, pięćdziesiąt lat... Ale zawsze więcej, niż zdołasz wytrzymać).

Jakto, masz pewność, żeś milczał jak ryba? I mimo to znów dosunęli ci drugi wyrok? Cóż, tym razem też wszystko gra! — to, że dosunęli, nie ma nic wspólnego z twoim zachowaniem. Wsadza się przecież nie *za coś* tylko *po coś*. W myśl tej samej zasady strzygą też *wolne* barany. Gdy banda z III-go Oddziału idzie na łów, poluje na upatrzonego, ma już listę najwybitniejszych w obozie osób. Właśnie ten spis podyktują oni później Babiczowi...

W obozie przecież jeszcze trudniej się schować, tu wszystko — jak na dłoni. I tylko jeden masz ratunek, człowieku: być zerem! Okrągłym zerem. I to już od początku.

Bo później — wcale już nie trudno przypiąć człowiekowi odpowiednią łąkę.

Gdy skończył się urodzaj na „spiski” (Niemcy zaczęli się cofać) — gdzieś w 1943 roku wytoczono z kolei mnóstwo spraw o „agitację” (kumom dalej jakoś nie bardzo było pilno na front!). W obozie Buriepołom opracowano następujący zestaw:

— działalność skierowana przeciw polityce WKP(b) i rządu sowieckiego (jak i co tu można było „skierować przeciw” — tego zrozumieć nie podobna);

— defetystyczne plotki;

— oszczercze wypowiedzi na temat sytuacji materialnej mas pracujących Związku Sowieckiego (wystarcza powiedzieć prawdę — a już to starczy za oszczerstwo);

— wyrażenie chęci (!) przywrócenia ustroju kapitalistycznego;

— manifestowanie urazy do rządu sowieckiego (to już wyjątkowa bezczelność! — Właśnie ty, wywłoko, czujesz jakąś urazę? dostałeś dychę, to milcz!).

70-letniego byłego dyplomatę carskiego oskarżono, że prowadził agitację na tematy następujące:

— że w ZSSR klasa robotnicza żyje w ciężkich warunkach;

— że Gorki jest marnym pisarzem(!!).

Trudno twierdzić, że tu już trochę przesolili, bo za Gorkiego zawsze dostawało się wyrok, już taką miał pozycję. Ale niejaki Skworcow w Łochczemłagu (niedaleko Ust'-Wymu) zainkasował 15 lat, przy czym wśród zarzutów był taki:

— przeciwstawił proletariackiemu poecie Majakowskiemu pewnego poetę burżuazyjnego.

Zarzut ten widniał w uzasadnieniu wyroku — i nie wymagał rozwinięcia, aby stać się jego motywem. Ale z protokołów sprawy można dowiedzieć się, o jakiego to „pewnego” poetę chodziło. Okazuje się, że o Puszkina! Złapać wyrok za Puszkina — to już rzadkość!

Po takich historiach — Martinson, który rzeczywiście powiedział w walcowni blachy, że „ZSSR — to jedna ogromna z o n a” — powinien Bogu dziękować, że wykpił się byle dychą.

Albo ci, co odmawiali chodzenia do pracy, za co dano im tylko po dziesiątaku, mogąc wszak skazać ich na rozstrzelanie!

Ale nie sama ilość lat, nie absurdalna, fantastyczna wręcz długość tych kar jest najstraszniejszą cechą dodatkowych wyroków, lecz sposób w jaki się je dostaje — i myśl, *jak* przeczłogać się teraz przez żelazną rurę, pełną lodu i śniegu.

Zdawałoby się, że aresztowanie — to błahostka dla kogoś, kto już siedzi w obozie. Jeśli wzięto kiedyś człowieka zniecacka, prosto z ciepłej pościeli — to mniejsza teraz o nieprzytulny barak z gołymi pryczami. Właśnie, że nie! W baraku piec gorący, w baraku dają co dzień jeść — ale przyjdzie ci taki strażnik — szarpnie w nocy za nogę: „Zbieraj się!”. Ach, jak się człowiekowi nie chce!... Ludzie, ludzie, tak was kochałem...

Obozowe więzienie śledcze. Co by to było za więzienie i jak mogłoby ono przyczynić się do szczerych zeznań, gdyby nie było gorsze od samego obozu? Tych więzień z reguły nie ogrzewa się. Jeśli ziąb jeszcze za mały — to każą więźniom siedzieć w samej bieliźnie. W sławetnej workuckiej Trzydziestce (nazwę przejęto od czekistów, telefon więzienia miał numer „30”), w baraku z tarcic — a rzecz dzieje się za Kołem Podbiegunowym

---

1. Tak się spodoba ten proceder wymierzania dodatkowych kar, tyle sensu wniesie to w życie operczekoddziału, że gdy wojna już się skończy, gdy już nie będzie można uwierzyć ani w spiski, ani nawet w defetystyczne nastroje — zaczniesz się ferowanie wyroków za wykroczenia pospolite. W 1947 roku, w karnej kolonii rolnej Dolinka, co niedziela odbywały się wewnątrz zony procesy pokazowe. Sądzone ludzi za to, że przy kopaniu kartofli piekli je w popiele, sądzone za to, że jedli w polu surową marchew i rzepę (co by powiedzieli chłopci pańszczyźniani, gdyby obecni byli na takiej rozprawie?) i za takie rzeczy wlepiano po 5, po 8 lat — na podstawie dopiero co wydanego Wielkiego Dekretu „cztery szóstych”. Pewien były „kułak” kończył już odsiadki swojej dychy. Orał w obozowego wołka i nie mógł patrzeć, jak bydłatko głoduje. Tego właśnie obozowego wołka — nie siebie! — nakarmił burakami i dostał za to 8 lat... Rzecz jasna, żaden przedstawiciel „socjalnie bliskiego elementu” nie myślałby nawet o dokarmianiu bydłatka! Tak właśnie przez dziesięciolecia dokonuje się wśród ludu selekcja, tak się oddziela tych, co mają żyć, od tych, co powinni umierać.

— przy czterdziestostopniowym mrozie — dawano na opał jeden ceberek węglowego miatu na dobę, choć w Workucie, jak wiadomo, węgla nie brak. Inna szykana: nie dawano zapatek, a na rozpałkę — wszystkiego jedną trzaskę grubości ołówka. (Schwytyanych uciekinierów trzymano w tej Trzydziestce zupełnie BEZ ODZIEŻY; jeśli po dwóch tygodniach ktoś z nich jeszcze żył, to dostawał letnie sorty, bez waciaka. I ani materaców, ani koców. Czytelniku! Spróbuj przespać tak jedną noc! W baraku było mniej więcej pięć stopni poniżej zera).

Tak siedzą więźniowie śledczy przez parę miesięcy! Przychodzą tu już osłabieni wieloletnim głodem i niewolniczą pracą. Teraz już łatwo ich wykończyć. Jak są żywieni? — a jak III-ci Oddział zadecyduje: tu 350, ówdzie 300, a w Trzydziestce — 200 gramów chleba, lepkiego jak glina, to znaczy — kęs nie większy od pudełka zapatek. Ponadto — raz dziennie miska wodnistej bałandy.

Ale nieprędko zaznasz błogiego ciepła, nawet jeśli wszystko podpisałeś, zeznałeś, poddałeś się, godząc się spędzić jeszcze dziesięć lat na lubym Archipelagu. Z Trzydziestki przenoszą więźnia przed rozprawą do workuckiego „namiotu śledczego” nie mniej sławnego. Jest to istotnie najzwyczajniejszy namiot, przy tym dziurawy. Podłogi nie ma żadnej, zamiast niej — polarna ziemia. Wymiary —  $7 \times 12$  metrów. Żelazna beczka zamiast pieca. Są nary z jednej warstwy żerdek, miejsca obok pieca — zawsze zajęte przez szemranych. Plebs polityczny — gdzieś dalej, albo na ziemi. Leży człowiek i widzi gwiazdy nad głową. Więc już się modlić gotów, żeby go co rychlej skazano! niech już prędzej przyjdzie ten wyrok! Sąd wydaje się wybawieniem. (Powie mi ktoś, że człowiek nie może tak żyć pod biegunem, chyba że karmi go się czekoladą i odziewa w futra. A u nas — może! Nasz sowiecki człowiek, nasz tubylec z Archipelagu — wszystko potrafi! Arnold Rappoport przesiedział w tych warunkach wiele miesięcy — bo komplet sędziowski jakoś nie mógł dojechać z Narian-Maru na sesję wyjazdową sądu okręgowego).

A oto — dla przykładu — jeszcze jedno więzienie śledcze: karny podobóz Orotukan na Kołymie, 506 kilometrów od Magadanu. Zima z 1937-ego na 38-my. Osada parciano-drewniana, to znaczy — dziurawe namioty, ale jednak obłożone tarcicami. Przyjeżdża świeży etap, nowa grupa skazanych na nowe śledztwo — i jeszcze zanim otworzy się przed nimi wrota, ludzie ci widzą, że każdy namiot w osadzie, ze wszystkich stron, prócz wejściowej OSZALOWANY JEST ZAMARZŁYMI NA KOŚĆ TRUPAMI! (zrobiono to nie na postrach — nie ma innego wyjścia:

ludzie wymierają, śnieg ma dwa metry grubości, a pod nim — wieczna zmarzlina).

Teraz kolej na męki oczekiwania. Trzeba w tych namiotach czekać, aż raczą przenieść człowieka do śledczego bloku z drewnianych bali. Ale zbyt wielu tu się ich zebrało — tę masę królików spędzono tu z całej Kołomy, funkcjonariusze nie dają rady, zatem większość przywiezionych skona tu jeszcze przed pierwszym przesłuchaniem. W namiotach ścisk, nie można nóg rozprostować. Leżą na narach, na ziemi, leżą tak tygodniami. (To ma być ścisk? — słyszymy głos z obozu Serpantinka. — U nas czeka się na rozstrzelanie tylko parę dni, to prawda, ale cały ten czas trzeba *stać* w szopie, stać w takim tłoku, że kiedy ludziom dają *pić*, to znaczy — kiedy rzucają przez drzwi kawałki lodu — to nie sposób wyciągnąć ręki, tylko trzeba nadstawiać otwarte usta, aby złapać okrucz). Nie ma kąpieli, ani spacerów, świerzb żre skórę. Wszyscy z zaciekłością drapią się, wszyscy *iskają* się, przeszukują watowane portki, fufajki, koszule, gacie, ale wcale ich nie zdejmują, bo zimno. Wielkie, białe, dorodne wszy przypominają upasione, mleczone prosięta. Kiedy trzaskają pod paznokciem — posoka bryzga i plami palce.

Przed obiadem dyżurny strażnik krzyczy od progu: „Wykitawał tam który?”. „Jest paru” — „Kto chce dostać pajkę ekstra — niech wyniesie!”. Wynoszą więc i kładą na stercie, okalającej szopę. I nikt NIE PYTA NAWET O NAZWISKA ZMARŁYCH! — porcje wydawane są zgodnie z *ilością* więźniów. A porcja — to trzysta gramów. I jedna miska bałandy dziennie. Dają jeszcze trochę ryby. Ryba jest diablo słona. Bardzo po niej chce się pić, ale wrzátku nigdy nie ma, nie dają go w ogóle. Stoją beczki z lodowatą wodą. Trzeba wypić niejedną kubek, aby ugasić pragnienie. G.S.M. perswaduje przyjaciółom: „Nie jedzcie tych ryb — bo zginiecie bez ratunku! Całą ilość kalorii, jaką wam daje chleb — tracicie przez tę zimną wodę!”. Ale ludzie nie potrafią wyrzec się kęsa darowanej ryby, żrą ją i znów muszą pić. I dygoczą z zimna, co już siedzi w trzewiach. Tylko M. ryb nie je — za to teraz może nam opowiadać o Orotukanie.

Ciasno, bo ciasno było w baraku — ale robi się coraz luźniej i luźniej. Po kilku tygodniach resztki etapu wyganiają na dwór, na apel. W zapomnianym już blasku dnia mogą się teraz przyrzec sobie wzajem: bladzi, zarośnięci, z perłowymi girlandami gnid na twarzy, usta mają wyschłe i sine, oczy zapadłe. Apel odbywa się wedle formularzy. Odpowiedzi są ledwie dosłyszalne. Fiszki, na które nikt nie dał odzewu, odkładane są na bok.



W ten sposób wyjaśnia się, kto leży już w sągach, kto uniknął śledztwa.

Wszyscy, którym udało się przetrzymać Orotukan twierdzą, że wolą komorę gazową...

Śledztwo? Ma taki przebieg, jaki zaplanował sobie funkcjonariusz śledczy. Kto stawał okoniem — ten już nic wam nie opowie. Jak mawiał oper Komarow: „Mnie potrzebna jest tylko twoja prawa ręka — żeby było czym podpisać protokół...”. No, tortury są typu prymitywnego, domowego chowu — przyskrzytnianie ręki drzwiami i tam dalej (niech zresztą czytelnik spróbuje).

Sąd? A jest tam jakieś *Łagkolegium* — podlegające sądowi okręgowemu — stały organ sprawiedliwości w obozie, coś jakby sąd rejonowy. Praworządność tryumfuje! Występują nawet świadkowie, kupieni przez III-ci Oddział za miskę zupy.

W obozie Buriepołom brygadziści często bywali świadkami oskarżenia w sprawach członków własnej brygady. Zmuszał ich do tego śledczy — Czuwasz, niejaki Krutikow. „Bo inaczej odbiorę ci brygadę i poślę na Pieczorę!”. Wychodzi więc taki brygadzysta, Mikołaj Rożyn (z miasta Gorki) i zeznaje: „Tak jest, Bernsztejn mówił, że maszyny do szycia Singer są dobre, a nasze, z Podolska, do chrzanu”. Wystarczy! Czy to nie dosyć, jak na sesję wyjazdową Sądu Okręgowego (przewodniczący — Buchonin i dwie miejscowe ławniczki, komsomołki Żukowa i Korkina)? Dziesięć lat!

Był jeszcze w Buriepołomie kowal — Antoni Wasilewicz Bałybierdin (miejscowy, z pobliskiego Tanszaju) — który występował jako świadek oskarżenia w każdej w ogóle sprawie. Jeśli go ktoś spotka, to niechże uściśnie jego strudzoną prawicę!

I w końcu — jeszcze jeden etap, do innego podobozu, żeby ci czasem nie zachciało się porachunków ze świadkami oskarżenia. Etap to krótki — jakieś cztery godziny na otwartej platformie kolejki wąskotorowej.

Niech żyje czujność czekistów, która nas uratowała od klęski na froncie, ich zaś samych — od pójścia na front!



Podczas wojny (wyjawszy te okręgi, z których cofaliśmy się w pośpiechu) niezbyt często stosowano rozstrzelanie; wyroki opiewały najczęściej na nowe lata odsiadki: operczekistom potrzebne było nie likwidowanie tych ludzi, tylko wykazanie się wykryciem ich przestępstw. Ponownie skazani mogli pracować, albo od razu wywinąć orła — ale to już była inna sprawa, dotycząca pionu produkcji.

W 1938 roku natomiast naciskano z góry bardzo niecierpliwie — żeby rozstrzeliwać! Rozstrzeliwano w miarę sił we wszystkich obozach — ale najczęściej tego było na Kołymie (egzekucje „garaninowskie”) i w Workucie (egzekucje „kaszkietinskie”).

Z tymi ostatnimi wiąże się szarpiąca bebechy, nazwa Starej Cegielni. Tak się zwała stacja wąskotorówki, leżąca 20 kilometrów na południe od Workuty.

Po „sukcesie” głódówki trockistów w marcu 1937 roku, po oszukańczym jej zażegnaniu, przysłano z Moskwy tzw. „komisję Grigorowicza”, która miała poddać strajkujących śledztwu. Na południe od Uchty, niedaleko mostu kolejowego na rzece Ropcza, otoczono kawał tajgi palisadą z drewnianych bierwion i stworzono nowy izolator — Uchtarka. Tam właśnie prowadzono śledztwo w sprawie trockistów z południowego odcinka magistrali. Do samej zaś Workuty posłano członka tejże komisji, nazwiskiem Kaszkietin. Tu zaczął on przepuszczać trockistów przez „namiot śledczy” (stosował bicie kańczugiem!) i — nie nalegając nawet zbytnio, aby przyznawali się do winy — układał swoje „kaszkietińskie spisy”.

Zimą, na przełomie 1937-ego i 38-ego roku z rozmaitych punktów zbornych — ze skupiska namiotów przy ujściu Syr-Jagi, z Koczmasu, z Siwej Maski, z Uchtarki — tych trockistów, a także tzw. decystów<sup>2</sup> zaczęto ściągać na teren Starej Cegielni (niektórych — bez żadnego wstępnego śledztwa). Kilku najwybitniejszych przeniesiono do Moskwy w związku z procesami przywódców. W kwietniu 1938 roku zebrano się ogółem w Starej Cegielni 1053 ludzi. Wśród tundry, kawał drogi od wąskotorówki, stała stara, długa szopa. Tam umieszczono tych, co brali udział w strajku głodowym, a później, gdy nadeszły dodatkowe transporty — rozbito opodal jeszcze dwa namioty — stare, dziurawe, niczym nie oszalowane — każdy na 250 ludzi. Jak ich tam traktowano — można się domyśleć, znając opis Orotukanu. Każdy namiot miał wymiary 20 × 6 metrów. Pośrodku stała beczka żelazna, pełniąca obowiązki pieca. Przydzielano jedno wiadro węgla na całą dobę; podsycać ogień można było chyba tylko własnymi wszami. Gruba warstwa szronu pokrywała brezent od wewnątrz. Brak było miejsc na narach, więc leżało się i chodziło na zmianę. Dawano dziennie po 300 gramów chleba i po misce bałandy. Czasami, ale nie co dzień — kęs sztokfisz na dodatek. Nie było wody, lód też wydawano po kawałku. Rozumie się że nikt się nie mył, o łaźni nie było mowy. Gnilec toczył ciała, skóra pokrywała się plamami.

---

2. Zwolnienicy demokratycznego centralizmu.

Czymś gorszym nawet od Orotukanu czyniła Starą Cegielnię obecność knajaków — których specjalnie podrzucono trockistom. Wśród tych obozowych szturmowców było wielu morderców, z wyrokami śmierci na karku. Otrzymali instrukcję, aby tępić to polityczne plugastwo i że nagrodą za to będzie złagodzenie kary... Knajacy z radością zabrali się do roboty tak przyjemnej i zgodnej z ich naturą. Otrzymali funkcje starostów (wiadomo, że jeden z nich nosił przydomek „Mróz”) i podstarościch, chodzili z pałami w rękę, bili nimi tych byłych komunistów i znęcali się nad nimi, jak umieli: kazali się nosić na barana, zabierali komuś rzeczy, fajdali na nie i wrzucali je do pieca. W jednym z namiotów polityczni rzucili się w końcu na szemranych, chcąc ich zatłuc, ale ci podnieśli wrzask i konwój zaczął ostrzeliwać namiot z zewnątrz, paląc na oślep w obronie swoich.

Jedność i wola walki uczestników niedawnego strajku zostały nadłamanie przez to pastwienie się kryminalistów nad politycznymi.

W Starej Cegielni, w zimnych i dziurawych szałasach, w nędznym, nie dającym żadnego ciepła piecu, dopalały się ostatnie rewolucyjne porywy dwudziestolecia okrucieństw i prób przebudowy świata.

Mogło się zdawać zarazem, że ginie cała rosyjska tradycja walk politycznych.

Mimo to, więźniowie ze Starej Cegielni wciąż spodziewali się przeniesienia na jakiś inny teren; ludzie zawsze czepiają się pozorów nadziei. Od kilku miesięcy dręczono ich tu, było to już nieznośne. I rzeczywiście, wczesnym rankiem 22 kwietnia (data nie została ustalona zbyt ściśle — jest to w końcu dzień urodzin Lenina) zaczęto zbierać etap; wyznaczono 200 ludzi. Każdy z wezwanych dostawał swój worek z depozytu i kładł go na sanie. Konwój prowadził pieszą kolumnę na wschód, w głąb tundry — bezludnej w szerokim promieniu; gdzieś, daleko leżał Salechard. Knajacy jechali z tyłu na saniach z rzeczami. Jeden tylko szczegół wydał się dziwny tym, co zostali w obozie: nikt nie pokwapił się aby podnieść kilka sakw, które spadły z sań.

Kolumna maszerowała szparko: mieli przed sobą jakieś nowe życie, nową pracę, choćby nawet męczącą, ale zawsze lepszą od tego czekania. Sanie zostały daleko w tyle. Eskorta też nie nadążała: nie widać już było konwojentów, ani przed kolumną, ani z boków, wlekli się gdzieś z tyłu. Cóż, opieszłość eskorty — to też dobry omen.

Świeciło słońce.

I nagle — czarna kolumna, brnąca przez olśniewającą biel śnieżnej przestrzeni — nadziała się na ogień karabinów maszy-

nowych. Cekaemy szyły nie wiadomo skąd, zza białych wydm. Koszeni ogniem więźniowie padali na śnieg, inni stali jeszcze, nikt nie rozumiał, co się dzieje.

Śmierć przyszła w śnieżnobiałym, świetlistym ornacie, bezgrzeszna, miłosierna.

Była to fantazja na temat przyszłej wojny. Zza wałów usypanych ze śniegu wstawali mordercy w polarnych, białych pelerynach maskujących (podobno w większości byli Gruzunami) podbiegali do gościńca i dobijali konających strzałem z pistoletu. Niedaleko były — wykopane zawczasu — doły i nadjeżdżający knajacy zaczęli żwawo ściągać do nich zwłoki. Rzeczy zabitych zostały spalone, co szemranym sprawiło spory zawód.

23-ego i 24-ego kwietnia rozstrzelano w ten sposób jeszcze 760 ludzi.

93-ech wróciło zaś etapem do Workuty. Byli to knajacy, oraz — jak wolno przypuszczać — szpiedzy i prowokatorzy<sup>3</sup>.

Tak wyglądały najważniejsze z tych „kaszkietniskich egzekucji<sup>4</sup>”.

Ale z dalej położonych placówek skazani na śmierć przybywali z opóźnieniem, w grupach po 5-10 osób. Oddział zbirów czekał na nich na przystanku Cegielnia i prowadził w stronę starej łaźni. Była to budka z bierwion, obita wewnątrz trzema-czterema warstwami koców. Skazańcom kazano przed wejściem rozbierać się do naga na śniegu i wchodzić do środka. Tam zabijano ich strzałami z pistoletu. W ciągu 6-ciu tygodni zgładzono w ten sposób koło dwustu ludzi. Trupy palone były w tundrze.

Spalono w końcu zarówno szopę w Starej Cegielni, jak blokhaus w Uchtarce. (A „łaźnię” załadowano później na łorę kolejową, odwieziono na 308 odcinek wąskotorówki i zrzucano z nasypu. Tam właśnie mógł jej się przyjrzeć mój znajomy. Jej całe wnętrze było pokryte zeskorupiałą krwią, ściany podziurawione, jak rzeszoto).

Zresztą — nie był to wcale koniec mordów na trockistach. Zebrano jeszcze jakichś trzydziestu niedorzniętych i rozstrzelano

---

3. Wymienia się nazwiska Rojtmana, Istniuka, Modela (redaktor z Państwowego Wydawnictwa Literatury Pięknej — Goslitizdat), Alijewa. Z szemranych — Tadzika Nikołajewskiego. Nie możemy tu ustalić niezbiecie za co właściwie każdemu z nich darowano życie, ale trudno wyobrazić sobie inny powód.

4. Informacji tych udzieliło mi dwóch moich współwięźniów. Jeden z nich był t a m i należał do tych, których oszczędzono. Drugi, bardzo dociekliwy i — już wtedy — marzący o utrwaleniu tych wydarzeń, zdołał spenetrować te okolice po świeżych jeszcze tropach i wypytać, kogo tylko mógł.

niedaleko budynku Trzydziestki. Ale to już wykonał kto inny. Bo ten pierwszy pluton zbirów, ci operczekiści i konwojenci, a także knajacy, którzy brali udział w kaszkietinских egzekucjach — wszyscy oni również zostali wkrótce rozstrzelani, jako świadkowie.

Kaszkietin otrzymał w 1938 roku order Lenina „za szczególne zasługi wobec partii i rządu”. Ale już po roku sam także został rozstrzelany w Lefortowie.

Nie pierwszy to był wypadek w dziejach, bynajmniej.

A.B-w opowiada jak wykonywano egzekucje w Adaku (podobóz nad rzeką Pieczorą). Nocami wzywano opozycjonistów na etap, „z rzeczami”, wyprowadzano ich za obręb zony, gdzie stał budynek III Oddziału. Skazańców wprowadzano pojedynczo do izby, gdzie z miejsca rzucali się na nich konwojenci z WOCHR'y. Wpychano im do ust szmatę, ręce wykręcano do tyłu i krępowano linką. Na dworze czekały już konne podwozy. Pięciu, siedmiu skazańców wrzucano na wóz i odwożono na „Górkę”, czyli na cmentarz obozowy. Tam ściągano ich do gotowych już dużych dołów i natychmiast ZAKOPYWANO ŻYWCEM. Nie był to wcale objaw prymitywnego bestialstwa. Toć wiadomo, że póki człowiek żyje, o wiele mniej z nim zachodu przy transporcie, niż z nieporęcznym umarlakiem.

Tę *cichą* robotę prowadzano na Adaku przez wiele nocy pod rząd.

Tak oto została wreszcie osiągnięta jedność moralno-ideowa naszej partii.

## Rozdział czternasty

### ZIELONY PROKURATOR

Samoobrona jest więc w tym dzikim świecie niemożliwa. Strajk — równy samobójstwu. Głódówka — bezcelowa.

Umrzeć zaś — zawsze człowiek zdąży.

Cóż pozostaje? Ucieczka! *Odmiana losu!* (Więźniowie zwą również ucieczkę — *zielonym prokuratorem*. Jest to jedyny prokurator cieszący się wśród nich popularnością. Podobnie jak inni prokuratorzy, wiele spraw zostawia on w dawnym, albo i gorszym stanie, ale czasami udziela całkowitego zwolnienia. To — nasz las zielony, to trawa — murawa!).

Czechow powiada, że jeśli więzień nie jest filozofem, któremu wszędzie jednak dobrze (albo — mówiąc inaczej — który ma możliwość odizolowania się od świata zewnętrznego) — to *nie* marzyć o ucieczce nie może on i *nie powinien!*

Nie powinien nie chcieć! — oto imperatyw wolnej duszy. Co prawda, wśród tubylców nie tak łatwo o wolne dusze, są potulniejsi, niż się sądzi. Ale także wśród nich zawsze znajdują się tacy, co myślą o zrywce albo lada chwila się urwą. Ciągłe, to tu, to tam, zdarzające się wypadki ucieczek, niechby nawet niefortunnych — to najlepszy dowód, że energia zeków nie całkiem jeszcze się wyczerpała.

Weźmy typową zonę. Założmy, że jest pilnowana dobrze, że ogrodzenie ma mocne, strefę izolacyjną — szeroką, że wieżyczki rozstawione są prawidłowo i dlatego każdy punkt jest w zasięgu obserwacji i obstrzału. Mimo to, staje się dla człowieka nieznośną myśl, że właśnie tu, na tym odrutowanym skrawku ziemi trzeba będzie skonać. Czemu więc nie spróbować szczęścia? — nie spróbować innego życia? Zwłaszcza z początku, w pierwszym roku kary — pęd ten jest silny i nie liczy się z żadną rozważą.

Mowa o pierwszym właśnie roku, który w ogóle decyduje o całej przyszłości i postawie więźnia. Później prąd ten jakoś słabnie, nikt nie pewność, że lepiej być, t a m, niż tu, osłabiają się nici, łączące więźnia ze światem, żar wewnętrzny już tli się jeno, i człowiek wdraża się do chodzenia w obozowym kieracie.

Nie mało było ucieczek w dziejach systemu obozowego. Oto przygodne dane: w ciągu jednego miesiąca, mianowicie — w marcu 1930, z zakładów Karnych RSFSR uciekło 1.328 ludzi<sup>1</sup>. (Jakoś nie mówi się u nas o takich rzeczach, ani słychu, ani widu!).

W miarę wybujałego rozrostu Archipelagu po roku 1937, a już zwłaszcza — podczas wojny, gdy zdolnych do służby liniowej strażników pozabierano na front — problem dozoru stawał się coraz trudniejszy i nawet złośliwy pomysł z „samoochroną” nie zawsze pomagał. Jednocześnie — rosła chęć wyciśnięcia z obozów jak największych korzyści gospodarczych, zwierzchności zależało na zwiększeniu urobku; na wzmożonym wysiłku więźniów — więc też zaczęto wysyłać grupy robocze na odległe stanowiska pracy. Zwłaszcza przy wycinaniu lasu posyłało nieraz ludzi w głąsę — a ochrona stawała się coraz bardziej iluzoryczna i umowna.

Niektóre wysunięte odcinki robót obozu UST'-Wym już w 1938-ym miały zamiast solidnego ogrodzenia jedynie pleciony płotek albo parkan, a w nocy *w ogóle* nie były oświetlane! — Co znaczy po prostu, że w nocy nikt nie mógłby wychodzących więźniów zatrzymać. Nawet w *karnych* podobozach Ust'-Wymu jeden tylko strażnik prowadził brygadę do roboty. Jasne, że nie mógł wszystkich na raz mieć na oku. W rezultacie — latem 1939 roku uciekło stamtąd *siedemdziesięciu* ludzi (jeden z nich próbował ucieczki dwa razy tego samego dnia: przed obiadem i po obiedzie!), jednakże *sześćdziesięciu* z nich musiało wrócić. O *dziesięciu* pozostałych — brak wiadomości.

Ale to działo się w głąszy. W samej zaś Moskwie, za moich czasów, miały miejsce trzy łatwe ucieczki: z podobozu na rogatce Kałużskiej w biały dzień zwał przez dziurę w płocie, okalającym plac budowy, pewien młody złodziej (i z typową dla tej ferajny chępliwością — nazajutrz wysłał do obozu pocztówkę, donosząc, że jedzie na wyuczasy do Soczy i przesyła ukłony dla komentanta); z oboziku Marfino obok Ogrodu Botanicznego, uciekła dziewczyna, już pisałem o tym; z tegoż obozu wyrwał się i uciekł przejeżdżającym autobusem do miasta, pewien młody popolitak. Co prawda, ten ostatni w ogóle nie miał eskorty: MGB tylko

1. *Centralne Państwowe Archiwum Rewolucji Październikowej* (CGAOR) zbiór 393, fascykuł 84, teka 4, arkusz 68.



mas miało na oku i nie bardzo zmartwiło się utratą jakiegoś pospolitaka.

Przypuszczalnie w centrali GUŁagu obliczono kiedyś, że tańiej kalkuluje się tolerowanie ucieczek pewnego procentu zeków, niż roztoczenie naprawdę ścisłego nadzoru nad wszystkimi tysięcznymi wysepkami Archipelagu.

Prócz tego — polegano na innych jeszcze, niewidzialnych łańcuchach, mocno trzymających tubylców na uwięzi.

Najmocniejszy z tych łańcuchów — to powszechna apatia, kompletne pogodzenie się ze swoim rabskim losem. Tak Pięćdziesiątka Osemka, jak i pospolitacy byli po większej części ludźmi obarczonymi rodziną, pracowitymi, zdolnymi do męstwa tylko na rozkaz, w trybie ustalonym przez przełożonych. Mając już nawet na karku pięcio- i dziesięcioletnie wyroki, nie potrafili sobie wyobrazić, aby można było teraz na własną rękę (a już Boże broń — gromadnie!...) wystąpić do walki o własną wolność, przeciw całemu państwu (*własnemu* państwu), NKWD, milicji, straży, psom! żeby można było — nawet po udanej ucieczce — żyć później z fałszywym paszportem, pod cudzym nazwiskiem, skoro dokumenty sprawdzane są na każdym rogu, a z każdej sieni zerkają na człowieka podejrzliwe oczy. I taki oto nastrój panował w obozach: po co tu sterczycie z tymi karabinami, co się tak na nas gapicie? Możecie iść sobie w diabły, i tak nigdzie się stąd nie ruszymy: nie jesteśmy żadnymi przestępcami, po co mielibyśmy uciekać? I tak wyjdziemy na wolność za jakiś roczek (amnestia!...). K. Strachowicz opowiada jak to — w 1942 roku ich pociąg w drodze do Uglicza — został zbombardowany. Konwojenci rozpięchli się, więźniowie zaś zostali na miejscu, czekali spokojnie na powrót eskorty. Słyszałem wiele opowieści — takich, jak historia księgowego z Ortausskiego oddziału Karłagu: posłano go z bilansem o 40 km., dając mu jednego konwojenta. Wracać zaś musiał, wioząc na podwodzie nie tylko pijanego w sztok konwojenta, lecz również jego karabin; a pilnował go, jak oka w głowie, żeby głupi strażnik nie poszedł pod sąd za zgubienie broni.

Drugim łańcuchem było wycieńczenie, obozowy głód. Z jednej strony — właśnie ten głód pchał niekiedy do tajgi desperatów, wierzących, że nie może być tam tak głodno, jak w obozie; z drugiej wszelako — pozbawiał ich sił, niezbędnych do dalszego skoku, nie pozwalał też na zgromadzenie zapasów na drogę.

Innym łańcuchem był lęk przed nowym wyrokiem. Polityczni dostawali za próbę ucieczki nową dychę z artykułu 58-go (stopniowo utarła się praktyka stosowania paragrafu 58-14, sabotaż kontrewolucyjny). Złodzieje dostawali co prawda artykuł 82-gi

(ucieczka bez okoliczności obciążających) — i tylko po 2 lata, ale za kradzież i rabunek — aż do 1947 roku — obrywali też nie więcej, niż 2 lata, są to więc wielkości porównywalne. Ponadto — obóz był dla nich domem rodzinnym, co się zowie, w obozie ani nie harowali, ani nie głodowali — w interesie ich było więc, aby nie uciekać, lecz odsiadywać wyrok do końca, tym bardziej, że zawsze mogły zdarzyć się jakieś ulgi, albo amnestia. Ucieczka — gdy chodzi o zawodowego złodzieja — to tylko rozrywka dla zdrowego, sytego ciała i ujęcie dla drapieżnej zachłanności: pohulać, pograbić, uchlać się, zgwałcić kogoś, roztoczyć pawia ogon. Ucieczek na serio próbowali wśród nich tylko bandyci i mordercy z ciężkimi wyrokami na karku.

(Złodzieje bardzo lubią popisywać się swoimi — nigdy nie doprowadzonymi do skutku — uciezkami, albo przejawiać opisy uciezek udanych. Opowiedzą wam na przykład jak to *Indie* (barak szemranych) dostały sztandar przechodni za najlepsze przygotowanie do zimy, a ściślej — ucieplenie baraku z zewnątrz grubą warstwą ziemi... pochodzącej z podkopu i wysypywanej otwarcie, na oczach straży. Nie wiercie tym opowieściom! *Indie* wcale nie spieszą się do masowej ucieczki, a do kopania nikt tam nie jest skory; wolą sposoby łatwiejsze i sprytniejsze, a władze też nie są takie głupie, aby nie przyjrzeć się, skąd właściwie ta ziemia się bierze. Złodziej Korzyńkin, dziesięciokrotny recydywista, zaufany komendanta, intendent obozowy, faktycznie uciekł w dostatniej odzieży i naprawdę podawał się za wiceprokuratora. Twierdził ponadto, że nocował w jakiejś chacie razem z pełnomocnikiem odkomenderowanym do poszukiwania uciekinierów (są tacy) i że w nocy ukradł mu uniform, pistolet, a nawet psa służbowego — i już dalej występował w jego roli. Tu już kłamie. Knajacy zawsze starają się w swoich opowieściach i fantazjach przysparzać sobie bohaterskich cech!).

Na uwięzi trzymała też zeków nie tyle zona z jej rygorem, ile właśnie fakt zwalniania spod konwoju. Ci, którzy nie byli na każdym kroku pilnowani, którzy otrzymali ten drobny przywilej, aby chodzić do pracy i z pracy bez bagnetu za plecami, a czasem skręcić po drodze na wolną wieś — otóż tacy ludzie bardzo sobie cenili te ulgi. A po nieudanej ucieczce już je odbierano.

Geografia Archipelagu stanowiła największą przeszkodę: te nieogarnione obszary śnieżnej albo piaszczystej pustyni, tundry, tajgi. Taka Kołyma — niby nie wyspa, a w istocie coś jeszcze gorszego: diabeł tu mówi dobranoc, dokąd tu uciec z Kołymy? Tylko desperaci próbowali stąd uciekać. To prawda — dawnymi czasy Jakuci odnosili się życzliwie do więźniów i pomagali im:

„Za dziewięć słoneczek — zawiozę cię do Chabarowska”. I wzięli saniami, zaprzężonymi w reny. Ale później, brykający z obozów knajacy zabrali się do grabienia Jakutów, więc autochtoni zmienili swój stosunek do zbiegów — zaczęli wydawać ich władzom.

Z czasem — wrogość miejscowej ludności, podsycana przez urzędy, stała się główną zaporą dla ucieczek. Władze były hojne, nie szczędziły nagród pomocnikom (był to zarazem rodzaj wychowania politycznego). I ludy, zamieszkujące ziemie sąsiadujące z GUŁagiem, stopniowo przyzwyczajają się do myśli, że złapanie zbiega — to wydarzenie odświętne, fortunne, że to tyle co udane łowy, albo znalezienie grudki złota. Tunguzom, Samoje-dom, Kazachom — płacono mąką i herbatą. Blżej ludnych skupisk, na przykład — w okolicach obozów Buriepołom i Unża, mieszkańcom Zawołża płacono według określonej taryfy: za każdego złapanego zbiega — dwa pudy mąki, osiem metrów tekstyliów i kilka kilogramów śledzi. Podczas wojny nie było innego sposobu by zdobyć śledzie, więc ludność miejscowa przezwiała zbiegów po prostu *śledziami*. We wsi Szerstki pojawieniu się każdego obcego towarzyszyły krzyki biegnących zewsząd chłop-ców: „Mamo! Śledź idzie!”.

A jak tam — geolodzy? Ci nieustraszeni badacze pustyń Północy, ci mężni, brodaci pionierzy w długich butach — te serca rodem z Londona? Nie bardzo może liczyć zbieg na naszych sowieckich geologów, lepiej nie zbliżać się do ich ogniska. Inżynier z Leningradu, Abrosimow, zagarnięty falą aresztowań w związku ze sprawą „Prompartii”, dostał swoją dychę i uciekł z obozu Niwagres w 1933 roku. Dwadzieścia jeden dni błąkał się po tajdze i szczęśliwy był spotkawszy geologów. Ale geologowie zaprowadzili go do najbliższej osady i oddali do rąk własnych przewodniczącemu komitetu robotniczego. (Trzeba jednak tych geologów zrozumieć: też przecież nie są sami na świecie, boją się, że kolega na nich doniesie. A co, jeżeli ten zbieg jest naprawdę jakimś kryminalistą, mordercą? — i jeszcze w nocy ich pozarzyzna?).

Jeśli zbieg zostaje schwytyany nie żywcem, to można go na kilka dni wystawić na pokaz — z gnijącą raną postrzałową, rozciągniętego obok stołówki obozowej, żeby więźniowie bardziej sobie cenili postną bałandę. Jeżeli zaś dał się capnąć żywcem, to można go postawić obok odwachu i kiedy mijają go kolumna robocza — poszczuć psami. (Te psy — zależnie od rozkazu — umieją dusić człowieka, umieją kąsać, a potrafią też tylko szarpać odzież, rozbierając delikwenta do goła). A jeszcze można przygotować w KO specjalną tabliczkę: „Uciekłem, ale psy mnie zła-

pały”, tabliczkę tę zawiesić na szyi schwytanego — i tak mu kazać chodzić po obozie.

A jeśli bić — to już tak, żeby odbić nery. Jeśli zakładać na ręce kajdanki, to tak ciasno, aby czucie w przegubach człowiek stracił raz i na zawsze (G. Sorokin, Iwdella). Skoro już posyłać do karceru, to tak, żeby facet nie wylał z niego bez grzylcy (Nyrobła, Baranow, próba ucieczki w 1944 roku. Po laniu, jakie mu spuścił konwój — kaszlał krwią, trzy lata później wycięto mu lewe płuco<sup>2</sup>).

Pobicie, zatłuczenie na śmierć uciekiniera, jest właściwie podstawową formą walki ze zbiegostwem na Archipelagu<sup>3</sup>. I jeśli ucieczek długo nie ma — to trzeba się o nie postarać. W kopalni Debin (Kołyma) w 1951 roku któregoś dnia grupie zeków pozwolono na zbieranie jagód. Trzech zabłądziło w lesie, nie wróciło na czas. Komendant obozu, starszy lejtnant Piotr Łomaga, posłał swoich zbirów. Ci nasamprzód poszczuli psami trzech śpiących w lesie ludzi, potem zastrzelili ich, później zaś rozbili im głowy kolbami, na krwawą miazgę, tak, że ochłapy mózgu zwisały, jak frędzle — i dopiero w takim stanie odwieźli zwłoki do obozu. Przy wrotach wyprzęgli konia i kazali czterem więźniom ciągnąć wóz wzdłuż szeregu zeków. „Każdego tak załatwimy!” — oznajmił Łomaga.

Kto znajdzie w sobie dość determinacji, aby się tego nie przestraszyć — i ruszyć w drogę? — i dojść! — ale do jakiego celu? Tam, na końcu szlaku, w miejscu z dawna śnionym — ktoś go tam oczekuje, kto mu da przytulisko, kto bez lęku zapewni mu schronienie? Tylko knajacy wiedzieli, że zawsze czeka na nich melina; wśród nas, pasażerów spod numeru 58, taki lokal zwie się *przyjazdówką* a to już prawie konspiracja.

Ileż to przeszkód i zapór na drodze zbiega!

Ale zrozpaczone serca nie liczą się z niczym. Płynie rzeka, niesie jakąś kłodę, więc hop! hajda! Wiaczesław Bezrodnyj z podobozu Olczan, ledwie wyszedł ze szpitala, całkiem jeszcze słaby — a już uciekł na tratwie skleconej z dwóch bierwion. Popłynął z nurtem rzeki Indygirki — wpadającej do Oceanu Lodowatego! Dokąd dążył? Na co liczył? Został też — nie tyle złapany, ile po prostu wyłowiony z fal już na pełnym morzu i — gdy szlak

---

2. I teraz naiwny Baranow czyni starania (chodzi o emeryturę), aby chorobę jego uznano za zawodową. No i faktycznie, trudno o schorzenie bardziej specyficzne i dla więźniów, i dla strażników — ale gdzie tam, nie chcą uznać...

3. I coraz więcej cech wyłączności nabiera ta metoda już za naszych czasów, już w epoce Chruszczowa — porównaj „Moje zeznania” Anatola Marczenki.

trochę podmarzł — odesłany saniami do obozu Olczan, do tego szpitala.

Nie o każdym, który sam do obozu nie wrócił, ani nie został tam przyniesiony półżywy, albo i martwy, można powiedzieć, że udało mu się uciec. Być może, zamienił on jedynie konanie niewolnicze i powolne — na śmierć wolnego zwierza w tajdze.

Póki zbiegowie nie tyle umykają, co wypęzają z obozu, póki sami doń wracają — pełnomocnicy operacyjni mają z nich nawet pożytek: bez żadnego wysiłku wlepiają im repety wyroków. Co więcej, jeśli ucieczek czas jakiś nie ma, to puszczają w ruch prowokację: jakiemuś szpiclowi każą zebrać grupę ludzi i pokierować „przygotowaniami do ucieczki” — po czym wszystkich się wsadza.

Ale człowiek, który zdecydował się na ucieczkę serio — bardzo prędko stać się może osobnikiem groźnym. Niektórzy, aby zbić z tropu psy gończe, podpalali tajgę na swoim szlaku. Płonęła później tygodniami na dziesiątki kilometrów wszerej i wzdłuż.

W 1949 roku na łągach opodał sowchozu Wiesłańskiego złapano zbiega z ludzkim mięsem w plecaku: zabił spotkanego po drodze malarza — zeka z pięcioletnim wyrokiem — ale chodzącego już bez eskorty. Obrął go z mięsa, ale nie miał czasu na gotowanie.

Wiosną 1947 roku na Kołymie, niedaleko osady Elgen, dwaj konwojenci eskortowali kolumnę zeków. I nagle jeden z więźniów, nie porozumiewając się z nikim, napadł na konwojentów, sam dał sobie radę z oboma, rozbroił ich i zastrzelił. (Jego nazwiska nikt nie znał, wiadomo tylko, że był to oficer, frontowiec. Rzadki to i niepowszedni wypadek: frontowiec, który nie utracił męstwa w obozie!). Śmiałek oznajmił gromadzie współwięźniów, że są wolni! Ale tych strach obleciał: nikt nie poszedł za nim, wszyscy siedli na ziemi, czekając na nową eskortę. Frontowiec chciał przemówić im do sumienia — wszystko na próżno. Wówczas wzięł broń (32 ładunki — „trzydzieści jeden — dla nich!”) i sam ruszył przed siebie. Zdołał później zabić i ranić kilku ścigających go strażników i trzydziesty drugi nabój sam sobie wpakował. Archipelag wkrótce rozpadłby się całkiem, gdyby wszyscy frontowcy tak się potrafili zachować.

W Krasłagu były żołnierz, bohater walk z Japończykami nad Chałchyn-gołem, porwał za topór, ogłuszył obuchem konwojenta, zabrał mu karabin i trzydzieści ładunków. Puszczono za nim psy gończe, zastrzelił dwa, ranił szczwacza. Gdy go wreszcie schwytali, nie dość im było człeka zastrzelić, ale z zemsty za te psy i za swoje ryzyko — skłuli bagnetami zabitego i dopiero tak podziurawionego zostawili przed odwachem na cały tydzień.

W 1951 roku w tym samym Krasławgu około dziesięciu zeków z dużymi wyrokami szło do pracy pod strażą czterech konwojentów. Więźniowie napadli zniemacka na eskortę, zabrali strażnikom automaty, przebrali się w ich mundury (ale strażnikom życie darowali — wspaniałomyślność częściej spotyka się wśród ofiar ucisku, niż wśród gnębieli) i eskortując w czwórkę z całym szykiem resztę swoich kolegów, poprowadzili ich w stronę wąskotorówki. Stały tam puste wagony do przewozu drzewa. Rzekoma eskorta opanowała lokomotywę, wyprosiła obsługę (w tej zrywce brał udział jakiś maszynista) — i pociąg pełnym biegiem ruszył w stronę stacji Reszety, na trasie kolei transsyberyjskiej. Mieli jednak około 70-ciu kilometrów do przebycia. Dość było czasu, aby dać znać o ucieczce (pierwsi zrobili to pozostawieni przy życiu strażnicy), więc po kilkakroć musieli zbiegowie odpowiadać po drodze ogniem na salwy oddziałów straży. Kilka kilometrów przed stacją Reszety natknęli się na — zaminowany już — odcinek toru i okopany w zasadzce batalion. W nierównej walce wszyscy zbiegowie zginęli.

*Ciche zrywki* miały czasem szczęśliwsze zakończenie. Były wśród nich wypadki wyjątkowo fortunne, ale opowieści o nich docierają do nas rzadko: kto się „oderwał” ten wywiadów nie udziela, zmienia nazwisko, ukrywa się, jak może. Kuzikow-Skaczyński, któremu udało się zbiec w 1942 roku, tylko dlatego teraz o tym opowiada, że w 1959, tj. po 17-tu latach! — został jednak zdemaskowany<sup>4</sup>.

Podobnie — o udanej ucieczce Zenaidy Jakowlewny Powalajewej tylko dlatego dowiedzieliśmy się, że wszystko się w końcu wydało. Została skazana za to, że po przyjeździe Niemców dalej uczyła dzieci w swojej szkole. Nie aresztowano jej jednak od razu po wkroczeniu naszych wojsk i zdążyła jeszcze wyjść za mąż za lotnika. Ale ją w końcu wsadzono i posłano do kopalni Nr 8 w Workucie. Przez pracujących w kuchni Chińczyków zdołała skontaktować się z mężem, który był na wolności. Służył w lotnictwie cywilnym i załatwił sobie rejs do Workuty. Ustalonego zawczasu dnia Zina poszła do łaźni w roboczej zonie, tam pozbyła się obozowych łachów i rozpuściła włosy, nawinięte w nocy na papiloty — ukryte pod chustką. W roboczej zonie

---

4. A wykryło się że dlatego, że — w związku z inną jakąś sprawą — wpadł towarzysz jego ucieczki. Dzięki daktyloskopii — udało się ustalić jego prawdziwą tożsamość. Wyjaśniło się więc, że zbiegowie nie zginęli, jak początkowo sądzono. Zaczęto szukać również Kuzikowa. Przeprowadzono ostrożnie i starannie dochodzenia w jego rodzinnych stronach, zaczęto śledzić krewnych — i tym właśnie śladem dotarto w końcu do niego samego. Choć minęło 17 lat — nikt nie żałował na to czasu i sił!



czekał już na nią mąż. Przy wejściu na prom dyżurowali faceci z oddziału operacyjnego, ale nie zwrócili nawet uwagi na zaondulowaną dziewczynę, idącą z lotnikiem pod pachę. Odlecieli samolotem. Rok żyła Zina pod cudzym nazwiskiem. Ale nie wytrzymała, chciała koniecznie zobaczyć się z matką, a matka była pod obserwacją. W trakcie nowego śledztwa zeznała, że uciekła w transporcie węgla, pociągiem. O udziale męża nikt się nie dowiedział.

Janis Ł-s w 1946 roku ruszył pieszo z Permskich obozów aż na Łotwę, przy czym kaleczył język rosyjski i na dobrą sprawę nie potrafił się z nikim dogadać. Sam przebieg ucieczki był prosty: przebił się z rozbiegu przez zbutwiały płot. Ale później w podmokłym lesie (a na nogach — łapcie) długo żywił się tylko jagodami. Pewnego dnia udało mu się pod jakąś wsią wciągnąć do lasu krowę i zarznąć ją kozikiem. Objadł się mięsa na zapas i uszył sobie z krowiej skóry chodaki. W innej wsi ukradł chłopu kozuszek. (Zbieg, nie mogący liczyć na życzliwość miejscowych, chcąc nie chcąc staje się złodziejem). W okolicach gęściej zamieszkałych Ł. podawał się za zdemobilizowanego Łotysza, tłumacząc, że zginęły mu dokumenty. I chociaż tamtego roku nie skasowano jeszcze bezustannej kontroli przepustek, jednak Ł. — już w Leningradzie, gdzie był pierwszy raz w życiu, zdołał — nie zadając nikomu żadnych pytań — odnaleźć Dworzec Warszawski. Jeszcze cztery kilometry odwalił wzdłuż torów i dopiero potem wszedł do pociągu. (Ale jednego przynajmniej był zupełnie pewien: że na Łotwie ludzie ukryją go bez wahania. To właśnie dawało sens jego ucieczce).

Taka ucieczka, jak wyżej opisana, wymaga chłopskiego uporu, chłopskiej krzepy w nogach i chłopskiej bystrości. A czy potrafi uciec mieszczuch, człowiek w podeszłym już wieku, odsiadujący swoje pięć lat za powtórzenie jakiegoś dowcipu? Okazało się, że potrafi — jeśli dalszy pobyt w obozie jest gwarancją szybkiej śmierci. Był to niewielki obozik-wykończalnia, leżący między Moskwą a miastem Gorki. Poczynając od 1941 roku wyrabiano w nim armatnie pociski. Pięć lat — to niby „dziecinny wyrok”, ale nasz anegdociarz nie wytrzymałby nawet pięciu miesięcy, jako że do roboty go zaprzęgli, a jeść nie dawali. Była to ucieczka z beznadziei, przedsięwzięta w chwili desperacji, chwili tak krótkiej, że już po upływie pół minuty nie starczyłoby na nią człowiekowi ani sił, ani pomysłu. Oto stanął na rampie obozu kolejny zestaw i już załadowano pociski do wagonów. Wzdłuż pociągu kroczy sierżant straży obozowej, podąża za nim dyżurny kolejarz, dzieli ich kilka wagonów. Sierżant otwiera drzwi każdego wagonu, sprawdza, czy nie ma tam nikogo, zasuw



drzwi, a kolejarz je plombuje. Nasz niefortunny, zagłodzony już prawie na śmierć dowcipniś<sup>5</sup> — za plecami oddalającego się strażnika, a przed nosem zbliżającego się kolejarza — rzuca się do drzwi wagonu. Niełatwo mu się wspiąć na stopień, jeszcze trudniej odsunąć drzwi bez hałasu, to wszystko nie ma sensu, to się zaraz źle skończy. Zasuwa drzwi, ale już żałuje swego kroku, serce bije nierówno, zaraz sierżant skopie buciorami, kolejarz na pewno zaraz krzyknie, już ktoś rusza rygłem, ach, to plombują wagon!... (A ja tak myślę sobie — może ten kolejarz był porządny? może widział — i zarazem nie widział?...). Pociąg wyjeżdża z zony. Pociąg jedzie na front. Zbieg nie poczynił żadnych przygotowań, nie ma ani kruszyny chleba, za trzy dni na pewno skona w tym ruchomym karcercze, do którego wlaź na ochotnika; nie dojedzie do linii frontu, zresztą — co mu tam front? Co robić? Jak tu się ratować? Widzi, że skrzynie z pociskami obciążone są stalową taśmą. Gołymi, niczym nie osłoniętymi dłońmi rwie więc tę taśmę i piłuje nią dno wagonu w miejscu nie zajętym przez skrzynie. Rzecz dla starca niemożliwa? A śmierć — możliwa? A wykrycie ucieczki, schwytanie — to możliwe? Skrzynie mają jeszcze sznurowe uchwyty. Obcina więc je i wiąże tak, by mieć z nich długie pętle; przymocowuje je do brzegów wyciętego otworu i opuszcza w dół. Jest wyczerpany, porżnięte dłonie nie słuchają go wcale. Jak drogo musi płacić za tę anegdotkę! Nie czeka aż pociąg zatrzyma się na stacji, tylko ostrożnie wchodzi w luk. Pociąg jedzie. Zbieg wsadza obie nogi w jedną pętlę, tę z tyłu, obie ręce — w drugą. Wisi tak pod wagonem, brzuchem szorując prawie o pokłady, kołysząc się razem z biegnącym wagonem. Pęd zmniejsza się nieco, nasz starzec decyduje się i opuszcza nogi. Stopy wloką się po szutrze i ściągają resztę ciała między szyny. Numer cyrkowy, morderczy, ale przecież telegram czeka już może na stacji, zaraz przeszukają cały pociąg, w obozie też już dawno alarm. Byle nie ruszać się, byle nie podnosić łba! paść na płask i tyle! Zamknął oczy, gotów już na śmierć. Wzmaga się stuk i łomot, to ostatnie wagony — i nagle błoga cisza. Zbieg otwiera oczy, przekręca się na grzbiet: widać tylko czerwone światła oddalającego się pociągu! Jest wolny!

Ale jeszcze nie jest uratowany. Wolność wolnością, ale nie ma dokumentów, ani pieniędzy, wiszą na nim obozowe gałgany i dalej jest tylko stracenicem. Opuchnięty, oberwany dowlókł się jakoś do stacji i tu wmieszał w tłum — przybyłych dopiero co — ewakuowanych z Leningradu ofiar głodu i blokady. Pożywych

---

5. Relacja jest zupełnie ściśła, tylko nazwisko się nie zachowało.

tych ludzi wyprowadzano z wagonów pod ręce i karmiono na stacji gorącą zupą. Ale i to by go jeszcze nie uratowało — gdyby nie znalazł w tym transporcie konającego już przyjaciela. Odziedziczył po nim dokumenty, a znał dobrze całą jego przeszłość. Ewakuowanych wysłano pod Saratów i przez kilka lat, nawet już po wojnie, nasz stary mieszkał tam sobie spokojnie, hodując drób w kołchozie. Ale zateśknił za córką i ruszył na poszukiwania. Szukał jej w Nalczyku, w Armawirze, ale znalazł aż hen — w Użhorodzie. Zdążyła tymczasem wyjść za mąż za kadrowego wojskowego ze straży granicznej. Była przekonana, że tatuś przeniósł się już szczęśliwie na tamten świat i oto nagle ze strachem i wstrętem musiała wysłuchiwać jego zwierzeń. Prawomyślna, pełna już cnót obywatelskich — zachowała jednak w duszy jakieś godne pozostałości resztki uczuć rodzinnych, więc nie doniosła na ojczulka, poprzestając na wyrzuceniu go za drzwi. Stary nie miał już więcej nikogo bliskiego; zaczął zatem prowadzić całkiem bezmyślną egzystencję, wałęsając się z miasta do miasta. Wpadł w nałóg. W Baku przebrał któregoś dnia miarę przy paleniu haszyszu i zabrany został na pogotowie. W oszołomieniu wymienił swoje prawdziwe nazwisko, zaś po wytrzeźwieniu — podał nowe. Szpital był nasz, sowiecki, nie mógł przecież kurować człowieka bez ściśle ustalonej tożsamości. Wezwany więc został towarzysz z bezpieczeństwa — i w 1952 roku, 10 lat po ucieczce — nasz stary dostał 25 lat. (To właśnie dało mu możliwość zreferowania całej przygody kolegom z rozmaitych cel. Temu też zawdzięcza swoje miejsce w tej historii).

Niekiedy dalsze życie człowieka, któremu udało się zbiec, ma w sobie więcej dramatyzmu od samej ucieczki. Tak było chyba w przypadku Sergiusza Andriejewicza Czebotariowa, nieraz już w tej książce wymienianego. W 1914 roku został pracownikiem KWŻD (Wschodnio-Chińskich Kolei, dzierżawionych przez Rosję). W lutym 1917 roku — wstąpił do partii bolszewickiej. W roku 1929, w okresie konfliktu z powodu KWŻD, siedział w chińskim więzieniu, a w 1931-ym wraz z żoną Heleną Prokofiewną, oraz synami — Gennadym i Wiktorem — powrócił do kraju. Tu wszystko potoczyło się znanym, ojczystym szlakiem: już po kilku dniach nasz Czebotariow został aresztowany, później — żona oszalała, a synowie zostali oddani do dwóch *rozmaitych* sierocińców, przy czym narzucono im zupełnie obce nazwiska, zmieniając nawet imię ojca, chociaż chłopcy doskonale pamiętali jak się zwali i za nic nie chcieli zmian. Czebotariow z łaski dalekowschodniej trójki OGPU (znów mamy trójkę!) dostał tylko trzy lata, widać brak było chłopakom doświadczenia. Wkrótce jednak znów został aresztowany, poddany torturom i

skazany nie na trzy tylko na dziesięć lat, bez prawa korespondencji (bo też o czym teraz właściwie miałby pisać?). Kara była obostrzona: wszystkie święta rewolucyjne miał spędzać pod szczególnie surowym nadzorem. Obostrzenie to jednak przyniosło mu nieoczekiwaną korzyść. W 1934 roku był on już w Karłagu, budował drogę do Moint. Pierwszomajowe święto w 1936 roku spędzić musiał, jak zwykle, w karnym izolatorze. Znalazł się w nim równocześnie pewien wolniak, niejaki Awtonom Wasiliewicz Czupin. Był zapewne porządnie pijany, bo Czebotariow zdołał zwędzić mu dowód tożsamości, wydany przez radę wiejską, ważny na trzy miesiące, ale przedawniony już od sześciu... Świadeństwo to zobowiązało go niejako do ucieczki! Już 8-go maja Czebotariow drapnął z podobozu w Mointach. Nie miał na sobie ani jednej obozowej szmatki, zdołał skompletować sobie całą cywilną odzież. Ponadto miał w kieszeniach dwie półlitrowki, jak to zwykle robią pijacy, tyle tylko że nie wódka to była, lecz zwykła woda. Nasamprzód przejść musiał przez słone stepy. Dwa razy znalazł się w ręku Kazachów, ciągnących do pracy na trasę budowanej tu kolei, ale, znał trochę język kazachski. „Grał na ich uczuciach religijnych i w końcu pozwalali mi odejść<sup>6</sup>”. Na zachodnim brzegu jeziora Bałchasz zatrzymany został przez posterunek operacyjny Karłagu. Zabrali mu zaświadczenie i kazali z pamięci odpowiadać na wszystkie pytania, dotyczące jego i jego rodziny. Czebotariow odpowiadał, nie budząc żadnych podejrzeń. Tu znów miał miejsce zadziwiający przypadek (gdyby nie takie przypadki, to chyba nikomu nie udałoby się uciec). Do ziemianki wkroczył w tym momencie dowódca grupy operacyjnej. Zanim zdążył otworzyć gębę, nasz Czupin zawołał: „Hej! Mikołaj, jak się masz, nie poznajesz?! (Tu liczy się każdy ułamek sekundy, każda zmarszczka na twarzy, kto ma lepszą pamięć wzrokową, ten wygra te zapasy: ja cię poznałem, ale koniec ze mną, jeżeli poznasz mnie ty). — „Nie, nie poznaję”. — „Jakto? Jechaliśmy razem pociągiem! Nazywasz się Najdienow, opowiadałeś jak poznałeś swoją Ołę na dworcu w Swierdłowsku, jak mieliście później wspólny przedział i jak się w końcu pobraliście”. Wszystko się zgadza, Najdienow jest zбитy z pantałyku; wypalili papierosa i puszczają zbiega wolno. (Och, panowie błękitni, niedaremnie uczą was umiejętności trzymania języka za zębami! Żadne ludzkie uczucie nie powinno mieć do was

---

6. Jednak nawet ateistę religia może poratować! Twierdziłem, że ortodoksi nie próbują ucieczki. Czebotariow nie zaliczał się do nich. Ale nie był też przeciwnikiem materializmu. Co zaś do Kazachów, to sądzę, że pamiętali jeszcze dobrze, jak Budionny stłumił ich powstanie w 1930 roku, dlatego też ulitowali się nad zbiegiem. W roku 1950 to się już nie zdarzy.

przystępu, zwłaszcza szczerłość. Najdługo opowiedział swoją historię nie w pociągu, tylko na placówce Karłagu, w szkółce leśnej, zaledwie przed rokiem. Opowiadał to zekom tak sobie, dla kaprysu, a przecież nie zapamięta człowiek tych wszystkich pysków. Zresztą w wagonie też mógł opowiadać, może w niejednym, toć to typowo kolejowa historia! — Na to właśnie liczył nasz zuchwalec!). Tryskając radością puścił się Czupin w dalszą drogę, gościńcem, w stronę stacji kolejowej Czu, na południe, wzdłuż jeziora. Maszerował jednak przeważnie nocami; gdy tylko zobaczył z daleka samochodowe reflektory — rzucał się z gościńca w trzciny, całe dni wśród nich spędzał (w tych okolicach są trzciniowe dżungle). Operczekiści trafiali się jakoś rzadziej, przerzuty Archipelagu jeszcze tu nie sięgnęły<sup>7</sup>. Miał trochę chleba i cukru, ale oszczędził, jak mógł, a przez pięć dni i nocy brnął bez kropli wody w ustach. Odwalił w ten sposób 200 km. dotarł do stacji i pojechał przed siebie.

Zaczęły się teraz dla niego lata życia *wolnego* — nie, raczej pełnego trwogi. Nie ośmielał się nigdzie zagrać dłużej miejsca, ani jakoś solidniej się urządzić. Tego samego roku, zaledwie parę miesięcy później, w mieście Frunze, w parku miejskim spotkał swojego *obozowego kuma!* — ale spotkanie to było przelotne, dokoła ludzie się bawią, rżnie muzyka, wirują dziewczęta, więc kum po prostu nie zdążył go rozpoznać. Trzeba było tylko z miejsca porzucić zaledwie zdobytą pracę (starszy księgowy domyślił się, co to za pilne miał Czupin przyczyny — okazało się, że sam był weteranem Sołówek) i dać drapaka gdzieś za siódmą górę. Z początku Czebotariow w ogóle nie myślał o szukaniu rodziny, ale później znalazł sposób. Napisał list do swojej kuzynki, mieszkającej w Ufie: gdzie Lena z dziećmi? Zgadnij, kto pisze, a *jej* chwilowo nie zawiadamiaj. I adres zwrotny: jakiś tam przystanek Zyrabułak, jakiś tam Czupin. Kuzynka przysłała odpowiedź: dzieci gdzieś zginęły, żona w Nowosybirsku. Wówczas Czebotariow posłał ją do Nowosybirska prosząc, aby tylko w cztery oczy zawiadomiła Lenę, że mąż się znalazł i że chce posłać jej pieniądze. Kuzynka spełniła prośbę. Z kolei dostał list od żony: była w szpitalu psychiatrycznym, teraz znowu zgubiła paszport, wlepili jej trzy miesiące robót przymusowych i nie mogłaby nawet podjąć pieniędzy, gdyby przyszły na poste-restante. Serce wyrywa mu się z piersi: jechać, nic, tylko jechać! Wysłał więc obłądny telegram: czekaj na dworcu! Pociąg nr taki

---

7. Ale wkrótce zesłano w te okolice Koreańczyków, później — Niemców znad Wołgi, później — wszelkie inne narody. Po 17-tu latach ja sam też tam się znalazłem.

a taki, wagon nr taki a taki... Serc naszych nic nie broni przed siłą uczucia, ale, chwała Bogu nie są też one odporne wobec przeczuć. W czasie podróży przecucia do tego stopnia nie dają mu spokoju, że dwa przystanki przed Nowosybirskiem Czebotariow zeskakuje z pociągu i dojeżdża do miasta autostopem. Zostawia rzeczy w przechowalni dworcowej i, na nic nie zważając, idzie do mieszkania żony. Puka! Drzwi się same otwierają, w domu nie ma nikogo (pierwsze potwierdzenie złych przeczuć: gospodarz domu już całą dobę czekał na niego, aby uprzedzić go o zasadzce — ale właśnie w tej chwili wyszedł do studni!). Czebotariow idzie w głąb mieszkania. Żony nie ma nigdzie. Na łóżku leży pod szynem czekista i śpi, głośno chrapiąc (drugi traf, ten już bardziej fortunny!). Czebotariow daje nogę. Ale tu woła go po nazwisku gospodarz domu — znajomy z KWZD, jeden z ocalałych. Okazuje się, że jego zięć, operczekista, sam przyniósł do domu telegram i wywijał nim przed oczyma żony Czebotariowa: widzisz, ten twój łajdak sam nam się w ręce pcha! Byli na stacji, oczywiście go nie spotkali, drugi czekista dokądś poszedł, a ten położył się na chwilę, żeby odpocząć. Mimo wszystko, Czebotariow zdołał dać znać żonie, jakimś samochodem przejechali kilka przystanków i wsiedli razem do pociągu. Pojechali do Uzbekistanu. W Leninabadzie znowu wzięli ślub! — to znaczy, że żona Czebotariowa — wcale się z nim nie rozwodząc — wyszła z kolei za mąż za Czupina! Ale nie odważyli się zamieszkać razem. Posyłali do wszelkich możliwych instytucji podania, w jej imieniu — w sprawie dzieci, ale bez żadnego skutku. Takie oto kulawe, rozbite i pełne udręki życie prowadzili aż do wojny. W 1941 roku Czupin został zmobilizowany. Był radiotelegrafistą w 61-szej dywizji kawaleryjskiej. Pewnego dnia popełnił nieostrożność. W gronie kolegów powiedział żartem, jak nazywają się po chińsku papierosy i zapałki. Powiedzcie, w jakim normalnym kraju wydać się może podejrzane, że człowiek zna jakieś przypadkowe obce słowa? U nas — inaczej. Donosiciele zaraz dali znać, gdzie trzeba. I politruk Sokołow, oper 219-tego pułku konnicy, już po godzinie przystąpił do przesłuchania: — „Skąd znacie język chiński?”. — Czupin: tylko te dwa słowa. — „Nie służyliście przypadkiem na KWZD?”. Pracować za granicą — to przecież ciężki grzech! Oper nasyłał na niego szpiclów, ale niczego się nie dowiedział. Więc dla świętego spokoju wlepiono mu artykuł 58-14:

— nie wierzył w komunikaty bojowe Sowieckiego Biura Informacyjnego;

— utrzymywał, że Niemcy mają przewagę w broni technicznej (jakby tego nikt nie widział gołym okiem).

Nie kijem go to pałką!... Trybunał. R O Z S T R Z E L A N I E ! Tak już uprzykrzyło się życie w ojczyźnie naszemu Czupinowi, że NIE SKŁADAŁ nawet prośby o łaskę. Ale ręce robocze potrzebne były państwu, więc w końcu dostał dychę i pięć lat kagańca. I znowu był w „domu rodzinnym”... Odsiedział (a odliczono mu to i owo za dobrą pracę) *dziewięć* lat.

Zdarzył się z nim jeszcze taki przypadek. Pewnego dnia w obozie inny zek — N. F-w. zaciągnął go gdzieś w najdalszy kąt górnych nar i tam dopiero zapytał cicho: „Jak cię zwą właściwie?” — „Awtonom Wasiliewicz” — „A skądęś ty?” — „,A z tiumeńskiego okręgu”. — „A z jakiego rejonu?... z jakiej gminy?...”. Czobotariow-Czupin odpowiadał na wszystkie pytania, jak z nut. W końcu powiedział mu rozmówca: „To wszystko łągarstwo. Z Awtonomem Czupinem pracowałem na jednej lokomotywie pięć lat z rzędu. Znam go, jak własną kieszeń. Toś nie ty przypadkiem zwędził mu dokumenty w 36-tym, w maju?” Zbieg może rozpruć sobie brzuch także na takiej podwodnej rafie! Jaki powieściopisarz znalazłby wiarę, gdyby opisał podobny wypadek! W tym okresie Czobotariow znów nabrał jakoś ochoty do życia. Uścisnął też mocno rękę porządnego człowieka, kiedy ten powiedział mu w końcu: „Nie bój się, nie pójde do kuma. Ja nie suka!”.

W ten sposób Czobotariow odbębnił swój drugi wyrok jako Czupin, ale na nieszczęście — ostatni z jego obozów należał do kategorii supertajnych. Wchodził w skład grupy obiektów „atomowych” — Moskwa-10, Tura-38, Swierdłowski-39, Czelabińsk-40. W obozie tym zajmowano się budową urządzeń do wydobywania kruszcu z rudy uranowo-radowej. Plany budowy opracował sam Kurczatow, naczelnik budowy, generał-lejtnant Tkaczenko podporządkowany był bezpośrednio Stalinowi i Berii. Każdy zek musiał co kwartał podpisywać zobowiązanie o przestrzeganiu tajemnicy. Ale to byłoby jeszcze pół biedy. Najgorsze, że — po odzyskaniu wolności nie pozwalano wracać do domu. We wrześniu 1950 roku dużą grupę „zwolnionych” posłano — na Kołymę! Dopiero tam zwolniono ich spod eskorty, uznając jednocześnie za *szczególnie niebezpieczny spec-kontyngent* — niebezpieczny dlatego, że ci ludzie pomogli skonstruować sowiecką bombę atomową! (No i jak tu opisać to wszystko? Przecież każda taka historia warta jest osobnego rozdziału!). Dziesiątki tysięcy takich właśnie ludzi rozproszono po całej Kołymie!! (Przewertujcie konstytucję! Przystudujcie kodeksy! — co tam jest napisane o *spec-kontyngencie??*).



Za to mógł przynajmniej wezwać tu żonę! Przyjechała też do niego na kopalnię Maldiak. Stąd znów zaczęli słać podania w sprawie synów. Odpowiedzi brzmiały jednakowo: „Nie ma takiego”, „Brak danych”.

Stalin odwalił kopyta i nasi starszycy mogli wreszcie przenieść się z Kołomy na Kaukaz — żeby pogrzać trochę kości. Ciepłej zresztą robiło się dookoła, chociaż powoli. I oto w 1959 roku ich syn Wiktor, kijowski ślusarz, postanowił pozbyć się znieawidzonego, cudzego nazwiska i ujawnić się jako syn wroga ludu, Czebotariowa! I rodzice znaleźli go po roku! I teraz nowy kłopot — ojciec musiał zacząć starania, aby samemu stać się znów Czebotariowem (*trzykrotnie* zrehabilitowany nie musiał już odpowiadać karnie za swą ucieczkę). Też się ujawnił, odciski palców posłano do Moskwy, rzecz musiała być sprawdzona. Trochę spokoju miał stary dopiero wtedy, kiedy wszyscy troje otrzymali paszporty na nazwisko Czebotariowa i synowa też tak się mogła nazywać. Ale po upływie paru lat dostałem list, z którego wynika, że stary żałuje, iż odnalazł Wiktora: syn wyzywa ojca od przestępców, w nim widzi przyczynę swoich kłopotów, zaświadczenia o rehabilitacji nazywa z przekąsem „świstkami papieru”<sup>8</sup>. A starszy syn — Gennady — w ogóle się nie odnalazł.

Opisane wyżej przypadki świadczą, że ucieczka nie daje wcale wolności, lecz — nawet gdy się uda — jest wstępem do życia pełnego poniżeń i niebezpieczeństw. Niektórzy ze zbiegów dobrze to rozumieli — ci, którzy już w obozie zdołali odstrychnąć się politycznie od życia kraju, a także ci, którzy przyjęli nieświadomie elementarną zasadę: żyć byle jak, po prostu *żyć!* Ale nie rzadcy byli wśród zbiegów tacy (mieli w zanadrzu przygotowaną odpowiedź na wypadek niepowodzenia: „Uciekłem, żeby prosić Komitet Centralny o rozpatrzenie mojej sprawy!”), którzy mieli zupełnie określony cel: uciec na Zachód. Tylko taką ucieczkę uważali oni za udaną do końca.

O wypadkach tego rodzaju opowiadać mi najtrudniej. Ci, którym się nie udało — gryzą ziemię. Ci, których schwytano — wolą milczeć. Ci zaś, którzy jednak uciekli — może wyznali wszystko na Zachodzie, ujawnili się, ale może milczą dalej, mając na względzie kogoś, kto tu jeszcze został. Słyszałem pogłoskę, że na Czukotce więźniowie zdołali opanować samolot i odlecieli nim na Alaskę. Miało ich być siedmiu. Sądzę — że próbowali tylko takiej sztuki, ale że im się nie udało. Wszystkie te historie długo

---

8. Jakoś dawno mi już nie pisał starszycy. Czy aby żyje?



jeszcze leżeć będą pod suknem, by starzeć się i tracić stopniowo wszelką wagę, podobnie jak ten rękopis, podobnie jak wszystko to, co pisze się w naszym kraju w zamiarze dania świadectwa prawdzie.

Oto jeden z takich wypadków — i znów w ludzkiej pamięci nie zachowało się nazwisko bohaterskiego zbiega. Pochodził z Odessy, był w cywilu inżynierem-mechanikiem, w wojsku dośłużył się rangi kapitana. Koniec wojny zastał go w Austrii, służył w Wiedniu, w naszych wojskach okupacyjnych. W 1948 roku został aresztowany, bo ktoś na niego doniósł. Z artykułu 58-go, jak to już wówczas było w zwyczaju, oberwał 25 lat. Wywieziono go na Syberię, zamknięto w podobozie, leżącym trzysta kilometrów za Tajszetem, to znaczy — daleko od kolei transsyberyjskiej. Przy robotach leśnych wkrótce stracił siły. Ale tliła się w nim dalej wola walki o życie i nie mógł zapomnieć o Wiedniu! I stamtąd — STAMTĄD! — zdołał uciec do Wiednia! Nie do wiary!

Ich poręba przylegała do szerokiego duktu, dobrze widocznego z niewysokich wieżyczek strażniczych. Owego dnia zabrał on do pracy swoją porcję chleba. Zwalił na poprzek duktu gałęzisty świerk. Leżące drzewo nie sięgało aż do drugiego skraja duktu, mimo to udało mu się smyrgnąć w las po drugiej stronie. Zabrał ze sobą siekiere. Było lato. Przedzierał się przez tajgę szlakiem wiatrołomu, bardzo to było trudne, za to nikogo nie spotkał przez cały miesiąc. Porobił węzły na rękawach i kołnierzu koszuli, łowił nią ryby i pożerał je na surowo. Zbierał cedrowe orzechy, grzyby i jagody. Gdy dopełził do magistrali syberyjskiej, był już na poły martwy. Zagrzebał się w pierwszym stogu siana i zasnął błogo. Obudziły go ludzkie głosy: ktoś brał siano widłami ze stogu i zbieg leżał już na widoku. Nie miał sił ani do dalszej ucieczki, ani do walki. Powiedział więc: „Cóż, jestem zbiegiem, bierzcie mnie, wydajcie władzom”. A to był kolejarz, dróżnik z żoną. Dróżnik powiedział: „Toć my Rosjanie. Tylko schowaj się lepiej, nie pokazuj się”. Poszli sobie. Ale zbieg nie miał do nich zaufania: przecież to sowieccy ludzie, muszą donieść. I poczłogał się w stronę lasu. Leżąc na jego skraju, zobaczył, że dróżnik wraca, niesie jedzenie i trochę odzieży. Pod wieczór zbieg ruszył wzdłuż torów i na leśnym przystanku wsiadł na lorę towarową. Rano — zeskoczył z niej i schował się w lesie na cały dzień. Noc po nocy tak podróżował, a kiedy wróciło mu trochę sił, to schodził na każdym przystanku — chował się w zaroślach, albo szedł naprzód, wyprzedzając pociąg, aby skoczyć znów w biegu na jakąś lorę. Dziesiątki razy w ten sposób ryzykował, że koła obetną mu rękę, nogę, albo i głowę (tak oto płacił

za kilka lekkich pociągnięć donosicielskiego pióra...). Ale gdzieś, nie dojeżdżając do łańcucha gór Uralskich, zapomniał pewnego razu o swojej zasadzie i zasnął na platformie, wyładowanej drewnem. Ktoś go kopnął i oświetlił twarz latarnią: „Dokumenty!” — „Już się robi”. Podniósł się na równe nogi i jednym ciosem zwałił strażnika z wagonu, sam zaś zeskoczył na peron z drugiej strony — wprost na łeb drugiego strażnika! Zbił z nóg również tego i zdołał uciec, przemykając się pod sąsiednimi eszelonami. Złapał pociąg już za stacją, skoczył w bieg.

Swierdłowski postanowił obejść szerokim łukiem. W jego okolicach wypatroszył kiosk handlowy, zaopatrzył się tam w odzież, wdział trzy garnitury, jeden na drugi, zabrał zapas żywności. Na jakiejś stacji sprzedał jeden z tych graniturów i kupił bilet Czelabińsk - Orsk - Azja Środkowa. Nie, wiedział dobrze dokąd jedzie — do Wiednia! Ale trzeba było zaopatrzyć się w to i owo i odczekać, aż przestaną go szukać. Pewien przewodniczący kołchozu, Turkmen, którego poznał na rynku, machnął ręką na brak dokumentów i przyjął go do pracy. Był mechanikiem nie tylko na papierze, wyremontował wszystkie maszyny w kołchozie. Po kilku miesiącach poprosił o zwolnienie, wziął odprawę i pojechał do Krasnowodzka. Linia kolejowa biegnie tu wzdłuż perskiej granicy. Na stacji Mary wszedł do pociągu patrol, sprawdzając u wszystkich dokumenty. Nasz mechanik wyszedł wówczas do tamburu, otworzył w biegu drzwi, zawisł z zewnątrz na oknie wagonowej ubikacji (przez matowe szkło nie był widoczny dla wchodzących do toalety) i tylko czubek jednego buta opierał o stopień wagonu. Przechodzący przez tambur patrol nie zwrócił uwagi na ten but, może i widoczny przy uważnym spojrzeniu przez okno. Żołnierze przeszli do następnego wagonu. Najstraszniejsza chwila minęła.

Zbiegowi udało się pomyślnie przeciąć morze Kaspijskie. W Baku wsiadł do pociągu jadącego aż do Szepietówki nad dawną polską granicą. Stamtąd ruszył w głąb Karpat. Z nadzwyczajną ostrożnością przecinał linię graniczną, biegnącą stromiznami wśród głuchego lasu — i mimo to nakryli go pogranicznicy! Ile trzeba było ofiar, cierpień, pomysłów, wysiłku — na tym szlaku od syberyjskiego podobozu, od tego pierwszego, zrąbanego świerka — a tu, przed samym końcem drogi, wszystko się wali w jednej chwili!... I podobnie, jak tam, na stogu pod Tajszetem, poczuł, że opuszczają go siły, że nie może już więcej ani stawiać oporu, ani kłamać. Więc krzyknął w ostatnim napadzie wściekłości: „Bierzcie mnie, katy! Wygraliście!” — „Coś ty za jeden?” — „Zbieg! Z obozu! Teraz mnie macie!”. Ale strażnicy graniczni zachowywali się jakoś dziwnie: zawiązali mu oczy,

zaprowadzili do ziemianki, tam zdjęli mu z rąk pęta, zaczęli przesłuchiwać — i nagle wszystko się wyjaśniło — swoi! Banderowcy! (Fi! fi! już widzę, jak krzywią się co wykształceńsi czytelnicy, jak pomachują na mnie rączkami: „No i bohaterów pan sobie wybiera, jeżeli dla tego faceta banderowcy — to s w o i! Ładny kwiat!”). Teraz ja z kolei rozkładałam ręce: nic nie zmyślam. Taki właśnie był. Takim zrobił go obóz. Bo przecież ci łagrowcy, trzeba państwu wiedzieć, trzymają się pewnej świńskiej zasady: „Byt określa świadomość”, nie zaś tego, co stoi w gazetach. Dla łagrowca s w ó j to tylko ten, z którym męczył się on w obozie. Ten zaś jest dla niego obcy, kto go szczuje psami. Brak uświadomienia i tyle!). Uścisnęli się! Banderowcy mieli jeszcze wtedy swoje przejścia graniczne i przeprowadzili go bez przygód.

I oto znowu był w Wiedniu! Ale już w sektorze amerykańskim. Dochowując wierności wciąż tej samej zobowiązującej, materialistycznej zasadzie, a także nie chcąc zapominać o swoich przeżyciach w morderczym, krwawym obozie — nie szukał już pracy jako inżynier mechanik, ale poszedł do amerykańskich władz ze zwierzeniami. I dostał u nich jakąś robotę.

Ale bardzo to ludzka cecha: gdy tylko niebezpieczeństwo minie, zaraz czujność nasza się osłabia. Postanowił posłać rodzicom do Odessy trochę pieniędzy, ale trzeba było w tym celu zamienić dolary na ruble. Jakiś handełes zaprosił go do swego mieszkania w sowieckiej strefie okupacyjnej Wiednia, aby tam dokonać wymiany. Ludzie zresztą bez przerwy cyrkulowali między tymi strefami, nie bardzo wiedząc, gdzie się która kończy. Ale on w żadnym wypadku nie powinien był granicy przekraczać! Przeszedł jednak na drugą stronę i złapany był w mieszkaniu waluciarza.

Jest coś bardzo rosyjskiego w tej historii: człowiek nize z mozołem nadludzkie wysiłki, nize i nize na jeden sznur, a potem oddaje wszystko za jedną szklanekę wódki.

Skazany na rozstrzelanie, siedząc w celi sowieckiego więzienia w Berlinie, zdążył on to wszystko opowiedzieć innemu oficerowi i inżynierowi, nazwiskiem Anikin. Ten Anikin miał już wtedy za sobą niemiecki obóz jeńców, konał już w Buchenwaldzie, uratowany był przez Amerykanów; później wywieziony do sowieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech, trzymany był tam czasowo, bo ktoś musiał demontować fabryki, już uciekł do NRF, budował pod Monachium elektrocentralę wodną i w końcu wykradziony został stamtąd przez sowiecki wywiad (oślepił go reflektorami,

wyciągnęli z wozu i wepchnęli do swojego auta) — i po co to wszystko? Żeby wysłuchać opowieści odeskiego mechanika i powtórzyć ją nam? Żeby później dwa razy próbować bezskutecznie ucieczki w dalekim Ekibastuzie (będzie jeszcze o tym mowa w V części)? I żeby wreszcie zostać zamordowanym w karnym obozie pracy, przy gaszeniu wapna?

Oto drogi przeznaczenia! oto zygzaki losu! I jakże tu doszukać się sensu w życiu ludzkiej jednostki?...

Nie mówiliśmy jeszcze nic o ucieczkach grupowych. A takich również było wiele. Podobno w 1956 roku dał drapaka cały nieduży obóz; rzecz działa się pod Monczegorskiem. Historia wszystkich ucieczek z Archipelagu musiałaby stać się spisem nieprzebrany, księgą nieczytelną — dla nadmiaru przykładów. I ten nawet, kto podjąłby się pisania książki, poświęconej wyłącznie ucieczkom, musiałby ulitować się zarówno nad czytelnikiem, jak nad samym sobą — pomijając w końcu całe setki zdarzeń.

## Rozdział piętnasty

SZIZO, BURy, ZURy

Wśród wielu radosnych wyrzeczeń, które proklamowano z okazji narodzin nowego świata — wyrzeczenia się wyzysku, wyrzeczenia się kolonii, wyrzeczenia się tajnej dyplomacji, oraz tajnych nominacji i translokacji, wyrzeczenia się tajnej policji, wyrzeczenia się nauki religii — i jeszcze wielu wyrzeczeń i aktów rezygnacji — nie było wprawdzie wyrzeczenia się więzień (ich murów nie zburzono, tylko nadano im „nową treść klasową”) — było jednak bezwarunkowe wyrzeczenie się *karcerów*, tej bezlitosnej formy tortur, która mogła narodzić się tylko w zdegenerowanych, pełnych nienawiści głowach burżuazyjnych dręczycieli. Kodeks z 1924 roku zakładał wprawdzie możliwość izolacji więźnia, który dopuścił się szczególnie ciężkiego wykroczenia, ale podkreślał, że cela izolacyjna niczym nie może przypominać karceru: musi być sucha, jasna i wyposażona w łóżko oraz pościel.

Dzisiaj zaś — nie tylko klucznicy, ale sami więźniowie byliby niezmiernie zaskoczeni, gdyby karcery nagle znikły, gdyby zostały skasowane.

KK z 1933 roku, który był w mocy (a raczej — niemocy) aż do początku lat 60-tych, okazał się jeszcze bardziej humanitarny: zabraniał zupełnie izolowania więźniów w osobnych celach!

Ale zabraniał nie dlatego, że nadeszły lata większej tolerancji, lecz dlatego, iż w tym okresie wypróbowano już doświadczalnie inne formy kar wewnętrznych. Były to czasy, gdy nie samotność, lecz „kolektyw” wyłaził ludziom uszami, zwłaszcza, że ukarani musieli jeszcze harować.

Oto te formy:

— Kompanie Obostrzonej Dyscypliny (R.U.R.) zastąpione później przez:

— Baraki Obostrzonej Dyscypliny (B.U.R.) i karne brygady oraz

— Zony Obostrzonej Dyscypliny (Z.U.R.) i karne podobozy.

A potem, całkiem nieznacznie, jakby mimochodem, pojawiły się przy nich — nie żadne karcery, nie!, tylko —

— Karne Izolatory (SZIZO).

Bo jeśli więźnia nie ma czym postraszyć, jeśli nie wisi mu nad karkiem obostrzenie kary — to kto w ogóle zmusi go do przestrzegania dyscypliny?

A dokąd wsadzać schwytanych zbiegów, ha?

Za co posyłano do tych karnych izolatorów, do karceru? A za wszystko, co sobie człowiek zamarzy: że nie spodobał się naczelnikowi, że nie wstał na czas, że nie w porę się położył, że spóźnił się na apel, że nie tą drogą szedł co trzeba, że nie był ubrany przepisowo, że palił nie tam, gdzie wolno, że trzymał w baraku za dużo swoich rzeczy — za to wlepiano dobę, trzy, pięć. Nie wykonałeś normy, złapano cię z babą — za to dawano pięć, siedem, dziesięć. A jeśli kto odmawia pójścia do roboty — to naści nawet piętnaście dni. I chociaż zgodnie z prawem (jakim?) więcej, niż piętnaście dawać nie wolno (a według KK nawet to jest bezprawiem!) — to miechy tej harmonii można rozciągnąć aż do roku. W 1932 roku, w Dmitłagu (to pisze sam Awerbach, czarno na białym!) za przyprowadzenie się dawano rok karnego izolatora! Jeśli uprzytomnić sobie, że samouszkodzeń nie leczono — znaczy to w sumie, że poranionego, chorego człowieka na rok wrzucano do bunkra — żeby tam gnął!

Jakim wymaganiom odpowiadać musi taki karny izolator? Ma w nim być: a) zimno; b) wilgotno; c) ciemno; d) głodno. Aby osiągnąć te cele — nigdy się go nie opala (Lipaj: nawet, kiedy na dworze jest 30° mrozu); nie szkli się okien na zimę; pozwala się, aby mury nasiąkły wilgocią (albo od razu kopie się loch w miejscu podmokłym). Okienka są maleńkie, albo w ogóle ich nie ma (tak bywa najczęściej). Na wikt składa się *stalinowska pajka* — 300 gramów dziennie. „Danie gorące”, to znaczy — postną bałandę, dają tylko trzeciego, szóstego i dziesiątego dnia kary. Ale w obozie Workuta-Wom dawano chleba tylko dwieście gramów, a zamiast „gorących dań” — co trzeci dzień kęs *surowej* ryby. Wszystkie karcery obozowe są mniej więcej tegoż typu.

Sądzi się naiwnie, że karcer powinien koniecznie przypominać celę — mieć sufit, drzwi i rygle. Nic podobnego! W obozie Kurany-Sała — podczas mrozów, dochodzących do 50°, karcer był skonstruowany z omszałych bali. (Doktor Andrejew, wolniak,

oznajmił: „Jako LEKARZ twierdzą, że w takim karcerze MOŻNA siedzieć!”). Przeskoczmy na drugi skraj Archipelagu: we wspomnianym już obozie Workuta-Wom, w 1937 roku karcerem dla wymawiających się od pracy była także ziemianka *bez dachu*, a istniał też obok zwykły *dół*. W tym dole (gdy padał deszcz, otwór zaciągano jakąś szmatą) Arnold Rappoport siedział, jak Diogenes w beczce. Karmienie więźniów odbywało się w sposób następujący: nadzorca wychodził z wartowni, niosąc chleb w porcjach i wołał do siedzących w głębi ziemianki: „Chodźcie tu pobrać chleb!”. Ale zaledwie który wysunął nos, już brał go na muszkę wartownik z wieżyczki: „Stój, bo strzelam!”. — A do jamy rzucono chleb i ryby — po prostu na dno, w glinę, rozmokłą od deszczu.

W obozie Marinskim (podobnie, jak w wielu innych) ściany karceru pokryte były szronem. Mimo to nie wpuszczano ludzi do niego w obozowej odzieży, lecz TYLKO W BIELIŹNIE. Co pół godziny strażnik otwierał klapę w drzwiach i życzliwie radził siedzącemu tam I. W. Szwedowi: „Oj, nie wytrzymasz tu, zginiesz marnie! Lepiej weź się do roboty, idź do lasu!”. I rzeczywiście, pomyślał Szwed, tu człowiek prędzej odwali kopyta! Poszedł do lasu. W ciągu dwunastu i pół lat swego pobytu w obozach, Szwed odsiedział w karcerze 148 dni. Pióro nie opisze, za co bywał karany. Za odmowę pełnienia funkcji porządkowego w *Indiach* (baraku złodziejskiej drobnicy) dostał sześć miesięcy obozu karnego. Za odmowę przejścia z robót w kolonii rolnej gdzie nieźle karmiono — do trzebień lasu, sądzony był powtórnie z artykułu 58-14, za kontrrewolucję gospodarczą i oberwał ponownie 10 lat. Knajak, nie chcąc dać się przenieść do karnego podobozu, może uderzyć komendanta eskorty, wybić mu nagan z ręki — i w końcu tych przenosin mu oszczędzą. Spokojny więzień polityczny nie ma wyjścia — prędzej, czy później skręca go w barani róg! Na Kołymie w 1938 roku dla szemranych nawet karcery były ogrzewane, nie to, co dla Pięćdziesiątki Osemki.

Barak Obostrzonej Dyscypliny (BUR) — to pachnie dłuższą odsiadką. Ludzie są tam wtrącani na miesiąc, na trzy miesiące, pół roku, rok, a często — bezterminowo, po prostu dlatego, że dany więzień uznany został za niebezpiecznego. Jeśli ktoś znalazł się raz na czarnej liście, to go potem posyłają do takiego baraku na wszelki wypadek: przed każdym świętem pierwszego maja, czy siódmego listopada, z okazji każdej ucieczki i w ogóle — gdy się w obozie zdarzy cokolwiek bądź niezwykłego.



Barak może być najzwyczajniejszy, tyle, że ogrodzony osobnym płotem z drutu kolczastego i że siedzących w nim aresztantów wyprowadza się oddzielnie do najcięższej i najprzyczrzejszej w danym obozie roboty. Może to też być kamienne więzienie wewnętrzne, ze wszystkimi więziennymi szykanami: z biciem w dyżurce wzywanych pojedynczo więźniów (żeby nie było śladów pobicia — dobrze jest łać faceta walonkiem z cegłą w środku); z drzwiami opatrzonymi w regularne rygle, zamki i judasze; z betonową polepą w celach — a nawet z osobnym karcerem, dla siedzących już w tym baraku.

Taki właśnie był BUR w Ekibastuzie (istniał tam również barak karny pierwszego typu). Ukaranych wsadzano do celi bez żadnych nar (spali na ziemi w swoich kaftanach i fufajkach). Kaganiec z blachy zupełnie zasłaniał małe okienko pod sufitem. W blasze porobiono gwoździem dziurki, ale zimą śnieg je zaprószał i w celi panowały egipskie ciemności. We dnie elektryczność się nie paliła, tak, że w nocy było jednak jaśniej. Celi nigdy nie wietrzono. Przez pół roku (w 1950) nie było ani jednego spaceru. Bardziej ten barak przypominał ciężkie więzienie, niż zwykły obóz. Wszystkie potrzeby naturalne — w celi, bez żadnego wychodzenia do klozetu. Wynoszenie wielkiego kibla było zazdrości godnym przywilejem dyżurnych: mogli zaczerpnąć trochę powietrza. A kąpiel — to już było wielkie święto. Cella była przepelniona, można było tylko leżeć w tłoku, nie było mowy o rozprostowaniu kości. Tak oto siedziało się sześć miesięcy z rzędu. Wodzianka, sześćset gramów chleba, ani okruszyny machorki. Jeśli więzień siedzący w karnym baraku dostawał paczkę z domu, to produkty psujące się łatwo „spisywano” protokolarnie na straty (szły na stół strażników, albo sprzedawane były za bezcen p r y d u r k o m), reszta zaś wędrowała do magazynu na wielomiesięczne przechowanie. (Kiedy tych ukaranych wyprowadzano później do roboty, ruszali się bardzo żwawo — choćby po to, aby ich czasem znów nie zamknięto).

Zaduch i bezruch doprowadzały więźniów do granic wytrzymałości, a już zwłaszcza — narwanych i zaczepnych pół-knajaków. (Ci z ferajny, którzy trafili do obozu Ekibastuz, traktowani byli jak Pięćdziesiątka Osemka, żadnych ulg nie mieli). Najpopularniejszym zajęciem siedzących w karnym baraku było też łykanie aluminiowych łyżek, rozdawanych przed obiadem. Każdego, kto połknął brano na badanie rentgenowskie, a gdy okazało się, że łyżkę ma naprawdę w żołądku — kładziono na stół operacyjny i otwierano mu brzuch. Loszka Karnouchy łykał trzykrotnie, mało co zostało mu z żołądka. Kolka Sałopajew

zabawił się w trupa: powiesił się w nocy, ale — w tajemniczeni zawczasu — koledzy „zauważyli w porę”, odcięli go od stryka — i poszedł do szpitala. Jakiś inny zakaził nitkę (przeciagnął ją między własnymi zębami), nawłókł igłę i wraził ją sobie pod skórę nogi. Zakażenie! szpital! — a tam — zgorzel, czy nie z gorzel, wszystko jedno, byle wyrwać się stąd.

Ale pokusa użycia ukaranych do rozmaitych robót skłoniła panów gospodarzy do utworzenia całych wydzielonych *zon karnych* (Z.U.R.). W zonach tych — przede wszystkim obowiązuje gorszy wikt, miesiącami nie dają drugiego dania, przydział chleba też jest mniejszy. Nawet zimą — w łaźni wybite szyby, fryzjerki w fufajkach i watowanych portkach strzygą gołych więźniów. Brak czasem osobnej stołówki, za to bałandy nie wydaje się wtedy w barakach tylko każdy musi ją odebrać z kuchni, nieść miskę — a tu ziąb! — do baraku i tam dopiero chłęptać wystygłą ciecz. Umierają też tam ludzie na wyścigi, szpital pełen konających.

Już sam spis takich karnych zon mógłby chyba, w przyszłości, dać podstawę do studium historycznego, tym bardziej, że nie łatwo będzie go zestawić, wszystko się pozaciera.

Dla karnych zon przewidziane były specjalne rodzaje robót. Na przykład — sianokosy na podmokłych łąkach, leżących 35 kilometrów za zoną, gdzie gnieździć się trzeba w niczym nie uszczelnionych szałasach i kosić trawę w wodzie po kostki. (Jeśli straż liberalna — to zbiera się przy okazji jagody, jeśli bardzo surowa, to dochodzi do strzelania i niejeden taki zbieracz ginie, ale zbierają mimo to; toć głód doskwiera!). Albo — robienie zapasów kiszonki, na takich samych bagnach, wśród roju komarów, bez żadnych tam siatek ochronnych (gęba i szyja — całe skłute żądłami, pokryte strupami, powieki obrzękłe, nic prawie się nie widzi). — Albo kopanie torfu w delcie Wyczegdy: zimową porą rozbija się ciężkim obuchem warstwę zamrożonego mułu, aby czerpać spod niej półpłynny torf, wlec go później na sankach kilometr pod górę (koni do takiej roboty obóz oszczędził). Albo zwyczajnie — roboty ziemne („ziemny OŁP” pod Workutą). No i wreszcie — ulubiona robota karna: wapienne kamieniołomy i wypalanie wapna. I w ogóle — kamieniołomy wszelkiego rodzaju. Nie sposób wyliczyć wszystkiego. Najcięższe z ciężkich prac, najtrudniejsze z trudnych — oto, czym są te karne roboty. Każdy obóz ma własny ich rodzaj.

Do zon karnych najchętniej zsyłano więźniów wierzących, opornych — oraz szemranych (tak jest, szemranych, tu właśnie

wielki system wychowawczy potykał się o niezaradność czynników lokalnych). Były tam całe baraki „mniszek”, które odmawiały pracy na użytek diabła. (W karnej kolonii sowchozu Pieczorskiego kobiety te wtrącano do karceru, gdzie wody było po kolana. Jesienią 1941 roku dano im artykuł 58 § 14 — i wszystkie rozstrzelano). Wyprawiono do takiej zony duchownego, ojca Wiktora Szypowalnikowa „za agitację religijną” (na Wielkanoc odprawił nabożeństwo nocne dla pięciu pielęgniarek szpitalnych). Przenoszono niepokornych inżynierów i innych rozuchwalonych inteligentów. Zsyłano zbiegów, których udało się wyłapać. I — z ciężkim sercem — posyłano tam również *elementy socjalnie bliskie*, jeśli w żaden już sposób nie chciały przejść się proletariacką ideologią. (Nie miejmy pretensji do zwierchności, że czasem nie mogła poradzić sobie z zawłościami klasyfikacji, wymagającej znacznego wysiłku umysłowego. Stąd pomyłki: na przykład z obozu Karabas wysłano dwie podwozy. Jedna miała zawieźć klerykałki do „osiedla dziecięcego”, gdzie powinny były doglądać obozowego przychówku, druga zaś miała odstawić knajaczki i syfilytyczki do karnej filii obozu Dolinka, zwanej Konspaj. Ale komuś pokręciło się coś przy ładowaniu bagażu na podwozy — i w końcu szemrane syfilytyczki pojechały doglądać dzieci, „mniszki” zaś zawieziono do obozu karnego. Pomyłka w końcu wyszła na jaw, ale kto by tam ją naprawiał).

Często przenoszono karnie ludzi, którzy odmawiali szpiclowania. Większość z nich zginęła tam, na robotach karnych i nic nam już nie opowiedzą. Jeszcze mniej skłonni są do takich zwierzeń ich zabójcy, operczekiści. W ten sposób zesłano gleboznawcę Grigoriewa, któremu udało się przetrwać. Za podobną przewinę posłano do karceru redaktora estońskiego czasopisma rolniczego, Elmara Nugisa.

Zdarzały się też sprawy romansowe. Nie można przykładać do nich zbyt ścisłej i surowej miarki, bo zwykle kryje się w nich jakiś szczegół intymny, a nam niewiadomy. Ale oto historia Ireny Nagel, w tej wersji, jaką nam sama podała.

W sowchozie Uchta pracowała ona jako maszynistka działu administracji, należała zatem do bardzo dobrze urządzonych *prydurow*. Przystojna, masywna, miała tak długie warkoczki, że oplatała nimi głowę. Chodziła — również dla wygody — w kurtce i spodniach narciarskich. Kto zna obozy, ten wie jak silny to był wabik. Operczekista, młodszy lejtnant Sidorenko, wyraził więc chęć zawarcia z nią nieco bliższej znajomości. Irena odparła: „To już wolę najgorszego urkę! Jak panu nie wstyd, pańskie dziecko tu za ścianą płacze!”. Odpalony oper zmienił nagle ton i oznajmił: „Wyobrażasz sobie serio, że mi się podo-

basz? Chciałem cię tylko *wypróbować*. Teraz dowiedz się, że masz z nami *współpracować*". Odmówiła i przeniesiono ją do karnego podobozu.

Oto co zobaczyła pierwszego wieczoru: w kobiecym baraku siedzą razem knajaczki i „mniszki”<sup>1</sup>. Pięć dziewczyn chodzi w samych prześcieradłach: poprzedniego dnia knajaczki grały sobą w karty o *ich* odzież, po zakończeniu gry — kazały im zdjąć ze siebie wszystko. Musiały oddać. Nagle wpada banda knajaków pod wodzą gitarzysty, wszyscy w gaciach, ale każdy ma na łbie pilśniowy kapelusz. Zaczyna się coś w rodzaju złodziejskiej serenady. Wbiega raptem inna banda, jacyś wściekli. Chwytają jedną ze swoich dziewczuch, obalają na ziemię, młóć ją drewnianą ławką, tratuja nogami. Dziewucha krzyczy, potem nawet już krzyczeć nie może. Wszyscy wokół siedzą, jak trusie, nie dość, że nikt nie reaguje, ale wydaje się, że nikt nic nie widzi. Po jakimś czasie przychodzi felczer: „Kto cię tak zbił?” — „Spadłam z nar, to wszystko” — odpowiada pobita. — Jeszcze tego samego wieczoru sama Irena Nagel została przegrana w karty — ale wyratował ją z tarapatów Waśka Świdrowaty, s u k a. Doniósł komendantowi, a ten zabrał Irenę na odwach, na całą noc.

Karne placówki obozów (jak Parma, forpoczta Nyroblągu w samym gąszczu tajgi) uważane były często za miejsca zesłania także dla strażników i nadzorców; przenoszono tu tych, którzy mieli coś na sumieniu; najczęściej ich miejsce zajmowali członkowie tzw. samoochrony.

Darmo szukać w obozach prawa i sprawiedliwości — tym bardziej więc w obozach karnych. Knajacy broją tam sobie bez przeszkód, chodzą z nożami w rękę, wcale się z tym nie kryjąc (workucki „ziemny” OŁP, rok 1946), nadzorcy chowają się przed nimi za obrębem zony, chociaż Pięćdziesiątka Ósemka stanowi tu większość.

W obozie karnym Dżantuj opodal Pieczory, szemrani tak sobie, dla hecy, spalili dwa baraki, zakazali gotowania zarcia, rozpędzili personel kuchenny, zarżnęli dwóch oficerów. Cała reszta szarż odmówiła wchodzenia do zony, nawet pod groźbą degradacji.

W podobnych wypadkach władzę ratuje tylko waśń wśród podopiecznych. Komendantem Dżantuja mianowano pewnego s u k ę, w trybie nagłym ściągniętego do obozu wraz z całym

---

1. Kto w całej historii ludzkości zrównał ze sobą te dwie kategorie? Kim trzeba być, aby zmieszać je ze sobą?

zespołem pomocników. Już pierwszego wieczoru zadźgali oni trzech złodziei i stopniowo zaczął wracać spokój.

Na złodzieja najlepszy drugi złodziej — powiada stare przysłowie. Zgodnie z Przodującą Doktryną — po rozmnożeniu się tych socjalnych pociotków do takich granic, że już dech zapierało, Ojcowie Archipelagu znaleźli jedyne rozwiązanie: poróżnić ich i napuścić jednych na drugich. Z nożami. (Wojna knajaków z *sukami* wstrząsnęła posadami Archipelagu w latach powojennych).

Trzeba przyznać, że życie szemranych w obozach też nie było słodkie, mimo wszystkich ich swawoli! rozpasanie było tylko namiastką ucieczki. Jak to zwykle pijawki, knajacy wolą mieszkać pośród tych, na których można pasożytować. Szemrani odrąbawali sobie czasem palce, byle nie iść do karnej zony, na przykład — do sławetnych workuckich Wapienników. (Po wojnie niektórzy recydywiści już w sentencji sądowej mieli napisane: „zesłać do workuckich Wapienników”. Śruba dokręcana była od góry).

Nikt się tam nie ruszał bez noża. *Suki* i knajacy wyrzynali się wzajemnie, co dzień ktoś ginął. Kucharz (*suka*) rozlewał bałandę wedle swego widzimisie: jednemu dawał zawiesiście, drugiemu — rzadziżnę, trzeciemu — chochlą po łbie. Szef robót chodził z prętem zbrojeniowym w łapie i jednym chłaśnięciem zabijał człowieka na miejscu. *Suki* mieli swoich chłopaczków do nocnych zabaw. Były trzy baraki: dla suk, dla ferajny i dla frajerów, w każdym po stu ludzi. Frajerzy — pracowali: opodał obozu, w zapadlinie, wydobywano wapień. Później trzeba go było nieść na tragach pod górę. Tam usypywano z głazów piramidy, zostawiając w środku rodzaj przewodu kominowego. Pod te stożki podkładano ogień. W końcu — rozrzucono tłące się wapno i kruszono je wśród dymu, sadzy i wapiennego, żrącego pyłu.

W obozach Dżydyskich specjalną sławą cieszył się karny obóz Bajangoł.

Jeszcze przed otwarciem karnego OŁP Krasłagu, zwanego Rewuczuj przysłano tam specjalną „kadre robotczą” — półtorej setki Bogu ducha winnych, ale za to dobrych fachowców (karny obóz, karnym obozem, ale nadzór odpowiada za wykonanie planu! w rezultacie — prości robociarze muszą iść do karnej zony). Później dopiero przysłano knajaków i długoterminowych z Pięćdziesiątki Ósemki — tych ostatnich bali się nawet fetniacy-*urki*, bo wyroki ich opiewały na 25 lat i — w latach powojennych (gdy na jakiś czas zniesiono karę śmierci) zatłuczenie knajaka nie groziło im zwiększeniem kary; to już nie było uważane (jak podczas budowy Kanałów) za wyskok wroga klasowego.

Dzień roboczy w Rewuczym trwał formalnie 11 godzin, ale w istocie — razem z marszem do lasu (5-6 kilometrów) i z powrotem — przedłużał się do 15-tu. Pobudka była o 4.30 rano, do zony wracano na ósmą wieczór. Prowadziło to do galopującego wycieńczenia i w rezultacie prędko znaleźli się tacy, co nie chcieli chodzić do roboty. Po apelu tych opornych gromadzono w świetlicy — a szef robót szedł wzdłuż szeregu i wybierał kandydatów do *przymusowego doprowadzenia*. Wprowadzano ich w łapciach ze sznura („obuwie sezonowe”, a tu mróz 60-stopniowy) i w mizernych kaftanach za obręb zony — a tam naszczuwano na nich pięć wilczurów. „Huzia!”. Psy szarpały, kąsały i przewracały opornych. W końcu ktoś krzychał „do nogi!”, podjeżdżał wóz asenizacyjny, ciągnięty przez wołka, woźnica — Chińczyk ładował pokąsanych na furę, odwoził ich na brzeg skarpy, zrzucano żywy ładunek do jaru. Czekał już tam brygadzysta, Losza Słoboda z pałą. Prał półżywych dopóty, dopóki nie wstali i nie poszli do pracy. Cały ich urobek zapisywał na konto swojej brygady; pobitym należało się tylko 300 gramów — karna pajka. (Ten, kto wymyślił tę całą drabinkę — był istnym Stalinkiem w miniaturze!).

Koleżanko Sieriebriakowa! Pani Halino! Czemuż to O TYM pani nie napisze? Dlaczego bohaterowie pani książki\* siedząc w obozie nic nie robią, nigdzie nie pracują, a wciąż tylko gwarzą sobie o Leninie i Stalinie?

Zwyczajny robociarz z Pięćdziesiątką Ósemką na karku takiego obozu karnego po prostu nie przeżyje; tak bywa prawie zawsze.

W karnej filii Siewżeldorłagu (komendant — pułkownik Kluczkin) w latach 1946-47 uprawiano ludożerstwo: zabijano ludzi na mięso, gotowano je i pożerano.

Działo się to nazajutrz po historycznym zwycięstwie naszego narodu w wojnie światowej.

Hej, hej, pułkowniku Kluczkin! Gdzie zbudował pan sobie willę? Gdzie też spędza pan latka swojej emerytury?

---

\* *Huragan*, Instytut Literacki, Biblioteka „Kultury”, tom 149, 1967.

Rozdział szesnasty  
SOCJALNE POCIOTKI

Niechaj słabe moje pióro też się przyczyni do pomnożenia chwały tego wspaniałego plemienia! Ileż to razy już opiewano piratów, flibustierów, obieżyświatów, zbiegłych katorżników! Ile hymnów ułożono na cześć szlachetnych zbójców — od Robin Hooda do awanturników z operetki, ileż czytaliśmy zapewnień, że wszyscy oni mają czułe serca, że okradają tylko bogatych, aby dzielić się z biedakami! Wspaniałomyślni towarzysze Karola Moora! Romantyczny buntownik Czełkasz — bohater Gorkiego! Benia Krzyk, odесy pijawki i piewcy Odessy!

Czyż jednak nie cała literatura światowa zachwycała się knajakami? Villonowi dajmy spokój, ale ani Hugo, ani Balzac nie uniknęli tej pokusy, Puszkina zaś, pisząc o Cyganach, słaWił właśnie hultajski, przestępczy element ich życia. (No, a Byron?). Nigdy jednak i nigdzie nie wynoszono knajaków pod niebiosa tak często, jednogłośnie i konsekwentnie, jak w literaturze sowieckiej! (Miało to swoje głębokie Uzasadnienie Teoretyczne, to zasługa nie tylko Gorkiego, czy Makarenki). Beknął czule Utiosow z estrady — i baranym głosem odpowiedziała mu zachwycona publiczka. I nie żadnym innym, tylko półknajackim żargonem przemówili bałtyccy i czarnomorscy marynarze w sztukach Wiszniewskiego i Pogodina. Właśnie w oprawie tego żargonu błyszczą najlepiej ich dowcip. Iluż to naszych pisarzy zachłystywało się z uniesienia opisując, jak to szemrani przechodzą ewolucję — od początkowego, strasznego lecz jakże spontanicznego rozpasania — do dialektycznego dojrzewania w zakończeniu. Jest tu i Majakowski a za nim — Szostakowicz (chodzi o balet „Panna i chuligan”), i Leonow, i Selwiński, i Wiera Inber, nazwisk bez liku. Kult knajaka okazał się zaraźliwy w epoce, gdy literatura usychała z braku bohaterów pozytywnych. Nawet tak od-



legły od linii oficjalnej pisarz, jak Wiktor Niekrasow, nie znalazł lepszego wcielenia rosyjskiego heroizmu, jak postać sierżanta Czumaka, byłego złodzieja („W okopach Stalingradu”). Nawet Tatiana Jesienina („Żenia — cud XX wieku”) wpadła w ten sam trans i nakreśliła dla nas postać Wieńki o przezwisku Walet Karo. Chyba tylko Tiendriakow, mający dar obserwacji bezstronnej, pierwszy potrafił dać opis knajaka nie wpadając z zachwytu w ślinotok („Trójka, siódemka, as”), pokazując za to całą jego nędzę duchową. Ałdan-Siemionow sam nasiedział się w obozie, ale mimo to w swojej „Płaskorzeźbie na skale” wypisuje zupełne niedorzeczności: złodziej, Saszka Aleksandrow, pod wpływem więźnia-komunisty Pietrakowa, którego ponoć wszyscy w obozie szanują, bo znał Lenina i bił się z Kołczakiem (motywacja zupełnie fantastyczna, całkiem w stylu Awerbacha) — gromadzi brygadę z samych *dochodiagów* i nie używa sobie ich kosztem (a TYLKO tak być mogło! i A. Siemionow musi to WIEDZIEĆ!), bynajmniej, tylko troszczy się o ich dokarmianie! i właśnie w tym celu ogrywa wolniaków w karty! Tak, jakby te wygrane nie były mu potrzebne na zakup *czyfiru!* Historia bzdurna i zbyt już woniejąca naftaliną — jak na lata 60-te.

Pewnego dnia w roku 1946, w oboziku za rogatką Kałużską, jakiś szemrany przechylił się przez parapet otwartego okna na drugim piętrze i silnym głosem jął zawodzić jedną knajacką pieśń po drugiej. Głos jego z łatwością przenikał przez łańcuch posturunków, przez drut kolczasty, słychać było te pieśni na chodnikach Wielkiej Kałużskiej, na przystanku trolejbusowym i w tej części Parku Nieskucznego, która graniczyła z obozem. Pieśni opiewały „łatwe życie”, zabójstwa, kradzieże, napady. I nie tylko, że nikt z nadzorców, wychowawców, strażników mu nie przeszkadzał w tych popisach, ale nikomu nie przyszło nawet do głowy, by krzyknąć na niego. Propaganda knajactwa nie była więc uważana za sprzeczną z naszym układem życiowym, nie zagrażała mu niczym. Siedziałem w zonie i rozmyślałem sobie: a co, gdybym tak ja wlaźł sobie teraz na drugie piętro i z tegoż okna, głosem tak samo donośnym odśpiewał coś o losie jeńca, na przykład „Gdzie ty, gdzie ty?”, piosenkę, słyszaną niegdyś w kontrwywiadzie frontu, albo gdybym sam tu ułożył coś na temat upakarzającego losu pohańbionego byłego frontowca — co by tu się zaraz zaczęło! Co za ruch by się zrobił! Toć sprowadziliby w pośpiechu strażacką drabinę byle zdjąć mnie z tego okna, nie czekając aż dobiorą się do mnie drogą okrężną. Zakneblowano by mi gębę, związano ręce, dano by z punktu nowy wyrozek! A tu knajak sobie śpiewa, wolni moskwiczanie słuchają go, jakby nigdy nic, jakby tego tylko im brakowało...

— Wszystko to ukształtowało się zwolna, to *proces historyczny* — jak lubi się u nas mówić. W dawnej Rosji istniało (a na Zachodzie — istnieje do dziś) niesłuszne przekonanie, że złodzieje są niepoprawni, że to zawodowi kryminaliści („stos pacierzowy świata przestępczego”). Dlatego na etapach i w więzieniach — politycznych przed nimi broniono. Dlatego to — jak twierdzi P. Jakubowicz — administracja łamała ich przywileje, nie pozwalała im rządzić się wśród innych więźniów, nie dopuszczała do stanowisk i funkcji, brała stanowczo stronę innych katorżników, gdy wybuchały spory. „Tysiące ich przybyło na Sachalin, aby nie wrócić więcej”. W Rosji przedrewolucyjnej wobec przestępców kryminalnych — recydywistów stosowano formułę: „Niech ugną się te karki pod żelaznym jarzmem prawa!” (Urusow). A tak, w 1914 roku złodzieje nie panoszyli się ani w rosyjskich wsiach i miastach, ani w więzieniach.

Ale oto pękły kajdany, zajaśniało słońce wolności. Dezercja milionów w 1917 roku, a później — wojna domowa przyczyniły się do rozkiełznania wszystkich ludzkich namiętności, a już najbardziej — skłonności do rabunku. Już tam nikt nie chciał chylić karku pod żadne jarzmo, zresztą wszem i wobec obwieszczono, że to zbędne. Złodzieje uznali za rzecz nader zabawną, a zwłaszcza pożyteczną, że — jako wrogowie własności prywatnej — mogą uchodzić za siłę rewolucyjną, która powinna być przygarnięta przez proletariata i to bez szczególnych trudności. W międzyczasie ich liczba wzrosła niebywale — dzięki pojawieniu się milionowego młodego narybku w postaci sierot z lat wojny domowej — słynnych *bezprizornych*, bezdomnej szpary. Szukali ciepła przy kotłach asfaltowych NEP'u i wprawiali się w wydzieraniu kobietom torebek, oraz wyławianiu hakami waliz przez okna pociągów. Jeśli rozpatrzyć sprawę z punktu widzenia socjologii — to przecież wszystkiemu winne *środowisko*, prawda? Weźmy się więc do reedukacji tych zdrowych dusz lumpenproletariackich, aby zapewnić im udział w życiu społecznym! Na tej zasadzie powstały pierwsze komuny, i kolonie, i film „Bezdomni” Ekka. (Nie zdawano sobie tylko sprawy, że ci opuszczeni chłopcy nie byli to jeszcze złodzieje regularni, członkowie istnego zakonu złodziejskiego — i dlatego reedukacja tych bezdomnych młodzików o niczym jeszcze nie świadczyła: nie podlegli jeszcze ostatecznemu zepsuciu).

Dziś natomiast, po upływie lat przeszło czterdziestu, można rzucić spojrzenie wstecz — i znaleźć powód do pewnych wątpliwości: kto tu kogo wychował, przerobił: czekici — knajaków, czy knajacy — czekistów? Najślynniejszy urka, który dał się przechrzczyć, który przyjął wiarę czekistowską — jest tylko po-

gardzanym *suką*, każdy knajak wsadzi mu nóż pod zebra. Czekaista zaś, który przyswoił sobie psychologię urki — to *wymagający* śledczy lat 30-tych i 40-tych, albo *stanowczy* naczelnik obozowy, a więc ludzie cieszący się uznaniem, pewni swojej kariery.

Psychologia knajaka jest zaś bardzo prosta, bardzo przystępna:

- 1) Chcę żyć i korzystać z życia, a na wszystkich innych kicham!
- 2) Kto mocniejszy, ten ma rację.
- 3) Nie ciebie chromolą, czego tyłkiem ruchasz! (to znaczy — skoro jeszcze nie jesteś bity, to nie ujmuj się za bitymi. Czekaj na swoją kolej).

Bić spotulniałych nieprzyjaciół osobno i po kolei! — skądś znamy tę zasadę. Tak robił Hitler. Tak postępował Stalin.

Ileż to nam nakładł w uszy Szejnin\* o „kodeksie honorowym”, obowiązującym pono wśród knajaków, o dotrzymywaniu przez nich „słowa”. Sądząc z takich książek — to sami Don Kichoci i patrioci, jeden w drugiego! A spróbuj spotkać się z takim w celi, albo w karetkie więziennej...

Ej, dość tego bajania! Sprzedajne pióra, paniczycy, którzyście knajaków oglądali z pokładu wycieczkowego parostatku — albo zza biurka w wydziale śledczym! Którzyście nigdy nie spotkali się z szemranymi w sytuacji, gdy nikt was przed nimi nie broni!

Urka, fetniak — to nie żaden Robin Hood! Kiedy można okraść umierającego *dochodiage* — okradną także jego! Kiedy trzeba zabrać marznącemu ostatnie onuce — to nie pogardzą nawet onucami! Ich wielkim hasłem jest zawołanie: „zdychaj dzisiaj, za to ja pożyję do jutra!”.

Ale może są naprawdę patriotami? Dlaczego nie grabią dobra państwowego? Dlaczego nie patroszą rządowych *dacz*? Dlaczego nie zatrzymują długich, czarnych samochodów? Sądzą może, że zakłóciliby spokój komuś z tych, co pobili Kołczaka? Bynajmniej. Dlatego, że samochody i dacje są pod dobrą ochroną. A sklepy i magazyny chronione są przez surowe prawa. Dlatego, że realista Stalin dawno już zrozumiał, iż nieustający trajkot o reedukacji knajaków — to tylko puste gadanie. I skierował ich energię na inne tory — naszczył ich na obywateli własnego kraju.

Oto jakie prawa obowiązywały u nas przez 30 lat (aż do 1947 roku): sprzeniewierzenie służbowe, zabór mienia państwowego, przywłaszczenie grosza publicznego? jakiś karton z magazynu? trzy ziemniaki w kołchozie? — Dziesięć lat! (A po

\* Lew Szejnin — autor popularnych w ZSSR powieści kryminalnych.

47-mym roku — nawet 20!). Kradzież *zwykła* na szkodę prywatnych osób? Ograbienie mieszkania, wywiezienie ciężarówką całego dobytku jakiejś pracowitej rodziny? Jeśli obeszło się przy tym bez mordu, to *nie więcej niż rok*, czasem nawet — 6 miesięcy...

Pobłażliwość jest gruntem, na którym złodziejstwo się pleni.

Stanowionymi przez siebie prawami władza stalinowska wyraźnie powiedziała szemranym: kradnij, byle nie u mnie! Kradnij u osób prywatnych! Przecież własność prywatna — to przeżytek. (Ale *personalna* emerytura i dacza — to szczyt marzeń...).

I knajacy — zrozumieli. We własnych bajędach i pieśniach występują jako istoty nieustraszone — ale czy zabrali się do rabowania tam, gdzie to było trudne, niebezpieczne, gdzie kładło się głowę pod topór? Skądże! Tchórzliwie i łapczywie rzucili się tam właśnie, gdzie ich popychano — zaczęli tym żwawiej obdzierać samotnych przechodniów i okradać niestrzeżone mieszkania.

Lata dwudzieste, trzydzieste, czterdzieste, pięćdziesiąte! Kto z nas zdążył zapomnieć to ryzyko — wiecznie wiszące nad spokojnym obywatelem: unikaj ciemnych ulic! nie wracaj późno do domu! nie noś zegarka! nie miej przy sobie pieniędzy! nie zostawiaj mieszkania bez dozoru! Zamki! Rygle! Psy! (A teraz felietoniści — nie okradzeni widać na czas — natrzęsają się z pocziwych, wiernych psów łańcuchowych!...).

Wielu okradzionych obywateli przekonało się, że milicja nie trudziła się nawet, aby szukać sprawców. Nawet protokołu nie sporządzili, aby nie psuć statystyki; po co tu się pocić i łapać

---

1. W ramach konsekwentnej walki z indywidualizmem, z ludzkim prawem do odrębności — z początku odebrano człowiekowi pierwszego z przyjaciół — konia, obiecując dać w zamian traktor. (Tak, jakby koń był tylko bydłem pociagowym, a nie prawdziwym druhem w dobrej i złej doli, nie członkiem rodziny i częścią własnej twojej duszy!). I wkrótce już zaczęło się uparte prześladowanie drugiego z człowieczych przyjaciół — psa. Zaczęto je rejestrować, zwozić do hycła, ale najczęściej — specjalne drużyny, utworzone przy sowietach lokalnych, strzelały do psów, spotykanych na ulicy. Nie chodziło tu o względy sanitarne, ani o małostkową oszczędność, powodów poszukajmy głębiej: przecież pies nie słucha radia, gazet nie czyta, jest to coś w rodzaju obywatela, wymykającego się spod kontroli, a ponadto — obdarzonego siłą fizyczną. Tylko że ta siła nie przynosi korzyści państwu, lecz może być użyta do obrony gospodarza jako odrębnej osoby — i to niezależnie od opinii, jaką cieszy się ta osoba u władz miejscowych, niezależnie od treści nakazu, z jakim przyjść można którejs nocy pod drzwi tej osoby. W Bułgarii w 1960 roku całkiem serio zalecono obywatelom, aby z a m i a s t psów hodowali świnię! Świnia nie ma zasad, i obrasta mięsem po to, aby miał z niej pożytek każdy, kto przyjdzie z nożem.

*Nota-bene* — te prześladowania psów nigdy nie obejmowały — tak pożytecznych dla państwa — wilczurów, tresowanych do działań operacyjnych i do służby wartowniczej!

faceta, skoro dadzą mu sześć miesięcy, z czego jeszcze połowę odliczą? Zresztą, czy schwytanych bandytów na pewno czeka sąd i wyrok? Przecież prokuratura<sup>2</sup> „zwalcza wzrost przestępczości” (czego wymaga się od niej na każdej naradzie) w ten przedziwny sposób, że po prostu tuszuje pewne sprawy, zwłaszcza te, w które zamieszanych jest wiele osób.

I w końcu nieuchronnie przyjdzie darowanie części kary, oczywista — mowa tylko o więźniach kryminalnych. Ej, świadkowie, miejcie się na baczności! — ci faceci prędko tu wrócą i każdy, kto przeciw nim świadczył, może się spodziewać noża!

Dlatego — jeśli widzisz, że ktoś włazi do sąsiadów przez okno, tnie m o j k ą cudzą kieszeń, albo patroszy czyjś kuferek — lepiej zmruż oczy! idź swoją drogą! nic a nic nie widziałeś!

Tego nas nauczyli złodzieje — i prawa!

We wrześniu 1955 roku *Literaturnaja Gazieta* (zamieszczająca tyle śmiałych wypowiedzi — o wszystkim, prócz literatury) opublikowała duży artykuł, aż oczekający krokodylimi łzami: pewnej nocy, w Moskwie, na ulicy, pod oknami należącymi do dwóch mieszkań, zabity został człowiek. Mordowano go długo, z hałasem. Okazało się później, że obie rodziny (nasze! sowieckie!) cały czas czuwały, że przypatrywały się zbrodni przez okna, ale że nikt nie pośpieszył z pomocą: żony nie puszczały mężów. Jakiś ich sąsiad (może też wtedy nie spał? ale o tym się nie wspomina), członek partii od 1916 roku, emerytowany pułkownik (widać sprzykrzyła mu się bezczynność) podjął się roli oskarżyciela publicznego. Odwiedza redakcje, i sądy i wszędzie domaga się, aby obie rodziny pociągnąć do odpowiedzialności za w s p ó ł u d z i a ł w zbrodni. Również autor artykułu nie szczędzi gromów: nie ma wprawdzie odpowiedniego paragrafu w kodeksie, ale to hańba, hańba!

Owszem, hańba, ale dla kogo? Jak to zwykle w naszej prasie — artykuł zawiera wszystko, prócz tego, co najważniejsze. Prócz tego mianowicie, że:

1) „Woroszyłowska” amnestia z 27. III. 1953 roku, ogłoszona w celu zapewnienia popularności kierownictwu (po śmierci Stalina), zalała cały kraj falą morderców, bandytów, złodziei, których z trudem wyłapano tuż po wojnie. (Kto niecnotę puści wolno, ten pogubi poczciwego — mówi przysłowie).

2) Istnieje w KK (z 1926 r.) niedorzeczny artykuł 139 o „granicach obrony koniecznej”. Wedle niego — masz prawo wyciągnąć swój nóż nie wcześniej, nim przestępca już ci swoim zagrozi, a dźgnąć go nożem — dopiero wtedy, gdy tamten ci już swój majcher wraził w bok. W przeciwnym wypadku to ty pójdziesz pod sąd! (nie ma zaś w naszych kodeksach artykułu, z którego by wynikało, że największy przestępca — to ten, co napada na słabszego!...). Lęk przed przekroczeniem granic obrony koniecznej prowadzi do zupełnego zaparcia się charakteru narodowego. Szeregowca Aleksandra Zacharowa zaczął bić jakiś chuligan przy wejściu do świetlicy. Zacharow wyjął scyzoryk i zdołał nim zabić chuligana. Dostał za to 10 lat, jak za zwykle morderstwo! „A co miałem robić?” — zapytał na rozprawie. Prokurator Arciszewski odparł: „Trzeba było uciekać!”.

2. Na przykład — prokurator Gołuszko, *Izwestia* z 27. 2. 1964.

Kto zatem prowadzi u nas wychów chuliganów?

3) Państwo — zgodnie z kodeksem karnym — zabrania obywatelom posiadania broni palnej, czy białej, ale samo nie podejmuje się ich obrony! Państwo oddaje swoich obywateli w ręce bandytów — i na łaniach prasy — śmie ich potem nawoływać do stawiania „kolektywnego oporu” tym bandytem! Stawiać opór, zgoda, *ale* czym? Parasolkami? Fuzjami skałkowymi? — Z początku napłodzili bandytów, a później — zaczęli do walki z nimi tworzyć „drużyny ludowe”, które — działając *bez żadnego tytułu prawnego* czasem same przekształcają się w bandy. A przecież można było całkiem po prostu od pierwszej chwili starać się, by „schyliły się te karki pod jarzmo prawa!”. Ale tu na przeszkodzie stanęła Jedyna Prawdziwie Słuszna Doktryna.

Co by się stało, gdyby owe żony nie zatrzymały mężów, mężowie zaś wybiegliby z pałkami? Bandyci mogliby ich pozabijać, to najbardziej prawdopodobne. Albo — to oni zabiliby bandytów i wówczas nie uniknęliby więzienia za przekroczenie granic obrony koniecznej. Rankiem, wyprowadzając pieska na spacerek, pan pułkownik w stanie spoczynku miałby w obu wypadkach dobrą okazję do zaspokojenia swego głodu wrażeń.

No, a prawdziwa samoobrona — taka, jak we francuskim filmie, bodajże „Quai des brumes”, gdzie robotnicy, nie czekając na błogosławieństwo władz, sami wyłapali złodziei i sami się z nimi rozprawili — otóż, czy taka samoobrona nie byłaby u nas natychmiast ukroczona jako samowola? Czy taki sposób myślenia — i taki film — są u nas w ogóle możliwe?

Ale nawet to nie wyczerpuje sprawy! Nasze życie społeczne odznacza się jeszcze inną ważną cechą, która złodziejom i bandytom pozwala prowadzić działalność iście kwitnącą. Jest nią — lęk przed jawnością. Nasze gazety pełne są informacji o nie obchodzących nikogo sukcesach produkcyjnych, ale sprawozdań z procesów sądowych, kroniki kryminalnej — w nich nie uswiadczysz. (Wszak z Przędzającej Doktryny wynika, że przestępczość istnieje tylko tam, gdzie istnieją podziały klasowe, klas zaś u nas już nie ma, a zatem — nie ma też przestępstw i dlatego nie ma co pisać o nich w prasie! toć nie chcemy chyba podrzucić amerykańskiemu brukowcowi dowodów, że nie ustępujemy im w dziedzinie przestępczości!). Jeśli na Zachodzie ktoś popełni morderstwo — to fotografie przestępcy wkrótce widnieją wszędzie, oblepione są nimi kioski gazetowe i mury, widać je na stolikach barowych i na szybach tramwajów, zbrodniarz ma uczucie, że jest tropionym szczurem. Gdy zaś u nas zajdzie wypadek cynicznego morderstwa — prasa o nim milczy, nikt zdjęć nie publikuje, morderca odsadza się o sto kilometrów, jest już w innym obwodzie i mieszka tam sobie spokojnie. A minister spraw wewnętrznych nie będzie musiał odpowiadać na interpelacje parlamentarne — dlaczego przestępcy nie złapano: przecież o całej sprawie nikt nie ma pojęcia, prócz mieszkańców danej miejscowości. Złapią, to dobrze, nie złapią — drugie dobrze. Morderca — nie pogwałcił przecież granicy kraju, nie taki już z niego niebezpieczny (dla państwa) ptaszek, aby rozsyłać za nim listy gończe po całym obszarze Związku.

Z przestępczością jest tak jak z malarią: obwieszczono któregoś dnia, że chorobę tę u nas zlikwidowano — i odtąd nie sposób jej leczyć, ani nie wolno stawiać takiego rozpoznania!

Oczywiście — milicji i organom sądowym zależy na tym żeby sprawę doprowadzić do końca, ale daje to powód do formalności, które jeszcze bardziej są na rękę prawdziwym mordercom i bandytom: o dokonanie przestępstwa — wcale nie wyświetlonego — oskarża się *byle kogo*, pierwszego lepszego, a najczęściej obciąża się *d o d a t k o w o* kogoś, przeciw komu toczy się inne dochodzenie. — Dość przypomnieć tu sprawę Piotra Kizyła-



wa<sup>3</sup>, którego dwukrotnie i to bez żadnych poszlak, skazano na rozstrzelanie(!) za przestępstwo nigdy przezeń NIE popełnione — albo sprawę Aleksiejencewa<sup>4</sup> (też podobną). Gdyby list adwokata Popowa (obrońcy Kizyłowa) wpłynął nie do redakcji *Izwestii*, lecz do gazety *Times*, rzecz skończyłaby się zmianą całego składu sądu królewskiego albo kryzysem rządowym. U nas natomiast — po czterech miesiącach zebrał się obkom — komitet obwodowy partii (dlaczego — obkom? czy sąd mu podlega?) — i biorąc pod uwagę „młodość i brak doświadczenia” funkcjonariusza śledczego (czemu więc w ręce takich ichmościów oddaje się ludzkie losy?), a także jego „udział w wojnie z okupantem” (na m jakoś tego nie uwzględniono swego czasu!) — niektórym osobom wypisano naganę do akt, innym zaś tylko pogroźono paluszkami. Główny zaś oprawca, niejaki Jakowienko, za wydobywanie zeznań z pomocą tortur (a działo się to już po XX Zjeździe!) po upływie dalszych 6-ciu miesięcy skazany został ponoć na trzy lata. Ale to przecież swój człowiek — postępował zgodnie z instrukcją, wykonywał rozkazy — więc czy aby na pewno musiał odsiedzieć ten wyrok? To byłoby zbyt okrutne. A tym całym adwokatem Popowem trzeba było zająć się bliżej, żeby pozbyć się go z Białgorodu: niech sobie zapamięta knajacką i ogólnokrajową zasadę: nie ciebie chromolą, czego tyłkiem ruchasz?

W ten sposób każdy, kto wystąpi w obronie sprawiedliwości — po trzykroć, po ośmiokroć pożałuje, że się wychylił. Tak oto wymiar sprawiedliwości premiuje knajaków. W ciągu całych dzieścioleci ten liszaj rozplenił się też bujnie — i na wolności, i po więzieniach, i w obozach.



Wzniosła teoria potrafi uświęcić wszystko, cokolwiek u nas się zdarzy. Nie sami tylko literaccy letkiewiczze utrzymywali, że knajacy, to nasi sojusznicy w walce o komunizm. Teza ta rozwijana jest w podręcznikach sowieckiej polityki penitencjarnej (były również takie publikacje!), w rozprawach, w artykułach naukowych na temat obozów, ale w sposób najbardziej praktyczny wyłożona została w instrukcjach, stanowiących podstawę wykształcenia szarż obozowych. Wszystko to zaś opiera się na Jedynej Słusznej Teorii, która w całej różnobarwności i zmienności życia ludzkiego upatruje tylko przejawy walki klas.

Oto schemat takiego uzasadnienia. Zawodowi przestępcy nie mogą być utożsamiani z elementami burżuazyjnymi (tzn. z inżynierami, studentami, agronomami i zakonnikami): ci ostatni odnoszą się z bezwzględną wrogością do dyktatury proletariatu, podczas gdy ci pierwsi przejawiają tylko (!) polityczną chwiejność. (Zawodowy morderca jest *tylko* politycznie chwiejny!). Lump nie ma własności i dlatego nie dąży do porozumienia

3. *Izwestia* z 11. XII. 1959 i z kwietnia 1969.

4. *Izwestia* z 30. I. 1960.



z przedstawicielami klas wrogich, posiadających, chętniej natomiast nawiąże stosunki z proletariatem (czekaj tatko latka!). Dlatego w oficjalnej terminologii GUŁagu mówi się o nich, jako o *elementach socjalnie bliskich*. (Z jakim przestajesz...). Dlatego w instrukcjach przypomina się wciąż, aby nie szczędzić dowodów zaufania kryminalistom — recydywistom! Dlatego działy Kulturalno-Oświatowe miały obowiązek wyjaśniania knajakom na każdym kroku, że ich klasowe interesy niczym się nie różnią od interesów mas pracujących. Powinny były też uczyć szemranych „pogardy i wrogości w stosunku do kułaków i kontrewolucjonistów”. (Awerbach pisał — pamiętacie? — to inteligent namówił cię do kradzieży! sam byś przecież nie krał!) i w ogóle „stawiać na takie właśnie nastroje”! (przypominacie sobie — „podsycać walkę klasową w obozach”?).

Były<sup>5</sup> złodziej G. Minajew pisze w liście do mnie, opublikowanym w piśmie *Litieraturnaja Gaziet*<sup>6</sup>: „Byłem nawet dumny z tego, że choć jestem złodziejem, ale nie należę do zdrajców kraju. Na każdym kroku starano się nam, złodziejom, dać do zrozumienia, że nie jesteśmy jednak elementem straconym dla Ojczyzny, jesteśmy jej synami, choć tam nawet — marnotrawnymi. Dla „faszystów” zaś nie ma miejsca pod słońcem”.

Ta sama teoria kazała również badać i wykorzystywać *najbardziej pozytywne* cechy kryminalistów. Mają skłonność do romantyki? — a więc otoczyć romantycznym nimbem dyrektywy władz obozowych. Cenią odwagę, heroizm? — dać im poznać heroiczną stronę pracy! (jeśli się na to złapią...). Lubią hazard? — pokazać im, ile hazardu jest we współzawodnictwie! (Kto zna obóz i szemranych, ten nie może wprost uwierzyć, że podobne rzeczy pisane były nie przez debilów). Są ambitni? lubią zwracać na siebie uwagę? — zaspakajać więc te ambicje, nie szczędzić pochwał, wyróżnień! powierzać im kierownicze stanowiska! — a szczególnie zabiegać o pachanów, aby dla dobra obozu wykorzystać *autorytet*, jaki wyrobili już sobie wśród ferajny (tak stoi napisane w monografii Awerbacha: *autorytet pachanów!*).

Gdy zaś ta kształtna teoria zniżała się do poziomu obozowego gruntu — oto co z niej wynikało w praktyce: najbardziej zawziętym, zatwardziałym fetniakom przypadała niczym nieograniczona władza na wyspach Archipelagu, w obozach i podobozach — władza nad ludnością całej tej krainy, nad jej chłopstwem, mieszczaństwem i jej inteligencją, władza jakiej nie sprawowali

5. Autor podkreśla, że był to tzw. *zawiazawszyj*, co w rosyjskiej gwarze oznacza złodzieja, który powrócił do życia „frajerskiego” za zgodą ferajny.

6. Z 29. XI. 1962.

nigdy w całych dziejach, w żadnym kraju, władza, o jakiej na wolności nawet marzyć nie mogli. Teraz wszystkich innych ludzi oddawano im w niewolę! Jakież bandyta wyrzeknie się takiej władzy? Urki nad urkami, fetniacy — sprawowali władzę absolutną nad całymi obozami, mieszkając w osobnych „kajutkach”, albo namiotach ze swoimi tymczasowymi żonami. (Albo wybierając sobie na zasadzie kaprysu najładniejsze baby z tłumu poddanych; inteligentki z Pięćdziesiątki Ósemki i młodziutki studentki bywały ozdobą ich jadłospisu. Czawdarow na własne oczy widział w Noryłtagu, jak knajaczka zachęcała swojego szemranego mężulka: „Chcesz, to ci dam spróbować szesnastolatki, prosto z kołchozu!”. Chodziło o dziewczynkę ze wsi, którą zesłano na Daleką Północ na 10 lat za jedno kilo ziarna. Dziewczynka próbowała się opierać, ale knajaczka szybko ją *ustawiła*: „Bo dostaniesz majchrem! Co, może jesteś lepsza ode mnie? Ja przecież z nim się rypię!”).

Każdy z nich miał swoje „zaprzęgi”, fagasów, wziętych spośród zwykłych łopaciarzy, którzy mu wynosili nocniki. Mieli swoje osobne sagany, do których szła prawie w całości ta odrobina mięsa i tłuszczu jadalnego, przeznaczona do wspólnego kotła. Niżsi rangą knajacy pełnili *kierownicze funkcje* szefów robót, intendentów, pomocników d/s gospodarczych. Rano stawali parami — z pałkami w łapach przy wejściach do namiotów i komenderowali: „Wychodzić! Na wyścigi!”. Drobiazg knajacki używany był do bicia tych, którzy odmawiali chodzenia do pracy — to znaczy takich, którzy nie mieli już sił, aby wlec się do zony roboczej. (Komendant półwyspu Tajmyr przyjeżdżał autem na ceremonię wymarszu do pracy i przyglądał się z lubością, jak urki biją Pięćdziesiątkę Ósemkę). I wreszcie ci knajacy, którzy potrafili *świergolić* zaczynali myć szyje i otrzymywali nominacje na *wychowawców*. W tym charakterze wygłaszali pogadanki, uczyli Pięćdziesiątkę Ósemkę zasad cnotliwego życia, sami utrzymywali się z kradzieży i dostawali w nagrodę przedterminowe zwolnienia. Na Kanale Białomorskim — taki socjalnie bliski wychowawca, ciemniak, nie mający pojęcia o technice budowlanej, miał prawo nie dopuścić do wykonania konkretnych zleceń socjalnie obcego kierownika robót.

Była to nie tylko teoria, siłą wcielana w życie, lecz czynnik harmonii w codziennej praktyce. Ten stan rzeczy najbardziej odpowiadał knajakom. Był też na rękę zwierzchności. Nie trzeba było się wysilać (przy biciu), nie musiało się zrywać gardła, ani gmerać w drobnostkach, można było nawet nie chodzić do zony. Największą korzyść odnosił z tego sam system ucisku: knajacy

wcielali go w życie o wiele bezczelniej, w sposób bardziej bestialski, a przy tym dbali o żadną odpowiedzialność prawną.

Ale również tam, gdzie szemranym nie dawano władzy — na zasadzie tejże teorii klasowej — bardzo im folgowano. Jeżeli knajacy w ogóle raczyli wyjść poza zonę — to już był szczyt ustępstw, jakich można było od nich wymagać. W zonie roboczej mogli sobie dowoli wylegiwać się, palić, powtarzać swoje knajackie bajędy (o zwycięstwach, o uciezkach, o bohaterstwie), wygrzewać się latem na słoneczku, a zimą — przy ognisku. Ich ognisk konwój nigdy się nie czeptał, ogniska Pięćdziesiątki Ósemki — rozrzucał natomiast i zadeptywał. A kubometry (drzewa, ziemi, węgla) wydobyte przez Pięćdziesiątkę Ósemkę przepisywano potem na ich konto<sup>7</sup>.

Wożono nawet knajaków na złoty przodowników pracy, na zjazdy recydywistów (Dmitłag, Kanał Białomorski).

A oto szkic do portretu knajaczki nazwiskiem Bieregowaja, która zapisała się trwale w sławnych kronikach Wołgokanału. Była istnym biczem Bożym każdego zakładu karnego, w którym się znalazła, znana była z chuligańskich wybryków we wszystkich aresztach milicyjnych. Jeśli kiedyś zachciała jej się popracować dla kaprysu, to zaraz niszczyła wszystko, co wykonała. Gdy w lipcu 1933 przysłano ją do Dmitłagu, ciągnął się już za nią cały łańcuch wyroków. Poczynając od tej daty trzeba już oddać głos legendzie. Dostała skierowanie do Indii, gdzie ze zdumieniem (jedynie ten szczegół wydaje się wiarygodny) przekonała się, że nikt tam nie klnie i nie rżnie w karty. Wyjaśniono jej ponoć, że w tym obozie szemrani szczerze zapalili się do pracy. Z punktu więc zabrała się do robót ziemnych i zaraz zaczęła się w pracy wyróżniać (czytaj: zapisywano na jej konto kubometry wydobyte przez innych, wystarczy spojrzeć na fotografię!).

---

7. Obyczaj pasożytnictwa na cudzym urobku cechuje złodziei również po zakończeniu kary, chociaż na pierwszy rzut oka nie zgadza się to z procesem ich wrastania w socjalizm. W 1951 roku z obozu przy kopalni Oj-Miakon (Ust'-Nera) zwolniono złodzieja Krochalowa, który zaraz najął się jako wolny rębacz przodkowy na tę samą kopalnię. Nie wysiłał się nawet aby brać kilof do ręki, sztygar zaś wpisywał mu do sprawozdania rekordowe urobki — kosztem pracujących tu więźniów. Krochalow dostawał miesięcznie 8-9 tysięcy, za tysiąc rubli fundował więźniom żarcie, więc ludzie milczeli i jeszcze byli radzi. Brygadzysta więźniów, Miluczichin, próbował w 1953 roku skończyć z tymi porządkami. Wolni knajacy porznęli go nożami, został oskarżony o grabież, dostał się pod sąd i złapał następne 20 lat.

Proszę nie uważać tego przypisu za poprawkę do marksistowskiej tezy, głoszącej, że lump nie jest posiadaczem. Oczywiście, że nie ma żadnej własności! Za te swoje 8 tysięcy Krochalow nie wybudował sobie willi: przegrał wszystko w karty, przepił i wydał na baby.

Dalej — znów prawda dochodzi do głosu: w październiku (kiedy zrobiło się zimno) poszła do lekarza i będąc zdrowa jak ryba (może nóż miała w rękawie?) poprosiła o kilka dni zwolnienia. Lekarz chętnie (! toć ma tyle wolnych miejsc w lazarecie) udzielił zgody. A kierowniczką robót była stara znajoma Bieriegowej — Polakowa, która pozwoliła koleżance na własną odpowiedzialność bumelować jeszcze dwa tygodnie — zaliczając jej lipne dni pracy (to znaczy — że przypisywano jej kubometry odbierane komuś innemu). I tu właśnie, przyjrawszy się lekkiemu życiu pani kierowniczkii, Bieriegowaja także zapragnęła zostać *s u k a*. W dniu, w którym Polakowa obudziła ją rano, każąc iść na zbiórkę, Bieriegowaja oznajmiła, że nie pójdzie do łopaty, póki nie przywoździ raz na zawsze wszystkich machinacji Polakowej, tych kombinacji z lipnymi dniami pracy, cudzym urobkiem i przydziałami chleba (poczucie wdzięczności nie bardzo ją, jak widać, krępowało). Wystarała się w końcu o wezwanie do opera. (Knajacy nie boją się operów, domiar do wyroku im nie grozi. Niechby jakaś kaerka spróbowała odmówić w ten sposób pójścia do roboty!). I — z miejsca otrzymała nominację na brygadzystkę zalegającej z planem męskiej brygady (zapewne obiecała, że zęby powybijają tym wszystkim dochodiagom). Wkrótce zajęła miejsce Polakowej, później została wychowawczynią w bloku kobiecym (! ta karciara i złodziejka, bluzgająca przekleństwami) a następnie — objęła nawet kierownictwo działu budowlanego (to znaczy, że rządziła już inżynierami!). Na wszystkich tablicach honorowych Dmitłagu widniała fotografia tej kąśliwej *suki* w skórzanej kurtce i z polówką przewieszoną przez ramię (na pewno z kogoś to zdarła). Te ręce potrafią bić mężczyzn, te oczy — są oczyma wiedzy. A ją właśnie najbardziej wychwała Awerbach!

Tak łatwe są kariery knajaków w obozie: jedna cicha rozróżba, jedna zdrada, a potem można już spokojnie bić i tratować innych!

Odpowie mi ktoś, że tylko *suki* idą na funkcje, a „uczciwi złodzieje” święcie przestrzegają złodziejskich praw. Sporom się napatrzył na jednych i drugich i jakoś nie zauważyłem żeby jeden rodzaj tych szumowin był szlachetniejszy od drugiego. Złodzieje wybijali Estończykom złote zęby pogrzebaczem. Złodzieje (Krasław, 1941) topili Litwinów w kloace za odmowę oddania paczek. Złodzieje obdzierali skazanych na śmierć. Złodzieje bez namysłu zabijają pierwszego lepszego współwięźnia tylko po to, aby zacząć się musiało nowe dochodzenie, co pozwoli im całą zimę siedzieć w ciepłe, albo wrócić do więzienia z ciężkiego obozu, do którego zdążono ich wysłać. Co tu gadać o takich drobnostkach, jak zabra-

nie komuś odzieży i obuwiu na mrozie? Co tu gadać o wydartych kromkach chleba?

Nie, ja wiem swoje, na kamieniu nic nie wyrośnie, a po złodzieju niczego dobrego się nie spodziewaj.

Teoretycy GUŁagu nie posiadali się z oburzenia: kułacy (w obozie) nie chcą uznać złodziei za ludzi (był to pono jeszcze jeden dowód kułackiego bestialstwa!).

A jakże uznać ich za ludzi, jeśli gotowi serce ci wyrwać i krew wysssać? Cała ta ich „romantyczna wolna gromada” jest tylko gromadą rozwydrzonych wilkołaków<sup>8</sup>.



Ale dość już! Czas rzec choć parę słów w obronie knajaków. Mają istotnie pewien „swoisty kodeks” i swoiste pojęcie o honorze. Ale nie sprowadza się to do patriotyzmu jak roiło się naszym managerom i literatom — lecz raczej do zasad bardzo konsekwentnego materializmu i świadomego korsarstwa. I chociaż dyktatura proletariatu tak zabiegała o ich względy — knajacy nie szanowali jej ani przez chwilę.

Jest to gatunek ludzi, który zjawił się na świecie po to, aby ŻYĆ! A ponieważ spędzają za kratami prawie tyleż czasu, co na wolności, więc pragną również w więzieniu zrywać kwiaty życia — a co ich obchodzi cel istnienia tego więzienia i fakt, że jacyś inni męczą się tuż obok nich! Są z natury krnąbrni — i mają pożytek z tej krnąbrności — więc dlaczego by mieli

---

8. Ludzie wykształceni, którzy jednak nie spotkali się z knajakami nos w nos w ciasnej ulicy, często polemizują z tak bezwzględną oceną świata przestępczego: może skryta chęć posiadania, przywiązanie do własności powoduje ty mi, których złodzieje tak denerwują? A ja nie zmienię swojej diagnozy: to wilkołaki, gotowe krew wysssać z serca człowiekowi. Kalają bez wyjątku wszystko, co stanowi dla nas naturalny krąg pojęć humanitarnych. — Ale czy to naprawdę takie beznadziejne? Przecież te wszystkie cechy przestępcze nie są wrodzone. A gdzie dobre strony ich duszy? Nie wiem. Zapewne zatłamszone przez złodziejskie prawo, zgodnie z którym — my, to znaczy wszyscy pozostali — wcale nie jesteśmy ludźmi. Pisaliśmy wyżej o progu, który trzeba przekroczyć, aby zostać przestępcą. Zapewne — przystosowanie się do zasad tej grupy sprawia, że knajak przekracza jakąś moralną granicę raz na zawsze, w nieodwracalny sposób.

Ktoś jeszcze mi powiada; pan widział przecież tylko drobniąg knajacki, żulików. Najznakomitsi, prawdziwi fetniacy, przywódcy świata przestępczego, zostali wytłuczeni w 37-mym roku. Rzeczywiście, bandytów z lat 20-tych nie widziałem. Ale brak mi fantazji, aby wyobrazić sobie, że mieli zasady moralne, godne tej nazwy.

zawracać sobie głowę losem tych, co zginają kark i giną rabską śmiercią? Chce im się jeść — więc zabierają innym wszystko, co wpadnie im w oko, a nadaje się do jedzenia i jest smaczne. Lubią popić — więc za wódkę sprzedają konwojentom rzeczy, zdarte z własnych sąsiadów. Lubią spać miękko, więc, nie bacząc na kawalerski szyk, wożą z sobą poduszki i watowe kołdry, albo nawet pierzyny — co uchodzi wśród nich za rzecz zupełnie właściwą (tym bardziej, że w betach najłatwiej ukryć nóż). Lubią miłe ciepłoko promieni słonecznych, więc — skoro nie mogą jeździć do czarnomorskich kąpielisk — opalają się na dachach wykańczanych właśnie budynków, na platformach kamieniołomów, przed wejściem do szybów kopalnianych (pod ziemię niech sobie zjeżdża, kto głupi). Są doskonale umięśnieni, mięśnie mają jak balony. Ogorzałą skórę chętnie zdobiją tatużem, zaspakajając w ten sposób swoje artystyczne, erotyczne, a nawet etyczne potrzeby: na własnych piersiach, brzuchach i grzbietach podziwiać mogą wzajemnie — królewskie orły, siedzące nad urwiskiem, lub zrywające się do podniebnych lotów; albo słońce w wieńcu promieni; osoby płci obojga w trakcie kopulacji; poszczególne organy, służące tej rozrywce; ni stąd, ni z owąd — w okolicy serca — podobiznę Lenina, bądź Stalina, albo obu naraz (ale tyle to warte, co krzyżyk na szyi knajaka). Czasem zdrowy śmiech wzbudzi wizerunek zabawnego palacza, ładującego łopatą węgiel prosto do tyłka, albo małpy, uprawiającej samogwałt. Oglądając się wzajem, mogą też sobie poczytać hasła, wprawdzie znane, ale tym miłsze, im częściej się je widuje: „Kurwo, drzyj, kij ci w ryj!”. Brzmi to nie mniej tryumfalnie, niż początek wiersza Briusowa: „Jam cesarz Assargadon!”. Albo taki napis na brzuchu knajaczki: „Pójdę choćby na stos za jeden dobry sztos!”. Albo nawet skromny morał wypisany małymi literkami na ręce, która zdążyła już z dziesięć majchrów wsadzić pod czyjeś zębra: „Pamiętaj, co ci matka mówiła!”. Albo też — „Wspominam słodkie chwile, wspominam matkę miłą”. (Wśród knajaków panuje kult matki, ale tylko formalny, nikt się nie liczy z jej radami).

Aby zaznać ostrzejszych wrażeń i umilić sobie to życie, tak krótkie — zażywają narkotyków. Najłatwiej o haszysz (wydobywany z konopi indyjskich) zwany *trawką\**, palony razem z machorką. Spiewają też o nim z uczuciem wdzięczności:

*Ach, trawko ty trawko, ach, ziółko ty Boże,  
Ach, ty doliniarska pociecho...*

---

\* W rosyjskiej gwarze więziennej — *plantezyk*.



Owszem, nie uznają oni prawa własności — i pod tym względem nic wspólnego nie mają z burżujami, ani z tymi komunistami, którzy są posiadaczami aut i dacz. Wszystko, co im wpadnie w oko — biorą, jak swoje (jeśli to nie jest zbyt niebezpieczne). Nawet gdy mają wszystkiego w bród, też sięgają po cudzą własność, bo złodziej największą ma oskome na to, czego jeszcze nie ukradł. Zdarte z innych szatki noszą tylko tak długo, póki im się nie uprzykrzą, póki nowe — a zresztą szybko przegrywają je w karty. Gra w karty przez całe noce — daje im najmocniejsze wrażenia i pod tym względem knajacy stanowczo zdystansowali dawną rosyjską szlachtę. Potrafią grać w oko (temu, który przegrał, natychmiast wydlubuje się oko), grać na siebie, co oznacza, że ten, który wygra, używa partnera do zaspokojenia swoich najbardziej nienaturalnych chętek. Jeśli szemrani zgrają się do nitki, to zarządzają na łajbie, albo w baraku *kipisz*, coś tam jeszcze znajdują u frajerów i gra idzie dalej.

Szemrani nie lubią więc pracy, ale dlaczego mieliby właściwie ją lubić, skoro jedzą, piją i zdobywają odzież bez żadnego wysiłku? To właśnie, a nie co innego przeszkadza im w zawarciu ściślejszych związków z klasą robotniczą (ale czy klasa robotnicza tak bardzo lubi harówkę? Czy nie dla marnego grosza pracuje, nie mając innych dochodów?). Szemrani nie tylko nie są w stanie przejąć się elementem ryzyka i hazardu, obecnym w procesie pracy, ale do samej pracy czują obrzydzenie — i potrafią dać temu wyraz wręcz teatralny. Na przykład — gdy ich się wyśle na roboty polne i każe wyjść poza zonę do grabienia wyki z owsem na paszę — nie siądą sobie po prostu, żeby sił nie tracić, tylko najprzód rzucą na kupę wszystkie grabie i widły, podpalą je i przy takim to ognisku się grzeją. (Jak ma na to reagować socjalnie obcy dziesiętnik?..).

Daremnie starano się skłonić ich do obrony ojczyzny. Ich ojczyzna jest wszędzie i nigdzie. Zmobilizowani knajacy jechali na front wojskowymi transportami i śpiewali, kiwając się do taktu: „Zwycięży nasza sprawa! — Zwycięży nasza z lewa! — Dlaczego każdy bryka? — Dlaczego każdy zwiewa?”. Następnie dawali się przyłapać na jakiejś kradzieży i wracali etapem do miłego swojego więzienia na tyłach. Nawet gdy — niedorzętni przypadkiem — trockiści składali prośby o powołanie na front, knajacy takich podań nie składali. Ale kiedy nasze wojska zaczęły posuwać się w głąb Europy i zapachniało łupami wojennymi — szemrani szybko wskoczyli w mundury i pojechali na rabunek w ślad za armią (nazywało się to żartem „Piąty Front Ukraiński”\*).

\* Frontów Ukraińskich było cztery (1944-45).



Z tym wszystkim — i tu okazali oni o wiele większą wierność swoim zasadom, niż Pięćdziesiątka Ósemka! — żaden Żeńka Żogol ani Waśka Krwawa Kiszka — z szykownie wywiniętymi cholewami butów, kątem skrzywionych warg wymawiający z szacunkiem święte słowo „złodziej” — nigdy nie pomagał przy naprawie i umacnianiu więziennych urządzeń: przy wbijaniu słupów, rozpinaniu drutu kolczastego, okopywaniu strefy neutralnej, remoncie wartowni, naprawie sieci elektrycznej zony. To sprawa honoru knajaka. Więzienie stworzono, aby pozbawić go wolności — więc nie wolno mu pracować dla więzienia! (Nie grozi mu zresztą za odmowę pracy artykuł 58 — nieszczęsny zaś wróg ludu od razu zostałby oskarżony o sabotaż kontrrewolucyjny. Knajacy popisują się odwagą właśnie dlatego, że pewni są bezkarności; a kogo raz niedźwiedź drapnął, ten się i pieńka boi).

Zobaczyć knajaka z gazetą — to rzecz absolutnie wykluczona, knajacy ustalili raz na zawsze — że polityka, to świergolenie, nic wspólnego nie mające z realnym życiem. Książek nie czytają wcale, albo bardzo rzadko, lubią za to literaturę ustną i umiejętny narrator, który po wieczornym apelu potrafi snuć bez końca romansowe historie — zawsze będzie miał papu z ich stołu i otoczony będzie szacunkiem, jak to bywało zawsze z bajarzami i bardami wśród ludów pierwotnych. Opowieści te są fantazyjną i mimo to — dość monotonną mieszaniną wątków wziętych z książek bulwarowych, których akcja toczy się w wyższych (koniecznie — wyższych!) sferach, wśród wicehrabiów, hrabiów i margrabiów — oraz legend własnego chowu, pełnych samochwalstwa, knajackich powiedzonek i knajackich wyobrażeń o wytwornym życiu. Bohater zawsze w końcu osiąga ten błogostan: hrabina wchodzi z nim na wyro, pali on wyłącznie papierosy „Kazbek”, ma „cebulę”, a jego *skoki* błyszczą, jak lusterka.

Mikołaj Pogodin dostał delegację na Kanał Białomorski i poabrał na pewno nieliczne diety — a jednak nie przyjrzał się knajakom jak należy, nie zrozumiał nic, i to, co napisał wyssane jest z palca. Ponieważ w naszej literaturze przez lat 40 nic prawie nie pojawiło się na temat obozów — poza jego sztuką (i nakreślonym według niej filmem), więc wypada tu kilka słów „Arystokratom” poświęcić.

Nie wymaga komentarzy sposób, w jaki opisuje autor inżynierów-kaerów: jako ubogich duchem facetów, tępo zapatrzonych w swoich obozowych wychowawców i zgłębiających za ich pośrednictwem sztukę życia. Ale tu chodzi o arystokratów, o knajaków. Pogodin dowodził tej sztuki, że nie zauważył nawet, iż zabierają innym wszystko otwarcie, prawem silniejszego, nie bawiąc się wcale w ciche podkradanie. Pogodin

zrobił z nich wszystkich drobnych kieszonkowców i aż do znudzenia, co najmniej dwanaście razy eksploatuje w sztuce ten motyw. Jego urki okradają się nawzajem — a to już bzdura kompletna! — bo kradną tylko u frajerów, wszystko zresztą przekazując *pachanowi*. Pogodin nie zrozumiał także (albo nie chciał zrozumieć), że prawdziwymi bodźcami do pracy w obozie są — głód, bicie, odpowiedzialność zbiorowa w brygadzie. Nie orientował się nawet, kto w obozie jest „towarzyszem”, a kto „obywatelem”. Miał przed oczyma tylko jedno: „socjalne powinowactwo” knajaków (ten koncept został mu podpowiedziany w zarządzie kanału w Miedwieżegorsku, albo może jeszcze wcześniej, w Moskwie — przez Gorkiego) i zabrał się do pokazywania wielkiego procesu przemiany szemranych. Ale w rezultacie powstał paszkwil na knajaków i to taki, że mnie samego bierze chęć, aby ich bronić.

Są o wiele mądrzejsi, niż można sądzić z utworów Pogodina (i Szejnina). Żadna *przemiana* za dwa grosze ich nie znęci, na ten lep nie dadzą się wziąć, po prostu dlatego, że ich światopogląd mocniej osadzony jest w materii życia, niż światopogląd ich dozorców. Jest też bardziej jednolity i nie zawiera żadnych śladów idealizmu! — a wszelkie zakłęcia, mające skłonić głodnych ludzi, by pracowali i tej pracy poświęcali życie, to czysty idealizm. I jeśli podczas rozmowy z naczelnikiem, czy panem korespondentem z Moskwy, albo w trakcie błazeńskiego wiecu któremuś z nich ła błyśnie w oku, albo głos zadrzy to jest w tym tylko aktorski chwyt, mający na celu uzyskanie jakichś ulg, albo przedterminowe zwolnienie — a w głębi duszy urka pęka ze śmiechu! Knajacy doskonale potrafią docenić zabawną stronę tej sytuacji (której literaci ze stolicy nie są w stanie pojąć).

Nieprawdopodobne jest też — aby suka Mitia wszedł bez broni i bez eskorty do izolatki karnego baraku — i żeby miejscowy pachan, Kostia, wczuł się ze strachu pod nary. Kostia przygotowałaby z pewnością dobry nóż na taką okazję, gdyby zaś go nie miał, to rzuciłby się na Mitę z gołymi rękoma i jeden z nich zginąłby uduszony. Taka sytuacja — to już nie żarty, a Pogodin ją właśnie obraca w płaski żart. Nieznośnymi fałszem trąci też historia „przeobrażenia” Soni (jaki ma powód? co kazało jej wziąć się do taczek?) — które z kolei powoduje przełom w duszy Kosti. Albo przeksztalcenie się dwóch złodziei w strzelców oddziału ochrony (mogło się tak zdarzyć z pospolitakami, ale knajacy?!). I rzecz nie do pomyślenia dla trzeźwych, cynicznych fetniaków: współzawodnictwo między ich brygadami (chyba tylko — dla zgrzywy, żeby wziąć na fundusz wolniaków). I wreszcie nuta najbardziej drażniąca i fałszywa: knajacy proszą o udostępnienie im zasad organizacji komun!

Wprost nie podobna przedstawić knajaków głupiej i kłamliwej! Znąją oni doskonale własne zasady postępowania — od pierwszej kradzieży, do ostatniego chłasnienia nożem po grdyce. Wiedzą, jak bić leżącego. I jak napadać w pięciu na jednego. I jak podejść śpiącego. Zasady organizacji ich komun starsze są od „Manifestu Komunistycznego”.

Ich komuna, a właściwie — ich świat, jest odrębnym społeczeństwem istniejącym wewnątrz naszego. Surowe prawa, którymi od stuleci ich świat rządzi się i niewzruszenie stoi — zupełnie nie zależą od naszego „frajerskiego” prawodawstwa, ani nawet od zjazdów partii. Mają oni swoją hierarchię: zgodnie z prawem starszeństwa, pachanów się nie wybiera; przekraczając próg celi, albo wrota zony, pachan już ma na łbie swoją niewidzialną

koronę i z miejsca zostaje uznany za najwyższego rangą. Nie jeden z nich odznacza się bystrością umysłu, każdy zaś nie ma cienia wątpliwości co do zasad knajackiego światopoglądu — ma natomiast na koncie wystarczającą ilość morderstw i rabunków. Szemrani mają swój sąd („dintojra”) wyrokujący zgodnie z kodeksem złodziejskiego „honoru” i wymogami tradycji. Wyroki te bywają bezlitosne, orzeczenia wykonywane są z niewzruszoną sumiennością, choćby nawet delikwent był ściśle odseparowany, albo znajdował się w zupełnie innej zonie. (Sposoby egzekucji są dość oryginalne: na przykład — skazaniec rozciągnięty jest na ziemi, z górnych zaś nar wszyscy po kolei skaczą na niego, miażdżąc mu w końcu klatkę piersiową).

I wreszcie — co znaczy to ich słówko „*frajerski*”? *Frajerski*, to tyle, co ogólnoludzki, taki jak u wszystkich normalnych, ludzkich istot. Ten właśnie zwykły, ludzki świat, nasz świat z jego etyką, obyczajami i wzajemnymi stosunkami, jest dla knajaków czymś najbardziej zniechęcającym, najbezcenzuralniej wyśmiewanym, to jemu właśnie przeciwstawiają oni swoją aspołeczną, antysocjalną *ferajnę*.

Nie, wcale nie „akcja wychowawcza” przetrąciła kręgosłup knajackiemu *towarzyszu*. (Ta „akcja” pozwalała im tylko szybciej wracać do bandyckiego rzemiosła).

W latach 50-tych Stalin machnął ręką na klasowe teorie, a także na socjalne powinowactwo i rozkazał wtrącić knajackich pociotków do izolatorów, do pojedynków w zamkniętych zakładach karnych, a nawet — budować dla nich nowe więzienia („skrytki”, jak nazwali je złodzieje).

W tych oto skrytkach knajacy szybko zaczęli tracić wigor, marnieć i wykańczać się. Pasożyt nie jest zdolny do życia samotnego. Musi bowiem żyć kosztem innego stworzenia, oplatając je mackami.

## Rozdział siedemnasty

### MAŁOLATKI

Archipelag ma niejedną żarłoczną paszczę, niejednen zębaty pysk. Na żaden z nich nie sposób patrzeć bez odrazy. Ale zdaje się, że najohydniejsza jest ta paszczęka, która pożera małolatków\*.

Małolatki — to już nie te bezdomne, opuszczone dzieci w szarych łachmanach, powsinogi, żyjące z drobnej kradzieży i grzejące się przy kotłach z asfaltem, które stanowiły nieodłączny wręcz składnik miejskiego krajobrazu lat 20-tych. Do kolonii nieletnich przestępców (przy Komisariacie Oświaty istniała już taka w roku 1920-tym; dobrze byłoby sprawdzić, jak tam było z nieletnimi przestępcami przed rewolucją), do domów pracy dla młodocianych (istniały między 1921 a 1930, wyposażone były w kraty, rygle i personel nadzorczy, tak, że — zgodnie z wyświechtaną terminologią burżuazyjną — można by nazwać je więzieniami), a także do „komun pracy OGPU”, które powstały w 1924 roku — tych małców brano z ulicy, a nie z domów rodzinnych. Sierotami zostali z łaski wojny domowej, głodu, chaosu, przez to, że rodziców rozstrzelano, albo że zginęli na frontach — i w tamtych czasach resort sprawiedliwości rzeczywiście starał się zapewnić tym dzieciom powrót do życia normalnego, zabierając je z ulicy, tej złodziejskiej szkoły życia. W koloniach pracy zaczęto dzieci uczyć fachu i to przydatnego w przemyśle; jak na te lata, gdy panowało jeszcze bezrobocie — był to przywilej i wielu chłopaków uczyło się chętnie. W 1930 roku pod egidą Komisariatu Sprawiedliwości stworzone zostały szkoły przyfabryczne nowego typu — dla niepełnoletnich, skazanych na kary pozbawienia wolności. Niedorosli przestępcy mieli tam pracować 4 do 6 godzin

\* W polskiej gwarze więziennej nieletni — to *małolatek*.

dziennie, otrzymując za to płacę zgodną z ogólnopaństwowymi ustaleniami powszechnego Kodeksu Pracy, pozostały zaś czas przeznaczony był na naukę i rozrywki. Gdyby tej drogi trzymano się dalej, to może sprawy przybrałyby lepszy obrót.

A skąd w ogóle wzięli się ci nieletni przestępcy? Kategorię tę usankcjonował artykuł 12 Kodeksu Karnego z 1926 roku, który pozwalał — za zbrodnie kradzieży, gwałtu, okaleczenia i zabójstwa — sądzić dzieci już poczynając od DWUNASTEGO roku życia (artykuł 58 również cichcem był do tej grupy wykroczeń zaliczany) z tym, że prawodawca zalecał umiarkowanie, tak, aby nie sądzić dzieci „na cały regulator”, jak dorosłych. Była to jakby pierwsza furтка Archipelagu dla późniejszych małolatków — ale wciąż jeszcze nie szerokie wrota.

Nie możemy pominąć takiej oto interesującej cyfry: w roku 1927 więźniowie, w wieku lat 16-tu (młodszych — w ogóle nie brano pod uwagę) do 24-ech, stanowili 48 % całej masy więźniarskiej<sup>1</sup>. Można więc uznać, że prawie połowa całej ludności Archipelagu w 1927 roku — to była młodzież, która w chwili wybuchu rewolucji Październikowej miała od sześciu do czternastu lat. Dziesięć lat po zwycięstwie tej rewolucji chłopcy ci i dziewczuszki — znaleźli się w więzieniu, stanowiąc przy tym połowę jego mieszkańców! Jakoś nie bardzo to się zgadza z walką, którą wciąż u nas toczono z pozostałościami ustroju burżuazyjnego w świadomości mas, ze wszystkimi resztkami przekłętej przeszłości. Ale cyfry są cyframi. Dowodzą one, że Archipelag zawsze był krajem młodych.

Ale *jak bardzo* ma być nim — zdecydowało się w 1935 roku. W roku tym Wielki Złoczyńca jeszcze raz zamiesił miękką glinę Historii i zostawił na niej odcisk swojego palca. Zajęty takimi historycznymi operacjami, jak rozgramianie Leningradu i dziesiątkowanie własnej partii — nie zapomniał jednak o dzieciach, które tak przecież kochał, których był Najlepszym Przyjacielem i dlatego — wciąż się z nimi fotografował. Nie znając już żadnej innej rady, a chcąc jakoś poskromić tych złośliwych psotników, ten pomiot kucharek, którego coraz więcej było w kraju, który coraz bezczelniej zakłócał socjalistyczny porządek — oto co w końcu wymyślił: wszystkie te dzieci, poczynając od 12 roku życia (a już jego ukochana córka dobiegała tych lat i naocznie mógł się przekonać, jakie są cechy tego wieku) — kazał sądzić NA CAŁY REGULATOR, tak jak to kodeks przewiduje! to znaczy — „stosując wszystkie przewidziane wymiary i rodzaje

1. Dzieło zbiorowe *Od więzień...*, str. 333.

kar” — wyjaśniał Dekret CIK i Sownarkomu z 7. IV. 1935 roku (nie wyłączając rozstrzelania).

Nie umieliśmy jeszcze czytać i mało uwagi poświęciliśmy treści dekretów. W tych latach wpatrywaliśmy się raczej w portrety Stalina z czarnowłosą dziewczynką na ręku... Tym mniej uwagi dekretem poświęcili owi dwunastoletni, o których tam była mowa. A dekrety płynęły jeden za drugim. 10. XII. 1940 — stawiać przed sądem poczynając od 12 roku życia również za podkładanie na tory rozmaitych przedmiotów (bo czymże to jest, jeśli nie treningiem młodocianych dywersantów). Dekret 31. V. 1941 — za wszystkie pozostałe rodzaje wykroczeń nie wymienione w artykule 12 — obywatele mają być sądzeni poczynając od 14 roku życia! Lecz tu zdarzył się mały kłopot: wybuchła Wielka Wojna Narodowa. Ale Prawo jest Prawem! I oto 7. VII. 1941 roku — cztery dni po wygłoszonym w panice przemówieniu Stalina, w chwili gdy niemieckie czołgi gnały na Leningrad, Smoleńsk i Kijów — ukazał się jeszcze jeden Dekret Prezydium Najwyższego Sowietu, i trudno orzec co nas dzisiaj w nim powinno bardziej ciekawić: czy jego niewzruszony akademizm, dowodzący jakimi to ważnymi sprawami zaabsorbowana była nasza władza w trakcie tych płomiennych dni — czy też sama jego treść. Chodzi o to, że prokurator naczelny ZSSR (Wyszyński?) poskarżył się Najwyższemu Sowietowi na Sąd Najwyższy (już z tego widać, że sprawa musiała być znana Miłościwie Nam Panującym): że sądy nieprawidłowo wprowadzają w życie Dekret z 35-ego roku — bo sądzą diatwę tylko wtedy, gdy chodzi o przestępstwo popełnione z *premedytacją!* Ale to przecież niedopuszczalna pobłażliwość! I oto teraz, wśród szalejących wokół płomieni wojny, Prezydium wyjaśnia, że taka wykładnia nie zgadza się z założeniami prawa, ponieważ wprowadza nieprzewidziane przez dekret ograniczenia!... i zgodnie z wnioskiem prokuratora, Prezydium wyjaśnia Sądowi Najwyższemu: dzieci należy sądzić stosując odpowiednie kary w pełnym wymiarze (to znaczy „na cały regulator”) również w tych wypadkach, gdy wykroczenie popełnione zostało nie umyślnie, lecz przez *nieuwagę!*

To jest decyzja! W całej historii ludzkości może jeszcze nikt nie był tak bliski radykalnego rozwiązania problemu dziecięcego! Od dwunastego roku życia — za byle nieopatrność — aż do rozstrzelania włącznie<sup>2</sup>! Dopiero teraz zatkane zostały szczelnie

---

2. W marcu 1972 roku całą Anglię wstrząsnęła wiadomość, że w Turcji 14-letni wyrostek, Anglik, skazany został na sześć lat za handel *dużymi partiami* narkotyków — no bo jak to można?! A gdzie mieli oczy i serca wasi lewicowi liderzy, gdy czytali stalinowskie dekrety dotyczące nieletnich? (Uwaga z 1972 roku).

wszystkie mysie nory. Dopiero od tej chwili wszystkie niezebrane w kołchozach kłoski mogły poczuć się bezpieczniej! Teraz dopiero mogły bez przeszkód zapełniać się nasze śpichrze, życie mogło zakwitnąć swobodnie, a dzieci, naznaczone piętnem grzechu już w kołysce — mogły wstąpić wreszcie na długą drogę poprawy.

Nie drgnęła ręka żadnemu z partyjnych prokuratorów, mających przecie takie same dzieci! — bez żadnych skrupułów zaczęli wydawać sankcje na aresztowania. Nie zadrzał też nikt z partyjnych sędziów — bez mrugnienia okiem skazywali dzieci na trzy, pięć, osiem i dziesięć lat obozów ogólnych!

Za skubanie kłosek tym malcom nie dawano mniej niż 8 lat!

I za kieszeń ziemniaków — za garść ziemniaków w kieszeni dziecinnych porteczek! — też 8!

Ogórki były w niższej cenie. Za dziesięć ogórków z kołchozowej grzędy — Sasza Błochin dostał 5 lat.

A głodna 14-nastoletnia dziewczynka Lida w ośrodku rejonowym Czyngirlaus w Kustanajskim obwodzie — idąc środkiem jezdni zaczęła zbierać zmieszane z kurzem ulicznym ziarenka, sypiące się wąską strużką z pędzącej ciężarówki, ziarenka, które i tak już poszły na marne. Skazano ją więc za ledwie na *trzy* lata, uznając za łagodzącą tę okoliczność, że dokonała zaboru mienia socjalistycznego nie na polu i nie w śpichrzu. Na złagodzenie wyroku może również to miało wpływ, że w tamtym (1948) roku Sąd Najwyższy wydał jednak komentarz do orzecznictwa, zalecając, aby nie pociągać przed sąd za akty przywłaszczenia, noszące charakter dziecinnej swawoli (drobna kradzież jabłek w ogrodzie). Stosując zasadę analogii, sąd lokalny uznał, że można pozwolić sobie na pewną łagodność. (My zaś wyciągniemy z tego wniosek taki — że między rokiem 1935 a 1948 za jabłka szło się pod sąd).

Bardzo wielu stawało przed sądem za ucieczki ze szkół przyfabrycznych. Co prawda, należało się za to tylko sześć miesięcy. (W obozie nazywano ich żartem *szubienicznikami*. Żart żartem, ale mam tu fotografię z obozu na Dalekim Wschodzie: tym chłopcom zlecono wywóz fekaliów z latryny. Wóz na dwóch ogromnych kołach, na wozie — wielka beczka pełna cuchnącej cieczy. „Szubienicznicy” zaprzęgają się całą hurmą w ogłoble, inni pchają z tyłu i z boków (to na nich chlupie łajno, kiedy beczka się kołysze), a rumiane *suki* w szewiotowych garniturach, zataczają się ze śmiechu i popędzają chłopczków pałkami. — Na łajbie wiozącej więźniów etapem z Władywostoka na Sachalin (1949 r.) *suki* grożąc majchrami *zgwalcili* grupę tych chłopców.



— Tak więc, sześć miesięcy to też czasem dosyć).

Kiedy zatem chmara dwunastolatków przekroczyła próg więziennych cel dla dorosłych — a zrównani byli z dorosłymi, jako obywatele, poddani działaniu tych samych praw, zrównani byli, jeśli wziąć pod uwagę ciężar barbarzyńskich kar, tak prawie długich, jak całe ich poprzednie życie, zrównani przez taką samą pajkę, miskę bałandy i miejsce na narach — otóż wtedy właśnie stary termin, przeżytek z okresu komunistycznej reedukacji — „niepełnoletni” jakoś się zdewaluował, stracił ostre kontury, stał się w ogóle niejasny — więc sam GUŁag stworzył dźwięczne i zuchowate słowo — *małolatek!* — i z akcentem dumy i goryczy tak sami siebie zaczęli nazywać ci nieszczęśnicy — jeszcze nie obywatele kraju, ale już obywatele Archipelagu.

Tak wcześniej i tak dziwnie — z chwilą przekroczenia więziennego progu — rozpoczynał się ich wiek męski.

Na te dwunasto- i czternastoletnie łepetyny zwał się całym ciężarem system, którego rygorów nie wytrzymywali zahartowani mężczyźni. Ale prawo młodości sprawiło, że właśnie ci młodzi nie byli rozgniatani przez ów system na miazgę, lecz mogli byli wrosnąć weń i przystosować się. Podobnie jak w młodym wieku można bez trudu nauczyć się nowych języków i obcych obyczajów — tak samo małolatki z punktu uczyli się władać językiem Archipelagu — a jest to język knajaków — i zgłębiali arkana filozofii Archipelagu — a czyż to filozofia?

Odcedzili dla siebie z tego życia całą jego nieludzką treść, cały ten trujący, gnijący sok — a czynili to z taką wprawą, jakby właśnie tę ciecz — ją właśnie, a nie mleko matczyne — ssali w niemowlęctwie.

Tak szybko zapuszczali korzenie w tym życiu — nie tygodni trzeba było na to, lecz zaledwie dni — jakby nic ich tu nie dziwiło, jakby to życie nie było dla nich wcale czymś nowym, jakby stanowiło jedynie dalszy ciąg wczorajszego, swobodnego bytowania.

Również tam, w tamtym świecie, wcale nie chowali się w jedwabiach i w puchu: to nie dzieci zamożnych i wpływowych rodziców musiały skubać kłoski, nosić kradzione kartofle w kieszonkach, spóźniać się na ranną zmianę i uciekać ze szkół zawodowych. Małolatki — to potomstwo ludzi pracy. Także tam, na wolności dobrze już wiedzieli, że niesprawiedliwość jest spoiwem naszego życia. Ale wcale nie wszystko przybierało tam formy skrajne, to i owo występowało w nader szacownym przebraniu, a matka potrafiła dobrym słowem też złagodzić niejedno. Na Archipelagu zaś małolatek widział świat nie inaczej, niż widzą go oczy istot czworonożnych: tylko siła jest prawem!

tylko drapieżnik ma prawo do życia! W tej postaci Archipelag rysuje się także nam, dorosłym, ale jest naszym przywilejem, że możemy przeciwstawić mu nasze poprzednie doświadczenia, nasze przemyślenia, nasze ideały, a także nasze dawne lektury! Dzieci zaś uczą się Archipelagu z boską chłonnością właściwą zielonym latom. I w ciągu kilku dni dzieci stają się tu bestiami! i to najgorszymi ze zwierząt, bez cienia pojęć etycznych (patrząc w spokojne, ogromne oczy konia, albo głaszcząc stulone uszy psa, który czuje się winny — czy będziesz twierdził — człowieku, że nie mają one jakiejś swojej etyki?). Małolatek wykuwa na blachę: jeśli kto ma kły, słabsze od twoich — to wyrwij z nich jego kęs, już jest twój!

Istnieją dwa zasadnicze sposoby rozmieszczania małolatków w obrębie Archipelagu: w osobnych koloniach dziecięcych (przede wszystkim dla najmłodszych, którzy jeszcze nie ukończyli lat piętnastu) i — co dotyczy starszych małolatków — w mieszanych podobozach, najczęściej wespół z inwalidami i kobietami.

Oba te sposoby z równą skutecznością prowadzą do rozkwitu drapieżnego bestialstwa w małolatkach. Żaden zaś z nich nie chroni młodocianych przed knajackimi ideałami i nie przeszkadza w przyswojeniu ich sobie.

Na przykład — Jura Jermołow. Opowiada, że już mając lat dwanaście (w 1942 roku) dobrze widział w swoim środowisku jak pleni się szalbierstwo, złodziejstwo, spekulacja — i sam doszedł do takiego wniosku: nie kradnie i nie oszukuje *tylko ten, co ma stracha!* A ja — nie chcę bać się niczego! A więc będę kradł i oszukiwał i prowadził życie na medal. Zresztą — przez czas jakiś jego życie potoczyło się w innym kierunku. Przejął się świetlanymi przykładami z podręczników szkolnych. Mimo to, zdołał się jakoś zorientować po swojemu kim jest w istocie Wódz i Nauczyciel (a laureaci i ministrowie twierdzą, że było to zadanie ponad ludzkie siły) i — a miał lat 14-cie — sporządził taką ulotkę: „Precz ze Stalinem! Niech żyje Lenin!”. Zaraz go złapano, przeszedł bicie, dostał 58-10 i znalazł się w obozie razem z małolatkami-knajakami. Tam Jura Jermołow rychło opanował złodziejski kodeks. Życie jego szybko opisało dialektyczną spiralę — i wciąż jeszcze mając lat czternaście doszedł do swojej „negacji w negacji”: znów zaczął uważać fach złodziejski za najlepszy i najwspanialszy.

Co też zobaczył w karnej kolonii dziecięcej? „Jeszcze więcej niesprawiedliwości, niż tam, na swobodzie. Zwierzchnicy i nadzorcy żyją na koszt państwa, wykorzystując system wychowawczy jako parawan. Część przydziałów przeznaczonych dla wychowanków ulatnia się z kuchni i znika w kałdunach panów wycho-

wawców. Swoich podopiecznych kopią i wciąż straszą, żeby zapewnić sobie milczenie i posłuszeństwo". (Tu warto wyjaśnić, że przydzielą dla młodszych małałatków — to bynajmniej nie zwykła pajka obozowa. Skazując dzieciaki na długie lata więzienia, rząd nie zapomniał o swoich obowiązkach humanitarnych, nie zapomniał, że te dzieci — to przyszli gospodarze kraju komunizmu. Dlatego przydziela się im mleko, i masło śmietankowe, i prawdziwe mięso. Jak w tych warunkach *wychowawcy* mogą powstrzymać się od pokusy, aby sięgnąć swoją chochlą do kotła małałatków? A jak zapewnić sobie milczenie małałatka? Tylko skopawszy go, jak należy. Być może ktoś z tych dawnych małałatków opowie nam jeszcze historię o wiele bardziej ponurą, niż dzieje Oliviera Twista?).

Najprostszą reakcją na grad krzywd — jest krzywdzenie innych. Jest to wniosek najłatwiejszy i teraz na długi czas (a może na zawsze) stanie się on przykazaniem życiowym małałatków.

Ale — rzecz to bardzo ciekawa! — wstępując w szranki tego okrutnego świata, małałatki nie prowadzą walk między sobą! nie widzą wrogów w innych małałatkach. Biorą się do tych zapasów *kolektywnie*, formują drużyny! Kielki socjalizmu? Dobroczynny wpływ wychowawców? — ach, dość tego bełkotu, gaduły! To znaczy, że zrozumieli prawa społeczności złodziejskiej! Przecież knajacy — to bractwo, przecież rządzi tym bractwem dyscyplina i Pachan. A małałatki — to jakby kadeci tej armii, którzy zgłębiają nauki starszych.

O, rzecz jasna, wychowuje ich się tu intesywnie! Przyjeżdżają prelegenci — z trzema, czterema gwiazdkami na epoletach — prowadzą wykłady o Wielkiej Wojnie Narodowej, o nieśmiertelnych wiktoriach naszego narodu, o bestialstwie faszystów, o słonecznej, stalinowskiej opiece nad dziećmi w naszym kraju, o tym, jakim człowiek sowiecki być powinien. Ale Wielka Teoria Społeczna, której jedynym fundamentem jest ekonomia, nigdy nie sięgając do psychologii — nie uznaje również tego prostego prawa psychologicznego, zgodnie z którym każde twierdzenie, powtórzone pięć czy sześć razy — już budzi niedowierzanie, a przy dalszym powtarzaniu — budzi obrzydzenie. Małałatków mierzi to, co kiedyś wbijali im do głowy szkolni nauczyciele, a teraz — okradający ich wychowawcy. (Nie przynosi pożądanych skutków nawet patriotyczne przemówienie oficera armii czynnej: „Chłopcy! Powierzamy wam ważne zadanie — będziecie pruć spadochrony. Ten jedwab jest bardzo cenny, dla naszego kraju to skarb, starajcie się go nie podrzeć!"). Myśląc tylko o przekroczeniu normy i dodatkowej porcji kaszy — małałatki tną cały jedwab na niezdatne już na nic gałganki. — Kolonia Krywoszcze-

kowo). I z całego tego siewu wszędy w nich tylko nasiona nienawiści — wrogość wobec Pięćdziesiątki Ósemki, poczucie wyższości nad wrogami ludu.

To przyda im się później, w obozach ogólnych. Tymczasem — nie ma wśród nich wrogów ludu. Jura Jeremołow — to taki sam swój chłopak, jak inni, dawno już zastąpił głupie, polityczne zasady mądrymi, knajackimi. Nikt się tu osobno nie uchowa, wszystko zmieni się w tę samą kaszę! Żaden z tych chłopców nie potrafi ostać się jako jednostka odrębna — prędko go zadepczą, rozszarpia, zatłuką, jeżeli zaraz nie przyłączy się do innych kadetów knajackiego wojska. I *wszyscy* muszą wstąpić do tego nowiżatu... (Czytelniku, wyobraź sobie teraz, że to TWOJE dzieci...).

Kto jest wrogiem małolatków w koloniach dziecięcych? Nadzorcy i wychowawcy. Z nimi więc toczy się walka!

Małolatki świetnie zdają sobie sprawę ze swojej siły. Najważniejszy jej składnik — to solidarność, drugi — to poczucie bezkarności. Prawa dorosłych wepchnęły ich tu, wyrywając ze świata zewnętrznego, ale na Archipelagu broni ich magiczne, nieprzekraczalne tabu. „Mleczko, panie komendancie, oddaj mleczko!” — wrzeszczą, bębnią w drzwi celi, łamią nary, wybijają szyby — robią wszystko, co byłoby wśród dorosłych uznane za powstanie zbrojne, albo za sabotaż ekonomiczny. Im nic nie grozi! Im zaraz przyniosą to mleko!

Kolumna małolatków maszeruje przez miasto pod silnym konwojem i mogłoby się zdawać, że to aż wstyd pilnować dzieciaków tak surowo. Otóż nie! Zmówili się, któryś gwizdnął — i nagle już przyskają w różne strony, gdzie kto ma chęć! Co ma począć eskorta? Strzelać? Do kogo? Bo to można do dzieci?... I to jest koniec odsiadki. Państwo ma w majątku ze sto pięćdziesiąt lat więzienia mniej. Nie chcecie wystawiać się na śmieszność? — to nie aresztujcie dzieci!

Przyszły powieściopisarz (ten, który spędził dzieciństwo wśród małolatków) opíše nam z pewnością mnóstwo ich szalonych pomysłów, opowie na jakie harce pozwalali sobie w koloniach, jak mścili się na wychowawcach i jakie złośliwe figle im płatali. Zewnętrzna surowość wyroków i regulaminu obozowego pozwala jednak na niebywały rozkwit zuchwastwa wśród, pewnych swojej bezkarności, małolatków.

Oto jedna z ich chełpliwych opowieści. Znając zwykłe metody małolatków, chętnie wierzę, że to prawda. Do pielęgniarki z kolonijnej przychodni przybiega kilku zdenerwowanych i przestraszonych chłopców, wzywając ją do kolegi, który nagle i ciężko zachorował. Zapominając o wszelkiej ostrożności — siostra biegnie

nie za nimi do ich dużej, czterdziestosobowej celi. Tu zaczyna się mrówcza praca! Jedni zabierają się do barykadowania drzwi i do ich obrony, inni — dziesięciorgiem rąk zrywają z pielęgniarki wszystko, co ma na sobie, przewracają ją na ziemię, jedni siadają jej na rękach, inni na nogach i teraz — każdy, jak potrafi — gwałci ją, całuje, kąsa. Strzelać do nich — nie ma rozkazu i nikt kobiety nie wyrwie z ich rąk, póki sami jej nie puszczą, zbeszczeszczonej, zapłakanej.

Zainteresowanie ciałem kobiecym budzi się u chłopców w ogóle bardzo wcześnie, a w celach małałatków podsycają je ponadto soczyste i pełne chełpliwości opowiadki. Małałatki korzystają wtedy z każdej okazji, żeby sobie pofolgować. Taki, na przykład, epizod: w biały dzień, na oczach wielu świadków w Krywoszczekinskiej zonie (pierwszy podobóz) siedzi sobie czterech małałatków i gwarzy z niejaką Lubą, również młodocianą, pracującą w introligatorni. W pewnej chwili dziewczynka odpowiada ostro na jakąś zaczepkę — a chłopcy zrywają się, jakby ich giez ukąsił i chwytają ją za nogi podnosząc ją wysoko w górę. Dziewczyna jest zupełnie bezradna, wodzi rękoma po podłodze szukając oparcia, spódnica spada jej na głowę. Chłopcy wciąż ją trzymają w tej pozycji i wolnymi rękoma miętoszą. Po chwili puszcza ją, nawet nie brutalnie. Dziewczyna uderzyła za to kogoś z nich? uciekła od nich? Skąd, siada z nimi znowu i prowadzi dalej rozmowę, jak gdyby nigdy nic.

To już były małałatki mniej więcej lat szesnastu i działo się to w zonie mieszanej, wśród dorosłych. (To właśnie tam stał ten barak dla pięciuset kobiet, gdzie spółkowano nie osłaniając nawet nar i gdzie małałatki traktowani byli jak dorośli mężczyźni).

W koloniach dla dzieci małałatki pracują przez cztery godziny, a przez dalsze cztery powinny uczyć się (cała ta ich nauka, to zresztą lipa). Po przeniesieniu do obozu ogólnego — muszą pracować dziesięć godzin, tylko że mają zmniejszone normy wykonania planu, natomiast normy aprowizacji — te same, co inni. Przenoszą ich tu po ukończeniu lat 16-tu, ale niedożywienie i niedorozwój, rezultaty pobytu w obozie i życia przedobozowego — sprawiają, iż wyglądają w tym wieku jak małe, mizerne dzieci. Są cofnięci w rozwoju pod względem fizycznym i umysłowym, a także, gdy chodzi o krąg zainteresowań, Zależnie od charakteru pracy, tworzy się tu z nich odrębne brygady, łącząc jednak niekiedy z inwalidami i starcami. Chodzi o prace zwane „łżejszymi”, czyli tradycyjny wyzysk dzieci.

Po opuszczeniu kolonii dziecięcej sytuacja małałatka ulega poważnej zmianie. Nie dostaje już specjalnych przydziałów, które taką pożądlivość budziły wśród nadzorców i dlatego nadzór prze-

staje być głównym wrogiem. Zjawili się za to jacyś starszycy, którym można pokazać swoją siłę. Pojawiły się też kobiety — i można nareszcie pokazać, że jest się dorosłym. Pojawił się też prawdziwi, żywi knajacy, obozowi szturmowcy o spasionych pyskach, którzy chętnie podejmują się roli przewodników duchowych i nauczycieli złodziejskiego rzemiosła. Pobierać te nauki — to rzecz nęcąca, wymigać się od tego terminu — to rzecz niemożliwa.

Dla czytelnika — *wolniaka* słowo „złodziej”, „knajak” brzmi może jak obraźliwy epitet? To znaczy, że niczego nie zrozumiał! Słowa te wymawiane są w świecie przestępczym z takim akcentem, z jakim wśród szlachty mówiło się o „rycerzach”, ba, z jeszcze większym chyba szacunkiem, głosem przyciszonym, jak jakieś święte wyrazy. Stać się kiedyś złodziejem, godnym tej nazwy, to marzenie małolatka, jest to żywiołowe dążenie, wspólne dla całej tej czeredy. Zresztą, najbardziej samodzielny spośród nich — „Ów młodzian, co nad życiem się zamyślił”, — też dojdzie do wniosku, że to byłby najlepszy wybór.

Pewnego razu, będąc w Iwanowskim zborniaku, musiałem nocować w celi małolatków. Moim sąsiadem z nar był szczuplutki chłopiec, który skończył niedawno lat piętnaście. Miał, zdaje się, na imię Sława. Miałem wrażenie, że wszystkie rytualne wręcz gesty i obrzędy małolatków wykonuje on jakoś od niechcenia, jakby wyrósł już z tego, albo po prostu miał dość. Pomyślałem sobie, że ten chłopak nie jest jeszcze stracony, że jest mądrzejszy od innych i dlatego niedługo się od nich odstrychnie. Zaczęła się rozmowa. Chłopak pochodził z Kijowa, jedno z rodziców mu zmarło, drugie zostawiło go na łasce losu. Sława zaczął kraść jeszcze przed wojną, miał wtedy chyba 9 lat. Kradł także, kiedy przyszli „nasi”, a również po wojnie i z niewesołym, pełnym zadumy uśmiechem, nie licującym jeszcze z jego wiekiem, wyjaśnił mi, że w przyszłości zamierza być złodziejem i nikim innym. „Wie pan przecież — tłumaczył mi bardzo rozsądnie — jako robotnik człowiek zarobi sobie najwyżej na chleb i wodę. A ja miałem ciężkie *dzieciństwo* chcę teraz mieć coś z życia”. — „A cóż robił podczas okupacji, kiedy Niemcy byli w mieście?” — zapytałem, zdając sobie sprawę, że pominął w opowieści dwa lata, w czasie których Kijów był okupowany. Pokiwał głową: „Za Niemców musiałem pracować. Co pan myśli, bo to można było wtedy spokojnie kraść? Rozstrzeliwali za to na miejscu”.

W obozach dla dorosłych małolatki okazują wierność naczelnej swojej zasadzie — napadają i bronią się solidarną gromadą. Czyni to z nich element silny i pozwala im nie liczyć się z ogra-



niczeniami. W ich świadomości nie ma żadnej linii demarkacyjnej między tym co wolno, a tym, czego nie wolno i — rzecz jasna — żadnego pojęcia o tym co dobre, a co złe. Dobre dla nich jest to wszystko, czego chcą oni, a złe — to, co im stoi na zawadzie. Bezcelny, nachalny sposób zachowania przyswajają sobie dlatego, że jest to najwygodniejszy sposób bycia w obozie. Potrafią doskonale posługiwać się fałszem i chytryością tam, gdzie siłą nie poradzi. Małolatek potrafi udawać święte pacholę z ikony, potrafi rozczulić cię do łez — podczas gdy jego koleddy zajmują się z tyłu patroszeniem twojego plecaka. Potrafią zemścić się na każdym, wziąć odwet całą gromadą — i nikt nie pomoże napadniętemu, żeby nie mieć potem tej hordy na karku. Cel jest osiągnięty — przeciwnicy są rozdzieleni i małolatki rzucają się całą sforą na jednego. Są niezwykłeni! Tak wielu naraz bierze udział w napadzie, że człowiek nie dąży nikogo zauważyć, odróżnić, zapamiętać. Aby się przed nimi obronić nie dość jednej pary rąk i nóg.

Oto kilka epizodów z życia drugiego (karnego) podoboju Krywoszczekino, należącego do Nowosibiłagu (według relacji A. J. Suzi). Ogromne ziemianki (każda na pięciuset ludzi), wkopane w ziemię na półtora metra, pogrążone w wiecznym półmroku. Władza nie wtrąca się do tego, co dzieje się w zonie (żadnych haseł, ani odczytów już nie ma). Knający panują wszechwładnie — po społu z małolatkami. Do roboty prawie że się nie chodzi. Wyżywienie jest więc odpowiednie. Za to czasu aż nadto.

Z krajalni chleba więźniowie niosą skrzynię z pieczywem pod konwojem swoich brygadzystów. Grupa małotków finguje bójkę, zaczyna się przepychanka, skrzynka pada i rozlatuje się. Brygadziści rzucają się do zbierania kromek z ziemi. Z 21 porcji dążą uratować tylko 14; „bijących się” małotków — już ani śladu.

Stółówka w tym podoboju — to drewniana buda, podczas syberyjskich zim nie nadająca się do użycia. Bałandę i chleb trzeba wtedy nieść z kuchni aż do ziemianki — ze 150 metrów, na ostrym mrozie. Dla starych inwalidów jest to jednak trudna operacja. Chleb wtyka więc taki głęboko za pazuchę, marznącymi rękoma mocno ściska menażkę. Ale nagle, z diabelską szybkością wpada na niego dwóch-trzech małotków. Przewracają starca, sześcioro rąk obmacuje go szybko, po chwili nie ma już nikogo. Chleb zabrali, bałanda się rozlała, pusta menażka leży w śniegu, starzec usiłuje dźwignąć się na kolana.

(Inni więźniowie widzą to — ale starają się pospiesznie ominąć niebezpieczny punkt, chcą przynajmniej swoją porcję dnieść do ziemianki). Okrucieństwo małotków jest tym większe,



im węższa jest ich ofiara. Zupełnie już osłabionemu starcowi zabierają chleb otwarcie, bez żenady wyrywają mu go z palców. Starzec płacze, błaga żeby mu oddali: „Przecież umrę z głodu!” — „Co za różnica, i tak przecież niedługo zdechniesz!” — Miejscem gdzie małolatki najchętniej czatują na inwalidów jest pusty, zimny przedsionek kuchni, gdzie zresztą wciąż pęta się sporo ludzi. Szajka wspólnym wysiłkiem przewraca na ziemię upatrzoną ofiarę, mali rabusie siadają jej na rękach, na nogach, na głowie, myszkują po wszystkich kieszeniach, zabierają machorkę, pieniądze i znikają.

Silny i rośły Łotysz Martinson nieopatrznie zjawił się w zonie w długich, sznurowanych butach z brązowej skóry. Takie buty nosili angielscy lotnicy, miały dwa rzędy haczyków na sznurowadła, od przyszwyy aż do samych kolan. Martinson nawet na noc tych butów nie zzuwa. I pewien jest swojej siły. Ale pewnego dnia Martinson idzie do stołówki. Pod pomostem czatuje na niego szajka. Raptowny napad — i tak samo raptowna ucieczka. Ale butów już nie ma. Wystarczyła sekunda na przecięcie wszystkich sznurowadeł i zdarcie butów z nóg. Szukać? Daremny trud. Już po chwili — za pośrednictwem nadzorcy (!) buty zostają przerwane poza zonę i sprzedane tam za dużą cenę. (Czego to małolatki nie są w stanie przerzucić! Ilekroć obozowa zwierzchność, litując się nad nimi, wydaje małolatom jakieś trochę lepsze obuwie, albo sorty, albo jakieś nieszczęsne resztki materaców, odebrane Pięćdziesiątce Ósemce — już po kilku dniach to wszystko zostaje opylone za machorkę wolniakom, a małolatki znów chodzą w łachmanach i śpią na gołych narach).

Wystarczy, że jakiś lekkomyślny wolniak wejdzie w obręb zony z psem i odwróci się na chwilę — a będzie mógł już tego samego wieczoru kupić poza zoną skórę własnego psa: pies w ciągu sekundy został zwabiony na bok, zarżnięty, oprawiony i upieczony.

Złodziejstwo i rozbój — to najpiękniejsze zajęcia! Dają papu, dają też rozrywkę. Ale sucha zaprawa, bezinteresowna zabawa i biegania — też potrzebne są młodemu ciału. Jeśli dano im do rąk młotki dla zbijania skrzynek na pociski — to machają nimi już na całego, z dużą satysfakcją (robią to także dziewczęta) wbijając gwoździe we wszystko, co znajduje się w zasięgu wzroku — w stoły, w mury, w drzewa. Wciąż biją się między sobą — i nie tylko po to, aby wywalić skrzynkę z chlebem, biją się również na serio, uganiając się za sobą po narach i w przejściach między nimi. Co ich obchodzi, że tratują czyjeś nogi i rzeczy, że coś wywrócili i poplamili, że kogoś obudzili, a jeszcze kogo innego zbili z nóg — zabawa na sto dwa!

Tak bawią się wszystkie dzieci, ale nad zwykłymi dziećmi czuwają jednak jacyś rodzice (w naszych czasach — nie więcej, niż „jacyś”), jest na nich jakaś rada, można je złapać za rękę, przemówić im do rozumu, ukarać, wysłać gdzieś — a w obozie to wszystko jest niemożliwe. Przemówić małolatkom do rozumu po prostu nie sposób, mowa ludzka jakby nie dla nich została stworzona, ich uszy zdają się słyszeć tylko to, co im dogadza. Kiedy rozwścieczeni starcy przechodzą do rękoczynów — małolatki tłuką ich za to ciężkimi przedmiotami. A jakie też zabawy sobie wynajdują! — ot, zrywają bluzę wojskową z inwalidy i zaczynają się nią przerzucać, aby musiał biegać za nią, jakby był ich rówieśnikiem. Obraził się, poszedł sobie? — to już jej nigdy nie zobaczy. Przerzucili poza zonę i poszła z machorkowym dymem! (A po jakimś czasie podchodzą do niego z niewinną miną: „Papciu, dajno ognia! No dobra już, nie gniewaj się. Dlaczegoś sobie poszedł, mogłeś przecież ją złapać?”).

Ludziom dorosłym, mającym już dzieci i wnuki, te swawole małolatków w obozowej ciasnocie sprawiają może więcej przykrości i bardziej ich ranią, niż szczeniacki rozbój i żarłoczna chciwość. Okazuje się, że to właśnie jest jedno z najcięższych upokorzeń, kiedy starszy człowiek zrównany jest ze smarkaczem, ale gdzie tam — zrównany! — kiedy zdany jest na łaskę i niełaskę okrutnych smarkaczy.

Małolatki nie działają z premedytacją, nie kalkulują, wcale nie chodzi im o to, aby kogoś upokorzyć — bo wcale nie udają: oni rzeczywiście *nikogo nie uważają za ludzi*, wyjąwszy siebie samych i starszych cechu złodziejskiego! Tak pojęli świat — i o niczym innym nie chcą mieć pojęcia.

Przy powrocie z roboty małolatki roztrącają kolumnę dorosłych zeków, ludzi znużonych, ledwie trzymających się na nogach, pogrążonych w jakimś drętym otępieniu, albo w dręczących wspomnieniach. Małolatki rozpychają się nie dlatego, że chcą wyjść na czoło, że im się śpieszy — to nic by im nie dało; robią to najzwyczajniej dla zabawy. Trajkoczą głośno, na każdym kroku i nadaremno wzywają imię Puszkina („A, to Puszkina wziął!”, „Puszkina to zjadł!”), bluzgają przekleństwami, bluźnią, klną wymyślnie, ze znanstwem wszystkich możliwych zbrodni płciowych, ani trochę nie krępując się obecnością starych kobiet, a tym bardziej już — młodych. W czasie krótkiego pobytu w obozie zdołali osiągnąć nader wysoki stopień wolności *od społeczeństwa!* — Podczas długich apeli w zonie, małolatki szaleją, torpedując stojących, przewracając ludzi całymi szeregami („Coś ty, ze wsi, czego sterczysz na drodze?”), albo biegają

dookoła któregoś z dorosłych, traktując go jak byle pień, tym lepszy, że można go pchnąć, zastawić się nim, szarpać i ciągnąć w różne strony.

Byłoby to nieznośnie przykre nawet w wesołych chwilach, ale kiedy człowiek czuje, że złamano mu życie, że został rzucony do obozowej jamy na długie konanie, że już śmierć głodowa rozpościera nad nim swoje skrzydła, że mrok mu wypełnia źrenice — to już nie może przewyciężyć się i współczuć tym młodzikom, że szukać muszą sobie jakiejś rozrywki w takim strasznym otoczeniu. Nie, tych starych, zadreńczonych ludzi ogarnia gniew, krzyczą: „A żeby was zaraza, podłe źmije!”, „Ścierwa, psy wściekle!”, „A bodajbyście prędzej powyzdychali!”, „Własnymi rękoma bym ich podusił!”, „Te zwierzaki gorsze od faszystów!”, „Naszczuli ich tu, nam na zgubę!”. (I tyle pasji jest w tych krzykach inwalidów, że gdyby słowa mogły zabijać — to jużby małałatków nie było!). A tak, tak właśnie człowiekowi się wydaje — że ich celowo napuszczono na starszych! bo nawet po najdłuższym namyśle władza obozowa nie potrafiłaby wynaleźć gorszego bata na więźniów. (Podobnie, jak w udanej partii szachów wszystkie posunięcia i kombinacje w pewnej chwili same zaczynają się wysnuwać, podczas gdy komuś może się wydawać, że zostały zawczasu tak genialnie zaplanowane — w ten sam sposób powstało w ramach naszego Systemu wiele bardzo udatnych metod dręczenia ludzi). Wydaje się czasem, że — właśnie tak, a nie inaczej powinny wyglądać małe diabły, występujące w chrześcijańskich legendach.

Tym bardziej, że ich najmilsza zabawa, ich symbol — sygnał, znak powitalny i gest groźby — to proca, rohatynka: dwa rozczapierzone palce — wskazujący i środkowy, jakby ruchome rożki, gotowe ubóść, ale nie bodą one, tylko kołą, bo małałatki zawsze starają się ugodzić nimi w oczy. Nauczyli się tego u dorosłych knajaków, ma to oznaczać groźbę bardzo serio: „Bo ci oczy wykolę, ścierwo!”. Dla małałatków zaś jest to ulubiona gra; ni stąd ni zowąd przed oczyma jakiegoś staruszka, jak żądło żmii pojawia się rohatynka i palce już, już sięgają oczu, za chwilę je wykolą! Staruszek odruchowo cofa głowę, ktoś jeszcze daje mu szturchańca w pierś, inny małałatek już przypadł do ziemi z tyłu za nogami ofiary — i staruszek pada na wznak, głową o ziemię, a małałatki ryczą ze śmiechu. Nigdy też nikt z nich nie pomoże mu wstać. Do łbów im nawet nie przychodzi, że zrobili coś złego, to tylko zabawa. Ani bańki, ani kompresy na te diabły nie pomagają! I z trudem podnosząc się z ziemi,

staruszek szepcze z wściekłością: „Jakbym tu miał karabin masynowy — to ani chwili bym się nie namyślał!”.

Stary C. pałał do nich prawdziwą nienawiścią. Tak mówił: „wszystko jedno, jest to stracony element, to prawdziwa zaraza rośnię. Trzeba ich tępić już teraz, byle po cichutku!”. I wykombinował taki sposób: dopadał gdzieś na osobności małolatka, przewracał go i tak długo tłoczył mu piersi kolanami, póki nie słyszał trzasku łamanych żeber — ale go nie wykańczał, tylko puszczał z pękniętymi żebrami. Taki małolatek — twierdził C. — już długo nie pożyje, ale żaden lekarz nie połapie się, o co chodzi. C. wysłał tak kilku małolatków na tamten świat, aż go nareszcie w odwet oni sami zatłukli na śmierć.

Nienawiść jest matką nienawiści! Czarna woda nienawiści rozlewa się szeroko. Łatwiejsze to, niż szukać przyczyny gdzie indziej, wyżej — wśród tych, którzy zarówno dorosłych jak młodocianych skazali na niewolniczy los.

Tak wychowywano małych, zaciekłych faszystów, a przyczyniało się do tego po spoju — stalinowskie prawodawstwo, gułagowskie wychowanie i knajacki zaczyn. Nie sposób było znaleźć nic lepszego, chcąc doprowadzić dziecko do zbydłęcia! Nie było lepszego i szybszego sposobu na zaszczepienie wszystkich obozowych wad w niedorozwiniętej, wątej piersi! Nawet wtedy, gdy jeszcze można było łatwo złagodzić duszę dziecka, gospodarze obozów nie pozwalali na to: przecież nie to było celem *ich* wychowania. Chłopczyk siedzący w pierwszym podobozie w Krywoszczekinie, prosił, aby przeniesiono go do podobozu numer dwa, gdzie siedział jego ojciec. Nie pozwolono na to (przecież instrukcja wymaga, aby rodziny były rozdzielane)! Chłopczek musiał schować się w becze, przedostać się w ten sposób do drugiego podobozu, gdzie był jakiś czas z ojcem, ale musiał się ukrywać. Został tymczasem uznany za zbiega. Szukano go też w kloakach przy pomocy długiego drąga z wybitymi na poprzek gwoździemi — bo przecież mógł utonąć w tym całym bałaganie.

I tylko początek jest trudny. Kiedy Wołodia Sniegiriow miał lat 15-cie, aresztowanie wydawało mu się jeszcze czymś niezwykłym. A później jego sześć wyroków złożyło się w sumie na całe prawie *stulecie* (dwa razy skazywano go na 25 lat), setki dni przesiedział w barakach karnych i w bunkrach (młode jego płuca przesiąkły gruźlicą), siedem lat poszukiwany był na terenie całego państwa, wszędzie rozesłano listy gończe. Później trzymał się już dobrze przetartej złodziejskiej ścieżki. Dzisiaj nie ma jednego płuca i pięciu żeber, jest inwalidą drugiej kategorii.

Witia Koptajew siedzi *bez przerwy* od dwunastego roku życia. Sądzony był *czternaście* razy, z tego dziewięciokrotnie za ucieczki. „Na wolności nigdy jeszcze legalnie nie byłem”.

Jura Jermołow po wyjściu z obozu poszedł do pracy, ale go szybko zwolniono — wolano przyjąć na jego miejsce zdemobilizowanego żołnierza. Musiał więc powrócić do „występów gościnnych”. I oczywiście — złapał nowy wyrok.

Stalinowskie nieśmiertelne prawa, odnoszące się do małałatków, były w mocy 20 lat (aż do Dekretu z 24. 4. 1954, który przyniósł pewne ulgi: na jego podstawie zwolniono tych małałatków, którzy odsiedzieli już 1/3 kary — ale przecież tylko tej *pierwszej* — a jeśli wyroków było ze czternaście?). Żniwa odbyły się więc dwadzieścia razy. Dwadzieścia roczników te prawa pchnęły na drogę zbrodni i deprawacji.

Kto tu ośmiela się kalać pamięć naszego Wielkiego Koryfeusza?



Są wśród dzieci tacy spryciarze, którzy dążą w bardzo młodym wieku złapać artykuł 58. (Na przykład H. Pawłow złapał go mając lat 12-cie. Od 1943 do 1949 siedział w karnej kolonii w Zakowsku). Artykuł 58 nie przewidywał w ogóle *żadnego minimum wieku!* Stwierdzano to nawet w popularnych wykładach na tematy prawnicze (Tallin — 1945 r.). Doktor Usma zna osobiście sześciolatniego chłopczyka, który dostał się do kolonii karnej z artykułu 58 — jest to zapewne rekord!

Niekiedy odkładano dla przyzwoitości aresztowanie dziecka na jakiś czas, ale w końcu sprawiedliwości stawało się zadość. Wiera Inczyk, córeczka sprzątaczk, razem z dwoma innymi dziewczynkami — również czternastoletnimi — dowiedziała się (Jejsk, 1932 r.), że przy deportacji rodzin kułackich — małe dzieci zostawiane są na łasce losu, na pewną śmierć. Dziewczynki postanowiły więc („tak jak dawniej rewolucjoniści”) ogłosić protest. Na stroniczkach, wyrwanych ze szkolnych kajetów, napisały ten protest własnymi rękoma i rozkleiły na rynku, spodziewając się, że wywoła to natychmiast powszechną reakcję. Jedna z nich, córeczka lekarza, została aresztowana chyba zaraz. A córki sprzątaczk znalazły się tylko gdzieś na jakimś spisie. Nadszedł rok 1937 — i aresztowano je „za szpiegostwo na rzecz Polski”.

Gdzie, jeśli nie w tym rozdziale, wspomnieć trzeba o dzieciach osieroconych na skutek aresztowania ich rodziców?

Stosunkowo szczęśliwy był los dzieci kobiet z komuny religij-

nej pod Chostą. Kiedy w roku 1929 ich matki zostały zesłane na Sołówki, dzieciom łaskawie pozwolono zostać przy domach i gospodarstwach. Dzieci same zajmowały się sadami owocowymi, warzywnikami, doily kozy, pilnie uczyły się w szkole, a rodzicom na Sołówki posyłały swoje szkolne cenzurki i zapewniały w listach, że gotowe są cierpieć za wiarę tak, jak ich matki. (Ma się rozumieć, że Partia wkrótce dała im tę możliwość).

Iluż to małolatków siedziało jeszcze w latach 20-tych (przypomnijmy sobie wymienione już 48 %) dzięki instrukcji o rozdzielaniu zesłanych rodzin? I kto nam dziś opowie o ich losach?...

Na przykład Hala Wenediktowa. Ojcem jej był piotrogrodzki drukarz, anarchista, matką szwaczka z Polski. Hala dobrze pamięta swoje szóste urodzinki (1933 r.), było to wesołe święto. Gdy obudziła się następnego ranka — ojca i matki już nie było, tylko jakiś obcy pan, wojskowy, bobrował w tatusinej bibliotece. Co prawda, po jakimś miesiącu mama wróciła: kobiety i dzieci miały jechać do Tobolska bez konwoju, tylko mężczyzn wysyłano etapem. Na Syberii zamieszkali razem, ale nie doczekali się końca trzyletniego zesłania: matkę znów aresztowano, ojca z punktu rozstrzelano. Matka po miesiącu zmarła w więzieniu. A Halę zabrano do domu sierot w dawnym klasztorze pod Tobolskiem. Panowały tam takie obyczaje, że dziewczęta żyły w ciągłej obawie gwałtu. Później przeniesiono ją do miejskiego sierocińca. Dyrektor tak jej powiedział: „Jesteście dziećmi wrogów ludu, a państwo jeszcze was karmi i ubiera!”. (Nie, aż podziw bierze, jak humanitarna jest ta dyktatura proletariatu!). Hala czuła się jak wilczek w klatce. Mając 11 lat była już na swoim pierwszym *politycznym* przesłuchaniu. Dostała wkrótce *czierwońca*, odsiedziała zresztą tylko część. Ma teraz koło czterdziestu lat, jest samotna, mieszka za Kołem Podbiegunowym i tak pisze do mnie: „Życie moje skończyło się w momencie aresztowania ojca. Tak kocham go do tej chwili, że boję się aż o tym myśleć. Był to zupełnie inny świat i dusza moja pełna jest miłości do niego...”.

A oto wspomnienie Swietłany Siedowej: „Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy wszystkie nasze rzeczy wyniesiono na ulicę i posadzono mnie na nich, a padał ulewny deszcz. Od szóstego roku życia byłam córką zdrajcy ojczyzny — i nie może być w życiu nic okropniejszego”.

Posyłano ich do enkawudowskich domów dziecka i do specsierocińców. Większości tych dzieci zmieniono nazwiska — zwłaszcza, gdy nazwisko było głośne. (Jura Bucharin dopiero

w 1956 roku dowiedział się, jak się naprawdę nazywa. A Czebrotariow? — mogło się wydawać, że nazwisko to do głośnych nie należy). Dzieci te rosły więc w atmosferze wolnej od miazmatów, których pełne było życie ich dawnej rodziny. A Roza Kovacs, urodzona w Filadelfii, przywieziona do ZSSR w wieku nieledwie niemowlęcym przez ojca — komunistę, najprzód znalazła się w sierocińcu NKWD, później — wojna zapędziła ją aż do amerykańskiej zony Niemiec (przedziwne bywają losy ludzkie!) — i cóż? Wróciła do swego kraju — do ZSSR — tylko po to, aby dostać należne 25 lat.

Nawet najbardziej powierzchowne spojrzenie wystarczy, aby stwierdzić, że istnieje reguła: dzieci skazanych też powinny siedzieć, prędzej, czy później muszą odwiedzić ziemię obiecaną — Archipelag, często razem z rodzicami. Oto przypadek ucznicy z ósmej klasy, Niny Pieregud. W listopadzie 1941 roku przyszli po jej ojca. Rewizja. Nagle Ninie przypomniało się, że w popielniku leży jej „czastuszka”, zapisana na papierku zmiętym, lecz nie spalonym. Mogła tam spokojnie leżeć, ale Nina w popłochu postanowiła podrzeć ją bez zwłoki. Sięgnęła do pieca, milicjant ocknął się z drzemki i przyłapał ją. Groźny dowód buntu, napisany szkolnym charakterem pisma, ukazał się oczom czekistów:

*Błyszczą gwiazdy w nocnej dali  
Stoją w rosie chwasty roste.  
Myśmy Smoleńsk przeputali,  
Przeputamy teraz Moskwę.*

Wyrażone też zostało niedwuznaczne życzenie:

*Niech tam szkołę bombardują,  
Bo już lekcji mamy dosyć...*

Rozumie się, że ci dorośli mężczyźni, ratujący ojczyznę na głębokim, tambowskim zapleczu, ci rycerze o gorącym sercu i czystych rękach, umieli zapobiec tak straszному niebezpieczeństwu<sup>3</sup>. Nina została uwięziona. Zabrano dla celów śledztwa jej dzienniczek z 6-tej klasy i kontrrewolucyjną fotografię: zdjęcie zburzonej cerkwi św. Barbary. „O czym mówił twój ojciec?” — dopytywali się uporczywie rycerze o gorącym sercu. Nina nic,

3. Czy nie uda się — przynajmniej jeden raz! — wyciągnąć na światło dzienne takiego kreta, który dał sankcję na uwięzienie ucznicy ósmej klasy za jeden wierszyk? Choćby po to, aby przyjrzeć się — jakie ma czoło? Jakie uszy?



tylko szlochwała. Skazano ją na 5 lat i 3 lata pozbawienia praw (choć nie sposób jej było ich pozbawić, bo nie miała jeszcze żadnych praw).

W obozie, rzecz jasna, oderwano ją od ojca. Gdy zakwitł bez, myślała z goryczą tylko o tym, że koleżanki zdają egzaminy! Nina cierpiała właśnie tak, jak w teorii powinna cierpieć skruszona przestępczyni: moja rówieśnica, Zoja Kosmodemiańska\* dokonała takich wyczynów, a ja jestem taka podła! Faceci z oddziału operacyjnego naciskali na ten pedał: „Możesz jeszcze jej dorównać! Tylko musisz *nam pomóc!*”.

Deprawatorzy młodych serc! Jakże pogodny będzie kres waszych dni! Nigdy nie będziecie musieli z rumieńcem wstydu na twarzy wstać z ławy i przyznać się, jakimi to pomyjami syciliście ludzkie dusze!

A Zoja Leszczewa potrafiła zakasować nawet własną rodzinę. Oto jej dzieje. Ojca, matkę, dziadka z babcią i starszych braci tej dziewczynki, jeszcze niedorośli — wszystkich ich rozproszono i wtrącono do najodleglejszych obozów, tylko za to, że wierzyli w Boga. A Zoja miała zaledwie 10 lat. Posłano ją do domu dziecka w iwanowskim obwodzie. Tam oznajmiła, że nigdy nie zdejmie z szyi krzyżyka, który jej mama dała w chwili rozstania. I zaciągnęła sznureczek ciaśniej, aby nie mogli jej zdjąć krzyżyka w nocy. Walka trwała długo. Zoja zawzięta się: możecie mnie udusić, ale zerwiecie to dopiero z mojego trupa! Wówczas, jako oporną na zabiegi wychowawcze, posłano ją do domu dziecka *dla niedorozwiniętych!* To już było dno, a zachowanie się małolatków jeszcze gorsze, niż opisane wyżej. Walka o krzyżyk trwała dalej. Zoja wszystko wytrzymała; nawet tu nie nauczyła się ani kraść, ani kłąć. „Taka święta kobieta, jak moja mama — nie może mieć córki — złodziejki. Lepiej już będę za polityczną, tak, jak cała rodzina”.

I Zoja została polityczną: Im bardziej wychowawcy z radiem po społu wynosili pod niebiosy Stalina — tym wyraźniej widziała w nim Zoja sprawcę wszystkich nieszczęść. Nie dość, że nie skapitulowała przed złodziejaskami, ale ich teraz pociągnęła za sobą! Na podwórku stał standartowy, gipsowy posąg Stalina. Zaczęły zjawiać się na nim szydercze i nieprzyzwoite napisy. (Małolatki lubią sport! — trzeba tylko umieć pokierować nimi). Administracja przemalowuje posąg, zarządza obserwację, zawiadamia MGB. A napisy wciąż się pojawiają i cały dom dziecka ryczy

\* Młoda partyzantka rosyjska, powieszona przez Niemców.

ze śmiechu. Wreszcie pewnego pięknego poranka, znajdują głowę posągu na ziemi — a w jej pustym wnętrzu — czyjś kał.

To zamach terrorystyczny! Przyjechali gepiści, zaczęły się regularne przesłuchania i groźby: „Jak nie wydacie całej tej bandy terrorystów, to was *wszystkich rozstrzelamy* za terror!”. (A co w tym nadzwyczajnego, też wielkie rzeczy — rozstrzelać półtorej setki pętałów! Gdyby On się o tej sprawie dowiedział — to przecież sam wydałby taki rozkaz).

Nie wiadomo, czy dzieciaki wytrzymałyby śledztwo, ale tymczasem Zoja Leszczewa oświadczyła:

— To wszystko moja robota. A na co jeszcze ten łepiek jest zdatny?

Poszła pod sąd. I dostała *wyrok śmierci*, całkiem serio. Ale z uwagi na przesadny humanitaryzm, cechujący przepisy wykonawcze prawa (z 1950 roku) o przywróceniu kary śmierci — nie bardzo wypadało rozstrzelać 14-toletnią dziewczynkę. Dlatego też dano jej *dychę* (nawet dziwne, że nie dwadzieścia pięć). Do osiemnastego roku życia była w obozach ogólnych, później przeniesiono ją do Specjalnych. Za swoją bezkompromisowość i ostry język dostała w obozie domiar do wyroku — chyba nawet dwa razy.

Wyszli na wolność rodzice jej i bracia — a Zoja wciąż siedziała.

Niech żyje nasza tolerancja w sprawach wiary!

Niech żyją dzieci, gospodarze ery komunizmu!

Pokażcie mi kraj, gdzie by tak kochano i hołubiono dzieci, jak u nas?

## Rozdział osiemnasty

### MUZY W GUŁagu

Często się słyszy, że w GUŁagu *możliwe jest wszystko*. Najczarniejsza podłość i przyniewierstwo wszelkiego rodzaju, najdziwniejsze, najmniej spodziewane spotkania, miłość na skraju otchłani — tak, to wszystko się zdarza. Ale jeżeli ktoś z błyskiem w oku zacznie wam opowiadać, że zna konkretny wypadek reedukacji, do której doszło oficjalną drogą, dzięki staraniom Działu Kulturalno-Oświatowego — to z całym spokojem i stanowczością można mu zareplikować jednym słowem: bujda!

Wszyscy w GUŁagu tak czy inaczej przeistaczają się, zmieniają się — jeden pod wpływem drugiego i pod naciskiem okoliczności, zmieniają się na lepsze lub gorsze — ale jeszcze żaden małolatek, a tym bardziej dorosły, nie doznał przemiany za sprawą działu KO.

Jednakże po to, aby obozy nasze nie przypominały owych „siedlisk rozpusty, gniazd rozbójniczych, hodowli recydywistów i rozsadników niemoralności” (jak to powiedziane zostało o więzieniach carskich) zaopatrzone je w ów przydatek, jakim jest Dział KO.

Bo — jak oznajmił niegdysiejszy szef GUŁagu I. Apeter: „rozbudowie zakładów karnych w krajach kapitalistycznych proletariats ZSSR przeciwstawia ze swej strony rozbudowę *kulturalnego* (a nie rabskiego, obozowego... — A.S.) współczynnika tych instytucji. Te zakłady, które w proletariackim państwie są miejscami odosobnienia... można nawet nazywać więzieniami, czy jak tam kto woli — *nie chodzi o terminologię*. Są to zawsze miejsca, gdzie życie nie podlega unicestwieniu, lecz właśnie puszca nowe kiełki!...”

1. Praca zbiorowa: *Od więzień...*, str. 431, 429, 438.

Nie wiem, jaki był koniec Apetera. Uważam za najbardziej prawdopodobne, że prędko ukręcono mu łeb i to tam właśnie, gdzie życie puszcza nowe kielki. Ale nie chodzi o terminologię. Czytelnik zrozumiał już może, co w naszych obozach było najważniejszą sprawą? Rozbudowa współczynnika *kulturalnego*.

Organy te były stworzone tak, aby mogły zadośćuczynić wszelkim wymogom; namnożyło się ich sporo, macki te sięgały do każdej z wysepek. W latach 20-tych nosiły nazwę Działów Polityczno-Wychowawczych (PWCz), poczynając od lat 30-tych — nazywano je Działami Kulturalno-Oświatowymi (KWCz). Miały one m.in. zastąpić dawnych kapelanów więziennych i organizowane przez nich więzienne nabożeństwa.

Struktura ich była następująca. Naczelnik działu KO był pracownikiem etatowym z wolnego najmu, rangą równy był zastępcy komendanta obozu. Dobierał sobie sztab wychowawców (regulamin przewidywał, że jeden wychowawca przypadać powinien na 250 podopiecznych) — którzy koniecznie pochodzić musieli z „warstw blisko spowinowaconych z proletariatem”, a zatem inteligencji (czyli drobnomieszczaństwo) rzecz jasna — nie nadawali się (zresztą bardziej im było do twarzy z kilofem), więc stanowiska wychowawców obsadzone były przez złodziei, karanych już dwu- i trzykrotnie, a na dodatek — przez miejskich farmazonów, defraudantów i skazanych za przestępstwa obyczajowe. Taki, na przykład, schludny młodzian, mający na koncie pięć latek za gwałt w okolicznościach łagodzących, związał gazetkę w rulonik, udawał się do baraku Pięćdziesiątki Osemki i wygłaszał dla nich pogadankę: „Rola pracy w procesie reedukacji”. Wychowawcy widzą z bocznej perspektywy tę rolę szczególnie dobrze, jako że sami „zwolnieni są od udziału w procesie produkcyjnym”. Z takich samych socjalnych pociotków składał się również *aktyw* działu KO — tyle, że aktywiści nie byli zwolnieni z pracy produkcyjnej (mogli najwyżej mieć nadzieję, że prędzej czy później uda im się wysiadać kogoś z wychowawców i zająć jego miejsce. Sprzyjało to wytworzeniu przyjaznej atmosfery w kręgach zbliżonych do KO). Wychowawca powinien był rano odprowadzić zeków do roboty, a następnie udać się do kuchni na kontrolę (to znaczy — na dobrą wyzerkę), no, a potem mógł wrócić do swojej kajutki i pospać jeszcze krzynekę. *Pachanów* nie powinien niepokoić ani zaczepiać, bowiem po pierwsze — to niebezpieczne, po wtóre zaś nadejście w końcu chwila, gdy „związki typu przestępczego przekształcą się w solidarność produkcyjną” i wówczas jeden z drugim pachan poprowadzi brygady przodowników do szturm. Chwilowo zaś — oni

również mogą odsypiać noce spędzone na grze w karty. Ale w działalności swojej wychowawca stale pamiętać musi o pewnej ogólnej zasadzie: że praca kulturalno-wychowawcza w obozach nie jest to zwykła praca oświatowa, prowadzona wśród jakichś nieboraków, lecz działalność kulturalno-bojowa, skierowana przeciw (bez tego „przeciw” nic się u nas obejść nie może) przeciw... no, czytelnik już zgadł: chodzi o Pięćdziesiątkę Ósemkę. Niestety — oddział KO „nie może sam stosować kary aresztu” (oto jak się ogranicza możliwości kultury!), „ale może zwrócić się z taką prośbą do administracji” (a ta już nie odmówi!). Ponadto — wychowawca „systematycznie składa raporty o *nastrojach*, panujących wśród więźniów”. (Kto ma uszy — niechaj słucha! Jest to punkt subtelnego przedzierzgnięcia się działu kulturalno-oświatowego — w operacyjny, ale w instrukcjach nie ma na ten temat drukowanej wzmianki).

Uprzytamniamy sobie wszelako, że w ferworze cytowania dokumentów, przeszliśmy na czas teraźniejszy. Musimy zmartwić czytelników: mowa tu o latach 30-tych, o szczytowych latach rozkwitu działów KO, kiedy w kraju budowa społeczeństwa bezklasowego była już na ukończeniu i nie doszło jeszcze do owego strasznego wybuchu walki klasowej, który miał miejsce już po zakończeniu budowy. W czasie tych lat pełnych chwały działy KO wzbogaciły się o całe mnóstwo rozgałęzień; jak: kultsowiety więźniów; komisje kulturalno-oświatowe; komisje sanitarno-gospodarcze; sztaby brygad szturmowych; posterunki kontrolne, czuwające nad wykonaniem planów finansowych... Bo, jak to powiadał towarzysz Solc, kurator Kanału Białomorskiego i przewodniczący komisji WCİK do spraw ułaskawień: „więzień nawet w zakładzie karnym powinien żyć tym, czym żyje kraj”. (Zaciekły wróg ludu Solc został sprawiedliwie ukarany przez proletariacki sąd... przepraszam... bojownik naszej wielkiej sprawy, towarzysz Solc padł ofiarą kalumnii i zginął w latach kultu... przepraszam... w okresie, w którym dawały się odczuć pewne, nie mające zresztą znaczenia, objawy kultu...).

Jakże różnobarwne, wielostronne były formy tej pracy! — bogate, jak samo życie! Organizacja współzawodnictwa. Organizacja przodownictwa pracy. Walka o wykonanie planów finansowych. Walka o dyscyplinę pracy. Szturm dla likwidacji niedoborów. Marsze ku czci wydarzeń kulturalnych. Dobrowolne zbiórki środków na zakup samolotów. Kampania na rzecz pożyczek państwowych. Czyn społeczny dla umocnienia obronności państwa. Demaskowanie fałszywych przodowników pracy. Rozmowy z opornymi. Likwidacja analfabetyzmu (jakoś nie bardzo

się kwapili). Zawodowe kursy techniczne dla więźniów pochodzenia proletariackiego (knajacy pchali się formalnie na kursy kierowców: swoboda ruchów). Albo też — frapujące pogadanki o tym, że własność socjalistyczna jest święta! Albo, bardzo zwyczajnie — głośne czytanie gazet! Wieczory pytań i odpowiedzi. Czerwone kąciaki w każdym baraku! Wykresy wykonania planu. Cyfry, dotyczące zaplanowanych robót. A co za plakaty! Jakie hasła!

W tych szczęśliwych latach nad mrocznymi obszarami i otchłaniami Archipelagu szybowwały Muzy — a pierwszą wśród nich była wzniosła Polihymnia, muza hymnów (oraz sloganów).

*„Najlepszej brygadzie — chwała i szacunek!  
Kto pragnie zwolnienia — ma w pracy ratunek!”*

Albo:

*„Pracuj rzetelnie, w domu czeka na ciebie rodzina”.*

(To się nazywa psychologiczne podejście! Bo co tu mamy? Po pierwsze: jeśli facet zapomniał o rodzinie — to trzeba porużyć w nim sumienie, przypomnieć mu. Po drugie: jeśli znów za bardzo się o nią boi — to uspokoić go: rodzina istnieje, nie jest aresztowana. A po trzecie: tej rodzinie nie jesteś potrzebny *tak sobie*, po prostu, jesteś jej potrzebny tylko pod warunkiem, że pracujesz rzetelnie w obozie). I wreszcie:

*„Zgłoś akces do szturmowego czynu społecznego na cześć 17-ej rocznicy Października!”*. No, kto się temu oprze?...

A teatralizowane formy agitacji z politycznie zaostrzonym wydźwiękiem (tu już wkraczamy właściwie w dziedzinę muzy Talii)? Na przykład obsługa świąt i uroczystości Czerwonego Kalendarza! Żywa gazeta! Inscenizacje na temat „Wszyscy jesteśmy sędziami!”. Oratorium na temat wrześniowego plenum Komitetu Centralnego w 1930 roku! Skecz z muzyką pod tytułem „Marsz artykułów Kodeksu Karnego” (58-my — to kulawa Baba Jaga)! Ileż elementu piękna wносиło to wszystko do życia więźniów, jak bardzo pomagało im w dążeniu wzwyż!

A zachęcanie do gier i zabaw? A przecież jest jeszcze cała dziedzina pracy antyreligijnej! A kółka śpiewacze i ogniska muzyczne (pod egidą muzy Euterpe). No i — jak im tam — agitbrygady:

*„Kuszytka w biegu na wzór kaczki,  
Przodownik pracy — pchając taczki!”*

Nie, to jest naprawdę wzór śmiałej samokrytyki! nawet

przodowników nie boją się zaczepić! Toć wystarczy, że taka agitbrygada przyjedzie na karny odcinek robót i zaśpiewa podczas koncertu:

*„Niechaj słucha Wołga-rzeka!  
Jeśli zawsze obok zeka  
Na budowie czuwają czekałsi —  
Znaczy to, że wszędzie sięga  
Naszej władzy wszechpotęga  
I że są w GPU<sup>2</sup> — komuniści!”*

— to przecież wszyscy ukarani, a zwłaszcza recydywiści, od razu rzucą karciecia i wezmą się z zapalem do roboty!

Miały miejsce również imprezy innego rodzaju: grupa najlepszych przodowników pracy odwiedza karną kompanię, albo barak karny, a towarzyszy jej agitbrygada. W oficjalnej części programu przodownicy przemawiają do sumienia opornym, wyjaśniają im jakie *korzyści* daje wykonanie norm (żarcie zaraz się poprawi). W części artystycznej — brygada intonuje pieśń:

*Wre dokoła walka ostra:  
To nasz Kanał Wołga-Moskwa  
Kruszy opór śnieżycy i mrozu!*

albo całkiem już otwarcie:

*Żeby móc lepiej żyć,  
Żeby jeść, żeby pić —  
Trzeba grunt lepiej kopać i ryć!*

Po czym wszystkim chętnym proponuje się — nie przejście do zony, to byłoby za proste, ale przeniesienie się do baraku *przodowników* (z karnego) gdzie już na nich czeka jedzenie! To się nazywa sukces artystyczny! (Agitbrygady, prócz centralnej, nie składają się z ludzi zwolnionych od innych obowiązków. Dostają tylko dodatkową porcję kaszy w dniu występu).

A wyższe, subtelniejsze formy pracy kulturalnej? Na przykład — „przy czynnej współpracy samych więźniów prowadzi się akcję w celu zwalczania fałszywego egalitaryzmu przy ustalaniu płac”. Pomyśleć tylko — jak głęboki sens ukryty jest w tym zdanku! Znaczy to, że na zebraniu brygady jeden z więźniów wstanie i zgłosi propozycję: nie dawać temu facetowi pełnego przydziału, za mało robił łopatą, te 200 gramów dodajcie lepiej mnie!

---

2. Za kadencji Jagody.



Albo — sądy koleżeńskie? (W pierwszych latach po rewolucji nosiły nazwę „koleżeńsko-umoralniających” i rozpatrywały sprawy gier hazardowych, bójek, kradzieży — ale czy tym się taki sąd powinien zajmować? I powoływanie się na moralność trąciło burżuazyjną przeszłością, zrezygnowano więc z tego). Gdy zaczął się okres przebudowy (od roku 1928) sądy zaczęły rozpatrywać wypadki bumelanctwa, symulacji, złej opieki nad inwentarzem, braków produkcyjnych, marnotrawienia surowca. I jeśli tylko w składzie sądu nie znalazły się przypadkiem obce klasowo elementy (inaczej mówiąc — jeśli w skład kolegium wchodził wyłącznie mordercy, przekabaceni knajacy, defraudanci i łapownicy) to sądy koleżeńskie w swoich orzeczeniach składały na ręce komendanta wnioski o karne pozbawienie widzeń, paczek, odliczonych już od terminu kary dni, zwolnień warunkowych. Gdy chodziło o niepoprawnych — proponowały przeniesienie ich z obozu ciupasem. Jakież to rozumne, sprawiedliwe pociągnięcia i jak cenną jest rzeczą, że inicjatywa w tym wypadku pochodzi od samych więźniów! (Oczywiście zdarzają się też trudności. Pozwali przed sąd byłego kułaka, a ten powiada: „Wasz sąd — jest koleżeński, a ja dla was zawsze byłem kułakiem, nie żadnym kolegą. Tak, że nie macie prawa mnie sądzić!”. Zbił ich z pantałyku. Zwrócili się więc do wydziału polityczno-wychowawczego GUITŁ, skąd nadeszła odpowiedź: pod sąd! Macie sądzić faceta bez ceremonii!).

Co jest fundamentem całej działalności kulturalno-wychowawczej w obozie? „*Nie pozostawiać więźnia po robocie ani na chwilę własnemu losowi i własnym myślom, aby nie stwarzać okazji do recydywy jego dawnych, przestępczych skłonności*”. (No, na przykład, żeby Pięćdziesiątka Ósemka nie miała czasu myśleć o polityce). Istotne jest „*aby więzień zawsze był w zasięgu wpływów wychowawczych*”.

Wielką pomoc okazują tu współczesne środki techniczne, na przykład: megafony na każdym słupie i w każdym baraku! Nie powinny milknąć ani na chwilę! Stale i systematycznie, od pobudki aż do dzwonu wieczornego powinny one klarować więźniom, jak można zastrzyć sobie na skrócenie kary: informować co chwilę o tym, jak idzie praca, o brygadach przodujących i tych, co zalegają z planem, o takich, co przeszkadzają innym w pracy. Godny zalecenia jest też taki zabieg, bardzo oryginalny: nadawanie przez radio rozmów z poszczególnymi opornymi i niesumiennie pracującymi więźniami.

No i prasa, rozumie się, prasa! — najostrzejszy oręż naszej partii. Oto najlepszy dowód, że istnieje w naszym kraju wolność

prasy: więźniowie też mają swoje organy prasowe! Owszem! W jakim jeszcze kraju jest możliwe, aby skazańcy mieli własne gazety?

Gazety te bywają dwojakiego rodzaju: ścienne, rękopiśmienne, albo też — drukowane. Zarówno jedne jak drugie — mają swoich korespondentów, którzy bez cienia trwogi biczą wszelkie wady (więźniów) i ta samokrytyka popierana jest przez Kierownictwo. Jak wielką wagę samo Kierownictwo przywiązuje do istnienia wolnej prasy obozowej — dowodem choćby rozkaz nr 434, wydany w Dmitłagu: „ogromna większość korespondencji nie znajduje żadnego echa”. Gazety zamieszczają również zdjęcia przodowników pracy. Gazety udzielają wskazań. Gazety demaskują. Gazety zwracają również uwagę na wypadki wrogów klasowych — po to, aby parowano je śmieiej. (Gazeta — jest najlepszym współpracownikiem oddziału operacyjnego!). I w ogóle gazety są zwierciadłem życia obozowego, pokazują je z całą rzetelnością i będą nieocenionym dokumentem dla potomnych.

Na przykład — gazeta archangielskiego zakładu karnego z 1931 roku roztacza przed nami obraz rozkwitu i dostatku w które opływa życie więźniów: „spluwaczki, popielniczki, cetrata na stołach, czynne wszędzie głośniki radiowe, portrety przywódców i hasła na ścianach, dobitnie ilustrujące linię generalną partii — oto owoce, którymi *zasłużenie* raczyć się mogą skazani na karę pozbawienia wolności!”.

Tak, bardzo cenne owoce! Ale jak to odbiło się na życiu owych pozbawionych wolności? Ta sama gazeta pisze po upływie sześciu miesięcy: „Wszyscy z jednakową energią wzięli się do roboty... Zwiększyło się wykonanie planów produkcyjno-finansowych... Wikt uległ redukcji ilościowej i pogorszyła się jego jakość”.

No, ale to nic! To tylko głupstwo! To zawsze można naprawić<sup>3</sup>.

No i gdzie się to wszystko podziało?... O, jak nietrwale jest na tym świecie wszystko, co piękne i doskonałe! Mieliśmy tak prężny, tętniący życiem, optymistyczny system wychowania więźniów, rozkręcony, jak karuzela, czerpiący soki z samych fundamentów Przodującej Teorii, pozwalający się spodziewać, że za kilka lat nie będzie już w naszym kraju ani jednego przestępcy (szczególnie 30 listopada 1934 roku, w przeddzień śmierci Kirowa, wszystkim tak się zdawało) — i co to się raptem stało?

3. Do tej części rozdziału materiały były zaczerpnięte z pracy *Od więzień...* i książki Awerbacha.

Nadszedł z nagłą okres lodowcowy (rzecz jasna — bardzo potrzebny, całkowicie niezbędny) i opadły delikatne płatki szlachetnych poczynań. Gdzie się podziało przodownictwo pracy i współzawodnictwo socjalistyczne? I gazety obozowe? Szturmy, złoty, podpisywanie apeli i czyny społeczne? Kultsowiety i sądy koleżeńskie? Walka z analfabetyzmem i kursy techniczno-zawodowe? Co tam kursy, kiedy głośnie i portrety przywódców też kazano wynieść z zony! (Już nie mówiąc o spluwaczkach). Ile kolorów straciło naraz życie więźniów! O ileż to dziesięcioleci wstecz zostało ono odrzucone, gdy pozbawiono je tych arcyważnych rewolucyjno-więziennych zdobyczy! (Ale bynajmniej nie zamierzamy protestować: przedsięwzięte przez partię kroki były niezbędne i bardzo na czasie).

Artystyczno-poetycka forma haseł przestała być w cenie, slogany przybrały kształt jak najprostszy: wykonamy! przekroczymy! Oczywiście — wychowania estetycznego, całej tej zabawy z muzami-podfruwajkami nikt wyraźnie nie zabraniał, ale te możliwości bardzo zostały ograniczone. Weźmy na przykład jedną z workuckich zon. Skończyła się dziewięćmiesięczna zima, nadeszło trzymiesięczne lato, nieprawdziwe, żalosne jakieś. Naczelnik działu KO czuje wręcz ból serca na myśl o tym, że zona ma wygląd tak brzydki i brudny. W takich warunkach nie ma co marzyć o tym, aby przestępca zastanowił się głębiej nad doskonałością naszego ustroju, z którego sam się wyłączył. Dział KO obwieszcza więc, że kilka niedziel obróconych będzie na czyn społeczny. W wolnych chwilach więźniowie z wielką satysfakcją robią „klomby” — a że nic tu nie rośnie, więc na martwych pagórkach zamiast kwiatów układają zawile mozaiki z mchu, porostów, tłuczonego szkła, żwiru, żużlu i okruchów ceglanych. Później dokoła takich „klombów” ustawia się płotki z listew tynkarskich. Chociaż nie tak tu teraz ładnie, jak w parku imienia Gorkiego — ale KO z tego też jest rad. Powiecie pewno, że za dwa miesiące spadną deszcze i to wszystko pójdzie w diabły. No cóż, to pójdzie. Nie szkodzi. Na przyszły rok zaczniemy od nowa.

A w co się przekształciły pogadanki polityczne? Na 5-ty OŁP Unzłagu przyjeżdża lektor z ośrodka Suchobezwodnyj. Po robocie więźniowie zostają doprowadzeni na wykład. Towarzysz nie ma wprawdzie wykształcenia średniego, ale w sposób politycznie zupełnie prawidłowy wygłasza bardzo pożyteczny odczyt na aktualny temat: „O walce patriotów w Grecji”. Więźniowie siedzą półdrzemiąc, chowając się za plecami siedzących przed nimi,

nie widać żadnego zainteresowania. Lektor opowiada o straszliwym prześladowaniu patriotów i o tym, jak to kobiety greckie, całe we łzach, napisały list do towarzysza Stalina. Kończy się wykład i podnosi się niejaka Szeremeta, taka kobieta ze Lwowa, niby naiwna, ale cwana i zadaje pytanie: „Obywatelu naczelniku! Powiedzcie no — a do kogo *my* moglibyśmy napisać?...”. I już cały pozytywny wpływ odczytu właściwie poszedł na marne.

Z form działalności wychowawczo-poprawczej zachowały się w dziale KO tylko takie: pisanie opinii o wykonaniu normy i o zachowaniu się więźnia — na marginesie jego podań do komendanta; roznoszenie listów, mających już wizę cenzury; oprawianie roczników gazet i chowanie ich przed więźniami, żeby nie zużyli ich do machorki; organizowanie koncertów amatorskich trzy razy do roku: zdobywanie farb i płótna dla malarzy, żeby malowali w zonie co należy i robili obrazy dla panów władzy, do ich mieszkań. No i trzeba trochę tam pomóc operowi, ale to już nieoficjalnie.

Po wszystkim, co tu zostało powiedziane, nie powinno dziwić nikogo, że pracownikami KO zostają nie pełni inicjatywy i ognia organizatorzy, lecz najczęściej — ludzie troszkę jakby nierozgarnięci i otepiali.

Aha! Mają jeszcze jedno zadanie i to ważne, oto ono: *zawidywanie skrzynkami!* Trzeba je czasem otwierać, czyścić i znów zamykać — te nieduże, pomalowane na szaro-bury kolor skrzynki, rozwieszane w zonie na widocznych miejscach. Na skrzynkach widnieją napisy: „Do Najwyższego Sowietu ZSSR”, „Do Rady Ministrów ZSSR”, „Do Ministra Spraw Wewnętrznych”, „Do Prokuratora Generalnego”.

Proszę bardzo, pisać wolno! — istnieje u nas wolność słowa. My tam już będziemy wiedzieć co i gdzie. Są tu u nas specjalni towarzysze, którzy to czytają.



Co ludzie wrzucają do tych skrzynek? Prośby o ułaskawienie? Nie tylko. Niekiedy — donosy (tak robią początkujący) — już tam KO się połapie, że wystarczy je przekazać nie do Moskwy, tylko do sąsiedniego gabinetu. A co jeszcze? Czytelnik bez należnego doświadczenia pewno nie zgadnie! Otóż wrzucają tam — wynalazki! Wspaniałe wynalazki, które powinny zrewolucjonizować całą współczesną technikę, a w każdym razie — zapewnić ich autorom wolność.

Wśród najzwyczajszych, normalnych ludzi ilość wynalazców (dotyczy to również poetów) jest znacznie większa, niż się do-

myślamy. W obozie zaś roi się od nich. Toć trzeba jakoś stąd wyleźć! Wynalazczość jest to sposób ucieczki, nie narażający nikogo na kulę ani bicie.

Przy rozprowadzaniu do roboty i na apelu wieczornym, przy pracy z tragami i kilofem, ci służebnicy muzy Uranii (trudno znaleźć właściwszą patronkę) ze zmarszczką na czole i z wielkim mozołem rozmyślają nad wynalezieniem czegoś takiego, co zaparłoby dech całemu rządowi i rozпалиłoby jego apetyty.

Na przykład — taki Lebediew z obozu Chowrino, radiowiec. Teraz, kiedy dostał już odpowiedź negatywną, nie ma czego ukrywać i sam mi wyznaje, że odkrył zjawisko zбочenia magnetycznego igły kompasu pod wpływem zapachu czosnku. Zakładał, że opierając się na tym można będzie modulować z pomocą zapachów częstotliwość drgań elektromagnetycznych i w ten sposób przekazywać zapachy na znaczne odległości. Jednakże koła rządowe nie uznały tego projektu za ważny dla celów wojskowych i nie okazały zainteresowania. A więc — niewypał. Trzeba albo tyrać tu dalej, albo wymyśleć coś lepszego.

Ale niektórych, co prawda — nader rzadko — nagle dokądś wzywają! Sam niczego nie powie, nie wyjaśni, żeby nie zapeszyć, i nikt w obozie nie potrafi zgadnąć: dlaczego właśnie jego i dokąd go zabrali? Jedni znikają na zawsze, inni po jakimś czasie wracają na swoje miejsce. (I nawet teraz nikt z nich gęby nie otworzy, żeby go nie wysmiano. Albo zacznie ci puszczać dym w oczy. Leży to już w charakterze zeków, aby dodawać sobie blasku rozmaitymi opowieściami).

Spędziłem jakiś czas na Rajskich Wyspach i miałem jednak okazję przyjrzenia się drugiemu końcowi przewodu: wiem, *dokąd* te listy idą i jak tam są czytane. Dlatego pozwolę sobie rozerwać trochę cierpliwego czytelnika tej niewesołej książki.

Niejaki Truszlakow — niegdyś lejtnant armii sowieckiej, konuzjowany w Sewastopolu, wzięty tam do niewoli, wtrącony później do Oświęcimia i po tych wszystkich przeżyciach jakby trochę stuknięty — potrafił jednak, siedząc już w sowieckim obozie, złożyć jakąś tak intrygującą propozycję, że przeniesiono go do instytutu naukowo-badawczego dla więźniów (to jest do „szaraszki”). Okazał się tu istną fontanną wynalazków i ledwie zwierzchność dążyła odrzucić jedno odkrycie — Truszlakow proponował następne. I chociaż żadnego z tych wynalazków nie doprowadzał do fazy ścisłych obliczeń, ale tak był pełen świętego ognia i zarazem — niedomówień, tak rzadko się odzywał i tak wyraziste miał spojrzenie, że nie tylko nikt nie śmiał posądzić go o hochsztaplerstwo, a nawet pewien mój przyjaciel, bardzo po-

ważny inżynier, twierdził, że Truszlakow jest nowym Newtonem, jeśli chodzi o głębię koncepcji. To fakt, że nie zdołałem poznać wszystkich tych koncepcji, ale właśnie otrzymał on zlecenie zaprojektowania i skonstruowania *pochłaniacza fal radarowych*: chodziło o realizację jego własnej propozycji. Potrzebna mu była pomoc z zakresu wyższej matematyki i w charakterze matematyka przydzielono mu właśnie mnie. Truszlakow tak mi wyjaśnił cel pracy:

— aby nie odbijać fal radaru, samolot, albo czołg powinien mieć pokrycie z wielowarstwowego materiału (jaki to materiał — tego mi Truszlakow nie powiedział: albo go jeszcze sam nie wybrał, albo na tym właśnie polegała najważniejsza jego tajemnica). Fala elektromagnetyczna powinna była utracić cały swój impet w trakcie wielokrotnych załamań i odbić na granicach tych warstw. I oto nie znając właściwości owego materiału, ale wykorzystując prawa geometrycznej optyki i wszelkich innych znanych mi zasad, powinienem był dowieść, że fala tak się zachowa, jak to przewidział Truszlakow, a ponadto jeszcze miałem wyznaczyć optymalną ilość wspomnianych warstw!

Rozumie się, że nie wiele mogłem tu zdziałać. Również Truszlakow nie dał sobie z tym rady. Nasz twórczy związek się rozchwiał.

Wkrótce potem Truszlakow przyniósł mi do biblioteki (byłem tam również bibliotekarzem) zamówienie na abonament międzybiblioteczny (chodziło o wymianę z Księgozbiorem Leninowskim). Nie wymieniając żadnych autorów ani danych bibliograficznych napisał po prostu:

„Jakieś książki o technice lotów międzyplanetarnych”.

Ponieważ mieliśmy dopiero rok 1947, nic prawie prócz powieści Juliusza Verne'a Biblioteka Leninowska dostarczyć mu nie mogła. (Ciołkowskiego nieczęsto jeszcze wtedy wspomniano). Próba przygotowania wyprawy na księżyc nie udała się, więc Truszlakowa znów strącono do otlchani. Pojechał do obozu.

A listy z obozów nadchodziły bez przerwy. Włączono mnie (tym razem w charakterze tłumacza) do grupy inżynierów, którzy rozpatrywali całe stosy przybywających z obozów projektów wynalazków i wniosków na patenty. Tłumacz był potrzebny z tego powodu, że wiele projektów w latach 1946-47 pisano po niemiecku.

Ale to nie były wnioski! I nie były to projekty pisane z dobronoli! Ból i wstyd ogarniał człowieka przy ich czytaniu. Były to stroniczki wydarte z męką, wymuszone, wyduszone z niemieckich jeńców. Toż nie uda się trzymać tych Niemców w niewoli

przez całą wieczność: trzy, czy tam nawet pięć lat po wojnie trzeba będzie jednak puścić ich *nach der Heimat*. Trzeba więc było w ciągu tych paru lat wydusić z nich wszystko, co mogło przydać się naszemu krajowi. Zdobyć patenty, wywiezione do zachodnich zon, choćby w takiej oto bladej kopii.

Mogłem sobie łatwo wyobrazić jak to się odbywało. Niczego nie przeczuwającym, zdyscyplinowanym Niemcom, rozkazywano złożyć na piśmie oświadczenie dotyczące zawodu, miejsca pracy, stanowiska. Następnie — i zajmował się tym na pewno III-ci oddział, operacyjny — wzywano wszystkich inżynierów i techników pojedynczo do ustronnego gabinetu. Z początku wypytywano ich z pełną szacunku uwagą (bardzo to Niemcom pochlebiało!) o rodzaj i charakter ich przedwojennej pracy w Niemczech (zaczynali już łudzić się nadzieją, że będą przeniesieni z obozu do jakiejś łżejszej roboty). Następnie żądano od nich podpisu pod zobowiązaniem do nierozgłaszania treści tych rozmów (a jeśli coś jest *verboten*, to Niemcy przestrzegać będą święcie) i wreszcie żądano od nich, bez żadnego owijania w bawełnę, aby wymienili na piśmie wszystkie interesujące szczegóły ich dawnych przedsięwzięć i ważne techniczne innowacje, jakie tam wprowadzono. Niemcy po niewczasie pojmowali w jakiej znaleźli się pułapce, gdy z dumą podkreślali w czasie rozmów, jakie to stanowiska piastowali! Nie mogli już teraz nie napisać po prostu *niczego* — zagrożono im, że nigdy im wówczas nie pozwolą na powrót do kraju (a w tamtych latach było to całkiem prawdopodobne).

Zgnębieni i zgryzieni, ledwie wodząc piórem po papierze, Niemcy zabierali się do pisania... Ratowało ich przed wyjawieniem naprawdę poważnych tajemnic tylko to, że ciemni operzeckieści nie byli w stanie wnikać w treść tych wywodów; jedynym uchwytym miernikiem była dla nich ilość stron. My zaś, rozgryzając te opisy, prawie nigdy nie mogliśmy znaleźć w nich niczego istotnego: referaty te były albo wewnętrznie sprzeczne, albo — ostentacyjnie naukowe pozory zasłaniały tu luki w punktach istotnych, bądź też — najpoważniej w świecie traktowały one o takich „innowacjach”, które dobrze były znane już naszym dziadkom.

Za to wnioski pisane po rosyjsku! Jakimż nieraz lokajskim smrodem trąciły! Znow nie trudno sobie wyobrazić, jak tam, w obozie, w darowaną z łaski żalną niedzielę, autorzy tych projektów, osłaniając się starannie przed wzrokiem sąsiadów, mydlili im na pewno oczy, twierdząc, że piszą prośbę o ułaskawienie. Bo czy mogło im przyjść do biednych, zaczadzonych



głów, że nie leniwe i syte Kierownictwo będzie czytać ich wypracowania, przeznaczone dla najwyższych władz — lecz że znajdują się one w rękach takich samych, zwyczajnych zeków?

I oto wertujemy szesnaście dużych arkuszy (na pewno wybrał sobie ten papier w KO!) zawierających następujący, szczegółowo opracowany projekt: 1) „O wykorzystaniu promieni podczerwonych do ochrony zon obozowych”. 2) „O wykorzystaniu fotokomórek dla obliczania ilości osób, przechodzących przez bramę obozu”. I rysunki techniczne załączył, sukinsyn, i fachowe wyjaśnienia. I taką dodał przedmowę:

„Drogi Józefie Wissarionowiczu!

Chociaż jestem skazany za moje przewinienia z artykułu 58-ego na długie lata więzienia, ale również tutaj pragnę pozostać wierny naszej ukochanej władzy sowieckiej i pomóc jej w dziele czujnego pilnowania zawziętych wrogów ludu, którzy mnie tu otaczają. Jeśli otrzymam wezwanie, przeniesienie z obozu i niezbędne środki — to podejmuję się wprowadzić w życie ten system”.

To ci dopiero „polityczny”! Jego traktat przekazujemy sobie z rąk do rąk, lekturze towarzyszą całkiem dosadne obozowe określenia (tu sami swoi). Jeden z nas siada do pisania recenzji: „projekt jest dowodem, że wykształcenie techniczne autora jest bardzo dalekie od doskonałości... projekt nie bierze pod uwagę... nie przewidziane jest w nim... nie wydaje się opłacalny... nie daje gwarancji bezpieczeństwa... może doprowadzić nie do wzmocnienia, lecz do osłabienia systemu ochrony i nadzoru w obozach...”.

Jakie sny masz dzisiaj, Judaszu, w swoim dalekim obozie? Kij ci w ryj, bogdajbyś tam wykitował, gadzie!

A oto pakiet z Workuty. Autor utyskuje, że Amerykanie mają już bombę atomową, a nasza ojczyzna dotąd jest jej pozbawiona. Pisze, że w Workucie często o tym rozmyśla, że pragnie pomóc partii i rządowi nawet siedząc za drutem kolczastym. I dlatego pragnie on nadać swemu projektowi nazwę:

*R A J — Rozbicie Atomowego Jądra.*

Ale projekt ten (już to skądś znamy) nie jest jeszcze zakończony z powodu braku w obozie workuckim literatury technicznej (mógłby ktoś pomyśleć, że nie brak za to literatury pięknej!). I ten barbarzyńca prosi chwilowo tylko o to, aby mu przysłać instrukcję o kierowaniu rozpadem ciał promieniotwórczych, po

czym będzie już w stanie szybko ukończyć swój projekt RAJ.

Pokładamy się ze śmiechu przy swoich biurkach i prawie chórem komponujemy następujący wierszyk:

*Tyle jest wart ten R A J  
Co ch.. — i to bez jaj!*

Jednocześnie zaś w obozach męczyli się i ginęli naprawdę wybitni uczeni, ale Kierownictwo naszego najdroższego ministerstwa wcale nie kwapiło się, aby ich stamtąd wyłuskać i zaprząć do jakiejś odpowiedniejszej roboty.

Dla Aleksandra Leonidowicza Czyżewskiego ani razu nie znalazło się miejsca w „szaraszce” w ciągu wszystkich tych długich lat, które odsiedzieć musiał w obozie. Czyżewski jeszcze przed pójściem do obozu był u nas bardzo źle widziany za to, że dostrzegał związek między rewolucjami i procesami biologicznymi — a zmianami zachodzącymi na słońcu. Działalność jego w ogóle miała charakter niebanalny, problematyka jego poszukiwań była niezwykła, nie mieściła się w przyjętym schemacie badań naukowych, nie wydawało się możliwym zastosowanie jego odkryć do celów wojskowych i przemysłowych. Dzisiaj po jego śmierci, publikuje się artykuły o nim, naszpikowane pochwałami: ustalił, że częstotliwość przypadków zawału serca wzrasta (szesnastokrotnie!) w związku z burzami magnetycznymi. Przewidywał z wielką dokładnością nadejście epidemii grypy, opracowywał metodykę wczesnego rozpoznawania raka przez analizowanie odczynów Biernackiego (odczyn opadania czerwonych ciałek krwi w osoczu), wysunął hipotezę dotyczącą promieni Z, wysyłanych przez słońce.

Ojciec sowieckiej astronautyki, Korolow, był co prawda przeniesiony do szaraszki, ale jako konstruktor lotniczy. Kierownictwo szaraszki nie pozwalało mu zajmować się raketami, tak, że musiał studiować te problemy po nocach.

(Nie mamy pojęcia czy Lew Landau posłany zostałby do szaraszki, czy może raczej — na jakąś odległą wyspę Archipelagu, bo już złamano mu żebro i już podpisał zeznanie, że jest niemieckim szpiegiem, ale uratowało go wstawiennictwo Piotra Kapicy).

Nasz znakomity specjalista w dziedzinie aerodynamiki i w ogóle uczony nadzwyczaj wielostronny, Konstanty Iwanowicz Strachowicz, po przywiezieniu z leningradzkiego więzienia był w obozie w Ugliczu, podręcznym w obozowej łaźni. Z bezstroskim, godnym dziecka uśmiechem, który nie wiadomo jak udało mu się zachować w czasie całej dziesięcioletniej odsiadki, tak

teraz o tym opowiada: najprzód siedział kilka miesięcy w celi śmierci, a później, już w obozie, zapadł na dystroficzną biegunkę. Gdy się z tego wygrzebał, kazano mu stać na warcie przy wejściu do umywalni, gdy wpuszczano do niej brygady kobiece (z chłopami by sobie nie poradził, tam musiano posyłać mocniejszych). Kazano mu nie wpuszczać bab do umywalni inaczej, jak na golasa i z pustymi rękoma, tak żeby wszystko było oddane do kamery dezynfekcyjnej, a już zwłaszcza — biustonosze i majtki, bo sanitariat właśnie te części garderoby uważał za główne siedliska wszy, kobiety natomiast starały się tego właśnie nie oddawać i przemycić jakoś przez łaźnię. Strachowicz zaś miał wygląd niepowszedni: broda — jak u lorda Kelvina, czoło — jak urwisko, dubeltowej wręcz wysokości, właściwie było to już coś więcej niż czoło. Baby prosiły go i kłęły, sierdziły się i śmiały, i zapraszały na kupę miotełek brzozowych leżących w kącie, ale nie było na niego sposobu. Strachowicz był bezlitosny. Wówczas postanowiły jednogłośnie nadać mu złośliwe przydomko Impotent. I nagle tego Impotentą dokądś zabrano. Okazało się, że został — ni mniej, ni więcej — szefem pracowni, konstruującej pierwszy w Rosji silnik turbo-odrzutowy.

O tych natomiast, którzy musieli wyciągnąć kopyta przy łopacie — nic nie wiemy...

A jeśli ktoś został aresztowany i zlikwidowany w trakcie pracy nad odkryciem naukowym (jak Mikołaj Michajłowicz Orłow, który w 1936 roku kończył pracę nad technologią długoterminowego przechowywania produktów żywnościowych) — to jak się o nim czegoś pewnego dowiemy? Przecież odkrycie z a k r y w a n e było zaraz po aresztowaniu autora.



W smrodliwej, pozbawionej tlenu atmosferze obozu płomyczek KO to zaskwierczy i zaiskrzy się jaśniej, to ledwie pełga. Ale nawet to wątłe światełko ściąga z różnych baraków i brygad — ludzi. Jednych sprowadza tu przyziemna potrzeba: chcą wydrzeć z książki, albo z gazety stroniczkę na skręty, dostać arkusik papieru na podanie o ułaskawienie, bądź napisać je tutejszym atramentem (w baraku nie wolno mieć atramentu, zresztą tu też jest pod kluczem: przecież atrament służy do robienia fałszywych pieczętek!). Inni przychodzą tu od parady, aby błysnąć swoimi ambicjami kulturalnymi. Inni — aby otrzeć się o ludzi i nagadać z kimś, kto nie należy do ich uprzykrzonej brygady. Jeszcze inni — aby posłuchać tego i owego i potem móc *nakapać* kumowi. Ale są również tacy, którzy nie wiedzą sami jaka to nieznana

siła ciągnie ich tu na krótkie wieczorne kwadransy, chociaż są znużeni i lepiej byłoby poleżeć na dechach, aby zmordowanemu ciału dać trochę odpoczynku. Te odwiedziny w KO — w niewiadomy, w nieuchwytny sposób dają jednak duszy odrobinę wytchnienia. Choć przychodzący tu ludzie są tak samo głodni, jak wtedy, gdy siedzą na wagonikach, ale tu mówią nie o chlebie, nie o kaszy i nie o normach. Rozmawia się tu nie o tym, co stanowi tkankę życia obozowego — i już to jest rodzajem protestu duchowego, już to jest darem dla umysłu. Rozmawia się tu o jakiejś baśniowej przeszłości, jakiej wcale mieć nie mogli ci szarzy, wygłodzeni, zeszmaceni ludzie. Mówi się tu o jakimś błogosławionym, nieopisanie swobodnym i pełnym ruchu życia tych szczęściarzy, którzy nie siedzą za drutami, którym udało się dziwnym trafem uniknąć więzienia. I o sztuce też tu się mówi, i nieraz z jakim uniesieniem!

Jest tak, jakby pośród zawieruchy sił nieczystych ktoś nakreślił na ziemi ledwie widoczny, pełgający krąg świetlny — co to lada chwila może zgasnąć, ale jakoś jeszcze go widać — i oto człowiekowi wydaje się, że wewnątrz tego kręgu nie ma nad nim mocy ciemna siła. Choćby przez pół godziny.

A jeszcze tu ktoś brzdąka na gitarze! ktoś nuci półgłosem — i wcale nie to, co każą śpiewać na scenie. I nagle przenika człowieka drżenie: jest jakieś życie! jest! I patrząc dokoła radośnie, też chciałby coś komuś powiedzieć.

A mów, tylko miej się na baczności. Słuchaj, tylko nie zapomnij uszczypnąć się czasem. Bo na przykład taki Lwa G-n. Jest wynalazcą (nie skończył szkoły inżynierskiej transportu drogowego, miał nadzieję, że uda mu się znacznie zwiększyć moc użytkową silnika, tylko że przy rewizji zabrano mu papiery). Jest także artystą, to z nim razem wystawiamy „Oświadczyzny” Czechowa, Jest również filozofem. Potrafi tak zgrabnie rzecz ująć: „Nie mam zamiaru troszczyć się o dobro przyszłych pokoleń, mogą sami gmerać w ziemi. Złapałem życie za poję i nie puszczać!”. I wbija przy tych słowach paznokcie w blat stołu. „Wierzyć we wzniosłe ideały? — to jakby mówić przez telefon z urwanym drutem. Historia jest zbiorem faktów nie mających ze sobą żadnego związku. Proszę zwrócić mi mój mały ogon! Ameba jest istotą doskonalszą od człowieka: jej funkcje życiowe są prostsze”. Można go słuchać a słuchać: wyjaśni człowiekowi dokładnie dlaczego nie znosi Lwa Tołstoja, a zachwyca się Erenburgiem i Aleksandrem Grinem. Chłopak z niego nietrudny w poźyciu, nie wymiguje się od cięższych robót w obozie. Boruje ściany ciężkim świdrem pneumatycznym, co prawda w takiej

brygadzie, która zapewnia 140 % normy. Jego ojciec został uwięziony w 37-mym i zginął, ale sam on jest pospolitakiem, skazano go za fałszowanie kartek na chleb. Wstydzi się jednak spekulacyjnego paragrafu i lgnie do ludzi z 58-ki. Lgnąć — lgnie, ale oto zaczyna się sezon wewnętrznych rozpraw sądowych w obozie — i ten sympatyczny, interesujący Lowa G-n., co to lubi „łapać życie za poję” występuje jako świadek oskarżenia<sup>4</sup>. Pół biedy, jeśli człowiek nie za bardzo się przed nim wywnętrzał.

Jeśli w obozie są jacyś dziwacy (a nigdy ich nie brak), to na pewno nie ominą działu KO, tu ich się spotka, jak pić dać.

Taki Arystydes Iwanowicz Dowatur — albo to nie dziwadło? Petersburczyk, z francusko-rumuńskiej rodziny, filolog klasyczny, kawaler i samotnik z przekonania i przyzwyczajenia. Oderwano go od Herodota i Cezara, jak kota od szperki i wsadzono do obozu. Duszę ma jeszcze pełną tekstów, proszących się o komentarz i chodzi po obozie, jak lunatyk. Zginąłby tu pierwszego już tygodnia, ale wzięli go pod opiekę lekarze. Dzięki nim dostał się na bardzo cenioną funkcję statystyka sanitariatu, a ponadto dwa razy w miesiącu, z pożytkiem dla obozowego narybku felczerskiego, kazano Dowaturowi prowadzić wykłady. Wykładać łacinę w obozie! Arystydes Iwanowicz staje przy malutkiej tablicy i promienieje, jak za najlepszych uniwersyteckich czasów! Wypisuje całe kolumny koniugacji, o jakich tubylcom nigdy się nie śniło i od zgrzytu kruchej kredy serce słodko mu łomoce. Znalazł sobie taki cichy, taki miły kącik! — ale nadciągają już czarne chmury: komendant obozu uznał, że ma w jego osobie do czynienia z człowiekiem uczciwym, a to najrzadsze zjawisko! Mianuje go więc... szefem piekarni! Jest to najbardziej łakomy kąsek w obozie. Szafarz chleba — to król życia! Droga do tej funkcji zaśłana jest ciałami i duszami łagierników, ale nieliczni tylko dotarli do upragnionego celu! I oto — taka funkcja spada z nieba, a Dowatura ogarnia czarna rozpacz. Przez cały tydzień snuje się z miną skazanego na śmierć, wciąż odkładając przejście piekarni. Błaga komendanta aby *ulitował* się nad nim i pozwolił mu spokojnie żyć, jak dawniej, wśród łacińskich koniugacji. Doczekał się wreszcie zmiłowania: funkcję szefa piekarni obejmuje kolejny żulik.

Albo inny dziwak — też zawsze przychodzi do KO po robocie, przesiaduje tu, bo gdzieżby! Ma wielką głowę wydatne rysy twarzy, jakby stworzone dla teatralnej szminki, dobrze wi-

---

4. Tak się składa, że wszyscy, co tak kurczowo czepiają się życia, jakos o wiele mniej są przywiązani do spraw ducha.

doczne z daleka. Szczególnie — te krzaczaste brwi! I ten wyraz twarzy, zawsze tragiczny! Posępny wzrokiem przygląda się z kąta izby naszym mizernym próbom. Nazywa się Kamil Leopoldowicz Gontoir. Zaraz po rewolucji przyjechał z Belgii do Piotrogradu, aby tworzyć tu Nowy Teatr, teatr przyszłości. Kto mógł wtedy pomyśleć, że przyszłość tak będzie wyglądać i że reżyserów pozamyka się w obozach? Gontoir walczył z Niemcami podczas obu wojen światowych: podczas pierwszej wojował na Zachodzie, podczas drugiej — na Wschodzie. A teraz wlepiono mu dychę za zdradę ojczyzny... Jakiej?... Której?...

Ale najpoważniejszymi w KO figurami są, rzecz oczywista — malarze. To oni są tutaj gospodarzami. Jeśli KO dysponuje osobną izbą — to przeznaczają ją dla nich. Jeśli kogoś zwalniają się z *ogólnych* na stałe — to już tylko ich. Ze wszystkich służebników muz — tylko oni są twórcami wartości trwałych, dotykalnych, takich, co to je można powiesić w mieszkaniu i sprzedać za pieniądze. Obrazów nie malują z głowy, to jasne. Zresztą — nikt od nich tego nie żąda. I bo to może dobry obraz wyskoczyć z głowy Pięćdziesiątki Ósemki? Malują po prostu duże kopie pocztówek. Niektórzy muszą do tej roboty kratkować sobie papier, ale bywają nawet tacy, co radzą sobie bez kratkowania. To najlepszy towar artystyczny, jak tajga długa i tundra szeroka, maluj tylko, bracie, a żeby wisiąło, jak należy — już nasza w tym głowa. Nawet, jeżeli nie przypadnie do gustu na pierwszy rzut oka. Przyjedzie, dajmy na to, zastępca dowódcy plutonu WOCHR'y, Wypirało, popatrzy na kopię obrazu Deula „Tryumf Nerona”, burknie:

— A ten — niby co? Swatać się jedzie? To czego taki zduczniały?... — ale i tak obraz weźmie. Malarze wykonują również makatki z dziewczicami w gondolach, łabędziami, zachodami słońca i zamkami. Wszystko to znajduje łatwy zbył wśród towarzyszy oficerów. Nie w ciemną bici malarze robią takie same makatki dla własnych potrzeb, a nadzorcy sprzedają je później poza zoną mając z tego zysk. Popyt jest duży. W ogóle — będąc malarzem — w obozie da się żyć.

Rzeźbiarzom jest gorzej. Dla kadry MWD — rzeźba ma mniejszą wartość estetyczną, jako ciało obce, nieporęczne, nieustawne. Wystarczy trącić — i już rozbita. Rzadko się zdarza, aby rzeźbiarz miał robotę w obozie, jeżeli już — to na marginesie działalności malarskiej; tak radzi sobie Niedow. A też może się zdarzyć, że wpadnie do jego pracowni major Bakajew, zobaczy statuetkę, przedstawiającą matkę i powie:

— Czego ty mi tu płaczące matki rzeźbisz? W naszym kraju matki nie płaczą! — i już się zabiera do rozbijania figurki.

Wołodja Klempner, młody kompozytor, syn zamożnego adwokata, gdy był jeszcze — według obozowych pojęć — *niebitym frajerem* — sprowadził sobie z domu do obozu Beskudnikowo pod Moskwą własny fortepian (wypadek niesłychany, jedyny zapewne w dziejach Archipelagu). Sprowadził go rzekomo po to, aby przyczynić się do rozwoju działalności KO wśród mas, a w istocie, żeby móc samemu dalej komponować. Miał za to zawsze klucz do obozowej świetlicy i po wieczornym apelu grał tam sobie przy świeczce (elektryczność wyłączano). Pewnego razu, gdy tak sobie grał i robił notatki do nowej sonaty, zadrżał nagle, słysząc głos rozlegający się za jego plecami:

— Kaj-da-na-mi wasza muzyka pachnie!

Klempner zerwał się na równe nogi. Spod ściany, gdzie zaczął się w ciemnościach, zbliżał się teraz do fortepianu i świecy major, komendant obozu, stary czekista — wlokąc swój olbrzymi, wydłużający się cień. Major zrozumiał teraz, po co właściwie ten szalbierz sprowadził sobie instrument. Podszedł blisko, wziął do rąk nuty i w ponurym milczeniu przytknął je do płomienia świecy.

— Co pan robi? — nie mógł powstrzymać okrzyku młody kompozytor.

— Do cholery z taką muzyką! — jeszcze ostrzej warknął major przez zaciśnięte zęby.

Strzępy spopielonego arkusza opadły na klawiaturę.

Stary czekista się nie mylił: miała to być rzeczywiście sonata na tematy obozowe<sup>5</sup>.

Jeżeli pojawi się w obozie poeta — to wolno mu układać podpisy do karykatur przedstawiających brakorobów i pisać czasuszki — również poświęcone walce z tymi, co nie przestrzegają dyscypliny.

Innych tematów nie wolno poruszać, ani poetom, ani kompozytorom. I nie mogą oni dla swojej zwierzchności zrobić niczego pożytecznego, konkretnego, uchwytnego.

Prozaików zaś wcale nie ma w obozach, jako że w ogóle być ich nie powinno.

Kiedy proza rosyjska poszła do obozów... — pisze Borys

---

5. Wkrótce znalazł się pretekst aby wpłatać Wołodję w nową, obozową już sprawę i posłać go do Butyrek na dochodzenie. Do swojego obozu już nie wrócił i fortepianu — rozumie się — już mu nie oddano. Czy przetrwał to wszystko, czy żyje? Nie wiem, jakoś o nim nie słyhać.



Słucki. Poszła! — ale nie wróciła. Poszła! ale ślad po niej zaginął...

O całym bezmiarze minionych wypadków, o ilości ofiar i osiągnięciach, które mogły być ich udziałem — nigdy już nie potrafimy powiedzieć nic pewnego. Nikt nie opowie nam o zeszytach, palonych w pośpiechu przed wyruszeniem na etap, o wielkich projektach, co leżały się w czyichś głowach — i razem z tymi głowami wrzucone zostały w mroźną otchłań wspólnej mogiły. Wiersz można wyrecytować sąsiadowi na ucho, wiersze zostają w pamięci, albo przynajmniej pamięć o nich zostaje — ale prozy nie sposób przekazać, zanim praca nad nią nie jest skończona, o wiele trudniej więc jej przetrwać, jest trudna do udźwignięcia, nieporęczna, nie ma w niej zwinnej giętkości, jej istnienie zbyt zależne jest od papieru, aby pokonać mogła wszystkie zasadzki Archipelagu. Kto w ogóle może w obozie zdecydować się na *pisanie*? Arkady Bielinkow napisał to, co zamierzał — rzecz trafiła do rąk kuma i autor rykoszetem oberwał 25 lat. M. I. Kalinina, wcale nie literatka, zapisywała jednak w dzienniczku to, co w życiu obozowym wydawało jej się godne uwagi: „może tam jeszcze komuś się przyda”. Ale to też znalazło się w rękach opera. I poszła do karceru (na dobrą sprawę — wykrcęła się sianem). A Włodzimierz Siergiejewicz G-w, będąc zwolniony spod konwoju i chodząc do pracy poza zonę, pisał gdzieś tam przez cztery miesiące swoje obozowe wspomnienia, ale w chwili niebezpieczeństwa zakopał je w ziemi. Wkrótce przeniesiono go stamtąd, nigdy do tych okolic nie wrócił — i rękopis na zawsze w ziemi został. Nie można więc w zonie, ani poza zoną, a zatem gdzie? Tylko w pamięci! Ale tak pisać można wiersze, nie zaś prozę.

Ilu właściwie zginęło nas — adeptów Klio i Kaliopy — tego nie sposób wykalkulować, wywnioskować z wielkości tego ułamka, który ocalał, żadna ekstrapolacja tego typu na nic tu się nie zda, dlatego że my również nie mieliśmy w istocie żadnej szansy przetrwania (przetrzysając w pamięci moje obozowe przypadki, widzę z całą jasnością, że powinienem był zginąć na Archipelagu — albo tak przystosować się do jego atmosfery, że nie miałbym teraz żadnego powodu, by sięgać po pióro. Uratowała mnie zupełnie uboczna okoliczność — matematyka. Brać w rachubę takich przypadków nie podobna).

Poczynając od lat 30-tych wszystko to, co nosiło nazwę rosyjskiej prozy — jest tylko pianą, pienistym śladem po jeziorze, które wsiąkło w grunt. Jest to jedynie piana, nie zaś proza, bo wolna jest od najważniejszych problemów tych dziesięcioleci.

Najlepsi pisarze przydeptali gardło własnym, najlepszym myśлом, odwrócili się od prawdy i tylko dlatego ocaleli — zarówno oni, jak ich książki. Ci zaś, co nie potrafili wyrzec się głębi, oryginalności i rzetelności — skazani byli w ciągu tych dziesięcioleci na nieuchronną zagładę, najczęściej w obozie, tych było najwięcej. Inni, natchnieni straceńczą odwagą — zginęli na froncie.

Tak wessała ziemia prozaików-filozofów. Prozaików-historyków. Prozaików-liryków. Prozaików-impresjonistów. Prozaików-humorystów.

A tymczasem — właśnie Archipelag dawał jedyną, wyjątkową szansę naszej literaturze, a może nawet całemu piśmiennictwu. Niewyobrażalny rozkwit pańszczyzny w połowie dwudziestego wieku otwierał przed pisarzami perspektywę — w tym tylko jednym, niczego nie okupującym aspekcie — cenne, twórcze, chociaż grożące zagładą<sup>6</sup>.

---

6. Osmieję się rozwinąć tę myśl — choćby w sposób najbardziej pobieżny. Jak świat światem zawsze dotąd społeczeństwo dzieliło się na dwie odrębne i nieprzenikające się wzajemnie warstwy: górną i dolną, warstwę rządzącą — i warstwę jej podległą. Jest to podział prostacki, jak wszystkie podziały, ale jeśli do górnej warstwy zaliczyć nie tylko tych, co mieli najwięcej władzy, pieniędzy i znaczenia, lecz również takich, którzy zdobyli najlepsze wykształcenie — własnym wysiłkiem, czy dzięki swojej sytuacji rodzinnej, jednym słowem wszystkich, którzy nie musieli pracować fizycznie, używać rąk do pracy — to podział ten będzie prawie uniwersalny.

Skoro tak, to można wyodrębnić w literaturze (albo w ogóle — w sztuce, w myśli ludzkiej) cztery kręgi. Pierwszy krąg: przedstawiciele elity opisują (przedstawiają, rezonują na ten temat) elitę, to znaczy — sobie podobnych. Krąg drugi: kiedy przedstawiciele elity opisują tych z dołu, „młodszych braci”. Krąg trzeci: kiedy ci z dołu opisują tych z góry. Czwarty krąg: ci z dołu opisują podobnych sobie, siebie samych.

Ci z górnej warstwy zawsze mieli wystarczającą ilość wolnego czasu, byli majątni, albo przynajmniej cieszyli się dostatkiem, otrzymali odpowiednie wykształcenie i wychowanie. Jeśli kto z nich miał chęć, to zawsze mógł opanować jakąś technikę artystyczną, albo zdobyć biegłość w jakiejś dziedzinie wiedzy. — Ale istnieje pewne ważne prawo życia: dostatek zabija w człowieku chęć do dociekań duchowych. Dlatego też w kręgu pierwszym tyle było wypaczeń artystycznych, tyle chorobliwych i egocentrycznych „szkół”, które przekwitły, nie zostawiając ziarna. I jedynie wtedy, gdy w sferze tej pojawiali się ludzie dotknięci wielkim nieszczęściem osobistym, albo obdarzeni z natury nadzwyczajną pasją poznawczą — powstawała wielka literatura.

Krąg czwarty — to folklor wszystkich ludów świata. Czasu wolnego ci ludzie mieli mało, poszczególne jednostki dysponowały nim tylko w chwilach chwili, ułamkami ułamków były te bezimienne drobiny, jakie udawało się dorzucić do wspólnego skarbu. Były to owoce jakiejś szczęśliwej chwili, powstałe w nagłym natchnieniu zwrotu, czy obrazu. Ale samych takich twórców było bez liku, a prawie zawsze byli to ludzie uciskani i zdający sobie sprawę ze swojego nieszczęścia. Wszystko, co tworzyli, poddawane było potem bezustannej selekcji, było przesiewane i szlifowane miliony razy, przechodząc z ust do ust przez lata i lata. Tak oto trafiły do naszych rąk złoża złota, zwanego folklorem. Wśród tych utworów nie ma dzieł pustych, bez duszy,

Miliony rosyjskich inteligentów poszły tą drogą w celach bynajmniej nie wycieczkowych: czekała ich śmierć i kalectwo, brnęli nią bez żadnej nadziei powrotu. Po raz pierwszy w historii takie mnóstwo ludzi rozgarniętych, doświadczonych, bardzo kulturalnych znalazło się całkiem na serio i raz na zawsze w sytuacji niewolnika, drwała, górnika. W ten sposób po raz pierwszy w historii świata (w takich rozmiarach) doszło do połączenia doświadczeń górnej i dolnej warstwy społeczeństwa! Stopniała bardzo ważna, niby przejrzysta, jak lód, ale w istocie nieprzenikniona dotąd przegroda, która przeszkadzała tym z góry zrozumieć tych z dołu: LITOŚĆ. Litość była motorem szlachetnych postępów miłosiernych dobroczyńców ludzkości (na przykład — wszystkich rzeczników oświecenia!) i właśnie litość mąciła im wzrok! Dręczyły ich wyrzuty sumienia, że cudze nieszczęście nie jest ich udziałem i dlatego uważali za swój obowiązek krzyknąć trzykrotnie głośniejsze, niż inni, że tyle niesprawiedliwości się dzieje, nie troszcząc się przy tym wcale o dogłębną analizę ludzkiej natury tych z dołu i tych z góry, wszystkich bez wyjątku.

Tylko inteligenci uwięzieni na Archipelagu nie czuli już na-

---

ponieważ pośród ich twórców nie było nikogo, kto nie wiedziałby czym jest cierpienie. Odnosząca się zaś do czwartego kręgu literatura pisana („proletariacka”, „chłopska”) — jest literaturą w stanie embrionalnym, dyletancką, niewydarzoną, ponieważ indywidualne umiejętności twórców okazywały się tu zawsze niewystarczające.

Ta sama wada dyletantyzmu była przekleństwem literatury trzeciego kręgu („spojrzenie z dołu w górę”) ale, co gorsza, piśmiennictwo to zastrzeżone było zawiścią i nienawiścią, uczuciami bezpłodnymi, bezużytecznymi dla sztuki. Znajduje w nim wyraz ta sama omyłka, która razi w książkach rewolucjonistów: wady klas wyższych przypisywane są wyłącznie im, a nie ludzkiej naturze, co więcej, twórcy nie zdają sobie sprawy, z jaką łatwością sami staną się w przyszłości spadkobiercami tych wad. — Albo na odwrót: literatura ta skażona jest lokajskim serwilizmem.

Można się było spodziewać, że najbardziej cenna moralnie będzie literatura drugiego kręgu („spojrzenie z góry w dół”). Była dziełem ludzi, w których dobroć, głód prawdy i poczucie sprawiedliwości przeważało nad kwietyzmem i przywiązaniem do dostatku, ludzi, którzy jednocześnie odnaczyli się dojrzałym i mierzącym wysoko talentem. Ale wielką niedomogą tego kręgu była niezdolność do rzetelnego, głębokiego zrozumienia opisywanych ludzi. Autorzy ci współczuli, litowali się, lali łzy, oburzali się — ale właśnie dlatego nie potrafili pojąć do głębi. Patrzyli zawsze na innych z góry i z boku, nigdy nie znaleźli się w skórze tych z dołu i jeśli nawet któremu udało się przerzucić jedną nogę przez ten parkan, to już drugiej nie potrafił.

Egoizm natury ludzkiej przyczynia się zapewne do tego, że przeobrażenie takie nastąpić może, niestety, tylko jako wynik gwałtu. Osobowość Cervantesa ukształtowała się wtedy dopiero, gdy dostał się do niewoli, Dostojewskiego — na katordze. Na Archipelagu GUŁag to samo doświadczenie przeprowadzone zostało nad całymi milionami głów i serc.

reszcie tych wyrzutów sumienia: niedola ludu była ich własnym udziałem. Dopiero teraz wykształcony Rosjanin mógł opisywać pańszczyźnianego chłopca *od wewnątrz*, ponieważ sam stał się chłopem pańszczyźnianym!

Ale teraz nie miał za to ołówka, papieru, czasu, a jego palce też straciły miękkość, elastyczność. Teraz nadzorcy przetrząsali jego rzeczy, zaglądali mu do gęby i do tyłka, a operczekiści — patrzyli mu w oczy.

Doszło do zespolenia doświadczeń górnej i dolnej warstwy społeczeństwa — ale nosiciele tej sumy doświadczeń wymarli...

Tak oto — nie mająca dotąd precedensu filozofia i literatura — już w chwili narodzin pogrzebana została pod żelazną skorupą Archipelagu.



Ale wśród bywalców KO najwięcej jest uczestników ruchu amatorskiego. Zadanie kierowania tym ruchem jest dalej domeną KO w stadium dekadencji, jak było nią w czasach młodości tego działu<sup>7</sup>.

Na poszczególnych wyspach Archipelagu ruch amatorski rozwijał się i zanikał, jak fale przyływu i odpływu, ale na morzu dzieje się to regularnie, tu zaś miało charakter kurczowy. Przyczyny tego znane były tylko zwierzchności, a nie zekom. Może naczelnik działu KO raz na pół roku musiał się czymś wykazać w sprawozdaniach, a może zależało to od jakichś wizyt wyższej władzy.

W głuchych podobozach wygląda to mniej więcej tak — naczelnik KO (w zonie zwykle nigdy go nie widać, wszystkim kieruje w jego zastępstwie zek-wychowawca) wzywa harmonistę i powiada:

— Słuchaj no, zajmij się organizacją chóru<sup>8</sup>! I żeby za miesiąc był mi występ.

— Ależ ja nut nie znam, obywatelu naczelniku!

---

7. Powszechna dbałość o rozwój amatorskiego ruchu artystycznego w naszym kraju — co w końcu kosztuje całkiem sporo — ma pewien cel, tylko jaki? Odpowiedź nie jest prosta. Częściowo — to resztki siły bezwładnej, bo w dwudziestych latach coś się na ten temat deklarowało. Częściowo — rodzaj sportu, kanalizującego energię i zainteresowania społeczeństwa. A może ktoś jeszcze wierzy, że te piosenki i skecze kształtują odpowiednio ludzkie uczucia?

8. Kierownictwo polityczno-wojskowe i cywilne — ślepo wierzy w pierwszorzędną rolę wychowawczą chóru jako takiego. Cała reszta ruchu amatorskiego może nawet zgnieć na pieńku, ale chór musi być, bo to śpiewający kolektyw! Pieśni łatwo poddają się kontroli, toć wszystkie są nasze. A co człowiek śpiewa — w to i wierzy.

— A na cholere ci nuty? Zagrasz to, co wszyscy znają, a tamci będą śpiewać.

I ogłasza się werbunek do chóru, często równocześnie z przyjęciami do kółka dramatycznego. Gdzie mają próbować? Izba KO jest do tego za mała, trzeba by jakiegoś większego pomieszczenia, a świetlicy przecież nie ma. Korzysta się więc zwykle z obozowych stołówek — przesyconych na wskroś parą z bałandy, smrodem zgniłych warzyw i gotowanego dorsza. W jednym końcu stołówki jest kuchnia, a w drugim — albo stała scena, albo prowizoryczny pomost. Tu właśnie, po kolacji, odbywają się próby chóru i kółka dramatycznego. (Wygląda to tak jak na rysunku A. G. G-na, który mam przed oczyma. Tyle, że malarz narysował tam nie grupę miejscową, ale przyjezdną „kultbrygadę”. Zaraz pozbierane zostaną ostatnie miski, przepędzi się ostatniego dochodiagę — i wpuści się widzów. Łatwo wyobrazić sobie, jaką wesołością promienieją twarze pańszczyźnianych artystów).

Jak zachęcić zeków do tej całej roboty artystycznej? Na półtora tysiąca ludzi w zonie znaleźć się może trzech-czterech prawdziwych amatorów śpiewu, ale na chór tego nie wystarczy. Wszelako — spotkania na próbach chóru są głównym magnesem mogącym przyciągnąć zeków i zeczki w zonie mieszanej. A. Suzi, którego mianowano chórmistrzem, nie mógł wyjść z podziwu, że chór mu wciąż puchnie, do tego stopnia, że ani jednej pieśni nie mógł przeciwżyć jak należy, do końca, bo uczestników wciąż przybywało i przybywało; przy tym nikt nie miał głosu, nikt z nich nigdy nie śpiewał, ale wszyscy mieli chęć szczerą i wydawało się okrucieństwem odmówić komukolwiek, odtrącić kogoś, w kim nagle obudził się talent i pociąg do muzyki! Jednak na próbach — aktywnych uczestników okazało się znacznie mniej (sęk zaś był w tym, że zapisani do kółka mieli prawo chodzić po zonie jeszcze dwie godziny po apelu — na próbę i z próby do baraku — i właśnie z tych dwóch godzin ludzie sobie korzystali!).

Łatwo mogła się zdarzyć również taka czy owaka komplikacja: na przykład przed samym koncertem jedyny w chórze bas musiał wyruszyć na etap (jedna władza odpowiadała za transporty, całkiem inna — za koncerty), chórmistrza zaś (to znaczy naszego Suzi) wzywał naczelnik KO i powiedział:

— Żeście tu się napocili — to potrafimy docenić, ale puścić was na scenę w żaden sposób nie możemy, bo Pięćdziesiątka Ósemka nie ma prawa niczym kierować, więc tym bardziej chórem. Wyznaczcie więc sobie jakiegoś zastępcę: w końcu machanie

rękami — to nie śpiewanie, głos tu niepotrzebny, już tam kogoś znajdziecie.

Byli też tacy, dla których chór i kółko dramatyczne stanowiły coś więcej, niż okazję do spotkań: były namiastką życia, może nawet nie namiastką, lecz przypomnieniem, że mimo wszystko jakieś życie istnieje, że jednak... Przynoszą z magazynu gruby, bury papier, wycięty z worków na kaszę — i rozdają go do przepisywania ról. Teatralny rytuał! A podział ról! A ustalanie — kto z kim ma się całować w trakcie akcji scenicznej! A kostiumy! A rodzaj szminki! I jak to człowiek będzie wyglądał w charakteryzacji! W dniu premiery można będzie wziąć do rąk prawdziwe lustro i zobaczyć siebie w prawdziwym, normalnym ubraniu i z rumieńcami na policzkach.

Marzenia o tym wszystkim są bardzo interesujące, ale mój Boże — te sztuki! Co też tam się gra! Te specjalne antologie z nadrukiem „wyłącznie w obrębie GUŁagu!”. Czemuż to — wyłącznie? Nie — do użytku powszechnego z prawem wystawiania *również* w GUŁagu — ale wyłącznie w GUŁagu. Bo to już taki bełkot, takie świńskie pomyje, że tam nikt tego nie tknie, ale tu wszystko przecież zeżrą. Najgłupszy, najmniej utalentowani autorzy tak właśnie plasują swoje niezdarne i bzdurne sztuki! A jeżeli ktoś chce wystawić wodewil Czechowa, czy cokolwiek bądź w tym rodzaju — to gdzie ma szukać tekstów? Nikt z wolniaków w całej osadzie takich rzeczy nie trzyma, a w obozowej bibliotece jest Gorki, ale z całymi stronicami powyrywany na skrzyty.

Literat N. Dawidenkow zwołuje zebranie kółka dramatycznego w obozie Krywoszczekino. Znalazł gdzieś nadzwyczajną sztukę: patriotyczną, akcja toczy się w Moskwie podczas pobytu Napoleona (poziomem chyba nie przewyższa afiszów gubernatora Rostopczyńskiego!). Role już rozdane, zespół próbuje z całym entuzjazmem — zdawałoby się, że nie ma przeszkód? Główną rolę gra Zina, była nauczycielka, uwięziona za to, że została na terenach okupowanych. Gra dobrze, reżyser jest w siódmym niebie. Nagle na jednej z prób wybucha skandal: pozostałe uczestniczki protestują, nie chcą, aby Zina grała główną rolę. Sytuacja raczej tradycyjna i reżyser mógłby sobie z nią poradzić. Ale kobiety wrzeszczą: „To patriotyczna rola, a ona pod okupacją rzuła się z Niemcami! Won ze sceny, ty żmijo! Uciekaj, kurwo niemiecka, bo cię pod obcas weźmiemy!”. Są to niewiasty socjalnie-bliskie, może nawet Pięćdziesiątka Ósemka, tylko że punkt inny, nie za zdradę kraju. Czy same to wymyśliły, czy naszczuł je III od-

dział? Ale reżyser ma sam taki paragraf, że nie może wziąć aktorki w obronę... I Zina schodzi ze sceny, cała we łzach.

Czytelnikowi żal reżysera? Czytelnik sądzi może, że zespół znalazł się w sytuacji bez wyjścia, bo kto obejmie teraz główną rolę i kiedy zdąży się jej nauczyć? Ale dla operczekistów nie ma sytuacji bez wyjścia! Zadzierzgnęli węzeł — i sami go rozplączą! Mijają jeszcze dwa dni i oto samego Dawidenkowa zabierają skutego w kajdany — za próbę przekazania poza zonę jakiegoś rękopisu (jeszcze jedna kronika?). Czeką go nowe śledztwo i sąd<sup>9</sup>.

9. Tyle wiadomo było o nim w obozie. Skądinąd — dowiedziałem się przypadkiem, że Lidia Korniejewna Czukowskaja знаła Kołę Dawidenkowa. Poznała go w 1939 roku, w Leningradzie, w ogonku stojącym pod więzieniem. Po usunięciu Jeżowa sprawę Koli umorzył zwykły sąd, podczas gdy przyjaciel jego, aresztowany z tego samego powodu, Lew Gumilow, syn Anny Achmatowej (i Mikołaja Gumilowa) wciąż jeszcze siedział. Na wyższą uczelnię nie chciano jednak przyjąć go z powrotem, posłano natomiast do wojska. W 1941 roku pod Mińskiem Dawidenkow dostał się do niewoli. Z niemieckiej niewoli zdołał uciec... do Anglii i tam wydrukował pod pseudonimem (aby nie narażać rodziny) książkę, gdzie opisywał, jak siedział w leningradzkich lochach w 1938 roku. (Wolno przypuszczać, że afekt do sowieckich sojuszników nie pozwolił angielskim czytelnikom zrozumieć w tym okresie, o co właściwie w tej książce chodziło). Później zaś o wszystkim zapomniano, rozeszło się po kościach. Tylko na si nie zapomnieli. Dawidenkow walczył na zachodnim froncie w szeregach antyfaszystowskiej brygady międzynarodowej. Po wojnie został jednak porwany i przewieziony do ZSSR, gdzie skazano go na rozstrzelanie. W drodze łaski dostał 25 lat. Przepuszczalnie następny wyrok, wewnątrzno-obozowy orzekł rozstrzelanie i tym razem już ostatecznie (kara śmierci została nam przywrócona na mocy Dekretu ze stycznia 1950 roku). W maju 1950 zdołał wysłać swój ostatni list z obozowego więzienia. Oto kilka zdań: „Nie sposób opisać niewiarygodnych kolei mojego losu w ciągu tych lat... Mam inny cel: podczas dziesięciu lat to i owo zdążyłem napisać; proza, rozumie się, cała zaprzepaszczona, ale zostały wiersze. Prawie nikt ich ode mnie nie słyszał — nie było z kim mówić. Przypomniałem sobie nasze wieczory przy placu Pięciu Kątów i ubrdałem sobie, że te wiersze powinny trafić... do pani rąk, tak mądrych i doświadczonych... Proszę je przeczytać i — jeśli to możliwe — przechować. O przyszłości, podobnie jak o przeszłości — ani słowa, wszystko już skończone”. L. K. ocalała te wiersze od zagłady. Poznaję dobrze (sam tak gryzmoliłem) ten sposób pisania maczkiem — trzydzieści utworów na dwóch stroniczkach zeszytowego formatu — bo tyle trzeba zmieścić na małej powierzchni! Trzeba umieć sobie wyobrazić ten rozpaczliwy koniec: czekanie na śmierć w obozowym więzieniu! I „lewej” poczcie powierza ten człowiek swój ostatni, beznadziejny krzyk:

*Już nie chcę wody, ani chleba,  
Ani bielizny świeżej.  
Nie otwierajcie drzwi, nie trzeba,  
Już jestem dzikim zwierzem.  
Już brak mi tylko waszej mowy  
By stać się wam podobnym:*



Nie trzeba więc nikogo obsadzać w głównej roli! Napoleon nie poniesie nowej, sromotnej klęski, a rosyjski patriotyzm nie zostanie jeszcze raz wyniesiony pod niebiosa! Nie będzie w ogóle żadnego przedstawienia. Chóru też nie będzie. Ani występu. Kolejny odpływ. Zebrania w stołowce i romantyczne spotkania wieczorową porą — też skończone. Aż do następnego przyływu.

W takich kurczach rodzi się tu ruch artystyczny...

A znowu czasem tak bywa, że wszystkie próby odbyły się bez przeszkód, i wszyscy uczestnicy się jakoś uchowali, i nikogo przed samym koncertem nie aresztowano, ale za to naczelnik KO, major Potapow, Samojed z republiki Komi (Siewżerdorąg) bierze do rąk program występu i znajduje w nim: „Zwątpienie” Glinki.

— Że co? Zwątpienie? Żadnych takich! Nie, nie, nie traćcie nawet czasu na prośby! — i wykreśla punkt własną ręką.

Ja zaś miałem kiedyś chęć zacytować mój ukochany monolog Czackiego\* — „A kim są ci sędzie?”. Lubiłem go recytować od dzieciństwa, widziałem w nim tylko ładny kawałek do deklamacji, nie zdając sobie nawet sprawy, że mowa w nim o dzisiejszych, najbardziej aktualnych sprawach; to mi naprawdę do głowy nie przychodziło.

Ale nie doszło do tego, aby w programie pojawił się tytułik „A kim są ci sędzie?” i tak skazany na wykreślenie — bo na próbie pojawił się naczelnik KO i podskoczył na krzesło już przy wierszu:

*„Pałają nienawiścią ku wolności...”*

A kiedy wyrecytowałem słowa:

*„Gdzież są ojcowie tej ojczyzny naszej.  
Czy to nie ci, co się rabunkiem tuczają?...”*

pan naczelnik aż nogami zatupał, żebym natychmiast zabierał się ze sceny!

W młodości o mały włos nie zostałem aktorem; uratowała mnie słabość strun głosowych. Teraz zaś, w obozie co i rusz występowałem na koncertach. Te krótkie, zwodnicze chwile zapomnienia pozwalały mi zaczerpnąć tchu, zobaczyć z bliska twarze kobiece, ożywione grą. A kiedy dowiedziałem się, że istnieją w GUŁagu całe trupy teatralne, złożone z zeków, których uwalnia się w tym celu od innych robót — istne teatry pańszczyź-

---

*Nie wiem co miłsze wam — psi skowyt,  
Czy wicie wilków głodnych?...*

\* Z komedii Gribojedowa *I bądź tu mądry (Gorie ot umù)*.

niane! — zapragnąłem koniecznie stać się członkiem takiej trupy, aby znaleźć w tym i ratunek, i trochę wytchnienia.

Teatry pańszczyźniane istniały przy każdym obwodowym zarządzie obozów, a w Moskwie było ich nawet kilka. Najsłynniejszym z nich był chowriński teatr pańszczyźniany pułkownika MWD Mamułowa. Mamułow czujnie baczył, aby żaden aresztowany w Moskwie wybitny artysta nie przemknął się przez Krasną Presnię, uchodząc jego uwagi. Agenci jego penetrowali również inne zborniaki. W ten sposób zdołał zgromadzić w swoich włościach dużą trupę dramatyczną i załóżkę zespołu operowego. Było w tym coś z dumy dawnego dziedzica — „Mój teatr lepszy, niż u sąsiada jegomości!”. W obozie Beskudnikowo też był teatr, ale o wiele gorszy. Panowie dziedzice wozili swoich artystów w gości do sąsiadów, żeby móc się nimi pochwalić. Na jednym z takich koncertów pianista Michał Grinwald zapomniał w jakiej tonacji miał akompaniować śpiewacze. Mamułow z miejsca wlepił mu 10 dni zimnego karceru, w którym Grinwald się rozchorował.

Takie teatry pańszczyźniane istniały w Workucie, w Norylsku, w Solikamsku, na wszystkich większych wyspach GUŁagu. W tych miejscowościach teatry takie przybierały charakter scenomalże miejskich, czy nawet akademickich, dawały bowiem przedstawienia dla wolniaków w gmachach, należących do miasta. W pierwszych rzędach siadali z należną godnością najwybitniejsi miejscowi emwudyści w towarzystwie małżonek. Patrzyli na swoich niewolników z mieszaniną ciekawości i nienawiści. Kozin: „...”. Po koncercie — pańów artystów, wsłuchanycn jeszcze w echa oklasków, odwożono do obozu, a tych, którzy się sypnęli, albo zacukali na scenie — do karceru. Czasami nawet nie pozwalano nacieszyć się oklaskami. W Magadańskim tetrze, Nikiszew, naczelnik obozowego kombinatu Dalstroj, przywołał do porządku Wadima Kozina, bardzo znanego w tamtych czasach śpiewaka: „Dobra, dobra, Kozin, dosyć kłaniać się po próżnicy, możesz już iść!”. (Kozin próbował powiesić się, ale zdążyli odciąć go od stryczka).

W latach powojennych przez Archipelag przewinęli się artyści bardzo głośni: oprócz Kozina — aktorki filmowe Tokarskaja, Okuniewskaja, Zoja Fiodorowa. Sporo hałasu narobiło na Archipelagu aresztowanie sławnej śpiewaczki Rusłanowej, krążyły sprzeczne pogłoski na ten temat, wymieniano rozmaite zborniaki i obozy, w których miała przebywać. Zapewniano mnie, że na Kołymie odmówiła występów i poszła pracować do pralni. Nie wiem, jak to było naprawdę.

Bożyszcze Leningradu, tenor Pieczkowski, na samym początku wojny znalazł się na terytorium okupowanym, będąc na lotnisku w swoim domku pod Ługą. Następnie, już pod okupacją, dawał koncerty w krajach nadbałtyckich. (Żonę jego, pianistkę, natychmiast aresztowano w Leningradzie. Zginęła w rybińskim obozie). Po wojnie Pieczkowski dostał dychę za zdradę kraju i znalazł się w obozie Pieczfeldorlag. Komendant tamtejszy potraktował go z wszystkimi honorami: przydzielił mu osobny domek i dwóch ordynansów. Dostawał co dzień masło śmietankowe, surowe jajka i grzany portwejn. Zapraszany był na obiady przez żonę komendanta obozu, bywał też w gościach u żony naczelnika wydziału dyscyplinarnego. Śpiewał na tych przyjęciach, ale pewnego razu podobno się zbuntował: „Urodziłem się, aby śpiewać dla mas, a nie dla czekistów” — i w rezultacie wysłany został do specobozu Minlag. (Po odbyciu kary już nigdy nie udało mu się wrócić na występy do Leningradu).

Znany pianista Wsiewołod Topilin nie uniknął powołania do moskiewskiego pospolitego ruszenia, dostał, jak inni, jednostrzałową berdankę z 1866 roku i znalazł się we wjaziemskim worku<sup>10</sup>. Ale w niewoli ulitował się nad nim niemiecki major, komendant obozu, meloman. Pomógł mu w przejściu na status Ostarbeitera i Tomilin zaczął dzięki temu dawać koncerty. Rzecz jasna, że dostał potem za to — już u nas — standartowe dziesięć lat. (Po wyjściu z obozu też już nie udało mu się wrócić do formy).

Zespół artystyczny przy moskiewskim Zarządzie obozów i kolonii (UITŁK), rozjeżdżający po rozmaitych obozach, którego siedzibą stała była Matrosskaja Tiszina, został czasowo przeniesiony na pobyt do nas, na roгатkę kałużską. Co za radość! Teraz dopiero będę mógł poznać ich bliżej, teraz to się już na pewno do nich dostanę!

Jakież to dziwne uczucie! Oglądać w obozowej stołówce portrety zawodowych aktorów-zeków! Chichot, uśmiechy, śpiew, białe suknie, czarne surduty... Tylko zaraz — jakie mają wyroki? Z jakich artykułów? Czy primadonna — to złodziejka? czy z Pięćdziesiątki Ósemki? Czy pierwszy aktor siedzi za łapówki? czy z artykułu „siedem ósmych”? Zwykły aktor wcielać się musi tylko w jedną rolę. Tu zaś — mamy do czynienia z podwójną grą, z dwupiętrowym niejako wcieleniem: najprzód człowiek

10. Cały ten Łałagan z pospolitym ruszeniem — cóż to za przykład piekielnego popłochu i zamieszania! Rzucić inteligentów, miejski element pod nowoczesne czołgi — uzbroiwszy ich w berdanki sprzed stulecia! Dwadzieścia lat puszyli się, że są „gotowi”, że tacy mocni — ale w zwierzęcym strachu przed niemiecką ofensywą zrobili sobie tarczę z ciał uczonych i artystów, byle by tylko móc dalej komenderować z wyżyn swojej nieudolności.

musi wyobrazić sobie, że jest wolnym artystą, a później — wejść w graną rolę. I teraz ciężar więzienia, ta świadomość, że jesteś pańszczyźnianym rabem, że już jutro obywatel naczelnik — za złą grę, albo za romans z pańszczyźnianą aktorką — może wsadzić cię do karceru, albo posłać na wyrąb lasu, czy nawet na Kołymę, dziesięć tysięcy wiorst stąd — cały ten balast niezmierny dodać trzeba jeszcze do ciężaru, który aktor-zek dźwigać musi na równi z wolnymi aktorami, na siłę przepychając przez płuca i gardło udratyzowaną bzdurę, mechaniczną propagandę martwych idei!

Pierwsza aktorka zespołu, Nina W. siedziała, jak się okazało, z artykułu 58-10, 5 lat. Szybko dogadaliśmy się z nią do wspólnego znajomego, który i mnie i jej wykładał historię sztuki. Aresztowano ją jeszcze przed dyplomem, była całkiem młoda. Nadużywając przywilejów artystki szpeciła się nadmiarem kosmetyków i noszeniem sukien z brzydkimi, watowanymi ramionami. W tym czasie wszystkie kobiety wolne tak się szpetnie ubierały, niewiasty zaś z Archipelagu ominął ten los i barki ich rozwijały się wszereż tylko od noszenia trag.

W zespole Nina, jak to zwykle bywa z każdą primadonną, miała swojego stałego amanta (był nim tancerz z baletu Teatru Wielkiego), ale jej patronem duchowym i opiekunem artystycznym był Oswald Głazunow (Głazunek) jeden z najstarszych wachtangowców. Zarówno on, jak jego żona znaleźli się (może nawet chcieli się znaleźć) na terytorium zajęтым przez Niemców, pod Istrą, gdzie mieszkali na daczce. Trzy wojenne lata spędzili w ściślejszej swojej ojczyźnie, w Rydze, gdzie grali w łotewskim teatrze. Gdy przyszedł nasi — oboje dostali po dziesiątaku za zdradę Wielkiej ojczyzny. Teraz oboje wchodzili w skład tego zespołu.

Izolda Głazunowa zaczynała się starzeć, już trudniej jej było tańczyć. Tylko raz mogliśmy widzieć ją w jakimś niespotykanym już w naszych czasach tańcu, który nazwałbym impresjonistycznym, ale boję się, że znawcom ten epitet się nie spodoba. Tańczyła w srebrzystym, ciemnym, zapiętym po samą szyję trykocie. Scena była słabo tylko oświetlona. Ten taniec głęboko utkwiał mi w pamięci. Większość współczesnych tańców sprowadza się do wystawiania na pokaz kobiecego ciała, to prawie cała ich treść. Jej zaś taniec był mistycznym przypomnieniem o sprawach ducha i w jakiś sposób kojarzył się z głęboką wiarą Izoldy Głazunowej w wędrowkę dusz.

Minęło zaledwie kilka dni i zniecka, po złodziejsku, tak,

jak to zawsze bywa na Archipelagu, Izolda Głazunowa zabrana została na etap, oderwana od męża, wywieziona w nieznane.

Zdarzały się wśród ziemian w epoce pańszczyzny takie akty okrucieństwa i barbarzyństwa: rozbijano chłopskie rodziny, sprzedawano osobno męża, osobno — żonę. Ale też za to dostało im się od Niekrasowa, Turgieniewa, Leskowa, nikt ich za to nie pogłaskał. U nas zaś nie było to żadne okrucieństwo, tylko nader rozsądny krok: starucha nie zasługiwała już na swoją pajkę chleba, zajmowała przy tym etat w trupie.

W dniu wyjazdu żony Oswald przyszedł do naszej izby (dziwołagów). Spojrzenie miał błędne i tak wspierał się na ramieniu swojej kruchej wychowawicy, jakby tylko dzięki niej jeszcze mógł utrzymać się na nogach. Był w stanie takiego zachwiania władz umysłowych, że mieliśmy poważne obawy, czy aby nie popełni samobójstwa. Milczał z nisko opuszczoną głową. Stopniowo zaczął mówić, opowiadać o całym swoim życiu: założył dwa teatry, Bóg wie po co; działalność artystyczna na całe lata odrywała go od żony. Całym swoim życiem inaczej by teraz pokierował...

Bardzo plastycznie rysuje mi się to teraz w pamięci: stary położył dziewczynie rękę na karku, tulił ją do siebie, a dziewczyna ani drgnie, patrzy na niego z dołu z boleścią i stara się nie płakać.

Ale co tu w ogóle gadać — toć starucha nie warta już była swojej kromki chleba.

Nie udało mi się dostać do tego zespołu, chociaż starałem się, jak mogłem. Wkrótce przeniesiono ich z obozu na Kałużskiej. Straciłem ich z oczu. Po roku, gdy już byłem w butyrymskim więzieniu, obito mi się o uszy, że ciężarówka, którą jechali na kolejny występ, wpadła pod pociąg. Nie wiem, czy Głazunow też tam był. Co zaś do mnie, to raz jeszcze przekonałem się, że niezbadane są ścieżki Pańskie. I że nigdy właściwie nie wiemy, czego chcemy w istocie. Ileż to razy w życiu z całym ferworem starałem się o rzeczy zupełnie mi niepotrzebne i wpadałem w rozpacz z powodu klęsk, które właśnie były sukcesami.

Zostałem w składzie skromniutkiego zespołu amatorskiego na Kałużskiej, z Aneczką Brestawską, Szurą Ostriecową i Lową G. Staraliśmy się coś tam wystawić, póki nas jeszcze nie rozpędzono i nie rozesłano na wsze strony. Mój udział w tym zespole wspominał teraz jako dowód niedojrzałości duchowej, jako coś upokarzającego. Nędzny poruczniczyna Mironow potrafił niedzielnego wieczoru, nie znajdując sobie w Moskwie innej rozrywki,

przyjechać pod gazem do naszego obozu i rozkazać nam: „Żeby mi za dziesięć minut był koncert!”. Panów artystów wyciągano z pościeli, odrywano od obozowego piecyka, przy którym ktoś z nas właśnie coś sobie z rozkoszą pitrasił w menażce — i wkrótce już na jasno oświetlonej scenie, wobec pustych krzeseł, na których siedział tylko nadęty, głupi lejtnant i trzech strażników — przystępowaliśmy do naszych śpiewek, tańców i popisów.

## Rozdział dziewiętnasty

### ZEKI JAKO NARÓD

(szkic etnograficzny pióra Iwana Iwanowicza)

W niniejszym zarysie zamierzamy — jeśli tylko nic nie stanie nam na przeszkodzie — dokonać ważnego odkrycia naukowego.

Przy snuciu naszych hipotez nie chcemy żadną miarą wchodzić w konflikt z Przodującą Doktryną.

Piszący te słowa, pragnąc już od dawna przeniknąć tajemnice, jakich pełne jest życie tubylców zamieszkujących Archipelag, udał się tam w celach badawczych na czas dłuższy i zgromadził sporą ilość materiałów.

W rezultacie — nie trudno mu będzie teraz dowieść, że *zeki* z Archipelagu stanowią odrębną *klasę* społeczną. Tę nader liczną (bo składającą się z wielu milionów osobników) grupę łączy bowiem ten sam (jednakowy dla wszystkich jej przedstawicieli) stosunek do środków produkcji i do samego jej procesu (jest to mianowicie stosunek podporządkowania, zupełnej i stałej zależności, bez żadnych praw do kierowania tym procesem). Wszyscy członkowie tej grupy mają też identyczny i wspólny stosunek do podziału dochodu narodowego i zysków (a mianowicie: nie mają żadnego na to wpływu, otrzymując jedynie nikły ułamek dochodów, niezbędny dla nędznej kontynuacji ich istnienia). Warto zaznaczyć ponadto, że ich praca — to nie żaden drobiazg, stanowi ona jeden z zasadniczych wsporników całej gospodarki państwowej<sup>1</sup>.

---

1. Nie sposób tego powiedzieć o skazańcach w krajach zachodnich. Tam — chodzi albo o izolowane od społeczeństwa jednostki, dręczące się w zamknięciu, ale wcale nie pracujące, albo o nieliczne ośrodki ciężkich robót, których działalność prawie zupełnie nie wpływa na gospodarkę kraju.



Ale takie konstatacje już nas nie zadowolają. Mamy większe ambicje.

Odkryciem o wiele bardziej sensacyjnym byłoby przeprowadzenie dowodu, wykazującego, że te upadłe istoty (które niegdyś na pewno były ludźmi) składają się na zupełnie odrębny w porównaniu z *homo sapiens* — gatunek czy typ biologiczny<sup>2</sup>. By dowieść tego nie mamy jeszcze na podporządku wszystkich koniecznych argumentów. Tutaj możemy tylko uchylić rąbka tego przewodu myślowego. Wyobraźcie sobie na chwilę, że człowiek musiałby zniecka i wbrew własnej woli, ale za to w sposób zupełnie nieodwołalny i niepowrotny znaleźć się wśród niedźwiedzi albo borsuków, by pędzić wśród nich życie (dajmy już pokój wyświechtanym metaforom i parantelom wilczym) i okazałoby się, że fizycznie nawet sobie jakoś z tym daje radę (kto od razu odwalił kitę, o tym nie ma co tu gadać) — otóż powstaje pytanie, czy mógłby on w tym nowym życiu, pośród wspomnianych borsuków — pozostać jednak człowiekiem? Wydaje się nam, że nie, że zborsuczyłby się całkiem, że nawet sierścią by porósł, że pysk by mu się zaostrzył i że wcale by mu już nie trzeba było jadła warzonego, czy smażonego, tylko całkiem spokojnie żarłby sobie surowiznę.

Wyobraźcie sobie zatem, że środowisko wyspiarskie tak bardzo różni się od zwykłego, ludzkiego środowiska i w sposób tak bezwzględny każe wybierać między natychmiastową adaptacją, a natychmiastową śmiercią — że w rezultacie międli i trawi ono charakter człowieka o wiele skuteczniej, niż jakiegokolwiek inne, obce narodowo lub socjalnie, środowisko. Jedynym stosownym tu porównaniem jest proces przejścia ze świata ludzi — do świata zwierząt.

Ale tym zajmiemy się może w innej pracy. Tu zaś stawiamy sobie pewne ograniczone zadanie: pragniemy wykazać, że zeki stanowią odrębny *naród*.

Dlaczego w normalnym życiu klasy nie przekształcają się w odrębne grupy narodowe? Dlatego, że — z punktu widzenia terytorialnego — klasy są przetasowane, przedstawiciele jednych klas spotykają się z przedstawicielami innych na ulicach, w sklepach, w pociągach i na pokładach statków, na widowniach kin i teatrów oraz instytucji rozrywkowych, gdzie prowadzą ze sobą rozmowy i dokonują wymiany poglądów bezpośrednio, czyli z ust do ust, oraz za pośrednictwem prasy. Zeki natomiast mieszkają w zupełnym odosobnieniu, trzymają się swoich wysp i przez cały czas kontaktują się tylko z podobnymi sobie (wolnych pra-

---

2. Może to właśnie — owo brakujące ogniwo, znane z teorii ewolucji?

codawców większość z nich nawet nie ogląda, a gdy do spotkania dochodzi, to niczego prócz rozkazów i wyzwisk nie słyszy). Odmienność ich sytuacji pogłębia jeszcze ważna okoliczność: większość z nich nie ma możliwości zmiany swojego statusu za życia; innymi słowy, nie ma przed śmiercią nadziei na awans społeczny.

Któż z nas jeszcze w szkole średniej nie przyswoił sobie powszechnie znanej, bezkonkurencyjnej z naukowego punktu widzenia, definicji narodu danej przez towarzysza Stalina? Naród — to uformowana w trakcie dziejów (ale nie rasowa, czy plemienna) wspólnota, składająca się z ludzi, mających wspólne terytorium; wspólny język; złączonych wspólnym życiem gospodarczym i wspólnymi obyczajami, co przejawia się we wspólności kultury. Otóż ludność tubylcza Archipelagu spełnia te wszystkie warunki! więcej nawet, spełnia je z nawiązką! (do twierdzenia tego szczególnie uprawnia nas genialne spostrzeżenie towarzysza Stalina, że rasowo-plemienna wspólnota krwi nie jest wcale wyróżnikiem koniecznym!).

Nasi tubylcy zamieszkują na zupełnie określonym wspólnym terytorium (nic to, że dzieli się ono na poszczególne wyspy, bo przecież nie zmienia to sytuacji, gdy mówimy o narodach zamieszkujących archipelagi Oceanu Spokojnego), gdzie innych narodów zgoła nie ma. Ich życie gospodarcze jest ujednoczone w zadziwiający sposób: jego zasady dadzą się streścić bez reszty na dwóch stroniczkach maszynopisu (system kotłów oraz instrukcja dla księgowości, wskazująca, jak należy z pozornej płacy zeka dokonywać odliczeń na koszt utrzymania zony, straży, wyspiarskiej zwierzchności, oraz na rzecz skarbu państwa). Jeżeli pojęciem życia gospodarczego objąć również warunki bytu, to są one na wyspach (i nigdzie indziej!) tak ujednoczone, że przerzucony z wyspy na wyspę zek niczemu się nie dziwi, nie zadaje głupich pytań, tylko z punktu włącza się do aktywnego życia w nowym miejscu zamieszkania („organizuj naukowo swój wikt, kradnij, co tylko potrafisz”). Żywią się *strawą*, której nikt do ust nie bierze — jak ziemia długa i szeroka, noszą *odzież*, której nikt poza nimi nie wdziewa i nawet *rozkład dnia* mają jeden i ten sam na wszystkich wyspach, przy tym jest on dla każdego z nich obowiązujący. (Jakież etnograf potrafi wskazać nam inny jakiś naród, którego wszyscy przedstawiciele mają wspólny rozkład dnia, wikt i przyrodziewek?).

Co w przytoczonej wyżej naukowej definicji narodu należy rozumieć jako *wspólność kultury* — nie jest dla nas wystarczająco jasne. Nie możemy wymagać, by nauka i literatura piękna zeków odznaczały się charakterem jednorodnym, a to z tej

przyczyny, że nie mają oni w ogóle *piśmiennictwa*. (Objaw ten zaobserwować można jednak u wszystkich prawie ludów wyspiarskich: u większości z nich — jako rezultat braku kultury, u zeków zaś — jako wynik nadmiaru cenzury). Mamy natomiast nadzieję, że uda się nam w niniejszym szkicu wykazać, iż w ich *psychologii* występują wspólne rysy specyficzne, że w danych sytuacjach ich *zachowanie* się jest identyczne, że mają nawet te same *poglądy filozoficzne* — o czym inne narody mogą tylko marzyć i co przekracza nawet zakres wymogów stawianych przez twórcę naukowej definicji narodu. Co zaś do specyficznego *charakteru narodowego*, to jego uderzające cechy rzucają się w oczy każdemu badaczowi życia zeków. Mają oni własny folklor i własnych bohaterów legendarnych. I wreszcie — łączy ich jeszcze jeden rodzaj działalności kulturalnej, należący już właściwie do dziedziny zjawisk j ę z y k o w y c h, a który możemy określić jedynie w sposób bardzo nieściśle z pomocą terminu *rzucanie mięsem*. Jest to ów szczególny typ manifestowania wzruszeń, który wydaje się nawet ważniejszy od wszelkich form mowy, ponieważ pozwala zekom porozumiewać się ze sobą w sposób bardziej energiczny i zwięzły, niż przy użyciu innych środków wyrazu<sup>3</sup>. Stan psychiczny, w którym zwykle pogrążony jest zek, znajduje najszersze ujście i najbardziej adekwatny wyraz właśnie w tym nadzwyczaj kunsztownym *rzucaniu mięsem*. Cały pozostały zespół zjawisk fonetycznych zostaje dzięki temu odsunięty niejako na drugi plan. Lecz tu również obserwujemy zadziwiające podobieństwa poszczególnych wyrażań i jednakową logikę składni na całym obszarze, od Kołomy — do Mołdawii.

Język tubylców naszego Archipelagu jest — bez należnych studiów — tak samo niezrozumiały dla osób postronnych jak każdy język obcy. Na przykład, czy potrafili by czytelnik zrozumieć takie wyrażenia, jak:

- kopsnij hazok!
- cwel się przzegredził;
- polewać bombę w sieczkarni;
- zadać ciulowi chleba za świrowanie;
- spadaj, kogutek kikuje, chyc na nic\*.

Wszystko, co powiedziane zostało wyżej, uprawnia nas do

3. Ten sposób porozumiewania się jest tak oszczędny, że nasuwa się myśl, czy nie mamy tu do czynienia z pierwocinami Języka Przyszłości.

\* — podaj chleb; — nieletni (fagas) osiągnął wiek dojrzały; — indagować kogoś w gabinecie śledczym; — donieść na faceta z zemsty za szpiclowanie; — uciekaj, strażnik patrzy, ucieczka wykryta.

wysunięcia śmiałej tezy, że każdy, kto przybywa na Archipelag i zostaje jego mieszkańcem — zmienia w istocie narodowość, tracąc cechy, które czyniły go przedtem członkiem innego narodu.

Przewidujemy, że ten i ów będzie usiłował zaprzeczyć tej tezie. Słyszymy już pytanie: ależ jaki to naród, skoro jego rozrost liczebny następuje *nie* drogą przyrostu naturalnego? (Zaznaczmy nawiasem, że w jedynej naukowo-wyważonej definicji narodu warunek ten w ogóle nie jest wzmiankowany!). Odpowiadamy: owszem, swój rozrost ten naród zawdzięcza technicznej metodzie tzw. *wsadzania* (swoje zaś własne potomstwo przez dziwny kaprys oddaje na własność narodom okolicznym). Jednakże — piskłeta również hodowane są w inkubatorze — nie mniej przeto, bez wahania uznajemy je za normalne kury, gdy spożywamy ich mięso.

Ale jeśli nawet możliwe są wątpliwości co do tego, jak *rozpoczyna* się droga życiowa zeka jako takiego, to nie ma żadnej kwestii, gdy chodzi o koniec tej drogi. Umierają oni podobnie, jak inni ludzie, z tą jednak różnicą, że o wiele prędzej i gęściej. Ich obrzędy pogrzebowe są ponure, ubogie i nacechowane okrucieństwem.

Dwa słowa o samym terminie *zek*, *zeki*. Aż do roku 1934 używano oficjalnie terminu *pozbawieni wolności* („*liszennyje swobody*”). Nie zachowały się dokumenty, z których wynikałoby, że sami tubylcy używali skrótu „l/s”, ani że nazywali się wzajem „elesami”. Ale w roku 1934 termin ten zmieniono na określenie „więźniowie” (po rosyjsku — *zakluczonnyje*). Tu przypomnieć wypada, że Archipelag zaczynał już kamienieć i nawet oficjalny język musiał się do tego procesu przystosować. Nie mógł dopuścić, aby w tytularze tubylców więcej było *wolności*, niż *więzienia*. W skrócie pisano to tak: w liczbie pojedynczej z/k (ze-kà), w liczbie mnogiej z/k z/k (ze-kà, zekà). Opiekunowie tubylców bardzo często używali tego terminu, wszyscy więc słyszeli go i wszyscy rychło się przyzwyczaili. Wszelako — rzeczownik ten, począty na urzędowym papierze, nie dość, że nie dawał się odmieniać przez przypadki i rodzaje, ale nawet nie było możliwe tworzenie jego liczby mnogiej. Godne zaiste dziecię ery martwoty i ciemnoty! Żywy słuch zmyślnych tubylców nie chciał się z tym stanem rzeczy godzić, na różnych wyspach i w rozmaitych miejscowościach zaczęto więc ów termin żartobliwie przeinaczać. Gdzieniegdzie mówiono „Zachar Kuźmicz”, albo (jak w Norylsku) „Zapolarnyje (tj. podbiegunowi) komso-

molcy". Tu i ówdzie słowo to wymawiano „zak” (Karelia), jeszcze gdzie indziej (Inta) — „zyk”<sup>4</sup>. We wszystkich tych wypadkach — słowo to, zamienione przez tubylców w żywy wyraz, zaczynało być odmieniane przez przypadki, a w liczbie mnogiej przybierało stosowną postać. (Na Kołymie natomiast — jak podkreśla Szałamow — utrzymała się w użyciu codziennym forma „ze-kà”). W morfemie początkowej spółgłoska „z” wymawiana jest zawsze twardo.



Klimat Archipelagu — jest niezmiennie podbiegunowy, nawet gdy chodzi o wysepki leżące trafem gdzieś na morzach południowych. Oto klimat Archipelagu: DWANAŚCIE MIESIĘCY — ZIMA, RESZTA — LATO. Samo powietrze parzy i kłuje, przytem nie tylko z winy mrozu, nie tylko z łaski natury.

Odzieżą zeków nawet latem jest miękki, bury pancerz waciakowy. Już ta okoliczność — obok strzyżenia głów, co obowiązuje wszystkich mężczyzn — nadaje ich wyglądowi zewnętrznemu jednakowe cechy: surowość, uniformizm. Ale przy powierzchownej nawet obserwacji łatwo dostrzec, że również ich twarze noszą wyraz jednakowy: są zawsze pełne napięcia, nieprzychylności, nieufności, które to cechy łatwo ustępują miejsca zawziętości, a nawet srogości. Twarze ich mają taki wyraz, jakby odlane były z szorstkiego materiału prawie nic już wspólnego nie mającego z żywym ciałem, koloru pociemniałej miedzi (zeki należą najwidoczniej do rasy czerwonej), przystosowanego do odpierania uderzeń wiejącego w oczy wiatru i ukąszeń, grożących ze wszech stron. Da się również zauważyć, że w ruchu, podczas pracy, czy w trakcie bójek ich ramiona i barki są napięte, a piersi — wystawione na wszelkie możliwe ciosy, ale gdy tylko zek zapadnie na chwilę w bezruch, gdy znajdzie czas na moment samotności i rozmyślań — głowa jego staje się od razu jakby zbyt ciężka dla mięśni karku: barki i plecy zaś zaczynają garbić się beznadziejnie, przybierając pozycję, które wydaje się być im wrodzona. Gdy zek nie ma nic do roboty, układa ręce w pozycji najbardziej dla siebie naturalnej, tzn. krzyżuje je za plecami, albo pozwala im zwisnąć bezwolnie, jeśli siedzi. Gdy zbliża się do człowieka wolnego, a tym bardziej do przedstawicieli władzy — zawsze ma wygląd zgnębiony i grzbiet mu się garbi. Będzie się starał nie patrzeć człowiekowi w oczy, wzrok wbije w ziemię,

4. Stary więzień z Sołówek D. S. L. twierdzi, że już w 1931 roku słyszał, jak konwojent pytał tubylca: „Coś za jeden? — zek?”.

jeśli jednak coś skłoni go do podniesienia głowy — zastanowić musi obserwatora jego wygląd bezmyślny, mimo że na obliczu zeka maluje się gotowość do wypełnienia wszelkich rozkazów (nie należy zresztą ufać temu wyrazowi: rozkaz nie będzie wykonany). Jeżeli otrzyma zlecenie zdjęcia czapki (bądź gdy sam to uczyni) — jego ogolona głowa sprawi antropologowi swoim wyglądem przykrą niespodziankę — pokryta jest guzami, wgłębieniami, asymetrycznymi zniekształceniami typu wyraźnie degeneratywnego.

W rozmowie z obcym zek postępuje się wyrażeniami nader zwięzłymi, mówi głosem bezbarwnym, monotonnym, z wyrazem tępoty, albo też — przesadnej pokory, jeśli ma zamiar o coś rozmówcę poprosić. Gdyby jednak badaczowi udało się podsłuchać — i to w sposób nie zwracający uwagi — tubylców w trakcie rozmów, jakie toczą między sobą, to z pewnością na zawsze już zapamiętałby ich szczególny typ ekspresji słownej: rozmawiają ze sobą tak, jakby kuksali się wzajem słowami, złośliwie urągliwymi, pełnymi pretensji, pozbawionymi wszelkiej serdeczności. Maniera ta tak bardzo jest dla tubylców typowa, że nawet gdy któryś z nich znajdzie się sam na sam z miejscową przedstawicielką płci odmiennej (czego zresztą najsurowiej zabraniają prawa lokalne), nie sposób sobie wyobrazić aby potrafił rozmawiać z nią innym tonem. Zapewne i w tym wypadku używa słów-kuksańców, oraz trybu rozkazującego, bo, podkreślam, nie można wyobrazić sobie zeka posługującego się czułymi wyrazami. Trzeba jednak przyznać, że mowa zeków odznacza się sporą jędrnością. Zawdzięcza to częściowo temu, że wolna jest od wszelkich zbędnych elementów, że nie ma w niej zwrotów grzecznościowych, jak np.: „przepraszam”, „proszę”, „jeśli to panu nie robi różnicy”, podobnie jak niepotrzebnych zaimków i partykuł. Rozmawiając, zek stara się jak najszybciej osiągnąć cel, tak jak to czyni, gdy musi iść dokądś, stawiając czoła wiatrowi polarnemu. Zek mówi tak, jakby rozmówcę strzelał słowami w mordę, jakby go prał. Doświadczony zapaśnik stara się zwalić przeciwnika z nóg koniecznie w pierwszym już starciu, podobnie zek stara się zaskoczyć swego partnera, zatkać mu gębę, a nawet zupełnie pozbawić go głosu już pierwszym wypowiedzianym słowem. Zadawane zaś pytania próbuje natychmiast wybić na aut.

Nawet dziś jeszcze czytelnik może w zupełnie nieprzewidzianych okolicznościach spotkać się z użyciem tej odstręczającej stylistyki. Na przykład — stoicie na przystanku, czekacie na trolejbus, wieje ostry wiatr. Jakiś sąsiad posypuje bez żenady wasze

nowe palto gorącym popiołem i okruchami żarzącej się machorki. Strącacie popiół raz i drugi, ale facet dalej robi swoje. Powiadacie więc:

— Słuchajcie no, towarzyszu, może by tak trochę ostrożności przy paleniu?...

Jegomość nie tylko nie przeprasza, ani nie odsuwa na bok papierosa, ale za całą odpowiedź szczerze wam krótko:

— Nie jesteście ubezpieczeni?

I podczas gdy staracie się odparować cios (nie takie to łatwe na poczekaniu), facet już pcha się przed waszym nosem do trolejbusu. Wszystko to bardzo przypomina tubylcze maniery.

Oprócz wielopiętrowych wyzwick właściwych, zek ma na podporządku również komplet gotowych zwrotów, które zatykają gębę każdemu, kto chciałby w najrozsądniejszy sposób wtrącić się do rozmowy, albo udzielić jakiejś wskazówki. Są to zwroty takie, jak:

— Odknaj w podskokach, ja nie z twojej parafii!

— Nie ciebie chromolą, czego tyłkiem ruchasz! (pierwszy z występujących tu czasowników użyty został jedynie per analogiam, zamiast innego, o wydźwięku skrajnie nieprzyzwoitym).

Te kategoryczne i ucinające z miejsca rozmowę wyrażenia tchną szczególnie nieodpartym urokiem w ustach przedstawicieli tubylczej ludności, jako że to one właśnie z wyjątkową swobodą wykorzystują dla metafor źródłosłowy erotyczne. Szkoda, że ze względu na moralność publiczną nie możemy przytoczyć również tych przykładów, co z pewnością dodałoby kraszy naszej relacji. Ośmielimy się dać tu jeszcze jedną tylko ilustrację owej bystrości i zeków i celności ich języka. Pewien tubylec, nazwiskiem Glik, przeniesiony został ze zwykłej wyspy na wyspę specjalną do tajnego instytutu naukowo-badawczego (niektórzy tubylcy tak są z natury rozgarnięci, że mogą być użyci nawet do prac naukowych), ale z jakichś, bliżej nie znanych, powodów osobistych, nie odpowiadało mu to nowe, tak obfitujące w przywileje, miejsce pracy. Pragnął wrócić na swoją dawną wyspę. Wezwano go przed oblicze nadzwyczaj poważnej komisji z wielkimi gwiazdami na epoletach i oznajmiono:

— Jesteście, jak się okazuje, inżynierem-radiowcem, chcemy więc skorzystać z okazji...

Glik nie dał komisji dokończyć zdania — „...i dać wam pracę w waszym fachu”. Odpalił ostro:

— Skorzystać z okazji? To co, mam spuszczać portki?

I już złapał się za pasek, a nawet przybrał pozę *à la vache*.



Zrozumiałe, że komisja oniemiała i nie doszło już do żadnych namów, ani rokowań. Głika natychmiast odesłano z powrotem.

Jest rzeczą ciekawą, że sami tubylcy doskonale zdają sobie sprawę z zainteresowania, jakie budzą wśród antropologów i etnografów. Ba, pyszną się tym nawet, ten fakt nadaje im jakby wartości we własnych oczach. Kursuje wśród nich i często jest powtarzana anegdota, w której opowiada się, jak to pewien profesor etnografii, zapewne jeden z naszych poprzedników, przez całe życie badał obyczaje zeków i napisał wreszcie grube, dwutomowe dzieło, w którym dochodził do wniosku, że aresztant jest *leniwy, żarłoczny i chytry* (w tym miejscu zarówno narrator, jak jego słuchacze śmieją się z ukontentowaniem, jakby się sami sobie przyglądali z lubością). Ale — powiadają dalej — wkrótce potem wsadzono podobno również samego pana profesora (bardzo przykry to wypadek, ale niewinnych ludzi nikt u nas nie więzi, musiała więc być jakaś przyczyna). I oto, zaznawszy wszystkich rozkoszy więzień i zborniaków, gdy już naharował się na *ogólnych* i został *dochodziągą*, profesor zrozumiał swój błąd i doszedł do wniosku, że w istocie *aresztant jest suchy, kruchy i przejrzysty*. Charakterystyka to nader celna i jest w niej jednak coś pochlebne go. Wszyscy zatem znów się śmieją.

Mówiliśmy już, że naród zeków nie ma własnego piśmiennictwa. Ale w żywej tradycji, podtrzymywanej czynnie przez starych wyspiarzy, w podaniach i w folklorze jest zawarty (i w tej formie przekazywany nowicjuszom) pełny kodeks *równego* postępowania, zasadnicze przykazania odnoszące się do pracy, do stosunków z pracodawcami i z towarzyszami niedoli oraz podstawy etyki osobistej. Cały ten kodeks, wyrażający się w moralnej postawie tubylca i odcisnięty w niej, stanowi o tym, co nazywamy *typem narodowym zeka*. Piętno tej przynależności narodowej wżera się w człowieka głęboko i raz na zawsze. Nawet po wielu latach w napotkanym daleko od Archipelagu człowieku przede wszystkim widzi się zeka, a dopiero potem — Rosjanina, Tatara, albo Polaka; oczywiście, jeśli udało mu się unieść głowę z Wysp.

W dalszym ciągu tej pracy postaramy się punkt po punkcie rozpatrzyć to, co da się określić jako charakter narodowy, psychologię życiową i etykę normatywną ludu zeków.



Stosunek do przymusowej roboty. Wśród zeków panuje zupełnie niesłuszne przekonanie, że pracę wymyślono po to, aby wyssać z nich wszystkie soki, w rezultacie też pewni są,

że jedynym ratunkiem jest tak pracować, aby nie tracić sił. Dobrze im wiadomo, że *całej roboty i tak się nigdy nie odwali* (nigdy też nie trzymaj się głupiej zasady: raz-dwa skończę, to sobie prędzej odpocznę. Bo jak tylko siądziesz odpocząć, to zaraz ci dadzą następną robotę). *Robota za głupcem goni*.

Ale co tu robić — odmawiać pracy prosto z mostu? Nie ma nic gorszego! — zgnoją człowieka w karczerach, zamorzą głodem. Chodzenie do roboty — to rzecz nieunikniona, ale skoroś już poszedł, człowiecze, to staraj się nie *hakować*, tylko grzebać się, jak umiesz, nie *leserować*, tylko *kantować*, *sadzać robotę na żółtvia* (to znaczy — tak czy owak — wykręcać się od pracy). Tubylec nie wymawia się otwarcie od wykonania żadnego rozkazu — to by go mogło zgubić. Stara się natomiast — *ciągnąć gumę*. „Ciągnięcie gumy” jest to jedno z najważniejszych pojęć i najpopularniejszych terminów Archipelagu. Jest to najskuteczniejszy ze środków ratunkowych, wynalezionych przez zeków (z upływem czasu znalazł on również zastosowanie wśród wolnych robociarzy). Zek wysłuchuje wszystkiego, co się do niego mówi i kiwa tylko zgodliwie głową. Po czym — oddala się dla wykonania rozkazu. Ale go nie wykonuje! A najczęściej — nawet nie zabiera się do wykonania. Doprowadza to niekiedy do rozpacz dynamicznych i niezmordowanie dążących do celu kierowników procesu produkcyjnego! W naturalny sposób budzi się w nich chęć, żeby dać w mordę albo po karku temu tępemu, bezmyślnemu bydlakowi w łachmanach — toć rozkaz wydano mu po rosyjsku, w zrozumiałym języku!... Co za ludzie bez pojęcia! (Ale o to właśnie chodzi, że język rosyjski wcale nie jest dla tubylców taki zrozumiały. Szereg naszych współczesnych pojęć, na przykład „honor robotniczy”, „świadoma dyscyplina” — nie ma żadnych odpowiedników w ich ubogiej mowie). Jednakże, jeśli pan naczelnik powtórzy rozkaz — zek potulnie schyla głowę pod ciężarem wyzwick i natychmiast zabiera się do zleconego mu zadania. Serce pracodawcy przestaje się ścisnąć, pan naczelnik udaje się w dalszą drogę, tam, gdzie czekają go liczne i niecierpiące zwłoki sprawy urzędowe — zek zaś za jego plecami natychmiast sobie siada i nawet nie myśli o pracy (jeśli nie czuje nad sobą pięści brygadzysty, jeśli nie grozi mu natychmiastowa utrata przydziału chleba, a także jeśli nie nęci go na przykład podwójne zaliczanie roboczodni). My, ludzie normalni, nie jesteśmy w stanie zrozumieć tej psychologii, ale cóż, takie właśnie są jej osobliwości.

Tępota umysłowa? A może raczej wyższy stopień rozsądku i zdolności przystosowywania się do warunków? Na co zek właś-

ciwie liczy? Przecież robota sama się nie wykona, a pan naczelnik przyjdzie jeszcze raz i wtedy skończy się gorzej? Otóż liczy na to, że dzisiaj pan naczelnik chyba już trzeci raz nie przyjdzie. A do jutra trzeba jakoś dożyć. Jeszcze tego samego wieczoru mogą przecież wysłać zeka transportem, albo przenieść do innej brygady, albo położyć do szpitala, albo posadzić do karceru — i to, co zrobił zostanie wtedy zaliczone na rachunek kogoś innego? A jutro tegoż zeka mogą przecież w tejże brygadzie przerzucić do jakichś innych prac. Albo sam pan naczelnik powie, że cała robota była niepotrzebna, albo, że robić ją należało inaczej. Wiele takich wypadków nauczyło zeka raz na zawsze: *nie rób tego dziś, co możesz zrobić jutro*. Tak już jest, że gdzie na zeka wsiadłeś, tam też z niego zleziesz. Zek boi się utraty kalorii tam, gdzie można by ich w końcu wcale nie tracić (pojęcie kalorii jest dla zeków zrozumiałe, ba, jest ono nawet wśród nich bardzo popularne). Między sobą mówią oni całkiem szczerze: *kto wóz ciągnie, tego batem poganiają* (a kto nie ciągnie, na tego w końcu ręką machną, tak to należy rozumieć). W sumie zek pracuje tak, *żeby jakoś zeszło do wieczora*.

Ale tu sumiennosc naukowa zmusza nas do wyznania, że nasz przewód myślowy ma swoje słabe punkty. Przede wszystkim dlatego, że obozowa zasada — „kto wóz ciągnie tego też batem poganiają” jest równocześnie starym rosyjskim przysłowiem. Znajdujemy u Dala<sup>5</sup> także inne czysto obozowe powiedzonko: „*Żyje byle do wieczora*”. Taki zbieg okoliczności budzi w nas prawdziwy wicher myśli: teoria zapożyczeń? teoria wątków wędrownych? szkoła mitologiczna? — Kontynuując dalej te niebezpieczne rozważania, znajdujemy wśród przysłów rosyjskich, powstałych jeszcze za czasów pańszczyzny i w XIX wieku już dawno znanych, takie oto:

— Robota nie zając, nie ucieknie (zadziwiające, ale przecież na tym właśnie polega zasada obozowej *gumy!*).

— Daj Boże wszystko potrafić, ale nie wszystko robić.

— Pańska robota nigdy nie skończona.

— Gorliwy koń niedługo pociągnie.

— Tydzień obracaj żarna, to dadzą ci garstkę ziarna.

— Dadzą zuchelek chleba, ale tydzień potyrać trzeba. (Natchmiast przypomina się reakcyjna teoria, głoszona przez zeków, wedle której nawet suty przydział nie równoważy utraconych przy pracy sił).

Straszne rzeczy! Oto ponad wszystkimi jasnymi przełęczami naszych wyzwoleniczych reform, ponad wiekiem oświecenia, re-

---

5. W. Dal: *Przysłowia ludu rosyjskiego*, Moskwa, 1957, str. 257.

wolucji i socjalizmu — pańszczyźniany muzyk z czasów Katarzyny i zek z epoki Stalina, nie bacząc na to, że ich pozycja społeczna jest tak bardzo odmienna — podają sobie czarne, sękatę prawicę!... Przecież to niemożliwe!

Dajmy więc tu spokój popisom erudycji i wróćmy do naszej relacji.

*Stosunek do pracy* wpływa też decydująco na *stosunek zeków do zwierzchności*. Na pozór stosunek ten nacechowany jest zupełnym posłuszeństwem, na przykład — jedno z „przykazań” obozowych brzmi: *nie podskakuj!* — to znaczy, nigdy nie wdawaj się w spory z władzą. Pozornie więc zek bardzo boi się władzy i kornie chyli karku, gdy pan naczelnik go beszta, a nawet — gdy stoi sobie w pobliżu. W istocie jest w tym tylko zwykłe wyrachowanie: nie budzić licha, nie ściągać na łeb dodatkowych kar. W gruncie rzeczy zek gardzi z całej duszy swoimi zwierzchnikami — zarówno obozowymi, jak tymi od produkcji, ale czyni to skrycie, nie ujawniając swoich uczuć, aby się nie narazić. Rozchodząc się rojami po rozmaitych zbiórkach, poświęconych komunikatom urzędowym, reprimendum i naganom, zeki pogadują z cichą drwiną: *grunt, że swoje powiedzieli, a zapomnieć już się zdąży!* Zek jest głęboko przekonany, że góruje nad całą swoją zwierzchnością — i wykształceniem, i znajomością rozmaitych fachów, i ogólną orientacją życiową. Trzeba przyznać, że często właśnie tak bywa, ale zek w swoim zarozumiałstwie zapomina, iż administracja wysp góruje za to niezmiernie nad tubylcami swoim *światopoglądem*. Oto dlaczego nie ma żadnych podstaw naiwny pogląd zeków, że sekret władzy sprowadza się do maksymy: *tak mi się podoba i już!* albo — *prawo to ja*.

Tu jednak trafia się nam wreszcie szczęśliwa okazja do wskazania *differentiam specificam* między sytuacją prawną tubylców, a dawnym prawem pańszczyźnianym. Muzyk nie lubił swojego pana, pomstował na niego, ale dawnym obyczajem widział w nim coś w rodzaju istoty wyższej, dzięki czemu Sawielicz, czy Firs (z „Wiśniowego sadu” Czechowa), wierne raby, trafiali się całkiem często. Otóż, ta niewola duchowa skończyła się raz na zawsze. Pośród dziesiątków milionów zeków nie ma ani jednego, który by szczerze wielbił panów naczelników; tego nie sposób sobie nawet wyobrazić.

A oto inna jeszcze i ważna cecha, odróżniająca zeków od naszych współobywateli: zek nie uganiania się za pochwałami, za dyplomami honorowymi i takimiż tablicami (jeśli tylko nie zależy od tego dodatkowa porcja pieroga). To wszystko, co nosi u nas

nazwę bohaterstwa pracy, jest dla zeków — zapewne to wina ich tępoty — jedynie pustym i głuchym dźwiękiem. To czyni ich jeszcze bardziej niezależnymi od wszystkich opiekunów i zwalnia od obowiązku dogadzania pańskim zachciankom.

W ogóle cała skala wartości zeków jest odwrotnością ogólnie obowiązującej. Nie powinno nas to jednak dziwić, jeśli uświadomimy sobie, że powszechne to zjawisko wśród dzikich plemion: za byle lustreczko dają oni tłustego wieprzka, za sznurek tanich paciorków — oddać gotowi kosz kokosowych orzechów. To, co dla nas, czytelniku, jest rzeczą najdroższą — mianowicie wartości ideowe, gotowość do poświęceń i bezinteresowna chęć trudzenia się dla przyszłych pokoleń — nie tylko wśród zeków nie ma prawa bytu, ale co gorsza, uchodzi wśród nich za rzecz funta kłaków nie wartą. Wystarczy zauważyć, że naród ten całkowicie *wyzuty jest z uczuć patriotycznych*: ludzie ci zupełnie nie kochają swoich ojczystych wysp! Przypomnijmy choćby słowa ich pieśni ludowej:

„*A niech piorun cię strzeli, Kołymo!  
Co za gad tę planetę wymyślił!...*”

Dlatego to decydują się oni wcale często na dalekie i ryzykowne wędrówki w pogoni za szczęściem, nazywane przez prostaków *ucieczkami*.

Najbardziej przez zeków ceniona i na pierwszym miejscu stawiana jest tak zwana p a j k a — to znaczy kromka czarnego chleba z różnymi domieszkami, niedopieczona, słowem — taka, której nikt z nas do ust by nie wziął. Tym wyżej sobie zek ją ceni, im jest większa i cięższa. Kto miał okazję widzieć, z jaką łapczywością rzucają się zeki rankiem na tę czarną pajdę, pożerając ją tak, że mało sobie palców nie odgryzą — ten z trudem tylko potrafi odpędzić od siebie to mało estetyczne wspomnienie. Na drugim miejscu stawiają machorkę, czyli samosiejkę, przy czym prawa handlu wymiennego nacechowane są u nich tak barbarzyńską dowolnością, że nie liczą się z ilością pożytecznej społecznie pracy, zainwestowanej w przedmiot wymiany. Jest to zjawisko monstualne, tym bardziej, że machorka pełni tu rolę powszechnie uznawanej waluty (system pieniężny na wyspach nie istnieje). Trzecie miejsce zajmuje sałamacha, czyli bałanda (wyspiarskie danie narodowe, zupa bez tłuszczu, bez mięsa, bez krupy i bez jarzyn). Wolno przypuszczać, że nawet marsz gwardzistów, stąpających na paradzie równym krokiem, w lśniących od szychu mundurach i w pełnym uzbrojeniu, nie czyni na widzach takiego wrażenia, jak wieczorne wkroczenie do stołówki brygady zeków,

żądnych bałandy: te golone głowy, czapki-oprychówki, te łačmany wiązane sznurkami, te twarze złe i wykrzywione (skąd u zjadaczy bałandy tyle siły i takie żyły?) — i te dwadzieścia pięć par trzewików, chodaków i łapci — tup-tup, tup-tup, *dawaj naszą pajkę, naczelniku!* Na bok, kto nie z naszej parafii! W takich chwilach, na dwudziestu pięciu obliczach, schylających się nad upragnioną miską, wypisany jest już z całą jasnością *charakter narodowy* zeka.

Zdaliśmy sobie sprawę, że snując nasze rozważania na temat narodu zeków, nie jesteśmy prawie w stanie wyobrazić ich sobie oddzielnie, w postaci poszczególnych osób, obdarzonych nazwiskami. Nie jest to jednak dowód wadliwości naszej metody, lecz refleks owego *stadnego sposobu bycia*, jaki prowadzi ten dziwny lud stroniący od — przyjętego wszak wśród innych plemion — rodzinnego trybu życia i odmawiając sobie posiadania własnego potomstwa (żywią oni przekonanie, że ich stan liczebny będzie uzupełniany w inny sposób). Ten kolektywny sposób bycia jest bardzo swoistą cechą Archipelagu, stanowiąc już to relikט ustroju pierwotnego, już to — zaróđ przyszłości. To ostatnie przypuszczenie jest bardziej prawdopodobne.

Następną pozycją w tabeli wartości zeków — jest sen. Człowiek normalny nie potrafi wyjść z podziwu, widząc jak długo i w jak dziwacznych warunkach zek potrafi spać. Nie trzeba nawet podkreślać, że nie znają oni zjawiska bezsenności, że nie stosują środków nasennych, że śpią jak zabici przez całą noc, a jeśli zdarzy się dzień wolny od pracy, to potrafią przespać go od rana do wieczora. Z całą ścisłością zostało ustalone, że zek potrafi zapaść w sen, przykucnąwszy obok pustych trag, w oczekiwaniu aż mu je załadują; potrafi zasnąć w trakcie zbiórki przed wymarszem do roboty — śpi wtedy na rozstawionych nogach. Nawet maszerując pod konwojem do miejsca pracy — też potrafi spać; co prawda, nie wszyscy to umieją, niektórzy padają na pysk i budzą się wtedy. Dla wszystkich tych zjawisk znajdują oni wytłumaczenie: utrzymują mianowicie, że we śnie *wyrok* jakoś prędzej zlatuje. Twierdzą również, że *noc dla snu, a dzień jest dla odpoczynku*<sup>6</sup>.

Wróćmy teraz do owej brygady, która przytupała po swoją — należną jej, jak twierdzą, z urzędu — bałandę. Dostrzegamy tu przejawy jednej z najważniejszych cech narodowych ludu zeków — mianowicie *siły przebicia* (nie ma tu żadnej sprzeczności z ich

6. Wygląda to na paradoks, ale podobne przysłowia znajdujemy u Rosjan: „Najem się w marszu, wyśpię się na stojaka”. — „Wyśpię się na kołku, dziurą się okryję”.

skłonnością do częstego zapadania w sen. Po to właśnie weni zapadają, aby w przerwach mieć trochę owej siły i zdolności do naporu!). Chodzi o napór w sensie dosłownym, fizycznym, jak na prostej przed samym finiszem, przed celem, którym jest strawa, ciepły piec, suszarka, okap chroniący przed deszczem; żadne skrupuły nie powstrzymają tutaj zeka, aby w tłoku nie szturchnąć sąsiada w bok; a gdy dwóch zeków ma podnieść pień z ziemi — obaj oni kierują się nieomylnie w stronę jego wierzchołka, tak, aby grubszy koniec musiał dźwigać ten drugi. Chodzi też o napór w ogólniejszym sensie — stosowany dla zajęcia lepszej pozycji życiowej w surowych warunkach bytowych, panujących na Archipelagu (tak zbliżonych do warunków, w jakich żyje świat zwierzęcy, że bez ryzyka omyłki możemy zastosować tu darwinowskie pojęcie *struggle for life*). Od sukcesu albo klęski w takiej walce zależy często samo życie i pragnąc gwałtem przebić się kosztem innych, tubylcy odrzucają wszelkie skrupuły moralne. Mówią nawet całkiem otwarcie: *sumienie? zostało w aktach*. W chwilach ważnych życiowych decyzji kierują się oni powszechnie znaną zasadą Archipelagu: *lepiej zostać suką, niż zejść na psy*.

Ale ów napór życiowy może osiągnąć zamierzone cele tylko jeśli towarzyszy mu życiowa zręczność, obrotność w najtrudniejszych okolicznościach<sup>7</sup>. Tę cnotę musi przejawiać zek codziennie — i to przy okazjach najprostszych, najbardziej elementarnych: po to, aby uratować swój nieszczęsny, pokraczny dobytek — jakąś poobijaną menażkę, cuchnącą szmatkę, drewnianą łyżkę, igłę-weterankę. Jednakże — w walce o przyzwoitą pozycję w hierarchii wyspiarskiej — rozwinąć trzeba pewien wyższy, bardziej wyrafinowany i planowy rodzaj obrotności, zwany *cwaniactwem*. Aby zbyt nie obciążać naszej relacji — oto jeden tylko przykład. Pewien zek zdołał osiągnąć wysokie stanowisko kierownika warsztatów mechanicznych przy intendencie obozu. Niektóre prace udaje mu się wykonywać dobrze, inne gorzej, ale pewność i powaga jego pozycji zależy wcale nie od dobrych wyników pracy, tylko od tego *fasonu*, który potrafi on *zadawać*. Zjawiają się, dajmy na to, oficerowie MWD i widzą na jego biurku jakieś gliniane stożki. — „A co tu masz takiego?” — „Stożki Seghera”. — „A po co ci to?” — „Do mierzenia temperatury w piecach”. — „Aaa!” — z szacunkiem mruknie komendant i pomyśli sobie: no i fajnego inżyniera tu mamy.

7. Rosjanie mają przysłowie: „Przodkiem się kłania, boczkiem зерka, a tyłkiem drogi szuka”.



Tymczasem stożki te, nawet jeśli stopnieją, nie potrafią wskazać żadnej temperatury, ponieważ ulepiono je z gliny — nie tylko że nie odpowiadającej standartom, ale w ogóle nie wiadomo z czego. Gdy stożki już się opatrzą — kierownik warsztatów stawia sobie na biurku nową zabawkę — instrument optyczny bez żadnych soczewek (skąd wziąć soczewki na Archipelagu?). I znów wszyscy są pełni podziwu.

Głowa zeka stale musi być zajęta wymyślaniem takich właśnie wybiegów.

Zgodnie z okolicznościami i właściwą oceną psychologiczną przeciwnika, zek powinien oznaczać się elastycznością postępowania — od brutalnego ciosu pięścią, lub wrzasku — aż do wyrafinowanej symulacji, od zupełnej bezczelności, aż do absolutnej wierności słowu, danemu w czasie rozmowy w cztery oczy i, zdawałoby się, zupełnie nie obowiązującemu. (Dlatego to wszyscy tubylcy wypełniają święcie zobowiązania, podjęte na zasadzie tajnej łapówki, a także odznaczają się wyjątkową sumiennością i cierpliwością, gdy chodzi o wykonanie prywatnych zamówień. Oglądając jakiś cudowny wyspiarski przedmiocik — dzieło sztuki snycerskiej, zdobne w inkrustacje, podobne tylko do tych, jakie oglądać można w muzeum sztuki pańszczyźnianej w Ostantkino — nie chce się wprost wierzyć, że robiły to te same ręce, z których dziesiętnik odbiera robotę, wykonaną na łapu-capu, rozsypującą się przy pierwszym dotknięciu).

Wspomniana elastyczność znalazła wyraz w znanym przykazaniu tubylczym: *dają — to brać, biją — to wiać*.

Jednym z najważniejszych warunków sukcesu w walce życiowej jest dla wyspiarzy GUŁagu ich zdolność do ukrywania i a myśli i zamiarów. Prawdziwy swój charakter i plany potrafią ukryć tak umiejętnie, że początkujący i niedoświadczony pracodawca ma z początku wrażenie, iż zek gnie się jak źdźbło trawy — za tchnieniem wiatru, czy pod podeszwą buta<sup>8</sup>. (Dopiero znacznie później z przykrością przekona się o nieszczeroci i przewrotności ludu tubylczego. Skrytość charakteru jest omal że najbardziej typową cechą plemienia zeków. Zek musi ukrywać swoje zamiary i swoje kroki zarówno przed pracodawcami i nadzorcami, jak przed własnymi brygadzystami, oraz tzw. „kapusiami”<sup>9</sup>. Musi ukrywać swoje sukcesy, żeby kto nie uroczył. Ukrywać musi plany, rachuby, nadzieje — niezależnie od tego, czy szykuje się

8. Porównaj z rosyjskim przysłowiem: „Lepiej ugiąć się, niż dać się złamać”.

9. Mało istotne zjawisko, występujące na Archipelagu. Jesteśmy zdania, że wyjaśnianie tej sprawy w naszym szkicu jest zbędne.

do poważnej „zrywki”, czy znalazł tylko źródło wiórów, aby wypchać sobie siennik. W życiu zeka tak jest już zawsze, że jeśli z czymś się zdradzi, to zaraz to utraci... Pewien tubylec, którego piszący te słowa poczęstował machorką, tak tę sprawę naświetlił (przytaczam jego słowa w przekładzie na rosyjski): „Ledwie komu powiesz, gdzie można się przespać w ciepłe, tak, żeby dziesiętnik nie znalazł — a już wszyscy tam się pchają i już dziesiętnik na łbie ci siedzi. Ledwie komu powiesz, że udało ci się wysłać list przez wolniaka<sup>10</sup> — a już wszyscy temu wolniakowi swoje listy wtykają i zaraz faceta nakryją z tymi listami. A jeżeli magazynier obiecał ci zamienić dziurawą koszulę na całą — to milcz, pókiś jej nie dostał, a jakieś już dostał — to dalej milcz, żeby jego nie zawieść i sobie samemu nie psuć przyszłych interesów<sup>11</sup>”.

W miarę upływu lat zek tak bardzo przyzwyczajają się do zachowywania sekretu, że nie musi nawet w tym celu wysilać się zbytnio: zanika w nim naturalna ludzka skłonność do dzielenia się z bliskim własnymi przeżyciami. (Być może należy uznać w tej tajemniczości coś w rodzaju reakcji obronnej przeciw zasadzie *tajemnicy państwowej*, wszędzie u nas obowiązującej? Przecież przed zekiem również ukrywane są na wszelki sposób informacje i dane odnoszące się do jego własnego losu).

Skrytość zeka jest skutkiem jego generalnej *nieufności*: nie dowierza on nikomu. Uczynki, wydające się bezinteresownymi budzą w nim szczególnie silne podejrzenia. *Prawo tajgi* — oto jaką formułę znajduje zek dla tutejszego imperatywu, obowiązującego w stosunkach międzyludzkich. (Mówimy zwykle o *dżungli*, ale na wyspach Archipelagu miejsce dżungli zajmuje istotnie tajga — i to w sporach masywach).

Tubylec, który w najpełniejszym stopniu skupia w sobie i przejawia te cechy plemienne — żywotność i siłę przebiccia, niewzruszoność, obrotność, skrytość i nieufność — sam siebie nazywa *synem GUŁagu*. Tak też nazywają go inni. Odpowiada to wśród nich godności obywatela honorowego. Tytuł ten uzyskać można, rzecz jasna, dopiero po długich latach przebywania na Wyspach.

Syn GUŁagu uważa sam siebie za istotę nieprzenikloną, będąc przy tym do głębi przekonany, że potrafi przejrzeć innych na wskroś, a nawet jak to mówi się żartem, jeszcze głębiej.

10. Na wyspach istnieje własna poczta, ale tubylcy wolą z niej nie korzystać.

11. Porównaj z rosyjskim przysłowiem: „Znalazłeś — to milcz, zgubiłeś — też milcz”. Doprawdy, zbieżność tych zasad stawia nas w głupiej sytuacji.

Może tak jest istotnie, ale tu się okazuje, że nawet najbystrzejsi z tubylców widnokrąg mają ograniczony, ich spojrzenie nie ogarnia szerszej perspektywy. Oceniając nader trzeźwo zrozumiałe dla siebie uczynki ludzkie i bardzo sprawnie układając swoje plany życiowe na parę najbliższych godzin, zwykły zek, a nawet prawdziwy syn GUŁagu niezdolny jest ani do myślenia abstrakcyjnego, ani do zrozumienia zjawisk ogólniejszych, ani też do żadnych dywagacji na temat przyszłości. W gramatyce ich języka czas przyszły też używany jest rzadko: nawet gdy mowa o dniu jutrzejszym, czasu tego używa się w trybie warunkowym. Z jeszcze większą ostrożnością jest stosowany do dni najbliższego tygodnia, nigdy zaś nie usłyszysz człowieka od zeka zdania: „Jak przyjdzie wiosna, to ja...”. Wiedzą bowiem wszyscy, że naprzód trzeba jeszcze przeżyć zimę, zresztą każdego dnia los może przemieścić go na jakąś jeszcze odleglejszą wyspę. Zaiste: tyle czasu mego — co od świtania do zmierzchu!

Synowie GUŁagu są też głównymi strażnikami tradycji i tzw. p r z y k a z a ń wyspiarskich. Ilość tych przykazań jest rozmaita na różnych wyspach, nie zawsze są one jednakowo sformułowane i systematyzacja ich byłaby nadzwyczaj pociągającym tematem samodzielnej pracy badawczej. Przykazania te nic wspólnego nie mają z tradycją chrześcijańską. (Wśród zeków panuje ateizm, ba, nie ma dla nich w ogóle nic świętego, a każdą rzecz wzniosłą starają się oni zawsze wyśmiać i zmieszać z błotem. Znajduje to odbicie również w ich języku). Jednakże, jak twierdzą synowie GUŁagu, kto się tych przykazań trzyma, ten na Archipelagu nie zginie.

Istnieją na przykład takie przykazania: *nie kapać!* (jak to rozumieć? chodzi zapewne o zapobieganie wilgoci); *nie wylizuj misek!* to znaczy: nie staczaj się aż do poziomu śmietnika, ten sposób bycia prowadzi ich zdaniem do szybkiej i pewnej zguby. *Nie bądź szakalem.* I tak dalej.

Interesujące wydaje się przykazanie: *nie wtykaj nosa do cudzej menażki!* Ośmielimy się twierdzić, że jest to poważne osiągnięcie myśli tubylczej. Jest przecież w tym przykazaniu zawarta zasada wolności negatywnej, mamy tu jakby odwrócenie angielskiej reguły *my home is my castle*, a nawet coś więcej, mowa bowiem nie o własnej menażce, tylko o cudzej (ale własna pozostaje w domyśle). Znając warunki miejscowe powinniśmy tu termin „menażka” rozumieć w szerszym sensie: nie tylko jako zakopcone, poobijane naczynie, i nawet nie tylko jako konkretną porcję mało apetycznego jadła, która w niej się mieści, lecz

również jako zbiór wszystkich sposobów zdobywania stawy, wszystkich chwytów używanych w walce o byt a nawet w jeszcze szerszym znaczeniu: jako *duszę zeka*. Jednym słowem: daj mi żyć na moją modłę i sam żyj, jak ci się podoba — oto sens tego przykazania. Twardy, surowy syn GUŁagu, aprobując to przykazanie, zobowiązuje się tym samym do niestosowania z pustej ciekawości swojej siły przebiccia (jednocześnie jednak zwalnia się od wszelkich zobowiązań moralnych: choćbyś nawet konał o krok — mnie wszystko jedno. Jest to prawo okrutne, ale przecież bardziej ludzkie od praw „knajaków” — ludożerczego plemienia, zamieszkującego te same wyspy: „dzisiaj ty zdychaj, ja za to do jutra pożyję!”. Dla ludożercy-knajaka — los sąsiada wcale nie jest obojętny: gotów jest przyśpieszyć jego śmierć, aby odroczyć własną, czasem zaś — tylko po to, aby zabawić się, bądź zaspokoić ciekawość).

Istnieje wreszcie przykazanie zbiorcze: *nie wierzyć, nie bać się, o nic nie prosić!* (przykazaniu tym z wielką jasnością, a nawet plastycznością odzwierciedla się ogólny charakter narodowy zeków.

Aż strach pomyśleć, jak trudno byłoby (na wolności) rządzić narodem, który dałby posłuch temu dumnemu przykazaniu.

Od wspomnianych tu zasad prosta droga prowadzi nie do rozpatrzenia przykładów postępowania zeków, lecz do studium treści psychologicznej ich uczynków.

Pierwszą cechą synów GUŁagu — która od razu rzuca się w oczy i coraz częściej daje się później obserwować — jest *r ó w n o w a g a d u c h a*, stateczność. W związku z tym wydaje się interesujące filozoficzne spojrzenie zeka na jego miejsce we wszechświecie. Anglik, czy Francuz przez całe życie nic, tylko pysznią się, bardzo radzi, że urodzili się jako Anglicy, czy Francuzi. Zek inaczej: wcale nie jest dumny ze swojej przynależności narodowej, wręcz przeciwnie: widzi w niej jakby okrutną próbę, ale próbę tę pragnie znieść z godnością. Krąży wśród zeków nawet takie oto warte uwagi podanie: istnieją gdzieś podobno „wrota Archipelagu” (porównaj ze starożytnym mitem o słupach Herkulesowych). Otóż na frontonie tych wrót ten, kto je przekraczał, widział napis: „nie upadaj na duchu!”. Na tylnej zaś stronie wychodzący mógł odczytać słowa: „nie ciesz się za bardzo!”. I — co najważniejsze — dodają tubylcy: napisy te widoczne są tylko dla mądrych, głupcy ich nie widzą. Często mit ten streszcza się w prostej zasadzie życiowej: *kto wchodzi, niech się nie turbuje, kto wychodzi, niech się nie raduje*. Pod tym właśnie kątem należy rozpatrywać poglądy zeków na życie

Archipelagu i na wszystko, co się dzieje w przestrzeni dookolnej. Wszystko może sprzysiąc się przeciw niemu. On zaś tylko marszczy brwi i z chmurą na zgrubiałym, opierzchłym obliczu powiada: *głębiej człowiek nie spadnie, niż na dno kopalni!* Pociuszają się też powiedzonkiem: *gorzej też bywa!* I rzeczywiście, w największych mękach głodu, chłodu i prostracji duchowej owo przekonanie, że mogło być nawet gorzej, wyraźnie podtrzymuje ich na duchu, dodaje otuchy.

Zek zawsze spodziewa się najgorszego, żyje w ciągłym oczekiwaniu na kopniaki losu, wciąż tylko patrzy, że go jakaś gadzina ukąsi. I odwrotnie — wszelką chwilową folgę uważa za niedopatrzanie, za omyłkę władzy. W tym ciągłym oczekiwaniu na nieszczęście dojrzewa surowa dusza zeka, obojętna na los własny i niemiłosierna dla innych.

Odchylenia od tego stanu równowagi są u zeka bardzo niewielkie — zarówno w stronę dodatnią, jak ujemną, tak w stronę rozpacz, jak w stronę radości.

Bardzo udatnie określił ten stan rzeczy Taras Szewczenko (któremu zdarzyło się przez jakiś czas przebywać na wyspach jeszcze w epoce prehistorycznej): „Nie doznaję teraz prawie ani smutku, ani radości. Pojawił się za to we mnie spokój moralny, graniczący z rybim chłodem. Czy człowiek może zmienić się do tego stopnia pod wpływem ustawicznych nieszczęść?<sup>12</sup>”.

Oczywiście. Pewno, że może. Stan *stałej obojętności* wyrabia w sobie zek, jako rodzaj bariery obronnej i tylko dzięki temu może przyżyć długie lata na tych posępnych wyspach. Jeżeli w ciągu pierwszego roku pobytu na Archipelagu nie uda mu się osiągnąć tego stanu ledwie pełgającej, przygasłej roślinności, to zwykle musi zginąć. Jeśli go zaś osiągnie — to zostaje przy życiu. Jednym słowem: jak nie zdechniesz — to będą z ciebie ludzie.

Wszystkie uczucia zeka są przytępione, nerwy zrogowaciały. Zobojętniały na własne nieszczęście, na kary, jakim poddają go opiekunowie tego ludu, a nawet — na problem swojego życia i śmierci — zek jest też zupełnie nieczuły na cudze nieszczęście. Niewzruszonym okiem patrzy na łzy kobiece, puszcza mimo uszu czyjś krzyk bólu — do tego stopnia przytępione są jego odruchy. Tubylcy nierzadko odnoszą się bez żadnego miłosierdzia do niedoświadczonych nowicjuszy, zaśmiewają się z ich pomyłek i nieszczęść — ale nie trzeba za to sądzić ich zbyt surowo, czynią to nie przez złośliwość. Po prostu zdolność do miłosierdzia uległa w nich atrofii i uwagę ich zwraca tylko śmieszna strona podobnych zdarzeń.

---

12. List do pani Repnin.

Fatalizm jest najbardziej wśród nich rozpowszechnionym kierunkiem światopoglądowym. Jest to najgłębsza i najbardziej uniwersalna warstwa ich przekonań. Znajduje to wytłumaczenie w fakcie ich ubezwłasnowolnienia, a także w ich zupełnej niepewności jutra oraz w całkowitej niemożności wpływania na bieg wydarzeń. Fatalizm jest właściwie dla zeka niezbędny, pomaga mu bowiem utrzymać jakoś równowagę duchową. Syn GUŁagu uważa, że najmniej będzie miał kłopotów, jeśli zda się na łaskę losu. Przyszłość — to kot w worku. Nie mając należytej orientacji, nie mogąc przewidzieć, co zdarzyć się może z człowiekiem w każdym z możliwych wariantów losu, nie należy zbyt gorliwie starać się o cokolwiek, ani nazbyt uparcie od czegośkolwiek się wymawiać — niezależnie od tego, czy chodzi o przenosiny do innego baraku, innej brygady, czy do innego obozu. Może to lepiej, może gorzej, ale w każdym razie człowiek nie musi sam sobie robić wyrzutów: niech tam nawet gorzej będzie, ale nie przykładaj się do tej zmiany ręki. W ten sposób zachować można niewrażliwość na łęki, co bardzo ważne. Człowiek nie miota się daremnie, nie szuka wiatru w polu.

Tak będąc niepewny swego losu, zek nadzwyczaj łatwo poddaje się licznym *z a b o b o n o m*. Jeden z nich bardzo blisko związany jest z fatalizmem: jeśli człowiek zbyt troszczy się o zapewnienie sobie bytu, a tym bardziej o jakieś wygody, to na pewno *wszystko pójdzie z dymem i szurną go na etap*<sup>13</sup>.

Wspomniany fatalizm rozciąga się u zeków nie tylko na sferę spraw osobistych — lecz również na kwestie ogólne. W żaden sposób nie przychodzi im do głowy, że *ogólny bieg rzeczy* mógłby ulec zmianie. Są przekonani, że Archipelag istniał *zawsze* i że dawniej było na nim jeszcze gorzej.

Ale chyba najciekawszą z punktu widzenia psychologii stroną sprawy jest to, że tubylcy uważają swój stan stałego zubożnienia w tak trudnych i zmuszających do wyrzeczeń warunkach — za sukces ich *w o l i ż y c i a*. Wystarczy, że lawina nieszczęść odrobinę się przerzedzi, że ciosy niedoli spadają na niego nie tak gęsto — a zek już daje wyraz *z a d o w o l e n i u z ż y c i a* i dumny jest ze swego zachowania. Być może czytelnik szybciej uwierzy w istnienie tego paradoksalnego rysu, jeśli zacytujemy tu Czechowa. W jego opowiadaniu „Na zesłaniu” przewoźnik Siemion Tołkowyj w ten oto sposób zwierza się ze swych uczuć:

---

13. Pożary w dosłownym sensie tego pojęcia nie ciekawią zeków. Nie zależy im na całości ich domostw, nie ratują nawet ich, gdy płoną. Przekonani, że zawsze znajdą się na ich miejsce jakieś inne. Gdy mówią, że „poszło z dymem” to mają na myśli tylko swój los osobisty.

„Doprowadziłem się do takiego stanu, że mogę całkiem goły spać na ziemi i żreć trawę. I daj Boże takie życie każdemu (kursywa nasza). Niczego mi nie trzeba i nikogo się nie boję i tak sobie myślę, że nie ma na świecie człowieka bogatszego i bardziej ode mnie wolnego”.

Te zadziwiające słowa wciąż nam dźwięczą w uszach: słyszeliśmy to twierdzenie nieraz z ust tubylców na Archipelagu. (Nie wiemy tylko gdzie mógł to usłyszeć A. P. Czechow?). I daj Boże takie życie każdemu! — jak to się wam podoba?

Mówiliśmy dotąd o dodatknych cechach charakteru narodowego zeków. Nie wolno jednak zamykać oczu na jego ujemne strony, na pewne wruszające słabostki tego ludu, które wydają się niejako odbiegać od wymienionych poprzednio cech i przeczyć im.

Nieulekła i pełna surowości jest niewiara tego ludu ateistów (tubylcy kpią sobie na przykład ze słów Ewangelii: „Nie sądzicie, abyście nie byli sędzeni”; przekonani są, że przestrzeganie tego przykazania nikogo nie uchroniło przed rozprawą sądową). Mimo to trapią ten lud paroksyzmy ślepej łatwowierności. Zaobserwować można taką prawidłowość: w tym wąskim kręgu, w którym zekowi ostrość wzroku dopisuje — nie wierzy on nikomu i niczemu. Ale pozbawiony zdolności do widzenia abstrakcyjnego, nie znający perspektyw historycznych, zek z całą barbarzyńską naiwnością daje wiarę każdej zabłąkanej z daleka pogłosce, każdej miejscowej plotce o cudach.

Historycznym przykładem tubylczej łatwowierności — są nadzieje jakie wiązano z przyjazdem Gorkiego na Wyspy Sołowieckie. Ale nie mamy potrzeby sięgać do czasów aż tak odległych. Istnieje na Archipelagu pewna religia, wyznawana stale i niemal powszechnie: jest to wiara w tzw. *amnestię*. Trudno wyjaśnić znaczenie tego wyrazu. Nie jest to imię bóstwa, jak mogłoby się czytelnikom zdawać. Jest to coś podobnego do Drugiego Przyjścia w doktrynie wyznawanej przez narody chrześcijańskie, jest to błysk światła tak oslepiającego, że pono w okamgnieniu roztopić może lody Archipelagu, a nawet same wyspy, w rezultacie czego wszyscy tubylcy uniesieni zostaną przez ciepłe fale do słonecznych okolic, gdzie natychmiast odnajdą swoich bliskich i przyjaciół. Mamy tu do czynienia, jak się zdaje, z pewną odmianą wiary w nadejście Królestwa Bożego. Wiara ta, której nigdy żaden uwierzytelniony cud nie potwierdził, bardzo jest jednak żywotna i zakorzeniona. Podobnie jak inne ludy ważne swoje obrzędy wiążą z zimowym i letnim zrównaniem dnia z nocą — tak też tubylcy trwają w mistycznym (i nigdy nie



spełnionym) oczekiwaniu pierwszych dni listopada i maja. Gdy tylko wiać zaczyna na Archipelagu wiatr południowy, natychmiast poczynają szeptać sobie na ucho: „Będzie amnestia, na pewno! Już się zaczyna!”. Skoro tylko wiać złączą srogie wiatry północne — tubylcy grzeją oddechem swoje zgrabiące palce, trą uszy, przestępują z nogi na nogę i dodają sobie wzajem otuchy, tak mówiąc: „No, to na pewno będzie Amnestia. Bo inaczej zamarzniemy tu wszyscy na...! (tu — wyraz nie nadający się do przekładu). Już teraz będzie na pewno”.

Szkodliwość wszelkich religii dawno już została udowodniona — co widzimy również w tym wypadku. Wiara w Amnestię bardzo podcina siły tubylców, wprawia ich w — zupełnie nietypowy dla nich — stan rozmarzenia. Epidemia ta przybiera czasem tak groźny charakter, że zekom dosłownie wypada z rąk wszystko, cokolwiek robią w ramach pilnych rządowych zamówień. Praktyczne skutki takiego stanu rzeczy są takie same, jak przy rozchodzeniu się ponurych pogłosek o „etapach”. Dla właściwego zaś biegu codziennej pracy byłoby najpraktyczniej, aby tubylcy nie przejawiali żadnych odchyień od normy uczuciowej.

Inną słabostką narodową tubylców, która w niezrozumiały sposób utrzymuje się w ich mentalności, choć znajduje się w sprzeczności z całym ich układem życiowym — jest u t a j o n a p o t r z e b a s p r a w i e d l i w o ś c i.

Dziwne to pragnienie obserwował również Czechow na wyspie, wcale zresztą nie należącej do naszego Archipelagu: „Choćby katorżnik był nie wiem jak zepsuty i niesprawiedliwy — najwyżej w świecie ceni sobie sprawiedliwość i jeśli u swoich zwierzchników nie widzi przywiązania do niej, to z roku na rok wpada w coraz większe rozjątrzenie i traci stopniowo wiarę we wszystko”.

Chociaż uwagi Czechowa żadną miarą nie odnoszą się do rozpatrywanego przez nas wypadku, wydają się nam jednak zaskakująco słuszne.

Od pierwszego dnia pobytu zeka na Archipelagu, każda doba i godzina ich tutejszego życia jest wypełniona niesprawiedliwością i sami oni w tych warunkach dopuszczają się wyłącznie niesprawiedliwych czynów. Zdawałoby się, że powinni już dawno się do tego przyzwyczaić i uznać niesprawiedliwość za powszechnie obowiązującą normę życiową. A jednak nie! Każda niesprawiedliwość, popełniona przez ich starszyzną plemienną i przez opiekunów ich ludu, rani ich tak samo dotkliwie, jak pierwszego dnia. (Niesprawiedliwość natomiast wymierzona przez kogoś z nizin, komuś stojącemu wyżej — wywołuje tu tylko śmiech pełen

aprobaty). W ich folklorze występują legendy, mające za temat już nie tyle sprawiedliwość ile (w czym widać szablon i przesadę) — niczym nie usprawiedliwioną *wspaniałomyślność*. (Tak na przykład powstało i przez dziesięciolecia powtarzane było na Archipelagu podanie o wspaniałomyślnym postępowaniu władz w stosunku do Fanny Kapłan — że ponoć wcale nie była rozstrzelana, że siedzi dożywotnio w rozmaitych więzieniach. Można było spotkać nawet wielu zeków, którzy twierdzili, że spotkali ją w więzieniach przesyłkowych, albo otrzymywali od niej książki z butyrskiej biblioteki<sup>14</sup>).

Powstaje pytanie, na co była tubylcom potrzebna ta niedorzeczna legenda? Chyba tylko jako krańcowy przykład bezgranicznej wielkoduszności, w którą tak bardzo pragną wierzyć. Mogą wtedy w marzeniach samych siebie czynić jej obiektem).

Znane są również historie o zekach, którzy pokochali na Archipelagu pracę (A. S. Bratczykow: „dumny jestem z tego, co zrobiłem własnymi rękoma”), albo przynajmniej nie nauczyli się jej nienawidzić (tubylcy pochodzenia niemieckiego), ale wypadki te należą do takich wyjątków, że nie będziemy ich tu prezentować w charakterze cechy — nawet dziwacznej, ale zawsze — narodowej.

Niechaj nikt nie sądzi — że wyżej już wymieniony rys *skrytości* pozostaje w sprzeczności z opowiadaniem i o przeszłości. U wszystkich innych ludów jest to ulubione zajęcie starców, ludzie zaś w średnim wieku na ogół nie lubią opowieści o dawnych dziejach i nawet boją się ich (zwłaszcza niewiasty, a także ci, co muszą wypełniać jakieś kwestionariusze i w ogóle wszyscy). Zeki zaś pod tym względem zachowują się jak lud złożony z samych starszków. (W innym zaś aspekcie — mając stale do czynienia z *wychowawcami* — zachowują się jak naród złożony z dzieci). Trudno z nich jedno bodaj słowo wydusić na temat powszednich, drobnych sekretów (gdzie można podgrzać menażkę, u kogo można nabyć machorki drogą wymiany), ale o dawnych dziejach opowie taki człowiekowi wszystko bez żenady, niczego nie ukrywając: i jak mu się żyło

---

14. Komendant Kremla, towarzysz Malkow, nie tak dawno zdementował te pogłoski, opisując, jak rozstrzelał Fanny Kapłan wkrótce po zamachu na Lenina. Demian Biedny też był zresztą obecny przy egzekucji. Już sama jej nieobecność na ławie świadków na procesie eserowców w 1922 roku mogłaby zeków przekonać! — ale nikt z nich w ogóle o tym procesie nie pamięta. Przypuszczamy, że pogłoska o zamianie F. Kapłan kary śmierci na dożywocie wzięła się stąd, że wyrok taki dostała Berta Gandal. Niewiasta ta, Bogu ducha winna, przyjechała z Rygi do Moskwy akurat po zamachu, gdy bracia Gandal (oczekujący w samochodzie na Fanny Kapłan) zostali rozstrzelani. Za to właśnie Berta skazana została na dożywotnie więzienie.

przed przybyciem na Archipelag, i z kim żył, i jak tu trafił. (Gotowi są godzinami słuchać jak kto wpaść i te monotonne opowieści nigdy im się nie uprzykrzą. Im bardziej przypadkowe, powierzchowne i krótkie jest spotkanie dwóch zeków (przez jedną noc poleżą obok siebie w tak zwanym „zborniaku”) — tym obszerniej i szczegółowiej starają się oni poinformować rozmówcę o swoich losach.

Ciekawe tu może być porównanie ze spostrzeżeniami jakie poczynił Dostojewski. Podkreśla on — że każdy z mieszkańców „Domu umarłych” przeżywał z milczącą męką dzieje swego uwięzienia — i rozmowy na ten temat uchodziły za rzecz wysoce niestosowną. Dobrze to rozumiemy: mieszkańcem „Domu umarłych” zostawało się za popełnienie *zbrodni*: snucie wspomnień na ten temat nie było dla skazańców łatwe.

Na Archipelag zaś trafia człowiek dzięki nieodgadnionym kaprysom losu, albo przez złośliwy zbieg mściwych okoliczności, ale w dziewięciu wypadkach na dziesięć nie poczuwa się do żadnej „zbrodni” i dlatego nie ma na całym Archipelagu opowieści bardziej interesujących i mogących liczyć na większe współczucie audytorium, niż historie na temat „*jak się tu znalazłem*”. Długie opowieści zeków o dawnych dziejach, opowieści, których pełne są baraki każdego wieczoru, mają jeszcze inny cel i sens. O ile terażniejszość i przyszłość zeka są bardzo niepewne, o tyle przeszłość jest elementem wręcz niewzruszonym. Przeszłości nic już nie może zekowi zabrać, a nadto — każdy był niegdyś kimś ważniejszym, niż obecnie (nie sposób być bowiem kimś mizerniejszym od zeka; nawet do pijanego włóczęgi poza granicami Archipelagu wypada się zwracać *per towarzysza*). Dlatego to we wspomnieniach miłość własna zeka odwojowuje te szczyty, z których życie go strąciło<sup>15</sup>. Wspomnienia te podlegają ponad to obowiązkowym zabiegom kosmetycznym, włącza się do nich zmyślone (ale nadzwyczaj podobne do prawdy) epizody — i zek-narrator (podobnie jak jego słuchacze) odczuwa ożywczy nawrót *wiary w swoje możliwości*.

Istnieje także inna forma umacniania się w tej wierze — są to przeróżne, należące do folkloru opowieści o zręczności narodu zeków i fortunie jaka im sprzyja. Są to dość toporne fabuły, przypominające żołnierskie bajędy z czasów Mikołaja I-go (kiedy to brano w żołdacy na 25 lat). Opowiedzą wam więc jak to pewien zek poszedł do komendanta, żeby narąbać trzasek na

---

15. A przecież miłość własna starego, głuche go blacharza, czy nawet malarskiego terminatora wcale nie jest mniejsza, niż duma i ambicja słynnego stołecznego reżysera; z tym też trzeba się liczyć.

opał — i jak córeczka pana komendanta sama przyszła do niego, do drewnitni. Albo jak chytry kalifaktor zrobił podkop pod barak zarządu i podstawił menażkę pod ściek zlewu z tej izby, gdzie rewiduje się paczki. W paczkach od rodzin czasami przysyłana jest wódka, na Archipelagu jednak obowiązuje prohibicja i dlatego wódka musi być protokolarnie konfiskowana i zaraz wylewana precz. Nigdy jej zresztą nie wylewano. Kalifaktor zaś zbierał tę wódkę do menażki i zawsze chodził pod gazem.

W ogóle tubylcy lubią i cenią humor — i to dowodzi najlepiej, jak zdrowa w zasadzie jest psychika tych zeków, którym uda się nie zginąć w czasie pierwszego roku pobytu. Wychodzą oni z założenia, że płaczem kary się nie zmniejszy, a śmiechem długów nie narobi. Humor jest ich wiernym sojusznikiem i życie na Archipelagu byłoby bez niego chyba zupełnie niemożliwe. Nawet wyzwiska cenią oni sobie — z uwagi na humorystycznych ich stronę: im które śmieszniejsze, tym prędzej ich przekona. Szczypta humoru musi być obecna w każdej ich odpowiedzi na zadane pytanie, w każdej uwadze o otoczeniu. Jeśli zapytać zeka, jak dawno już jest na Archipelagu, nie odpowie po prostu „pięć lat”, tylko rzeknie:

— Już pięć styczeńców przesiedziałem. (Swoją pobyt na Archipelagu nazywają oni z nieznanych powodów „odsiadką”, chociaż do siedzenia właśnie mają najmniej okazji).

— Ciężko tu wam? — spyta ktoś tutejszego kpiarza. Odpowiedź:

— Ciężko bywa tylko przez pierwsze dziesięć lat.

Gdy wyraża się im współczucie z powodu surowego klimatu, odpowiadają:

— Klimat marny, za to towarzystwo wytworne.

A tak mówią o kimś, kto z Archipelagu wyemigrował:

— Dano mu trzy, odsiedział pięć, ale wyszedł przedterminowo.

A gdy zaczęto przybywać na Archipelag w delegacjach służbowych, obliczonych na ćwierć stulecia:

— Teraz dwadzieścia pięć lat życia zapewnione!

W ogóle — o Archipelagu mówią oni tak:

— Kto tu nie był, ten jeszcze do nas trafi, kto już był, ten zapomnieć nie potrafi.

(Widzimy tu sofizmat fałszywej indukcji, uogólnienie jest bezpodstawne: przecież nikt z nas, czytelniku, wcale się na Archipelag nie wybiera, wszak prawda?). Gdy tylko tubylcy słyszą czyjąkolwiek prośbę, by mu czegoś tam *dodać* (choćby nawet — wrzątku do kubka) — wszyscy krzyczą zaraz chórem:

— Prokurator już ci doda!

(W ogóle — do prokuratorów ludność tubylcza odnosi się z trudną do wytłumaczenia wrogością, która często daje o sobie znać. Rozpowszechnione jest np. na Archipelagu takie oto niesprawiedliwe powiedzenie:

— Prokurator — sekator, oskarżyciel — dręczyciel.

Prócz rymu gramatycznego nie znajdujemy w tych bezmyślnych określeniach dosłownie nic. Z przykrością widzimy tu jeden z licznych przykładów rozkojarzenia oraz niespójności, cechującej się porozrywaniem związków przyczynowych, co sprawia, że procesy myślowe u zeków przebiegają poniżej poziomu przeciętnego. Będzie o tym mowa nieco dalej).

Jeszcze parę przykładów ich miłych, pogodnych żartów:

— Śpi człowiek i śpi, a na odpoczynek nigdy nie ma czasu.

— Nie pijesz wody? To skąd weźmiesz siły?

Gdy pod koniec dnia praca szczególnie jest nieznośna (bo są znużeni i czekają na sygnał końca robót), zawsze ktoś zażartuje:

— Ech, dopiero by robota ruszyła, ale dnia nie starcza!

Rankiem natomiast, zamiast od razu zabrać się do pracy, łążą z miejsca na miejsce i pogadują:

— Prędej by już ten wieczór nadszedł, to by jutro (!) mógł człowiek iść do roboty!

A oto gdzie widzimy zahamowania myślenia i zdolności do logicznych skojarzeń. Znałe jest tubylcze powiedzonko:

— Nie myśmy ten las sadzili, to i rąbać go nie będziemy.

Ale jeśli rozumować w ten sposób, to wszak państwowe gospodarstwa leśne też lasów nie sadziły, a jednak trzebią je ze znacznym powodzeniem! Mamy tu przykład infantylizmu tubylców. Zresztą, są to może kiełki dadaizmu.

Albo takie porzekadło (z czasów budowy Kanału Białomorskiego):

— To robota dla niedźwiedzia!

No jak można serio proponować użycie niedźwiedzi do budowy wielkiego szlaku wodnego? Kwestię pracy niedźwiedziej omówił wyczerpująco już I. A. Kryłow w swoich dziełach\*. Gdyby istniała chociaż najmniejsza możliwość wprzęgnięcia niedźwiedzi do planowej pracy — możemy być pewni, że byłoby to już w naszej epoce zrealizowane i że powstałyby całe niedźwiedzie brygady i obozy dla niedźwiedzi.

Co prawda, tubylcy mają inne jeszcze powiedzonko, gdzie mowa o niedźwiedziach, nader niesprawiedliwe, ale uparcie powtarzane:

---

\* Mowa o bajkopisarzu Iwanie Kryłowie. (1769-1844).

— Naczelnik — niedźwiedź.

Nie jesteśmy wręcz w stanie zrozumieć, jakie skojarzenie towarzyszyło narodzinom tego epitetu? Nie myślimy o tubylcach tak źle, by dwa te powiedzonka poddawać porównaniom i wyciągać stąd jakieś wnioski.

Wyznajemy, że jesteśmy w kłopotcie, przechodząc do problemu języka zeków. Nie mówiąc już o tym, że wszelkie dociekania, poświęcone nowoodkrytym narzeczom, stanowić powinny przedmiot osobnych dzieł i studiów naukowych — natrafiamy w naszym wypadku na trudności dodatkowe.

Jedną z nich jest trwały, aglomeracyjny stop mowy, jako takiej — z urąganiem, o czym już wspominaliśmy. Podziału nikt tu nie jest w stanie przeprowadzić (jak tu bowiem dzielić żywy organizm na części?)<sup>16</sup>, ale skądinąd — nie możemy tej mieszaniny w całości przelewać na karty dzieła naukowego, choć by z uwagi na dobro naszej młodzieży.

Drugim szkopułem jest konieczność odseparowania właściwego języka ludu zeków od narzecza plemienia ludożerców, zwanych „knajakami”, lub „urkami”, a mieszkających z zekami po społu. Narzeczce to stanowi zupełnie odrębny odzimek drzewa filologicznego. Na całym obszarze lingwistyki nie znajdujemy zjawisk doń podobnych, ani pokrewnych. Jest to narzeczce godne specjalnych badań, ale tutaj mogłoby nas zaprowadzić na fałszywe tropy niedozrozmiałe i mylące słownictwo ludożerców (na przykład: *ksywa* — pismo, dokument, *filicha* — chusteczka do nosa, *samara* — worek, sakwojaż, *szeptak* — zegarek, *topuchy* — buty). Jednak największa trudność polega na tym, że niektóre elementy leksyczne języka ludożerców absorbowane są przez język zeków i przyczyniły się do jego wzbogacenia:

świrować, łać wodę, zadać chleba, hakować, odpękać, zjorgnać się, kwacz, hazok, jucht, kabaryna, kipisz, skieł, kogutek, lipo, cwel, okulaki, szlugi, ciul, żar, peperyna, szucherny, najmimorda, iść na zapartkę, zrywka.

Trudno odmówić celności i plastyczności znacznej części tych

---

16. Dopiero niedawno niejaka ob. Stalewszkaja ze wsi Dołgodieriewienkoje w okręgu Czelabińskim znalazła sposób: „Dlaczego nie walczyliście z zanieczyszczeniem języka? Dlaczego nie zwróciliście się w sposób zorganizowany do waszego wychowawcy o należną pomoc?”. Ten znakomity pomysł po prostu nie zaświtał nam w głowie, gdy gościliśmy na Archipelagu. Inaczej — na pewno podpowiedzielibyśmy go zekom...

wyrażeń, są wśród nich nawet słowa dające się od razu zrozumieć. Za szczególnie udatny uważamy termin — *w podskokach*\*! Można przetłumaczyć go tylko z pomocą dość skomplikowanego opisu. Robić coś, albo podawać coś *w podskokach* znaczy to — i na paluszkach, i z impetem, i z całym oddaniem, a wszystko to jednocześnie.

Wydaje się nam, że współczesnemu językowi rosyjskiemu bardzo brak podobnych wyrażeń! — zwłaszcza, że w życiu często spotyka się podobne typy zachowań.

Ale to już może przesadna troska. Piszący te słowa, po powrocie ze swojej długiej wyprawy naukowej na Archipelag bardzo się trwożył, niepewien, czy aby uda mu się powrócić do pracy dydaktycznej w instytucie etnograficznym, przy tym nie tylko w sensie zależnym od działu personalnego. Niepokoiło go także, czy nie utracił kontaktu ze współczesnym językiem rosyjskim i czy zrozumieją go studenci. I raptem — ze zdziwieniem i ukontentowaniem usłyszał z ust studentów pierwszego roku te same zwroty, do których przyzwyczał się już na Archipelagu i których tak brak było naszemu językowi: „obciach”, „uwalić”, „ciuch”, „frajera”, „pet”, „cizia szlaja się z burakiem” i tyle, tyle innych.

Jest to dowodem wielkiej prężności języka zeków, pomagającej mu drogą niepojętej osmozy przesączać się w głąb kraju i zasilać mowę potoczną, zwłaszcza mowę młodzieży. Mamy dzięki temu nadzieję, że w przyszłości proces ten postępować będzie jeszcze energiczniej i że wszystkie wymienione wyżej wyrazy wejdą w skład naszego języka, a może nawet staną się jego ozdobą.

Tym trudniejsze jednak staje się już dziś zadanie badacza, pragnącego ustalić linię graniczną między językiem rosyjskim, a językiem zeków!

I wreszcie — sumiennność naukowa nie pozwala nam ominąć czwartej trudności: chodzi o pierwiastkowe, prehistoryczne może wpływy samego języka rosyjskiego na język zeków, a nawet — na gwargę ludożerców (obecnie takich wpływów już się nie obserwuje). Jak inaczej wyjaśnić można dziwny fakt: znajdujemy oto u Dala liczne odpowiedniki specyficznie wyspiarskich zwrotów\*\*.

Przypomnijmy w związku z tym, że epitet „suka” oznaczał „szpicla” już za czasów P. F. Jakubowicza.

Albo taki znakomity zwrot tubylczy — *zaprzeć się rogami*

\* W oryginale — „na cyrtach!”.

\*\* W oryginale zacytowane są tu 4 przykłady wzięte ze słownika Włodzimierza Dala, z gwary ochweśników, z rosyjskiej kminy więziennej — nie mające odpowiedników w paremiografii polskiej.



(używa go się w stosunku do każdej pracy, którą chce się wykonać za wszelką cenę, a jeszcze częściej gdy mowa w ogóle o uporze, o trwaniu przy swoim), czy — *utrzeć komuś rogów, przytrzeć rogów* — otóż dzięki tym powiedzonkom językowi rosyjskiemu — a zresztą w ogóle językom słowiańskim — przywrócony zostaje dawny sens pojęcia „rogów” (co wiązało się z dumą, pychą, butą, por. „rogata dusza”), zupełnie odmienny w barwie od narzuconego, importowanego z Francji pojęcia, znanego nam ze zwrotu „przyprawić komuś rogi” (odnoszącego się do zdrady małżeńskiej), zwrotu, który wśród prostego ludu zupełnie się nie przyjął, a na pewno zostałby zapomniany także przez naszą inteligencję, gdyby nie kojarzył się z historią pojedyńku Puszkina.

Wszystkie te niezliczone trudności skłaniają nas chwilowo do odłożenia na później pracy nad glottologiczną częścią naszego dzieła.

Na zakończenie kilka słów o charakterze raczej prywatnym. Autora tego szkicu w trakcie jego badań tubylcy z początku nie darzyli ufnością: sądzili oni, że swoje pytania ankietowe zadaje on na zlecenie *kuma* (serdeczny ich opiekun, do którego jednak — co dotyczy zresztą wszystkich ich opiekunów — tubylcy odnoszą się w sposób niesprawiedliwy i nacechowany niewdzięcznością). Przekonawszy się, iż sprawy mają się inaczej, a ponadto — zakosztowawszy nieraz machorki z naszej tabakiery (nie palą oni droższych gatunków tytoniu) zaczęli odnosić się do piszącego te słowa z dużą życzliwością, pozwalając mu zajrzeć w głąb ich nietkniętych zepsuciem dusz. W sposób nader sympatyczny zaczęli nazywać autora tego dziełka to Koprem Pomidorowiczem, to znów — Iwanem Iwanowiczem. Podkreślić należy, iż na Archipelagu rosyjskie *patronimicum* w ogóle nie jest używane i dlatego takie pełne szacunku zwracanie się po imieniu z dodatkami imienia ojcowskiego — nosi tu odcień poniekąd humorystyczny. Również ten fakt świadczy, iż zrozumienie sensu niniejszej pracy przekraczało możliwości intelektualne tubylców.

Autor zaś sądzi, że jego praca została uwieńczona sukcesem, a hipoteza znalazła potwierdzenie: oto w połowie XX wieku odkryty został nowy, nikomu dotąd nieznanym lud składający się z wielu milionów ludzkich istot.

## Rozdział dwudziesty

### PSIA SŁUŻBA

Tytuł tego rozdziału nie jest umyślną i zjadliwą obelgą, lecz wyrazem szacunku dla tradycji Archipelagu. W końcu — ci ludzie sami sobie taki los wybrali: pełnią służbę tę samą co psy strażnicze i pełnią ją w psim towarzystwie. Istnieje nawet specjalny regulamin służby z psami i całe komisje oficerskie oceniają *pracę* każdego psa, troskliwie badając, czy odznacza się wystarczająco *dobrą ciętością*. I — jeśli utrzymanie jednego szczeniaka kosztuje naszych podatników 11 tysięcy rubli (sprzed wymiany, zarządzanej przez Chruszczowa) — bo wilczury żrą sytniej niż więźniowie<sup>1</sup> — to czy utrzymanie takiego oficera nie jest jeszcze kosztowniejsze?

Przy pisaniu tej książki cały czas dręczyła nas niepewność — jak ich w ogóle nazywać? „Naczelnicy, zwierzchność” — to zbyt ogólnikowe, odnosi się również do świata pozawięziennego, do całego życia kraju, a zresztą, zbyt już spowszedniało. „Gospodarze” — to samo. „Administracja obozów” — definicja wymijająca, byłaby dowodem naszej bezradności. Nazywać ich zgodnie z obozową tradycją — to brzmiałoby brutalnie, obelżywie. Poszczególnych przedstawicieli tej kasty od biedy można by — w zgodzie z duchem języka i tradycją — nazywać „oboźny”, w liczbie mnogiej — „oboźni” — co sugeruje od razu, że chodzi o ludzi kierujących i zarządzających obozami, nie zaś o tych, co w obozach siedzą. Różnica jest taka sama, jak między dozorcą więziennym, a dozorowanym więźniem. Prosimy czytelnika o wybaczenie nam tych dywagacji na temat słowa pozornie nowego, a w istocie dawnego, choć używanego w całkiem innym sensie;

1. Wszystko o psach — z powieści Mettera „Murat” (*Nowyj mir*, 1960, Nr 6).

nie może ono uchodzić nawet za neologizm, skoro język zostawił sobie na to pojęcie jak gdyby wolne miejsce. Nie będziemy go jednak nadużywać.

Rozdział ten właśnie tym ludziom jest poświęcony: wielkim i małym obozным, dozorcóm obozów (a także więzień). Można by zacząć od generałów, tak byłoby najskładniej — ale brak nam materiałów. Było niemożliwością dla nas — rabów i robaków nędznych — zobaczyć ich z bliska. Gdy zdarzało się nam ich widzieć, blask złota tak olśniewał, że nie byliśmy w stanie nic dostrzec.

Stąd też nic nie wiemy o zmienianych jeden po drugim szefach GUŁagu — tych istnych carach Archipelagu. Gdy zdarzy nam się znaleźć fotografię Bermana, albo usłyszeć jakieś powiedzonko, przypisywane Apeterowi — natychmiast nabijamy je na szpilkę. Wiemy o „egzekucjach garanińskich” — ale o samym Garaninie nic nie wiemy. Tyle tylko nam wiadomo, że nie zadowalało go stawianie samych podpisów; przechadzając się po obozie, lubił sobie palnąć z mauzera, jeśli czyjś pysk mu się nie podobał. Piszemy — dajmy na to — o Kaszkietinie, ale samego Kaszkietina nigdyśmy na oczy nie widzieli (i dzięki Bogu!). O Frenklu — to i owo dotarło do nas, a o Zawienaginie — nic a nic. Nieboszczyk Zawienagin nie został jednak przywalony kamieniem — pod którym leży ekipa Jeżowa i Berii, żurnaliści piszą o nim z czułością: „legendarny budowniczy Norylska”! Sam go może murował? Skądinąd — Beria darzył go miłościwym spojrzeniem, zaś emwudzista Zinowiew, jego podwładny, bardzo dobrze się o nim wyrażał, w sumie więc sądzimy, że niegorsza była z niego bestia. Inaczej zresztą — kto by mu ten Norylsk wybudował? — A znów Antonowowi, komendantowi obozu Jenisejskiego, publicznie złożył dzięki sam inżynier Pobożyj<sup>2</sup>. Radzimy wszystkim przyjrzeć się temu obrazkowi: chodzi o rozładowanie kryp na rzece Taz. W głębi tundry, gdzie nie ma jeszcze żadnej drogi (czy kiedykolwiek tu w ogóle dotrze?), egipskie mrówki wywlekają parowozy z ładowni wprost na śnieg; nad nimi na skarpie stoi Antonow, ogarnia całość sokolim okiem i wyznacza termin na rozładowanie. Przyleciał tu awionetką, tak samo stąd odleci, świta przed nim tańczy, że niech Napoleon się schowa, a własny kucharz serwuje mu tu, wśród polarnych lodów, świeże pomidory i ogóreczki na składanym stoliku. I z nikim, psi syn, się nie podzieli, wszystko sam zeżera!

W tym rozdziale przyjrzymy się szarżom od pułkownika w dół. Pogwarzyśmy mało-wiele o panach oficerach, przejdziemy potem

2. *Nowyj mir*, 1964, Nr 8.

do sierżantów, prześlizgniemy się po strzelcach z oddziałów wartowniczych — i to już wszystko. Kto widział więcej — ten niech więcej opisz. Oto fatum, ograniczające pole widzenia ludzi siedzących w obozie lub więzieniu: charakter strażników interesuje nas wtedy tylko o tyle, o ile obserwacja taka pomaga uniknąć ich gróźb, albo wykorzystać ich słabostki. Nic nas poza tym w nich nie ciekawi, nie chcemy ich znać, wydają się niegodni uwagi. Znosimy udręki, pełno dokoła ludzi cierpiących niewinnie, i w porównaniu z tym snopem cierpień, który nie mieści się w niczyich objęciach — co nas obchodzą ci tępaczy, pełniący obowiązki psów? ich interesiki? ich nędzne skłonności? ich służbowe sukcesy i niepowodzenia?

A teraz, po niewczasie, rozumie człowiek, że za mało im poświęcał uwagi.

Nie mówmy tu już o zdolnościach — bo czy zechce zaciągnąć się do nadzoru obozowo-więziennego ktoś zdolny do jakiegokolwiek innej pożytecznej działalności — ale zapytajmy po prostu: czy dozorca obozowy może w ogóle być znacym człowiekiem? Jaki system doboru moralnego działa w tym wypadku? Pierwsza selekcja ma miejsce przy kierowaniu do wojsk MWD, do szkół MWD, czy na odpowiednie kursy. Każdy, na kogo padł daleki choćby odblask wskazań moralnych, każdy, kto ma jakieś skrupuły, cień sumienia, zdolność odróżniania dobra od zła — będzie instynktownie bronił się wszelkimi siłami przed wcieleciem do tego czarnego legionu. Ale założmy, że człowiek nie był w stanie się wymigać. Nadchodzi moment drugiej selekcji: w trakcie nauki i praktyki służbowej dowództwo bacznie przygląda się elewom i dyskwalifikuje tych, którzy zamiast silnej woli i zdecydowania (to jest — okrucieństwa i bezwzględności) przejawiają ślamazarność (to znaczy — dobroć). A później przychodzi wieloletnia, trzecia selekcja: wszyscy, którzy dotąd nie zdawali sobie sprawy na co się decydują i gdzie mają pracować — teraz już wiedzą wszystko i zgroza ich ogarnia. Być niezmiennie narzędziem przemocy, bez wytchnienia służyć złu! — to przecież nie każdy potrafi i nie od razu się tego uczy! Przecież musisz brać pod obcas cudze losy, a wewnątrz coś się w tobie napina, w końcu pęka — i dalej już nie możesz tak żyć. I z dużym opóźnieniem, ale ludzie tak czy owak zaczynają zrywać się z tego łańcucha, szukają ratunku w chorobie, zdobywają jakieś lipne zaświadczenia, godzą się na gorzej płatną pracę, rezygnują z epoletów — byle by uciec, uciec, uciec od tego!

Ale ta reszta przecież się wdraża. Ta reszta jakoś się przyzwyczaja — i już im ten sposób bycia wydaje się normalny.

A w każdym razie — pożyteczny. A nawet zaszczytny. A niektórzy — nawet wdrażać się wcale nie musieli — od początku już byli tacy.

Biorąc pod uwagę ten system selekcji, można dojść do wniosku, że odsetek ludzi bezwzględnych i okrutnych jest wśród tej kategorii osób znacznie wyższy, niż w jakiegokolwiek innej grupie ludności. Im dłużej przeto człowiek służy w Organach, im mniej ma przy tym przerw w pracy, im więcej zaś honorów — z tym większym prawdopodobieństwem twierdzić można, że to łotr.

Nie zapominamy o podniosłych słowach Dzierżyńskiego: „Kto z nas stał się nieczułym, czyje serce nie potrafi już odnieść się z należnym taktem do cierpień więźnia — niech opuści te szeregi”. Ale jakoś nie możemy znaleźć związku między tymi słowami, a rzeczywistością. Do kogo to było mówione? I czy aby całkiem serio? — skoro jednocześnie taki Kosyriew był brany w obronę? (Część I, rozdział 8). I kto był tym wskazaniom posłuszny? Ani „terror jako środek perswazji”, ani aresztowania na zasadzie przynależności do „niepewnych elementów”, ani egzekucje zakładników, ani obozy koncentracyjne, założone 15 lat przed Hitlerem — nie dają nam jakoś podstaw do wiary w te czułe serca, w tę rycerskość. I jeśli w tych latach ktoś z *własnej* inicjatywy porzucił Organy, to raczej właśnie ci, których Dzierżyński zachęcał do pozostania, ci którzy nie zapadli na znieczulicę. A kto na tę chorobę zapadł, albo zawsze był jej ofiarą, ten właśnie zostawał w tych szeregach. (A może ktoś im inne jeszcze wskazania dawał, tylko cytatki brak?).

Jak twarde mają żywot komunały, które powtarzamy bez namysłu i kontroli! *Stary czekista!* — kto nie słyszał u nas tych słów, wymawianych zwykle z szczególnym akcentem i z szacunkiem. Jeśli ktoś chce podkreślić różnicę między doświadczonym służbistą, a młodymi, niedoświadczonymi szczeniakami, szczekliwymi, ale nie umiejącymi jeszcze zgryźć jak należy — powiada wtedy: „A tameczny komendant to sta-ary czekista!”. (No, na przykład — jak ten major, co to spalił sonatę kajdaniarską Klempnera). Czekiści sami puścili to wyrażonko w obieg, a my bezmyślnie je powtarzamy. „Stary czekista” — przecież to znaczy co najmniej tyle, że i za Jagody był ceniony, i za Jeżowa, i za Berii, słowem że potrafił każdemu z nich dogodzić.

Ale nie rozpraszajmy się, nie mówmy tu o czekistach w o g ó l e. Czekistom operacyjno-śledczo-żandarmskiego autoramentu już poświęciliśmy cały rozdział. Tymczasem — ci od obozów tylko lubią tak siebie nazywać, aspirują jedynie do tej godności albo też odkomenderowani zostali z Organów na wypoczynek — tak jest, na wypoczynek, bo tu nie psują sobie nerwów i zdro-

wia nie mogą sterać. Ich tutejsza praca nie wymaga ani takiej inteligencji, ani takiej złowrogiej energii, które tam są potrzebne. W Czekagebe trzeba być ostrym i koniecznie wpaść zwierzchnikom w oko, w MWD wystarczy być tępym i nie spudować, waląc w czachę.

Bardzo nam przykro, ale nie zamierzamy tu wyjaśnić dlaczego właściwie hasło „maksymalnego zwiększenia odsetka robotników i komunistów w szeregach dozoru obozowego<sup>3</sup>”, z takim sukcesem wprowadzone w życie, nie przyczyniło się do rozkwitu na Archipelagu owego żarliwego humanitaryzmu, o którym mówił Dzierżyński. Od pierwszych lat rewolucji, na kursach przy Centralnym Oddziale Kar i przy jego gubernialnych delegaturach, dla potrzeb więzień i obozów szkolono personel administracyjny (to znaczy — straż wewnętrzną) „nie odrywając ludzi od pracy zasadniczej” (to znaczy — że byli już na służbie w więzieniach i obozach). W 1925 roku tylko 6 % tych ludzi wywodziło się ze starej, carskiej kadry resortu więziennictwa (stare warusy, swoją drogą). Co do średnich szarż, to już wcześniej ta ekipa składała się wyłącznie z elementów sowieckich.

Uczyli się więc: z początku na wydziałach *prawa*, Komisariatu Oświaty (tak jest, Komisariatu Oświaty! I nie bezprawa — tylko prawa!), poczynając zaś od 1931 roku — na wydziałach penitencjarnych instytutów prawniczych Komisariatu Sprawiedliwości w Moskwie, Leningradzie, Kazaniu, Saratowie i Irkucku. Wśród absolwentów tych wydziałów było 70 % osób pochodzenia robotniczego i 70 % członków partii! W 1928 roku dekret Sownarkomu i — nigdy nie zgłaszającego sprzeciwów — WCIK-u rozszerzył znacznie dyscyplinarne uprawnienia tych proletariackich i partyjnych szefów miejsc odosobnienia<sup>4</sup> — no i proszę, jakoś humanitaryzmu nie przybyło! Zadawali oni cierpienia milionom ludzi, więcej było tych milionów, niż ofiar faszyzmu — przy tym nie byli to jeńcy, ani mieszkańcy zdobytych terytoriów, tylko współobywatele, synowie tej samej ziemi!

Kto potrafi to wyjaśnić? My nie jesteśmy w stanie...

Czy podobieństwo przeznaczeń i sytuacji życiowych upodabnia do siebie ludzkie charaktery? Na ogół biorąc — nie. Gdy chodzi o ludzi wielkiego ducha i rozumu — to nie upodabnia; zdolni są oni do samodzielnych decyzji, bardzo czasem nieocze-

3. A było ich w RSFSR — już 1. X. 1923 — 12.000, zaś 1. I. 1925 — 15 tysięcy. Centr. Arch. Rew. Paźdz., zbiór 393, fascykuł 39, teta 48, arkusz 4 i 13.

4. Praca zbiorowa: *Od więzień...*, str. 421.

kiwanych, bo też ludzie ci mają własne, osobliwe cechy. Ale ludzie z dozoru obozowego — po przejściu surowej selekcji negatywnej, dotyczącej zarówno ich intelektu, jak etyki — odznaczają się niezwykłym podobieństwem charakterów. Sądzimy, że bez trudu uda się wyodrębnić ich zasadnicze cechy *wspólne*.

P y c h a. Facet mieszka na izolowanej wyspie, więź, łącząca go z odległymi ośrodkami władzy, jest słaba i na tej wyspie — jest on na pewno najważniejszy: jego pokorni poddani — to nie tylko cała gromada zeków; wszyscy wolni też się do nich zaliczają. On tu ma największą gwiazdę na epoletach. Władza jego jest bezgraniczna, ten człowiek nigdy nie popełnia omyłek: każdy, kto ośmieli się złożyć skargę, musi w końcu uznać, że był w błędzie (bo zostaje zgnieciony na miazgę). To on ma najlepsze na wyspie mieszkanie i najlepszy środek lokomocji. Na jego bliskich i świętę również pada wyjątkowy blask. A jako że całe ich poprzednie życie nie zdołało wyrobić w nich nawet iskry zdolności krytycznych — więc zaczynają w końcu samych siebie uważać za przedstawicieli szczególnej rasy urodzonych władców. Z faktu, że nikt nie jest w stanie im stawić czoła, wyciągają wnioski, że rządy ich są pełne mądrości, że mają do rządzenia wyjątkowy talent („organizacyjny”). Każdego dnia i na każdym kroku zbierają nowe dowody swojej przewagi: inni ludzie na ich widok wstają, prężą się słuźbiście, gną się w ukłonach, na każde żądanie — nie podchodzą, tylko podbiegają, otrzymawszy rozkaz — nie odmaszerowują, tylko biegną w dyrdy. Gdy pan naczelnik (Dukielski z Bamłagu) staje we wrotach obozu, aby przyjąć paradę czarnej od brudu czeredy poddanych, wracających z roboty — ma na sobie śnieżno-biały, letni garnitur, godny plantatora. Gdy wpadnie im do głowy (Unzłag) przyjrzeć się, jak kobiety w czarnych łachmanach, grzęznąc w błocie po pępek, usiłują kopać kartofle (zresztą nie zdążą ich z pola wywieźć i latem wszystko pójdzie na nawóz) — na lustrację wyjeżdżają konno; mijając gromadę tonących w bagnie niewolnic, ci elegancy jeźdźcy w nienagannie skrojonych wełnianych uniformach, w lśniących oficerkach — prezentują się zaiste jak goście z Olimpu.

Buta prowadzi nieuchronnie do t ę p o t y. Kto za życia podniesiony został do boskiej godności — ten musi znać się na wszystkim doskonale, nie musi zaś ani czytać, ani uczyć się niczego. Nikt nie może mu też podpowiedzieć żadnej myśli, godnej chwili uwagi. Na Sachalinie Czechow spotykał wśród administracji więziennej ludzi rozumnych, aktywnych, mających jakieś pasje naukowe, badających miejscową przyrodę i warunki bytowe, piszących rozprawki z zakresu geografii i etnologii — ale nawet w przystępie dobrego humoru nie sposób wyobrazić sobie



na całym Archipelagu choćby jednego takiego przedstawiciela kadry obozowej! I gdy taki Kudłatyj (komendant jednej z placówek wydzielonych Ust'wymłagu) postanowił, że wykonanie państwowej normy na 100 % — to jeszcze nie jest żadne prawdziwe 100 %, i że trzeba osiągać jego własne, brane z sufitu, cyfry wykonania, bo inaczej cała zmiana dostanie karną pajkę — to nikt nie był w stanie go przekonać. Zmiana osiąga 100 % normy — i dostaje w nagrodę karną pajkę. W gabinecie Kudłatyj ma całe naręcza pism zebranych Lenina. Wzywa do siebie W. G. Własowa i wykłada mu: „Widzisz, tu Lenin pisze, jak trzeba postępować z pasożytami” (za pasożytów uważa on więźniów, osiągających tylko 100 % normy, za proletariat zaś — samego siebie. W ich głowach tak to się jakoś już ułożyło: tu jest mój folwark i to ja jestem prawdziwym proletariuszem).

W epoce pańszczyzny nie brak było wykształconych ziemian, ba, wielu z nich uczyło się w rozmaitych Petersburgach, czy nawet Getyngach. Stąd właśnie raz po raz pojawiali się wśród nich ludzie pokroju Aksakowa, Radiszczewa, Turgieniewa. Środowisko naszych emwudzistów nie wydało i nie wyda nikogo, kto by tamtych ludzi przypominał. A co najważniejsze — dawni dziedzice albo sami zarządzali własnym majątkiem, albo musieli chociaż trochę znać się na gospodarstwie. Tymczasem butni oficerowie MWD, korzystający z wszystkich możliwych przywilejów i państwowych nadań, nie mogą już w żaden sposób udźwignąć dodatkowego ciężaru zarządzania gospodarką obozową. Są na to zbyt leniwi i tępi. Swoją niezaradność ukrywają za mglistą zasłoną tajemnicy służbowej i regulaminu. I w rezultacie państwo<sup>5</sup> zmuszone jest do utrzymywania obok ich uskrzydłonej epoletami hierarchii — jeszcze jednej, równoległej drabiny stanowisk produkcyjnych w obozowych wytwórniach i kombinatach<sup>6</sup>.

S a m o w o l a. Skłonności sobiepańskie. Pod tym względem kadra obozowa w zupełności dorównała najgorszym właścicielom chłopskich dusz z XVIII i XIX wieku. Niezliczone są przykłady bezmyślnych rozporządzeń, mających jeden tylko cel: pokazać, kto tu rządzi. Im głębiej w lasy Syberii i Dalekiej Północy — tym więcej podobnych przykładów, ale nawet w takich Chimkach pod samą Moskwą (dzisiaj — już w obrębie Moskwy) major Wołkow widzi 1 maja że więźniowie nie tryskają wesołością.

---

5. Nie zawsze decyzje należą do centrali, historia to wyjaśni. Często inercja średniej warstwy urzędniczej decydowała o zastoju w całym państwie.

6. Ale to nikogo nie dziwiło. Toć wszystko u nas jest dublowane, poczynając od aparatu Rad Narodowych (Sowietów).

Rozkazuje zatem: „Niech mi tu zaraz będzie wesoło! Jak zobaczę kogo z ponurą miną — do karceru!”. Aby wprowadzić inżynierów w nastrój świąteczny — posyła do hali produkcyjnej szemrane dziewczuchy z trzecim wyrokiem na karku, aby śpiewały im tam sprośne czastuszki. Ktoś mi powie, że to nie samowładztwo rozwydrzonego sobiepanka, tylko chwyt polityczny; zgoda. Do tegoż obozu przybył nowy transport. Jeden z nowoprzybyłych, niejaki Iwanowski, oznajmia, że jest tancerzem z baletu Teatru Wielkiego. „Co? Artysta? — sroży się Wołkow. — Dwadzieścia dni bunkra! Idź sam się zameldować do naczelnika karceru!”. Za jakiś czas telefonuje: „Artysta siedzi?” — „Siedzi”. „Sam się zgłosił?” — „Sam”. — „No, to go wypuścić. Wyznaczam go na pomocnika intendenta”. (Tenże Wołkow, jak to już pisaliśmy, kazał ostrzyć dziewczynę na zero za to że miała ładne włosy).

Pewnemu komendantowi OŁP nie dogodził czymś chirurg Fuster, Hiszpan. „Posłać go do kamieniołomów!”. Posłali. Ale niedługo potem — pan komendant się rozchorował i operacja okazała się konieczna. Nie brak innych chirurgów, można pojechać do centralnego szpitala, ale nie! komendant wierzy tylko w Fustera! Przysłać go w te pędy z kamieniołomów! Będziesz mnie operować! (Ale skonał pod nożem).

Inny zaś komendant trafił na złotą żyłę: więzień Kazak, inżynier-geolog, ma, jak się okazuje, piękny tenor dramatyczny, jeszcze przed rewolucją kształcił się w Petersburgu, był uczniem Włocha Repetto. Komendant także u siebie odkrył talent. Są to lata 1941-42, gdzieś tam toczy się wojna, ale komendant jest solidnie wyreklamowany i bierze lekcje śpiewu u swojego pańszczyźnianego tenora. A tenor całkiem już scherlał — trzy ćwierci do śmierci, wciąż rozpytuje się w podaniach o żonę. Żona jego, O. P. Kazak, jest na zesłaniu i szuka męża poprzez GUŁag. Obie nicy ma w rękę komendant, mógłby połączyć tę parę, gdyby chciał; nie kiwnie jednak nawet palcem. Dlaczego? „Uspokaja” tylko Kazaka, że jego żona jest... na zesłaniu, ale ma co jeść (była nauczycielką, pracuje teraz w Centrali Zbożowej jako sprzętaczka, później przenoszą ją do kołchozu). A lekcje śpiewu wciąż trwają. Kiedy w 1943 roku Kazak już ledwie trzyma się na nogach, komendant wreszcie zdobywa się na akt łaski: pozwala wciągnąć go do spisu niezdolnych do pracy i odsyła do żony, aby mógł tam spokojnie skonać. (Nie najgorszy więc jeszcze komendant!).

Całą zwierchność obozową ożywia to samo poczucie, że siedzą na swoim. Uważają swój obóz wcale nie za część jakiegoś organizmu państwowego, lecz za swoje włości, oddane im bez reszty we władanie, na cały okres ich kadencji. Stąd się

bierze sobiepańskie rozpasanie w stosunku do ludzi i losów, będących w ich ręku, stąd też chępliwość, którą przejawiają przy okazji spotkań. Komendant jednego z kengirskich podobozów powiada: „U mnie w łaźni profesor w piecu pali!”. Ale komendant innego podobozu, kapitan Stadnikow, bije go asem: „A u mnie akademik jest za posługacza, kible wynosi!”.

Chciwość, z a c h ł a n n o ś ć. Jest to najbardziej uniwersalny rys ich charakteru. Nie każdy z nich jest tępakiem, nie każdy sobiepanem — ale każdy, od najstarszego rangą, do najdrobniejszej płotki, stara się przywłaszczyć sobie jak najwięcej, wykorzystując bezpłatną pracę zeków i rozkradając mienie państwowe. Nie tylko sam nie widziałem — ale nikt z moich przyjaciół nie potrafi przypomnieć sobie nadzorcy o czystych rękach, nikt też z byłych zeków, moich korespondentów, takiego na oczy nie widział.

Tej łapczywości nie mogą zrównoważyć żadne, a tak liczne, przywileje i z prawa należne korzyści. Ani wysokie gaże z podwójnymi i potrójnymi dodatkami („podbiegunowy”, „peryferyjny”, „za pracę w niebezpiecznych warunkach”). Ani premie (przewidziane dla obozowego kierownictwa na mocy art. 79 kodeksu Pracy Poprawczej z 1933 roku — tego samego kodeksu, który pozwalał na ustanowienie 12-togodzinnego dnia roboczego dla więźniów i tygodnia bez niedziel). Ani — wyjątkowo korzystne obliczanie stażu pracy (na Północy, gdzie przecież położona jest połowa Archipelagu, jeden rok pracy równa się dwom, a dla „wojskowych” wystarczy 20 lat służby do emerytury. W ten sposób, oficer MWD, promowany w wieku 22 lat, może przejść na pełną emeryturę i zamieszkać sobie w Soczy, mając zaledwie 32 lata!).

Ale tego im mało! Każdy kanał i kanalik, przez który napływać mogą darmowe usługi, wiktuały, czy wyroby — wykorzystywany jest przez każdego z tych panów łapczywie i żarłocznie. Już na Sołówkach naczelnicy zaczęli brać sobie do posług więźniów, aby mieć za darmo chę woźniców, palaczy, praczki, kucharki. Od tego czasu nie ustawał ani na chwilę ten wygodny proceder (i nikt go nie zabraniał), a panowie gospodarze mieli w obozach nawet własnych ogrodników, guwernerów do dzieci i dojarki do krów. I w latach najgłośniejszych krzyków na temat socjalizmu i równości, na przykład w 1933 roku, w Bamłagu każdy wolny pracownik mógł — za niewielką opłatą na rzecz kasy obozu — wybrać sobie spośród więźniów posługacza lub służącą. W Kniaż-Pogoście „ciocia Mania” Utkina obsługiwała komendancką krówkę i dostawała w nagrodę za to *jedną* szklanekę

mleka dziennie. Jak na GUŁag — była to hojna zapłata. (A jeszcze bardziej zgadzałyby się z prawami GUŁagu, gdyby krowa była nie panakomendancka, tylko szpitalna, „dla wzbogacenia diety chorych”, z tym, że mleko i tak by szło na stół możnowładcy).

Kto tylko mógł jeść i pić kosztem więźniów — ten niechybnie kradł, przy czym nie szklankami, ale wiadrami i workami. Niech czytelnik przyjrzy się listowi Lipaja, przytoczonemu w rozdziale 9-tym; toć to istny krzyk duszy byłego magazyniera! Przecież nie z głodu, potrzeby, czy biedy ci wszyscy Kuraginowie, Pojsujszapki, czy Ignatczenkowie pompowali z magazynu beczki i wory, tylko ot, tak sobie: bo też jak tu nie pożywić się kosztem bezbronnych, niemych i ginących z głodu rabów? Tym bardziej — podczas wojny, kiedy to każdy łapie, co tylko może. Toć koledzy wyśmieją, jeśli człowiek sobie tego odmówi! (Nie wspominam już oddzielnie o ich wiarołomnej nielojalności wobec współników-prydurków, którym powinęła się noga). Więźniowie z Kołymy twierdzą, że kto tylko mógł wetknąć grabę do wspólnego kotła dla zeków — komendant obozu, naczelnik wydziału penitencjarnego, naczelnik KO, wolni pracownicy, dyżurni nadzorczy — ten już coś sobie z niego wyławiał. A wartownicy wyносили na odwach nawet słodzoną herbatę! Niech tam będzie tylko łyżeczka, ale jak nie liczyć tego cukru, skoro to dla zeków! Co konającemu od ust odjęte — to przecież słodsze...

Naczelników działów KO lepiej wcale nie wspominać — tu już tylko śmiech bierze. Też kradną wszyscy, ale to drobne złodziejaski (być większymi im nie wolno). Wzywa taki naczelnik KO magazyniera i wtyka mu w rękę jakiś pakuneczek: dziurawe, watowane portki, zawinięte w *Prawdę*: — Naści, a mnie przynieś nowe. A z obozu na rogatce Kałużskiej naczelnik KO w latach 1945-46 co dzień wynosił wiązkę trzasek, ściągniętych dla niego przez zeków na budowie. (A potem jechał przez Moskwę autobusem: — służbowy szynel i wiązka drewek, też nie miał słodkiego życia...).

Panom gospodarzom nie wystarcza, że i dla nich, i dla całych ich rodzin obozowi majsterkowie szyją buty i ubrania (nawet kostium „gołąbek pokoju”, w którym gruba żona pana komendanta ma pojawić się na maskaradzie — też jest szyty w obozowej szwalni). Nie wystarcza im, że w obozowych warsztatach robią dla nich meble i wszelkie narzędzia gospodarcze. Nie dość im, że więźniowie leją tam dla nich śrut (żeby mogli kłusować w sąsiednim rezerwacie). Nie dość im, że ich prosięta tuczone są z przydziałów dla obozowej kuchni. To dla nich za mało! Od dawnych dziedziców tym właśnie się różnią, że ich władza

nie jest dożywotnia, ani dziedziczna. Dlatego też — dawni ziemianie sami u siebie kraść nie musieli, zaś obozowi naczelnicy furt myślą tylko o tym, jakby coś zwędzić z własnego gospodarstwa.

Nie chcę tu szafować przykładami, aby nie przeładować nimi relacji. Z naszego obozu na Kałużskiej ponury garbus Niewieżyn nigdy nie wychodził z pustymi rękoma. Krocząc w swoim długim, oficerskim szynelu, zawsze niósł albo wiaderko z pokostem, albo szyby, albo paczkę kitu, a wszystko to w ilościach tysiąckrotnie przekraczających potrzeby jednej rodziny. A brzuchaty kapitan, komendant 15-tego OŁP z Wybrzeża Kotielnikowskiego co niedziela przyjeżdżał do obozu osobowym samochodem po kit i pokost (w powojennej Moskwie szły one na wagę złota). Wszystko to było już przedtem ukradzione dla nich i wyniesione z zony produkcyjnej przez tych samych zeków, którzy dostali po 10 lat za snopek słomy, albo pudełko gwoździ! Ale my, Rosjanie, od dawna już jesteśmy *dobrze wychowani* i już nas to w naszym kraju nie dziwi, już to dla nas wszystko fraszka. Ale co myśleli sobie niemieccy jeńcy w rostowskim obozie! — komendant posyłał ich nocami na budowę, aby kradli tam dla niego materiały: zarówno on, jak jego pomocnicy stawiali właśnie dla siebie domki jednorodzinne. Jak mogło się to pomieścić w głowach przyzwyczajonych do posłuszeństwa Niemców, skoro dobrze wiedzieli, że ten sam komendant oddawał ich za kradzież paru kartofli pod sąd, gdzie z kolei wlepiano im po 10 i po 25 latek? Niemcy znaleźli w końcu wyjście: zgłaszali się do tłumaczki S. i wręczali jej pisemne usprawiedliwienie: stało tam czarno na białym, że takiego a takiego dnia idą kraść, ale na rozkaz. (Budowali zaś oni kolej i nieustannie podkradanie cementu sprawiło, że zwrotnice i tory układano nieomal że na gołym piasku).

Warto odwiedzić w Ekibastuzie dom dyrektora miejscowych kopalń D. M. Matwiejewa (pracuje teraz w górnictwie tylko na skutek częściowej redukcji kadr GUŁagu, bo aż do 1952 roku był komendantem obozu w tej samej miejscowości). Dom ten pełen jest obrazów, rzeźb i rozmaitych innych przedmiotów wykonanych bezpłatnie przez zeków.

R o z w i ą z ł o ś ć. Ta cecha nie u każdego występuje, zależy to od fizjologii, ale pozycja komendanta obozu i suma jego uprawnień stwarzają wyjątkowe warunki do zakładania haremu. W Buriepołomie komendant podobozu Grinberg nie przepuścił ani jednej nowoprzybyłej młodej, ładnej kobiecie (jaki jeszcze miały wybór, oprócz śmierci?). W Koczemasie komendant obozu Podlesnyj był amatorem nocnych obław w żeńskich barakach

(już to wiedzieliśmy w Chowrinie). Osobiście ściągał z kobiet koce, udając, że szuka gachów. Miał piękną żonę, a jednocześnie trzy kochanki — zeczki. (Pewnego dnia zazdrość tak go poniosła, że jedną z nich zastrzelił i zaraz sam sobie w łeb palnął). Fili-monow, naczelnik działu kulturalno-oświatowego w ogromnym Dmitłagu usunięty był ze stanowiska „za rozkład moralny” i kar-nie przeniesiony do Bamłagu (na analogiczne stanowisko). Tu dalej pił na umór i cudzołożył w najlepsze, a swoją kochankę, skazaną za jakieś przestępstwo pospolite, zrobił kierowniczką jed-nego z oddziałów KO. (Syn jego skumał się z bandytami i wkrót-ce sam dostał się do obozu za rozbój).

Złościwość, okrucieństwo. Nie istniały żadne wę-zidła — ani moralne, ani praktyczne — które mogły powścią-gnąć w nich te skłonności. Nieograniczona władza w ręku ogra-niczonych ludzi zawsze prowadzi do wybuchów okrucieństwa. (I nie dla łatwego konceptu wciąż tu akcentujemy podobieństwo wad naszej kadry obozowej do przywar naszych ziemian z epoki pańszczyzny. Podobieństwo jest, niestety, dowodem, że natura naszych ziomeków wcale nie zmieniła się w ciągu ostatnich lat dwustu: dajcie taką samą wszechwładzę i zjawią się te same przywary!).

Jak rozwydrzona plantatorka uwijała się na swoim koniu wśród pracujących niewolnic Tatiana Merkułowa, kobieta-bestia (trzynasty, żeński odcinek leśny Unzłagu). Jak twierdzi były zek, Pronman, major Gromow chodził jak błędny w dniach, gdy nie udało mu się posłać przynajmniej kilku ludzi do bunkra. Kapitan Miedwiediew (III-ci podobóz Ust'wymłagu) kilka godzin z rzędu potrafił stać osobiście na wieżycze strażniczej, zapisując mężczyzn wchodzących do baraku żeńskiego, aby móc ich potem posłać do karceru. Sprawiało mu przyjemność, gdy izolator był zawsze pełny. Jeśli cele izolatora nie były wypełnione po brzegi, czuł jakąś pustkę duchową. Wieczorami lubił zarządzać zbiórkę i pou-czać zeków: „Dla was gra jest skończona! Nigdy nie wróćcie na wolność! Porzućcie wszelką nadzieję!”. W tymże Ust'wym-łagu komendant podobozu Minakow (były zastępca naczelnika więzienia w Krasnodarze; odsiedział dwa lata za nadużycie wła-dzy, ale zdążył już odzyskać legitymację partyjną) osobiście ścią-gał z nar za nogi zeków, odmawiających chodzenia do pracy; byli wśród nich knajacy, próbowali stawiać opór i wymachiwać deskami; wówczas Minakow kazał w całym baraku wyjąć okna z ram (25° mrozu) i lać do wnętrza wodę wiadrami.

Wszyscy oni dobrze wiedzieli (a więźniowie też zdawali sobie z tego sprawę), że *druty telegraficzne tu się kończą!* Wśród plan-



tatorów kwitła więc złośliwość wyrafinowana, sadyzm, co się zowie. Nowy transport stoi na baczność przed naczelnikiem oddziału specjalnego obozu Buriepołom, Szulmanem. Szulman wie, że cały ten transport ma iść od razu na roboty ogólne. Mimo to nie chce odmówić sobie przyjemności i pyta: „Są tu inżynierowie?”. Podnosi się jakieś dziesięć rąk nad rozjaśnionymi nadzieją twarzami. „Aha! A może są też członkowie Akademii Nauk? Zaraz wam przyniosą *ołoweczki*”. I zaraz ktoś przynosi naręcze... łomów. Komendant wileńskiej kolonii karnej, lejtnant Kariew, widzi wśród nowoprzybyłych więźniów młodszego lejtnanta Bielskiego (Bielski nosi jeszcze oficerki i ma na sobie spłowiwały mundur). Jeszcze niedawno ten człowiek był takim samym sowieckim oficerem, jak Kariew i nosił takie same epolety z jednym podłużnym paskiem. Cóż, może widok tego spłowiatego munduru frontowego budzi w Kariewie współczucie? Może przynajmniej potrafi zachować taktowną obojętność? Bynajmniej — chce upokorzyć oficera jak najprzykładniej! I każe mu (nie pozwalając zamienić munduru na obozową fufaję) wozić taczkami nawóz na grządki warzywnika. Do teje kolonii karnej przyjeżdżali kierownicy zarządu obozów Litwy, aby zażyć kąpieli w łaźni. Gramolili się na półki i kazali się więźniom myć, przy tym wybierali do tego zajęcia wyłącznie Pięćdziesiątkę Osemkę.

Przyjrzyjcie im się zresztą bliżej, snują się przecież do dziś pośród nas, mogą znaleźć się w tym samym przedziale kolejowym (oczywiście — pod warunkiem, że to I klasa) czy w samolocie. Poznać ich po dystynkcjach: ich naszywki przyozdobione są złotym wieńcem, nie wiadomo tylko, za co ich tak uwieńczono. Już nie noszą błękitnych epoletów (może się krępują), ale wypustka jest wciąż niebieska, chociaż czasem bywa czerwona, albo malinowa. W ich twarzach zastygło nawykowe, wystałe okrucieństwo, miny mają wiecznie ponure i niezadowolone. Zdawałoby się, że wszystko nieźle im się w życiu układa, skąd więc ten wyraz niezadowolenia? Może im się wydaje, że przegapili jakąś jeszcze lepszą okazję? A może jednak Pan Bóg naznacza szubrawców takim piętmem za wszystkie ich podłości? — W pociągach, przecinających okolice Wołogdy, Archangielska, czy Uralu — w wagonach I klasy można najczęściej spotkać tych dziwnych *wojskowych*. Za oknami migają odrapane wieżyczki obozów. „To wasze *gospodarstwo*?” — pyta sąsiad sąsiada. Oficer kiwa głową z satysfakcją, nawet z pewną dumą: „Nasze”. „Tam właśnie jedzicie?” — „Owszem”. — „Żona też pracuje?” — „Ma 90 rubli pensji. A ja 250 (a więc major). Dwoje dzieci. Nie przelewa się”. Albo tamten — wielkowiejskie maniery, miły



sposób rozmowy, sympatyczny towarzysz dalekiej podróży. Przez okna widać kołchozowe pola, więc ma temat: „W rolnictwie są zmiany na lepsze. Oni teraz *sieją wszystko, co zechcą*”. (A kiedy po raz pierwszy wyleźli z jaskini, żeby zasiać leśne pogorzelsko, to nie siali tego, co chcieli?...).

W 1962 roku jechałem w poprzek Syberii pociągiem — po raz pierwszy jako człowiek wolny. I trzeba trafu, że w tym samym przedziale znalazł się młody emwudzista, który dopiero co ukończył szkołę oficerską w Tawdzie i jechał do pracy w sieci obozów irkuckiego zarządu okręgowego. Zacząłem udawać naiwniaka, chłopak rozkrochmalił się i opowiedział mi, jaką to praktykę przechodzili elewi w nowoczesnych obozach i jacy to ci więźniowie są bezczelni, pozbawieni ludzkich uczuć i w ogóle beznadziejni. Na jego twarzy nie zastygł jeszcze wyraz niezmiennej surowości, ale pokazał mi pamiątkową fotografię 3-go rocznika absolwentów Tawdy, gdzie obok młodych chłopców byli też sfotografowani starzy, kadrowi siepacze z obozów, dokszałcający się w tej uczelni (w zakresie tresury, inwigilacji, obozoznawstwa i marksizmu-leninizmu), już raczej dla emerytury, a nie dla dobra służby. Chociaż niejedno widziałem, ale tym razem ażem jęknął. Podłość wżera się w rysy twarzy! Jak nieomylnie wybiera się tych ludzi spośród milionów!

W obozie jeńców Achtme (Estonia) zdarzył się taki wypadek: pielęgniarka szpitalna, Rosjanka, wdała się w romans z niemieckim jeńcem. Rzecz wyszła na jaw. Gdybyż wypchnęli ją po prostu z tego ich lepszego towarzystwa! Ale gdzie tam! Dla tej kobiety, noszącej przecież rosyjskie, oficerskie epolety, sklacono i ustawiono za zoną, obok wartowni, psią budkę z tarcic (nie żał było pracy) z kocim okienkiem. W tej klatce przetrzymano dziewczynę przez cały tydzień i każdy wolniak idąc do „pracy”, czy wychodząc z obozu-rzucał w budkę kamieniami, wrzeszczał „niemiecka kurwa!” i charkał śliną.

Tak ich się właśnie dobiera.

Pomóżmy teraz zachować dla potomności nazwiska kołymskich oprawców, którzy (w końcu lat 30-tych) nie chcieli znać żadnych granic ani dla swojej władzy, ani dla swojej wynalazczości w okrucieństwie: Pawłow, Wiszniewiecki, Gakajew, Żukow, Komarow, M. A. Kudriaszew, Łogowinienko, Mierinow, Nikiszow, Reznikow, Titow, Wasyli o przezwisku „Durowoj”. Wymieńmy też Swietlicznego, osławionego kata z Norylska, ma na sumieniu wiele istnień.

Niech już tam ktoś inny opowie o takich potworach jak Czczew (był szefem jednego z nadbałtyckich ministerstw spraw

wewnętrznych, został zdegradowany i przeniesiony na stanowisko komendanta Stepłagu); Tarasenko (komendant Usolłagu); Koricyn i Didorenko z Kargopolłagu; jak brutalny Barabanow (komendant Pieczorłagu po zakończeniu wojny); Smirnow (naczelnik wydziału dyscyplinarnego Pieczefeldorłagu); major Czepiga (naczelnik wydziału dyscyplinarnego Workutłagu). Sam tylko spis tych okrytych sławą nazwisk zająłby dziesiątki stron. Samotne moje pióro nie da rady tej robocie. Zresztą — dalej władza jest w ich ręku. Jeszcze nie mam do dyspozycji biura, do którego mogłyby napływać te wszystkie materiały, i jakoś nikt mi nie daje do rozporządzenia mikrofonów radia, przez które można by ogłosić apel.

Jeszcze tylko słówko o Mamułowie. Mowa o tym samym Mamułowie z Chowrina, którego brat był szefem sekretariatu Berii. Kiedy nasi wyzwolili pół Niemiec, wielu czołowych emwudzystów pobiegło tam na wyprzódki. Był wśród nich również nasz Mamułow. Jął wysyłać stamtąd na swoją stację Chowrino całe zestawy kolejowe z plombowanymi wagonami. Wagony wtaczano w głąb obozu, aby wolni kolejarze nie widzieli (miał to być rzekomo cenny sprzęt dla fabryki) — a więźniów zaprzęgano do rozładowania, co się tam krępować. Były tam sterty rzeczy, wszystko, co tylko wpadło w ręce zadyszanych, opętanych chciwością rabusiów: wyrwane z plafonów żyrandole, meble antykwaryczne i domowe, serwisy, byle jak zawinięte w pomięte obrusy, naczynia kuchenne, obuwie, suknie balowe i szlafroki, damska i męska bielizna, kolorowe surduty frakowe, cylindry i nawet laski! W obozie wszystko to sortowano troskliwie. Co było jeszcze całe — rozłożono później do mieszkań panów naczelników i rozdawano znajomym. Mamułow przywiózł z Niemiec cały park zdobycznych samochodów, nawet swojemu 12-letniemu synowi (typowy wiek maślaków!) podarował Opla-Kadeta. Przez długie miesiące obozowe warsztaty krawieckie i szewskie zawałone były szabrowanymi rzeczami, oddanymi do przeróbki. Bo też Mamułow miał niejedno mieszkanie w Moskwie i niejedną kobietę, którą trzeba było zaopatrzyć! Ale swoją prawdziwą, ulubioną kwaterę miał za miastem, obok obozu. Przyjeżdżał tu czasami sam Beria. Sprowadzano wtedy z Moskwy autentyczny chór cygański i dopuszczano nawet do udziału w tych orgiach dwóch zeków — gitarzystę Fetisowa i tancerza Malinina (z zespołu pieśni i tańca Armii Czerwonej) upominając ich zawsze, że jeśli słówko pisną — to zostaną zgnojeni. Mamułow miał charakterek co się zowie: był kiedyś z przyjaciółmi na rybach, przy powrocie przeciągnęli łódkę przez warzywnik jakiegoś dziadygi, traktując mu grządkę. Dziad ośmielił się coś burknąć.

W nagrodę Mamułow sprzął go osobiście tak, że staruch już tylko charczał w trawie. Za moje myto jeszcze mnie pobito<sup>7</sup>...

Ale czuję, że znów wpadam w monotonię. Zdaje się, że znów się powtarzam? Chyba jużesmy to gdzieś czytali, czytali, czytali?....

Słyszę głos sprzeciwu! Tak, już je słyszę! Owszem, takie rzeczy zdarzały się czasem... Ale głównie za czasów Berii!... A dlaczego to pan nie przytacza pozytywnych przykładów? A powiedz pan chociaż słowo o tych porządnych! Pokaż pan czytelnikom tych naszych opiekunów kochanych...

Nie, panowie, kto ich widział, ten niech opisuje. Ale nie ja. Bo nie widziałem. W przytoczonych uprzednio rozważaniach ogólnych, już starałem się wykazać, że obozowy możnowładca *nie może być zycznym człowiekiem* — bo musi wtedy albo kark prędko skrócić, albo go wyrzucą z pracy. No, założmy na chwilę, że jakiś komendant postanowił zostać dobroczyńcą ludzkości i zastąpić psi reżym w swoim obozie jakimś innym, bardziej godnym człowieka — to czy mu kto pozwoli? zatwierdzi? w ogóle do tego dopuści? To tak, jakby wystawić samowar na mróz, żeby się zagrzał.

Gotów jestem zgodzić się na taką formułę: „dobrzy” to ci, którzy szamoczą się, którzy jeszcze nie opuścili tych szeregów, ale na pewno je opuszczą. Na przykład — dyrektor moskiewskiej wytwórni obuwia, M. Gierasimow. Odebrano mu legitymację partyjną, ale z partii nie usunięto (istniał również taki usus). A co z nim robić tymczasem? Mianowano go komendantem obozu Ust'wym. Powiadają, że traktował to, jako nieznośne brzemię i z więźniami postępował łagodnie. Już po pięciu miesiącach wyrwał się i pojechał precz. Chętnie dam wiarę: przez te pięć miesięcy należał do „dobrych”. W Ortau, w 1944 roku komendantem podobozu był niejaki Smieszko, nikomu nic złego nie zrobił — ale też wciąż usiłował pozbyć się tego stanowiska. W U.S.W.I.T.Ł. w 1946 roku służył na stanowisku naczelnika wydziału były lotnik Morozow. Odnosił się dobrze do więźniów — ale za to stale miał na pieńku z własną zwierzchnością. Albo taki kapitan Siwierkin z Nyrobłogu. Był podobno zycznym człowiekiem. I cóż? Posłano go za to do Parmy, na karną placówkę.

---

7. Upadek Berii w 1953 roku pociągnął za sobą również krach Mamułowa. Znalazł się w niełasce, ale nie na długo, był przecież w nomenklaturze, należał do kół rządowych. Wkrótce znów wypłynął na powierzchnię i został jednym z szefów kombinatu budowlanego Mosstroj. Później jeszcze raz wpadł za spekulację mieszkaniami. A później znów stanął na nogi. I tak mu jakos zleci do przyzwoitej emeryturki, bo już na nią czas.

Tylko dwie rzeczy go tam interesowały — pił do białych myszek i słuchał zachodniego radia, bo w tej okolicy słabo je zagłuszano (1952 r.). Także mój sąsiad z pociągu, absolwent Tawdy, miał jeszcze ludzkie odruchy: w korytarzu stał już całą dobę chłopak bez biletu. Mój sąsiad zaproponował: „Posuńmy się trochę, dobra? Niech sobie chłopiec trochę pośpi”. Ale niechby jeden roczek odsłużył jako komendant — zaraz inaczej by się zachował. Poszedłby do konduktora: „Wyprowadzić faceta, jedzie na gapę!”. Czy się mylę?

No, powiem szczerze: znałem pewnego bardzo zacnego emwudzistę, co prawda nie służył w obozie, tylko w więziennictwie. Był to podpułkownik Cukanow. Przez krótki czas był komendantem więzienia specjalnego w Marfinie. Nie tylko ja, ale wszyscy tameczni więźniowie chętnie potwierdzają, że nikomu nie zrobił krzywdy, przeciwnie, każdemu starał się pomóc. Gdy tylko mógł nagiąć jakąś instrukcję na korzyść zeków — czynił to natychmiast. Okazywał nam pobłażliwość, gdzie tylko mógł. No i cóż? Nasze spec-więzienie zostało zaliczone do kategorii bardziej surowych — a Cukanowa przeniesiono. Nie był już młody, służył w MWD od dawna. Jak mu się to udało, nie potrafię odgadnąć.

Arnold Rappoport zapewnia mnie, że inżynier-pułkownik Michał Mitrofanowicz Malcew, w armii czynnej — saper, a w latach 1943-48 komendant Workutłagu (zarówno obozu jak kombinatu przedsiębiorstw) był ponoć zacnym człowiekiem. W obecności czekistów podawał rękę uwięzionym inżynierom i zwracał się do nich jak do dobrych znajomych. Zawodowych czekistów nie znosił, lekcewał naczelnika wydziału politycznego, pułkownika Kuchtikowa. Gdy otrzymał awans i związany z nim bezpieczniacki tytuł komisarza generalnego trzeciej rangi, nie chciał go przyjmując, motywując odmowę krótko: jestem inżynierem (czy to w ogóle było możliwe?). I wygrał: nadano mu rangę zwykłego generała. Jak twierdzi Rappoport, w ciągu całej jego kadencji nie wdrożono w Workucie ani jednej wewnętrznej *sprawy* (a był to przecież okres wojny, gdy takie *sprawy* wszczynano najchętniej): żona jego była miejskim prokuratorem Workuty i skutecznie paraliżowała inicjatywy obozowych operów. Jest to świadczenie wielkiej wagi — zakładając, że Rappoport nie okazuje skłonności do mimowolnej przesady. Mógł mieć do niej inklinacje, bo zajmował w tym czasie uprzywilejowane stanowisko inżynierskie. Jakoś nie chce mi się wierzyć w to wszystko: dlaczego nikt tego Malcewa nie utracił? musiał przecież wszystkim *przeszkadzać!* Miejmy nadzieję, że kiedyś ktoś wyjaśni wszystkie okoliczności tej sprawy. (Będąc dowódcą dywizji saperskiej pod Stalingradem

Malcew miał pono wezwać do raportu dowódcę pułku i zastrzelić go własnoręcznie przed szeregiem. W Workucie też znalazł się dlatego, że wpadł w niełaskę, ale z jakiegoś zupełnie innego powodu).

W tym wypadku — i w wielu podobnych — zawodzi czasem ludzi pamięć i szczegóły osobistych wspomnień wpływają na kształt relacji. Gdy opowiadają mi o tych „dobrych”, zawsze mam ochotę zapytać: dobrzy ale dla kogo? Czy dla wszystkich?

Byli frontowcy też nie okazywali się wcale lepsi od starych emwudzistów. Czulpieniew twierdzi, że w obozie nastąpiły zmiany na gorsze, gdy stary, obozowy pies zastąpiony został (w końcu wojny) przez komisarza pułku Jegorowa, którego przysłano tu z lazaretu, po zaleczeniu rany. Nie orientując się zupełnie w obozowej rzeczywistości, oficerkowie tacy ograniczali się do wydawania lekkomyślnych, powierzchownych rozporządzeń — i wychodzili poza zonę, aby tam pić z babami, oddając obóz we władanie szubrawym prydurkom.

Jednakże ci, którzy najgłośnie krzyczą o „dobrych czekistach” w obozach, mianowicie prawomyślni ortodoksi, rozumieją ów termin zupełnie inaczej, niż my: nie chodzi im o takich, co próbowali stworzyć jakieś bardziej ludzkie warunki bytu dla wszystkich więźniów, ignorując po trosze nieludzkie instrukcje GUŁagu. Nie, za „dobrych” uważają oni tych funkcjonariuszy, którzy z całą konsekwencją wprowadzali w życie psie instrukcje, którzy zagryzali i zaszczuwali wszystkich więźniów — oprócz byłych członków partii. (Jakież jednak szerokie poglądy mają nasi prawomyślni! Nigdy nie zapominają, że są spadkobiercami wszystkich skarbów kultury, stworzonych przez ludzkość!...).

Tacy „zadni czeikiści” zdarzali się, rzecz jasna, było ich nawet sporo. Ów Kudłatyj ze zbiorem pism Lenina — czy to nie jeden z nich? Diakow opowiada o niesłychanie szlachetnym uczynku pewnego komendanta obozu: będąc w Moskwie w delegacji służbowej odwiedził rodzinę siedzącego u niego ortodoksy, ale po powrocie — zaraz zabrał się do wykonywania wszystkich swoich psich obowiązków. Generał Gorbatow też wspomina dobrym słowem takiego „zacności człowieka” z Kołymy. Powiedział mu on: „Uważa się nas za jakieś monstra, ale to niesłuszne. Nam też bywa miło przekazać więźniowi jakąś dobrą wiadomość”. (A list żony Gorbatowa, w którym zawiadamiała go o rewizji sprawy, cały był pokreślony przez cenzurę; czemuż to odmówili sobie ci panowie przyjemności przekazania więźniowi radosnej nowiny? Ale Gorbatow nie widzi w tym żadnej sprzeczności: frontowy generał chętnie wierzy w każdą enuncjację kierownictwa...).

Naprawdę zaś — ów „zacny” kołymski pies troszczył się tylko o jedno: żeby Gorbатов nie opowiedział nikomu z „góry” o bezprawiu panującym w jego obozie. Stąd cała ta miła rozmówka. Bo też dodał w końcu: „W rozmowach zachowujcie ostrożność...” (A Gorbатов znów się nie połapał...).

Niejaka Lewkowiczowa zamieszcza w *Izwiestiac*<sup>8</sup> tzw. zaangażowany artykuł a po naszymu — wypracowanie na zadany temat: że poznała ponoć w obozach sporo zacnych, rozumnych, wymagających, zatroskanych, strudzonych itd. czekistów i że taki Kapustin w Dżambule próbował zapewnić zesłanym żonom komunistów jakąś robotę — i właśnie dlatego musiał być popełnić samobójstwo. To już zupełny nonsens, czcza paplanina. Komentant zobowiązany jest prawnie do zapewnienia zesłanym pracy, ba, kieruje do niej nawet pod przymusem. Jeśli Kapustin naprawdę się zastrzelił — to znaczy, że albo za wiele się nakradł, albo miał jakieś historie z babami. Centralny zaś organ WCIK (tego samego, który zatwierdził swoimi dekretemi wszystkie potworności GUŁagu) ma określony cel na względzie: skoro zdarzają się dobrzy dziedzice — to dowód, że w ogóle nie było żadnej pańszczyzny...

Aha, jeszcze jeden „dobry” — nasz podpułkownik Matwiejew z obozu w Ekibastuzie. Póki żył Stalin — szczerzył kły i szcekał groźnie, ale gdy tylko Ojczaskowi się zmarło, gdy Beria poszedł w diabły — Matwiejew stał się arcyliberałem, istnym ojcem zeków! Poczekajmy, aż powieją inne wiatry. (Ale w tym samym czasie pouczał po cichu brygadzystę Aleksandrowa: „Jak was kto nie chce słuchać — lejcie w mordę, nikt wam za to złego słowa nie powie, macie moją obietnicę!”).

Nie, co nam po takich „dobrodziejach”! Niewiele warci. A na nasz rozum — dopiero wtedy oni dobrzy, kiedy sami wpadają do obozu.

Niektórzy istotnie wpadali. Tylko że wcale nie za TO szli pod sąd.



Dozór obozowy odpowiada rangą kadrze podoficerskiej MWD. Jest to stan kaprałowski GUŁagu. Mają te same zadania — brać za hals i nie puszczać. Stoją na tej samej gułagowskiej drabinie, tylko niżej od zwierzchności. Dlatego praw mają mniej i częściej muszą brudzić sobie ręce. Nie żałują ich zresztą: jeśli trzeba puścić komuś juchę w karnym izolatorze, albo w dyzurce, to śmiało idą we trzech na jednego, bijąc aż do upadłego. Cha-

8. — 6. 9. 1964 roku.



mieją na tej służbie z upływem lat coraz bardziej i trudno zobaczyć w ich oczach choćby cień współczucia dla moknących na deszczu, marznących, głodnych, znużonych i konających więźniów.

Więźniowie są wobec nich równie bezbronni i pozbawieni praw, co w stosunku do kadry dowódczej, tak samo można brać ich pod obcas i czuć się od razu wyższą istotą. I wyładowywać na nich złość, popisywać się brutalnością — pod tym względem kaprale nie byli gorsi. A kiedy człowiek kogoś bije, nie obawiając się kary — to już trudno przestać. Samowola rodzi rozpasanie i człowiek samego siebie zaczyna uważać za stworzenie tak groźne, że aż go lęk ogarnia. Podoficerowie chętnie naśladowują swoich dowódców, zarówno w konkretnych postępkach jak w sposobie bycia — ale ich mundury nie błyszczą złotem, płaszcz są brudnawe, wszędzie chodzą na pieczę, ordynansów-więźniów im trzymać nie wolno, sami więc kopią własne grządki i sami chodzą koło swojego bydła. No, ma się wiedzieć, że sprowadzić sobie zeka na pół dnia do domu, żeby drzewa narąbał, czy podłogi wyszorował — to wolno, byle bez przesady. Skoro nie można brać tych, co pracują, trzeba korzystać z tych, co odpoczywają. (Tabatierow — obóz Bierzyniki, 1930 r. — ledwie padł na wyrko po nocnej, 12-togodzinnej zmianie, a tu już go nadzorca budzi i posyła do roboty na swoją kwaterę. A spróbuj tylko nie iść!...). Podoficerowie nie mają swoich *włości*, obóz to dla nich jednak nie własny folwark, tylko miejsce służby, dlatego nie mają w sobie ani tej buty, ani takiego sobiepańskiego rozmachu. Również możliwości kradzieży są dla nich ograniczone. I to jest niesprawiedliwość: bo wyższe szarże i tak mają dużo pieniędzy — i jeszcze na dodatek wolno im kraść do woli, a chłopaki z nadzoru żołąd mają niewysoki — i brać na lewo też im wolno znacznie mniej. Już tam z magazynu worka człowiek nie wyniesie, najwyżej małą torebkę. (Widzę, jakby to było wczoraj, sierżanta Kisielowa o lnianych włosach i nalanej twarzy: wchodzi do księgo-wości (1945 r.) i rozkazuje: „Nie wypisywać ani grama tłuszczu dla kuchni — wyłącznie dla wolnych!”). Tłuszczu wtedy było brak. Ale też to cała ich wygrana — żeby tłuszczu według normy...). Jak chce człowiek uszyć sobie coś w obozowej szwalni — musi mieć zezwolenie komendanta i czekać swojej kolejki. No, w hali produkcyjnej to tam można przycisnąć zeka, żeby coś zalutował, zespawał, wykuł, czy wytoczył. Ale nie zawsze uda się wynieść coś większego od taboretu. Te ograniczenia prawa do kradzieży doskwierają jak cierń w boku podoficerom, a zwłaszcza ich żonom i stąd właśnie tyle się goryczy gromadzi, tyle pretensji do zwierzchności, dlatego życie wcale nie wydaje im się takie sprawiedliwe, stąd też w piersi nadzorczej pojawiają



się ni to struny, ni to jakieś obszary pustki, w których tylko jęk żalu rozbrzmiewa. I dlatego zdarza się, że niższe szarże potrafią czasem pogadać z zekami, ba, nawet okazać współczucie. Nie takie to częste, ale też wcale nie rzadkie. W każdym razie — wśród nadzorców więziennych, czy obozowych, wszystko jedno, można spotkać człowieka; każdy więzień niejednego takiego spotkał. Wśród oficerów zaś — jest to prawie niemożliwe.

Jest to w istocie dowód istnienia stosunku odwrotnej proporcji między pozycją socjalną, a zdolnością do ludzkich uczuć.

Prawdziwa kadra nadzorcza — to ci, którzy służą w obozach po 15, czy po 25 lat. Co to kiedyś pojechali tam, gdzie diabeł mówi dobranoc — i już nigdzie się stamtąd nie ruszą. Wykuli niegdyś regulamin służbowy i rozkład dnia — a więcej niczego już nie muszą przez całe życie ani czytać, ani wiedzieć. Wystarczy im słuchanie radia. I-szy program, z Moskwy! Ten właśnie korpus podoficerski ma dla nas wspólne rysy — które składają się razem na tępe, pełne srogości, nietknięte żadną myślą oblicze GUŁagu.

Tylko w latach wojny skład tego korpusu uległ spaceniu, zamąceniu. Komendy wojskowe w ogólnym bałaganie nie wzięły pod uwagę nienagannej służby wielu podoficerów nadzoru obozowego, tego i owego wysyłając na front. Na ich miejsce zaczęto przysyłać frontowych żołnierzy, zwolnionych z lazaretów — też zresztą nie bez selekcji; przysyłano wyróżniających się tępota i surowością. Albo przyjeżdżali jacyś starszycy: ledwie ich zmobilizowano — od razu nie na front, tylko do obozu. I właśnie wśród tych siwoszów wąsatych zdarzali się bardzo dobronudsi, poczciwi ludzie — rozmawiali grzecznie, rewidowali zeków, aby zbyć, niczego nie odbierali, zażartowali nawet czasem. Ale wkrótce po wojnie zdemobilizowano tych starych i jakoś więcej takich nie było.

Zdarzały się wśród podoficerów zjawiska całkiem nietypowe (miało to miejsce też podczas wojny), jak student Sienin, o którym już pisałem, albo pewien nadzorca — Żyd w naszym obozie na Kałużskiej — niemłody, cywil w każdym calu, bardzo spokojny, nie namolny, nigdy się nikogo nie czepiał i nikomu nie robił krzywdy. Miał tak przystępny sposób bycia, że pewnego razu ośmieliłem się go spytać: „Przepraszam, kim byliście w cywilu?”. Wcale się nie zachnął, spojrzął na mnie spokojnie i odparł cicho: „Kupcem”. Przed przybyciem do naszego obozu, już podczas wojny, służył on w obozie Podolskoje, gdzie, jak sam opowiadał, co dzień umierało wtedy z wyczerpania i niedożywienia trzynastu-czternastu ludzi (co daje razem w ciągu całej wojny 20.000 zgonów). W „oddziałach wojskowych” NKWD próbował

on, jak wolno sądzić, przetrwać jakoś wojnę i teraz bardzo musiał się starać, aby nie zostać w nich już na zawsze.

Albo z innej beczki — sierżant szef Tkacz, zastępca kierownika wydziału dyscyplinarnego, postrach obozu w Ekibastuzie. Wydawało się, że urodził się po to, aby wejść w skład korpusu straży, jakby od kolebki w nim służył, jakby przyszedł na świat razem z GUŁagiem. Złowroga, zakrzepła w srogości twarz pod nawisłym, czarnym czubem. Strach ogarniał już, gdy był gdzieś w sąsiedztwie, straszno było go spotkać na obozowej ścieżce: nie mógł przejść obok człowieka, by nie zrobić mu jakiejś przykrości — zawrócić go z drogi, zmusić do jakiejś roboty, zabrać coś, nastraszyć, ukarać, posłać do bunkra. Nawet po wieczornym apelu, kiedy baraki ryglowano od zewnątrz, Tkacz podkradał się cichcem do okien — okratowanych i letnią porą otwartych; naprzód podsłuchiwał, a potem zaglądał do środka — cała izba zamierała z lęku — a Tkacz za parapetem, jak czarny ptak nocny krakał, jaka kara się należy: za to że nie śpią, za to, że nocne rozmowy, za to, że robią to, czego nie wolno.

Ale pewnego dnia — Tkacz zniknął — jakby go wiatr zdmuchnął. Po obozie zaczęła jednak krążyć pogłoska (nie mogliśmy jej sprawdzić, ale takie uporczywe gadki mają zwykle podstawy), że znalazły się dowody, iż Tkacz był faszystowskim katem na terytoriach okupowanych, że już go aresztowano i że dostał ćwiartę. Było to w roku 1952.

Jak mogło się jednak zdarzyć, że faszystowski oprawca (a był nim nie dłużej, niż trzy lata) przez siedem lat powojennych cieszył się najlepszą opinią w MWD?

Co powiecie?



„Konwój otwiera ogień bez ostrzeżenia!”. W tym zakłęciu zawarty jest już cały status specjalny konwoju<sup>9</sup>, sekret jego władzy nad nami, władzy rozciągającej się za rubieżami prawa.

Nawet gdy nie ma wojny — konwój pełni służbę jakby na froncie. Konwój nie boi się żadnych dochodzeń i nic nie musi wyjaśniać. Ten, co strzelał — zawsze miał rację. Ten, co leży zabity — zawsze jest winien, bo chciał uciekać, albo przekroczył linię.

---

9. Piszac „konwój”, stosujemy termin, używany potocznie na Archipelagu; mówiono też — do połowy lat trzydziestych nawet częściej — Wochra, albo po prostu Ochra. Oficjalnie nazywało się to — Strzeleckie Oddziały Ochronne MWD. „Konwój” był tylko jednym z rodzajów służby pełnionych przez Wochrę — obok „wartowniczej”, „patrolowej w zonie”, „w kordonach zaporowych”, „w dywizjonie”.

Oto dwa przykłady zabójstw, jakie miały miejsce w podobozie Ortau (a trzeba to pomnożyć przez ilość podobozów). Strażnik prowadzi grupę konwojowanych. Zwolniony spod konwoju więzień podchodzi do swojej dziewczyny, idącej w tej grupie i przez chwilę kroczy ramię w ramię. „Odejdź na bok!” — „A bo co, żal ci?”. Wystrzał. Chłopak zabity. Komedia sądowa; strażnik zostaje uniewinniony: miała miejsce obraza żołnierza podczas wykonywania obowiązków służbowych.

Do innego strażnika, stojącego na warcie, podbiegł zek z blankietem, na którym intendentura kwituje zwrot pobranych sortów (następnego dnia miał bowiem zostać zwolniony) i zaczął prosić: „Puść mnie, tylko skoczę do pralni (za zonę) raz-dwa!” — „Nie wolno!” — „Toć jutro mnie wypuszczą, bałwanie!”. Wystrzał. I nawet nie stanął przed sądem.

Przy wyciężonej pracy łatwo w ogóle nie zauważyć nacięć na drzewach, które w lesie zastępują umowną linię drutów kolczastych. Więzień Sołowiow (były lejtnant armii czynnej) zrabował świerk i teraz cofa się wzdłuż pnia, okrzyszując go z gałęzi. Widzi tylko to swoje zrabane drzewo. Konwojent zaś — „tanszajewski wilk”, już trzyma go na muszce i czeka. Nie krzyknie na zeka: „Hej, uważaj!”. Czeką sobie — i oto Sołowiow, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, przekracza magiczną linię zony, dalej idąc rakiem wzdłuż pnia. Wystrzał! Kula dum-dum, płuco w strzępach. Sołowiow gryzie ziemię, a tanszajewski wilk pobiera sto rubli premii. („Tanszajewskimi wilkami” nazywano mieszkańców rejonu Tanszajewskiego, na którego obszarze leżał obóz Buriepołom. Wszyscy zaciągnęli się do Wochry — podczas wojny, żeby nie iść na front i służyć w sąsiedztwie domu. Jest to ten sam rejon, w którym dzieci krzyczały: „Mamo! *Sledź idzie!*”).

Bezwzględny stosunek eskorty do więźniów, prawo straży do stałego stosowania kuli zamiast słów — wszystko to musiało wpłynąć na charakter oficerów i żołnierzy straży. Mają w ręku życie więźniów — wprowadzie nie przez całą dobę, ale za to bez reszty i bez dyskusji. Zeki nie są dla nich wcale ludźmi, są to tylko jakieś leniwie poruszające się chochoły, które kazał im zły los liczyć przed wyjściem do roboty, jak najszybciej do niej gnać, wracać z nimi w tym samym tempie, a podczas pracy pilnować, żeby trzymały się w kupie.

Ale natężenie samowoli o wiele było większe wśród oficerów Wochry. Narastało w tych młodziutkich lejtnancikach złośliwe i kapryśne poczucie władzy nad cudzym życiem. Jedni z nich — ograniczali się do krzyku (starszy lejtnant Czornyj z Nyroblągu), drudzy — upajali się własnym okrucieństwem i nawet do

własnych żołnierzy odnosili się tak samo (lejtant Samutin, z tego samego obozu), inni jeszcze — zachowywali się tak, jakby ich wszechmoc nie miała żadnych granic. Oficerowi Wochry Newskiemu (Ust'wym, podobóz III-ci) zginął piesek — nie wilczur służbowy, tylko ulubiony piesek domowy. Rzecz jasna, udał się na poszukiwania do zony i przyłapał pięciu zeków w trakcie oprawiania zwłok faworyta. Wyciągnął pistolet i jednego ze zbrodniarzy zabił na miejscu. Wypadek ten nie miał żadnych następstw administracyjnych, jeśli nie liczyć posłania do bunkra pozostałej przy życiu czwórki)

W roku 1938 nad rzeką Wiszerą, na stokach Uralu zaczął szerzyć się z huraganową szybkością leśny pożar, który ogarnął puszcę dookoła dwóch podobozów. Co robić z zekami? Decyzję trzeba było podjąć w jednej chwili, nie było czasu na żadne uzgodnienia. Straż nikogo nie wypuściła — i wszyscy spłonęli żywcem. Było to wyjście najmniej kłopotliwe. Gdyby ich wypuszczono i gdyby się rozbiegli — strażników oddano by pod sąd.

Jedna tylko okoliczność krępowała nieco rozkiełznaną energię oficerów straży: pluton był jej podstawową jednostką i cała wszechwładza nie mogła przekroczyć ram plutonu. Można też było dochrapać się nie więcej, niż dwóch gwiazdek na epoletach. Przeniesienie do dywizjonu pozbawiało tylko człowieka realnej władzy, jaką sprawował w plutonie, była to więc ślepa uliczka, nie awans.

Dlatego też najbardziej rozmiłowani we władzy i dynamiczni wochrowcy starali się o przeniesienie do służb wewnętrznych MWD, ażeby móc awansować już tam. Niektóre ze znanych gułagowskich biografii mają właśnie taki przebieg. Wspomniany już Antonow, twórca podbiegunowej „martwej drogi” wywodził się z Wochry i skończył wszystkiego cztery klasy.

Nie ulega wątpliwości, że doborowi kadr oddziałów wartowniczych przypisywano wielkie znaczenie w ministerstwie, a również wojskowe komendy uzupełnień miały w tym przedmiocie swoje tajne instrukcje. Sporo tajnych spraw znajduje się w gestii komend uzupełnień, tymczasem odnosimy się do ich działalności lekceważąco. Czemu na przykład w tak kateryczny sposób przekreślono u nas zasadę wojsk terytorialnych, wysuniętą w latach 20-tych (projekt Frunzego), a nawet wręcz przeciwnie — z wyjątkową konsekwencją posyła się rekrutów do garnizonów położonych, o ile możliwości, jak najdalej od miejsca ich urodzenia (Azerbejdżanina posyła się do Estonii, a Łotysza na Kaukaz)?

A dlatego, że wojsko powinno być oddzielone od miejscowej ludności jak najwyższym murem, najlepiej, żeby różniło się nawet pod względem rasowym (jak to sprawdzone zostało praktycznie w Nowoczerkasku w 1962 roku). Podobnie też — w składzie oddziałów eskorty nie bez kozery bardzo znaczny był odsetek Tatarów oraz innych mniejszości narodowych: niższy poziom ich kultury, ich gorsza orientacja ogólna — były to czynniki nader cenne dla państwa, stanowiły o jego sile.

Ale kompletowanie i musztrowanie tych oddziałów wedle zasad iście naukowych zaczęło się dopiero wtedy, gdy stworzono Obozy Specjalne — na przełomie lat 40-tych i 50-tych. Wcielać do nich zaczęto wyłącznie 19-toletnich chłopców, których z punktu poddawano maszynemu bombardowaniu ideologicznemu (o tych konwojentach będzie jeszcze mowa dalej).

Ale przed tym punktem zwrotnym to i owo wymykało się GUŁagowi z rąk. Po prostu — nasz lud, choć socjalistyczny, jeszcze nie osiągnął należytego stopnia rozwoju, jeszcze nie dał się wychować w duchu takiej surowości, aby dostarczać obozom odpowiednie kontyngenty straży obozowej, godnej tej nazwy! Stan osobowy Wochry bywał niekiedy pstry i formacja ta przestawała pełnić rolę muru grozy — a przecież po to ją stworzono. Do największego rozluźnienia doszło w latach wojny sowiecko-niemieckiej: najsprawniejszych, najstaranniej wyćwiczonych („ciężość — na piątkę”) chłopaków trzeba było posłać na front, a do Wochry ściągać zaczęto cherlawych rezerwistów, nie nadających się do służby liniowej ze względu na zdrowie, a co do ciężości — w ogóle nie odpowiadających standartom GUŁagu (bo wychowanych w innej epoce). W najgorszych, głodowych latach wojny to osłabienie nacisku ze strony Wochry (zdarzało się gdzieś tam, ale wcale nie wszędzie!) stanowiło dla więźniów przynajmniej częściową ulgę.

Nina Samszel wspomina swojego ojca, który tym właśnie trybem, w późnym już wieku, został w 1942 roku wcielony do armii i skierowany do służby strażniczej w obozie pod Archangielskiem. Rodzina przyjechała w ślad za nim. „W domu ojciec z goryczą opowiadał nam o życiu w obozie i o tym, ilu tam porządnych ludzi siedzi. Kiedy papa musiał podczas robót rolnych sam pilnować roboczej brygady (to także mogło zdarzyć się tylko podczas wojny — jeden strażnik na całą brygadę! — czy to nie ulga?) — często chodziłam tam i tatuś pozwalał mi rozmawiać z więźniami. Więźniowie bardzo szanowali mego ojca: nigdy nie odzywał się do nich ordynarnie i kiedy go któryś z nich poprosił o pozwolenie, na przykład — żeby wstąpić do sklepu, to nigdy

nie odmawiał, więc też nikt mu nigdy nie uciekł. Więźniowie mówili mi: „Gdyby wszyscy konwojenci byli tacy, jak twój ojciec!”. Ojciec wiedział, że wielu ludzi siedzi bez winy<sup>10</sup> i bardzo się na to oburzał — ale tylko w domu, bo nie mógł takich rzeczy mówić kolegom z plutonu, za to zaraz szło się pod sąd”. Po zakończeniu wojny natychmiast postarał się o zwolnienie z szeregów.

Ale z przykładu Samszela nie można wysnuć żadnych uogólnień na temat Wochry z lat wojny. Dowodzą tego jego dalsze losy. Już w 1947-mym sam dostał się do więzienia z art. 58-10. W 1950-tym, gdy już był umierający, spisano go na straty i puszczono do domu, gdzie umarł po pięciu miesiącach.

Po wojnie jeszcze rok-dwa pełniła służbę ta rozbisurmaniona straż i weszło nawet w zwyczaj, że wielu wochrowców swoją służbę zaczęło również nazywać „odsiadką”. „Niech mi się tylko skończy odsiadka!...”. Rozumieli, że ta służba — to wstydliva sprawa, że w domu lepiej tym się nie chwalić. W obozie Ortau pewien strażnik celowo ukradł jakiś drobiazg z KO, został zdegradowany, poszedł pod sąd, dzięki amnestii natychmiast go wypuszczono — i koledzy mówili z zawiścią: to był pomysł! Zuch chłopak!

N. Stolarowa pisze mi o strażniku, który zatrzymał ją w momencie ucieczki — i nie zameldował o nieudanej próbie, nie poniosła więc żadnej kary. Jakiś inny zastrzelił się z miłości do zeczki, którą wysłano z obozu etapem. Przed wprowadzeniem skutecznych rygorów w żeńskich podobozach — pomiędzy uwięzionymi kobietami a konwojentami wcale często nawiązywały się nici sympatii, często przechodzącej w dobre, a nawet serdeczne stosunki. Nawet nasze wielkie państwo nie miało takiej mocy, aby wszędzie zniszczyć kiełki dobra i miłości!...

Nowe zaciągi powojenne też nie od razu stały się takimi, jakie potrzebne były GUŁagowi. Gdy w oddziałach straży Nyroblagu podniósł samotny bunt Władilen Zadornyj (jeszcze będzie o nim mowa) — jego koledzy i rówieśnicy nader współczująco odnieśli się do tej próby oporu.

Osobny rozdział w dziejach straży obozowej trzeba by poświęcić tzw. *samoochronie*. Już w pierwszych latach po rewolucji wysunięto przeciw tezę, że sowieccy więźniowie powinni *pilnować się sami*, że to ich obowiązek. Nie bez powodzenia zastosowano tę zasadę na Sołówkach, a w znacznie szerszym zakresie — na kanale Białomorskim i kanale Wołga-Moskwa: każdy po-

---

10. Strażnik Samszel wiedział, a nasi wybrańcy muz, literaci, nie wiedzieli!...

ciotek socjalny, któremu nie chciało się pchać taczek, mógł dostać karabin i obrócić go przeciw własnym towarzyszom.

Nie chcemy twierdzić, że była to celowa, szatańska intryga, mająca na celu moralny rozkład rzesz obywatelskich. Jak zawsze w naszej najnowszej, półwiekowej historii — podniosła, promienna teoria i przyziemna, zdawkowa podłość przeplotły się w sposób dziwnie naturalny, z łatwością zamieniając się miejscami. Ale z opowieści starych zeków wiadomo, że członkowie tej formacji bardzo srogo sobie poczynali w stosunku do swoich braci, że wyskakiwali ze skóry, aby wyróżnić się na służbie, utrzymać się na swoim psim posterunku, a czasem stare porachunki osobiste załatwiali jednym pociągnięciem cyngla.

Zresztą — w naszej literaturze prawniczej znajduje to godne odbicie: „W nader licznych wypadkach więźniowie pełnią obowiązki strażników kolonii karnych i strzegą porządku *lepiej*, niż etatowi funkcjonariusze<sup>11</sup>”.

Powiedzcie tylko, czy jest rzecz tak zła, aby nie można jej było wpoić ludowi? ludziom? ludzkości?...

Przytoczona wyżej cytanka pochodzi z lat trzydziestych, a z relacji Zadornego wynika, że również w końcu lat czterdziestych członkowie *samoochrony* odnosili się źle do własnych towarzyszy i czyhali tylko na sposobność do strzelania. A trzeba wziąć pod uwagę, że w Parmie, karnej placówce Nyroblągu, siedziała tylko Pięćdziesiątka Osemka, a zatem straż ochotnicza też składała się z tego samego elementu. Ładni polityczni...

Władilen pisze o jednym z tych ochotników: zwał się Kuźma, był kiedyś szoferem, miał zaledwie dwadzieścia parę lat. W 1949 roku dostał dychę z artykułu 58-10. Co tu począć? Nie znalazł chyba innego sposobu. W 1952 roku Władilen poznał go już jako członka ochotniczej straży. Źle się czuł w tej sytuacji, wciąż powtarzał, że ten karabin, to ciężar ponad jego siły i nieraz się zdarzało, że idąc na służbę wcale nie kładł naboju do magazynku. Miał wysokie czoło i twarz o napiętych nerwowo rysach. Lubił wiersze i chodził z Władilenem w głąb tajgi, aby je tam recytować. A później znów brał się za karabin...

Zadornyj znał również takiego członka straży ochotniczej, jak Aleksander Łunin, starszy już człowiek: wianuszek siwych włosów dookoła łysiny, rozbijający, poczciwy uśmiech. Podczas wojny był lejtnantem w piechocie, później — został przewodniczącym kołchozu. Dostał dychę (z artykułu, dotyczącego przestępstw pospolitych) za to, że nie wykonał dostaw obowiązkowych w rozmiarach narzuconych przez rejkom partii, tylko rozdał na własną

11. Praca zbiorowa: *Od więzień...*, str. 141.



odpowiedzialność kołchoźnikom. A więc człowiek nie tuzinkowy! — dbał o bliźnich bardziej, niż o własną skórę. A jednak w Nyrobłagu wstąpił do straży ochotniczej i nawet tego się dosłużył, że naczelnik podobozu Promieżutocznaja załatwił mu przedterminowe zwolnienie.

Rozpiętość ludzkich przeobrażeń! Zawsze zaskakująca, nieogarnięta rozumem...

## Rozdział dwudziesty pierwszy

### O T O C Z K A

Aby przekonać się, że kawał gnijącego mięsa cuchnie — nie trzeba podtykać go pod sam nos, bo okala go strefa smrodu, obłok molekuł fetoru. Podobnie każda wyspa Archipelagu wytwarza i podtrzymuje w okół siebie taką cuchnącą otoczkę. Ta strefa ma zasięg większy, niż sam Archipelag i jest niejako terenem przejściowym, pomostem między małą zoną poszczególnych wysp, a Wielką Zoną całego kraju.

Wszystkie najjadliwsze miazmaty Archipelagu, wszystko, co zakaza ludzkie stosunki, obyczaje, poglądy i mowę — posłuszne powszechnemu prawu osmozy — przesącza się najprzód do tej strefy przejściowej a stamtąd dopiero zaczyna rozpełzać się po całym kraju. Właśnie tu, w tej strefie, ma miejsce spontaniczna selekcja i dobór tych składników obozowej ideologii i subkultury, które godne się stają wejścia w skład uznanej kultury ogólnokrajowej. Kiedy więc obozowe zwroty rozlegają się w korytarzach nowego gmachu Uniwersytetu Moskiewskiego, albo gdy mieszkanka stolicy, niewiasta całkiem niezależna, głosi poglądy życiowe zdecydowanie pachnące obozową filozofią — proszę się nie dziwić: wszystko to przeniknęło aż tu poprzez strefę przejściową, poprzez otoczkę obozu.

Podczas gdy władze starały się (a może i nie) wychować więźniów za pośrednictwem sloganów, działów KO, cenzury pocztowej i operów — więźniowie ze swej strony zdążyli skutecznie wychować cały kraj, za pośrednictwem wspomnianej otoczki. Knajacki światopogląd, zawładnąwszy Archipelagiem, przerzucił się z łatwością na ogólnozwiązkowy rynek ideologiczny, ziejący pustką w braku silnych idei. Obozowa pazerność, brutalność, zakamieniałość, wrogi stosunek do wszelkiej rzetelnej pracy —

wszystko to razem wsiąkło bez trudu w obozową otoczkę, a następnie wżarło się głęboko w miąszsz dookolnego życia.

Taki oto jest odwet Archipelagu na kraju, który go wydał.

Tak oto żaden akt bezwzględności nie uchodzi nam płazem.

Tak wysoką oto cenę płacimy zawsze wtedy, gdy gwałtem szukamy taniocy.



Wyliczenie tych wszystkich miast, miasteczek i osad — byłoby niemalże powtórką geografii samego Archipelagu. Żadna zona obozowa nie może prowadzić życia samoistnego — zawsze w jej pobliżu istnieć musi osada dla wolnych pracowników. Czasem taka osada — na przykład przy porębach leśnych, gdzie pracują więźniowie, stoi przez kilka lat i znika razem z placówką obozu. Niekiedy zapuszcza korzenie, otrzymuje nazwę, pojawia się w niej rada osiedlowa, doprowadzają drogę — i tak rozpoczyna egzystencję stałą. Czasami zaś te osady rozrastają się w duże i znane miasta — takie jak Magadan, Dudinka, Igarka, Temir-Tau, Bałchasz, Dżezkagan, Angren, Tajszet, Bratsk, Sowietskaja Gawań. Osady te wzbierają jak wrzody nie tylko gdzieś na zadupiu, lecz również w samym pępku Rosji, opodal donieckich i tulskich kopalń, torfowisk, karnych kolonii rolnych. Czasem podlegają zakażeniu i w całości wchodzą w skład tej otoczki całe rejony, jak wspomniany już Tanszajewski. A kiedy obóz wszczepiony zostaje w duży organizm miejski — może to być nawet Moskwa — ma również własną otoczkę, ale nie w postaci oddzielnej osady; składa się ona z poszczególnych osób, które co wieczór odjeżdżają miejskimi autobusami i trolejbusami, aby co ranka zjeżdżać tu znowu (infekcja roznosi się wtedy w daleko szybszym tempie).

Istnieją też miasta takie, jak Kizeł (leżący przy permskiej bocznicy kolejowej, którą wozi się rudę); podobne miasteczka założone zostały jeszcze wtedy, gdy Archipelag nie istniał, ale następnie znalazły się w centrum sieci obozów i podniesione zostały do rangi jednej z metropolii Archipelagu. Miasto takie całe nasycone jest obozową atmosferą, obozowe szarze i gromady żołnierzy kręcą się po nim grupami, jak okupanci; zarząd obozu — jest najważniejszą instytucją miasta; sieć telefoniczna — też jest nie miejska, tylko obozowa; linie autobusowe prowadzą od centrum do poszczególnych obozów; wszyscy w takim mieście z obozu żyją.

Największą z tych prowincjonalnych stolic Archipelagu jest Karaganda. Zbudowali ją i zapełnili zesłańcy oraz byli więźniowie, tak że stary zek nie może wprost przejść ulicą, aby raz po

raz nie spotkać znajomego. Mieści się w niej kilka zarządów obozowych. Filie łągrowskie rozsypane są dookoła niej na kształt piasku morskiego.

Kim są mieszkańcy tej otoczki? — 1) Autochtoni (może ich zresztą nie być); 2) Wochra (straż obozowa); 3) Oficerowie z komendy obozu, oraz ich rodziny; 4) Nadzorcy z rodzinami (nadzorcy, w przeciwieństwie do korpusu straży, mieszkają zawsze na prywatnych kwaterach nawet, gdy są wojskowymi); 5) Eks-więźniowie (zwolnieni z danego, albo sąsiedniego obozu<sup>1</sup>); 6) Rozmaici represjonowani — póżesłańcy, z „haczykiem” w dowodzie osobistym. (Podobnie jak byli więźniowie mieszkają tu oni nie z własnej ochoty, tylko z fatalnego musu: i jeśli nawet nie wyznaczono im tej miejscowości w charakterze miejsca przymusowego pobytu, to wiedzą, że gdzie indziej będą mieli kłopoty z pracą i meldunkiem, a może nawet w ogóle nie pozwolą im tam żyć); 7) Kierownictwo pionu produkcyjnego. Są to sami dygnitarze, najwyżej parę osób w całej dużej osadzie (tych może również wcale nie być); 8) *Wolniaki* w ścisłym sensie tego słowa — same przybłędy i przywłoki, rozmaite obieżyświaty, straceńcy i poszukiwacze wielkich zarobków. Przecież tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, pracować można trzykrotnie gorzej, niż w metropoliach, otrzymując za to czterokrotnie wyższą gażę: dodatek podbiegunowy, dodatek za rozłąkę z rodziną, dodatek za trudne warunki, a nadto można jeszcze zaliczać na swoje konto owoce pracy więźniów. Wielu z nich przyjeżdża tu zresztą na zasadzie werbunku, czy kontraktu i wtedy należy im się jeszcze strawne i zwrot kosztów podróży. Dla tych, którzy umieją wypłukiwać złoto z piasku prac zleconych — ten świat jest istnym Klondyke. Ściągają tu ze wszech stron faceci z podrabianymi dyplomami, awanturnicy, aferzyści, kanciarze, wydrwigrosze. Bardzo opłaca się przyjazd tym, którym potrzebna jest cudza, a przy tym bezpłatna głowa (za półpiśmiennego „geologa” fachowcy-zeki przeprowadzą i wszystkie badania w terenie, i obliczenia, potem wyciągną naukowe wnioski, tak, że facet później w metropolii śmiało może bronić rozprawy doktorskiej). Prąd znosi tu pechowców i beznadziejnych alkoholików. Przyjeżdżają tu rozbitkowie i rozwodnicy, albo tacy, którzy nie chcą płacić alimentów. Zdarzają się też młodzi absolwenci liceów zawodowych, którzy

---

1. Minęła era stalinowska, powiały rozmaite cieplejsze i chłodniejsze wiatarki — a mimo to wielu eks-zeków dalej pozostało pod bramami obozów, nie opuściło swojego matecznika. Postąpili właściwie. Tu są przynajmniej uznani za ludzi, choć tam nawet niższego gatunku. Tam — nawet tego by nie mieli. Pozostaną więc tu aż do śmierci, a ich dzieci będą już autochtonami.

nie zdołali wykręcić się od przymusowego skierowania na peryferie. Ale już od pierwszego dnia szamoczą się, szukając drogi powrotnej do cywilizowanego świata. Jeśli nie uda im się to w ciągu pierwszego roku, to na pewno uda się następnego. Jest także zupełnie inny rodzaj wolniaków: są to ludzie już starsi, od dziesiątków lat krążący w tej otoczce i tak zżyci z tym światem, że żadnego lepszego im nie trzeba. Jeśli ich obóz ulegnie likwidacji, albo gdy im komendantura przestaje płacić tyle, ile trzeba — wyjeżdżają, ale nie gdzie indziej, tylko pod bramę innego obozu; inaczej żyć już nie potrafią. Jednym z nich był Wasilij Aksentiewicz Frołow, pijanica i „znany majster hutniczy”, o którym nie jedno dałoby się powiedzieć, ale już go gdzieś opisałem. Nie miał żadnego dyplomu i całą swoją fachowość utopił w wódce, ale mniej niż 5.000 rubli (przed wymianą) miesięcznie nie zarabiał.

W najogólniejszym sensie — termin „wolniak” odnosi się do każdego wolnego, to znaczy — jeszcze nie aresztowanego, albo już wypuszczonego z obozu obywatela ZSSR, a więc — do każdego z mieszkańców otoczki obozowej. Ale najczęściej to słowo stosowane jest na Archipelagu w znaczeniu węższym: „wolniak” to taki wolny człowiek, który pracuje razem z więźniami w jednej zonie produkcyjnej. Dlatego członkowie grup 1), 5) i 6) — też zaliczają się do wolniaków.

Wolniaków angażują na stanowiska kierowników robót, dziesiętników, majstrów, starszych magazynierów, kalkulatorów. Obsadzają nimi również te stanowiska, na których więzień trudny byłby do upilnowania: szoferów, woźniców, ekspedytorów, traktorzystów, kierowców koparek i dźwigów kroczących, kontrolerów linii elektrycznych, nocnych palaczy.

Ci wolniacy drugiej kategorii, zwykli robocizarze, mało różnią się pod tym względem od zeków, dlatego też szybko i bez trudu znajdują z nimi wspólny język, a także chętnie robią to wszystko, czego zabrania regulamin obozu i prawo karne. Chętnie wrzucali oni listy zeków do *wolnych* skrzynek pocztowych w swoim osiedlu; części odzieży „zorganizowane” przez zeków w obozie — sprzedawali na rynku; pieniądze zostawały w ich kieszeni, ale przynosili za to zekom coś *na ząb*; kradli mienie przedsiębiorstwa wspólnie z zekami; przynosili, albo przewozili do zony produkcyjnej wódkę (jeśli spodziewali się surowej kontroli na wartowni — flaszki z lakową główką topili w zbiornikach na benzynę swoich ciężarówek<sup>2</sup>).

2. Jeśli wartownikom udało się nawet tam butelki znaleźć — to nie składali raportu: komsomolcy ze straży woleli sami wypić zdobyczną wódkę.

Tam zaś, gdzie można było efekty pracy więźniów zapisać na konto wolniaków (majstrowie i dziesiętnicy nie krępowali się, gdy mogli całość wykonanej normy dopisać do swojego konta) — robili to bez skrupołów: przecież robota wykonana przez więźnia — idzie jakby na przepadłe, bo nie płacą za nią pieniędzmi, tylko dają kromkę chleba. W okresie, gdy kartek na żywność nie było, znajdował uzasadnienie następujący proceder: raport o wykonaniu pracy przez zeka wypisywany był aby zbyć, żeby tylko nie sprowokować ukarania, natomiast wykonaną robotę zapisywało się na konto wolniaka. Z otrzymanej wypłaty wolniak sam miał co jeść i pić, a ponadto dokarmił jeszcze swoich zeków<sup>3</sup>.

Ogólnie biorąc, stosunków między wolniakami a zekami nie można nazwać wrogimi, były one raczej zażyłe.

Ponadto ci zagubieni, półpijani, zrujnowani ludzie z większą uwagą przypatrywali się cudzemu nieszczęściu, potrafili współczuć więźniowi i zrozumieć, że jest ofiarą niesprawiedliwości. Obowiązek służbowy nie pozwalał dostrzec oficerom, nadzorcom i strażnikom tego wszystkiego, co widoczne przecież było dla ludzi nieuprzedzonych.

---

3. Jak zyskowna jest praca w strefie przyobozowej — poznać można było, obserwując wolniaków z moskiewskich łagrów. W 1946 roku w obozie na Kałużskiej mieliśmy dwóch takich majstrów budowlanych, jeden był tynkarzem, drugi malarzem. Należeli do załogi budowanego przez nas obiektu, ale na dobrą sprawę wcale nie pracowali, ponieważ przedsiębiorstwo nie mogło zapewnić im odpowiednio dużych zarobków: premii zaś nie było tutaj, a wykonane roboty podlegały starannemu mierzeniu: otynkowanie jednego metra kwadratowego kosztowało 32 kopiejki i nie było sposobu, aby ocenić taki metr na pół rubla, albo zapisać majstrowi trzy razy więcej metrów, niż ich mierzył cały pokój. Ale — po pierwsze — nasi wolniacy podkradali na budowie cement, farby, pokost i szyby, a po drugie — zdrowo się wysypiali w ciągu osmiogodzinnego dnia pracy, po to, aby wieczorem i w niedzielę brać się do właściwej roboty — czyli odwalać fuchę dla prywatnych klientów. To był właśnie cel ich starań. Za taki sam metr kwadratowy ściany tenże tynkarz brał od prywatnego klienta nie 32 kopiejki, tylko 10 rubli i w ciągu jednego wieczoru miał swoje dwie stowy!

Powiadał przecież Prochorow: pieniądze to są teraz dwupiętrowe. Kto na Zachodzie zrozumieć może pojęcie „dwupiętrowych pieniędzy”? Tokarz podczas wojny dostawał na rękę 800 rubli miesięcznie a chleb na czarnym rynku kosztował 140 rubli. Znaczy to, że w ciągu miesiąca nie mógł on dorzucić do swojego skąpego przydziału nawet sześciu kilogramów chleba! — a więc nie mógł dla całej swojej rodziny przynieść nawet 200 gramów dziennie. Mimo to — jakoś żył... Z całą bezczelnością płacono robotnikom fikcyjne pensje, zmuszając ich do szukania owego „drugiego piętra”. I ten, który płacił naszemu tynkarzowi szalone pieniądze za wieczorną pracę, też miał gdzieś swoje „drugie piętro”. W ten sposób triumfował system socjalistyczny — ale na papierze. Jego poprzednik — elastyczny i pełen sił żywotnych — jakoś nie chciał ginąć ani pod ciężarem przekleństw, ani z ręki prokuratora.

Bardziej skomplikowane były stosunki zeków z dziesiętnikami i majstrami. Jako „oficerowie produkcji” zobowiązani byli oni do wywierania na więźniów presji i do ciągłego ich poganiania. Ale wymagano od nich również dobrej produkcji, a nie zawsze można było to osiągnąć, tocząc z zekami stałe boje: nie wszystko można załatwić z pomocą pałki i głodu, to i owo da się zrobić tylko w zgodzie, gdy się stawia na ludzkie skłonności i ludzką inteligencję. Tylko tacy dziesiętnicy mogli pochwalić się dobrymi wynikami, którzy mieli niezłe stosunki z brygadzystami i najlepszymi fachowcami wśród więźniów. Sami owi dziesiętnicy — byli to najczęściej pijacy, zdeprawowani i zatruci przez ciągłe pasyżowanie na pracy niewolniczej, a nadto jeszcze cechowała ich ignorancja, zupełnie nie znali się na swojej robocie, jeśli orientowali się — to bardzo słabo i dlatego jeszcze bardziej byli zależni od brygadzystów.

W jak niezwykły sposób przeplatały się tu czasami rosyjskie losy! Przychodzi ci przed świętami zalany w dym dziesiętnik ciesielski, Fiodor Iwanowicz Murawłow, i tak się wywnętrza przed brygadzystą malarzy, Siniebriuchowem, świetnym fachowcem, poważnym, spokojnym chłopakiem, odsiadującym już dziesiąty rok obozu:

— No i co? Siedzisz, kułacki synu? Twój ojciec nic, tylko ziemię orał i krowy hodował — myślał, że przez oborę trafi do królestwa niebieskiego. No i gdzie jest teraz? Umarł na zesłaniu? I ciebie też do mamra wepchnął? Nieee, mój tato był mądrzejszy: od małego przepijał wszystko, co mógł, w chacie gołe ściany, do kołchozu nawet jednej kury nie oddał, bo nic nie miał — i od razu został brygadzystą. Ja tak samo wódkę chleję i nic mi nie brak.

Wychodziło na to, że miał rację: Siniebriuchow po zakończeniu kary miał pojechać na zesłanie, a Murawłow był już na budowie przewodniczącym rady miejscowej.

Co prawda, kierownik robót Busłow gotów był dać nie wiem ile, byle by pozbyć się takiego przewodniczącego i dziesiętnika (ale pozbyć się nie sposób: przyjmuje ich do pracy dział kadr, a nie kierownik robót, dział ten zaś ma to do siebie, że często lubi zatrudniać leniuchów, albo durniów). Za wszystkie materiały i za fundusz płac kierownik robót odpowiada pieniężnie, a tymczasem Murawłow — przez brak wykształcenia, albo przez zbytnią tolerancję (to niezgorszy facet, zresztą brygadziści mu za to chętnie stawiają kolejkę) trwoni ten fundusz płac, podpisuje nieprzemyślane zlecenia na wykonanie robót (sami brygadziści wypełniają formularze), przyjmuje bez protestu źle zrobioną robo-



tę, tak, że później trzeba burzyć ściany i zaczynać od początku. Busłow więc wolałby widzieć na jego miejscu jakiegoś inżyniera-zeka, wymachującego tymczasem kilofem, ale dział nie pozwala, bo czujność.

— No powiedz chociaż: jakiej długości wiązary mamy teraz na budowie, co?

Murawłow wzdycha ciężko:

— Mam chwilowe trudności z podaniem ścisłej liczby...

Im więcej Murawłow wypił, tym bezczelniej odpowiadał kierownikowi. Wówczas kierownik postanowił przystąpić do papierkowego obłożenia. Nie żałując czasu zaczął dawać Murawłowowi wszystkie zlecenia na piśmie (wszywając kopie do akt). Rozumie się, że zlecenia te nie były wykonywane i sprawa robiła się coraz poważniejsza. Ale przewodniczący komitetu miejscowego też nie dawał się zbić z pantałyku. Wyrывał pół stroniczki z pomiętego zeszytu i przez małe pół godziny dążył wysmażyć w krwawej męce pisany kulfonami raport:

„Donoszę niniejszym, że wszystkie maszyny do ciesielskich robót są w stanie całkiem nie do użytku, to jest w złym i w ogóle nie są używane”.

Kierownik robót — to w pionie produkcyjnym już zupełnie inne piętro — dla więźniów to ciemniejszy i wróg dziedziczny. Kierownika robót nie łączą już z brygadzystami żadne stosunki przyjaźni, żadne wspólne interesy. Z reguły *ciacha* ich wnioski na dostawę materiałów i wypłatę, demaskuje fuchę (jeżeli starcza mu sprytu) i zawsze może ukarać brygadzystę, a tym bardziej — zwykłego więźnia — rękami obozowej zwierzchności:

„Do komendanta podobożu, towarzysza lejtnanta...

Wnoszę o najsurowsze ukaranie (najlepiej przez osadzenie w karczerze, ale bez zwolnienia z pracy) brygadzysty betoniarzy, więźnia Zozuli i dziesiętnika więźnia Oraczewskiego, za odlewanie płyt grubszych, niż przewidziane to było w planie, co pociągnęło za sobą przekroczenie norm zużycia płynnego betonu.

Jednocześnie zawiadamiam, że dnia dzisiejszego w trakcie składania mi raportu, dotyczącego zaliczania wykonanych robót, brygadzysta więzień Aleksiejew dopuścił się obrazy dziesiętnika, tow. Tumarkina, nazywając go osłem. Takie zachowanie się więźnia Aleksiejewa, podkopujące autorytet wolnonajemnego personelu kierowniczego, uwa-

zam za wybitnie niewłaściwe, a nawet niebezpieczne i dlatego proszę o wszczęcie najsurowszych kroków, nie wyłączając wysyłki na etap.

Starszy kierownik robót Busłow”.

Owego Tumarkina Busłow sam nie rzadko nazywał osłem, ale zek-brygadzysta zasłużył sobie w jego oczach na wysyłkę.

Takie karteluszkę posyłał Busłow do komendy obozu prawie codziennie. Kara była, jego zdaniem, najlepszym bodźcem do pracy. Busłow należał do tych kierowników pionu produkcyjnego, którzy znali już każdą śrubkę w systemie GUŁagu i wiedzieli, na co sobie mogą pozwolić. Na zebraniach mówił otwarcie: „Mam spore doświadczenie w pracy z więźniami i wcale się nie boję, uważacie, żadnych gróźb, że dostanę cegłą w łeb”. Ale, ku jego żalowi, stara wiara GUŁagowska wymierała. Ludzie, którzy przybywali do obozów po wojnie, ci co zdążyli przyjrzeć się Zachodowi — nie byli już tacy potulni. „Praca w 1937 roku dawała, uważacie, po prostu satysfakcję. Na przykład, na widok wolnego pracownika więźniowie zrywali się na baczność”.

Busłow dobrze wiedział, jak oszukiwać więźniów i jak posyłać ich do niebezpiecznych robót, nigdy nie szczędził ich sił ani żołądka a już tym bardziej — ich miłości własnej. Długonosy, długonogi, w żółtych amerykańskich butach, które UNRRA przysłała dla sowieckich obywateli, znajdujących się w potrzebie, wciąż latał po wszystkich piętrach budowy, dobrze wiedząc, że inaczej we wszystkich kątach i zakątkach gmachu leniwi i brudni więźniowie będą leżeć rozwaleni, siedzieć, grać się, iskać wszy i nawet oddawać się rozpucie, nie bacząc na krótkość dziesięciogodzinnego roboczego dnia, brygadziści zaś będą tłoczyć się w izbie rachuby i wpisywać do meldunków rozmałą lipę.

Ze wszystkich dziesiętników polegać mógł częściowo tylko na jednym. Zwał się Fiodor Wasiliewicz Gorszkow. Był to chuderlawy staruszek z nastroszonymi, siwymi wąsami. Doskonale znał się na sprawach budowy, znał zarówno swój fach, jak i wszystkie pokrewne, ale najważniejszym i zupełnie niezwykłym w środowisku wolniaków jego rysem była szczerą troska o dobre wyniki pracy: przymierzał wszystko nie do własnej kieszeni, jak Busłow (odliczą od pensji, czy dadzą premię? zwymyślają, czy pochwalą?) tylko do swoich własnych pojęć, zupełnie, jakby ten ogromny dom budował dla siebie i dbał, żeby udał się jak najlepiej. Pił również w miarę, nie tracąc z oczu roboty. Miał jednak pewną poważną wadę: nie był w zgodzie z duchem Archipelagu,

nie przyzwyczał się do rządzenia batem. Gorszkow również lubił łaźać po budowie i wszystko sprawdzić osobiście, jednakże nie cwałował po niej, jak Busłow, nie szukał wciąż oszustw, lubił natomiast posiedzieć z cieślami na belkach, z murarzami na murku, z tynkarzami obok skrzyni z zaprawą, żeby trochę pogawędzić z ludźmi. Niekiedy częstował więźniów cukierkami, co było dla nas zupełnym już dziwowiskiem. Jednej satysfakcji nie potrafił sobie na starość odmówić: lubił popisać się sztuką cięcia szkła. Zawsze miał w kieszeni swój diament i jeśli ktoś przy nim ciął szkło, zaraz zaczynał burczeć, że nie tak to się robi, **odpychał** szklarzy i sam zabierał się do rżnięcia. Gdy Busłow wyjechał na miesiąc do Soczi — Fiodor Wasiliewicz zastąpił go, ale zdecydowanie odmówił urzędowania w jego gabinecie, został w swojej izbie dziesiętników.

Całą zimę Gorszkow chodził w szerokim kaftanie, starego rosyjskiego fasonu. Futro na kołnierzu już wyłysiało, ale sukno trzymało się jeszcze świetnie. Okazało się w trakcie rozmowy, że Gorszkow nosi ten kaftan już 32 lata, żadnego innego nie mając, a przedtem ojciec jego przez ileś tam lat nosił go od święta. Tu wyszło na jaw, że jego ojciec, Wasilij Gorszkow, był tzw. dziesiętnikiem robót publicznych. Teraz stało się jasne, dlaczego Fiodor Wasiliewicz tak lubi kamień, drzewo, szkło i farby: od maleńkości chował się przy budowach rządowych. Ale chociaż dziesiętnicy nosili wtedy takie urzędowe miano, a teraz wcale się tak nie nazywali — to właśnie dziesiętnikami z urzędu i tylko z urzędu stali się oni dopiero dziś, a dawniej byli istnymi artystami.

Fiodor Wasiliewicz teraz też chwalił dawne porządki:

— Bo kim jest dziś kierownik robót? Przecież nie wolno mu ani kopiejki przelać z jednej pozycji na drugą. A dawniej — przychodzi taki kierownik w sobotę do roboty: „No, chłopaki, przed łaźnią, czy po łaźni?” A ci: „Po, już lepiej po!” — „No to macie tu pieniądze na łaźnię, a później, jak w dym do takiej a takiej traktierni”. Chłopaki wychodzą z łaźni całą hurmą, a on już na nich w tej traktierni czeka z wódką, zakąskami, pełnym samowarem... No i spróbuj po czymś takim w poniedziałek nie pracować dobrze.

My teraz wszystko już znamy na wylot, wszystko wiemy: był to sposób wyciskania z ludzi potu, bezwstydnym wyzysk, stawianie na najniższe instynkty ludzkie. I wódka z zakąską nie była żadną zapłatą za to, co wyciskano z robotnika w ciągu następnego tygodnia.

A kostka chleba, kostka mokrego razowca, wyrzucana obojętną ręką z okienka krajalni — czy warta jest więcej?...



Tak więc — wszystkie osiem kategorii wolnych obywateli warzą się we własnym sosie i tłoczą się na tej piędzi ziemi pod obozem: między łągrem a lasem, między łągrem a mokradłem, między łągrem a kopalnią. Osiem różnych kategorii, różnych rang i klas — i wszystkie muszą zmieścić się w tej zaśmierdłej, ciasnej osadzie, wszyscy zwracają się do siebie per „towarzyszu” i posyłają dzieci do tej samej szkoły.

Towarzysze z nich tacy, że — jak święci w obłokach — szybują na niedosiężnej dla innych wysokości dwaj, trzej miejscowi możnowładcy (w Ekibastuzie — Chiszczuk i Karaszczuk dyrektor i naczelny inżynier miejscowego zespołu przedsiębiorstw. Nazwiska autentyczne!). Niżej zaś — starannie poszufladkowani, ściśle przestrzegający podziałów: komendant obozu, dowódca dywizjonu eskorty, reszta kierownictwa pionu produkcyjnego, oficerowie z obsługi obozu, oficerowie dywizjonu, gdzieś tam jeszcze dyrektor działu zaopatrzenia, gdzieś, jeszcze niżej, dyrektor szkoły (ale nie nauczyciele). Im wyżej, tym troskliwiej dba się o przestrzeganie tych podziałów, tym większe ma znaczenie, jaka baba z jaką inną ma prawo gadać gryząc pestki (to nie są księżne, ani hrabiny, więc tym bardziej dbać muszą o utrzymanie swojej pozycji!). O, cóż to za los: mieszkać w tym małym światku, tak daleko od innych ludzi z lepszego towarzystwa, używających życia w pełnych komfortu dużych miastach! Tu znają cię wszyscy i nie możesz nawet iść po prostu do kina, aby nie poniżyć swojej godności; tym bardziej nie możesz sam iść do sklepu (zwłaszcza, że wszystko, co najlepsze i najświeższe i tak przyniosą ci do domu). Nawet nie bardzo wypada hodować sobie wieprzka: przecież nie godzi się, aby żona takiego to a takiego karmiła go własnoręcznie! (Oto dlaczego tak potrzebna jest służba z obozu). Szpital miejscowy ma tylko kilka sal; jak trudno bywa w tych warunkach zachować dystans wobec tałatajstwa i leżeć osobno, wśród przyzwyczajonych ludzi! I z kim muszą dzielić szkolną ławę dzieci, nasze drogie dzieci?

Ale niżej już te kastowe podziały tracą swoją wyrazistość i znaczenie, nie ma już tylu amatorów skrupulatnego przestrzegania dystansu. Niżej te kategorie nieuchronnie ulegają przemieszaniu, ludzie stykają się ze sobą, sprzedają i kupują, lecz zajmując miejsce w ogonku, sprzecząją się o prezenty spod związkowej

choinki, bezładną gromadą siedzą w kinie — prawdziwi sowieccy ludzie obok istot zupełnie nie zasługujących na tę godność.

Oto centra duchowe takich osad — główna Herbaciarnia, w jakimś butwiejącym baraku, pod którą stoją długim szeregiem ciężarówki i skąd rozchodzą się po całej osadzie tony rykliwych pieśni oraz czkający i ledwo trzymający się na nogach pijacy; a także stojące wśród takich samych kałuż i błotnej mazi drugie centrum życia duchownego — Klub, zapluty pestkami słonecznika, zdeptany buciorami, z upstrzoną przez muchy zeszlóroczną gazetką ścienną, z dudniącym bez ustanku głośnikiem nad drzwiami, z wyzwickami krążącymi nad salą tańca i błyskiem noży po wyjściu z kina. Styl tutejszy to — „nie wracaj późno!”, a gdy idzie się z dziewczyną na tańce, to najlepiej włożyć podkowę do rękawiczki. (No, dziewczyny tu też są takie, że jedna potrafi zmusić do ucieczki siedmiu chłopca).

Ten klub — tylko goryczy przysparza oficerskiemu sercu. Zrozumiałe, że oficerowie absolutnie nie mogą chodzić na tańce do takiej budy i pokazywać się wśród takiej publiczności. Przychodzą tu żołnierze ze straży, kiedy dostaną przepustkę. Ale całe nieszczęście na tym polega, że młode, bezdietne oficerskie żony też tu się pchają i to bez mężów. I w rezultacie, tańczą z żołnierzami! Szeregowcy ściskają w objęciach oficerskie małżonki — i jak w tych warunkach można od nich następnego dnia żądać bezwarunkowego posłuszeństwa? Przecież to znaczy ni mniej, ni więcej, tylko że wszyscy są równi, a tego żadna armia nie wytrzyma! Nie potrafiąc swoich żon powstrzymać od chodzenia na tańce, oficerowie domagają się przynajmniej zakazu wstępu dla szeregowców (niech już tam lepiej żony będą ściskane przez jakichś brudnych wolniaków!). Ale w ten sposób pojawia się pęknięcie w monolicie wychowania politycznego; bo dotąd wiadano, że wszyscy jesteśmy szczęśliwymi i równoprawnymi obywatelami państwa sowieckiego, a nasi wrogowie siedzą za drutami.

Wiele takich skomplikowanych napięć czai się pod powierzchnią tego światka, wiele sprzeczności dzieli jego osiem kast. Ocierając się stale w życiu codziennym o represjonowanych i półrepresjonowanych, uczciwi ludzie sowieccy nie przepuszczą żadnej okazji, aby wytknąć im co trzeba i wskazać należne miejsce, zwłaszcza gdy chodzi o przydział pokoju w nowym baraku. Nadzorcy zaś, nosząc przecież mundury MWD, pragną być stawiani wyżej od zwykłych wolniaków. I oczywiście — nigdy nie brak kobiet, którym każdy rad jest wytknąć, że są deską ratunku dla samot-

nych mężczyzn. A bywają również kobiety, które koniecznie chcą mieć chłopca na stałe. Przychodzą pod wartownię obozową, kiedy wiadomo, że będzie się puszczać na wolność i łapią za poły nieznamych: „Chodź do mnie! Będziesz miał własny kąt, będzie ci ciepło. Kupię ci garnitur! No, dokąd właściwie jedziesz? Przecież znowu cię wsadzą!”.

A każda taka osada jest jeszcze w zasięgu czujnego oka oddziału operacyjnego, ma swojego *kuma*, swoich szpików, i swoje marudne dochodzenia: kto właściwie przyjmuje listy od zeków i kto sprzedał obozowe sorty za węgiem baraku?

I oczywiście — mieszkańcy tego świątka mają jeszcze mniej, niż reszta obywateli Związku, poczucia, że istnieje Prawo i że ich pokój w baraku jest nieprzystępną Twierdzą. Jedni mają paszport z haczykiem, drudzy — wcale go nie mają, trzeci — siedzieli już w obozie, czwarcí — są członkami rodzin represjonowanych i w ten sposób wszyscy ci niepodlegli, chodzący bez żadnego konwoju obywatele, zachowują się jeszcze posłuszniej, niż więźniowie, gdy krzyknie na nich człowiek z karabinem, jeszcze potulniejsi są w obliczu człowieka z rewolwerem. Na ich widok nie podnoszą dumnie głowy, nie mówią — „jakim prawem?”, tylko kulą się i zginają grzbiet, byle przemknąć się boczkiem.

To poczucie, że jest się zawsze w zasięgu niczym niekontrolowanej władzy bagnetu i munduru, w sposób tak oczywisty panuje nad całym obszarem Archipelagu wraz z jego otoczką, z taką łatwością udziela się każdemu, kto znajdzie się w tym kraju, że wolna niewiasta (P-czyna) lecąca z córeczką do Krasnojarska na widzenie z mężem, siedzącym w pobliskim obozie — na pierwsze skinienie emwudzistów, lecących tym samym samolotem, pozwoliła im się zrewidować i obmacać oraz dała rozebrać do goła swoje dziecko. (Od tego momentu dziewczynka zawsze zaczynała płakać na widok Błękitnych).

Jeśli ktoś nam jednak powie teraz, że nie ma chyba nic na świecie smutniejszego, od tych obozowych opłotków i że cała ta otoczka — to kloaka, odpowiemy: zależy dla kogo.

Jakut Kołdzieńnikow oberwał w 1932 roku trzy lata za przywłaszczenie sobie cudzego rena i — zgodnie z zawitymi zasadami przerzutów planowych, z ojczystej Kołymy posłany został do obozu pod Leningradem. Odsiedział swoje, w Leningradzie też był, nakupił dla rodziny całe bele kolorowych tkanin a mimo to przez wiele lat jeszcze skarżył się swoim ziomkom i zekom przysyłanym z Leningradu:

— Ale tam u was nudno! Ale smutno i źle!...

## Rozdział dwudziesty drugi

### B U D U J E M Y

Po wszystkim, co powiedziane tu zostało na temat obozów, niejednego czytelnika na pewno aż korci, aby rzec: daj pan spokój, czy w ogóle praca więźniów mogła się państwu opłacać? A jeśli nie opłacało się jej stosowanie — to czy w ogóle warto było zakładać ten cały Archipelag?

W samych obozach reprezentowane były wśród zeków dwa różne poglądy i lubiliśmy często toczyć spory na ten temat.

Rzecz jasna, jeśli wierzyć naszym wodzom — to nie ma tu o co się spierać. Towarzysz Mołotow, niegdyś druga osoba w państwie, wygłosił na VI zjeździe Sowietów ZSSR następującą enuncjację na temat wykorzystania pracy więźniów: „Robiliśmy to już dawniej, dalej to robimy i robić będziemy w przyszłości. Przynosi to korzyść społeczeństwu i wychodzi na korzyść przestępcom”.

Nie państwu przynosi to korzyść, proszę zauważyć! — tylko samemu społeczeństwu. Wychodzi też na korzyść przestępcom. I będziemy robić to dalej! Więc o czym tu gadać?

Zresztą cały przebieg dziesięcioleci stalinowskich, w których trakcie naprzód planowało się jakieś budowy, a później — aresztowania, aby mieć dla nich siłę roboczą, jest dowodem, że kierownictwo nie miało wątpliwości co do korzyści gospodarczych jakie daje istnienie obozów. Ekonomia wyprzedzała jurysdykcję.

Wydaje się jednak oczywiste, że sformułowane wyżej pytanie wymaga uściślenia i rozbicia na poszczególne składniki:

- czy istnienie obozów jest korzystne z punktu widzenia politycznego i społecznego?
- czy opłacają się one w sensie ekonomicznym?
- czy koszta ich utrzymania nie są wyższe od zysków?



(drugie i trzecie pytania dotyczą pozornie tej samej sprawy, jest tu jednak istotna różnica).

Na pierwsze pytanie odpowiedzieć nie jest trudno: biorąc pod uwagę cele wytyczone przez Stalina, obozy były najodpowiedniejszym miejscem, do którego można było wtrącić miliony ludzi, aby wszystkim napędzić strachu. Opłacili się więc z punktu widzenia polityki. Istnienie obozów przynosiło także zysk i korzyści pewnej bardzo dużej warstwie społecznej — niezliczonej ilości oficerów obozowych: dawały im one okazję do „służby wojskowej” na głębokim zapleczu, dzięki nim mieli przydziały specjalne, gazy, mundury, mieszkania, świetną pozycję społeczną. Dodajmy tu również całe mrowie nadzorców i strażników, drzemających na wieżyczkach obozowych (podczas gdy trzynastoletnich chłopczków posyłano już do szkół zawodowych). Cała ta chmara pasożytów ze wszystkich sił podtrzymywała i umacniała rusztowania Archipelagu — owego siedliska pańszczyźnianego wyzysku. Amnestii ogólnej obawiała się, jak morowej zarazy.

Ale już wiemy teraz, że do obozów posyłano wcale nie tylko ludzi innych poglądów, wcale a wcale nie tylko tych, co zbaczali z owczego szlaku, który wytyczył Stalin. Rozmiary branki do obozów wyraźnie przekraczały wszelkie zapotrzebowania polityczne, ich ogrom nie znajdował usprawiedliwienia nawet w polityce terroru — był współmierny (nie wykluczone, że tylko w imaginali Stalina) jedynie z rozmachem planów ekonomicznych. Zresztą — czy nie obozy (i deportacje) były drogą wyjścia z kryzysu i bezrobocia lat dwudziestych? Poczynając od roku 1930 nie kanały były wymyślane, aby ożywić siedzące z pustymi rękami obozy, lecz przeciwnie — tworzono pośpiesznie obozy dla potrzeb zaplanowanych już kanałów. O wzmożonej aktywności sądów decydowała nie ilość faktycznych „przestępców” (ani nawet „osób podejrzanych”) — lecz projekty i plany kierowniczych instancji gospodarki narodowej. Gdy zaczęto kopać kanał Białomorski, od razu okazało się, że sołowieckich zeków do tej roboty nie starczy i że trzy lata — to zbyt krótki, nieopłacalny termin kary dla Pięćdziesiątki Ósemki, że trzeba skazywać ich od razu na dwie pięciolatki, ryczałtem.

Już Tomasz Moore, pradiadek socjalizmu, przewidział pod jakim mianowicie względem obozy okażą się rentowne. W swojej „Utopii” napisał, iż praca skazańców znajdzie zastosowanie przy robotach poniżających i wyjątkowo ciężkich, których w ustroju socjalistycznym nikt inny by się nie podjął. Więźniowie przydali się więc do robót w odległych i dzikich miejscowościach, gdzie przez wiele jeszcze lat można było nie troszczyć się o budowę

porządnym mieszkań, szkół, szpitali i sklepów. Do dziobania ziemi oskardem i łopata — w pełni XX wieku. Do realizacji wielkich projektów przemysłowych socjalizmu w sytuacji, gdy nie było jeszcze na to środków.

Na wielkim kanale Białomorskim nawet samochód był rzadkością. Wszystko wożono, jak powiadają w obozie, „samosmrodem”.

Na jeszcze większym Wołgokanale (gdzie objętość robót była siedmiokrotnie większa niż na Białomorze, dającym się porównać więc z Panamskim, czy Suezkim), przekopano szlak wodny długości 128 kilometrów, o głębokości więcej, niż pięciometrowej i o szerokości lustra wodnego przekraczającej 85 metrów — prawie wyłącznie za pomocą motyki, łopaty i tacek<sup>1</sup>. Dno przyszelego Morza Rybińskiego pokryte było masywami leśnymi. Całą tę puszcę zwalono ręcznie. Na oczy nie widziano tam żadnych pił elektrycznych, a ściąganie i palenie gałęzi i chrustu wykonywane było przez stuprocentowych inwalidów.

Któż, prócz więźniów, pracować mógł przy trzebieniu lasu dziesięć godzin dziennie, odwalając jeszcze po siedem kilometrów do roboty i z powrotem, wlokąc się w ciemnościach przed świtem i po zachodzie słońca, podczas trzydziestostopniowych mrozów, nie mając przez cały rok żadnych dni wolnych od pracy prócz 1 maja i 7 listopada? (Wołgołag, 1937 r.).

Kto jeszcze, prócz zeków, potrafiłby zimą karczować pniaki? Brnąć w zaprzęgu, ciągnąć skrzynie z rudą, wydobytą z odkrywkowych kopalń na Kołymie? Kto chciałby pnie, zrąbane w odległości kilometra od rzeki Koin (przyływu rzeki Wym'), ciągnąć przez kopne śniegi na fińskich saneczkach, do których ludzie zaprzęgali się parami, zakładając sobie na barki chomąta (brzeg chomąta obsyty był starymi gałganami, chomąta nakładało się ukośnie, przez jedno ramię)?

Co prawda, nadworny dziennikarz Jurij Żukow<sup>2</sup> stara się nas przekonać, że w podobny sposób komsomolcy budowali miasto Komsomolsk nad Amurem (rok 1932): walili pnie bez siekier, nie mieli nawet kuźni, nie dostawali chleba i dziesiątkował ich szkorbut. I nie posiada się z zachwyty: ach, cóż to była za heroiczna praca! A tu godziłoby się raczej spytać z oburzeniem: któż to, jaki wróg własnego ludu, kazał tym chłopcom w ten sposób budować miasto? Zresztą, nie ma się co oburzać. Wiemy

1. Gdy pojedziecie tym kanałem na wycieczkę — przypomnijcie sobie o tych, co leżą na dnie.

2. *Litieraturnaja gazieta*, listopad 1963.

już dziś, jacy to „komsomolcy” budowali Komsomolsk. Teraz piszą już, że Magadan też komsomolcy założyli<sup>3</sup>.

A kogo jeszcze, prócz zeków, można było w Dżezkaganie porywać na 12 godzin dziennie do kopalni, do wiercenia na sucho? Pracować trzeba w gęstej zawieszynie z krzemionkowego pyłu, bez masek — i już po czterech miesiącach odsyłają więźnia z nieuleczalną pylicą płuc — prosto do umieralni. Kogo jeszcze można było zmuszać do zjazdów prowizorycznymi windami bez hamulców w głąb kopalń, niezabezpieczonych przed obsunięciem się stropów, ani przed zalaniem? Kto jeszcze w połowie XX wieku mógł się obejść bez — tak przecież kosztownej — techniki bezpieczeństwa pracy?

Kto śmie twierdzić, że obozy były nierentowne?...

Poczytajcie, poczytajcie w „Martwej drodze”, której autorem jest inżynier Pobożyj<sup>4</sup> opis wyładunku kryp na rzece Taz, jest to istna „Iliada” ery stalinowskiej: w dzikiej, dziewiczej tundrze, więźniowie-mrówki na własnym grzbiecie wynoszą na brzeg tysiące przywiezionych kłoców, budują przystanie, układają tory, wtaczają na nie parowozy i wagony, którym przeznaczone jest nigdy i nigdzie już się stąd nie ruszyć. Ludzie śpią po pięć godzin na dobę, na gołej ziemi, w zakolu tabliczek z napisem „zona”.

Ten sam autor opisuje następnie proces zakładania w tundrze linii telefonicznej: ludzie mieszkają w szałasach z gałęzi utkanych mchem, komary żrą ich żywcem, płynne błoto nigdy nie zasycha na ich odzieży, tym bardziej obuwiu jest zawsze mokre. Trasa ich robót wytyczona jest byle jak, i prowadzona na łapu-capu (a tym samym — z góry wiadomo, że trzeba ją będzie przerabiać), nie ma w pobliżu odpowiednich drzew na słupy i dlatego posyła się ludzi na dwu-trzydniowe wyprawy (!) po pnie, które muszą sami dźwigać.

Szkoda że jakiś inny Pobożyj nie opowiedział, jak to przed wojną budowano kolej Kotłas-Workuta; pod każdym chyba podkładem leżą tam ze dwie ludzkie głowy. Ale co tam kolej żelazna! Znacznie wcześniej bito tutaj zwykły trakt przez ten sam nieprzebrany bór i robiły to wychudłe ręce, tępe topory i niemrawe bagnety.

I któż by to wszystko zrobił bez więźniów? I jak to można mówić, że obozy — to żaden zysk?

Obozy dawały niepowtarzalną okazję zysku — z uwagi na zupełną uległość wykonawców niewolniczych prac i na wyjątkowo niski koszt siły roboczej. Nie, trudno to nazwać niskim

3. *Izwestia*, 14. VII. 1964.

4. *Nowyj mir*, 1964, nr 8, str. 152-154.

kosztem, była to praca bezpłatna, ponieważ za niewolnika w starożytności trzeba było jednak płacić, kupując zaś zeka nie płaci się nic.

Nawet na powojennych zjazdach GUŁagowskich przyznawać musieli nasi przemysłowi dziedzice: „Praca więźniów odegrała znaczną rolę, stanowi poważną część wysiłku zaplecza, przyczyniła się do zwycięstwa”.

Ale nikt nie wypisze tych imion na marmurze, te kości walają się bez nagrobków.

Jak niezastąpionym wynalazkiem były obozy — okazało się za czasów Chruszczowa przy okazji żmudnych i krzykliwych kampanii, których celem było skierowanie rzesz komsomolskich na ziemie dziewicze i na syberyjskie place budowy.

*Zwrot kosztów własnych* to całkiem inna kwestia. Państwo miało na to chętkę już od dawna. Jeszcze „ustawa o miejscach odosobnienia” z 1921 roku sugerowała: „Zakłady karne powinny być, o ile możliwości, utrzymywane kosztem pracy więźniów”. Już w 1922 roku niektóre lokalne komitety wykonawcze sowieków, nie bacząc na swój robotniczo-chłopski charakter, przejawiały „tendencje do apolitycznego, ciasnego praktycyzmu”, a mianowicie: nie tylko starały się, aby zakłady karne na ich terenie były finansowo samowystarczalne, ale ponadto chciały wycisnąć z nich *zyski*, przelewając je na własne konto, więc nie dość im było samowystarczalności, chciały mieć więcej. Zwrotu kosztów utrzymania miejsc odosobnienia domagał się również Kodeks Pracy Poprawczej z 1924 roku. W 1928 roku na pierwszej wszechzwiązkowej naradzie pracowników zakładów penitencjarnych, wielokrotnie i z uporem powtarzano, że „sieć przedsiębiorstw, związanych z zakładami karnymi, powinna zwrócić państwu wydatki, łożone na zakłady karne”.

Bardzo, bardzo chciano mieć te oboziki — i żeby nic nie kosztowały! Poczynając od roku 1929 wszystkie zakłady karno-poprawcze kraju objęte zostały narodowym planem gospodarczym. A w dniu 1. I. 1931 roku zadekretowano nadanie wszystkim obozom i koloniom karnym Republiki Rosyjskiej i Ukrainy statusu zupełnej samowystarczalności finansowej!

No i cóż? Ależ ma się rozumieć: z miejsca pełny sukces. Już w roku 1932 prawnicy dmą w triumfalne fanfary: „Wydatki na utrzymanie zakładów karnych *stale się zmniejszają* (w to można uwierzyć), natomiast warunki życiowe więźniów ulegają z roku na rok *stałej poprawie* (?)<sup>5</sup>.”

5. Dzieło zbiorowe: *Od więzień...*, str. 437.

Pewno to by nas dziwiło, na pewno staralibyśmy się odgadnąć — jak to możliwe? skąd się to wzięło? gdybyśmy na własnej skórze już się nie przekonali, jak bardzo polepszyły się te warunki życiowe w miarę upływu czasu...

Wystarczy chwila zastanowienia, aby zrozumieć, że zadanie wcale nie było trudne. Bo o co chodziło? Żeby zrównoważyć koszty utrzymania i dochody obozu? Koszty utrzymania, jak to czytamy, są wciąż mniejsze. A zwiększyć dochody można w jeszcze łatwiejszy sposób: wystarczy poddać więźniów pewnej presji! Jeśli w sołowieckiej epoce dziejów Archipelagu brano pod uwagę 40-procentowy handicap przy obliczaniu efektów pracy przymusowej (nie wiadomo dlaczego, uważano wtedy, że praca niewolnicza jest mniej wydajna) to już w epoce kanału Białomorskiego, po wprowadzeniu „skali żołądkowej” eksperci GUŁagu dokonali odkrycia: przymusowa praca o pustym brzuchu jest właśnie najbardziej wydajna! Zarząd obozów Ukrainy natychmiast po wejściu w życie ustawy z 1931 roku, nakazującej przejście obozów na własne utrzymanie — zadekretował z punktu: w roku następnym zwiększyć wydajność pracy ni mniej ni więcej — tylko o 242 % (słownie: dwieście czterdzieści dwa procent!) — to znaczy z dnia na dzień zwiększyć ją trzy i pół raza — i to bez żadnej mechanizacji<sup>6</sup>! Co za ścisłość naukowa: dwieście czterdzieści i jeszcze dwa procent! towarzysze nie wiedzieli jeszcze tylko, że jest to w istocie *wielki skok pod znakiem trzech czerwonych sztandarów...*

Wiedział dobrze GUŁag skąd wiatr wieje! Właśnie wtedy obwieszczono światu sześć nieśmiertelnych i historycznych Warunków Towarzysza Stalina. Była wśród tych warunków również opłacalność i samowystarczalność — a my już to mamy! a my już to mamy! I była również mowa o wykorzystaniu specjalistów! A to dla nas betka: wystarczy odwołać inżynierów z robót ogólnych! i dać im funkcje przyrędków produkcyjnych! (początek lat trzydziestych był dla inteligencji technicznej Archipelagu okresem stosunkowo najznośniejszym: technicy prawie nigdy nie musieli ślęczeć na robotach ogólnych, nawet nowicjusze od razu dostawali pracę w swoim fachu. Przedtem, w latach dwudziestych, inżynierowie i technicy ginęli na ogólnych bez nadziei i pożytku, ponieważ nie było dla nich pola do działania. Później zaś, między rokiem 1937 a początkiem lat pięćdziesiątych, uległa zapomnieniu i samowystarczalność i Sześć historycznych Warunków, natomiast na plan pierwszy wysunęła się Czujność — i za-

6. Awerbach: *Od występku do twórczej pracy*, str. 23.

miast przyjmowania poszczególnych inżynierów na stanowiska pryduków — zaczęto całymi stadami wypędzać ich na ogólne). Zresztą — o wiele bardziej opłaca się mieć inżyniera za kratami, niż na wolności: nie trzeba mu wtedy dawać żadnej gaży! znów korzyść, znów samowystarczalność! I znów okazuje się, że towarzysz Stalin ma rację!

Plan strategiczny był dalekosiężny, ale zawsze prowadził do tego samego celu: chodziło o to, aby Archipelag mieć za darmo!

Ale chociaż starali się jak mogli, ze skóry wychodzili, pazury łamali o litą skałę, chociaż sprawozdania korygowali po dwadzieścia razy, choć dziurawili je łokciami, ale jakoś nie udało się osiągnąć samowystarczalności finansowej Archipelagu i nigdy jej się osiągnąć nie uda! W żaden sposób nie można zrównoważyć wydatków i zysków, wciąż musi nasze młode państwo robotniczo-chłopskie (to samo przydarzy się później podstarzałemu państwu ludowemu) dźwigać na grzbiecie ten brudny, przesiąknięty krwią wór.

A oto powody. Pierwszy i najważniejszy — nie uświadomienie więziarskiego elementu, opieszałość tych tępych niewolników. Nie dość, iż nie można liczyć na ich socjalistyczną ofarność, ale co gorsza, nie wykazują oni nawet zwykłej, kapitalistycznej pracowitości i sumienności. Gotowi są porozwalać sobie buty, byle by nie iść do pracy; popsuć wyciąg, urwać koło, złamać łopatę, utopić wiadro — byle by mieć pretekst do bezczynnego siedzenia z papierosem w gębie. Wszystko, co pensjonariusze obozów robią dla swego własnego państwa — jest to zupełnie jawna lipa czystej wody: wypalane przez nich cegły można kruszyć gołą ręką, farba ze ścian złazi sama, tynk się sypie, klamki odlatują. Wszędzie — usterki i braki. Raz po raz trzeba odrywać już przybite pokrywy, rozkopywać zasypane już rowy, otynkowane już ściany pruć sztamają i borować świdrami. W latach pięćdziesiątych przywieziono do Steplągu nowiutką, szwedzką turbinę. Przyjechała w dużej skrzyni z mocnych belek, na kształt chatki. Była zima, mróz doskwierał, więc przeklęte zeki wlażyły do środka i między maszyną a ścianami skrzyni rozpalili ogieniaszek, żeby się trochę pogrzać. Srebro, którym spawane były pióra śruby wirującej — wytopiło się i turbinę trzeba było wyrzucić. Kosztowała trzy miliony siedemset tysięcy. No i macie samowystarczalność!

A pod wpływem tych zeków — i to jest drugi powód — wolnych pracowników też już nic nie obchodzi, jakby budowali nie dla siebie samych, tylko dla kogoś obcego. A ponadto kradną, kradną jak sto diabłów. (Stawiano dom mieszkalny i wolnia-

cy ukradli kilka wanien — a dostarczono ich nie więcej, niż było mieszkań w planie. Jak tu przeprowadzić komisyjne przyjęcie domu? Rozumie się, że kierownikowi robót nie można powiedzieć prawdy, zajęty jest właśnie bardzo, bo uroczyście oprowadza komisję po pierwszej klatce schodowej. Wchodzi przy tym do każdej łazienki, każdą wannę musi drań pokazać. Potem prowadzi komisję do drugiej klatki schodowej, do trzeciej, ale wcale się nie spieszy i z dumą demonstruje wszystkie łazienki — a tymczasem zręczni i odpowiednio przeinstruowani więźniowie, pod kierunkiem doświadczonego dziesiętnika, specjalisty w dziedzinie techniki sanitarnej — wymontowują wanny z mieszkań w pierwszej klatce schodowej, przez strych, na paluszkach przenoszą je do ostatniej klatki, tam szybkoitko je instalują i dążą zagipsować wszystkie szczeliny przed nadejściem komisji. I niech potem spróbują zgadnąć, kto odpowiada za braki...

Gdyby kto chciał pokazać to wszystko w komedii filmowej, to nie pozwolą: w naszym życiu nie ma niczego śmiesznego, wszystko, co śmieszne, jest tylko na Zachodzie!).

Trzecim powodem jest niesamodzielność więźniów, ich zupełna niezdolność do życia bez opieki nadzorców, bez administracji obozowej, bez straży, bez zony z wieźyczkami wartowniczymi, bez działów: Planu i Produkcji, Sprawozdawczości, Operacyjnego i Kulturalno-Oświatowego, bez wyższych instancji obozowych z GUŁagiem włącznie; bez cenzury, bez karcerów i bunkrów, bez pryduzków, bez magazynów i składów; ich całkowita niezdolność do poruszania się bez konwoju i psów. W ten sposób państwo musi dla potrzeb każdego pracującego zeka utrzymywać przynajmniej jednego dozorcę (a każdy z nich ma z kolei rodzinę!). To się zresztą dobrze składa, bo inaczej z czego by dozorczy żyli?

A jeszcze ci mędrkowie-inżynierowie wskazują czwarty powód: powiadają, że konieczność zakreślania na każdym kroku granic zony, zwiększanie ilości konwojentów, dublowanie kordonu eskorty — wszystko to zmniejsza możliwości manewru technicznego, krępuje inżynierów tak, jak na przykład przy wspomnianym wyładunku nad rzeką Taz i dlatego wszystko rzekomo się opóźnia i kosztuje o wiele drożej; ale to przecież są przyczyny *obiektywne* — a więc wykrety! Wystarczyłoby przecież wezwać ich na egzekutywę, przetrzepać im tam dobrze skórę i przyczyna od razu by znikła. Jak by trochę ruszyli dowcipem — to przecież wyjście by znaleźli.



A oprócz tych wszystkich powodów trzeba jeszcze wziąć pod uwagę całkowicie zrozumiałe i wybaczone niedopatrzanie samego naszego Kierownictwa. Jak powiadał towarzysz Lenin, nie popełnia omyłek tylko ten, kto w ogóle nic nie robi.

Na przykład — roboty ziemne zawsze jakoś trzeba wykonywać nie latem, tylko jesienią albo zimą, podczas roztopów albo mrozów — i to niezależnie od tego, jak się tam je planowało.

Albo na przykład zdarzyło się, że w marcu 1938 roku trzeba było pchnąć pięciuset ludzi do punktu Zarosszeje zespołu kopalni Szturmowej (Kołyma), aby wykuć 8-10 metrowe szyby odkrywkowe w złodowaciałym od wieków gruncie. Robotę wykonano (połowa zeków powyždychała). Miano zastosować dynamit, ale zrezygnowano z tej metody eksploatacji, bo zawartość metalu w rudzie okazała się zbyt niska. Przerwano więc prace. W maju odkrywki podbiegły wodą, cała robota poszła w diabły. Ale po upływie dwóch lat — znowu w marcu — gdy na Kołymie mróz aż trzeszczy, ktoś tam doszedł do wniosku: toż trzeba robić te odkrywki! W tym samym miejscu! ale w tempie! i nie żałować ludzi!

Żeby to tylko zbędne wydatki...

Albo, dajmy na to, więźniowie nazwozili ziemi i usypali tamę na rzece Suchoń obok osady Opoki. Ale wiosenne wody zaraz wszystko rozmyły i zniosły. Cóż, przepadło.

Albo na przykład — Tałański kombinat archangielskiego zarządu obozów miał w planie organizację wyrobu mebli, zapominano tylko zaplanować jednocześnie dostawy drzewa, z którego miały być te meble wyrabiane. Ale plan, to plan — musi być wykonany! Zakłady musiały wydzielić specjalne brygady robotnicze dla wyławiania z rzeki tzw. drewna awaryjnego, to znaczy tego, które oderwało się od tratw. Nie starczyło go na długo. Wówczas brygady zaczęły dla potrzeb swoich zakładów rabować cudze tratwy. Było to drewno figurujące w cudzych planach, niech tam kto inny teraz płacze. Ale mołojcy, którzy tę robotę wykonali, też nie mieli z tego żadnej korzyści: macierzysty obóz nie mógł przecież zaliczać im tej roboty do normy, bo chodziło o kradzież. No i macie samowystarczalność...

Albo inny przykład. W Ust'wymłagu, w roku 1943 postanowiono za wszelką cenę przekroczyć plan spławu drzewa luzem. Kto tylko był pod ręką — musiał iść do lasu, wypędzono do wyrębu zdrowych i chorych. W rezultacie — w zatoce rzecznej obok obozu zebrano trochę za wiele drewna — 200.000 metrów sześciennych. Nie zdążono wyłowić tego przed zimą i pnie zmarzły w lód. Poniżej tego punktu przerzucony był przez rzekę

most kolejowy. Jeśli wiosną cała ta masa nie rozpadnie się na poszczególne pnie, tylko ruszy wałem — to zniesie most, jak pić dać, a komendant pójdzie pod sąd. Trzeba więc było sprowadzać dynamit wagonami, zakładać zimą miny na dnie, wysadzać w powietrze tę zamarzną kupę drewna i później jak najszybciej wytać kłoc na brzeg — aby je tam palić (bo wiosną nie będą się już nadawały do żadnej obróbki tartacznej). Cały podobóz zajęty był tą robotą, dwustu ludzi. Za pracę w lodowatej wodzie dawano im co dzień porcję słoniny — ale żadnej z tych operacji nie można było objąć sprawozdawczością, bo przecież wszystko robione było na darmo. Całe drewno poszło z dymem. No i maćie zwrot kosztów własnych.

A znów cały Pieczelodół budował linię kolejową do Workuty — krętym szlakiem, jak leci. Gdy już była gotowa, trzeba było jej trasę prostować. Na czyj koszt? A kolej Lalsk (nad Łuzą) — Piniug (chciano ją prowadzić dalej aż do Syktykwaru)? W roku 1938 założono tam jakieś duże obozy, zbudowano 45 km. szlaku — i zaprzestano dalszych robót... I wszystko poszło na marne.

No, ale takie drobne omyłki mogą się przecież zawsze zdarzyć, żadne Kierownictwo nie jest przed nimi zabezpieczone.

A kolej Salechard-Igarka, zbudowana w 1949 roku — przecież całutka okazała się na nic, nie wiadomo było, co nią wozic. I też trzeba było w końcu zamrozić roboty. Ale tu już straszno powiedzieć, czyja to była omyłka. On sam tak chciał...

Ta samowystarczalność w końcu tak dokuczy, że komendant obozu nie wie wprost jak się od niej uwolnić, jak pchać ten wózek. Pod Krasnojarskiem, w miejscowości Kacza był obóz dla inwalidów (półtora tysiąca kalek!). Otóż po wojnie też im narzucono tę samowystarczalność i kazano wyrabiać meble. Inwalidzi chodzili po surowiec do lasu z ręcznymi piłami (obóz miał inny profil produkcyjny, więc żadna mechanizacja mu się nie należała), pnie zwozili do obozu krowim zaprzęgiem (środkie transportu też im się nie należały, ale mieli własną oborę). Koszta własne jednej kanapy wyniosły w końcu 800 rubli, a sprzedawcą ją trzeba było za 600!... Wówczas sama zwierzchność obozowa zaczęła się namyślać, jakby tu możliwie największą ilość inwalidów przesunąć do pierwszej grupy, niepracującej, albo uznać za chorych, co pozwalało nie wyprowadzać ich do robót poza zonę — i w rezultacie obóz mógł zrezygnować z nierentownej samowystarczalności i przejść na zupełnie pewne utrzymanie państwowe.

Z tych wszystkich powodów Archipelag nie jest w stanie pokryć kosztów swego utrzymania. Ba, kraj sporo musi dopłacać, aby móc się nim cieszyć.

Jeszcze bardziej komplikuje życie gospodarze Archipelagu fakt, że ta wielka, ogólnopanstwowa socjalistyczna samowystarczalność potrzebna jest państwu, potrzebna GUŁagowi, ale komendant obozu już tylko na nią gwizdże — no, mogą trochę zbesztać, mogą najwyżej premię obciąć człowiekowi (ale zawsze w końcu jakąś dadzą). Ten zysk, który naprawdę obchodzi komendanta, który zapewnia człowiekowi rozmach, wygody i satysfakcję — daje mu jego samodzielne, na prawie naturalnym oparte gospodarstwo, jego maleńki przytulny mająteczek, jego folwark obozowy. Nie tylko w Armii Czerwonej, lecz również w środowisku MWD, wcale nie żartem, lecz całkiem serio zaczęto stosować — i to coraz powszechniej — stateczne, poważne, budzące szacunek i mile łechcące dumę słowo — *gospodarz*. Całym krajem trząśł Gospodarz — podobnie więc dowódca każdej jednostki powinien być być również kimś na obraz i podobieństwo Gospodarza.

Ale bezlitosny Frenkel wymyślił zgrzebło, którego zęby — w postaci grup A-B-C-D wpiły się raz na zawsze w grzywę GUŁagu — i odtąd każdy gospodarz musiał dobrze wysilić mózgownicę, aby nie pozwolić temu zgrzebłu wycesać owego minimum robotników, bez których niemożliwy byłby rozruch i funkcjonowanie mechanizmu gospodarczego tych prywatnych włości. Tam gdzie, według siatki etatów GUŁagu, powinien być być tylko jeden krawiec, trzeba było urządzić całą szwalnię; gdzie przewidziany był tylko jeden szewc — cały warsztat szewski, a iluż to jeszcze innych dobrych majstrów warto było mieć pod ręką! Czemu, na ten przykład, nie założyć szklarni, aby mieć cieplarniane warzywa dla oficerskiej kuchni? Niektórzy rozsądni gospodarze myśleli o założeniu dużych pomocniczych zakładów ogrodniczych, aby mieć jarzyny dla więźniów — przecież będą za to lepiej pracować, jest to po prostu korzystne dla samego gospodarza — ale skąd wziąć ludzi?

Rozwiązanie leżało jak na dłoni: trzeba było tylko trochę więcej roboty kazać odwalić zekom, zamydlić trochę oczy GUŁagowi, a trochę — pionowi produkcyjnemu. Gdy chciało się przeprowadzić w zonie jakieś większe prace, na przykład postawić jakiś budynek — można było w tym celu zmusić wszystkich więźniów do pracy dodatkowej w niedzielę, albo wieczorkiem, po całym (10-ciogodzinnym) dniu roboczym. By usprawiedliwić zaś jakieś prace stałe, powiększało się sztucznie w sprawozdaniach

stan liczebny wychodzących z zony brygad: robotnicy, którzy pozostawali wewnątrz obozu, uchodzili w sprawozdaniach za pracujących poza zoną — i dlatego brygadzysta musiał wycisnąć z reszty brygady również ich *procent*, tj. część normy. Odliczało się ją od urobku brygady (która i tak zwykle normy nie wykonywała). Robociarze harowali więcej, jedli mniej, ale były z tego zyski dla obozowego folwarku, a towarzysze oficerowie mieli bogatsze menu i żyło im się znacznie przyjemniej.

W niektórych obozach zdarzali się komendanci, lubiący prawdziwy rozmach. Jeśli komendant taki znalazł sobie inżyniera z fantazją — to w zonie powstawało potężne gospodarstwo pomocnicze, już całkiem oficjalne, mające już prawo do własnej załogi i podejmujące się wykonania zamówień typu przemysłowego. Ale nawet takie instytucje nie mogły liczyć na planowe zaopatrzenie w surowce i maszyny, dlatego też nic nie mając w majątku, o wszystko musiały starać się własnymi siłami.

Parę słów o takim gospodarstwie istniejącym w obozie Kengir. Nie warto tracić czasu na opis jego warsztatów krawieckich, kuśnierskich, introligatorskich, stolarskich, itp., to bagatelka. Kengirska manufaktura pańszczyźniana miała własną odlewnię metali, a także własne warsztaty ślusarskie, którym udało się — w połowie XX wieku — ręcznie wyprodukować wiertarkę i szlifierkę dla własnych potrzeb. Maszyny tokarskiej sami zrobić nie mogli, ale tu zastosowany został swoisty *obozowy land lease*: obrabiarka została w biały dzień ukradziona z fabryki. Operację więźniowie wykonali w następujący sposób: podprowadzili jak najbliżej obozową ciężarówkę, odczekali, aż szef oddziału sobie pójdzie, wtedy cała brygada rzuciła się na maszynę, przeniosła ją w jednej chwili na ciężarówkę, a ta już bez trudności przeskoczyła obok wartowni — bo straż była w zмовie, w dywizjonie straży służą takie same chłopaki z MWD — potem piorunem zawieźli maszynę do obozu, a już tam żaden woliński nie ma wstępu. I już! Co tu wymagać od tępych zeków, to przecież zupełnie nieodpowiedzialny element. Szef oddziału klnie w żywy kamień — gdzie obrabiarka? — a ci nic nie wiedzą: bo to stała tu jakaś maszyna? niceśmy nie wiedzieli. — Najważniejsze przybory dostarczane były do obozu podobną, tylko jeszcze mniej skomplikowaną drogą — w kieszeni, czy za pachą.

Pewnego razu dział gospodarczy obozu podjął się na zamówienie kengirskiej aglomerowni dostarczenia partii lanych pokryw do włączów kanalizacyjnych. Odlewnia dała sobie z tym radę — ale zabrakło żelaza, bo też skąd ma je w końcu obóz brać? I wtedy z *tejże samej* aglomerowni kazano więźniom kraść

pierwszorzędne, angielskie wsporniki żeliwne (zostały tu jeszcze z czasów przedrewolucyjnych, kiedy fabryka należała do zagranicznych koncesjonariuszy). W obozie wsporniki przetapiano i w ten sposób aglomerownia otrzymała partię pokryw, za którą przekazała znaczną sumę do kasy obozu.

Teraz czytelnik już rozumie, że tak dynamiczne gospodarstwa własne przyczyniały się nie tylko do triumfu zasady samowystarczalności, lecz również do rozkwitu całej gospodarki krajowej.

Wspomniane gospodarstwo pomocnicze podejmowało się wykonania zamówień, których przestraszyłby się może sam Krupp. Robiono tam wielkie, gliniane tuby ściekowe dla kanalizacji. Wiatraki. Sieczkarnie. Zamki do drzwi. Pompy wodne. Remontowano maszyny do mielenia mięsa dla rzeźni. Zszywano pasy transportowe. Naprawiano autoklawy dla szpitali. Toczoło wiertła do trepanacji czaszki. Czegóż zresztą ludzie się nie podejmą w sytuacji bez wyjścia? Głód rozumu nauczy! Jeśli bowiem ktoś spróbuje się przyznać, że nie potrafi, że się nie podejmie — to już jutro pójdzie do łopaty. A w gospodarstwie pomocniczym luz jest o wiele większy: ani zbiórek przed wymarszem, ani chodzenia pod konwojem, pracować też można w mniejszym tempie i zawsze coś człowiek zdąży zrobić dla siebie. Szpital za wykonanie zamówienia płaci „zwolnieniem” na jeden, czy dwa dzionki, kuchnia — „dokładką”, ktoś inny — machorką, a gospodarze — przydziałowym chlebusiem.

Zabawne to i ciekawe zajęcia. Inżynierowie wciąż muszą rozwiązywać łamigłówki: z czego? jak? Znalazienie na jakimś śmietniku odpowiedniego kawałka żelaza zmieniało nieraz całą zaplanowaną konstrukcję — wiatrak zbudowali, ale nie mogli znaleźć sprężyny, która obracałaby go sama zgodnie z kierunkiem wiatru. Trzeba było po prostu przywiązać dwie linki, kazać dwóm zekom naciągać je przy zmianie wiatru i obracać wiatrak w należną stronę. Robili też cegły własnym przemysłem: kobieta cięła struną długie pasmo gliny na równe sześciiany, które następnie przesuwały się na taśmie jaką ta sama kobieta miała wprawiać w ruch. Ale jak? ręce ma przecież zajęte. O, nieśmiertelna wynalazczości sprytnych zeków! Wymyślili urządzenie, składające się z dwóch dyszelków, przymocowanych do bioder robotnicy. Rękami strychując cegły — silnymi i rytmicznymi ruchami miednicy wprawiała jednocześnie w ruch taśmę konwejera! Niestety, nie możemy pokazać czytelnikowi pamiątkowej fotografii.

Kengirski zaś pan dziedzic doszedł ostatecznie do wniosku, że nie ma na świecie rzeczy, której by nie mogło wykonać jego

gospodarstwo pomocnicze. Wezwał więc pewnego dnia naczelnego inżyniera i rozkazał, aby warsztaty przystąpiły natychmiast do wyrobu szkła okiennego i karafek. Jak to ugryźć? Nikt nie wiedział. Zajrzeli do znalezionej w graciarni tomu encyklopedii. Same ogólniki, dokładnego przepisu brak. Sprowadzili jednak sodę, znaleźli gdzieś piasek kwarcowy, zwieźli wszystko do obozu. A co najważniejsze — zaprzęgli przyjaciół do przynoszenia stłuczki szklanej z obiektów budowlanych; budowano tam bowiem „nowe miasto” i stłuczki było, jak maku. Wszystko to wsypali do pieca, stopili, wymieszali, rozlali na płask — i otrzymali w końcu arkusze szkła okiennego! tylko że z jednego brzegu miały one centymetr grubości, a z drugiego — dwa milimetry. Przez taką szybkość trudno rozpoznać nawet dobrego znajomego. A tu już zbliża się termin lustracji, trzeba komendantowi pokazać towar. Ale zek żyje tylko dniem dzisiejszym: grunt, to go przeżyć, co będzie jutro, to się zobaczy. Ukradli więc na budowie partię gotowych szyb, przynieśli do warsztatów i pokazali je komendantowi. Okazał zadowolenie: „Brawo! Całkiem, jak prawdziwe! Przystępujcie teraz do masowej produkcji!” — „Niemożliwe, obywatelu komendancie”. — „Ależ dlaczego?” — „Widzicie, obywatelu, szkło na szyby okienne musi koniecznie zawierać molibden. Mieliśmy go trochę, ale się skończył”. — „A nigdzie go nie można dostać?” — „Ale gdzie tam!” — „Szkoda. Ale karafki da się robić bez tego molibdenu?” — „Z karafkami jeszcze pół biedy”. — „No, to bierzcie się do roboty”. — Lecz karafki też były jakieś krzywobokie i z niewiadomych przyczyn rozsypywały się same. Jeden z nadzorców chciał nabrać do takiej karafki mleka — i tylko szyjka została mu w ręce, a całe mleko poszło w diabły. „Ach, co za łotry! — kłął, na czym świat stoi. — Szkodnicy! Faszyci! Wszystkich bym powystrzelał!”.

Kiedy w Moskwie, na ulicy Ogariowa burzono stare, przeszło stuletnie domy, aby stawiać na ich miejscu wysokościowce, więzary i belki z powań nie tylko że nie szły na złom, ani na opał — lecz mogły być użyte do wyrobów stolarskich. Było to drzewo JAK DZWON, czyste. Za naszych pradziadów tak je suszono przed użyciem.

My zaś wszystko robimy pośpiesznie, na nic czasu nam nie starcza. Czekać, aż wyschną belki? Na rogatce Kałużskiej syciliśmy budulec drewniany najlepszymi preparatami antyseptycznymi — i mimo to belki butwiały, wżerał się w nie grzyb — i to tak złośliwy, że jeszcze przed komisyjnym przyjęciem budynku trzeba było pruć podłogi i wymieniać całe więzary. Dlatego, za sto lat to wszystko, co zostało zbudowane przez nas, zeków, a zresztą — wszystko, co w naszym kraju zbudowano, na pewno

nie odpowie tak czystym dźwiękiem na uderzenie topora, jak te stare belki z ulicy Ogariowa.

Tego dnia, kiedy Związek Sowiecki z wielkim hałasem wystrzelił w niebo pierwszego sztucznego satelitę — widziałem przez moje okno w Riazaniu, jak dwie pary *wolnych* kobiet w brudnych, obozowych fufajach i watowanych portkach *wnosiły na tragach zaprawę murarską na czwarte piętro* budowy.

— No owszem, owszem, to prawda — ktoś mi odpowie — ale co pan powie? *ona* jednak się kręci!...

A istotnie, tego nikt j e j nie odbierze, nikt nie zaprzeczy, do stu diabłów! — jednak się kręci!



Należałoby właściwie przytoczyć na zakończenie tego rozdziału długi spis robót, wykonanych siłami więźniów, przynajmniej od pierwszej stalinowskiej pięciolatki aż do czasów Chruszczowa. Ale rozumie się, że nie jestem w stanie skompletować takiego spisu. Chcę jedynie wyliczyć niektóre jego pozycje, aby mógł uzupełnić go i kontynuować, kto ma chęć.

- Kanał Białomorski (1932), Kanał Wołga-Moskwa (1936), Kanał Wołga-Don (1952);
- kolej Kotłas-Workuta, odgałęzienie na Salechard;
- kolej Rykasycha-Mołotowsk<sup>7</sup>;
- kolej Salechard-Igarka (zaniechana);
- kolej Dalsk-Piniug (zaniechana);
- kolej Karaganda-Mointy-Bałchasz (1936);
- linia kolejowa wzdłuż prawego brzegu Wołgi;
- rokadowe linie kolejowe wzdłuż fińskiej i perskiej granicy;
- druga nitka kolei Transsyberyjskiej (1933-35, około 4.000 kilometrów);
- kolej Tajszet-Lena (początek BAM'u);
- kolej Komsomolsk-Sowgawań;
- linia kolejowa na Sachalinie od stacji Pobiedino do miejsca połączenia z siecią japońską;
- linia kolejowa do miasta Ułan-Bator<sup>8</sup>; sieć szos w Mongolii;
- autostrada Moskwa-Mińsk (1937-38);

7. Obozy nad rzeką Kud'mą na wyspie Jagry, w osadzie Rykasycha.

8. Przy budowie tej trasy więźniom, pracującym bez konwoju, kazano opowiadać Mongołom, że są komsomolcami i ochotnikami. Mongołowie odpowiadali, po wysłuchaniu tych informacji: zabierzcie sobie waszą kolej i oddajcie nasze barany!



- autostrada Nogajewo-Atka-Niera;
- budowa Kujbyszewskiej hydroelektrowni;
- budowa Niznietułomskiej elektrowni wodnej (pod Murmańskiem);
- budowa Ust' Kamieniegorskiej hydroelektrowni;
- budowa Bałchaszskiego Kombinatu Hut Miedzi;
- budowa Solikamskiej Fabryki Celulozy;
- budowa kombinatu chemicznego w Biereznikach;
- budowa kombinatu w Magnitogorsku (częściowo);
- budowa kombinatu w Kuźniecku (częściowo);
- budowa wielu fabryk i pieców martenowskich;
- budowa Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego im. M. W. Łomonosowa (częściowo);
- budowa miasta Komsomolsk nad Amurem;
- budowa miasta Sow-gawań;
- budowa miasta Magadan;
- budowa miasta Norylsk;
- budowa miasta Dudinka;
- budowa miasta Workuta;
- budowa miasta Mołotowsk (Siewierodwinsk) — poczynając od 1935 roku;
- budowa miasta Dubna;
- budowa portu Nachodka;
- rurociąg naftowy z Sachalinu na kontynent;
- budowa prawie wszystkich nowych obiektów przemysłu jądrowego;
- wydobywanie rud pierwiastków promieniotwórczych (uran i rad — pod Czelabińskiem, Swierdłowskim, Turą);
- praca w zakładach krekingowych i aglomerowniach rudy radioaktywnej (1945-1948);
- wydobywanie radu w Uchcie, destylacja ropy naftowej w Uchcie, produkcja ciężkiej wody;
- kopanie węgla w zagłębniach — Pieczorskim, Kuznieckim, Karagandyńskim, Suczańskim, itd.;
- wydobywanie rudy w Dżezkaganie, na Syberii Południowej, w Buriat — Mongolii, Szorii, Chakassji, na półwyspie Kola;
- kopanie złota na Kołymie, Czukotce, w Jakucji, na wyspie Wajgacz, w Majkainie (rejon Bajan-Aulski);
- wydobywanie apatytów na półwyspie Kola (już od roku 1930);
- wydobywanie łupków bitumicznych w Amdermie (od 1936 r.);

- wydobywanie metali rzadkich (kopalnia „Stalinskoje” w okręgu akmolińskim) (aż do lat 50-tych);
- *wyrąb lasu* i dostawy drewna na eksport oraz dla potrzeb gospodarki krajowej. Cała Północ Rosji europejskiej i Syberia. Nie jesteśmy w stanie wyliczyć niezliczonych podobozów leśnych, to połowa Archipelagu. Niech posłużą za dowód już pierwsze nazwy obozów: wzdłuż rzeki Kop’; łańcuch obozów nad rzeką Uftiugą Dźwinską; nad rzeką Niem (dopływ Wyczegdy), gdzie pracowali zesłani Niemcy; nad Wyczegdą w okolicach Riabowa; nad Północną Dźwiną w okolicach Czerewkowa; nad Małą Dźwiną Północną — w okolicach Aristowa...

Czy w ogóle sporządzenie takiego spisu jest możliwe?... Na jakich mapach i w czyjej pamięci mogły zachować się te tysiące prowizorycznych leśnych placówek, tych podobozów, rozbijanych na rok, dwa, trzy — aż do wytrzebiecia sąsiednich lasów, a likwidowanych później raz na zawsze? Zresztą — po co mówić tylko o leśnej robocie? A gdzie pełny spis wszystkich stałych wysp Archipelagu, które kiedykolwiek wyłoniły się na powierzchnię oceanu — tych słynnych i dziesiątki lat utrzymywanych przy życiu obozów? A także ich wędrownych placówek, forpoczty przesuwających się wzdłuż budowanych tras? I potężnych centralniaków, gdzie siedzieli się latami, i obozowych węzłów transportowych, skleconych z żerdzi i namiotów?

I czy ktokolwiek podjąłby się oznaczenia na takiej mapie również wszystkich aresztów miejscowych? i więzień, znajdujących się w każdym mieście (a bywa ich tam kilka)? a także karnych kolonii rolnych, razem z ich placówkami ruchomymi, tworzonymi podczas żniw, albo dla wypasu bydła? a dodajmy jeszcze drobne oboziki przemysłowe, które upstrzyły nasze miasta, jak słonecznikową łuską. Moskwę i Leningrad trzeba by potraktować osobno, tu potrzebne są drobiazgowo plany miasta. (A nie zapomnieć o podobozie, leżącym w odległości pięciuset metrów od Kremla — gdzie miano budować Pałac Sowietów). A przecież w latach 20-tych Archipelag był czymś zupełnie odmiennym od Archipelagu z lat 50-tych — topografia zmieniła się całkowicie. Jak unaocznic te zmiany, zachodzące w miarę upływu lat? Ile tu map potrzeba? A Nyrobłag, albo Ust’wymłag, albo zespoły obozów w Solikamsku, czy Pot’mie — powinny być oznaczone przez zakreskowanie całych okręgów — ale kto z nas te wszystkie granice własnymi krokami wymierzył?

Mamy jednak nadzieję, iż kiedyś taką mapę ujrzymy.

- Ładowanie drewna na statki w Karelii (przed rokiem 1930. Po rewelacjach prasy angielskiej i apelach, aby nie przyjmować drewna, które ładowali więźniowie — zeków pośpiesznie usunięto z portów i przeniesiono w głąb Karelii);
- produkcja materiałów bojowych dla potrzeb frontu podczas wojny (miny, pociski, skrzynie do amunicji, szycie mundurów);
- zakładanie i zarządzanie sowchozów na Syberii i w Kazachstanie...

I nawet — pomijając całe lata dwudzieste — wraz z produkcją ich miejsc odosobnienia, zakładów poprawczych, kolonii pracy poprawczej — czym zajmowały się i co zdołały wyprodukować w ciągu ćwierci wieku (1929-1953) setki karnych kolonii produkcyjnych, bez których nie obchodzi się w naszym kraju żadne szanujące się miasto?

A co zasiano i zebrano w setkach i setkach karnych kolonii rolnych?

O wiele łatwiej powiedzieć, czym więźniowie nigdy w życiu się nie zajmowali: wyrobem wędlin i cukierków.

*Koniec trzeciej części.*



## CZĘŚĆ CZWARTA

### DUSZA I DRUT KOLCZASTY

A oto ogłaszam wam tajemnicę:  
nie wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy  
będziemy odmienieni.

1-szy list do Koryntian, 15, 51.



## Rozdział pierwszy

### POD GÓRĘ

A lata płyną...

Nie tak, jak w obozowej wyliczance — „lato-zima, lato-zima, lato-zima...”, całkiem inaczej: marudna jesień, nieskończenie długa zima, opieszala wiosna; jedynie lato jest krótkie. Na Archipelagu nic nie jest krótkie, poza latem.

Nawet jeden, jedyny rok — ooo, jak tu się dłuży! Ileż to człowiek ma czasu na rozmyślania w ciągu jednego tylko roku! Gdy stoi w ścisku na zbiórkach przed wymarszem do pracy przez 330 dni — na słońce, w mżącym deszczu, w siekającej zadymce i na zastygłym w bezruchu mrozie. Gdy przez 330 dni urabia ręce przy uprzykrzonej, obcej sobie robocie, w której głowa udziału nie bierze. Gdy przez 330 wieczorów kuli się mokry, zziębnięty na zbiórkach po fajrancie, czekając aż konwojenci poślą z odległych wieżyczek. I podczas marszu w jedną stronę. I podczas marszu w drugą. I — gdy siedzi zgarbiony nad siedemset trzydziestoma miskami bałandy, nad siedemset trzydziestoma porcjami kaszy. I na swojej wagonetce, przed zaśnięciem i po przebudzeniu. Ani radio, ani książki nie odrywają go od tych rozmyślań, nie ma ich tu, Bogu dzięki.

I to wszystko składa się na jeden zaledwie rok. A jest ich dziesięć. Albo — dwadzieścia pięć. A już kiedy się człowiek dostanie do szpitalika, jako dystrofik — to dopiero ma czas na rozmyślania.

Myśl zatem! Wyciągnij pożyteczne wnioski nawet ze swego nieszczęścia.

Przez ten nieskończenie długi czas dusza i umysł więźnia nie są chyba pogrążone w beczynności?! Więźniowie z daleka wyglądają, jak rój niemrawych wszy, ale przecież oni również



zaliczają się do królów stworzenia, prawda? Przecież tliła się w nich niegdyś iskierka Boża, choćby najśłabsza? Co się z nią teraz stało?

Przez całe stulecia uchodziło za pewnik: właśnie po to wyznacza się przestępcy *termin kary*, aby przez cały ten czas mógł on myśleć o swojej zbrodni, aby się nad nią zastanowił, aby dręczyła go ta myśl, aby ogarnęła go skrucha, aby się wreszcie poprawił.

Ale *Archipelag GUŁag nie wie, co to wyrzuty sumienia!* Na stu jego mieszkańców, pięciu — to knajacy z ferajny, popełnionych przestępstw nie żałują, przeciwnie, są one dla nich przedmiotem dumy, tylko o tym marzą, aby w przyszłości poczynać sobie jeszcze zręczniejszy i bezczelniejszy. Nie ma tu mowy o żadnej skrusicie. Pięciu innych przywłaszczyło sobie trochę za wiele, ale nie kosztem osób prywatnych: w naszych czasach nagrabić się można do woli tylko na szkodę państwa, które samo trwoni ludowe pieniądze bez skrpułów i bez zastanowienia — więc taki typ miałby się kajać?! Tego tylko chyba żałuje, że nie zaharapczył więcej i nie podzielił się z kim należy, bo wtedy zachowałby wolność. 85 więźniów na 100 nie poczuwa się w ogóle do żadnego przestępstwa. Za jakie więc grzechy mają żałować oni? Że myśleli to, co myśleli? (Niejeden zresztą tak jest zacukany, takiej mu sieczki w głowie narobili, że istotnie czyni sobie wyrzuty i uważa się za jednostkę zdeprawowaną... Przypomnijmy sobie tylko rozpacz Niny Pieregud, że nie godna jest Zoi Kosmodemiańskiej). Albo że poszedł do niewoli w sytuacji bez wyjścia? Że pod okupacją poszedł do pracy, chociaż mógł przecież zdechnąć z głodu? (A zresztą tak człowieka zmylą, tak poplączą to co wolno, z tym co nie wolno, że niektórzy mówią w udreće: szkoda, że nie umarłem, po co mi był ten chleb!). Albo że — pracując w kołchozie za darmo, wziął coś z pola, żeby nakarmić dzieci? Albo że wyniósł coś z fabryki z tego samego powodu?

Nie, człowieku, nie dość, że do skruchy brak ci powodów; sumienie masz czyste, jak górskie jezioro, to poznać po oczach. (I twoje przemyte cierpieniem oczy nieomylnie rozpoznają wszelki brud, w cudzych. Na przykład — bezbłędnie rozróżniają szpicłów. CzKGB nie zdaje sobie sprawy z tego naszego daru widzenia prawdy, to nasza tajna broń i pod tym względem bezpieczeństwo jest od nas słabsze).

Tym prawie powszechnym poczuciem niewinności różniliśmy się najbardziej od katorżników Dostojewskiego, czy P. Jakubowicza. Tamci mieli poczucie, że są odszczepieńcami, na których ciąży przekleństwo, my — uświadamialiśmy sobie z całą jasnością,

że każdego wolnego człowieka można tak samo wpakować za kraty, jak każdego z nas; że drut kolczasty między nami a nimi — to przegroda umowna. Większość tamtych — miała bezwarunkowe poczucie osobistej winy, w nas przeważało poczucie, że jesteśmy ofiarami napaści, której uległy miliony ludzi.

Ale napaść, a zguba — to dwie różne rzeczy. Napaść trzeba jakoś przeżyć.

Czy nie tu leży źródło nadzwyczajnej rzadkości samobójstw w obozie? Tak jest, rzadkości, chociaż każdy był więzień zapewne przypomni sobie jakiś wypadek samobójstwa. Ale o wiele więcej przytoczyć może wypadków ucieczek. Ucieczek na pewno więcej było, niż samobójstw! (Zwolennicy realizmu socjalistycznego mają teraz okazję, aby mnie pochwalić: lansują tezę optymistyczną). Samookaleczeń też było znacznie więcej, niż samobójstw! — ale to się robi właśnie z przywiązania do życia, na zasadzie prostej kalkulacji: trzeba poświęcić część dla uratowania całości. Wydaje mi się nawet, że samobójstw w obozach było statystycznie mniej, niż na wolności. Oczywiście, trudno mi to sprawdzić.

Skrypnikowa opowiada, jak w 1931 roku w Miedwieżegorsku powiesił się w żeńskiej toalecie trzydziestoletni mężczyzna — i to powiesił się w dniu, w którym miał wyjść na wolność! — więc może ze wstrętu do tego, czym była już wówczas owa *wolność*? (Dwa lata przed tym faktem porzuciła go żona, ale wtedy się nie powiesił). — Albo na przykład — w klubie centralnego ośrodka zespołu obozów Buriepołom powiesił się konstruktor Woronow. — Komunista i działacz partyjny Aramowicz, więzień przetrzymany w obozie po odsiedzeniu całej kary, powiesił się w roku 1947 na strychu warsztatów mechanicznych w Kniaż-Pogoście. — W Krasławgu, podczas wojny Litwini, doprowadzeni do zupełnej desperacji, a, co ważniejsze, — nie przyzwyczajeni do brutalności naszego życia, szli na wartowników, prowokując ich do strzału. — W 1949 roku, w celi więzienia śledczego we Włodzimierzu Wołyńskim, pewien młody chłopak, poznawszy pierwsze okropności śledztwa, już się był powiesił, ale niejaki Boroniuk zdążył go odratować. — Na Kałużskiej Rogatce były oficer łotewski, leżący w lazarecie obozowym, pewnego dnia wymknął się po cichutku na schody, prowadzące do niewykończonyj części gmachu. Pielęgniarka-zeczka spostrzegła to i pobięła za nim. Gdy go dopędziła — stał już na szóstym piętrze na progu niewbudowanego jeszcze balkonu. Wpiła się w jego szlafrok, ale samobójca zostawił go w jej ręku, w samej bieliźnie, bez chwili zwłoki powierzył ciało pustce; przemknął jak biała

błyskawica nad ulicą Wielką Kałużską, pełną ruchu, bo dzień był letni i słoneczny. — Niemiecka komunistka Emmy, dowiedziawszy się o śmierci swego męża, wyszła nago z baraku na mróz, aby zaziębić się na śmierć. — Anglik Kelly, we włodimirskim TON'ie po mistrzowsku przeciął sobie żyły, chociaż drzwi celi były otwarte, a starszy klucznik stał na progu<sup>1</sup>.

Powtarzam — o podobnych wypadkach usłyszeć możemy od wielu byłych więźniów — a mimo to są one nieliczne w proporcji do milionów, które w obozach siedziały. Już przytoczone wyżej przykłady świadczą, że znaczna część samobójstw przypada na cudzoziemców, na ludzi z zachodnich ziem, przyłączonych do Związku: przeniesienie na Archipelag jest to dla nich cios o wiele straszliwszy, niż dla nas; dlatego postanawiają odebrać sobie życie. Spora część tych wypadków — to prawomyślni (ale nie ci z żelazną szczęką). To można zrozumieć. Przecież w ich głowach wszystko się poprzewracało, byli zdezorientowani i ogłuszeni. Czy człowiek może znieść coś podobnego? (Zosia Zaleska, Polka z rodziny szlacheckiej, która całe życie oddała „sprawie komunizmu” służąc w sowieckim wywiadzie, w trakcie śledztwa trzykrotnie próbowała odebrać sobie życie. Wieszała się, ale ją odcięto od stryczka, przecięła sobie żyły, ale ją odratowano, skoczyła na parapet na siódmym piętrze — drzemiący funkcjonariusz śledczy zdążył złapać ją za spódnicę. Trzykrotnie ją wyratowali, aby w końcu rozstrzelać).

A w ogóle jaki powinien być nasz stosunek do samobójstwa? Taki Ans Bernsztejn twierdzi z uporem, że samobójcy wcale nie są tchórzami, że potrzeba znacznej siły woli, aby odebrać sobie życie. Sam on skręcił sobie linkę z bandaży i usiłował udusić się podciągając nogi. Ale w oczach stawały mu zielone kręgi, w uszach zaczynało dzwonić i za każdym razem mimowolnie opuszczał nogi aż do ziemi. W trakcie ostatniej próby sznurek się urwał i denat uradował się, że nie zginął.

Nie będę przeczył, że dla odebrania sobie życia — potrzeba nie tylko skrajnej desperacji, lecz również świadomej determinacji, wysiłku woli. Przez długi czas nie chciałem na ten temat wygłaszać żadnych sądów. Całe życie byłem przekonany, że nie pomyślę o samobójstwie nigdy, w żadnych okolicznościach. Ale przed niedawnym czasem przeżyć musiałem kilka bardzo ponurych miesięcy: zdawało mi się wtedy, że dzieło mego życia ulegnie zniweczeniu, zwłaszcza, jeśli nie zdecyduje się na szybką

---

1. Jako narzędzia użył odprysku emalii, odłupanego w umywalni. Kelly ukrył go w bucie, but stał przy łóżku. Kelly opuścił do podłogi skraj koca, przykrył nim but, wy dostał emalię i pod kołdrą przeciął sobie żyłę na ręce.

śmierć. I doskonale sobie przypominam to uczucie wstępu do życia, przyływy pewności, że łatwiej umrzeć, niż żyć dalej. Zdaniem moim, przy takim stanie ducha, więcej trzeba siły woli, aby dalej żyć, niż żeby umrzeć. U rozmaitych ludzi chyba różnie z tym bywa, to, co dla jednego jest skrajnością, nie jest nią jeszcze dla drugiego. Dlatego jak świat światem istnieją dwa zdania w tej materii.

W imaginerii skłonnej do spektakularnych efektów mógłby zjawić się następujący obraz: te miliony pokrzywdzonych niewinnie nieszczęśliwców decydują się nagle na masowe samobójstwo zadając rządowi tym czynem podwójny cios: podkreślają swoją niewinność i pozbawiają państwo bezpłatnej siły roboczej. A może zmusiłoby to rząd do ustępstw? Może władzy nagle zrobiłoby się żal poddanych?... Ejże! Stalina by to wcale nie powstrzymało: *pożyczyłby* sobie w zamian dwadzieścia milionów wolnych obywateli.

Ale nic podobnego nie miało miejsca! Ludzie umierali setkami tysięcy, milionami, doprowadzeni — zdawałoby się — do ostateczności, a mimo to samobójstw prawie nie było! Skazani na iście monstrualną wegetację, na zagłodzenie, na pracę ponad siły — jednak nie odbierali sobie życia!

Po namyśle doszedłem do wniosku, że ten fakt służyć może za niezwykle poważny dowód pewnej prawdy. Samobójca — jest to zawsze bankrut, człowiek, który znalazł się w ślepym zaułku, który uznał, że zmarnował życie i nie znajduje już w sobie sił do dalszej walki. Jeśli zaś te miliony nieszczęsnych kreatur na przekór wszystkiemu nie odbierały sobie życia — to znaczy, że tliło się w nich jakieś przekonanie, którego żadna siła nie była w stanie zniweczyć, że żyła w nich jakaś myśl przemożna.

Było to przekonanie, że słuszność jest po ich stronie. Było to przeświadczenie, że cały lud poddany został straszliwie ciężkiej próbie, którą trzeba przetrzymać tak, jak jarzmo tatarskie.



O czym, o czym myśli cały czas więzień, skoro głowy nie zaprzęta mu żal za grzechy? „Bieda i krata nie tuczy — ale rozumu nauczy”. Owszem, nauczy. Zależy tylko — do czego później człowiek tego rozumu użyje.

Nie ja jeden, wielu odczuło to samo. Nasz pierwszy więzieni nieboskłon pełen był czarnych, kłębiących się chmur, podpierały go czarne kolumny wulkanicznego dymu, było to niebo Pompei, niebo Sądnego Dnia — dlatego, że uwięzieniu podległ

błyskawica nad ulicą Wielką Kałużską, pełną ruchu, bo dzień był letni i słoneczny. — Niemiecka komunistka Emmy, dowiedziawszy się o śmierci swego męża, wyszła nago z baraku na mróz, aby zaziębić się na śmierć. — Anglik Kelly, we wladimirskim TON'ie po mistrzowsku przeciął sobie żyły, chociaż drzwi celi były otwarte, a starszy klucznik stał na progu<sup>1</sup>.

Powtarzam — o podobnych wypadkach usłyszeć możemy od wielu byłych więźniów — a mimo to są one nieliczne w proporcji do milionów, które w obozach siedziały. Już przytoczone wyżej przykłady świadczą, że znaczna część samobójstw przypada na cudzoziemców, na ludzi z zachodnich ziem, przyłączonych do Związku: przeniesienie na Archipelag jest to dla nich cios o wiele straszliwszy, niż dla nas; dlatego postanawiają odebrać sobie życie. Spora część tych wypadków — to prawomyślni (ale nie ci z żelazną szczęką). To można zrozumieć. Przecież w ich głowach wszystko się poprzewracało, byli zdezorientowani i ogłuszeni. Czy człowiek może znieść coś podobnego? (Zosia Zaleska, Polka z rodziny szlacheckiej, która całe życie oddała „sprawie komunizmu” służąc w sowieckim wywiadzie, w trakcie śledztwa trzykrotnie próbowała odebrać sobie życie. Wieszała się, ale ją odcięto od stryczka, przecięła sobie żyły, ale ją odratowano, skoczyła na parapet na siódmym piętrze — drzemiący funkcjonariusz śledczy zdążył złapać ją za spódnicę. Trzykrotnie ją wyratowali, aby w końcu rozstrzelać).

A w ogóle jaki powinien być nasz stosunek do samobójstwa? Taki Ans Bernsztejn twierdzi z uporem, że samobójcy wcale nie są tchórzami, że potrzeba znacznej siły woli, aby odebrać sobie życie. Sam on skręcił sobie linkę z bandaży i usiłował udusić się podciągając nogi. Ale w oczach stawały mu zielone kręgi, w uszach zaczynało dzwonić i za każdym razem mimowolnie opuszczał nogi aż do ziemi. W trakcie ostatniej próby sznurek się urwał i denat uradował się, że nie zginął.

Nie będę przeczył, że dla odebrania sobie życia — potrzeba nie tylko skrajnej desperacji, lecz również świadomej determinacji, wysiłku woli. Przez długi czas nie chciałem na ten temat wygłaszać żadnych sądów. Całe życie byłem przekonany, że nie pomyślę o samobójstwie nigdy, w żadnych okolicznościach. Ale przed niedawnym czasem przeżyć musiałem kilka bardzo ponurych miesięcy: zdawało mi się wtedy, że dzieło mego życia ulegnie zniweczeniu, zwłaszcza, jeśli nie zdecyduję się na szybką

---

1. Jako narzędzia użył odprysku emalii, odtłupanego w umywalni. Kelly ukrył go w bucie, but stał przy łóżku. Kelly opuścił do podłogi skraj koca, przykrył nim but, wy dostał emalię i pod kołdrą przeciął sobie żyły na ręce.

śmierć. I doskonale sobie przypominam to uczucie wstrętu do życia, przyływy pewności, że łatwiej umrzeć, niż żyć dalej. Zdaniem moim, przy takim stanie ducha, więcej trzeba siły woli, aby dalej żyć, niż żeby umrzeć. U rozmaitych ludzi chyba różnie z tym bywa, to, co dla jednego jest skrajnością, nie jest nią jeszcze dla drugiego. Dlatego jak świat światem istnieją dwa zdania w tej materii.

W imaginacji skłonnej do spektakularnych efektów mógłby zjawić się następujący obraz: te miliony pokrzywdzonych niewinne nieszczęśliwców decydują się nagle na masowe samobójstwo zadając rządowi tym czynem podwójny cios: podkreślają swoją niewinność i pozbawiają państwo bezpłatnej siły roboczej. A może zmusiłoby to rząd do ustępstw? Może władzy nagle zrobiłoby się żal poddanych?... Ejże! Stalina by to wcale nie powstrzymało: *pożyczylby* sobie w zamian dwadzieścia milionów wolnych obywateli.

Ale nic podobnego nie miało miejsca! Ludzie umierali setkami tysięcy, milionami, doprowadzeni — zdawałoby się — do ostateczności, a mimo to samobójstw prawie nie było! Skazani na iście monstrualną wegetację, na zagłodzenie, na pracę ponad siły — jednak nie odbierali sobie życia!

Po namyśle doszedłem do wniosku, że ten fakt służyć może za niezwykle poważny dowód pewnej prawdy. Samobójca — jest to zawsze bankrut, człowiek, który znalazł się w ślepych zaułku, który uznał, że zmarnował życie i nie znajduje już w sobie sił do dalszej walki. Jeśli zaś te miliony nieszczęśliwych kreatur na przekór wszystkiemu nie odbierały sobie życia — to znaczy, że tliło się w nich jakieś przekonanie, którego żadna siła nie była w stanie zniweczyć, że żyła w nich jakaś myśl przemożna.

Było to przekonanie, że słuszność jest po ich stronie. Było to przeświadczenie, że cały lud poddany został straszliwie ciężkiej próbie, którą trzeba przetrzymać tak, jak jarmzo tatarskie.



O czym, o czym myśli cały czas więzień, skoro głowy nie zaprzęta mu żal za grzechy? „Bieda i krata nie tuczy — ale rozumu nauczy”. Owszem, nauczy. Zależy tylko — do czego później człowiek tego rozumu użyje.

Nie ja jeden, wielu odczuło to samo. Nasz pierwszy więzieni nieboskłon pełen był czarnych, kłębiących się chmur, podpierały go czarne kolumny wulkanicznego dymu, było to niebo Pompei, niebo Sądnego Dnia — dlatego, że uwięzieniu podległ

A Taraszkiewicz, człowiek zupełnie prosty i nieuczony, tak mi pisze: „Sporo było więźniów, którzy za kromkę chleba i za trochę machorkowego dymu gotowi byli przed każdym się płaszczyc. Już konałem z wycieńczenia, ale sumienie mam czyste: co białe, to zawsze nazywałem białym”.

Że pobyt w więzieniu powoduje w człowieku głębokie obrażenia — to wiadomo już od wielu stuleci. Przykładów jest wielkie mnóstwo, jednym z bardziej znanych jest życie Silvio Pellico: po odsiedzeniu 8 lat przekształcił się z zaciętego karbarnariusza w kornego katolika<sup>2</sup>. U nas zawsze przytacza się w takich wypadkach historię Dostojewskiego. A Pisariew? Co się ostało z jego rewolucyjnych przekonań po twierdzy Pietropawłowskiej? To jeszcze kwestia czy to lepiej dla rewolucji, czy gorzej, ale zmiany te z reguły polegają na pogłębieniu życia duchowego. Ibsen pisał: „Brak tlenu prowadzi również do uwiędu sumienia”<sup>3</sup>. Ejże! Nie takie to proste! Bywa nawet wręcz odwrotnie! Weźmy takiego generała Gorbatowa — wojował od wczesnej młodości, w armii wciąż awansował, nie miał czasu na rozmyślanie. Zaledwie jednak znalazł się w więzieniu, na powierzchnię jego pamięci zaczęły wypływać rozmaite zapomniane przypadki: jak to posadził o szpiegostwo człowieka niewinnego: albo — jak przez omyłkę kazał rozstrzelać Bogu ducha winnego Polaka<sup>4</sup>. (Czy kiedy indziej by to mu jeszcze na myśl przyszło? Chyba po rehabilitacji nie tak już chętnie wracał do wspomnień?). O tych duchowych przemianach więźniów pisano już wystarczająco wiele, weszło to nawet w skład teorii więziennictwa. Na przykład w przedrewolucyjnym czasopiśmie „Tiuriemnyj wiestnik” pisał Łuczeniecki: „Mrok czyni człowieka bardziej wrażliwym na światło: przymusowa bezczynność budzi w nim chęć życia, ruchu, tęsknotę do pracy: cisza skłania do głębokiego wczucia się we własne 'ja', do zastanowienia się nad tym, co go otacza, nad własną przeszłością, terażniejszością i przyszłością”.

Nasi krzewiciele oświaty, którzy sami kar nie odsiadali, mieli dla więźniów wiele współczucia — naturalnego, acz z dystansu: tymczasem Dostojewski, który sam się nasiedział, był zwolennikiem karania zbrodniarzy! Warto o tym pomyśleć.

Powiada rosyjskie przysłowie: „Wolność człowieka psuje, niewola — uczy”.

---

2. Silvio Pellico, *Moje więzienia* (1-sze wydanie rosyjskie — Petersburg, 1836 roku).

3. Henryk Ibsen. *Wróg ludu*.

4. *Nowyj Mir*, 1964, nr 4.



Pellico i Łuczenieckij pisali o *więzieniu*. Dostojewski żądał kar więzienia. Ale czy każda niewola uczy?

Czy obóz również?...

Tu jest nad czym podumać.

Oczywiście, w porównaniu z więzieniem, nasze obozy są siedliskiem jadowitej zgnilizny i zepsucia.

Oczywiście ci, dzięki którym bąble Archipelagu wzduły się nad otchłanią, nie myśleli o naszych duszach. Mimo to: czy istotnie nie ma żadnej nadziei, aby oprzeć się duchowi obozu?

Więcej nawet: czy w obozie nie można wzbogacić się duchowo?

Oto E.K., rocznik 1940, jeden z tych chłopców, którzy — jeszcze za Chruszczowa — gromadzili się pod pomnikiem Majakowskiego, żeby recytować wiersze, a milicja zabierała ich stamtąd więziennymi karetkami. Z obozu w Pot'mie tak pisze on do swojej dziewczyny: „Mniej tu we mnie teraz przywiązania do błahostek i wszelkiej marności... Przeszedłem przełom... Tu człowiek wsłuchuje się w ten głos wewnętrzny, który zagłuszany jest przez ryki z zewnątrz — tam, gdzie panuje czczość i dostatek”.

W podobozie Samarka, w 1946 roku przebywa grupa inteligentów, doprowadzonych do śmiertelnego wyczerpania. Są zagłodzeni, marzną, wycieńczyła ich praca ponad siły, nawet snu są pozbawieni: nie mają po prostu gdzie spać, bo baraki — ziemianki są nieukończone. Więc może ratują się kradzieżą? donosicielstwem? może tracą ostatnie chwile na lamenty i spóźnione żale? Nie! Przewidując, że śmierć bliska, że to sprawa już nie tygodni, lecz dni, oto jak spędzają bezsenne swoje noce, siedząc pod jakimś murkiem. Timofiejew-Ressowskij prowadzi „zajęcia seminaryjne”; każdy z uczestników stara się przekazać innym to, co sam umie; prowadzą dla siebie wzajem ostatnie wykłady. Ojciec Saweriusz — „O śmierci godnej człowieka”, inny kapłan, absolwent akademii duchownej — z dziedziny patrystyki, ksiądz unicki — z zakresu dogmatyki i prawa kanonicznego, energetyk — o założeniach energetyki przyszłości, ekonomista (z Leningradu) o tym, jak brak nowych idei uniemożliwił sformułowanie zasad sowieckiej ekonomii. Sam Timofiejew-Ressowskij wykłada im podstawy mikrofizyki. Raz po raz konstatają, że kogoś zabrakło: szukać go trzeba już w kostnicy.

Kto potrafi interesować się tym wszystkim, czując już chłód przedśmiertny, ten dopiero zasłużył na miano inteligenta!

Chwileczkę — a wy kochacie życie? Wy, wy! Którzy tak

lubicie krzyżeć i śpiewać z przytupem: „Kocham cię, życie, ach, jak kocham cię, życie!”. Kochacie? A więc kochajcie je całe! Obozowe również! To też jest życie!

*„Gdy złe losy ustąpią ci pola,  
Twoja dusza podniesie się z kolan”.*

Diabła tam. Dopiero wtedy dusza ci sparcieje.

Nasza droga, nasz wybrany szlak — biegnie wirażami. Czy prowadzą w górę? Czy w dół? Spróbujmy przejść nią kawałek.

Dzień powrotu na wolność? Co może dać nam on — po tylu latach? Zmienimy się nie do poznania, również bliskich naszych to samo spotka, a miejsca niegdyś ulubione i bliskie wydadzą nam się bardziej obce, niż wszelkie cudze okolice.

Poczynając od pewnej chwili, zaczyna się myśleć o wolności niejako z obowiązku. Myśl ta staje się sztuczna, obca.

Dzień wyjścia na „wolność”! Jakby w tym kraju gdziekolwiek była wolność! Albo — jakby w ogóle można było obdarzyć wolnością kogoś, kto sam wcześniej nie wyzwolił się duchowo.

Słychać jak spod nóg naszych osypują się kamienie. Jak staczają się w dół, w głąb przeszłości. To okruchy minionych dni.

Wspinamy się.



Całkiem dobrze jest rozmyślać w więzieniu, ale w obozie też niezgorzej. A głównie z tej przyczyny, że nie ma żadnych *zebrań*. Przez dziesięć lat nie masz obowiązku chodzenia na zebrania — czy to nie tyle warte, co górskie powietrze? Zgłaszając całkiem otwarte pretensje do naszej pracy i naszych ciał, wyciskając z nich siódme poty aż do ostatniego tchu — panowie gospodarze w ogóle nie starają się wpływać na nasz sposób myślenia. Nie próbują gmerać nam w mózgu i ustawiać go, jak należy<sup>5</sup> i to daje człowiekowi poczucie swobody o wiele większe, niż udzielona jego nogom możliwość swobodnego przuszania się po płaszczynie.

Nikt cię nie namawia, abyś wstąpił do partii. Nikt nie wyciąga z twoich kieszeni składek członkowskich na rzecz żadnych „dobrowolnych” stowarzyszeń. Nie ma związków zawodowych, które są takim samym twoim „obrońcą”, jak adwokat z urzędu w sądzie. Nie ma też narad produkcyjnych. Nie możesz być wybrany na żadne stanowisko, nie mogą cię nagle zrobić żadnym pełno-

---

5. Prócz nieszczęsnego okresu kanału Białomorskiego i Wołgo-kanału.

mocnikiem, ani — co najważniejsze — agitorem. Nie mogą cię też zmusić do słuchania agitacji, ani do krzyczenia, gdy tylko ktoś pociągnie za nitkę: „Domagamy się!...”, „Nie pozwolimy!...”. Ani ci nie każą iść do urny, abyś skorzystał z wolnego i tajnego prawa wyborczego — dla wyboru jedyne go kandydata. Nie domagają się od ciebie socjalistycznych zobowiązań. Ani krytyki własnych omyłek. Ani artykułów do gazetki ściennej. Ani udzielania wywiadów korespondentowi organu okręgowego.

Nie zwracają ci więc głowy — czy to nie jest zaleta życia na Archipelagu?

Do swobód należy zaliczyć także to, że nie mogą cię pozbawić rodziny i majątku — bo już jesteś ich pozbawiony. Czego się nie ma — tego nawet Bóg nie odbierze. Jest to jedna z zasadniczych swobód obywatelskich w obozach.

Za kratą dobrze się myśli. Najdrobniejszy nawet wypadek daje impuls do długich i poważnych rozmyślań. Ni stąd ni zowąd — a dzieje się to nie częściej niż raz na trzy lata — przyjeżdża do obozu kino. Film tandetny, licha komedia „sportowa” — „Pierwsza rękawica”. Nuda. Ale z ekranu uparcie wbijają widzom do głowy następujący morał:

„Liczy się tylko wynik. A wyście przegrali”.

Śmiech na ekranie. Na widowni również się śmieją. Wychodząc z ciemnej sali na stojący w słońcu podwórzec, już zastanawiasz się nad tym morałem. Wieczorem myślisz o nim na swojej wagonetce. I w poniedziałek rano, na zbiórce przed wymarszem. I w ogóle — myślisz o nim ile i kiedy chcesz. Gdzie jeszcze mógłbyś tak się nad tym zastanawiać? I powoli robi ci się w głowie coraz jaśniej.

To nie jest żart. To myśl zaraźliwa. Już dawno zaszczepiono ją naszym ludziom, ale wciąż sączą im ją w uszy. Przeświadczenie, że ważne są tylko materialne rezultaty, tak bardzo wżarło się w nas, że gdy — na przykład — jakiś Tuchaczewski, Jagoda, czy Zinowiew ogłoszony zostaje zdrajcą i obcym agentem, to ludzie tylko wzdychają i powtarzają raz po raz: „Czego mu jeszcze brakowało?!”.

Oto nasz poziom moralny! Oto miarka etyczna! „Czego mu jeszcze brakowało?”. Miał przecież żarcia ile chciał, i dwadzieścia garniturów, i dwie dache, i auto, i samolot, i rozgłos — więc czego mu jeszcze było brak?! Miliony naszych współobywateli absolutnie nie mogą sobie wyobrazić aby człowiekiem (nie mówię tu akurat o tych trzech) mogło powodować jeszcze cokolwiek, prócz chęci zysku!

Do tego stopnia wszyscy przejęli się tą maksymą: „Tylko wynik jest ważny”.

Skąd to do nas?

Przede wszystkim — jest to echo sławy naszych sztandarów i tzw. „honoru ojczyzny”. Uciskaliśmy, batożyliśmy i wyrzynali wszystkich naszych sąsiadów, rozpychając się łokciami na mapie — i w ojczyźnie wszyscy byli coraz pewniejsi, że liczy się tylko wynik.

Następnie — to wpływ naszych Demidowów, Kabanich i Cybukinów. Zdobywali swoje bogactwa i drapali się w górę, nawet się nie oglądając komu właściwie obrywają uszy podszewkami — a pobożny niegdyś i prostoduszny lud coraz mocniej wierzył, że liczy się tylko wynik.

I wreszcie — to wpływ socjalistów wszelkiego autoramentu, a przede wszystkim — tych od najnowszej, nieomyślnej i apodyktycznej Doktryny, która w końcu do tego się sprowadza, że tylko wyniki się liczą! Najważniejsza rzecz — to utworzenie bojowej partii! zdobycie władzy! utrzymanie tej władzy! likwidacja jej przeciwników! zwiększenie produkcji żelaza i stali! konstrukcja pocisków rakietowych!

I chociaż dla tej produkcji i dla tych rakiet trzeba było poświęcić i wiekowe obyczaje, i całość rodziny, i zdrowie duchowe ludu, i samą duszę naszych pól, lasów i rzek — to nie warte splunięcia! Liczą się tylko wyniki!

Ale to nieprawda! Oto my, całymi latami harujący na wszechzwiązkowej katordze — powolnymi spiralami, rok po roku, wznosimy się aż do prawdziwego zrozumienia sensu życia i patrząc z tych wyżyn widzimy z całą jasnością: nie te wyniki się liczą, tylko moc DUCHA! Nie — *co* udało się osiągnąć, tylko *jak*, za jaką cenę?

Gdyby także dla nas, więźniów „miał liczyć się tylko wynik, to słuszna byłaby też maksyma: przerwać za wszelką cenę. A to znaczy: zostać szpiclem, wydać towarzyszy — i za to znaleźć sobie ciepły kąt, a może nawet dostać przedterminowe zwolnienie. W świetle Nieomyślnej Doktryny nie ma w tym zapewne nic złego. Przecież jeśli ktoś tak postąpi, to doczeka się pozytywnych rezultatów, a tylko rezultaty się liczą.

Nie przeczę: osiągnięcie pozytywnych wyników, to rzecz miła. Ale nie kosztem utraty godności ludzkiej.

Jeśli liczą się tylko wyniki — to należy wszystkie siły i myśli skupić tylko na tym, aby wykręcić się od robót ogólnych. Trzeba giąć kark, podlizywać się, płaszczyć się — ale utrzymać się za to na funkcji. I tym sposobem — ocaleć.

Jeśli zaś liczy się to, co naprawdę ważne — trzeba pogodzić się z harówką na ogólnych. Z łachmanami. Z pęcherzami na dło-

— sam nawet nie zdajesz sobie sprawy, — jak i na jakim etapie nieuchwytnego biegu czasu niewola sprawia, że zaczynają w tobie przebijać się kietki uczuć zupełnie odmiennej natury.

Byłeś niegdyś skrajnie niecierpliwy, wciąż się spieszyłeś i stale brak ci było czasu. Teraz masz go aż nadto, syt jesteś aż po dziurki w nosie tych miesięcy i lat — ubiegłych i przyszłych. I oto krążyć zaczyna w twoich żyłach błogi, uspokajający eliksir cierpliwości.

Idziesz pod górę...

Nigdy nikomu dawniej nie umiałeś wybaczyć, jednym potępiłeś bez litości — innych wynosiłeś pod niebiosy z tą samą krańcowością. Teraz zaś — wyrozumiałość stała się fundamentem twoich opinii, już wcale nie kategorycznych. Zrozumiałeś, że sam jesteś słaby, możesz więc teraz zrozumieć cudzą słabość. I mieć podziw dla cudzej odporności. I chcesz również być takim.

Kamienie staczają się przy każdym stąpieniu. Wspinamy się pod górę.

Pancerz wytrwałości narasta z biegiem lat na twoim sercu i na twojej skórze. Nie kwapisz się już do zadawania pytań, ani do odpowiedzi na nie, twój język stracił łątwą giętkość. Oczy twoje nie płoną radością, gdy słyszysz dobrą nowinę, ani nie mroczniejają, gdy nadejdzie zła.

Bo trzeba jeszcze sprawdzić, czy to aby pewne, i dobrze się rozejrzeć, gdzie tu radość, a gdzie nieszczęście.

Masz teraz nowe prawo życiowe: nie ciesz się, gdy coś znajdziesz i nie płacz, gdy zgubisz.

Dusza twoja, dawniej pełna oschłości, teraz nabrzmiewa sokami. Jeśli jeszcze nie *bliźnich*, po chrześcijańsku — to zaczynasz już teraz kochać *bliskich*.

Tych, bliskich ci duchem, którzy otaczają cię w niewoli. Iluż to z nas powtarza: właśnie za kratą poznaliśmy po raz pierwszy prawdziwą przyjaźń!

A także tych bliskich, twoich krewnych, co otaczali cię w dawnym życiu, co cię kochali, podczas gdyś ty ich tyranizował...

Oto wdzięczne i rozległe pole pracy duchowej: przemysł swoje dawne życie. Przypomnij sobie wszystkie swoje złe i wstydlive postęпки. Pomyśl, czy nie można ich teraz naprawić?

Owszem, wsadzono cię do więzienia bez powodu, nie musisz wcale kajać się przed państwem i jego kodeksami.

Ale przed własnym sumieniem? Ale przed poszczególnymi ludźmi?...

... Leżę po operacji na oddziale chirurgicznym szpitala obozo-

niach. Z mniejszym i nędzniejszym zuchelkiem chleba. I być może — z tym również, że trzeba umrzeć. Ale póki życia — trzeba z dumą prostować bolący grzbiet. I właśnie wtedy — kiedyś już przestał obawiać się gróźb i nie wypatrujesz nagród — stałeś się, człowiecze, najniebezpieczniejszym typem w oczach twoich gospodarzy. Bo nie ma na ciebie kija.

Zaczyna ci się nawet podobać noszenie trag ze śmieciami (owszem, owszem, ale nie z kamieniami!) i gwarzenie z tym, co idzie w parze, o wpływie filmu na literaturę. Lubisz już przycupnąć sobie na korycie, w którym była zaprawa i zapalić skręta pod ścianą, przez ciebie wzniesioną. I czujesz nawet pewną dumę, jeśli dziesiętnik przystanie, zerknie na twój murek, przyjrzy się cęglom i powie:

— Toś ty murował? Niezła robota.

Niepotrzebna ci wcale ta ściana i nie wierzysz zupełnie, że dzięki niej bliższe się stanie przyszłe szczęście ludu, ale — choć jesteś nieszczęsnym, obdartym rabem — uśmiechniesz się sam do siebie, siedząc tak obok swojego dzieła.

Córka starego anarchisty, Hala Benediktowa, pracowała w ambulatorium jako pielęgniarka, ale doszła do wniosku, że to *nie leczenie* — tylko ciepły kąpiel dla niej — i z przekory poszła na roboty ogólne, do łomu i łopaty. I podobno był to dla niej ratunek przed duchowym upadkiem.

Dobremu nawet suchar idzie na zdrowie, a złemu nawet mięso wędzide bokiem.

(Święta prawda, tylko co robić — jeśli suchara też brak?...).



Jeśli więc raz na zawsze wyrzekłeś się tego, aby „przetrwąć za wszelką cenę” i poszedłeś drogą, którą obierają ludzie spokojni i prości — niewola zaczyna w niezwykły sposób wpływać na twój dawny charakter. Zmiany idą w kierunku zupełnie nieoczekiwanym. Zdawałoby się — że powinny teraz pojawić się złe popędy, ślepa wściekłość człowieka skrzywionego w barani róg, bezprzedmiotowa nienawiść, rozdrażnienie, nerwowość<sup>6</sup>. Tymczasem

6. Dawni rewolucjoniści dostarczyli tu wielu przykładów. Serafimowicz w którymś z swoich opowiadań opisał taką komunę zesłańców. Bolszewik Olmiński pisze: „Gorycz i wściekłość — są to uczucia tak dobrze znane więźniowi, tak mu bliskie”. Wyładowywał złość na tych, co przychodzili na widzenie. Pisze, że stracił wszelką chęć do pracy. Ale przecież rosyjscy rewolucjoniści nie dostawali i nie odsiadali (na ogół biorąc) naprawdę dużych wyroków.

wego. Nie mogę się ruszyć, to gorączka, to dreszcze, ale nie mającę, mogę myśleć — i wdzięczny jestem doktorowi Borysowi Nikołajewiczowi Kornfeldowi, że usiadł obok mnie i że mówi do mnie przez cały wieczór. Światło jest zgaszone, aby nie razić oczu. Jesteśmy z nim sami w szpitalnej sali.

Długo, z wielkim przejęciem opowiada mi dzieje swojego nawrócenia: był wyznania mojżeszowego, został chrześcijaninem. Ten wykształcony człowiek nawrócił się za sprawą siedzącego z nim w jednej celi potulnego staruszka, kogoś w rodzaju Płatona Karatajewa z „Wojny i pokoju”. Jestem zaskoczony siłą przekonania, bijącą ze słów tego nowochrzczeńca.

Znamy się słabo, nie jestem jego pacjentem, ale nie ma chyba komu się zwierzyć. Jest to człowiek uprzejmy, miękkiego charakteru, nic złego nie wyczuwam w nim, ani o nim nie wiem. Jednakże — nieufność budzi fakt, że Kornfeld już od dwóch miesięcy nie wychodzi z baraku szpitalnego, że nie odrywa się od pracy lekarskiej i nie wytyka nawet nosa na teren obozu.

Znaczy to — że boi się, aby go nie zarżnięto. Od niedawna w naszym obozie weszło w modę zarzynanie donosicieli. Efekt to sprawiło nadzwyczajny. Ale kto może zaręczyć, że giną tylko donosiciele? Już jeden z zabitych padł na pewno ofiarą nikczemnych porachunków osobistych. I dlatego dobrowolne zamknięcie się Kornfelda w szpitalu wcale jeszcze nie dowodzi, że jest on szpiclem.

Już późno. Cały szpital śpi. Kornfeld tak kończy swoją opowieść:

— I wie pan, w ogóle przekonałem się, że żadna kara na tym świecie nie spada na nas niezastąpienie. Zdaje się czasem, że dosięgła nas wcale nie za to, cośmy naprawdę zawinili, ale jeśli człowiek przemyśli swoje życie i głębiej nad nim się zastanowi, to zawsze odnajdzie tę zbrodnię, za którą teraz spada nań cios.

Nie widzę jego twarzy. Przez okno przebija się tylko mżący odblask światła zony i widać żółtą, elektryczną płamę, tam gdzie są drzwi na korytarz. Ale w głosie jego tyle jest mistycznego jasnowidzenia, że aż się wzdrygam cały.

Są to ostatnie słowa Borysa Kornfelda. Bezszelestnie oddala się, kroczy przez nocny korytarz do jednej z sąsiednich sal i kładzie się tam spać. Wszyscy śpią, nie może więc już z nikim sobie porozmawiać. Ja też zasypiam.

Rano budzi mnie bieganina i ciężkie kroki na korytarzu: to sanitariusze niosą ciało Kornfelda na stół operacyjny. Ktoś zmiażdżył mu we śnie głowę ośmioma uderzeniami tynkarskiego młotka (zabija się u nas ludzi zwykle natychmiast po pobudce, kiedy



baraki już są odryglowane, ale nikt jeszcze nie wstał, każdemu żal się ruszyć). Umiera na operacyjnym stole, nie odzyskując przytomności.

Tak się złożyło, że prorocze słowa Kornfelda były jego słowami ostatnimi. A jako że mówił do mnie, słowa te stały się moją schedą. Brzemienia takiego spadku nie sposób pozbyć się jednym wzruszeniem ramion.

Ale sam już w tym czasie dojrzałem do podobnych poglądów. Skłonny byłem uznać słowa Kornfelda za powszechne prawo życia. Tu jednak łatwo zejść na manowce. Trzeba by konsekwentnie uznać, że ci, których ukarano jeszcze surowiej — rozstrzelani, spaleni na stosie — musieli być jakimiś superłotrami. (A tymczasem — właśnie niewinnych karze się najsurowiej i najskwapliwiej). I co wtedy rzec o naszych dręczycielach? Czemu to los nie mści się na *nich*? Czemu to im się tak dobrze wiedzie?

(Rozwiązać by można ten dylemat zakładając, że sens istnienia polega nie na zabieganiu o powodzenie i pomyślność, jak zwykliśmy uważać, ale na dążeniu do rozwoju duchowego. Z tego punktu widzenia nasi dręczyciele ukarani są najsurowiej w świecie: świnieją bowiem, stają się podludźmi. Z tego punktu widzenia kara spada na tych, którym przydać się może do rozwoju duchowego).

Ale jest jakiś sens nieodparty w ostatnich słowach Kornfelda, jest coś, co mogę *do siebie* odnieść w zupełności. I znajdzie się wielu, którzy tak samo je rozumieją.

W ciągu siedmiu lat za kratą dość dobrze przyjrzałem się własnej przeszłości i rozumiałem, *za co* to wszystko na mnie spada: i więzienie, i złośliwy guz na dodatek. I wcale bym się nie skarżył, gdyby nawet ta kara nie została uznana za wystarczającą.

Kara? Ale — kto ją wymierza?

No, pomyślcie chwilę — k t o ?

W tej samej izbie pooperacyjnej, z której Kornfeld wyszedł na spotkanie ze swoim zabójcą, leżałem jeszcze długo, w zupełnej samotności, w ciągu bezsennych nocy przesuwając w palcach wypadki mojego życia i nie mogąc się nadziwić jego zakrętom. Stosując obozowy chwyt, układałem swoje myśli w rymowane strofy, żeby ich nie zapomnieć. Najlepiej przytoczyłyby je teraz, tak jak powstały, na poduszce szpitalnej, podczas kiedy za oknami katorżniczy obóz dygotał po dopiero co przeżytych buncie.

*Kiedym zdążył te ziarna roztrwoić  
Tak do cna, tak do szczętu, na amen?*

*Przecież wiek mój ostaniał zielony  
Twoich świątyń stugłosy firmament.*

*Pył książkowy zaproszył mi oczy,  
Umysł butny mój szychem oślepił.  
Świat? Toć jest jak na dłoni widoczny!  
Los? W mym ręku jak wosk da się lepić!*

*Krew tętniła i tęcze w oddali  
W tym tętenie jaśniały goręcej.  
I już w proch bezszelestnie się zwałił  
W mojej piersi gmach wiary dziecięcej.*

*Ale dziś, kiedy ledwo się trzymam  
Na krawędzi niebytu i bytu,  
Mierzę oto wdzięcznymi oczyma  
Otcbań grozy i klęski przybytą.*

*Nie rozsądek mój, wola i plany  
Blask rzuciły na drogę tę krętą,  
Lecz Sens jasny, z wysoka zesłany,  
Który miałem odgadnąć nieprędko.*

*Dziś, gdym nabrał już wody tyk świeżej  
Z Twoich źródeł w usta oniemiałe —  
Panie świata! Oto znowu wierzę!  
Nawet w mym odstępstwie przy mnie stałeś...*

Patrząc wstecz, ujrzałem, że przez całe swoje świadome życie nie rozumiałem ani siebie samego, ani swoich dążeń. Przez długi czas uważałem za ratunek dla siebie to, co właśnie było moją zgubą i wciąż ciągnęło mnie nie tam, gdzie iść powinienem, tylko w zupełnie odwrotnym kierunku. Podobnie jednak jak morze zbija z nóg niedoświadczonego pływaka, obala go i uderzeniami fal wyrzuca na brzeg — tak samo mnie dotkliwie ciosy nieszczęść wyrzucały na stały ląd. I tylko w ten sposób mogłem dotrzeć do tej drogi, której zawsze szukałem.

Na swoim zgiętym, omal że nie przetrąconym grzbiecie wyniosłem jednak z głębi więziennych lat świadomość tego *jak* człowiek staje się zły, a *jak* dobry. Oszołomiony sukcesami, odniesionymi w młodości, uważałem się za istotę niezdolną do omyłek i dlatego stałem się okrutny. Gdy dano mi w ręce władzę — i to w nadmiarze — stałem się mordercą i zadawałem ludziom gwałt. Nawet gdy czyniłem zło, byłem przekonany, że

postępki moje są dobre i miałem na podorędziu bardzo logiczne dowody. Dopiero na zgniłej, więziennej słomie poczułem w sobie drgnienie dobra. Stopniowo pojąłem, że linia oddzielająca dobro od zła, przebiega nie między państwami, nie między klasami, nie między partiami — tylko przecina każde ludzkie serce, nie omijając żadnego. Jest to linia ruchoma i z upływem lat jej bieg zmienia się w nas samych. Nawet w sercu omotanym przez zło, linia ta odgradza maleńki przyczółek dobra. Nawet w najlepszym sercu — niewykorzenione zło zachowuje swój kącik. Od tego czasu stała się jasna dla mnie zasadność wszystkich religii świata: walczą one z *pierwiastkiem zła w człowieku* (w każdym człowieku). Nie sposób oczyścić świata z wszelkiego zła, ale można w każdym człowieku zmniejszyć obszar jego władania. Od tego czasu stał się także dla mnie jasny fałsz wszystkich rewolucji w dziejach: niszczą one tylko współczesnych im *nosicieli zła* (a w ogólnym zamieszanu — również nosicieli dobra) — samo zaś zło, jeszcze bujniej rozrosło, biorąc sobie w spadku.

Do zasług XX wieku należy zaliczyć Proces Norymberski: niszczył on samą złą ideję — bardzo niewielu zarażonych nią ludzi likwidując przy tej okazji (oczywiście, nie jest to zasługa Stalina, już by on tam wolał mniej gadania, za to więcej egzekucji). Jeżeli na progu XX wieku ludzkość nie wysadzi się sama w powietrze, ani się nie zadusi — może ten kierunek zwycięży?...

Jeśli nie odniesie sukcesu — to cała historia ludzkości sprowadzi się do dreptania w miejscu, bez treści i sensu! Dokąd to ciągniemy i po co? Bić wroga pałą? To umiał już człowiek jaskiniowy.

„Poznaj samego siebie”! Nic tak nie sprzyja przebudzeniu w nas zdolności do rozumienia innych, jak szarpiące duszę rozmyślanie nad własnymi przestępstwami, błędami i przeoczeniami. Takie myśli zapadły we mnie jak w wodę, niejedną już rok rozchodzą się po niej kręgi. I gdy ktoś mówi mi teraz o nieczułości naszych wyższych urzędników, o srogości naszych katów — wystarczy, że przypomnę sobie samego siebie z kapitańskimi epoletami i przemarsz mojej baterii przez Prusy Wschodnie, ogarnięte ogniem, aby powiedzieć:

— A bo to myśmy byli lepsi?

Jeśli ktoś w mojej obecności grzmi przeciw ustępliwości Zachodu, jego politycznej krótkowzroczności, rozbiciu i dezorientacji — odpowiadam:

— A czy my, przed pójściem na Archipelag — byliśmy bardziej zwarci? silniejsi duchem?

Oto dlaczego powracam do lat, gdym siedział za kratą i powiadam, wprawiając często w zdumienie ludzi, którzy mnie otaczają:

— BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONE WIĘZIENIE!

Miał rację Lew Tołstoj *marząc* o tym, aby znaleźć się w więzieniu. W którejś chwili ten gigant zaczął usychać. Więzienie było mu istotnie potrzebne, jak ulewa wysychającej glebie.

Wszyscy literaci, którzy pisali o więzieniach, ale sami nigdy w nich nie siedzieli — uważali że mają obowiązek manifestować współczucie do uwięzionych, więzienia zaś — przeklinać. Sporo się tam nasiedziałem, dusza moja tam się ukształtowała i oto powiadam stanowczo:

— BŁOGOSŁAWIONE BĄDŹ WIĘZIENIE, za to żeś było w moim życiu!

(A z głębi mogli dochodzić mnie odpowiedzi — Dobrze ci gadać, skoroś życie zachował!).

## Rozdział drugi

### C Z Y W D Ó Ł ?

Ale już mi ktoś przerywa: znów pan mówi o *czym innym!* Pan znów o tym więzieniu! A miała być mowa o *obozie*.

Zdawało mi się, że o obozie też była mowa. No dobrze, tu przerwę. Czas na parę uwag z innej beczki. Niejeden z tych, którzy przeszli przez obóz, odpowie mi, że nie widział żadnego „marszu pod górę”, że to banialuki, natomiast deprawację, zepsucie — spotykał na każdym kroku.

Dosadniej i dobitniej niż inni (bo już to wszystko napisał czarno na białym) mógłby sprzeciwić się moim tezom Szalamow:

„Ludziom w obozie nigdy nie udaje się zachować ludzkiego oblicza, obozy stworzono nie po to”.

„Wszystkie ludzkie uczucia — miłość, przyjaźń, zawiść, miłość bliźniego, pragnienie sławy, rzetelność — uszły z nas w miarę, jak ubywało tkanki mięśniowej... Nie było już w nas śladu dumy, ambicji, a zazdrość i pasja wydawały się nam pojęciami z Marsa rodem... Pozostała tylko zapiekła złość — najbardziej niezniszczalne z ludzkich uczuć”.

„Zrozumieliśmy, że prawda i kłamstwo — to rodzeństwo”.

„Nędza z biedą nie pozwalają narodzić się przyjaźni. Jeśli zadziergnęła się przyjaźń między ludźmi — to znaczy, że warunki życia nie były jeszcze wystarczająco trudne. Jeśli ludzie zbliżyli się do siebie w nędzy, w biedzie — to znaczy, że nie były one jeszcze skrajne. Rozpacz nie dość jest jeszcze ostra i głęboka, jeśli można się nią podzielić z przyjaciółmi”.

Szałamow godzi się na jedno tylko ustępstwo: *w więzieniu* ludzie mogą uszlachetniać się, pogłębiać i rozwinąć wewnętrznie. Natomiast:

„... obóz — jest anty-szkolą życia w sposób absolutny, bez żadnej reszty. Nikt nie wyniesie z tej szkoły niczego potrzebnego, ani pożytecznego. Więzień ćwiczy się tam w sztuce lizusostwa, kłamstwa, podłości wszelkiego rodzaju... Gdy wróci do domu, przekona się, iż nie tylko nie rozwinął się podczas pobytu w obozie, ale że jego zainteresowania stały się ubogie i prymitywne”.

Eugenia Ginzburg wprowadza podobne rozróżnienia: „Więzienie uszlachetniało ludzi, obóz ich deprawował”.

Trudno temu zaprzeczyć.

W więzieniu (w celach pojedynczych, ale również w zwykłych) człowiek wstępuje w zapasy z nieszczęściem, które nań spadło. Jest wielkie, jak góra, ale musi on uporać się z jego ogromem, przetrwać je w sobie, oswoić się z nim i z sobą samym, złamanym przez niedolę. Jest to najwyższy rodzaj wysiłku moralnego, który zawsze uszlachetniał każdego<sup>2</sup>. Pojedynek z latami i murami — to zarówno praca moralna, jak droga wzwyż (oczywiście, jeżeli człowiek jej trudom podoła). Jeśli masz w ciągu tych lat towarzysza, to nie musisz umierać po to, aby mógł on żyć, a on też nie musi ginąć, abyś ty żył dalej. Otwiera się przed wami nie możliwość konfliktu, lecz wzajemnej pomocy i wspólnego rozwoju duchowego.

W obozie zaś wcale takich możliwości nie widać. Chleb nie jest rozdawany po równu, tylko rzucony na kupę — łapaj! tratuj sąsiadów i wyrywaj im z rąk! Chleba wydaje się tylko tyle, aby na każdego kto przetrwał, przypadał jeden umarły, albo i dwóch. Chleb wisi na sośnie musisz ją zrębać. Chleb leży na dnie kopalni — włóż w głąb i tam go szukaj. Gdzie tu czas na rozmyślenia

---

1. Za czynnik ucisku i deprawacji człowieka w obozie Szałamow uważa również jego „długoletnią zależność od obcej woli, od cudzych postanowień”. Ale ten czynnik wolałbym wyprowadzić poza nawias: po pierwsze dlatego, że to samo można powiedzieć o wielu ludziach, żyjących poza obozem (nie licząc tego obszaru drobnych działań i decyzji, które podejmować może również więzień), po drugie dlatego, że fatalistyczny charakter, który nieuchronnie staje się atrybutem mieszkańca Archipelagu, nie mającego własnych przeznaczeń i niezdolnego do wpływania na nie — raczej go uszlachetnia i uwalnia od ulegania złudom.

2. I jak interesujący stają się ludzie w więzieniu! Znam takich, którzy po wyjściu na wolność okazali się bezbarwnymi nudziarzami — a w celi nie sposób było oderwać się od rozmów z nimi.

o swojej niedoli, o przeszłości i przyszłości, o ludzkości i o Bogu? Głowę ma człowiek zajęta mizernymi kalkulacjami, które dziś przesłaniają całe niebo, a jutro — już funta kłaków nie będą warte.

*Nienawidzisz* pracy — ona jest głównym twoim wrogiem. *Nienawidzisz* otaczających cię ludzi — to konkurenci w walce na życie i śmierć<sup>3</sup>. *Zadręcza* cię nieustająca *zawiść* i obawa, że właśnie w tej chwili, gdzieś za twoimi plecami, ktoś dzieli ten chleb, który mógł być twoim, że gdzieś za ścianą ktoś wyławia z kotła kartofel, który mógł trafić do twojej miski.

Układ życia obozowego jest taki, że *zawiść* wciąż kęsa duszę, nawet zupełnie od niej wolną. *Zawiść* rozciąga się i na wysokość wyroków, i na sprawy związane ze zwolnieniem. Jest rok 1945 i my, Pięćdziesiątka Ósemka, odprowadzamy do wrót obozu pospolitaków (wypuszczanych na podstawie amnestii stalinowskiej). Co czujemy w stosunku do nich? Cieszymy się może wraz z nimi, że idą do domu? Nie, czujemy *zawiść*, bo to niesprawiedliwość, że ich się puszcza wolno, a nas trzyma dalej. Taki W. Własow, który dostał *dwudziestaka*, przez pierwsze dziesięć lat siedzi spokojnie — bo kto w ogóle siedzi mniej? Ale w latach 1947-48 wielu kolegów wychodzi na wolność — i Własowa ogarnia *zawiść*. Denerwuje się i *zadręcza*, bo dlaczego właśnie on dostał *dwudziestaka*? Jak ciężko mu odsiadywać tę drugą dychę! (Nie pytałem go, ale tak sobie myślę: gdy ci wczorajsi zwolnieni zaczęli wracać do obozu jako *repetenci* — czy się aby wtedy uspokoił?). A znów w latach 1955-56 zaczynają masowo wypuszczać Pięćdziesiątkę Ósemkę, natomiast pospolitacy siedzą dalej. Co czują oni? Satysfakcję, że sprawiedliwości stało się zadość, że męczennicy tego Artykułu, po czterdziestu latach bezustannych prześladowań, nareszcie doczekali się zmiłowania? Nie, wszędzie tliła się *zawiść* (świadczy o tym wiele listów, które dostałem w 1963 roku) „wypuszczono na wolność 'wrogów, stokroć gorszych od nas, kryminalnych', a my — wciąż siedzimy. Za co?...”.

Wciąż dławi człowieka *strach*: żeby nie spaść poniżej tego nędznego poziomu, na który zdołał się wgramolić, żeby nie utracić roboty, jeszcze nie najcięższej, żeby nie szurnięto go na etap, żeby nie posłano do zony karnej. A jeszcze człowieka pierze każdy, kto od niego silniejszy, albo on sam leje tego, kto jest od niego słabszy. Czy to nie deprawacja? Stary więzień A. Ru-

---

3. P. Jakubowicz: „Prawie każdy katorżnik nienawidzi swoich towarzyszy niedoli”. A przecież w tych czasach nie trzeba było współzawodniczyć o prawo do życia.



bajło nazywa *liszajem duchowym* to szybkie parszywienie człowieka pod wpływem zewnętrznych nacisków.

I jakże tu wyszlachetnić, kiedy i gdzie to możliwe — przy tym nateżeniu złości, wśród tych małostkowych kombinacji?

Czechow — jeszcze przed powstaniem naszych Obozów Pracy Poprawczej — dostrzegł i nazwał po imieniu objawy rozkładu moralnego na Sachalinie. Pisze z całą słusnością: przywary więźniów — są skutkiem niewoli, zależności, strachu i stałego niedojadania. Oto te przywary: kłamliwość, przewrotność, tchórzostwo, brak charakteru, skłonność do delatorstwa i złodziejstwa. Doświadczenie nauczyło skazańców, że w walce o byt oszustwo jest środkiem najskuteczniejszym.

Czy nie spotykamy tego u nas w dziesięciokrotnie większym wymiarze?... Czy nie lepiej wobec tego zaprzestać bajania o jakimś rzekomym obozowym „wyszlachteniu” i opisać za to setki, tysiące wypadków autentycznej deprawacji? Przytoczyć przykłady świadczące, że nikt nie potrafi odeprzeć argumentów obozowej filozofii, streszczonej przez Jaskkę-dyspozytora z Dżezkaganu tak oto: „Im więcej robisz ludziom świństw, tym bardziej cię szanują”. Opowiedzieć jak żołnierze, jeszcze niedawno walczący na froncie (Krasław — 1942 r.), ledwie tylko łyknęli trochę knajackiego powietrza — szybkoitko się podciągnęli i sami zabrali się do *kantowania*: ograbiali Litwinów, aby nabijać brzuchy ich prowiątem, chodzić w ich rzeczach, a tamci niech sobie zdychają, bo frajerzy! Jak niektórzy własowcy zaczęli *zgrywać się na złodziei*, przekonawszy się, że tylko w ten sposób można poradzić sobie w obozie. Opowiedzieć o tym docencie literatury, który został w obozie pachanem knajaków. Stwierdzić z podziwem, jak zaraźliwa jest ta ideologia obozowa, analizując choćby przypadek Czulpieniewa. Czulpieniew wytrzymał siedem lat przy robocie w lesie, został znakomitym drwalem, ale w końcu złamał nogę, znalazł się w szpitalu i wtedy zaproponowano mu awans na dyspozytora. Nie musiał tego robić, zostało mu jeszcze dwa i pół roku do końca kary i doskonale mógł je spędzić jako doświadczony drwal, kierownictwo dbało o niego — ale jak tu odeprzeć taką pokusę? Przecież obozowa filozofia każe brać, kiedy dają! Został więc Czulpieniew dyspozytorem — tylko na sześć miesięcy — ale były to najciemniejsze, najbardziej niespokojne i najprzykrzejsze miesiące całej jego odsiadki. (Dawno już odsiedział swoje i o sosnach mówi teraz z pobłażliwym uśmiechem — ale wciąż tłoczą mu serce wspomnienia o tych, których przypawił o śmierć, goniąc do roboty. Był wśród nich dwumetrowy Łotysz, kapitan żeglugi dalekomorskiej — nie on jeden zresztą...).

Jak bujnie rozrósć się może „liszaj duchowy” wśród więźniów, jeśli ktoś świadomie ich podjudza!

W 1951 roku, w Unzłagu, niejaka Mojsiejewajte, już niepełna rozumu (ale wciąż prowadzona do roboty pod konwojem), nie zwracając uwagi na kordon eskorty, poszła „do mamy”. Schwytano ją z punktu, przywiązano pod wartownią do słupa i obwieszczono, że za „ucieczkę” cały obóz pozbawiony zostaje wolnej niedzieli w najbliższym tygodniu (jest to chwyt stale stosowany). Wracające z pracy brygady opluwały więc przywiązaną do słupa kobietę, ten i ów bił ją nawet, wrzeszcząc: „Przez ciebie, wywłoko, straciliśmy wolny dzień!”. Mojsiejewajte uśmiechała się z rozzewnieniem.

A ile deprawacji płynie z tego demokratycznego i postępowego „pełnienia służby wartowniczej we własnym zakresie”, proklamowanego jeszcze w 1918 roku, a zwanego u nas — *samoochroną*? Przecież to jedno z głównych koryt, którymi spływają do obozu pomyje demoralizacji: powołać więźnia do samoochrony! Zwalono cię z nóg, ukarano, wyrwano spośród ludzi — ale nie chcesz być na samym dnie? Chcesz jeszcze pochodzić sobie z karabinem, wynieść się nad innych? Wziąć pod obcas własnego brata? Masz tu karabin! A jeśli kto zacznie uciekać — to strzelaj! Będziemy cię nawet za to zwać *towarzyszem*, damy ci za to wojskowy przydział.

Więc już się pyszni. Już ściska łożo karabinu skwapliwą, rabuską łapą. I strzela. I surowszy jest od innych strażników, tych wolnych. (Czy działa tu kurza, ślepa wiara w „spontaniczną dynamikę odruchów socjalnych”? Czy zimne, pogardliwe wyrachowanie, przekonanie, że w człowieku liczą się przede wszystkim najniższe instynkty?).

Gdybyż to tylko chodziło o samoochronę! Również aparat nadzoru, aparat ucisku oddawano w ręce samych więźniów: w latach trzydziestych wszyscy — aż do komendantów OŁP włącznie rekrutowali się z byłych więźniów. I szef transportu. I szef produkcji. (Jak mogło być inaczej, jeśli 37 czekistów przypadało na 100 tysięcy zeków Kanału Białomorskiego?). Ależ nawet *pełnomocnikami operacyjnymi* bywali eks-więźniowie!! Nie sposób posunąć się dalej: prowadzić dochodzenia przeciw własnym towarzyszom niedoli! Werbować szpiclów przeciw sobie samym!

A tak, tak. Ale nie będę tu rozpatrywał tych niezliczonych przykładów deprawacji. Znane są wszystkim, były i jeszcze będą przedmiotem niejednego opisu. Wystarczy, jeśli przyznam, że tak właśnie było. To była linia generalna, reguła.

Po cóż mówić o każdym domu oddzielnie: gdy nadchodzą mrozy to się wyziębia. Istnieje zjawisko ciekawsze: są domy, z których ciepło nie ucieka nawet podczas mrozów.

Szałamow powiada: wszyscy, którzy siedzieli w obozach, są duchowo zubożeni. Ja zaś co przypomnę sobie (albo spotkam) jakiegoś byłego zeka — widzę, że to figura niepowszednia.

Sam Szałamow pisze w innym miejscu: toć nie zostanę donosicielem! toć nie przyjmę funkcji brygadzysty, żeby innych zmuszać do roboty.

A czemu nie, panie Warłamie? Czemuż to nie chce pan zostać ani kapusiem, ani brygadzystą, skoro nikt w obozie nie może pono uniknąć tego zjazdu po równi pochyłej? Skoro prawda i kłamstwo — to rodzeństwo? Był zatem jakiś sęk, którego zdołał się pan ucześcić? Był jakiś kamień, na którym potrafił pan oprzeć nogę i uratować się przed dalszym spadaniem? Może zapiekła złość nie jest jednak najbardziej niezniszczalnym z ludzkich uczuć? Czy pański własny przykład i pańskie utwory nie są żywym zaprzeczeniem całej tej pańskiej koncepcji<sup>4</sup>?

A jak bytują w obozie (już nieraz wspominaliśmy o nich) ludzie naprawdę religijni? Obok postaci w tej książce opisanych, kroczą oni bez trwogi i wahań, przeciągając przez cały Archipelag jak procesja z niewidzialnymi gromnicami. Padają szeregiem, jak od serii z cekaemu, nowy szereg wyrasta na tym miejscu i wciąż dalej kroczy. Determinacja, jakiej nie znał dotąd wiek XX-ty! I nie ma w tym ani pozy, ani deklamacji. Oto macie staruszkę, zwą ją Dusia Czmił. Twarz ma krągłą, nigdy nie traci spokoju, niepiśmienna. Wywołuje ją konwojent.

— Czmił! Z jakiego artykułu?

Starucha odpowiada dobrotliwie, bez cienia złości:

— No i po co te pytania, ojcaszku? Toć tam już napisano, ja wszystkiego nie spamiętam. (Ma cały bukiet paragrafów artykułu 58).

— Jaki wyrok?!

Staruszka wzdycha. Nie dlatego odpowiada tak nieporadnie, aby drażnić konwojenta. W prostocie ducha sama zamyśla się nad tym pytaniem: jaki wyrok, ile lat? A bo to ludzie mogą w ogóle wiedzieć takie rzeczy?

---

4. Niestety — zdecydował się tej koncepcji nie negować... Postanowił kontynuować dyskusję — może przez przekorę... 23. II. 1972 roku zamieścił w *Literaturnej Gazietie* następujące oświadczenie (i po cóż to zapieranie się, skoro minęło już zagrożenie): „Problematyka 'Opowiadań Kołymyjskich' dawno skreślona została z porządku dnia dzisiejszego”. Oświadczenie wydrukowane było w ramce żałobnej i w ten sposób dowiedzieliśmy się, że Szałamow zmarł. (Uwaga z 1972 roku).

— Ile lat?!... Póty będę siedzieć, póki Pan Bóg wszystkich grzechów nie odpuści.

— Ciemna masa! — śmieje się konwojent. — Dostałaś piętnaście lat i spokojnie odsiedzisz wszystkie, a może nawet więcej!

Ale oto mija jeszcze dwa i pół roku, Dusia żadnych podań nie pisze — i nagle przychodzi papierek, żeby ją puścić wolno!

Jak tym ludziom nie pozazdrościć? Siedzą może w bardziej sprzyjających warunkach? Bynajmniej! Wiadomo, że „mniszki” posyłano z reguły do karnych podobozów i trzymano razem z prostytutkami i knajczkami. A tymczasem — kto z ludzi więzjących uległ deprawacji? Ginęli jak muchy, owszem. Ale nie pozwalali się zeszmacić.

A jak wytłumaczyć, że niektórzy ludzie chwiejnego charakteru właśnie w obozie nawracali się, umacniali się w wierze — i jakoś doczekiwali się zwolnienia, nie płacąc za to demoralizacją?

Jest wielu takich, co — w rozproszeniu, bez hałasu — dochodzą do tego punktu zwrotnego i nie żałują potem swojego wyboru. To ci, którzy dążą zdać sobie sprawę, że nie im jednym jest źle, że tuż obok są ludzie, którym jest jeszcze gorzej, jeszcze ciężiej.

A ci wszyscy, co — nie bacząc na groźące kary, karcery, powtórne wyroki — nie chcieli zostać szpiclami?

Jak w ogóle wytłumaczyć przypadek Grzegorza Iwanowicza Grigoriewa, gleboznawcy? Uczony ten w 1941 roku wstąpił ochotniczo do pospolitego ruszenia; dalszy ciąg streścić nie trudno — dostał się do niewoli pod Wiaźmą. Przez całą wojnę siedział w niemieckim obozie. Co dalej — to też wiadomo: teraz nasi wsadzili go do obozu. Dostał dychę. Poznałem go zimą na robotach ogólnych w Ekibastuzie. Jego duże, spokojne oczy jaśniały prawością, isticie nieugiętą prawością. Człowiek ten nigdy nie potrafił ugiąć się duchowo — w obozie również nie dał się złamać, chociaż w ciągu tych lat dziesięciu tylko przez dwa lata pracował w swoim fachu i przez cały prawie czas nie dostawał paczek. Szpicowano go ze wszystkich stron obozową filozofią, obozową zgnilizną, ale po prostu nie był w stanie przyswoić jej sobie. W Kiemerowskim zespole obozów (Antibess) usiłował go zwerbować pewien natarczywy oper. Grigoriew zbył go w końcu zupełnie szczerą odpowiedzią: „Rozmowy z wami budzą we mnie obrzydzenie. Obejdziecie się beze mnie, jest dosyć kandydatów”. — „Jeszcze przyjdiesz tu na czworakach, wywłoko!” — „To już lepiej powieszę się na pierwszym sęku”. Posłano więc go do zony karnej. Wytrzymał tam pół roku. Dopuszczał się zresztą

o wiele gorszych *pomyłek*: gdy posłano go do karnej kolonii rolnej, odrzucił proponowane mu (jako gleboznawcy) stanowisko brygadzisty! — kosił natomiast i plewił z zapalem. Zdolny był do jeszcze większych głupstw: w Ekibastuzie, w kamieniołomach nie zgodził się na prowadzenie sprawozdawczości — tylko dlatego, że musiałby wpisywać do sprawozdań wszelką lipę, aby dogodzić robociarzom, za co później mógłby odpowiadać (co zresztą wcale nie było pewne) wiecznie zalany, wolny dziesiętnik. I poszedł łupać kamienie! Jego monstrualna, nadprzyrodzona uczciwość przybierała takie rozmiary, że pracując w składzie ziemiołódów przy magazynowaniu kartofli — nie ukradł ani jednego ziemniaka, chociaż cała brygada kradła. Gdy dostał dobry przydział do brygady warsztatów mechanicznych, gdzie pracować miał przy instrumentach kontrolnych stacji pomp — zrezygnował z tej pracy tylko dlatego, że nie chciał prac skarpetek wolnemu kierownikowi robót, niezonatemu świszczypale, nazwiskiem Trejbisz (koledzy z brygady perswadowali mu: nie wszystko ci jedno, jaką robotę odwalasz? Otóż nie, nie było mu wszystko jedno!). Ileż to razy decydował się na los gorszy i cięższy — byle by tylko nie mieć sobie nic do zarzucenia! — i nic zarzucić sobie nie mógł, jestem tego świadkiem. Więcej nawet: wpływ jasnego, nieskazitelnego ducha na ciało tego człowieka (teraz nikt nie wierzy w możliwość takiego wpływu, nikt tego nie rozumie) — sprawił, że organizm niemłodego (miał lat koło 50-ciu) Grzegorza Iwanowicza nabrał w obozie krzepy: gdzieś zapodział się zupełnie nękający go od dawna gościec stawowy, a szczególnie poprawił się, gdy zdołał się wygrzebać z tyfusu; zimą chadzał w papierowych workach, w których porobił sobie dziury na głowę i ręce — i ani razu się nie przeziębził!

Czy nie lepiej więc powiedzieć, że żaden obóz nie potrafi zeszmacić tego, kto ma już ustalone zasady; oczywiście jak najdalej od żalostnej ideologii, sprowadzającej się do maksymy — „człowiek stworzony jest dla szczęścia”, którą wybić może byle dziesiętnik pierwszym uderzeniem pałki?

Podlegają w obozie deprawacji ci, którzy już wcześniej nie mieli przy duszy żadnych zasad moralnych i żadnych nauk etycznych nie pobierali. (Nie jest to założenie teoretyczne, bynajmniej; w ciągu naszego pełnego chwały pięćdziesięciolecia wyrosły miliony takich ludzi).

Dają się w obozie zeszmacić ci, którzy już na wolności byli szmatami, albo mieli ku temu wszelkie predyspozycje. Bo ludzie

na wolności też są deprawowani, nie gorzej czasem niż w obozie.

Dowódca konwoju, który kazał nieszczęsną Mojsiejewajkę postawić pod pręgierz — czy nie gorszą jest szmatą, niż więźniowie, którzy pluli na przywiązaną do słupa kobietę?

A zresztą: czy aby wszyscy na nią pluli? Może w każdej brygadzie tylko po dwóch ludzi? Chyba na pewno tak było.

Tatiana Falike pisze: „Obserwując ludzi, przekonałam się, że nikt nie mógł stać się nikczemnikiem w obozie, jeśli nie był nim już przedtem”.

Jeśli ktoś w obozie bardzo prędko nikczemnieje, to, być może, nie tyle nędznikiem się staje, ile odstania się nagle cała jego wewnętrzna nędza, która wcześniej nie znajdowała po prostu pola do popisu?

M. A. Wojczenko wygłasza taką opinię: „W obozie byt wcale nie określał świadomości, przeciwnie — od stopnia świadomości i niewzruszonej wiary w sens ludzkiego istnienia zależało, czy ktoś stanie się bestią, czy też pozostanie człowiekiem”.

Jest to pogląd kategoryczny, stanowczy, ale nie tylko Wojczenko tak myśli. Malarz Iwaszew-Musatow z dużym przekonaniem broni podobnej opinii.

Owszem — deprawacja była w obozie zjawiskiem masowym. Ale nie tylko dlatego, że obozy były instytucją tak okropną, lecz również dlatego, że my, ludzie sowieccy, przybywaliśmy na Archipelag rozbrojeni, bez oręża duchowego, dawno już podkopani wewnętrznie, jeszcze na wolności tknięci rozkładem, i od razu zaczęliśmy nadstawiać ucha, gdy starzy więźniowie jęli udzielać nam pouczeń „jak żyć w obozie”.

A jak żyć trzeba (i jak trzeba umierać) — to powinniśmy wiedzieć bez żadnych tam obozów.

I może, panie Warłamie, przyjaźń rodzi się wśród ludzi nawet w biedzie i nędzy, ba, nawet na samym dnie — tylko nie wśród takich oschłych i wstrętnych ludzi jak my, wychowankowie naszej epoki?

Jeśli rozkład moralny jest aż tak nieunikniony to dlaczego Olga Sliozberg nie opuściła swojej przyjaciółki, zamarzającej na leśnej ścieżce, tylko została z nią na pewną prawie zgubę — i w końcu ją uratowała? Czy nie działa się to na dnie nędzy?

Jeśli rozkład moralny aż tak jest nieuchronny, to skąd wziął się taki Wasilij Mefodiewicz Jakowienko? Odsiedział dwa wyroki po kolei, wyszedł właśnie z obozu i mieszkał sobie jako wolniak w Workucie. Dopiero co zaczął raczkować bez konwoju i ścielić sobie pierwsze gniazdko. Rok 1949. W zagłębiu workuckim zaczynają się znów aresztowania byłych zeków. Każdemu wlepia się automatycznie nowy wyrok. Narasta psychoza aresz-

towań! Panika wśród wolniaków! Jak się ratować? Co robić, żeby nie podpaść? Ale oto zostaje aresztowany J. D. Grodziński, przyjaciel Jakowienki z czasów, gdy siedzieli w tym samym workuckim obozie. Śledztwo doprowadza go do takiego wyczerpania, że lada chwila może skonać, od nikogo nie dostaje paczek. I nieustraszony Jakowienko zaczyna nosić mu paczki. Chcecie zreć, psy, to bierzcie również mnie!

Dlaczego *ten* człowiek nie dał się zeszmacić?

A czy wszyscy, co ocalili nie zachowali w pamięci tego właśnie, który w obozie podał im pomocną dłoń i poratował w ciężkiej chwili?

Owszem, obozy założone zostały po to, aby deprawować, co nie znaczy, że *każdego* udało się stłamsić.

Procesom utlenienia towarzyszą w przyrodzie zawsze procesy odwrotne (jedno ciało rdza pożera, inne od niej oczyszcza się w tym samym czasie). Podobnie w obozie (zresztą — w ogóle w życiu) jedni nikczemnieją, inni szlachetnieją. Są to procesy równoległe.

W części następnej uda mi się może jeszcze opowiedzieć, jak w innych obozach Specjalnych, w którymś momencie wytworzyło się zupełnie nowe *pole sił*: proces deprawacji natrafił na znaczne przeszkody, natomiast proces odwrotny zyskał na atrakcyjności i nawet obozowi sprzedawczycy pragnęli zyskać opinię przyzwoitych ludzi.



Dobrze, a co tam słyhać z *poprawą*? Jak tam idzie proces poprawy? („Poprawa” jest to pojęcie z języka urzędowej socjotechniki, które bynajmniej nie odpowiada pojęciu wyszlachetnienia, doskonalenia się). Wszystkie teorie penitencjarne świata (nasza nie stanowi tu wyjątku), pełne są rojeń o tym, aby zbrodniarz nie tylko odsiadywał karę, lecz również — by się poprawił. Chodzi więc o to, aby nie zasiadł po raz drugi na ławie oskarżonych, zwłaszcza — z tego samego artykułu<sup>5</sup>.

Dostojewski woła wielkim głosem: „Czy katorga kiedykolwiek uczyniła kogoś lepszym?”.

Ideał poprawy przyświecał również rosyjskiemu prawodawstwu po reformie 1861 roku (cały „Sachalin” Czechowa stoi pod znakiem tego ideału), ale czy dał się on zrealizować?

---

5. Pięćdziesiątki Ósemki nigdy zresztą nie starano się skłonić do „poprawy”, tzn. — nikomu nie zależało, by drugi raz nie trafiła do więzienia. Przytaczaliśmy już szczerze wypowiedzi uczonych *ciupoznauców* na ten temat. Pięćdziesiątkę Ósemkę chciano z pomocą pracy unicestwić. A że niektórym z nas udało się przetrwać — to już była nasza twórczość samorodna.



P. Jakubowicz nie ma!o rozmyślał poświęcił tej kwestii i twierdzi, że terrorystyczny reżym katorgi skłania do „poprawy” tylko ludzi niezepsutych, ale ci i tak niezdolni byliby do popełnienia przestępstwa po raz wtóry. Człowieka zaś zepsutego reżym ten tylko bardziej deprawuje, uczy chytryści, dwulicowości i sztuki zacierania śladów.

Cóż tu mówić o naszych Obozach Pracy Poprawczej? Teoretycy więziennictwa (*Gefängniskunde*) zawsze uważali, że uwięzienie nie powinno doprowadzać skazanego do zupełnej rozpacz, powinno natomiast zostawiać mu jakąś nadzieję i wskazywać na możliwość wyjścia z matni. Czytelnik przekonał się już, że nasze obozy pracy poprawczej doprowadzały więźniów tylko do zupełnej desperacji.

Czechow twierdził słusznie: „Możność zajrzenia w głąb samego siebie — oto co naprawdę niezbędne jest dla poprawy”. Ale właśnie możności takiej milczącej autopenetracji najbardziej obawiali się u więźniów organizatorzy naszych obozów. Ogólne baraki, brygady, kolektywy produkcyjne — właśnie po to były stworzone, aby odstręczyć ludzi od tego niebezpiecznego zajęcia, aby przeszkodzić im.

O jakiej w ogóle poprawie tu mowa! W naszych obozach tylko ludzi się psuje: uczą się knajackiej, złodziejskiej moralności, przyswajają sobie bezwzględne, obozowe obyczaje, akceptując je jako powszechnie obowiązujące zasady życiowe (obóz jest zatem, żeby użyć języka teoretyków więziennictwa — *locus criminogenicus*, szkołą zbrodni).

I. G. Pisariew piszący do mnie (w roku 1963) w chwili, gdy odsiedział prawie całą swoją długą karę, tak mówi: „Szczególnie ciężko robi się na myśl, że człowiek wyjdzie stąd jako monstrum, nieuleczalnie chore nerwowo, ze zdrowiem bezpowrotnie pokopanym na skutek niedojadania i ciągłego szczucia. Tu ludzie podlegają ostatecznemu zepsuciu. Jeśli ktoś przed rozprawą nawet do konia mówił łagodnie i z szacunkiem, to teraz jest patentowanym chamem i łotrem. Gdy na kogoś przez siedem lat wołano „świnia” — to nie ma co się dziwić, że teraz kwiczy... Jeszcze pierwszy rok więzienia jest dla przestępcy jakąś karą, pozostałe — budzą w nim tylko zawziętość. Facet przystosowuje się do miejscowych warunków, i to wszystko. Długoletnie wyroki i w ogóle bezwzględność naszych praw obracają się bardziej przeciw rodzinie przestępcy, niż przeciw niemu samemu”.

A oto inny list. „Okropna to i bolesna rzecz zakończyć życie, gdy nic się jeszcze nie widziało i niczego nie dokonało i gdy nikogo twój los nie obchodzi — prócz jednej tylko matki, która całe życie będzie na ciebie czekać”.

A oto słowa Aleksandra Kuźmicza K., który miał w życiu sporo czasu do namysłu (pisze w roku 1963):

„Rozstrzelanie zamieniono mi na 20 lat katorgi, ale słowo honoru, nie uważam tego za żadne dobrodziejstwo... Poznałem na własnej skórze i kościach te 'błędy i wypaczenia', o których teraz tak miłe się prowadzi rozmowy — i wiem, że ani odrobinę nie są one lepsze od Majdanka i Oświęcimia. Jak odróżnić brudny fałsz od prawdy? Mordercę od wychowawcy? Prawo od bezprawia? kata od patrioty? — jeśli awansuje, był lejtnantem, a jest już podpułkownikiem i bączka na czapce ma prawie takiego jak te, które noszono przed rokiem 17-tym?... Jakże mam teraz — wychodząc z za krat, po 18-tu latach odsiadki — zorientować się w tych wszystkich zawiłościach?... Zazdroszczę wam, ludziom wykształconym, obdarzonym giętkością umysłu, tym, którzy nie muszą długo łamać sobie głowy, aby wiedzieć, jaką drogę obrać i jak przystosować się do sytuacji, czego zresztą *jakoś wcale mi się nie chce*”.

Bardzo ważne to słowa: „jakoś wcale mi się nie chce”! Skoro wychodzi na wolność — w takim stanie ducha — to czy poddać się deprawacji?... A jeśli nie — to czy dokonana się w nim *poprawa* w urzędowym sensie tego słowa? Bynajmniej. Dla władzy jest to człowiek stracony — bo cóż to on mówi: było zupełnie jak w Oświęcimiu i bączek też zupełnie ten sam.

Owej „poprawy”, o którą tak dba (?) nasza władza, nigdy nie potrafi ona osiągnąć, posyłając ludzi do obozów. „Absolwenci” obozów uczą się też cynizmu — w stosunku do apeli władzy, do praw przez nią ustanowionych i do obietnic przez nią składanych.

A co, jeśli dany człowiek wcale *poprawiać* się nie musi? Jeśli w ogóle nie jest przestępcą? Jeśli siedzi za to, że modlił się do Boga, że dawał wyraz myślom niezależnym, albo znalazł się w niewoli, albo za ojca, albo po prostu — na zasadzie planowej branki — co takiemu człowiekowi dadzą obozy?

Czechow cytuje takie słowa sachalińskiego inspektora więziennego: „Jeżeli koniec końców wśród stu skazańców, opuszczających katorgę, znajdzie się jakichś piętnastu-dwudziestu porządnym ludzi, to jest w tym zasługa nie tyle metod wychowawczych, które tu stosujemy, ile naszych rosyjskich sądów, przysyłających na katorgę tak znaczny odsetek przyzwoitych, zacnych ludzi”.

Cóż, można to spostrzeżenie zastosować do Archipelagu, pod warunkiem że odsetek przybywających tu bez żadnej własnej winy

podniesiemy do, powiedzmy, 80-ciu — i jeśli nie zapomnimy, że w naszych obozach wzrósł również współczynnik demoralizacji.

Gdybyśmy mówić mogli nie o maszynie do mięsa, obliczonej na miliony niepożądanych obywateli, nie o kloace, do której wrzuca się ludzi bez żadnej litości dla własnego narodu — tylko o poważnym systemie penitencjarnym, to nawet wtedy musieliśmy zacząć od rozstrzygnięcia jednej z najtrudniejszych w świecie kwestii: jak można ferować jednakowe, standartowe wyroki na podstawie ujednoczonego kodeksu karnego? Przecież te — *równe* co do wymiaru — kary, aplikowane ludziom *różniącym się* tak bardzo, przyzwoitym i zepsutym, subtelnym i ordynarnym, wykształconym i niewykształconym — stają się dzięki temu karami zupełnie *nierównymi*, niesprawiedliwymi (por. liczne uwagi Dostojewskiego w jego „Zapiskach z domu umarłych”).

Prawnicy angielscy zrozumieli to; w Anglii mówi się teraz (nie wiem, jakie się z tego wyciąga praktyczne wnioski), że wymiar kary powinien być w należnym stosunku nie tylko do popełnionego przestępstwa, lecz również — do osobowości każdego przestępcy.

Na przykład utrata wolności — dla człowieka o bogatym życiu wewnętrznym — jest czymś łatwiejszym do zniesienia, niż dla kogoś niewykształconego, trudniącego się pracą fizyczną i stale będącego w ruchu. Temu drugiemu „bardziej brak bodźców zewnętrznych, i instynkty ciągną go na wolność z większą siłą” (Jakubowicz). Ten pierwszy łatwiej wytrzyma nawet w izolatce, zwłaszcza — jeśli ma książki. (Ach, jak niektórzy z nas marzyli o zamianie obozu na taką izolatkę! Ciało cierpi z powodu ciasnoty, ale jakież przestrzenie otwierają się przed umysłem i duszą! Mikołaj Morozow nie wyróżniał się niczym ani *przed*, ani — co dziwniejsza! — po wyjściu z za krat. Tymczasem więzienna samotność pozwoliła mu przeniknąć tajemnicę planetarnej budowy atomu i wysunąć hipotezę, dotyczącą różnicy ładunków elektrycznych jądra atomowego i elektronów — i to dziesięć lat przed Rutherfordem! Ale na m nie dość, że nie proponowano ołówków, papieru i książek — lecz jeszcze odbierano ostatnie ogryzki). Drugi z tych ludzi być może nawet roku nie wytrzyma w pojedynczej celi, opłynie jak świeca, zadreńczy się. Musi mieć jakiegoś kompana, byle kogo, ale musi! Dla pierwszego zaś z nich — niemiłe towarzystwo jest czymś gorszym od samotności. Za to obóz (jeśli jest w nim co do jedzenia) dla drugiego z tych ludzi jest o wiele znośniejszy, niż dla pierwszego. I nawet barak na czterystu ludzi, gdzie wszyscy wrzeszczą, plotą bzdury, grają w

karty i w domino, rechoczą i chrapią, gdzie wszystko to zagłusza jeszcze swoim dudnieniem niestrudzone radio, którego programy są obliczone na matolek. (Obozy, w których siedziałem, *karane* były w ten sposób, że wyłączano w nich radio! Cóż to było za błogosławieństwo!).

Tak oto właśnie system obozów, oparty na przekraczającej ludzkie siły pracy fizycznej i zmuszający więźniów do poniżającego przebywania wśród nigdy nie milnącego tłumu, okazał się o wiele bardziej skutecznym sposobem wytrzebienia inteligencji, niż system więzienny. Właśnie inteligencję system ten likwidował szybko i bez reszty.

## Rozdział trzeci

### W O L N Y   K R A J

Nawet gdy zostanie już napisane, przeczytane i zrozumiane wszystko, co można było rzec o ważniejszych problemach Archipelagu GUŁag — nie wiadomo jeszcze, czy dla każdego będzie jasne, czym właściwie była w o l n a reszta naszego kraju? Czym był w istocie ten kraj, który przez dziesiątki lat dźwigał w bebach narodził Archipelagu?

Sam musiałem przez dłuższy czas nosić we wnętrzościach guz wielkości sporej pięści męskiej. Narodził ta sprawa, że brzuch wzdął mi się i wykrzywił, przeszkadzała mi w jedzeniu i spaniu, ani chwili nie przestawałem o niej myśleć (choć nie stanowiła nawet pół procentu masy mego ciała, Archipelag zaś obejmował nie mniej, niż 8 % naszego kraju). Ale nie to było najgorsze, że guz uciskał sąsiednie organy i zmieniał ich położenie, najstraszniejsze było to, że zatrzymywał cały organizm, sącząc weń jad.

Podobnie kraj nasz zatruty został stopniowo miazmatami Archipelagu. Czy kiedykolwiek ich się pozbędzie — Bóg raczy wiedzieć.

Czy potrafimy i czy *ośmielimy* się kiedykolwiek opisać całe to paskudztwo, wśród którego musieliśmy wieść życie (nie tak bardzo zresztą różniące się od dzisiejszego)? Trzeba pokazać je w całej ohydzie — wszelkie niedomówienie byłoby kłamstwem. Dlatego jestem zdania, że w latach trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych *literatury u nas nie było*. Bo bez całej prawdy — nie ma literatury. Dziś to paskudztwo pokazywane jest zgodnie z wymogami bieżącej mody — poprzez aluzje, dwuznaczne wtręty, marginalne przypisy, dozowanie odcieni — co znowu daje w wyniku fałsz.

Nie należy to do zadań tej książki, ale spróbujmy po krótko

wyliczyć owe cechy charakterystyczne życia *na wolności*, które pojawiły się w nim drogą przerwania z Archipelagu, albo składały się na wspólny dla Wysp i Łądu styl, sposób bycia.

1) WSZECHOBECNY STRACH. Jak już się czytelnik przekonał, nie tylko rok 35-ty, 37-my, czy 49-ty były latami *branki*, masowych wywózek na Archipelag. Branka trwała *nieustannie*. Podobnie, jak nie ma takiej minuty, w której by ktoś nie umarł, albo nie narodził się — tak samo nie było minuty bez aresztowań. Czasem człowiek ocierał się wręcz o ten proces, czasami — wszystko odbywało się gdzieś poza nim; niekiedy człowiek sam sobie wmawiał, że nic mu nie grozi, niekiedy zaś sam stawał się oprawcą, dzięki czemu niebezpieczeństwo oddalało się nieco — ale każdy dorosły obywatel tego kraju, od kołchoźnika do członków Biura Politycznego włącznie, zawsze zdawał sobie sprawę, że wystarczy jedno nieostrożne słowo, albo posunięcie, aby znaleźć się na dnie przepaści, skąd nie ma powrotu. Na Archipelagu każdy prominent sprawuje swoją funkcję na progu otchłani robót ogólnych (a nie na progu zagłady). Każdy obywatel tego kraju żyje na progu otchłani Archipelagu (a więc — na progu zagłady). Zapewne, kraina nasza jest o wiele większa, niż Archipelag — ale cała ona, wraz ze wszystkimi mieszkańcami, zawisała niejako nad rozdziawioną jego paszczą.

Strach — nie zawsze oznacza obawę aresztowania. Wiele tu stopni pośrednich: czystka, kontrola, wypełnianie kwestionariuszy — przewidziane w planie, albo nadprogramowe, zwolnienie z pracy, odmowa meldunku, wysiedlenie, albo zesłanie<sup>1</sup>. Kwestionariusze ankiet zredagowane były w sposób tak drobiazgowy i wnikliwy, że wpędzały większość obywateli w kompleks winy. Ludzie nieustannie zadreżczali się myślą, że zbliża się kolejny termin wypełnienia ankiety personalnej. Kto już raz upiększył sobie życiorys, ten musiał później nieustannie dokładać starań, aby nie poplątać danych. Ale niebezpieczeństwo mogło zjawić się zupełnie nieoczekiwanie: syn Własowa (tego ze wsi Kadyj) Igor, pisał niezmiennie w życiorysach, że ojciec nie żyje. W ten sposób udało mu się nawet wstąpić do szkoły wojskowej. Ni stąd ni z owąd został jednak wezwany do złożenia w ciągu trzech dni zaświadczenia o śmierci ojca.. I co miał począć?

1. Dodajmy takie mniej znane formy, jak wyrzucenie z partii, usunięcie z pracy i przymusowe skierowanie do pracy w administracji obozowej. W 1938 roku był w ten sposób zmuszony do objęcia stanowiska Stiepan Grigoriewicz Onczuł. Zrozumiałe, że nie miano do takich pracowników żadnego zaufania. Podczas wojny wzięto go do batalionów pracy, gdzie Onczuł zmarł.

Suma tych lęków wytwarzała w ludziach poczucie znikomości własnej i braku jakichkolwiek *praw*. W listopadzie 1938 roku Natasza Aniczkowa dowiedziała się, że człowiek, którego kochała (mąż, tyle że małżeństwo ich nie było zarejestrowane) aresztowany został w mieście Oriet. Więc tam pojechała. Ogromny plac przed więzieniem zapchany był chłopskimi wozami, siedziały na nich baby w łapciach i kabatach, hołubiąc paczki z żywnością, których nikt od nich nie przyjmował. Aniczkowa przebiła się aż do okienka w strasznym, więziennym murze. — Kim jesteście, obywatelko? — zapytano ją surowo. Powiedziała i takiej doczekała się odpowiedzi: — Słuchajcie więc, towarzyszeko z Moskwy. Daję wam dobrą *radę*: jeszcze dziś wyjeżdżajcie stąd, bo inaczej w nocy *po was przyjdą!* — Cudzoziemiec nie wszystko tu potrafiłby zrozumieć: dlaczego zamiast rzeczowej odpowiedzi czekista udziela kobiecie nieproszonych rad? jakie ma prawo domagać się, aby wolna obywatelka natychmiast sobie gdzieś jechała? i któż to taki *przyjdzie* i po co? — ale każdy obywatel sowiecki skłamałby, mówiąc, że czegoś tu nie rozumie, albo że to nieprawdopodobne. Po otrzymaniu takiej odpowiedzi strach bierze na myśl o zostaniu na noc w obcym mieście.

Słusznie powiada Nadieżda Mandelsztam: nasze życie tak przesiąknięte duchem więzienia, że najprostsze, wieloznaczne z natury słowa, takie, jak „wzięto go”, „wsadzono”, „siedzi”, „wypuszczono” nawet bez wszelkiego kontekstu rozumiane są przez wszystkich jednakowo i jednoznacznie!

Uczucie beztroski nigdy naszym obywatelom nie było znane.

2) POCZUCIE UBEZWŁASNOWIENIA. PRZYMUS. Gdyby można było bez trudu zmieniać miejsce zamieszkania, wyjeżdżać z miejscowości, gdzie grozi człowiekowi niebezpieczeństwo i w ten sposób opędzić się od strachu, odetchnąć świeżym powietrzem! — ludzie poczynaliby sobie odważniej, gotowi byliby podjąć jakieś ryzyko. Ale przez długie dziesięciolecia żyliśmy w jarzmie — bo żaden człowiek pracy nie mógł z własnej inicjatywy porzucić swego zakładu. Obowiązek meldunku przykuwał go do miejsca pobytu. A ponadto — jak łańcuchem związany był z mieszkaniem, którego nie sposób ani sprzedać, ani zamienić, ani wynająć. Dlatego właśnie uchodził za szaleństwo każdy protest w miejscu zamieszkania, albo pracy.

3) SKRYTOŚĆ. NIEUFNOŚĆ. Uczucia te zastąpiły dawną otwartość, życzliwość, gościnność (których w latach dwudziestych nie zdołano jeszcze wytrzebić). Był to zresztą jedyny sposób



obrony każdej rodziny i każdej jednostki, zwłaszcza tam, gdzie nikt nie mógł znikąd samowolnie wyjechać, czy zwolnić się z pracy, a każda bagatelka całe lata była na widoku — i na podsłuchu. Skrytość ludzi sowieckich wcale nie jest przesadna, jest po prostu życiowo konieczna, chociaż cudzoziemcom może się czasem wydawać cechą nieludzką. Były oficer carski K.U. tylko dlatego ocalał i nigdy nie siedział, bo własnej żonie nie opowiedział o swej przeszłości. Aresztowany został za to jego brat, N.U., którego żona, wykorzystując fakt, że w chwili uwięzienia mieszkali oni w rozmaitych miastach, ukryła tę wiadomość przed własnym ojcem i siostrą, aby ci się przypadkiem nie wygadali. Wołała im oznajmić i rozpowiedzieć wszystkim wokół, że mąż ją porzucił. Grała później tę rolę latami. Są to sekrety z dziejów jednej tylko rodziny; stały się wiadome dopiero teraz, po upływie trzydziestu lat.

A jakież dom rodzinny w naszych miastach nie ukrył podobnych tajemnic?

W 1949 roku aresztowano ojca jednej z koleżanek studenta W.I. W takich wypadkach unikano zwykle krewnych aresztowanego jak zapowietrzonych, uchodziło to za rzecz naturalną. W.I. nie odstrychnął się jednak, otwarcie okazywał dziewczynie współczucie, szukając sposobu, aby jej pomóc. Zaskoczona i przestraszona tak niezwykłą postawą, dziewczyna odrzuciła pomoc i współczucie W.I., wmawiając mu, że nie wierzy w niewinność i szczerość aresztowanego ojca. Twierdziła, że ukrywał z pewnością swoje zbrodnie przed własną rodziną. (Dopiero za czasów Chruszczowa doszło między nimi do spotkania i rozmowy: okazało się, że dziewczyna była w owym czasie przekonana, iż W.I. albo jest szpiclem, albo członkiem organizacji antysowieckiej, szukającej niezadowolonych, aby ich zwerbować).

Ta powszechna nieufność i podejrzliwość pogłębiała wspólną mogiłę niewoli. Gdy tylko ktoś zaczynał śmiało i szczerze wypowiadać swoje myśli — wszyscy wpadali w popłoch: — prowokacja! W ten sposób każdy uczciwy głos protestu skazany był na izolację i brak wszelkiego echa.

4) IGNORANCJA POWSZECHNA. DEZINFORMACJA. Ukrywając się przed sobą wzajem i nie ufając sobie — samiśmy sprawili, że zakorzeniła się wśród nas ta absolutna *niejawność*, *kompletna* dezinformacja, która jest *praprzączywą* wszystkiego, co się u nas wydarzyło — i wielomilionowych aresztowań, i masowej aprobaty, z którą się spotkały. Nic sobie wzajem nie komunikując, nie wołając o pomstę do nieba, nie ośmielając się wydać jęku, nie dowiadując się niczego od innych — wydaliśmy się

sami na pastwę gazet i oratorów z urzędu. Dzień w dzień podsuwano nam pod nos coś, co miało nas podbechtać — na przykład fotografię katastrofy kolejowej, spowodowanej pono przez sabotażystów — hen, pięć tysięcy kilometrów stąd. A tego, co powinniśmy byli wiedzieć koniecznie i co działo się na naszej klatce schodowej — znikąd nie mogliśmy się dowiedzieć.

Jak można stać się prawdziwym obywatelem, nic nie wiedząc o dookolnym życiu? Dowie się tego człowiek dopiero po nie-wczasie, gdy sam znajdzie się w potrzasku.

5) DONOSICIELSTWO — niewiarygodnych wręcz rozmiarów. Setki tysięcy pełnomocników operacyjnych — w swoich gabinetach służbowych, i w skromnych pokoikach rozmaitych budynków biurowych, i w zamaskowanych mieszkaniach kontaktowych, nie żałując papieru i własnego jałowego czasu — zajmowały się niestrudzenie werbunkiem donosicieli. Kazano im składać tak niesłychane ilości raportów, że nie sposób tego było uzasadnić samą tylko potrzebą zbierania informacji. Werbowano nawet ludzi, o których z góry było wiadomo, że są niepotrzebni i że nie nadają się do tej roboty, namawiano takich, o których dobrze wiedziano, że się nie zgodzą — na przykład żonę zmarłego w obozie prezbitera baptystów, Nikitina, kobietę wierzącą. Mimo to, po kilka godzin z rzędu przesłuchiowano ją, nie pozwalając się ani na chwilę, zamykano w areszcie, albo poddawano szykanom, przenosząc w fabryce na gorsze stanowisko, do cięższej pracy.

Jednym z celów tak masowego werbunku było niechybnie stworzenie sytuacji, w której każdy poddany musiałby czuć na karku sapanie kanałów informacyjnych. Chodziło o to, aby w każdym towarzystwie, w każdym pokoju biurowym, w każdym mieszkaniu albo siedział szpicel, albo panowało przekonanie, że już tu siedzi.

Oceniając rzecz w sposób nieco pobieżny, w przybliżeniu — możemy jednak przyjąć, że z każdego czterech-pięciu mieszkańców miast *jeden* przynajmniej raz w życiu spotkał się z propozycją podjęcia się tajnej służby donosicielskiej. Może nawet procent był większy. W ostatnich czasach próbowałem przeprowadzić sondaż zarówno wśród byłych więźniów, jak pośród niepokalanych wolniaków: pytałem prosto z mostu — kogo, kiedy i w jaki sposób próbowano zwerbować. Okazywało się czasem, że *wszyscy* siedzący przy stole taką propozycję w swoim czasie otrzymali!

Nadieżda Mandelsztam twierdzi z całą słusnością: proceder

ten miał służyć nie tylko osłabieniu stosunków międzyludzkich; chodziło również o inny cel — ci, którzy skapitulowali, obawiając się kompromitacji i zdemaskowania, zainteresowani byli w trwałości istniejących porządków.

Zimne macki nieufności poczuł na sobie cały naród — wciśnięty się one między kolegów z pracy, starych przyjaciół, studentów, żołnierzy, sąsiadów, szperały wśród dzieci i podrostków — nawet w poczekalni NKWD, wśród żon, przybyłych z paczkami dla uwięzionych mężów.

6) ZAPRZAŃSTWO JAKO SPOSÓB BYCIA. Drząc bezustannie przez wiele lat i o siebie i o swoją rodzinę, człowiek staje się lennikiem strachu, bezwolnym jego poddanym. I codzienne zaprzaństwo wydaje mu się najmniej niebezpiecznym sposobem bycia. Najłagodniejsza, ale za to najbardziej rozpowszechniona forma zaprzaństwa polega na tym, aby — nie czyniąc samemu zła — nie dostrzegać tych, co giną w zasięgu ręki, nie pomóc im, odwrócić się tyłem, podkulić ogon. Aresztowano, dajmy na to, twojego sąsiada, kolegę z pracy, a nawet — twego bliskiego przyjaciela. A ty milczysz, udajesz, żeś nic nie widział (nie wolno ci przecież utracić obecnego stanowiska!). Albo, powiedzmy, na zebraniu ogólnym podaje się do wiadomości, że towarzysz, którego od wczoraj brak, okazał się zawziętym wrogiem ludu. I oto ty, któryś razem z nim przez dwadzieścia lat garbił się przy jednym biurku musisz teraz wykazać się dostojnym milczeniem (albo nawet oskarżycielską mową), aby dać dowód, jak obca ci jest jego zbrodnicza postawa (musisz ponieść tę ofiarę dla dobra twoich najdroższych, dla twojej ukochanej rodziny! Jakie masz prawo nie pamiętać w tej chwili o nich?). Ale są jeszcze na wolności — żona, matka, dzieci aresztowanego, więc może im chociaż spróbujesz pomóc? O nie, to niebezpieczne: przecież to żona *wroga*, i matka wroga, i wraże dzieci (a twoje dziatki muszą jeszcze długo się kształcić)!

Gdy inżynier Palczyński został aresztowany, jego żona, Nina, tak pisała do wdowy po Krapotkinie: „Pozostałam bez żadnych środków do życia, nikt mi niczym nie pomógł, wszyscy mnie unikają, boją się... Teraz się przekonałam, jakich mieliśmy przyjaciół. Wyjątki są bardzo nieliczne”.

Kto dał schronienie przestępcy — jest wrogiem nie mniejszym niż on! Ten, kto mu pomaga — jest takim samym wrogiem. Kto nie zerwał z nim przyjaźni — też jest wrogiem. Więc

---

2. List z 16. 2. 1929 roku, dział manuskryptów biblioteki im. Lenina, zbiór nr 41, arkusz 5, nr ew. 24.

telefon zapowietrzonej rodziny milknie. Poczta więcej nie nadchodzi. Na ulicy nikt ich nie poznaje, nikt nie podaje ręki, nikt nie skinie głową. Co dopiero mówić o zapraszaniu w gości. I pieniędzy nikt im nie pożyczy. W kipieli wielkiego miasta ci ludzie czują się, jakby mieszkali na pustyni.

A Stalinowi w to graj! Uśmiecha się tylko pod czarnym od szuwaksu wąsem!

Członek Akademii Nauk, Sergiusz Wawilow, gdy już mu genialnego brata zamordowano w NKWD, przyjął lokajską prezesurę. (Wąsaty figlarz celowo tak się naigrawał; bawiło go wystawianie na próbę ludzkiego serca). Aleksy Tołstoj, sowiecki hrabia, nie dość, że unikał odwiedzin u rodziny swojego represjonowanego brata, ale z ostrożności nawet jej nie wspomagał pieniądze. Leonid Leonow zabronił swojej żonie widywania się z bliskimi jej aresztowanego brata, znanego niegdyś wydawcy, S. M. Sabasznikowa. A legendarny Dymitrow, lew groźny z procesu lipskiego, zaparł się i zdradził swoich przyjaciół Popowa i Tanewa, nie próbując ich ratować, gdy — uwolnieni od kary przez faszystowski sąd — dostali na sowieckiej już ziemi po 15 latkach „za zamach na towarzysza Dymitrowa” (odsiadywali karę w Krasławgu).

Wiadomo w jakiej sytuacji znajdowały się rodziny aresztowanych. W. J. Kawieszan z Kaługi tak pisze: po aresztowaniu ojca wszyscy nas unikali, jak trędowatych, musiałem zaprzestać chodzenia do szkoły — *koledzy mnie zaszczuli* (rośnie nowe pokolenie zdrajców! Rosną oprawcy!) — mamę wyrzucono z pracy. Trzeba było ratować się żebraniną.

Rodzinę pewnego mieszkańca Moskwy, aresztowanego w 1937 roku — matkę z kilkorgiem dzieci — milicjanci odwieźli na dworzec, skąd represjonowani mieli jechać na zesłanie. I oto gdy już byli na dworcu, jeden z chłopaczków, ośmioletni, nagle zniknął. Milicjanci szukali do siódmych potów, ale nie potrafili go znaleźć. Rodzina pojechała więc na zesłanie bez chłopczyka. Okazało się, że dał nurka pod czerwone sukno, którym pokryty był wysoki trójnóg z popiersiem Stalina i że przesiedział w ukryciu, czekając, aż niebezpieczeństwo minie. Później wrócił do domu, ale zastał już plomby na drzwiach mieszkania. Zakołatał więc do drzwi sąsiadów, znajomych, przyjaciół tatusia i mamy — ale nikt z nich nie przyjął chłopaczka, ba, nikt nie zaprosił go nawet na nocleg. Sam więc zgłosił się do sierocińca... Ziomkowie! Współobywatele! poznajecie wasze świńskie ryje?

To wszystko składa się na obraz najłagodniejszej formy zaprzaństwa, jest to jego pierwszy stopień — mowa o tych, co się

tylko *odżegnali*. A ileż to jeszcze jest tych stopni, jakież one atrakcyjne i jak wielu ludzi stoczyło się po nich? Czy ci, którzy wyrzucili matkę Kaweszana z pracy — nie wyparli się ludzkich uczuć? czy spełnili swój najprostszy obowiązek? A ci, którzy na telefoniczne żądanie opera posłali Nikitinę do czarnej roboty, żeby prędzej się ugięła i została donosicielką? Albo ci redaktorzy, którzy pośpiesznie wyrzucali ze szpalt imię aresztowanego wczoraj pisarza?

Oto symbol tej epoki — marszałek Bluecher: siedział jak puchacz w prezydium trybunału, który sądził Tuchaczewskiego (zresztą Tuchaczewski chyba tak samo był zasiadał). Ledwie rozstrzelano Tuchaczewskiego — ukręcono z kolei łeb Bluecherowi.

Albo ci znakomici lekarze, profesorowie Winogradow i Szereszewski. Pamiętamy, że zginęli jako ofiary podłych kalumnii w 1952 roku — ale przecież w 1936 roku uświęcili swoimi podpisami stek tak samo podłych kalumnii, które usprawiedliwić miały wyrok, wydany na ich kolegów, profesorów Pletniewa i Lewina\*. (Władca zaprawiał się w sztuce konstruowania wątków i w tresurze dusz).

Ludzie żyli w polu magnetycznym zaprzaństwa — i wynajdywali najbardziej przekonujące argumenty, aby je usprawiedliwić. W roku 1937 pewna para małżeńska z dnia na dzień oczekiwała aresztowania, bo żona pochodziła z Polski. Umówili się więc, że mąż złoży donos na żonę profilaktycznie, nie czekając na wizytę milicji. Kobieta aresztowana, on zaś „oczyścił” się w oczach NKWD i został na wolności. — W tym samym przesławnym roku stary weteran carskiej katorgi Adolf Mieźow, idąc do więzienia oznajmił ukochanej swojej córce — jedynaczce, Izabelli, co następuje: „Gotowi byliśmy oddać życie za władzę sowiecką — niech więc nikt nie ciągnie korzyści z twojej krzywdy. Wstąp do komsomołu!”. Wyrok sądowy nie pozbawił Mieźowa prawa korespondencji, ale komsomoł zażądał, aby Izabella jej nie prowadziła — i w zgodzie z ojcowskim wiatykiem duchowym — córka ojca się wyparła.

Ileż było wtedy takich aktów *odcięcia się!* — ustnych, albo składanych na piśmie: „Ja, taki, a taki, z dniem takim, a takim odcinam się od ojca i matki, jako wrogów ludu sowieckiego”. Takim kosztem kupowano sobie prawo do życia.

Kto nie żył w tych czasach (albo — kto nie zna z doświadczenia dzisiejszych Chin) nie potrafi chyba zrozumieć i wybaczyć tego ludziom. W przeciętnym społeczeństwie człowiek może do-

\* Wybitni interniści, oskarżeni o zamordowanie Gorkiego i jego syna.

czekać się swoich sześćdziesięciu lat, nigdy nie wpadając w potrzask takiego wyboru. O tym, że należy do ludzi przyzwoitych, przekonany jest zarówno on sam, jak ci, którzy przemawiać będą nad jego grobem. Człowiek rozstaje się z życiem, nie wiedząc nawet jak głęboka jest studnia zła, do której mógł wpaść.

Masowe zepsucie moralne przeżera społeczeństwo nie od razu. Jeszcze w ciągu całych lat dwudziestych i na początku trzydziestych wielu naszych ludzi zachowywało pojęcia i przymioty duszy, nabyte w dawnym społeczeństwie — wiedzieli oni, że trzeba pomóc cierpiącym biedę, wstawić się za prześladowanymi. Jeszcze w roku 1933 Mikołaj Wawilow i profesor Mejer interweniowali otwarcie w sprawie wszystkich aresztowanych naukowców z instytutu W.I.R. Istnieje pewien minimalny okres, niezbędny dla dojrzewania procesów rozpadowych i nawet najpotężniejszy Aparat nie da sobie rady z narodem w krótszym czasie. Długość tego okresu zależy od wieku tych uparciuchów, którzy jeszcze nie zdiadzieli. Dla Rosji okazało się konieczne całe dwudziestolecie. W republikach bałtyckich przeprowadzono masowe aresztowania w 1949 roku, sądząc, że dla rozkładu tych społeczeństw wystarczy 5-6 lat, co okazało się okresem zbyt krótkim — i dlatego rodziny represjonowanych spotykały się tam z objawami solidarności ze wszystkich stron. (Istniała zresztą przyczyna dodatkowa, dzięki której opór w tych krajach nabierał dodatkowej mocy: prześladowania o charakterze socjalnym przybierały formę ucisku narodowego, a w takich wypadkach ludzie zawsze bronią się zacieklej).

Mówiąc poprzednio o randze roku 1937 w dziejach Archipelagu — nie daliśmy mu palmy pierwszeństwa. Ale mówiąc o jego znaczeniu dla reszty kraju — musimy przyznać mu ową rdzawą koronę zdrady: trzeba stwierdzić, że właśnie ten rok złamał kręgosłup duchowy naszego wolnego społeczeństwa i sprawił, że zgnilizna rozpleniła się już bez przeszkód.

Ale nawet to nie oznaczało jeszcze końca naszych więzi społecznych (jak dziś to widzimy — koniec nie nastąpił nigdy; żywa niteczka tradycji rosyjskiej nie urwała się, dotrwała do lepszych czasów, do roku 1956, a teraz już tym bardziej nie da się zniszczyć). Opór nie był jawny, jego przejawy nie rozjaśniły mroków epoki powszechnej prostracji, ale tętnił przecież, tętnił i tętnił w niedostępnych oku, niezliczonych ciepłych żyłkach.

W tych strasznych czasach, kiedy w popłochu i w ukryciu palono najmiłsze fotografie, najcenniejsze listy i pamiątki, kiedy byle pozółtki papierek w rodzinnej szufladzie nagle zakwitał ognistym zieleńmiem zagłady i sam nieomal ulatywał do pieca — ileż męstwa trzeba było, ileż tysięcy i tysięcy bezsennych nocy, aby

nie spalić, aby zachować w całości archiwa skazańców (na przykład ojca Florenskiego), czy ludzi uznanych za odszczepieńców (jak filozof Fiodorow)! Jak bardzo buntowniczą, antysowiecką i ostrą wydawać się musiała wtedy opowieść Lidii Czukowskiej „Zofia Pietrowna”! A jednak Izydor Glikin przechował ją. W oblężonym Leningradzie, czując już tchnienie śmierci, powlókł się z jednego krańca miasta na drugi, aby odnieść manuskrypt siostrze i w ten sposób uratować go.

Każde czynne przeciwstawienie się władzy wymagało męstwa zupełnie niewspółmiernego ze znaczeniem takiego uczynku. Łatwiej było za czasów Aleksandra II przechowywać w domu dynamit, niż za czasów Stalina dać przytułek sierocie, dziecku wroga ludu. Mimo to, ileż takich dzieci znalazło schronienie i ratunek (niech same o tym opowiedzą)! Pomagano ukradkiem rodzinom represjonowanych. I ktoś przecież zastępował żonę aresztowanego w beznadziejnej, trzydniowej kolejce — aby mogła ogrzać się i pospać trochę. I ktoś tam jeszcze — biegł z biciem serca, aby dać znać, że w mieszkaniu — kocioł i że nie ma co wracać do domu. A jeszcze ktoś — pozwalał zbiegowi przenocować, sam tej nocy oka nie mrużąc.

Już wspominaliśmy o tych, którzy ośmielili się nie głosować za karą śmierci dla Prompartii. A byli też na Archipelagu ludzie, co trafili tam za obronę swoich skromnych, anonimowych kolegów i współpracowników. Niedaleko pada jabłko od jabłoni: syn owego Rozańskiego, Iwan, również padł ofiarą represji — za obronę kolegi z pracy, Kopielewa. Na zebraniu partyjnym w leningradzkim Dietgizie\* M. M. Meisner poprosił o głos i wziął w obronę tzw. „pisarzy-szkodników, zatruwających dziecięcę duszę”. Z punktu został wyrzucony z partii i aresztowany. I wiedział przecież, czym ryzykuje<sup>3</sup>!

W cenzurze wojskowej (Riazań, 1941 r.) młoda cenzorka podarła bardzo kompromitujący list zupełnie nieznanego jej żołnierza frontowego — ale została zauważona, strzępy listu wydobyto z kosza, gdzie je wrzuciła, posklejano — i *wsadzono* za kraty ją samą. Poświęciła się dla zupełnie obcego, dalekiego człowieka (dowiedziałem się zaś o tym tylko dlatego, że wydarzenie miało miejsce w moim Riazaniu. A ile jeszcze takich spraw się zdarzyło?).

\* Państwowe Wydawnictwo Literatury dla Dzieci.

3. Mamy w naszym archiwum relację o zbiorowym akcie niezachwianej odwagi, ale brak dlań potwierdzenia: w roku 1930 na Sołówki przybyła w marszowym orydyku (bo nie zgodzili się na obcą eskortę) kolumna złożona z kilkuset kursantów jakiejś ukraińskiej szkoły wojskowej, zesłanych za to, że odmówili udziału w tłumieniu buntów chłopskich.



Łatwo teraz mówić, że wolność lub więzienie — to była kwestia loterii (Erenburg). Loteria loterią, ale niektóre numerki były znaczone. Zarzucano niewód na ślepo, wsadzano ludzi, aby osiągnąć z góry zaplanowaną cyfrę aresztowań, owszem — ale każdy, kto ośmielił się *zaprotestować publicznie*, łapany był natychmiast. Dlatego była to raczej kwestia selekcji duchowej, a nie loterii! Odważni szli pod topór, wysyłani byli na Archipelag — i w ten sposób nic nie mąciło pokornej monotonii cieszącej się *wolnością* reszty kraju. Co czyste i zacne — to nie miało prawa obywatelstwa w tym społeczeństwie, a bez tych elementów społeczeństwo coraz bardziej marniało. Eliminacja odbywała się po cichu — było to zjawisko zupełnie niedostrzegalne. A tymczasem — to obumierała dusza narodu.

7) ROZKŁAD MORALNY. W utrzymującej się przez dziesięciolecia atmosferze strachu i wiarołomstwa ci, którym udało się uniknąć zguby uratowali tylko swoją powłokę cielesną, ocaleli tylko zewnątrz. Wewnątrz jest próchno.

Miliony przecież zgadzały się zostać szpiczlami. Jeśli przyjąć, że w ciągu lat 35-ciu (do roku 1953) przewinęło się przez Archipelag, licząc również zmarłych tam, jakieś 40-50 milionów (to ostrożna kalkulacja, ta liczba jest zaledwie trzy lub cztery razy większa od przeciętnej liczby mieszkańców GUŁagu, a przecież podczas wojny było rzeczą normalną, że dziennie wymierał 1 % uwięzionych) — to przynajmniej co trzeciej, no, co piątej sprawie towarzyszył czyjś donos, ktoś był w niej powołany na świadka oskarżenia! Wszyscy ci atramentowi mordercy po dziś dzień są wśród nas. Posyłali do więzienia swoich bliźnich ze strachu — był to najniższy stopień. Inni robili to dla zysku, trzeci zaś — wówczas bardzo młodzi, a dzisiaj — oczekujący już emerytury, wydawali ludzi na męki z zapalem, zdradzali ich ideowo, czasem nawet zupełnie otwarcie: przecież zdemaskowanie wroga to był wyczyn, to był akt odwagi socjalnej! Wszyscy ci ludzie — są więc wśród nas i najczęściej — dobrze im się powodzi, a my powtarzamy jeszcze z zachwytem, że to „nasi prości, so-wieccy ludzie”.

Rak duszy rozwija się w sposób niedostrzegalny i trawi tę właśnie jej część, która jest zwykle siedliskiem uczucia wdzięczności. Fiodor Pieregud otoczył najczulszą opieką Miszę Iwanowa: chłopak nie mógł znaleźć pracy — więc Pieregud pomógł mu znaleźć robotę w tambowskich zakładach remontu wagonów i nauczył go rzemiosła; nie miał gdzie mieszkać — Pieregud przyjął go do swego domu i traktował, jak krewnego. I oto Mi-

chał Dmitriewicz Iwanow składa do NKWD donos, że Fiodor Pieregud w kręgu rodzinnym chwalił niemieckie wyposażenie techniczne. (A trzeba znać Fiodora Piereguda. Znał się na silnikach, był mechanikiem, radiowcem, elektrykiem, zegarmistrzem, optykiem, hutnikiem, modelarzem, stolarzem meblowym, znał ze dwadzieścia rzemiosł. W obozie zorganizował warsztat mechaniczny; gdy stracił nogę, sam sobie zrobił protezę). Zabierając Piereguda do więzienia, wzięto również do kompletu jego 14-letnią córeczkę. I to wszystko jest zasługą M. D. Iwanowa! Na rozprawie zjawił się ze zmartwiałą twarzą: zgnilizna duszy odbija się czasem na obliczu. Wkrótce porzucił pracę w fabryce, całkiem otwarcie przeszedł na służbę do bezpieczeństwa. Ale później przeniesiono go za nieudolność do straży pożarnej.

W zdeprawowanym społeczeństwie niewdzięczność jest powszednim, uznanym za normalne zjawiskiem, nikt jej się nie dziwi. Po aresztowaniu selekcjonera W. S. Markina, agronom A. A. Sołowiow bez żenady ukradł wyhodowany przez tamtego gatunek pszenicy „tajgowa — 49”<sup>4</sup>, przypisując sobie zasługę odkrycia. Kiedy rozpedzono instytut kultury buddyjskiej (wszystkich wybitniejszych współpracowników wyaresztowano), a jego szef, członek Akademii, Szczerbatski, zmarł — uczeń Szczerbatskiego, Kalianow, przyszedł do wdowy po nim i skłonił ją do oddania książek i rękopisów zmarłego — „bo inaczej będzie źle: instytut kultury buddyjskiej był w istocie ośrodkiem szpiegowskim”. Mając już w ręku prace zmarłego profesora, Kalianow część z nich (a także rozprawę Wostrikowa na dodatek) wydał pod własnym nazwiskiem, zyskując znaczny rozgłos.

Wiele jest naukowych autorytetów w Moskwie i Leningradzie, które wyrosły na pożywcze z krwi zamordowanych. *Niewdzięczność wychowanków*, która przewija się pstrym zygzakiem przez dzieje naszej nauki i techniki lat 30-tych i 40-tych, nie była zjawiskiem przypadkowym i niezrozumiałym: ster nauki przechodził z rąk prawdziwych uczonych i inżynierów w łapy niedouczonej, pośpiesznie szkolonych karierowiczów z awansu społecznego.

Już dziś nie da się zidentyfikować, ani wyliczyć wszystkich tych przywłaszczonych prac i ukradzionych wynalazków. A mieszkania „odziedziczone” po aresztowanych? A rozkradziony ich dobytek? Toć podczas wojny ten barbarzyński rys przejawiał się jako cecha omalże powszechna: jeśli kogoś dotknęło nieszczęście, jeśli bomby rozwały mu mieszkanie, jeśli spłonął mu dobytek, albo po prostu — musiał się ewakuować, jego sąsiedzi, prości

4. A gdy po 20 latach Markin został zrehabilitowany, Sołowiow nie chciał zwrócić nawet połowy honorarium! — *Izwestia*, 15. XI. 1963.

ludzie sowieccy, z reguły starali się właśnie wtedy uszczknąć coś dla siebie.

Demoralizacja ma różne oblicza, nie sposób opisać wszystkich w jednym rozdziale. Dominanta życia społecznego na tym u nas polegała, że na czoło wysuwali się zaprzętańcy, że sukcesy odnosiły beztalentni, a najzdolniejsi i najuczciwsi szli pod nóż krający ich na krwawą sieczkę. Kto potrafi wskazać mi w latach 30-tych i 40-tych, aż po 50-te *jednego* choćby człowieka w całym kraju, któremu udało się pokonać, unieszkodliwić i wygnać precz jakiegoś podłego intryganta? Twierdzę, że to było niemożliwe, tak, jak niemożliwością jest aby jedna choćby kaskada — w drodze wyjątku — padała z dołu w górę. Człowiek szlachetny nie zwróci się przecież o pomoc do bezpieczeństwa, łajdak zaś zawsze je ma do swojej dyspozycji. I gdzież jest człowiek, dla którego bezpieczeństwo będzie mieć względy, jeśli nie zawahało się podnieść ręki na Mikołaja Wawilowa? Cóż tu więc gadać o jakichś cudach z wodospadem?

Te łatwe triumfy nędzników nad szlachetnymi wykwiwały, jak mętne, cuchnące fontanny nad głowami stołecznego tłumu — ale również pod sklepieniem arktycznej, uczciwej zamieci, na stacjach polarnych — ulubionych miejscach akcji wielu mitów lat trzydziestych, stacjach, jakby stworzonych po to, aby jasnoocy giganci z nowel Londona pykali na nich fajki pokoju — tam również unosił się ten sam odór. Załoga polarnej stacji na wyspie Domaszniej (Ziemia Północna) składała się z trzech raptem ludzi. Byli to: bezpartyjny kierownik stacji, Aleksander Pawłowicz Babicz, zasłużony, stary badacz polarny; pracownik fizyczny Jeriomin — jedyny członek partii, pełniący zarazem funkcje organizatora partyjnego stacji i komsomolec (a zarazem organizator komsomolki!), meteorolog Goriaczenko, którego główną ambicją było wysiudanie kierownika i zajęcie jego stanowiska. Goriaczenko gmera w walizkach kierownika, wykrada dokumenty, posuwa się do gróźb. W myśl wskazań Jacka Londona — dwaj pozostali mężczyźni powinni po prostu wepchnąć tego łajdaka pod lód. Otóż nie — decydują się na wysłanie do zarządu Wielkiej Północnej Drogi Morskiej, na ręce Papanina depeszy z żądaniem przysłania kogoś innego na miejsce Goriaczenki. Partorg Jeriomin podpisuje depeszę, ale natychmiast porozumiewa się z komsomolcem, żałuje za grzechy i razem z nim wysyła do tegoż Papanina partyjno-komsomolski telegram, dementujący poprzedni komunikat. Papanin dochodzi do wniosku, że kolektyw uległ rozkładowi i że trzeba wszystkich zabrać z wyspy. Przyjeżdża po nich lodołamacz „Sadko”. Na pokładzie statku komsomolec nie traci czasu i podsuwa odpowiednie *materiały* komisarzowi okrętu.

W rezultacie Babicz zostaje aresztowany bez żadnej zwłoki (główne oskarżenie: zamierzał... wydać w ręce Niemców łamacz lodów „Sadko” — czyli ten właśnie statek, na którego pokładzie wszyscy się znajdują!...). Po przybiciu do brzegu, Babicza natychmiast pakują do aresztu. (Wyobraźmy sobie na chwilę, że komisarz statku jest rozumnym, uczciwym człowiekiem i że wzywa Babicza, aby wysłuchać argumentów drugiej z zainteresowanych stron. Ale to pociągnęłoby za sobą konieczność zdradzenia tajemnicy donosu wrogowi, człowiekowi podejrzanemu! — co pozwoliłoby Goriaczence oskarżyć komisarza przed Papaninem i również posłać go za kraty. System działa bez zarzutu!).

Oczywiście, poszczególni ludzie, którzy odebrali wychowanie nie w drużynie pionierskiej, i nie w jacejce komsomolskiej, potrafią uchronić się przed rozkładem duchowym. Na syberyjskim przystanku, jakieś rośnię żołnierzyko, na widok pociągu pełnego więźniów biegnie do budki, żeby kupić parę paczek papierosów i namawia konwojentów, aby pozwolili mu je dać tym nieszczęśnikom (już nieraz w tej książce opisywaliśmy podobne wypadki). Ale żołnierz ten — na pewno nie był na służbie, może jechał na urlop, a na pewno był poza zasięgiem wzroku organizatora komsomolskiego swojej jednostki. W jednostce — pewno by się nie ośmielił, nie wyszłoby mu to na zdrowie. Zresztą, może i tutaj dostanie jeszcze za to po łbie, toć komendant stacji nie śpi.

8. KŁAMSTWO, JAKO SPOSÓB BYCIA. Nawet złamani przez strach albo tknięci zarazą chciwości, czy zawiści — ludzie nie od razu jednak głupieją. Duszę mają zmaconą, ale umysł dalej jasny. Nie mogą przecież serio wierzyć, że cały geniusz ludzki skupił się nagle w jednej głowie o niskim, wklęsłym czole. Nie uwierzą przecież, że te błazeńskie karykatury debilów, które demonstrują im w kinach, w gazetach i w radio — to ich własne, wierne podobizny. Nikt ich nie zmusza do mówienia całej prawdy, ale też nikt im nie pozwoli milczeć! Muszą *zabierać głos* — a cóż innego mają do powiedzenia, prócz kłamstwa? Wymaga się od nich burzliwych oklasków — szczerości natomiast nikt nie żąda.

I jeśli czytamy w rezolucji pracowników szkolnictwa wyższego, złożonej na ręce towarzysza Stalina<sup>5</sup>:

„Wzmagając naszą rewolucyjną czujność, pomożemy naszej okrytej chwałą służbie wywiadu, na której czele stoi

5. *Prawda*, 20. V. 1938.

wierny uczeń Lenina, stalinowski komisarz ludowy Mikołaj Iwanowicz Jeżow, gruntownie oczyścić nasze szkoły wyższe, podobnie jak cały nasz kraj, z resztek trockistowsko-bucharinowskiego i w ogóle wszelkiego kontrrewolucyjnego plugastwa” —

to nie uważamy przecież owego, zebranego na jakimś wiecu, tysiąca ludzi za bandę idiotów, lecz jedynie za gromadę gnuśnych, pokornych kłamców, którzy z całą potulnością powitają już jutro tych, co przyjdą ich aresztować.

Kłamstwo bezustannie uprawiane staje się — podobnie jak jak zaprzaństwo — jedyną formą istnienia, dającą gwarancję bezpieczeństwa. Każde chłapięcie ozorem może być przez kogoś podsłuchane, każda mina nawet — może być przez kogoś zaobserwowana. Dlatego to każde słowo, jeśli nawet nie jest oczywistym kłamstwem — nie może jednak kontrastować z obowiązującymi łągarstwami. Istnieje gotowy zestaw frazesów, uświęcony zestaw nazwisk, przezwisk i wyzwick, zestaw gotowych kłamliwych formułek — bez których nie może obejść się ani jedno przemówienie, ani jeden artykuł, ani jedna książka — naukowa, publicystyczna, krytyczna, czy zaliczająca się do tzw. „literatury pięknej”. Nawet w arcy-naukowych tekstach trzeba koniecznie w którymś punkcie poprzeć czyjs fałszywy autorytet lub priorytet i zwymyślać kogoś za to, że powiedział prawdę: bez tych łągarstw nie ujrzy światła dziennego nawet dzieło najbardziej akademickie. Cóż dopiero mówić o krzykliwych wiecach, o zwoływanych na chybcika zebraniach podczas przerwy w pracy, na których głośować trzeba przeciwko własnym opiniom i symulować radość z powodów, budzących tylko gorycz (rozpisanie nowej pożyczki, obniżka płac, zbiórka pieniędzy na jakąś kolumnę czołgów, uchwała w sprawie pracy niedzielnej, albo zobowiązanie do wysłania dzieci do pomocy przy zbiorach w kołchozie) oraz wyrażać najgłębsze oburzenie w sprawach, które człowieka zupełnie nie obchodzą (jakieś niewyobrażalne, niesprawdzalne akty przemocy w Indiach Zachodnich, albo w Paragwaju).

Tenno wspominał w więzieniu ze wstydem, że dwa tygodnie przed własnym aresztowaniem miał wykład dla marynarzy na temat „Konstytucja stalinowska — najbardziej demokratyczna konstytucja świata” (ma się rozumieć — ani jednego szczerego słowa w tym nie było).

Nie ma człowieka, który by opublikował u nas choćby jedną stroniczkę — i nie dopuścił się przy tym kłamstwa. Nie ma człowieka, który by wszedł na mównicę — i nie kłamał. Nie ma człowieka, który by stanął przed mikrofonem — i nie musiał łągać.

Ale to jeszcze nie wszystko! Przecież każda rozmowa z przełożonymi, każda rozmowa w dziale kadr, w ogóle każda rozmowa z innym człowiekiem sowieckim jest popisem kłamstwa. Czasem kłamać trzeba bezczelnie, czasami oględnie, niekiedy w stylu pobłażliwie-potakującym. Jeśli w trakcie rozmowy w cztery oczy twój rozmówca-matoł oświadczył, że cofamy się aż do Wołgi, ażeby wciągnąć Hitlera jak najdalej w głąb kraju, albo że Amerykanie zasypują nasze pola stonką ziemniaczaną, to — potakuj tym kretyzizmom! Koniecznie im potakuj! Jeśli zaś pokręcisz głową, zamiast nią kiwnąć — możesz w rezultacie doczekać się przesiedlenia na Archipelag (przypomnijmy tylko, jak aresztowany został Czulpieniew — część I-sza, rozdział 7-my).

Ale to też nie wszystko: toć dzieci dorastają! Jeśli już są wystarczająco duże, ani ty, ani żona nie powinniście mówić przy nich otwarcie wszystkiego, co przychodzi wam na myśl: przecież w szkole wychowują ich na nowych Pawełków Morozowów, nie drgnie im ręka, jeśli ktoś zażąda od nich podobnego wyczynu.

Jeśli zaś dzieci wasze są jeszcze małe, to trzeba zdecydować się na jedno z dwojga: zacząć w nich wmawiać bez zwłoki, że fałsz jest prawdą (żeby im *ułatwić* życie) — co oznacza, że trzeba będzie zawsze już kłamać, także w ich obecności; albo też mówić prawdę i ryzykować, że nie potrafią zachować ostrożności, co oznacza, że trzeba ich uświadomić, iż mówienie prawdy zagraża życiu i że za progiem domu rodzinnego trzeba kłamać, nic, tylko kłamać, tak jak tatuś i mama.

Może się odechcieć dzieci, jeśli tylko taki wybór człowiekowi pozostaje.

Kłamstwo — jako podstawa długofalowych planów. Do prowincjonalnego wyższego zakładu naukowego przyjeżdża ze stolicy nowa wykładowczyni literatury — niejaka A.K., niewiasta młoda, inteligentna i rozumna. Ma ankietę personalną bez skazy i świeżutki dyplom doktorski. Wśród jej słuchaczek jest tylko jedna partyjna studentka i A.K. dochodzi do wniosku, że właśnie ona nasłana jest jako szpicel. (Ktoś na seminarium koniecznie musi być szpiclem — tego A.K. jest zupełnie pewna). Postanawia wobec tego zagrać komedię i nawiązać przyjaźń właśnie z tą partyjną studentką. (Nawiasem mówiąc — popełniła fatalny błąd. W myśl zasad taktyki, wypracowanych na Archipelagu, należało wlepić dziewczynie ze dwie dwójki i wówczas jej ewentualne donosy uznane byłyby za owoc porachunków osobistych). Nasze panie spotykają się więc również poza murami uczelni i wymieniają fotografie (studentka nosi zdjęcie A.K. w okładce legitymacji partyjnej), a w czasie wakacji pisują do siebie czułe listy.



Każdy swój wykład A.K. stara się z góry przystosować do ocen i poglądów partyjnej studentki. Przez 4 lata uprawia tę poniżającą, obłudną grę, wreszcie studentka otrzymuje absolutorium, teraz naszej A.K. jest wszystko jedno, co o jej wykładach dziewczyna pomyśli. Przy okazji jej pierwszej wizyty A.K. wita ją w sposób lodowaty. Obrażona dziewczyna żąda zwrotu fotografii oraz listów i woła (najzabawniejszą i najsmutniejszą zarazem w całej tej historii okolicznością jest, że dziewczyna prawdopodobnie wcale nie była donosicielką): „Kiedy zakończę aspiranturę, to nigdy nie będę tak drzeć o nędzną posadę, jak pani! Te pani okropne wykłady! Katarynka!”.

Bo też tak było. Cenzurując i kastrując wykłady, przykrawając je według gustu rzekomej donosicielki, A.K. beznadziejnie zubożyła swoje prelekcje, które mogła wygłaszać z właściwym jej talentem\*.

Oczywiście, różne były stopnie kłamstwa: istniało kłamstwo wymuszone, o charakterze obronnym — i kłamstwo natchnione, głoszone w namiętnym upojeniu, które było najczęściej domeną pisarzy. Przykład takiego kłamstwa znajdujemy u Marietty Szaginian, która w 1937 (!) roku napisała z rozczuleniem, iż w epoce socjalizmu zmienił się nawet charakter śledztwa: jak powiadają funkcjonariusze śledczy, oskarżeni *chętnie teraz z nimi współpracują*, dostarczając z radością wszelkich danych o sobie i innych.

Trudno wręcz zorientować się, jak daleko, jak bardzo — dzięki fałszowi — oddaliliśmy się od drogi, którą kroczą społeczeństwa normalne: w gęstej, szarej mgłę obłudy nie widać żadnych drogowskazów. Dopiero czytając przypisy pojmuje człowiek, że książka Jakubowicza „W świecie wyklętych” została opublikowana (pod pseudonimem, ale to nie zmienia istoty problemu) w tym samym czasie, w którym autor kończył odsiadki kary na katordze i szykował się do wyjazdu na zesłanie<sup>6</sup>.

No, porównajcie to, porównajcie tylko z naszymi stosunkami! Cudem udało się opublikować moją spóźnioną, nieśmiałą opowieść\* — i oto zaraz sztywne szlabany zagroziły drogę, dokręcone zostały wszystkie śruby i zabroniono pisać już nawet

---

\* Autor przytacza tu kalambur pewnego poety rosyjskiego: *Nie kult licznosci u nas był, a kult dwulicznosci*, co oznacza dosłownie, że panował u nas nie tyle kult jednostki, co kult dwulicowości.

6. I w tym samym czasie, w którym katorga jeszcze istniała! Jest to więc książka na temat spraw bieżących, aktualnych, których istnienia nikt nie neguje — nie zaś na temat tego, co ponoć „już się nie powtórzy”.

\* „Jeden dzień Iwana Denisowicza”.



nie o współczesności, ale o tym, co zdarzyło się 30-ci, albo i 50 lat temu. Czy pozwolą o tym mówić jeszcze za naszego życia? Pisane jest nam widać, abyśmy skonali — obełgani i załgani do szczytu.

Zresztą, gdyby nawet podsuwano ludziom prawdę pod nos — to jeszcze nie wiadomo, czy nasi wolni obywatele chcieliby coś o niej wiedzieć! J. G. Oksman wrócił z obozów w 1948 roku, ominęło go powtórne aresztowanie, mieszkał sobie w Moskwie. Przyjaciele też go nie odstąpili, znajomi mu pomagali. Nikt tylko nie chciał słuchać jego wspomnień z obozu! Bo jak tu żyć — gdy człowiek już o tym wie?...

Po wojnie cieszył się znaczną popularnością stary romans — „Hałasów miejskich tu nie słysząc...”. Najprzeciętniejszy nawet śpiewak wiedział, że nagrodzony będzie za tę właśnie pieśń burzą oklasków. Naczelny Zarząd Myśli i Uczuć nie od razu się połapał — więc też rozlegała się ze wszystkich głośników i z każdej estrady: toć nasza, ruska, ludowa! Ale w końcu ktoś się spostrzegł — i zewsząd zniknęła. Słowa pieśni mówiły o doli skazańca, o dwóch sercach, rozdzielonych murem. Potrzeba odkupienia dawała jednak znać o sobie, wegetowała w głębi dusz — i załgani ludzie radzi byli, że przynajmniej tę pieśń oklaskiwać mogą.

9. BEZWZGLEDNOŚĆ. Jak mogła uchować się — obok wyżej wymienionych cnót — życzliwość dla innych ludzi? Jak można zachować dobroć w sercu — skoro raz po raz odmawia się pomocy tonącym? Kto raz krwią się skalał — ten już potem coraz bardziej się sroży. Bezwzględność („klasowa bezwzględność”) była u nas zresztą i opiewana, i wpajana młodzieży — tak, że coraz trudniej było się połapać, gdzie granica między dobrem, a złem. No, a gdy dookoła drwi się z dobroci, kpi ze współczucia, wyśmiewa miłosierdzie — to ludojadów nikt na łańcuchu nie utrzyma.

Moja bezimienna korespondentka (z ulicy Arbat 15) pyta skąd bierze się okrucieństwo — właściwe „niektórym ludziom sowieckim”? Dlaczego tym więcej się oni srożą, im bardziej bezbronna jest ich ofiara? I przytacza pewien przykład, pozornie mało istotny, nie mniej — wart opowiedzenia.

Zima z 43-go na 44-ty, dworzec w Czelabińsku, podsienie obok przechowalni bagażu. Daszek na słupach, pod nim — cementowe klepisko, pokryte udeptanym śniegiem, nawianym z zewnątrz. Przez okienko przechowalni wygląda kobieta w wa-

ciaku, pod okienkiem stoi nażarty milicjant w garbowanym półkożuszk. Dowcipkują, flirtują, zapomnieli o Bożym świecie. Na ziemi zaś leży kilkoro ludzi — w płóciennych szmatkach, w gałganach ziemistego koloru; powiedzieć, że te szmaty są zetłate — też byłoby dla nich komplementem. Sami młodzi chłopcy — wyędzniali, opuchnięci, ze spieczonymi wargami, całymi w bąblach. Jeden z nich, dręczony widać gorączką, gołą piersią padł na śnieg, jęczy. Moja korespondentka podeszła bliżej, spytała, kim są: jeden wypuszczony został z obozu po odsiedzeniu kary, drugi — spisany, jako niezdolny do pracy, ale przy zwolnieniu dano im do rąk niekompletne papiery — i teraz nie chcą im sprzedać biletów kolejowych. Nie mają zaś sił na powrót do obozu, wycieńczeni są biegunką. Kobieta zaczęła dzielić się z nimi okruchami swego chleba. Milicjant zaprzestał na chwilę gruchania i burknął groźnie: „Krewniaków znalazłaś, babo? Zabieraj się lepiej stąd, bez twojej pomocy też zdechną”. Pomyślała wtedy: a co, jak mnie też — ni z tego, ni z owego — przyskrzynią? (pewno, dlaczego nie?). I poszła sobie.

Jakie to wszystko typowe dla naszego społeczeństwa — i to, co przyszło tej kobiecie na myśl, i to, że zaraz sobie poszła. I ten nieubłagany milicjant, i ta nielitościwa baba w waciaku, i ta kasjerka, co odmówiła sprzedaży biletów, i ta pielęgniarka, co nie przyjęła ich do szpitala miejskiego, i ten bałwan — wolniak, który nieprawidłowo wypisał im w obozie dokumenty.

Życie stało się bezlitosne i nikt już — jak za czasów Dostojewskiego nie uzali się nad więźniem, nie powie mu — „biedaczyno”, najczęściej mówi się „ty ścierwo!”. W roku 1938 uczniowie ze szkół w Magadanie obrzucali kamieniami przechodzącą kolumnę uwięzionych kobiet (jak świadczy Surowcowa).

Czy znane były kiedykolwiek w naszym kraju — i czy dziś gdziekolwiek indziej zdarzyć się mogą te niezliczone, ohydne i rozzwierające historie waśni rodzinnych i domowych? Każdy czytelnik zna ich aż nazbyt wiele, przytoczymy tu jedną, albo dwie.

W Rostowie, w komunalnym, wspólnym mieszkaniu na Dołomanowskim prospekcie, mieszkała Wiera Krasucka. Jej męża aresztowano w 1938 roku, wkrótce zginął. Sąsiadka jej, Anna Stolberg, wiedziała o tym — i przez 18 lat, od 1938 do 1956 upajała się władzą, możliwością bezkarnego dokuczania, dręczenia biednej kobiety groźbami: w kuchni, albo w przejściu, w korytarzu syczała Krasuckiej do ucha: „Póki mam chęć — możesz sobie tu żyć, a jak zechcę — to zaraz cię stąd *karetka* zabierze!”. Dopiero w 1956 roku Krasucka ośmieliła się napisać skargę do

prokuratora. Stolbergowa uciszyła się. Ale po dawnemu mieszkały pod jednym dachem.

Mikołaj Jakowlewicz Siemionow aresztowany został w 1950 roku, w mieście Lubim — po czym żona jego bez chwili zwłoki wyгнаła z domu teściową — Marię Iliniczną Siemionową: „Won, stara wiedzmo, twój syn jest wrogiem ludu!”. (Minie sześć lat, mąż wróci z obozu — i sam z kolei zostanie wyrzucony z domu — nocą, w samych gaciach, za sprawą żony i dorastającej córeczki, Nadii. Nadia sekundować będzie mamie, bo potrzebne jest jej miejsce dla *własnego* męża. Rzuci ojcu portki w gębę i wrzaśnie: „Won stąd, stary gadzie!”). Matka wyjechała więc do Jarosławia, gdzie miała córkę, Annę — zamężną, ale bezdzietną. Wkrótce córeczce i zięciowi uprzykrzyło się towarzystwo staruszki. Zięć, Wasilij Fiodorowicz Mietiołkin, strażak, przesiadywał w domu, gdy nie miał dyżuru. Zabawiał się wtedy w ten sposób, że ścisnął oburącz głowę teściowej tak mocno, by nie mogła jej odwrócić i ze smakiem pluł jej w twarz, jak długo mu śliny starczało, a celował w oczy i usta. Kiedy bywał w gorszym humorze, obnażał członek i pchał go staruszce w gębę, przygadzając: „Na, pociuśkaj se i zdechnij nareszcie!”. Gdy brat wrócił, Anna usiłowała mu rzecz wytłumaczyć: „Co chcesz, Waśka był czasem na gazie... Co można wymagać od pijanego?”. Ale oto małżonkowie postanowili zdobyć nowe mieszkanie („koniecznie z łazienką, bo mamusia jest w podeszłym wieku i nie ma gdzie się kąpać. Toż nie pozwolimy jej latać do łaźni!”), więc zaczęły odnosić się do staruchy nieco znośniej. Gdy mieszkanie już im przyznano, zapchali pokoje serwantkami i szyfonierkami, a matkę umieścili w szczelinie szerokości 35 cm. między szafą a ścianą — żeby leżała tam bez ruchu i nie wysuwała nosa.

Mikołaj Siemionow, który tymczasem znalazł przytułek u swego syna, postanowił zaryzykować i ściągnąć tam również matkę, nie pytając uprzednio o pozwolenie. Powitał ją wnuk. Babka padła przed nim na kolana: „Włodeczku, nie wygonisz mnie stąd?”. Wnuk skrzywił się tylko: „Dobra, mieszkaj tu z nami, póki się nie ożenię”. Warto dodać parę słów o wnuczce: Nadia (Nadieżda Nikołajewna Topnikowa) zdążyła w tym czasie skończyć wydział historii Jarosławskiego Instytutu Pedagogicznego i została redaktorką gazety rejonowej w miasteczku Nieja, opodal Kostromy. Para się również poezją — i już w 1961 roku, jeszcze w Lubimie takie sobie ułożyła wierszowane usprawiedliwienie:

---

7. Identyczną historię opowiedział mi W. I. Żukow z Kowrowa: wyrzuciła go za drzwi żona („precz stąd, bo znów cię do więzienia pošę!”) z pomocą pasierbicy („bierz nogi za pas, kryminalisto!”).

*W tej walce nie będę pobita!  
Ojciec?!... — z drogi i kwita!  
Moralność?!... To niepoważne!  
To przesąd, rupiecie tanie!  
Przejdę przez życie odważnie  
I z zimnym wyrachowaniem!*

Ale organizacja partyjna zaczęła domagać się od niej „normalizacji” stosunków z ojcem, zaczęła więc nagle zasypywać go listami. Rozczulony tata wybaczył jej — pisząc, że puszcza wszystko w niepamięć, a Nadia z punktu zaniósła list do partii. Egzekutywa odfajkowała sprawę. Od tej chwili dziewczucha posyła ojcu tylko widokówki na 1-go maja i 7-go listopada.

W tragedii tej uczestniczy 7 postaci. Oto jedna tylko kropla naszego WOLNEGO życia.

W rodzinach bardziej kulturalnych, nie wypędza się represjonowanego krewnego w samych gaciach na ulicę; ukrywa się go tylko wstydliwie przed gośćmi, bo też jego żółciowe, „spaczone” poglądy niejednego mogą zirytować.

Możemy tak ciągnąć dalej. Wartałoby jeszcze wymienić:

10) RABSKĄ PSYCHOLOGIĘ. Nieszczęsny Babicz tak pisze w podaniu do prokuratora: „Zdaję sobie sprawę, że w okresie wojennym władze nasze musiały borykać się przede wszystkim z obowiązkami o wiele poważniejszymi, niż rozpatrywanie oskarżeń, wytaczanych przeciw poszczególnym obywatelom...”.

I tak dalej.

Ale przynajmy teraz: jeśli to wszystko nie złożyło się żywiłowo, jeśli Stalin *te* cechy w nas wpajał świadomie, punkt po punkcie — to jednak był geniuszem!



W tym cuchnącym, piwnicznym świecie, gdzie prosperowali tylko oprawcy i najbardziej zdeklarowani zdrajcy; gdzie porządni ludzie, którzy ostali się na powierzchni — wpadali w pijaństwo, nie mając siły i chęci na nic innego; gdzie ciała młodych ludzi pokrywały się zdrową opalenizną, dusze zaś — śniedziały i gnily; gdzie co noc szaro-zielona łapa penetrowała domy i coraz to kogoś brała za kark, aby wrzucić do mamra — otóż w tym świecie snuły się i krążyły na osłep miliony zagubionych, zdeorientowanych kobiet, którym porwano na Archipelag męża, syna, czy ojca. Nikt nie był od nich bardziej ogarnięty strachem: bały się

lustrzanych szyldzików, drzwi dyrektorskich gabinetów, telefonicznych dzwonek, trzaskania drzwiami, lękały się listonosza, mleczarki i hydraulika. I każdy, komu stały na drodze, mógł je wyrzucić z mieszkania, z pracy, z rodzinnego miasta.

Niektóre z nich naiwnie wierzyły, że formułkę „bez prawa do korespondencji” — należy brać dosłownie i że ON da znać o sobie, gdy minie dziesięć lat<sup>8</sup>. Stały całymi dniami w kolejkach pod bramami więzień. Odbywały stukilometrowe podróże, bo ktoś powiedział, że gdzieś tam przyjmują paczki żywnościowe. Czasem umierały wcześniej, niż ci, których im zabrano. Czasami — dzięki napisowi na zwróconej przez pocztę paczce — „adresat zmarł w lazarecie” — mogły dowiedzieć się, kiedy właściwie ich bliski zginął. Czasami — jak Olga Czawczawadze — docierały w głąb Syberii, chcąc złożyć na grobie męża szczyptę ziemi ojczyznej — tylko, że nikt im wskazać nie potrafił, pod którym leży kurhankiem i w jakim towarzystwie, bo chowają ich trójkami. Czasem — jak Zelma Żugur, pisały obelżywe listy do różnych Woroszyłowów, zapominając, że sumienie Woroszyłowa zgasiło wiele lat przed jego własnym zgonem<sup>9</sup>.

A te kobiety miały jeszcze dzieci, dzieci dorastały i dla każdego z nich przychodziła chwila, kiedy ojciec koniecznie powinien był już wrócić. Tymczasem — nie wracał.

Trójkącik z ukośnie kratkowanego, szkolnego papieru. Widać, że ktoś używał kolejno czerwonego i niebieskiego grafitu — zapewne dziecinna rączka odkładała dwukolorowy ołówek, pozwałała sobie na chwilę odpoczynku i znów go brała, ale odwrotnym końcem. Kanciaste, nieporadne literki, spore spacje, czasem pośrodku poszczególnych słów:

Dzieńdobry Papiu zapomniałem jak trzeba pisać do Szkoły pójdę niedługo jak się zima skończy wracaj prędko bo nam bez ciebie źle nie mamy taty w domu mama raz mówi że jesteś na delegacji drugi raz że chory na co czekasz uciekaj ze szpitala Oleś to przyleciał ze szpitala w samej koszuli mama uszyje ci nowe spodenki a ja ci dam mój nowy pasek chłopcy i tak mnie się boją ja tylko Olesia nigdy nie biję on też mówi prawdę i też jest biedny a ja

---

8. Obozy pozbawione prawa do korespondencji czasami istniały naprawdę: nie tylko zakłady przemysłu nuklearnego w latach 1945-49, ale na przykład 29 podobóz Karłagu w 1938 roku przez 18 miesięcy pozbawiony był poczty.

9. Nie miał tyle nawet odwagi, aby własnego adiutanta Langowaja uchronić przed aresztowaniem i torturami.

raz byłem chory leżałem w takiej gorączce chciałem już umrzeć razem z mamą ale ona nie chciała no to mnie też się odechciało oj ręka już boli dosyć pisania całuję cię furę razy

Igorek 6 i pół roczku

Ja już umiem pisać na kopertach zanim mama wróci z roboty to już mój list w skrzynce.

Manolis Glezos „w pełnym wyrazu i pasji przemówieniu opowiedział literatom moskiewskim o towarzyszach, cierpiących katusze w greckich więzieniach.

— Zdaję sobie sprawę — rzekł — że moja relacja sprawiła wam ból, że serca wam się ścisnęły, gdyście jej wysłuchali. Ale uczyniłem to umyślnie. Tego właśnie pragnę, aby ścisnęły wam się serca na myśl o tych, którzy znoszą męczarnie, wtrąceni do lochów i więzień... Niech cały świat usłyszy, jak wielkim głosem wołacie o wolność dla greckich patriotów!<sup>10</sup>”.

I te lisy, kute na wszystkie cztery łapy — zawołały, rzecz jasna, wielkim głosem! Toć w Grecji cierpiało katusze parudziesięciu więźniów politycznych! Być może sam Glezos nie zdawał sobie sprawy z całej nieprzyzwoitości tego apelu, a może — po prostu — Grecy nie znają przysłowia:

Po co u obcych prosić łez, skoro w domu pełno płaczu?

Ten pomniczek widzimy często w rozmaitych miejscowościach: gipsowy strażnik z psem na smyczy, rwącym się, by kogoś capnąć. W Taszkencie ta statua stoi przynajmniej przed szkołą NKWD, w Riazaniu natomiast — jest nieomal emblematem miasta: jedyny to monument w polu widzenia, jeśli wjeżdża się od strony Michajłowa.

I jakoś nie wzdrygamy się na ten widok z obrzydzenia, przyzwyczailiśmy się już, uznaliśmy za naturalną część krajobrazu te figury, podszuczujące psy gończe na ludzi.

Na nas.

---

10. *Litieraturnaja Gazieta*, 27. VIII. 1963.

## Rozdział czwarty

### LUDZKIE DOLE

Koleje życia wszystkich więźniów wymienionych w tej książce opowiedziałem fragmentarycznie, nie przestrzegając porządku chronologicznego, podporządkowując narrację układowi tego utworu i konturom Archipelagu. Pokawałkowałem je i porozsiewałem, unikając manieri biograficznej; wydawała mi się zbyt monotonna: pozwala pisać bez tam konstrukcyjnych, przerzucając trud analizy z autora na czytelnika.

Ale właśnie dlatego sędzę, że wolno mi teraz przytoczyć w całości kilka życiorysów więźniarskich.

#### 1. ANNA PIETROWNA SKRYPNIKOWA.

Urodziła się w 1896 roku, jako jedyna córka prostego robotnicarza z Majkopu. Jak to już wiemy z historii partii, w przeklętej epoce caratu zamknięte były przed nią wszystkie drogi, nie mogła zdobyć wykształcenia i skazana była na wieczne niedojadanie, na niewolniczą egzystencję. I rzeczywiście, taki los ją spotkał, ale dopiero po rewolucji. Chwilowo zaś została przyjęta do majkopskiego gimnazjum.

Ania wyrosła na dziewczynę dorodną, o dużej głowie. Koleżanka szkolna narysowała jej podobiznę, używając tylko cyrkla: kulista głowa, wypukłe czoło, okrągłe, zawsze jakby zdziwione oczy. Płatki uszu — zaokrągliły się i wrosły w policzki. Ramiona też zaokrąglone. I figurka pełna krągłości.

Ania zbyt wcześnie zaczęła oddawać się rozmyślaniom. Już w trzeciej klasie prosiła nauczycielkę o pozwolenie na wzięcie z biblioteki szkolnej Dobrolubowa i Dostojewskiego. Nauczycielka wpadła w gniew: „Za mała jesteś na to!” — „Jeśli pani nie



pozwała — to wypożyczę w miejskiej”. Mając lat 13-cie „unieależniła się od Boga”, straciła wiarę. W wieku 15-tu lat — gorliwie studiowała pisma ojców cerkwi, wyłącznie po to, by zbijać z ferworem argumenty katechety — ku ucieście całej klasy. Ale nieugiętą stałość raskolników\* postawiła wziąć sobie za wzór. Raz na zawsze zdecydowała: lepiej umrzeć, niż dać się złamać duchowo.

Nikt nie przeszkadzał jej w odebraniu zasłużonego złotego medalu<sup>1</sup>. W 1917-tym (najlepsza chwila dla rozpoczęcia studiów) pojechała do Moskwy i wstąpiła na wyższe kursy żeńskie Czapygina, wybierając wydział filozofii i psychologii. Jako posiadaczka świadectwa dojrzałości ze złotym medalem — otrzymywała aż do rewolucji Październikowej stypendium Dumy Państwowej. Wydział jej kształcił nauczycieli logiki i psychologii, którzy wykładać mieli później w gimnazjach. Przez cały rok 1918, dorabiając korepetycjami, Ania studiowała psychoanalizę. Dalej uważała się za ateistkę, ale całą duszą czuła, że:

*... nieruchomy, na ognistych różach wsparty  
Żywy ołtarz wszechświata się dymi.*

Zdążyła przejąć się poetycką filozofią Giordano Bruno i Tiutczewa, a nawet przez jakiś czas uważała się za zwolenniczkę wschodniego katolicyzmu. Przerzucała się z całą żarliwością od jednej wiary do drugiej, częściej zmieniając swoje inklinacje, niż stroje (strojów nie było w sprzedaży, zresztą — nie zważała na modę). Uważała się także za socjalistkę i sądziła, że przelew krwi w trakcie powstań i wojny domowej jest nieunikniony. Nie mogła jednak pogodzić się z terrorem. Demokracja — ależ tak, oczywiście, ale na przemoc i bestialstwo nie ma zgody! „Krew na rękach? Zgoda. Byle nie brud!”.

W końcu 1918 roku musiała porzucić swoją uczelnię (ale czy sama uczelnia się uchowała?) aby z niemałym trudem przedrzeć się do rodziców, na Kubań, gdzie jeszcze było co jeść. Przybyła w końcu do Majkopu. Utworzono tu właśnie Instytut Oświecenia Publicznego, dla dorosłych i dla młodzieży. Anna została ni mniej, ni więcej — tylko p.o. profesora logiki, filozofii

---

\* Odłam cerkwi rosyjskiej, zwany tak przez przeciwników (raskoł = rozłam), zwolenników patriarchy Nikona, który w połowie XVII wieku przeprowadził unifikację liturgii rosyjskiej z nowogrecką, wywołując gwałtowny sprzeciw zwolenników tradycji. Najśłynniejszym z nich był protopop Awwakum.

1. A gdyby za naszych czasów jakaś uczenica tak stawiała okoniem na lekcjach zasad marksizmu? Czy też doszłaby do matury?

i psychologii. Jej wykłady cieszyły się powodzeniem wśród studentów.

Nadchodziły ostatnie dni panowania białych w Majkopie. 45-letni generał namawiał Annę, aby z nim uciekła. Odparła: „Dość tych popisów, generale! Niech pan ucieka sam, zanim pana złapią!“. W tym samym czasie, na koleżeńskim wieczorku, gimnazjalny wykładowca historii wznosił toast: „Za wielką Armię Czerwoną!“. Anna odsunęła kieliszek: „Za nic!“. Znając jej lewicowe przekonania, przyjaciele wytrzeszczyli oczy. „A dlatego, że — bez względu na gwiazdy i szczytne cele — będą rozstrzeliwać coraz więcej i więcej ludzi” — powiedziała Skrypnikowa.

Była przeświadczona, że w tej wojnie domowej giną najlepsi, zostają zaś przy życiu dwulicowi oportuniści. Przeczesała już, że czeka ją wielka próba — nie wiedziała tylko — jaka.

Minęło kilka dni — i czerwoni wkroczyli do Majkopu. A jeszcze po paru dniach — zwołano w mieście zebranie inteligencji. Na estradę wyszedł naczelnik Oddziału Specjalnego sztabu 5-tej armii, Łosiew i jał beszać (był o krok od karczemnych wyzwisk) „zgniłą inteligencję”: „Co?!. Chcecie siedzieć między dwoma stołkami? Czekaliście na zaproszenie? A dlaczego samiście nie przyszli?“. Coraz bardziej się piekłać, wyrwał wreszcie z pochwy rewolwer i krzyczał, wymachując nim: „Cała wasza kultura jest zgniła! Rozpieprzymy ją w drobny mak i stworzymy inną, nową! A jak będziecie nam przeszkadzać — to zmiemy was z drogi!“. Na tym skończył i spytał: „Czy ktoś chce zabrać głos?“.

W sali panowało grobowe milczenie. Nikt nie klaskał, ale też nie podniosła się ani jedna ręka. (Zebrani milczeli, bo strach ich ogarnął, ale nie przeszli jeszcze należnego treningu, nie orientowali się, nie wiedzieli, że klaskanie należy do ich obowiązków).

Łosiew nie spodziewał się chyba dyskusji, ale Anna już podniosła się z miejsca: „Ja!“. — „Ty? No włącz tu, włącz!“. Skrypnikowa ruszyła ku estradzie i weszła na mównicę. Była rosłą 25-letnią kobietą, szczodrej, rosyjskiej urody, o krągłej, rumianej nawet twarzy (dostawała pół ćwierci funta chleba dziennie, ale ojciec miał sporo warzyw na grządkach). Jasne, długie warkoczki sięgały jej do kolan, ale jako p.o. profesora nie mogła przecież ich rozpuszczać, więc okręcała nimi głowę, co czyniło ją jeszcze większą. Swoim dźwięcznym głosem powiedziała dobitnie:

— Wysłuchaliśmy tu waszego przemówienia, pełnego nieuczucia i tupetu. Zostaliśmy przez was zaproszeni, owszem, ale nikt

---

2. Kto czytał w części I (rozdział 8) przemówienia Krylenki — ten już to zna.

nas nie uprzedził, że ma to być pogrzeb wielkiej rosyjskiej kultury! Sądziłyśmy, że spotkamy tu krzewiciela oświaty, widzimy zaś przed sobą jej grabarza. Zamiast szermować tymi hasłami, już lepiej było ograniczyć się do wyzwisk! Czy mamy uważać, że przemawialiście w imieniu władzy sowieckiej?

— Tak jest! — dumnie oznajmił zaskoczony Łosiew.

— Jeśli zatem władza sowiecka reprezentowana będzie przez takich bandytów, jak wy, to rychło się rozpadnie!

Anna zeszła z mównicy, w sali zagrzmiały oklaski (kiedy kupą — to jeszcze się wtedy nie bano). Tym akcentem wieczór się zakończył. Łosiew zapomniał języka w gębie. Ludzie skupili się wokół Anny, w tłoku ściskali jej ręce i szeptali: „Jest pani zgubiona, zaraz panią zaaresztują! Ale dzięki, dzięki! Jesteśmy z pani dumni, ale pani jest zgubiona! Co pani narobiła?!”.

W domu czekali już na nią czekięści. „Towarzyszko nauczycielko! Patrzaj, w jakiej biedzie żyjesz — stół, dwa krzesła i łóżko, co tu rewidować? Jeszcześmy po takich, jak ty, nie przychodzili! I ojca masz robotnika. I jak mogłaś przy takiej biedzie przejść na stronę burżuazji?”. Czeka jeszcze nie miała własnego gmachu, więc przywieziono Annę do izby zatrzymań przy kancelarii wojskowego Oddziału Specjalnego. Siedział już tam pułkownik białogwardyjski Binderling (Anna była świadkiem jego przesłuchań i smutnego końca; oświadczyła później żonie: „Umarł, jak człowiek uczciwy, może pani być dumna!”).

Zaprowadzili ją na przesłuchanie do gabinetu, w którym Łosiew pracował i mieszkał. Gdy weszła, siedział na niezasłanym łóżku w bryczesach i rozchełstanej koszuli, skrobiąc się w pierś. Anna zażądała natychmiast, by konwojent odprowadził ją do celi. Łosiew warknął: „Dobra, zaraz się wykąpię i włożę giemzowe rękawiczki, te, co to w nich rewolucję się robi!”.

Tydzień czekała na wyrok śmierci — jak w ekstazie. Skrypnikowa twierdzi nawet dzisiaj, że był to najpełniejszy światła tydzień w jej życiu. Słowa te zasługują na wiarę, jeśli zrozumieć je we właściwym sensie. To ten rodzaj ekstazy, który jest nagrodą dla duszy wolnej już od złudnych nadziei na ratunek, pragnącej już tylko godnego uwieńczenia dzieła życia. (Przywiązanie do życia tę ekstazę niweczy).

Anna nie wiedziała, że inteligencja Majkopu złożyła tymczasem petycję w sprawie jej ułaskawienia. (W końcu lat 20-tych już by to nie pomogło, a na początku 30-tych — nikt by się już nie odważył). Łosiew zaczął w trakcie przesłuchań dawać do zrozumienia, że zgodziłby się na kompromis.

— Jeszczem takiej wariatki nie spotkał w żadnym zdobytym mieście, a nie tak mało ich było! Stan oblężenia, cała władza

w moim ręku, a ta mnie wyzywa od grabarzy rosyjskiej kultury! — No, już dobra, przesadziliśmy trochę oboje... Odwołaj tylko tego „bandytę” i „chuligana”.

— Nie chcę. Teraz też tak o was myślę.

— Od rana do nocy mnie nachodzą, co który wejdzie — to za tobą się wstawia. Trzeba cię będzie puścić w ramach miodowego miesiąca władzy sowieckiej...

Wypuszczono ją. Nie dlatego, że jej wypowiedzi uznano za nieszkodliwe, tylko dlatego — że była córką robotnika. Córcie lekarza by nie wybaczone<sup>3</sup>.

Tak zaczął się szlak więzienny Anny Skrypnikowej.

W 1922 roku została osadzona w areszcie krasnodarskiej Czeki i przesiedziała 8 miesięcy — „za znajomość z podejrzanym osobnikiem”. W więzieniu był tłok, szalał dur plamisty. Dzienna porcja chleba ważyła 50 gramów, mąkę mieszano z otrębami. W jej obecności umarło z głodu małe dziecko sąsiadki — i Anna poprzysięgła sobie nigdy nie mieć dzieci w tym pseudo-socjalistycznym ustroju, nigdy nie ulec pokusie macierzyństwa.

Słowa dotrzymała. Nigdy nie założyła rodziny, a uparta nieustępliwość nieraz jeszcze miała zaprowadzić ją za kraty; było to jej fatum.

Tymczasem — wydawało się, że życie wraca do normy. W 1923 roku Skrypnikowa pojechała do Moskwy, aby wstąpić na wydział psychologii uniwersytetu. Wypełniając ankietę personalną, napisała „nie marksistka”. Powiedziano jej z całą zyczliwością: „Chyba zwariowaliście? Kto pisze takie rzeczy? Napiszcie, że jesteście marksistką, a kogo obchodzi, co naprawdę myślicie?” — „Kiedy ja nie chcę oszukiwać władzy sowieckiej. Po prostu — nie czytałam Marksa”... — „Więc tym bardziej!” — „Nie. Gdy poznam bliżej tę teorię i ewentualnie ją zaakceptuję, to co innego...”. Tymczasem zaś podjęła się pracy nauczycielskiej w szkole dla dzieci upośledzonych.

W 1925 roku mąż jej bliskiej przyjaciółki, eserowiec, musiał się ukrywać, bo groziło mu aresztowanie. Aby skłonić go do ujawnienia się, GPU wzięło w charakterze zakładników żonę i jej najlepszą koleżankę — to znaczy Annę (zakładnicy w szczytowym okresie NEP'u!). Wciąż tak samo pyzata, dorodna, z war-koczami do kolan — Anna przekroczyła więc progi Łubianki. (Wtedy właśnie miała ową rozmowę ze śledczym, który ją pou-

3. Łosiew zaś został w 1920 roku rozstrzelany na Krymie za bandytyzm i gwałty.

czał: „Dość tych inteligenckich fochów! *Troszczcie się tylko o siebie samą!*). Tym razem siedziała koło miesiąca.

W 1927 roku, za uczestnictwo w robotniczo-nauczycielskim kółku miłośników muzyki, skazanym na unicestwienie, jako możliwe ognisko wolnomyślicielskiej zarazy, Anna została aresztowana już po raz *czwarty!* Dostała 5 lat i odsiedziała je na Solówkach oraz przy budowie kanału Białomorskiego.

W roku 1932 wyszła i dano jej spokój na czas dłuższy, zresztą zachowywać się zaczęła trochę ostrożniej.

Jednakże w 1948 roku znów się zaczęło: zaczęto ją wyrzucać z pracy. W 1950 roku Instytut Psychologii zwrócił jej zaakceptowaną już rozprawę („Koncepcje psychologiczne Dobrolubowa”) pod tym pretekstem, że w 1927 roku skazana była z artykułu 58-go! W tym niełatwym dla niej okresie (cztery lata pod rząd nie mogła dostać pracy) pomocną dłoń podało jej... bezpieczeństwo! Do Władykaukazu przybył pełnomocnik centralnego urzędu MGB, Lisow (a co, jeżeli to ten sam Łosiew?! może żyje? nieduża zmiana w pisowni! tyle, że łeb wystawia na pokaz nie tak otwarcie, jak łoś: wynurza go tylko z gęstwiny na sposób lisi) i zaproponował jej współpracę, obiecując w zamian dobre stanowisko i poparcie, niezbędne dla akceptacji jej rozprawy naukowej. Anna kategorycznie odmówiła. Wówczas bardzo zręcznie upitraszono akt oskarżenia, zarzucając jej, iż 11 lat przed tą datą (!), tj. w roku 1941 miała gdzieś oświadczyć, że:

— nasze przygotowania do wojny są niewystarczające (a bo to było inaczej?);

— niemieckie wojska stoją nad naszą granicą, a my im tymczasem posyłamy transporty ziarna (a może nie?).

Tym razem dostała 10 lat i wtrącono ją do Obozów Specjalnych — najprzód do Dubrowłagu w Autonomicznej Republice Mordwińskiej, następnie do Kamyszłagu — przystanek Susłowo w okręgu Kiemerowskim.

Czując, że stoi przed nieprzebitym murem, Anna wpadła na pomysł aby skargi pisać nie byle gdzie, tylko na adres ONZ'u! Jeszcze za życia Stalina wysłała trzy takie zażalenia. Nie był to chwyt przypadkowy, bynajmniej! Annie rzeczywiście robiło się źlej na duszy, doznawała ulgi w swoich wiecznych niepokojach, mogąc toczyć te imaginacyjne rozmowy z Organizacją Narodów Zjednoczonych. Obserwując przez dziesięciolecia triumfy kanibalizmu, naprawdę uważała tę organizację za jedyny jasny punkt w świecie. W swoich zażaleniach biczowała rozpasaną samowolę władzy w ZSSR i prosiła ONZ o wstawiennictwo: domagała się albo ponownego rozpatrzenia jej sprawy, albo rozstrzelania, ponieważ nie jest w stanie żyć dalej w warunkach podobnego terrorku.

Koperty adresowała „osobiście” na ręce któregoś z członków rządu, do środka zaś kładła prośbę o przesłanie jej podania do ONZ.

Gdy była w Dubrowiażu, wezwano ją przed oblicze całej gromady rozwścieczonych kierowników obozu:

— Jak śmiecie pisać do ONZ?

Skrypnikowa — jak zawsze wyprostowana, rosła, pełna dostojności — odparła:

— Ani kodeks karny, ani kodeks postępowania karnego, ani Konstytucja tego nie zabrania. A jakie wy właściwie macie prawo do otwierania listów, adresowanych na ręce członków rządu?

W roku 1956 przybyła do obozu komisja Rady Najwyższej ZSSR stworzona dla „rozładowania” zakładów karnych. Istotnie, jedynym zadaniem tej komisji było wypuszczenie na wolność możliwie jak największej ilości zeków. Przewidziana była jakaś skromniutka procedura: zek powinien był bąknąć ze skruchą kilka słów i postać chwilę z opuszczoną głową. Ale Anna Skrypnikowa była z innej gliny! Kwestia jej wolności osobistej była niczym w porównaniu z problemem sprawiedliwości ogólnej! Jak mogła zgodzić się na jakieś darowanie winy, skoro była niewinna? Oznajmiła więc komisji:

— Widzę, że jesteście bardzo zadowoleni z siebie? Nie macie powodu. Wszyscy dyrygenci stalinowskiego terroru odpowiadać będą przed ludem wcześniej, czy później; to nieuniknione. Nie wiem, kim byliście za czasów Stalina wy na przykład, obywatelu pułkownika, ale jeżeli należeliście do dyrygentów terroru, to też znajdziecie się na ławie oskarżonych.

Członkowie komisji spłoszili z wściekłości, zakrzyknęli spółem, że w ich osobach Skrypnikowa dopuściła się obrazy Rady Najwyższej, że nie ujdzie jej to płazem, że będzie musiała odsiedzieć karę od A do Z.

I rzeczywiście — wiara w idealną sprawiedliwość kosztowała Annę sporo: musiała odsiedzieć jeszcze trzy lata.

W Kamyszażu kontynuowała swoją jednostronną korespondencję z ONZ (w ciągu 7 lat — to znaczy do roku 1959 — napisała 80 podań do różnych instytucji). W 1958 roku przeniesiono ją karnie za tę pisaninę do włodimirskiego izolatora politycznego na cały rok. Ale regulamin tamtejszy przewidywał, że co 10 dni wolno było składać więźniowi podanie na adres dowolnie wybranej instancji. W ciągu jednego półroczka Anna wysłała stamtąd 18 podań na różne adresy, w tym — 12 do ONZ.

I doczekała się w końcu! — nie rozstrzelania, tylko ponownego rozpatrzenia spraw z 1927 i 1952 roku. Oznajmiła funkcjonariuszowi śledczemu: „A widzicie? Podanie do ONZ — to

jedyny sposób, aby przebić się przez mur sowieckiej biurokracji i zmusić kogoś z was do wysłuchania głosu Temidy”.

Sledczy zrywał się z krzesła, bił się w piersi:

— Więc wszyscy, którzy wprowadzali w życie „stalinowski terror” — jak nie wiedzieć czemu (!) racycie nazywać kult jednostki, mają odpowiadać przed narodem? A za co *ja* na ten przykład mam odpowiadać? Jaką to inną polityką miałem się kierować w tamtym okresie? Przecież miałem absolutne zaufanie do Stalina i nie wiedziałem o niczym!

Ale Skrypnikowa była nieubłagana:

— O nie, nic z tego! Każde przestępstwo musi być ukarane, prawda? Kto więc jest odpowiedzialny za te miliony niewinnych ofiar? Toć zginął kwiat narodu i kwiat partii! Za wszystko ma odpowiadać nieboszczyk Stalin? Rozstrzelany Beria? A wy dalej będziecie robić polityczną karierę?

(Ciśnienie krwi miała w tym czasie tak wysokie, że śmierć groziła jej w każdej chwili. Gdy zamykała oczy, widziała ogniste kręgi).

Chętnie by ją jeszcze zatrzymali za kratą, ale w 1959 roku byłoby to już dziwowiskiem!

Wszystkie lata następne (Skrypnikowa żyje po dziś dzień) wypełniły jej starania i zabiegi o zwolnienie tych, którzy siedzieli jeszcze w więzieniach i na zesłaniu, albo dostali się ostatnio do obozu. Niektórzy wyszli dzięki niej na wolność, inni doczekali się rehabilitacji. Występuje również w obronie bliższych i dalszych sąsiadów. Władze miejskie czują lęk przed jej piórem, boją się listów, które wysyła do Moskwy i idą na ustępstwa w tej, czy owej sprawie.

Gdybyśmy wszyscy mieli choćby ćwierć tej nieustępliwości, jaką odznacza się Anna Skrypnikowa — historia Rosji wyglądałaby inaczej.

## 2. STIEPAN WASILIEWICZ ŁOSZCZYLIN

Urodził się w 1908 roku, na Powołżu, ojciec jego był robotnikiem w fabryce celulozy. Został sierotą w 1921 roku, w czasie wielkiego głodu. Chłopak był z niego cichy, mimo to — jako siedemnastolatek należał już do komsomołu, a w wieku lat 18-tu wstąpił do szkoły dla młodzieży chłopskiej i skończył ją mając lat 21. Posyłano ich w tym czasie na akcje zbioru zboża, a w roku 1930 w swojej rodzinnej wsi Łoszczylin brał udział w akcji *rozkułaczania*. Nie został jednak we wsi, gdy zakładano tam kołchoz, tylko pobrał w radzie gromadzkiej zaświadczenie i po-



jechał do Moskwy. Z trudem udało mu się dostać na budowę w charakterze... niewykwalifikowanego robotnika (było jeszcze bezrobocie, a do Moskwy pchało się wtedy mnóstwo ludu). Nim rok minął wzięto go do wojska, gdzie został najprzód kandydatem, a później członkiem partii. Pod koniec 1932 roku był już znowu w cywilu i wrócił do Moskwy. Nie chciał jednak iść do czarnej roboty, pragnął zdobyć fach, więc poprosił w rejkomie partii, żeby skierowano go do jakiejś fabryki, do terminu. Nie należał widać do obrotnych towarzyszy, bo nawet tego mu odmówiono, proponując za to skierowanie do pracy w milicji.

Ale odmówił. Gdyby postąpił wtedy inaczej — nie pisalibyśmy dziś tego życiorysu. Ale Stiepan właśnie odmówił.

Był młody, był kawalerem i wstyd mu było przed dziewczynami, że nie ma żadnego fachu. Ale gdzie miał go zdobyć? Więc najął się do fabryki „Kalibr” znów jako robotnik niewykwalifikowany. I tu, na zebraniu partyjnym z całą prostotą zabrał głos w obronie pewnego robotnika, którego egzekutywa zapewne upatrzyła już sobie zawczasu, chcąc go skreślić z szeregów. Faceta wyrzucono z partii, jak to z góry było postanowione, a Łoszczylin zaczął szykanować. W hotelu robotniczym skradziono mu składki partyjne, które zbierał, a nie mógł ze swojej pensji wyłożyć brakujących 93 rubli. Został więc wyrzucony z partii i zagrożono mu, że pójdzie pod sąd (czy kodeks przewiduje jakąś karę za zgubienie składek partyjnych?). Podkopany już wewnętrznie Łoszczylin pewnego dnia nie poszedł do pracy. Wyrzucono go z fabryki za bumelanctwo. Z taką adnotacją w książeczce pracy — długo nie mógł znaleźć innej roboty. Śledczy też go wzywał parę razy, ale dał spokój. Myślał, że zostanie wezwany do sądu, ale jakoś nie przyszło. Nadszedł za to *wyrok* zaoczny: sześć miesięcy robót przymusowych z potrąceniem 25 %. Do pracy miał być skierowany przez miejskie Biuro Robót Poprawczych.

We wrześniu 1937 roku Łoszczylin poszedł sobie któregoś ranka na dworzec Kijowski, do bufetu. (Czy człowiek wie, co mu jest pisane? Gdyby odczekał jeszcze kwadransik, gdyby zjadł swoją kanapkę w jakimś innym bufecie?). Miał może wygląd zabiedzony i sprawiał wrażenie błakającego się bez celu? Sam dziś nie potrafi powiedzieć. Natknął się na młodą kobietę w mundurze NKWD (kobieto, to już nie miałaś nic lepszego do roboty?). Zapytała go: „Czego tu szukacie? Dokąd idziecie?” — „Do bufetu”. Wskazała mu jakieś drzwi: „Wejdźcie no tam!”. Łoszczylin, rzecz jasna, posłuchał rozkazu. (Niechby ktoś spróbował zaproponować coś takiego Anglikowi!). Był to lokal Oddziału Specjalnego. Przy biurku siedział funkcjonariusz. Kobieta rzuciła krótko: „Zatrzymany podczas obchodu dworca”. I wy-

szła; Łoszczylin nie widział jej nigdy więcej w życiu. (My również nigdy niczego więcej nie dowiemy się o niej!...). Funkcjonariusz nie poprosił go o zajęcie miejsca, lecz od razu przeszedł do indagacji. Odebrał mu wszystkie dokumenty i odesłał do izby zatrzymań. Było tam już dwóch innych mężczyzn, więc — powiada Łoszczylin — „już bez pozwolenia (!) siadłem sobie obok nich na wolnym krześle”. Wszyscy trzej milczeli długo. Zjawili się milicjanci i zawieźli ich do aresztu. Milicjant kazał oddać mu pieniądze, bo — jak twierdził — „tak czy owak w celi ci odbiorą”. (Podziwu godna jest współbieżność działań milicji i knajaków). Łoszczylin skłamał: oświadczył, że nie ma pieniędzy. Przeszukali go więc i pieniądze znikły już na zawsze. Ale machorkę mu oddali. Z dwiema paczkami machorki wszedł więc do pierwszej swojej celi i od razu położył je na stole. Rozumie się, że nikt nie miał nic do palenia.

Do śledczego na przesłuchanie zaprowadzono go z aresztu tylko raz. Śledczy zapytał, czy Łoszczylin nie jest przypadkiem złodziejem. (I to by go uratowało! Trzeba było powiedzieć — owszem, zgadza się, tylko jeszcze nie miałem zatrzymań. I wykpiłby się wtedy co najwyżej wysiedleniem z Moskwy). Ale Łoszczylin odpowiedział dumnie: „Utrzymuję się z pracy rąk”. O nic więcej śledczy już go nie pytał, żadnych innych przesłuchań nie było i nie doszło też do żadnej rozprawy!

Dziesięć dni przesiedział w tym areszcie, którejs nocy odwieziono ich na Pietrowkę do więzienia Wydziału Kryminalnego. Tu już było ciasno i duszno, tłok straszny. Panowali tu niepodzielnie knajacy, odbierali ludziom rzeczy, grali o nie w karty. Tu po raz pierwszy uderzyła Łoszczylina „ich zadziwiająca czelność i to, że wciąż podkreślali swoją wyższość, nie wiadomo dlaczego”. Pewnej nocy zaczęto ich wywozić do więzienia etapowego na Sretienkę (oto gdzie mieściło się ono przed przeniesieniem na Krasną Presnię!). Było tu jeszcze ciaśniej — trzeba było na zmianę siedzieć na podłodze i na narach. Tych którzy byli rozebrani (przez knajaków) do półnaga — milicja wyposażyła w łapcie i w stare milicyjne sorty.

Wśród tych, co przybyli tu z Łoszczylinem i jakich tu już zastał — wielu było takich, których *o nic formalnie nie oskarżano*, ani nie postawiono przed sądem — nie mniej, wszyscy pojechali razem ze skazanymi. Przywieziono ich do Piereborów; tam dopiero przy wypełnianiu arkuszy ewidencyjnych Łoszczylin dowiedział się z jakiego artykułu siedzi: jako Socjalnie Szkodliwy Element, wyrok — 4 lata. (Dziwi się po dziś dzień: ojciec mój był robotnikiem, sam też nim jestem — więc skąd ten element? *Gdyby chociaż inny artykuł!* — tak się nawet targował).

Wołował. Wyryb lasu — dziesięciogodzinny dzień roboczy, żadnych dni świątecznych, prócz Listopada i Maja (a działo się to trzy lata przed ostatnią wojną!). Pień przetracił któregoś dnia nogę Łoszczylinowi, operacja, cztery miesiące w szpitalu, trzy — o szczudłach — a potem znów do lasu. Zaczęła się wojna — ale że nie dano mu jednak artykułu 58-go, więc jesienią 1941 roku wyszedł na wolność. Przed samym zwolnieniem Łoszczylinowi ukradziono kurtkę, wpisaną do jego karty inwentarzowej. Błagał przydurków, żeby mu tę przeklętą kurtkę spisali na straty. Nie! Nie ulitowali się! Z pieniędzy, wydawanych przy odprawie, odliczono mu za tę kurtkę, i to podwójnie — a taki porwany waciak według urzędowego cennika — to na wagę złota! — i choć jesień była już chłodna — puścili go za wrota w samej koszuli bawełnianej i prawie bez pieniędzy. Tylko chleba ze śledziem dali mu na drogę. Wartownicy zrewidowali go jeszcze przy wyjściu i życzyli szczęśliwej podróży.

I oto obrabowany został w dniu wyjścia na wolność, tak samo, jak w dniu aresztowania...

Przy odbiorze zaświadczenia w dziale ewidencji Łoszczylin przeczytał do góry nogami to, co napisane było w jego aktach. Stało tam tylko tyle: „zatrzymany podczas obchodu dworca...”.

Przyjechał do miasta Sursk, do swoich rodzinnych okolic. Stracił zdrowie, więc komenda uzupełnień zwolniła go od służby wojskowej. I wyszło mu to bokiem. Jesienią 1942 roku zgodnie z rozkazem Komisarjatu Obrony — nr 336, ta sama komenda uzupełnień powołała wszystkich mężczyzn w wieku poborowym, a zdolnych do pracy fizycznej do *batalionów pracy*. Łoszczylin znalazł się w szeregach oddziału robotniczego przy intendenturze garnizonowej w Ulianowsku. Co to był za batalion i jaki był stosunek do niego — można sobie wyobrazić, jeśli wziąć pod uwagę, że było w nim mnóstwo młodzieży z dawnych kresów polskich. Zdążono ich przed wojną zmobilizować, ale nie posłano na front, nie mając do tych chłopców zaufania. W ten sposób Łoszczylin znalazł się na terenie przypominającym jedną z wysp Archipelagu, w zmilitaryzowanym obozie. Nie był on wprawdzie otoczony kordonem konwojentów, ale chodziło tu o taką samą eksploatację siły roboczej — aż do ostatniego tchu, aż do zagłady.

10-ciogodzinny dzień roboczy. W koszarach — dwupiętrowe nary, ani śladu pościeli (gdy szli do pracy — wydawało się, że koszary nie są zamieszkałe). Do pracy i po pracy chodzili we własnej odzieży, w tym, co wzięli z domu, nawet bielizny nie wydawano, nic nie mieli na zmianę, łaźni też nie było. Płacono im obniżoną stawkę, z której odliczano koszt chleba (600 gra-

mów), wikt (bardzo marny, dwa razy dziennie po dwa talerze), a nawet — czuwaszskich łapci, w które ich wyposażono.

Jednego z nich mianowano intendentem, drugiego — komendantem, nie przyznając jednak tym dowódcom żadnych praw. Cała władza była w rękach M. Żeltowa, naczelnika biura remontowo-budowlanego. Był to możnowładca niekontrolowany przez nikogo. Na jego rozkaz niektórzy członkowie oddziału przez całą dobę, albo nawet dwie — nie dostawali chleba, ani zupy. („Jakim prawem? — dziwił się nasz Łoszczylin. — Toć nawet w obozach do tego nie dochodziło”). A tymczasem do batalionu wcielano również żołnierzy z frontu, przysyłanych przez szpitale po zaleczeniu rany, lub choroby. Oddział miał swoją lekarkę. Mogła zwalniać chorych z pracy, ale Żeltow zabronił jej tego. Bała się go i często płakała nie ukrywając łez przed podkomendnymi. (Oto macie — WOLNY KRAJ! Oto nasza Wolność!). Wszy ich oblaży, nary roіły się od pluskiew.

W końcu jednak — nie był to obóz! można było się poskarżyć! Więc skarżyli się. Pisali do gazety okręgowej, do komitetu partii. Nikt na listy nie odpowiadał. Odezwał się tylko miejski wydział zdrowia: doczekali się solidnej dezynfekcji, zaprowadzono ich do łaźni, odliczając z żołdu kosza tej operacji (!), wydano wszystkim jedną zmianę bielizny, prześcieradła i koce.

Zimą z 44-tego na 45-ty, w trzecim roku tej służby, przyniesione z domu buty Łoszczylina zdarty się do szczeru, tak, że któregoś dnia nie mógł już pójść do pracy. Na podstawie znanego Dekretu natychmiast poszedł pod sąd za bumelkę — trzy miesiące pracy karnej w tym samym batalionie, z potrąceniem 25 %.

Gdy zaczęły się wiosenne roztopy, Łoszczylin nie mógł już pracować nawet w łapciach — i znów nie poszedł któregoś dnia do roboty. A zatem znowu stanął przed sądem (jeśli liczyć również rozprawy zaoczne — to po raz czwarty w życiu!). Sąd zasiadał w „czerwonym kąci” koszar i zawyrokował: trzy miesiące pozbawienia wolności.

Ale... nie pozbawiono go wolności! Państwu nie opłacało się brać Łoszczylina na utrzymanie! Bo żadne pozbawienie wolności nie mogło być gorsze od tej służby w batalionie roboczym!

Był już marzec 1945 roku i wszystko jakoś by się rozeszło po kościach, gdyby Łoszczylin nie napisał trochę wcześniej skargi do intendencji garnizonu. Użalał się, że dyrektor Żeltow obiecał wydać wszystkim buty robocze, ale jakoś tego nie robi. (A dlaczego tylko on napisał? A dlatego, że wszelkie protesty zbiorowe, czyli kolektywki były surowo wzbronione, za taką kolek-

tywkę, jako niezgodną z duchem socjalizmu, można było śmiało dostać artykuł 58-my).

Łoszczylin został wezwany do działu kadr: „Oddajcie robocze sorty!”. Jedną jedyną rzecz dostał w ciągu trzech lat ten cichy, strudzony człowiek — fartuch roboczy. Łoszczylin ściągnął go i w milczeniu położył na ziemi. Czekał już na niego dzielnicowy, wezwany przez intendenturę. Odprowadził Łoszczylina na posterunek milicji, a wieczorem — do więzienia. Ale dyżurny powiedział, że brak czegoś w papierach — i odmówił przyjęcia.

Milicjant odprowadził więc Łoszczylina z powrotem na posterunek. Mijali po drodze koszary ich oddziału. Milicjant powiedział zatem: „A idźże tam sobie, i tak nigdzie nie uciekniesz. Wpadnę po ciebie za parę dni”.

Zbliżał się koniec kwietnia 1945 roku. Legendarne dywizje były już o krok od Łaby i szturmowały osaczony Berlin. Każdego wieczoru grzmiały zwycięskie salwy, niebo Moskwy mieniło się czerwienią, zielenią i złotem. 24 kwietnia Łoszczylina wpakowano do więzienia okręgowego w Ulianowsku. Cella była tak samo zatłoczona, jak w 37-mym. 500 gramów chleba, bałanda z brukwi, a jeśli kartofle, to drobne, nie skrobane, ledwie opłukane. Dzień 9 maja Łoszczylin spędził w celi (przez kilka dni nikt im nie mówił, że wojna się skończyła). Koniec wojny, tak samo jak jej początek — zastał go za kratami.

Po Dniu Zwycięstwa wysłano *dekrétowców* (to znaczy — siedzących za bumelkę, spóźnienie, czasem za drobną kradzież w miejscu pracy) do kolonii karnej. Zajęci tam byli przy robotach ziemnych, na budowie, przy rozładunku rzecznych kryp. Wyżywienie było nędzne, obóz — nowy, nie było lekarza, ani nawet pielęgniarki. Łoszczylin przeziębził się, zapadł na rwę kulszową, ale nikogo to nie obchodziło, musiał iść do roboty. 7-go lipca 1945 roku wybuchła sławetna amnestia stalinowska. Ale Łoszczylin z niej nie skorzystał: dopiero 24 lipca kończyła się jego trzymiesięczna kara — i wtedy też go wypuszczono.

„Wszystko jedno — powiada Łoszczylin — w głębi duszy jestem bolszewikiem. Jak umrę — to możecie mnie uważać za komunistę”.

Kpi, czy prawdę mówi — trudno zgadnąć.



Brak mi teraz materiałów, by tak zakończyć ten rozdział, jakbym tego pragnął — a chciałem pokazać, w jak zadziwiający sposób zbiegają się i przecinają linie losów rosyjskich i praw Archipelagu. I obawiam się, że nie znajdę już w przyszłości chwili

sposobnej i bezpiecznej, w której bez pośpiechu zdołałbym się ponownie nad tą książką, by opisać ludzkie dzieje, jakich w niej jeszcze brak.

Sądzę na przykład, że godziłoby się zamieścić w niej opis życia, więziennie-obożowego męczeństwa i śmierci ojca Pawła A. Florenskiego — zapewne jednego z najwspanialszych ludzi, jakich Archipelag pochłonał. Znaczący przedmiot twierdzą, że zaliczał się on do uczonych, których trudno już spotkać w XX wieku: znał do głębi wiele dziedzin wiedzy i w każdej mógłby uchodzić za specjalistę. Z wykształcenia był matematykiem; wcześniej przeżył głęboki przełom religijny i został kapłanem. Dzieło jego młodości — „Ostoja i rękojmia prawdy” — dopiero teraz doczekało się należytej oceny. Jest autorem wielu prac z dziedziny matematyki (jego teorematy topologiczne dopiero znacznie później powtórzone i rozwiązane zostały na Zachodzie), estetyki (o ikonach rosyjskich, o misteriach cerkiewnych), filozoficzno-religijnych. (Zasadniczy zrab jego archiwum zachował się w całości, ale nie doczekał się jeszcze publikacji; nie miałem doń dostępu). Po rewolucji był profesorem instytutu elektrotechniki (wykładał w szatach kapłańskich). W 1927 roku sformułował poglądy, antycypujące tezy Norberta Wienera. W 1932 roku w czasopiśmie „Socjalistическая реконструкция и наука” opublikował artykuł o maszynach do rozwiązywania zadań, który stanowił zapowiedź przyszłych odkryć cybernetyki. Wkrótce potem został aresztowany. Z całego jego więziennego szlaku znam tylko kilka fragmentów, stawiam te punkty bardzo niepewną ręką: zesłanie na Syberię (na zesłaniu pisał dalej prace naukowe i publikował je pod pseudonimem w wydawnictwach Syberyjskiej Ekspedycji Akademii Nauk), Sołówki, po ich likwidacji — Daleka Północ, twierdzą niektórzy, że później znalazł się na Kołymie. Również tam zajmował się botaniką i mineralogią (po pracy z kilofem w rękę). Nikt nie wie gdzie i kiedy zginął w obozie. Krąży wieść — że rozstrzelany został podczas wojny.

Chciałem koniecznie opisać tu koleje życia Walentego I. Komowa z powiatu Jefremowskiego, z którym siedziałem w Ekibas-tuzie, ale za mało danych zostało mi w pamięci, a wartołoby napisać o nim ze szczegółami. W 1929 roku, gdy miał 17 lat, zabił przewodniczącego swojej rady gromadzkiej i uciekł. Życie i ukrywać się mógł potem tylko jako złodziej. Kilkakrotnie lądował w więzieniu — zawsze za kradzieże. W 1941 roku odzyskał wolność. Niemcy wywieźli go na roboty, ale sądzicie może, że był kolaborantem? Skąd, dwa razy uciekał i znalazł się za to

w Buchenwaldzie. Doczekał się zajęcia obozu przez aliantów. Czy został może na Zachodzie? Gdzie tam — pod własnym nazwiskiem („Ojczyzna wam przebacza, Ojczyzna was wzywa!”) wrócił do rodzinnej wsi, ożenił się, pracował w kołchozie. W 1946 roku skazany został z artykułu 58-go za przestępstwo popełnione w 1929 roku. Wyszedł na wolność w 1955-tym. Życiorys ten, rozwinięty należycie, mógłby dać nam klucz do wielu tajemnic losu rosyjskiego, narosłych w ciągu tych dziesięcioleci. Dodajmy, że Komow był typowym brygadzystą obozowym — „synem GUŁagu”. (Nawet na katordze, w karnym obozie nie bał się zapytać komendanta w czasie ogólnego apelu: „Dlaczego w naszym obozie panują faszystowskie porządki?”).

I wreszcie — należałoby przytoczyć w tym rozdziale życiorys jakiegoś nietuzinkowego (pod względem przymiotów osobistych i stałości poglądów) socjalisty; dobrze byłoby opisać jego wieloletnią tułaczkę szlakami Wielkiego Pasjansu.

Może powinien się tu znaleźć również opis przypadków jakiegoś zaprzysięgłego emwudzisty — Garanina, albo Zawieniagina, albo któregoś z mniej znanych.

Ale nie jest mi chyba sądzone, abym to wszystko mógł jeszcze opowiedzieć. Przerwywając pracę nad tą książką w pierwszych dniach 1967 roku<sup>4</sup>, nie przypuszczam, aby dane mi było powrócić do tematyki Archipelagu.

Zresztą, starczy już tego; toć nie rozstajemy się z nią od lat dwudziestu.

*Koniec części czwartej.*

---

4. Otóż nie, zakończyłem pracę dopiero po roku.





## SPIS TREŚCI

### Część trzecia

#### OBOZY PRACY MORDERCZEJ

I	— <i>Palce Aurory</i> .....	9
II	— <i>Archipeląg wynurza się z odmętów</i> .....	23
III	— <i>Archipeląg daje przrzuty</i> .....	60
IV	— <i>Archipeląg kamienieje</i> .....	97
V	— <i>Na czym trzyma się Archipeląg (Fundament Archipelągu)</i> .....	116
VI	— <i>Przywieźli faszystów</i> .....	139
VII	— <i>Życie codzienne</i> .....	167
VIII	— <i>Kobieta w obozie</i> .....	193
IX	— <i>Prominenci</i> .....	214
X	— <i>P. o. politycznych</i> .....	251
XI	— <i>Prawomysłni</i> .....	278
XII	— <i>Kap-kap-kap...</i> .....	307
XIII	— <i>Zdarto ci skórę — szykuj następną</i> .....	327
XIV	— <i>Zielony prokurator</i> .....	341
XV	— <i>SZIzo, BURy, ZURy</i> .....	361
XVI	— <i>Socjalne pociotki</i> .....	370
XVII	— <i>Małolatki</i> .....	388
XVIII	— <i>Muzy w GUŁągu</i> .....	408
		603

XIX	—	<i>Zeki jako naród</i> .....	440
XX	—	<i>Psia służba</i> .....	470
XXI	—	<i>Otoczka</i> .....	498
XXII	—	<i>Budujemy</i> .....	510

Część czwarta

DUSZA I DRUT KOLCZASTY

I	—	<i>Pod górę</i> .....	531
II	—	<i>Czy w dół?</i> .....	550
III	—	<i>Wolny kraj</i> .....	564
IV	—	<i>Ludzkie dole</i> .....	587



**A C H E V E D ' I M P R I M E R  
L E 2 0 O C T O B R E 1 9 7 5  
S U R L E S P R E S S E S D E  
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D  
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,  
P A R I S ( X V I I I <sup>e</sup> )**

**Dépôt légal : 4<sup>e</sup> trim. 1975**

**Imprimé en France.**

Orbis Books LTD  
London  
-19.7.76.







Orbis Books LTD  
LONDON

19.7.76

F. 65 (z przesyłką F. 72,50)